

Tad Williams

**Serce Cienia**

Przełożył  
Paweł Kruk

Dom wydawniczy REBIS  
Poznań 2011

Tytuł oryginału  
*Shadowheart. The Final Volume of Shadowmarch*

Copyright © 2010 by Tad Williams  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,  
Poznań 2011

Redaktor  
Agnieszka Horzowska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki  
Jacek Pietrzyński

Fotografia na okładce  
© Christopher Vacher via Agentur Schlück GmbH.

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-510-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

*Nasze dzieci Connor i Devon wciąż uważają, że obciachem jest dedykowanie im książki dla dorosłych zamiast jakiejś bardziej odpowiedniej dla nich. Powiedziałem im, że kiedyś dorosną, lecz one nie wierzą, że coś tak potwornego i niesprawiedliwego mogłoby się przytrafić tak miłym dzieciom.*

*(Zabawnie będzie zobaczyć, gdy się przekonają, że to jednak jest możliwe. Właściwie to zabawnie będzie w ogóle je obserwować.) Pamiętajcie, cudowne bestie, bardzo was kochamy, – ale nie każcie mi wracać do czasów dzieciństwa.*

## Podziękowanie

Wyrazam ogromną wdzięczność Betsy Wollheim, Sheili Gilbert i pracownikom wydawnictwa DAW Books za to, że wreszcie zawinęliśmy tą monstrualną łajbą do portu. Pragnę też podziękować naszej wspaniałej asystentce Denie Chavez i mojemu szalenie odjazdowemu agentowi Mattowi Bialerowi oraz ślicznej Lisie Tveit, która mocno się napracowała, żeby nasza strona zachęcała do odwiedzin. Proszę, odwiedźcie nas tam albo zobaczcie, jak robię z siebie głupca na Facebooku [www.facebook.com/tad.williams](http://www.facebook.com/tad.williams). Spokojnie, od nadmiaru Tada jeszcze nikt nie umarł, więc wam pewnie też to nie grozi.

Szczególne podziękowania składam mojej cudownej żonie Deborah Beale, która ogromnie mi pomogła, przeglądając ostatnie szkice powieści, chociaż mogła robić coś o wiele ciekawszego, a przynajmniej niezwiązanego z Tadem.

## Nota autora

Zachęcony licznymi pytaniami i kilkoma fizycznymi atakami (tak, siniaki powoli się goją, dzięki) dołączyłem w Dodatku 2. autentyczny historyczny dokument zawierający imiona najważniejszych bogów trygonackich oraz miana, którymi nazywały ich inne ludy Eionu i Xandu.

## Streszczenie *Marchii Cienia*

Zamek Marchii Cienia, najdalej wysunięte na północ miasto ludzi, przez dwieście lat odgrywał rolę przedmurza chroniącego przed nieśmiertelnymi Qarami – czarodziejskim ludem, który wcześniej dwukrotnie walczył z ludźmi. Nastąpiły złe czasy dla Marchii Południowej, której władca OLIN EDDON został uwięziony dla okupu w innym królestwie, skutkiem czego troje jego dzieci, najstarszy KENDRICK i bliźniaki BARRICK i BRIONY, musiało przejąć pieczę nad krajem i jego mieszkańcami. Sytuację pogarsza to, że Granica Cienia – dzieląca ziemie ludzi i spowitą mgłą i wiecznym zmierzchem krainę Qarów – zaczęła się przybliżać do Marchii Południowej.

Kendricka zamordowano w zamku. SHASO DAN-HEZA, mentor Briony i Barricka, zostaje oskarżony o tę zbrodnię i uwięziony. Briony żywi pewne wątpliwości, lecz zaprzatają ją inne troski, między innymi sprawy państwa, które dzieli z Barrickiem, chorowitym, wiecznie zagniewanym bliźniakiem.

Z każdym dniem w Marchii Południowej sprawy się komplikują. ROGOWIEC i OPAL, małżeństwo Funderlingów, małych ludzi zamieszkujących pod Zamkiem Marchii Południowej, znajduje dziecko porzucone przez tajemniczych jeźdźców przybyłych zza Granicy Cienia. Chłopiec należy do dużych – ludzi zwyczajnych rozmiarów – lecz oni nazywają go KRZEMIENIEM, imieniem Funderlingów, i zabierają do swojego domu w podziemnym mieście. Tymczasem CHAVEN, nadworny medyk, bardzo się interesuje tajemniczym lustrem, a jeszcze bardziej zagadkową istotą, która zdaje się przebywać w jego wnętrzu.

Księżniczka Briony o śmierć starszego brata w dużej mierze obwinia FERRASA VANSENA, kapitana straży królewskiej, który jej zdaniem nie zrobił wszystkiego, co należało, by obronić Kendricka. Vansen darzy Briony Eddon uczuciem, które nie ma szans spełnienia. W milczeniu przyjmuje jej rozkaz, po części mający być karą, i udaje się do miejsca rzekomego ataku Qarów za Granicą Cienia.

YNNIR, ślepy król Qarów, zaczyna realizować złożony plan dotyczący zamku i rodu panującego; podrzucenie chłopca Krzemienia to

tylko jeden z jego elementów. Czyn ten ma swoje konsekwencje: gdy podczas pogrzebu Kendricka stryjeczna babka bliźniaków, KSIĘŻNA MEROLANNA, zobaczyła chłopca, omal nie zemdląca. Była przekonana, że oto ujrziała swoje nieślubne dziecko, którego narodziny trzymała w tajemnicy, a które znikło przed ponad pięćdziesięcioma laty.

Ynnir nie jest jedynym Qarem, który snuje skomplikowane plany. Pani YASAMMEZ, jedna z najpotężniejszych osób wśród czarodziejskich ludzi, gromadzi armię i prowadzi ją za Granicę Cienia na ziemię śmiertelników.

Tymczasem Barrick i Briony są w bardzo dziwnej sytuacji. Ich główny doradca, AVIN BRONE, wyznaje im, że TOLLY'OWIE, najmożniejszy ród w Marchii, przyjmują agentów SULEPISA, AUTARCHY XIS, wrogię króla-boga z południa, który, jak się zdaje, zamierza podbić cały północny kontynent, opanowawszy wcześniej południowy. (Mieliśmy już okazję się przekonać, jak jest szalony, widząc, jak traktuje QINNITAN, niewinną świątynną nowicjuszkę, którą wybrał na swoją kolejną żonę i przeniósł do haremu zwanego Samotnią. Tam jednak interesowali się nią tylko kapłani, którzy udzielili jej swego rodzaju religijnych instrukcji i zmuszali do picia dziwnych mikstur.)

Na północnym kontynencie dzieje się coraz gorzej. Ferras Vansen i jego oddział zostają zwabieni za Granicę Cienia. Kilku z nich zostaje zabitych przez różne istoty, a zanim znajdują drogę powrotną do kraju śmiertelników, Vansen widzi armię, którą Yasammez prowadzi na Królestwa Pogranicza.

MATT TINWRIGHT, poeta z Marchii Południowej, któremu nie wiedzie się najlepiej, zostaje poproszony o napisanie listu do Eddonów w imieniu Gila, pozornie głupiego pomocnika karczmarza. Chęć łatwego zarobku staje się przyczyną aresztowania poety oskarżonego przez Avina Brone'a o zdradę. Księżniczka Briony okazuje mu jednak wyrozumiałość i uwalnia, a nawet pozwala pozostać na zamku w charakterze nadwornego poety. Wydaje się, że tylko on jeden spośród pograżonych w licznych kłopotach mieszkańców zamku doświadcza odrobiny szczęścia.

Qarowie niszczą Candlerstown i księżniczka Briony postanawia wysłać armię, by powstrzymać marsz czarodziejskich wojowników. Ku

jej zdumieniu Barrick zgłasza się na ochotnika. Wyznaje siostrze, że ich ojciec cierpi na ataki obłądu i że przed laty podczas jednego z nich go okaleczył. Barrick wierzy, że i on ma podobną dolegliwość, i uważa, że skoro i tak nie jest mu pisane długie życie, równie dobrze może udać się na wojnę, by bronić kraju. Briony, nie potrafiąc odwieść go od tej decyzji, nakazuje Ferrasowi Vansenowi, który tymczasem wrócił z Granicy Cienia, by chronił jej brata za wszelką cenę.

Pod zamkiem, w Mieście Funderlingów, znika dziwny chłopiec o imieniu Krzemień. Przy pomocy DACHOWCA Rogowiec odnajduje go w świętym miejscu pod podziemnym miastem, w świętych głębiach zwanych Tajemnicami. Krzemień w jakiś sposób tam dotarł i znalazł drogę na wyspę na podziemnym jeziorze, na której stoi dziwna kamienna postać nazywana LŚNIĄCYM CZŁOWIEKIEM, czczona przez Funderlingów. Rogowiec przyprowadza chłopca z powrotem do domu. Później, razem z pomocnikiem karczmarza Gilem, znosi magiczny przedmiot, który Krzemień zabrał z Tajemnic, do Yasammez, mrocznej pani dowodzącej wojskami Qarów oblegających Zamek Marchii Południowej.

Jest środek zimy, mimo to armia wyrusza na spotkanie Qarów. Briony zostaje publicznie wyszydzona przez HENDONA TOLLY'EGO, który zarzuca jej rodzinie porażkę. Rozwścieczona księżniczka wyzywa go na pojedynek. Hendon odmawia, upokarzając ją w obecności dworzan, spośród których wielu uważa, że jest zbyt młoda i niepewna, by rządzić Marchią Południową. Później Briony niespodziewanie spotyka medyka Chavena, który zniknął na jakiś czas.

Na południowym kontynencie Qinnitan, niechętna panna młoda autarchy, ucieka z królewskiego pałacu w Xis i wsiada na pokład statku udającego się na północny kontynent.

Tymczasem Qarowie okazują się zbyt silni i podstępni dla Marchii Południowej, więc księżę Barrick i armia ponoszą sromotną klęskę. Księżę omal nie ginie z rąk olbrzyma, lecz ratuje mu życie sama Yasammez. Po krótkiej rozmowie go odsyła, księżę zaś jedzie w kierunku Granicy Cienia, jakby pogrążony w transie. Ferras Vansen nie potrafi powstrzymać oszołomionego księcia, dlatego udaje się za nim, by go chronić zgodnie z prośbą księżniczki Briony.



Tymczasem na zamku spotkanie Briony z macochą przeradza się w koszmar, gdyż pokojówka Anissy okazuje się morderczynią Kendricka i powtórnie posługuje się magicznym kamieniem, by zmienić się w demona gotowego zabić także Briony. Tylko odwaga księżniczki ratuje jej życie i magiczna istota zostaje zabita. Ciężarna Anissa, w szoku spowodowanym tym wydarzeniem, zaczyna rodzić.

Briony pozostawia macochę pod opieką medyka, a sama udaje się, by uwolnić Shasa, który okazał się niewinny śmierci Kendricka. Oswobadza go, lecz zostają przechytrzeni przez Hendona Tolly'ego, który od samego początku manipuluje wydarzeniami. Teraz Tolly pragnie stworzyć wrażenie, że Shaso zamordował Briony, tak by on mógł przejąć tron. Briony i Shasowi udaje się jednak uciec przy pomocy lojalnych MUSKAJĄCYCH WODE, ludu zamieszkującego okolice zamku. Briony jest zmuszona do pozostawienia domu w rękach najgorszych wrogów, jej brat przepada bez wieści, a Yasammez i dzicy Qarowie oblegają siedzibę jej rodu.

## Streszczenie Rozgrywki Cienia

BRIONY i jej bliźniak BARRICK, ostatni potomkowie królewskiej rodziny EDDONÓW z Zamku Marchii Południowej, zostali rozdzieleni. Zamek i kraj pozostają pod kontrolą HENDONA TOLLY'EGO, ich okrutnego krewnego. Zamek Marchii Południowej został otoczony przez czarodziejskich ludzi nazywanych Qarami.

Po ucieczce przed Hendonem Briony i jej mentor SHASO znaleźli schronienie w pobliskim mieście u jednego z ziomków Shasa, lecz niedługo potem dom został zaatakowany i spalony. Tylko Briony udało się uciec, była zdana na samą siebie. Głodna i chora ukrywała się w lesie.

Barrick, wiedziony impulsem, którego nie rozumie, zmierza na północ przez kraj czarodziejskiego ludu, w towarzystwie żołnierza FERRASA VANSENA. Niebawem dołączył do nich trzeci kompan GYIR BURZOWA LATARNIA, jeden z najbardziej zaufanych sług YASAMMEZ, który został przez nią wysłany z misją, by dostarczyć YNNIROWI, królowi Qarów, lusterko – to samo, które KRZEMIENI zniósł do głębi pod zamkiem i zostawił u stóp Lśniącego Człowieka. Barrick i jego towarzysze zostali pojmani przez potwora o imieniu JIKUYIN, półboga, który ponownie otworzył Wielkie Głębie, usiłując znaleźć sposób na zdobycie mocy śpiących bogów.

Briony Eddon spotyka LISIYĘ, leśną półboginię, której przyszło żyć w trudnych czasach i która doprowadza Briony do LUDZI MAKEWELLA, trupy aktorskiej zmierzającej na południe do potężnego państwa Syanu. Briony przyłączyła się do nich, nie wyjawiając prawdziwego imienia ani swojej sytuacji.

W Qul-na-Qar, siedzibie czarodziejskiego ludu, umiera KRÓLOWA SAQRI, a król Ynnir nie potrafi jej pomóc. Wydaje się, że jego jedyną nadzieją jest plan związany z magicznym lusterkiem, które obecnie znajduje się w rękach Gyira Burzowej Latarni. Lusterko oraz ugoda z nim związana, nazywana Paktem Lustra, to jedyne, co powstrzymuje żądną zemsty Yasammez i czarodziejskich ludzi przed zniszczeniem Zamku Marchii Południowej.

W tym samym czasie QINNITAN, zbiegła panna młoda SULEPISA, AUTARCHY XIS, zatrzymała się w Hierosolu, najbardziej na południe wysuniętym porcie północnego kontynentu. Nie wie, że autarcha wysłał za nią DAIKONASA VO, najemnego mordercę, związawszy go ze sobą bolesną magią. Wciąż pozostaje tajemnicą, dlaczego potężny autarcha interesuje się Qinnitan.

Zamek Marchii Południowej nadal jest oblegany przez Qarów. W zamku poeta MATT TINWRIGHT zakochał się w ELAN M'CORY, kochance Hendona Tolly'ego, który nią pomiata. Domyśliwszy się uczuć Tinwrighta, Elan prosi go, by pomógł jej się zabić. Niechętny temu, oszukuje ją i podaje tylko tyle trucizny, by straciła przytomność, a potem przemyca nieprzytomną Elan poza mury królewskiej rezydencji, by już nie wróciła do Hendona.

Tolly utrzymuje władzę głównie dzięki temu, że ogłosił się protektorem nowo narodzonego ALESSANDROSA, potomka nieobecnego KRÓLA OLINA. Hendon Tolly wydaje się nie przejmować oblężeniem Qarów ani niczym innym.

Tymczasem Olin pozostaje w niewoli w południowym Hierosolu, gdzie udaje mu się zobaczyć Qinnitan, która pracowała w pałacowej pralni. Dostrzegł w niej coś znajomego. Zanim się nad tym zastanowił, przyplęnęła z południa ogromna flota autarchy i rozpoczęła oblężenie Hierosolu. Porywacz Olin sprzedał go autarsze, by ratować własną skórę, choć nie wiadomo, dlaczego król-bóg z Xis interesuje się małym północnym królestwem.

W Wielkich Głębiach Barrick Eddon i pozostali więźniowie półboga Jikuyina mają zostać złożeni w ofierze podczas ceremonii, która otworzy drogę do krainy śpiących bogów, lecz Gyir poświęcił życie, pokonując półboga zdobytymi materiałami wybuchowymi. Gyir umarł, a Vansen wpadł przez magiczne drzwi do nicości. Barrick został sam, lecz udało mu się uciec z lusterkiem, które Gyir miał zanieść Ynnirowi, królowi czarodziejskich ludzi. Bez kompanów, tylko w towarzystwie kruka SKURNA, książę rozpoczął samotną podróż przez krainę cienia, zmierzając do miasta Qul-na-Qar. W snach odwiedza go dziewczyna, Qinnitan, której nigdy nie spotkał, a która z jakiegoś powodu potrafi przenikać jego myśli.

Briony wraz z trupą aktorską dociera do ogromnego miasta Tesis, stolicy Syanu. Razem z innymi aktorami spotkała tam DAWETA, który kiedyś służył u Ludisa Drakavy, porywacza króla Olina, lecz wszystkich zaskoczyli syańscy żołnierze i aresztowali. Tylko Dawetowi udało się uciec. Aktorzy i Briony zostali oskarżeni o szpiegostwo. By ratować przyjaciół, Briony wyjawiała swoją tożsamość i przyznała się, że jest księżniczką Marchii Południowej.

Ferras Vansen, który wcześniej wpadł w pozornie bezkresną ciemność, odbywa dziwną, surrealistyczną podróż przez ziemię zmarłych u boku swego nieżyjącego ojca. Gdy wreszcie udało mu się uciec, stwierdził, że już nie znajduje się za Granicą Cienia, ale w Mieście Funderlingów pod Zamkiem Marchii Południowej. CHAVEN, który ukrywa się przed Hendonem Tollym, także przebywa u Funderlingów.

Daleko na południu, w Hierosolu, Qinnitan zostaje schwyтана przez Daikonasa Vo, który zabiera ją do autarchy Sulepisa, lecz ten zdażył już wypłynąć z Hierosolu, udając się do Marchii Południowej, małego królestwa na północy. Vo przejął statek i wyruszył za swoim okrutnym panem.

Autarcha nie płynie sam na swoim flagowym okręcie. Oprócz jego wiernego pierwszego ministra PINIMMONA VASHA przebywał z nim też na pokładzie więzień – władca z północy, OLIN EDDON. Przeznaczeniem Olina, jak go poinformował Sulepis, jest śmierć, dzięki której autarcha będzie mógł zdobyć moc śpiących bogów.

## Streszczenie *Powrotu Cienia*

BARRICK i BRIONY przebywają z dala od Zamku Marchii Południowej. Wciąż panuje w nim HENDON TOLLY, a zamek od miesięcy jest oblegany przez Qarów zwanych czarodziejskim ludem albo Ludźmi Zmierzchu. Główna siła ataku spada na Funderlingów mieszkających pod zamkiem w niemal nieskończonym labiryncie tuneli, które biegną w głąb ziemi aż do świętych miejsc nazywanych przez samych Funderlingów „Tajemnicami”.

Księżniczka Briony przebywa daleko na południu jako gość na dworze KRÓLA ENANDERA, władcy Syanu. (Zrzuciła przebranie wędrownego aktora po tym, jak z całą trupą została aresztowana przez syańskich żołnierzy.) Na dworze zawiera kilka znajomości, lecz tylko jedna osoba okazuje się prawdziwym sprzymierzeńcem, królewski syn, KSIĄŻĘ ENEASZ, który wydaje się darzyć Briony dużym poważaniem. Jest mu tym bardziej wdzięczna za wsparcie, gdy uchodzi z życiem po próbie otrucia, co przypłaciła zdrowiem jedna z dworek.

Barrick podróżuje przez ziemie czarodziejskich ludzi z nieokrzesanym krukiem o imieniu SKURN, realizując misję, której sam do końca nie rozumie. Wojownik Qarów GYIR przed śmiercią nakłonił go do złożenia przysięgi, że dostarczy magiczne lustro na dwór Qarów – do istniejącego jakby poza czasem Qul-na-Qar. Lecz od legendarnego miasta dzielą go długie mile krainy cienia pełnej niebezpieczeństw: małych Kąśliwych Duszków czy dziwnych pozbawionych twarzy zawziętych jedwabników.

Ku wielkiemu niezadowoleniu Skurna Barrick postanawia schronić się przed jedwabnikami w miejscu zwanym Przeklętym Wzgórzem, na którego szczycie spotyka trójkę dziwnych prastarych istot, które nazywają siebie ŚPIĄCYMI. Są to zbuntowani członkowie qarskiego plemienia Tych, Którzy Nie Śpią. Twierdzą, że znają Barricka i chcą mu pomóc dotrzeć do Qul-na-Qar, lecz on jest zbyt słaby i znajdują się zbyt daleko od miasta, by mogło mu się powieść. Po magicznej ceremonii, którą odprawiają, Barrick wraca do pełni sił i zdrowia i odzyskuje władzę w niesprawnym ramieniu. Wtedy istoty informują go, że musi

znaleźć mistyczne przejście do Qul-na-Qar w mieście zwanym Snem, domu wrogów Qarów – byłych krewnych – Tych, Którzy Nie Śpią.

Nie tylko Qarowie interesują się Zamkiem Marchii Południowej. AUTARCHA, król-bóg, władca Xis z południa, nadciąga z licznymi siłami i flotą, by zdobyć zamek, i przywozi ze sobą więźnia, KRÓLA OLINA, władcę Marchii Południowej. Autarcha nie kryje się ze swoimi planami, wręcz ochoczo o nich opowiada: zamierza poświęcić Olina i posłużyć się jego krwią – która pochodzi częściowo od czarodziejskich ludzi, a więc i od bogów – jako magicznym narzędziem, które pozwoli mu otworzyć przejście do krainy, gdzie śpią uwięzieni bogowie, wypędzeni tam przez innego boga, przodka rodziny Olina i Qarów – KUPILASA, nazywanego także SZACHRAJEM. Lecz to nie umierający Kupilas interesuje Sulepisa, a bardziej złowrogi bóg, którego moc zamierza przejąć autarcha podczas ceremonii odprawionej w noc przesilenia letniego.

W kręgu zainteresowań autarchy znajduje się jeszcze jeden więzień. Młoda kobieta, która już wcześniej uciekła z jego niewoli, QINNITAN, została ponownie schwytana przez łowcę autarchy, najemnika o imieniu DAIKONAS VO. Ten spóźnia się na statek autarchy, który odpłynął na północ do Zamku Marchii Południowej, tak więc podąża za flotą innym statkiem, by przekazać autarsze więźniarkę i odebrać nagrodę. Po kilku nieudanych próbach Qinnitan wreszcie udaje się uciec na bezludnym wybrzeżu, na wschód od Zamku Marchii Południowej, lecz jej prześladowca, który stopniowo popada w obłęd, rusza za nią w pościg.

FERRAS VANSEN, kapitan straży królewskiej z Zamku Marchii Południowej, który dowodzi obroną Funderlingów przeciwko Qarom, dowiaduje się, że autarcha zmierza do zamku. Kapitan udaje się do obozu Qarów, gotowy doprowadzić do sojuszu z czarodziejskimi ludźmi albo zginąć. Tymczasem tajemniczy chłopiec KRZEMIENI, przygarnięty przez OPAL i ROGOWCA, w dziwny sposób uczestniczy w wydarzeniach, lecz czasem wydaje się równie zaskoczony własnymi poczynaniami jak inni.

W Syanie Briony zostaje zdradzona i fałszywie oskarżona o próbę osłabienia władzy króla Enandera. Udaje jej się uciec dzięki pomocy przyjaciół aktorów. Książę Eneas, następca syańskiego tronu, który

chce jej pomóc, dogania ją i deklaruje pomoc w dotarciu do domu, a nawet odzyskaniu tronu. Mając takiego sprzymierzeńca (i jego wojska), Briony może wreszcie zacząć myśleć o powrocie do kraju, by odzyskać skradziony tron.

Tymczasem Barrick dociera do miasta Sen i pokonawszy strasznych strażników, wykorzystuje magiczne przejście, które prowadzi go prosto do Qul-na-Qar. Jednak jego towarzysze, Skurn i kupiec RAEMON BECK, którzy także przekroczyli przejście, nie znaleźli się w Qul-na-Qar. Starożytna siedziba Qarów niemal opustoszała, ponieważ większość z nich bierze udział w oblężeniu Zamku Marchii Południowej pod dowództwem zacieklej wojowniczką PANI YASAMMEZ, i Barrick zastaje tam jedynie ślepego króla YNNIRA oraz pogrążoną we śnie królową SAQRI wraz z garstką służących. Ynnir posługuje się lusterkiem przyniesionym przez Barricka, lecz jego moc nie wystarcza, by obudzić królową.

Autarcha wraz ze swoim więźniem, królem Olinem, dopływa do Marchii Południowej. Siedziba Olina wygląda na opuszczoną: wydaje się też, że Qarowie przerwali oblężenie i odeszli, co może oznaczać łatwe zwycięstwo potężnej armii autarchy nad słabymi obrońcami zamku, a wtedy Sulepis zdobędzie dostęp do miejsca, w którym czekają żądni zemsty rozgniewani i wypędzeni bogowie.

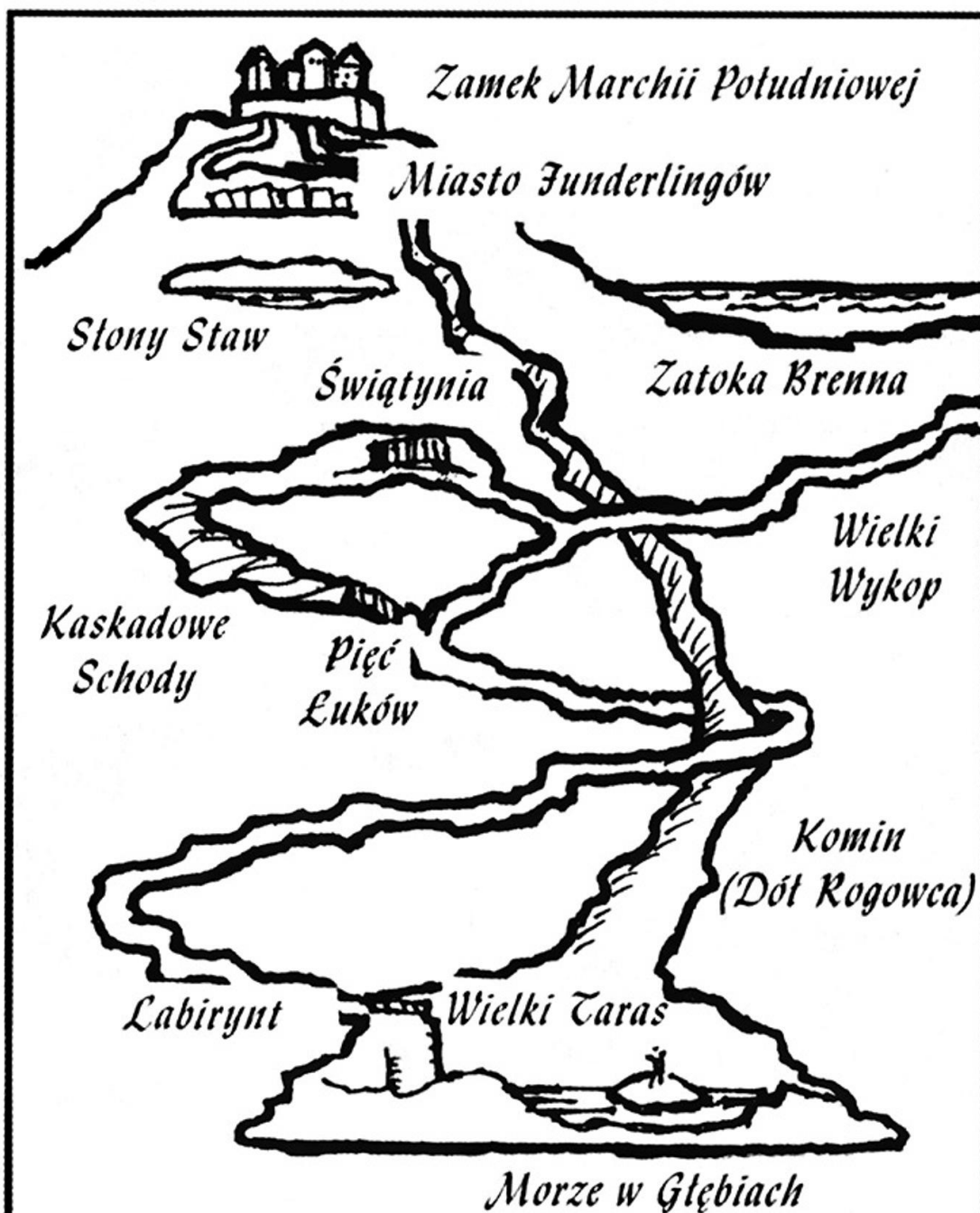
W Qul-na-Qar król Ynnir wyznaje śmiertelnemu księciu Barrickowi, że królową Saqri można obudzić tylko wtedy, jeśli on, jej mąż, odda jej resztkę swoich sił. Lecz nie może tego uczynić, nie znalazłszy wcześniej opiekuna Ognistego Kwiatu, który nosi w sobie, mądrości wszystkich qarskich władców. Saqri dysponuje jego żeńskim odpowiednikiem, mądrością królowych czarodziejskich ludzi. Do tej pory śmiertelnik nigdy nie przejmował Ognistego Kwiatu, lecz Barrick, podobnie jak jego ojciec, ma w żyłach krew Kupilasa (czy też Szachraja, jak tego boga nazywają Qarowie). Barrick się zgadza.

Moc Ognistego Kwiatu niemal go zabija, lecz Saqri budzi się po śmierci Ynnira. Barrick pozostaje sam w domu swojego wroga z głową pełną niezrozumiałych dla niego wspomnień z przeszłości Qarów.





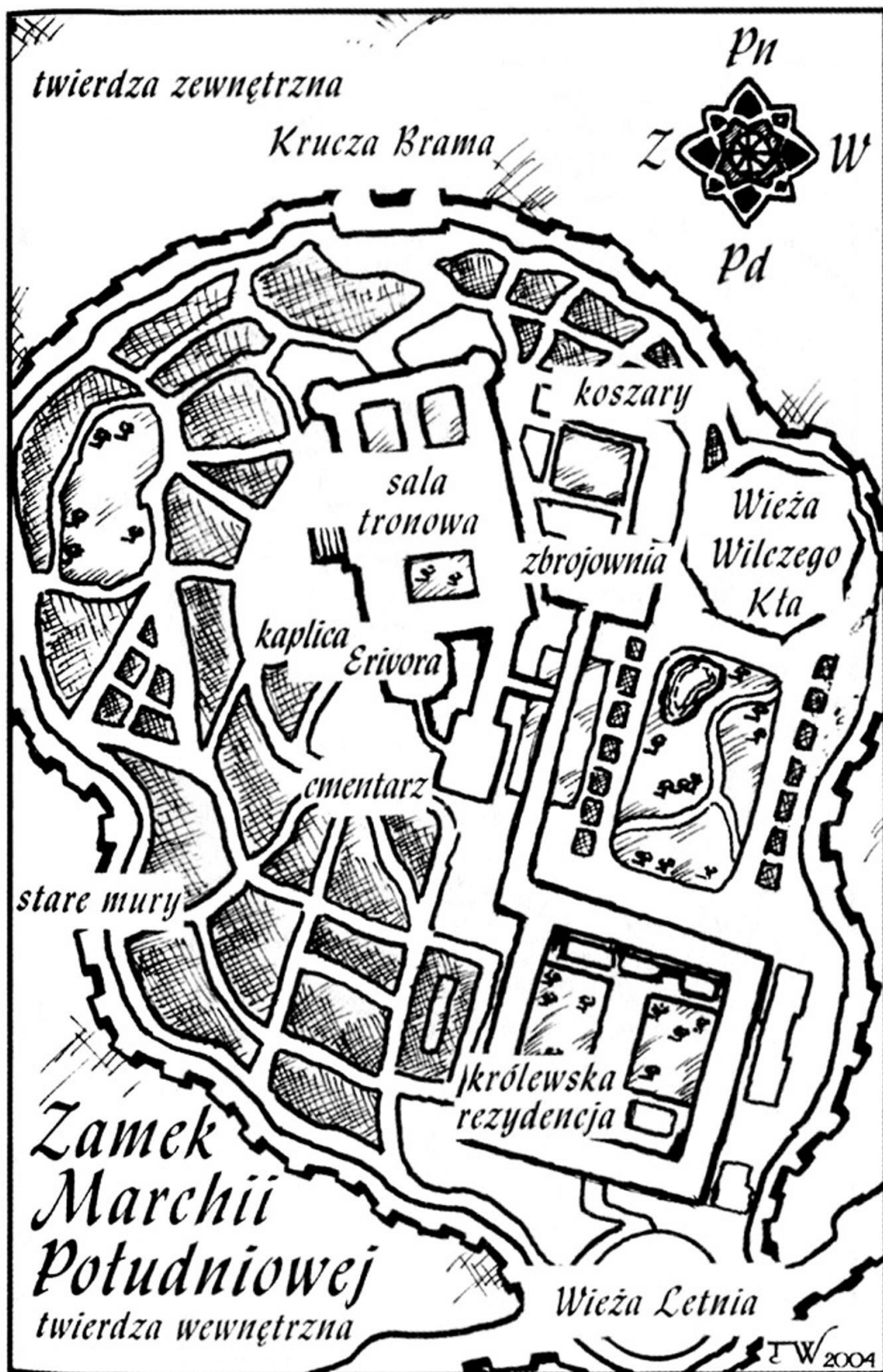


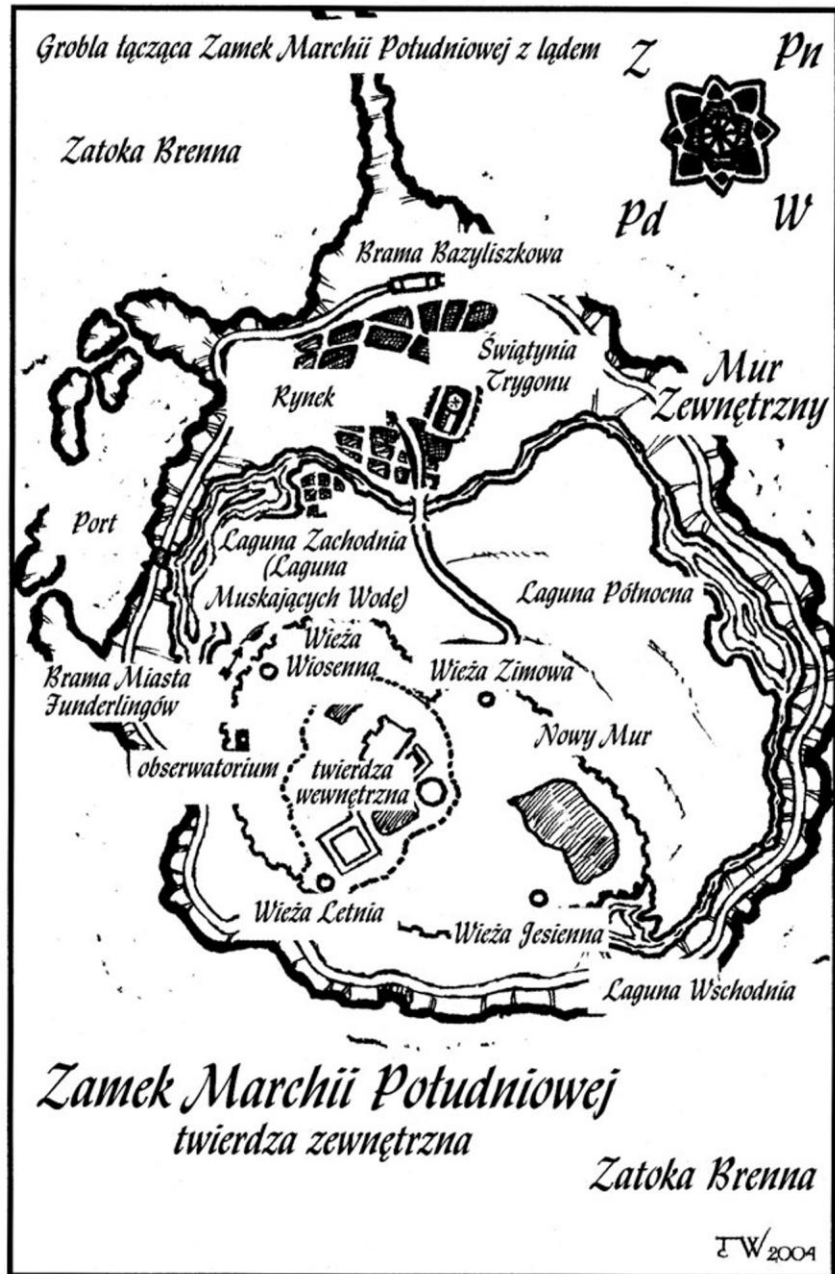


# *Góra Midlana*

CBQ, TW and DWB, 2010







Wstęp

Otrzymał imię na cześć *tualum*, małej antylopy biegającej po pustynnych wzgórzach. W młodości jego matka często obserwowała, jak całe ich stado schodzą nad rzekę, smukłe, jasnookie, dzielne, i gdy po raz pierwszy zobaczyła syna, dostrzegła w nim wszystkie cechy tych zwierząt. „Tulim”, wyszeptała z zachwytem. „Nazwijcie go Tulim” Zanotowano jej słowa, po czym zabrano chłopca, by oddać go nadwornej mamce.

Pierwsze, co zapamiętał, to draperie w kolorze zachodu słońca w Samotni, gdzie spędził wśród kobiet wczesne dzieciństwo, gdzie słodko pachnące opiekunki kołysały go, śpiewały mu i nacierały jego malutkie śniade kończyny kosztownymi balsamami. Smutku doświadczał tylko w tych chwilach, kiedy kładzono go do łóżeczka, by zająć się rozpieszczaniem innego z najmłodszych dzieci monarchy. Poczucie niesprawiedliwości tego, że uwagę należną tylko jemu musi dzielić z innymi dziećmi, płonęło w piersi małego Tulima jak płomień lampy, w który wpatrywał się każdego wieczoru – obserwował go tak uważnie, że potrafił go sobie wyobrazić nawet w południe, a był on tak jasny, że pograżał w cieniu cały świat dookoła.

W wieku prawie trzynastu lat w ramach swego rodzaju eksperymentu podczas wspólnej kąpieli Tulim utopił jednego z młodszych książąt. Zaczekał, aż opiekunki zajęły się dzieckiem, które zaczęło płakać ochlapane przez inne, a potem położył dłoń na głowie swojego brata Kirgaza, wepchnął go pod wodę usłaną licznymi kwiatami i przytrzymał. Pozostałe dzieci dokazywały głośno i niczego nie zauważyły.

Czuł się dziwnie, czując rozpaczliwą szamotaninę brata i wiedząc, że tuż obok toczy się normalne życie. Ludzie przywiązują tak wielką wagę do życia, uzmysłowił sobie Tulim, a przecież on może je komuś odebrać, gdy tylko zechce. Po raz kolejny oczyma wyobraźni ujrzał płomień, lecz tym razem wydawało mu się, że sam się w niego zamienił i że płonie tak jasno, iż reszta stworzenia pograżyła się w cieniu. Przeżył chwilę ekstazy.

Kiedy opiekunki znowu się do niego odwróciły, Kirgaz unosił się leniwie na wodzie, a jego włosy falowały na powierzchni niczym wodorosty upstrzone białymi płatkami kwiatów. Niańki z krzykiem

wyciągnęły chłopca z wody, lecz było za późno. W Sadowym Pałacu mieszkało wielu książąt – autarcha miał liczne żony i był płodny – tak więc strata jednego nie stanowiła wielkiej tragedii, mimo to obie opiekunki zostały natychmiast stracone. To zasmuciło Tulima. Jedna z nich co wieczór przemycała dla niego z kuchni miodowe ciasteczka. Teraz będzie musiał obyć się bez nich.

Niebawem Tulim dorósł na tyle, by opuścić Samotnię, i przeniesiono go na Dwór Cedrowy, część potężnego, rozległego Sadowego Pałacu, gdzie aż do osiągnięcia wieku męskiego przebywali synowie szlachetnie urodzonych w zaszczytnej bliskości z synami ojca Tulima, otoczonego czcią króla-boga Parnada. Tam Tulim po raz pierwszy zaznał towarzystwa prawdziwych mężczyzn – do Samotni mieli wstęp tylko Wybrani – i nauczył się wielu rzeczy: jak polować, walczyć i śpiewać pieśń wojenną. Smukły, długonogi i bystry po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę mężczyzn z Sadowego Pałacu, w tym także, o dziwo, własnego ojca.

Większości synów Parnada zależało na tym, żeby nie rzucać się ojcu w oczy. Oczywiście któryś z nich miał kiedyś zostać następcą autarchy, lecz władca był silnym i pełnym wigoru mężczyzną po pięćdziesiątce, więc ten dzień wydawał się bardzo odległy, a xiskim dziedzicom często przydarzały się wypadki. Sam Parnad uznał, że niektórzy jego synowie są zbyt lubiani przez żołnierzy czy pospólstwo. Jeden z nich stał się jedyną ofiarą podczas bitwy z piratami na zachodnich wyspach. Inny zmarł, krztusząc się i dusząc, po ukąszeniu przez węża w Górach Yenidos w środku zimy – niezwykła pora na aktywność węży. Dlatego żaden z pozostałych książąt nie czuł zazdrości, gdy ich ojciec zaczął zwracać większą uwagę na Tulima i zaszczycać go okazjonalną rozmową.

– Kim była twoja matka? – zapytał go Parnad podczas pierwszego spotkania.

Autarcha był postawny, wysoki, ale i barczysty. Tulimowi wydawało się dziwne, że tak potężny mężczyzna o gęstej brodzie dał życie komuś o tak smukłych kończynach.

– Ach, tak, pamiętam ją. Przypominała kocicę, tak. Masz jej oczy.

Tulim nie miał pewności, czy słowa ojca oznaczają, że jego matka nie żyje, ale nie zamierzał go o to pytać, żeby nie okazać słabości. Skoro odziedziczył po niej oczy, musiała być niezwykła, jako że była to pierwsza cecha, którą inni u niego zauważali – dziwne złociste oczy, jakby wypełnione płynnym metalem. Między innymi to od dawna utwierdzało go w przekonaniu, że nie jest taki jak inni – taki sam jasny, niszczący płomień nie płonął w jego braciach ani innych dzieciach.

Od czasu do czasu rozmawiał z ojcem, chociaż sam Tulim nigdy dużo się nie odzywał, a w końcu zabrano go ze wspólnej sypialni i dostał własny pokój, gdzie autarcha mógł go odwiedzać o dowolnej porze dnia i nocy, nie niepokojąc jego braci. Parnad zaczął też odprawiać na nim różne dziwne i brutalne rytuały, tłumacząc mu przez cały czas, jak straszną odpowiedzialnością jest bycie Bishakhem – wodzem rodu sokoła, który przybył z pustyni, by zmieść trony tego świata.

– Jesteśmy ulubieńcami bogów – wyjaśniał, trzymając dłoń na ustach Tulima, by stłumić jego krzyki. – To dzięki nim sokół szybuje wyżej i może objąć spojrzeniem całe stworzenie. Samo słońce jest tylko okiem wielkiego sokoła.

Tulim nie zawsze rozumiał słowa ojca, lecz ogólnie wszystkie te lekcje, w połączeniu z bólem i dziwnymi doznaniem, napełniały go przekonaniem, że filozofia płomienia i filozofia sokoła są podobne: „Wszystko należy do człowieka, który potrafi sięgnąć i chwycić bez strachu. Takiego człowieka kochają bogowie”.

Ich spotkania ciągnęły się latami, lecz książkę Tulim tamtej pierwszej nocy poprzysiągł, że kiedyś zabije ojca. Pragnął pomścić nie tyle ból, ile bezradność – płomień nigdy nie powinien być przysłaniany cieniem innego, nawet płomienia autarchy.

Gdy nadeszła pora, kiedy porzuca się, jak stare ubranie, wiek młodzieńczy i przywdziewa nowy strój wieku męskiego, Tulim zaczął spędzać czas z innym dorosłym mężczyzną, którego towarzystwo mu odpowiadało. Nazywał go wujem Gorhanem, był on jednym ze starszych przyrodnych braci autarchy. Gorhana spłodził ojciec Parnada z pospolitą kobietą, tak więc nie stanowił on zagrożenia dla tronu. Uczynił on swoją skalaną szlachetną krew zaletą i został jednym z najbardziej zaufanych doradców autarchy, człowiekiem o legendarnej wiedzy i pomysłowości.



Jego zainteresowanie Tulimem było mniej fizyczne i mniej metafizyczne niż zainteresowanie ojca: po prostu dostrzegł w młodzieńcu podobieństwo umysłu, który, odpowiednio wyćwiczony, potrafiłby wyjść nie tylko poza mury Sadowego Pałacu czy poza granice Xis, lecz zdołałby ruszyć nieskończonym labiryntem korytarzy boskiego stworzenia. To Gorhan nauczył Tulima czytać. Nie chodziło jednak o rozpoznawanie liter wydrukowanych na welinowym lub trzciniowym papierze i rozumienie znaczenia złożonych z nich słów – tę umiejętność posiadali wszyscy książęta – lecz o czytanie, które pozwala zaprząć nową wiedzę w służbie własnego umysłu, jak wołu do jarzma, albo dodać nowe idee do swoich, jak żołnierzy, dzięki czemu moc czytelnika wciąż rośnie.

Gorhan pokazał Tulimowi dzieła słynnych taktyków, takich jak Kersus czy Hereddin, i historyków, jak wielki Pirilab. Tulim pojął, że ludzkie myśli można zachować w książkach przez tysiące lat oraz że wielcy i uczeni minionych wieków przemawiają do niego, jakby siedzieli z nim w pokoju. A co ważniejsze, nauczył się, że bogowie i ich najbliżsi wyznawcy także potrafią przemawiać poprzez wielką otchłań czasu i jeszcze większą przepaść między ziemią i niebiosami, dzieląc się sekretami stworzenia. Poznawszy słowa wojownika – poety Hereddina, które przytoczył mu Gorhan: „Ten, kto pragnie tylko tronu, nigdy nie sięgnie gwiazd”, Tulim zrozumiał ich znaczenie i doszedł do wniosku, że wuj także musi mieć wiedzę wykraczającą poza mądrość innych ludzi, mądrość, która tylko trochę ustępuje boskiej: Gorhan już wcześniej wyraźnie czuł, że Tulim jest inny, że jest potężniejszy nawet niż krew ojca, która płynie w jego żyłach. Gorhan zrozumiał, że Tulim nie jest synem człowieka, a samych niebios.

Wraz z upływem lat, gdy chłopięce kończyny Tulima nabrały sprężystości młodego mężczyzny, ojciec stracił zainteresowanie jego osobą, co tylko pogłębiło nienawiść syna. Autarcha pragnął jedynie go wykorzystać, i to nawet nie poprzez to, co czyniło go wyjątkowym, lecz dla cech, które posiadał każdy inny przystojny chłopiec. Gdyby Tulim mógł zabić Parnada, z pewnością by to uczynił, lecz autarcha był nieustannie strzeżony przez Lamparty, ponadto sam był mężem o zdumiewającej sile i wyostrzonych zmysłach, dlatego potrafił

zachowywać czujność, nawet zajmując się różnymi rzeczami, podczas gdy wielu innych rozproszyłoby się albo zasnęło. Tak czy inaczej, kolejnych pokoleń autarchów w Xis strzegła instytucja skotarchów, specjalnych tymczasowych następców tronu, którzy nie pochodzili bezpośrednio z linii autarchy, a którzy zasiadali na tronie, gdy dochodziło do śmierci autarchy w podejrzanych okolicznościach, po czym wymierzali sprawiedliwość i przekazywali władzę prawowitemu dziedzicowi, pod warunkiem że to nie on zamordował poprzedniego autarchę.

Był to dziwny stary obyczaj, dość skomplikowany, ale przez wieki pozwalał autarchom uchronić się przed intrygami lepiej niż królom większości innych krajów.

Tak więc Tulimowi pozostało czekać i studiować, i planować, i... marzyć.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy gongi w Wieży Sykomory w świątyni Nushasha obwieściły śmierć autarchy. Parnad, w wieku zaledwie sześćdziesięciu kilku lat, zmarł w Samotni, w łóżu jednej z żon. Mimo że nie znaleziono żadnych dowodów zbrodni, skotarcha natychmiast kazał poddać torturom żonę i jej pokojówki, by się upewnić, czy nie skrywają jakiejś tajemnicy, a potem je stracono ku przestrodze pozostałych dworzan, aby wiedzieli, jak groźne jest posądzenie – choćby bezpodstawne – o przyczynienie się do śmierci autarchy. Nastąpił okres żałoby, po którym Dordom, najstarszy syn zmarłego władcy, generał armii i wojownik znany z waleczności i okrucieństwa, miał zasiąść na tronie.

Lecz Dordom zadławił się wkrótce po śmierci Parnada i po Sadowym Pałacu zaraz rozniosła się pogłoska, że został otruty. Zaczęło się to wydawać jeszcze bardziej prawdopodobne, gdy trzej kolejni bracia Parnada (a także kilkoro ich przyjaciół, służących i kochanek, którzy mieli pecha zakosztować jadła czy napitku z niewłaściwego talerza albo pucharu) również zmarli od dziwnej trucizny pozbawionej smaku i zapachu, niedziałającej od razu, a dopiero po jakimś czasie zżerającej ofiarę od środka, zupełnie jak gorycz czy nienawiść.

Umierali kolejni dziedzice, otruci, jak Dordom, zasztyletowani we śnie przez wiernych dotąd służących albo uduszeni przez zabójców w

chwili miłosnego uniesienia w komnacie pilnowanej przez niczego nieświadome straże. Mniej ambitni synowie i córki Parnada, widząc, co się święci, zabrali swoje rodziny i opuścili Xis, by uniknąć śmierci (która ostatecznie i tak ich dopadła.) Inni podjęli grę i przez rok starożytne Xis przypominało ogromną planszę *shanat*, na której każdy ruch żyjącego jeszcze członka rodziny królewskiej był analizowany i spotykał się z reakcją. Tulim, dwudziesty trzeci w linii sukcesji, w ogóle nie był brany pod uwagę jako możliwy sprawca śmierci pierwszych kuzynów – wielu wierzyło, że zgon Parnada sprowokował dawno przygotowywaną rywalizację na śmierć i życie osób, które aspirowały do tronu. W rzeczywistości podczas Roku Skotarchy – jak później nazwano ten okres – większość mieszkańców Xis, a na pewno najtęższe umysły z Sadowego Pałacu, wierzyła, że walka o władzę toczy się głównie między młodszymi braćmi Dordoma, księciem Ultinem i księciem Mehnadem, którzy pozostali po tym, jak inni dziedzice zmarli albo uciekli, a wraz z nimi Tulim i garstka mniej znanych członków rodziny.

Większość najmądrzejszych dworzan podzielała zdanie, że fakt, iż Tulim wciąż żyje, świadczy o tym, jak niewielkie stanowi zagrożenie. Nieliczni, którzy znali go lepiej i mogli podejrzewać, że sprawy nie wyglądają tak, jak się wydaje, wiedzieli też, że nie należy o nim plotkować. Przeżyli tylko ci najmądrzejsi, by mu służyć.

Oczywiście najlepszy z nich wszystkich był wuj Gorhan, który wyczuł w młodym Tulimie pewną zaciekłość – być może odbicie jego wewnętrznego płomienia – i powierzył swój los księżątka z marnymi widokami na tron. Z jego strony było to ryzyko, ponieważ będąc osobą mądrą, niegroźną i w bezpiecznie starszym wieku, miał duże szanse na to, że dożyje chwili wstąpienia na tron nowego władcy i będzie służył radą jeszcze następnemu – albo i dwóm – by w końcu umrzeć w spokoju i zostać pochowany razem z tysiącem żywych niewolników, co stanowiło wyraz wielkiej łaski królewskiej rodziny. Tymczasem on postawił wszystko na jeden rzut kośćmi... a przynajmniej tak to wyglądało dla kogoś, kto nigdy nie spojrzał głęboko w niepokojące złociste oczy Tulima.

– Nie mogłem postąpić inaczej, Wasza Błogosławiona Wysokość – powiedział Gorhan. – Ponieważ wiedziałem, kim będziesz, w chwili gdy

zobaczyłem cię po raz pierwszy, a później nie mogłem cię zdradzić. Ty i ja jesteśmy jak te dwa palce. – Uniósł dłoń i złączył wyprostowane palce wskazujący i środkowy, by pokazać, jak jest złączony z Tulimem. – Nie inaczej.

– Nie inaczej, wuju – powtórzył książę i także złączył dwa palce. – Słyszę cię.

Niedługo potem ich partnerstwo przyniosło ostateczne owoce. Pośledni książę jadł obiad z Mehnadem, jednym z dwóch głównych rywali o tron. W połowie posiłku książę zaczął oddychać, jakby wpadło mu do gardła kacze jajo. Posiniał, zerwał się na nogi i przeszedł po licznych potrawach rozstawionych na podłodze, a potem runął w grupkę służących, którzy nieśli miseczki do płukania rąk i dzbany z winem. Powstało takie zamieszanie, że dopiero po kilku chwilach zorientowano się, iż jego młoda żona umarła tknięta taką samą, choć nie tak gwałtowną apopleksją.

Rozwścieczony książę Mehnad zarzekał się, że nie ma z tym nic wspólnego, że uknuto spisek, który ma ukazać go jako osobę małąstkową – bo co można sobie pomyśleć o kimś, kto otruwa gości we własnym domu, i to nie tylko mężczyzn, ale i kobiety? Przekonany, że za wszystkim stoi jego brat Ultin, Mehnad wziął oddział żołnierzy i udał się do domu Ultina w Dzielnicy Niebieskich Latarni, lecz wieści o morderstwie go wyprzedziły i Ultin czekał z własnym oddziałem straży. Bracia byli już tak zmęczeni spiskami, morderstwami i wzajemnymi podchodami, że nie potrzebowali poważniejszego powodu, by rozprawić się raz na zawsze. Gdy żołnierze obu oddziałów ruszyli do ataku, bracia stanęli naprzeciwko siebie i rozgorzała zacięta walka, jako że obaj byli doskonałymi wojownikami.

Dopiero gdy Ultin, zabiwszy brata, stanął nad jego ciałem, sam odniósłszy zaledwie kilka ran, okazało się, co zaplanował Tulim. Radując się głośno ze zwycięstwa, Ultin nagle zaczął charczeć, tak samo jak wcześniej ów nieszczęsny mało ważny książę. Z jego nosa i uszu popłynęła krew, a potem padł na ciało martwego brata. Ich miecze, jak później odkryto, zostały zatrute przez osobę trzecią, lecz Mehnad nie dożył chwili, by poczuć działanie trucizny.

Kiedy żołnierze obu oddziałów, wściekli i zdezorientowani, stali nad zwłokami swych panów, z ukrycia wyszli Tulim i Gorhan, którzy obserwowali całe zajście. Towarzyszyło im tylko kilku strażników Gorhana, oddział o wiele mniejszy niż te Ultina czy Mehnada, lecz żołnierze szybko się zorientowali, że jeśli teraz staną przeciwko Tulimowi, w najlepszym razie będą mogli zacząć szukać nowej pracy, bo co jest wart książęcy oddział bez księcia? W końcu Tulim był jednym z dziedziców Parnada i choć startował jako ktoś zupełnie nieważny, to przeżył prawie dwa tuziny innych, co przekonało żołnierzy, że jego kandydatura jest warta rozważenia, a dodatkowy argument stanowił nieduży oddział oddanych strażników Gorhana, uzbrojonych we włócznie.

Tak więc to książę Tulim, którego nieliczni zauważali, a nikt się nie bał, przeszedł po trupach wielu innych, by zasiąść na Sokolim Tronie Xis, przyjmując imię Sulepis am Bishakh. W przyszłości Sulepis miał przywrócić historyczne prawo Xis do rządzenia całym kontynentem Xand, co uczynił, przeszedłszy po setkach i tysiącach kolejnych trupów, odciskając ślady swych stóp na większej części lądu na południe od Morza Ostejańskiego. I jeśli wtedy przyszło mu do głowy podbić kontynent północny, Eion, to kto mógłby go za to winić? Najwyraźniej sprzyjało mu przeznaczenie: jego płomień rzeczywiście okazał się jaśniejszy niż płomienie innych.

I podobnie jak bóg, Tulim-który-został-Sulepisem nie wymierzał sprawiedliwości jedynie na skalę kontynentów: karał także poszczególne osoby. Kilka dni po objęciu tronu poróżnił się z wujem Gorhanem w drobnej sprawie państwowej, a Gorhan posłał nowemu autarsze spojrzenie, które miało go zawstydzić albo co najmniej wypomnieć niewdzięczność.

– Jestem rozczarowany, panie – zwrócił się Gorhan do bratanka. – Myślałem, że jesteście jak one. – Uniósł złączone palce. – Sądziłem, że zależy ci na mojej radzie. Jesteś dla mnie jak syn, Tulimie, i miałem nadzieję, że będę dla ciebie jak ojciec.

– Jak ojciec? – Sulepis uniósł brew i zmierzył Gorhana spojrzeniem bezlitosnym i złocistym jak spojrzenie jastrzębia. – Niech tak będzie – dodał i odwrócił się do kapitana Lampartów. – Zabierzcie tego starca –

rozkazał. – Obedrzyjcie go ze skóry, ale powoli, żeby to poczuł. I nie całego od razu, najpierw zedrzyjcie pasek od stóp po czubek głowy. Chcę, żeby przeżył nowe doświadczenie, ten mój „ojciec”.

Nawet zahartowany w bojach kapitan się zawahał, gdy stary Gorhan padł na kolana, płacząc i błagając o litość.

– Tylko pasek, Złocisty? – zapytał żołnierz. – A jaki szeroki?

Sulepis uśmiechnął się i podniósł dwa złączone palce.

– Taki.

CZEŚĆ PIERWSZA

**LINA Z WĘZŁAMI**

## Zimna gorączka

*Księga ta jest przeznaczona dla dzieci  
szlachetnie urodzonych, by je pouczyć dobrym  
przykładem Sieroty, najświętszego spośród  
śmiertelników, ulubieńca bogów...*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Majaczące w oddali góry były czarne, podobnie jak skalista plaża i monotonnie szumiące morze, niebo zaś miało kolor mokrego szarego kamienia. Jedynymi jasnymi elementami, jakie widział, były grzbiety fal pchanych porywistą bryzą i migocząca biała piana, która tryskała ku niebu za każdym razem, gdy fala rozbijała się o skały.

Barrick z trudem ogarniał to wszystko spojrzeniem. Jego głowę wypełniał zgiełk głosów Ognistego Kwiatu, przez co wydawało mu się, że w jego czaszce jest głośniejsze i bardziej niebezpiecznie niż na brzegu atakowanym przez fale, jakby w każdej chwili sztorm obcych myśli, idei i wspomnień mógł go zmieść i cisnąć pod wodę, zatopić...

*...Od czasów gdy Mawra Bez Tchu stapała po tym świecie...*

*...Nie przybyli jednak morzem, tak jak spodziewał się Srebrzysty Błysk, lecz na prądach powietrza...*

*...Już nigdy potem jej nie widziano, mimo że jej kochanek ze swoją zgrają przeszukiwał wzgórze aż do pierwszych śniegów...*

Z trudem powstrzymał krzyk wobec niekończącej się burzy myśli. Zaciśnął zęby i pięści, uczepiony Barricka Eddona pośród tego wszystkiego. Wcześniej miał nadzieję, że kłębowisko myśli uspokoi się po pogrzebie króla, tymczasem cisza, która potem nastąpiła, zdawała się pogarszać sytuację.

Saqri, królowa czarodziejskich ludzi, szła z nim – a raczej kroczyła nieco z przodu ubrana w białą powiewającą szatę, przez co wydawała się niewiele bardziej materialna niż morska piana. Wdowa po Ynnirze nie odezwała się do Barricka ani słowem od chwili, gdy władczym gestem



nakazała mu iść za sobą, a potem wyprowadziła go z komnat Qul-na-Qar i powiodła w dół krętą ścieżką ku niespokojnemu ciemnemu morzu.

Nie byli sami: trzy uzbrojone człowiekowate postacie stały na końcu ścieżki, obserwując każdy krok swojej królowej. To lodowe ettiny, mimowolnie pomyślał Barrick, które należą do klanu zwanego Otuleni Bielą z Błękitnych Głębi na północy. Znał też ich imiona, czy raczej gesty, którymi je wyrazili; pomimo ogromnej siły lodowe ettiny stanowiły cichą i skrytą rasę. Wiedział, że ich matowych zbroi nie wykuł płatnerz, że są one częścią ich ciała, pozbawione nerwów, podobnie jak włosy czy paznokcie; wiedział też, że choć każdy z nich był niewiele wyższy od śmiertelnika, to z powodu masywnych kości i rogowych płyt dorównywały wagą trzem roslým mężczyznom. Istoty te były związane z Ognistym Kwiatem klanową przysięgą, a każda z nich zdobyła swoje miejsce w straży królowej, zwyciężając w morderczych zawodach, które Otuleni Bielą rozgrywali w lodowych mrokach.

Barrick wiedział to tak samo, jak znał własne imię i imiona tych, którzy opiekowali się nim w dzieciństwie, lecz w zupełnie inny sposób: cała ta nowa wiedza, niezliczone historie, nazwy i powiązania, a nawet bardziej subtelne rzeczy trudne do nazwania, a po prostu istniejące, całe to delikatne zrozumienie krzyczało i szeptało w jego głowie – krzyczało bezgłośnie. Każdemu spojrzeniu Barricka, nawet w wyobraźni, towarzyszył tysiąc skomplikowanych obcych idei Qarów napierających na jego myśli niczym morska nawałnica – okruchy poezji, pojęcia naukowe i niezliczone pozbawione znaczenia, przyziemne wspomnienia. Lecz ta burza wiedzy była niczym wiosenny wietrzyk w porównaniu z przyływami wyobraźni i pamięci, które zwały się na niego, kiedy patrzył na coś istotnego – na wieże Qul-na-Qar czy widoczny w oddali szczyt M'aarenol albo, co gorsza, na samą królową Saqri.

*...Gdy po raz pierwszy jako dziecko stanęła na śniegu, śmiejąc się...*

*...W noc śmierci matki zabrała Ognisty Kwiat, a sens tego, co powinno być, nie pozwalał jej płakać...*

*...Jej oko, wiedząc...*

*Jej usta, ciepłe i przebaczące po tamtej strasznej walce...*

Niepowstrzymanie pojawiały się kolejne powiązania, a Barrick Eddon był przerażony tym, jak niewiele potrafi zrobić poza kurczowym

trzymaniem się tych cząstek samego siebie, które wciąż potrafił rozpoznać.

Byłem głupcem, godząc się na to, pomyślał. To jest jak opowieść o chciwym kupcu: dostanę wszystko, czego chciałem, a to mnie przepelni, aż napuchnę jak ropucha i pęknię niczym bańka.

Saqri nieoczekiwanie się zatrzymała i odwróciła do niego wdzięcznym płynnym ruchem, który pozwolił jej nagle przejść w bezruch. Przemawiała głośno słowami, lecz on słyszał je także w głowie, gdzie nabierały nieco innego znaczenia.

– Zastanawiałam się przez cały dzień i wciąż nie wiem, czy cię przyjąć, czy zniszczyć, ludzkie dziecko – powiedziała. – Nie rozumiem, co sobie wyobrażała moja ukochana stryjeczna babka. – Lekki grymas ust miał wyrażać niezadowolenie. – Dawno już przestałam się dziwić poczynaniom mojego zmarłego męża.

Jej myśli kłuły bardziej przenikliwie niż wiatr wiejący od szumiącego morza.

– To nie jest... – Starał się zachować koncentrację w zawierusze obcych wspomnień i impulsów. – Nieważne. To, czego chciała. Posłała mnie, a... a potem twój mąż dał mi Ognisty Kwiat.

Spojrzała na niego, a wyraz jej twarzy nie całkiem wyrażał współczucie.

– Czy to jest dla ciebie bolesne, dziecko?

– Tak. – Trudno mu było myśleć. – Nie, nie jest bolesne. Ale chyba... mnie przytłacza. Mam wrażenie, że mnie niebawem... zaleje...

Podeszła do niego z głową przechyloną, jakby słuchała.

– Ciebie nie czuję tak, jak zawsze czułam jego, niemniej jednak jesteś tam. Jakie to dziwne! Ty naprawdę jesteś *shih-shen'aq*. – Myśl ta nie całkiem przyjęła postać słów w jego języku, mimo to przypląnęła, ciągnąc za sobą znaczenie ukwiecony, rozkwitły, obsypany kwieciami: to znaczyło płonąć wewnętrzną złożonością i odpowiedzialnością Ognistego Kwiatu.

– Ale co to znaczy? – zapytał prosząco. – Czy nie da się w żaden sposób uspokoić moich myśli? Oszaleję. Ten hałas jest coraz... głośniejszy! – Narastał od chwili przekazania mu daru przez Ynnira, niczym gorączka w jego krwi równie straszna i śmiertelna jak choroba,

która niemal go zabiła w Zamku Marchii Południowej, lecz gorączka pozbawiona ciepła, zupełnie inna niż ziemskie choroby. – Proszę... Saqri... pomóż mi.

Wyraz jej twarzy się zmienił.

– Ale ja nie mogę nic zrobić, ludzkie dziecko. To tak, jakbyś mnie prosił, żebym cię uratowała przed twoją krwią albo kośćmi. Teraz on jest w tobie – Ognisty Kwiat jest tobą. – Odwróciła się i spojrzała na ocean. – A nawet czymś więcej. Jest całą moją rodziną, wszystkim, czegośmy się nauczyli i czym jesteśmy. Połowa tkwi w tobie. Może cię zabić. – Uniosła dłonie w zwodniczo niepozornym geście, którego znaczenia rozniosły się falami dookoła: „Porażka jest naszym udziałem”, brzmiało jedno z nich, dziwna mieszanina rezygnacji, przerażenia i dumy. – A druga połowa we mnie i z pewnością umrze wraz ze mną. – Gdy spojrzała na niego, w jej niewzruszonej kamiennej twarzy pojawiło się coś, co mógł odczytać jako współczucie. – Odwagi, śmiertelniku. Fale oceanu napierają na ten brzeg od czasów, gdy żyli i walczyli tu bogowie, a mimo to nie pożarł lądu. Kiedyś to się stanie, lecz ten dzień jeszcze nie nadszedł.

Wszystko, co mówiła, wzbudzało koncentryczne kręgi w głowie Barricka niczym kamień wrzucony do stawu, a każda fala przecinała się z kilkoma innymi, wypełniając go ledwie zauważalnymi wspomnieniami i ideami, dla których język jego myśli nie znajdował właściwych słów.

*Czarny brzeg...*

*Pierwsze statki tu zatoneły, lecz druga flota przetrwała.*

*Wy, którzy śpiewacie pod falami... słuchajcie!*

Jakby stał w świątynnej dzwonnicy, której ogromne spiżowe dzwony rozbrzmiewały wezwaniem do modlitwy. Głosy zdawały się go przenikać aż do szpiku kości – a zarazem atak był cichy jak działanie subtelnej trucizny.

– Och, bogowie. Nie... nie zniosę tego.

– Dlaczego to zrobiła? – Saqri zdawała się go nie słyszeć. Powiodła spojrzeniem po obłokach rozsnutych po niebie, jakby odpowiedź gdzieś tam wirowała. – Mogę zrozumieć, że Ynnir przekazał Ognisty Kwiat śmiertelnikowi, choć to czyste szaleństwo – mój mąż gotów był podjąć każde ryzyko, by doprowadzić do pokoju. Ale dlaczego Yasammez go

wykpiła, posługując się tym, co było jej najdroższe? Przede wszystkim dlaczego posłała do niego ciebie?

– *Jej złoty wiek* – zasugerowały głosy. – *Nawet najpotężniejsi niszczą...*

– *Nienawiść* – odpowiedziały inne głosy same zagniewane. – *Yasammez wzniosła swój ogromny dom na skale własnej nienawiści...*

Barrick nie rozumiał, dlaczego nikt – ani Saqri, ani nawet głosy Ognistego Kwiatu – nie wspomina o tym, co jemu wydawało się oczywiste. Czy naprawdę tak słabo rozumieli rozpacz ci, którzy powinni pojmować ją lepiej niż ktokolwiek inny, którzy musieli patrzeć na własne życie jako na nieuniknioną porażkę trwającą tysiące lat?

– Ona nie... kpiła z króla – powiedział Barrick, starając się wydobyć słowa z kakofonii myśli i znaczeń. – Ona kpiła... z samej siebie.

Saqri odwróciła się gwałtownie i utkwiała w nim spojrzenie. Przez chwilę, widząc jej dziwny kamienny wyraz twarzy, Barrick sądził, że go uderzy albo przywoła swoje lodowe ettiny, żeby pozbawiły go głowy. Tymczasem królowa odchyliła głowę i zaśmiała się, a był to głęboki gardłowy wybuch rozbawienia i gniewu, który kompletnie go zaskoczył.

– Och! Och, ludzkie dziecko! – powiedziała. – Czegoś mnie nauczyłeś. Nie możemy pozwolić, aby coś tak niesłychanego skończyło się zbyt szybko! Uszanuję życzenie stryjecznej babki bez względu na to, jakie przyświecały jej intencje, i spróbujemy znaleźć sposób na stłumienie Ognistego Kwiatu przynajmniej do chwili, gdy nauczysz się z nim żyć.

– Czy... czy to możliwe?

Królowa znowu się roześmiała, lecz tym razem ze smutkiem.

– Nikt wcześniej tego nie próbował. Bo i po co? Ale też nie było potomka Ognistego Kwiatu takiego jak ty.

Podobna do sunącego białego płomienia poprowadziła go z powrotem po czarnym piasku do stóp kamiennych schodów, gdzie czekali jej wojownicy odziani w zbroję własnej skóry, błyskając oczami osadzonymi głęboko pod płytkami brwi. Ogromne istoty rozstąpiły się z zadziwiającą gracją, przepuszczając królową i Barricka, po czym ruszyły za nimi krętymi schodami prowadzącymi do Qul-na-Qar.

W zamku Barrick poczuł się jeszcze gorzej: prastare mury i korytarze napępniały jego głowę tyloma myślami, że głosy w jego czaszce ożywiły się niczym spłoszone nietoperze. Z trudem podążał za Saqri. Co jakiś czas się potykał, a wtedy podtrzymywała go szeroka i twarda jak kamień dłoń kogoś z eskorty królowej.

Teraz szły za nimi już nie tylko lodowe ettiny. Gdy tylko Saqri wkroczyła do zamku, niemal tak samo niespodziewanie jak głosy Ognistego Kwiatu pojawiło się stado postaci – Qarowie najróżniejszych kształtów i wyglądu – lecz wszystkie zdawały się ledwie zauważać Barricka. Za to otoczyły Saqri, a ich głosy wyrażały troskę czy wręcz obawę o jej zdrowie, te zaś, które nie potrafiły mówić w ciężkim powietrzu, znajdowały inne sposoby na wyrażenie swojego niepokoju. I tak Barrick i królowa przemierzali ogromne komnaty otoczeni obłokiem rozpacz, a potem zeszli Płaczącymi Schodami. Barrickowi się zdawało, że jazgot jego własnych myśli i wir wspomnień Ognistego Kwiatu napierają na jego umysł niczym burza gradowa.

Potknął się po raz kolejny. Już nawet nie miał pewności, czy wie, jak zmusić nogi, by poruszały się sprawnie.

– Ja... nie mogę... – próbował powiedzieć, a potem zatrzymał się i patrzył na Saqri, na jej straż i pozostałych towarzyszy. Wszyscy oni zmieniali się, rozciągali, rozrywali na strzępy, zupełnie jak postacie z dymu, atakowani tak ogromnym hałasem, tak intensywnymi życiem i pamięcią. Zapomniał, co chciał powiedzieć. Teraz nierozpoznawalne postacie zwały się w zanikający barwny wir pośród czerni, a zgiełk w jego głowie nagle ucichł. Gdy wirujące światło się oddaliło, zapadł w nicość, lecz z wdzięcznością przyjął ciemność.

\*\*\*

– Wróc – wyszeptał głos. – Wyjdź i dołącz do mnie, ludzkie dziecko. Światło tu jest dobre.

Nie wiedział, kim sam jest ani kto do niego mówi. Nie wiedział, gdzie się znajduje ani dlaczego otaczająca go ciemność wydaje się tak ogromna, niczym otchłań, do której można wpaść na tysiąc lat, zanim człowiek się zorientuje, że spada...

– Wróc.– Gdzieś przed nim pojawił się niewyraźny błysk światła, najśłabsza poświata. – Chodź tutaj. Chodź i biegnij za mną przez zielone pola, dziecko. Tam, dokąd zmierzałeś, jest zbyt zimno.

Otworzył oczy, a przynajmniej tak mu się wydawało: blade światło rozlało się i stało intensywniejsze. Wybuchły barwy: zielona, niebieska i biała, a on poczuł się, jakby zaczerpnął ich duży haust, jak ktoś spragniony, kto łapczywie zaczyna pić wodę. Chmury, trawa, widoczne w oddali wzgórza i... co jeszcze? Dostrzegł coś białego sunącego ku niemu po szarym niebie, ogromny ptak o skrzydłach tak rozłożystych, że wydawało się, iż ich końcami muska obłoki. Oczywiście to była Saqri w swojej postaci ze snu – a może uczył się o niej czegoś głębokiego i prawdziwego, czego tylko tak mógł doświadczyć.

– Biegnij za mną! – zawołał do niego łagodnym śpiewnym głosem królowej czarodziejskich ludzi. – Biegnij! Będę z tobą!

Skupiony na pięknym białym ptaku, ciesząc się wszystkimi zmysłami, rozłożył skrzydła, by wznieść się ku niej, lecz zdał sobie sprawę, że nie jest istotą skrzydlatą, lecz inną, która pędzi na silnych nogach zakończonych kopytami. Mknąc przez zielone łąki, poczuł, jak niewielka jest różnica między tym, co robi, a tym, co by zrobił, mając skrzydła. Była to cudowna wolność – czuł, że tak jest dobrze.

– Gdzie jest to miejsce? – zawołał.

– Nie w tym rzecz „gdzie”, chodzi o coś innego... być może „jak”...

Poczuł, że specjalnie go to nie obchodzi. Czuł się szczęśliwy, mogąc po prostu biec, czuć wiatr rozwiewający jego grzywę i ogon, czuć dreszcz płynący od dudniących po ziemi kopyt, które wyrzywały darń, wyrzucając ją wysoko w górę.

Przemknęła obok niego i przez chwilę wydawała się zadowolona z tego, że leci nieco z przodu, jednak w tym samym rytmie co on, niesiona ogromnymi skrzydłami, z głową z czarnym dziobem, osadzoną na szyi długiej jak włócznia.

– Zmęczyłeś się, dziecko? – zawołała. – Chcesz się zatrzymać?

– Nigdy! – Roześmiał się. – Mógłbym tak biec wiecznie! – I wydało mu się, że nigdy dotąd nie wypowiedział słów, które byłyby bardziej prawdziwe – że nie byłoby dla niego lepszego nieba, niż gdyby mógł tak biec, silny i zdrowy, wolny od wszystkiego.

Ale co to za miejsce? Lekko zmylił krok. Gdzie ja jestem? Byłem... nie jestem... Czuł, jak jego silne ciało niesie go przez świat na czterech nogach. Przecież nie jestem koniem... jestem człowiekiem...!

Niebo! Czy to jest niebo? Czy to znaczy, że umarłem?

Zatrzymał się gwałtownie, a wzgórza nagle wyrosły, wysokie i bliskie, niebo pociemniało, wszystko stało się takie bliskie i groźne.

– Gdzie ja jestem? – zapytał ponownie. – Co mi zrobiłaś?

Łabędź zawrócił i zaczął kołować nad nim.

– Co ci zrobiłam? To mocne słowa, Barricku Eddonie. Sprowadziłam cię z powrotem, podczas gdy mogłam pozwolić ci odejść. Sprowadziłam cię z powrotem.

– Skąd?

– Z tego, co jest później.

– Czy ja... umierałem? – Poczuł przeszywający zimny dreszcz. Pomimo gorączkowej ekscytacji poczuł nagle, jak blisko się znalazł.

– Nie obawiaj się. To droga, którą każdy z nas kiedyś musi przejść... wszyscy z wyjątkiem bogów.

– Co masz na myśli? – Spojrzał na swoje ciało, które go intrygowało, lecz budowa łba i szyi mu to utrudniała. Wydało mu się to dziwne, a zarazem dziwnie znajome. – Twierdzisz, że wszyscy umierają? Ale ty nie. Ty, król i wszyscy wasi przodkowie... wy nie umieracie.

– Zobaczymy. Jeśli Ognisty Kwiat poprowadzi cię tak, byś mógł dzielić nasz los, sam osądzisz, jaką to nieśmiertelnością zostaliśmy obdarzeni.

Otoczona wzgórzami ogromna niecka łąk zdawała się pogrążyć w ciemności, jakby nadciągała burza, lecz w rzeczywistości niebo się nie zmieniło.

– A to miejsce? Skoro nie umarłem, to nie jest niebo.

Łabędź wyciągnął piękną szyję.

– Nie jest, choć tutaj nazwy są w najlepszym razie kłopotliwe. To inne miejsce. Nie wiem, czy byś tu trafił, czy w ogóle byś tu dotarł, gdyż zacząłeś się oddalać od miejsc tych, którzy żyją, niewiele wiem o twoich ludziach. To jedyne miejsce, w którym mogłam cię znaleźć, zanim byłoby za późno, jedyne, w którym mogłam zebrać w sobie dość sił, aby cię powstrzymać, nim dokonasz wyboru, czy wrócić do świata czy nie.

Nagle, jakby przez otwarte szeroko okno, wlało się światło, przypomniawszy sobie Barrick.

– To były głosy, wszystkie te... rzeczy, które znałem. Ognisty Kwiat. Miałem wrażenie, że z każdą chwilą wiem więcej...! – Poczł, jak jego cztery nogi drepczą w miejscu niecierpliwie, a ciało się napręza gotowe do biegu.

– Oczywiście – powiedziała królowa, a on po raz pierwszy usłyszał w jej głosie łagodniejszą nutę. – Oczywiście. To trudne dla jednego z nas, a o wiele dziwniejsze i boleśniesz musi być dla kogoś z waszych. Dlatego szukamy pomocy dla ciebie. – Mignięcie rozłożonych skrzydeł, oślepiający błysk bieli i już jej przy nim nie było. – Tak więc podążaj za mną! Udamy się tam, dokąd nie zapuszczają się śmiertelnicy poza tymi nielicznymi, którzy potrafią śnić ścieżkę. Oni płacą za swoją podróż szczęściem i spokojem. Kto wie, czym nam, pozbawionym szczęścia i spokoju, przyjdzie zapłacić?

\*\*\*

I pomknął między wzgórza, podążając za niewyraźną postacią łabędzia, który sunął przed nim nad trawą. Mijane drzewa śmigały niczym strzały, a jego niezmordowane nogi, niosły go pewnie, gdy tak biegł ze zmierzchu w prawdziwą ciemność.

Pędził tak szybko, że nie czuł powietrza, mimo to chłód wypełnił jego ciało, kryształki lodu formujące się we krwi, podobnie jak na powierzchni wolno płynącej rzeki wraz z nadejściem zimy. Gdy chłód i ciemność się wzmogły, wkroczył na ziemię, gdzie z trawy wyrastały nagie wzgórza i widniały ogromne stopy kamieni, każdy posepny i samotny pomimo towarzystwa tysięcy innych. Światło przypominało teraz blady blask ubywającego księżyca, tyle że nie widział księżyca, a tylko ciemne niebo i jarzenie, które spowijało stopy kamieni, jakby nie były to rzeczy posiadające masę i objętość, a jedynie duchy kamieni migoczące w niekończącej się nocy.

Posuwali się w głąb tej cichej zniechęcającej krainy, a błyskający skrzydłami łabędź, widoczny nisko na horyzoncie, stanowił jedyne



przypomnienie światła dnia. Stopniowo przypominał sobie, kim jest i co robi.

Barrick Eddon. Syn króla Marchii Południowej. Brat Briony i... Kendricka.

Pokonał trudną drogę do serca kraju czarodziejskich ludzi, ponieważ tak nakazała mu Pani Yasammez. Przez całą drogę aż do Qul-na-Qar niósł lusterko zawierające część boskiej istoty, ponieważ błagał go o to Gyr Burzowa Latarnia, sługa Yasammez. A teraz niósł w sobie bolesny dar Ognistego Kwiatu, życie, myśli i pamięć wszystkich królów Qarów od czasów, gdy bóg Kupilas zapoczątkował ich ród.

Moja krew pochodzi od krwi boga. Teraz rozumiem tę straszną burzę szalejącą w mojej głowie...!

Ale tak nie było, z czego nagle zdał sobie sprawę: od czasu wejścia do tej krainy nie miał w głowie niczego poza własnymi myślami – głosy i wspomnienia Ognistego Kwiatu ucichły. Pogrzyżył się na powrót w jakże mu znajomej chwale samotności, nie zdawszy sobie sprawy, jak dziwne było to teraz.

– Saqri! Saqri, gdzie się podziały głosy?

– Jeśli masz na myśli przodków Ognistego Kwiatu, teraz nie możesz ich słyszeć, ale później będzie to możliwe. Nie jesteś już na swojej ziemi, gdzie mogą przemawiać tylko do uszu dzieci Szachraja. Wstąpiliśmy do krainy, którą mogłeś zobaczyć jedynie na krótko w najgłębszych i najdziwniejszych snach. Przebywamy ze zmarłymi... i pogrążonymi we śnie bogami.

Po tych słowach poleciała dalej, a Barrick pobiegł za nią we śnie człowieka śniącego o koniu pędzącym za królową czarodziejskiego ludu przez bezkresną pustą krainę.

\*\*\*

Pomimo niemal całkowitej ciemności Barrick nie czuł strachu. Widział jedynie to, co przed nim, a i to niezbyt wyraźnie. W głowie słyszał tylko własne myśli. Od czas do czasu Saqri przerywała długie milczenie, by dodać mu otuchy albo poczynić jakąś zagadkową uwagę. Wreszcie zanurzyli się tak głęboko w dolinę, że nagie wzgórza wznosiły

się blisko siebie po obu stronach, a ciemność przypominała tunel, w którym widział tylko białą plamę Saqri.

– Dokąd zmierzamy?

– Jesteśmy na miejscu... jak sędzę. – W jej myślach pojawiło się dziwne wahanie. – Dolina Przodków. Mam nadzieję...

– Masz nadzieję? Co masz na myśli? Chyba byłeś tu wcześniej, prawda?

Wreszcie się roześmiała, trochę szaleńczo.

– Jakżebym mogła? To są ziemie poza... tam udają się zmarli. A ja przecież wciąż żyję.

– Ale ty... my jesteśmy... – Nagle ciemność i pogrążone w głębokim cieniu wzgórze skrzyły się, przybierając głębszą i jeszcze dziwniejszą postać. Barrick poczuł się, jakby już nie biegł po zielonej murawie, a galopował po niewiarygodnie wąskim moście, po którego obu stronach ziała otchłań nicości.

Ziemie zmarłych. Dolina Przodków. Z trudem oddychał, przepełniony strachem. Co się stało z moim życiem?

– Teraz bądź cicho. – W głosie Saqri pobrzmiwała niespokojna nuta. – Jesteśmy blisko. Żebyśmy ich nie przestraszyli.

– Oni się boją?

– Jedynie życia. Zbyt wielkiej troski. Powracających wspomnień. – Z jej słów emanował bezbrzeżny smutek. – Ale muszę przynieść mojemu bratu to wszystko i wiele więcej.

Teraz w niestałej ciemności coś się poruszało, kształty z trawy i wzgórz o jakimś niezależnym istnieniu. Nie widział ich dokładnie, a jedynie wyczuwał, tak jak się wyczuwa obecność stojącej blisko osoby. Te nowe formy wydawały się odległe, niemal puste, trochę bardziej namacalne niż wiatr czy wrażenie istnienia.

– To są dawno zmarli albo wrażenia, jakie pozostawili po sobie, zanim się przenieśli do innych miejsc. – Głos Saqri wydawał się odległy, a jej światło tylko trochę lepiej widzialne niż puste postacie wokół. – Nie bój się ich, nie chcą cię skrzywdzić.

Lecz on się bał, nie dlatego, że postacie mu groziły, ale dlatego, że wydawały się w ogóle go nie zauważać – ani niczego innego. Czy byli tylko pozostawionymi cieniami, jak mówiła Saqri, czy też pogrążyli się

w śmierci tak głęboko, że już wymykali się zrozumieniu żywych? Przeraził się na myśl o tym, że kiedyś stanie się czymś takim.

– Już. – Saqri przysunęła się bliżej, jej łabędzia postać świeciła słabo jak fosforyzujący grzyb. – Widzę ich, są w dolince.

Poprowadziła go między cienie podobne do pni. Osrebrzała ich delikatnie świetlistość płynąca z góry, choć nie było widać żadnego źródła światła, jakby księżyc, nim zniknął z nieba, pozwolił części swojego blasku opaść rosą.

Barrick też je zobaczył: grupka niewyraźnych matowych postaci, które falowały, jakby oglądane przez głęboką wodę albo stare szkło. To były jelenie, a przynajmniej każda z nich miała na czole lśniący wzór, który mógł być porożem. Poruszyły się niespokojnie, gdy Barrick podszedł bliżej, ale nie uciekły.

– Nie idź dalej – zwróciła się do niego Saqri. – Wyczuwają w tobie życie. Może nawet już go nie pamiętają, ale wiedzą, że tutaj nie ma prawa istnieć.

Teraz dostrzegł coś jaśniejszego w pełgającym świetle – oczy. Podobne do jeleni postacie go obserwowały.

– I co robimy?

– Ty? Nic... na razie. Pierwsze zadanie jest dla mnie. – Poczuł, że jej głos rozpościera się tak jak wcześniej skrzydła, delikatnie obejmując stado słowami. – Posłuchajcie mnie, władcy wiatrów i myśli. Widzę tego, który w życiu był Ynnirem, moim bratem. Jestem Saqri, ostatnia córka Ognistego Kwiatu.

Barrick usłyszał głos czy raczej poczuł go niczym westchnienie wiatru w koronie drzewa.

– *Czego chcesz? Nie jesteś stąd. Czy czarny ciemiernik wciąż kwitnie w ogrodzie Kwiatu Świtu, czy też Porażka wreszcie nadeszła?*

– Nie nadeszła, ale może przybyć z kolejnym oddechem, ojcowie. Nie mam czasu do stracenia, nawet w tym miejscu pozbawionym czasu. Przyślijcie mi Ynnira.

– *Najmłodszy z nas... nadchodzi...* – Głos zaczął zanikać, zanim dokończył mówić.

Wtedy ukazała im się inna postać, bliższa i wyraźniejsza niż pozostałe, ogromny jelen, którego świetlistość była o wiele jaśniejsza niż

blask starszych braci. Rozłożyste poroże jarzyło się lawendowo, była to najcieplejsza rzecz w tej zimnej, ciemnej dolinie.

– *Saqri?* – odezwał się po długiej chwili milczenia. – *Ukochana? Jak tu dotarłaś?*

– Drogami, po których nie powinnam stąpać, mogę też nie znaleźć powrotnej ścieżki, nawet jeśli nam pomożesz. – W jej spokojnym jak zawsze głosie Barrick usłyszał nutę napięcia, która świadczyła o tym, że nie jest to dla niej miłe spotkanie. – Jeśli w ogóle istnieje szansa, musimy działać szybko. Wróć z nami, bracie. Twoje ludzkie dziecko jest przytłoczone tym, co mu przekazałeś, jego krew zawrzała. Wróć i pomóż mu żyć ze strasznym darem Ognistego Kwiatu.

Ogromny jeleń opuścił łeb.

– Nie mogę, siostró. Z każdą chwilą jest trudniej, niż sądzisz. Z każdą chwilą prąd wciąga mnie głębiej w nurt rzeki zapomnienia. Niedługo jedyną moją częścią, która będzie dotykać świata, pozostanie ta z Ognistego Kwiatu.

– Ale musisz...

– Nie rozumiesz. Nie rozumiesz... ile by mnie to kosztowało.

Saqri milczała długą chwilę.

– Nie przyjdiesz, nawet żeby uratować ludzkie dziecko? Porzucisz swoje ostatnie ryzykowne przedsięwzięcie?

Jeleń uniósł łeb. Przez moment jego oczy zaświeciły lawendowym światłem, jak poroże.

– Dobrze, siostró... mój najukochańszy wrogu. Zwyciężyłaś. Z każdą chwilą spędzoną na ziemi pomiędzy Dom Wieczności oddala się ode mnie... ale zrobię, co w mojej mocy. – Zwierzę opuściło łeb niczym skazaniec oczekujący toporu kata. – Dam, co mogę. Mam nadzieję, że to wystarczy.

## List od Erasmiаса Jina

*Wszyscy to potwierdzają, że święty Sierota  
urodził się w rodzinie pasterskiej pośród wzgórz  
Kracji za panowania Tyranta Osiasa.*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Briony pomyślała, że podróż, nawet z małą armią – Eneasza wciąż przypominał jej, że Świątynne Psy to bardzo mała armia, zaledwie batalion – przypomina mieszkanie w przenośnym mieście, które trzeba rozbierać rankiem i stawiać wieczorem. Nawet w towarzystwie ludzi tak zahartowanych jak żołnierze księcia, szybkich jeźdźców, którzy wiosenną porą potrzebowali zaledwie posłania i źródła wody, każdego dnia pokonywali tylko taki dystans, na jaki pozwalały im względy bezpieczeństwa. W tym dziwnym roku niewielu ludzi można było spotkać na drodze, a ci, którzy wybrali się w podróż, nie zapuszczali się dalej niż od jednego otoczonego murami miasteczka do drugiego, tak więc trudno było o informacje dotyczące sytuacji za granicą Marchii Południowej.

Opuściwszy Syan, posuwali się dalej na północ krętym Traktem Króla Karala – nazwanym tak na cześć jednego z najbardziej znanych przodków Eneasza – i teraz jechali przez ziemie między Syanem a Królestwami Pogranicza. Były to głównie małe księstwa, które oferowały symboliczną wierność tronowi w Tesis albo temu w Zamku Marchii Południowej, a które jeszcze istniały tylko dlatego, że w długim okresie pokoju ich żołnierze mogli zostać w domu. Teraz jednak, gdy na północy zapanował chaos, mieszkańcy nie byli już tak zadowoleni i stali się mniej gościnni niż w przeszłości.

Dotarli do stolicy hrabstwa w pobliżu Tyosbridge. Tamtejszy pan, wicehrabia Kymon, nie wpuścił księcia Eneasza i jego ludzi za mury miasta, mimo że miejscowi kupcy mieliby okazję nabić sobie sakiewki. Eneasza i kilkunastu oficerów – wśród nich Briony – zostali zaproszeni na

noc do dworu wicehrabiego, lecz ksiązę odmówił, rozsierdzony sugestią, że jego ludzie nie są godni zaufania albo że i jemu samemu nie można ufać. Tak więc spędzili noc w obozie za murami razem z żołnierzami, co Briony przyjęła z podziwem. Chociaż trochę żałowała straconej szansy na przespanie nocy w porządnym łóżku. Między spaniem na ziemi w towarzystwie aktorów a spaniem na posłaniu w obozie wśród syańskich żołnierzy niemal zapomniała, jak to jest móc zasnąć w miękkim łóżku w pałacu Broadhall, ale doskonale pamiętała, że bardzo jej się to podobało.

Następnego dnia Eneasz wyprowadził swoich ludzi z powrotem na królewski trakt. Ledwo zerknął na mury siedziby wicehrabiego widoczne na wzgórzu, lecz wielu spośród jego żołnierzy rzucało tęskne spojrzenia na miasteczko, które zostawili za sobą.

– No i dobrze – rzekł Eneasz do Briony i swojego pierwszego porucznika, poważnego młodego rycerza o imieniu Miron, lorda Helkisa, który traktował księcia z szacunkiem, jaki zwykle okazuje się ojcu, mimo że Eneasz był od niego starszy zaledwie o kilka lat. – W mieście tylko by się rozpuścili. Miasta to straszne miejsca, pełne wałkoni, złodziei i niegodziwych kobiet.

– Naprawdę? – zapytała Briony. – Dziwne wydają mi się te słowa. Czy twój ojciec i cała rodzina nie mieszkają w Tesis, najwspanialszym mieście Eionu? A ty sam tam nie mieszkasz?

Eneasz się skrzywił.

– To nie to samo, pani. Mieszkam tam, bo muszę, i tylko wtedy, gdy jest to konieczne, lecz wolę żołnierski obóz albo moją rezydencję w górach. – Jego przystojne oblicze było poważne, nawet za bardzo zdaniem Briony. – Tak, musisz zobaczyć to miejsce, Briony. Z okien na najwyższym piętrze roztacza się widok na dolinę. Nie widuje się tam ludzi poza pasterzami, którzy wypasają owce.

– Brzmi... ładnie. I pewnie pasterzom też się tam podoba. Ale czy nie da się powiedzieć nic dobrego o miastach albo o królewskim dworze?

Posłał jej podejrzliwe spojrzenie, jakby się spodziewał podstępu z jej strony.

– Miałaś okazję zakosztować życia dworskiego. Słyszałaś szept na swój temat. Wiesz, co ci zrobili, tylko dlatego, że pochodzisz ze spokojniejszego, mniejszego dworu i nie przywykłaś do ich stylu życia.

Briony uniosła brwi. Jej problem w Tessis polegał na tym, że miała wrogów, między innymi w kochance króla, a nie na tym, że była niewinną dziewczyną z prowincji, która nie potrafi się obronić. Jakby nie próbowano jej zabić jeszcze przed przybyciem do Syanu! Zastanawiała się, czy Eneasza lubi ją dlatego, że widzi w niej kogoś tylko trochę lepszego niż prostą dziewczynę, upartą i zadziorną.

– Tak czy inaczej, Wasza Wysokość, niektórzy lubią to, co można znaleźć w mieście, a nawet na dworze: taniec i muzykę, teatr, targi pełne towarów z odległych miejsc... – Mówiąc o tym, przypomniała sobie, jak bardzo się ucieszyła jako mała dziewczynka, gdy ojciec pokazał jej egzotyczne rzeczy wystawione na sprzedaż na Rynku, wypchanego jaszczura z Talleno, który przypominał malutkiego smoka, ogromną czaszkę dziwnego rogatego zwierza żyjącego gdzieś za pustynią Xandu czy skrzynię pełną korzeni z wilgotnych gorących lasów, przypraw zupełnie jej obcych, poza pieprzem z Marashi, którego zapach zawsze sprawiał, że marszczyła nos. Wciąż miała przed oczami podekscytowanego kupca, niedużego Kracjanina, który kołysał się na palcach i piętach, rozkładając ramiona, jakby chciał powiedzieć: „Wszystko to jest moje”. Ojciec kupił jej wtedy wypchanego jaszczura, który jeszcze długo potem stał w jej pokoju, aż w końcu poszarpał go jeden z psów.

Sądząc po wyrazie twarzy Eneasza, jego wspomnienia nie były tak miłe.

– Miasta! Gardzę nimi. Wybacz, księżniczko, ale nie wyobrażasz sobie, jakim kłopotem mogą być dla władcy. Wszystkie te pomysły, które zwykłym ludziom przychodzą do głowy, kiedy mieszkają w mieście! Przez cały dzień oglądają sąsiadów ubranych w stroje zbyt wymyślne dla ich pozycji albo też widzą szlachtę zachowującą się jak pospoliccy chłopcy i w końcu nikt już nie wie, gdzie jego miejsce. I teatry! Briony, wiem, że łączą cię sentymentalne więzy z aktorami, z którymi podróżowałaś, lecz musisz wiedzieć, że większość teatrów to tylko coś trochę lepszego niż... wybacz, proszę, nieprzyzwoite słowa, ale trzeba to

powiedzieć... tylko coś trochę lepszego niż burdele, jeśli chodzi o morale. Aktorzy paradują przed pijanymi mężczyznami – niektórzy przebrani za kobiety! – i często wynajmują się jak pospolite prostytutki. Jeszcze raz proszę o wybaczenie, ale taka jest prawda.

Briony starała się zachować powagę. Prawdą było, że morale wielu aktorów pozostawiało wiele do życzenia – chociażby zdradzieckiego Feivala z Ulos, który miał mnóstwo wielbicielk na całym północnym Eionie – lecz ona nie czuła aż tak wielkiego oburzenia jak Eneasze. Jeśli ukochani pasterze księcia zachowywali się tak poprawnie na owiewanych wiatrem górskich zboczach, to zapewne z braku towarzystwa innych ludzi. Niemożliwe, że są tacy cnotliwi, w końcu skądś się biorą mali pastuszkowie...

– Dlaczego zwykli ludzie nie mogą się spotykać na rynku albo podczas świąt? – zapytała głośno. – Po co bogowie dawaliby nam święta, gdybyśmy nie mieli się radować?

Eneasze pokręcił głową.

– O to chodzi. Z pewnością nie chcieli, by obchodom ich świąt towarzyszyły takie bezeceństwa, to niemożliwe! Gdybyś została dłużej w Tesis, miałabyś okazję zobaczyć obchody Wielkich Zosimi i wtedy zobaczyłabyś, jak jest naprawdę. Ludzie tańczą nago na ulicach! Motłoch drwi ze szlachty. I jeszcze to pijaństwo i rozpusta! Jeszcze raz proszę o wybaczenie, Briony, ale serce się kraje na widok bezprawia, które panoszy się w miastach. I to nie tylko w Wielkie Zosimie czy podczas obchodów Gestrimandi, Dnia Sieroty lub Kernejów. Wymień jakiegokolwiek inne święto, a będzie to kolejny dzień, w którym pospółstwo odwraca się od uczciwej pracy i oddaje pijaństwu i harcom!

Przy całej wdzięczności, jaką odczuwała wobec księcia, Briony zaczęła nabierać przekonania, że Eneasze jest nudziarzem.

– Przecież szlachta też obchodzi wszystkie te święta, a nawet ma więcej okazji do zabawy. Dlaczego zwykli ludzie mieliby być pozbawieni tego przywileju? Wyznają tych samych bogów.

Eneasze nachmurzył się niezadowolony z jej żartobliwej odpowiedzi.

– Oczywiście, że tak. Ale obowiązkiem szlachetnie urodzonych jest dawać przykład. Przedstawiciele niższych warstw są jak dzieci – nie można im pozwalać na wszystko, co mogą robić starsi. Pozwoliłabyś



dziecku siedzieć długo w noc i pić nierozcieńczone wodą wino? Pozwoliłabyś mu pójść do teatru i oglądać przebranych za kobiety mężczyzn całujących innych mężczyzn?

Briony nie była pewna. Nieraz słyszała podobne opinie i ogólnie się z nimi zgadzała – w końcu gdyby prości ludzie potrafili sprawować rządy, to bogowie chyba nie stworzyli królów, królowych, duchownych i kapłanów? Lecz w ciągu ostatniego roku zobaczyła wiele spraw w innym świetle. Finn Teodoros na przykład był jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich poznała, a jest tylko synem murarza. Ojciec Nevina Hewneya był szewcem, a przecież Hewney cieszył się sławą wielkiego dramaturga, lepszego niż wielu pisarzy szlacheckiego pochodzenia. A nawet ludzie, których spotkała na swej drodze, podróżując w przebraniu, wydawali się niewiele różnić od szlachty z Marchii Południowej czy dworzan z Tesis pod względem bogactwa stroju czy manier. Barrick wciąż powtarza, że damy i lordowie z Zamku Marchii Południowej to tylko uperfumowani wieśniacy, czy zatem nie byłoby prawdą coś przeciwnego: że wieśniacy to tylko nieumyjni szlachcice...?

– Zamilkłaś, pani – rzekł Eneas z troską. – Zbyt swobodnie wypowiadałem się o tak pospolitych sprawach.

– Nie – odparła. – Wcale nie, książę Eneaszu. Po prostu zastanawiam się nad tym, co powiedziałeś.

\*\*\*

Kiedy wjechali w południowo-wschodni róg Silverside, Briony stwierdziła, że z trudem poznaje swój kraj, królestwo ojca i dziadka. Niewiele wskazywało na to, że oblegano Zamek Marchii Południowej, w ogóle nie było widać śladów przejścia armii czarodziejskiego ludu – po przekroczeniu Granicy Cienia Qarowie ruszyli daleko na wschód – lecz nawet w tym stosunkowo nienaruszonym zakątku odniosło się wrażenie, że Briony i towarzyszący jej Syańczycy przybyli w środku srogiej zimy, a nie w porze umiarkowanej wiosny. Pola leżały odłogiem, a te uprawiane były ledwie w połowie obsiane, jakby zabrakło ludzi do

pracy. Gdzie indziej zastali wyludnione całe wioski, przytulone do siebie puste chaty podobne do ptasich gniazd po wylęgu.

– Niewiedza, o to chodzi. – Zmęczony karczmarz, który zamykał zajazd przy drodze w dolinie rzeki Argas, ucieszył się, że będzie mógł sprzedać księciu i jego ludziom to, co mu jeszcze zostało. – Najpierw baliśmy się, że przyjdą tu Ludzie Zmierzchu, a wszyscy gadali, że czarodziejscy palą miejscowości na północ od szańskiej granicy. Nie przyszli, za to przybyli ludzie ze wschodu, uciekinierzy, których domy rzeczywiście zostały spalone i którzy opowiadali straszne historie. To wystraszyło wielu miejscowych. Potem przychodzili inni i niepokoiли pozostałych. Trochę ludzi tu zostało, głównie na wzgórzach albo w miasteczkach otoczonych wysokimi murami, lecz wioski wzdłuż drogi są prawie puste. – Pokręcił głową, nagle postarzały na skutek strachu i niepewności. – I tak to jest. Człowiek myśli, że nic się już nie zmieni, a przecież to nieprawda. Wszystko może się zmienić w ciągu jednego dnia.

W godzinę, pomyślała Briony. W ciągu uderzenia serca. Oblicze zdezorientowanego karczmarza napełniło ją smutkiem, a jeszcze bardziej się zasmuciła, gdy uzmysłowiła sobie, że jeszcze długo nie będzie w stanie udzielić tym ludziom pomocy.

Ale jest coś, co szlachta ma do zaoferowania, pomyślała. W trudnych czasach król czy królowa mogą być opoką, o którą będą się rozbijać fale, tak by mniej silni nie zostali przez nie zabrani.

Będę taką skałą. Tylko daj mi szansę, słodka Zorio, a będę opoką dla mojego ludu.

\*\*\*

Qinnitan spędziła na plaży zaledwie kilka niespokojnych chwil, a potem kątem oka dostrzegła coś podobnego do człowieka pełznącego po piasku i zaraz wycofała się między wzgórza do lasu. Gęsta mgła nie pozwalała jej zobaczyć niczego wyraźniej, ale widok tamtej skurczonej postaci bardzo ją przestraszył: albo był to Vo złożony niemocą z powodu trucizny, albo coś demonicznego, *affir* ze starych opowieści

przemykający po szarej północnej plaży. Nie paliła się do odkrycia prawdy.

Ruszyła w górę zbocza, starając się iść po trawie ze względu na obolałe stopy, lecz często musiała się przedzierać przez gęste ciemiste krzewy, które porastały zbocze niczym krosty twarz żebraka. Po jakimś czasie, gdy już zostawiła za sobą plażę, Qinnitan poczuła dotkliwy głód, co przyjęła nawet z zadowoleniem, ponieważ wiązało się to z innym problemem, z którym być może potrafi sobie poradzić. Natomiast większy problem był beznadziejny: znalazła się na nieznanym terenie i nawet jeśli rzeczywiście udało jej się uciec przed prześladowcą, a to, co widziała na plaży, było tylko resztką snu, to wiedziała, że ma niewielkie szanse przetrwania na tym pustkowiu bez ludzkiej pomocy choćby przez dekanox.

Zatrzymała się na odpoczynek pod szczytem wzgórza w kępie drzew o smukłych białych pniach i drobnych liściach. Na grzbiecie rosło więcej takich kęp, które przypominały krzepkich kapłanów Zoaza witających świt. Początkowo zachwyciła się samą liczbą drzew i mnóstwem zieleni prześwietlonej światłem, jakże różnej od pogrążonych w cieniu ogrodów Samotni, lecz gdy wspięła się wyżej, dotarła do miejsca, gdzie drzewa nie rosły już tak gęsto, co pozwoliło jej spojrzeć w głąb lasu, za którym widniały góry przykryte białymi czapami. Opadła na kolana.

Zobaczyć przybrzeżne lasy Eionu z pokładu statku, ciągnące się wzdłuż wybrzeża niczym pomarszczony koc, to jedno, lecz zupełnie czymś innym było znaleźć się w jednym z nich i choćby tylko wyobrazić sobie jego przebycie. Qinnitan była dzieckiem pustyni i ulic, które pomimo wysiłków tysięcy zamiataczy autarchy wiatr wciąż zasypywał piaskiem, oraz ogrodów zakładanych w sposób bardzo przemyślany, dlatego że woda była bezcenna. Tutaj natura hojnie obdarowała ziemię swoim błogosławieństwem, jakby chciała powiedzieć Qinnitan: „Życie twoje i twoich ludzi jest marne i smutne. Spójrz tutaj, jak dla zabawy obsypują bogactwami bestie i dzikusów!”

Dziewczyna długo klęczała, drżąc, przytłoczona przerażającym ogromem i dziwnością obcego świata.

\*\*\*

Nie znalazła niczego do jedzenia ani tamtego dnia, ani następnego. Próbowwała żuć trawę, która rosła między drzewami; była gorzka i ani trochę nie uśmierzała ssania w żołądku, ale przynajmniej się nie zatrula. Słyszała ptaki, widziała wiewiórki skaczące po wyższych gałęziach, a raz nawet zobaczyła jelenia zastygłego w bezruchu na wzniesieniu przed nią, jakby chciał, by go zauważyła, lecz Qinnitan nie miała pojęcia o polowaniu ani o zastawianiu wnyków. Nigdzie też nie dostrzegła najmniejszych śladów ludzkiej obecności. W niewoli myślała przede wszystkim, jak uciec ze statku, jak uwolnić się od Daikonasa Vo, żeby nie oddał jej Sulepisowi, ponieważ uznała, że woli umrzeć, niż znowu dostać się w ręce autarchy. Teraz jednak, gdy była wolna i żyła, pragnęła zachować życie, lecz nie wiedziała, jak to zrobić.

Co to za kraj, który Vo nazwał Brenlandią? Nie rozumiała, jak takie miejsce może w ogóle istnieć: bezkresne lasy poprzecinane strumieniami o brzegach porośniętych paprociami, zielone wzgórza wynoszące się ponad inne zielone wzniesienia pogrążone w ciszy, którą mąciło tylko wołanie jastrzębi. Gdyby podobne miejsce istniało w Xis, ludzie udawaliby się tam tłumnie, by nacieszyć się obfitością roślinności i cienia – stałoby się symbolem luksusu, wygody i piękna! Tylko że to było pustkowie, tak samo samotne jak wołanie krążących w górze skrzydlatych myśliwych.

Ze strzępów słów zasłyszanych u Vo Qinnitan wiedziała, że Brenlandia leży na wschód i południe od miejsca, do którego się udawali, Co oznaczało, że na zachód od niej muszą być jakieś osady, może nawet miasta. Próbowwała kierować się słońcem, lecz nie zawsze je widziała, a gdy znowu je dostrzegała, miała wrażenie, że straciła tyle czasu, idąc w złą stronę, ile wcześniej zyskała. Pić mogła do woli z czystych, zimnych stawów, co dodawało jej otuchy, za to głód doskwierał jej coraz bardziej. Kiedy stawał się nie do zniesienia albo gdy nogi odmawiały jej posłuszeństwa, kładła się i starała zasnąć przykryta liściastymi gałęziami.

Raz czy dwa, znalazłszy się na wzniesieniu ponad wierzchołkami drzew, dostrzegła ciemną postać podążającą jej śladem. Nawet jeśli nie

był to Vo, z pewnością nie mogło to być nic lepszego niż niedźwiedź, wilk albo leśny demon. Za każdym razem, gdy wydawało jej się, że skrada się za nią tamta postać podobna do zagubionego cienia, jej serce zamierało na moment, ale też za każdym razem przyspieszała powodowana myślą, że bez względu na to, co jeszcze się wydarzy, nigdy już nie da się uwięzić.

Minęły dwa dni, potem trzy, cztery. Każdej kolejnej nocy coraz trudniej przychodziło jej ignorowanie nękającego bólu pustego żołądka na tyle długo, by mogła zasnąć, i z coraz większym trudem podnosiła się rano, by iść dalej, aż wreszcie nadeszła noc pozbawiona snów o Barricku Eddonie. Na ile się orientowała, Barrick nie żył albo jeszcze gorzej: zostawił ją samą, gdy najbardziej go potrzebowała.

\*\*\*

Jeszcze w Samotni Qinnitan bardzo polubiła jeden z poematów Baz'u Jeva zatytułowany *Zagubiony na szczycie góry* i teraz, zmagając się z czasem, recytowała go w kółko niczym magiczne zaklęcie, mimo że koił jej smutek jedynie słowami i utwierdzał ją w przekonaniu, że umrze na tym nieznanym pustkowiu.

*Minął poranek,  
Południe minęło.  
Cienie wypełniły fałdy głębokich dolin,  
A ja zgubiłem drogę.*

*Wiatr próbuje mi coś podpowiedzieć,  
Lecz nie rozumiem jego słów.  
W jaki sposób słońce  
Znajduje drogę powrotną w ciemności?*

*Słyszę w oddali wołanie kozła.  
Słyszę wołanie pasterza.  
I choć rozglądam się, nie potrafię znaleźć drogi do domu.  
W jaki sposób księżyc znajduje drogę w oślepiającym dzień?*

*A jednak wszyscy wracają do domu.  
Znajdują drogę powrotną.  
Wracają do domu, gdzie czeka ogień  
Rozpalony w oczekiwaniu ich powrotu.  
I wino w kielichu.*

*Proszę was, którzy mnie znajdziecie,  
Zapamiętajcie, zapamiętajcie,  
Że z mych ust płynął kiedyś oddech,  
Który niósł tę pieśń.*

Pielegnowanie w umyśle czegoś znajomego i słodkiego wobec osaczającej ją obcości nowego miejsca nosło niewielką ulgę, lecz ona czuła, że w tym dzikim i pustym kraju powinna być za to bardzo wdzięczna.

Mimo że spędziła rok w luksusach Samotni, Qinnitan zdążyła się zahartować na długo przed tym, gdy wyszła z wody na brzeg na drżących nogach w tym dziwnym miejscu. Wcześniej ciężko pracowała w Hierosolu, o wiele ciężiej niż jako nowicjuszka w Ulu, a potem Vo więził ją w koszmarnych warunkach i karmił tylko tyle, by zachować przy względnym zdrowiu; do tego część swojej porcji oddawała Gołębiowi, gdy jeszcze podróżowała z chłopcem. Nie była więc Qinnitan wychuchanym kwiatuszkiem, orchideą z cieplarni autarchy, jak kobieta opisana przez Baz'u w jednym z jego wierszy: *Jest jak niewymownie słodka woń, lecz pierwszy poryw wiatru uniesie ją i nie pozwoli już więcej się nią cieszyć.* Ale teraz była u kresu sił. Piąty dzień – tak przynajmniej jej się wydawało, choć nie miała pewności – a potem prawdopodobnie szósty, przeminał w jej oczach plamą cętkowanego leśnego światła, igliwem i liśćmi ślizgającymi się pod jej stopami, strumieniem, który przebyła, potem jeszcze jednym, a oba przypominały lśniące pasy na grzbiecie ogromnej bestii...

Wreszcie Qinnitan upadła na ziemię i już nie miała siły się podnieść. Cienie późnego popołudnia zamieniły cały las w jedno ciemne miejsce, ogromny grobowiec, którego kolumny podtrzymywały miazdzący go ciężar świata i nieba. Wydawało jej się, że w jej głowie rozbrzmiewają

głosy nućące melodię bez słów, lecz uznała, że może to tylko cienie drzew padające na nią, ciężkie jak uderzenia bębna.

Próbowała przypomnieć sobie modlitwy, których nauczyły ją siostry z Ula, lecz wątpiła, by Nushash w ogóle ją usłyszał w tej głuszy tak oddalonej od słońca i czerwonej pustyni: z zakamarków pamięci wyłuskała kilka słów, kruchych jak piaskowe rzeźby, które szybko się rozpadły.

– Proszę, nie pozwólcie mi umrzeć w samotności – modliła się. Głosy w jej głowie nasiliły się, niczym podmuchy wichru. – Proszę, pomóżcie mi znaleźć drogę do Barricka... do rudowłosego chłopaka, który był dla mnie miły. Och, bogowie i boginie, pomóżcie mi! Zagubiona w tej leśnej głuszy nie potrafię zebrać myśli! Proszę, pomóżcie mi! Gdzie ja jestem? Gdzie on jest? Pomóżcie mi, proszę...

\*\*\*

Kiedy się ocknęła, minęły długie chwile, zanim poczuła, że pada na nią deszcz, mocno drżała. A potem dźwignęła się na czworaki, nie było jej stać na nic więcej, i zobaczyła, że spomiędzy drzew na polankę wynurza się koszmarna postać. Zgięty wpół człowiek posuwał się, powłócząc nogami jak krab. Włosy miał potwornie zmierzwiłone, podobnie jak krótką brodę, lecz tym, co zmroziło jej serce, była krwawa maska pokrywająca jego brudną twarz – krew ciekąca z licznych ran, płynąca z nosa, zakrzepła krew w kącikach ust i w brodzie. A gdy otworzył usta i uśmiechnął się do niej szeroko, krew błysnęła nawet między zębami.

– Ach, jesteś – powiedział Daikonas Vo spokojnym głosem, jakby się spotkali na targu. – Nareszcie.

\*\*\*

Posłaniec ze Syanu wyglądał jak ktoś, kto zajeździł kilka wierzchowców, zanim do nich dotarł; jego ubranie było jedną wielką plamą potu i brudu.

– Wybacz, Wasza Wysokość – powiedział i klęknął przed Eneaszem. – Zmieniałem kolejne wyczerpane konie na każdym posterunku stąd do Tesis, Jego Lordowska Mość i markiz pragnęli bowiem, abyś otrzymał tę wiadomość jak najszybciej.

Eneasze odebrał nieprzemakalną torbę, wyjął z niej list i spojrzał krótko, acz uważnie na pieczęć.

– Mój kwatermistrz dopilnuje, żeby cię nakarmiono i dano miejsce do spania – odpowiedział młodemu kurierowi.

Otworzył złożony list i zaczął go czytać, podczas gdy Briony dyskretnie czekała z boku. Domyślała się, że markizem jest Erasmas Jino, człowiek, którego księżę Eneasze darzył zaufaniem, mimo że tamten był superszpiegiem. Briony osobiście nie pałała sympatią do Jina, on zaś, jak się zdawało, w przeciwieństwie do większości dworzaków z pałacu króla Enandera, wyświadczył jej więcej dobra niż zła.

– Też powinnaś to przeczytać – rzekł księżę, gdy skończył lekturę.

Spojrzawszy na jego ponure oblicze, Briony poczuła ucisk w gardle.

– Mój ojciec... czy on... czy coś...?

– Ani słowa o tym, że stała mu się krzywda – uspokoił ją szybko Eneasze. – Wybacz, pani, nie chciałem cię przestraszyć. W liście nie ma ani słowa o twoim ojcu. Lecz zaniepokoiły mnie inne rzeczy, o których pisze Jino.

Briony wzięła list. Musiała chwilę się skupić, zanim odszyfrowała charakter pisma markiza Athni – kwiecisty, typowe dla Tesis, zawijasy przy literach, tak że słowa przyciągały większą uwagę niż sama informacja – lecz już po chwili mogła czytać. Musiała przyznać, że pomimo wszystkich tych ozdobnych esów-floresów Jino zaczął od tradycyjnego powitania, a potem już nie tracił czasu na ozdobniki i przeszedł do rzeczy.

– *Wasza Wysokość, zrobiłem wszystko, o co mnie prosiłeś – zaczęła czytać. – Inne sprawy, niestety, nie są tak satysfakcjonujące. Wielu na dworze nie przyjmuje do wiadomości, że jesteśmy w stanie wojny, pomimo wydarzeń na południu i ataku na Hierosol. Zmieniają zdanie, gdy autarcha zagarnie ich ziemie, lecz wtedy dla wielu będzie za późno, jeśli nie dla nas wszystkich.*



*Chciałbym pomówić o samym autarsze, ponieważ zebrałem wiele różnych wiadomości, które w żaden sposób nie układają się w całość. Ufam, że Wasza Wysokość obejmie swoim lepszym taktycznym zrozumieniem to, czego nie pojął mój marny umysł.*

– Czy ten markiz nie jest zbyt zapatrzony w siebie? – zapytała. – Nie przestaje mówić o sobie nawet obłudnie.

– Dobry z niego człowiek, księżniczko. – Eneasza sprawiał wrażenie obrażonego. – Jest moją prawą ręką na dworze, w miejscu, którego unikam w miarę możliwości, a w którym potrzebuję zaufanych ludzi.

– Oczywiście, nie chciałam... – Spojrzała znowu na list. – *Otrzymaliśmy wiele dziwnych raportów z Hierosolu, a nie są to tylko relacje uciekinierów, którzy zalegają nasze miasta wzdłuż południowej granicy. Równie zdumiewające wieści napływają od dowódców garnizonów, a nawet od szlachty, tej starej szlachty, która w większości się ukrywa albo opuściła Hierosol. Ich relacje często są sprzeczne, w wielu przypadkach zawierają niczym nieoparte spekulacje, lecz niemal wszyscy powtarzają jedno: autarchy nie ma już w Hierosolu. Nie ma go też w stolicy Xis – podróżni z południa potwierdzają, że jeden z jego sługusów, człowiek o imieniu Muziren Chah, wciąż sprawuje rządy w jego imieniu. Pozostaje więc pytanie: gdzie jest autarcha?*

*Niektórzy spekulują, że zachorował i w tajemnicy wrócił pośpiesznie do Xis, żeby nie dawać nadziei wrogom albo nie demoralizować swoich wojsk. Inni podsuwają bardziej przewrotne powody – że został zabity przez rywali albo przez swojego następcę, tę chorowitą kreaturę o imieniu Prusus, i że nowy władca utrzymuje to w tajemnicy do momentu, gdy przejmie władzę w Xis od zastępcy zmarłego autarchy.*

*Słyszałem też z innych źródeł (choć nie są to naoczni świadkowie), że autarcha z niedużą armią zaatakował króla Hespera z Jellonu, zabił go i wielu jego poddanych, po czym odplynął. Doszły mnie nawet słuchy, że porywa dzieci w całym Eionie, by składać ofiary swoim pogańskim bogom, prosząc Nushassosa i innych o całkowite zwycięstwo na północy, lecz moim zdaniem takie pogłoski to pokłosie wojny i strachu przed nieznanym, a nie stwierdzenia oparte na prawdziwych wydarzeniach.*

*Tak więc nie wiem, co ci radzić, Wasza Wysokość. Trudno mi uwierzyć, że autarcha mógłby odstąpić od oblężenia Hierosolu z innego*

*powodu niż powrót do Xis – władcy zbyt długo pozostający poza krajem czasem zaczynają się bać o to, co tam pozostawili. Lecz niemal wszystkie relacje potwierdzają, że zniknął, a równie dużo mówi, że nie ma go w jego królestwie. Jednocześnie xiskie próby złamania resztek oporu w Hierosolu nie ustały. Nawet jeśli ten diabelski Sulepis stracił zainteresowanie tym wielkim starym miastem, to nie widać żadnych tego oznak.*

*Niewiele mam już do dodania poza tym, że zdrowie twego ojca się nie poprawiło. Wciąż dręczą go dotkliwie bóle, które pojawiają się nagle, co wpływa na jego nastrój. Są przy nim nadwornicy medycy, a ja posłałem po...*

– Wystarczy – przerwał jej niespodziewanie Eneasze. – Dalsza część jest przeznaczona tylko dla mnie, drobne domowe sprawy. Jino i inni mają oko na różne rzeczy podczas mojej nieobecności.

– Twój ojciec jest chory...?

Eneasze pokręcił głową, trochę zbyt gorliwie.

– Nieżył żołądka. Wuj przysłał słynnego medyka z Kracji, najlepszego. Ojciec wkrótce wydobrzeje.

Briony nagle po części zrozumiała, co się dzieje, a przynajmniej odkryła powód zmiennego nastroju Eneasza.

– Martwisz się, drogi Eneasze – powiedziała. – Nie, nie zaprzeczaj. Przecież widzę. Co gorsza, obawiasz się, że coś może się stać ojcu podczas twojej nieobecności. – Chciała dodać: „I boisz się, że lady Ananka i jej stronnicy na dworze mogą przejąć tron”, lecz wiedziała, że czułby się zobowiązany, by temu zaprzeczyć. Czasem poczucie honoru kazało brnąć Eneaszeowi w męczące odpowiedzi, które jak wszyscy wiedzieli, nie wyrażały jego prawdziwych odczuć, a jedynie to, co uważał za stosowne powiedzieć. Tak więc mówiła dalej: – A zatem czujesz się rozdarty między złożoną mi przysięgą a lojalnością i troską o ojca i kraj.

Spojrzał na nią zaskoczony. Lord Helkis i towarzyszący mu wielmoże zaczęli zerkać po sobie coraz bardziej skrepowani. Eneasze pospiesznie odesłał wszystkich, pozostawivszy tylko młodych paziów w roli przyzwoitek.

– Zakładasz, że znasz moje myśli, księżniczko – powiedział, kiedy już zostali prawie sami.

– Wybacz, Wasza Wysokość, ale wierzę, że to, co powiedziałam, jest prawdą.

Posłał jej surowe spojrzenie.

– Nawet jeśli, to nie są to sprawy, które należy rozgłaszać wszem i wobec.

– Jak to... masz na myśli Mirona? Lorda Helkisa? Jest twoim najlepszym przyjacielem i krewnym. Podobnie jak wszyscy twoi kapitanowie. Nie uważasz, że i oni myślą podobnie? Że się zastanawiają, dlaczego jedziesz na północ ku nieznanym niebezpieczeństwom i mieszasz się w nie swoją wojnę, podczas gdy na twojej południowej granicy stoi autarcha, a twój ojciec jest chory?

– To nic ważnego. Ojciec je za tłusto. Namawia go do tego ta kobieta – Eneasza zacisnął szczęki i przez chwilę okazał, co naprawdę myśli o Anance. – Ale nie w tym rzecz. Nawet jeśli prawdą jest to, co powiedziałaś, przysięgam, że będę ci towarzyszył w drodze do domu. Nie mogę tego odwołać...

Przez moment podziw Briony dla księcia zwarzył się i przerodził w coś innego – frustrację, może nawet gniew. Dlaczego mężczyźni są tak przeczuleni na punkcie swojego honoru, uroczystego słowa, obietnicy? Przynajmniej w połowie przypadków nikt ich nie prosi, żeby składali obietnice! Mimo to wciąż toczy się wojny z powodu takich rzeczy, łamie się serca, niszczy całe kraje...!

– Dobrze – powiedziała i uniosła dłoń. – A zatem wiedz, Eneaszu, że niniejszym zwalnię cię z danego mi słowa, jeśli w ogóle cię nim związałam. Choć nie sądzę. Wyświadczyłeś mi przysługę z dobroci serca. Teraz zwalnię cię z przysięgi. Musisz postąpić tak, jak ci podpowiada serce... i nie pozwól, by jedna obietnica złożona w pośpiechu, mająca wynagrodzić mi to, jak potraktowała mnie reszta twojej rodziny, skłoniła cię do zrobienia głupstwa. Jeśli potrzebuje cię rodzina – jeśli potrzebuje cię twój kraj – jedź. Ja zrozumieję to jak nikt inny.

Znowu wydawało się, że go zaskoczyła, jakby nie spodziewał się, że jest zdolna tak myśleć i tak się wypowiedzieć. Wpatrywał się w nią długą chwilę, jakby ujrzał coś nowego i dziwnego.

– Jesteś... dzielną kobietą, Briony Eddon. Rzeczywiście, ciągnie mnie do domu, jak każdego syna, jak każdego dziedzica. Ale sprawy nie są takie proste. Daj mi jeden wieczór na zastanowienie. Jutro rano wrócimy do naszej rozmowy, tylko ty i ja.

Podziękowała mu i wyszła. Rozstali się bardzo oficjalnie, lecz w tym momencie Briony nie widziała innej możliwości.

\*\*\*

Nie spała dobrze. Amulet Lisiyi z ptasiej czaszki, który ścisnęła w dłoni, nie przyniósł jej snów o półbogini ani o żadnym innym nieśmiertelnym; zamiast tego kilkakrotnie uciekała we śnie przed mrocznymi istotami, których nie widziała wyraźnie, a które mruczały gniewnie, goniąc ją przez leśną gęstwinę, przez moczary, gdzie musiała walczyć, by utrzymać się na nogach. Obudziła się potwornie zmęczona, jakby wszystko, o czym śniła, działało się naprawdę.

Mimo to nie potrafiła usiedzieć na miejscu i czekać na wezwanie Eneasza, tak więc owinęła się szczelnie podróżnym płaszczem z kapturem i wyszła przejść się skrajem obozu w pierwszych promieniach brzasku. Świątynne Psy wybrały na postój nieduży zamknięty z trzech stron wąwóz, trochę z boku od Królewskiego Traktu, gdzie okoliczne wzgórza otulały ich bezpiecznie. Briony wspięła się na szczyt najbliższego wzniesienia, wciąż mając w zasięgu wzroku obóz, i usiadła, obserwując, jak słońce wspina się na niebo.

Jestem tak samo uparta jak Eneasze, pomyślała. Nie chcę, żeby jechał ze mną, jeśli mu to nie w smak, chociaż jego wojsko jest mi bardzo potrzebne, a mnie... sprawia przyjemność jego towarzystwo, szczerze mówiąc.

Lecz każdy dzień spędzony z Eneaszem Karalliosem, następcą tronu Syanu, był też w pewnym sensie fałszem, a przynajmniej często tak się wydawało. Nie była mu obojętna, co dał jej wyraźnie do zrozumienia. Ożeniłby się z nią, tak wynikało z jego wypowiedzi. Ona ze swej strony

go podziwiała. Szaleństwem niemal wydawało się już samo wahanie, czy przyjąć jego uczucia – tak z pewnością pomyślałaby każda kobieta na Eionie. Lecz Briony nie wiedziała, czego chce ani nawet co dokładnie myśli, a była na tyle uparta, by nie pozwolić rozsądkowi pchnąć się w którąkolwiek stronę.

Słońce zaplatało się w gałęzie drzew porastających grzbiec wzgórza. Trawa już prawie otrząsnęła się z rosy, a w obozie przygotowywano się do kolejnego dnia – tylko w którą stronę pomaszerują? Co zdecyduje książę? I co ona zrobi, jeśli on postanowi wrócić do Tesis, o co go niemal błagała?

Będę robiła to samo co dotąd. Pójdę dalej, pomyślała i prawie w to uwierzyła. Pójdę za głosem serca. I z pomocą Zorii postaram się nie zrobić z siebie idiotki.

Niemniej jej malutka cząstka liczyła na to, że może jednak nie była zbyt przekonująca w rozmowie z Eneaszem.

Myśląc o księciu, pomyślała też o kapitanie straży Vansenie. Dziwne jej się wydało, że obaj, mimo że się nie znają i pewnie nigdy się nie spotkają, tak się łączą w jej umyśle! Trudno jej było przypomnieć sobie dwóch mężczyzn tak bardzo niepodobnych do siebie jak ci dwaj, wyjąwszy uprzejmość i przyzwoitość. We wszystkim innym – wyglądem, pozycją, bogactwem, władzą – Eneasze ze Syanu przewyższał Ferrasa Vansena. Ponadto książę wyjawiał swoje uczucia, jeśli zaś chodziło o Vansena, Briony musiała przyznać, że jej przekonanie, iż nie jest mu obojętna, opiera na własnej interpretacji faktów, kilku spojrzeniach, garstce nieporadnych słów, które równie dobrze mógłby wydusić z siebie zwykły żołnierz, zmieszany w obecności swojej władczyni. W końcu on jest zwykłym żołnierzem, przez co wydawało się jeszcze większą głupotą myśleć o nim w ten sposób. Nawet gdyby Vansen rzucił się do jej stóp i błagał ją o rękę, Briony nie mogłaby się zgodzić...

...nie zrzekłszy się wcześniej tronu.

Nawet nie chciała myśleć o podobnym szaleństwie. Pod nieobecność ojca i brata kto by się zajął jej poddanyimi? Kto by dopilnował, żeby Hendon Tolly otrzymał zasłużoną i surową zapłatę?

Westchnawszy, zerwała garść trawy i rzuciła źdźbła wysoko w górę. Wiatr niósł je przez chwilę, a potem, niczym znudzone dziecko, pozwolił im opaść.

\*\*\*

– Chciałeś mnie widzieć, Wasza Wysokość – powiedziała.

Eneasze się nachmurzył.

– Proszę, Briony, księżniczko. Nie mów do mnie, jakbyśmy nie byli przyjaciółmi.

Uzmysłowała sobie, że ma rację. Zachowała się bardzo oficjalnie.

– Ja... przepraszam cię, Eneaszu. Nie miałam nic złego na myśli. Nie spałam dobrze.

Uśmiechnął się smutno.

– Nie ty jedna. Postanowiłem, co zrobię – czego wymaga ode mnie zdrowy rozsądek i honor. – Skinął głową. – Zostanę z tobą, Briony Eddon. Pojedziemy dalej do Marchii Południowej.

Briony niemal zaczęła mówić, że tego się spodziewała, gotowa dziękować mu za wszystko, co dla niej zrobił, i może pokornie prosić o coś więcej niż zbroję i konia, które już jej podarował, gdy wreszcie dotarło do niej, co powiedział.

– Co? Zostajesz... ze mną?

– Dałem słowo. I zdałem sobie sprawę, że mając Jina i innych przyjaciół w Broadhall, nie jestem aż tak odcięty od domu, jak mi się wydawało. A nawet gdyby coś... niech Bracia na to nie pozwolą, niech bogowie bronią... gdyby coś się stało ojcu, królestwo jest w dobrym stanie... i tron jest bezpieczny. – Uśmiechnął się, choć widać było, że nie przyszło mu to łatwo. – Sprawy wyglądałyby inaczej, gdyby Ananka dała potomka mojemu ojcu.

Tak jak Anissa i mój ojciec, pomyślała Briony. Myśl ta kołatała się w jej głowie nieprzyjemnym echem, lecz szybko ją odpędziła, by wrócić do niej później.

– Wasza Wysokość... Eneaszu... nie wiem, co powiedzieć.

– W takim razie nic nie mów. I nie myśl też, że robię to tylko powodowany poczuciem obowiązku. Twoje towarzystwo wiele dla mnie

znaczy, Briony, jak i twoje szczęście. Jestem też ciekaw, co się dzieje na północy. A teraz, proszę, idź i przygotuj się do drogi. Ruszamy za godzinę, a ja muszę jeszcze napisać odpowiedź dla dobrego Erasmiusa Jina.

Zostawiła go zajętego pisaniem i wróciła do swojego namiotu, przepełniona wrażeniem, że nieoczekiwanie zboczyła z drogi i że z tego powodu wiele już się zmieniło i jeszcze więcej zmieni.

## Wojenna pieczęć

*Rodzice dali mu imię Adis, a gdy osiągnął  
odpowiedni wiek, powierzyli mu obowiązek  
pilnowania stad. Był pobożnym i dobrym  
chłopcem, kochał rodziców niemal tak samo jak  
bogów...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Chaven i Antymon nieśli pochodnie, choć młody mnich robił to jedynie ze względu na medyka. Za ledwie kilka innych paliło się w ogromnej komnacie zwanej Tańczącą Komnatą Piasku Srebrzanego, ponieważ Qarowie tylko trochę bardziej potrzebowali światła niż Funderlingowie... przynajmniej większość z nich. Chaven spotkał zarówno takich, którzy w ogóle obywali się bez światła, ponieważ wydawali się nie mieć oczu, jak i osobników o wielkich oczach, którzy mrugali oślepieni nawet najśłabszym blaskiem. Medyk nie mógł się nadziwić różnorodności Qarów.

– Jak to możliwe? – zapytał cicho brat Antymon. – Wielki Bóg stworzył istoty wielu postaci i rozmiarów, jak wiemy – spójrz na mnie i na siebie! – ale dlaczego miałyby stworzyć jeden rodzaj istot o tylu różnych postaciach?

Chaven nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Chętnie by się przyjrzał dokładnie każdemu Qarowi w świetle lampy, uzbrojony w cyrkiel kalibrowy, składaną linijkę i szkło powiększające, lecz teraz mieli ważniejsze zadanie do wykonania, a mianowicie zadbać o wygodę – i przy okazji wybadać nastroje – ich nowych sprzymierzeńców. Gdy Vansen go o to poprosił, Chaven wybrał do pomocy Antymona, najbardziej otwartego mnicha spośród Braci Metamorficznych.

– Dopiero co się zastanawiałem, ile moglibyśmy się od nich nauczyć – powiedział medyk do Funderlinga. – Nawet Phayallos przyznaje, że kiedy żyli obok nas przed wiekami, przeprowadzono bardzo skąpe



badania. Większość prac, których autorzy twierdzą, że ich opis Qarów opiera się na szczegółowych analizach, okazuje się zbieraniną przesądów i zasłyszanych informacji.

– To nie przesady skłaniają do strachu przed tymi, których obyczaje i wygląd są tak odmienne – rzekł Antymon ściszonego głosem. – Powiem szczerze, medyku Chavenie, ja się ich boję. – Wydawało się, że pieczarę wypełnił ogromny kłębiący się cień o licznych odnogach podobny do stworza pełzającego w płytkiej wodzie. – Nawet jeśli szczerze pragną walczyć z autarchą, kto może wiedzieć, co się stanie, jeśli to przeżyjemy? Załóżmy, że w jakiś sposób uda się nam pokonać króla z południa i jego wielotysięczne armie, ale co będzie, jeśli Qarowie zdecydują się później powrócić do swoich pierwotnych planów zabicia nas?

Chaven się ucieszył, widząc, jak dobrze młody mnich wykorzystuje swój rozum. Nie mylił się – Antymon ma zadatki na naukowca. Jaspis Lamparci, ostatni Funderling, który regularnie uczestniczył w debatach naukowców, zmarł, gdy Chaven był jeszcze chłopcem.

– Zadałeś dobre pytanie, bracie Antymonie. Kapitan Vansen i wasz magister Cynober też się nad tym zastanawiają. Podejrzewam, że w tej chwili nic więcej nie możemy zrobić... jedynie się zastanawiać. Ponieważ już samo dotrwanie do momentu, w którym będziemy musieli zająć się tym problemem, będzie zdumiewającym i nieoczekiwanym zwycięstwem. – Pokręcił głową. – Wybacz, nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak ponuro.

Pomimo swoich wcześniejszych obaw Antymon wyglądał bardziej na zafascynowanego niż przestraszonego.

– Spójrz na tego: jarzy się jak gorący węgiel. Jakby ktoś wypełnił zbroję żarem, a może zbroja jest częścią jego ciała, jak skorupa kraba?

– Nie potrafię powiedzieć, ale to chyba jeden ze Strażników Żywiołów.

– Skąd wiesz? – zapytał mnich, spoglądając z podziwem na medyka, który tylko wzruszył ramionami.

– Od Vansena. Mówił, że to ci między innymi mogą narobić najmniejszych kłopotów. Tak jak nie wszyscy nasi przyjaciele są zadowoleni z pomysłu, by zdać się na pomoc Qarów, tak samo i oni

mają odmienne zdania i najwyraźniej Strażnicy należą do tych najmniej... zadowolonych. – Powstrzymał drżenie. – Mimo wszystko fascynujące są pytania dotyczące refrakcji, jaką powodują takie istoty!

Stali i przyglądali się, jak kolejne dziwne postacie wypełniają wielką pieczarę, niektóre dużo mniejsze niż Funderlingowie, inne tak duże, że można było je nazwać olbrzymami. Qarowie mieli tyle różnych postaci najróżniejszych rozmiarów, że często trudno było powiedzieć, które istoty są żołnierzami, a które zwierzętami jucznymi. Chaven rozpoznał niektóre na podstawie opisów Phayallosa i Ximandra, tożsamości innych tylko się domyślał. Co jakiś czas maszerowała przed nim postać jakby żywcem wyjęta ze starej księgi, która czasem nawet się zatrzymywała, spoglądając nieufnie na medyka. Podzielił się z Antymonem swoją skąpą wiedzą o tych istotach. Jego niezwykła rozmowność wynikała z tego, że bardzo się cieszył, iż ma tak inteligentnego słuchacza – stanowił o wiele bardziej satysfakcjonujące „audytorium” niż głupawy Toby, jego tak zwany asystent, który był kimś niewiele więcej niż bezużytecznym służącym – a także z chęci zagłuszenia własnych niespokojnych myśli.

Wreszcie Chaven zamilkł, lecz nie dlatego, że kolejne przybywające postacie były mniej dziwaczne i ciekawe, ale dlatego, że z rozgoryczeniem zorientował się, iż opróżnił skarbiec swojej wiedzy. Oto znalazł się w samym środku fascynującego spotkania, jakie może sobie wyobrazić miłośnik świata fizycznego, a przecież według wszelkiego prawdopodobieństwa ani on, ani żaden z tych cudownych i strasznych Qarów nie przeżyje rzezi, jakiej się spodziewano.

Tak więc odegram w tej wojnie rolę, jaką mógłby odegrać byle głupiec, tymczasem ogrom wiedzy zostanie zmarnowany...

A pędzący ku nim nawet w tej chwili burzliwy los nie był jego jedynym zmartwieniem. Od dawna trapiła go myśl, że zgubił gdzieś w pamięci cały jeden dzień, a może więcej. Pamiętał, że był w Mieście Funderlingów w Caelar, a potem wyruszył do świątyni w Ventar, ale dotarł do niej dopiero w Ignisar – zgubił co najmniej dzień. W rzeczywistości dość mgliście pamiętał pobyt w Mieście Funderlingów i nawet nie potrafił sobie przypomnieć, po co tam poszedł. Chaven wiedział, że musiało to być coś ważnego, skoro się na to zdecydował, tym bardziej go dziwiło, że zapomniał. Zdziwiło i przstraszyło.

Nie był to pierwszy raz, kiedy w taki sposób zagubił się w czasie. Na kilka dni przed Wigilią Zimy, w noc, w którą księżniczka Briony i Shaso uciekli z zamku Chaven, wyszedł za mury, a przynajmniej z domu w twierdzy zewnętrznej, i nie pamięta, dokąd się wtedy udał.

Patrząc teraz na pieczarę pełną stłoczonych postaci, przeważnie milczących, błyskających oczami jak fosforyzujące grzyby, zapytał cicho Antymona:

– Jeśli wszystko, czym jesteśmy, zawiera się w naszych myślach, to skąd człowiek ma wiedzieć, że oszalał?

Młody mnich długo milczał. Był duży jak na Funderlinga, mimo to nie sięgał głową ramienia Chavena, dlatego gdy wreszcie się odezwał, wydawało się, że jego głos wznosi się z kamiennego podłoża, jakby to sama pieczara przemówiła:

– Człowiek tego nie wie. Nie wie król, że jest szaleńcem... jak mówią o panującym autarsze. W rzeczywistości, jak się nad tym zastanowić, Chavenie, to i bóg mógłby nie wiedzieć, czy postradał zmysły czy nie.

– Bardzo ci dziękuję, Antymonie – odparł medyk. – Poddajesz mi kolejny powód do zmartwienia. – Miał nadzieję, że ton jego głosu był pogodniejszy niż jego myśli.

\*\*\*

– Nie chcę być nieuprzejmy – zaczął Ferras Vansen – ale Funderlingowie, jak i ludzie, nie są aż tak cierpliwi jak wy. Wasza pani wyznaczyła konkretną godzinę tej narady i nie dość, że nie przyszła, to nawet nie przysłała ani słowa wyjaśnienia. Czas upływa. Ludzie zaczynają się niepokoić.

Aesi'uah zbliżyła złożone dłonie do ust, jakby oddechem chciała tchnąć życie w malutki płomień w nich schowany.

– Proszę, kapitanie Vansen, nie rozumiesz...

– Nie, to twoja pani nie rozumie. – Nie lubił się z nią sprzeczać. Pierwsza eremitka była cicha, pełna wdzięku i uprzejma na swój sposób, dlatego czuł się niezręcznie, będąc zmuszony wyrazić sprzeciw. – Moi sprzymierzeńcy zdobyli się na odważny czyn. Otworzyli bramy swojego

miasta dla twoich ludzi, mimo że jeszcze niedawno wy, Qarowie, zabijaliście Funderlingów u progu ich siedziby. Co więcej, wyznaczyli miejsce na obóz dla waszej armii – między nimi a ich najświętszym miejscem...

– Zrobili to ze względu na naszego wspólnego śmiertelnego wroga, autarchę z Xis – zaczęła, lecz Vansen nie wyzbył się jeszcze gniewu.

– Tak, lecz to nie nam bezpośrednio zagrażał autarcha. Mieszkańcy zamku byli bezpieczni za murami, podobnie jak Funderlingowie pod zamkiem. Na największe niebezpieczeństwo byli narażeni wasi ludzie w obozie na górze.

Aesi'uah sprawiała wrażenie, że słucha czegoś, czego Vansen nie słyszy. Kapitan podejrzewał, że telepatycznie rozmawia z Yasammez, tak jak on kiedyś słyszał w głowie słowa Gyira Burzowej Latarni, lecz ta świadomość wcale nie poprawiła mu humoru. Zachowywała się tak już wcześniej, co przypominało Vansenowi, że bez względu na to, jak uprzejmie go słucha, nic nie zostanie zrobione bez zgody jej pani.

– Proszę, kapitanie – powiedziała wreszcie. – Tysiąc lat nienawiści i nieufności nie rozwiewa się w kilka chwil.

– Och, uwierz mi, pani. Dobrze o tym wiem.

– Posłuchaj – rzekła Aesi'uah, pokazując smukłą dłońią otaczającą ich tłum dziwnych postaci, które wypełniały całą naturalną galerię aż po ściany: zebrało się tam może tysiąc Qarów. – Już dokonaliśmy tu czegoś niespotykanego od czasów, gdy ziemia była młoda. Zrozum, że moja pani musi się zajmować własnymi problemami, a wiele z nich jest zbyt subtelnych, bym potrafiła wyjaśnić je komuś, kto będzie żył zaledwie wiek.

Vansen poczuł ból, usłyszawszy jej słowa, co go zdziwiło, mimo że powiedziała prawdę – nie był do niej podobny, ani trochę. Ból spowodowały jego myśli będące reakcją na to, co powiedziała, myśli o nieznannej odległości, jaka dzieliła go od ukochanej kobiety. Z każdym dniem Vansen utwierdzał się w przekonaniu, że czystym szaleństwem byłoby choćby przypuszczać, że on i księżniczka żyją w tym samym świecie.

– Po prostu przekaz swojej pani, że moi ludzie tracą cierpliwość. Wszyscy się niecierpliwią. I boją się – powiedział.

– Jak sam się wyraziłeś, kapitanie, uwierz mi i zaufaj. – Aesi’uah uśmiechnęła się. Przynajmniej Vansen zawsze zakładał, że jest to uśmiech, gdyż zdawała się nim posługiwać jak zwykle kobiety, choć nie zawsze. – Moja pani wie o tym.

\*\*\*

– Ale Opal...

Zmierzyła go spojrzeniem, które mogłoby rozłupać granitową skałę. Cecha charakterystyczna kobiet z rodu Prasialitów.

– Nic nie mów. Tam powinny być kobiety i będą. Na Starszych, przecież ich generałem jest kobieta.

– No właśnie! I według Vansena w jej żyłach płynie boska krew, a temperamentem przypomina osaczonego szczura. Zabijała dużych setkami!

Zamilkł, gdy napotkał kolejne miażdżące spojrzenie żony.

– Nie zamierzam chwycić za miecz i z nią walczyć, stary głupcze. Jest tu mile widziana. Teraz jesteśmy sprzymierzeńcami.

– Jeszcze nie. – Wiedział, że przegrywa w tej walce, lecz postanowił podjąć jeszcze jedną próbę uratowania swojej pozycji. – Mamy nadzieję zostać sprzymierzeńcami. Jesteśmy w trakcie czegoś w rodzaju pertraktacji, pamiętasz? Nikt nie obiecał, że oni nie zmienią zdania i nie poderzną nam gardeł, jak to próbowali zrobić jeszcze kilka dni temu.

– Tym bardziej trzeba tam kilku rozsądnych kobiet Funderlingów – odpowiedziała z satysfakcją Opal. – To zmniejsza prawdopodobieństwo, że Jaspis czy jakiś inny głupek wda się w kolejną awanturę. – Skinęła głową. – Teraz muszę już iść. Vermilion Cynober zwołała zebranie wszystkich kobiet w świątynnej bibliotece.

– W bibliotece? Och, bracia się ucieszą.

– Bracia Metamorficzni za długo się rządzili, podobnie jak Cech. Między innymi dlatego znaleźliśmy się na tym osuwisku. Wyobraź sobie, żeby nikomu nie powiedzieć, że Qarowie przychodzili tu od dawna!

– Co? Skąd o tym wiesz?

– Vermilion Cynober nam powiedziała. Usłyszała to od męża oczywiście.

– Raczej to z niego wytrząsnęła. – Rogowiec roześmiał się mimowolnie. Najwyraźniej szykują się zmiany, czy mu się to podoba czy nie. Lepiej być na wierzchu otoczaka, gdy zaczyna się toczyć, niż przed nim. Pokazał na chłopca, który spał na kocach rozłożonych na podłodze, zwinięty w kłębek jak kot.

– A co z Krzemieniem?

Po twarzy Opal przemknął cień niezadowolenia.

– Zamierzałam go ze sobą zabrać, lecz on woli zostać z tobą.

Rogowiec współczuł żonie.

– Dorasta. Chce przebywać z mężczyznami...

– Nie to mnie niepokoi, stary głupcze. Zmienił się. Nie zauważyłeś?

– Oczywiście, że tak. Ale on zawsze był... inny...

– Nie w tym rzecz. Zmienił się w innym sensie... chodzi o coś nowego. Tylko nie potrafię... – syknęła poirytowana. – Nie potrafię ująć tego w słowa! Ale mi się to nie podoba! – Rogowiec po raz pierwszy zobaczył, że jego żona jest zasmucona i przestraszona zarazem. – Nie podoba mi się, Rogowcu.

Podszedł do niej i objąwszy ją w pasie, przyciągnął do siebie i pocałował w czoło.

– Mnie też nie, kochana, ale postaramy się to zrozumieć. Wiesz, tęskniłem za tobą.

– Tęskniłeś, bo nie miał kto po tobie sprzątać – burknęła, ale się nie odsunęła.

– Och, tak – odparł, wachając jej włosy. Zapragnął, by mogli tak stać razem, nie bacząc na całe zło, które ma nadejść. – Nie inaczej.

\*\*\*

– I jak to znajdujesz, kapitanie? – zapytał Vansena Jaspis Młot, gdy usiedli przy stole. – Mówią naszym językiem czy też wszyscy bełkoczą z wyjątkiem tej siwej starej jędzy?

– To nie jest stara jędza, Jaspisie, a wysokiej rangi doradca Pani Yasammez i bardzo znacząca postać.

Łysy Funderling spojrział na niego z powątpiewaniem.

– Skoro tak twierdzisz, kapitanie. Pytam tylko, czy będą mówić normalnie czy nie.

Vansen przypomniał sobie głos Gyira, który zapamiętał na zawsze, mimo że nigdy go nie słyszał w zwyczajny sposób.

– Oni potrafią rozmawiać na wiele sposobów. Na pewno nie będą mieli problemów, by przedstawić swoje...

– Na zaczyn i sraczn! – zaklął głośno Jaspis.

Vansen spojrział na niego zdumiony, gdyż w pierwszej chwili pomyślał, że mały Funderling kwestionuje jego prawdomówność. Zaraz jednak zobaczył to, na co Jaspis już patrzył: pół tuzina kobiet Funderlingów, prowadzonych przez żonę Cynobra i żonę Rogowca, maszerowało energicznym krokiem przez kaplicę.

– Chwileczkę. – Jaspis zerwał się na równe nogi, jakby zamierzał własnym ciałem zagrozić kobietom dostęp do stołu. – Co tu robicie? Qarowie już tu są!

– Siadaj, dowódco straży Jaspisie. – Vermilion Cynober była urodziwą kobietą, ubraną teraz w pięknie haftowaną niebiesko-zieloną podróżną szatę. – Mamy takie samo prawo tu być jak ty i twoi strażnicy.

– Za pozwoleniem, pani magistrowo – rzekł zamożny Funderling Malachit Miedziak, który uważał się za niezastąpionego w ważnych rozmowach. – Oczywiście pani rada jest mile widziana, lecz zaledwie przed kilkoma dniami Qarowie próbowali nas zabić...

– A to chyba nie ma nic do rzeczy, prawda? – Żona magistra wskazała swoim towarzyszkom miejsca po swoich bokach.

W przeciwieństwie do Vermilion Cynober i Opal Lideryt, pozostałe kobiety wydawały się trochę przestraszone swoją obecnością w tym miejscu i w tym czasie – w czym nie różnią się od wielu mężczyzn, pomyślał Vansen.

Jedna z nich nachyliła się do Opal.

– Czy grozi nam duże niebezpieczeństwo? – zapytała szeptem żonę Rogowca siedzącą obok kapitana, który usłyszał jej pytanie.

– Nie – odpowiedziała Opal i posłała Vansenowi spojrzenie, które mówiło jednoznacznie: „Nie waż się zaprzeczać”.

Ona i żona magistra przewodzą swojemu oddziałowi, dając im przykład, pomyślał. Podobnie jak wielu dobrych dowódców też się martwią, ale nie mogą tego po sobie pokazać.

– Wszystko będzie dobrze – zwrócił się do żony magistra. – Zawarliśmy pokój, a Qarowie, bez względu na to, czym jeszcze są, zdają się być uczciwymi istotami. – Zawstydził się własnym niedomówieniem, bo przecież Gyir Burzowa Latarnia okazał coś więcej niż tylko „uczciwość”. Bez wahania oddał życie, by dotrzymać obietnicy złożonej swojej pani Yasammez – czarodziejce i półbogini, na którą teraz wszyscy czekali.

Przyszedł Rogowiec z Cynobrem, medyk Chaven i kilku Funderlingów, wśród których byli mnisi prowadzeni przez brata Nikla. Mnich nawet przywitał Vansena uprzejmym skinieniem głowy, kiedy on i jego towarzysze zajmowali miejsca przy stole.

– Co mu się stało? – zapytał półgłosem Vansen.

Malachit zaśmiał się.

– Nie wiesz? Cynober odbył z nim rozmowę. Przypomniał mu, że członkowie Cechu muszą zaaprobować nowego przeora świątyni, a w stosownym czasie także i nowego opata. Jeśli Nikiel chce dzierżyć świętą motykę, to musi kopać, kiedy Cech każe mu kopać.

– Aha. – Vansen wcale się nie zdziwił. Nawet Nikiel, sprawujący opiekę nad świętymi duszami wszystkich Funderlingów, potrafił zobaczyć wiele rzeczy inaczej, gdy zagrała w nim ambicja.

– Witaj, kochana – powiedział Rogowiec, pochylił się i ucałował żonę. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że usiądę obok Cynobra. To jego pomysł. – Funderling starał się przybrać minę zaskoczonego faktem, że spotyka go taki zaszczyt, lecz Vansen wiedział, że Rogowiec, oprócz tego, że ma dużo zdrowego rozsądku, to jeszcze tkwi po uszy w samym środku wielu tajemnic, przez co jego obecność jest niezbędna. – Ach, jak miło panią widzieć, pani magistrowo! – zwrócił się Rogowiec do Vermilion Cynober. – Ładnie pani wygląda.

– Pani magistrowo? – odpowiedziała rozbawiona żona magistra. – Nie jestem saponitem, Rogowcu, nie próbuj więc mnie rzeźbić. Twoja żona opowiedziała mi o twoich przygodach. Myślę, że mój mąż chce cię



mieć przy sobie, żeby zapomnieć na chwilę o naszym nudnym domowym życiu.

Rogowiec uśmiechnął się uprzejmie.

– Czyż wszyscy nie chcielibyśmy się ponudzić w tych dniach, pani ma... Vermilion?

– Mój Rogowiec to dobry człowiek – wtrąciła nieoczekiwanie zdecydowanym tonem Opal, jakby się spodziewała, że ktoś może powiedzieć coś innego. – Wszystko, co zrobił, robił dla innych.

Zanim Vansen zdążył powiedzieć, jak bardzo się z nią zgadza, w kaplicy nastąpiło poruszenie wyczuł zdumienie i niepokój, zanim zobaczył czy też usłyszał cokolwiek, pobudzony ostrzegawczym dreszczem. Gdy się odwrócił, najpierw ujrzał w wejściu Aesi'uah – jej postać bez wątpienia przyciągała spojrzenia i budziła respekt, lecz Vansen patrzył na nią także niemal z sympatią. A potem do kaplicy weszli pozostali.

Nie była to pełna reprezentacja wszystkich rodzajów Qarów, lecz nawet w tej niewielkiej delegacji widziało się taką różnorodność, że ci, którzy nigdy wcześniej nie zetknęli się z Qarami – może nawet trzy czwarte zebranych – pobledli i zamrugali gwałtownie, powstrzymując okrzyki. Najstraszniej wyglądał osobnik o imieniu Młotostopy, przywódca głębinowych etninów, większy i cięższy nawet od największych niedźwiedzi jaskiniowych. Wystające mocno łuki brwiowe pograżały w cieniu całą twarz, tak że jego oczy zdawały się tylko rozjarzonymi węgielkami świecącymi w ciemności. Odziany był w futra, na których miał zbroję z kamiennych płyt złączonych grubymi rzemieniami, a każda z jego dwupalczastych dłoni dorównywała szerokością tarczy Funderlingów. Olbrzym doszedł do końca stołu i usiadł na podłodze, niemal przewracając mebel, gdy trącił blat pierśią.

Był największy spośród Qarów, którzy przybyli do stołu, lecz nie najdziwniejszy. Vansen, który oglądał ich już wszystkich, wciąż patrzył z podziwem. Oto nadszedł osobnik zwany Zieloną Sójką, który przypominał krzyżówkę egzotycznego ptaka i błazna w kostiumie z obchodów Zosimi. Niektórzy Qarowie byli bardzo podobni do ludzi, a ich pochodzenie zdradzał tylko kształt czaszki czy kolor skóry – Vansen nie znał przedstawicieli własnej rasy, których skóra miałaby odcień

lawendy czy mchu. U innych, jak u Strażników Żywiołów, zwanych też Strażnikami Pierwiastków, podobieństwo do ludzi przejawiało się tylko tym, że mieli głowę i cztery kończyny. Vansen oglądał te istoty w ich ognistej postaci w obozie Qarów i wciąż widział je w snach, lecz dwaj przybyli do kaplicy wystąpili w zawoalowanej formie, spowici w szaty, które zakrywały wszystko, co tliło się pod nimi.

Pochyleni czy wyprostowani, duzi czy mali, Qarowie podchodzili do stołu i zajmowali miejsca po jednej stronie, podobni do stworów z bestiariuszy lub ilustracji malowanych na marginesach starych ksiąg. Bez względu na wygląd łączyła ich jedna cecha: czujność. Zajmując miejsca, nie rozmawiali ze sobą, tylko obserwowali usadowionych po drugiej stronie stołu Funderlingów i ich gości.

I wreszcie, wreszcie, do kaplicy weszła sama Yasammez, wysoka i milcząca, w kanciastej czarnej zbroi przykrytej dziwnym płaszczem podobnym do obłoku czarnej mgły. Patrząc przed siebie, skierowała się powoli do swojego miejsca na końcu stołu, mimo że znajdowała się w centrum uwagi wszystkich. Usiadła między swoimi ludźmi.

Po długiej chwili ciszy Yasammez przemówiła, a jej głos płynął powoli i złowrogo, niczym bicie dzwonu pogrzebowego.

– Ta bitwa już jest przegrana. Musicie to wiedzieć, zanim w ogóle zaczniemy rozmawiać.

Nad pełne dezaprobaty pomruki wzniósł się głos Cynobra Rzęciowca.

– Z całym szacunkiem, Pani Yasammez, co znaczą twoje słowa? Skoro nie ma szans na zwycięstwo, dlaczego siedzimy tutaj, zamiast godzić się z bogami w domu?

– Nie mogę mówić za ciebie, kopaczu, ale ja właśnie tak godzę się z bogami.

Ferras Vansen słuchał wrzawy zdezorientowanych uczestników spotkania. Tak się napracował, by do niego doprowadzić, a teraz zanosilo się na to, że przywódczyni Qarów swoją arogancją zniweczy wszystkie nadzieje na pokój.

– Przestańcie! – Dopiero gdy usłyszał samego siebie, zorientował się, że podniósł się z miejsca. – Funderlingowie, jesteście głupcami, spierając się z tymi, którzy wycierpieli o wiele więcej, niż potraficie

sobie wyobrazić. – Spojrzał na siedzących po przeciwnej stronie stołu. – Lecz i ty, pani, jesteś nierozsądna, jeśli myślisz, że możesz zawierać pokój, wciąż traktując nas jak wrogów i istoty gorsze.

– Zawierać pokój? – zapytała Yasammez głosem podobnym do zimnego wiatru. – Nie przyszedłam tu, by zawrzeć pokój, kapitanie Vansen, lecz by zawrzeć przymierze. Rany są zbyt głębokie, by nasze rasy połączył pokój.

Vansen podniósł głos, by przekrzyczeć tumult i niezadowolone pomruki.

– W takim razie porozmawiajmy o przymierzu, Pani Yasammez. Zostawmy na razie przeszłość.

Wpatrywała się w niego milcząca i nieruchoma jak posąg, a głosy cichły powoli, gdyż zebrani byli ciekawi, co odpowie.

– Zawsze chodzi o przeszłość, kapitanie Vansen – odezwała się wreszcie. – Ta komnata pełna jest duchów tych, którzy odeszli, nawet jeśli ich nie widzisz. Oczywiście twoi sprzymierzeńcy, kopacze, wiedzą, och, wiedzą o tym bardzo dobrze, dlatego byli przeciwni tej naradzie.

– O czym ty mówisz? – Głos Cynobra nie brzmiał tak pewnie, jak mogłyby to sugerować jego słowa, jakby zaraz miał się wzdrygnąć. – O czym niby wiedzą Funderlingowie?

– Że winą za zniszczenie Qarów nie można obarczyć tylko mieszkańców kraju słońca. Tak, ludzie Vansena schwytali moją powielekroć-pra-wnuczkę Sanasu i zabili jej brata, Jannię, lecz wracaliśmy do tego miejsca od tysiąca lat, by odprawić ceremonie Ognistego Kwiatu, zawsze w tajemnicy przed wszystkimi, poza kopaczami, i nikt nam w tym nie przeszkadzał aż do tamtego dnia. Skąd Kellick Eddon wiedział, że przyjdziemy?

Vansen słyszał tę historię księcia i księżniczki Qarów, a przynajmniej tak o nich myślał, choć nie były to określenia samych czarodziejskich ludzi; o tym, jak ich pielgrzymka za czasów panowania króla Kellicka zakończyła się nieszczęśliwie, lecz to, co teraz powiedziała Yasammez, stanowiło dla niego nowość.

– Czy to ma znaczenie, pani? To się wydarzyło dwieście lat temu...

– Głupcze! – przerwała mu. – Nie ma przeszłości. Tamta chwila wciąż żyje w tej skalnej komnacie. Skąd Eddon wiedział, że Sanasu i Janniya tu przyjdą? Powiedzieli mu o tym zdradzieccy kopacze.

Teraz już zawrzało, a kilku malutkich Funderlingów wskoczyło na stół i wymachując pięściami, zapewniało o niewinności swojego ludu. Nastąpiła tak wielka wrzawa, że Młotostopy z Pierwszych Głębi huknął ogromną pięścią w stół, co zabrzmiało, jakby waliła się ściana. Jego dudniący głos szybko uciszył Funderlingów. Z nagłej ciszy wybił się tylko głos Malachita Miedziaka.

– Przestańcie! – powiedział. – Dość krzyków! Ona ma rację. Niech Starsi Ziemi nam wybaczą, ona ma rację.

– Co ty wygadujesz? – zapytał Cynober, marszcząc czoło. – W czym ma rację?

Miedziak spojrzał po zebranych.

– Znacie mnie, Funderlingowie. Wszyscy znają mnie i moją rodzinę. Moim po-wielekroć-stryjecznym dziadkiem był Burzowy Kamień Miedziak, projektant i główny inżynier Dróg Burzowego Kamienia. Było to dzieło jego życia mające zapewnić jego ludowi bezpieczeństwo, możliwość swobodnego opuszczania i powracania do Miasta Funderlingów bez względu na humory dużych z zamku na górze. Lecz nie zbudował on całej sieci nowych tuneli. Część najważniejszych arterii istniała już od wieków. – Miedziak zamilkł na moment. – Trudno mi o tym mówić. Nasza rodzina jest z niego taka dumna, nie ma w rodzie Miedziaków dziecka, które by nie pomyślało: „W moich żyłach płynie krew Burzowego Kamienia” i od razu nie poczuło się lepsze.

Znowu rozległy się pomruki zdezorientowanych Funderlingów. Vansen, przebywając w ich mieście, zdążył się dowiedzieć, że mieszkańcy czczą sławnego Burzowego Kamienia tak samo, jak jego ludzie czczą święte wyrocznie.

– Wszystko to wiemy, przyjacielu – rzekł Cynober głosem łagodnym, jakby przemawiał do chorego. – Powiedz nam to, czego nie wiemy.

– On... obawiał się, że dopóty zamek odwiedzają Qarowie, któregoś dnia powierzchniowcy – duzi, wybacz mój język, kapitanie Vansen – odkryją sieć tuneli. Trudna to była dla niego decyzja... a my wciąż się

wstydzimy tego, co się stało. Jestem pewny, że chodziło mu tylko o to, żeby żołnierze z zamku odstraszyli i przepędzili Qarów raz na zawsze...

– Starannie dobierasz słowa, zamiast nazwać rzeczy po imieniu – odezwała się Yasammez. – Przecież to było morderstwo. Kopacze szepnęli słówko Kellickowi Eddonowi o tym, że przyjdą Qarowie. Eddon osobiście wyruszył z żołnierzami. Porwał Sanasu i zabił jej brata, co przesądziło o losie mojego ludu...

– Walczyli – powiedział Vansen. – A ty przedstawiasz to jak zwykłe morderstwo!

Spojrzenie Yasammez pozostało niewzruszone.

– Janni i Sanasu towarzyszyło tylko dwóch wojowników i eremita – kapłan, jak byście powiedzieli. Tymczasem Eddon przywitał ich z dwoma tuzinami zbrojnych. W rezultacie Sanasu została porwana, a pozostali polegli. Nazwij to, jak chcesz.

Vansen spojrzał na przywódczynię Qarów. Yasammez była dzieckiem boga, jak wiedział, ale była też kobietą, choć dziwną. Dostrzegł złość na jej twarzy, rozpoznał też zawziętość, której trudno jest się wyzbyć. Widział ją w twarzy swojego ojca, który musiał stawić czoło innym zagrodnikom, ponieważ z powodu vutskiego pochodzenia traktowali go jak obcego, mimo że mieszkał wśród nich od dwudziestu lat. Umierał, odcięty od świata swoją zawziętością, i na łożu śmierci nie chciał widzieć nikogo poza rodziną.

Vansenowi wydało się to dziwne, że właśnie tu, w samym środku wstrząsających wydarzeń, nagle zorientował się, że nie czuje urazy wobec człowieka, który dał mu życie, ani smutku, jakby wreszcie się pojednali, mimo że Pedar Vansen nie żył już od dawna. Co się zmieniło?

– Jeśli wszystko to jest prawdą, Pani Yasammez – powiedział głośno, przerywając długą zmaconą szeptami ciszę – to żaden mieszkaniec Marchii Południowej ani Funderling nie ma już nic więcej do powiedzenia poza tym, że... przepraszamy. My, żyjący, nie popełniliśmy tamtych czynów – większość z nas aż do tej pory o tym nie wiedziała – mimo to przepraszamy. – Spojrzał na Malachita Miedziaka. – Przyłączysz się do mnie?

– Na Gorącego Pana, oczywiście! – rzekł Miedziak i zaraz zakrył usta dłonią, wstydząc się za takie słowa wypowiedziane w kaplicy Braci

Metamorficznych. – Odkąd osiągnąłem odpowiedni wiek i mój ojciec przekazał mi tę straszną tajemnicę – a przechodzi ona na kolejnych potomków rodu Miedziaków – myślałem o moim pradziadku ze smutkiem. Miał dobre intencje, ale bez wątpienia źle postąpił. Gdyby pozostali członkowie mojej rodziny o tym wiedzieli, jestem przekonany, że czuliby to samo co ja, nękami ogromnym wstydem. – Wzruszył ramionami i dodał: – Co tu więcej mówić.

Yasammez przeniosła wzrok z Funderlinga na Vansena, a potem skierowała go przed siebie i znieruchomiła, kapitan zaś zastanawiał się, z kim rozmawia w myślach. Po długiej chwili wzięła do ręki ogromny ciemny rubin, który nosiła na szyi, i zdjawszy łańcuch, pozwoliła kamieniowi opaść ze stukotem na stół. Pozostali patrzyli, jak wyciąga z pochwy miecz, idealnie biały i migoczący jak masa perłowa, i także kładzie go przed sobą na stole.

– Oto Pieczęć Wojny – powiedziała, pokazując długim smukłym palcem kamień iskrzący się złowrogo jak dogasający żar. – Ponieważ ją noszę, decyzje o życiu i śmierci, które podejmuję, są obowiązujące dla Qarów. To jest Biały Ogień, miecz samego boga słońce. Przysięgam, że nie schowam go do pochwy, dopóki nie zniszczę tej komnaty śmiertelników, w której poległ nasz wielki przodek, mój ojciec Szachraj. – Powiodła spojrzeniem po zebranych wokół stołu. Nawet Vansen z trudem wytrzymał to spojrzenie, które oglądało świat jeszcze za młodości Hierosolu.

A potem Yasammez zacisnęła dłoń na rękojeści białego miecza i go uniosła. Niespokojne szepty przeszły w okrzyki trwogi, lecz ona wsunęła miecz do pochwy, aż rozległ się dźwięk podobny do trzasku zamykanego zamka.

– Dzisiaj cofam moje słowa. Cofam przysięgę. *Księga ognia w otchłani* znajdzie sposób, by wyrównać rachunki, w to nie wątpię. – Yasammez opuściła głowę, jakby przytłoczona ciężarem ogromnego znużenia, i na chwilę w kaplicy zapadła całkowita cisza. Lecz zaraz wyprostowała się z kamienną twarzą i z powrotem zawiesiła na szyi Pieczęć Wojny. – Oznajmiam, że mój lud wciąż prowadzi wojnę, ale tylko z autarchą. Dzisiaj sama złamałam przysięgę, lecz nie da się tego uniknąć – trzeba stawić czoło niebezpieczeństwu, jakie niesie ze sobą ten

człowiek. On przychodzi tu, by obudzić boga w noc przesilenia letniego, lecz tam w dole, w miejscu, które nazywacie Tajemnicami, na przebudzenie czeka więcej bogów, a wielu z nich pała gniewem na żyjących.

## Głęboka Biblioteka

*Ładnie grał na pasterskiej fujarce, niosąc radość ludziom i zwierzętom. Rozumiał też mowę ptaków i dzikiego zwierza. Nawet lwy, które wtedy żyły w Kracji, nie czyniły mu krzywdy, a wilki obchodziły jego stado...*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Obudził się potwornie zmęczony, jak po długim biegu. Nie potrafił powiedzieć, jak długo spał. Świetliście szare niebo, wirujące obłoki i wilgotne prastare dachy wydawały się niezmiennione. Usiadł na łóżku z głową pełną skołatanych, pozbawionych słów myśli, postawił stopy na podłodze i oszołomiony poczuł, że nie da rady zrobić nic więcej. Siedział tak, z głową w rękach, aż usłyszał głos królowej.

– Ludzkie dziecko.

Gdy otworzył oczy, zobaczył, że nad nim stoi. Znajdował się w pokoju bardzo skromnym, lecz wygodnym. Okno przy łóżku z uchyloną okiennicą wychodziło na zamknięty dziedziniec i ogród z biało-niebieskimi kwiatami. Wszystkie pozostałe okna, które widział, były zasłonięte.

– Miałem sen... – zaczął.

– To nie był sen – odpowiedziała Saqri. – Powędrowałeś ku ziemiom poza, niemal zmieciony siłą Ognistego Kwiatu. Ale teraz jest z tobą mój mąż i ci pomaga. A przynajmniej jego część przebywa z tobą, ta, którą twoja potrzeba powstrzymała przed odejściem. – Spojrzenie ciemnych oczu Saqri wyrażało powagę. – Nie wiem, czy powinnam cię za to nienawidzić. Barricku Eddonie. Ynnir miał pójść dalej. Dokonał wyboru. Lecz teraz, czy to związany odpowiedzialnością, czy też wstydem, jaki czuje wobec ciebie, zwleka.

– Ynnir jest... we mnie?



– Wszyscy są w tobie, wszyscy mężczyźni Ognistego Kwiatu, tak samo jak we mnie są wszystkie kobiety, moja matka, babki i prababki, cała nasza rodzina aż do czasów bogów. Lecz mimo że jakaś ich część pozostaje w tobie, Przodkowie Ojca odeszli do tego, co leży poza... – Pokręciła głową. – Nie, nie ma słów, którymi potrafiłabym to wyrazić czy przekazać myślami do twoich myśli. Lecz mój mąż... mój brat... on nie może... – Wyraz jej twarzy się zmienił i umilkła.

Gdzieś w ciemnych zakamarkach jego istoty rozległ się szept delikatny jak szelest skrzydła nietoperza, ale nie był to głos królowej ani jego – *Smutna jest, smutna tęskni za mną nawet w swej wściekłości, och, dumna siostrze, jesteś taka piękna.*

– Muszę spojrzeć w myślach na to i na wszystko inne – odezwała się wreszcie Saqri. – Pójdę teraz. Harsar będzie przy tobie, dopóki cię nie wezwę.

Wkrótce po jej odejściu pojawił się dziwny mały służący z tacą, której zawartość dla Barricka stanowiła wręcz ucztę – chleb, słony biały ser, miód i misa pełna najdorodniejszych i najśłodszych gruszek z cieniutką skórką, jakich kiedykolwiek kosztował. Harsar nie odszedł od razu, lecz stał i przyglądał się, jak Barrick je.

– Nigdy nie widziałem nikogo twojego rodzaju poza snami – powiedziała do Barricka człekopodobna istota. – Nie jesteś ani tak straszny, ani tak dziwny, jak się spodziewałem.

– W takim razie chyba powinienem ci podziękować. To samo mógłbym powiedzieć o tobie, poza tym, że nie jestem pewien, czy nawet w snach widziałem kogoś takiego.

Harsar zmrużył oczy.

– Żartujesz? Nigdy nie widziałeś Ludzi Kamiennego Kręgu? Wasi tańczyli z naszymi przy księżycu! Zabieraliśmy was do naszych miast pod wzgórzami i pokazywaliśmy wam cudowne rzeczy!

– Nie wątpię – rzekł Barrick, ocierając miód z podbródka. Wspaniały posiłek szybko poprawił mu humor. – Ale musisz pamiętać, że jestem młody. Choć z pewnością nasi dziadkowie tańczyli torvionosa podczas każdego świąt!

Harsar zmrużył oczy jeszcze bardziej, aż prawie zniknęły.

– Żarty sobie stroisz. Błazeństwo.

Barrick wybuchnął śmiechem. I poczuł się dziwnie – nie pamiętał, kiedy ostatnio się śmiał.

– Masz rację. Przyłapałeś mnie.

Harsar pokręcił głową z dezaprobatą.

– Zupełnie jak... – urwał, z trudem się opanowując. – Żartować znaczy drwić z powagi rzeczy.

– Nie. – Barrick poczuł, że musi to wyjaśnić. – Czasem żartowanie jest jedynym sposobem wyjaśnienia pewnych rzeczy. Może dlatego, że wy nie umieracie...

– Ależ umieramy – odrzekł Harsar. – Przeważnie ginimy z rąk ludzi.

Barrick zawahał się na moment.

– Może dlatego, że moi ludzie są śmiertelni, muszą żartować. Czasem to jedyny sposób, żeby żyć z czymś, z czym się nie da żyć.

– Nie tylko dlatego, że jesteście śmiertelni. – Oblicze czarodziejskiego człowieka się zmieniło, można by powiedzieć, że zmarszczył brwi, a gdy znowu się odezwał, wydawało się, że mówi do siebie: – Wśród Ludzi są tacy – tak, nawet wśród tych najbardziej znaczących – którzy to robią, żartują i wypowiadają pozbawione znaczenia słowa, zamiast działać...

– *Na mnie kieruje swój gniew* – odezwał się głos w myślach Barricka. – *I swoją frustrację. Nie on jeden, ale on był najbliżej mnie... z wyjątkiem mojej siostry-żony...*

Nowy głos rozbrzmiewał tak wyraźnie, że Barrick, wbrew rozsądkowi, pomyślał, że Ynnir przebywa z nim w pokoju. Powiódł spojrzeniem dookoła najpierw z nadzieją, potem coraz bardziej przestraszony...

– Panie? Gdzie jesteś?

Harsar wpatrywał się w niego z uprzejmą troską, jakby takie szaleństwo często dopadało mieszkańców Qul-na-Qar.

– *Prosiłeś, żebym cię jeszcze nie opuszczał.* – Głos króla brzmiał czysto, jakby Ynnir stał tuż obok Barricka. – *Ale teraz musisz odpocząć. Nie trzeba śmiertelnej mądrości, by wiedzieć, że będziesz potrzebował wszystkich sił na to, co jeszcze cię czeka, a wciąż nie jesteś gotowy, by*

*wytrzymać pełen rozkwit Ognistego Kwiatu. Musisz się skupić, dlatego odeślij Harsara.*

Barrick wymamrotał przeprosiny, lecz Harsar, kimkolwiek jeszcze był, przede wszystkim pełnił funkcję sługi, tak więc rozejrzał się, co jeszcze mógłby zrobić, po czym oddalił się, zabierając pustą tacę.

– Mówiłeś, że jest na ciebie zły... Harsar?

– *Nie musisz mówić głośno* – powiedział głos króla. – *Nie musisz też stać ani siedzieć. Połóż się, bo wciąż jesteś osłabiony. Odpoczywaj. To, co myśli o mnie Harsar, już nie ma znaczenia. Pozostaje wierny Ognistemu Kwiatowi.*

Barrick wyciągnął się na łóżku i przykrył cienkim, lecz zaskakująco ciężkim kocem. Nawet wspierany obecnością króla zaczął odczuwać budzące się w nim głosy Ognistego Kwiatu i pomyślał, że go wciągną, utopią w oceanie obcych wspomnień. Czy znajdzie w sobie dość sił, by dotrzeć do brzegu?

– *Nie myśl o brzegu* – rzekł Ynnir, Barrick zaś się zdumiał, jak dużo król pojmuje z jego myśli. – *Nie toniesz, ale nie możesz też wydostać się bezpiecznie z Ognistego Kwiatu i zostawić go za sobą. Teraz jest częścią ciebie i tak już będzie.*

*Pomyśl raczej o świetle pojedynczej gwiazdy wiszącej nisko nad horyzontem. Popłynij ku niemu. Nie dotrzesz do niego, ale z czasem nauczysz się odczuwać zadowolenie z tego, że płyniesz wiecznie w bezkresnym oceanie. Nigdy nie dopłyniesz do tej rozjarzonej plamki, ale też ona nigdy nie zgaśnie przed tobą...*

Król wypowiadał dalej swoje zagadkowe słowa głosem kojącym jak letnia pieśń świerszczy. Barrick spróbował popłynąć ku wspomnianemu światłu, lecz poczuł, że osuwa się coraz głębiej w znużenie, aż wreszcie zapadł w otchłań snu.

\*\*\*

Kiedy sługa go obudził, nie zaproponował mu posiłku, lecz przekazał wezwanie:

– Królowa chce, abyś przyłączył się do niej w Śpiewającym Ogrodzie.

Barrick wstał i podążył za Harsarem. Wciąż czuł się chroniony przez Ynnira i jego niewyczuwalną, lecz rozpoznawalną obecność. Głosy Ognistego Kwiatu nie ucichły całkiem, lecz w tej chwili były przytłumione, jakby oddzielała je od Barricka jakaś ochronna warstwa. Wyszedł za małym służącym bocznymi drzwiami i podążył ścieżką wysypaną czarnym żwirem biegnącą między kamieniami pod szarym niebem. Mijali kolejne ogrody, koncentryczne, otoczone murami pierścienie, gdzie kolory kwiatów i kamieni, a także ich kształty wykorzystano na różne sposoby, które nie do końca rozumiał, lecz rezultaty były tak intensywne i urozmaicone, że męczące było już samo patrzenie.

W samym środku znajdowało się przejście: kamienny łuk porośnięty białymi kwiatami.

– Idź cicho – ostrzegł Barricka Harsar. – Dla własnego dobra. – Służący skłonił głowę i odszedł.

Barrick przeszedł pod kamiennym sklepieniem, zastanawiając się, przed czym go ostrzegano. Może żyły tam zwierzęta, które go zaatakują, albo jakieś rośliny? Starał się iść jak najciszej, zadowolony, że stąpa po miękkiej trawie, która tłumi odgłos kroków.

Gdzieś za nim kapłała woda, sącząc się na kamień ze szczeliny w zewnętrznym murze, kap, kap, kap. Trochę dalej napotkał przy ścieżce kilka niewielkich wodospadów, z których woda spływała strużkami do płytkich stawów, wydając dźwięk podobny do tego, jaki wydaje trącany delikatnie palcem kryształowy puchar. Gdzieś w tle rozbrzmiewało ciche pohukiwanie, które mogło być wołaniem zadowolonego ptaka siedzącego w gnieździe, a które, jak się okazało, dochodziło ze smukłej kamiennej wieży o wysokości dwukrotnego wzrostu Barricka, z otworem na górze podobnym do ucha igielnego, w którym wiatr zamieniał się w słodką muzykę.

Śpiewający Ogród, powiedział Harsar. Nawet głosy w głowie Barricka całkiem ucichły, jakby słuchały czegoś, co kiedyś kochały, a dawno zapomniały.

\*\*\*

Zastał królową w otwartym pawilonie otoczonym ukwieconymi drzewami; oczy miała zamknięte, jakby spała. Kiedy podszedł, poruszyła się w zwojach białej szaty, jakby wiatr musnął płatki kwiatów, i uniosła powieki.

– Mój mąż... mój brat... zawsze wolał Wieżę Myślących Chmur – powiedziała. – Lecz dla mnie tamto miejsce jest zbyt surowe. Wolę to. Tęskniłabym za nim, gdybym nie mogła tu wrócić.

– Skąd wrócić?

– Z pól, na które kiedyś wszyscy się udamy, z pól, na których ty omal nie zostałeś. – Skinęła głową. – Ale nawet tutaj, w samym środku tej oazy spokoju, nie mogłabym owinąć welonu wokół twojego domu, który nazywamy Ostatnią Godziną Przodka. – Po obliczu Saqri przemknął cień niepokoju. – Dzieje się tu coś dziwnego i ważnego, coś mi nieznanego, co zatrzymuje skierowane do mnie słowa stryjecznej babki Yasammez i nie pozwala jej usłyszeć moich.

– Skoro nie możesz z nią rozmawiać, to co możemy zrobić? Musimy ją powstrzymać, powiedzieć jej, że Ognisty Kwiat wciąż żyje. Inaczej zniszczy Zamek Marchii Południowej.

– To, że jeszcze go nie zdobyła – a to wyczuwam – oznacza, że sprawy są bardziej... skomplikowane, niż sądzimy. – Saqri pokręciła głową. – Teraz nie ma sensu o tym mówić. Jeśli sytuacja się nie zmieni, nie będę mogła z nią rozmawiać. Wtedy sama podejmie decyzję i zrobi to, co uzna za słuszne, jak zawsze.

– W takim razie powinniśmy ruszać. Musimy poinformować Yasammez, że Pakt Lustra nie został złamany. Nie możemy zawieść zaufania Ludzi! – Głosy Ognistego Kwiatu i idee odezwały się w jego głowie niczym pluskająca woda, lecz on był przekonany, że dobrze zrozumiał najważniejszą część. – Czemu tak mi się przyglądasz?

– Mówisz bardziej jak jeden z nas niż jak przedstawiciel swojej rasy. – Jej usta ułożyły się w słaby uśmiech. – Ale pójść do niej? Ludzkie dziecko, dzielą nas od nich setki mil.

– Przecież macie te... drzwi. Przejścia. Przybyłem tu przez jedno z nich.

Królowa wydała dziwny syczący dźwięk – śmiała się.

– Prababka Pustka nie zapraszała wszystkich, by chadzali jej drogami, dziecko! Tylko swojego prawnuka, Szachraja. Dotarłeś tu przez jedno z przejść otwarte dawno temu, kiedy bogowie chodzili po świecie, a moi ludzie i Ci, Którzy Nie Śpią byli razem. Przetrwało tylko dlatego, że utraciliśmy wiedzę czynienia i odczyniania takich rzeczy, a poza tym to przejście zaprowadziłoby cię jedynie z powrotem do Snu.

– Na pewno są inne, skoro nie możemy użyć tego!

– Kilka. Niektóre zostały odkryte przypadkiem, zanim Szachraj poznał wielkie tajemnice starej kobiety. W rzeczywistości bogowie zbudowali wiele domów, by móc posługiwać się tymi przejściami, które już były znane.

– W takim razie możemy je wykorzystać, prawda? Powiedziałaś, że Zamek Marchii Południowej stoi na – czy przed, czy jak tam – pałacem Kerniosa. To miałaś na myśli, tak? Jedne z takich drzwi?

– Drogi, którymi chadzał Kernios, nie są dla nas. Nawet jeśli mroczny bóg jest pogrążony w długim śnie. To dobry pomysł, Barricku, ludzkie dziecko, ale nam się nie przyda.

– W takim razie co mam robić... modlić się? Moi ludzie zginą! I twoi! – Barrick opadł na kamienne schody pawilonu u stóp Saqri i uderzył dłonią w stopień, dając wyraz swej frustracji. – Kiedyś myślałem, że bogowie nie istnieją, teraz twierdzisz, że staną mi na drodze, dokądkolwiek bym się udał. Mimo że śpią!

Saqri uniosła brwi zdziwiona jego reakcją, lecz nic nie powiedziała. Po chwili wstała i zeszła po schodach płynnym krokiem, jakby płynęła. Mijając go, uniosła dłoń w geście nakazującym, by za nią podążył.

– Dokąd idziemy? – zapytał Barrick.

– Pozostaje nam inne źródło pomocy – odpowiedziała, nie zatrzymując się.

Barrick dźwignął się ciężko i poszedł za nią przez nuący i śpiewający ogród do beczasowych komnat Qul-na-Qar.

\*\*\*

Schody, po których długo schodzili, stały się płaską podłogą, lecz on nie pamiętał dokładnie, kiedy to nastąpiło. W innej chwili niestałe

wodniste światło pałacu zadrgało i zgasło, ale kiedy? Tego też nie pamiętał. A potem nawet kamienna posadzka się skończyła i Barrick czuł sprężystą glebę pod stopami, jakby zeszli głęboko poniżej fundamentów zamku. Właściwie tak długo kroczyli w ciemności, że już nie miało oznaczenia, co Saqri może powiedzieć o odległości, i można by pomyśleć, że przebyli prawie całą drogę z Qul-na-Qar do Zamku Marchii Południowej.

Cisza tego bezkresnego mrocznego miejsca nie była niezmacona, a przynajmniej nie w skołatanej głowie Barricka, lecz wzmocniony słowami Ynnira i przekonaniem, że ślepy król jest w pobliżu, Barrick był w stanie wznieść się ponad chaotyczną wiedzę Ognistego Kwiatu i skupić na tym, by trzymać się blisko Saqri, która wiodła go nie jak matka prowadząca dziecko przez nieznanne miejsce, lecz jak ktoś, kto prowadzi innego członka rodziny przez miejsca, w których oboje przeżyli całe życie.

Czy to dowód jej wiary we mnie czy pogardy? Oczywiście nie było sensu zastanawiać się nad tym, ponieważ dla Qara w jakiś sposób te uczucia się łączyły. Jednak głosy w jego głowie nie brzmiały już tak obco jak wcześniej. Był bliski stwierdzenia, że potrafi z nimi żyć.

Wreszcie na tle nieprzeniknionej strasznej ciemności, w której się poruszali, ujrzał światło: zmiana była tak subtelna, że trudno ją było zauważyć, było to bardziej wspomnienie światła niż samo światło. Mimo że stopniowo się rozjaśniało, Barrick dopiero po jakichś stu krokach zaczął widzieć otoczenie i znowu zobaczył przed sobą srebrzysty zarys postaci Saqri, a po kolejnych stu ujrzał brudne kamienne ściany wąskiego korytarza, który wydawał się pospiesznie wyżłobiony w żywej skale.

Dokąd...? – zastanawiał się, lecz zaraz poczuł myśli Saqri łagodnie nakłaniające go do milczenia.

Niebawem.

Niewyraźna świetlistość przed nim zaczęła się rozjaśniać, aż wreszcie przyjęła postać perlistego cylindra światła z podstawą okrągłą i lśniąca jak moneta. Kiedy podeszli bliżej, zobaczył, że jest to pojedynczy snop światła spływający z otworu w sklepieniu tunelu, a jego

okrągłą podstawę stanowi staw nie większy niż okrągły stolik. Saqri zatrzymała się, a Barrick stanął u jej boku.

– *Głęboka Biblioteka* – powiedziała.

Barrick nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Ynnir w rozmowie z nim kilkakrotnie wspominał o tym miejscu. Wtedy wyobraził sobie jakąś kryptę w podziemiach zamku albo ogromną komnatę pełną starych zwojów i zmurszałych woluminów, coś w rodzaju biblioteki w obserwatorium Chavena albo pokojów ojca w Letniej Wieży.

Królowa nieoczekiwanie wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń, a potem włożyła drugą rękę w snop światła i dała Barrickowi znak, by zrobił to samo. Barrick musiał postąpić krok do przodu, by dosięgnąć świetlistego stożka, a gdy to uczynił, zobaczył pionowy tunel biegnący do źródła światła, otwór w ciemności, który wydawał się niewiarygodnie odległy, a w jego centrum biały punkt.

– *Tak* – powiedziała Saqri. – *To jest Oko Yah'stah, gwiazdy nadziei. Ona zawsze świeci nad Głęboką Biblioteką.*

Barrick słuchał zdumiony.

– *Przecież... nie widziałem gwiazdy od miesiący... Płaszcz...* – słowo to nasunęło mu się samoistnie, podsunęte przez Ognisty Kwiat, niczym upuszczony mały przedmiot – *...Płaszcz zakrywa całą ziemię!*

– *Ale Głęboka Biblioteka nie widzi Płaszcz* – odpowiedziała Saqri.

– *Ona widzi rzeczy takie, jakimi są, a przynajmniej jakimi były. A Oko jest zawsze nad nią. Teraz przekaz mi swoje myśli i milczenie.*

– *Potrzeba obojga dziedziców Ognistego Kwiatu, aby otworzyć Głęboką Bibliotekę* – powiedziały mu głosy. A może był to głos Ynnira, który w jakiś sposób złączył wszystkie pozostałe? – *To jeszcze jeden powód, dla którego utrata ciebie albo Saqri osłabiłaby Ludzi na zawsze.*

Barrick długo stał, słuchając szeptów Ognistego Kwiatu, wyczuwając szerokie myśli Saqri, kiedy splatała wezwanie, łańcuch pytań podobny do dziecięcej zagadki:

*Kto odszedł, lecz został?*

*Kto jest poza, ale w środku?*

*Kto powróci do miejsca, którego nigdy nie opuścił?*



Zaczął wyczuwać obecność czegoś, zanim zobaczył pierwsze srebrzyste strzępy formujące się w świetlistości niczym bąbelki przywierające do wodorostów w stawie. Pojawiły się znikąd – z niczego – lecz zanim zakołysały się w snopie światła, były już istotowe. Żyły, przynajmniej trochę, myślały, pamiętały.

– *Oddajemy cześć przyzywającym. Oddajemy cześć Domowi Szachraja. Oddajemy cześć Ognistemu Kwiatowi.* – Głosy płynęły przez głowę Barricka niczym odgłos wody kapiącej w ciemnym miejscu. Gdy każdy z nich przemówił, mimo że rozbrzmiewały tylko w myślach Barricka, powierzchnia stawu czy studni u jego stóp zmarszczyła się koncentrycznymi falami. Niebawem rozchodzące się kręgi zaczęły się przecinać. – *Pytaj, a my damy ci to, co mamy dać.*

– *Dom Ludzi i Ostatnia Godzina Przodka już nie mają dostępu do Dróg Szachraja* – powiedziała Saqri, a jej nieme słowa zdawały się płynąć ku snopowi światła niczym drobinki kurzu. – *Jak można pokonać tę odległość? Jak przejść nad przepaścią?*

– *W dawnych czasach jeden z najjaśniejszych potrafił dojechać do Przodka w trzy dni albo jeszcze szybciej, jeśli jego wierzchowiec nie dotykał kopytami ziemi.*

– *Tak, a bogowie potrafili wyczarować z powietrza wonne oleje i sprawić, by zakwitł kamień* – odpowiedziała Saqri głosem rozedrganym szorstką nutą. – *Te dni już minęły. Ogromne rumaki uciekły na odległe pastwiska. Ci, którzy podążali drogami Prababki Pustki, mogą chodzić jedynie tam, gdzie droga nie jest odgradzona, a miejsce, do jakiego pragniemy się udać, jest dla nas niedostępne.*

Było to niewypowiedziane dziwne uczucie stać u progu Głębokiej Biblioteki, słyszeć głosy i obserwować falującą powierzchnię stawu, jakby maconą niewidzialnymi kroplami deszczu. Teraz było inaczej, niż kiedy Ognisty Kwiat objawiał się w głowie Barricka, bardziej chaotycznie i mniej przypominało rozmowę istot ludzkich, lecz w obecności Saqri wszystko działo się w granicach pojmowania księcia, choć nie wszystko rozumiał.

– *Wiatr niesie straszne rzeczy* – szeptały głosy Głębokiej Biblioteki. – *Brak dostępu do starych dróg, umierający bóg, plany śmiertelnika z południa, które przyprawiają o dreszcze same niebiosy...*

– *A Yasammez ma Jajo Gorączki* – przemówił inny głos smutno śpiewnym tonem. – *Koniec rzeczywiście musi być blisko. Może nawet Mroczna Pani uległa rozpacz.*

– *Drogi wciąż istnieją. Gdyby tylko bogowie otworzyli dla was przejście...* – jęknął głos.

– *Przestań!* – rzuciła Saqri, a jej odpowiedź zabrzmiała jak trzaśnięcie z bicia. – *Sami bogowie są uśpieni! Wiecie o tym, bo przecież jest to prawdą od połowy waszego istnienia! A nawet gdyby nie znajdowali się poza naszym zasięgiem, gdyby Szachraj nie umierał, a pozostali nie trwali we śnie, to najpotężniejsi bogowie są naszymi wrogami! Trzej Bracia i wszyscy ich sprzymierzeńcy nienawidzą nas. Oto jeden z powodów rozpacz mojej stryjecznej babki.*

– *W takim razie wszystko stracone* – wyszeptał jeden z głosów Głębokiej Biblioteki i zaraz zawtórował mu cały chór.

Twarze ukształtowały się i zniknęły, kotłując się w swojej chwili istnienia niczym wodorosty w wirującym nurcie rzeki.

– *Wszystko stracone!* – szeptały.

– *Prawie wszystko* – rzekł jeden z głosów. – *Czy oni nienawidzą też śmiertelników?*

Saqri uniosła dłoń.

– *Mogę ich odprawić?* – zapytała.

Dopiero po chwili Barrick się zorientował, że to pytanie Saqri skierowała do niego. Najwyraźniej potrzebna była zgoda obu części Ognistego Kwiatu, żeby przywołać i odprawić głosy Głębokiej Biblioteki.

Uniół dłoń, wsuwając ją w światło, i pozwolił królowej zrobić to, co należało.

\*\*\*

Wracali w atmosferze porażki, tak przynajmniej czuł Barrick.

– *I co teraz pocniemy?* – zapytał. – *Moi ludzie, mieszkańcy zamku, i twoi – wszyscy zginą!*

– *Obawiam się, że masz rację, jeśli nie zdołamy ich powstrzymać.*

Nie mógł uwierzyć, że Saqri jest tak spokojna.

– Ale nie potrafimy! Wszyscy są co do tego zgodni! Jesteśmy po drugiej stronie świata i słyszałaś, co powiedziała Głęboka Biblioteka – nie możemy obrać żadnej drogi.

– Niezupełnie. – Z myśli Saqri emanował spokój i lekkie wahanie, jakby wciąż próbowała zobaczyć w głowie złożone szczegóły obrazu. – Głosy powiedziały, że drogi wciąż są dla nas dostępne.

– Ale najpotężniejsi bogowie nienawidzą Qarów – sama to powiedziałaś! Co więc nam to daje?

– Tak, bogowie nienawidzą Qarów – rzekła Saqri, niewidoczna postać w ciemności przed nim – ale zastanawiam się, co myślą o was?

## Postrach głębi

*...W tamtych czasach wzgórze Kracji były krainą bezprawia. Klan bandytów przybył do doliny, w której mieszkał Adis i jego rodzice, i podczas gdy on pilnował stada, bandyci zabili jego rodziców i ukradli ich marny dobytek.*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

– Jestem znużony i zrozpaczony – rzekł Olin Eddon. – Muszę tu zostać? Widziałem przyplływające okręty, wychodzące na brzeg tysiące żołnierzy. Tak, autarcha jest dość mocny, by upokorzyć mój biedny kraj. I czemu to ma służyć?

Pinimmon Vash spojrział na pokład ostatniego największego okrętu transportowego. Dowódca tragarzy machnął do pierwszego ministra, dając znak, że wszystko gotowe. Inne statki także pozbywały się zawartości ładowni – port, który kiedyś obsługiwał podzamcze od strony stałego lądu, zamienił się teraz w namiotowe miasto autarchy. Właśnie ten ostatni statek znajdował się w centrum zainteresowania autarchy.

– Sam Złocisty nakazał, abyś się przyglądał, królu Olinie – rzekł Vash najuprzejmiej, jak potrafił. – Nic więcej nie muszę wiedzieć.

– Dlaczego nikt z zamku was nie atakuje? – Błada twarz Olina lśniła perlistym potem. – Nawet Tolly by się bronił. Do jakiego podstępu uciekł się twój pan, że mógł tu wylądować, nie napotykając żadnego oporu?

– O takie drobiazgi pytaj Złocistego, królu Olinie, nie mnie. – Czy też ten mieszkaniec północy nie widzi, że Pinimmon Vash nie ma z tym nic wspólnego, że on tylko robi to, co mu każe jego pan? Obcy król nie był aż takim dzikusiem, jak się spodziewał Vash, lecz jego maniere dalece odbiegały od wysokich standardów prawdziwego dworu. W końcu czyż stanie na nasłonecznionym brzegu bez parasola – gdzie się

podziali ci przekłeci niewolnicy? – nie było o wiele gorsze dla starszego i bardziej delikatnego Vasha?

Minister odniósł nieprzyjemne wrażenie, że król Olin się w niego wpatruje.

– Tak?

– Wydajesz się być cywilizowanym człowiekiem, lordzie Vash – rzekł Olin, w dziwny sposób niemal werbalizując myśli Vasha. – I inteligentnym. Jak możesz słuchać kogoś takiego jak autarcha? On powiedział... – jeśli całkiem nie oszalał, jeśli coś takiego jest możliwe – ...że zamierza zdobyć moc prawdziwego boga, by zniewolić wszystko, co żyje na ziemi!

Vash niemal się uśmiechnął, lecz nie stracił czujności. Zanim odpowiedział, rozejrzał się szybko, żeby się upewnić, że są sami.

– I czym by się to różniło od tego, co mamy teraz, królu Olinie? Złocisty i tak już sprawuje rządy absolutne, a zatem co mi pozostaje, jak tylko służyć mu pokornie? Obawiam się, że twoje pytanie jest naiwne. Równie dobrze mógłbyś mnie zapytać, dlaczego rzucony kamień spada na ziemię albo dlaczego gwiazdy świecą na niebie. Taki jest porządek Stworzenia. Tylko głupiec oddałby życie, gdy nie ma nadziei na to, że może być inaczej.

Olin Eddon nie wyglądał na obrażonego, ale też nie wydawał się przekonany.

– W takim razie nigdy żaden tyran w historii nie zostałby obalony. Dwunastu nie obaliłoby dyktatora Skolassa, a Hierosol zmiażdżyłby Xis ponad tysiąc lat temu.

– Stałoby się tak, gdyby bogowie zechcieli – zgodził się Vash. – Lecz nie dostrzegam takich prawidłowości we współczesnym świecie. Rządzi nami autarcha, oby żył wiecznie, a wszystko inne to gdybanie.

Olin wciąż wpatrywał się w niego na tyle intensywnie, że Vash poczuł się urażony. Czy ten parweniusz z północy nie zdaje sobie sprawy, jaki go spotkał zaszczyt, że pierwszy minister Xis dotrzymuje mu towarzystwa?

– Naprawdę powinieneś obserwować rozładunek tego statku, królu Olinie. Na wyraźne życzenie Złocistego...

Olin zignorował jego słowa.

– Nie wszyscy ludzie z południa są takimi fatalistami jak ty, lordzie Vash. Znam wielu z twojego kontynentu, którzy walczyli z autarchą – a w szczególności jednego, który został moim przyjacielem.

Pinimmon Vash roześmiał się mimowolnie.

– I co zyskał? Chyba niewiele, jak sędzę. – Zamrugął, jakby coś sobie przypomniał. – Chwileczkę, masz na myśli tego zdrajcę Shasa dan-Hezę? Tuańskiego generała, który negował słuszne żądania autarchy Parnada, ojca Złocistego?

Teraz z kolei w siwej brodzie Olina błysnął wilczy uśmiech.

– Słuszne żądania? I kto tu teraz jest naiwny? Shaso i jego lud walczyli z Parnadem i z ojcem Parnada, a choć słyszałem, że jakiś marionetkowy władca został osadzony na tronie Nyoru, to sędzę, że Tuańczycy będą dalej walczyć, aż któregoś dnia was wypędzą. Oni nie są tchórzami i najwyraźniej nie podzielają opinii, że autarcha musi rządzić całym światem.

Po raz kolejny Vash się najeżył, słysząc słowa parweniusza z północy.

– A twój przyjaciel, zdrajca Shaso? Ten potężny bastion chroniący przed tyranią? Gdzie on jest dzisiaj?

Oblicze Olina spochmurniało.

– Nie wiem. Oczywiście nawet gdybym wiedział, i tak bym ci nie powiedział.

– Oczywiście. Ale dość tych sporów. – Vash zsunął długie rękawy i pokazał trap, który łączył pokład jednego z większych statków transportowych z nabrzeżem. – Spójrz. Autarsze zależało, byś to zobaczył.

Nawet wielu xiskich marynarzy w doku i żołnierzy na plaży podeszło bliżej i przyglądało się, jak grupa dużych nieporadnych człekopodobnych istot schodzi po trapie. Każda z nich miała dwie ręce i dwie nogi, ale na tym kończyło się ich podobieństwo do człowieka. Krepe nogi i krótkie ramiona istot pokrywały kościane płytki, spomiędzy których wyrastała sztywna szczecina stercząca też z grzbietów. Ich dłonie przypominały pazury-łopaty kretów, duże i pokryte skórą pełną brodawek. Lecz uwagę patrzącego przyciągały torsy i głowy: tułów pokrywał dziwny pancerz, jakby stwory były żukami albo żółwiami

stojącymi na tylnych nogach, płyty zaś zachodziły wysoko, zakrywając szyję i podstawę głowy, z tyłu sięgały czubka czaszki i zawijały się w dół, przez co tylko oczy wзираły z głębokiego cienia przez szczelinę między częściami skorupy, co upodabniało istoty do ogromnych ostrzyg albo ludzi w zbrojach z absurdalnie wielkimi hełmami. Lecz pomimo wszystkich tych cech budowy dziwne istoty sprawiały wrażenie chorych – zatrzymywały się bez powodu i szły chwiejnym krokiem, potykając się. Jedna z nich się przewróciła i nie była w stanie się podnieść, przebijając w powietrzu nogami.

– Te istoty... – rzekł Olin, mrugając – to potwory. Ty im to zrobiłeś?

– Vash nic nie zrobił! – odezwał się głos płynący z góry, jakby przemówił sam bóg. Co w pewnym sensie było prawdą, ponieważ był to głos autarchy, który zbliżał się do nich niesiony przez niewolników na rytualnej platformie; razem przypominali olbrzymią wielonogą istotę. – W rzeczywistości te wspaniałe stworzenia przyszły na świat za czasów mojego pradziada Aylana.

– A zatem chora krew płynie w żyłach twojej rodziny – rzekł Olin tonem pełnym obrzydzenia.

– To nas łączy, he? – Sulepis wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Te istoty pochodzą od Yistich, w których żyłach płynie ta sama krew co w żyłach waszych Funderlingów z północy, chociaż przedstawiciele tej rasy, Khau-Yisti, są więksi i bardziej dzicy, to tacy nieokrzesani kopacze, podczas gdy kuzyni Yistich są niemal tak cywilizowani jak ludzie – mówił tonem nauczyciela, który próbuje przekazać interesującą wiedzę tępemu studentowi. – Hodowcy mojego pradziada polowali na dzikie plemiona, wybierali największe i najsilniejsze osobniki i przysposabiali do pracy w kopalniach w górach Xan-Horem, niebezpiecznym rejonie, gdzie ziemia często się zapada. Ale Khau-Yisti są bardzo silni i potrafią wygrzebać się z zapadliska – niezwykle ekonomiczni robotnicy. – Autarcha zmarszczył brwi, przyglądając się istotom, które z trudem schodziły na ląd. – Zdaje się, że podróże morskie im nie służą, a może to tutejszy klimat. Wielu zmarło podczas rejsu, a i ci, którzy przeżyli, nie rokują zbyt dobrze...

– Obawiam się, że połowa z nich umarła, Złocisty – rzekł Vash.

– Twoi ludzie hodowali te biedne stworzenia jak psy myśliwskie? Żeby pracowały w kopalniach? – Olin wydawał się zaskoczony, jakby nie nauczył się niczego o królewskiej rodzinie z Xis.

Gdyby Vash nie odczuwał pewnej odrazy, patrząc na Khau-Yisti wychodzących niepewnym krokiem na plażę, poczułby rozbawienie naiwnością króla z północy.

– Och, nie tylko dlatego – odpowiedział autarcha pogodnie. – Jak się przekonasz, są najlepszą bronią przeciwko *askorabom*, ich opancerzone ciała pozostają niemal nieczułe na żądła. W naszym języku nazywamy ten szczególny rodzaj Khau-Yisti *kaluhan* – „zbrojnymi”. – Uśmiechnął się i spojrzął na słońce, które właśnie wyszło zza chmur. – Nie lubią tylko nadmiaru światła. Posłuchaj, jak jęczą. Chyba masz rację, pierwszy ministrze Vash. Będziemy musieli użyć ludzi. – Autarcha nie wydawał się specjalnie zatroskany.

Schodzące ze statku istoty wydawały się bardzo cierpieć; nieporadnie zasłaniały oczy skórzastymi dłońmi, potykały się, wpadając na siebie, i wybałuszały oczy z głębi swoich pancerzy. Lecz gdy tylko zwalniały kroku, poganiacze dopadali je i dźgali szpikulcami w szczeliny między płytami pancerza.

– Straszne... – powiedział cicho Olin.

– Ach, czujesz pokrewieństwo. – Autarcha z powagą skinął głową.

– O czym ty mówisz?

– Yisti to Qarowie. W twoich żyłach płynie krew Qarów. A zatem te biedne istoty są twoimi krewnymi, Olinie. – Autarcha znowu przybrał ton dorosłego, który przemawia do mało rozgarniętego dziecka. – Dobrze to o tobie świadczy, bez względu na to, jak bardzo twoi pobratymcy przypominają zwierzęta. A teraz zamilcz i skup się, bo zaraz zobaczysz coś jeszcze!

Wypowiadając ostatnie słowa, autarcha nawet nie patrzył na Olinę Eddona, ale Vash obserwował króla z północy i zdziwił się, ujrawszy na jego twarzy wyraz zimnej nienawiści.

\*\*\*



Niebo pociemniało. Dzień, dotąd ciepły, nagle zmienił aurę i przypomniał jej, że wciąż jest wiosna, i to zimna: do lata jeszcze daleko. Idite dan-Mozan westchnęła i mocniej zacisnęła dłonie na miseczce z *gawą*.

– Jeszcze tylko chwilę – zawołała do wnuka, który grzebał patykiem między kamieniami na dziedzińcu. – A potem idziemy na kolację.

– Nie – zaprotestował malec z taką samą beztruską pewnością siebie jak jego ojciec, gdy był w jego wieku, mimo że Idite oczywiście tego nie widziała. Nawet na nią nie spojrział, ponieważ wiedział, że gdyby to zrobił, nie potrafiłby już jej zignorować, zupełnie jak dziadek Effir.

Gdy pomyślała o mężu, i tak już ponury dzień jeszcze pociemniał w jej oczach. Straciła go zaledwie przed kilkoma krótkimi księżycami i czasem tamta straszna noc pełna ognia i krwi rzeczywiście wydawała się odchodzić w przeszłość, niczym charakterystyczny punkt na lądzie widoczny z barki płynącej po rzece. Lecz innym razem, tak jak teraz, rana wydawała się głęboka, tak... żywa, jakby dopiero co ją zadano. W takich chwilach ze wszystkich sił broniła się przed rozpaczą. Tylko rodzina dawała jej powód, by żyć. Gdyby nie syn, jego córki i młody Moseffir, mogłaby zejść z nabrzeża prosto do lodowatego oceanu i pozwolić, by bogowie zrobili z nią, co zechcą.

Nie wiedziała, jak długo oddawała się niewesołym rozmyśleniom, dopiero widok Fanu stojącej przed nią w wyczekującej pozie wytrącił ją z zadumy. Dlaczego dziewczyna się nie odezwała? – pomyślała, ale nie miała sił się gniewać. Odkąd poparzyła się podczas pożaru, Fanu zamknęła się w sobie niczym żółw pustynny, który schował się w swojej skorupie. Nawet w towarzystwie kobiet bardziej poparzonych niż ona czasami przez cały dzień potrafiła powiedzieć zaledwie kilka słów.

– O co chodzi, Fanu-saya?

Dziewczyna skupiła uwagę na chłopcu, który energicznie kosił trawę patykiem.

– Och, pani! Tysiąckrotnie proszę o wybaczenie! Masz gościa.

Idite spojrziała na nią zaskoczona. Dziwna pora na odwiedziny. W końcu uśmiechnęła się i wyprostowała.

– Naprawdę? W takim razie nie każ jej czekać. Mówią, że czasem sama Wielka Matka chadza w przebraniu, by się przekonać, kto wypełnia jej nakazy dotyczące gościnności!

– Ale, pani, to jest mężczyzna – rzekła Fanu. – Obcy. – Ostatnie słowo wypowiedziała tak, jakby opisywała coś, co ma szpony i ostre zęby.

– Ach. Czy się przedstawił?

Fanu pokręciła głową.

– Ale... jest przystojny!

Fakt, że Fanu znowu zachowuje się jak dawniej, bardziej ją zdziwił niż płęć gościa.

– W takim razie poproś go – rzekła Idite i zaśmiała się cicho. – Możesz zostać, jeśli chcesz.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy i potrząsnęła energicznie głową.

– Gdzie tam, pani! Nie mogłabym!

– W takim razie powiedz jednemu z odźwiernych, żeby przyszedł z nim dla przyzwoitości.

Kiedy Fanu opuściła dziedziniec, Idite wygładziła szatę. Nie żeby dbała o to, co pomyśli o niej młody przystojny mężczyzna, ale też nie chciała wyglądać jak stara kuma. Musi dbać o honor domu syna, bo teraz był to jej dom.

Stary odźwierny wprowadził gościa, po czym usiadł po turecku w kącie dziedzińca. Przyglądając się przybyszowi, Idite dała mu znak, by usiadł w fotelu naprzeciwko niej. Fanu miała rację: aparycja nieznanego była miła dla oka. Wysoki, smukły, z przystrzyżoną bródką, trochę dłuższą niż się nosiło – co przydawało mu zadziornego charakteru – ubrany bogato, na północną modłę, mniej więcej w stylu młodego szlachcica z Tesis albo z Jellonu. Ale kolor jego skóry i ciemne oczy w kształcie migdałów podpowiadały jej, że przybysz pochodzi z tego samego miejsca co ona.

– Lady dan-Mozan. – Złożył dłonie na piersi i skłonił głowę. – Jakże miło z twojej strony, że mnie przyjąłeś.

Wytworny gest ją zaskoczył. Od dawna nie widziała – praktycznie od czasów młodości w Nyoru – by ktoś wykonał go z takim wdziękiem.

Poczuła nagłą tęsknotę za domem, lecz szybko ją stłumiła, odwzajemniając tuański gest powitania.

– Widzę, że jesteś moim ziomkiem – powiedziała. – Albo tam mieszkałeś. Jak się nazywasz, młody człowieku, i co może zrobić dla ciebie stara bezużyteczna kobieta?

Gdy się uśmiechnął, znowu wróciła myślami do młodości, do gorących pustynnych nocy i szeptów kobiet podziwiających mężczyzn w galowych strojach, którzy paradowali w święto Ul-Ushya.

– Bezużyteczna? Nie sądzę. Twoja uprzejmość i mądrość są legendarne, lady dan-Mozan. Jeszcze raz pragnę podziękować za to, że zaprosiłaś mnie do swojego pięknego domu i dającego ukojenie ogrodu. Przebyłem długą drogę, by się z tobą spotkać.

– Schlebiają mi twoje słowa – odparła coraz bardziej zaintrygowana niecodzienną wizytą. – Lecz trzeba ci wiedzieć, że to nie mój dom, lecz mojego syna. Był na tyle miły, że przyjął mnie do siebie, kiedy moje domostwo spłonęło. Smutny to był czas, ale teraz mogę przynajmniej widywać wnuki, kiedy tylko zapragnę. – Pokazała na Moseffira, który zdążył się ubrudzić, i westchnęła. – Nawet babka nie jest w stanie go upilnować. Moseffirze, chodź tutaj.

– Pożar, oczywiście – rzekł młody człowiek i skinął głową, podczas gdy ona wycierała chłopcu twarz wnętrzem dłoni. – Przyjmij, proszę, wyrazy współczucia z powodu śmierci szacownego małżonka. Effir dan-Mozan był księciem wśród kupców.

– To chyba lepiej niż być kupcem wśród książąt – powiedziała, czym nieco zaskoczyła obcego. Puściła Moseffira, który wrócił do swoich wykopalisk. – Nie chcę z ciebie drwić, ale proszę, uczyn honor starej kobiecie i daruj sobie te kwieciste wstępy. Oczywiście tęsknię za mężem, bardziej niż ktokolwiek jest w stanie sobie wyobrazić, i doceniam twoją kurtuazję, skoro jednak go nie znałeś...

– Ależ znałem – rzekł gość. – I szczerze podziwiałem, choć wątpię, by on odwzajemniał to uczucie.

Długą chwilę przyglądała się mężczyźnie w milczeniu.

– Wciąż się nie przedstawiłeś.

– Zaiste, lady dan-Mozan. Chciałem, żebyś najpierw spędziła trochę czasu w moim towarzystwie i wyrobiła sobie o mnie lepsze zdanie niż

opinia, jaka towarzyszy mojemu imieniu. – Wyprostował się, wygładzając starannie rękawy płaszcza. – Jestem Dawet dan-Faar.

Jakby wylał na nią wiadro zimnej wody. Gdyby ciało Idite nagle nie zwiotczało jak złamana trzcina, pobiegłaby do wnuka i uciekła z nim z dziedzińca.

– Książę Dawet...?

– Tak, ten Dawet. – Jego twarz przypominała twardą maskę dumy, lecz ona dostrzegła w niej rys, który mógł wyrażać ból. – Ten, którego, jak zapewne słyszałaś, nazywa się mordercą, gwałcicielem, złodziejem, zdrajcą. I muszę przyznać, że nie wszystkie zarzuty są bezpodstawne. Lecz bez względu na to, co o mnie mówią, nigdy nie skrzywdziłem kobiety. Niech Wielka Matka wejrzy na mą duszę. Jesteś bezpieczna, pani. Nie skrzywdzę też nikogo z tego domu, nawet jeśli w tej chwili każesz mi go opuścić. Przywitałaś mnie wręcz dwornie. Czy mnie wysłuchasz?

Spojrzała na wnuka, a potem na odźwiernego, który pochrapywał cicho w płamie jasnego światła. Popołudniowe słońce znowu wyjrzało zza chmur.

– Czego chcesz ode mnie, książę Dawecie?

Pokręcił głową.

– Darujmy sobie uprzejmości, przynajmniej te, które są tu nie na miejscu. Odebrano mi ten tytuł, a ja nie pragnę go odzyskać. Chcę tylko informacji. Opowiedz mi, co się stało. Słyszałem, że twój dom podpalili ludzie barona Iomera. Dlaczego miałby to zrobić?

Idite pożałowała, że wcześniej nie poddała się impulsowi i nie uciekła z ogrodu. Jak mogła wyznać prawdę temu znanemu przestępcy, nie zdradzając tego, czego nie wolno jej było powiedzieć? A jeśli go okłamie, co on jej zrobi? Jej rodzinie? Jeśli choć połowa opowieści, jakie krążyły o Dawecie, była prawdziwa, to jego obietnica, że nikogo nie skrzywdzi, była tyle warta co buty, które miałyby chronić przed wiatrem.

– Ja... nie wiem, dlaczego podpalono mój dom. Rzeczywiście, byli u nas żołnierze barona i wielu uważa, że to ich sprawka, ale to mógł być wypadek...

– Pani, proszę, nie marnuj czasu na takie bzdury – przerwał jej głosem stanowczym, lecz nie groźnym. – Bo się ochłodzi i będę miał

wyrzuty sumienia, że się przeze mnie przeziębiałaś. Mówi się, że szukali córki króla Olina, Briony, która przebywała w twoim domu. Słyszałem to od niej samej, pani, więc nie zaprzeczaj.

– Ty... ją widziałeś? – Po zniknięciu dziewczyny tamtej nocy Idite bała się, że Briony nie żyje albo gnije w lochach Zamku Marchii Południowej, chociaż ostatnio doszły ją słuchy, że księżniczka w jakiś sposób dotarła do Tesis. – Naprawdę? Ona żyje?

Przyglądał się jej uważnie, jakby nie dowierzał, że jej troska jest szczerą.

– Tak – odpowiedział wreszcie. – Żyje. Ale nie mówi zbyt dużo o tym pożarze. – Zamilkł, wpatrzony w kwiaty gruszy podobne do gwiazd. – Tamtej nocy oprócz twojego męża, pani, zginęło wielu innych. Chciałbym pomówić o jednym z nich. O Shasie dan-Heza.

Serce Idite niemal przestało bić.

– O Sh... Shasie?

– Tak, pani. O tym, którego córkę, jak mówią, porwałem i zniewoliłem. O tym, który nienawidził mnie tak bardzo, że poprzysiągł, iż wytnie mi serce i złoży na grobie córki. Opowiedz mi o Shasie.

– Co... co masz na myśli?

– Nie udawaj, że nie było go wtedy w domu twojego męża. Nie zamierzam ci grozić, ale też nie pozwolę się obrażać. Wiem, że tam był. Pamiętaj, że rozmawiałem z księżniczką.

– Tak, tak, oczywiście. – Przez chwilę Idite się zastanawiała, czy Dawet rzeczywiście by wyszedł, gdyby go o to poprosiła. Czego może chcieć od niej ten potwór? Kto go przysłał? – Tak, był tam. Lord Shaso był w naszym domu. Nikt o tym nie wiedział. Zginął w pożarze. Przeżyłam tylko ja, inne kobiety i kilka osób ze służby.

– Jakoś w to nie wierzę, pani – rzekł Dawet i wstał. Był wyższy, niż się jej wydawało. Jego cień padł na małego Moseffira, który zaskoczony podniósł głowę, z brudną gałązką w zębach. – Myślę, że Shaso dan-Heza żyje. A ty, pani, powiesz mi, jak go mogę znaleźć.

\*\*\*

Pinimmon Vash nie widział wcześniej niczego równie strasznego: brudny czarny potwór, długi jak wóz drabiniasty, o sześciu pokrytych płytami kończynach, na których się poruszał, i dwóch dodatkowych zakończonych masywnymi pazurami. Kilkunastu ludzi trzymało krępujące go liny, lecz nie byli w stanie wyciągnąć bestii z klatki na końcu rampy, wyższej niż człowiek, zrobionej z grubych powiązanych ze sobą konarów.

– Na bogów, co to za okropieństwo? – zapytał wyraźnie poruszony Olin.

Nawet jego strażnicy odwrócili się, by spojrzeć na rozgniewaną bestię, która próbowała zahaczyć pazurem wielkim jak jarzmo wołu któregoś ze swoich poganiaczy, a ci, mimo że mieli doświadczenie, wyglądali na równie przestraszonych jak wszyscy obserwatorzy.

– Nie widziałeś nigdy *askoraba*? – Vash starał się przybrać rzeczowy ton, choć nie przyszło mu to łatwo w tak bliskim sąsiedztwie syczącego monstrum. Wyciągana z klatki bestia ryła ziemię tak mocno, że wyrzucany przez nią piach spadał na stopy pierwszego ministra. – Macie je chyba na południu Eionu. Hierosolczycy nazywają je...

– Skorpami – rzekł Olin, nie mogąc oderwać oczu od bestii. – Tak, widziałem je, ale nigdy tak ogromnej...

– Na moją krew, mamy tu ładną sztukę! – rzucił autarcha i roześmiał się. – Widziałeś kiedy tak cudowną maszynę?

– Maszynę? Przecież to żywe stworzenie. Czy źle widzę? – spytał Olin. – Słyszę jego oddech.

Sulepis zarechotał. Król-bóg był w dobrym humorze.

– Miałem na myśli to, że bestia została wyhodowana w celu wykonania konkretnego zadania, tak jak pług odwraca glebę, a młyn obraca kamień, co pozwala zmielić ziarno. Przodkowie tego zwierzęcia, żyjący na pustyni San, nie byli tak wielcy, zaledwie trochę więksi niż pies myśliwski. Lecz on i jego kuzyni zostali stworzeni do pewnego zadania.

– Jakież to zadanie wymaga takiej potworności? – zapytał Olin, lecz jeśli zamierzał wyrazić tonem jedynie obrzydzenie, to mu się nie udało, i nawet Vash posłyszał, jak bardzo król z północy jest poruszony widokiem strasznej bestii, która właśnie dosięgła jednego z poganiaczy i

wyciskała z niego resztki życia, podczas gdy pozostali ciągnęli za liny i przeklinając, łamali kije na twardej skorupie stwora.

– Zejdzie do tuneli pod twoim dawnym domem i oczyści je dla nas – odpowiedział autarcha. – *Askoraby* to myśliwi. Ten przyjemniaczek w mig rozprawi się ze wszystkim, co tam napotka żywego. A mam ich tuzin! – Sulepis wyprostował się. – Ach, spójrz, wreszcie go wywabili z klatki!

Pinimmon Vash nie użyłby słowa „wywabili”, jako że sprowadzono kilkunastu dodatkowych ludzi, by pomogli kolegom powstrzymać potwora przed wyrwaniem się na wolność, i dopiero teraz, przy tyłu rękach kłępujących jej ruchy, udało się wreszcie wyciągnąć syczącą czarną bestię na światło dzienne. Vash zobaczył, że jej ogon jest smuklejszy w stosunku do reszty ciała niż u mniejszych osobników z pustyni, lecz i tak był strasznie groźny, wywinięty na grzbiet, przygotowany, by zahaczyć wystającym na końcu zadziorem któregoś z poganiaczy, którzy jednak wiedzieli, że ogon bestii jest równie groźny jak jej pazury.

Większość z nich wie, poprawił się Vash, gdyż w tej samej chwili jeden z nich został schwytany w masywne szczypce, przecięty prawie na pół i, jeszcze żywy, wepchnięty do kłapiącego pyska bestii. Król Olin odwrócił głowę, starając się powstrzymać mdłości, lecz Sulepis przyglądał się z zachwytem.

– Do tuneli z nim! – zawołał autarcha. Odwrócił się do Olina i Vasha. – A potem zablokujemy wejście ogromnym kamieniem. – Wydawał się zadowolony niczym dziecko opisujące nową grę. – Jest prawie ślepy, więc ruszy dalej w poszukiwaniu jedzenia. – Zmarszczył brwi. – Nie powinni byli pozwolić mu zeżreć tego niewolnika. Teraz będzie ocieężał. – Po chwili oblicze autarchy znowu się rozpogodziło. – Potem wpuścimy następne. Niebawem tunele pod zamkiem zapełnią się naszymi pięknosciami.

Blady i zszokowany Olin spojrzał na autarchę.

– Przecież tunele pod zamkiem... niektóre prowadzą pewnie do Miasta Funderlingów. A stamtąd na górę do podzamcza.

– Tak – rzekł autarcha. – Zgadza się.

– I nie ma sensu błagać cię, żebyś tego nie robił? – rzucił król z północy zrezygnowanym tonem. – Obiecywać, że jeśli zaniechasz swych planów, będę z tobą współpracował?

– „Nie ma sensu” to za mało powiedziane – odparł Sulepis z uśmiechem. – Będziesz ze mną współpracował, czy tego chcesz czy nie, Olinie Eddonie. Masz ważną rolę do odegrania w tym, co nastąpi, choć mało subtelną. Mimo że dysponuję wielotysięczną armią, sam muszę zejść do tuneli pod twoim dawnym domem. Rozumiesz? W ciemnych pieczarach łatwo zastawić pułapkę, ale kiedy *askoraby* zrobią swoje, nie zostanie tam nic, co oddycha.

– To nie skorpa jest potworem – westchnął Olin.

Sulepis tylko się roześmiał. Wydawało się, że żadne słowa króla z północy nie są w stanie wyprowadzić go z równowagi. Vash bardzo żałował, że nie posiada takiego talentu.

– Królu Olinie, ja jestem inną idealną maszyną. Usuwam wszystko, co stoi na mojej drodze. – Klasnął w smukłe dłonie pobłyskujące złotem i niewolnicy dźwignęli platformę, po czym skierowali się do wielkiego namiotu ustawionego na środku Rynku, nowego Sadowego Pałacu pod niebem Marchii Południowej.

*Askorab* uniósł szczątki niewolnika i zaczął wściekle walić pyskiem w resztki trupa, aż została z niego nierozpoznawalna miazga. Kiedy pozostali niewolnicy, krzyżąc, powoli zapędzali wielonogą bestię ku skałom, ta porzuciła strzępy ludzkiego ciała na piasku. Przechodzący obok, bladzi ze strachu, odwrócili głowy. Tymczasem z pokładu opuszczano kolejne klatki, a w każdej znajdował się ohydny syczący pasażer.

– Pewnie stracimy kilka bestii pod ziemią – rzucił autarcha pogodnym tonem. – W końcu to nie ogary, które wracają, gdy je przywołać. Pomyśleć, że od tej pory ich potomkowie będą wylazić z tuneli, by polować na nieostrożnych podróżników...

Olin zdumiał swoją szybkością Vasha, który widział w królu z północy kogoś na swoje podobieństwo – mężczyznę starszego, biernego, którego mocą jest umysł i dobre maniery. Wydawszy okrzyk wściekłości, którą zapewne od dawna w sobie dusił, władca z północy odskoczył od swoich strażników i w dwóch susach dopadł platformy, po



czym zaczął się na nią wspinać. Autarcha przyglądał się z zainteresowaniem, jakby szarżujący więzień był jeszcze jedną rozrywką. Atak Olin uniemożliwili zaalarmowani niewolnicy, którzy, przestraszeni, przechylili gwałtownie platformę z lektyką, tak że Olin z powrotem się osunął, chociaż Lamparty zdążyły już przyskoczyć i zablokować mu drogę. Trzech z nich chwyciło króla i ściągnęło brutalnie na ziemię. Dwaj przygnietli mu ramiona kolanami, trzeci zaś przyłożył ostrze miecza do szyi na tyle mocno, że pojawiła się na niej cieniutka krwawa pręga.

– Nie rańcie go – rzekł Sulepis spokojnie, jakby nic wielkiego się nie wydarzyło. – Jest dla mnie cenny.

Olin Eddon, mocno pobladły, drżał cały, kiedy strażnicy energicznie postawili go na nogi, i przez chwilę wydawało się, że może spróbować kolejnego ataku. Jednak ku wielkiej uldze Pinimmona Vasha, władca z północy wyrwał się strażnikom i odszedł plażą, kierując się ku obozowi autarchy, do swojego strzeżonego namiotu, który służył za więzienie. Żołnierze pospieszyli za nim.

Vash wciąż nie mógł się otrząsnąć z przerażenia.

– Złocisty, wybacz...

Autarcha odpowiedział śmiechem.

– Już się zastanawiałem, czy w jego żyłach płynie w ogóle jakaś krew, nie wspominając o ichorze bogów – rzekł Sulepis i skinął głową. – Nie chciałbym zepsuć wieloletnich przygotowań, używając złego naczynia. – Dał znak ręką i niewolnicy odwrócili platformę w stronę skał. – Aha, wymieńcie straż króla Olin. Tamtych strąćcie. Na oczach pozostałych. Powoli, żeby nowi dobrze zapamiętali tę lekcję. – Na jego kolejny znak niewolnicy się zatrzymali. – Coś jeszcze... – Autarcha zamknął oczy w zamyśleniu. – Ach! – Uniósł powieki. – Oczywiście! Doprowadźcie do rokowań z panem Zamku Marchii Południowej.

Zgiął palce i niewolnicy ponieśli lektykę wzdłuż plaży, skąd władca – jak podejrzewał Vash – mógł obserwować, jak *askoraby* są wpuszczane do tuneli. Pilnie przyglądał się autarsze.

Nawet król z północy już zrozumiał, że nie można się oprzeć Złocistemu, pomyślał, jakby z kimś rozmawiał, choć był sam na nabrzeżu. Tylko głupiec postąpiłby inaczej niż ja.

## Drzewo w krypcie

*Gdy chłopiec wrócił, bandyci powinni byli jego też zabić, tymczasem ich herszt wziął w niewolę Sierotę.*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

– Pijak z ciebie i głupiec, Crowel. – Hendon Tolly odwrócił się do swojego konstabla Berkana Hooda. – A tyś nie lepszy! – Jego okrzyk odbił się echem od ścian kaplicy Erivora. – Powinienem was obu skrócić o głowę, i to natychmiast.

– Ależ, panie, to prawda! – bronił się Durstin Crowel. – Ludzie Zmierzchu odeszli! Wyjdź ze mną na blanki i sam się przekonaj.

– Nawet czarodziejscy nie potrafią zwinąć tak wielkiego obozu w jedną noc bez najmniejszego hałasu – warknął Tolly. – A poza tym dlaczego mieliby się wycofać? Przecież są góra! Nie, Qarowie i ta suka, ich prastara przywódczyni, coś knują... a wy jesteście za głupi, żeby to dostrzec.

Oblicze Crowela wykrzywił grymas frustracji, lecz nic nie odpowiedział, tylko zacisnął mocno usta. Nawet baron Graylock wiedział, że nie należy dyskutować z Hendonem Tollym, gdy ten jest w parszywym nastroju. Tinwright, który wciąż pamiętał nieprzyjemne spotkania z Crowelem i jego sługusami, był trochę rozczarowany powściągliwością barona.

– Niewątpliwie masz rację, Wasza Lordowska Mość – rzekł Tirnan Havemore, kasztelan. – Dlatego przyszliśmy do ciebie, potrzebujemy twojej mądrości.

– Kadź mi więcej, a zupełnie stracisz mnie z oczu za tymi oparami, Havemore – rzekł Tolly, marszcząc czoło, ale największa złość chyba mu minęła.

Tinwright, który nie z własnej woli w ostatnich dniach dotrzymywał towarzystwa lordowi protektorowi, nie spotkał wcześniej osoby o tak

zmiennym nastroju: protektor śmiał się i żartował w jednej chwili, a w następnej potrafił zatłuc niemal na śmierć służącego. Tolly przypominał wiatrowskaz, który nigdy się nie uspokaja, który zawsze kręci się we wszystkie strony, szybciej albo wolniej.

– Co ty na to, Hood? – zwrócił się Tolly do lorda konstabla tym razem prawie rzeczowym tonem. – Naprawdę odeszli? A jeśli tak, to, proszę, powiedz mi niby dlaczego?

O pokrytym bliznami muskularnym Berkanie Hoodzie Tinwright słyszał niemal tyle samo przerażających opowieści co o samym lordzie Tollym. Odkąd Hood został lordem konstablem, wielu tych, którzy wypowiadali się lekceważąco o Tollych, a w szczególności ci sugerujący, że Hendon i jego rodzina mają coś wspólnego ze zniknięciem księżniczki Briony i jej brata, po prostu przepadło. Rzekomo sprowadzono ich do niedużej fortecy, w jaką Berkan Hood zamienił Wieżę Jesienną. Potem już nikt o nich nie słyszał, choć od czasu do czasu znajdowano pozbawione twarzy trupy pływające w wodach Laguny Wschodniej, tuż pod wieżą.

– Wczorajszej nocy ludzie na murach nic nie widzieli, za to słyszeli... odgłosy... – zaczął Hood.

– Jakie odgłosy? – dopytywał się Tolly. Znowu tracił panowanie nad sobą. – Śpiew? Gwizdy? Czy może czarodziejscy tańczyli cholernego *hormosa*? I dlaczego nikt nic nie zrobił? Na wszystkich bogów, czy mojego zamku strzegą płochliwe króliki?

Słuchając krzyków lorda protektora, niespokojny Tinwright powiódł wzrokiem po kaplicy. Był w niej po raz pierwszy. Za panowania Briony Eddon służyła tylko rodzinie królewskiej, Hendon Tolly traktował ją jako ustronne miejsce, w którym można swobodnie porozmawiać.

Członkowie rady niespecjalnie cieszyli się towarzystwem lorda protektora, tak samo jak i on nie wyglądał na zadowolonego z ich obecności. Gdy wreszcie ich odesłał, Tolly rzucił się na pierwszą ławkę oznaczoną godłem Eddonów, ponury i zamyślony. Ujrawszy wyrzeźbione na ławce wilka i gwiazdy, Tinwright poczuł przez chwilę bezradność i smutek. Starał się nie myśleć o zmianach, jakie zaszły w jego życiu i w kraju przez ostatnie pół roku, lecz trudno mu było zapomnieć o tym, że kiedyś żyło mu się lepiej – o wiele lepiej.

Cokolwiek zaprzętało głowę Hendona Tolly'ego, nie odeszło wraz z członkami rady. Lord protektor wstał i zaczął się przechadzać po kaplicy.

– Zdaje się, że nie mamy czasu – odezwał się wreszcie, jakby kontynuował rozmowę, której wcale nie przerywał. – Qarowie uciekli, ponieważ wiedzą, że nadchodzi autarcha, tak więc zamieniliśmy jednego śmiertelnego wroga na innego, większego i potężniejszego. W najlepszym razie zostało nam kilka nocy. Ach, ten przeklęty mazgaj i głupiec Okros! – Od jakiegoś czasu w drzwiach kaplicy czekał młody paź. Tolly wreszcie go zauważył. – Co? Przekłęci bogowie, o co znowu chodzi?

Młodzieniec uklonił się nisko. Nie było wątpliwości, że jest przerażony. Tinwright mógł mu tylko współczuć.

– Kró... królowa! Królowa Anissa bła-błaga o widzenie, Wasza Lordowska Mość.

– Na święte ręce Trzech, czy ja nigdy nie zaznam spokoju? Powiedz jej, że przyjdę, jak będę mógł.

Gdy skulony paź się oddalił, Tolly wyjął jeden ze swoich kilku noży i zaczął wycinać gwiazdy z herbu Eddonów na oparciu ławki.

– Łotry i flejtuchy. Nikogo więcej nie ma w tym zamku, ani jednej duszy, która by naszczała na kamień bez mojej rady. A teraz muszę iść i wysłuchać narzekań tej dziwki z południa. – Posłał Tinwrightowi groźne spojrzenie, jakby to był pomysł poety. – Wstawaj albo obedrę cię ze skóry – warknął. – Za mną.

Tinwrightowi nawet nie przyszło do głowy coś tak głupiego jak to, żeby usiąść, nie był też na tyle głupi, żeby o tym wspomnieć.

\*\*\*

Strażnicy towarzyszący im w drodze z wielkiej sali tronowej otoczyli ich ciasnym pierścieniem, kiedy szli przez wewnętrzną twierdzę do rezydencji, co bardzo ucieszyło Tinwrighta. Wysiedleńcy, którzy mieszkali w prowizorycznych chatkach i namiotach na terenie twierdzy, mieli dość ponure miny i tylko nieliczni spoglądali na Hendona Tolly'ego z podziwem, za to większość nie ukrywała wrogości.

– Niewdzięczne bydło – rzekł Tolly, stanowczo za głośno jak na gust Tinwrighta. – Gdyby bogowie nie zabronili jeść ludzkiego mięsa, ci tutaj mogliby się na coś przydać, a tak tylko tracę na nich pieniądze z mojego skarbcza i cierpliwość.

Królowa Anissa ze swoją świtą zajęła komnaty na najwyższym piętrze rezydencji. Kiedy pokojówka wprowadziła ich do środka, Tinwright zdumiał się przestrzenią, jaką lokatorzy mieli dla siebie, podczas gdy ludzie gnieździli się w twierdzy, a nawet w innych częściach zamku jak kurczęta w kojcu.

Anissa odwróciła się, kiedy weszli, i w pierwszej chwili zauważyła tylko lorda protektora.

– Hendonie! – zawołała i podbiegła do Tolly’ego z szeroko rozłożonymi ramionami. – Jakże za tobą tęsknię! Czemu już mnie nie odwiedzasz...? – Dopiero teraz zauważyła Tinwrighta i zatrzymała się, przybierając bardziej dostojną postawę. – Dużo... dużo czasu minęło od naszego ostatniego spotkania.

– Stokrotnie przepraszam, miła pani – zwrócił się Tolly ciepło i łagodnie do kobiety, którą kilka chwil wcześniej przeklinał. – Musisz zrozumieć, że trwa oblężenie...

– Ach, tak... – westchnęła, jakby chodziło o smród płynący z kupy gnoju. – Straszne. Ale nie podoba mi się tutaj. Chcę wrócić do mojej wieży.

– To niemożliwe, Wasza Wysokość. Nie mogę tam chronić ciebie i młodego księcia. Nie, obawiam się, że musisz zostać tutaj. – Powoli pokręcił głową, jakby chciał dodać, że bardzo go to boli, lecz zaraz jego oblicze się rozjaśniło. – A skoro już o nim mówimy, to gdzie jest twój piękny syn Alessandros, nasz przyszły król?

Lecz Anissa była wyraźnie rozczarowana i nie dała się tak łatwo udobruchać.

– Tam. – Pokazała grupkę kobiet, które skupione wokół niemowlęcia udawały, że nie słuchają ich rozmowy. – Pokojówki się nim zajmują. Robią straszny zamęt wokół niego, zepsują go.

– Bez obawy, Wasza Wysokość. – Tolly podszedł do kobiet, które ukłoniły się i poruszyły niespokojnie. Jedna z nich trzymała na rękach

malutkiego ciemnowłosego księcia, który pociągnął ją za warkocz i spojrzał ogromnymi oczami na lorda protektora.

– Ładny chłopak – rzucił Tolly pogodnym tonem. – Nos ma po ojcu. Anissa wciąż miała nadąsaną minę.

– Obawiam się o niego – powiedziała. – Może powinieneś wysłać nas do mojego ojca. Tutaj jest zbyt niebezpiecznie, wojna i tak dalej.

Lord protektor spojrzał na nią zaskoczony.

– Słucham? Dokąd miałbym cię odesłać?

– Do Devonis, do moich. Tutaj Alessandros i ja nie jesteśmy bezpieczni. Ci *kanzarai*, te gobliny z kraju zmierzchu, już raz dostali się do zamku. Nie jesteśmy tu bezpieczni. – Zmarszczyła czoło i wyprostowała się, lecz nawet wtedy sięgała Tinwrightowi zaledwie do ramienia. – I nie podoba mi się, jak patrzą na mnie wielmoże. Ci ludzie tu są grubiańscy. Jestem żoną króla. Czy oni o tym wiedzą? Nie, tu nie jest bezpiecznie.

– Ależ Qarowie odeszli, Wasza Wysokość – rzekł Tolly. – Nie słyszałaś o tym?

– Odeszli? Jak to? – Spojrzała na niego, jakby spodziewała się podstępu.

– Odeszli, tak po prostu. Jeśli mi nie wierzysz, niech twoje pokojówki zapytają, kogo tylko zechcą. Qarowie zwinęli obóz i się wycofali. Nie ma ich już na naszym brzegu.

– Naprawdę?

– Naprawdę. A teraz wybacz, Wasza Wysokość, ale obowiązki mnie wzywają. Ubolewam, że nie mogę spędzić więcej czasu z tobą i z księciem, lecz jeśli pragniesz, żeby odziedziczył tron, czeka mnie dużo pracy.

Nie poszło tak łatwo. Minął kolejny kwadrans, nim Tolly'emu udało się opuścić komnaty królowej. Nastrój ani trochę mu się nie poprawił.

– Czy ona myśli, że jestem głupcem? – warknął, prowadząc Tinwrighta w dół po schodach. – Nie zdaje sobie sprawy, że mam wszędzie szpiegów, nawet w jej rezydencji? Wiem wszystko, co o mnie mówiła. Ma szczęście, że jeszcze jest mi potrzebna... – Podniósł wzrok, jakby dopiero teraz zobaczył poetę. – A skoro już mowa o szpiegach, to jeszcze mi nie powiedziałaś, komu służysz.

Serce Tinwrighta zabiło gwałtownie, jakby ktoś grzmotnął pięścią w drzwi.

– C-co...?

Hendon Tolly przewrócił oczami.

– Zaraz, przypomniałem sobie. Mówiłem ci, że mnie to nie obchodzi. I to prawda. Bo po dzisiejszej nocy albo będziesz trupem, albo będziesz mój duszą i ciałem, wierszokleto. – Zamyślił się na chwilę. – Tak, dzisiaj. Myślisz pewnie, że uwiodłem królową, bo chcę władzy – powiedział nieoczekiwanie.

Tinwright wybąkał coś zdumiony.

– Albo przespałem się z żoną króla dla przyjemności. – Splunął na podłogę. – No cóż, w pewnym sensie rzeczywiście zrobiłem to dla władzy, ale nie w takim sensie, jak myślisz. – Hendon zatrzymał się na podeście i dał znak strażnikom, żeby się cofnęli. Nachylił się do Tinwrighta i powiedział cicho: – Zrobiłem to, by zyskać na czasie, bo czas da mi moc, więcej mocy niż potrafisz sobie wyobrazić. Och, zobaczysz dziś w nocy, poeto. Ujrzysz moc i piękno, które nie mieszczą się w głowie, których nie potrafiłby opisać nawet taki bard jak Gregor ze Syanu. Ją ujrzysz. Tak, zobaczysz ją i dopiero wtedy zrozumiesz.

Tinwright odważył się odezwać dopiero po długiej chwili:

– Co zrozumiem, panie?

Gdy Tolly na niego spojrzał, jego mina zdradzała rozbawienie, ale w oczach można było dostrzec coś dziwniejszego.

– Tak, kiedy spotkasz boginię, która mnie kocha.

Matt Tinwright wstrzymał oddech.

– Zabierasz mnie na spotkanie z... kobietą?

– Nie, głupcze. Nie słuchasz mnie? Czy nikt w tym przeklętym zamku nie ma rozumu w głowie za miedziaka? Powiedziałem boginię i się nie przesłyszałeś. Dzisiejszej nocy ją poznasz, a ona powie nam, jak pokonać autarchę. – Zupełnie nieoczekiwanie Tolly wymierzył Tinwrightowi policzek tak mocny, że ten omal się nie przewrócił. Gdy poeta przycisnął dłoń do piekającej twarzy, chwiejąc się, lord protektor spojrzał na niego zimnym wzrokiem. – Przestań się gapić i chodź za mną, gburze. Mamy dużo do zrobienia, zanim znowu spotkam się z moją przyszłą panną młodą.

\*\*\*

Theron Pielgrzym przyzwyczał się do podróżowania w towarzystwie chłopca i jego tajemniczego zakapturzonego pana. Każdego wieczoru chłopak dbał o to, żeby mężczyzna się najadł, po czym siadał przy Theronie, by samemu zjeść kolację w milczącym pośpiechu. Nie było w tym nic dziwnego. Mężczyzna w kapturze odzywał się tylko do chłopca, ten zaś bardziej przypominał oswojone zwierzątko niż dziecko i posługiwał się słowem tylko wtedy, gdy było to niezbędne. Theron należał do ludzi towarzyskich, dlatego wytworzyła się między nimi słaba nić porozumienia... ale pieniądze były dobre. Bardzo dobre.

Na Gościńcu Marrinswalk aż do Oscastle można było spotkać innych podróżnych, lecz potem, gdy już zostawili za sobą mury miasta, droga niemal opustoszała. Spotkali zaledwie kilku ludzi przy drodze między granicą Marrinswalk a pierwszą miejscowością w Marchii Południowej, za to usłyszeli wiele opowieści o chaosie, jaki zapanował na północy.

– Bandyci? – zapytał pewien podróżny, który zatrzymał się, by spożyć posiłek w ich towarzystwie. Był to wędrowny kupiec jadący wozem z dwoma pomocnikami, który dorzucił do potrawy trochę suszonej fasoli i kaszy. Theronowi udało się rano złapać w sidła królika, tak więc aż do tego momentu był to wesoły wieczór. – A, tak, nie brakuje bandytów między tymi ziemiami a Zatoką Brenna, ale to wasz najmniejszy problem.

– Najmniejszy, powiadasz?

– Tak bym powiedział. Chociaż łupią, kogo się da, i zabierają, co im się podoba.

– To jak sobie z nimi poradziłeś? – zapytał Theron.

– Zapłaciłem im oczywiście – odparł kupiec i roześmiał się. – To są bandyci, a nie szaleńcy. Na swój sposób ludzie interesu. Niech Honnos się zlituje, zadbałem o to, żeby się dowiedzieli, że będę tędy przejeżdżał co dekanox i zapłacę im w obie strony. Każdy przejazd kosztuje mnie



dwa srebrniki, ale moja skóra jest warta tyle, a nawet więcej. Radzę wam zrobić to samo.

Theron pomyślał o złocie, które dostał od zakapturzonego mężczyzny. Nigdy wcześniej nie miał tyle pieniędzy. Zastanawiał się, jakie jest prawdopodobieństwo, że bandyci zechcą przeszukać jego rzeczy. Gdzie mógłby ukryć tyle złota?

– Mówiłeś, że bandyci to nasz najmniejszy problem. Nie ma innej drogi do Marchii Południowej?

Kupiec spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Do Marchii Południowej? Człowieku, w głowie ci się pomieszało, że chcesz tam jechać? Wiesz, co się stało?

– Wiem, że po wielu latach spokoju z północy znowu przyszli czarodziejscy ludzie. Wiem, że oblegają miasto i zamek.

– Mówisz, jakby to nie było nic wielkiego, bracie pielgrzymie! – Kupiec pokręcił głową i kazał jednemu ze swoich służących przynieść jeszcze piwa. Gościnnie kazał też nalać kolejny kufel dla Theron, a potem spojrział na jego milczącego klienta i uniósł pytająco brew.

– Może się napije. Dziwny gość, może przyjąć poczęstunek albo nie.

– Nieważne. – Kupiec kazał młodemu pomocnikowi nalać piwa i zanieść mężczyźnie w kapturze. Ten przyjął kufel bez słowa, nawet się nie odwrócił, by wyrazić podziękowanie. – Nieważne – powtórzył kupiec jakby trochę poirytowany.

– Powiedz mi, co masz na myśli, panie – zwrócił się do niego Theron. – Nie miałem zbyt wielu okazji dowiedzieć się, co nas czeka w drodze. Widziałeś czarodziejskich ludzi? Jacy oni są? Zagrażają uczciwym podróżnym?

– Niektórzy twierdzą, że czarodziejscy pożerają uczciwych podróżnych – odparł kupiec i uśmiechnął się ponuro. – Ale nie spotkałem nikogo, kto by potwierdził, że taki los spotkał kogoś z jego znajomych. Inaczej rzecz się ma z bandytami. Ich spotkałem, a jakże. Spotkałem też takich, którzy nie dogadawszy się z nimi, zostali obrabowani i pobici. Niektórzy stracili kompanów. Bandyci na tym pustkowiu są okrutni i zdesperowani.

– Och, niech nas Trzej mają w opiece! – rzucił przestraszony Theron. – Nie można ich ominąć? Objechać?

– Mądrze zrobisz, jeśli zawrócisz do Oscastle albo tam, skąd przybyłeś – powiedział kupiec surowym tonem. – Jeśli nie możesz tego zrobić, musisz wybierać między bandytami a czarodziejskimi ludźmi. Bandyci trzymają się dróg. Chcąc uniknąć spotkania z nimi, musisz pojechać przez Lipowy Las, a tam... kto wie, kogo napotkasz.

– Widziałeś czarodziejskich ludzi? – powtórzył pytanie Theron. – Jak wyglądają? Są bardzo zawzięci?

Kupiec pokręcił głową.

– Trzymałem się traktu, więc nie widziałem zbyt wiele niezwykłych rzeczy, ale wystarczająco dużo. Jeźdźców na zboczu wzgórza, ubranych tak jak za dawnych czasów, w zbrojach lśniących w blasku księżyca. Grupę nagich kobiet biegnących przez łąkę o północy, w miejscu, w którym nie pokazałaby się żadna pani, a co dopiero żeby biegła nago. Tak, widziałem trochę dziwów, pielgrzymie, a słyszałem o rzeczach, których nie chciałbym zobaczyć. I jeszcze sny, które nachodzą człowieka w tych dniach, kiedy podróżuje na północy... Noc w noc budziłem się zlany potem, czasem z krzykiem na ustach, tak że pomocnicy przybiegali w przekonaniu, że ukąsił mnie wąż albo zmogła śmiertelna gorączka. Wśród wzgórz i w leśnych ostępach słysząc echa i widząc poruszające się cienie, choć nie ma światła...

– Wystarczy! – przerwał mu Theron i zadrżał. – Dość tych opowieści, dziękuję ci. Już tutaj boję się zostać na noc, a nie chcę myśleć, co będzie dalej.

– Nie wszystko jest tam takie straszne – odezwał się nieoczekiwanie kupiec ze wzrokiem utkwionym w ognisku. – Czasem... było... jakieś piękno w tym, co widziałem... czy też prawie widziałem...

Lecz Theron nie miał ochoty poznawać dziwnych rodzajów piękna i zaczął rozmyślać o tym, kiedy by tu zawrócić.

\*\*\*

Chłopak, jak się Theron wreszcie dowiedział, miał na imię Lorgan. Imię było connordzkie, choć chłopak twierdził, że mieszkał w Oscastle.

– Jak to się stało, że podróżujesz z tym człowiekiem, chłopcze? – zapytał Theron którejs nocy podczas kolacji. W porównaniu do posiłku

spożytego w towarzystwie kupca ta potrawka była o wiele skromniejsza, bardziej przypominała owsiankę, bo mieli tylko trochę suszonych ryb, by nadać jej jakiegoś smaku, ale strawa była ciepła, a ogień dawał jasne światło, co nie było bez znaczenia, gdy się siedziało w leśnej głuszy pół dnia drogi od Gościńca Południowego.

– Mówiłem ci. Poprosił mnie o to. – Chłopak wybrał z naczynia piętką chleba trochę potrawki.

– A mama i tata? Nie mieli nic przeciwko temu?

– Nie żyją.

– Co się stało?

Lorgan spojrział na niego zdziwiony, jakby uznał za dziwny obcy zwyczaj to, że ktoś wypytuje dziecko o rodziców.

– Gorączka ich zmogła.

Wydobywanie odpowiedzi od chłopaka przypominało próby podnoszenia wiadra piórkiem.

– A ty? Gdzie potem mieszkałeś?

Lorgan wzruszył ramionami.

– A on... – Theron skinął głową w kierunku zakapturzonego mężczyzny, który jak zwykle siedział na uboczu, z głową opuszczoną nisko na kolana, jakby spał, choć z tej odległości Theron słyszał, jak mamrocze coś cicho – ...zapłacił ci, żebyś z nim poszedł? Żebyś mu pomógł?

Chłopak powtórnie wzruszył ramionami.

– Powiedział, że potrzebuje oczu i uszu. I kogoś, kto będzie mówił głośno w jego imieniu, ponieważ ma zniszczone gardło.

– A co mu się stało? Mówił ci? – Obcy nie wystawiał nawet skrawka skóry spod szaty i Theron trochę się bał, że pomimo zapewnień może być zarażony trędem.

– Umarł. Tak mi powiedział. – Lorgan wyskrobał resztki potrawki z garnka i oblizał palce, niespokojny jak zwierzę gotowe się oddalić, gdy już się pożywi.

– Skoro teraz żyje, to nie mógł umrzeć. Tak się nie zdarza. Nikt nie wraca z martwych z wyjątkiem Sieroty. Nikt tego nie potrafi.

– Bogowie potrafią – odpowiedział chłopak, zlizując z warg i podbródka resztki jedzenia, by nic się nie zmarnowało.

– Chyba nie próbujesz mi powiedzieć, że on jest bogiem?

– Nie. Ale może go ożywili? Bogowie mogą robić, co im się spodoba. – Chłopak jeszcze raz wzruszył ramionami i oddalił się, by porzucać kamieniami w pnie drzew.

Theron musiał przyznać, że chłopak nie powiedział niczego niezgodnego z prawdą – bogowie z pewnością mogą robić, cokolwiek zechcą. Wydawało się jednak, że na pomaganiu śmiertelnikom specjalnie im nie zależy.

\*\*\*

Zaraz po tym, jak przekroczyli granicę Marchii Południowej w dolinie Aulas, gdzie las zgęstniał tak bardzo, że słońce ukazywało się już tylko przed południem i niedługo potem zniknęło, Theron pielgrzym po raz pierwszy zobaczył prawdziwych czarodziejskich ludzi. Nie było jeszcze całkiem ciemno, a on wracał z mokrymi butami w rękę i naręczem korzeni ślazu, których nakopał na brzegu strumienia, gdy dostrzegł, że coś przecięło leśny dukt przed nim. Na pierwszy rzut oka postaci wydawały się normalne, dlatego przez chwilę nawet się nie zastanawiał, dlaczego procesja ubranych na czarno ludzi idzie powoli leśną drogą w głębi północnego Lipowego Lasu. A zaraz potem zorientował się, że ci ludzie nie są więksi niż dzieci i sięgają mu może do pasa, i poczuł dreszcz na plecach. Idący ubrani byli w czarne płaszcze i dziwne kapelusze z szerokimi rondami, a tuż za nimi pojawił się wóz ciągniony przez dwa czarno-białe odyńce – karawan pogrzebowy, na którym wieziono nieprzyjemnie wyglądającą drewnianą skrzynię. Dziki zatrzymały się, węsząc przy ziemi, a woźnica, ubrany tak samo jak pozostali, spojrzął na Theron. Twarz małego mężczyzny, blada i okrągła, była za duża w stosunku do reszty ciała. Theron z trudem powstrzymał mimowolne oddanie moczu. Był przekonany, że jeśli ten człowieczek wykona jakikolwiek ruch w jego stronę, to on padnie trupem, lecz woźnica patrzył na niego przez chwilę obojętnym wzrokiem, a potem szarpnął lejcami, by przywołać do porządku chrząkające wierzchowce. Wkrótce potem kondukt żałobny, jeśli rzeczywiście był to kondukt, zniknął w lesie.

Theron wrócił bezpiecznie do obozu, lecz wciąż się trząsł.

\*\*\*

Strażnicy, którzy towarzyszyli lordowi protektorowi i Tinwrightowi w ich tajemniczej wyprawie poza mury rezydencji, byli rośliymi mężczyznami o zaciętym wyrazie twarzy z odyńcem i włóczniami na płaszczach, herbem Tollych – osobista straż Hendona. Matta jeszcze bardziej zaniepokoił fakt, że, jak się wydawało, Tolly prowadził ich małą procesję do miejsca, w którym zginął Okros, do krypty Eddonów w pobliżu kaplicy Erivora.

Tinwright nie lubił cmentarzy. W dzieciństwie mieszkał obok jednego w Wharfside, przez co dręczyły go koszmary – kamienne grobowce podobne do małych domków niezmiennie kierowały jego myśli ku ich mieszkańcom, a opowieści ojca o czasach, kiedy ulewy wymywały kości z cmentarza na główną ulicę miasteczka, tylko pogarszały sytuację. Teraz jednak poeta nie miał wyjścia, musiał iść dalej.

Zastanawiał się, dlaczego wchodzi do krypty od zewnątrz, przez oficjalne wejście, zamiast bezpośrednio z kaplicy Erivora, wąskimi schodami, z których korzystała rodzina, by złożyć kwiaty na grobach albo pobyć z dawno zmarłymi przodkami.

– Daj mi pochodnię. – Hendon wyciągnął rękę i wziął płonąca żagiew od jednego ze strażników. – Poeto, ty nieś lustro.

Kolejny strażnik wręczył mu dość ciężkie zawiniątko. Skwapliwie, pomyślał Tinwright. Schody prowadzące do krypty były wąskie i zaskakująco strome, dlatego musiał bardzo uważać, by zachować równowagę. Gdy już stanął na dole, najdłużej jak się dało, starał się nie patrzeć na miejsce, gdzie leżał Okros, lecz Tolly najwyraźniej właśnie tam zmierzał. Tinwright z ulgą zobaczył, że już usunięto ciało medyka.

Protektor wsunął pochodnię w uchwyt, po czym odebrał od poety zawiniątko i rozwinął.

Matt Tinwright był zbyt przestraszony podczas poprzedniej wizyty w krypcie, żeby się dokładniej rozejrzeć. Kamienne wykończenia były surowe, lecz gustowne, wzdłuż ścian widniały nisze, a w każdej

znajdował się sarkofag. Oprócz wyjścia prowadzącego na górę do kaplicy były tam co najmniej jeszcze jedne drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do dalszych części katakumb.

Ojciec Tinwrighta powiedział mu kiedyś, że królewska krypta w pałacu Broadhall w Tessis słynęła ze swojej wielkości i okazałości, dlatego nazywano ją „podziemnym pałacem”. Miała tyle ustronnych kącików i zakamarków, że stała się nawet miejscem schadzek zakochanych par. Tinwright teraz pomyślał, że zakochanej parze nie zrobiłoby większej różnicy, gdyby się spotkała, żeby sobie pogruchać, w krypcie Eddonów albo w sklepie rzeźnika. Miejsce to nosiło piętno ponurej strony connordzkiego pochodzenia rodziny panującej. W tej mrocznej kamiennej komnacie śmierć nie wydawała się początkiem wspaniałego życia pozagrobowego, a jedynie końcem tego doczesnego.

– Jest. – Tolly odwinął lustro i postawił na jednym z kamiennych pomników, opierając je o ścianę. Nie było to zwykłe zwierciadło. Przede wszystkim było lekko, lecz zauważalnie wypukłe. Jego ramę zaś z pewnością wielokrotnie malowano ciemnymi farbami, przez co jej rzeźbione zdobienia uległy zatarciu i teraz przypominała raczej dziwną roślinę niż drewnianą konstrukcję. – Czas na twój występ, poeto.

– Ale... co mam robić? – Czy istnieje choćby najmniejsza szansa na ucieczkę? Choć Hendon Tolly jest szybki, to przecież potrzebowałby przynajmniej kilku chwil, żeby dobyć miecza – jak wysoko w tym czasie Tinwright zdołałby wbiec po schodach? A strażnicy, czy staraliby się go zatrzymać? A jeśli Tolly by ich zaalarmował? Czując nieprzyjemne sensacje żołądkowe i ucisk w piersi, poeta uznał, że nie odważy się zaryzykować. Może Okrosowi nie dopisało szczęście. Może wydarzy się coś, co odwróci uwagę lorda protektora, i wtedy nadarzy się okazja do ucieczki.

Tolly podszedł bliżej i mimo że Tinwright był od niego wyższy, poczuł się, jakby patrzył na Hendona z dna głębokiego dołu.

– Słuchaj uważnie, ty bezrozumny pleciuchu. Muszę się dowiedzieć, czy możesz zastąpić tego martwego głupca Okrosa w rytuale przywołania. Przesilenie letnie jest tuż-tuż. Jeśli nie uda ci się otworzyć drogi do krainy bogów, będę musiał znaleźć kogoś innego. Wtedy oczywiście staniesz się dla mnie bezużyteczny, tak więc jeśli chcesz

jeszcze trochę pożyć, spisz się dobrze. – Hendon Tolly podał mu księgę oprawioną w garbowaną skórę, a Tinwright spojrział na nią z przerażeniem. – Otwórz, ty tchórzliwy głupku – warknął Tolly. – Oprawiono ją w krowią, a nie ludzką skórę. To księga Ximandra, nawet ty musiałeś o niej słyszeć. Otwórz ją!

Choć niechętnie, poeta wykonał polecenie. Dawno już nie czytał w starożytnej hierosolinie, lecz jego ojciec nauczyciel dopilnował, by syn potrafił czytać stare księgi. Gdyby nie był taki przerażony, mogłoby to być całkiem ciekawe doświadczenie – poeta słyszał o księdze Ximandra i jego dziwnych przepowiedniach i opowieściach, lecz nigdy jej nie widział. Nosiła tytuł *Kompendium rzeczy prawdziwych spisane piórem Ximandrosa Tetramakosa*.

– Patrz – rzekł Tolly. – Pokażę ci stronę. Przeczytasz tylko i nic więcej, aż powiem ci, co dalej.

– Mam czytać głośno?

– Tak, głupcze. Przecież nie oddajesz się lekturze dla przyjemności, tylko po to, żeby przywołać boginię.

– Boginię...? – Tinwright przełknął głośno ślinę. Czy Tolly mówi poważnie? Naprawdę sądzi, że może przemawiać do bogów, jakby był jednym z onirów, świętych wyroczni, które przekazują słowa bogów czekającemu światu? Lecz wieszczce to ludzie błogosławieni, ulubieńcy bogów, tak czyści i pobożni, że mogą dotknąć woli samych niebios. Hendon Tolly zaś jest mordercą, gwałcicielem, uzurpatorem.

Tinwright tylko tak pomyślał.

– Przeczytać to, panie? – Ku swej rozpaczy zobaczył, że tekst wcale nie jest napisany w starożytnej hierosolinie, lecz w jakimś dziwnym języku, którego nigdy wcześniej nie widział. – Nie znam tych słów...

– Przestań się mazgać – skarcił go Tolly. – Przeczytaj najlepiej, jak potrafisz, z sensem. Nie mówisz po to, żeby oczarować jakąś pustogłową dzierlatkę, lecz by wypowiedzieć słowa mocy.

Tinwright odchrząknął. Wydało mu się, że kamienne ściany nachylają się ku niemu i może nawet dusze zmarłych członków rodziny królewskiej przyglądają mu się z niechęcią, lecz on wiedział, że nie pozostaje mu nic innego, jak odczytać głośno bezsensowny tekst dla Hendona Tolly’ego.

*Vea shen goarubilir sheyyer gelameian o goh en duyak paraasala in ichinde ionet gizhli vea SYA yeldi goh buk vea shen goarmelimis vea bagh! O buk iscah bir goabegi...*

Kiedy Tinwright czytał, zaczęło się dziać coś dziwnego. Słowa inkantacji Ximandra wypowiedane w jakimś trudnym do wyartykułowania starożytnym pustynnym języku, powoli stawały się coraz bardziej znajome, niczym melodia z dzieciństwa, aż wreszcie Matthias Tinwright zaczął rozumieć, co mówi, jakby podczas czytania język księgi zmienił się w jego ojczystą mowę.

*I Ty nakazałeś, aby to, co widzialne, odłączyło się od tego, co niewidzialne, w najniższych częściach, i SYA przeniknęła wszystko, co było, a Ty to ujrzałeś! Z jej łona zrodziła się wielka świetlistość...*

Światło pochodni przygasło gwałtownie, jakby ktoś wyjął ją z uchwytu i oddalał się z nią. Tinwright poczuł, że opada do przodu, nie na lustro, które wciąż stało przed nim niczym okienna rama, niemniej jednak miał wrażenie spadania, niemal zupełnie pozbawiony fizycznych odczuć, z myślami skupionymi na odbiciu własnej twarzy w ciemnym zwierciadle.

Tylko że obraz w lustrze się zmieniał, jak zauważył poeta. Poczul strach. W jakiś sposób ściany krypty niemal zniknęły, choć wydawało mu się, że widzi je niewyraźnie. Podłogę zastąpił dywan z zielonej trawy, z którego wyrastał guzowaty, lecz smukły szary pień. To było drzewo migdałowe z gałęziami obsypanymi białymi kwiatami podobnymi do małych gwiazd.

Na niebiosa, to Zoria, uzmysłowił sobie. Wzywamy Zorię! Jedyne strach powstrzymywał go tak długo przed uświadomieniem sobie tego. Migdałowiec ją wyobraża, pierwszy kwiat wiosny – świt roku.

Ale dlaczego? Co za szalone świętokradztwo załęgło się w głowie Hendona Tolly'ego? Mówił coś o poślubieniu bogini, ale czy nawet taki szaleniec mógłby uwierzyć, że może zdobyć względy i poślubić dziewczę, córkę Perina? Błuznierstwo!



Niczego to nie zmieniło. Matt Tinwright, który czytał inwokację, wydawał się niemal inną osobą niż ten, w którego umyśle rodziły się te pełne strachu myśli. Ogród widoczny w lustrze przed nim był jak sen, odległy nawet w miejscach, gdzie znajdował się blisko. Już nie czuł, że wypowiada słowa z księgi Ximandra, mimo że nieprzerwanie płynęły z jego ust. Słyszał je niewyraźnie, jakby ktoś szeptał je za nim.

Coś białego sfrunęło i usiadło na najbliższym konarze migdałowca, coś miękko opływowego jak mała łódź, lecz żywego, z jasnym okiem i miękkimi piórami. Gołębica, święty ptak Zorii.

– A teraz sięgnij po nią – wyszeptał Hendon Tolly. Jego głos zdawał się niesiony do uszu Tinwrighta przez długą wietrzną dolinę. – Siegnij! Okros twierdził, że należy złożyć ofiarę, by móc otworzyć drogę – zawsze potrzeba ofiary!

Tinwright nie chciał tego zrobić – wrażenie, że lustro stanowi wejście albo okno, umocniło się w nim, a przejście to prowadziło do miejsca, do którego nie należał – mimo to poczuł, że jego ramię się wyciąga, palce rozsuwają, a dłoń zbliża do zimnej powierzchni lustra...

...i przez nią przechodzi.

Na chwilę Tinwright zatracił poczucie miejsca – z zewnątrz lustra sięgnął do wewnątrz, z wnętrza lustra sięgnął na zewnątrz... już sam nie wiedział. Poczuł chłód pełznący wzdłuż dłoni, zimno tak przejmujące, jakby wsadził rękę do lodowatego górskiego strumienia.

Wydawało się, że Hendon Tolly wciąż do niego mówi. Jeśli nawet, to uszy Tinwrighta już go nie słyszały, w przeciwieństwie do ręki. Jakby żyjąc własnym życiem, wysunęła się w stronę gołębicy, która schowała łebek pod skrzydło. Kiedy jego palec objęły delikatną szyję ptaka, nagle zrozumiał, co robi. Chciał przestać, lecz dłoń poruszała się wbrew jego zamiarom, jakby już nie należała do niego. Próbował krzyknąć, spłoszyć ptaka, lecz inkantacja płynęła dalej, niesiona jego głosem, i żadne inne słowa nie padły z jego ust. Zamknął oczy, lecz wciąż czuł przerażającą kruchość szyi gołębicy, gdy ją ścisnął, i straszny odgłos miażdżenia. A potem, kiedy próbował wściekle się bronić przed tym, co go opanowało, poczuł, że coś się zmienia w miejscu, w którym rósł migdałowiec.

Gołębica nie była już jedyną istotą poza nim we wnętrzu lustra.

Lecz podobnie jak wcześniej nie był w stanie powstrzymać się przed skręceniem karku ptakowi, tak samo teraz Tinwright nie był w stanie cofnąć ręki, choć bardzo się starał. Jego głos rozbrzmiewał w języku, który znowu stał się dla niego niezrozumiały, lecz Matt nic potrafił zamilknąć, tak jak nie umiał zapanować nad swoimi mięśniami i stawami. Nie tylko jego ręka była zagrożona; cały, jak rozumiał, był nagi i podatny na oddziaływanie rzeczy, którą przyciągnął, a która płynęła przez świat lustra niczym rekin prujący wody Zatoki Brenna. Cokolwiek to było, jeszcze go nie znalazło.

Jęknął albo przynajmniej spróbował to zrobić. Jego głos ucichł. Starał się zmusić usta do mówienia, próbował krzyknąć do Hendona Tolly'ego, prosić go o pomoc, lecz jego głos wydawał się zupełnie pozbawiony siły. Nie widział już nawet Tolly'ego. Lustro stało się całym jego światem – ciemność spowijająca konar migdałowca, gołębica z przekrzywionym łebkiem w jego dłoni i tylko słaby cień rzeczywistości. A potem nawet te nieliczne znajome mu rzeczy zaczęły się wtapiać we wszechogarniającą ciemność.

Przestraszony, że jego serce tego nie wytrzyma, Matt Tinwright dobył z siebie głos i wycharczał:

– Pomóż mi! – Nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Czuł się tak bardzo odsłonięty, że zapłakał z przerażenia. Tak zapewne czuł się Okros tuż przed... obserwowany, ścigany! – Zarazem był swobodny, jakby niesiony na falach gorączki.

Niespodziewanie odczuł dziwne doznanie pełnące w górę ramienia z zanurzonej w lustrze dłoni ku sercu, dzikie pobudzenie, coś zbyt potężnego, by nazwać to miłością, lecz także zbyt wszechogarniające, by mogło być pożądaniem. Tinwright miał tylko chwilę, by wyczuć przybysza, poczuć jego palącą oszałamiającą moc, zanim został odrzucony od lustra jak rażony piorunem.

Matt Tinwright miał poczucie straszliwej straty, jakby został oddzielony od wszystkiego, co kochał, a potem jego myśli zgasły.

\*\*\*

Gdy odzyskał zmysły, leżał na podłodze krypty Eddonów wpatrzony w plamy cienia, gdzie nie sięgało światło pochodni. Czuł mrowienie w ramieniu, jakby leżał na nim albo moczył je długo w lodowatej wodzie, lecz gdy dotknął go drugą ręką, poczuł z ulgą, że wciąż stanowi część jego ciała. Przewrócił się na drugi bok i ujrzał Hendona Tolly'ego – ale nie takiego, jakiego widział wcześniej. Lord protektor stał przed lustrem, kołysząc się i jęcząc, drżał w bólu ekstazy. Strażnicy przyglądali się, pobladli i przerażeni, jak ich pan tańczy w uścisku niebios.

## Bitwa pod Targowiskiem Kleaswell

*Jedna z kobiet należąca do bandytów  
pożalowała małego Adisa i go nakarmiła.  
Któregoś dnia razem ze swoim mężczyzną  
zabrali chłopca i uciekli...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

W miarę jak zbliżali się do Marchii Południowej, nastrój Briony się pogarszał. Co innego mówić o odzyskaniu tronu na dworze w Tesis, w otoczeniu próżniaków i dworzan, z których część była po jej stronie – albo przynajmniej udawała, że jest – a czym innym rzeczywiste działanie. Bez względu na dobre chęci księcia Eneasza wplątała syna najpotężniejszego króla na Eionie we własną wojnę bez zgody jego ojca. Nawet przy najlepszych intencjach, jakie szanse miał Eneasza na odbicie zamku otoczonego wysokimi murami, posadowionego na skale na środku zatoki, bez okrętów i z niecałym tysiącem ludzi?

– Nie frasuj się – rzekł książę. – Jedziemy tam, by zobaczyć, jak się rzeczy mają, a dopiero potem zajmiemy się taktyką. Twój ojciec był znany ze swojej mądrości, na pewno cię nauczył, żeby nie planować, zanim nie sprawdzisz terenu i warunków...

– Jest – przerwała mu. – Wciąż jest. Wiem, że on żyje, wiem to!

– Oczywiście, księżniczko. – Oblicze Eneasza wyrażało szczery ból.

– Nie chciałem... źle się wyraziłem...

– To nie twoja wina. – Pokręciła głową. – Czasem też tak mówię, a nawet myślę. Tak dawno go nie widziałam! Mój przyjaciel Dowan wyraził pewność, że zobaczę ojca, przynajmniej raz... – Musiała zamilknąć, by powstrzymać łzy. I tak już pogrążona w ponurych myślach nie mogła znieść jeszcze tej o biednym nieżyjącym już Dowanie.

Książę Eneasza był silny, miły i dodawał jej otuchy. Byłoby łatwo całkowicie oddać się pod jego opiekę, uzyskać obietnicę, że odbije dla

niej królestwo, powierzyć mu wszelkie nadzieje i obawy – ale nie mogła tego zrobić. Podejrzewała, że drzemie w niej jakaś przewrotna siła, ta sama, która tak często kazała jej stawać okoniem wobec doradców czy podwładnych. Nie pozwoliłaby nikomu, nawet komuś tak rzetelnemu jak Eneasze – zwłaszcza komuś takiemu – by niósł jej brzemię. Z trudem przyszło jej zwrócić się do Daweta dan-Faara, by zajął się sprawami, których nie mogła czy nie chciała sama załatwić, ale on przynajmniej nie traktował jej jak dobry wujek. Nawet wyraził podziw dla jej uporu.

Mimowolnie zastanawiała się przez chwilę, jakim mężem byłby ten niebezpieczny Dawet. Pewnie by się domagał wolności dla siebie, ale i jej dałby pewną swobodę...

A Ferras Vansen? Czy jest tak nieśmiały, jak się wydaje? Pamiętała, że zawsze unikał jej spojrzenia. A może tylko sobie wyobraziła, że coś do niej czuje? Ale przecież były chwile – jasne, intensywne, kiedy ich spojrzenia się spotykały i była pewna, że wyrażały coś... Wtedy do końca tego nie rozumiała, ale wiedziała, że się nie myli. Od tamtego czasu dojrzała i nauczyła się ufać odczuciom. Problem polegał na tym, że nie miała pewności, co myśli o Vansenie i czy jest stosowne to, że w ogóle o nim myśli. W końcu pochodził z ludu, a zatem nie mieli przyszłości.

Tak więc zatoczyła koło i wróciła, trochę znużona, do Eneasza, który zasługiwał na coś więcej. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie jest mu obojętna i że byłaby z nich dobrana para. Dlaczego więc zastanawiała się, patrząc na niego – wysokiego, przystojnego, męskiego i swobodnie szarmanckiego – czy jest nim aż tak zachwycona?

Każda kobieta w Tesis wyśmiałaby mnie, pomyślała. A potem rozdeptała mnie w wyścigu do niego.

Eneasze bez wątpienia się nie mylił, gdy powiedział, że jego ludzie potrafią się szybko przemieszczać: dziesięć oddziałów piechoty i ponad setka dobrze uzbrojonych rycerzy ze stajennymi i inną służbą dawało prawie tysiąc ludzi, którzy dziennie potrafili pokonać aż dziesięć mil. Lecz nawet po takiej podróży praca Świątynnych Psów nigdy się nie kończyła. Rozbijanie obozu było istną harówką. Żołnierze byli zorganizowani w dziesięcioosobowe grupy namiotowe, zgodnie z hierosolską tradycją, a każda dbała o jedzenie dla siebie, wyznaczała

wartowników i kopała odcinek rowu obronnego wokół obozu, co robiono każdego wieczoru bez względu na to, czy zatrzymano się na skraju małej syańskiej wioski, czy za murami dużego miasta albo – tak jak teraz – na pełnym pustkowiu.

Briony tego nie rozumiała, lecz Eneasze szybko jej to wyjaśnił.

– Jeśli ich pożałuję i któregoś wieczoru nie każę kopać rowu, i nie stanie się nic złego, to pomyślą, że to wcale nie jest konieczne, i później będą się zżymać, że każę im to robić. Lepiej, żeby było to dla nich tak oczywiste jak oddychanie, prawda, Mironie?

– Tak, Wasza Wysokość – odpowiedział porucznik, przytakując gorliwie. – Księżę Veryonu został zaskoczony przy moście Potmis i stracił prawie całą armię.

Briony nie znała za bardzo militarnej historii Syanu, ale zrozumiała, co księżę miał na myśli.

Żołnierze musieli też piec chleb, przynosić wodę i brać udział w losowaniu kolejności trzymania straży, a wszystko to, zanim położyli się spać. Przy tylu obowiązkach i marnych szansach na jakąkolwiek rozrywkę w tej części kontynentu należało pochwalić Eneasza i jego generałów, że wojsko zachowało taką tężyznę zarówno fizyczną, jak i moralną.

Dlaczego więc jestem taka głupia? – zastanawiała się Briony. Dlaczego nie mogę pokochać Eneasza? Czy w ogóle miłość jest potrzebna? Ojciec poznał mamę, dopiero gdy ustalono, że się pobiorą, i choć zmarła przy naszym porodzie, do dzisiaj ją oplakuje.

I tak wojsko szybko przemaszerowało ze syańskiej granicy przez róg Silverside i dalej na zachód od handlowego miasta Welon Onsilipii, by wkroczyć do Marchii Południowej. Briony nie znała dobrze tej części swojego kraju, krainy żelaza, miedzi i węgla, jak uczył ją ojciec, z kopalniami wśród wysokich wzgórz, pastwiskami pełnymi owiec na zachodzie i pofałdowanymi wzgórzami porośniętymi trawą, gdzie zwierzęta domowe znacznie przewyższały liczebnością mieszkańców, a tamtejsi zagrodnicy i pasterze dostarczali wełny dla północy. Teraz ziemie te wyglądały, jakby spustoszyła je wichura, która wywiała nawet ludzi, pozostawiając puste domy, stodoły, obory i leżące odłogiem pola. Qarowie, którzy przybyli zza Granicy Cienia, przechodzili jakąś milę

albo dwie bardziej na zachód, mimo to ich przemarsz niszczył niczym plaga.

Najsmutniejszym i najbardziej wymownym śladem exodusu mieszkańców była lalka ze słomy, bardzo zręcznie zrobiona, którą Briony znalazła przy drodze. Wydała jej się tak żałośnie zapomniana na usianej kamieniami łące, że księżniczka zsiadła z konia i ją podniosła.

Lalka miała oczy z drewnianych guzików; brakowało jednego, a kukielka spłowiła od deszczów, ale pozostała cała. Z pewnością była czymś skarbem, ubrana w ładnie uszytą sukienkę, w kapelusiku na głowie, z włosami ze złotej nici – ładna miniaturka damy dworu. Tylko odjeżdżająca w pośpiechu rodzina mogła zgubić taką rzecz i nie wrócić, by jej poszukać. Briony wyobrażała sobie dziewczynkę, która pewnie wciąż płacze wieczorami po stracie lalki.

\*\*\*

Mijały kolejne wiosenne dni, a oni jechali przez Marchię Południową w kierunku Gościńca Settlandzkiego, który miał ich zaprowadzić na wschód do Zatoki Brenna. Pod koniec pierwszego dekanoksu miesiąca Hexamene dotarli do Candlerstown, pierwszego miasta zaatakowanego przez czarodziejskich ludzi. Niewiele z niego zostało; mury w kilkunastu miejscach zostały powalone, wydawać by się mogło, że niemal z beztroską złośliwością, tak jak chłopiec mógłby zburzyć nogą zamek z piasku zbudowany przez kolegę, zanim pobiegł do domu na kolację. Lecz poczerniałe ruiny domów, przetykane trawą, która zaczęła wyrastać na niegdyś zadbanych ulicach, by pokryć zwęglone szkielety delikatną zieloną siecią, świadczyły o złośliwości, która wcale nie była beztroska. Kiedy zostawili za sobą zrujnowane Candlerstown, Briony poczuła, że drży, jakby owiana zimowym chłodem. Syańscy żołnierze, dla których Qarowie jak dotąd byli czymś abstrakcyjnym, także maszerowali z szeroko otwartymi oczami i wyrazem niepokoju na twarzach, którego nawet Eneasze nie potrafił do końca ukryć.

– Ci czarodziejscy to potwory – powiedział, kiedy już rozbili obóz tamtego wieczoru daleko od spalonego martwego miasta. – Gorsci niż potwory.

– Tak, gorsi, ale tylko dlatego, że są tak samo mądrzy jak my, a może nawet mądrzejsi. – Przypomniała sobie opowieść kupca Raemona Becka, który opowiadał o tym, jak czarodziejskie istoty pojawiły się niemal znikąd. – Nie lekceważ ich, Eneasz. To nie są zwierzęta.

W ciągu kolejnych dwóch dni skierowali się na wschód i jechali przez tereny Dale. Któregoś wieczoru wcześniej rozbili obóz w dolinie rzeki, by dać żołnierzom możliwość wykapania się, lecz także dlatego, że wąskie wyjście z doliny prowadzące do następnej niecki kazało Eneaszowi zachować ostrożność: przesmyk idealnie nadawał się na zasadzkę i byliby niemal całkowicie bezbronni wobec strzał czy kamieni zrzuconych z góry.

Pierwszy oddział zwiadowców wrócił w pośpiechu, wyraźnie podekscytowany, tak że sierżanci Świątynnych Psów – nazywani penturionami, także według hierosolskiego zwyczaju – z trudem utrzymali porządek wśród swoich ludzi zajętych rozbijaniem obozu.

– Walka, panie – poinformował Miron, zebrawszy raporty od zwiadowców. – Na drugim końcu następnej doliny było miasteczko na okolicznych wzgórzach, otoczone solidnym murem, ale niewiele z niego zostało. Zdaje się, że zburzyli je czarodziejscy. Wciąż tam są i walczą z ludźmi na drodze.

– Targowisko Kleaswell – powiedziała Briony i poczuła, że jej serce bije mocniej. Wcześniej myślała, że jest gotowa stanąć twarzą w twarz z Qarami, i oto nagle poczuła, że chyba nie do końca. – Tak się nazywa to miejsce. Ludzie zjeżdżają tam z całej okolicy na targ. To znaczy kiedyś przyjeżdżali...

– Ilu po obu stronach? – zapytał Eneasz.

Miron zastanawiał się przez chwilę.

– Wygląda na to, że jedni i drudzy nie stanowią większej siły, Wasza Wysokość, chociaż nie mamy pewności. Zanim zwiadowcy tam dojechali, zaczęło się ściemniać, a nie chcieli podchodzić zbyt blisko, żeby ich nie zauważyły te gobliny. Mówiłeś, że widzą z daleka.



– Dobrze. Dzisiaj już nic nie zrobimy. Rozstaw warty i wyruszymy przed świtem. W ten sposób będziemy mieli okazję podejść blisko, zanim słońce wyjdzie zza wzgórz.

Tamtego wieczoru Briony szybciej skończyła kolację, którą jadła w towarzystwie Eneasza i oficerów, i wróciła do namiotu. Nie miała apetytu i była zbyt rozkojarzona, by prowadzić rozmowę. Jej towarzysze, ogromnie podekscytowani, i tak nie poświęcali jej zbyt wiele uwagi. W jej mniemaniu byli jak mali chłopcy – kobiety stanowiły dla nich dość dobre towarzystwo, lecz tylko do momentu, gdy pojawiło się coś naprawdę ważnego. Nawet Eneasza, jak zauważyła, wykazał dziecięcy entuzjazm, rozprawiając żywo o taktyce. Książę nie był głupi i planował ostrożnie, mając na względzie bezpieczeństwo swoich ludzi, mimo to, słuchając jego pełnych ekscytacji wywodów, Briony przypomniała sobie braci, kiedy kłócili się podczas rzucania pierścieniami na słupek.

Nawet przygotowanie się do snu bez pomocy służby, wcześniej czynność zupełnie jej obca, a teraz jak najbardziej naturalna, nie zmęczyło Briony na tyle, żeby szybko zasnęła. Tak więc leżała na posłaniu, które – jak niemal wszystko w obozie – pachniało zwierzętami jucznymi, nasłuchując cichych nawoływań strażników potwierdzających, że nic się nie dzieje. Między kolejnymi takimi wymianami myślała o mężczyznach z jej rodziny, rozrzuconych po świecie albo utraconych bezpowrotnie, i pogrążona w ciemności i samotności namiotu, którego jako jedyna nie dzieliła z nikim, Briony Eddon zapłakała.

\*\*\*

Czarodziejscy ludzie albo w ogóle nie przerwali ataku na czas nocy, albo też podjęli walkę o świcie. Słońce nie wyszło jeszcze nad wzgórze, gdy szańskie wojsko dotarło na koniec doliny i żołnierze ujrzeli zburzone mury Targowiska Kleaswell, lecz przede wszystkim zobaczyli, że tego dnia już wielu zginęło, zarówno ludzi, jak i Qarów.

Obrońcy zajęli pozycję na szczycie niewysokiego wzgórze po przeciwnej stronie drogi, częściowo osłonięci przed strzałami napastników gęstymi gałęziami rosnących tam drzew. Czarodziejscy ludzie, których liczebność, przynajmniej tych widocznych, można było

ocenić zaledwie na kilka oddziałów, przystąpili do oblężenia wzgórza. Początkowo trudno było powiedzieć, czy Qarowie bardzo się różnią od swoich śmiertelnych przeciwników – uwagę patrzącego przyciągały jedynie ich dziwne proporce i równie niespotykane kolory zbroi – lecz gdy Eneasza wydał rozkaz i jego wojsko pospieszyło ku wzgórzu, Briony zaczęła dostrzegać więcej różnic: jeden z dowódców czarodziejskich ludzi w hełmie ozdobionym porożem, jak początkowo sądziła, w rzeczywistości wcale nie miał hełmu. W innym miejscu grupa niedużych człekopodobnych postaci, które, jak się zdawało, były ubrane w długie postrzępione szaty, w rzeczywistości była naga. Wszyscy walczyli zawzięcie, a walka w dziwny sposób wydawała się pozbawiona jakiegokolwiek taktyki. Przypominali stado owadów, które rozumieją się bez słów i wiedzą, co robić, bo kiedy zmieniano sposób walki albo kierunek ataku, robili to wszyscy jednocześnie bez jednego znaku czy słowa komendy.

Atakowani przez Qarów śmiertelnicy zdawali się mieszaniną dobrze uzbrojonych żołnierzy i nieuzbrojonych lub lekko uzbrojonych cywilów – może kupców, gdyż na szczycie wzgórza stały złączone wozy. Nie walczyli pod żadnym rozpoznawalnym sztandarem, lecz Briony zwróciła uwagę na kilka herbów na tarczach i opończach, wszystkie z Kracji. Domyśliła się, że są to najemnicy wynajęci do obrony karawany, tylko dlaczego z tak odległego miejsca? I dlaczego karawana podróżowała przez tak niebezpieczne terytorium? Pewnie zamek jest zaopatrywany głównie z morza, tak jak wtedy, nim Briony go opuściła.

Nie miała czasu na dłuższe rozważania, gdyż w tym momencie czarodziejscy wojownicy chyba zauważyli zbliżające się wojsko Eneasza. W ich stronę pomknęły strzały.

Książę od razu zajęł drogę Briony, oddzielając ją od widocznych w oddali Qarów, i zepchnął na bok.

– Nie możesz narażać życia, księżniczko.

– Potrafię walczyć! – Gdy wypowiadała te słowa, Briony uzmysłowiła sobie, że palnęła głupstwo, ale nie mogła nic na to poradzić. – Ty jesteś księciem, a się nie chowasz!

– Bez ciebie twoi ludzie zostaną sami. Ja mam dwóch braci i ojca, którzy jeszcze długo pożyją. – Jego mina mówiła wyraźnie, że nie

zamierza tolerować z jej strony żadnych sprzeciwów. Chwilę później klepnął mocno w zad jej wierzchowca, by odjechała dalej od drogi, a sam zawrócił i pognął do swoich ludzi.

Qarowie nie czekali beczynn timer. Zanim dotarli do nich pierwsi syańscy żołnierze, zdążyli utworzyć ścianę z włóczni; jedni mieli prawdziwe włócznie i piki, inni zaś dzierżyli długie zaostrzone pale skierowane ku nadjeżdżającym. Briony bała się tak samo o konie, jak i o ludzi, dlatego w chwili ataku awangardy zamknęła oczy. Nie widziała, ale słyszała okrutny trzask łamanych drzewców, rżenie koni i głosy ludzi – czarodziejskich, jak się domyślała, bo nie wyobrażała sobie, by jakakolwiek żywa istota nie wydała okrzyku bólu tak gwałtownie zaatakowana.

Główne siły wojska Eneasza szybko przebiły się przez mur włóczni i zawracały, by zaatakować przeciwnika z drugiej strony. Inni żołnierze i Qarowie zwarli się w niewielkich grupach, tworząc wysepki walk. A bój był zacięty i Briony kilkakrotnie widziała, jak syańscy żołnierze padają, ugodzeni strzałą czy włócznią albo pchnięci mieczem, lecz czarodziejscy ludzie najwyraźniej zostali zaskoczeni i reagowali wolno. Briony nie zauważyła też żadnych magicznych sztuczek, którymi, jak słyszała, Ludzie Zmierzchu posłużyli się na Polu Kolkana i podczas innych starć z wojskiem Marchii Południowej. Próbowwała zrozumieć, co naprawdę się tam dzieje. Jeśli Qarowie wciąż oblegają Zamek Marchii Południowej, to dlaczego zaatakowali karawanę tak daleko na zachód od niego? I w jaki sposób kupcy, którzy wynajęli Kracjan do ochrony, zamierzali się dostać do obleganego zamku, nawet gdyby udało im się dotrzeć na brzeg zatoki? Wszystko to było dla Briony tajemnicą.

Usłyszawszy okrzyk trwogi, odwróciła się i zobaczyła, że z lasu wypadło coś, co na pierwszy rzut oka przypominałoby odyńca albo – co dziwne – byka, gdyby nie to, że istota biegła na tylnych nogach. Miała ogromny kwadratowy łeb i grzbiet szeroki jak jarzmo wołu, do tego dzierżyła coś w rodzaju zakrwawionej maczugi, strasznej broni z kilkoma kamiennymi toporami osadzonymi w szerokim drzewcu. Istota zaatakowała w samym środku wojska Eneasza, wymachując bronią, i od razu wyrzuciła w powietrze kilku ludzi, którzy upadli z boku drogi, okrutnie poturbowani, lecz inni żołnierze ruszyli na napastnika z

postawionymi nisko pikami i otoczywszy go, zaczęli dźgać. Odskakowali, gdy zamachnął się na nich maczugą, a potem znowu atakowali, gdy tylko się odwrócił. Pomimo ogromnej siły istota nie była w stanie uciec przed liczniejszymi przeciwnikami i wkrótce krwawiła z kilku ran. W którymś momencie uniosła łeb i zaryczała z bólu i wściekłości, z dziwną twarzą wykrzywioną grymasem agonii. Później próbowała przerwać krąg żołnierzy, co przypomniało Briony zdarzenie z przeszłości, kiedy to Kendrick i inni polowali na skrzydlatego smoka na wzgórzach Marchii Południowej. Kilka włóczni ugodziło ogromnego czarodziejskiego wojownika, jedna przebiła mu gardło, z którego trysnął strumień jasnoczerwonej krwi. Ogromny stwór zachwiał się i zwałił na ziemię. Żołnierze wydali nabrzmiały przerażeniem triumfalny okrzyk i podbiegli, kłując i kopiąc pokonanego.

Eneasza, który zdążył dołączyć do swoich ludzi, by wziąć udział w ataku, od razu został otoczony przez grupę małych ciemnych istot, które – gdyby nie krótkie miecze – można by wziąć za małpy, lecz jego lanca i miecz, a także bojowy rumak z solidnie podkutymi kopytami pomogły mu poradzić sobie z napastnikami. Syańscy strzelcy, którzy zajęli pozycje na skraju pola walki, zaczęli ostrzeliwać grupę Qarów znajdujących się nieco wyżej na zboczu, zmuszając ich do wycofania się w chwili, gdy wydawało się, że obrona kupców i najemników zostanie przerwana.

Gdy już się wydawało, że Qarom nie pozostało nic innego jak ucieczka albo kapitulacja, na drodze, nie wiadomo skąd, pojawiła się postać na ogromnym siwym rumaku. Czarodziejscy wojownicy ustawili się w półokręgu wokół uzbrojonego jeźdźcy, który, choć nie tak wielki jak olbrzym z maczugą, wydawał się przewyższać śmiertelnika. Jego zbroja miała kolor ołowiu, a twarz była czarna – lecz nie tak jak skóra Shasa czy Daweta lub innych mieszkańców południa, których widziała Briony, lecz jak coś spalonego, na przykład węgiel drzewny albo pogrzebacz z kominka. Za to nigdy wcześniej Briony nie widziała takich oczu: żółto rozjarzonych niczym bursztyn pod światłem. Wojownik dzierżył broń z egzotycznym brzeszczotem z jednej strony i grotem włóczni z drugiej, która bez wątpienia służyła do przebijania zbroi, a

która wydała się Briony jeszcze straszniejsza, gdy księżniczka spojrzała na lekką kolczugę księcia Eneasza.

Księżę, trzeba mu to oddać, nie wahał się ani chwili, lecz spiął konia i ruszył na przybysza, domyślając się, że czarodziejscy wojownicy gromadzą się wokół Qara i zwycięstwo nad nimi, jeszcze przed kilkoma chwilami niemal przesądzone, teraz nie jest już tak pewne. Ze wzgórza spadł deszcz strzał, co wywołało burzę wściekłości ludzi Eneasza, jako że raziły one tyleż Qarów, ile szańskich żołnierzy.

Wojownik o czarnej twarzy ruszył na Eneasza, wymachując energicznie bronią nad głową.

– *Akutrir!* – zawołali Qarowie.

Briony domyśliła się, że to imię wojownika.

– *Akutrir saruu!*

Eneasza i czarodziejski pan spotkali się na środku drogi, roztrącając zarówno ludzi, jak i Qarów, którzy pierzchali niczym przestraszone koniki polne na łące. Ostrze piki czarodziejskiego wojownika wbiło się w tarczę Eneasza, przeszywając białego ogara, i przez długą chwilę walczący nie mogli się rozdzielić; księżę próbował wyrwać tarczę i uderzał mieczem po obuchu broni Akutrira. Czarodziejski wojownik uśmiechał się szeroko – jego ciemna twarz przypominała maskę noszoną podczas Kernejów – błyskając zębami i rozjarzonymi bursztynowymi oczami. Briony otrząsnęła się z wrażenia nowości, któremu poddała się przez chwilę, i poczuła strach. To nie była stara opowieść ani historia z *Księgi Trygonu*. Wiedziała, że choć modliła się gorliwie do Zorii i do Braci Trygonatu, bogowie nie przybędą i ich nie uratują. Wszyscy mogą tu zginąć, przy jakiejś drodze, zabici przez Qarów.

Pojedynek, który miał być starciem dwóch przeciwników, szybko zmienił charakter – czarodziejscy ludzie w pobliżu Eneasza zaczęli go atakować krótkimi włóczniami, nawet gdy odpierał Akutrira. Ludzie księcia włączyli się do walki, by zrównoważyć siły, i wszystko pograżyło się w wirze błyskających brzeszczotów i tumanów kurzu, które, rozmigotane w porannym słońcu, zawisły nad walczącymi.

A potem wszystko się skończyło, równie szybko, jak się zaczęło. Ogromny czarodziejski wojownik wycofał się, a pozostali Qarowie uciekli na wschód, pozostawiając za sobą wiwatujących śmiertelników,

którzy jeszcze przed godziną byli skazani na porażkę. Niektórzy nawet popędzili za Qarami, lecz czarodziejscy ludzie jakby zapadli się pod ziemię, znikając pośród drzew na końcu doliny.

Kupcy i towarzyszący im najemnicy cieszyli się, lecz Świątynne Psy straciły więcej niż kilku ludzi, co nie przysparzało im powodów do radości. Briony miała ochotę się odwrócić, gdy widziała kolejnych zabitych znoszonych przez przygnębionych żołnierzy. Ale nie zrobiła tego, patrzyła, jak rośnie szereg układanych przy drodze ciał. Inni żołnierze zabrali się do kopania grobów.

Ci szańscy żołnierze zginęli za moją sprawę, pomyślała. Towarzysze i bracia Eneasza. Mam u nich dług.

## I wszystkie jego rybki..

*..i przybyli do wielkiego miasta Hierosol.  
Wcześniej Adis został pouczony, żeby udawał  
rannego, co miało wzbudzić współczucie  
zamożnych ludzi. Poznał też inne żebracze  
sztuczki, tak by mógł na sobie zarabiać...*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Barrick obudził się w swojej komnacie w Qul-na-Qar i zobaczył, że czeka na niego kolejny posiłek równie smakowity jak poprzedni – plastry owocu chrupkiego jak jabłko, ale kwaskowatego jak norańcza z Kracji, do tego nieduży bochenek ciemnego chleba, który miał posmak grzanego wina, i dużo masła w miseczce. Wydawało się jasne, że mieszkańcy zamku muszą piec, a inni trzymają krowy i kozy. Barrick miał nadzieję, że masło i ser pochodzą od krów i kóz, bo jeśli nie, to cieszył się, że nie wie nic więcej na ten temat, ponieważ jedzenie bardzo mu smakowało.

Przełknął ostatni kęs chleba, po czym wybrał resztę masła z miseczki i oblizał palce. Poczul się cudownie z pełnym brzuchem, napęłnił go prawdziwym jedzeniem, a nie jakimiś gorzkimi roślinami czy mięsem chudej czarnej wiewiórki, na które polował od czasu przekroczenia Granicy Cienia; marne, pozbawione smaku jedzenia, które jednak w chwilach głodu i niedoli wydawało się wspaniałym daniem.

Chwilę później pojawił się Harsar, jakby mały kłapouchy sługa nasłuchiwał z korytarza, kiedy usłyszy odgłosy świadczące o skończeniu posiłku.

– Ona czeka na ciebie w Komnacie Bramy Snu – oznajmił z silnym akcentem, posługując się nieporadnie mową Barricka. Ten się zdziwił, dlaczego sługa nie porozumiewa się z nim myślami, tak jak królowa. – Zaprowadzę cię tam.

– Gdzie? – Wiedział, zanim wybrzmiało pytanie, jakby ta wiedza była przez cały czas w jego pamięci – komnata z wieloma kolumnami i lśniącem dyskiem, do której przybył ze Snu. Jego serce mocniej zabiło. Saqri mówiła prawdę. Ma jakiś pomysł.

Kiedy wszedł do komnaty, ze zdziwieniem zobaczył, że królowa klęczy z pochyloną głową na środku rozjarzonego perlistym światłem kręgu, jakby się modliła. Zdziwił się też, gdy Saqri wstała i skinęła na niego. Harsar także ruszył w jej stronę.

– Nie, ty musisz zostać, Harsar-so-a – zwróciła się do bezwłosej istoty. – Ktoś musi doglądać zamku pod naszą nieobecność, a nie ma lepszego stróża od ciebie. Będą cię też potrzebowali twoi synowie.

Sługa skłonił głowę, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Jak każesz, pani. – Odwrócił się i opuścił pokój, szybko i bezszelestnie niczym cień sunący po ścianie.

– Dobrze. – Saqri obróciła się do Barricka. – Są tam dwa rodzaje dróg, jak już ci mówiłam. Pierwsze to te stworzone przez samego Szachraja albo przez niego udostępnione. Jedną z nich mamy tu przed sobą. – Pokazała migoczący dysk. – Przejdiesz nią do Snu...

– Przecież to nam nic nie da!

– No właśnie. – Zamknął usta skarcony jej zimnym spojrzeniem. – Istnieją też inne drogi, inne ścieżki, a wiele z nich odkryli sami bogowie, mimo że nie wiedzieli, czym one są ani jak znaleźć lub stworzyć inne. Posłużyli się nimi, tak jak wąż obejmuje w posiadanie norę myszy, nie przyłożywszy się wcześniej do jej wykopania. I tak jak wąż, bogowie czasem pożerali albo niszczyli pierwotnych właścicieli dróg, duchów z wcześniejszej ery, ale to już inna opowieść. W każdym razie istnieją jeszcze drogi prowadzące do domów wielkich bogów, jak Kernios i jego bracia.

Mimo że wiedzie dokładnie do miejsca, którego szukamy, droga do domu Kerniosa jest dla nas niedostępna, ponieważ mamy na sobie zapach Qul-na-Qar, domu wrogów Pana Ziemi. – Spojrzała na Barricka. – Lecz jest inny bóg, który mógłby otworzyć dla nas tę drogę. Twoja rodzina od dawna wierzy, że jesteście potomkami pana morza, Erivora, brata Perina.

– A zatem to prawda? – zdumiał się Barrick.



– Ani trochę – odparła królowa. – Z tego, co ja wiem na ten temat. Przodkowie Anglina byli rybakami, ale potrafili też walczyć i zdobywali trony zarówno rozumem, jak i siłą. Bogowie nie przyłożyli do tego ręki, przynajmniej nie w bezpośredni sposób. – Czyżby dostrzegł cień uśmiechu na jej twarzy? – Lecz twój ród od dawna czci Erivora jako swojego szczególnego patrona i przez wieki składał mu liczne ofiary podczas uroczystości na jego cześć. Może więc cię wysłucha nie dlatego, że w twoich żyłach płynie krew Szachraja, ale dlatego, że jesteś Eddonem.

Barrick miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi.

– Przecież... przecież mówiłaś, że on śpi!

– Sen bogów nie jest taki sam jak sen innych – wyjaśniła. – Przez cały ten czas, gdy twoja rodzina modliła się do Erivora i składała mu ofiary, on spał, od tysiąca lat albo i dłużej. – Teraz Saqri rzeczywiście się uśmiechnęła, co się wyraziło drgnieniem kącika ust. – A zatem pomódl się, Barricku Eddonie. Padnij na kolana i módl się do swojego boga. Poproś, żeby otworzył dla nas drogę.

Czy ona z niego kpi?

– Mam uklęknąć?

Skinęła głową.

– To pozwala na lepszą perspektywę. Pertraktowanie z bogiem wymaga kurtuazji, a ta jest uznaniem mocy – prawdziwej mocy obu stron.

– Tylko że ja nie mam żadnej mocy!

Saqri nie zaprzeczyła.

Barrick opadł na kolana. Mimowolnie zauważył, o ile łatwiej jest mu to zrobić teraz, gdy już nie czuje bólu w niesprawnym ramieniu, i jak jest mu lżej bez siniaków i zadrapań po podróży, które w większości już się zagoiły.

– *Poproś go...* – przemówił ktoś w jego głowie, lecz nie miał pojęcia, czy to głos Saqri, czy jeden z bezcielesnych głosów. – *Poproś pana morza, żeby otworzył drogę...*

Barrick zamknął oczy niepewny, co robić. Wcześniej modlił się tysiące razy, szczególnie w dzieciństwie – och, jakże żarliwie się modlił, prosząc, by ustąpiły koszmary, żeby mógł wyleczyć ramię albo bawić się

tak jak inni – lecz nigdy nie zwracał się z tak niezwykłą prośbą. Próbował przypomnieć sobie rytualne modlitwy odmawiane w święte dni Ojca Erivora, lecz niewiele pamiętał.

– Ojczy Erivorze... – tak zwracał się do boga ojciec Barricka, co brzmiało niemal jak żart. – Niech Ojciec Erivor i wszystkie jego rybki mają nas w opiece! – syczał król w chwilach, kiedy szczególnie zirytowało go zachowanie któregoś z dzieci.

Dlaczego mnie zostawiłeś, bym sam cierpiał, ojczy? Dlaczego? Już to, co zrobił Olin, zrzucając go ze stromych schodów wieży, było wystarczająco złe, ale dlaczego potem tak niewiele o tym mówił? Ze wstydu? A może był zbyt zajęty swoimi sprawami i sprawami królestwa?

Ojczy Erivorze. Barrick starał się przypomnieć sobie, co w takich chwilach myślał jako dziecko, gdy to imię oznaczało jeszcze dla niego kogoś prawdziwego – nie tylko brodatego, niebiesko-zielonego olbrzyma namalowanego na ścianie kaplicy, którego głowę otaczały srebrne rybki niczym promienie porannego słońca, lecz postać, jaką widział oczyma wyobraźni, kiedy pochylali głowy prowadzeni przez ojca Timoida w modlitwie do rodowego patrona.

– *Wielki Erivorze, władco świetliście zielonych głębi...*

Jako chłopiec Barrick wyobrażał sobie boga, który porusza się powoli po dnie morza, powolny jak wielkie żółwie czy prastare szczupaki, które pływały w zamkowych stawach, spowite w brunatne wodorosty.

– *Wielki Erivorze, który okazałeś nam więcej łaski niż innym...*

Barrick poczuł ze zdziwieniem, że nie potrafi już stwierdzić, czy ma oczy otwarte, czy zamknięte. Wydawało mu się, że słyszy wiatr, który rozbija fale o brzeg.

– *Wielki Erivorze, który uspokajasz grzywacze i kierujesz swoje szczodre dary do naszych sieci, który dosiadasz ogromnego delfina i potrafisz poskromić oplatającego świat węża, wysłuchaj nas!*

Ciemność zawirowała i pojawiły się w niej rozbłyśki zielonego światła i przemykające jasne postacie.

– *Wielki Erivorze, który ubiłeś wielorękiego Xyllosa, a ogromnego Kelonesosa zapędziłeś na powrót na dno, by już więcej nie nękał żeglarzy!*

*Erivorze, który uciszasz sztormy! Erivorze, panie morskich wiatrów!*

*Opiekunie wszelkiego zatopionego złota! Panie skarbów!*

*Królu wszelkich wód! Wybawienie podróżnych!*

*Wysłuchaj mnie!*

Ciemność pociemniała, pozieleniała, rozjaśniła się. Wichry, które zawodziły w uszach Barricka, ucichły, a grzmot fal zdawał się dochodzić z daleka. Tu, na dole, wszystko spowijała cisza, prastary osad, zwijające się i rozwijające wodorosty, ryby śmigające między nimi. Tu ciemne stworzenia pływały i pęzały. Tu potężne uzbrojone istoty poruszały się podczas zielonego dnia i bezświatlnej nocy.

– *Erivorze?* – Barrick próbował posłać swoje myśli tak śmiało, jak tylko potrafił. – *Moja rodzina zawsze oddawała ci to, co ci się należało. Jesteś naszym patronem, naszym panem. Proszę, pomóż mi teraz!*

Coś poruszyło się w ciemności – Barrick nic nie widział, ale poczuł, jakby samo dno oceanu drgnęło. Było tak blisko i... takie wielkie! Przerazał go już sam rozmiar tego, co wyczuwał, i przez chwilę Barrick omal nie odskoczył od najciemniejszej głębi w górę ku światłu. Lecz zaraz przypomniał sobie, co się stanie, jeśli zawiedzie.

– *Panie! Wysłuchaj mnie! Otwórz mi drzwi twojego domu. Otwórz drzwi! Jeśli kiedykolwiek nas kochałeś, nadszedł czas, by nam pomóc! Proszę, Ojczy Erivorze!*

I wtedy poczuł... coś. Sięgnęło i dotknęło jego myśli, podobne do mchu i ogromne jak góra. Poczuł ogromną drżącą moc czegoś zanurzonego głęboko w prastarym osadzie, powolnego jak rozgwiazda pęzająca po skale, lecz o strzępkach myśli szybkich jak rybki śmigające między koralowcami.

– *Ludzkie dziecko...?*

Myśl, ocieżała i dziwna, jakby pan morza naprawdę był wielkim żółwiem czy homarem, ogromnym stworem, zagrzebanym w mule od tysięcy lat, oblepionym niezliczonymi żyłkami, czekającym na... nie wiadomo co.

– *Otworzysz dla mnie drzwi, Ojczy Erivorze?*

To coś ledwo go słyszało, ledwo wyczuwało. Nie było całkiem pogrążone we śnie, ale też się nie obudziło. Barrick wyczuwał, że większość myśli tamtego spoczywa poza jego zasięgiem, bierna, uśpiona, płynąca tak wolno, że nic żywego nie potrafi jej uchwycić.

– *Drzwi?*

– *Drzwi twojego domu! Otwórz je dla mnie!* – W głowie Barricka pewna myśl wypłynęła jak bańka powietrza. – *Złożę ci wiele ofiar, obiecuję!*

– *Drzwi...* – powtórzyło to coś, a Barrick nieoczekiwanie poczuł ogromną istotę bardzo blisko – jasne oko w ciemności, usta, które mogły być dziurą w sercu świata, pozbawionym światła wirem. Była tak ogromna – wielka jak świat!

– *Mały czcicielu... możesz... przejść.*

Ciemność oddaliła się, a wraz z nią Barrick. Przez chwilę wszystko było tak samo jak wtedy, gdy opuszczał Sen przez Komnatę Szachraja. A potem przytłoczyło go ogromne ciśnienie i zimno, niemal go miażdżąc. Przerażony otworzył usta, by krzyknąć, i poczuł, że wypełnia je słona woda.

Ojciec Erivor otworzył drzwi swojego domu, tyle że znajdował się on na dnie morza.

Barrick zanurzył się głęboko w zielonej wodzie – bogowie jedni wiedzieli jak głęboko. W pierwszym przerażającym momencie wciągnął jej duży haust i poczuł, jak parzy mu usta i tchawicę, aż chciał odkaslnąć, lecz wiedział, że to by go pogrążyło. Zacisnął więc zęby i młócił ramionami zimną wodę, mimo że nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Gdy otworzył oczy, zobaczył w żrącej zieleni bąbelki bulgocące wokół niego i okrążające go niczym puch dmuchawca. Głosy Ognistego Kwiatu krzyczały ostrzegawczo w jego głowie, lecz wydawały się stłumione, odległe. Patrzył, jak bańki wirują, a woda ciemnieje – jakby tutaj, w głębi oceanu, zapadł zmierzch. Było to piękne na swój sposób...

Świadomy, że umiera, że oddech uwięziony w jego płucach zamienia się w palącą truciznę, zobaczył, że bańki przyjmują kształt postaci, upiornych jak mgła, które go otaczają, przyglądając mu się. Czy

dostrzega współczucie na tych koszmarnych, utworzonych z piany twarzach, czy tylko ciekawość?

– *Dzieci boga* – odpowiedziały mu myśli, choć niezupełnie należały do niego.

Coś chwyciło go za ramię i wyciągnęło z obłoku baniek w cienistą zieloną pustkę. Unosił się, niezdolny do stawienia oporu, wszystko wokół niego ciemniało i już wszystko było mu obojętne. Czy się unosi? Nie, tonie...

Jej twarz pojawiła się przy jego twarzy, gładka i blada, nieruchoma jak oblicze posagu, zielona jak południowy nefryt. Przez krótką chwilę, jak we śnie, wydało mu się, że to twarz jego matki, Meriel, matki, której nigdy nie widział, bo zmarła przy porodzie. Zjawa wyciągnęła rękę i chwyciła bańkę wielkości kaczego jaja, a gdy jajo dotknęło jej smukłych palców, zaczęło się powiększać, aż przybrało rozmiary rubinowego melonu. Widział je bardzo niewyraźnie, ale czuł, jak przylega do jego twarzy, chłodne i delikatne niczym pierwszy pocałunek. Do jego piersi wdarło się świeże powietrze, zastępując dławiącą go wodę, i nagle ciemność przeszyły smugi światła, a jego myśli znowu obudziły się do życia.

– *Nic nie rób, ludzkie dziecko, tylko oddychaj.* – Początkowo głos Saqri dochodził jakby z daleka, lecz przy końcu zdania już wypełnił jego umysł. – *Musimy podziękować bogu, nawet jeśli tylko śpi i nas śni. Tym bardziej jeśli tylko nas śni...*

Barrick nie miał pojęcia, co znaczą te słowa. Z zadowoleniem unosił się, kosztując słodczy powietrza, podczas gdy zieleń wokół niego ciemniała, aż wydało mu się, że widzi jakieś cieniste kształty, kolumny i łuki. Nie potrafił powiedzieć, czy są naturalnymi konstrukcjami czy też dziełem jakiejś nadnaturalnej ręki, a w rzeczywistości nie był nawet pewny, czy je widzi.

Lecz za nimi znajdował się jeszcze inny, ciemniejszy niż wszystko dookoła – pieczara? Komnata? Przez chwilę, gdy odrobina światła spłynęła z góry przez zieleń – dopiero teraz Barrick zorientował się, gdzie jest góra – wydało mu się, że widzi coś ogromnego, co przycupnęło w ciemności, coś tak wielkiego i dziwnego, że z trudem

zdobył się na to, by odwrócić głowę w tamtą stronę, a co dopiero spojrzeć uważnie.

– *Powiedz mu* – poprosiła.

– *Co?* – Pomimo bańki powietrza wokół jego twarzy, teraz mniejszej, lecz nadal wypełniającej jego płuca życiem, z trudem oddychał. W tej pieczarze było coś niewyobrażalnie ogromnego, potężnego i żywego, a on był przerażony...

– *Powiedz mu!*

– *Ja... my... dziękujemy ci. Dziękujemy ci, Erivorze. Na...* – Nic nie pamiętał... wszystkie te nudne poranki spędzone w kaplicy, skąd miał wiedzieć, że nadejdzie taka chwila? Dlaczego bardziej nie uważał? – *Na krew... moich przodków, którzy zawsze ci służyli, o panie, i którym byłeś życzliwy...* – Nie! To nie tak! To była modlitwa żniwna do Eriła!

Coś się poruszyło w głębi cienia. Barrick wyczuł to w kościach, mimo że ze wszystkich stron napierał na niego niewyobrażalny ciężar wody. Cokolwiek to było, stawało się niespokojne. Rozbudzone, rozgniewane, gotowe miażdżyć góry.

Barrick poczuł, że oprócz panicznego strachu wzbiera w nim coś jeszcze – nie głosy Ognistego Kwiatu, do których już się prawie przyzwyczał, lecz inny głos, cienki i drżący – wspomnienie ojca Timoida odmawiającego modlitwę do Erivora, słowa, których zapomniał.

*O Ojczyźnie Wód,  
Którego krwią jest zielona woda,  
Którego brodą jest biała fala,  
Któryś wyniósł łód,  
Któryś jest panem powodzi  
I ojcem łez,  
Któryś wyniósł Connord i Skarm  
Z błota,  
Któryś wyniósł Ocsę i Frannac  
Z morskiej zawieruchy w słońce  
I pozwolił ludziom żyć  
I rosnąć trawie,*

*O Ojczyźnie Wód,  
Który uspokajasz sztormy  
I prowadzisz statki bezpiecznie do portu.  
Który naganiasz ryby w sieci  
Dzieci Glina,  
Który wiatrem napętniasz żagle  
Statków dzieci Glina,  
Który unosisz dłoń,  
By położyć fale łagodnie na brzegu,  
Wielbimy cię.  
Wielbimy cię.  
Wielbimy cię.  
Pobłogosław nas,  
Za to ci dziękujemy.*

Kiedy ostatnie z tych jakże dobrze mu znanych słów popłynęło w ciemność, ogromny cień znowu się poruszył i powoli wycofał w głębszy mrok. Obecność, która sama sobą niemal wycisnęła z Barricka ostatni oddech, zaczęła się wycofywać z jego myśli i zmysłów.

– *Dziękujemy ci, Wielki Panie.* – To był głos Saqri zabarwiony prowokującą nutą, co zdumiało Barricka, bo przypominało zachowanie zuchwałej dziewczynki, która sprawdza granice cierpliwości ulubionego wujka. – *Dziękujemy ci za pomoc, za to, że nas tu przyprowadziłeś i posłałeś nas trochę dalej, gdzie powietrze nie jest takie wilgotne...*

Posłałeś nas? – zastanawiał się Barrick. Dokąd? Czy nie dość już posyłania, przychodzenia i odchodzenia?

On i Saqri zaczęli się powoli unosić. Zieleń stawała się coraz jaśniejsza, smugi światła układały się w okrąg, który jarzył się wysoko nad nimi niczym płonące nefrytowe słońce.

Gdy Barrick płynął w górę, głosy Ognistego Kwiatu znowu się odezwały i przemówiły chórem, który wyrażał niepokój i zdumienie, jakby ciemność głębin je uspiła, a coraz jaśniejszy świetlisty krąg obudził.

*Nad zielenią...*

*Uratowani przez nasienie Wilgoci!*

*Nie! Nie ufajcie im!*

Wtedy światło w górze się rozszerzyło, szybko jak pożar zarośli sunący po zboczu wzgórza; jasność, która się rozwarła, by pożreć Barricka, gdy się wynurzył z zielonej wody w oślepiające światło, młóćąc ramionami i pijąc łapczywie powietrze. Nie zobaczył bezmiaru wód, jak się spodziewał, lecz postrzępione skały, za nimi zaś niewyraźna sylwetka, której nie widział tak dawno, że z trudem ją rozpoznał, oszołomiony zgiełkiem głosów w głowie.

*Ostatnia Godzino Przodka...*

*Znowu go widzimy! Chwała Dzieciom Bryzy!*

*Niech je otacza niebiańskie szczęście!*

Na horyzoncie, niczym górski łańcuch, którego szczyty zaostrzono, a które teraz bielily się w ostrym słońcu poranka, jakby wyrzeźbiono je z lodu, stał Zamek Marchii Południowej, jedyny dom, jaki Barrick znał. Nie wydawał mu się już znajomy, za to stał się piękny i dziwny.

I napawał go strachem.

W pobliżu rozległ się huk, donośny jak grzmot, co zupełnie zaskoczyło Barricka. Po chwili huknęło znowu, lecz teraz dostrzegł pióropusz dymu na brzegu. Działa! Ktoś ostrzeliwuje zamek.

Na chwilę przestał pracować rękami i zanurzył się w wody zatoki. Dopiero wtedy się zorientował, że ma otwarte usta.

Krztusząc się i plując, niemal zapadł z powrotem w morską toń, ale zaraz usłyszał głos Saqri, głośny i stanowczy, który podziałał na niego tak, jakby królowa chwyciła go za kołnier.

– *Płyń, głupi dzieciaku. Płyń do brzegu.*

Do brzegu? Nawet ten bliższy brzeg zatoki leżał bardzo daleko, a właśnie tam spadały pociski!

– *Nie tam* – skarciła go Saqri.

Coraz bardziej zmęczony Barrick zaczął pracować rękami i nogami, kręcąc się w kółko, lecz nigdzie nie zobaczył królowej. Za to dostrzegł coś innego. Tak, pomyślał. Tam. Brzeg.

Odwrócony plecami do lądu i barkiem ku zamkowi wreszcie to zobaczył – kamienne wybrzuszenie, które nie wystawało z wody tak wysoko jak wyspa, na której stał zamek, lecz które także obmywały grzywiaste fale zatoki. Nie widział go tak dawno, że potrzebował chwili,



by rozpoznać ów szczegół krajobrazu, nawet gdy już zobaczył domek na szczycie kamiennej wysepki.

Skąła M'Helana!

Barrick zebrał w sobie resztki siły i zaczął płynąć.

## Szponiasta istota

*Po wielu przygodach został wreszcie zatrzymany przez miejskich strażników pod zarzutem żebractwa i postawiony przed sądem. Jako że nie potrafił okazać ran, na które się powoływał, gdy prosił o pieniądze, został posłany do świątyni Zuriyal jako niewolnik...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

– Nie musisz iść dalej, kapitanie – zwrócił się do Vansena Jaspis Młot. – Niektóre tunele mogą być dla ciebie za wąskie.

– Zobaczymy, dowódco. Ruszaj, a ja pójdę za tobą.

Pozostali Funderlingowie, pięciu nowo mianowanych strażników, popatrzyli z niepokojem na Vansena, a potem na Jaspisa. Wszyscy dzierżyli *gurodiry*, ciężkie włócznie z szerokimi żelaznymi grotami i drzewcami z cennego dębu, bitewną broń podobną do włóczni na odyńce. Dawno jej nie używali, lecz teraz naprawiono wszystkie, które znaleziono w Mieście Funderlingów, i rozdano, a nawet przygotowywano nowe. Także Vansen dostał taką włóczę, choć zatrzymał też sztylet i miecz, by dodać otuchy Funderlingom.

Machnął ręką, przekazując dowództwo patrolu Jaspisowi, po czym przepuścił pozostałych do Bezksiężycowego Korytarza. Poprzedni patrol wysłany do pieczar, a prowadzony przez jednego z najbardziej zaufanych ludzi Jaspisa, wyszedł rano i do tej pory nie wrócił.

Kiedy opuścili szeroki główny tunel, oświetlony tu i ówdzie słabym światłem świecących grzybów, Vansen sprawdził, czy ma koralową lampę. Przekonał się, że Funderlingowie nie zawsze pamiętają, że on nie widzi pod ziemią tak dobrze jak oni, dlatego chciał mieć pewność, że nie wpadnie w jakiś dół albo nie uderzy głową w niski nawis.

– Wspomnisz moje słowa, kapitanie – powiedział cicho Jaspis, kiedy szli środkiem dużej komory pełnej kamiennych wieżyczek

wysokości człowieka, które wyglądały jak zastygli w ruchu tancerze. – To robota czarodziejskiego, cokolwiek poszło nie tak.

Vansen nie zrozumiał, o co chodzi Funderlingowi.

– O czym ty mówisz? Teraz walczymy z ludźmi z południa, z autarchą. – Czyżby cała narada w sprawie pokoju z Qarami poszła na marne?

– Mówię o tym półdrowie, którego moi zabrali ze sobą. Nie ufam mu.

Był on w pewnym sensie Qarem, jednym z kuzynów Funderlingów nazywanych drowami. Zwiadowca o imieniu Cynk był trochę wyższy i miał dłuższe kończyny niż ludzie Jaspisa Młota. Cynk i ci spośród drowów, którzy poznali tunele Góry Midlana podczas oblężenia, zostali włączeni do patrolów Funderlingów.

– Myślisz, że ich zaatakował?

– Źle mu patrzyło z oczu. – Nie dawał za wygraną Jaspis. Zdjął hełm i otarł pot z łysej głowy. W miarę jak oddalali się od tunelu, który prowadził do Miasta Funderlingów, robiło się coraz goręcej. Vansen zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe. Z pewnością byli ponad poziomem świątyni, ale czy wciąż znajdowali się poniżej Miasta Funderlingów, czy tylko odbili w bok? W żaden sposób nie potrafił się połączyć w tym podziemnym świecie.

– Ale pomyśl, Młocie – powiedział, podnosząc trochę głos, tak by usłyszeli go też pozostali strażnicy. – Wiem, że im nie ufasz, lecz dlaczego Qarowie mieliby tu zostać i nas zdradzić? O wiele łatwiej byłoby im nas porzucić i pozwolić samotnie walczyć z autarchą...

Nie zdążył dokończyć wywodu, bo coś grzmotnęło go w plecy i pchnęło do przodu, tak że wpadł na Jaspisa i pozostałych strażników i przewrócił ich. Vansen zaczął macać na oślep dłonią, by znaleźć zgubioną włócznię, gdy poczuł, że coś chwyta go za kołnierz i ciągnie kilka kroków po kamiennym podłożu.

– Co...? – Dźwignął się na kolana, lecz zanim zdołał się obrócić, żeby sprawdzić kto to, z ciemności pod ścianą wyłoniła się koszmarna postać, rozjarzone okropieństwo, którego Vansen nie potrafił objąć rozumem, większe od wozu i obdarzone tyloma kończynami, że nawet coś tak wielkiego nie powinno tylu mieć.

– Na Młot Perina! – zawołał przestraszony i dźwignąwszy się, wycofywał przed stworem tak szybko, że znowu się przewrócił. Funderlingowie z patrolu także odbiegli, wydając okrzyki strachu i zdumienia.

To był monstrualny pajak albo owad, Vansen nie potrafił tego rozpoznać i nie widział wyraźnie przez niebieskozieloną poświatę. Stwór ruszył ciężkim krokiem w ich kierunku z przerażającą prędkością, a opancerzone cielsko wydawało odgłosy podobne do potrzaskiwania skórzanego miecha. Gdy wreszcie Vansen ujrzał potwora, pożałował tego. Niewyraźna postać miała nogi podobne do kończyn pajaka, szponiaste szczypce jak u kraba oraz ogromny ogon, który kołysał się nad szerokim grzbietem.

– Macie ogień? – odezwał się głos z tyłu. – Trochę się go boją. Odpędziłem jednego pochodnią, ale zgasła.

Vansen wyciągnął duży okrągły kamień między siebie a istotę, po czym zerknął szybko do tyłu. Słaby snop światła jego koralowej lampy padł na dziwną twarz o długiej szczęce porośniętej brodą, twarz czarodziejskiego zwiadowcy imieniem Cynk.

– Nie mam ognia – odpowiedział Vansen. – Gdzie reszta twojego oddziału?

– Nie żyją albo się pogubili. – Cynk mówił językiem Vansena zaskakująco dobrze, co przesądziło o tym, żeby wysłać go na patrol z Funderlingami. – Rozdzieliliśmy się dawno temu, kiedy pierwszy z tych stworów wypadł z tunelu i porwał dowódcę oraz dwóch innych. Zmiażdżył ich szczypcami. Pozostali się rozpierzchli. Próbowałem wrócić do Miejsca Przodka, do naszej świątyni-obozu, ale to coś zagrodziło mi drogę.

– To ty mnie odciągnąłeś?

– Tak. Usłyszałem was. Nie wiedziałem dokładnie, gdzie ten stwór czyha, a bałem się wołać, bo mnie też atakował.

Trzeszczący i poświstujący potwór niespodziewanie podjął próbę wspięcia się na głaz, który osłaniał Vansena i drowa. Kapitan poczuł piżmowy, trochę rybi smród potwora. Gdy ogromne szczypce zaczęły nad ich głowami, cofnęły się. Vansen miał nadzieję, że uda im się przebiec do wyjścia z komory, lecz stwór zsunął się z kamienia i zaczął

go obchodzić, macając szczypcami. A potem znowu rzucił się do przodu, zdumiewająco szybko, tym razem z drugiej strony kamienia, gdzie Vansen nie sięgał wzrokiem. Chwilę później wycofał się, trzymając w szczypcach jęczącego Funderlinga. Ofiara miotła się bezradnie i mimo że towarzysze dźgali potwora włóczniami, nie byli w stanie przebić pancerza, Funderling został wciągnięty w ciemny otwór gębowy oprawcy. Vansen usłyszał obrzydliwy chrzęst i krzyki ucichły.

Jaspis Młot zdołał się wspiać na kamień, skąd mocno dźgał stwora włócznią. Ten rozłożył szczypce i uniósł przednią część tułowia nad kamieniem, machając masywnym ogonem, gotowy do ataku. Vansen skoczył i chwyciwszy Jaspisa za ubranie, pociągnął do tyłu, tak że Funderling spadł na niego, dzięki czemu uniknął uderzenia ogonem. Vansen poczuł smród jadu, kwaśnawy odór przypominający woń rozgrzanego metalu. Trochę chlusnęło na Jaspisa Młota, który krzyknął przeraźliwie i upadł, wijąc się, jakby został poparzony. Cynk skoczył mu na pomoc.

Vansen dźwignął się na nogi i zawołał:

– Nie możemy pozwolić, żeby nas osaczył! Wycofajcie się na środek pieczary!

Poprowadził strażników na środek niewielkiego lasu kamiennych szpiców. Chwycił koniec jednego z nich i udało mu się oderwać czubek, lecz uznał, że mogą one posłużyć jako mur obronny. Odwrócił się, by pomóc Cynkowi przyciągnąć Jaspisa na środek komory, a potem szybko uformował przerażonych Funderlingów w ciasny szereg z włóczniami wystawionymi na zewnątrz jak kolce.

Rozjarzone zielonym światłem monstrum ruszyło nieporadnie w ich stronę, lecz drogę zagraadzały mu kamienne szpikulce. Stwór zatrzymał się kilka kroków przed Vansenem. Kapitan wyskoczył i dźgnął mieczem w miejsce, gdzie, jak się spodziewał, powinno być oko, lecz *gurodir* tylko się odbił od twardej skorupy. Zobaczył nadlatujący ogon. Odskoczył gwałtownie i poczuł, że koralowa lampa zsuwa mu się z głowy. O dziwo, blask potwora osłabł, jakby jego wewnętrzne światło niemal zgasło. Vansen chwycił opaskę z głowy i wycofał się między kamienne szpice, przywierając plecami do Funderlingów, po czym założył lampę na głowę. Stwór znowu rozjarzył się jaśniej. Był zbyt

duży, zbyt silny, za mocno opancerzony. Vansen nie miał pojęcia, jak go pokonać.

Ale co im pozostało poza walką? Z tego, co mówił Cynk, ta wielonoga bestia nie jest sama i nawet jeśli udałoby się ją powstrzymać, kolejne patrole Funderlingów nie będą lepiej uzbrojone przeciwko takiej ohydzie.

Co może powstrzymać stwora? Pewnie ogień – Cynk wspomniał, że jednego odpędził. I co jeszcze? Wydawało się, że pancerz mogłaby przebić kula ze strzelby, lecz Funderlingowie nie dysponowali taką bronią. Rogowiec miał bombardę, która zatrzymała atakujących Qarów, ale nie zabrali jej na tę ekspedycję. Z drugiej strony, gdyby przetrwali, można by się zastanowić...

A zatem włócznie, mój miecz i kilka kamieni. Skoro nie udało im się zakłuć stwora długimi mocnymi włóczniami *gurodir*, to na pewno nie zdołają go pokonać kamieniami...

Przyszło mu coś do głowy. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale Vansen rozpaczliwie szukał ratunku. Wielonogi potwór zaprzestał prób przeciśnięcia się między stalagmitami i podjął próbę wspięcia się na jeden z nich, co mu się zaczynało udawać. Twarze Vansena i towarzyszących mu Funderlingów wyrażały brak nadziei i przerażenie.

– Cynku! – zawołał kapitan do Qara. – Jak się ma Jaspis?

– Jest poparzony, lecz jad padł głównie na tarczę... – Dźgnął palcem zbroję złożoną obok Jaspisa Młota, który mruczał i trząsał się ogarnięty gorączką.

– Zostaw go. Ktoś inny się nim zajmie – powiedział Vansen i poinformował drowa, czego od niego oczekuje. – Ja nie widzę tu dobrze, Cynku, w przeciwieństwie do ciebie. Znajdź to dla nas. Zajmiemy się tym potworem.

Cynk zniknął w jednej chwili jak duch. Vansen odwrócił się do pozostałych członków patrolu, którzy wycofali się możliwie jak najdalej od bestii.

– Przygotować włócznie, atakujemy! – wydał rozkaz. – Jeśli nie znajdziecie dogodnego miejsca do klucia, jak staw czy oko, dźgajcie, gdzie się da! I krzyczcie! – Nawet nie wiedział, czy stwór ma uszy, ale przynajmniej można spróbować go przestraszyć hałasem.

Potwór był już blisko, chwiał się na stalagmicie, wymachując kończynami, by opuścić się na dół. Okrzyki Vansena i Funderlingów się nasiliły. Napastnik zdołał pochwycić jednego ze strażników, lecz trzymając go w szczypcach, nie był w stanie ich cofnąć. Dwaj inni strażnicy przyskoczyli i uczepili się szczypców, aż ofiara opadła na ziemię, krztusząc się i łapczywie chwytając powietrze; z rany na piersi płynęła krew.

Potwór zachwiał się i przechylił do tyłu, lecz już nie zdołał odzyskać równowagi. Zachęceni Funderlingowie zaczęli dźgać jego pancerz ze dwojoną siłą, co przypominało huk piorunów odbijający się echem od ścian.

Vansen stał z włócznią w jednej ręce i mieczem w drugiej. Raz nawet udało mu się trafić włócznią w pysk dziwoląga, lecz nie zdołał jej wbić głębiej i potwór tylko się odchylił. Później wypatrzył ciemne miejsce z boku płaskiej głowy, które, jak uznał, musiało być okiem, lecz gdy spróbował sięgnąć tam mieczem, bestia zamachnęła się kończyną, niemal pozbawiając Vansena głowy, i kapitan zaraz wycofał się za stalagmit.

Vansen tracił siły i wiedział, że Funderlingowie także są na skraju wyczerpania, za to potwór nie ustawał w atakach. Mieli coraz mniej czasu.

Potwór przesunął się na swych licznych nogach, by zająć lepszą pozycję do ataku, przez co znalazł się poza zasięgiem broni Funderlingów. Ustały odgłosy walki, a ciszę przerwał głos Cynka:

– No, teraz! Ruszamy!

– Za jego głosem – syknął Vansen do strażników, po czym pochylił się i dźwignął nieduże, lecz krępe ciało Jaspisa Młota i zarzucił sobie na ramię. – Ruszajcie!

Funderlingowie pobiegli w głąb pieczary, gdzie nie mogły ich dosięgnąć szczypce. Potwór dopiero po chwili zorientował się, co się dzieje, i skierował w ich stronę.

– Tutaj! – zawołał Cynk. Stał pod ukośną ścianą pieczary, częściowo schowany za dużym okrągłym głazem kilkakrotnie większym od niego, który zdawał się tkwić tam od początku istnienia świata, gdy bogowie grali w kule. – Pomóżcie mi!

Vansen dotarł na miejsce ostatni i ostrożnie opuścił Jaspisa na ziemię.

– Za duży – powiedział. – Nie damy rady go ruszyć!

– Dźwignia. Da się zrobić, jeśli się przyłożymy! – wysapał Cynk i od razu zabrał się do roboty.

Vansen i kilku Funderlingów szybko podbiegli do niego i podsunęli groty włóczni pod okrągły kamień. Kapitan wsunął pod niego stopę i napał mocno, sprawdzając sprężystość włóczni. Gdyby się złamała, mogłaby zabić jego albo któregoś z towarzyszy.

– Razem! – zawołał. – Teraz! – Funderlingowie podłożyli pod kamień włócznie, napierając z całych sił i wyginając drzewce do granic wytrzymałości drewna. Vansen miał wrażenie, że żyły na jego skroni popękają, lecz kamień ani drgnął, a potwór zbliżał się, teraz już bez pośpiechu, ponieważ widział, że wyszli z ukrycia i są przyparci do ściany, bez możliwości odwrotu.

Poczuł, że coś ciągnie go za nogę. Przerażony pomyślał, że to kolejny potwór, lecz zaraz się zorientował, że to półnagi Jaspis Młot, bez zbroi i hełmu, z poparzoną twarzą, próbuje się podnieść, wspierając się na nodze Vansena, by im pomóc.

– Zrób mi trochę miejsca, ty przeklęty gamoniowaty powierzchniowcu! – zawołał Jaspis, po czym wsunął grot włóczni w szczelinę między kamieniem a podłożem i przełożył nogi nad drzewcem, które zgięło się niemal wpół. Jego towarzysze, potwornie zmęczeni, też napałi na włócznie. Vansen oparł się plecami o ścianę, by wykorzystać siłę nóg. Stwór uniósł szczypcę i stanął na tylnych nogach. Wtedy kamień drgnął.

Vansen się zorientował, że opór zniknął, i zaraz runął na ziemię, a z nim Funderlingowie podobni do zamarzniętych wróbli spadających zimą z gałęzi. Ogromny kamień zadrżał, a potem się przechylił i potoczył po krótkiej pochyłości. Początkowo się wydawało, że toczy się tak wolno, iż potworowi z pewnością uda się go ominąć, lecz czy to z powodu słabego wzroku, czy też ograniczonego umysłu, stwór jedynie machnął łapami w kierunku kamienia, który, znacznie od niego większy, przetoczył się po nim i go zmiażdżył, o czym świadczył nieprzyjemny chrzęst. Głaz zatrzymał się dwadzieścia kroków dalej oblepiony



szczętkami potwora, rozmazanego w większości na kamiennym podłożu, i tylko jedna czy dwie nogi, niezgniecione przez kamień, drgały w śmiertelnych konwulsjach.

– Biegnijcie! – zawołał Vansen. – Tam, skąd przyszedł, zanim znajdzie nas inny! Ruszajcie i trzymajcie się razem!

Niewyobrażalny smród był tak silny, że gdy mijali zwłoki, Vansen przestał krzyczeć i zacisnął mocno usta, żeby nie z wymiotować.

\*\*\*

Gdyby Jaspis Młot nie przyciągnął ze sobą monstrualnych szczypców martwego potwora, który próbował ich zabić, i nie pokazywał ich wszystkim obecnym w świątyni Braci Metamorficznych, Rogowiec chyba by nie uwierzył, że takie okropieństwo może w ogóle istnieć, mimo że sporo już widział w ostatnim roku.

Szczypce były niemal tak długie jak sam Jaspis. Rogowiec patrzył na dowódcę straży, który pokazywał poparzony policzek.

– Widzisz? Opluł mnie jadem. I byłby mnie zabił, gdyby Cynk nie stał trucizny własną koszulą. – Młot z uznaniem skinął głową. – Niby drow, a ryzykował życie, żeby nas ratować. Ładna historia, co? Ale prawdziwa. W porządku jest ten Cynk.

– Boli? – zapytał Rogowiec.

– Policzek? Strasznie piekło na początku. Teraz jest lepiej, ale brat uzdrowiacz mówi, że zostaną blizny. Kolejne blizny, musiałem mu to uświadomić, bo przecież mam już niejedną. Pokazywałem ci wszystkie?

– Później – rzucił szybko Rogowiec. – Chętnie bym je zobaczył, dowódczo straży, ale oczekuje mnie kapitan Vansen.

– Ach, tak, jasne, musisz iść. Dobrze, że mamy kapitana. Jest prawie tak dobry jak... nie, powiem to: jest tak dobry jak Funderling. Wykombinował tę sztuczkę z kamieniem, a jakże, kiedy ten niech-go-przeklną-Starsi-krabo-pająk próbował mnie zabić. Gdyby nie kapitan Vansen, teraz wszyscy bylibyśmy w brzuchu potwora.

– Tak, dobrze, że jest z nami – zgodził się Rogowiec.

Zostawił Jaspisa, który wciąż rozglądał się za kimś, kto jeszcze nie widział ogromnych śmierdzących szczypców, i udał się do refektarza,

gdzie Vansen i Cynober urządzili centrum dowodzenia. Rogowiec zachodził w głowę, czego Vansen może od niego chcieć, nie dlatego, że bał się niebezpieczeństwa – samo utrzymywanie się przy życiu pod zamkiem było wystarczająco niebezpieczne – ale obawiał się, iż Vansen zechce go dokądś posłać, i znowu będzie musiał oznajmić Opal, że opuszcza rodzinę. Dopiero co wróciła i bardzo niepokoiło ją zachowanie Krzemienia, Rogowiec wiedział, że taka nowina o wiele bardziej by ją przeraziła niż opowieść o pająku-krabie.

Ze zdziwieniem zobaczył, że Vansen siedzi sam w refektarzu, pochylony nad stosem pergaminów i – co jeszcze bardziej go zaskoczyło – cennych arkuszy z miki. Brat Nikiel chyba omal nie eksplodował, kiedy Vansen o nie poprosił, i Cynober musiał stanowczo poprzeć prośbę kapitana, pomyślał z satysfakcją. Vansen wyglądał na zmęczonego, miał podkrążone oczy, przygarbione ramiona, mimo to uśmiechnął się do Rogowca.

– Witam, mistrzu Liderycie. Jak się ma rodzina?

Rogowiec z zadowoleniem przyjął to pytanie.

– Tak dobrze, jak można by się spodziewać. Chłopak jest bardzo zamyślony i trudno wydobyć z niego choć słowo, ale to chyba lepsze od jego włóczęgostwa, z którego wynikały same kłopoty.

Kapitan zaśmiał się cicho.

– Bracia Metamorficzni chyba raczej za nim nie przepadają, co?

– Łagodnie powiedziane. – Rogowiec nie miał dość sił, by wykrzesać z siebie uśmiech. – Szczerze mówiąc, nie wiem, w co się wpakowaliśmy, przygarniając to dziecko. Często jest taki dziwny... Jakbyśmy mieszkali z dzieckiem czarodziejskich ludzi, odmieńcem.

Przez chwilę Vansen patrzył na Rogowca nieobecny wzrokiem, a potem zmrużył oczy.

– Jego poczynania całkowicie go pochłaniają. Nie wiem, dlaczego nie porozmawialiśmy o nim z Qarami, zwłaszcza z Panią Yasammez.

Rogowiec z trudem powstrzymał drżenie.

– Stałem przed nią raz jako więzień. I to mi wystarczy.

– W każdym razie jestem pewny, że z twoim chłopcem wiąże się coś ważnego, co trzeba zrozumieć, Rogowcu, a do tego potrzeba bystrzejszego oka niż moje. Może Chaven potrafi rozwiązać tę zagadkę.

– Vansen westchnął. – Ach, i tak mamy dość kłopotów, nie trzeba szukać nowych. Drogi przyjacielu, chciałem cię prosić o przysługę.

– Oczywiście, kapitanie. Wszyscy chcemy ci pomagać. – Gdy wreszcie nastąpiła ta chwila, Rogowiec Lideryt drgnął, gotów wysłuchać propozycji nowego szalonego przedsięwzięcia, jak wyprawa do zamku po chusteczkę Hendona Tolly’ego albo poselstwo do autarchy z żądaniem kapitulacji.

– Odkąd przebywam pod zamkiem – mówił dalej Vansen – nie potrafię zrozumieć pewnych rzeczy. Niektórych – dodał pospiesznie – a mianowicie określania przez was kierunku. Nie wiem, co znaczą różne pojęcia ale... – uniósł dłoń, by powstrzymać wyjaśnienia Funderlinga – ...co ważniejsze, po prostu nie znam terenu.

– Mamy wiele map... – zaczął Rogowiec.

– Tak, większość leży przede mną – odparł Vansen. – Usiądź i spójrz tutaj. Mapa przedstawia Miasto Funderlingów i to, co leży pod nim, w okręgu. Patrzymy jakby z lotu ptaka, jak się domyślam, jakby nie było zamku ani ziemi przesłaniających nam widok. Mam rację?

Rogowiec skinął głową.

– Mapa nie przedstawia Tajemnic ani większości dróg Burzowego Kamienia, ale to są nasze sekrety...

– Tak, lecz nie dowiem się tego z mapy. Nic z niej nie rozumiem.

Rogowiec się uśmiechnął.

– Wszystko ci wytłumaczę. Widzisz, grubość linii wskazuje poziom, a te znaki...

– Nie, po prostu nic nie rozumiem. Nie potrafię spojrzeć na mapę twoimi oczami, choćbym nie wiem jak się starał pojąć wasze wyjaśnienia. Wczoraj brat Antymon przez pół nocy z uporem próbował mi to tłumaczyć, ale to tak, jakby rybie opisywać Święto Sieroty. – Uśmiechnął się smutno, wyraźnie zmęczony. – Wiem, Rogowcu, że spędziłeś sporo czasu na powierzchni. Myślę, że jak nikt inny będziesz potrafił sporządzić mapy zrozumiałe dla powierzchniowca. Zrobisz to dla mnie? – Rozłożył ręce nad licznymi dokumentami. – Nie muszą być idealne. Nie potrzebuję mieć zaznaczonego każdego korytarza, choć nie miałbym nic przeciwko temu. Ale przede wszystkim muszę wiedzieć, jak bardzo są od siebie oddalone tunele i które biegną nad innymi.

Którymi może przejść każdy, a które tylko Funderlingowie. Wtedy będę w stanie zadawać pytania i podejmować decyzje. Zrobisz to dla mnie?

Wyglądało to na ogromne zadanie, lecz Rogowiec rozumiał jego wagę. Ponadto, uzmysłowił sobie, w dużej mierze mógłby pracować w świątyni, co by trochę udobruchało Opal i mógłby widywać codziennie ją i chłopaka.

– Jak szybko chcesz to mieć? – zapytał. Będzie musiał zawiadomić Cynobra, na wypadek gdyby brat Nikiel się pieklił, że Rogowiec korzysta ze świątynnej biblioteki.

– Na zeszły dekanox. – Vansen wstał i przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w stawach. – Obejrzę, gdy tylko będziesz miał coś gotowe, a nawet jeszcze wcześniej. A teraz wybac, przyjacielu Liderycie, ale muszę poszukać Jaspisa, Cynobra i innych, zanim swoim gadaniem sprawię, że Qarowie znowu staną się naszymi wrogami.

\*\*\*

– ...tak więc przez większość dnia będę w bibliotece i może czasem nocami, dopóki nie skończę map dla kapitana Vansena – wyjaśnił Opal. – Ale część pracy mogę wykonywać w domu, gdy już wykorzystam książki braci, bo nie sądzę, by Nikiel pozwolił mi paradować z nimi pod pachą.

– W domu – prychnęła Opal. – Nie nazwałabym domem tego ciasnego, zatłoczonego pokoju w pełnej przeciągów zimnej świątyni... ale póki co chyba nie możemy liczyć na więcej. Przynajmniej nie musimy już go dzielić z tym twoim ogromnym przyjacielem.

„Ogromnym przyjacielem” był Chaven, który po powrocie Opal przeniósł się do innej kwatery.

Rogowiec odetchnął z ulgą. Utyskiwanie Opal znaczyło, że jest... jeśli nie do końca szczęśliwa, to przynajmniej w znośnym nastroju.

– Tak, o szlachetności czyjegoś charakteru świadczy to, jak potrafi znosić cierpienie, moja kochana.

– W takim razie jeśli przyjdzie mi jeszcze trochę się uszlachetnić, zacznę krzyczeć. – Posłała mu chłodne spojrzenie. – Znajdziesz czas,

żeby porozmawiać z chłopcem, zanim zaczniesz się bawić mapami? Powiedział, że ty zrozumiesz, a jeśli tak, to mi wytłumaczysz, bo ja nic nie rozumiem.

– Co wytłumaczę?

– Jego zapytaj. Poszedł do pokoju Chavena. – Wygładziła ręką słomiany siennik, lecz jej mina mówiła jednoznacznie, że słoma nie może się równać z jaskółczym puchem ich materacu w domu. Rogowiec zdziwił się, że żona nie przyniosła tego materaca. – Muszę się zająć swoimi sprawami, tak dla twojej wiadomości.

Rogowiec się odwrócił. Dobrze znał ten ton i wiedział, że powinien okazać uwagę.

– Oczywiście, kochana. – Czekał cierpliwie, licząc na to, że Opal sama mu powie i nie będzie musiał pytać. Nie powiedziała. – A te sprawy to...?

– Rogowcu Liderycie, jesteś skazą na kryształach mojego szczęścia, przysięgam. – Nie powiedziała tego całkiem poważnie, ale nawet „nie całkiem” oznaczało, że Rogowiec ma kłopoty. – Mówiłam ci kilkakrotnie, że Vermilion Cynober poprosiła mnie o pomoc. Mamy dbać o to, aby nikt nie był głodny. Na Starszych, naprawdę uważasz, że możemy sprowadzić tu setki ludzi i zostawić ich na pastwę losu? Myślisz, że mnisi mają magiczny ogród, w którym na zawołanie wyrośnie jedzenie?

– Nie, oczywiście, że nie...

– Jasne, że nie. Tak więc część kobiet skierowałyśmy do pracy w grzybnych ogrodach. Rekułtywujemy tereny, które leżą odłogiem. Oczywiście sprowadzamy też jedzenie z miasta, co znaczy, że ktoś musi organizować karawany.

– Karawany?

– A jak inaczej nazwać tuzin wózków ciągnionych przez osły dwa razy dziennie?

Nieliczne osły z Miasta Funderlingów, pochodzące od niemal dwukrotnie od nich większych przodków z powierzchni, niezbyt dobrze się chowały pod ziemią, a fakt, że Cech przeznaczył ich tak dużo dla tej sprawy, świadczył o tym, jak bardzo niepokoją się kobiety i jak dużą

władzę dzierży Vermilion. A teraz Opal pełniła funkcję jej zastępczyni. Rogowiec był dumny z żony.

– Osły i woźnice, do tego dwudziestu ludzi niesie drobniejsze rzeczy, no i jeszcze strażnicy do ochrony. Niezły pochód paradyje ulicą Rudną.

– Wszyscy tutaj mają szczęście, że się nimi opiekujecie.

– Tak – odpowiedziała trochę udobruchana Opal. – Chyba tak.

\*\*\*

Bez względu na to, gdzie zastawał chłopaka, okoliczności zawsze były trochę dziwne. Tym razem rzeczywiście znalazł Krzemienia w pokoju Chavena, tak jak sugerowała Opal, ale nie było tam medyka. Płowłosy chłopiec klęczał na stołku oparty łokciem o stół i wpatrywał się w oprawiony w skórę notes.

– Wygląda na drogi – rzekł Rogowiec. – Jesteś pewny, że Chaven nie ma nic przeciwko temu, że do niego zagładasz?

Krzemień wydawał się nie słyszeć pytania.

– Cała rozmowa dotyczy luster – powiedział z nieobecny wyrazem twarzy, jakby mówił do siebie. – Ale żadne lustro na ziemi nie jest dość duże, by mógł wyjść przez nie prawdziwy bóg...

– Krzemieniu?

Chłopiec odwrócił głowę i przez chwilę wyglądał jak dzieciak przyłapany na psocie. Otworzył szeroko niewinne niebieskie oczy. Zamknął szybko notes, lecz Funderling zauważył, że chłopak zostawił palec między stronami, planując wrócić do lektury, gdy tylko Rogowiec się wyniesie.

– Witaj, tato Rogowcu. Mama Opal przysłała cię, żebyś ze mną porozmawiał, prawda?

– Zgadza się. Powiedziała, że może ja „zrozumiem”. Ale co, Krzemieniu?

Chłopak podciągnął stopy i usiadł na stołku ze skrzyżowanymi nogami niczym wyrocznia na słupie.

– Nie jestem taki jak inne dzieci.

Rogowiec nie mógł temu zaprzeczyć.

– Ale dobry z ciebie chłopak. Oboje z matką... my... – Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Problem w tym – kontynuował Krzemień – że nie wiem dlaczego. Nie rozumiem, dlaczego mam głowę pełną różnych myśli i idei, które wydają się... jakby to nie było ich miejsce. Dlaczego nie pamiętam więcej?

Rogowiec bezradnie rozłożył ręce.

– Tam, gdzie cię znaleźliśmy... za Granicą Cienia... no cóż, zawsze wiedzieliśmy, że musisz być dotknięty jakąś magią. Ja wiedziałem to od początku. Opal także, ale nie chciała tego przyznać. – Opuścił dłonie. – Przykro mi, chłopcze. Nie wiedziałem, że i tobie będzie z tym ciężko.

– Czasem myślę, że będę musiał odejść – rzekł Krzemień. – Żeby dowiedzieć się wszystkiego, co chcę wiedzieć. Dlaczego jestem... taki.

– Kiedy dorośniesz, synu, postąpisz tak, jak uznasz za słuszne... – mówiąc to, Rogowiec wiedział, że Opal potraktowałaby tę odległą obietnicę jako rodzaj zdrady. – Pamiętaj, że matka bardzo cię kocha... i ja też...

Chłopak pokręcił głową, lecz Funderling wyczuł, że nie jest to sprzeciw wobec jego słów.

– Chyba nie mogę czekać tak długo – powiedział Krzemień. – Boję się, że jeśli nie będę rozumiał, to... coś przeoczę.

– Co przeoczysz? Nie rozumiem, chłopcze.

– W tym rzecz! – Błada twarz chłopaka poczerwieniała. – Sam tego nie rozumiem. Ale czuję, że jest źle, bardzo źle! I wydaje mi się, że znam odpowiedzi, a przynajmniej niektóre, że potrafię... sięgnąć po nie. Kiedy jednak próbuję to zrobić, one ulatują jak nietoperze, jak...

Rogowiec zobaczył ze zdumieniem, że oczy Krzemienia lśnią od łez. Nigdy wcześniej nie widział go w takim stanie. Wahał się przez chwilę, a potem podszedł i objął chłopaka. Krzemień zachwiał się, lecz pozostał na stołku, a jego pierś unosiła się gwałtownie, gdy szlochał. Dopiero po dłuższej chwili zsunął się na podłogę.

– Pozwolisz mi odejść, kiedy będę musiał to zrobić? – zapytał. – Kiedy naprawdę będę musiał?

– Zanim dorośniesz? Nie możemy, synu. Nie możemy ci na to pozwolić!

Krzemień spojrzał na niego i w momencie, gdy Rogowiec zobaczył zaróżowioną dziecięcą twarz, przemknął przez nią jakiś inny wyraz, dziwny i przebiegły, obcy.

– W takim razie pójdę bez waszego błogosławieństwa, tato Rogowcu.

– Nie! – Chwycił chłopca za ramiona. – Musisz mi obiecać, że tego nie zrobisz. Złamałbyś serce matce! Obiecuj mi, że dopóki nie uznamy, że jesteś wystarczająco duży, zostaniesz z nami. Obiecuj!

Krzemień próbował się wyswobodzić z uścisku, lecz Rogowiec, po latach pracy z kamieniem, miał silne ręce i chłopak nic nie wskórał.

– Nie!

– Musisz mi obiecać, chłopcze. Musisz. – Teraz Rogowiec prawie się rozplakał. – Tylko tyle mogę powiedzieć. Obiecuj, że nie odejdziesz bez naszego... bez mojego pozwolenia. – Opał nigdy by się nie zgodził, lecz on wiedział, że gdyby musiał – gdyby zrozumiał, że tylko w ten sposób nie stracą chłopca w głębszym sensie – to by się jej sprzeciwił. I byłby to straszny dzień. – Obiecuj.

Chłopak przestał się wyrywać.

– Tylko za twoim pozwoleniem?

– Kiedy dorośniesz.

– A ile ja mam lat?

Rogowiec był tak znekany, że zdumiało go, iż nieoczekiwanie się roześmiał.

– Dobre pytanie, chłopcze. No to powiedzmy... za pięć lat, dobrze? Przez tyle czasu zdążysz trochę podrosnąć.

– Pięć lat? – Na twarzy chłopca pojawił się wyraz zrezygnowanego posłuszeństwa. – Za pięć lat ten świat może przestać istnieć, ojcze.

– W takim razie nie będziemy się teraz martwić tym, co zrobimy albo czego nie zrobimy, dobrze? – Wygrał, lecz Krzemień najwyraźniej nie czuł się z tym komfortowo. – Chodź – powiedział Rogowiec. – Lubisz świątynną bibliotekę, prawda? Mam tam coś do załatwienia. Spędzimy razem popołudnie.

Krzemień, znowu milczący i zamyślony, ale już spokojniejszy, podążył ruchliwym korytarzem za Rogowcem. Po drodze mijali kapłanów i żołnierzy, a nawet całkiem dużo kobiet, a wszyscy zdążali



spiesznie i w milczeniu. Ich twarze przypominały ponure maski Czarnego Noszh-La, Stróża Domu Śmierci.

## Głupcy przegrywają

*Przez rok biedny Sierota harował w świątyni,  
lecz potem najwyższy kapłan sprzedał dziecko i  
kilku innych niewolników kapitanowi statku,  
który kompletował załogę...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Pokój był ciepły i ciemny i pachniało w nim korzeniami w kształcie serca, które poprzedniego wieczoru jeden z ludzi Tolly’ego wrzucił do kominka. Zapach ten przyprawiał Matta Tinwrighta o zawrót głowy nawet teraz, gdy obserwował pokój przez szparki półprzymkniętych powiek. Wciąż nie wiedział, czy korzenie wiążą się z jakimś magicznym rytuałem, czy też dym miał tylko wywołać senne ośpienie, które poeta właśnie odczuwał. Poczyny Hendona Tolly’ego, choć często niepokojące, nadal pozostawały tajemnicą, mimo że Tinwright od prawie dekanoksu nie odstępował go na krok, jak pies.

Poeta jęknął i szerzej otworzył oczy. Jęk przeszedł w stłumiony okrzyk zdumienia, gdy Tinwright ujrzał Tolly’ego, który siedział na brzegu łóżka obok niego, patrząc w dół, niczym sęp obserwujący coś jeszcze żywego, co jednak wkrótce będzie padliną.

– O... o co chodzi, panie? – wybąkał Tinwright. – Potrzeba ci czegoś?

Byli sami w komnacie, kobiety odeszły. Poeta miał nadzieję, że wszystkie mają się dobrze. Był świadkiem kilku groźnych momentów, zanim zanurzył się w pustkę.

– Brat Okros nigdy nie określił precyzyjnie, czego potrzebuje – odezwał się lord protektor, jakby wrócił do przerwanej rozmowy. Może zresztą tak było: Tinwright niewiele pamiętał z tego, co się działo. Usiadł prosto.

– Słucham, lordzie Tolly?

– Czego potrzebuje. Mówię o tym mazgaju Okrosie. Czasami odgrywał uczonego, który pragnie jedynie odkryć wielkie tajemnice egzystencji. – Tolly uśmiechnął się pogardliwie. Lord protektor wyglądał całkiem porządnie, biorąc pod uwagę, jak żył ostatnio. Tinwright zastanawiał się przez chwilę, czy Tolly zdążył wziąć kąpiel, kiedy on spał. – To było zabawne, naprawdę. Wtedy traktował mnie tak, jak dobry kucharz może traktować swojego spasionego pana – jak coś żenującego, ale koniecznego, bo w końcu to on sponsoruje jego sztukę. – Tolly wstał i zniecierpliwiony machnął ręką. – Zbieraj się, poeto. Nadszedł doniosły dzień, jeśli się nie pomyliłem.

– Panie...?

– Widzisz, Okros się pogubił. Uwierzył, że to, czego szukamy, stanowi odpowiedź na jego pytania. – Tolly spojrzał na Matta Tinwrighta, a było to spojrzenie polującego jastrzębia.

Lord protektor zachowywał się jeszcze dziwniej niż zwykle, jakby był pijany, lecz tak na trzeźwo.

– Pogubił się, panie...?

– To, czego ja chcę, nie miało z nim nic wspólnego. Był głupcem... a głupcy przegrywają. – Usta Tolly’ego wykrzywił okrutny uśmiech. Ostrzeżenie było bardzo wyraźne. – Idziemy, poeto.

Tinwright podążył za Hendonem Tollym korytarzem pełnym ludzi do biblioteki księcia Kayne’a, którą lord protektor zamienił na salę tronową i salę narad podczas oblężenia Qarów. Stara biblioteka, pomimo dużych rozmiarów, była cichym pomieszczeniem pełnym książek od podłogi po sufit, lecz teraz wydawało się, że przebiegała przez nią pierwsza linia frontu. Książki leżały rozrzucone po całej sali, zarówno współczesne pergaminowe zwoje z Hierosolu, jak i starożytne księgi z Xis, a pośród nich rozstawiono chaotycznie krzesła, stołki i kilka stołów przyniesionych z innych pomieszczeń. Przyczyną bałaganu były działania Tolly’ego i brata Okrosa, którzy opróżnili Wieżę Letnią, ulubione miejsce króla Olina, i przenieśli stamtąd prawie wszystko do biblioteki. Niektóre książki, jak zauważył Tinwright, chyba były napisane ręką Olina i poeta żałował, że nie może zostać z nimi sam na sam. Cóż by to była za gratka dla poety móc zapoznać się z osobistymi

przemyśleniami mądrego króla! Niestety, najwyraźniej Hendon Tolly nie zamierzał uwolnić go od siebie.

Tinwright już od jakiegoś czasu nie rozmawiał z Elan ani z matką i zdołał jedynie potajemnie wysłać im krótkie listy, w których informował, co się stało. Modlił się, żeby matka nie zjawiała się w rezydencji z żądaniem, by jej nowo wyniesiony na wyżyny syn – pewnie sądziła, że jest sekretarzem Tolly’ego – i dla niej znalazł tam miejsce.

Koszmar. Nie chodziło tylko o samą jej obecność, lecz także o to, że mogłaby wspomnieć o Elan.

Tinwright odpędził te myśli, gdyż do biblioteki wszedł oddział żołnierzy prowadzony przez lorda konstabla Berkana Hooda, który zażądał widzenia z Hendonem Tollym. Byli słusznie zaniepokojeni przybyciem do portu statków autarchy przez nikogo niezatrzymywanych.

– Dwa tuziny okrętów wojennych, lordzie protektorze, a płyną następne! – Berkan Hood bardzo się starał zapanować nad głosem, lecz nie do końca mu się to udało. Najwyraźniej należał do ludzi, którzy nie przywykli hamować się w takich chwilach. – Tymczasem my nie wystrzeliliśmy nawet z jednej bombardy. Proszę, panie, dlaczego się nie bronimy? Całe miesiące walczyliśmy z czarodziejskim ludem, kilkakrotnie odparliśmy ich ataki. A teraz, gdy tamte demony się wycofały, siedzimy jak zawstydzone panienki, a przecież ludzie z Xis to zwykli śmiertelnicy!

Hendon Tolly posłał mu groźne spojrzenie. Niewiele go interesowały meandry codziennych spraw związanych ze sprawowaniem rządów – tyle Tinwright zdążył zauważyć.

– Są plany obrony zamku i miasta, Hood – warknął lord protektor. – I powiem ci to, co musisz wiedzieć, w odpowiednim czasie. – Po tych słowach odprawił Berkana Hooda i jego żołnierzy, którzy ani trochę nie wyglądali na zadowolonych.

Po ich wyjściu do biblioteki wśliznął się Tirnan Havemore, niegdyś rządcą Avina Brone’a.

– Proszę, panie – powiedział i wręczył Tolly’emu pergamin zalakowany pieczęcią, jakiej Tinwright nigdy nie widział.

Podczas gdy jego pan czytał list, Havemore zmierzył Tinwrighta pełnym pogardy spojrzeniem. Żadna z osób bliskich lordowi

protektorowi nie rozumiała, dlaczego Tolly trzyma przy sobie Matta Tinwrighta, co nie dziwiło, zważywszy na fakt, że sam poeta nie miał co do tego pewności.

– Zastanawiałem się właśnie, kiedy się odezwą – rzekł Tolly, skończywszy czytać. Kazał przynieść papier i atrament. – Ty jesteś poetą – zwrócił się do Tinwrighta. – Zapisz moją odpowiedź, tylko ładnie.

Zaczął dyktować wiadomość pełną tak dziwnych, niemal pozbawionych znaczenia wyrażen, że Tinwright słuchał z otwartymi ustami, bardzo się wysilając, by nie robić błędów. Lecz wśród chaosu kilka rzeczy zabrzmiało jasno. Zdumiewająca wiadomość skierowana była do autarchy Xis, a Tolly informował w niej, że spotka się z władcą z południa po zmroku jeszcze tego samego dnia, i podał miejsce spotkania.

– Skala M’Helana? – powtórzył zdumiony Tinwright. – Ta wysepka na zatoce?

– Tak, ty nieznośny głupcze – warknął Tolly. – Kwestionujesz mój wybór?

– Skądże, panie! Chciałem się tylko upewnić, czy dobrze usłyszałem.

Matt Tinwright starał się zapisać wszystko czyściutko i ładnym charakterem pisma, zupełnie jak dziecko, które kaligrafuje najlepiej, jak potrafi, żeby uniknąć lania. Jakby ten potwór z Xis miał zwrócić uwagę na mój charakter pisma! – pomyślał. Och, nie, tego nie zabijemy, kiedy już zdobędziemy zamek, tak ładnie pisze! Tolly ma rację, głupiec ze mnie. Mimo wszystko uznał sytuację za interesującą na pewien straszny sposób: kto by przypuszczał ponad rok temu, że Matt Tinwright znajdzie się w tym miejscu tego dnia i będzie pisał wiadomość od pana Zamku Marchii Południowej do króla-boga... cokolwiek znaczy ten tytuł...

– Dobrze. – Tolly skończył czytać, złożył zamaszysty podpis i zalakował list woskiem i sygnetem z pieczęcią. – Wyślij natychmiast – poinstruował Tirnana Havemore’a. – A jeśli ktoś spróbuje otworzyć list, dopilnuję, żeby się zadławił własnymi odciętymi paluchami.

Kasztelan odszedł szybko, niosąc przed sobą list, jakby to był jadowity wąż.

– A zatem mamy przed sobą końcową rozgrywkę – rzekł Tolly do Matta Tinwrighta. – Nasze życie i los spoczywają w naszych rękach,

poeto. Czy można prosić o coś więcej? Jeśli nam się uda, wygramy wszystko. Jeśli nie... no cóż, historia nie zapamięta naszych imion, a przyszłe pokolenia nie znajdą naszych grobów. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a jego oblicze przypominało lśniące popękane szkło. – Wspaniale, co?

Tinwright tylko skłonił głowę i bąknął:

– Panie. – Nie sądził, żeby Tolly spodziewał się odpowiedzi, a poza tym był zbyt przerażony, by mu jakiegokolwiek udzielić.

\*\*\*

Nie wszyscy Qarowie zgromadzeni w niedużej pieczarze w pobliżu Tańczącej Komnaty Piasku Srebrzanego myśleli o nowym wrogu, tysiącach xiskich żołnierzy i autarsze. Młotostopy, wódz ettinów, który, podobnie jak jego ziomkowie, wzbudzał w sobie gniew powoli i równie wolno – albo jeszcze wolniej – się go wyzbywał, siedział w ciemności, pomstując i dysząc, niczym miech w kuźni Pierwszych Głębi.

– Upokarzają nas – mrucał. – Ci mieszkańcy kraju słońca. Tysiąc lat podłego traktowania, setki lat wygnania i teraz mamy im przebaczyć... tak po prostu. – Pstryknął masywnymi paluchami. – Gdy tak siedziałem i przyglądałem się tym ich bezładnym wojskom, miękkim jak różowe błoto, to ledwo się powstrzymałem, żeby ich nie rozgnieść. Powinienem był...

– Zachowałbyś się jak głupiec – odpowiedziała mu Yasammez. – Potrzebni są nam wszyscy.

– Potrzebni? – Młotostopy podniósł głowę. W niedużej pieczarze wydawał się jeszcze większy. – Starlibyśmy ich na proch naszymi kopytami, gdybyś nas nie powstrzymała, pani.

Yasammez wstała, a jej porucznicy zamilkli.

– Widzicie to? – spytała, dotykając Pieczęci Wojny. – To oznacza, że przysięgliście mi posłuszeństwo. A widzicie ten miecz? – Trąciła dłonią pochwę Białego Ognia. – W miejscu, w którym zamordowano moich ziomków, unieważniłam przysięgę i schowałam miecz do pochwy. A teraz ty mi mówisz, że byłbyś gotów złamać przysięgę dwukrotnie? Gdzie honor Głęboko Urodzonych, Młotostopy? Gdzie

odważne serce, które mi towarzyszyło w tylu kłopotach i którego ojciec i dziad walczyli u mego boku? – Pokręciła głową, a myśli niosące jej słowa były zimne jak podmuch lodowatego wiatru. – Jestem rozczarowana.

Przez chwilę się wydawało, że ogromny ettin, powodowany gniewem, może zrobić coś, co trudno będzie nazwać nawet szaleństwem, jako że przysięgi Głęboko Urodzonych należały do najpotężniejszych rzeczy, jakie znali zgromadzeni. Nawet Młotostopy nie potrafił znieść lodowatego spojrzenia Pani Jeżozwierz.

– Ja... mówiłem nierozważnie – powiedział. – Ale nie rozumiem, co robimy, pani. Przybyliśmy tu, żeby walczyć z istotami, które wyrządziły nam zło... a nie im pomagać.

– Nie pokonamy sami króla z południa – odrzekła Yasammez. – Mówiłam ci, autarcha ma dwudziestu żołnierzy na naszego jednego, do tego dużo różnej broni, a to są przeciwności, których nawet Ludzie nie są w stanie przezwyciężyć... chyba że szukamy tylko szlachetnej śmierci. – Rozłożyła ręce, jakby mówiła: „No cóż, niespodziewane komplikacje”, i usiadła. – Lecz to, że potrzebujemy mieszkańców kraju słońca jako sprzymierzeńców, nie oznacza jeszcze, że są naszymi przyjaciółmi. Docelowo musimy bronić drzwi prowadzących do bogów przed wszelkimi śmiertelnikami, nawet tymczasowymi sojusznikami, tak więc jeśli pokonamy władcę z południa, lecz nie odzyskamy kontroli tutaj... – Wzruszyła ramionami. – Wtedy przyjdzie czas na inne środki.

Aesi'uah, jej główna eremitka, spojrzała na nią niespokojnie.

– Inne środki? Masz na myśli Jajo Gorączki?

– Tak – odparła mroczna dama. – Kamieniu Niechętnych, któremu z twoich ludzi została powierzona opieka nad Jajem?

Qar drgnął jakby zaskoczony.

– Saganowi Cienia, wielka pani.

– Przywołaj ją.

– Oczywiście. Zaraz przybędzie.

Chwilę później kolejny Strażnik Żywiołów dołączył do nich, roztaczając wokół świeży zapach pustki.

– Przybyłam... – odezwała się kobieta Qarów.

– Pokaż – rozkazała Yasammez.

Sagan Cienia nie musiała pytać, co ma pokazać. W ułamku sekundy w jej dłoniach pojawił się półprzezroczysty kamień wielkości głowy ludzkiego dziecka. W jego wnętrzu wirował brązowy mrok tak ciemny, że przypominał małą gradową chmurę. Wewnątrz świeciło coś mdłożółtego, na podobieństwo rodzącej się błyskawicy.

– Jajo jest silne. – Sagan Cienia była młoda i nie potrafiła tak wprawnie formułować słów jak Kamień Niechętnych. Jej mowa zabrzmiała w myślach Qarów niczym bzyczenie os. – Rozbije się, gdy zostanie zrzucone z dużej wysokości albo uderzone czymś twardym. Wtedy zostanie uwolniona gorączka, która rozejdzie się jak dym. Umrze wszystko na jej drodze.

– Nawet bóg? – Yasammez spojrzała na Jajo z zainteresowaniem, ale i pewną niechęcią.

Znowu popłynęły bzyczące słowa, aż ci, którzy mieli skórę, poczuli jej mrowienie.

– Umrze każda ziemską postać, jaką nosi bóg. Nic, co oddycha albo zapuszcza korzenie, nie przeżyje, spalone gorączką.

– A co ją powstrzyma? – zapytał syn Zielonej Sójki, Bezskrzydły. – Czy zabijemy wszystko, co chodzi pod słońcem i księżycem? To będzie żałosne epitafium dla Ludzi.

– Gorączka sama ustaje, jak kręgi rozchodzące się w dużym stawie – odpowiedziała Sagan Cienia głosem, w którym zabrzmiało coś w rodzaju gniewu. – Jeśli zechce Pani Yasammez, nie rozejdzie się daleko poza granice tego kraju śmiertelników, zanim straci moc. – Bzyczenie się nasiliło. – Choć wielu uważa, że żaden mieszkaniec kraju słońca nie zasługuje na to, by przetrwać...

– Dziękuję ci, córko – przerwał jej Kamień Niechętnych. – Czy odpowiedź cię zadowala, Pani Yasammez?

– Możesz odejść.

Chwilę później Saganu Cienia i Jaja już nie było w pieczarze. Ciszę przerwała Aesi'uah:

– Czy naprawdę sprawy zaszły już tak daleko, pani? Nie dość, że pozbawimy życia siebie, a także tysiące śmiertelników, to zabijemy też zwierzęta i rośliny, a tę ziemię na wiele lat wyjałowimy i zatrujemy śmiercią?



– Niewielka cena za ich zdradę! – powiedział jeden z Qarów z plemienia Zmieniających się. – Jesteśmy im winni zemstę, Ta, Która Nie Śpi! Szkoda, że nie możemy zabić ich więcej.

Yasammez nakazała mu milczenie zdecydowanym gestem.

– Nie robimy niczego tylko z chęci zemsty, choć na nią zasługują. Ale wiedźcie, że zrobię wszystko, by mieć pewność, że bogowie i drzwi do nich nie dostaną się we władzę śmiertelników.

– Czy nie przedkładasz własnej mądrości nad mądrość samego boga? – zaprotestowała Aesi’uah. – Dlaczego Szachraj nie miałby zdecydować, co należy zrobić?

– Ponieważ bóg umiera – odparła Yasammez zimnym tonem. Nie lubiła, gdy jej słowa kwestionuje eremitka, nawet na-wpół-Ta, Która Nie Śpi, tak dobrze i długo jej służąca. – Jego obecność jest bardzo słaba, a myśli od jakiegoś czasu są dziwne. Być może został uwięziony w koszarze i już nie będzie w stanie nas zrozumieć. Nie, nie wolno nam polegać nawet na bogu... na moim ojcu... w kwestii podjęcia decyzji. Ludzie sami muszą wybrać dalszą drogę.

– Tylko... – Aesi’uah szukała odpowiednich słów zagubiona we własnych myślach. – Boję się o nich, pani.

– O kogo?

– O naszych sprzymierzeńców, śmiertelników, mieszkańców kraju słońca. Są inni... niż się spodziewałam.

– Tak myślisz? – zapytała Yasammez z przyganą w głosie. – Są dokładnie tacy, jak się spodziewałam. Właśnie tacy.

\*\*\*

Łódź z Hendonem Tollym, Mattem Tinwrightem i dwoma strażnikami lorda protektora pierwsza dobiła do brzegu Skały M’Helana. Podczas gdy Tolly i Tinwright wspinali się ostrożnie po starych schodach przystani, przycumowano drugą łódź z kolejnymi czterema strażnikami, którzy zaczęli ją rozładowywać. Tinwright, przestraszony i zdumiony, zatrzymał się na stopniach, by spojrzeć na skalistą wyspę i na światła zamku widoczne po drugiej stronie zatoki.

Teraz zrozumiał, dlaczego Tolly wybrał to miejsce na spotkanie: wprawdzie wyspa była dostępna z lądu, ale znajdowała się wystarczająco daleko zarówno od brzegu, jak i od zamku, dlatego nawet za dnia obserwator miałby trudności z wypatrzeniem, kto tam przypłynął. Jej brzegi były nierówno poszarpane zatoczkami i przesmykami, dlatego, jak podejrzewał Tinwright, mogłyby tam przybić dwa lub nawet trzy statki, nie wiedząc o przybyciu pozostałych.

Dom na szczycie wzgórza wypełniał zapach stęchlizny. Z pewnym zdziwieniem przyjęli słowa Tolly'ego, który powiedział, że nikt nie korzystał z niego, odkąd on objął władzę. Narzekał na brak wygod i na to, że musi czekać w zimnie i wilgoci, podczas gdy jeden ze strażników rozpalał ogień w dużym pokoju. Nawet o tej porze, późną wiosną, wyspa była wilgotnym, smagany wiatrem skrawkiem lądu. Wszyscy strażnicy byli uzbrojeni, jedni mieli miecze i włócznie, inni gotowe do strzału kusze.

– Zjawi się niebawem. – Tolly usadowił się na krześle z wysokim oparciem. – O tak, z pewnością nas obserwował, żeby się przekonać, czy rzeczywiście mamy tylko sześciu strażników, tak jak się umawialiśmy.

Coś zaszurało u góry i Tinwright podniósł głowę.

– Szczury – rzucił. – Nikt tu nie zaglądał od tak dawna, że pewnie jest ich mnóstwo. Boisz się szczurów, poeto?

– Czy się boję? – Tinwright nie lubił tych gryzoni, ale nie miał pewności, co chce usłyszeć Tolly. – Niespecjalnie...

– To najmądrzejsze bydlę, jak mawiają wieśniacy. – Tolly uśmiechnął się szeroko. – Znałem kiedyś człowieka, stróża w naszym domku myśliwskim na wzgórzach Summerfield, który hodował jednego niemal jak własne dziecko. Zwierzak siadał mu na ramieniu i śpiewał na rozkaz.

– Śpiewał?

Z przystani dobiegły okrzyki.

– Po szczurzem – przyznał Tolly. – Bardziej piszczał. Przynosił stróżowi sakiewkę, gdy ten ją upuścił, albo znajdował monety w słomie pod stołem. Ale potem komuś znudziły się te sztuczki i rozdeptał zwierzaka. – Pochylił głowę. – Ach, słyszysz? Idzie.

Lord protektor wstał, co zdumiało poetę, który zobaczywszy, jak Tolly przestępuje z nogi na nogę, zorientował się, że ten jest zaniepokojony, wręcz przestraszony.

Jeden ze strażników otworzył drzwi i wpuścił dwóch ciemnoskórych ludzi o zaciętym wyrazie twarzy, uzbrojonych w długie ozdobne strzelby, w hełmach w kształcie pyska cętkowanego zwierzęcia, lwa albo lamparta. Rozejrzawszy się czujnie po pokoju, strażnicy zajęli miejsce po obu stronach drzwi i stanęli na baczność. Zanim Tinwright zdążył lepiej się przyjrzeć przybyszom, do domku wszedł korpulentny starszy mężczyzna, z długą, starannie utrzymaną brodą i twarzą o wyrazie niemal komicznej powagi.

To pewnie ich poseł... – domyślał się Tinwright.

– Z drogi, kapłanie – odezwał się inny głos.

Korpulentny brodacz usunął się szybko i do pokoju weszła kolejna postać, pochylając głowę w drzwiach.

Przybysz był wysoki, na co od razu zwrócił uwagę Matt Tinwright – wyższy o ponad głowę od Hendona Tolly'ego, wyższy też niż brodacz czy którykolwiek ze strażników, którzy też nie byli ułomkami. Ubrany był dziwnie, w długą białą płócienną szatę i kapelusz, jakiego Tinwright jeszcze nie widział, w kształcie wysokiego cylindra wysadzanego drogimi kamieniami i przewiązanego złotym drutem; przez ten kapelusz mężczyzna górował jak wieża nad wszystkimi w pokoju. Dopiero gdy lepiej przyjrzał się tej zjawie, Matt Tinwright zorientował się, że nakrycie głowy mężczyzny wcale nie jest drogim i dziwnym kapeluszem, lecz koroną. Przybył sam autarcha.

W chwili nagłego olśnienia i przerażenia poety xisce strażnicy huknęli kolbami strzelb o podłogę tak mocno, że Tinwright podskoczył w miejscu, a straż Tolly'ego chwyciła za broń.

– Złocisty, Pan Wielkiego Namiotu i Sokolego Tronu – oznajmił głośno człowiek autarchy. – Pan Wszystkich Miejsc i Zdarzeń, po tysiąckroć chwała jego imieniu. Pochylcie głowy przed chwałą Sulepisa Bishakha am-Xis, władcy całego Xandu i Wybrańca Nushasha!

Gdy już zaanonsowano ich pana, lamparci strażnicy podprowadzili go do jednego z dwóch największych w pomieszczeniu krzesel. Hendon Tolly zajął drugie, ustawione naprzeciwko, z wyrazem czujności na

twarży. Autarcha dał znak swojego tłustemu brodatemu kapłanowi, by stanął za nim. Tolly nie zadał sobie trudu, by przedstawić Matta Tinwrighta, co ani trochę nie zmartwiło poety. Już przelotne spojrzenie dziwnych złocistych oczu autarchy sprawiło, że miał ochotę zacząć wyjaśniać albo przeproszać, czy nawet paść na twarz i błagać o darowanie życia. Tak, jest tchórzem – Tinwright pierwszy gotów był to przyznać – lecz uczucie, które go teraz paraliżowało, było czymś innym niż strach, czymś bardziej prymitywnym, płynącym z samych trzewi. W oczach poety władca południowego kontynentu zdawał się istotą innego rodzaju, drapieżcą, który stoi nad nieszczęsną ofiarą, Mattem Tinwrightem, a skoro ucieczka była niemożliwa, jedynym sposobem obrony przed tą morderczą istotą było pozostawanie kimś nieważnym.

Na krótko autarcha i lord protektor pograżyli się w zdawkowej rozmowie. Sulepis swobodnie posługiwał się ich językiem. Było też jasne, że nie jest to ich pierwsza wymiana zdań. Co się dzieje? Jak to możliwe, że pan Zamku Marchii Południowej prowadzi przyjacielską pogawędkę z potworem z Xis?

Bo autarcha bez wątplenia był potworem, lecz, co musiał przyznać Tinwright, fascynującym, do tego o wiele młodszym, niż poeta sądził. Opierając się na opowieściach, w których opisywano terror, jaki armie autarchy siały na własnym kontynencie, a w ostatnim roku także na Eionie, Tinwright oczekiwał raczej żylastego, pokrytego bliznami starego pustynnego jastrzębia, a nie kogoś o oczach sarny, kto pomimo swojego wzrostu wyglądał na ledwo wyrosniętego młodzieńca. Także swoim charakterem autarcha zaskoczył poetę. Sprawiał wrażenie całkiem pogodnego, choć momentami jego radosna mina zastygała w dziwny grymas, podobnie jak oblicze Hendona Tolly'ego. Niektóre rzeczy, o których mówił, nie miały sensu, jakby władca z południa artykułował najgłębsze myśli, których zwykły człowiek nigdy by nie uzewnętrznił.

– ...oczywiście – rzekł autarcha w którymś momencie, nie przestając uśmiechać się do Hendona Tolly'ego – ...inni, którzy uważali się za mądrych, umarli z krzykiem na ustach, pograżeni w ignorancji. Tak jak ty umrzesz.

Zaskoczony Tolly wpatrywał się w autarchę, lecz ten zaczął mówić o wojnie w Hierosolu – której wynik uważał już za przesądzony na swoją korzyść – i innych prozaicznych tematach, jakby w ogóle nie wypowiedział tych słów.

Tolly rozmawiał, zachowując ostrożność kogoś, kto podejrzewa, że stąpa ścieżką pełną wnyków. Za każdym razem, gdy podejmował jakąś kwestię, zerkał na Tinwrighta, jakby się spodziewał, że poeta go poprze, może nawet głośno, lecz Matt nie miał wątpliwości, że obaj władcy byliby gotowi kazać poderżnąć mu gardło z obojętnością człowieka, którego zirytowało brzęczenie muchy.

– Ale, ale... – rzucił nagle autarcha i klasnął w dłonie równie głośno i niespodziewanie, jak wcześniej jego strażnicy uderzyli kolbami o podłogę – ...pomówmy o ważniejszych rzeczach. Masz coś, czego potrzebuję, lordzie protektorze.

– Równie dobrze możemy powiedzieć, że to ty masz coś, czego ja potrzebuję, Wasza Wysokość.

– Autarchę tytułujemy „Złocistym” – warknął xiski kapłan.

Sulepis machnął dłonią o smukłych palcach.

– Dajmy spokój ceremoniom, dobry Panhyssirze. – Autarcha przez chwilę podziwiał swoje brązowe palce zakończone dziwnymi złotymi nasadkami. – Tak więc obaj mamy swoje potrzeby, lordzie Tolly. Jakże to załatwimy?

– Nie wybiegajmy zbyt naprzód. – Głos Tolly’ego nieoczekiwanie zabrzmiał bardziej zdecydowanie. – Złożyłeś kilka obietnic... Złocisty... a ja wypełniłem swoją część umowy...

– Tak, choć nieporadnie – odparł autarcha z chłodnym uśmiechem. – Masz tron, ale nie siedzisz na nim pewnie. W obrębie twoich murów znajdują się tacy, którzy wystąpią przeciwko tobie, a więc i przeciwko mnie. No i spałaś sprawę obrony twierdzy na wyspie, przez co teraz Qarowie się zaangażowali.

– Czarodziejski lud? – Tolly pokręcił głową. – Już się nie liczą. Uciekli, najpierw powstrzymani naszą obroną, a potem przestraszeni widokiem twoich okrętów.

– Co? – Autarcha wpatrywał się w Tolly’ego przez chwilę, a potem odchylił głowę i wybuchnął przenikliwym śmiechem podobnym do

śmiechu dziecka. – Naprawdę nie wiesz? – Spojrzał na swojego kapłana.  
– Panhyssirze, powiedz mu, gdzie można znaleźć Qarów.

– Są w tunelach pod twoim zamkiem, lordzie Toh-ly – wyjaśnił kapłan o ponurym spojrzeniu. – Uciekli tam, gdy przyплыliśmy.

Matt Tinwright zobaczył, że lord protektor jest szczerze zdumiony.

– Niemożliwe!

– Jak najbardziej możliwe – śmiał się autarcha. – I wciąż uważasz, że możesz ze mną pertraktować jak równy z równym? Twoja rodzina nie sprawuje władzy zbyt długo, co? Moja przybyła z pustyni, by obalić trony przed dziesięcioma wiekami, a już wtedy my tam panowaliśmy. – Autarcha się wyprostował. – Ach, coś sobie przypomniałem.

Tolly znowu spojrzał na niego zaskoczony.

– Prezent...?

Sulepis klasnął w dłonie. Jeden z jego strażników wyszedł na zewnątrz i zaraz wrócił z drewnianym pudełkiem nie większym niż szkatułka na biżuterię, które postawił u stóp Hendona Tolly'ego.

– Otwórz – rzekł autarcha.

Tolly spojrzał na niego podejrzliwie. Po chwili schylił się i ostrożnie uniósł wieko, a potem zaraz je opuścił i usiadł prosto, starannie maskując emocje. Tinwright zdążył tylko zauważyć jakby coś zakrwawionego z potarganymi włosami.

– Twój brat Caradon – oznajmił autarcha. – W każdym razie jego głowa. Wysłałem za nim moich ludzi, kiedy udał się w podróż. – Król-bóg uśmiechnął się szyderczo. – Bardzo niebezpieczne zajęcie dla członków twojej rodziny, powiedziałbym. Czyż twój brat Gailon nie zginął w podobny sposób? W zasadzce na drodze?

– Co...? – Hendon Tolly zamrugał. Nigdy wcześniej Tinwright nie widział u niego takiej miny. – Dlaczego?

– Ponieważ Caradon coś mi obiecał i nigdy mi tego nie dostarczył. Twój brat miał mojego wroga – a raczej wroga mojego ojca, lecz wróg jednego xiskiego autarchy jest wrogiem wszystkich autarchów – w zasięgu ręki, jednak nie udało mu się go do mnie dostarczyć. Pozwolił mu uciec w jakiejś marnej miejscinie Landers Port i odtąd ślad po tamtym zaginął. Może o nim słyszałeś: Shaso dan-Heza?

Tolly wyglądał tak, jakby zaraz miał się zakrztusić własną śliną.

– Ale... Shaso mnie też uciekł.

Autarcha kiwnął głową.

– Tak, niestety – przyznał, lecz zaraz się ożywił. – Przynajmniej teraz wszyscy są szczęśliwi. Ja, ponieważ twój brat został ukarany za to, że mnie zawiódł, a ty, ponieważ nie musisz już oglądać się za siebie, myśląc o dworze Summerfield. Gratulacje! Teraz jesteś głową rodziny, lordzie Tolly! Jak mniemam, tym samym otrzymasz tytuł... jaki tytuł nosił twój brat? Księcia?

Tinwright nie potrafił oderwać wzroku od zamkniętego pudełka u stóp Hendona Tolly'ego, który także się w nie wpatrywał.

– Ach, my tu rozprawiamy o rodzinnych sprawach, a przecież mamy do omówienia ważniejsze kwestie – kontynuował autarcha. – Masz coś, czego ja potrzebuję, Tolly. Z pewnością nie byłeś na tyle głupi, żeby to zabrać ze sobą... chyba nie, co?

Tolly pokręcił głową, lecz nic nie powiedział, jakby nie ufał własnemu językowi.

– Domyślałem się. Panhyssirze, ile mamy czasu do zakończenia naszych negocjacji?

Kapłan się poruszył.

– Letnie przesilenie przypada za kilka dni, Złocisty.

Autarcha skinął głową.

– I do tego czasu muszę mieć wszystko przygotowane, bo inaczej bóg do mnie nie przyjdzie. Tolly, do jutra przyslesz mi kamień.

– Ka... kamień... – powtórzył powoli Tolly.

– Tak, Boży Kamień. Obiecuję, że niczego więcej od ciebie nie chcę, potem zrobisz, co zechcesz. Zostaniesz tu, by dalej sprawować władzę w tym malutkim królestwie, albo udasz się gdzie indziej przez nikogo nie niepokojony. Gdy już przywołam boga, nie będzie mnie obchodzić, co zrobisz ty czy inni. – Sulepis po raz kolejny się uśmiechnął, a był to uśmiech zadowolonego szakala, który obgryza kość piszczelową, rozmyślając o śmiertelności. – Rozumiesz, lordzie Tolly? Jutro. Jeśli nie, pofatyguję się do ciebie i odbiorę ci go, a wtedy twoje cierpienia będą niewyobrażalne. Zrozumiałeś?

Tinwright nie pojmował, dlaczego Tolly nic nie powiedział – czyż nie rozumiał, że ten człowiek mówi poważnie, że autarcha zniszczy ich

wszystkich bez wahania, jeśli tylko zechce? Tymczasem oblicze lorda protektora Marchii Południowej zdradzało, że niespodziewanie poczuł się on bardzo źle.

– Ja... ja nie... – Tolly zamknął usta, lecz było już za późno.

– Masz go, prawda? – warknął autarcha. – Mówiłeś, że masz.

– Oczywiście! – Tolly już zrozumiał swój błąd. – Oczywiście, tylko pomyślałem...

– Opisz mi go. – Autarcha pochylił się do przodu i wbił w Tolly'ego spojrzenie swoich żółtych oczu. – Powiedz, jak wygląda, psie z północy!

– Jest... – Tolly nie był w stanie wydusić z siebie nawet kłamstwa. Odepchnął krzesło.

Kusznicy skierowali broń w przybyszów z Xis. Strażnicy autarchy opuścili strzelby. Tinwright pomyślał, żeby paść na podłogę, lecz bał się, że może sprowokować strażników, a wtedy wszyscy zginą, łącznie z nim. Przez długą chwilę Tolly, autarcha i strażnicy wpatrywali się w siebie ponad dzielącą ich przepaścią nie szerszą niż trzy kroki.

Pierwszy milczenie przerwał Sulepis z twarzą twardą jak miedź i lśniąca od gniewu.

– Przysięgałeś, że masz Boży Kamień. Okłamałeś mnie – mnie! A ja się poniżyłem, żeby tu przyjść i rozmawiać z tobą! – Jego żółte oczy zdawały się błyskać iskrami, jakby w ciele autarchy zapłonął ogień, który w każdej chwili mógł buchnąć żywym płomieniem. – Szczęśliwie pożyjesz jeszcze jeden dzień na wolności i nie trafisz w ręce moich oprawców – ale to się zmieni! – Wstał.

Strażnicy Tolly'ego wpatrywali się w niego z determinacją i przerażeniem, lecz autarcha jedynie poczekał, aż jego ludzie otworzą drzwi, po czym wyszedł za nimi tak spokojny o swoje bezpieczeństwo, że nawet się nie obejrzał.

Po odejściu gości z północy lord protektor Marchii Południowej opadł z powrotem na krzesło.

– Już nie żyjemy – powiedział.

\*\*\*



Kiedy powoli schodzili na przystań kamiennymi schodami, Matt Tinwright spojrzął za siebie i dostrzegł ruch w najbliższym oknie domku. Uznał, że to tylko gra światła. Hendon Tolly i jego żołnierze szli przed nim, zmierzając do łodzi powolnym krokiem uczestników konduktu żałobnego, autarcha zaś ze swoją strażą opuścił już wyspę – Tinwright widział ich łódź na wodzie zmierzającą ku xiskim statkom. Kto jeszcze mógł przebywać w domku?

Tinwright odważył się odezwać dopiero, gdy byli już w połowie drogi do morskiej bramy zamku:

– Lordzie Tolly, nie rozumiem. Co się tam wydarzyło? Nie pojmuję nic z tego, co słyszeliśmy i widzieliśmy.

– Nastąpiły... komplikacje – przyznał wreszcie Tolly. Spojrzął na pudełko, które podarował mu autarcha, stojące na dnie łodzi, a potem niespodziewanie schylił się, podniósł je i cisnął w ciemnozielone wody zatoki. Opadło z cichym pluskiem. – Ale sobie poradzimy – dodał ożywionym tonem, jakby właśnie wyrzucił za burtę nie uciętą głowę brata, lecz zbędny balast. – Bo Sulepis też nie ma Bożego Kamienia!

Tinwright wpatrywał się w Hendona Tolly’ego, zagubiony i przerażony. Nagle jego rymowane poematy na cześć wielmożów wydały mu się strasznie naiwne. Skoro tak postępują bogaci i uprzywilejowani, to o ile gorsi muszą być sami bogowie? Jeśli dopisze mu szczęście, by jeszcze kiedyś mógł coś stworzyć, to przedstawi prawdę, zdecydował. W swoich poematach opíše zarówno piękno, jak i prawdziwy koszmar istnienia. Przedstawi prawdę i zaszokuje świat!

– Ale co to może być? – zastanawiał się głośno Tolly i w jednej chwili jego radosne ożywienie zmaćła wściekłość. – Boży Kamień? Co to jest ten przeklęty Boży Kamień? Okros nigdy o nim nie wspominał. Niech demony Kerniosa żują jego twardą skórę. – Pokręcił głową jeszcze bledszy niż zwykle w przyływach złości. – Mogłem zginać! – Odwrócił się gwałtownie do Tinwrighta. – Kiedy ten barbarzyński sukinsyn przysłał posłańca z pytaniem, czy mam „ostatni element”, myślałem, że chodzi o lustro Chavena. Zawarłem z nim układ, ale przez cały czas byłem w błędzie. Targowałem się, mając pustą sakiewkę! Mogłem zginać! – Ostatnie słowa Tolly wykrzyczał, jakby to była największa tragedia w całym wszechświecie, w co sam lord protektor

święcie wierzył, zdaniem Tinwrighta. Ludzie jemu podobni potrafili wyobrazić sobie świat jedynie z nimi w centrum. Za to Mattowi od wczesnego dzieciństwa wciąż przypominano, że nikt by za nim nie tęsknił.

Za nimi, w połowie drogi między wyspą a łodzią, na wodzie wciąż kołysało się pudełko. Tolly wreszcie je zauważył.

– A zatem losy Tollych tak się potoczyły, bracie! – zawołał w tamtą stronę. – Gailon gnije w ziemi, ciebie zeżrą ryby, a ja postawię wszystko na jeden rzut kośćmi. – Jego oczy znowu rozpałił ogień ekscytacji. – Autarcha jest zbyt pewny siebie. Nie wie, że bogini dziewica czeka na mnie, że pragnie, bym to ja ją uwolnił! Reszta to tylko sztuczki. Kto wie, czy ten władca z południa w ogóle wierzy we własne kłamstwa? Ja wiem swoje. – Zmarszczki troski wygładziły się na jego twarzy. Tolly spojrzał ku murom Zamku Marchii Południowej, które wyrastały coraz wyżej, w miarę jak się zbliżali do bramy. – Los nie wyniósł mnie tak wysoko tylko po to, żeby pozwolić mi spać.

Tinwright pomyślał, że to mogą być najstraszniejsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszał.

## Dwaj więźniowie

*Chłopiec był zbyt mały, żeby można było zakuć go w łańcuchy na ławce wioślarzy, ale pracował ciężko u okrutnego kapitana statku.*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

– Wybacz, ale nie rozumiem – rzekła Briony. – Co miałeś na myśli, mówiąc, że się myliliśmy?

– Bo... chodzi o to... – Książę Eneasza miał dziwny wyraz twarzy, jakiego Briony jeszcze u niego nie widziała. Po bitwie był zajęty, dlatego nie spotkała się z nim przez pół dnia, a teraz wciąż miał na sobie zbroję oprócz hełmu. – Łatwiej będzie, gdy pójdziesz i sama zobaczysz – odezwał się wreszcie.

Poprowadził ją do palisady na środku obozu Świątynnych Psów, zadaszonej w jednym końcu zszytymi skórami dla osłony przed słońcem i deszczem, który padał co jakiś czas. Briony ze zdziwieniem zobaczyła, że wszyscy więźniowie to ludzie, a wśród nich są najemnicy, których Świątynne Psy uratowały rano.

– Gdzie czarodziejscy wojownicy? – zapytała Eneasza. – Żaden z nich nie przeżył?

– Zaczekaj. – Oblicze księcia było niezwykle ponure.

Na jego rozkaz zza świeżo postawionej palisady wyprowadzono jednego z więźniów. Był to ogromny mężczyzna, wysoki i zwałisty, z gęstą nieprzystrzyżoną brodą. Taki zarost Briony kojarzyła z mieszkańcami kracjańskich równin. Sądząc po poobijanej zbroi, należał do grupy najemników, którzy ochraniali kupiecką karawanę.

– Powtórz wszystko, co nam powiedziałeś – zwrócił się do niego Eneasza.

– Znowu? – Więzień nie wydawał się zbyt przejęty swoim losem.

– Tak, znowu, psie. – Książę był wyraźnie przybity.

Dlaczego? – zastanawiała się Briony. Uśmiech mężczyzny nie znamionował radości.

– Jak każesz. – Obrzucił Briony od stóp do głów spojrzeniem, które raczej nie wyrażało szacunku. – Volofon z Ikarty. Jestem oficerem. Dowodził nami Benaridas, ale poległ. – Spojrzał na Eneasza, jakby to książe był temu winny. – Zamordowali go czarodziejscy ludzie.

– Dlaczego ich uwięziłeś? – zapytała Briony księcia.

– Zaczekaj. – Eneasza odwrócił się do najemnika. – Opowiedz jeszcze raz, skąd się tu wzięliście.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Zostaliśmy wynajęci. Niektórzy nie mają bogatych ojców ani wujów. Musimy sami zadbać o siebie na tym świecie.

– Mówisz do księcia Syanu! – warknął lord Helkis. – Więcej szacunku, jeśli ci życie miłe.

Volofon po raz pierwszy okazał zainteresowanie.

– Książe? To i Syan tu węszy, żeby coś uszczknąć?

Helkis zacisnął dłoń na rękojeści miecza, lecz Eneasza położył mu dłoń na ramieniu.

– Dość, Mironie. – Książe odwrócił się na powrót do Volofona. – W ten sposób nie zyskasz przyjaciół. Ktoś zamknięty w klatce powinien bardziej ważyć słowa, zanim się odezwie. Kto was wynajął?

– Grupa hierosolskich kupców. Wielu już nie żyje, lecz inni utknęli tu z nami, prawymi żołnierzami. – Najemnik pokazał mężczyznę w średnim wieku, który przycupnął po drugiej stronie palisady, obserwując wszystko uważnie z wyrazem udawanej obojętności na twarzy. – Tam jest jeden z nich, Dard Słój. Zaopatrywał karawanę. Jego wypytajcie.

– Ty nie powiedziałaś nam jeszcze wszystkiego – rzekł Eneasza. – Co wam powiedzieli kupcy, kiedy was wynajmowali?

– Że otrzymali zlecenie, by doprowadzić karawanę na daleką północ – do Królestw Pogranicza – i że potrzebują ochrony na czas podróży. Musieli słono zapłacić. – Volofon się roześmiał. Nie miał połowy zębów, a pozostałe były prawie czarne. – Wiedzieliśmy, co się tu wyprawia. Czarodziejscy ludzie i potwory! To robota za podwójną stawkę!

– Obiecali wam coś jeszcze?

– Wszystko, co uda się nam zabrać po drodze. „Dobra okazja, żeby się wzbogacić na ziemi bezprawia”, jak się wyrazili Hierosolczycy.

– Innymi słowy, powiedzieli, że możecie kraść do woli – rzekł Eneasza.

– Można to i tak nazwać. – Volofon po raz kolejny wyszczerzył swoje niezbyt piękne zęby.

– Wystarczy – rzucił Eneasza. – Nie mogę cię już słuchać. Wracaj do swojej klatki. Później zdecyduję, co z wami zrobić.

Najemnik posłał księciu spojrzenie, jakby się zastanawiał, czy podważyć w jakiś sposób autorytet Eneasza, lecz w końcu wzruszył ramionami i powolnym krokiem wrócił za palisadę. Zawołał do żołnierzy, którzy zaśmiali się i coś mu odkrzyknęli. Briony poczuła do nich wszystkich nienawiść, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Mieli w sobie beztroską chłopięcą pewność siebie, lecz pozbawioną uprzejmości i zamkniętą w muskularnych ciałach mężczyzn. Przywykli zdobywać to, czego chcą, za pomocą miecza i nie obchodziło ich, że to należy do kogoś innego. Złodzieje i gwałciciele, pomyślała. I mordercy. A mienia się żołnierzami.

– Wciąż nie rozumiem, Eneaszu – powiedziała głośno. – Co...?

– Wysłuchaj wszystkiego – przerwał jej. – Hej, ty! – zawołał do mężczyzny czającego się pod palisadą. – Dard, bo tak się chyba nazywasz. Chodź tutaj!

Mniejszy mężczyzna podszedł posłusznie i od razu dało się zauważyć różnicę między nim a Volofonem. Dard uniósł ręce i podchodził pokornie pochylony, jakby chciał się wydać tak nieszkodliwy, jak tylko mogą to pokazać pozory.

– Ty jesteś księciem Eneaszem! – powiedział i uśmiechnął się, kiwając głową. – Co za zaszczyt! Twoja sława cię wyprzedza! – Kupiec odwrócił się do Briony. – A ten przystojny młody lord to...?

– Zamknij się. – Eneasza wpatrywał się w kupca, jakby ten wypełził spod kamienia. – Przyrowadźcie go tu do mnie. – Kiedy wyciągnięto kupca na zewnątrz, książę powiedział: – Odpowiadaj tylko na pytania, Dard. Ty wynająłeś najemników. A kto wynajął ciebie?

Długą chwilę mężczyzna wpatrywał się w Eneasza, poruszając niemo ustami.

– No... ktoś, kto wierzył, że można zarobić na północy nawet w tak trudnych czasach, Wasza Wysokość. Karawany przestały podróżować, wiele statków handlowych ucierpiało od Qarów – tak jak my, można by rzec. Tych samych Qarów, którzy by nas wymordowali, gdybyście nie pospieszyli nam na ratunek!

– Po raz ostatni mówię ci, żebyś tylko odpowiadał na pytania. – Eneasze pokręcił głową. – Nie jestem dzieckiem łasym na pochlebstwa. Nawet gdy już postanowiliście przewieźć towary lądem, dlaczego nie wybraliście drogi przez Summerfield czy Silverside albo Marrinswalk? Obraliście dziwnie długą drogę, która prowadzi przez bardzo niebezpieczny kraj. Po co wynajmować najemników do ochrony na takim parszywym odludziu, gdzie nie ma zbyt wiele... cywilizowanych miejsc, w których by kupiono wasz towar? – Uniesioną dłonią powstrzymał kupca, który już otworzył usta, by wybąkać wyjaśnienia. – Bo macie specjalnego kupca, co? Który czeka na was w Zamku Marchii Południowej.

– W zamku? Co to za kupiec? – zapytała Briony. – Chodzi o Hendona Tolly'ego?

– Zrozumiesz, gdy spojrzysz na listę towarów – rzekł książę. – Mironie?

Oficer otworzył ciężką księgę i zaczął czytać:

– Słodzone wino, twardy chleb, beczki z żelaznymi pierścieniami...

– To dostawa wojskowa – powiedziała Briony.

– Och, idźmy dalej. – Oblicze Eneasza przypominało niebo, które ma piorunami rozbłysnąć, wichurą i ulewą. – Słuchaj. Kilka tysięcy miar zboża na mąkę, skóry, żelazna surówka... zapasy dla armii na czas wojny, gdy nie ma pewności, czy znajdzie się to wszystko na obcym terenie. Ale mamy tu też pięćset beczek papryki z Marashi. Jadłaś to kiedyś? Paskudna i ostra, nadaje się tylko dla zwierząt albo dla ludzi z południa. W rzeczywistości to żołnierze z Xis głównie się nią żywią, i jeszcze ciecierzycę. Ach, patrz! Mamy tu jej tysiąc worków! Cóż za zbieg okoliczności. Ta karawana, która, jak wynika z listy, opuściła Hierosol przed trzema miesiącami albo wcześniej... wiezie zaopatrzenie dla xiskiej armii, jak się wydaje. – Spojrzał na przestraszonego Darda. – Tylko że autarcha oblega Hierosol, prawda? Dlaczego więc miałby

wysłać zaopatrzenie tak daleko na północ? Chyba że spodziewał się odwiedzić te strony?

– Proszę, Wasza Wysokość, nie zdawaliśmy sobie sprawy! – zawołał kupiec. – Wykonywaliśmy tylko polecenie!

– Kłamiesz. – Eneasza kopnął mężczyzną, a ten zatoczył się na bramę palisady. – Zabrać go. Później zdecyduję, co zrobić z całą tą parszywą bandą.

Lord Helkis i pomagający mu żołnierze wepchnęli za bramę protestującego Darda.

– Przecież Qarowie... – zaczęła Briony.

– Nie mam pewności, ale skoro walczyli, żeby przejąć zaopatrzenie autarchy, to działali jak przypadkowi sprzymierzeńcy. Kto wie? Jestem zły, księżniczko Briony, bardzo zły. Ponieważ złamałem pierwszą żołnierską zasadę, która każe się dowiedzieć, z kim się walczy i dlaczego. Pomogliśmy wrogowi.

– Niezupełnie – odparła Briony. – Bez względu na inne konsekwencje teraz my mamy te towary, a nie autarcha.

Czoło księcia trochę się wygładziło, a po chwili nawet się uśmiechnął.

– To prawda, księżniczko. I jeśli autarcha oblega teraz zamek twojego ojca, to może niedługo będziemy mogli wyrządzić jeszcze większą krzywdę temu południowemu sukinsynowi... wybacz te słowa.

\*\*\*

Dziwna to była podróż przez Królestwa Pogranicza. Tętniące życiem miasta teraz były niemal wyludnione, a żyzne niegdyś pola porastały niesamowite pnącza z czarnymi kołyszącymi się kwiatami i sinopurpurowymi liśćmi. Spotykali też o wiele mniej ludzi, niż się spodziewała Briony, lecz uznała, że to z powodu towarzyszących jej żołnierzy. Syan i Marchię Południową łączył wieloletni sojusz, lecz po inwazji Qarów i przez panoszące się wszędzie bandy ludzie trzymali się swoich domów i dobytku, i nie chcieli się pokazywać uzbrojonym grupom bez względu na to, pod jakim sztandarem maszerowały.

Nawet zwierzęta wydawały się inne, zauważyła. Większość zwierząt gospodarczych dawno została zjedzona albo starannie ukryta, lecz wiewiórki, jelenie i ptaki jakby przestały się bać człowieka. Co wcale nie oznaczało, że łatwiej było je upolować, dlatego szańscy żołnierze przeważnie musieli zadowolić się jedzeniem, które przywieźli ze sobą. Mieli własne bydło i owce, lecz Eneasza rzadko pozwalał je zabijać, ponieważ nie miał pojęcia, co zastaną po dotarciu do zamku, tak więc jego ludzie jedli głównie zupę, twardy chleb i marne warzywa, które czasem udało im się zebrać z pól. Niektórzy rycerze mieli własne, bardziej smakowite zapasy, a ponieważ Eneasza wierzył w armię, która dzieli zarówno trudy, jak i łupy, gdy tylko zobaczył drogie bażanty przywiezione przez rycerzy w beczkach z oliwą, od razu kazał je rozdać piechurkom, co przekonało wielmożów, że nie warto było przemycać dla siebie lepszego jedzenia. Briony zauważyła, że na każdego szlachcica niezadowolonego z utraty smacznych kąsków przypadał tuzin zwykłych żołnierzy, którzy widzieli w księciu niemal boga.

Z czasem dowiedziała się też, że także ci niezadowoleni rycerze uwielbiają Eneasza. Początkowo podejrzewała, że on sam organizuje paradę dziękczynną z wyrazami lojalności za każdym razem, gdy kroczy między namiotami, lecz szybko się zorientowała, że zachowanie podwładnych jest szczere. Po prostu Eneasza należał do tych przywódców, którzy dzielą z wojskiem wszystkie trudy i nagrody i nigdy nie zapominają, że pomimo różnic w urodzeniu – Eneasza był ich świadomy i traktował to po staroświecku – życie zwykłego zbrojnego jest nie mniej ważne niż życie ważnego rycerza. Briony nie potrafiła powiedzieć, czy książę rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy z własnej popularności w szeregach, co było bardzo prawdopodobne, czy też tylko tak udaje powodowany skromnością. Widok Eneasza wśród zwykłych żołnierzy stanowił doskonałą lekcję pogładową dla książąt – i księżniczek, uznała Briony.

Jednak najdziwniejsze dla niej w tej podróży nie było to, jak zmienił się kraj, lecz jak bardzo ona sama się zmieniła, co właśnie sobie uświadomiła. Od jej ucieczki z zamku minęło zaledwie pół roku, a dwanaście miesięcy od momentu, gdy ojciec dostał się do niewoli, tymczasem ona czuła, że z trudem by poznała Briony Eddon sprzed



roku, gdyby ją spotkała. Tamta dziewczyna miała tak niewielkie oczekiwania wobec świata! Tamta Briony nie zasiadała na tronie, chyba że podczas zabaw z bratem, gdy sala już opustoszała; dzisiejsza Briony siedziała na tronie jako władczyni i podejmowała decyzje w kwestiach handlu, prawa, a nawet wojny. Tamta dziewczyna nigdy nie wyjeżdżała poza mury zamku bez straży i towarzystwa dam dworu. Dzisiejsza Briony spała w stogu siana albo na ziemi, pod wozem w lesie podczas deszczu. Tamta Briony uczyła się fechtunku z takim samym roztargnieniem, z jakim uczyła się rachunków i czytała ustępy z *Księgi Trygonu*; dzisiejsza Briony walczyła o życie, a nawet zabiła człowieka.

Uzmysłowiła sobie także, że to nie tylko doświadczenia tak bardzo ją odmieniły, lecz wszystko, co widziała w minionym roku, wszyscy ci zwykli i niezwykli ludzie, których spotkała, aktorzy, złodzieje i zdrajcy, gobliny i Kallikanie, jak również sytuacje, w jakich się znalazła – głód, strach, brak dachu nad głową, brak przyjaciół i pieniędzy. Briony miała wrażenie, że jedyne, co ją łączy z tamtą Briony, to imię i miejsce urodzenia.

Wydało jej się to dziwne, ale i ekscytujące. Pisała tę nową Briony, tak jak pióro kreśli słowa na pergaminie. Co jeszcze napisze pióro? Nie sposób przewidzieć. Lecz po raz pierwszy w życiu, pomimo grożącego jej niebezpieczeństwa i straty, jakiej już doświadczyła, spokojnie czekała na to, co przyniesie jej przyszłość.

Choć, po prawdzie, i tak nie miała wyboru.

\*\*\*

Qinnitan zdołała uciec przed nim. Prawie.

Daikonas Vo był chory albo poważnie ranny, inaczej Qinnitan nie zdołałaby się oddalić ani zachować takiej odległości. Jednak żołnierz, mimo że poruszał się, jakby miał połamane wszystkie kości albo ogień palił mu wnętrzności, nie ustępował. Zawsze gdy się obejrzała za siebie w chwili wythnienia, Vo był tuż za nią.

Dlaczego go nie zabiłam, kiedy miałam okazję? Dlaczego byłam taka głupia i pozwoliłam mu żyć?

Bo nie wiedziałaś, co jeszcze się wydarzy, sama sobie odpowiedziała, przedzierając się przez zalesione stoki wzgórz Brennlandii, głodna, wyczerpana, nie mogąc dać odpocząć obolałym i krwawiącym stopom. Bo i tak byś nie wiedziała, jak zabić człowieka, a co dopiero żołnierza takiego jak Vo. Takiego potwora jak Vo.

I taki był powód: Vo napełniał ją przerażeniem. Na statku musiała zebrać całą odwagę, żeby spróbować go otruć płynem z jego czarnej buteleczki, lecz jej się nie udało. Jaką teraz mogła mieć nadzieję?

Jednak mimo że nie zdołała go otruć, wyraźnie coś było z nim nie tak: przypominał dziką istotę, a gdy zbliżał się na tyle, że mogła go usłyszeć, jęczał i mówił do siebie.

Wprawdzie go nie zabiłam, ale może zbyt duża dawka mikstury mu zaszkodziła, pomyślała. Albo cierpi z powodu jej braku.

Wiedziała jednak, że nic nie będzie miało znaczenia, jeśli ją dogoni, a nawet jeśli nie, to sama umrze z głodu, jeżeli nie wyprzedzi go na tyle, by móc poszukać jedzenia.

\*\*\*

Qinnitan czuła, że z głodu boli ją żołądek. Ze zmęczenia ledwo poruszała nogami. Zbocze pięło się coraz bardziej stromo, lecz instynkt podpowiadał jej, żeby wydostała się z zalesionej doliny, mimo że na stoku będzie widoczna dla Vo lub każdego, kto będzie patrzył z dołu. Znalazszy się w połowie pochyłości, usłyszała prześladowcę, jak przedziera się przez zarośla poniżej. Wypadła z gęstego lasu na porośniętą trawą część zbocza, gdzie drzewa rosły rzadziej, a pomiędzy nimi kępy purpurowo-szarych krzewów, i obejrzała się. Vo zobaczył ją i wyszczerzył zęby w masce zaschniętej krwi, która pokrywała jego twarz. Mógł to być grymas wyczerpania, lecz dla Qinnitan wyglądało to raczej na warknięcie zwierzęcia, które nie ustąpi, aż jedno z nich padnie, co ją przeraziło.

Wspinając się dalej, zepchnęła kilka dużych luźnych kamieni, lecz nawet w tak kiepskim stanie Vo był zbyt zwinny, by dać się zaskoczyć, i za każdym razem czekał, aż kamień znajdzie się bardzo blisko, a potem odskakiwał w ostatniej chwili.

Na szczycie wzgórza Qinnitan zobaczyła z zaskoczeniem, że wzdłuż podnóża przeciwnego stoku, kilkaset jardów pod nią, biegnie droga. A to mogło oznaczać, że gdzieś niedaleko jest jakaś miejscowość! Zaczęła schodzić nieporadnie, najszybciej jak potrafiła, oglądając się za siebie, lecz nie widziała Vo. Kiedy wreszcie wyszła na drogę, puściła się biegiem. Biegła w takim tempie, że na ulicy Kocie Oko by ją wyśmiano, ale przynajmniej wiedziała, że każdy krok oddala ją od kulejącego Daikonasa Vo. Mordercy.

Co jakiś czas zwalniała i szła przez mniej więcej godzinę, modląc się, by za kolejnym zakrętem zobaczyć miasto albo chociaż wioskę, lecz nie dostrzegła prawie żadnych oznak ludzkiej obecności. Zauważyła na drzewach znaki wycięte siekierą, a także starą chatę, być może schronienie wypalacza węgla drzewnego, lecz siedziba była zniszczona i opuszczona.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Qinnitan szła, potykając się, gdy nagle na drodze przed sobą zobaczyła jeźdźca. W pierwszej chwili pomyślała, że to tylko gra wydłużających się cieni, lecz kiedy podeszła bliżej, upewniła się, że to mężczyzna na małym koniu. Gdy pokonała następnych kilkaset kroków, zobaczyła, że to nie koń, lecz muł, a mężczyzna ma ogoloną głowę jak eioński kapłan.

– Pomocy! – zawołała, wypowiadając jedno z nielicznych północnych słów, które zapamiętała. – Pomocy! Proszę!

Zaskoczony mężczyzna odwrócił się i ściągnawszy wodze, czekał na nią, kręcąc głową.

– Jeśli to jakaś sztuczka, panienko, to źle skończysz. – Wysunął z pętli na siodle sękaty kij i machnął w jej stronę. – Nie pozwolę się zaskoczyć złodziejowi dla kilku miedziaków w sakiewce.

Qinnitan zrozumiała go tylko częściowo.

– Pomocy – powiedziała. – Proszę. Głodna.

Mężczyzna nie był stary, ale też już niemłody, twarz miał pokrytą siateczką zmarszczek wyłobionych przez słońce i wiatr. Sięgnął do torby i wyjął piętękę chleba.

– Weź – powiedział. – I niech Honnos cię prowadzi. Idziesz do Dunletter? Pieszko nie dotrzesz tam przed nocą.

Nie dowiedziała się, czy zechce ją podwieźć. Rozległ się trzask łamanych gałęzi, a gdy kapłan podniósł głowę, zobaczył Daikonasa Vo, który wyszedł na drogę kawałek za nimi, trzymając coś w ręku.

– A niech cię, panienko! – jęknął kapłan głosem nabrzmiałym desperacją i gniewem. – Nabrałaś mnie...

Coś uderzyło go w głowę, rozległ się nieprzyjemny chrzęst i mężczyzna zsunął się z grzbietu muła. Na drodze obok niego leżał zakrwawiony kamień, który roztrzaskał mu czaszkę. Muł wierzgnął kilka razy, a potem ruszył przed siebie. Qinnitan nawet się nie obejrzała na Vo, pobiegła za zwierzęciem i niezdarnie wdrapała się na jego grzbiet. Z twarzą przyciśniętą do gorącego szczeciniastego karku uderzyła piętami boki muła, próbując go zmusić do szybszego biegu.

– Dopadnę cię, ty mała suko! – zawołał ochryłym głosem Vo po xisku, co przstraszyło muła, który pokłusował jeszcze szybciej. – Nie uciekniesz przede mną...

Qinnitan nie przestawała uderzać piętami muła, by zmusić go do szybszego biegu, aż wreszcie przstraszyła się, że ją zrzuci. Przywarła mocniej do grzbietu, powtarzając słowa modlitwy.

\*\*\*

Świątynne Psy księcia Eneasza podążały Gościńcem Srebrzystej Rzeki, która płynęła krętą wstęgą na północ i północny zachód przez kertewallskie doliny, by wreszcie skrócić w zachodni kraniec Silverside. Droga przecinała rzekę w kilku miejscach – czasem żołnierze musieli naprawiać rozklekotany most, by wytrzymał ciężar wozów i obładowanych rumaków bojowych – lecz przeważnie biegła wzdłuż koryta. Wiosenne deszcze sprawiły, że woda się podniosła i płynęła wartko, głośno szumiąc, co stanowiło kontrast dla przytłaczającej ciszy pustych dolin. Już sam ten dźwięk trochę podniósł Briony na duchu, podobnie jak widok wiosennych kwiatów, choć trudno było ominąć spojrzeniem wyludnione miasta – obrazy zniszczenia – pozostałe po przemarszu Qarów przed pół rokiem.

\*\*\*

Któregoś ranka, pół dekanoksu po bitwie z Qarami, Briony przebudziła się wcześniej po niespokojnej nocy i siedziała w wejściu namiotu, przyglądając się, jak obóz budzi się do życia. Tęskniła za *gawą*, którą nauczyła się pić rano w czasie pobytu w domu Effira dan-Mozana w Landers Port. Zapach dymu z ognisk przypominał jej gorzkawy smak napoju przebijający się przez słodycz miodu i śmietanki oraz uczucie ciepła w żołądku. Nie piła *gawy* od miesięcy. Teraz rano mogła zakosztować cierpkiego wina albo wody z rzeki, która płynęła na tyle szybko, by zachować czystość.

Jeśli przeżyję to wszystko, będę piła *gawę* każdego ranka, ze śmietanką z Dales i miodem wrzosowym z Settlanii, obiecała sobie w duchu. A jeśli ktoś mnie zapyta o ten dziwny zwyczaj, odpowiem mu: „Ach, przejęłam go od Tuańczyków, kiedy u nich mieszkałam...”

Przemknęło jej przez myśl, niczym gradowa chmura, wspomnienie o Shazie, lecz zanim zdążyła je zatrzymać, zauważyła jakieś poruszenie przy namiocie Eneasza, który księżę niedawno niechętnie przyjął od niej z powrotem, gdyż otrzymała inny po jednym z oficerów poległym w bitwie pod Targowiskiem Kleaswell. Briony nauczyła się już trochę rozpoznawać różne obozowe odgłosy i teraz się zorientowała, że wrócili zwiadowcy. Nie rozumiała tylko, dlaczego ich powrót spowodował takie poruszenie.

– Księżniczko, cieszę się, że przyszedłeś – rzekł Eneasze, kiedy się zbliżyła. – Łasica ma coś ciekawego do opowiedzenia.

Łasica, młody żołnierz, niemal chłopiec, którego kolor skóry i włosów sugerowały, że pochodzi z południowych wysp poniżej Devonis, wyglądał raczej na zmartwionego i nieszczęśliwego, co starał się ukryć, niż chętnego do snucia ekscytujących opowieści. Jego towarzysze, ubrani podobnie jak on w lichą odzież, przez co wyglądali bardziej na bandę kłusowników niż regularnych żołnierzy, słuchali w milczeniu sprawozdania dowódcy.

– Strasznie ich dużo – mówił Łasica. – Tysiące, powiedziałbym, dziesięć, a może więcej, nie licząc tych zakwaterowanych w samym mieście. Dziesiątki statków w porcie od strony lądu, od kogów po trójmasztowce, a także okręty wojenne i galeasy. Oblegają zamek.

Podczas naszej obserwacji wczoraj po południu i wczesnym wieczorem strzelali z dział niemal bez przerwy i dokonali wyłomów w murze zewnętrznym co najmniej w dwóch miejscach, ale obrońcy załatali wyrwy. A działa, na Voliosa Silnorekiego, jakie to muszą być potwory! Widzieliśmy z naszego miejsca: rzygały ogniem niczym Góra Sarissa, wydając odgłosy, jakby to był koniec świata.

– I to jest armia autarchy?

Łasica skinął głową.

– Ten przeklęty xiski sokół jest wszędzie, Wasza Wysokość. Nie spodziewaliśmy się aż tylu żołnierzy. Jest tak samo, jak mówili o Hierosolu.

– A Qarowie? – zapytała Briony.

– Ani śladu. – Dowódca zwiadowców odwrócił się do swoich ludzi, ci zaś przytaknęli. – Może ci, których spotkaliśmy, stanowili tylko skrzydło wycofującej się armii.

Eneasz wyglądał na zatroskanego.

– Być może. Ale to właściwie żadna różnica. Dziesięć tysięcy xiskich żołnierzy!

– Więcej, jeśli zwiadowcy się nie mylą – rzekł lord Helkis. – Jeśli część jest skoszarowana w mieście, może ich być dwa razy tyle. Książniczko Briony, ilu ludzi można zakwaterować w części miasta na głównym lądzie?

– Wielu. – Jak Zamek Marchii Południowej może się oprzeć takiej armii? A jeśli autarcha przejął kontrolę nad Zatoką Brenna, to tym samym odciął ostatnią drogę zaopatrzenia. – Bronili się? – zapytała. – Ludzie w zamku?

– Trudno powiedzieć, pani. – Łasica unikał jej spojrzenia i mówił tak, jakby zwracał się do kogoś między nią a księciem. – Widzieliśmy pióropusze dymu na murach, ale to musiały być działa małokalibrowe. Nikt by się nie wygłupiał i nie wystawiał na cel, żeby oddać kilka strzałów, to pewne.

Briony z trudem powstrzymała się przed zadaniem pytań, na które już знаła odpowiedzi: skoro autarcha ma tylu ludzi i tak dużo broni, to zamek nie może się długo utrzymać. Merolanna, jej dworki Rose i

Moina, a także siostra Utta i gderliwy stary Nynor – wszyscy oni są w wielkim niebezpieczeństwie.

– Nie możemy liczyć na to, że pokonamy taką siłę, księżę Eneaszu – powiedział Helkis. – Ludzie pójdą za tobą wszędzie, dokądkolwiek ich poprowadzisz, lecz ich odwaga zasługuje na coś więcej niż bezcelowa śmierć – nawet za honor... – ostrożnie skierował na Briony obojętne spojrzenie – ...takiej damy.

– To nie honor mnie tu sprowadza, panie – rzuciła gniewnym tonem, a Eneasze uniósł dłoń.

– Uspokójcie się, proszę. Obiecałem księżniczce Briony pomoc i oczywiście ją otrzyma. Ale z pewnością nie oczekuje, że postąpię w głupi sposób, prawda, Wasza Wysokość?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała, choć nie spodobało jej się to, co te słowa mogły oznaczać. Wydawało jej się, że Eneasze i lord Helkis już uznali, że nic nie wskórają wobec przeważającej siły wroga.

Briony była tak zła, że nie mogła słuchać uważnie księcia i jego szlachetnych oficerów, którzy zaczęli dyskutować, jakie należy podjąć działania, co głównie ograniczało się do bezpiecznego rozbicia obozu. Było jasne, że tego dnia nie zrobią już nic ważnego, jeśli w ogóle cokolwiek. Nie mogła ich winić za to, że nie chcą bezpośrednio atakować sił autarchy, ale przecież mogli zacząć planować obejście jego armii. Z pewnością istnieje jakiś sposób na wyswobodzenie zamku.

Stała więc przed namiotem i energicznie ostrzyła noże Yistich, gdy podszedł do niej młody wysoki żołnierz o wyraźnie zatroskanej twarzy. Czekwała, aż coś powie, lecz on milczał, mimo że podszedł na odległość zaledwie kilku kroków.

– Tak?

Przełknął ślinę. Pomimo wysokiego wzrostu nie wyglądał na dużo starszego niż ona sama.

– Za pozwoleniem, Wasza Wysokość – powiedział i zamilkł, jakby zabrakło mu powietrza. Minęła długa chwila, zanim zdobył się na kolejne słowa: – Ktoś... jest ktoś... kto chciałby z tobą mówić, Wasza Wysokość.

Posłała mu spojrzenie mówiące, że nie jest zainteresowana, lecz on albo był zbyt głupi, albo zbyt przestraszony, by to zrozumieć. Westchnęła i zapytała:

– Kto? Kto taki chce ze mną mówić, kogo ja chciałabym wysłuchać?

Żołnierz pobladł w panice, usiłując zrozumieć jej słowa.

– Och, na miłość Zorii, gadaj, o co chodzi, żołnierzu. Kto to jest?

– Kupiec, Wasza Wysokość. Dard.

Potrzebowała chwili, żeby przypomnieć sobie, o kogo chodzi.

– Ach, ten. Jak to możliwe, że przekazujesz wiadomości od więźnia? Właściwie od sługi autarchy.

Żołnierz głośno przełknął ślinę.

– Od sługi?

– Jak to możliwe, że przekazujesz wiadomości od niego. Dał ci monetę? – Uniosła brew. – Zapłacił ci, tak? Ciekawe, co na to powie Eneasze.

Przerażony chłopak wybałuszył oczy.

– Mój ojciec nie żyje, a siostra nie wyjdzie za mąż bez... – wybąkał.

Briony schowała nóż do pochwy i uniosła dłoń.

– Dosyć. Szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Zatrzymaj sobie monetę i prowadź mnie do niego.

Gdy kupiec zobaczył żołnierza w towarzystwie księżniczki, odszedł od pozostałych więźniów i zbliżył się do palisady niespiesznym krokiem.

– W porządku, żołnierzu, możesz odejść – rzekła Briony. – Podaj mi tylko swoje imię.

– Mo-moje imię? – zająknął się żołnierz.

– Nie powiem nikomu, że przyjąłeś pieniądze od więźnia, ale może kiedyś zechcę prosić cię o przysługę. Jak masz na imię?

– A-Avros. Wołają na mnie „Mały Avros”. – Wzruszył ramionami. – Bo jestem taki wysoki.

– Rozumiem. Idź już.

Żołnierz zdążył się oddalić, kiedy Dard doszedł do ogrodzenia. Briony wyjęła mały nożyk i zaczęła sobie czyścić paznokcie.

– Przekupiłeś żołnierza – powiedziała. – Księżciu się to nie spodoba.

– Przecież mu o tym nie powiesz – odparł Dard. – Biedny chłopak próbuje uzbierać na posag dla swojej brzydkiej siostry...



– Dość. Czego chcesz?

– Poznałem cię.

Briony przyglądała mu się przez chwilę spod uniesionych brwi, a potem wróciła do czyszczenia paznokci.

– W obozie wszyscy wiedzą, kim jestem. I po to marnowałeś mój czas?

– Nie, księżniczko. Chcę dobić targu.

– Dobić targu? – Rozejrzała się. – Eneasza zabrał wszystko, co miałeś, kupcze. Więc co mógłbyś zaoferować? A zwłaszcza mnie?

– Informację. – Uśmiechnął się. Nie miał wszystkich zębów, lecz te, które zachował, były lśniaco białe. Nie wywarł na niej wrażenia. – Wiem coś, o czym, jak sądzę, też chciałabyś wiedzieć.

– A dlaczegoż to nie miałabym poprosić księcia, żeby wycisnął z ciebie tę informację jak wodę ze szmaty?

Dard patrzył na nią z pewnością siebie.

– Bo może nie chcesz, żeby on się o tym dowiedział. Ale jeśli wolisz, żeby najpierw jego o tym poinformował, to...

Wyczyściła paznokieć najmniejszego palca, a potem schowała nożyk do pochwy.

– A czego oczekujesz w zamian za swoją informację, kupcze?

– Wolności. Mogę w pół roku odzyskać pieniądze stracone podczas tej wyprawy, jeśli tylko będę wolnym człowiekiem. Najemników Eneasza może zapędzić do pracy, ale ze mnie i moich kompanów nie będzie miał pożytku. Chciałem tylko zarobić na życie i nie opowiadałem się po żadnej stronie. – Wzruszył ramionami. – A poza tym wkrótce to miejsce nie będzie bezpieczne.

Briony zastanawiała się nad słowami kupca. Co takiego mógł wiedzieć, czym ona nie chciałaby podzielić się z Eneaszem? Nie poczuła się wcale pewniej, gdy nic nie przyszło jej do głowy.

– Nawet gdybym zechciała zawrzeć z tobą umowę, to nie mam takiej mocy. Książę Syanu jest tu panem.

– A nie możesz go... przekonać? – Nawet białe zęby nie sprawiły, by spodobał się jej jego lubieżny uśmiech.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

– Zaczekaj! Zaczekaj, pani! Wybacz! Źle oceniłem sytuację! Proszę, wróć! – Odwróciła się i spojrzała na kupca. Dard Słój opadł na kolana z wyrazem szczerzej rozpacz na twarzy. – Proszę, księżniczko, byłem głupcem, wybacz mi. Daj mi tylko słowo, że zrobisz, co w twojej mocy, by dotrzymać umowy, a ja ci zaufam. Zrobisz to? Jeśli moja informacja w jakiś sposób ci pomoże, obiecaj, że pomówisz z Eneaszem o moim uwolnieniu, a ja będę usatysfakcjonowany. Twoje słowo mi wystarczy.

Briony była trochę przestraszona, a trochę zaciekawiona, co to za informację kupiec uznał za wystarczająco wartościową, by się targować z księżniczką.

– Dobrze – zgodziła się wreszcie. – Obiecuję ci, że jeśli twoja informacja okaże się przydatna, pomówię z Eneaszem w twoim imieniu.

– Tylko szybko. Zanim dojdzie do kolejnych walk.

– Szybko. A teraz mów.

Kupiec rozejrzał się, mimo że w pobliżu nie było żywej duszy, a potem przysunął się do ogrodzenia. Briony także się pochyliła, uważając jednak, by pozostać poza zasięgiem jego ramion – nie chciała stać się zakładniczką.

– Po drugiej stronie wzgórza, na brzegu Zatoki Brenna, autarcha rozbił obóz – powiedział kupiec.

– Tyle sama wiem, kupcze...

– Ale nie wiesz, że trzyma tam więźnia, koronowaną głowę. – Obserwując jej twarz, musiał stwierdzić, że dobrze się domyśla, ponieważ wyraźnie nabrał pewności siebie. – Ach, widzę, że o tym nie wiedziałaś. Tym więźniem jest twój ojciec, księżniczko Briony. Autarcha trzyma tam twojego ojca, króla Olina z Zamku Marchii Południowej.

## Wierzba

*Udali się do Perikalu i Ulos, a nawet do  
barbarzyńskiego Akaris, gdzie widzieli  
xandyjskich kapłanów wiatru na rynku i  
słuchali ich rzewnych pogańskich śpiewów, lecz  
Sierota zatkał sobie uszy i zasłonił oczy na taką  
bezbożność...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Czasem się wydawało, że działa nigdy nie umilkną. Po dniach niespodziewanego spokoju xiskie wojska wreszcie rozpoczęły atak, który od tamtej chwili trwał nieprzerwanie. Statki z południa przemykały po Zatoce Brenna, a ich działa ostrzeliwały miejskie mury, roztrzaskując dachy i iglice wież i zamieniając je w deszcz gruzu, który spadał na ludzi, rażąc ich śmiertelnie równie gwałtownie jak błyskawice Perina. Znaczna część Wieży Wilczego Kłā, najwyższej w mieście, została już zniszczona. Większe działa napastników, ustawione na wzgórzu, przez cały dzień podgryzały mur zewnętrzny, a raz czy dwa w ciągu godziny rozlegał się straszliwy ryk najpotężniejszych armat autarchy – krokodyli. Strzelały one kulami tak wielkimi, że do podniesienia jednej potrzeba było kilkudziesięciu ludzi. Obrobione głazy potrafiły wybić dziurę nawet w najgrubszym murze, jeśli tylko trafiły w cel. Obrońcy zamku musieli w nocy odbudowywać strategiczne partie zewnętrznego muru. Ludzie w pocie czoła pracowali w ciemności, nim rano działa autarchy znowu plunęły ogniem.

\*\*\*

Było oczywiste nawet dla siostry Utty, która niewiele wiedziała o wojnie, że zamek długo nie wytrzyma – setki mieszkańców Marchii Południowej już zginęły, kolejne setki leżały ranne. Xiscy żołnierze w

spiczastych hełmach biegali śmiało pod murem, krzycząc do obrońców i prowokując do marnowania cennych strzał i pocisków. W końcu zabraknie ludzi do łatania wyrw w murze, a wtedy wleją się przez nie wojska autarchy. Utta wiedziała, że będzie musiała zdecydować, czy oddać się w niewolę, czy też złamać śluby zorianki zakazujące popełnić samobójstwa – nie łudziła się, że zostanie potraktowana przez xiskich żołnierzy równie łagodnie jak przez Qarów.

Wykonawszy znak Trzech, wyszła z zadaszonego przejścia do długiego krużganka, który biegł wzdłuż zachodniej ściany królewskich ogrodów. Poranne słońce zdążyło się już wychylić zza murów, co oznaczało, że niebawem ciszę przerwie dudnienie dział. Teraz w zamku już nigdy nie było całkiem bezpiecznie, lecz w krótkich przerwach przynajmniej wracało złudne wrażenie mniejszego zagrożenia. Utta ochoczo chwyciła się każdego fałszu, skoro rozwiały się już nawet najbardziej zwodnicze nadzieje.

Avin Brone zamieszkał w komnatach za koszarami straży. Zorianka pokonała otwartą przestrzeń najszybciej, jak to było możliwe, trzymając się z daleka od wysokich budynków, często głównych celów porannego ataku, jako że pierwsze jawiły się w blasku poranka. Wymownym dowodem tego były ruiny Wieży Zimowej: została w większości zniszczona niecały dekanox wcześniej, a jej potłuczona górna część wciąż leżała na dachach sąsiednich budynków, podobna do węzowatego potwora.

Jakimś cudem Avin Brone wciąż cieszył się wolnością, co więcej, brał udział w obronie zamku. W innych okolicznościach byłoby ciekawie przyglądać się, jak władza fałuje w Zamku Marchii Południowej: Berkan Hood i pozostali obrońcy zdali sobie sprawę, że są osamotnieni w swoich poczynaniach, że Hendon Tolly nie zamierza stanąć na czele obrony, tak więc Brone znowu okazał się potrzebny.

Znalazła go w komnacie, którą przeznaczył na pokój przyjęć. Siedział z bolącą nogą opartą na stołku. Brone'a pilnowało kilku strażników o przestraszonych minach – wszyscy byli za młodzi, by nosić zbroję, a co dopiero by ryzykować życie w obronie Hendona Tolly'ego. Lecz po klęsce na Polu Kolkana i morderczej walce przeciwko Qarom w zamku zostało nie więcej jak tysiąc ludzi zdolnych do noszenia broni.

– Lordzie Brone, czy mogę zająć ci chwilę? – spytała.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi. Jego strażnicy – albo giermkowie czy też kimkolwiek byli ci pryszczaci chłopcy – również starali się okazać niezadowolenie z jej przybycia.

– Co?

– Jestem siostra Utta, lordzie Brone. Pamiętasz? Spotkaliśmy się wcześniej.

Broda zupełnie mu posiwiiała, choć po części mogła być przyprószona pyłem z pokruszonego tynku i kamienia. Dopiero po chwili ją rozpoznał, a wtedy jeden grymas przeszedł w inny.

– Tak, siostrze. Wybacz, ale jestem niemożebnie zajęty. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Nie dla mnie, lordzie Brone. Dla księżnej. Prosi, byś ją odwiedził.

– Merolanna? Ale... – Pokręcił głową wyraźnie poirytowany. – Nie mogę chodzić. W każdym razie z trudem się poruszam. A poza tym chyba zauważyłyście, że prowadzimy wojnę z okrutnym przeciwnikiem. Przekaż jej, niech mi wybaczy moją nieuprzejmość, lecz to nie jest dobry moment. – Zaczął się już odwracać do swoich map rozłożonych na stole, lecz powodowany poczuciem winy jeszcze raz podniósł wzrok. – To naprawdę niemożliwe. Nie dzisiaj.

– Przekażę jej twoje słowa, lordzie Brone. Oczywiście będzie rozczarowana. Kazała ci powiedzieć, że pragnie porozmawiać z tobą o sprawie, którą znasz tylko ty. Tylko ty. – Utta nie miała pojęcia, co to znaczy, lecz księżna wyraziła się jasno.

„Nie pozwól się zbyć” – poinstruowała ją Merolanna. – „Będzie próbował odmówić. Nie pozwól mu”.

– Naprawdę nie mogę, siostrze. To nie jest dobry czas – rzekł Brone już trochę mniej pewnym tonem. Twarz miał czerwoną i naznaczoną zmęczeniem. Z pewnością nikt by go nie nazwał okazem zdrowia.

Utta mu współczuła, lecz nie na tyle, żeby nie sięgnąć po kolejną broń.

– Dobrze, choć obawiam się przekazać jej takie wieści – odparła. – Nie jest zbyt silna.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Merolanna? To coś nowego.

– Nie widziałaś jej, odkąd byliśmy w niewoli u Qarów. Teraz to nie ta sama kobieta.

– Człowiek, którego wysłałem do was po waszym powrocie, nic takiego nie mówił. – Brone wyglądał na zaniepokojonego. Co to za lord konstabl, który ma takie miękkie serce? – zastanawiała się Utta. A może źle odczytała jego emocje?

– Sam się przekonaj, lordzie Brone. Księżna nie czuje się dobrze. Ciężko zniosła nasze uwięzienie, w końcu nie jest młoda. – Utta nie miała większych wyrzutów sumienia wobec hrabiego Landsend. Żałowała tylko, że mówi prawdę.

Brone jęknął.

– Będę potrzebował lektyki.

Spojrząwszy na jego mocno spuchniętą stopę, Utta poczuła żal, lecz tego nie okazała.

– Jesteś ważnym człowiekiem, lordzie Brone. Z pewnością nawet w tak trudnych dniach znajdą coś dla ciebie. Albo Merolanna przyśle po ciebie powóz, jeśli tylko da się uprzątnąć gruz z drogi.

\*\*\*

Merolanna usiadła w łóżku podparta poduszkami, ale rzeczywiście nie wyglądała dobrze. Nowy medyk wyrwał jej kilka zębów, które uległy zepsuciu podczas niewoli. Kayyin pół-Qar oferował jej pomoc, lecz księżna nie chciała dopuścić do tego, by jakiś czarodziejski człowiek grzebał jej w ustach, i odmówiła. Opuchlizny nie zatuszował nawet grubo położony na policzkach róż. Włosy, schowane pod prostym czepcem z białego płótna, także mocno się przerzedziły, a dłonie, zaciśnięte na przykryciu podciągniętym do piersi, były chude i pokryte brązowymi plamkami. Tylko oczy przypominały kobietę, jaką była choćby przed rokiem. Jej wciąż przenikliwe spojrzenie spoczęło na Bronie, kiedy wchodził, kuśtykając.

– A jednak przyszedłeś. – Głos księżnej zadrżał lekko.

– Tak, Wasza Książęca Mość – odpowiedział. – Jakżeż mógłbym odmówić tak miłemu zaproszeniu? „Każ mu przyjść albo padnę trupem i

będzie mnie miał na sumieniu” – czy nie tak w rzeczywistości brzmiała wiadomość siostry Utty?

Nawet Merolanna musiała się uśmiechnąć, lecz szybko zakryła dłonią usta, by nie pokazywać bezzębnych dziąseł.

– Jak zawsze przesadzasz, Brone. Ale cieszę się, że przyszedłeś. Musimy porozmawiać. – Spojrzała na Utte. – Zostaw nas, siostró. Pragnę pomówić z hrabią na osobności. W końcu jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Utta nie spodziewała się, że zostanie tak potraktowana. Skłoniła głowę i wyszła z sercem przepełnionym gniewem. Ile czasu spędziła z Merolanną w ciągu ostatniego roku? Jak długo przebywały razem w więzieniu Qarów niczym siostry? I czy cokolwiek robiły dla dobra Utty? Nie, mimo to Merolanna ją odesłała, jakby była zwykłą służącą.

Tak się nie godzi, pomyślała i zatrzymała się przy drzwiach prowadzących do zewnętrznej komnaty, skąd dochodziły głosy pokojówek zajętych szyciem, wśród których wybijał się głos młodziutkiej i ślicznej Eilis, zwykle najgłośniejszej i najbardziej skorej do śmiechu. Jaka czekała jej przyszłość w tym skazanym na zagładę zamku? Nadeszły straszne czasy. A jednak Utta, która doświadczyła rzeczy przekraczających najgorsze wyobrażenia innych ludzi, która przeżyła spotkanie z mroczną panią Qarów, musiała wyjść i siedzieć z młódkami, aż Merolanna skończy rozmowę z tym ważnym człowiekiem, od którego zależały losy zamku.

Już położyła dłoń na klamce, lecz odwróciła się i cofnęła. Nie zamierzała szpiegować Merolanny, chciała tylko wrócić i poprosić, by mogła zostać, dać księżnej do zrozumienia, że po tym wszystkim, co razem przeszły, spodziewa się lepszego traktowania – ale słowa, które usłyszała przez drzwi, kazały jej się jednak zatrzymać.

– ...moje dziecko? Tak, on jest moim dzieckiem, Brone. Ale też i twoim. Nigdy nie wzięłeś odpowiedzialności za swój akt...

Utta znieruchomiała. Ojcem utraconego dziecka, tego, które po tylu latach nieoczekiwanie pojawiło się w myślach Merolanny, był... Brone?

– Mój akt? Z całym szacunkiem, Merolanno, byłaś ode mnie starsza, a ja byłem zupełnie zielony. Czy to się nie nazywa uwiedzeniem? Wspierałem cię finansowo, pomogłem znaleźć kobietę, która się nim zajęła...

– I która pozwoliła czarodziejskim ludziom go ukraść! – Słysząc było, że Merolanna jest bliska płaczu, Utta dobrze ją знаła. – Moje biedne dziecko, porwane i zabrane za tę przeklętą Granicę Cienia!

Głos Brone’a brzmiał jak głos zmęczonego starca.

– Musisz się zdecydować, Merolanno. To twoje dziecko czy moje? Bo tak i tak być nie może.

– Może – odpowiedziała Merolanna tak cicho, że Utta mimowolnie przysunęła się do drzwi, zupełnie jak podsłuchująca służąca. – Ponieważ on jest nasz. W jego żyłach płynie twoja i moja krew.

– Nie rozumiem, czego ode mnie oczekujesz. – Brone mówił jak ktoś, kto wie, że został pokonany.

– Qarowie wiedzą, co się z nim stało. Zabrali go, a zatem wiedzą, ale nie chcą mówić. Ta wiedźma, która nimi dowodzi, uwięziła mnie, żeby nie musieć ze mną rozmawiać. Słałam do niej wiadomość za wiadomością, prosząc choćby o słówko, ale mnie zignorowała.

Co nie jest do końca prawdą, pomyślała Utta. Księżna rzeczywiście słała wiadomości, a dziwna istota o imieniu Kayyin przynosiła odpowiedź, zawsze tę samą: Yasammez nie ignorowała pytań Merolanny, po prostu nie chciała na nie odpowiedzieć.

– Co mam robić? – Brone roześmiał się gorzko. – Myślisz, że mam jakieś wpływy u czarodziejskich ludzi? A poza tym ich już tu nie ma.

– Nie traktuj mnie jak idiotki. Spojrzałam tej strasznej czarodziejkiej kobiecie w oczy. Nie opuściła tego miejsca, tak samo jak ty czy ja byśmy stąd nie odeszli. Wycofała się gdzieś niedaleko, licząc na to, że zawrze przymierze przeciwko innemu i większemu wrogowi. Myślę, że tak się rzeczy mają. Niektórzy twierdzą nawet, że czarodziejcy zeszli pod zamek! Ale to dla mnie nie ma znaczenia.

– Kto? – Brone był rozgniewany. – Kto opowiada takie rzeczy? Gdzie to słyszałaś?

– Och, nie bądź głupcem, Avinie. To ci nie przystoi. – Utta usłyszała w głosie księżnej nutę dawnego uczucia i po raz pierwszy uwierzyła, że tych dwoje rzeczywiście było kiedyś kochankami. – Chociaż ten paskudny Hendon Tolly pilnuje bram Miasta Funderlingów, plotki i tak się rozchodzą. Nie spodziewasz się chyba, że coś takiego da się ukryć, a



w szczególności przede mną. Wiem o wszystkim, co się dzieje w zamku. Powinieneś o tym pamiętać.

Qarowie ukryci pod Zamkiem Marchii Południowej? A Brone o tym wie i nic nie robi? Jak to możliwe? Po raz pierwszy zaniepokojona Utta uświadomiła sobie, że nie podsłuchuje, lecz szpieguje, przysłuchując się rozmowie dotyczącej spraw królestwa. Odsunęła się od drzwi na wypadek, gdyby weszła któraś z dam dworu, lecz one wciąż rozmawiały.

– ...to nie ma znaczenia – mówiła Merolanna, gdy Utta znowu nachyliła się ku drzwiom. – Przynajmniej dla mnie. Ani inne sekrety, jakie skrywasz, na przykład powrót Vansena, który zniknął za Granicą Cienia z moim wnukiem. Wiesz, gdzie jest mój biedny Barrick? Nawet gdybyś mnie nienawidził, to przez wgląd na to, co nas łączy, chyba byś mi powiedział?

– Bogowie, Merolanno, oczywiście, że nie wiem! – Brone wydawał się całkiem bezradny. – Przysięgam, że nie wiem, gdzie przebywa Barrick. Vansen też nie wie. Księżę żył, kiedy się rozstawali.

– Dobrze. Przynajmniej jedna dobra wiadomość. – Nawet przez drzwi Utta słyszała, jak bardzo Merolanna jest zmęczona. Wiedziała, że księżna robi wszystko, by wydawać się silną, ale już i na to nie było jej stać. – W takim razie przejdźmy do najważniejszej sprawy. Brone, ja umieram.

– Wcale nie. Przeżyjesz mnie!

– Bzdura. Jestem starsza od ciebie o dziesięć lat i raczej nie dożyję kolejnej wiosny. Myślisz, że się boję? Wcale nie, wręcz wypatruję śmierci. Lecz o jedno cię proszę. Nie, żądam tego od ciebie. Wykorzystaj Vansena albo cokolwiek, czym dysponujesz, żeby skłonić czarodziejskich ludzi do mówienia. Dowiedz się, co się stało z naszym synem. Dowiedz się, dlaczego go porwali i co z nim zrobili. Muszę to wiedzieć, nim umrę. Obiecuj mi.

– Nie mogę się zbliżyć do Vansena ani do... innych, Merolanno. – Głos Brone'a nie wyrażał już złości, ale radości też w nim nie było słychać. – Hendon Tolly obserwuje każdy mój ruch.

– Obiecuj mi. – Księżna powiedziała to tak cicho, że Utta z trudem dosłyszała jej słowa. – Daj mi ten ostatni podarunek, Avinie. Przysięgnij, że to zrobisz.

Utta nic już nie słyszała, ale domyśliła się, że Brone skinął głową. Dobięły ją jego ciężkie nierówne kroki zbliżające się do drzwi. Z oczami pełnymi łez przeraziła się, że mogłaby zostać przyłapana na podsłuchiowaniu – teraz czuła się jak najpodlejszy szpieg. Zapomniała o gniewie, słuchając smutnej rozmowy dwojga starych ludzi.

Brone wyszedł na korytarz w chwili, gdy Utta dotarła do przeciwległych drzwi. Udawała, że właśnie wyszła z zewnętrznej komnaty, lecz Brone wydawał się jej nie zauważać. Szedł powoli, utykając, z twarzą wykrzywioną grymasem bólu. Domyślała się, że to nie noga tak mu dokucza.

– Dobrego dnia, sestro – mruknął ponuro, nawet nie podnosząc wzroku.

Zapomniała, jaki jest wysoki, nawet przygarbiony, jakby przytłoczony niewypowiedzianą troską.

– I tobie tego życzę, hrabio Brone. – Usunęła się, by go przepuścić.

I patrzyła, jak się oddala nierównym krokiem.

\*\*\*

Ledwo ustało dudnienie ogromnego działa wgrzającego się w mur zewnętrzny, gdy rozległ się kolejny huk, o wiele bliżej.

Hendon Tolly chwycił kolejne naczynie z tacy i cisnął przed siebie, podobnie jak pierwszym, niemal zabijając skulonego pazia, który przyniósł mu posiłek. Sos i kawałki mięsa ze skórką z rozdrobnionego pasztetu osuwały się powoli ze ściany, podczas gdy lord protektor chodził tam i z powrotem, z wybaluszonymi oczami i twarzą czerwoną jak otwarta rana.

– Niech będzie przeklęty ten żółtooki dziwoląg! Zabierać mi tę cielecinę, każę przyrzadzić pasztet z jaj autarchy.

Tinwright milczał przezornie. Po drugiej stronie komnaty Zagadka klęczał, oparty łokciami o podłogę, i trząśł się przerażony, nie mając odwagi przekazać tego, z czym przyszedł. Tinwright od dłuższego czasu zmuszony był towarzyszyć lordowi protektorowi i dawno nie widział starego błazna, ale z pewnością nie był to dobry moment na wymianę plotek.

– Panie... – odezwał się Zagadka drżącym głosem. Tak się bał, że dzwoneczki na jego ciemnozielonej kurtce i czapce nieustannie cicho podzwaniały. – Panie, proszę, nie...

– Zamknij się, ty zasuszony stary głupku! – ryknął Tolly. – Mógłbym cię zabić bez mrugnięcia okiem, a już jutro nikt by o tobie nie pamiętał.

Zagadka wyglądał, jakby miał się rozplakać. Przycisnął czoło do podłogi i milczał, a jedynym dowodem jego istnienia był nieustanny brzęk dzwoneczków. W innych okolicznościach Tinwright współczułby przyjacielowi, lecz od dawna żył w ciągłym strachu o własne ciało i duszę, dlatego niewiele uczuć zostało mu dla innych, nawet dla przyjaciół.

Kolejny huk wystrzału odbił się echem niczym grzmot.

Berkan Hood, lord konstabl, stał w drzwiach. Jego poznaczona bliznami twarz była blada, lecz pozbawiona wyrazu. To przyniesione przez niego wieści o pierwszym wyłomie w murze zewnętrznym – który próbowano teraz załatać – wprawiły lorda protektora we wściekłość.

– Panie – powiedział Hood, gdy fala gniewu Tolly’ego trochę opadła. – Uspokój się. Nie wszystko stracone. Naprawiamy szkody, oni będą mogli wystrzelić z największego działła dopiero za jakiś czas. Rozumiem twoją frustrację...

– Ty głupcze. – Tolly podszedł do niego i spojrzał w górę na wyższego od siebie Hooda, mrużąc oczy pogardliwie. – Uspokój się? Powinienem skrócić cię o głowę za te słowa. Nic nie rozumiesz. Nie pokonamy tego pogańskiego sukinsyna. Ma dziesięć razy więcej wojska niż my – albo i więcej! – a dwa razy tyle czeka w Hierosolu. Nie wspomnę już o siłach, które mógłby zebrać, gdyby sprowadził armię z Xis po przejściu zimowych sztormów. I w przeciwieństwie do czarodziejskich ludzi autarcha ma statki. Koniec dostaw żywności z Marrinswalk i innych miast. – Podniósł tace, którą wcześniej wytrącił z rąk paziowi, i zaraz pozwolił jej ponownie upaść z brzękiem na podłogę. – Może jutro, może w przyszłym dekanoksie, najdalej za pół roku Zamek Marchii Południowej wpadnie w ręce Sulepisa.

Hood patrzył na Tolly’ego z góry. Kamienna twarz wojownika, schowana za sumiastym wąsem, ani drgnęła, lecz coś w jego sztywnej

postawie sugerowało, że powstrzymuje się, by nie uderzyć swojego pana i władcy. W tym momencie Tinwright poczuł niemal podziw dla Hooda mimo jego strasznej reputacji.

– Oczywiście, lordzie Tolly – powiedział wreszcie lord konstabl, po czym uklonił się, odwrócił i wyszedł.

Tolly patrzył za nim, idąc do drzwi. Zagadka dźwignął się na nogi, pokonując ból sztywnych stawów, i pokuśtykał do Tinwrighta.

– Przyszedłem tylko powiedzieć ci... – zaczął.

– Zagadka! – zawołał Tolly. – A niech cię, ty zasuszony ochłapie! Czyż nie jesteś królewskim błaznem?

Tinwright ukradkiem podtrzymał starca, pod którym nogi tak się ugięły, że omal się nie przewrócił.

– Tak, panie! – zapiszczał Zagadka. – Oczywiście, lordzie Tolly!

– W takim razie zabaw mnie. Śmiało, chcę się pośmiać! – Tolly wbił w starca przenikliwe spojrzenie. – Słyszałeś? Rozśmiesz mnie.

– M-mój panie, jestem niepo... niepu... nieprzygotowany. Przyszedłem tylko przekazać wiadomość mistrzowi Tinwrightowi...

– Dobrze. – Tolly z lisim uśmieszkiem ruszył powoli do błazna. – Za godzinę też będę odczuwał potrzebę rozrywki. Wrócisz tu i sprawisz, że będę się pokładał ze śmiechu, albo zedrę ci skórę z twarzy i każę zrobić z niej maskę na święto przesilenia letniego. Będziemy nią straszyć damy. Co ty na to, Zagadko? Nie chciałbyś tego, co?

– N-nie! Nie, mój panie!

– Tak też myślałem. W takim razie idź i przygotuj swoje najlepsze dowcipy i śmieszne piosenki. Widzisz, jaki jestem nasrożony, starcze? Za godzinę oblicze jednego z nas się zmieni.

Zagadka zaczął się kłaniać i jęczeć, obiecując współpracę, ale tak się zaplątał, że Tinwright znowu go objął.

– Dlaczego mnie szukałeś? – zapytał trzęsącego się błazna.

– Och, Zosimie, miej mnie w opiece! – Przekrwione oczy Zagadki lśniły od łez. – On mnie zamorduje!

– Pewnie zapomni – próbował go uspokoić Tinwright. – Ostatnio jest bardzo humorzasty. Po prostu się postaraj, a wszystko będzie dobrze. Mów, czego chciałeś.

Błazen dwukrotnie przełknął ślinę, zanim znowu się odezwał:

– Matty, matka cię szuka. Biega po całej rezydencji, zwracając na siebie sporo uwagi, i nie zawsze wykrzykuje miłe słowa. – Przekazawszy swoją wiadomość, Zagadka poklepał poetę po ramieniu. – Żegnaj, chłopcze. Byłeś dobrym przyjacielem.

Starzec odchodził powoli, podzwaniając smutno dzwoneczkami i powłócząc nogami cieniutkimi jak cybuchy fajki.

Gdyby tylko nie próbował być zabawny, byłby najzabawniejszym człowiekiem w Królestwach Pogranicza, pomyślał Tinwright. Nie ma osoby bardziej niedobranej do zawodu niż on.

Tinwright zajął myśli osobą błazna, by uniknąć tematu własnej matki grasującej po królewskiej rezydencji. Jeśli coś mogło upewnić Matta, że zostanie stracony prędzej niż Zagadka, to obecność matki, głupiej, napuszonej jak paw i dyskretnej jak złożone gorączką dziecko. Poeta uznałby to za cud uczyniony przez samego Zosima, gdyby się okazało, że matka nie zdążyła opowiedzieć nikomu o Elan M’Cory.

Bogowie, jak się zdawało, szukali nowych sposobów, by się zabawić kosztem pokornego poety, i oto znaleźli.

\*\*\*

Zagadka ocalał. Zanim wrócił, lord protektor o nim zapomniał albo też stracił zainteresowanie rozrywką.

– Kto? Błazen? – zapytał strażnika, który oznajmił przybycie Zagadki. Hendon Tolly nawet nie podniósł wzroku znak kielicha z nierozcieńczonym winem – chyba już dwunastego tego wieczoru. – Odeślij go. Brakowało mi tylko tej ponurej końskiej gęby, żebym stracił smak tego wybornego torwiańskiego wina. – Gdy strażnik wyszedł, Tolly skierował mętne spojrzenie na Matta Tinwrighta. – Idź i upewnij się, że ten głupi strażnik na pewno go odesłał. I niech zasadzi staremu głupcowi solidnego kopniaka.

Zanim Tinwright doszedł do drzwi, kasztelan Tirnan Havemore zerwał się na nogi.

– Ja się tym zajmę, panie.

Tolly nawet na nich nie spojrział, tylko machnął ręką.

Żaden z nich nie chciał przepuścić okazji uwolnienia się od swojego władcy, choćby tylko na kilka chwil. Jednocześnie wyszli na korytarz. Strażnik zdążył już odesłać błazna, który zmierzał w stronę kuchni, zdezorientowany, ale i uspokojony.

– Zagadko, zaczekaj – zawołał za nim Tinwright.

– Ja mu przekażę wiadomość – syknął Havemore. – Jestem nad tobą.

– Jak sobie życzysz, panie. – Poeta wiedział, że lepiej się nie sprzeczać.

Kasztelan ruszył korytarzem, przybierając minę ważnej osoby. Podbita futrem szata kołysała się nad aksamitnymi pantoflami. Starał się jak najdobitniej i jak najdokładniej przekazać niezadowolenie Hendona Tolly’ego, wprawiając starca w coraz większe przygnębienie.

– Przecież kazał mi wrócić za godzinę! – protestował błazen, który chyba zapomniał, że jego wizyta u lorda protektora najpewniej skończyłaby się egzekucją. – Spójrz! Przygotowałem nową sztuczkę; kula unosi się w powietrzu!

Gdy wreszcie Zagadce udało się dogonić niesforną kulę, został definitywnie odesłany. Tinwright czekał na kasztelana, tak by mogli razem wrócić, lecz ku jego zdziwieniu Tirnan Havemore dał mu znak, żeby odeszli dalej od strażników.

– Lord Tolly nie lubi, jak wychodzę na dłużej...

Havemore zmarszczył brwi.

– Tak, tak, dość tego. – Był wysokim mężczyzną o okrągłej młodzieńczej twarzy, choć w ostatnich miesiącach się postarzał. Niezbyt starannie ogolony, oblicze miał zaróżowione i opuchnięte. – Chciałem z tobą porozmawiać, Tinwright. Chyba nie odmówisz lordowi kasztelanowi Zamku Marchii Południowej.

– Nie, panie.

– Spędzasz dużo czasu w towarzystwie lorda protektora. Jeśli ten strach na wróble, który właśnie odszedł, jest twoim konkurentem w dostarczaniu mu rozrywki, to wcale się nie dziwię, ale mimo wszystko zastanawiam się, dlaczego protektor znajduje taką przyjemność w towarzystwie zwykłego poety.

Czy to zazdrość, czy coś bardziej skomplikowanego?

– Lord Tolly robi, co chce, lordzie Havemore. I dostaje to, co chce. Kasztelan przyglądał mu się uważnie.

– Mamy tylko chwilę, zanim Tolly się zorientuje, że dość długo nas nie ma, choć jest taki pijany. Odpowiedz szczerze na moje pytania, a przekonasz się, że masz przyjaciela, który może ci się kiedyś przydać. Co się stało z medykiem Okrosem? Wiem, że to, co usłyszeliśmy, to kłamstwa.

– Nie wiem. Umarł...

Piekące uderzenie spadło na jego twarz tak szybko, że Matt Tinwright nie zdążył nawet podnieść ręki.

– Nie igraj ze mną, młodzieniaszku. Pytam cię raz jeszcze: Co z Okrosem?

Tinwright potarł policzek. Wielmoże z zamku byli przerażeni, jak się wydawało, i żaden z nich nie ufał Hendonowi Tolly’emu. Poeta zniżył głos prawie do szeptu:

– Zginał, kiedy wykonywał polecenie lorda protektora. – Ile odwagi się powiedzieć? – Miało to coś wspólnego z magicznym lustrem... i z bogami. Nie widziałem, jak to się stało. – Nie było sensu wspominać o tym, że Tolly kazał mu odprawić ten sam rytuał i że jego omal nie spotkał ten sam los co Okrosa, kiedy pomagał lordowi sięgnąć do krainy śpiącej bogini.

Havemore zamrugął.

– Czary! – powiedział i spojrzał na strażników, żeby się upewnić, że go nie słyszą. – Wiedziałem! Ten szaleniec pogrąży nas wszystkich! – Zmrużył oczy wpatrzony w Tinwrighta. – Wiem też, że jesteś blisko z moim byłym panem Avinem Brone’em. Nie zaprzeczaj! Powiedz, co on planuje. Opracował własną strategię obrony zamku?

– Naprawdę nie wiem, lordzie Havemore. Nic mi o tym nie mówił.

– Tak, pewnie nie. – Kasztelan zamyślił się na moment. – Powiedz Brone’owi... powiedz mu, że jego stary przyjaciel i sługa Tirnan dobrze mu życzy. Przekaż, że wciąż myślę o nim z sympatią i że... podążę za jego mądrością w kwestii ratowania naszego ukochanego Zamku Marchii Południowej. Ale przekaż te słowa jemu i tylko jemu.

Serce Tinwrighta biło coraz szybciej, bo oto poproszono go, żeby powiedział Brone'owi, że kasztelan jest gotów zdradzić Hendona Tolly'ego! Pokiwał głową zdumiony.

– Panie, protektor nie pozwoli mi odejść na tak długo, bym mógł złożyć wizytę Brone'owi.

– Zostaw to mnie – rzekł Havemore. – Coś wymyślę. Znajdę jakiś pretekst, żebyś mógł dostarczyć moją wiadomość.

– Ale, z całym szacunkiem, panie, dlaczego sam nie zwrócisz się do Brone'a? Przecież jesteś kasztelanem i z pewnością znalazłbyś ku temu sposobność.

– Ponieważ wśród moich ludzi są szpiedzy Hendona, choć nie wiem którzy to. A jeszcze inni obserwują Brone'a. Nie ma możliwości, żebyśmy się spotkali bez towarzystwa. Zbyt duże ryzyko. Nie, ty musisz to zrobić. Jeśli ci się uda, będziesz miał we mnie przyjaciela. Jeśli nie... no cóż, nie odwiedzę kata sam, poeto.

Choć dostrzegł promyk nadziei, że może jednak uda mu się uciec przed Tollym i śmiercią, na którą powoli się gotował, Tinwright nie mógł stłumić w sobie gniewu i obrzydzenia. Brone, Tolly, a teraz Tirnan Havemore – żaden z nich nie przejmował się tym, że naraża życie Matthiasa Tinwrighta, by zrealizować własne cele. No bo kim on jest? Bezwartościowym poetą? Czemu mieliby się frasować, gdyby zginął, realizując ich plany?

Oczywiście odpowiedział krótko:

– Jak sobie życzysz, panie.

\*\*\*

Działa grzmiąły jak pioruny w zimowej burzy.

Wkrótce kasztelan Havemore podał jakiś pretekst i wyszedł, zostawiając Tinwrighta samego z lordem protektorem, nie licząc milczących strażników i wchodzących i wychodzących na palcach służących. Hendon Tolly wciąż pił, ale minęła mu złość i teraz zapadł w dziwny głęboki spokój.

Tinwright stał oparty o ścianę przesłoniętą arrasem, niemal zasypiając, i zastanawiał się, czy może usiąść na podłodze, gdy nagle



lord protektor powiódł wzrokiem dookoła i jego spojrzenie spoczęło na nim.

– Chodź tutaj, poeto. – Pokazał podłogę u swoich stóp. – Siadaj.

Tinwright usiadł na tyle daleko od Tolly’ego, że gdyby protektor postanowił go uderzyć, musiałby wyciągnąć ramię, co osłabiłoby cios – Matt nauczył się kilku rzeczy, dotrzymując towarzystwa Hendonowi. Tolly stracił już pijackie rumieńce. Zbladł mocno, jakby gorączka w jego krwi nagle zmieniła się w śmiertelny chłód.

– To kiepska wymówka dla kogoś, kto nie chce przyznać, że spotkał godnego siebie przeciwnika – powiedział protektor. – Przyznaję to. Sulepis jest mądry. Barbarzyńcy uważają go za boga. Ma największą na świecie armię. Jest... godnym przeciwnikiem. – Tolly zerknął na Tinwrighta, jakby chciał go sprowokować do sprzeciwu, lecz poeta zdążył się nauczyć, że najlepiej jest tylko odpowiadać na pytania, a i to nie zawsze. – Myślałem, że każdy z nas ma część tego, czego potrzebujemy, że Sulepis ma tę ofiarę krwi, a ja lusterko. Sądziłem, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Podobnie myślał Sulepis. Ale okazuje się, że potrzeba czegoś jeszcze, tego Bożego Kamienia. Tylko że żaden z nas go nie ma. Nie mam niczego, co by mu było potrzebne, dlatego nasz los jest przesądzony.

Tolly sięgnął po kielich i pociągnął długi łyk, po czym otarł usta wierzchem dłoni. Był pijany. Bardzo pijany.

– Okros wprowadził mnie w błąd, a może chciał mnie nabrać, żeby w jakiś sposób samemu zdobyć moc. Albo po prostu nie wiedział o kamieniu. Tak czy inaczej, nigdy nie wspomniał o Bożym Kamieniu ani o żadnej innej magicznej błyskotce. – Powiódł dookoła nieprzytomnym spojrzeniem, jakby szukał widowni, która w tym momencie ograniczała się do Matta Tinwrighta. – Ale ja znajdę sposób, żeby uwolnić boginię. Jest moja. Tak mi powiedziała. I coś wymyślę, żeby ten władca z Xis nie miał do niej dostępu.

Tinwright niewiele rozumiał ze słów Tolly’ego. Protektor nazywał „boginią” to coś, co do niego przemówiło, za to autarcha kilkakrotnie wspominał o bogu. Który z nich miał rację? I co mogło oznaczać takie nieporozumienie?

Tolly wreszcie spojrział na Tinwrighta i dostrzegł jego minę. Która mu się chyba nie spodobała.

– Poeto, pewnie się zastanawiasz, dlaczego jeszcze żyjesz, co? – zapytał. – Dlaczego po prostu cię nie zabiłem, kiedy cię przyłapałem na szpiegowaniu? Odpowiedz.

Jak zawsze Tinwright starannie dobierał słowa.

– Chyba właśnie nad tym się zastanawiałem, panie.

– Chyba tak. – Tolly wykrzywił cienkie usta w uśmiechu. – Jak wielu tobie podobnych. Ale ja jestem inny, chłopcze, inny. U mnie nie ma chyba, ja muszę wiedzieć. Rozumiesz? – Tolly zamknął oczy, jakby pograżył się w myślach albo we wspomnieniach. Nie czekał na odpowiedź. – Ludzie to małe istoty, a przynajmniej większość z nich, pełzają jak myszy. Przez wieki dreptali u stóp bogów, licząc na to, że pozostaną niezauważeni. Ale nawet wtedy, gdy bogowie wreszcie się od nich odwrócili, oni wciąż dreptali. Jak robactwo w ścianie, dalej wiedli swoje życie w ciągłym strachu przed większymi od siebie, nie wiedząc i nie dbając o to, co znajduje się poza ich kryjówkami. Bali się bogów nawet wtedy, gdy ci ich opuścili. Lecz ja nie jestem myszą, poeto. Nie boję się bogów ani niczego innego. Jedno tylko mnie trapi: nie chcę pozostać niezrozumiany.

Hendon Tolly zamilkł i siedział z zamkniętymi oczami tak długo, że Tinwright już zaczął przemyśliwać, żeby wstać i udać się na poszukiwanie czegoś do jedzenia i picia, lecz Tolly wreszcie znowu przemówił:

– Kto potrafi mnie zrozumieć? Nawet nie jeden na dziesięć tysięcy ludzi, poeto. Nawet nie dziesięciu na całym Eionie. Do tych nielicznych należy autarcha. Z bólem, ale muszę to przyznać. Widzisz, on żyje. Wie, że miarą wszechświata jest zasięg wielkiego człowieka – ni mniej, ni więcej. – Hendon Tolly otworzył oczy. Jak na kogoś, kto wypił tyle wina, wydawał się zatrwająco trzeźwy. – Dlatego tu jesteś, poeto. Musisz napisać o tym, co robię. Musisz być świadkiem mojej przemiany... żeby mnie zrozumiano.

– Że niby ja mam zrozumieć?

Wybuch śmiechu Tolly'ego był tak gwałtowny i nieoczekiwany jak i policzek, który Mattowi wcześniej wymierzył Havemore.

– Ty? Na paskudnych pierdzących bogów, poeto, czyś ty oszalał? Ty ledwo co umiesz pisać i czytać. Wiesz coś o Phayallosie? O księdze Ximandra, której fragmenty czytałeś? Oczywiście, że nie. Jesteś jak wielu innych, przesiąknięty kwileniem i skomleniem Gregora i pozostałych bardów, którzy myślą, że prawda ukrywa się w zgrabnych słowach i ładnych opowieściach. Nic nie wiesz. – Tolly pochylił się i splunął na podłogę z drugiej strony krzesła, za co Tinwright był mu bardzo wdzięczny. – Ale możesz napisać wszystko, co ci każe. Możesz być świadkiem tego, co ci pozwolę zobaczyć, a potem o tym napisać. Wtedy nawet z tak lichym przewodnikiem jak twój tępy umysł za kilka wieków ci, którzy są godni, żeby zrozumieć... zrozumieją mnie. Ujrzą moje czyny, usłyszą moje słowa i zrozumieją... ci nieliczni. Nic więcej mnie nie obchodzi. Jeśli zdobędę władzę, której pragnę, to dobrze. Jeśli zdołam tylko pokrzyżować plany autarsze, niech i tak będzie, jeśli to, czym jestem – kim jestem – nie zniknie z pamięci i umysłów równych mnie, tych nielicznych, którzy zapewne jeszcze się nawet nie narodzili. – Dopił wino. – Wracaj do swojego kąta, poeto. Prześpij się. Godzina twojego największego wyzwania się zbliża. W ten czy inny sposób zobaczysz nowy początek świata. Ujrzysz... zdumiewające rzeczy. – Tolly zamknął oczy i odchylił się do tyłu, pozwalając, by kielich upadł na podłogę z hałasem podobnym do uderzenia podczas wykuwania miecza. – Ujrzysz... moment mojej chwały, kiedy bogowie wreszcie... poznają... kim jestem.

Gdy już stało się jasne, że Hendon Tolly nie powie nic więcej, Tinwright podpełzł do kąta i ułożył się w miarę wygodnie na stosie koców rozłożonych na kamiennej podłodze. Owinął się szczelnie płaszczem, chociaż wiedział, że drży nie z powodu chłodu ciągnącego od podłogi. Pogrążył się we śnie.

\*\*\*

Utta czuła się zupełnie dezorientowana, jak nigdy wcześniej. Podczas tych wszystkich dziwnych wydarzeń ostatnich miesięcy wiedziała jasno, co ma robić dalej, teraz zaś miała wrażenie, że błądzi we mgle. Co się stało ze starym, dobrze jej znanym światem?

Czarodziejscy ludzie trzymali ją w niewoli razem z księżną Merolanną, grożąc im śmiercią, a teraz ci sami Qarowie są ich sojusznikami i ukrywają się pod zamkiem. Autarcha Sulepis z Xis, przed rokiem zaledwie mglisty koszmar, teraz obozuje na tym brzegu zatoki i kruszy mury zamku. A ojcem dziecka Merolanny, które według niej porwali czarodziejscy ludzie, okazał się... Avin Brone. Jak to wszystko jest możliwe?

Pomimo późnej pory na drogach i błoniach twierdzy wewnętrznej pełno było ludzi. Tysiące mieszkańców części miasta na lądzie przeniosły się za mury zamku i podczas ataków najpierw Qarów, a potem xiskiej armii uchodźcy koczowali, gdzie się dało, tak więc królewska rezydencja przypominała wyspę w morzu zdesperowanych bezdomnych. Centrum zamku zamieniło się w coś na podobieństwo wiejskiego jarmarku, tylko że twarze zebranych najczęściej wyrażały gniew lub przygnębienie, albo jedno i drugie. Wielu spoglądało wrogo na przechodzącą Utte, tak że po raz pierwszy w życiu poczuła, że w oczach ludzi jej habit zorianki nie zwiastuje osoby, która może pomóc, lecz kogoś, kto wyrządził im krzywdę.

Myślą, że bogowie ich zawiedli, zdała sobie sprawę. Zoria, obrończyni biednych i uciemiężonych, nie odpowiedziała na ich modły.

Kiedy szła wąskim prześwitem w tłumie, ktoś pchnął ją tak mocno, że się potknęła. Kilka kobiet zamruczało z dezaprobatą, widząc to, lecz nikt głośno nie zganił niegodziwego mężczyzny, który zresztą i tak już poszedł dalej. Utta czuła się, jakby szła nie między dziećmi Zorii, lecz wśród zwierząt, które mogą się na nią rzucić, jeśli zapuści się za daleko. Nieoczekiwanie poczuła się stara i przestraszona. Wyszła z najgęstszego tłumy, kierując się ku skrajowi twierdzy wewnętrznej, ale i tam wcale nie było bezpieczniej. W obozach rozbitych u stóp muru przebywali głównie mężczyźni – co wydało jej się dziwne, zważywszy na to, że potrzebowano mężczyzn zdolnych do walki – którzy odwracali się od ognisk i patrzyli za nią, jakby była na sprzedaż, a w ich obojętnych spojrzeń odbijał się ogień.

Utta pospieszyła do wieży strażniczej, która zapewniała względne bezpieczeństwo, posadowionej naprzeciwko sali tronowej. Sala tronowa, w której teraz zakwaterowano wojsko, straciła część dachu w czasie

ostrzału i oświetlono ją latarniami. Patrząc na nią, zorianka wyzbyła się wrażenia, że cały świat się zmienił, gdy się na chwilę odwróciła. Xiskie działa zamilkły jakiś czas temu, dlatego zapytała jednego z pikinierów, czy może wejść schodami wieży strażniczej na mur twierdzy wewnętrznej. Pragnęła zaczerpnąć morskiego powietrza pozbawionego dymu z setek ognisk.

Przez chwilę strażnik przyglądał się jej, podejrzliwie mrużąc oczy, lecz w końcu skinął głową i powiedział:

– Ale uważaj tam, na górze, siostró. Wszędzie kręcą się dzieciaki. Biegają jak szalone. Niektóre straciły rodziców. Ukradną ci sakiewkę i zepchną, jeśli przydybią cię zbyt daleko od wieży.

Utta aż zamrugwała na myśl o tym, że takie rzeczy się teraz zdarzają, i to w Zamku Marchii Południowej.

– Nie pójdę daleko. Chcę tylko poczuć zapach oceanu.

Dotrzymała słowa i zrobiła tylko kilka kroków, mając wciąż w zasięgu wzroku ogień pałacy się w strażnicy, po czym stanęła i oparłszy się o zimną ścianę, zaczerpnęła haust słonego powietrza. W pobliżu zaskrzeczała mewa. Twierdza zewnętrzna także skrzyła się ogniskami; rozpalili je żołnierze. Za Nowymi Murami znaczna część Góry Midlana była pogrążona w ciemności, chociaż Utta słyszała liczne głosy, podniesione podczas kłótni, a tu i tam nawet piosenkę, i wiedziała, że każda piędź ziemi zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej twierdzy jest zatłoczona uchodźcami z lądu.

Tylu ludzi! I tak niewiele nadziei. Utta złożyła dłonie na piersi i zaczęła się modlić.

Patrzyła w dół, usiłując się zorientować w ciemności, gdzie jest wejście do Miasta Funderlingów, gdy nagle poczuła, że ktoś stoi przy niej – ktoś, kto podszedł bezszelestnie. Zaskoczona wciągnęła gwałtownie powietrze i zachwiała się niebezpiecznie, lecz tamta osoba nawet się nie poruszyła.

– Też to czujesz, prawda? – zapytała młoda kobieta o dzikim spojrzeniu. – Czujesz, że to się dzieje.

– Przy... przykro mi – odparła Utta. – Nie wiem, co masz na myśli. – Może na tym polega podstęp: odwrócić jej uwagę, a wtedy pojawią się inni i spróbują ją obrabować. Roześmiałyby się, gdyby tak bardzo się nie

bała. Przecież jest zorianką, co więc można by jej ukraść? Drewnianą broszę w kształcie migdała? Paciorki modlitewne? Życie? Nic z tego nie było warte nawet posiłku.

– Nadchodzi – rzekła dziewczyna. – Wielki dzień nadchodzi, czuję to. Ale nie mogę dosięgnąć!

Zwariowała biedaczka, ale chyba nie wielbi autarchy? Utta odkryła, że parę nieoświeconych dusz, ogromnie przerażonych wydarzeniami minionego roku, zobaczyło w autarsze bicz boży niosący koniec grzesznemu światu.

– Nie zwariowałam – powiedziała dziewczyna, czym zaskoczyła zoriankę tak bardzo, że ta znowu się cofnęła. – Wiem. Wiem, co się dzieje pod zamkiem. Słyszę to, czuję, ale nie mogę dotknąć. On wraca. Wraca bóg. A mój ukochany też tam jest. – Odwróciła się do Utty, która spojrzała na wychudzoną twarz dziewczyny, teraz dobrze widoczną w blasku pochodni na drzwiach strażnicy. Można było się domyślić, że od dawna nie jadła. – Ty! Ty znasz mojego ukochanego. Czuję to. Poznałaś go i z nim rozmawiałaś.

Utta cofała się powoli w stronę strażnicy.

– Niech bogowie mają cię w opiece, dziecko. Niech miłościwa Zoria chroni cię przed cierpieniem...

– Nazywałam go Gilem, ale teraz nosi imię Kayyin. – Dziewczyna zaśmiała się cicho. – Przedtem też nazywał się Kayyin, ale na jakiś czas zmienił imię. Mój głupiutki mądrała Gil.

Krótko obcięte włosy na karku Utty podniosły się pod kornetem.

– Powiedziałaś, że jak miał na imię?

– Kayyin z plemienia Zmieniających się. Jego matką jest Pani Jeżozwierz, lecz on nie jest taki kłujący jak ona. – Zachichotała, co sprawiło, że z osoby niebezpiecznej w jednej chwili przeistoczyła się w kogoś zupełnie innego. – Ale nie mogę iść do niego. Czuję go w moich myślach, lecz on mnie nie czuje. – Wyraźnie posmutniała. – Ludzie, żołnierze, nie wpuszczą mnie do Miasta Funderlingów. A Kayyin jest tam na dole i czeka, aż bóg ponownie się narodzi. Jego myśli są pełne rzeczy, których nie rozumiem, zmartwień o jajo i gorączkę, gorączkę i jajo...

Zdezorientowana Utta pokręciła głową.

– Naprawdę wiesz, że Qarowie tam są? Czy może tylko o tym słyszałaś?

Dziewczyna znowu się roześmiała.

– Słyszałam? Tak, słyszałam każdą cząstką mojego ciała, wiedziałam o tym każdą myślą! Przez kamień czuję bicie serca Kayyina.

Ostatnimi czasy Utta słyszała – i widziała – już dziwniejsze rzeczy.

– Jak cię zwa, dziecko?

– Wierzba. – Dziewczyna dygnęła niezgrabnie i zaśmiała się, lecz teraz już weselej. Wyglądała na trochę uspokojoną i szczęśliwszą. – Dawno nikt tak na mnie nie mówił.

– Ładne imię – rzekła Utta. – Chodź ze mną do kaplicy Zorii, Wierzbo. Musisz coś zjeść.

## Rzut oka w Dół

*...został pobity przez niegodziwego kapitana,  
który by go zabił, gdyby nie marynarze, którzy  
ulitowali się nad chłopcem i uprosili kapitana,  
by darował życie Sierocie.*

*– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Rogowiec uzmysłowił sobie, że im więcej pracuje nad mapą dla kapitana Vansena i im bardziej stara się być precyzyjny, tym bardziej dziwne wydaje mu się całe to zadanie.

Ponieważ tylko sam Pan Gorącego Mokrego Kamienia tak widział świat – cały jednocześnie, otwarty i nieosłonięty. Tylko wielki bóg potrafi zobaczyć rzeczy w taki sposób. Tylko bóg chciałby widzieć rzeczy w taki sposób.

A jednak, mimo że Rogowiec momentami wątpił, czy uda mu się zrobić coś przydatnego na tyle szybko, by pomóc swoim ludziom przetrwać obleżenie, był także zafascynowany swoim zadaniem. Zasał cały stół w swoim pokoju w świątyni tabliczkami i arkuszami pergaminu, tak że Opal zażądała drugiego stołu, żeby „ludzie mieli na czym jeść, jeśli kiedyś przestaną pracować i będą mieć czas na jedzenie”. Oglądając dziesiątki różnych map, które Bracia Metamorficzni pozwolili mu wypożyczyć z biblioteki na polecenie magistra Cynobra, Rogowiec poczuł się jeśli nie jak bóg, to z pewnością bardziej jak prawdziwy inżynier niż pracownik, jakim był na co dzień.

Spojrzenie na świat z czyjejs perspektywy to jedno, a czymś zupełnie innym jest wysunąć własną koncepcję. Usiłując wyobrazić sobie, jak może pokazać wszystko na jednym rysunku, Rogowiec zdecydował się na kombinację map, które przedstawiają przekrój wszystkich poziomów i to, jak tworzą one całość. Dysponując mapami i odrobiną wyobraźni, Ferras Vansen powinien zrozumieć świat podziemnych tuneli.



Opal kilkakrotnie kwestionowała stan umysłu męża, gdy usłyszała, że podjął się tego zadania, ale co wieczór obserwowowała go długo, zadawała pytania, a nawet sprzeczała się o niektóre rzeczy, choć ogólnie udawała, że nic ją to wszystko nie obchodzi. Także Krzemień przychodził, by przyglądać się jego pracy, i patrzył uważnie, jakby uczył się wszystkiego na pamięć, lecz nawet jeśli zdawał sobie sprawę z tego, co mapy przedstawiają, zatrzymywał swoje myśli dla siebie.

\*\*\*

Chłopak nie był taki rozmowny jak poprzednim razem, kiedy opuścili świątynię, a właściwie w ogóle się nie odzywał.

No cóż, jest tak jak zawsze. Rogowcowi to specjalnie nie przeszkadzało. Skupiony na zadaniu, starał się zobaczyć w głowie rzeczy inaczej niż wcześniej, próbował się zorientować, jak tunele i pieczary pasują do siebie, zamiast posługiwać się fachową wiedzą Cechu, co było dobre w niektórych przypadkach, lecz nie wszystkich. Zabrał ze sobą kilka kawałków koralu do lampy, większych niż te, jakich zwykle używano w podróży, na wypadek gdyby zechciał dokładniej obejrzeć jakiś szczegół w terenie, który potem naniesie na mapę.

Zeszli aż do podnóża Kaskadowych Schodów, a gdy już się tam znaleźli, Rogowiec odwrócił się i nie zobaczył Krzemienia. Ogarnęła go panika – i jakieś inne uczucia, mniej wyraźne – lecz zaraz ujrzał, jak chłopak wychodzi zza rogu. Po prostu został kilka kroków z tyłu. Mimo wszystko ta chwila nieobecności zaniepokoiła Rogowca.

I później nie dawała mu spokoju. Kiedy poprzednim razem on i Krzemień szukali Chavena, chłopak nie został z tyłu, ale się zgubił. Rogowiec go odnalazł, a potem odkryli szczelinę w ścianie i zapach Morza w Głębiach, srebrzystego jeziora, którego wody oblewały wyspę Lśniącego Człowieka, gdzie Funderling omal na zawsze nie stracił chłopca. Teraz spojrzał na wszystko z innej perspektywy.

Jak sądził, na swoich mapach umieścił otwór nad Morzem w Głębiach, który sięgał aż do powierzchni – choć mógł się tylko domyślać jego prawdziwego kształtu. Zapomniał jednak wskazać miejsce, w którym chłopak odkrył szczelinę w ścianie komina, a Rogowiec poczuł

niepowtarzalny zapach Morza w Głębiach – coś, czego wciąż nie potrafił nazwać. Mogło to być jedyne miejsce, gdzie da się wejść do komina prowadzącego z Tajemnic na górę. To powinno się znaleźć na jego mapach.

– Chłopcze, pamiętasz naszą ostatnią wyprawę, kiedy skręciłeś tu w jakiś boczny tunel, a potem mnie wołałeś?

Ku zdumienia Rogowca Krzemień nie tylko pamiętał, ale od razu skręcił i poprowadził przybranego ojca mniej więcej we właściwym kierunku.

\*\*\*

Rogowiec miał wrażenie, że idą dłużej, niż zapamiętał, lecz niebawem okazało się, że Krzemień dobrze zna drogę. Poprowadził go przez Pięć Łuków i w górę Wielkiego Wykopu – długiego korytarza Burzowego Kamienia, który wychodził po drugiej stronie zatoki. Nim minęła kolejna godzina, dotarli do ściany zamykającej korytarz, gdzie między dwoma płytami znajdowała się szczelina, która wcale nie była plamą cienia, jak się wydawało, lecz otworem ogromnego komina prowadzącego w górę z Morza w Głębiach. Rogowiec nachylił się do szczeliny i znowu poczuł ledwo wyczuwalny zapach morza.

– Musi prowadzić na powierzchnię – powiedział głośno. – Musi. Tylko dlaczego nikt z góry ani od nas o tym nie wie?

– O co chodzi, tato Rogowcu? – W głosie chłopca zabrzmiała dziwna nuta. Mówił poważnym i zrównoważonym tonem, który wydawał się zbyt dojrzały jak na jego wiek. – O czym mówisz?

– Ten... komin, ta dziura tutaj. Jeśli dobrze się orientuję, prowadzi na samą górę od... od miejsca, w którym cię znalazłem... – z jakiegoś powodu Rogowiec nie chciał wymawiać imienia Lśniącego Człowieka – ...aż na powierzchnię Góry Midlana.

– Ach. – Krzemień skinął głową, lecz wciąż wydawał się nieswój. – W takim razie dlaczego nie wlewa się tędy woda z morza?

– Bo wyjście pewnie znajduje się nad jego poziomem, inaczej wszystko tutaj byłoby zalane – wyjaśnił Rogowiec. – Słony Staw jest na

poziomie wody, tak więc gdyby wlało się tu morze, wszystko tam zostałoby zatopione: Labirynt, Pięć Łuków, a nawet świątynia.

Rogowiec ścisnął w dłoni największą bryłkę koralu, poprawił opaskę lampy na głowie i wsunął ramię do szczeliny. Potem wciągnął brzuch, by się przecisnąć przez otwór.

Trudno było zobaczyć cokolwiek poza zasięgiem ramienia, ale na dwie rzeczy od razu zwrócił uwagę: wielki komin okazał się szerszy, niż mu się wydawało, i może nawet dłuższy niż linka ratownicza. Rogowiec zauważył też dość dużą półkę skalną w odległości kilku jardów od niego, biegnącą wzdłuż wypukłej ściany, a za nią czarną szczelinę, w której mógł stanąć ktoś jego wzrostu. Czy to może być tunel? Może stamtąd dałoby się lepiej zobaczyć wielki dół?

Trzymając mocno Krzemienia za pasek, pozwolił szczupłemu chłopcu wychylić się i spojrzeć na skalny występ.

— Myślisz, że moglibyśmy się tam wgramolić, chłopcze?

Krzemień odpowiedział dopiero, gdy wsunął się z powrotem do szczeliny:

– Tak myślę – rzucił krótko i wydawało się, że wyzbył się tego poważnego tonu.

Potrzebowali prawie dwóch godzin, żeby znaleźć to miejsce, dlatego południowy posiłek zjedli w marszu. Zajęło im to tyle czasu, ponieważ musieli zejść daleko w dół, zanim znaleźli drogę do właściwego miejsca, ponadto Rogowiec źle ocenił odległość, co go bardzo speszyło, i kilkakrotnie zawracał Krzemienia, bo był przekonany, że chłopak poszedł za daleko.

Skalny występ, który zauważył Rogowiec, był oddalony nie o kilka, lecz o kilkaset kroków, okazał się też większy, niż sądził. Gdy wreszcie do niego dotarli, Rogowiec ze zdumieniem zobaczył, że wcale nie jest to wąska półka, lecz głęboki na kilkanaście łokci Funderlingów i trzy albo nawet cztery razy tak długi występ, na którym mogłoby się zmieścić więcej osób niż tylko oni dwaj, by spojrzeć w dół w ciemność. Także szczelina prowadząca do wnętrza z naturalnego przejścia okazała się na tyle obszerna, że zmieściłby się tam wóz dużych.

Rogowiec poczuł dreszcz lęku, wręcz przerażenia. Dół, pomyślał. Czy to jest Dół J'ezh'kral i ja go znalazłem? Według legend

Funderlingów był to otwór w ziemi prowadzący do domu Pana Gorącego Mokrego Kamienia, gdzie zostali stworzeni Funderlingowie. Bo co innego mogło to być: rozpadlina, która ciągnęła się od powierzchni aż do najgłębszych części Tajemnic? I dlaczego nikt wcześniej nie umieścił jej na żadnej mapie? Czy Bracia Metamorficzni wiedzą o jej istnieniu? Czy ukrywają to przed innymi?

Postaw dobrze rusztowanie, zanim spadniesz, Liderycie, upomniał samego siebie. Nie myśl o takich rzeczach, bo zwariujesz albo przestraszysz się na śmierć. Zaznacz to na mapie. Nanieś wszystko dokładnie na mapę.

– Posiedź chwilę spokojnie, chłopcze – zwrócił się do Krzemienia. – Szybko się uwinę.

\*\*\*

O dziwo, to właśnie dzięki dobremu zachowaniu chłopca Rogowiec uświadomił sobie, jak długo tam przebywają: sporządził mnóstwo notatek i szkiców półki oraz ogromnego dołu i właśnie zaczął zbierać narzędzia, gdy dotarło do niego, że chyba od co najmniej godziny nie słyszał nawet westchnienia Krzemienia. Odwrócił się, niemal przekonany, że chłopak znowu gdzieś się zapodział, lecz Krzemień siedział spokojnie nieopodal ze wzrokiem utkwionym w środek dołu.

– Na Starszych, dzisiaj wymagałem od ciebie aż za dużo, a ty byłeś mi we wszystkim posłuszny – rzekł Rogowiec przepełniony dumą. – Wracajmy, a ja poszukam chleba i miodu, które ci chciwi mnisi trzymają tylko dla siebie – zasłużyłeś na coś dobrego.

Krzemień uśmiechnął się, co nie zdarzało się często, ale bardzo lubił miód, o który w tych dniach było trudno w Mieście Funderlingów. Chłopak wstał szybko i poprowadził Rogowca z powrotem do korytarza, którym mogli wrócić do Wielkiego Wykopu. Lecz gdy Rogowiec tam wszedł, wpadł na Krzemienia, ponieważ ten zatrzymał się nieoczekiwanie. Obaj patrzyli zdumieni na obcego, który pojawił się przed nimi.

Nie, nie obcego, chwilę później zdał sobie sprawę Rogowiec. Widział już tę pociągłą dziwną twarz, to zamysłone spojrzenie, nawet

włosy, które wyglądały, jakby obcięto je kawałkiem tępego krzemienia. Co więcej, pamiętał każdą straszną chwilę, jaką spędzili razem, łącznie z wysłuchaniem wyroku śmierci z ust kobiety-demona imieniem Yasammez. Nie rozumiał tylko, dlaczego on wciąż żyje.

– Gil – powiedział. – Masz na imię Gil.

– Tak, kiedyś byłem Gilem. A wcześniej nosiłem imię Kayyin. Teraz też tak się nazywam.

– Pamiętasz mnie? Jestem Rogowiec Lideryt, a to mój syn Krzemień. Obaj udaliśmy się do mrocznej pani Yasammez. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się zobaczyć cię jeszcze... wydawało się pewne, że cię zabije.

– Wciąż może to zrobić. Są dni, kiedy poważnie się nad tym zastanawia. – Wzruszył ramionami płynnym ruchem Qarów, który wydawał się dziwny u człekopodobnej istoty. – Tak już bywa w rodzinie.

– Zaraz – rzucił Rogowiec po chwili. – W rodzinie? Ty i mroczna dama...?

Kayyin skinął głową.

– Jest moją matką. Na jakiś czas o tym zapomniałem.

Funderling nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– No cóż... miło cię widzieć, Gilu. Kayyinie. – Pokręcił głową. – To dziwne, że spotykamy się pośrodku podziemnych bezdroży. Co cię tu sprowadza?

– Och, często długo spaceruję – odparł Kayyin. – Dawno nie widziałem żadnego z naszych starych świętych miejsc pod Górą Midlana.

– Wróc z nami i wypij ze mną kufel w świątyni. Znajdziemy antałek najlepszego wyrobu brata Piwowara i opowiesz, co się z tobą działo od naszego ostatniego spotkania...

Kayyin pokręcił głową.

– Wybacz, Rogowcu, może innym razem. Teraz mam coś do zrobienia.

– Oczywiście – odrzekł Funderling. – Innym razem.

Kiedy dotarli do szerokiego korytarza nazywanego Wielkim Wykopem, Kayyin odwrócił się w kierunku przeciwnym do świątyni.

– Bywaj, Rogowcu Liderycie. Mam nadzieję, że kiedyś się napijemy.

– Nie ukrywam, że ciągle coś jest w stanie mnie zaskoczyć – zwrócił się Rogowiec do Krzemienia. Obaj patrzyli za odchodzącym Qarem. – Zmitrężyłem tu za dużo czasu. Chodźmy. Opal pewnie już wróciła na wieczorny posiłek i obedrze mnie ze skóry, jeśli nie zastanie nas w pokoju. A jak się dowie, że zabrałem cię poza świątynię, to z powrotem przyszyje zdartą skórę, a potem znowu ją ze mnie zedrze. Tak więc pospieszmy się. – Myśl, która nie dawała mu spokoju, wcale jednak nie dotyczyła żony. Wciąż się zastanawiał, co Kayyin robił na dole w tym nieuczęszczanym miejscu. Czy rzeczywiście był to przypadek? Przecież nieopodal znajdował się komin – Dół, jak przyjął Rogowiec – prowadzący aż do Tajemnic, którymi tak bardzo interesowali się teraz Funderlingowie i Qarowie, a nawet autarcha z południa.

Przypadek? Czyżby?

\*\*\*

– Co myślisz o pomysłе Miedziaka? – zapytał Vansen, kiedy z Cynobrem jedli chleb w płytkim wyłobieniu, które posłużyło im za połowę stanowisko dowodzenia.

Magister przyszedł aż do Bezksiężycowego Korytarza, gdzie Ferras Vansen i kilkuset Funderlingów oraz Qarów od trzech dni powstrzymywało siły autarchy, lecz kapitan nie chciał tam trzymać Cynobra zbyt długo. Miejsce było zbyt niebezpieczne, a Funderling był zbyt ważną osobą. Cech, który udzielił mu szerokich uprawnień, zdaniem Vansena okazał tym samym mądrość – Cynober Rteciowiec należał do wyjątkowych polityków, którym udaje się nakłonić innych do zrobienia rzeczy trudnych, ale koniecznych.

– Masz na myśli jego plan, żeby się przekraść, tak by ominąć awangardę autarchy? – Funderling pokręcił sceptycznie głową. – Małe szanse powodzenia. Znasz raporty. Miedziak i Jaspis już stracili połowę systemu pieczar. Nie utrzymają się tam bez wsparcia i na pewno nie będą mieli czasu na wydrażenie obejść. W starych tunelach zalega pewnie mnóstwo gruzu. Nie, musimy się wycofać i spróbować ich

zatrzymać przy Ochrowej Sztapie. – Cynober westchnął i pociągnął długi łyk mchówki.

Vansen też się napił. Mchówka to nie to samo co piwo czy choćby kwaśny miód pitny, jaki robił ojciec, pomyślał. Trunek Funderlingów smakował błotem, jak na jego gust, ale pijał już gorsze napitki, a przynajmniej tak mówili mu ci, którzy go zanosili do koszar.

– W takim razie przekaz to Miedziakowi.

Spojrzał w głąb pieczary, gdzie Kawka, jeden z qarskich dowódców, nadzorował budowanie przez Funderlingów muru w poprzek komory. Vansen żałował, że nie mają więcej czasu, był przekonany, że w kilka dni rezolutni Funderlingowie daliby radę zabezpieczyć nawet Bezksiężycowy Korytarz.

– A jakie są najnowsze wieści od Miedziaka i Jaspisa?

– Wciąż kontrolują niższą połowę odcinka obrony, ale tak naprawdę powoli się wycofują. Jaspis mówi, że ponieśli duże straty. Niech Starsi Ziemi nam wybaczą, większość jego żołnierzy to niemal dzieci...

– Tak, niech Trzej wyniosą ich wysoko. – Vansen zrobił znak na piersi, a jego twarz wykrzywił grymas zmartwienia, lecz zaraz się opanował. – Coś jeszcze? Jakies wieści z góry, od mojego pana Avina Brone'a?

– Nic. I nie mamy możliwości przekazania mu wiadomości od nas. Kilkakrotnie próbowaliśmy przemycić kogoś przez główną bramę, lecz strażnicy dużych nie pozwalają. Mówią, że każdy Funderling, który chce wejść do zamku, musi mieć pozwolenie samego lorda protektora Tolly'ego. A mniej znane drogi albo prowadzą na ład, gdzie siedzi autarcha, jak Wielki Wykop Burzowego Kamienia, albo są strzeżone przez żołnierzy lorda protektora, jak choćby przejście do piwnicy dawnego domu Chavena. Gdziekolwiek próbujemy, czekają tam na nas wrogowie niczym głodne koty czatujące przy mysich dziurach.

Vansen się skrzywił. Wciąż robiło mu się niedobrze, gdy słyszał, jak nazywa się Hendona Tolly'ego „lordem protektorem”: wszyscy w straży królewskiej wiedzieli, czego naprawdę chce najmłodszy z braci Tollych i do czego jest zdolny.

– Nie ryzykujcie już przy bramie – rzekł kapitan. – Tolly to potwór, ale sprytny. Szybko wyciągnąłby informacje z każdego posłańca, nawet z ciebie czy ze mnie.

– Więc nie możemy liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony Brone’a, przynajmniej na razie. Tak czy inaczej, kapitanie, on i wasi ludzie mają dość zmartwień: autarcha bombarduje ich w dzień i w nocy. W niektóre noce słyszę nawet tutaj, głęboko pod ziemią, jak armatnie kule kruszą mury. – Cynober potarł grubym palcem rozlaną mchówkę i nakreślił kilka ciemnych kół na ścianie pieczary. – Musimy się przygotować na kolejny odwrót. Naprawdę bardzo mi przykro, kapitanie Vansen. Wiele od ciebie wymagamy, a tak niewiele ci zapewniłszy.

– Daliście mi wszystko, co macie. Co jeszcze można zrobić?

Cynober odpowiedział uśmiechem – był to chyba najbardziej ponury i nikły uśmiech, jaki Vansen kiedykolwiek widział na zwykle pogodnej twarzy magistra.

– Rzeczywiście, co jeszcze, przyjacielu?

\*\*\*

Niedługo po tym, jak Vansen odesłał Cynobra z powrotem do świątyni, siły autarchy przypuściły kolejny atak z zamiarem wyparcia obrońców z Bezksiężycowego Korytarza. Atak był szybki i niespodziewany. Nad prowizoryczną barykadą zbudowaną przez Funderlingów pojawił się jeden z upiornych skorpów, rozrzucając obrońców jak żuki. Zanim ludzie Vansena uformowali zaporę z włóczni, która powstrzymała potwora, z bocznego tunelu wyłonił się oddział strzelców autarchy. Żołnierze z południa szybko naładowali swoją broń i przypuścili atak. Ich pociski odbijały się od pancerza *askoraba*, nie czyniąc mu żadnej krzywdy, lecz kilku gorzej osłoniętych Funderlingów i Qarów padło już podczas pierwszej salwy. Vansen nakazał wycofać się za niedokończony mur w drugim końcu korytarza, za którym skryli się pozostali. Jego żołnierze rozpoczęli chaotyczny odwrót osłaniani przez nieduży oddział czarodziejskich łuczników. Poległo jeszcze kilku, zanim wszyscy wycofali się za mur.



Vansen podczołgał się do Kawki. Ten ze spokojem owijał sobie oderwanym rękawem mocno zakrwawione ramię, które trafił pocisk ze strzelby. Nawet w słabym świetle lampy widać było, że krew jest czerwona, i była to chyba jedyna rzecz u Qara, która wydawała się normalna. Twarz czarodziejskiego wojownika, pociągła, z nosem tak długim, że Qar przypominał ptaka, była pokryta opalizującym puszkami, który w silniejszym świetle przybierał kolor purpurowy albo różowo-niebieskawy, a teraz wydawał się czarny. Przez to jasnożółte oczy zdawały się jeszcze bardziej niesamowite. Także resztę ciała Qara, widocznego między częściami lekkiej zbroi, pokrywał puszek.

Przy ich pierwszym spotkaniu Vansen przez kilka chwil wpatrywał się w czarodziejskiego wojownika, lecz szybko skupił się na cechach jego charakteru: Qar miał doświadczenie w walce, lecz choć w jego żyłach płynęło coś, co miało kolor krwi, to sądząc po jego ruchach, musiało płynąć wolniej i chyba było chłodniejsze.

– Szkoda, że nie mamy więcej serpentynu, bo moglibyśmy wysadzić ten głąz nad nami i załatwić sprawę – rzekł Kawka i wystawił głowę nad barykadę, by się rozejrzeć, nie zwracając uwagi na przelatujące pociski. Spojrzał na Dolomita, strażnika z oddziału Jaspisa, jednego z ważniejszych Funderlingów na odcinku Bezksiężycowego Korytarza. – Tak tu nazywają czarny piasek? Moi ludzie zwą go Ogniem Szachraja.

– Nic mi nie wiadomo o żadnym szachraju – odparł Dolomit z krzywą miną. Podobnie jak Młot, znał większość najgorszych okropieństw, jakie jego mały świat miał do zaoferowania, i nie lubił okazywać emocji przy innych. – Wybuchowy proch, tak mówimy. A skoro go nie mamy, to trudno. Trzeba będzie się wycofać do Ochrowej Sztaby i tam spróbować ich zatrzymać.

– Dobrze by było mieć kilka tych ognistych kul, które ci przyniósł twój mały przyjaciel – rzekł Kawka. – Moglibyśmy podtoczyć jedną pod tego śmierdzącego *seliqeta* i przerobić go na miazgę.

– Staramy się sprowadzić tego jak najwięcej, ale teraz nie mamy – odpowiedział rzeczowym tonem Vansen. – Jakies inne pomysły?

– Kłuć je, czym się da, aż padną trupem – zasugerował Dolomit.

Nad barykadą przeleciała kolejna salwa pocisków. Echo wystrzałów tłukło się po pieczarze z taką siłą, że przez chwilę Vansen się bał, iż sklepienie zwali im się na głowy.

– Jesteś tak samo mądrym taktykiem jak Jaspis Młot – zwrócił się do Funderlinga. – A teraz, jeśli nie macie nic innego do roboty, spróbujemy zabić tego potwora.

\*\*\*

Przeżyli kolejne dwa ataki oddziału autarchy i ich ulubieńca i za każdym razem z trudem odpierali przeciwnika, a najciężej walczyli w nieukończonym końcu barykady. *Skorp* atakował to miejsce, pragnąc dotrzeć do broniących się zaciekle smakowitych kąsków, które wyczuwał.

– Widzicie, to najczulszy punkt *seliqeta*! – zawołał Kawka, gdy monstrem po raz kolejny pojawiło się nad barykadą, szczękając ogromnymi szczypcami. Ze swojego miejsca Vansen dostrzegł kawałek bladego cielska na podbrzuszu potwora, tam, gdzie łączyły się jego nogi. Kawka i inni zaczęli tam dźgać włóczniami. Bestia uniosła się, sycząc przeraźliwie, i wycofała, miażdżąc tych pechowych żołnierzy autarchy, którzy nie zdążyli usunąć się jej z drogi. Utykając, ruszyła z Bezksiężycowego Korytarza do tuneli prowadzących na górę, które zdążyły już zająć wojska autarchy. Obrońcy poczuli w sercach przypływ nadziei, gdy usłyszeli dobiegające stamtąd okrzyki przerażenia nadchodzących nieprzyjaciół, które niechybnie znaleźli się na drodze puszczonej swobodnie i rozwścieczonej bestii. Vansen poprowadził atak i choć stracili kilku ludzi, szybko uporali się z tymi żołnierzami, którzy nie chcieli się poddać, ale jeszcze bardziej nie chcieli się wycofać i wpaść prosto w szczęki potwora autarchy.

\*\*\*

– Zabiliśmy ich już co najmniej sześć – rzekł Dolomit, gdy zabrali się do kończenia barykady. – Jak myślicie, ile ich mogą jeszcze mieć?

– Jakaś setkę, nie więcej – rzucił Kawka i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jego żołnierze, mimo że wielu miało postać, która utrudniała kopanie i budowanie, z zapalem pomagali przy barykadzie. Vansen potrafił niemal zapomnieć, że niektórzy przypominają żaby czy lisy, a inni mają jeszcze dziwniejszą postać. Teraz wszyscy byli braćmi, tak jak to widział już wcześniej: w obliczu śmierci wszyscy stają się równi. Może z pomocą Qarów uda im się wytrzymać napór autarchy nawet do przesilenia letniego.

– W takim razie wybijemy stwory jednego po drugim – orzekł Vansen. – Dopóki nie dostaniemy prochu, żeby je wszystkie wysłać do bram samego Kerniosa.

Kawka się roześmiał.

– Zabawny jesteś, śmiertelniku. Nie wiesz, gdzie jesteś?

– Co masz na myśli?

– Siedzimy u bram Kerniosa, kapitanie. Dlatego to oblężenie, tego właśnie bronimy! Nasi wrogowie chcą zdobyć pałac Kerniosa! Stanowimy straż honorową Śmierci.

Vansen nie od razu zrozumiał Qara, lecz gdy już dotarło do niego znaczenie jego słów, kapitan zaśmiał się ponuro.

– Skoro tak, przyjacielu, to będziemy bronić bram miasta Śmierci, dopóki sami nie zostaniemy do niego zaproszeni.

Świadomość tego, jak beznadziejne jest ich zadanie, przyniosła mu niemal ulgę. Vansen pokręcił głową i znowu zabrał się do pracy.

\*\*\*

Kiedy Rogowiec i Krzemień wrócili do pokoju, chłopiec usiadł i oddał się swoim dziwnym spokojnym krzemienym rozmyśleniom, Rogowiec zaś pospieszył do swoich map, by nanieść na nie wszystko, co zanotował, zanim o czymś zapomni. Trzeba było umiejscowić Dół i ponownie nanieść labirynt za Pięcioma Łukami. Zajęty pracą mimowolnie poczuł, że niektóre słowa Krzemienia niepokojąco powracają w jego umyśle, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego.

Właśnie skończył wprowadzać poprawki i był gotów przejść do innych rzeczy, gdy przyszedł mu do głowy pewien pomysł – dziwny, wspaniały i zupełnie szalony.

Długą chwilę siedział nieruchomo, zastanawiając się, czy to w ogóle ma sens. Wróciła Opal po długiej pracy i zaczęła opowiadać o tym, co robiła, lecz Rogowiec prawie jej nie słyszał. Uśmiechał się i odpowiadał, lecz myślami był gdzie indziej.

Z pewnością nie była to rzecz, o której mógłby porozmawiać z Opal, mimo że bardzo cenił jej rady. Wiązało się to z wielkim niebezpieczeństwem, a ona oznajmiła mu wyraźnie, że jeśli jeszcze raz wplącze się w coś niebezpiecznego, teraz, kiedy mają chłopca, który potrzebuje ojca, będzie to ostatnia noc, jaką ona spędzi pod jego kamieniem. A ponieważ Rogowiec nie wiedział nawet, czy Vansen i Cech zechcą wysłuchać jego szalonego pomysłu, nie wspominając o jego zaakceptowaniu, uznał, że nie ma co tracić czasu na kłótnię z żoną, dobrze wiedział, że i tak by przegrał.

Nie chciał też skupiać się za długo na mapach, nie zamierzał zwlekać z przedstawieniem swojego śmiałego planu Vansenowi, Cynobrowi i pozostałym. Gdy już obwołano wieczorne modlitwy, Rogowiec odczekał cierpliwie, aż Opal i Krzemień zasną, a potem wstał, zapalił lampę i wrócił do stołu. Zebrał wszystkie mapy potrzebne do wyliczeń – a było ich wiele – i pochyliwszy się nad stołem zalany drżącym blaskiem lampy, zaczął pracować nad szkicem w tradycyjny sposób, tak jak go nauczono w Cechu, nanosząc na tabliczki cyfry i symbole, które miały zobrazować jego wręcz niewiarygodny plan.

## Królowa czarodziejskich ludzi

*Strasznie udręczony Sierota nieraz rzuciłby się  
w zieloną morską toń, nawet wbrew niebiosom,  
gdyby nie życzliwość pewnego ślepego  
niewolnika o imieniu Aristas...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Saqri czekała, aż Barrick wygramoli się z wody na skalisty brzeg, nieruchoma w bezkształtnej szacie niczym świątynny posąg. Ociekający wodą książę miał zaledwie chwilę, by zachwycić się widokiem królowej czy choćby nadmorskiej łąki, której nie widział od lat, ponieważ Saqri odwróciła się i ruszyła pod górę, kierując się ku królewskiemu domkowi, który majaczył na szczycie skalistego wzgórza widoczny między drzewami.

– Przez kilkaset lat paru rzeczy można się nauczyć – zawołała przez ramię królowa do swojego towarzysza, który człapał za nią, chlupocząc z każdym krokiem.

Nie miał siły na rozmowy. Wyczerpanie i przemoczone ubranie ciągnęły go w dół niczym legion niewidzialnych goblinów, sprawiając, że każdy krok stanowił dla niego wyzwanie. Do tego widział już wyraźniej dom i choć głosy Ognistego Kwiatu dziwnie milczały, odezwały się z kolei jego wspomnienia.

\*\*\*

– *Kto pierwszy dotknie drzwi, jest królem klifu!* – zawołała siostra i nie obejrawszy się nawet, żeby sprawdzić, czy ją słyszał, popędziła po starych schodach.

*Barrick wahał się przez chwilę, chcąc zobaczyć, czy Kendrick też będzie się ścigał, lecz starszy brat czekał cierpliwie na ojca. Kendrick miał dwanaście lat i próbował pokazać, że jest już prawie mężczyzną i*

*nie zamierza brać udziału w żadnych zabawach. Barrick popędził za bliźniaczką.*

*– Oszustka! – zawołał. – Miałas fory!*

*– To nie oszustwo – krzyknęła przez ramię i zaśmiała się, przez co prawie straciła równowagę na wąskich stopniach wygładzonych przez deszcze i wiatr. – Tylko strategia!*

*– Jeśli któreś z was wejdzie do domu bez strażników – zawołał z przystani ojciec – to obedrę was ze skóry i nakarmię wami psy!*

*Briony zaśmiała się jeszcze głośniej, ponieważ kochała psy tak bardzo, że pewnie chętnie pozwoliłaby się im pożreć, pomyślał Barrick, a potem zatrzymała się gwałtownie i zachwiała niebezpiecznie.*

*– Briony! – krzyknął ojciec. – Uważaj, dziewczyno!*

*Rozłożyła ramiona dla złapania równowagi, co pozwoliło Barrickowi jej pomóc. Mijając ją, trącił ją delikatnie zdrową ręką, dzięki czemu przechyliła się do przodu i znowu pewnie stanęła na nogach.*

*– Oszust! – zawołała za bratem. – Popchnąłeś mnie!*

*Teraz Barrick odpowiedział śmiechem. Wiedziała, że w rzeczywistości zatroszczył się o nią, zamiast jak zwykle samemu być przedmiotem troski innych, co nappełniło ją wspaniałym uczuciem. Wybiegła na ścieżkę na samej górze i ruszyła nią w kierunku domu, mijając cyprysy. Barrick właśnie zobaczył szeroki podjazd dla powozów przed frontowymi drzwiami – całkowicie bezużyteczny w miejscu, gdzie nie było żadnych dróg ani powozów, podejrzewał jednak, że król Aduan i jego budowniczkowie mieli większe ambicje co do tego miejsca gdy usłyszał za sobą kroki siostry.*

*– Mam cię!*

*Czy ona myśli, że jak mam niesprawne ramię, to jestem też kulawy? Opuścił głowę i pobiegł przed siebie. Przeciął żwirowy podjazd i uderzył dłonią w drzwi tuż przed siostrą. Zdyszani usiedli na ganku. Gdy Barrick wreszcie odzyskał oddech, odwrócił się do siostry i...*

\*\*\*

Bum!

Huk sprowadził go na powrót do terażniejszości i rozproszył jego wspomnienia, jakby były puszką dmuchawca. Odwrócił się na pięcie i spojrzał na drugi brzeg zatoki. Trudno było zobaczyć, skąd dochodzi ten dźwięk, ale widział unoszące się nad miastem smugi dymu. Przez chwilę wierzył, że wydobywają się z kominów, że wszystko jest normalnie, a on usłyszał grzmot. W końcu kto by strzelał z działa?

Bum! Bum!

...nie, to kilka dział. Qarowie? Czy oni w ogóle ich używają? I gdzie jest Saqri? Została ranna? Czy któryś z pocisków mógł dolecieć aż tak daleko? Pospieszył w górę zbocza.

– *Nie* – powiedziała Saqri tak blisko, jakby przebywała w jego myślach. – *Idź powoli, Barricku Eddonie. Wiele oczu nas obserwuje.*

Odwrócił się i ze zdumieniem zobaczył, że królowa stoi tuż za nim – w jakiś sposób ją minął. Nic już nie powiedziała, lecz szła dalej między powyginanymi drzewami o nastroszonych koronach. Kiedy dotarła do domu, drzwi otworzyły się pod jej dłonią, jakby na nią czekały.

Barrick wszedł za nią do środka i od razu poczuł się przytłoczony znajomymi zwierzętymi zapachami i zmęczeniem, które ciągnęło go w dół niczym obciążona kamieniami sieć Muskających Wode.

– Prześpij się – powiedziała do niego Saqri, wymawiając słowa jak zwykły śmiertelnik. – Póki co, jesteś bezpieczny. Później będzie czas na to, co musi nastąpić. Teraz idź spać.

Barrick nie oponował. Jedno z łóżek było niepościelone, jakby ktoś w nim spał, choć sądząc po kocach i pościeli – która zwykle sztywniała w morskim wilgotnym powietrzu – mogło to być wiele tygodni temu, lecz on się tym nie przejmował. Sen wciągał go równie mocno jak wcześniej wody Zatoki Brenna, a on już nie miał sił unosić się na powierzchni.

Nieposłane łóżko. W tej chwili było mu to obojętne, nawet gdyby spał w nim sam Kernios. Ściągnął mokre ubranie i nagi wsunął się pod sztywną pościel. Kilka chwil później spał już mocnym snem.

\*\*\*

– Mamy gości – usłyszał z bliska głos Saqri.

Wynurzył się nieporadnie ze snu, w którym szukał Qinnitan na ulicach pustynnego miasta, lecz nigdy jej nie znalazł. Otworzył oczy, w pierwszej chwili niepewny, gdzie jest, lecz zaraz wszystko sobie przypomniał – lustro, zielony ocean, nawiedzane przez bogów senne głębie. Usiadł na łóżku i zobaczył stojącą tuż obok Saqri.

– Co? – zapytał, starając się pozbiierać myśli. – Gości?

Spodziewał się żartu, lecz królowa czarodziejskich ludzi spojrzała przez ramię do głównego pokoju.

– Właściwie to my jesteśmy gośćmi, a oni przyszli sprawdzić, czy żywimy wobec nich złe zamiary.

Zdezorientowany Barrick potrząsnął głową.

– Goście? Tutaj, na Skale M’Helana? Przecież tu nikt nie mieszka.

Błada twarz królowej o ostrych rysach wydawała się pozbawiona wyrazu.

– Tak sądzisz?

– Dobrze, w takim razie idę. – Odczekał chwilę, lecz kobieta się nie poruszyła. – Możesz sobie pójść, proszę, żebym mógł się ubrać? Jestem nagi.

Saqri posłała mu rozbawione spojrzenie, zamykając za sobą drzwi. Przecież jest jego jakby po-wielekroć-pra-babką, czy nie tak? Chyba nie byłoby stosownie ubierać się w jej obecności, jakby była służącą? Barrick w zamyśleniu wciągał na siebie ubranie Qarów. Wydawało mu się bardzo dziwne, że Saqri wygląda tak młodo i pięknie. Czuł się zdezorientowany.

Kiedy wyszedł do pokoju, nie od razu potrafił powiedzieć, co widzi. Cała podłoga się ruszała, jakby dywan ożył. Czekąca tam setka albo i więcej ludzików – jak się zorientował coraz bardziej zdumiony Barrick – tak małych jak Kąśliwe Duszki, które spotkał za Granicą Cienia, lecz ubranych w kapelusze, pończochy i kurtki jak zwykli ludzie. Ich malutkie twarze, mniejsze niż miedziak, zwróciły się ku niemu z wyrazem wyczekiwania, lecz Barrick nie potrafił wydobyć z siebie słowa.

Przed tłum wysunął się maleńki brodac. Korpulentny i elegancko ubrany, w wymyślnym kapeluszu, ze złotych łańcuchem na szyi, który mógł być częścią dziecięcej bransoletki, lecz na jego piersi prezentował



się jak królewski klejnot. Barrick z trudem się powstrzymał przed podniesieniem człowieczka, by mu się lepiej przyjrzeć.

– Książę Kociołdomus, jam ci to – przemówił malutki osobnik głosem tylko trochę donośniejszym i niższym niż pisk myszy. – Przewodniczący z wyboru szacownego Zgromadzenia Podłogowego Dachowców Nadmorzan, jak również wuj królowej Upsteplebat – którą być może poznałeś, niech jej okazałość pozostanie jednoznaczna wraz ze swymi ludźmi, którzy, jak widzicie, zgromadzili się tu dzielnie przed wami. Pragniemy was powitać, zacni panowie i panie...

Stojący obok przemawiającego ludzik ze spiczastą brodą, tylko trochę mniej elegancko ubrany, trącił łokciem Kociołdomusa.

– ...ach, oczywiście. – Dachowiec zamilkł na chwilę, by pozbierać myśli. – Tak. Witamy cię ponownie w naszym kraju, królowo Saqri. Długo się nie widzieliśmy.

– Prawie od czasu wojny. – Saqri skinęła głową z powagą, jakby nie rozmawiała z ludzikiem mniejszym od myszy. – Od tamtej pory wiatr powiał wiele razy. Żałuję, że nie spotykamy się w lepszych czasach.

Kociołdomus wyglądał na zadowolonego, choć wciąż wydawał się czujny.

– Jesteś ogromnie uprzejma, Wasza Wysokość, ogromnie. Pragniemy pomówić z tobą o ważnych sprawach – nie, o niesamowitych sprawach! Wiesz, że zawsze, mimo żeśmy się niegdyś poróżnili, zawsze żywiliśmy nieustający respekt dla starych, naszych kuzynów, twoich ludzi... – Spiczastobrody znowu trącił Kociołdomusa łokciem. – Ach, wybacz. Pragniemy pomówić z tobą, jeśli pozwolisz, o stosunkach między naszymi narodami w przyszłości, jeśli rozumiesz, co mam na myśli...

Saqri skinęła głową płynnym, jakby ptasim ruchem.

– Bardzo dobrze rozumiem. Moje usta wyjawiają tylko prawdę, gdy powiem, że jeśli nasze narody przetrwają wydarzenia, które mają nadejść, choć wydaje się to niemożliwe, nie będzie już między nami cienia niezgody. Mówię to z samego serca Domu Ludzi.

Niektórzy z zebranych wydali okrzyk radości, inni, jak się zorientował Barrick, płakali i wycierali nosy albo szeptali podekscytowani. Głosy Ognistego Kwiatu, uspokojone obecnością

Ynnira, zapoznały księcia z historią wielowiekowego konfliktu, który właśnie mógł się zakończyć.

Dlatego tu przybyliśmy? – zastanawiał się. Chodziło o coś więcej niż tylko o to, by dopłynąć do najbliższego brzegu? Z Saqri trudno było coś przewidzieć, podobnie jak z Ynnirem: przy nim to, co rzeczywiste i namacalne, szybko zamieniało się w coś niesamowitego. Nawet obserwowanie charakterystycznych zwykłych gestów Qarów przypominało próbę zrozumienia rozmowy prowadzonej w obcym języku.

– Jestem pewny, że wyrażę myśli całego Zgromadzenia Podłogowego – zaczął książę Kociołdomus po krótkiej konsultacji ze spiczastobrodym – gdy powiem, że bylibyśmy niezmiernie szczęśliwi, mogąc zobaczyć, jak znika dzielący nas cień niezgody. Przeszczęśliwi. A teraz pozwolę mojemu sekretarzowi, lordowi Szpilupuścikowi, wyjaśnić sprawy, o których, z całym szacunkiem dla twojej nieomyślności, pani, możesz nie wiedzieć. – Cofnął się o krok, a do przodu wysunął się jego szczupły spiczastobrody towarzysz.

– Zobacz, co tu jest napisane – rzekł, podając arkusz pergaminu, który w jego rękach wydawał się wielki jak okiennica. – Wszystkie słowa wypowiedziane przez Sulepisa autarchę i Tolly’ego, lorda protektora Zamku Marchii Południowej, podczas ich niedawnego spotkania.

– Co? – Barrick sądził, że się przesłyszał. – Tutaj? Autarcha? Z Tollym?

Saqri wzięła pergamin od Szpilupuścika i zaczęła czytać. Jej oblicze stało się maską jeszcze bardziej nieruchomą niż zwykle.

– Słyszeliśmy wszystko, co mówił – zaczął książę Kociołdomus. – Spisaliśmy wszystko pilnie i czytelnie, żeby Wasza Królewska Mość...

Malutki lord Szpilupuścik mu przerwał:

– Stoimy w obliczu poważnego niebezpieczeństwa!

– Kiedy? – zapytał Barrick. – Kiedy był tu autarcha?

– Wczoraj wieczorem – powiedziała Saqri i podniosła wzrok znad pergaminu. – I jeśli zapis prawdziwie przekazuje całą rozmowę, to władca z południa zna o wiele lepiej historię tego zamku, niż Ognisty

Kwiat i Głęboka Biblioteka mogłyby się domyślać. W tej chwili autarcha Sulepis czyni przygotowania, by wdrzeć się do głębi, gdzie są drzwi.

– Drzwi? Takie jak te, przez które się tu dostaliśmy?

– Tak, miejsca, gdzie świat jest cienki. Lecz drzwi pod tym miejscem, które jeszcze niedawno było twoim rodzinnym domem, różnią się od innych przejść. Zostały otwarte przez Szachraja i on też je zamknął, pozostawały zawarte tylko dzięki jego słabnącej teraz sile. Wygnał przez nie bogów, którzy go dręczyli, i to dzięki niemu wszyscy pozostają po drugiej stronie spętani snem. Lecz nawet we śnie pragną wrócić i zemścić się na całym świecie...

Kolejne idee napływały do Barricka podsuwane przez Ognisty Kwiat, koncepcje tak abstrakcyjne, a zarazem straszliwe, że książe ledwo stał na nogach.

Saqri zaś mówiła dalej, jakby każdego dnia w swoim życiu rozmyślała nad podobnymi rzeczami.

– Skoro już mowa o miejscach, gdzie świat jest cienki – zwróciła się do Dachowców musimy iść porozmawiać z drugim plemieniem, które zamieszkuje wraz z wami to miejsce.

– Oczywiście! Nie jesteśmy jedynymi wygnańcami, którzy honorują prastare więzy – zapiszczał książe Kociołdomus.

– Musimy wyruszyć niezwłocznie – odpowiedziała Saqri. – Z nadejściem nocy. Czy możecie przygotować tych, których chcecie wysłać ze mną?

– Nasze poselstwo będzie gotowe na godzinę przed zachodem słońca – zapewnił ją Dachowiec. – Będziemy czekać na przystani.

\*\*\*

W niektórych momentach Ognisty Kwiat zdawał się nadawać wszystkiemu cienie i odbicia. Kiedy Barrick ruszył za Saqri ścieżką w dół, za sprawą Ognistego Kwiatu wszystko wokół drgało jak w rozgorączkowanym śnie. Z pewnością łatwiej mu było na Skale M’Helana, gdzie większość rzeczy nie miała znaczenia, jakie w Qul-na-Qar było nagromadzone warstwami. Sama Saqri, zarówno jako królowa, jak i ostatnia w długiej linii kobiet, które nosiły w sobie, a potem

przekazywały Ognisty Kwiat, była tak nim napełniona, że już tylko jej bliskość wyczerpywała Barricka.

Mówiła spokojnie, kiedy szli, jakby od niechcienia, o Wojnie Bogów i o Długiej Porażce, jaka nastąpiła, gdy Qarowie dokonali wyboru, który przesądził o ich losie, i stanęli po stronie niebiańskiego klanu Powiewu, sprzeciwiając się tym samym Trzem Braciom i ich klanowi Wilgoci i tracąc władzę nad wieloma własnymi klanami, między innymi Dachowcami, których Barrick właśnie poznał.

Barrick zrozumiał, że nawet jeśli Porażka nie jest najważniejszą cechą życia albo sztuki Qarów, to wciąż stanowi ich część. Jest obecna, bez słów, w całej ich poezji; stanowi milczący kontrapunkt w każdej pieśni. Czasy po tym, jak przodkowie Barricka porwali ich księżniczkę i wyparli czarodziejskich ludzi za Granicę Cienia, utwierdziły ich w przekonaniu, że zbliża się koniec. Dlatego tak wielu wojowników chętnie oddało się pod dowództwo Yasammez. Skoro nadchodzi koniec, dlaczego nie stawić mu czoła z odwagą?

A ja? Gdzie jest moje miejsce w Porażce? Dlaczego bogowie albo Los – czy też cokolwiek rządzi ludzkim życiem – pozwolili, by Ognisty Kwiat przeszedł na mnie, skoro ja mogę jedynie z nim umrzeć?

Saqri zeszła z głównej ścieżki i szła krętym szlakiem prowadzącym na nadmorską łąkę, na której Barrick i Briony w dzieciństwie wielokrotnie się bawili. Minęła łąkę niczym jedwabny szal niesiony wiatrem, a potem zeszła na wijącą się dróżkę, którą Barrick doskonale pamiętał, gdyż Briony nazwała ją „czarodziejską ścieżką”, co wydało mu się zabawne, jako że prowadziła donikąd. Dogonił królową tam, gdzie opadająca ścieżka prawie sięgała fal Zatoki Brenna. Ku swemu zdumieniu zobaczył szarą łódź rybacką, która podskakiwała na wodzie, utrzymywana w miejscu przez młodego wioślarza o nagim torsie. Muskający Wodę spojrzał na Barricka z ostrożnym zaciekawieniem, lecz gdy jego wzrok powędrował ku Saqri, wstał szybko, przy czym prawie wcale nie zakotłosał płaską łodzią, i uklonił się niezgrabnie.

– Prawdę mówili. – Wydawał się rozbawiony, lecz jego twarz zdradzała głębsze uczucia. – Naprawdę tu jesteś.

– Cieszę się, że mnie poznałeś, Rafie z klanu Kadłub-Trze-o-Piach – powiedziała królowa.

Młodzieniec uniósł ciężkie powieki.

– Znasz mnie?

– Rozpoznaję was wszystkich, nawet tych, którzy wyrosli na wygnaniu... ale ty już chyba miałaś styczność z tymi sprawami. Nie mylę się, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Tak jakby. Nic, co by się dało zabrać do domu i nakarmić rodzinę, jeśli wiesz, co mam na myśli, pani. Jednak... – Nieoczekiwanie jego oblicze się rozjaśniło. – Przybywasz wraz z innymi? O to chodzi?

Saqri skinęła głową.

– A także księżę Barrick.

Wydawało się, że dopiero teraz Muskający Wodę naprawdę zobaczył Barricka.

– Naprawdę jesteś księciem z Zamku Marchii Południowej? Synem Olina Dobrego?

Przez chwilę Barrick tak się zaplątał w myślach o tym, kim jest, a kim nie jest, że nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

– Tak – powiedział w końcu.

– Przyrowadzony tu świętą ręką samego Egye-Vara – rzekła Saqri.

– *Erivor* – wyszeptały głosy Ognistego Kwiatu.

– To już dwoje w oku ojca Eny! – powiedział Rafe z nieoczekiwaną wylewnością i uderzył dłonią w wodę, ale tak, żeby nie ochlapać Saqri. – Królowa Starożytnego Ludu i księżę z zamku w mojej łodzi! Stary Turley skwaśnieje jak marynowany rekin, kiedy się dowie... – Młody Muskający Wodę umilkł i zarumienił się zawstydzony, co objawiło się zielonkawobrazowymi plamami na jego skórze od karku po małe uszy. – Wybacz, pani. Nie chcesz wysłuchiwać mojego skrzeczenia, przecież mamy coś do zrobienia. Proszę, Wasza Królewska Mość, pozwól, że ci pomogę.

Wstał i wyciągnął do niej rękę, a potem spojrzał na swoją dłoń i zaraz ją cofnął. Przykucnąwszy, zanurzył ją w wodzie, potem szybko wytarł o spodnie i jeszcze raz wyciągnął do królowej. Saqri pozwoliła, żeby pomógł jej zejść na drabinę, która, co Barrick dopiero teraz zauważył, była umocowana pod zaokrągloną krawędzią brzegu. Patrząc, z jaką łatwością królowa utrzymuje równowagę i z jaką gracją wchodzi

na kołyszącą się łódkę, Barrick się domyślił, że wcale nie potrzebowała pomocy.

Tylko skąd ten pośpiech? – zastanawiał się. Powiedzieli, że wyruszamy po zapadnięciu nocy, a przecież nawet nie zaszło słońce... Głosy Ognistego Kwiatu nie udzieliły mu odpowiedzi.

Ścisnął twardą dłoń Rafe'a, który pomógł mu znaleźć stopą drabinę, a potem odwrócił się i zaczął schodzić, po raz kolejny wdzięczny Śpiącym za to, że uleczyli jego ramię.

Muskający Wodę odepchnął łódź od brzegu, lecz ku zaskoczeniu Barricka nie skierował jej na otwarte wody, lecz popłynął wzdłuż wybrzeża ku części wyspy naprzeciwko zamku. Miejsce to rodzina Eddonów pozostawiła niezagospodarowane z powodu płataniny drzew i ciernistych krzewów porastających ten kawałek lądu aż do samej wody. Barrick nigdy nie widział wyspy z takiej perspektywy i pierwszy raz zobaczył ten widok: oto zbliżali się do pieczary, która podczas przyływu wyglądała pewnie na zwykły nawis skalny, wejście do niej nawet teraz było tylko trochę wyższe niż burta łodzi.

– Głowy w dół – ostrzegł Rafe. – Z całym szacunkiem, ale nawet królowa czarodziejskich ludzi i książę mogą się wyróżnić w łepetynę.

Barrick pochylił się najniżej, jak się dało, aż niemal przycisnął twarz do kolan. Gdy już minęli nawis, ostrożnie podniósł głowę i zobaczył zdumiony, jak ogromna jest pieczara. Kto by się domyślał, że coś takiego skrywa się pod gąszczem w południowo-wschodniej części wyspy.

Nawet podczas odpływu pieczara prawie cała pozostawała pod wodą, lecz powyżej linii rozlewisk powstałych po odpływie znajdowała się oświetlona latarnią przystań, która prowadziła do podłużnego paska skalistej plaży i dziwnego długiego domku krytego strzechą z suchych wodorostów i nadmorskich traw. Dopiero po dłuższej chwili Barrick się zorientował, że to, co wyglądało na osobny kamienny budynek za domkiem, jest w rzeczywistości ogromnym kominem, który sięga aż do pieczary i zapewne, jak się Barrick domyślał, odprowadza dym.

Suszarnia. Takie same mają Muskający Wodę w lagunie. Ale skąd suszarnie na Skale M'Helana? I jak ukrywają dym?

Jakby czytając w jego myślach, Rafe powiedział:

– Ogień jest rozpalany tylko w nocy. Wydostaje się na zewnątrz w dole wyspy – trzeba by się nieźle nakopać, żeby odkryć, skąd naprawdę się wydobywa. I tak ostatnimi czasy rzadko go rozpalają. To już tylko... jak to się mówi? Tradycja.

– Stara tradycja – dodała Saqri. – Tutaj twoi ludzie po raz pierwszy wielbili swojego pana, władcę wód.

Spojrzał na nią dziwnie, a jego twarz wyrażała zarówno zdziwienie, jak i wdzięczność.

– Nie miałem o tym pojęcia, pani. Jestem tylko rybakiem.

– Ale któregoś dnia zostaniesz wodzem, a ojciec dziewczyny o tym wie – powiedziała. – Dlatego jest dla ciebie taki surowy, Rafie z plemienia Kadłub-Trze-o-Piach.

Muskającemu Wodę opadła szczeka i już nic nie powiedział do momentu, gdy zacumował łódź i pomógł Saqri i Barrickowi wejść po drabinie na przystań.

– Popłynę po małych, kiedy będziecie rozmawiać z siostrami – poinformował, po czym zszedł z powrotem do łodzi.

Idąc u boku Saqri wąskim pomostem, który prowadził do długiej suszarni, Barrick poczuł, że ogarnia go dziwne uczucie, że wszystko to jest mu znajome, a zarazem zupełnie obce. Coś w nim rozpoznało to miejsce, rozpoznało jego moc, lecz inna jego część nie potrafiła pojąć, dlaczego ta zwykła szopa wywołuje w nim tak intensywne doznania. W jego odczuciu wydawała się stara jak Komnata Szachraja w mieście Sen, stara jak niektóre części Qul-na-Qar, ale mimo że drewno było zszarzałe i zniszczone, nie mogło mieć więcej jak sto lat – to zaledwie chwila w porównaniu z prawiekiem wielkiego Domu Ludzi, który w końcu był kiedyś domem boga.

W drzwiach długiej szopy stały dwie drobne pochylone postacie, dwie kobiety Muskających Wodę, które sprawiały wrażenie równie starych – albo starszych – niż sam budynek.

– Witaj, córko Kioy-a-pousa – powiedziała bardziej wyprostowana z kobiet. Podobnie jak siostra, miała zaledwie kilka kosmyków włosów na głowie, a jej skóra była pomarszczona jak wysuszone błoto, lecz spojrzenie miała bystre, o czym Barrick się przekonał, kiedy spojrzała na niego. – I ty, mały człowieku, synu Olina i Meriel, ciebie też witamy.

Powiedziano nam, że przybędziesz. Jakoś jest ciebie więcej, niż się wydaje, prawda? Czuję to. Jam Gulda, a to moja siostra Meve.

Barrick skinął głową na to dziwne powitanie, zaskoczony wspomnieniem imienia matki. Ale przecież siostry z pewnością były już na świecie, kiedy jego ojciec przywiózł nową narzeczoną z Brenlandii. Może nawet stały przy Bramie Bazyliszkowej i patrzyły, jak oblubienica przybywa z wianem i z całą świtą...

Co o tym wszystkim myślała młoda królowa Meriel? Ojciec zawsze przedstawiał ją dzieciom jako osobę pełną życia, która kochała proste, radosne zajęcia, jak śpiew, taniec czy jazdę konną. Czy zrobiłaby coś inaczej, gdyby wiedziała, jak mało życia jej zostało? Nie wyobrażał sobie, by mogła lepiej przeżyć swoje dni.

– Wielka królowo, czy przybyłaś, by poradzić się Łuski? – zwróciła się do Saqri kobieta o imieniu Gulda.

– *Jedna z płytek Srebrzystego Błysku* – wyszeptał Ognisty Kwiat. – *Lustro, które otwiera drzwi do śniącej krainy...*

Saqri pokręciła głową.

– Nie mam odwagi. Boję się wystawiać teraz na silne prądy. Zachowam w tajemnicy swoje myśli dotyczące przyszłości. Boję się, czego inni mogliby się dowiedzieć ode mnie, gdybym tutaj otworzyła się przed Łuską, tak daleko od mojej siedziby.

Gulda kiwnęła głową.

– Rzeczywiście, prądy są silne, a czasy dziwne. Wczorajszej nocy przemówił do nas wielki bóg. Mnie i siostrze zesłał sen o tym, że dzieci niebios wracają do Zamku Marchii Południowej, tak nazywamy wielki dom po drugiej stronie wody naprzeciwko Ramienia Egye-Vara. Nasz wielki ojciec, władca oceanu, śnił, że jeden z nieśmiertelnych znowu przemierzy ziemię i świat pogrąży się w ciemności.

– W ciemności – powtórzyła mniejsza i drobniejsza z sióstr.

Gulda skrzyżowała skórzaste ręce na piersi. Miała na sobie prostą skromną szatę.

– To był dobry sen pomimo strasznych rzeczy, o których mówił Egye-Var. Wydawał się taki jak kiedyś, gdy jako dzieci uczyłyśmy się słyszeć jego głos... nie tak dziwny i zagniewany jak niedawno.

– Niedawno – zawtórowała jej Meve.



– Powiedział, że byłby zadowolony, mogąc spać – mówiła dalej Gulda – ale coś go obudziło. Ktoś próbuje dopasować klucz do zamka.

Barrick nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Rozmowa o bogach przyniosła obłok cieni Kwiatu Ognia w jego umyśle, podobnych do nietoperzy, które zrywają się do lotu, wystraszone, dezorientowane, wpadając na siebie. Pamięć Qarów obejmowała czasy, gdy bogowie chodzili po ziemi, lecz nawet Ognisty Kwiat był tylko pamięcią Ludzi i nie potrafił wyjaśniać bogów ani ich tajemnic.

– Nie rozumiem – powiedział głośno.

– I nie zrozumiesz – rzekła Gulda. – Nie teraz. Ale nasz pan Egye-Var tak powiedział: Nie rozpaczajcie. Nie opuszczę moich dzieci, ani tych nowych, ani starych.

– Starych – powtórzyła cicho Meve.

– To wszystko, co mamy do powiedzenia, pani – rzekła jej siostra i skłoniła głowę. – Wszyscy Wygnańcy zrobią, co do nich należy. Myliliśmy się, w swoim strachu przyłączając się do Pyarina Gromowładnego i jego boskich sprzymierzeńców. Nawet Pan Morza żałuje tamtego podziału. Źle postąpiliśmy, odwracając się plecami do własnego plemienia. Lecz teraz przynajmniej umrzemy razem jako sprzymierzeńcy i rodzina. – Gulda uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając bezzębne dziąsła. – Albo... kto wie? Może mimo wszystko będziemy żyć.

Meve się roześmiała.

– Żyć.

Barrick nie do końca wiedział, co właściwie się dzieje.

– Czy one mówią, że Muskający Wodę będą walczyć razem z nami? Mają moc zdecydować o tym?

– My nie – odparła Gulda. – Ale nasz pan Egye-Var, władca zielonych wód. Nasz lud jeszcze raz stanie u boku rodziny.

– Jeszcze raz – zawtórowała jej Meve.

Saqri podeszła bliżej i stanęła przed Guldą i Meve. Jej blada twarz o ciemnych oczach wyrażała spokój i uprzejmość. W takich chwilach Barrick uważał ją za najpiękniejszą istotę, jaką kiedykolwiek widział.

– Nawet jeśli takie momenty są jedynymi zwycięstwami, jakie dała nam Długa Porażka, to i tak zwyciężyliśmy. – Wyciągnęła rękę i dotknęła czoł kobiet Muskających Wodę.

Meve westchnęła głośno.

– Żegnajcie, siostry.

Barrick odwrócił się, usłyszawszy cichy plusk. Jakby przywołana słowami królowej, podpłynęła łódź z Rafe'em przy wiosłach. Za nim na dziobie stało duże pudło. Kiedy łódka się zbliżyła, Barrick poczuł, że jego głowę wypełniają echa i strzępy znaczeń przekazanych głosami Ognistego Kwiatu...

*Nawet bogowie żałują wojny...*

*...Ocean nie żywi urazy...*

*W takim razie dlaczego pan zielonych wód zmienił swoją pieśń?*

...Barrick nagle zdał sobie sprawę, że wraca do domu, do Zamku Marchii Południowej.

Ale czy to naprawdę mój dom? Poza chwilami spędzonymi z Briony nigdy nie byłem tam szczęśliwy. Nigdy nie czułem się tak jak w Qul-na-Qar...

*Bijące serce Ludzi.*

*Odbudowane na kościach Srebrzystego Błysku i popiołach serca Kwiatu Świtu...*

*Nasz prastary dom, którego Ludzie mogą już nigdy nie zobaczyć... – szeptał chór.*

...a jednak Zamek Marchii Południowej zawsze był moim domem, pomyślał Barrick. Dlaczego więc teraz wydaje mi się taki obcy?

Dopiero gdy poczuł na ramieniu dotyk chłodnych palców Saqri, zorientował się, że staruszki Muskających Wodę zniknęły w suszarni. Rafe przycumował łódź na końcu przystani i czekał, aż Barrick i królowa do niej wrócą.

Kiedy zeszli po drabince, Barrick stwierdził, że pudło na dziobie stanowi coś w rodzaju powozu dla księcia Kociołdomusa i jego ludzi – może nawet całej populacji Dachowców Nadmorzan; mogło się tam mieścić nawet stu ludzików, wszyscy usadowieni na nisko umieszczonych listwach, które służyły za ławki, z dziećmi na rękach i z tobołkami z dobytkiem u stóp.

I tym razem, wchodząc do łodzi, Saqri pozwoliła Rafe'owi podać sobie rękę, z czego, jak się zdawało, młody Muskający Wodę był bardzo dumny. Barrick wgramolił się na pokład i usiadł obok królowej, trochę onieśmielony jej bliskością. Poczł jej delikatny zapach, woń kwiatów i cynamonu, a także ciemniejszą i mocniejszą nutę, gorzkawo-sosnową, podobną do aromatu świątynnych rodzynek.

Gładko wypłynęli z pieczary. Rafe wiosłował swobodnie i pewnie, a niespokojni Dachowcy starali się nie ulegać zbyt kołysaniu łodzi. Barrick zauważył, że słońce zsunęło się już nisko na niebie, i zastanawiał się, jak to możliwe, gdyż wydawało się, że spędzili u sióstr nie więcej niż godzinę. Zanim dotarli do północnego krańca Skały M'Helana, ostatni skrawek tarczy słońca zniknął za wzgórzami na zachód od Zamku Marchii Południowej. Zaczekali w płytkiej zatoczce, aż światło skurczyło się do rozjarzonej plamy za szczytami wzgórz, i dopiero wtedy wypłynęli na otwartą wodę.

Ciemność kłębiła się wokół nich niczym fałdy płaszcza. Ruiny Wieży Wilczego Kła błysnęły w gasnącym świetle i zaraz także pograżyły się w cieniu.

– *Ostatnia Godzina Przodka.* – Barrick usłyszał szept, który wybił się ponad chór szemrzących głosów Ognistego Kwiatu. – *Pomijając sny, nie widziałem go od dnia mojej pielgrzymki.*

– *Król Ynnir? To naprawdę ty?*

Głos płynął do niego odległy jak przeciwległy brzeg.

– *Przywołałeś mnie z powrotem, ludzkie dziecko. Mogłem jedynie...*

– Barrick poczuł przez moment, że coś na powrót składa się w całość, kawałek po kawałku – coś, co było szczęśliwsze właśnie w kawałkach. – *Jestem tutaj.*

Rzeczywiście, był silniejszy niż pozostałe głosy, bardziej zrozumiałe. Król był teraz we krwi i kościach Barricka.

– Wreszcie wracamy, kochany – powiedziała głośno Saqri, czym zaskoczyła Barricka, który dopiero po chwili się zorientował, że to nie do niego zwraca się królowa; w każdym razie nie bezpośrednio do niego.

– Wreszcie... i u końca.

– *Koniec jednej rzeczy jest początkiem innej* – odezwał się mimowolnie Barrick i choć to zmarły król mówił, nie zabrzmiało to tak,

jakby przejął jego głos, a resztę zachęcił do wyrażenia czegoś, co książkę sam by chciał powiedzieć, gdyby znalazł odpowiednie słowa.

Głosy Ognistego Kwiatu umilkły. Ściśnięci w pudle Dachowcy szeptali cichutko. Barrick długo słyszał tylko jednostajny, łagodny plusk wioseł, aż poczuł, że osuwa się w pomiędzy – ani tu i teraz, ani w żadnym innym czasie, jakby podróżowali między światami – co w pewnym sensie jest prawdą, pomyślał. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, skończyło się i zostało za nim. Wszystko, co ma się wydarzyć, leży przed nim. Czy zbliża się koniec świata, jak wielu zdaje się sądzić?

Być może. Tylko tyle wiedział.

Cichy dźwięk nasilił się, zrazu tak delikatny, że Barrick pomyślał, iż to tylko kolejna nuta w muzyce zatoki i ich podróży po jej wodach. Lecz nie był to zwykły szum fal, a egzotyczna falująca melodia. A potem usłyszał słowa albo też poczuł je w głowie – w tej chwili nie było różnicy.

*Jestem wszystkimi moimi matkami.*

*Jestem groźna! Jestem piękna!*

*Jestem też wszystkimi moimi córkami...*

Zdał sobie sprawę, że to Saqri śpiewa cichym czystym głosem, który dźwięczał jak kute srebro. Melodia wiła się i powtarzała bez końca, podobna do węża z ogonem w pysku.

*Jestem łabędziem na bliższym brzegu!*

*Jestem lampą, która oświecła drogę!*

*Jestem żelaznym ptakiem, który kończy to, co nie powinno zaistnieć!*

*Daj mi moją koronę!*

*Daj mi moją koronę!*

*Daj mi moją koronę!*

Jej głos brzmiał słodko i nisko, lecz nie kojąco – to nie była kołysanka. Raczej pieśń tak stara, że Barrick niemal czuł ją w kościach, każda nuta jak wiek, a każdy wiek inny, lecz zarazem podobny do

poprzedniego, płynęły cyklicznie, pojawiały się i cichły, aż czas zatoczył koło. I była to pieśń kobiety, pieśń wyrażająca dumę z przetrwania, triumfalna pieśń życia, które trwało pomimo niebezpieczeństw, pomimo przeszkód...

*Kiedy dni dobiegną końca,  
Kiedy noce rozbłyszczą szarością,  
Kiedy wszystko stanie przed bezimiennym, lękając się przemówić.  
Jestem wszystkimi moimi matkami!  
Jestem wszystkimi moimi córkami!  
Jestem tą, która śpiewa tę pieśń.  
Jestem lisem, który broni nory.  
Jestem tą, która potrafi pochwycić i zatrzymać każdy oddech,  
Aż sam czas zawróci.*

Niebawem Barrick już nie pamiętał, kiedy Saqri nie śpiewała – wydawało mu się, że zawsze kołysał się na tych falach, w ciemności, a słowa pieśni wiły się wokół niego, dotykały go, szeptały do niego.

*Jestem łabędziem na bliższym brzegu!  
Groźna! Piękna!  
Jestem lampą, która oświetla drogę!  
Ognistym pożeraczem cieni!  
Jestem żelaznym ptakiem, który kończy to, co nie powinno zaistnieć  
Strzeżcie się, gdy wyrzadzicie mi krzywdę.  
Jestem wszystkimi moimi matkami.  
Jestem każdym.  
Jestem umarłymi.  
Jestem żyjącymi, którzy jeszcze się nie narodzili.  
Jestem tą, którą kocha księżyc  
I której się lęka...*

Barrick zdał sobie sprawę, że stał się czymś, czym nie był nigdy wcześniej, i że wraca do domu, który już nie jest jego domem, jeśli w ogóle kiedykolwiek był. Nie było dla nich ratunku, a ciemność jedynie

wydobywała światło. Udawał się do domu, a Matka Wszystkiego śpiewała pod wschodzącym księżycem pieśń, która rozbrzmiewała bez końca powtarzającymi się frazami...

*Jestem wszystkimi moimi matkami.*

*Jestem groźna! Jestem piękna!*

*Jestem wszystkimi moimi córkami...*

CZEŚĆ DRUGA

**ŻÓŁW**

## Herezje

*Aristas okazał mu życzliwość i opowiadał o prawdziwych bogach, Trzech Braciach. Połączyły ich mocne więzy przyjaźni. Kiedy podczas sztormu na jeziorze Strivothos zatonął ich statek, Sierota pomógł Aristasowi dopłynąć do brzegu.*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Wioska wyglądała tak, jakby opuszczono ją co najmniej przed rokiem, co nie było do końca prawdą, jak niebawem miał się przekonać Theron pielgrzym.

Była samotna w zakolu rzeki, wzdłuż której podążał Theron, ponieważ drogi były kiepskie i zarośnięte, jakby dawno nikt tamtędy nie podróżował. W tej niedużej osadzie mogły mieszkać dwa tuziny ludzi, ale bez wątpienia mieszkańcy musieli dawno się stąd wynieść: jeżyny porastały gęsto ściany domów, a raczej konstrukcji z patyków posklejanych błotem. Trawa zarosła ścieżki i zwierzęce szlaki, które kiedyś prowadziły do głównej drogi, dlatego wydawało się, że te marne chatki wyrosły z ziemi bez ludzkiej pomocy, jak grzyby.

Dzień był szary i ponury od samego rana, deszcz padał co jakiś czas, ale Theron bardziej się martwił, gdy patrzył na horyzont. Wzmagał się wiatr – drzewa kładły się coraz niżej – a na północy zebrały się chmury podobne do sinoczarnych kopców, gotowe spłynąć na wzgórze i zalać potokami wody dolinę, którą podróżowali od dwóch dni, odkąd przekroczyli granicę Marchii Południowej.

– Chłopcze, idź i sprawdź, czy nie dałoby się przenocować w którejś z tych chat – zwrócił się do Lorgana. – Wystarczyłaby sucha podłoga.

Chłopak spojrział na swojego zakapturzonego pana, ale mężczyzna z rękami owiniętymi bandażami korzystał z okazji i odpoczywał na pieńku. Theron uznał niemal za cud, że ktoś tak słaby i schorowany



potrafi codziennie przejść taki kawał drogi, ale najwyraźniej obcemu coś dodawało sił w marszu do Marchii Południowej, do której, zdaniem Theron, mieli marne szanse dotrzeć. W miarę jak zagłębiali się w te dziwne opustoszałe tereny, nabierał coraz większego przekonania, że powinni zakończyć podróż w jednym z miasteczek, które wybudowano na brzegu Zatoki Brenna. Powinni tam dotrzeć w ciągu kilku dni. Jeśli jego dziwny towarzysz naprawdę zamierza pchać się do zamku objętego wojenną pożogą, będzie musiał zrobić to sam.

– No, idź – ponaglił chłopaka. – Znajdź nam miejsce na nocleg.

Lorgan wciąż stał z niepewną miną.

– A co to za bulwy tam pod okapami? – zapytał.

Theron spojrzał uważniej na najbliższy opuszczony dom.

– To? Pewnie gniazda os, chociaż żadnych os nie widzę, a ty? Jak nie będziesz ich ruszał, to nic ci nie zrobią. A teraz idź i poszukaj jakiegoś suchego miejsca.

Chłopak ruszył na palcach, co rozdrażniło Theron. Wystarczyło, że podróżowali przez te nie wiedzieć dlaczego zapomniane przez bogów i porzucone przez ludzi ziemie. Widok chłopaka, który się skrada, jakby spodziewał się, że w każdej chwili spomiędzy drzew może wyskoczyć na nich ogr czy inna straszna bestia, pogarszał sytuację. Teraz i Theron czuł się nieswojo.

– Na miłość wyroczni, ruszajże się!

Lorgan zajrzał do domu, nie dotykając niczego, jakby samo drewno było trujące. Szybko się wyprostował i pokręcił głową, a potem przeszedł do następnej chaty i zatrzymał się przed wejściem. Po obu stronach drzwi pod okapem wisiały dziwne szarawe bulwy podobne do serów. Chłopak zajrzał za próg, wciąż zachowując ostrożność, by niczego nie dotknąć, i szybko się wycofał, kręcąc głową.

– Błoto – powiedział cicho, lecz w jego głosie zabrzmiała buntownicza nutka, jakby się spodziewał, że Theron mu zaprzeczy. Pielgrzym jednak był zmęczony i myślał tylko o tym, żeby się gdzieś zatrzymać i ogrzać przy ogniu przesiąknięte wilgocią ciało. Musi tylko dostarczyć tego zakapturzonego głupca jak najbliżej Zamku Marchii Południowej, a potem weźmie pieniądze i wróci do domu. I już nigdy nie będzie musiał włóczyć się po nocy w deszczu. Już nigdy nie będzie

musiał nasłuchiwać wycia wilków i zastanawiać się, czy może zamknąć oczy. Ma cały worek pieniędzy tego szaleńca, dość, żeby kupić majątek z inwentarzem gdzieś w południowym Summerfield przy granicy z Brenn. Ba, mając tyle pieniędzy, mógłby kupić sobie stanowisko sędziego, a nawet jakiś pomniejszy tytuł! Theron, baron Wzgórz Stefaniańskich! Dla czegoś takiego warto było trochę się pomęczyć!

Jego rozmyślania przerwał przeraźliwy krzyk chłopaka, który odskoczył od progu chaty, machając rękoma, a potem, ku zdumieniu Theron, zaczął się unosić w powietrze. Pielgrzym przyglądał się tylko przez chwilę, ponieważ zaraz poczuł bolesne ukłucie w policzek, a potem w grzbiet dłoni i w ramię.

Osy... – pomyślał nieco skonfundowany, młóćąc rękoma i próbując odpędzić niewidoczne owady. A skonfundowany był dlatego, że wiedział, iż nie ma na tym świecie takich os, które byłyby w stanie podrzucić chłopaka na kilka szerokości dłoni. Potem już nie miał czasu myśleć o czymkolwiek.

Poczuł, że coś owija się wokół jego ramienia, którym próbował odpędzić kąsające owady. Czyżby zaatakowały ich jakieś pająki? Ale włókna były mocniejsze niż nici pajęczyny. Zerwał jedno i zaraz poczuł, że wokół niego owija się drugie i następne. Ale nadal nie widział napastników, choć wciąż czuł ukłucia na rękach i nogach. Ryknął z bólu, usiłując uwolnić się od krępujących go więzów, czymkolwiek były. Słyszał przeraźliwe krzyki chłopaka, które mobilizowały go do walki. Udało mu się zerwać kilkanaście lepkich nici, co pozwoliło mu odsunąć się od chat. Nigdzie nie widział swojego klienta, zakapturzonego pielgrzyma. Otarł dłonią obolałą twarz, wyzywając pod nosem od tchórza swojego towarzysza. Kiedy zabrał rękę od twarzy, poczuł w niej coś. Rozchylił palce, ale nie zobaczył zmiążdżonego owada, jak się spodziewał, lecz złamaną malutką strzałę albo włócznię, której grot lśnił od krwi.

Theron spojrzał w górę i zobaczył, że pod okapem najbliższej chaty aż się roi od malutkich ludzików. Chłopakowi udało się rozerwać nici, które go krępowały, i upadł na ziemię, nadal wijąc się i krzycząc, co oznaczało, że wciąż jest atakowany. Theron już nawet nie przeklinał, sparaliżowany przesadnym strachem. Wahał się przez chwilę, wiedząc,

że być może traci jedyną szansę ucieczki przed tymi demonicznymi istotami, które na jego oczach gromadnie spuszczały się po cieniutkich linach, a potem wspinały na chłopaka, próbując związać go trochę grubszymi sznurami i unieruchomić. Bogowie wiedzieli, jaki los spotkałby to biedne dziecko, gdyby je schwytali!

Theron na moment poddał się chęci ucieczki, lecz zaraz się opamiętał. Nie mógł uciec i zostawić chłopaka na pastwę losu. Z okrzykiem na ustach podbiegł do Lorgana i spróbował go podnieść. Malutcy ludzie dźgali mu dłonie, kiedy przewracał chłopca na bok, zrzucając z niego wielu napastników i miażdżąc innych. Poczawszy serię ukłuć na szyi i policzku, krzyknął z bólu. Kiedy poklepał dłonią bolące miejsca, poczuł, że niewidoczne sznury owijają się wokół jego głowy i przyciskają mu dłoń do jej boku. Z unieruchomioną ręką stracił równowagę i przewrócił się na chłopaka. Przez chwilę leżał bezradnie i patrzył, jak biegną ku niemu malutkie demony o groteskowych twarzach podobnych do świątecznych masek, popiskując i bucząc głosami niemal zbyt wysokimi, by je usłyszeć. Chwilę później były już przy nim dziesiątki, a potem setki. Próbował strącić je z siebie, ale miał tylko jedną wolną rękę, którą niebawem też mu owinęli swoimi sznurami. Lorgan zakwilił i poruszył się pod nim.

A potem niespodziewanie coś go grzmotnęło i zrzuciło z chłopaka, aż potoczył się po trawie pod ścianę najbliższego domu. W pierwszej chwili Theron widział tylko okap dachu nad sobą i ludziki opuszczające się ze swoich dziwnych gniazd. Wciąż miał rękę przywiązaną do głowy i nagle wyobraził sobie, że malutkie istoty wpadną mu prosto do ust i się udusi. Przerażony obrócił się na bok i dźwignął niezgrabnie na kolana, a gdy podniósł głowę, zobaczył, jak bezimienny pielgrzym bierze zamach i strąca długą gałęzią podwieszoną pod dachem gniazda. Ich duże kawałki z miękkiego, podobnego do kory budulca spadły na ziemię wraz z wierzgającymi istotkami.

Zakapturzony mężczyzna wciąż wymachiwał grubą gałęzią, lecz teraz walił nią w uciekających w trawie ludzików i rozgniatał kawałki gniazd, miażdżąc kolejnych ich mieszkańców. Theron bardziej wyczuł, niż usłyszał inną nutę w piskliwych głosach malutkich napastników,

którzy krzyczeli przerażeni, widząc, jak bezimienny pielgrzym atakuje kolejne gniazda.

Wreszcie pielgrzymowi udało się rozerwać sznury krępujące mu rękę – zobaczył zwisające z palców cieniutkie liny niewiele grubsze niż pajęczce nici – i wstał, postępując, gdyż wciąż kąsały go małe strzały. Z głową nisko opuszczoną pobiegł do chłopaka i dźwignąwszy go, poniósł daleko od przekłętej wioski najszybciej, jak potrafił. Rozdeptał po drodze kilku ludzików, ale ani trochę tego nie żałował.

Zabrawszy tyle bagażu, ile mógł, Theron ruszył dalej, ciągnąc za sobą rzeczy po ziemi. Dopiero gdy wyszedł z zakola rzeki i nie widział już chat, zatrzymał się i opuścił chłopca na ziemię, po czym zdyszany sam osunął się na trawę.

\*\*\*

Zanim wrócił zakapturzony mężczyzna, pielgrzym zdażył znaleźć lepsze, bardziej osłonięte miejsce i rozpałił ognisko. Bezimienny usiadł przy ogniu bez słowa, a zrobił to tak ostrożnie, że trudno było uwierzyć, iż niecałą godzinę wcześniej dziesiątkami mordował malutkie gobliny. Przyjął od pielgrzyma kawałek suszonego mięsa i jadł, trzymając w zabandażowanych dłoniach, na których widniały świeże plamy krwi. Theron się domyślał, że raczej nie jest to krew mężczyzny.

Lorgan gorączkował przez cały wieczór, co skłoniło Theroną do podejrzeń, że może niektóre malutkie strzały były zatrute, lecz z drugiej strony on sam odczuwał jedynie ogromne znużenie, jakie ogarnia człowieka, kiedy wychodzi zwycięsko z walki o życie. Lorgan długo jęczał i rzucał się, lecz około północy przemógł gorączkę i resztę nocy przespał spokojnie.

Theron odetchnął z ulgą, kiedy rano zobaczył chłopaka w całkiem dobrym stanie. Jego twarz i dłonie pokrywały liczne pręgi i punktowe rany, a w wielu wciąż tkwiły kawałki albo nawet całe malutkie strzały, więc Theron musiał poświęcić znaczną część poranka na oczyszczenie ran chłopaka, zanim mógł się zająć sobą. Nie miał wątpliwości, że nadszedł czas, by zawrócić. Nie spodziewał się, że dojrzeje do tej decyzji tak szybko, ale nie chciał ryzykować życia swojego czy chłopaka,

zapuszczając się dalej w głąb kraju, który najwyraźniej opanowało szaleństwo i najgorszy rodzaj czarnej magii.

Kiedy Theron pakował do torby ostatnie przedmioty z obozowiska, chłopak, który właśnie skończył rozmawiać z zakapturzonym mężczyzną, podszedł do niego.

– On chce wiedzieć, kiedy dotrzemy do Zamku Marchii Południowej. Uważa, że jesteśmy już blisko.

– Kiedy dotrzemy? My? – prychnął pielgrzym. – Nie dotrzemy do zamku. Zawracamy.

Chłopak posłał mu dziwne spojrzenie, ale posłusznie odwrócił się do swojego pana, by wysłuchać, co ten ma do powiedzenia.

– Mówi, że to już niedaleko, w najgorszym wypadku kilka dni drogi, jest tego pewny. Mówi też, że bogowie nie mają nic przeciwko naszej podróży, bo inaczej zesłaliby nam gorszy los.

Zdumiony Theron zaśmiał się.

– Ach! Zatem, jeśli pójdziemy dalej, może będziemy mieli okazję się przekonać, co bogowie rozumieją przez los gorszy niż zakłucie przez tysiąc igieł, a potem upieczenie i zjedzenie przez malutkie gobliny? Przykro mi, ale nie jestem aż tak ciekawy.

Po kolejnej niemal niemej wymianie zdań chłopak zapytał:

– W takim razie rozstanieś się z nami?

– Jeśli masz na myśli c i e b i e, to odpowiem nie. Może nie jestem najlepszym człowiekiem i często zapominam, że zarabiam na życie dzięki miłości samych bogów, ale nie, nie zostawię cię, żebyś szedł dalej z tym szaleńcem, narażając się na niebezpieczeństwo i śmierć. A jeśli on nie pozwoli ci odejść, będzie musiał ze mną walczyć. – Theron widział zakapturzonego mężczyznę w akcji i pomyślał, że może nie być łatwo.

Teraz chłopak przyglądał mu się długą chwilę, a potem się odwrócił, żeby wysłuchać mężczyzny. Patrząc na Lorgana, pielgrzym wysupłał zza kaftana sakiewkę. Ogarnęło go dziwne wrażenie, poczuł, że nadszedł czas, by zrobić to, co należy, i tylko to. Działy się dziwne rzeczy zarówno w całym szerokim świecie, jak i między nim a tym tajemniczym mężczyzną. Niemal odbierając mu życie, bogowie przypomnieli Theronowi, że zawsze są obecni. Nigdy już o tym nie zapomni.

– Posłuchaj, chłopcze – powiedział. – Podejdź tu i weź tę sakiewkę.

– On mówi, że... – zaczął Lorgan.

– Nie obchodzi mnie, co on mówi. Nie dotrzymałem słowa: nie zaprowadziłem was do Zamku Marchii Południowej, a zatem nie należy mi się zapłata. Nieważne. Wystarczyłaby już ta złota moneta, którą mi dał na samym początku, kiedy się przyłączył do naszej pielgrzymki. Jeśli się zgodzi, to uszczknę z tego tutaj monetę lub dwie na pokrycie kosztów i za wysiłek przyprowadzenia go tutaj, a jeśli jest na tyle szalony, by iść dalej bez nas, to przysięgam, że znajdę ci dobry dom, jeśli sam nie będę umiał ci go zapewnić. Ale my dalej nie idziemy.

Lorgan otworzył szeroko oczy. Wydawało się, że zaraz się rozplacze, chociaż trudno było coś wyczytać z jego brudnej i opuchniętej twarzy. Wziął sakiewkę i powoli, jakby odprawiał jakiś rytuał, podał ją zakapturzonemu mężczyźnie, który odebrał ją z taką samą uważnością.

Wszyscy trzej stali nieruchomo przez wiele uderzeń serca, jak zaczarowani. Wreszcie ciszę przerwało coraz głośniejsze wołanie sójki, jakby zdjęła zaklęcie.

Bezimienny mężczyzna wstał, trzymając głowę opuszczoną, jak to miał w zwyczaju. Mimo że od miesiąca podróżowali razem, Theron ani razu nie widział jego twarzy czy choćby skrawka skóry. Mężczyzna powiedział coś cicho, tak że tylko chłopak go usłyszał.

– Mówi, że to nieważne – powtórzył Lorgan. – On już nie potrzebuje towarzystwa żywych ludzi. Dziękuje ci za uczciwość. Kiedy umrzesz i staniesz przed sądem, tak jak on, jego zdaniem otrzymasz łagodny wyrok.

Po tych słowach mężczyzna w postrzępionej brudnej szacie upuścił sakiewkę na ziemię, odwrócił się i ruszył przed siebie na północ, z powrotem ku wiosce, gdzie niemal zginęli, i dalej, do Zamku Marchii Południowej, który znajdował się gdzieś tam za doliną i wzgórzami.

Chłopak cicho zapłakał. Kiedy mężczyzna zniknął między drzewami, Theron pokręcił głową i zrobił kilka kroków do przodu. Po chwili wahania podniósł z ziemi sakiewkę pełną brzęczących monet i schował ją pod kaftanem. Wydawało się, że teraz pieniądze już nie mają znaczenia – w tej chwili nic go nie miało – ale wiedział, że przyjdzie taki dzień, kiedy się z nich ucieszy. Przynajmniej miał pewność, że mały

Lorgan już nie będzie musiał żyć jak żebrak na ulicach Ocastle ani nigdzie indziej.

Dopiero gdy po raz kolejny zaskrzeczała sójka i odpowiedziało jej inne wołanie z głębi lasu, Theron pielgrzym otrząsnął się z dziwnego letargu i razem z chłopcem wyruszył na południe, z powrotem ku ziemiom, gdzie rzeczy miały sens.

\*\*\*

– Nie, głupcze, połóż dłoń na drewnie. A teraz rozłóż palce.

Tinwright wykonał polecenie, choć nie bez trudu, ponieważ drżało mu całe ramię.

– Otwórz oczy, poeto. – Ton głosu Hendona Tolly’ego mówił wyraźnie, że nie jest to prośba. – Psujesz całą zabawę, gdy stoisz z oczami zamkniętymi i załzawionymi jak dzieciak czekający na lewatywę. – Przysunął ostrze noża do jego ucha.

Nie licząc straży lorda protektora, byli sami w komnacie zwanej Królewskim Biurem, w której przez długie lata urzędował minister skarbu. Na ścianach, wyłożonych boazerią ze złocistej jodły, widniały liczne plamy po jedzeniu, którym rzucał lord protektor, i złowieszcze dziury po ostrzu sztyletu.

– A teraz patrz – rzekł Tolly i rzucił nożem.

Mimo że Tinwright lekko drgnął, nie został ranny, a ostrze wbiło się głęboko w drewno między palcem wskazującym a środkowym jego prawej dłoni.

Hendon Tolly rzucił drugim nożem, który wyjął nie wiadomo skąd.

– Zostań!

Tym razem ostrze wgryzło się w boazerię trochę dalej od pierwszego i sterczało, drgając, tuż przy opuszcze kciuka poety.

Tolly uśmiechnął się drwiąco.

– Na Węzeł Kerniosa, tylko spójrz na siebie! Błady jak ściana i trzęsie się jak osika! W końcu po co poecie wszystkie palce?

Tinwright głośno przełknął ślinę. Hendon Tolly wyraźnie oczekiwał odpowiedzi.

– Do pisania...? Pamiętaj, panie, że chciałeś, żebym napisał o twoim triumfie.

– O triumfie, tak. Tylko że ten popaprany autarcha próbuje mnie go pozbawić. – Niespodziewanie trzeci sztylet błysnął tak blisko twarzy Matta Tinwrighta, że poeta poczuł na skórze pęd powietrza przelatującego ostrza, które utkwilo w ścianie tuż przy jego głowie. Hendon Tolly wstał. – Był przekonany, że mam ten... jak on powiedział? „Boży Kamień”. Może więc rzeczywiście jest on niezbędny do tego przedsięwzięcia. – Lord protektor pokazał palcem poetę. – Ty... ty mi go znajdziesz.

Matt Tinwright był kompletnie oszołomiony. Czuł pieczenie kciuka muśniętego ostrzem sztyletu lorda protektora.

– Ja, panie? Nie rozumiem.

Tolly spojrzał na strażników stojących w drugim końcu sali, którzy bardzo się starali wypełniać swój obowiązek, nie patrząc na niego, żeby nie zwracać na siebie uwagi, ponieważ wiedzieli, że ci, na których skupia się uwaga lorda protektora, często źle kończą.

– Przejrzysz książki i zwoje Okrosa i dowiesz się czegoś o tym Bożym Kamieniu, którego potrzebuje autarcha. A potem go dla mnie zdobędziesz.

– Ale, panie, ja nie mam pojęcia o takich rzeczach!

– A ja niby mam? – Tolly zgromił go spojrzeniem. – Na kolana, poeto. Mam cię już dość.

– Panie...

– Na kolana!

Matt Tinwright przycisnął czoło do zimnej podłogi w Królewskim Biurze. Usłyszał kroki zbliżającego się lorda protektora, a potem dźwięk ostrza wrywanego z boazerii. Chwilę później coś zimnego i ostrego musnęło miejsce, w którym jego lewe ucho łączyło się z głową.

– Byłoby dziecinnie łatwo odciąć ci ucho, poeto – powiedział Tolly słodkim głosem, jakby przemawiał do dziecka. – Albo oba. Tylko jaki byłby z ciebie wtedy poeta? Głuchy?

Matt Tinwright darował sobie uwagę, że być może wciąż by słyszał, nawet pozbawiony uszu. Przestał oddychać, gdy ostrze połaskotało go po wrażliwej skórze.



– Ja mam co innego do roboty, poeto. Ty potrafisz czytać i nie jesteś taki głupi. Z pewnością zrozumiesz paplaninę tych starych uczonych głupców. Dowiedz się, o co chodziło autarsze. I gdzie jest kamień. – Kiedy ostrze nacięło jego skórę, Tinwright mocno zacisnął usta, żeby nie krzyknąć. – Bo inaczej będzie źle, i to nie tylko z tobą. Gdyby przyszło ci do głowy uciec przede mną i gdzieś się schować, to wiedz, że mam na oku dom twojej siostry. Pewnie i wasza matka tam mieszka. Byłoby ci smutno, gdyby obie zostały spalone na Rynku za czary. – Tolly się roześmiał. – Nie, chyba trzeba by je spalić gdzieś w twierdzy wewnętrznej, jak sądzisz? Teraz na Rynek spada za dużo kul armatnich. Nie chciałbym, żeby autarcha mnie wyręczył...

Matt Tinwright słuchał przerażony nie tyle myślą o tym, że jego matka i siostra zostałyby spalone jako czarownice – chociaż przynajmniej siostra nie zrobiła niczego, by zasłużyć na taki los – ile tym, że gdyby ludzie Tolly’ego weszli do ich domu, znaleźliby tam Elan M’Cory, a to by oznaczało niechybny koniec dla niej i dla niego.

– Oczywiście, panie – wydusił wreszcie. – Zrobię, co każesz. Nie zwracaj sobie głowy mną ani moją rodziną.

– Dobry poeta. – Tinwright poczuł, że zimne ostrze odsuwa się od jego głowy. Hendon Tolly odwrócił się i ruszył do swojego krzesła, a Matt znowu zaczął swobodnie oddychać. – Później zaprowadzę cię do pokoi Okrosa, są tam chyba jeszcze jego książki. Ale teraz mam inny pomysł. Przyłóż rękę do ściany. – Usiadł na krześle, wyjął z kieszeni chusteczkę i przewiązał sobie oczy. – Chyba dam radę, nie patrząc, ale lepiej coś mów, tak na wszelki wypadek, to pomoże mi wycelować. Zaczynaj deklamować, poeto. – Podniósł nóż.

Tym razem Matt Tinwright zamknął oczy. Skoro lord protektor nie widział, to i on nie chciał patrzeć.

\*\*\*

Godzinę później Tinwright czekał przed prywatnym pokojem Avina Brone’a, wciąż zdumiony, że ma wszystkie palce. Bardzo się niecierpliwił, ponieważ Tolly spuścił go ze smyczy po raz pierwszy od

dekanoksu i poeta miał wiele rzeczy do zrobienia, a wizyta u Avina Brone'a była tylko jedną z nich.

Wychodząc od Tolly'ego, Tinwright nie zauważył, żeby ktoś za nim szedł, mimo to na wszelki wypadek opuścił rezydencję, a potem wrócił do niej mniejszym wejściem, które ginęło w labiryncie małych pokoi wydzielanych stopniowo przez ostatnie dwieście lat z ogromnego parteru starej Kaplicy Królewskiej. Ostatnio założono tam szkołę dla synów (i kilku córek) szlachetnie urodzonych. Podczas oblężenia obrońcy zamku wycofali się do twierdzy wewnętrznej, a cały labirynt pomieszczeń objął w posiadanie lord konstabl ze swoimi giermkami i żołnierzami. Brone, jeszcze miesiąc temu niemal wygnaniec, otrzymał skromne, lecz własne komnaty.

Drzwi pilnowali ludzie o surowych obliczach w barwach herbowych Eddonów – Tinwright od razu się zorientował, że to nie jest zaciszny kącik. Poeta musiał przyznać, że pomimo irytacji i grozy, jakimi napębiała go osoba Brone'a, lord konstabl budził w nim także respekt. Tak niedawno był praktycznie uwięziony w swoim domu w Landsend, wyszydzany przez ludzi z dworu. I oto teraz powrócił w samym środku zawieruchy i zamieszkał tuż obok Berkana Hooda – człowieka, który go zastąpił! Brone wymanewrował wszystkich. Zważywszy na to, że Olin był nieobecny, a kwiat rycerstwa Królestwa Pogranicza zginął w ostatnim roku, nie było drugiego równie oddanego królestwu – bo na pewno nie Hendon Tolly.

– Na trzech dobrotliwych braci, gdzieś ty się podziewał, mały poeto? – odezwał się olbrzym, kiedy wreszcie wprowadzono do niego Tinwrighta. – Już wysłałem za tobą Percha i Chaffy'ego, żeby ci połamali nogi.

– Hendon Tolly nie wypuszczał mnie od siebie przez ostatni dekanox albo i dłużej.

Brone tylko prychnął i nawet nie poczęstował Tinwrighta winem zresztą nigdy tego nie robił – lecz wydawało się, że pomimo swojej tradycyjnej obcesowości ucieszył się, widząc młodego poetę całego i zdrowego.

– W takim razie mogę odesłać straż na dłużej? – rzucił hrabia. Rozsiadł się wygodnie z nogą opartą na poduszce do klęczenia. –

Opowiedz mi wszystko, co widziałeś i słyszałeś, poeto. Daj mi coś przydatnego, a coś ci skapnie.

Skapnie? Będę się cieszył, jeśli wyjdę z tego żywy, pomyślał Tinwright, ale tego nie powiedział – miał parę pomysłów na to, jak wykorzystać kilka monet, obojętnie z jakiego metalu. Starał się dokładnie zrelacjonować Brone'owi wszystko, co się wydarzyło, począwszy od dziwnego zajścia na cmentarzu i trupa Okrosa w krypcie Eddonów, a skończywszy na tym, co zapamiętał z codziennych kontaktów z Hendonem Tollym. Był zaledwie w połowie i właśnie skończył nieco nieporadną relację ze spotkania lorda protektora z autarchą, gdy starzec zrobił coś, czym zupełnie zaskoczył poeę. Brone uniósł dłoń, przerywając mu w pół zdania, i przywołał giermka.

– Oyler, przynieś coś do jedzenia mistrzowi Tinwrightowi – nakazał chłopcu o brudnej twarzy. – Tylko żeby to nie były jakieś zimne resztki, ty mały diable. Znajdź coś ciepłego.

Chłopak wybiegł z pokoju, a Tinwright, który zastanawiał się, czy aby nie śni, zobaczył, jak Brone podnosi dzban z winem z za swojego krzesła – stękając przy tym i przeklinając pod nosem – i nalewa sobie i jemu. Rzecz niesłychana!

– Jak już sobie trochę podjesz – marnie wyglądasz, chłopcze – opowiesz mi o spotkaniu z autarchą jeszcze raz, powoli, tak żebym mógł wszystko zapisać. A teraz się napij. – Brone przyglądał się Tinwrightowi spod nastroszonych brwi, jakby to poeta dziwnie się zachowywał. – Posilając się, możesz mi opowiedzieć, co jeszcze się wydarzyło. – Lord konstabl pokręcił głową. – A zatem tak się rzeczy mają z Okrosem? Jego rany nie wskazywały na to, że przygniotła go ściana. Tylko Trzej wiedzą, ile murów zburzono, odkąd tamci wytoczyli swoje armaty, i ilu martwych i umierających wyciągnęliśmy spod gruzów. Poza tym nigdzie nie znaleziono jego ramienia. Dla mnie to nie miało sensu – morderstwo, tego byłem pewny, ale żeby w taki sposób oderwać rękę, równiutko jak u rzeźnika?

\*\*\*

Tinwright siedział u Brone'a jeszcze dobrą godzinę albo nawet dłużej. Hrabia zadawał pytania, po których poeta czasem musiał zmienić coś, co powiedział wcześniej, wtedy Brone wykreślał poprzednią wersję, klnąc siarczyście pod nosem, i pracowicie zapisywał jeszcze raz.

Kiedy przesłuchanie dobiegło końca, Brone podał Tinwrightowi kilka sposobów na dostarczenie mu listu w razie nagłej potrzeby. A na sam koniec tego niesamowitego spotkania wyciągnął rękę i uściśnął poecie dłoń.

– Dobrze się spisałeś – rzekł. – Dałeś mi do myślenia. Postaraj się przeżyć. Straciłbym cenne źródło informacji, gdyby Tolly poderżnął ci gardło.

Ostatnie słowa bardziej pasowały do Brone'a, jakiego Matt znał, co sprawiło, że cała sytuacja wydała mu się jeszcze bardziej niesamowita. Tinwright doszedł do wniosku, że hrabia nie oszalał, a po prostu jest z niego zadowolony.

Po rozstaniu z Brone'em Tinwright poczuł przemożną potrzebę zobaczenia Elan, lecz skoro Hendon wiedział, gdzie mieszka jego siostra, to Matt postąpiłby nieostrożnie, zwracając uwagę szpiegów także na tamto miejsce. Ponieważ choć raz nie był głodny, uznał, że wykorzysta jakże rzadkie chwile dobrego samopoczucia i zabierze się do pracy, którą mu wyznaczono.

Pokoje Okrosa także znajdowały się w rezydencji, zaledwie kilka korytarzy dalej od dawnych komnat królewskich, które zajął Hendon Tolly. Przed drzwiami do pokoi Okrosa stał strażnik z kwaśną miną i kluczem zawieszonym na łańcuchu na szyi, ale gdy zobaczył pismo z pieczęcią Hendona Tolly'ego, od razu się wyprostował. Otworzył drzwi i zamierzał towarzyszyć Tinwrightowi w inspekcji pomieszczeń, lecz poeta go powstrzymał.

– Muszę tam wejść sam. „Nie wystarczy patrzeć oczyma ciała, muszę też zobaczyć wszystko oczyma duszy, bo inaczej będę jak ślepiec” – dodał, cytując kracjańskiego barda Tyrona.

Spojrzenie strażnika sugerowało, że jego zdaniem recytowanie poezji jest czymś podejrzanym nawet w normalnych czasach, ale ostatecznie zgodził się pozostać na zewnątrz.

Tolly powiedział Tinwrightowi, że pokoje Dioketiana Okrosa pozostały mniej więcej w takim stanie, w jakim się znajdowały w chwili jego śmierci. Już w środku poeta uznał, że medyk był bałaganiarzem. Wszędzie panował chaos, książki i papiery zakrywały każdy skrawek powierzchni, także na podłodze stały kosze wypełnione różnymi dokumentami. Tinwright podejrzewał, że bałagan częściowo powstał już po śmierci medyka i że niejedna osoba przetrząsnęła jego pokoje w poszukiwaniu tajemniczych rzeczy czy bogactw, które Okros mógł ukryć. Może nawet zaglądał tam strażnik stojący za drzwiami. Poeta wiedział, że sam Hendon Tolly w noc śmierci Okrosa zabrał stamtąd wiele książek i artefaktów, i że on będzie mógł je obejrzeć tylko w obecności lorda protektora. Tak więc teraz miał jedyną okazję, by się przekonać, czy Okros zostawił jeszcze coś interesującego.

Książki wydawały się podzielone na zwykłe i teksty ezoteryczne dotyczące głównie historii i sztuk wróżebnych. Jedyną rzeczą, która zwróciła jego uwagę, był wolumin zatytułowany *Agonia prawdy wyrzeczonej*. Sama książka była mu obca, za to imię autora, Rhantys z Kalabrii, brzmiało znajomo, jako że słyszał o tym człowieku dziwne rzeczy. Tinwright zdjął książkę z półki, a potem zaczął przeglądać różne zakamarki, jak wnętrza mebli, w poszukiwaniu ukrytych szuflad, a nawet odsunął kilka szafek, by sprawdzić, czy nie ma za nimi jakichś skrytek, niczego jednak nie znalazł. Kiedy przysuwał ostatni mebel z powrotem do ściany, zauważył coś niezwykłego. W górnym rogu szafki pokrytej grubą warstwą kurzu widniały dziwne ślady, które bardzo przypominały odciski malutkich ludzkich stóp.

Uznał, że to złudzenie, że w rzeczywistości są to ślady palców kogoś, kto tak jak on przesunął szafkę. Z drugiej strony trudno było, patrząc na te ślady, nawet jeśli częściowo zamazane, nie wyobrazić sobie ludzkiej istoty wielkości klamerki do bielizny, która pozostawiła je tam, tak jak się zostawia ślady na śniegu.

Wychodząc, Tinwright musiał odbyć długą i bardzo irytującą dyskusję ze strażnikiem na temat tego, czy wolno mu cokolwiek wynieść z pokoju, ostatecznie przeważył jego tymczasowy autorytet posłańca lorda protektora i strażnik ustąpił z ponurą miną.

Korzystając z nieoczekiwanej wolności, Matt Tinwright postanowił trzymać się jak najdalej od Hendona Tolly'ego, tak więc przeszedł przez rezydencję i udał się do pomieszczeń służby blisko kuchni, gdzie od dawna dzielił kwaterę z Zagadką.

Błazen leżał na prycy, nie tyle uśpiony, ile pijany, ale przesunął się trochę, by zrobić miejsce dla Tinwrighta.

– Nie, nie będę się kładł – powiedział poeta do starca. – Mam sporo do czytania.

– Dawno cię nie widziałem – rzekł Zagadka. – Martwiłem się o ciebie.

– Cały czas usługiwałem lordowi protektorowi.

Zagadka usiadł i otworzył szerzej oczy.

– Naprawdę? Ale z ciebie szczęściarz!

Tinwright przewrócił oczami, lecz uznał, że błazen i tak nie zrozumie, nawet jeśli wyzna mu prawdę.

– Pewnie tak. Nie chcę ci przeszkadzać. Po prostu szukałem miejsca, gdzie mógłbym w spokoju poczytać.

Błazen nie rozumiał aluzji i mówił dalej:

– Wiesz, że lady M'Ardall zaprosiła mnie do swojego domu w Helmingsea, żebym zabawił jej przyjaciół i rodzinę? Gdy tylko skończy się oblężenie, zawiozą mnie tam powozem!

– Cudownie! – Tinwright otworzył księgę Rhantysa, próbując nie zwracać uwagi na błazna, który zrezygnował ze snu i zaczął opowiadać o wszystkich interesujących rzeczach, jakie mu się przytrafiły w ostatnich dniach – naturalnie interesujących dla niego.

– ...oczywiście Berkan Hood powiedział, że nie chce słyszeć o żadnych wyjazdach, bo w końcu toczy się wojna. Matty, widziałeś się ostatnio z lordem konstabłem? Sprawuje swój urząd od niecałego roku... a Brone? Był lordem konstabłem przez dwanaście lat? A już wygląda jak ktoś, kto słyszy w nocy Czarnego Ogara, blady, mizerny, mocno się postarzał...

– Wybacz, Zagadko, ale muszę to przeczytać. – Tinwright wpatrywał się w tekst od jakiegoś czasu, ale nie rozumiał ani słowa, mimo że był napisany w całkiem współczesnej hierosolinie. – Połóż się teraz i pogadamy rano.

– Och! Och... jasne. – Błazen posłał mu spojrzenie dziecka, które niesłusznie dostało klapsa. – Już będę cicho. Kiedy będziesz pracował.

– Po prostu lord Tolly skróci mnie o głowę, jeśli...

– Oczywiście. – Zagadka machnął ręką. – Nieważne. Pójdę spać.

Opadł na pryczę i leżał sztywny, jakby kij połknął.

Tinwright westchnął. Wiedział, że został pokonany – jego matka była mistrzynią we wzbudzaniu poczucia winy i posługiwaniu się nim jak bronią.

– No dobrze. Pójdę do kuchni i poszukam czegoś do picia, a potem pogadamy.

Stary błazen klasnął i usiadł uradowany, jakby znalazł w bucie pieniędzy Sieroty i cukierki.

\*\*\*

Kilka godzin później, kiedy Zagadka już pochrapywał, szczęśliwie pogrążony w pijackim śnie, Tinwright sięgnął po *Agonię prawdy wyrzeczonej* i zaczął przeglądać księgę. Nie był to łatwy tekst – zbiór dziwacznych rozpraw na temat największych błędów w historii, jak się zorientował, których wiele dotyczyło wydarzeń zupełnie mu nieznanymi, jak chociażby kontrowersyjne Trzecie Hierarchiczne Konklawe. Dopiero gdy dobiegł do ostatniej części księgi, czytając pobieżnie, natknął się na coś, co zwróciło jego uwagę: wzmiankę o heretyckiej sekcje Hipnologów, którzy twierdzili, że bogowie nie tylko komunikują się ze śmiertelnymi wyroczniami podczas snu, ale sami też są pogrążeni we śnie. Sekta ta była prześladowana przez Kościół Trygonacki w ósmym oraz dziewiątym wieku i została niemal całkowicie wytepiona przed rokiem tysięcznym, choć spokrewnione z nią odłamy pojawiły się w okresie szaleństwa Wielkiej Śmierci, kiedy to wielu mieszkańców Eionu utraciło wiarę w Kościół Trygonacki i inne autorytety.

Ciekawe było to, że Rhantys, pisząc na początku trzynastego wieku, wydawał się niezbyt skłonny do potępienia Hipnologów. Cytował wielu Onirów, a także fragmenty *Księgi Trygonu*, sugerując, że heretycy być może mieli rację – bogowie rzeczywiście śpią i odgrywają mniejszą rolę w życiu ludzi niż w czasach, gdy powstawała *Księga Trygonu*.

Tinwright nie mógł zaprzeczyć, że w dużej mierze przypominało to słowa Tolly'ego, które ten wciąż powtarzał. A co ważniejsze, brzmiało tak samo jak opinie straszego autarchy. Skoro dwaj potężni ludzie z dwóch krańców świata wierzą, że bogowie śpią i pragną się obudzić, by całkiem wrócić do życia, to może jednak coś w tym jest.

Kiedy już prawie stracił zainteresowanie tematem, trafił na kolejny fragment, który sprawił, że poczuł dreszcz na karku.

\*\*\*

*Hipnologowie opierali swoje przekonania na doktrynie jeszcze dziwniejszej – mianowicie takiej, że centrum świata religii wcale nie znajduje się na południu ani w samym wielkim Hierosolu czy w Tassis, niedawno powstałej stolicy wiary trygonackiej, lecz na północy, na ziemi zwanej czasem Ziemią Anglina czy też Królestwami Pogranicza, a dokładnie w Zamku Marchii Południowej, w siedzibie władców tychże Królestw. Według Hipnologów wejścia do krainy śpiących bogów tam właśnie się znajdują, co więcej, twierdzą oni, że walka, po której bogowie zapadli w senne odrętwienie, tam się rozegrała w zamierzchłych czasach.*

*Trygonarcha Gerasimos, mąż, który widział, jak Korykidonsi płoną żywcem ukarani za heretyckie twierdzenia, jakoby odnaleźli miejsce narodzin Sieroty i postawili tam kaplicę, nie przyjął wyzwania rzuconego Kościołowi i wyklął Hipnologów w swojej Proklamacji z 714 T.E. Oczywiście nie oznaczało to końca herezji – pozostała żywa co najmniej do czasów plagi – ale klątwa definitywnie zakończyła wszelkie publiczne spekulacje dotyczące tego, czy bogowie rzeczywiście sprawują pieczę nad ludzkością...*

A zatem nie chodzi tylko o Hendona Tolly'ego i autarchę, pomyślał Tinwright. Powstał cały ruch, który Kościół musiał zniszczyć. A jego członkowie nie tylko twierdzili, że bogowie śpią, ale i wierzyli, że to miasto – Zamek Marchii Południowej – jest centrum królestwa niebios. Czy jakoś tak.



Tylko jak coś tak szalonego może być prawdą, nawet jeśli wierzą w to Hendon Tolly i jakiś maniackalny król z południa?

Z drugiej strony dlaczego Qarowie zaatakowali zamek, jeszcze zanim uczynił to autarcha? Dlaczego komukolwiek miałyby aż tak bardzo zależeć, by zawładnąć tym niedużym północnym królestwem, gdy w grę wchodził cały Eion? Matt Tinwright poczuł, że musi dowiedzieć się dużo więcej bez względu na to, czy tym samym pomoże Hendonowi Tolly'emu czy nie.

\*\*\*

Tamtej nocy zasnął z głową pełną nowych koncepcji i śniło mu się, że idzie na paluszkach przez las pełen powyginanych drzew, pogrążony w mroku, a ze wszystkich stron wyłaniają się ogromne postacie, do tego na całym świecie tylko on jeden nie śpi.

## Klatka dla króla

*Z sekretną pomocą Erivora dotarli wreszcie do brzegu w pobliżu wioski Tessideme na ośnieżonym krańcu wielkiego Strivothos...*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

– Nie możesz tego zrobić, księżniczko Briony. – Eneasze nie przestawał chodzić. Może w ten sposób czuł się swobodniej, niż gdyby musiał na nią patrzeć. – Nie mogę pozwolić, żebyś ryzykowała życie w tak szalony sposób. Byłaby to zbrodnia przeciwko twojemu narodowi. Przykro mi, ale nie zgadzam się na to, żebyś udała się na poszukiwanie króla Olina.

– I mnie jest przykro, ale to ty nie rozumiesz, Wasza Wysokość – odparła. – Nie możesz mi tego zabronić. Zrobię to. Od roku nie rozmawiałam z ojcem. Zaryzykuję wszystko, żeby go zobaczyć.

– Nie! – Odwrócił się do niej wzburzony. – Zakazuję ci!

– A jak mnie powstrzymasz, drogi przyjacielu? – Starła się zapanować nad głosem, żeby nie pomyślał, że reaguje jak typowa kobieta. – Uwięzisz mnie? Chcesz, żeby twoi ludzie słuchali dzień i noc, jak będę krzyczeć, że mnie zdradziłeś?

– Co? – Oblicze Eneasza wyrażało zdumienie. – Nie zrobiłabyś czegoś takiego – powiedział, ale bez przekonania.

– Och, uwierz mi: zrobiłabym. Wiem, że to niebezpieczne, ale muszę iść do ojca.

Księżę opadł na stołek. Wyglądał na tak przybitego, że Briony ledwo się powstrzymała, by nie wziąć go za rękę. Eneasze był dobrym człowiekiem, bardzo dobrym, ale jak większość mężczyzn, wierzył, że jest odpowiedzialny za los wszystkich kobiet, które przebywają w jego otoczeniu.

– Naprawdę zamierzasz to zrobić, księżniczko?

– Tak.

Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, obracając pierścień na palcu. Kapitan Helkis stał pod ścianą namiotu i robił wszystko, by jego nieogolona twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Twierdzisz, że mogę cię albo uwięzić, albo po prostu pozwolić ci to zrobić – odezwał się wreszcie Eneasze. – Ale jest jeszcze inna ewentualność.

– Tak? – Starła się zachować spokój, chociaż nie przyszła jej do głowy żadna trzecia możliwość.

– Mogę ci pomóc, tak żeby cię nie złapali. Wyślę z tobą moich najlepszych wojowników...

– Nie. – Pokręciła energicznie głową. – To się na nic nie zda. Ja nie zamierzam wdzierać się tam siłą, Eneaszu. Tam obozują tysiące xiskich żołnierzy, ale są też setki miejscowych, mieszkańców Marchii, którzy przychodzą do obozu, by sprzedać ludziom autarchy żywność, trunki albo jakieś błyskotki. Obóz odwiedzają też kobiety innego pokroju. Dobrze wiemy, czym handlują.

Eneasze otworzył szeroko oczy.

– Chcesz powiedzieć, że przebierzesz się za... za kobietę... jedną z tych...

– Za dziwkę? – Briony się zaśmiała. – Błogosławiona Zorio, Eneaszu, spójrz na siebie! Myślałeś, że nie znam tego słowa? Nie przebiorę się za nikogo konkretnego. Włożę jakieś stare ubranie i niech mnie biorą, za kogo chcą.

– Ale twoje bezpieczeństwo...! – powiedział przerażony.

Wyciągnęła przed siebie rękę. Nie wiadomo skąd w jej dłoni znalazł się nóż Yistich.

– Potrafię się obronić, Shaso dan-Heza dobrze mnie wyćwiczył. A poza tym nie widzę innego sposobu. Masz ludzi, którzy władają xiskim?

Eneasze posłał Helkisowi bezradne spojrzenie.

– Nie sądzę. Może któryś zna kilka słów...

– Ja też nie znam tego języka, więc w ten sposób sobie z nimi nie poradzimy. Byłoby przesadą, gdybyśmy poszli tam całym oddziałem, udając, że jesteśmy zagrodnikami sprzedającymi cebulę. Nie, Eneaszu, żadnych żołnierzy. Pójdę sama. Po prostu będę udawać miejscową dziewczynę.

– Jakby to gwarantowało ci bezpieczeństwo. – Posłał jej surowe spojrzenie. – Myślę, księżniczko, że zbyt długo podróżowałaś w towarzystwie aktorów. Zakochałaś się w legendach i pozorach. Ale pamiętaj, że sztuki teatralne służą rozrywce, a nie pouczeniu. W naszych czasach wielki Hiliometes zjadłby słynnego byka, zamiast taszczyć go na szczyt góry. – Zamyślił się na chwilę. – Dobrze. W takim razie proponuję ci coś innego. Nie będę ryzykował życia moich ludzi w otwartym ataku, ale przy Młyńskim Gościńcu jest opuszczona wioska, na południowy wschód od obozu autarchy, w której zakwaterowali wartowników. Jeśli tam zaatakujemy, a potem się wycofamy, to odwrócimy ich uwagę, co może pozwoli ci się wśliznąć do obozu autarchy.

Briony spojrzała na księcia z uznaniem, gdy zorientowała się, jak szybko przestawił się w swoim rozumowaniu. Czy na całym Eionie jest mądrzejszy książę?

– Zrobiłbyś to dla mnie?

– Zrobiłbym dla ciebie o wiele więcej, księżniczko – odpowiedział bardzo poważnie. – Gdybyś tylko mi pozwoliła.

\*\*\*

Briony zabrała się do przygotowań, lecz w pewnym momencie zaczęła się zastanawiać, czy Eneasze nie miał racji: może rzeczywiście zbyt upodobała sobie dawne opowieści? Czy aby nie za bardzo wzięła sobie do serca przykład Zorii czy nawet swojej prapraprababki Lili Eddon? Słyszała, jak żołnierze przygotowują się do ataku na garnizon przy Młyńskim Gościńcu, i wiedziała, że mimo najlepszych intencji księcia niektórzy mogą nie wrócić. Przypomniła sobie ulubione powiedzenie ojca: „Dopóki nie włożysz korony na głowę, nie wiesz, jaka jest ciężka”. Na myśl o Olinie poczuła ukłucie bólu, nie z powodu tęsknoty, ale dlatego, że wydawało jej się absolutnie niemożliwe, żeby mogła mu dorównać. Czy naprawdę chce ryzykować życie ludzi, by zaspokoić własną potrzebę spotkania z ojcem?

A jeśli nie będę miała innej okazji? Albo, co gorsza, stracę szansę, by go uratować? Jak mogłabym z tym żyć?

Uznała, że jest to winna w równej mierze sobie jak poddanym. Wolny król Olin to najlepsze, co mogłoby teraz spotkać Marchię Południową.

A jednak te myśli nie dawały jej spokoju, kiedy się nachyliła do małego lusterka, które dostała od Feivala. Ostrożnie rozsmarowała sadzę po twarzy, żeby wydawała się brudna i pospolita, kładąc grubszą warstwę wokół oczu i pod kośćmi policzkowymi, by wyglądała na wychudzoną. Wiedziała, że aby nie zwracać na siebie uwagi, musi wyglądać na starszą i zabiedzoną. Nawet tutaj, w obozie Świątynnych Psów, gdzie chroniła ją władza samego księcia, mężczyźni gapili się na nią, kiedy wydawało im się, że tego nie widzi – a czasem nawet wtedy, kiedy na nich patrzyła. Kobieta w obozie żołnierskim zawsze stanowi atrakcję, chyba że jest zupełnie nieapetyczna. Przez cały dzień Briony zastanawiała się, co zrobić, by uczynić się mniej interesującą, i miała kilka pomysłów.

\*\*\*

– Na Trzech, co ty masz na twarzy? – Eneasze cofnął się o krok. – Coś ci się stało?

Roześmiała się, choć nie było jej do śmiechu: widok księcia w zbroi przypomniawszy jej, że nie tylko ona się naraża.

– To rana z błota i soku jagodowego. Nie martw się, to nie jest prawdziwa krew.

– Mam nadzieję, że dzisiaj innej nie zobaczę – odrzekł. – Ani u ciebie, ani u nikogo innego.

– Może kilku wrogów zadraśniemy – wtrącił kapitan Helkis i zaśmiał się ochryple. – Albo kilku czarodziejskich.

Eneasze pokręcił głową.

– Nie. Drugi raz nie popełnię tego samego błędu, Mironie. Dopóki nie dowiemy się, jakie są intencje tych... Qarów, musimy traktować ich tak samo jak mieszkańców Marchii i nie będziemy ich atakować.

Dobry z niego człowiek. Dlaczego nie potrafi poczuć do niego czegoś więcej?

– Niech bogowie strzegą ciebie i twoich ludzi, byście wrócili bezpiecznie, księżę Eneaszu – powiedziała.

– A kto tobie pomoże, Briony?

– Moje przebranie? – odpowiedziała, starając się zachować wesołość, i pokazała na swoją twarz. – I moja przebiegłość.

– Będę się modlił do Trzech Braci, by to wystarczyło. – Szybkim ruchem ujął jej dłoń, zanim zdążyła zareagować, i przysunął do ust. – Uważaj na siebie, księżniczko.

\*\*\*

Im bliżej podchodziła do obozu autarchy, tym większe ogarniało ją przerażenie. Nie poprawił jej humoru fakt, że prowadzący ją zwiadowca był małym mównym Syańczykiem z południa, który mówił z tak silnym akcentem, że ledwo go rozumiała.

A jeśli mnie złapią? Nie boję się o siebie, pomyślała, choć w rzeczywistości o siebie też się lękała, bo jakżeby inaczej? Autarcha znany był z okrucieństwa. Ale co z moimi poddanymi? Czy mam prawo się narażać?

Oczywiście nie potrafiła tego ocenić. Nie w tej chwili. Założyła, że któreś z nich – ona albo ojciec – musi wrócić – bo jej naród przepadnie bez Eddona na tronie Zamku Marchii Południowej, ale może to nieprawda. Może jej poddani są szczęśliwi pod rządami Hendona Tolly’ego!

Ale przecież są atakowani, pomyślała. Z tego pewnie się nie cieszą.

Kiedy zbliżyli się do szczytu wzgórza, dobiegające z oddali dudnienie, którego wcześniej prawie nie zauważyła, stało się głośniejsze. Briony zdała sobie sprawę, że to nie nadciągająca burza, lecz armaty autarchy wymierzone w jej dom.

Ona i syański zwiadowca podążali jelenią ścieżką, która biegła grzbietem wzgórza, aż przeszli na drugą stronę, i gdy drzewa obniżyły się wraz ze zboczem, po raz pierwszy od miesiący ujrziała szarozielone wody Zatoki Brenna i część miasta na lądzie, które wyglądało zaskakująco zwyczajnie, spowite smugami dymów sączących się z

kominów. Spojrzawszy dalej przez mgiełkę dymu i niskich chmur, zobaczyła sam Zamek Marchii Południowej.

Chwilę później zorientowała się, że dym wcale nie wydobywa się z kominów, lecz z dział, które autarcha ustawił na wale ochronnym od strony lądu i stanowiskach wzdłuż brzegu. Długie działa odzywały się regularnie nieustającą serią stłumionych grzmotów podobnych do uderzeń bębna. Plaża, tam gdzie wcześniej grobla łączyła stały ląd z Górą, pełna była ludzi podobnych do uwijających się mrówek, lecz Briony nigdzie nie zobaczyła samego obozu, poza namiotami rozstawionymi na miejskich placach i na polach między miastem a wzgórzami. Podejrzewała, że dużo więcej żołnierzy autarchy stacjonuje w samym mieście, ale już liczba namiotów była przerażająca.

Poczuła, że jej serce zamarło na chwilę. Słodka Zorio, czy autarcha przyprowadził tu cały swój naród? Ogrom sił skierowanych na Zamek Marchii Południowej przyprowadził ją o zawrót głowy. Przecież małe Królestwo Pogranicza nie mogłyby się obronić przed taką hordą, nawet gdyby ojciec wciąż zasiadał na tronie, a oni nie stracili tylu ludzi na Polu Kolkana!

Starając się nie poddać rozpacz, odesłała zwiadowcę z powrotem do obozowiska Eneasza i zaczęła schodzić ze wzgórza.

\*\*\*

Słońce zaszło i szybko się ochłodziło, kiedy dotarła na skraj obozu rozbitego na polu. Przez chwilę obserwowała go, wciśnięta w krzaki, i zobaczyła, że różni ludzie wchodzą do obozu i z niego wychodzą, korzystając z prowizorycznych dróg zbudowanych przez wojsko. Znacznie więcej opuszczało obóz, niż do niego przybywało. Wiedziała, że nie ma dużo czasu, jeśli nie chce zwrócić na siebie uwagi. Briony dołączyła do grupy pieszych jakieś sto kroków przed posterunkiem straży, starając się iść jak osoba starsza i słabsza, tak jak uczył ją Feival – przygarbiona, z głową pochyloną, drobna małymi kroczkami. Obóz był zbyt duży, żeby go ogrodzić, lecz w zasięgu wzroku znajdowało się cztery czy pięć posterunków z brodatymi żołnierzami w spiczastych hełmach, uzbrojonymi we włócznie albo zakrzywione miecze. Usiłowała

nie przyspieszać, kiedy mijała żołnierzy z najbliższego posterunku. Szła, podpierając się kijem i modląc się, żeby któryś ze strażników jej nie zatrzymał, ale żaden nie zwrócił na nią uwagi.

Przyspieszyła dopiero, gdy oddaliła się na bezpieczną odległość. Teraz wszędzie dookoła widziała namioty i poczuła zapach jedzenia, ostry aromat, jaki pamiętała z domu Effira dan-Mozana, z którego musiała uciekać. Żołnierze, jak zdołała się zorientować, obserwując ich ukradkiem, pochodzili z różnych stron świata, ale większość – choć nie wszyscy – miała skórę zdecydowanie ciemniejszą niż ona. Wielu nosiło mundur składający się z obszernych spodni i czegoś w rodzaju skórzanej zbroi, ale widziała też inne stroje: luźne białe długie szaty, które przywodziły jej na myśl Tuańczyków, barwne chusty i mosiężne ozdoby, idealne dla błazna, a nawet zauważyła jednego mężczyznę, wysokiego i bladokórego, ubranego na czarno z wyhaftowanym herbem – białym szczytującym kły psem. Gdyby nie wysoki xandyjski hełm i tarcza w kształcie diamentu, można by go wziąć za mieszkańca Marchii.

Żołnierz ten, zajęty rozmową z grupą niższych towarzyszy o ciemnej skórze, zauważył, że Briony mu się przygląda, i też na nią spojrzął. Szybko spuściła wzrok i ruszyła dalej tak przestraszona, że dopiero po kilku krokach znowu zaczęła kuśtykać, lecz gdy zerknęła przez ramię, zobaczyła, że mężczyzna powrócił do przerwanej rozmowy.

– Paskudny – odezwał się głos tuż obok, co tak zaskoczyło Briony, że omal się nie potknęła. – Perikalczyk, który walczy dla autarchy, dasz wiarę? I myślisz, że rzucił mi choć miedzianego kraba? Gdzie tam. Owszem, poczęstował mnie, ale kopniakiem.

Briony się odwróciła i zobaczyła małą skuloną postać grzejącą ręce nad małą lampą oliwną. Uznała, że pójdzie dalej, lecz kobieta zawołała za nią jeszcze głośniejszym głosem:

– Zaczekaj! Nie potarłaś mi głowy! Nie musisz nawet dawać mi pieniędzy. Takie jak my powinny trzymać się razem! Zaczekaj!

Instynkt podpowiadał Briony, żeby się nie zatrzymywać, lecz wielki żołnierz o bladej twarzy znowu patrzył w jej stronę, podobnie jak jego towarzysze. Briony przystanąła i ostrożnie się pochyliła, udając, że podnosi coś z ziemi, po czym odwróciła się do niepozornej kobiety.

– Dlaczego na mnie krzyczysz? – zapytała cicho.



– Bo nie potarłaś mi głowy, kochaniutka. Nie jesteś jedną z nich, co?

Briony nie miała pojęcia, co ma na myśli obca. Kątem oka obserwowała żołnierzy, którzy wciąż na nią zerkali, śmiejąc się. Przycupnęła przy małej postaci, jakby były dobrymi znajomymi, które postanowiły odpocząć.

– Dlaczego? – zapytała. – Czego oni chcą od ciebie?

W odpowiedzi zakutana postać zsunęła z głowy obszerny kaptur i odsłoniła małą pyzată twarz, która wyglądała jak twarz dziecka.

– Oni lubią dotykać mojej głowy. Wierzą, że karły przynoszą szczęście.

Briony słuchała zdziwiona, a potem odezwała się, zanim zdążyła pomyśleć:

– Jesteś Funderlingiem!

Mała kobieta wyglądała na zaskoczoną.

– Gdybym już wcześniej nie domyśliła się, że nie jesteś z Xis, z powodu tego jak mówisz, to teraz nie miałabym wątpliwości – powiedziała. – Zwykle ludzie ze wsi znają jedynie stare opowieści, ale w rzeczywistości nic o nas nie wiedzą. Mieszkałaś w mieście, gołąbeczko?

– Ja... kiedyś, tak. – Briony zerknęła ostrożnie w bok. Żołnierze nie ruszyli się z miejsca. Uznała, że pójdzie dalej. Zmrok zaczynał gęstnieć, co oznaczało, że zbliża się pora wieczornej modlitwy, pora ataku Eneasza na garnizon.

– To jeden z Białych Ogarów – rzekła kobieta. – Ten dryblas z białym psiskiem na czarnej szacie. Są łapani jako dzieci i hodowani przez autarchę. Ćwiczy ich jak psy myśliwskie. Mówią, że to najokrutniejsi żołnierze w całej armii.

Briony nie chciała mieć nic wspólnego z Białym Ogarem ani z żadnym innym xiskim żołnierzem. Wiedziała, że powinna ruszać dalej, żeby nie kusić losu.

– Muszę już iść – powiedziała i podniosła się, wspierając na kiju, by wyglądać na starszkę.

– Nie jesteś stąd – orzekła kobieta Funderlingów. – A jak ci się przyjrzałam z bliska, to zobaczyłam, że babcią też nie jesteś. Nie wiem, co knujesz, ale powiem ci, że nie warto. Kiepsko? Ci z południa ściskają

w ręku srebrnego łabędzia, aż piszczy. Jestem tu od trzech dni i zobacz, ile zebrałam. – Podsunęła czapkę z kilkoma miedziakami. – Widzisz? Ściskają łapę ciaśniej niż Perin tyłek.

Briony mimowolnie się zaśmiała, usłyszawszy bluźnierstwo.

– Jak ci na imię? – zapytała.

– Mówią na mnie Mała Molly.

– To nie jest imię Funderlingów.

– Nie. – Obca spojrzała uważniej na Briony. – A ty jak się nazywasz?

– Niezwykły zbieg okoliczności, ale na mnie też mówią Mała Molly. Teraz zaśmiała się kobieta Funderlingów.

– To od tej pory będą musieli cię nazywać Dużą Molly. Ale musisz znaleźć sobie inne miejsce, moja droga. To jest moje. Widzisz? Namiot z piwem, chodzą tam też pograć w kości. Po drodze rzucają mi miedziaka i pocierają moją głowę na szczęście.

Briony wpadło coś na myśl.

– Możesz chodzić?

– Równie dobrze jak ty! – oburzyła się Mała Molly. – Tylko nie tak szybko. Za krótkie nogi, no i trochę... kuleję.

– To chodź ze mną, a ja dam ci... pięć miedziaków. Co ty na to?

Kobieta Funderlingów spojrzała na nią podejrzliwie.

– Czego chcesz ode mnie? I skąd masz tyle pieniędzy?

Tyle pieniędzy! Briony omal się nie rozpląkała. Mała Molly, choć zadziorna, była bardzo blada i wychudzona, jakby dawno nic nie jadła.

– Nieważne. Chodź ze mną. Nie podobają mi się ci żołnierze.

Kobieta Funderlingów wstała i obie ruszyły główną drogą. Mała Molly szła ostrożnie, jakby chciała pokazać Briony, co to znaczy naprawdę mieć słabe nogi.

– Połamalam je, jak byłam była, i nigdy się dobrze nie zrosły – wyjaśniła. – Dlatego wszyscy biorą mnie za karlicę.

– Co możesz mi opowiedzieć o tym obozie? – zapytała Briony. – Wszyscy siedzą tutaj czy są też w mieście? Jak długo ostrzeliwiają zamek?

– Od dekanoksu, może krócej – odparła Mała Molly. – Ale byli tu wcześniej. – Rozejrzała się, mimo że znajdowały się na otwartym terenie

i w pobliżu nie było nikogo, – Mówią, że autarcha spotykał się z tym Hendonem Tollym potajemnie, tylko oni. I mieli ubić jakiś interes, ale nie wypalił. A potem wypaliły działa. – Wzruszyła ramionami. – Dowiedziałaś się wszystkiego, czego chciałaś? Bo muszę usiąść.

– W takim razie siadajmy. – Briony przycupnęła obok kobiety Funderlingów. Po drugiej stronie zatoki błysnęła iglica Wieży Wilczego Kła, muśnięta blaskiem zachodzącego słońca niczym zapalona świeca. – Ludzie gadają, że autarcha więzi króla Olina.

– Och, wszyscyśmy o tym słyszeli. Ale nie wiem, czy to prawda. Bo po co by to robił? Czego ten południowiec mógłby chcieć od naszego króla?

No właśnie, czego? – zastanawiała się Briony. Można by też zapytać, jaką grę prowadzi Hendon Tolly. Może chce wykupić jej ojca dla własnych korzyści?

– To nie wiesz, gdzie mogliby trzymać króla, gdyby rzeczywiście go mieli?

Mała Molly spojrzała na nią uważnie.

– Jak na żebraczkę zadajesz dziwne pytania. Gdzie moje miedziaki? Nie powiem już ani słowa, dopóki ich nie zobaczę, ani słówka!

Briony wyjęła spod podartego ubrania srebrną monetę.

– Proszę. Jest warta co najmniej tuzin krabów. A teraz odpowiedz na moje pytanie. Gdzie może być król Olin? – W tym momencie odezwał się dziwnie brzmiący róg, co mogło być wezwaniem na wieczorną modlitwę albo sygnałem ostrzegawczym – może nawet ostrzegał przed atakiem Eneasza. Czas naglił. – Powiedz mi!

Mała Molly rozglądała się przestraszona. Briony słyszała okrzyki nawołujących się żołnierzy. Rozbiegli się we wszystkie strony, być może po broń albo zbroje, które zostawili w namiotach. Eneasza dotrzymał słowa. Teraz jej kolej.

– A skąd miałabym to wiedzieć? – jęknęła kobieta Funderlingów. – Kim ty jesteś? I po co chcesz wiedzieć takie rzeczy?

– I tak byś nie uwierzyła, gdybym ci powiedziała, Molly, ale dostałaś to, co ci obiecałam, więc zapracuj na to. Gdzie mogą trzymać ważnego więźnia?

– Nie wiem! Może w domu burmistrza w mieście. Wcześniej przetrzymywali tam więźniów, tak słyszałam, choć może to było wtedy, kiedy siedziały tam gobliny. Aha, zbudowali taką dużą groblę na błoniach. Wszyscy myślą, że dla zwierząt. Słyszałam, jak gadali o tym kupcy, którzy przywieźli metal – dwadzieścia wozów pełniutkich żelaznych prętów na to ogrodzenie! Dasz wiarę?

Briony wstała.

– Zatrzymaj monetę, Mała Molly. Niech Zoria ma cię w opiece.

Poszła szybko przed siebie, odprowadzana spojrzeniem zaskoczonej kobiety Funderlingów.

\*\*\*

Zapadający zmrok kłębił się wokół biegających postaci, rozświetlony tu i tam blaskiem pochodni i wypełniony okrzykami. Briony modliła się, by Eneasz przeprowadził akcję tak, jak zapowiadał: zwiąże siły z garnizonu na tyle długo, by zmusić je do wezwania posiłków, a potem się wycofa. Przewidywał, że wojska autarchy nie odważą się gonić ich w ciemności, a następnego dnia wyślą tylko niewielki oddział na poszukiwanie napastników, zakładając, że byli to miejscowi bandyci albo przeprowadzone z zaskoczenia kontrnatarcie Hendona Tolly’ego.

Jaki był powód pertraktacji Tolly’ego z autarchą, jeśli to nie były tylko plotki. Czy chodziło o to, żeby poddać miasto? Przecież Hendon nie zniósłby takiego osobistego poniżenia. Czyżby próbował wykupić Oliną dla własnej korzyści? Poczula dreszcz na karku. A jeśli autarcha już nie ma jej ojca? Co, jeśli Olin dostał się w łapy Hendona Tolly’ego?

Briony doszła główną drogą aż do Gościńca Jarmarcznego, gdzie zaczynało się prawdziwe miasto. Domy stały ciasno przytulone do siebie na wąskich ulicach, przez co jeszcze trudniej było uniknąć żołnierzy, lecz zapadł wieczór, a obozowe pochodnie były rozmieszczone dość rzadko, dzięki czemu nie rzucała się w oczy w swoim przebraniu.

Nawet tutaj, gdzie żołnierze bezpośrednio nie zareagowali na sygnał. Briony słyszała podekscytowane głosy mijających ją mężczyzn. Niektórzy wychylali się z okien i krzyczeli do niej po xisku. Kilku nawet

zeszli na dół do drzwi i kiwało na nią, lecz ona tylko machała ręką i kuśtykała dalej najszybciej, jak się odważyła. Długonogi Dowan Birch nauczył ją, jak stać wygodnie mimo niekomfortowej pozycji, inaczej szybko by się zmęczyła. Teraz szła jeszcze jakiś czas nieporadnym kulejącym krokiem, choć zmęczenie dawało jej się coraz bardziej we znaki.

Przeszła szybko przez Most Trawiastego Wzgórza i minęła ruiny spalonej świątyni. Kiedy znalazła się bardzo blisko błoni, zeszła z drogi, upewniwszy się, że nikt za nią nie idzie. Nawet w czasach pokoju ulice wokół placu Przybrzeżnego po zapadnięciu zmroku były miejscem spotkań złodziei i gorszych przestępców. Zboczyła trochę na południe od placu i wyszła na błonia, kierując się powoli ku pochodniom. Ich światło sprawiało, że ogromny kształt zdawał się rozjarzony upiornym bladym blaskiem niczym fosforyzujący grzyb, który przycupnął w zaroślach.

Namiot miał dobre sto kroków średnicy, ale był wysoki na nie więcej jak dwanaście kroków i podtrzymywany licznymi linami – stanowił ogromne białe wybrzuszenie na środku błoni, na których wcześniej wypasano owce. Wokół niego płonęły jasno pochodnie, a kilkunastu żołnierzy strzegło nie tylko wejścia, lecz również bocznych i tylnej ściany. Briony z zadowoleniem zobaczyła, że poza kręgiem blasku w pobliżu pochodni panują bezpieczne ciemności, tak więc zachowując odpowiednią odległość, mogła się przyczać i zastanowić co dalej.

Szła szybko skrajem błoni, trzymając się blisko drzew albo chowając w drzwiach opuszczonych domów. Tak jak się obawiała, dostrzegła posterunki wystawione z obu stron, ale w dość dużej odległości od siebie, do tego zasłaniały je rogi namiotu. Pomyślała, że Shaso skarciłby tego, kto w ten sposób rozstawił strażę. Głupiec pozwolił, by szpieg, podchodząc do namiotu, musiał się pilnować tylko przed jednym posterunkiem, przez co łatwo było odwrócić uwagę strażników.

Briony nie musiała nic robić w tym kierunku, ponieważ kiedy chowała się za studnią na skraju błoni, nadszedła grupa zbrojnych z głośnym stukotem końskich kopyt i szczękiem broni. Kierowali się ku Młyńskiemu Gościńcowi, by wesprzeć zaatakowany garnizon. Briony się bała, że szczęki pułapki zamkną się na Eneaszu, jeśli księżę nie

zachowa odpowiedniej odległości między atakowanym wrogiem a tą sforą psów.

Miłościwa Zorio, pomóż im wycofać się w porę! Eneasza to dobry człowiek – wspaniały, dzielny mąż. Darzyła go pewnym uczuciem, musiała przyznać, bardziej niż czasem zdawała sobie sprawę. I zaraz przypomniała sobie o czymś jeszcze. I mnie pomóż, słodka bogini, proszę! Niemal zapomniała pomodlić się za siebie. Przez chwilę się zastanawiała, czy dałoby się przekupić Zorię, i zaraz uznała, że nie zaszkodzi spróbować. Jeśli Eddonowie odzyskają tron, wybuduję ci piękną świątynię, pani!

Kiedy nadjechały posiłki, część żołnierzy z najbliższego posterunku odeszła, by popatrzeć za odjeżdżającymi. Uznawszy, że nie będzie miała lepszej okazji, Briony pobiegła przez błonia, czekając, aż żołnierze prawie znikną za namiotem. Obserwujący ich strażnicy stali teraz niemal odwróceny tyłem do namiotu. Wybiegła spomiędzy drzew i pognąła przez łąkę, mocno pochylona, uważając, by się nie potknąć. Wyglądało na to, że Zoria przyjęła jej ofertę, bo nikt nie podniósł alarmu i kilka długich chwil później Briony przyczaiła się przy rogu namiotu, gdzie światło było bardzo słabe, dysząc ciężko, o wiele mocniej niż powinna po takim biegu. Była przerażona, ale nie miała czasu: wsunęła rękę pod ścianę namiotu i, tak jak się spodziewała, trafiła na pręty. Wcisnęła się pod ciężki brezent i wstała między ścianą a zimnymi żelaznymi prętami, niczym ogrzewacz włożony między kapę a materac. Małe światła migotały w przeciwległym końcu namiotu, lecz ogólnie panowała w nim ciemność, a wewnątrz wypełniał smród niemytych ciał tak intensywny, że Briony, która przecież ostatnimi czasy przebywała wśród żołnierzy, ledwo się powstrzymała przed wycofaniem się z powrotem na zewnątrz.

Kiedy jej oddech i serce trochę się uspokoiły, usłyszała jakiś dźwięk gdzieś bardzo blisko niej, cichutki płacz dziecka albo kobiety. Chwilę później jej ucho wyłowiło ledwo słyszalne słowa wypowiedane w jej ojczystym języku. Co to za więźniowie? Czyżby zorganizowano tu coś na podobieństwo burdelu, w którym trzymano zniewolone mieszkanki Marchii? Przyszła jej do głowy szalona myśl, że mogłaby poczekać na autarchę i zabić go, gdy przyjdzie po swoją kolejną ofiarę. Pomimo kipiącego w niej gniewu wiedziała jednak, że to bezużyteczny i głupi

pomysł – taką scenę mógłby stworzyć Nevin Hewney zamroczony alkoholem.

– Kto tam płacze? – zapytała cicho. – Rozumiesz mnie?

Płacz ustał.

– Skąd jesteś? – dodała. Już zdradziła swoją obecność i nie miała wyjścia. Gdyby tylko nie było tam tak ciemno! Nie miała pojęcia, jak wygląda całe to więzienie: czy to jedna ogromna klatka, czy też namiot podzielono na mniejsze cele.

– Niech mi ktoś odpowie!

– Boję się – odezwał się gdzieś blisko słaby głos. – Chcę do domu.

– Jak masz na imię? Dlaczego tu jesteś?

– Zabrali nas. Nie zrobiliśmy nic złego. Przyszli do wsi i nas zabrali.

– Skąd?

– Mamo? – odezwał się inny głos, trochę starszy. – Przyszłaś po nas? Zabierzesz nas stąd?

Na serce Zorii! Dlaczego autarcha porwał dzieci?

– Wszyscy jesteście więźniami? – Na moment jej serce zamarło z bólu. – Są tu jacyś dorośli? Starszy mężczyzna? – Czy dzieci mogą wiedzieć, kim jest jej ojciec? – Król?

– Żaden król – odpowiedział słaby głosik, pochlipując. – Tylko my, sami mali.

Zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, w głębi ciemnego namiotu rozbłysło światło: ktoś odsunął połę i stanął w wejściu z pochodnią w ręku. Briony przykucnęła. Pojawiły się kolejne pochodnie i następne postacie, aż światło oślepiło ją, tak że musiała się odwrócić. Po chwili usłyszała głosy i szcęk otwieranych i zamykanych metalowych drzwi ogromnej klatki. Ludzie z pochodniami się wycofali, a poła namiotu opadła i wewnątrz znowu wypełniła nieprzenikniona ciemność. Czyżby strażnicy jej szukali?

– Czy ktoś może mi powiedzieć, dlaczego jesteście więźniami albo czy jest wśród was król Marchii?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zaczęła się wolno przesuwac między brezentem a prętami klatki. Musiała minac jedno z wejść, lecz na szczęście poła namiotu była opuszczona, a sądząc po głosach, strażnicy stali odwróceny tyłem. Wreszcie dotarła do miejsca, w którym, jak

oceniła, wcześniej pojawiły się pochodnie. Zatrzymała się na trochę przed głównym wejściem.

Wstrzymała oddech, ale wiedziała, że ma coraz mniej czasu, bo w każdej chwili mogli wrócić strażnicy.

– Halo? Kto tu jest? Czy ktoś mnie słyszy?

Odpowiedział jej głos, którego brzmienie sprawiło, że poczuła dreszcz na karku.

– Co...? Meriel?

– Chwalić Zorię! Ojczy, czy to ty? – Przywarła do prętów klatki, powstrzymując się, by nie krzyknąć. – Ojczy? To ja! Och, bogowie mają litość! Ojczy!

I nagle poczuła jego obecność. Jego dłoń wsunęła się między pręty i odnalazła jej twarz mokrą od łez.

– Na wszystkich bogów! Briony? To naprawdę ty? – Olin mówił ochryplym głosem, ale ona od razu go rozpoznała. – To cud! Prawie zasypiałem... myślałem... twój głos. Myślałem, że to twoja matka. Czy ja naprawdę się obudziłem?

– Tak, ojczy, tak! To ja! – Chwyciła go za ramię – był taki chudy! Ale to jej ojciec, po tak długiej rozłące, on, nikt inny. – Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę! – Zaśmiała się przez łzy. – To znaczy... wciąż cię nie widzę...

On także się roześmiał.

– Masz się dobrze? Co tu robisz? Bogowie, dziecko, to się nie mieści w głowie! Sama tu przysłaś?

– Dowiedziałam się, że autarcha cię więzi. Przyszłam, żeby... – Nie chciała tracić czasu na opowiadanie. – To długa historia. Musimy cię stąd wydostać!

– Nie, to ty musisz stąd uciec, owieczko. Tylko patrzeć, jak wrócą, żeby mnie odprowadzić do normalnego więzienia. Przenieśli mnie tutaj, bo ktoś zaatakował ich posterunek i Vash się przestraszył, że może to próba uwolnienia mnie. Autarchy nie ma w obozie, dlatego jego minister tak się boi, że coś się stanie pod jego nieobecność.

– Tym bardziej trzeba cię stąd wydostać – odpowiedziała.

– To niemożliwe, Briony. Nie siedzę za zwykłym ogrodzeniem, ale w żelaznej klatce zamkniętej ze wszystkich stron, której pręty wbito



głęboko w ziemię. – Olin mówił ściszym głosem, mimo to Briony usłyszała poruszenie wśród pozostałych więźniów. – Nie wiem dokładnie, co planuje autarcha, ale ma obsesję na punkcie Zamku Marchii Południowej i uważa, że jeśli go zdobędzie, będzie mógł obudzić boga. Jesteś z Shasem albo Brone'em? Możesz im to przekazać?

Briony zaśmiała się niewesoło.

– Shaso nie żyje – odpowiedziała. – Przykro mi, ojcze. Zginął w pożarze w Marrinswalk. Brone jest więźniem w zamku albo zdrajcą, może jednym i drugim. Hendon Tolly teraz rządzi, ale słyszałam, że układał się z autarchą w jakiejś sprawie.

– W takim razie jak się tu dostałaś? Jesteś z Barrickiem?

– Nieważne. Musimy cię uwolnić. – W tej samej chwili poczuła, że imię Barricka zatliło się w niej jak iskra, która szybko przerodziła się w płomień.

– Nie dasz rady! Nie ma dla mnie ratunku, moja droga. Ale tobie nie wolno dać się złapać. Odejdź stąd! Idź, zanim wrócą strażnicy.

– Nie. – Teraz ogień wypełnił całe jej wnętrze, ogień, który tłumiała od miesięcy. – Dlaczego mnie okłamałeś? Dlaczego, ojcze?

– Co masz na myśli? – Wydawał się zaskoczony, ale nie zszokowany.

– Nie powiedziałeś mi o... swoim przekleństwie. O Barricku. O tym, co się stało tamtej nocy, kiedy złamałeś mu rękę. – Przygryzła wargę, powstrzymując łzy. – Dlaczego mnie okłamałeś?

Nastąpiła długa chwila milczenia. Wreszcie ojciec puścił ją i odsunął się o krok.

– Ja... przepraszam.

– Ale dlaczego? Dlaczego mi nie powiedziałeś? Dlaczego nam nie powiedziałeś?

– Wstydzilem się, dziewczyno! Nie rozumiesz? Wstydzilem się, że przekazałem skazoną krew tym, których kocham najbardziej. Wstydzilem się tego, że omal nie zabiłem własnego syna! – mówił ochryplym szeptem. – A teraz znowu to czuję.

– Co?

– Truciznę! Truciznę w moich żyłach, znowu ją czuję. Och, litościwi bogowie. Briony, może i byłem więźniem przez prawie rok, ale

przynajmniej byłem wolny od mojej przeklętej krwi! Rozumiesz? Po raz pierwszy szaleństwo, które wcześniej dopadało mnie niemal każdego księżycy, oszczędzało mnie. Ale w miarę jak zbliżaliśmy się do zamku – do domu! – czułem, jak się nasila. Nawet w tej chwili czuję, jak żółć gotuje się w moich żyłach...

– Przecież bym ci pomogła! Powinieneś mi powiedzieć! Znaleźlibyśmy jakieś lekarstwo... Chaven coś by na to zaradził!

– Nie da się wyleczyć kogoś z jego krwi – wyszeptał król z rozgoryczeniem. – Chyba że mu poderzniesz gardło i powiesz jak zaszlachtowaną świnie.

Briony znowu zaczęła płakać.

– W takim razie jest to i moje przekleństwo, ojciec. Nie miałeś prawa zatajać tego przede mną.

– Nie rozumiesz? – Olin przysunął się z powrotem do prętów i chwyciwszy córkę za ramiona, przycisnął do zimnego metalu i dotknął jej policzka swoim policzkiem. – Zrobiłbym wszystko, by to przed wami ukryć. Ty i Kendrick nie wykazywaliście żadnych oznak tej skazy.

– Ale co to jest? Dlaczego my? Dlaczego Eddonowie?

– Przez miłość – powiedział. – Przez zdradę, a także przez śmierć, ale przede wszystkim z powodu miłości – dodał, a potem przekazał jej opowieść tak zdumiewającą, że Briony zapomniała o całym świecie, wsłuchana w zboląły głos ojca.

\*\*\*

– W naszych żyłach płynie... krew czarodziejskich ludzi? – zapytała, gdy Olin wreszcie umilkł. – W żyłach Eddonów?

– Qarowie twierdzą, że jest to krew boga – rzekł Olin. – Autarcha uważa podobnie. Dlatego mnie więzi i mówi, że...

– Co zrobi?

Próbował jej to wyjaśnić, ale w końcu tylko pokręcił głową, co wyczuła pod dłonią.

– Nie rozumiem wszystkiego, to pewne, ale pamiętaj: mamy czas tylko do nocy przesilenia letniego, by go powstrzymać. Powiedział mi, że wtedy wszystko się wydarzy. To zaledwie kilka dni. – Wyraźnie

wyczuła, że się waha, że nie chce jej bardziej przestraszyć. Czy zawsze tak łatwo było odczytać jego myśli? Czy też Briony się zmieniła? – Szybko – rzucił. – Dopóki mamy jeszcze trochę czasu, przedstaw mi sytuację... – Nie zdążył dokończyć.

Usłyszeli głosy, które wyraźnie zbliżały się do namiotu. Olin szybko się odsunął.

– Ukryj się! – szepnął. – Prędko!

Zdażyła się cofnąć, gdy uniosła się poła namiotu i w wejściu stanął strażnik z pochodnią. Kiedy Olin odwrócił się do światła, Briony po raz pierwszy zobaczyła jego twarz i jej serce wezbrało miłością. Był taki wychudzony! Zobaczyła za nim grupkę dzieci, może dziesięcioro, siedzących albo leżących na słomie.

Briony patrzyła, jak wysoki, chudy starzec w ozdobnej szacie staje obok strażnika. Na jego znak inny żołnierz otworzył metalowe drzwi klatki.

– Powiedz swoim młodym przyjaciółom, że jeśli któryś zbliży się za bardzo do prętów, zginie – rzekł starzec. – Nie chcę żadnych kłopotów, królu Olinie. Czas wracać. Kimkolwiek byli bandyci, uciekli. Białe Ogary ruszyły w pogoń i rychło się z nimi rozprawią.

– Wolałbym tam nie wracać – powiedział ojciec Briony trochę głośniejszym głosem, niż to było konieczne. – Lubię towarzystwo tych więźniów. To jeszcze dzieci, a nikt się nimi nie interesuje. Myślałem, że masz więcej serca, Vash.

– Wykonuję polecenia autarchy, królu Olinie. Doceniam to, że darzysz je współczuciem. Tym bardziej powinieneś wrócić do siebie, bo nie chcę, żebyś tu wzniecił jakąś dziecięcą rewoltę. – Powiedział coś po xisku do strażników. Rozległ się trzask zasuwy i skrzypienie zawiasów.

Olin pozwolił, by strażnicy go wyprowadzili.

– Niech i tak będzie – rzucił przez ramię, jakby mówił do dzieci. – Pamiętajcie, że wszystkich was kocham. Bądźcie odważni. Jest nadzieja, dopóki pamiętacie, kim jesteście!

Briony zapłakała, kiedy poła namiotu opadła. Strażnicy dawno już odeszli, zanim odważyła się poruszyć i odezwać. Po kilku krótkich rozmowach nabrała przekonania, że uwięzione dzieci nie powiedzą jej niczego interesującego. Czuła się strasznie, zmuszona zostawić je

straszemu losowi, ale nie potrafiła im pomóc. Przy pierwszej okazji wymknęła się z namiotu.

Ja też cię kocham, ojczyźnie. Briony pobiegła przez łąkę. Oceniała, że przy odrobinie szczęścia wróci do obozowiska Eneasza do północy i wtedy obmyśli plan uratowania króla Olina. Skoro miłość stała się przekleństwem naszej rodziny, to może nas też uratuje.

## W obronie Tajemnic

*Wieś pogrążyła się w żałobie z powodu śmierci wielu młodych mężczyzn podczas Wielkiej Wojny bogów, którą Kościół nazywa Teomachią. Różni rozbitkowie byli witani z otwartymi ramionami...*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

– Jest ich zbyt wielu! – wrzasnął młody Funderling, gdy mijał ich pędem. Twarz miał brudną i pochłapaną krwią, był bez broni i tarczy, które musiał porzucić. – Żołnierze autarchy wdarli się do Bezksiężycowego Korytarza! Biegnijcie!

Ferras Vansen odwrócił się, by złapać Funderlinga, lecz Malachit Miedziak także miał podobny zamiar, ponieważ nie chciał, żeby strach żołnierza udzielił się innym. Przytrzymał go za ramię, wymierzył mu mocny policzek. Młodzieniec spojrzał na niego zdumiony, zatoczył się i opadł na kolana.

– Wstawaj, człowieku, i pokaż, że masz trochę zaprawy tam, gdzie nie pasują do siebie kamienie. Co się dzieje?

– Wybacz, mistrzu Miedziaku... – Młody Funderling był przerażony i widać było, że pragnie jedynie biec dalej.

– Przekaż nam wieści, jak przystało na zaprzysiężonego czeladnika Cechu Kamieniarzy – rzekł Miedziak.

Usta Funderlinga drżały, lecz robił wszystko, by zapanować nad sobą, co nie bardzo mu wychodziło.

– Sforsowali ostatnią barykadę i teraz pędzą przed sobą Jaspisa i innych jak pchły piaskowe, mistrzu Miedziaku. To było straszne. – Odwrócił się do Vansena i pozostałych, jakby się spodziewał, że mu zaprzeczą. – Straszne! Płomienie i coś jak płonąca oliwa... wszędzie, krzyczący ludzie... i ten zapach, mistrzowie, zapach!

– Co to mogło być, medyku? – zapytał Vansen. – Chavenie, słyszałeś?

– Ach, a o czym rozmawiamy? Tak... płomienie. Pewnie jakaś mieszanka nafty i żywicy. – Medyk sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby myślami był gdzieś indziej. – Wojenny Ogień, jak go nazywali w Hierosolu. – Spojrzał na Vansena. – Nie obronisz się przed tym. Możesz jedynie próbować ugasić płomienie, ale ogień jest nie do powstrzymania.

– Nie wierzę – odparł kapitan. – Przed każdą bronią można się jakoś obronić, jak mawiał Murroy.

– Kto? – Medyk spojrział na niego zdziwiony.

– Nieważne. – Vansen odwrócił się do przestraszonego żołnierza, który wreszcie trochę się uspokoił. – Masz jakieś wiadomości od Jaspisa Młota? Żyje?

– Ja... nie wiem, ka-kapitanie. – Funderling, zdawszy sobie wreszcie sprawę, jak fatalnie się zachował, spoglądał zmieszany na Vansena. – Kiedy padł posterunek... a potem zostaliśmy zaatakowani... powinienem był...

– Pomyślałeś, że jesteś jedynym, który może przekazać wiadomości – odezwał się Cynober Rzęciowiec, który milczał do tej pory. – Rozumiemy, synu. Czy Dolomit wciąż był na swoim stanowisku, kiedy je mijasz? Zastanów się. Był tam? To dobrze. A teraz idź i poszukaj ogniska kwatermistrza. Da ci coś do jedzenia i znajdzie miejsce na odpoczynek. Zorganizujemy pomoc dla Jaspisa i pozostałych.

– Dzięk-dziękuję, magistrze.

Kiedy młody żołnierz odszedł chwiejnym krokiem, Malachit Miedziak od razu zabrał się do zbierania posiłków dla Jaspisa Młota i wydał polecenia, tak by odwrót do Ochrowej Sztaby nie zamienił się w chaotyczną ucieczkę.

– Szkoda, że tak łagodnie go potraktowałeś – powiedział cicho Vansen do Cynobra. – Praktycznie porzucił towarzyszy. Nawet nie zaczekał, żeby sprawdzić, czy dowódca przeżył...

– Oni nie są prawdziwymi żołnierzami, kapitanie – odpowiedział Cynober. – Są dzielni, ale nie mają wojskowego przeszkolenia. I raczej go nie zdobędą, bo nie mamy na to czasu. Ale w przyszłości postaram się, żebyś mógł ich lepiej dyscyplinować.

Teraz Vansen opuścił głowę trochę zawstydzony. Nie jest Funderlingiem, więc nie rozumie ich do końca. Czy to próbował powiedzieć mu Cynober? Kapitan powstrzymał się przed gorzką odpowiedzią. Wiedział, że nie czas na waśnie.

Przybywali kolejni żołnierze Jaspisa i Dolomita i mówili mniej więcej to samo co przestraszony młodziak, ale koniec ich opowieści był zaskakujący.

– Ludzie autarchy nas nie ścigali ani nie wykorzystali okazji, by nas całkiem rozgromić, kiedy zaczęliśmy się wycofywać. Nawet nie ruszyli za nami korytarzami w kierunku Ochrowej Sztaby i nie próbowali nam przeszkodzić w powrocie tutaj!

Vansen nic z tego nie rozumiał.

– Podczas odwrotu mogli zniszczyć co najmniej połowę naszych sił. Dlaczego tego nie zrobili?

Kiedy wreszcie wrócili Dolomit i Jaspis Młot, niepewnym krokiem i zakrwawieni, ale cali, potwierdzili słowa towarzyszy. Potem razem z Vansenem stanęli nad mapami, które przygotował Rogowiec, usiłując zrozumieć intencje napastników z południa.

– Widzicie, przyszedli pod zatoką tajemną drogą Burzowego Kamienia, Wielkim Wykopem – rzekł Malachit Miedziak, kreśląc na mapie kilka kresków kawałkiem węgla drzewnego. – Ale jeśli zamierzają zaatakować Miasto Funderlingów i dalej iść na zamek, to dlaczego ruszyli w dół przez Żelazny Korytarz? Ta droga donikąd ich nie zaprowadzi, tylko w Głębie.

– Trudno im będzie nas obejść, to będzie kosztowało dużo wysiłku. Musieliby iść całe mile wąziutkimi korytarzami, żeby dojść do świątyni z innej strony! – zauważył Cynober.

Vansen szeroko otworzył oczy.

– Na Młot Perina! – zaklął. – A zatem to prawda: autarcha zmierza do samych Tajemnic!

– Co skłania nas do niezwłocznego podjęcia strasznej decyzji – orzekł Cynober. – A właściwie mnie, jako że noszę astion Cechu. – Zachmurzył się, wyraźnie zmartwiony. – Za kilka godzin ludzie autarchy mogą przejść pod nami i pod Ochrową Sztabą. A wtedy będziemy mogli jedynie nękać ich od tyłu. – Zrezygnowany Funderling zwiesił głowę. –

Czy mamy wybór? Kapitanie, gdzie są ci czarodziejscy ludzie, którzy mienili się naszymi sprzymierzeńcami?

Vansen, który zdążył już trochę poznać Cynobra, domyślał się, jaki ciężar spoczywa na barkach Funderlinga i jak niewielu osobom byłby gotów on zaufać.

– Qarowie jeszcze nas nie powiadomili o swoich planach, ale wyślę kolejnego posłańca. A potem możemy tylko czekać – odpowiedział. – Tymczasem, magistrze, musisz podjąć decyzję co do waszych działań. Przepuście autarchę i pozwolicie mu wejść do Tajemnic, a my przystąpimy do obrony Miasta Funderlingów? – Uniósł dłoń, by powstrzymać głośnie jęki Cynobra i Jaspisa. – Wiem, jakie to dla was bolesne.

– To jest góra Xandos Funderlingów – odezwał się niespodziewanie Chaven. – Ich najświętsze miejsce.

– Wiem – odparł Vansen. – Pozwól mi dokończyć, Chavenie Makarosie. Możemy ich przepuścić i zachować nasze skromne siły do obrony Miasta Funderlingów albo też przygotować się przy Pięciu Łukach i spróbować zagrozić im drogę do Tajemnic. Mielibyśmy przynajmniej tę przewagę, że dobrze znamy teren.

– Ale przy takiej liczebności i uzbrojeniu, jakim oni dysponują, i tak nas pokonają – stwierdził Malachit Miedziak. – Żebyśmy nie wiem jak dzielnie walczyli, odepchną nas, to nieuniknione.

– Tak, a kiedy to zrobią, ustąpimy – rzekł Vansen. – Ale powoli i zabijemy, ilu się da. Skoro nic możemy wygrać... – pomyślał o swojej rodzinie, już prawie wszyscy pomarli, i o księżniczce, straconej dla niego od chwili jego skromnych narodzin – ...no cóż, równie dobrze mogę zginąć tutaj z wami jak gdzie indziej.

– Twoje słowa przynoszą nam zaszczyt, kapitanie Vansen – odpowiedział Cynober i uśmiechnął się smutno. – Ale czy rzeczywiście nie mamy wyboru? Poddać nasze najświętsze miejsce albo stawić opór i pozwolić, żeby nas zmasakrowano? Ponury wybór. – Sięgnął do kieszeni i wyjął czarny lśniący okrągły kamień, który przycisnął do piersi, nim położył go na stole. – Oto astion, pieczęć Cechu, o której wciąż rozmawiamy. Wysłuchajmy więcej opinii... wyjawcie swoje myśli! Nie będę dobrze spał bez względu na to, jaką decyzję podejmę, ale nie da się



tego uniknąć, jak wielu innych bolesnych rzeczy. Jak to mówią, im szybciej potłuczone, tym szybciej naprawione. Na Starszych! Szkoda, że nie ma z nami Rogowca Lideryta, bo przecież musimy też rozważyć jego szaloną propozycję. – Cynober westchnął. – Ach, nie pozostaje nam nic innego, jak wymieszać cement z piaskiem, który mamy. Powiedzcie mi, co myślicie, żebym mógł zdecydować, jak powinniśmy umrzeć.

\*\*\*

Popiół Saletrzak był młodszym bratem Siarki, najstarszego mnicha w świątyni, co jednak nie czyniło go młodym: w opinii Rogowca przypominał on jedną z tych wysuszonych żab, które czasem znajdowali w kieszeni kamienia metamorficznego. Mimo swego wieku brat Saletrzak zachował bystry umysł, a jego ruchy, nawet jeśli niezgrabne, to przynajmniej były żwawe. Co było bardzo ważne, ponieważ mnich był odpowiedzialny za operację, w której mogło zginąć wielu Funderlingów, gdyby coś poszło nie tak.

– Nie rozumiem cię, chłopcze – rzekł Saletrzak. Rogowiec nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś zwrócił się do niego w ten sposób. Mnich nosił grube osłony z miki, przez co jego oczy przypominały ogromne srebrne monety. – Na co ci więcej prochu wybuchowego? – Pokazał ręką za siebie, gdzie pracowało kilkunastu braci świątynnych. – Zobacz, oni już robią, co mogą, żeby dostarczyć proch dla bombard...

– Ale potrzebujemy więcej.

– Jak dużo? – zapytał Saletrzak.

Rogowiec wcześniej przeprowadził obliczenia, ale nie był pewny, na ile są dokładne. Problem polegał na tym, że nigdy wcześniej nie używano prochu w taki sposób i trudno było powiedzieć, ile jeszcze go potrzeba. Rogowiec chętnie skorzystałby z pomocy Chavena – medyk miał rozległą wiedzę – ale ostatnio trudno było go spotkać. Funderling się domyślał, że Chaven pomaga kapitanowi Vansenowi.

– No, Liderycie? Mam dużo pracy. – Saletrzak i bracia świątynni, których zatrudnił, zajmowali się dzieleniem prochu wybuchowego na bezpieczne porcje, co było bardzo odpowiedzialnym zadaniem, ponieważ składowanie substancji wymagało precyzji – zbyt suchy proch

mógł się łatwo zapalić od pojedynczej iskry, zbyt wilgotny oznaczał zmarnowanie całej pracy wydobywczej i pozbawienie Funderlingów groźnego narzędzia. Już teraz, zmuszeni magazynować go w tak dużych ilościach, poruszali się po nieznanym gruncie. I oto, za sprawą Rogowca, mieliby pójść jeszcze dalej.

– Jakież... dwieście beczulek?

Oczy Saletrzaka tak się powiększyły za osłonami, że powieki i rzęsy stały się niewidoczne.

– Dwieście? Powiedziałeś „dwieście”? Czyś ty oszalał? Ja uwijam się tutaj, żeby dostarczyć połowę tej ilości – takiego materiału nie da się po prostu ładować szuflą! Widziałeś kiedykolwiek rakietę, taką jak te, które puszczają w niebo podczas obchodów Zosimi? wyobraź sobie coś setki razy silniejszego w naszych ciasnych pomieszczeniach...

– Tak, tak, wiem. – Rogowiec wziął głęboki oddech i pokazał Saletrzakowi list z pieczęcią astionu. – Tak czy inaczej, potrzebuję tyle prochu, ile będziesz w stanie dostarczyć jak najszybciej.

– Absurd. Wybacz, Liderycie, ale to niemożliwe. Powiedz w Cechu, że musieliby mi przysłać dodatkowy tuzin pracowników do przesiewania prochu. Skądinąd wiem, że nie są w stanie spełnić mojej prośby, bo i tak mają za mało ludzi.

Rogowiec siedział w milczeniu długą chwilę. Jego pomysł był bardzo dziwny i stanowił ostatnią deskę ratunku. Nie mógł się spodziewać, że pracownicy od prochu zostaną przyłączeni do oddziałów walczących, szczególnie teraz, gdy sytuacja stała się tak trudna. Jak zauważył Saletrzak, mają za mało rąk do pracy.

– Mam do ciebie pytanie, bracie Saletrzaku – odezwał się niespodziewanie. – Czy wybuchowy proch musi być wyrabiany przez ludzi?

\*\*\*

– Boję się tej decyzji – rzekł Cynober Ręciewiec. – Bez względu na to, co zrobimy, coś bezpowrotnie ulegnie zniszczeniu.

Brat Nikiel ni to prychnął, ni to chrząknął, co miało wyrażać frustrację. Wezwano go ze świątyni, co go wcale nie ucieszyło, a jeszcze bardziej się zmartwił, gdy usłyszał, jaką mają podjąć decyzję.

– Wydaje mi się, że życie i spokój Braci Metamorficznych już zostały zakłócone, ale nie narzekamy – powiedział.

– Na Starszych, Niklu, przecież ty głównie narzekasz – odrzekł Malachit Miedziak. – A teraz, kiedy mamy podjąć decyzję, zamierzasz zacząć narzekać, zanim jeszcze nas wysłuchasz!

– Uspokójcie się – rzekł Cynober. – W ten sposób ani trochę nam nie pomagacie. Chawenie, prawie się nie odzywałeś. Nie masz nic do powiedzenia?

Medyk powoli wypuścił powietrze.

– Magistrze Rzęciowcu, tak czy inaczej, zrobimy to, co konieczne.

Cynober klasnął.

– W takim razie jako ten, który nosi astion, oznajmiam w imieniu naszego najwyższego Cechu Kamieniarzy, że nie mamy wyboru: musimy walczyć. Trzeba spróbować ich powstrzymać przed wejściem do Tajemnic.

Wiem, że ryzyko jest bardzo duże. Gdybym miał obstawiać, postawienie na nas miedziaka byłoby przesadą. Ale słyszeliśmy z różnych źródeł, że autarcha ma obsesję na punkcie naszych świętych Głębi, podobnie jak kapłani i czarnoksiężnicy, którzy nabili mu głowę bogami i czarną magią. Nawet nie wolno nam pomyśleć, że te wymysły mogłyby być prawdą. A przede wszystkim nie możemy oddać naszych najświętszych miejsc bez walki. Starsi spoczywający w swoich kamiennych łóżach przekleliby nas i potępili, i mieliby rację!

Nie, musimy stawić opór. Jest nas tysiąc, może dwa z tymi, którzy wciąż przybywają, ale będziemy mieli po swojej stronie Qarów, a widzieliście wszyscy, jak potrafią walczyć. – Na chwilę zwiesił głowę, wziął do ręki astion i schował za koszulą. – Będziemy bronić Tajemnic. Taka jest moja decyzja.

– A zatem świątynia pozostanie bez obrony? – spytał brat Nikiel tonem, który bardziej wyrażał rezygnację niż gniew.

– Zostawimy tu trochę ludzi – odpowiedział Cynober. – Lecz jeśli autarcha postąpi tak, jak sugerują Qarowie, nie będzie specjalnie interesował się świątynią ani nawet Miastem Funderlingów.

– Ten podziemny atak nie ma na celu zdobycia zamku – rzekł Vansen. – Teraz jasno widzimy, jakie zamiary ma Sulepis. Potrzebował zaledwie tygodni, żeby zdobyć wielki Hierosol. Nie chce mi się wierzyć, że nie poradziłby sobie podobnie z Zamkiem Marchii Południowej, zagarniając tym samym wszystko, co znajduje się pod nim, i wzięłyby nas głodem. Wyraźnie widać pośpiech w jego poczynaniach. Tak jak sugerowali Yasammez i Qarowie, coś gna go naprzód, choć mógłby osiągnąć swój cel w łatwiejszy sposób.

Miedziak spojrział na Vansena.

– Kapitanie, dlaczego nie ma z nami Qarów?

– Tego nie wiem – odrzekł Vansen i wstał. – Oni, tak jak zawsze, przyjdą w swoim czasie. Ważne jest to, że magister Cynober podjął decyzję. Wybaczcie, ale mam dużo pracy, a mało czasu. Południowcy niedługo znowu zaatakują. – Odwrócił się do pozostałych. – Spotkamy się tutaj po wieczornym posiłku. Niech bogowie mają w opiece nas i Zamek Marchii Południowej. Oraz Miasto Funderlingów – dodał pośpiesznie.

– Bez wątpienia będzie nam potrzebna czyjaś pomoc – stwierdził Chaven.

– Qarowie muszą tu przybyć – powiedział cicho Vansen, jakby mówił do siebie. – Bez nich polegniemy.

## Wygnańcy i Pierworodni

*Niedługo potem w Tessideme powstał kult  
starego Aristasa, którego wielbiono za mądrość,  
i małego Adisa czczono za pobożność.  
Mieszkali razem w chacie pod ogromnym  
bezlistnym dębem, a ludzie z wioski przychodzili  
do nich, by wysłuchać opowieści o bogach.*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Łódź unosiła się i opadała na falach Zatoki Brenna, a bryła zamku widocznego na tle księżyca wciąż się powiększała. Barrick widział wszystko o wiele wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej, nawet poprzedniej nocy. Wydawało się, że kamienie zamkowych falochronów jarzą się wewnętrznym światłem; właściwie nie było to światło, lecz intensywność kolorów i szczegółów, które teraz potrafił dostrzec w ciemności z dystansu setek łokci. I kiedy tak przesuwiał spojrzeniem po pęknięciach kolejnych kamieni, poczuł historię tego miejsca, która niczym oddech emanowała z jego wnętrza; zdumiewające prawdziwe historie bogów i ich sług wyłaniały się z najgłębszych zakamarków pamięci, jakby rosły tam w ciemności niczym grzyby.

Prastare legendy głosiły, że sam Hiliometes odwiedził raz to miejsce. Przysłała go Mesiya, bogini księżyca, by ukradł złotego jastrzębia, który jej strzegł i pilnował, by pozostawała więźniem swego męża Kerniosa. W czasach jeszcze wcześniejszych, zanim śmiertelnicy przybyli na te ziemie, Erivor walczył tam z potwornym wężem-bykiem Androphagasem i przebił mu serce włócznią. Niektórzy twierdzili, że cielsko Androphagasa stało się Górą Midlana, lecz według Strażników Żywiołów góra stała tu od zawsze.

Ostatnią Godzinę Przodka, jak Qarowie nazywali Zamek Marchii Południowej, tylko nieliczni Ludzie Zmierzchu odwiedzili w ciągu ostatnich stuleci, lecz w ich tradycji istniała od dawna. Ich wiedza o niej

– a także strach przed nią oraz przemożna tęsknota – spowijała wszystko, co widział Barrick, niczym gęsta mgła, lecz z milczącą pomocą Ynnira uczył się z tym żyć. Przebywając w Qul-na-Qar, niemal całkowicie przestał myśleć, by móc się uporać z niezwykle nowymi wspomnieniami. Teraz Barrick Eddon ostrożnie pozwalał, by Ognisty Kwiat stał się naprawdę częścią jego osoby.

Wpatrywał się w majaczące w ciemności mury i granitowe otoczaki na brzegu, zastanawiając się, w jaki sposób dostaną się do obleganego zamku, i nagle uzmysłowił sobie, dokąd zmierzają. Myśl ta niespodziewanie rozkwitła w jego umyśle.

– Boczne wejście z wody – powiedział głośno.

Saqri spojrzała na niego, a potem znowu skierowała spokojny wzrok na wodę. W blasku księżycy wyglądała jak rzeźba dziobowa.

Mury zamku wyrosły wysoko nad nimi. Rafe ostrożnie skierował rozkołysaną łódź na otoczaki zebrane na nabrzeżu w chaotycznych stosach, jakby pozostawiły je tam olbrzymy. Kiedy burta otarła się o kamienie, Muskający Wodę zanurzył długie ramię w wodzie i umocował łódź do skały. Chwilę później wyszedł na stożek z kamieni, niewyraźny mroczny kształt, który zacząłby przybierać postać z opowieści o Muskających Wodę, gdyby Barrick wpatrywał się w niego zbyt długo i zbyt nieostrożnie. Rafe odszedł kawałek i oparł się na szerokim nieregularnym kamieniu, który przypominał kręgiel żonglera, rozszerzający się ku wodzie, schowany pod napływającymi falami.

– Trzymajcie się mocno – ostrzegł Rafe. – Chłapnie.

Położył się na kamieniu, który ugiął się pod nim. Barrick wiedział, co się wydarzy, mimo to nie potrafił całkiem opanować zdumienia. Kamień powoli opadł na wodę, równie precyzyjnie jak wskazówki spiżowego zegara Funderlingów na wielkim Rynku. Był widoczny tylko w połowie, a jego przeciwwaga znajdowała się pod wodą po drugiej stronie, dzięki czemu jeden człowiek mógł otworzyć na zasadzie dźwigni – morskie boczne wejście, jeśli tylko wiedział, gdzie jest zasuwa.

Kamień opadł na wodę, a fale zakołysały łodzią jak kawałkiem kory. Rafe przesunął się na ławce, odwiązał łódź i przeprowadził ją przez przepust. Woda niosła ich przez kilka jardów, a potem Muskający Wodę ponownie ją przywiązał i uchwyciłszy się liny, który zwisała z

ciemności nad ich głowami, z łatwością wskoczył na kamień na środku kanału. Pod jego ciężarem głaz zanurzył się pod wodę, co sprawiło, że pierwszy kamień się podniósł i zasłonił wejście. Nagle zniknęło światło, poza migotliwą strużką sączącą się z góry. Pod sobą mieli czarną wodę, a ze wszystkich stron skały.

Rafe wrócił do łodzi i zapalił latarnię na dziobie, a potem, odpychając się wiosłem, przeprowadził łódź przez wąską szczelinę. Barrick czuł się zamknięty w skalnej skorupie, jakby otaczająca ich skała była ciałem żywej istoty, pogrążonego we śnie ogra albo smoka.

Przecież Zamek Marchii Południowej jest żywą istotą, uzmysłowił sobie księżę. Nie powiedziały mu tego głosy Qarów, ponieważ dla duchów Ognistego Kwiatu wszystko na świecie było tak samo żywe albo martwe – wydawało się, że dla nich różnica między „żywym” a „martwym” jest nieistotna. Barrick nie potrafił powiedzieć, skąd nagle to wie ani dlaczego wydaje mu się to ważne, ale zamek rzeczywiście żył na swój niepowtarzalny sposób. Stanowił żywy organizm. Bogowie, Qarowie, a nawet przybyli tu w końcu śmiertelnicy uczynili to miejsce sercem wydarzeń. Wszyscy oni się tu zjawiali, ponieważ miejsce to było tak ważne jak bijące serce.

Jak to się stało, że mieszkał tu przez całe swoje życie i o tym nie wiedział? Że jego przodkowie rezydujący tu przez wieki także o tym nie wiedzieli? Widzieli tylko te barwy, które dane im było oglądać. Ale teraz to się zmieniło, przynajmniej dla niego.

Barrick o tym wiedział, ale czy potrafił zrozumieć? I czy uczyniłoby to jakąś różnicę, gdyby zrozumiał?

\*\*\*

Krótką przejażdżka kanałem była jakby sennym odbiciem podróży ze Skały M’Helana, lecz tym razem otaczały ich nie wodne fale, lecz fale granitu spryskanego wapienną pianką. Płynęli tunelem wydrążonym w żywej skale, podążając za światłem latarni, aż dotarli do żelaznej kraty osadzonej w kamieniu, która zagroziła im drogę. Ze wszystkich stron ze ścian wystawały kamienne i gliniane rury, choć o tej porze roku były suche.

Rafe pokazał ciężką kratę pokrytą rdzą i błotem.

– Za nią są rozlewiska zamkowe, pod domami od strony laguny. A potem jest sama laguna. Ale wy tam nie popłyniecie. To zbyt niebezpieczne dla takich jak ty, Wasza Wysokość. – Spojrzał na Barricka i zaraz się poprawił skonfundowany: – Wasze wysokości, powinienem był powiedzieć, proszę o wybaczenie Egye-Vara.

– I co teraz? – zapytał Barrick.

– Czekamy. – Rafe wydawał się zadowolony z tego, że może im to oznajmić. Usiadł na dziobie i skrzyżował na piersi długie ramiona. Dachowcy usadowieni w pudle rozmawiali podekscytowani, przez co Barrickowi wydawało się, że siedzi tuż przy ulu pełnym ożywionych pszczoł. – Przyjdą i poprowadzą nas dalej.

Nie czekali długo. Barrick ich usłyszał, zanim Rafe się zorientował i zobaczył, jak zbliżają się do końca rury z małutkimi pochodniami, które nie były jaśniejsze niż płomień długiej świecy zapalanej w Dzień Sieroty. Kolejna grupa Dachowców – setki zgromadzone u wylotu rury.

Rafe gwałtownie wstał, aż łódź zakołysała się mocno, i podniósł pudło z zaskoczonymi pasażerami. Postawił je ostrożnie na ceglanej półce przy kanale i otworzył. Najpierw wyszli strażnicy Dachowców, którzy rozejrzeli się czujnie, a zaraz potem pojawiła się imponująca, choć nieco stłamszona postać księcia Kociołdomusa.

Grupa inżynierów Dachowców, najwyraźniej przygotowana do działania, opuściła rampę, by połączyć krawędź rury z ceglana półką, po której zeszli pozostali Dachowcy, przeważnie na własnych nogach, choć kilku dosiadało podskakujących ptaków. Ostatni był najbardziej wystrojony, a pasażerka miała imponujące nakrycie głowy, spod którego wystawały kręcone rude włosy. Małutki Dachowiec wyszedł przed nią i przyłożył do ust trąbkę.

– Witaj, Saqri z Ognistego Kwiatu, wielka królowo. Jej Grzmiąca Wysokość królowa Upsteepelat, władczyni Dachowców, Boazerian i Nadmorzan, wita cię z powrotem w twoim domu, Saqri z Prastarej Pieśni.

Wita cię z powrotem...? – zastanawiał się Barrick, lecz chwilę później zobaczył, jakby sam tam był kiedyś – bo przecież teraz wszystko to było częścią jego osoby, jak sobie uświadomił – młoda Saqri, smukła



jak brzoza, włosy ciemne niczym przestrzeń między gwiazdami, idzie prastarym korytarzem, który prowadzi do głębi pod zamkiem... A za tym obrazem, niczym lustrzane tafle odbijające obrazy z innych luster, córki z rodu Szachraja, wszystkie królowe Qul-na-Qar, kroczą z tyłu po tych samych schodach, każda z osobna, a zarazem stanowiąca część innych postaci, rozpościerające się w przyszłość i przeszłość... a przynajmniej w przeszłość.

– *Następnej może już nie być* – powiedział głos w jego głowie, wyraźny i znany. – *Kończy się wraz z nią...*

– *Ynnirze?* – zapytał, jakby można było zwrócić się do części własnego serca i myśli. Jednak obecność ślepego króla po chwili wygasła.

– Jesteś miła, siostró – odpowiedziała Saqri łagodnym, cichym głosem. Stojąca o wiele niżej Upsteeplebat uśmiechnęła się, podczas gdy Saqri kontynuowała: – Upłynęło zbyt dużo czasu, od chwili gdy nasze narody ostatni raz spotkały się w zgodzie.

Zebrani Dachowcy, nawet ludzie Kociołdomusa, szeptali z zadowoleniem i aprobatą. Barrick mógł się tylko domyślać, jak ważne dla tych ludzików jest równe traktowanie.

Mała królowa wzięła trąbkę od swojego herolda.

– Mamy wiele do omówienia – zwróciła się do Saqri. – Ale teraz musimy zająć się czymś innym, jeśli pozwolisz.

– Oczywiście. – Saqri skinęła głową.

– Księżę Kociołdomusie, mój drogi wuju, witamy cię serdecznie! – powiedziała królowa Dachowców.

Kociołdomus podszedł do niej, kiedy zsiadła z grzbietu pięknej szarej gołębicy przy pomocy sług. Patrzyła, jak podchodzi i klęka przed nią.

– Z całego serca dziękuję Panu Szczytu za ten szczęśliwy dzień.

Mała królowa pochyliła się i objęła brodacza, zachęcając go do powstania, a gdy to uczynił, jeszcze długo go ścisnęła.

– Zbyt długo dzieliły nas burzliwe wody – rzekła. – Ale teraz nasza rodzina znowu jest razem.

Rozległy się radosne okrzyki Dachowców, a stary księżę Kociołdomus, z oczami lśniącymi od łez, zamachał rękami i zawołał:

– I niech tak zostanie! Niech żyje Boazeria! Niech żyje Wielka Zielona Draperia! Znowu jesteście jednością!

– A zatem chodźcie – rzekła królowa Upsteplebat, gdy już ucichły okrzyki, i ponownie dosiadła gołębicę. – Przygotowaliśmy dla was miejsce w tunelach pod zamkiem. Nakarmimy was, a potem się zastanowimy, w jaki sposób możemy ci pomóc, wielka królowo Ludzi. – Odwróciła się do Barricka z uśmiechem na ustach. – I tobie, szlachetny Strażniku Ognistego Kwiatu. – Dała znak i cały kontyngent Dachowców, składający się z pieszych i konnych, zbrojnych, kobiet, dzieci i starców, wszedł po rampie z powrotem do ogromnej glinianej rury. Zostali tylko inżynierowie, którzy w mig rozmontowali rampę.

– Dokąd oni poszli? – zapytał Barrick.

– Niebawem ponownie spotkamy się z Upsteplebat – odpowiedziała Saqri.

– Ale dlaczego oni nie... my nie...?

– Nie mówiłem, że czekamy na nich – odezwał się Rafe, który dotąd trzymał się z tyłu. – Powiedziałem tylko, że czekamy.

– Na kogo? – zapytał Barrick, lecz Saqri nie odpowiedziała.

Uczynił to Muskający Wodę.

– Na kogoś innego. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Och, tak, na kogoś bardzo innego.

\*\*\*

Żona zagrodnika niechętnie wypuściła Qinnitan.

– Jesteś pewna, dziecko? Jeśli zostaniesz, zjesz z nami jeszcze wieczerzę.

Qinnitan żałowała, że nie włada lepiej tym językiem.

– Nie. Ale podziękowanie. I za podwiezienie też podziękowanie.

Zeszła z wozu.

Spotkała na drodze tę rodzinę z Blueshore i oddała im muła zabitego kapłana w zamian za dach nad głową, wikt i opierunek podczas podróży do miasteczka na wschodnim brzegu Zatoki Brenna. Farmer, który dowiadywał się u urzędnika portowego, gdzie może się rozłożyć na rybnym targu Onira Beccana, odpowiedział jej skinieniem głowy. Troje

z czwórki dzieci spało zmęczone po długiej jeździe, ale najstarsze pomachało jej nieśmiało na pożegnanie.

Ruszyła przez centrum miasta, nie zatrzymując się przy targu, aż doszła do murów i mogła spojrzeć w dół na port, który ciągnął się na północ wzdłuż postrzępionego brzegu szerokiej zatoki. Liczyła na to, że w gąszczu statków znajdzie taki, którego kapitan za pieniądze zabierze ją stąd bez zbędnych pytań. Ukradła trochę gotówki Daikonasowi Vo. Skoro Vo wiózł ją do obozu autarchy pod Zamkiem Marchii Południowej, to ona chętnie uda się w przeciwnym kierunku. Tylko co potem? Nigdy już nie będzie mogła wrócić do Xis, bo to oznaczałoby pewną śmierć. Hierosol, jedyne inne znane jej miasto, także pozostawał w rękach autarchy. Dokąd więc mogła się udać?

Qinnitan spojrzała nad wodami zatoki w zachodzące słońce, które jeszcze wisiało nad Zamkiem Marchii Południowej. Co jakiś czas wiatr przynosił niewyraźny grzmot i dopiero teraz dotarło do niej, że to strzały z dział. Broń autarchy zapewne, ta sama, która zrównała z ziemią mury Hierosolu. I oto ona stała oddzielona od niego jedynie wodami zatoki! Drgnęła gwałtownie i cofnęła się o krok, jakby się bała, że autarcha może wyciągnąć rękę i dosięgnąć ją z drugiego brzegu.

Wszędzie, tylko nie tutaj, pomyślała. Nie tak blisko.

\*\*\*

Targ Onira Beccana był najlepszym i największym rybnym targowiskiem w całym Blueshore, dlatego od prawie dwóch wieków znaczna część zysków ze sprzedaży ryb przywiezionych tam przez rybaków ze wszystkich miast wzdłuż Zatoki Brenna zasilała kiesę rodu Aldritchów. Było to pełne życia, dobrze prosperujące miejsce, nawet teraz, gdy wojna była tuż-tuż, i było to pierwsze prawdziwe miasto, jakie Qinnitan widziała od chwili opuszczenia Agamidu. Kiedy tak szła przez plac między kłócącymi się mieszkańcami Blueshore, między spieszącymi się kucharzami, stajennymi, karczmarzami i pijanymi marynarzami z Marrinswalk, zobaczyła oczyma wyobraźni nabrzeże Wielkiego Xis, które widziała tylko raz od czasów dzieciństwa, w noc swojej ucieczki z Samotni. Teraz może nie wywarłoby na niej takiego

wrażenia, ale gdy przypomniła sobie tłumy i wszystkie te widoki, odgłosy i zapachy, które nie mogły zaistnieć w takim połączeniu w żadnym innym miejscu na ziemi, poczuła ogromną tęsknotę za domem, za miejscami, gdzie dorastała, i ludźmi, których znała w dzieciństwie. Zaraz przypomniła sobie jednak, że rodzice właściwie ją sprzedali, a przyjaciel z dzieciństwa niemal doprowadził do śmierci, tak więc za czym właściwie tak tęskniła?

Mimo wszystko w porcie poczuła się szczęśliwa. Przypomniła sobie, jak kiedyś poszła z ojcem, żeby prosić o pracę dla starszego brata. Kiedy ojciec rozmawiał z zarządcą portu, mała Qinnitan oddaliła się od nich i spędziła cudowny czas w świetle marzeń, cudów i tajemnic. Spotkała wtedy człowieka sprzedającego małpy i innego, który oferował papugi, a potem jedna z małp uciekła i wdarła się do klatki z papugami. Ależ powstał harmider! Widziała też prawdziwą wiedźmę. Kobieta niosła nabrzeżem dwóch osiłków; była to starucha o okrutnym spojrzeniu, obwieszona złotymi naszyjnikami, z twarzą podobną do żółwia morskiego, na której widok ludzie odwracali głowy i wykonywali znak odczyniania zła albo spluwali na ziemię.

Qinnitan widziała też mężczyznę, który tańczył na szczudłach, mimo że nie miał nóg, i innego, który potrafił sam się podpalić i ugasić ogień – oczywiście obaj robili to za miedziaki. Widziała też tańczące i śpiewające dzieci, a wiele pewnie nie miało rodziców. Mimo że sama była wtedy bardzo młoda, trochę im zazdrościła.

Teraz, co najmniej dziesięć lat później, z dala od domu czy choćby od myśli, że kiedyś go miała, po raz kolejny doznała uczucia, że jest sama, ale nie samotna, jest sama i daje sobie radę. Bo co jej pozostało?

Niespodziewanie Qinnitan wpadła na coś i poczuła, że zaplątała się w fałdy ciężkiego płaszcza. Nie mogąc ruszać rękami, straciła równowagę i upadła, a potem poczuła, jak coś wielkiego przyciska ją do ziemi, wbijając jej kolano i łokieć w kocie łby z taką siłą, że aż krzyknęła z bólu, a nawet zaklęła cicho.

Mężczyzna wyplątał swój płaszcz, niemal rzucając dziewczynę na ziemię po raz drugi. Wreszcie się zorientowała, że wpadła na żołnierza i praktycznie go przewróciła. Jego koledzy, trzej inni żołdacy, pomogli mu wstać.

Przestraszyła się, gdy zobaczyła, jak na nią patrzą, ale dopiero gdy jeden z nich powiedział: – Przeklina na imię Nushasha! – uświadomiła sobie, że musiała coś powiedzieć w ojczystym języku.

Zanim zaczęła się domyślać, co czterech xiskich żołnierzy może robić na rybnym targu w Blueshore, mężczyźni ją otoczyli.

– A to zabawne, żeby znaleźć taką dzierlatkę na końcu świata – powiedział jeden z nich w języku xiskim zabarwionym delikatnie akcentem z południowej pustyni. – Słodka panienska z rodzinnych stron. Mogłaby być twoją siostrą, Paka.

– Uważaj, co mówisz – warknął jego towarzysz. – Ta mała dziwka nie jest moją siostrą. – Żołnierz chwycił Qinnitan za ramię i pociągnął za sobą. – Ale z pewnością musi odpowiedzieć na kilka pytań. Nie pamiętacie, głupcy? Mamy szukać dziewczyn w jej wieku, które mówią po xisku. To polecenie samego pierwszego ministra Złocistego. Gdybyś ją puścił, zaprowadziliby nas do kapłanów-kotów.

Pozostali żołnierze pochylili ze czcią głowy na wspomnienie imienia autarchy.

Qinnitan nie mogła uwierzyć w swojego pecha. Przerazona próbowała się wyrwać, lecz sierżant Paka trzymał ją mocno.

– Nie ma co się szarpać. Bo tylko zrobisz sobie krzywdę.

\*\*\*

Kiedy wreszcie wynurzyli się z ciemności, nie kroczyli w wojskowym ordynku jak Dachowcy, lecz w małej grupie: Yasammez, czarna jak krucze skrzydło, jej pierwsza eremitka Aesi'uah – imię to wpłynęło do myśli Barricka niczym echo – i dwie ogromne postacie – *głębinowe ettiny* – podpowiedziały Barrickowi szeptem głosy Ognistego Kwiatu, a tym większym był nie kto inny jak sam Młotostopy z Pierwszych Głębi.

Przez chwilę Saqri i jej po-wielekroć-stryjeczna babka stały wpatrzona w siebie, a potem Saqri podeszła bliżej i wyciągnęła ręce do Yasammez. Gdy ich palce się spotkały, znowu się zatrzymały, lecz to, co sobie w ten sposób przekazały, było głębsze niż najgorętszy uścisk. Trwało to długo, płynęła między nimi w milczeniu rzeka pełna znaczeń.

Barrick obserwował je, zamarłszy w bezruchu. Rafe pochwycił jego spojrzenie i uśmiechnął się, jakby to doniosłe pojednanie stanowiło niespodziankę przygotowaną przez niego osobiście. Z oblicza Młotostopego trudniej było cokolwiek wyczytać pomimo podpowiadających szeptów, które wypełniały głowę Barricka, ale dało się na nim dostrzec nieufność i niechęć.

Wreszcie Saqri i Yasammez odsunęły się od siebie i teraz Barrick mógł je porównać. Trudno było nie zauważyć rodzinnych podobieństw, ale i różnice były widoczne: na pierwszy rzut oka obie wydawały się być w kwiecie wieku, Saqri miała jednak bardziej okrągłą twarz o łagodniejszych rysach. Yasammez przypominała drapieżnika: długi nos, wysokie kości policzkowe, zewnętrzne kąciaki oczu uniesione, jakby stała na silnym wietrze. Jej czarna zbroja – miała ją na sobie z wyjątkiem hełmu – potęgowała groźne wrażenie.

Teraz Pani Jeżozwierz spojrzała uważnie na Barricka.

– Trudno uwierzyć, że Księga zawiera taki dziwny rozdział, ale oto widzę cię znowu – powiedziała, a każde jej słowo brzmiało jak uderzenie zimnej stali. – Zamierzałam tylko pokazać Ynnirowi, do czego został sprowadzony święty Ognisty Kwiat w żyłach śmiertelnych morderców, lecz on znowu mnie pokonał. Pan Wiatrów i Myśli jest najmądrzejszym tchórzem, jaki żył na tym świecie.

– On nie jest tchórzem – odpowiedziała spokojnie Saqri. – Za wcześniej, by oceniać jego poczynania.

– Zawsze miałaś słabość do brata – rzekła Yasammez. – Nawet wtedy, gdy ci powiedział, że przyniesie zgubę naszej linii. Chyba nie zaprzeczysz, że tak się stało?

– Tak jak powiedziałam, za wcześniej na osady. – Saqri skłoniła głowę na chwilę. – Ale nie chciałabym się sprzeczać z tobą o cokolwiek, kochana. Zobaczmy, co tutaj mamy i co ewentualnie możemy zrobić. Później będzie czas na rozważania, kto miał rację.

Yasammez nie mogła lepiej wyrazić swojej niechęci, lecz mimo wszystko jej twarz pozostała nieruchoma jak maska okolona zwichrzonymi czarnymi włosami.

– Być może później będzie czas już tylko na umieranie – odrzekła. – Ale nie tak pozdrawia się rodzinę i nie tak pragnę cię powitać, moje serce. – Po tych słowach odwróciła się i odeszła w cień.

Po chwili Saqri i Barrick podążyli za nią.

– Zawiadomię moich, że się zaczęło, dobrze? – zawołał za nimi Rafe. – Powiem im, żeby przysłali takich, co będą umieli gadać, kiedy przyłączą się do narady wojennej.

Barrick nie wiedział, co powiedzieć, a żadna z kobiet najwyraźniej nie widziała potrzeby, by odpowiedzieć Muskającemu Wodę.

– W porządku – rzucił Rafe pogodnym tonem. – W takim razie biorę się do roboty.

\*\*\*

Znajdowali się pod Zamkiem Marchii Południowej, nawet pod Miastem Funderlingów! Barrick nigdy nie podejrzewał, że może tam być cokolwiek poza skałą. Sądził, że znaleźli się między korzeniami samej ziemi!

Siedząc na poduszce w namiocie Yasammez, gdzie Saqri i Pani Jeżozwierz ponownie pograżyły się w rozmowie bez słów, Barrick poczuł całą historię tego miejsca, a przynajmniej tyle, ile wiedział o niej ostatni Qar, który chodził po tej samej ziemi co bogowie. Dowiedział się, że Kernios – Pan Ziemi – dokonał tu żywota z rąk Szachraja, przebiegłego boga zwanego przez śmiertelników Kupilasem. Że pieczara, w której teraz stał namiot, pośrodku obozu Qarów, nosiła kiedyś nazwę „Migoczących rozkoszy” i służyła jako ogród Immona, strażnika bramy, jednak ówczesne wnętrze pieczary nie było już widoczne, a przynajmniej ukazywało się w bardzo nieregularnych odstępach.

Saqri się wyprostowała. Wcześniej włożyła swego rodzaju zbroję, nie tak gęsto nabijaną ćwiekami jak pancerz Yasammez i w barwach kremowych zmąconych odcieniami szarości i błękitu.

– Nie wiem, dlaczego wciąż tyle przede mną ukrywasz – rzekła królowa, a Barrick usłyszał jej słowa, co oznaczało, że chciała, by tak się stało.

– Bo wciąż nie jesteś sobą – odpowiedziała Yasammez surowym tonem, lecz wyostrzone pojmowanie Barricka pozwoliło mu usłyszeć w jej głosie także nutę naglącej potrzeby, niemal prośby.

– Wolno mi zapytać, o czym mówicie? – zapytał. – Może pani Yasammez – której oczywiście jestem wdzięczny za to, że uratowała mi życie – uważa teraz, że lepiej bym się przydał jako martwy przykład dla innych niż jako żywy książę. Ale jestem tutaj i, na dobre czy na złe, wasz Ognisty Kwiat płonie w moich żyłach, w moich, pani. Proszę więc, byś ze mną rozmawiała, jeśli cenisz moją dobrą wolę. Mam już dość zastanawiania się nad tym, co się właściwie dzieje.

Saqri uśmiechnęła się, nawet jeśli od niechcienia.

– Zaczekaj jeszcze trochę, potem zajmiemy się rozmawianiem, w dużej mierze ze względu na ciebie, Barricku Eddonie.

Gdy to mówiła, do namiotu zaczęli przybywać kolejni Qarowie, milczący i czujni jak zwierzęta, a w przypadku niektórych milczenie potęgowało groźny wygląd. Przybyli Strażnicy Żywiołów spowici w runiczne szaty, spod których i tak dobywało się jarzenie ich wewnętrznego światła, jasnoocy Oszuści, Zmieniający się, Ludzie Kamienego Kręgu – z których każdy mógłby być bliźniakiem małego Harsara z Qul-na-Qar – gobliny, drowy i Górskie Korbole; przychodzili po dwóch lub trzech i zajmowali miejsca na obrzeżu namiotu. Po nich zjawiała się delegacja Muskających Wodę. Był wśród nich Rafe, który przyniósł z łodzi pudło. Pomimo słabego światła Barrick dostrzegł kilkunastu Dachowców, którzy stali przy poręczy pudełka niczym pasażerowie statku wypatrujący brzegu.

A gdzie są Funderlingowie? – zastanawiał się.

– Wysłuchajcie mnie! – przemówił głośno dźwięczny głos w języku śmiertelników. To była Aesi'uah, najważniejsza eremitka Yasammez, lecz jej pani nawet nie podniosła wzroku, gdy doradczyni zabrała głos. – W imieniu mojej pani Yasammez nakazuję wam odłożyć broń i wszelkie waśnie, w tym domu mile widziany jest każdy, kto jest nastawiony pokojowo.

Jej słowa odbiły się echem w umyśle Barricka, niczym zagubione w meandrach czasu tradycyjne powitanie, wspomnienie innych burzliwych dni, które zdawały się powracać.



– Armia autarchy Sulepisa stoi pod murami zamku – mówiła dalej Aesi’uah. – Sprowadził on maszyny, jakich świat nie widział od dnia bogów, ogromne działa, które kruszą kamień. Wyhodował potwory. Chował nawet żywe dzieci Wygnańców, by służyły jak zwierzęta, a wszystko po to, by obudzić z wiecznego snu boga, którym według niego jest Biały Ogień, a którego sam Sulepis nazywa Nushashem. Chce go zmusić, by odtąd posługiwał się swoją niezrównaną mocą wedle jego życzenia. – Na chwilę opuściła głowę. – Przygotowywał się do tego starannie. Wierzmy, że ma dość siły, by zrealizować swoje zamiary.

– W jaki sposób miałby rozkazywać bogu, nawet gdyby udało mu się go obudzić? – zapytał jeden z Muskających Wodę i wstał. – Egye-var przemawia do nas za pośrednictwem sióstr i Łuski, mimo to nie potrafimy zapanować nad nim bardziej niż nad bezmiarem oceanu.

– Południowiec uważa, że zna sposób zmuszenia boga do posłuszeństwa – rzekła Saqri siedząca obok Yasammez. – Rozchodzące się kręgi jego badań – nie obrażając Turleya Długopalcego i jego ukochanego oceanu – były wyczuwalne w Głębokiej Bibliotece, a nawet wśród bardziej wrażliwych żywych. – Zamilkła, a Barrick nagle wyczuł, że miała na myśli samą siebie, że jej długi sen i wypełniające go marzenia nie zawsze były spokojne i przyjemne. – Nie wiemy, w jaki sposób ten śmiertelnik zamierza zapanować nad bogiem, ale po tym wszystkim, czego dotąd dokonał, byłoby głupotą zakładać, że nie potrafi zrealizować swojego planu.

– W takim razie, za pozwoleniem kolegów monarchów – zawołała malutka królowa Upsteeplebat przez trąbkę – jaki sens ma nasze spotkanie? Autarcha już minął te korytarze i zdążył ze swoimi ludźmi do Głębi, by wdrzeć się do świętego miejsca Funderlingów – Lśniącego Człowieka.

– To jest święte miejsce nie tylko Funderlingów – rzekła Saqri. – Bez względu na to, za którymi bogami pójdziemy, ten uwięziony w Lśniącym Człowieku wyzwolił nas wszystkich z niewoli. Bez niego bogowie wciąż by nami rządili.

– Czy to byłoby aż tak straszne, pani? – zapytał Turley. – Nasz bóg często do nas przemawia i wyświadcza nam samo dobro.

– Być może nie pamiętasz, jak to było, kiedy bóg morza bardziej aktywnie uczestniczył w wielu wydarzeniach – powiedziała Saqri. – Ale zakładam, że zawsze był najspokojniejszym spośród braci, a jego moc pochodziła nie tylko z siły, lecz także z mądrości. Tak czy inaczej, obawiamy się nie tyle powrotu bogów, choć nie można tego lekceważyć, ile przerażającej myśli, że śmiertelny szaleniec mógłby kontrolować moc istoty nieśmiertelnej.

Potem znowu głos zabrała Aesi'uah i opowiadała o rzeczach, o których Barrick już słyszał. Podała jednak nowe szczegóły, zapewne odkryte niedawno, jak choćby relacja z wizyty autarchy na Skale M'Helana i jego rozmowy z Hendonem Tollym. Kobieta Tych, Którzy Nie Śpią przekazała ją słowo w słowo cichym spokojnym głosem. Podobnie jak Saqri, od czasu do czasu mówiła też o rzeczach nieznanych Barrickowi albo znanych jedynie pobieżnie. I tak przedstawiła historię Szachraja i opowiedziała, w jaki sposób pokonał on bogów. Była to całkowicie odmienna wersja opowieści, którą Barrickowi przekazał kruk Skurn, pełna dziwnych szczegółów wywołujących w jego umyśle ciche echa głosów Ognistego Kwiatu.

Czasami odzywali się Muskający Wodę i malutcy Dachowcy, a Barrick powoli się przekonywał, jak mało wiedział o królestwie ojca, a w szczególności o jego stolicy.

– Przychodzi nam do głowy pewne pytanie – odezwała się wreszcie królowa Upsteeplebat. – Gdzie są Funderlingowie? Gdzie są kamieniarze? Dzieci Egye-Vara są tutaj, jak i ci, którzy czczą Pana Szczytu... – Pokazała na Dachowców. – Ale gdzie są słudzy starego Karisnovoisa, Króla Błota i Skały?

Aesi'uah spojrzała na swoją panią, lecz to królowa Saqri odpowiedziała:

– To po części powód naszego spotkania. W tej chwili Funderlingowie głęboko pod nami walczą, by obronić miejsce nazywane przez nich Tajemnicami, a przez nas Krwią Przodka, przed autarchą i jego hordą.

– Jak to walczą? Pod nami? – Barrickowi ani trochę nie spodobało się to, co usłyszał. – Siedzimy tu i rozmawiamy, podczas gdy autarcha jest już na dole?

Yasammez się poruszyła.

– Za późno, by udawać niewinność, ostatni nosicielu Kwiatu – powiedziała zimno. – Stań i mów albo zachowaj spokój. – Po tej enigmatycznej uwadze na chwilę wbiła w niego spojrzenie, a potem znowu opuściła głowę.

– Chętnie wysłuchamy odpowiedzi, jakiej szuka także ten młodzieniec – rzekła Upsteeplebat. – Ale najpierw chcielibyśmy poznać jego imię.

Barrickowi wydało się dziwne, że bierze udział w spotkaniu niemal stu dusz we własnym zamku – czy może raczej pod nim – i pozostaje anonimową osobą. Ukłonił się malutkiej urodziwej kobiecie.

– Jestem Barrick Eddon, syn króla Olina, Wasza Wysokość. Jestem księciem... teraz jedynym... Marchii Południowej.

Pomruki zdziwienia mieszały się z gniewnym szemraniem. Szemrali głównie Muskający Wodę. Turley, ich przywódca, wyraźnie zmartwiony odwrócił się do Barricka.

– Wybacz, książę, żeśmy cię nie poznali. Moja córka dobrze mówi o twojej rodzinie, a zwłaszcza o twojej siostrze, której pomogła opuścić zamek.

– O mojej siostrze? Briony? – Barrick potrzebował chwili, by w pełni dotarło do niego imię siostry. Teraz Briony zdawała się... jakby pomniejszona, zajmowała w jego pamięci i myślach mniej miejsca niż kiedyś, jakby dzieliła ich mgła. – Naprawdę jest tutaj?

– Żyje – powiedziała Saqri. – Ale nie potrafię odkryć, gdzie jest. W tych dniach niepokój pogrążonych we śnie bogów zakłóca wszelkie dary prababki Pustki, a najtrudniejsze stało się dalekowidzenie i mówienie. – Rozłożyła ręce w geście „morze jest spokojne”. – Później powiem ci wszystko, co wiem, ale teraz mamy do omówienia inne sprawy, ważniejsze nawet niż bracia i siostry. – Spojrzała na Yasammez, jakby chciała jej coś powiedzieć, lecz zaraz odwróciła się do pozostałych. – Funderlingowie i ludzie, którzy walczą u ich boku, są głęboko pod nami w miejscu zwanym Labiryntem i próbują powstrzymać Sulepisa oraz jego żołnierzy i potwory. Szybko umiera godzina, w której możemy im jeszcze pomóc. Wydaje się, że zbliżamy się do ostatecznej rozgrywki.

– Po tośmy się połączyli – rzekła Upsteeplebat przez swoją trąbkę. Zapadła cisza, bo wszyscy chcieli ją usłyszeć. – Wygnańcy i Pierworodni, zwykli ludzie i wysoko urodzeni z kręgu Ognistego Kwiatu, połączyliśmy się, by walczyć o nasz dom. Dlaczego więc tracimy czas na rozmowy? – Wyjęła z pochwy cieniutki srebrny pręcik srebra i uniosła wysoko. – Zaświadczam swoim mieczem, że moi ludzie gotowi są zaryzykować życie.

Z pudła popłynęły gromkie okrzyki, które zagłuszył Turley Długopalcy. Wstał i ponownie zabrał głos:

– Wszystko pięknie, ale po co mielibyśmy to robić? Jaką korzyść będzie z tego miał nasz klan, skoro możemy się stąd wynieść przed kolejnym przyływem i znaleźć inne miejsce, gdzie dalej będziemy łowić i uprawiać naszą sztukę?

– Potrzeba czegoś więcej, by podjąć decyzję i wesprzeć nas w walce... – zaczęła Saqri, lecz Yasammez niespodziewanie wstała, szybka i złowieszcza jak czarna chmura na horyzoncie.

– Człowiek wody ma rację, mówiąc, że to nie jest sprawa jego ludzi – oznajmiła. – Ale myli się co do powodu. – Najeżona ćwiekami zbroi rozejrzała się po namiocie, a jej gniew wydawał się niemal namacalny. Niektórzy spośród śmiertelników wręcz się skulili, kiedy spoczęło na nich jej spojrzenie. – Muskający Wodę nie powinni walczyć – tak jak nikt z was nie powinien – ponieważ to nie ma sensu. Nie da się obrócić w zwycięstwo tej klęski, ponieważ są to ostatnie chwile Długiej Porażki. Prastare przeprosiny powinny zostać złożone i przyjęte przez tych... – spojrzała na Saqri – którzy wierzą w takie rzeczy. Ale pozostali powinni wrócić do swoich rodzin i spędzić z nimi ostatnie godziny. Na tę chorobę nie ma lekarstwa. Przed nami już tylko śmierć. – Dotknęła długimi bladymi palcami czerwonego jak żar kamienia na piersi. – Tak mówię jako ta, która nosi Pieczęć Wojny. – Nie powiedziała tego w gniewie, lecz głosem spokojnym, który wyrażał przerażającą pewność. – Ci, którzy zignorują moje słowa, niebawem i tak się przekonają, że mówię prawdę.

Nic więcej nie dodawszy, wyszła z namiotu, który wypełniła pełna konsternacji cisza.

## Komedia

*W tamtych czasach trudno było spotkać człowieka z powodu strasznego zimna, jakie nastąpiło po Teomachii, po tym jak Zmeos, zazdrosny bóg słonecznego ognia, został pokonany przez swoich trzech braci, Perina, Erivora i Kerniosa...*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Ferras Vansen ledwo potrafił usiedzieć na miejscu.

– Gdzie oni są? Gdzie są Qarowie? Myślałem, że zawarliśmy porozumienie!

Straszna Yasammez oczywiście pozostawała poza wszelkim rozumieniem, ale jej doradczyni Aesi'uah obiecała, że Qarowie będą walczyć u boku Vansena i Funderlingów – bo co innego mogli zrobić Ludzie Zmierzchu?

– Nic nie szkodzi. Mogę jeszcze trochę na nich poczekać – rzeki Cynober. – Przynajmniej zdążę włożyć zbroję. Gdzie jest mój syn, Kalomel? Miał mi pomóc. – Magister pokręcił głową ze smutkiem. – Nie nosiłem zbroi od czasów młodości i służby w oddziale strażników. Nawet jeśli jeszcze się w nią zmieszczę, to obawiam się, że nie pamiętam, który rzemień idzie do której sprzączki... Kalomelu? Gdzie jesteś, chłopcze? – Kiedy wreszcie młody Funderling się zjawił, jego ojciec powiedział: – Idź i przygotuj wszystko, synu. Już czas.

Kalomel odszedł szybko.

\*\*\*

Strażnicy przyprowadzili posłańca Qarów do Vansena i pozostałych dowódców.

– Cynk? Ciebie przysłali? – spytał Malachit Miedziak.

Zdziwiony Vansen podniósł wzrok, gdy drow wszedł do prowizorycznego stanowiska dowodzenia. Lubił Cynka, ale dlaczego Qarowie wysłali w charakterze posła zwykłego zwiadowcę, skoro mieli wielu takich jak Aesi'uah, którzy równie dobrze władali językiem śmiertelników?

Brodacz przywitał się krótkim skinieniem głowy. Jego pozbawiona wyrazu lisa twarz wydawała się jeszcze bardziej nieodgadniona niż zwykle.

– Magistrowie, kapitanie. Przynoszę wam pozdrowienia od Pani Yasammez.

– Cieszę się, że nas pozdrawia, ale przede wszystkim muszę wiedzieć, co zamierza – odrzekł Vansen. – Dała mi do zrozumienia, że autarcha jest także jej wrogiem. Sulepis nie ustaje w atakach, a my próbujemy bronić Tajemnic, lecz wciąż się wycofujemy.

– Tak, wiemy – rzekł Cynk.

– W takim razie co będzie? Przyjdzie? Czy twoja pani stanie przy nas, jak obiecała?

Vansen dostrzegł w czarnym oku drowa iskrę niezadowolenia, a może nawet grymas rozpaczony przebijający się z gąszczu brody, i poczuł, jak jego serce zamiera na moment.

– Nie, kapitanie – odpowiedział Cynk. – Ona nie przyjdzie.

– Co? – Cynober postąpił do przodu, ciągnąc za sobą niezapięte rzemienie zbroi. – Nie przyjdzie? Przecież daliśmy jej schronienie w naszych tunelach, wszystkim wam daliśmy schronienie, kiedy przybył autarcha! A ona tak nam odpłaca? Zostawia nas samych?

– Wybacz, magistrze. – Cynk odwrócił się do Vansena i ukłonił się. – Kapitanie. – Stał wyprostowany i wpatrzony przed siebie, mimo że nie miał na co patrzeć; żołnierz zawsze pozostaje żołnierzem, nawet jeśli jest Qarem. – Żałuję, że przynoszę takie wieści. Jesteście dzielnymi wojownikami. Nie mam nic więcej do dodania. Powodzenia.

Vansen patrzył, jak drow odchodzi w chaosie likwidowanego obozu. Niektórzy Funderlingowie spoglądali na niego z przesadnym strachem. Jeszcze pół roku wcześniej drowy i Qarowie byli postaciami z opowieści, którymi straszono się dzieci. Teraz jak najbardziej prawdziwi chodzili między nimi.

Prawdziwi i tchórzliwi, pomyślał wściekły Vansen. Powinien się domyślić, że Pani Jeżozwierz jest zbyt dumna i mściwa, by wyzbyć się nienawiści wobec śmiertelników! A teraz on sam niejako zdradził swoich sojuszników, obiecując im pomoc, która nie nadeszła...

– Na jaja Braci! – wycedził rozwścieczony i zawstydzony. – Cynobrze, zawiodłem was. Jestem gotów przekazać dowództwo Miedziakowi, jeśli mi pozwolisz.

– Niczego takiego nie zrobisz – odpowiedział zaskoczony Malachit Miedziak, zakrztusiwszy się wodą, którą akurat pił.

– On ma rację – rzekł Cynober. – Nie zrobisz tego, kapitanie. Umieściliśmy cię na podnośniku dowódcy, ponieważ najlepiej się nadajesz do tego zadania. – Po omacku wyciągnął rękę po kolejny element zbroi, który podał mu Kalomel; jego dłoń wyraźnie drżała. – Udowodniłeś to. Na Starszych, kapitanie Vansen, obwiniasz siebie o to, że Qarowie nie przybędą? Gdybyś nie ryzykował życia, by doprowadzić do rozejmu z nimi, wciąż byśmy z nimi walczyli, tak samo jak z tym parszywym autarchą! – Cynober wyglądał na przybitego. – Wybacz, chłopcze. Nie mów mamie, że tak się wyrażałem przy tobie.

Kalomel się zarumienił.

Vansen pokręcił głową.

– Nie usprawiedliwiał mnie tak szybko, magistrze. Może gdybym nie interweniował, teraz Qarowie i autarcha walczyliby ze sobą?

– Nie bądź głupi – rzekł Malachit. – Nikt nie postąpiłby inaczej, a tylko ty się tego podjąłeś.

– Po raz kolejny nasz stary przyjaciel Miedziak ma rację – zgodził się Cynober, machając ręką. – Dość gadania. Powiem tylko, że nie pozwolimy ci oddać dowództwa, kapitanie Vansen, i wiedz, że moi ludzie długo będą pamiętać, co dla nich zrobiłeś. – Zamilkł na chwilę i zaraz dodał: – Jeśli Starsi pozwolą im przeżyć.

Vansen, który miał swoją wersję tego powiedzenia, przytaknął.

– Mądry żołnierz nie zakłada, że bogowie okażą mu miłosierdzie. – Czuł się ogromnie przygnębiony. – No cóż, skoro czarodziejscy nie przyjdą, to nie mamy na co czekać. Jest tu jeszcze coś do zrobienia?

– Ja. – Cynober, zaciskając zęby, mocował się z napierśnikiem.

Kalomel szybko pomógł mu przyciągnąć rzemienie.

– Jest już prawie gotowy, kapitanie.

– I przystojnie wygląda ten nasz Cynober – zauważył Malachit Miedziak pogodnym tonem, jakby właśnie nie otrzymali wiadomości, że nie dostaną wsparcia. – Ani trochę nie przypomina tłustego mieszczucha, który zapomniał, czego się nauczył w straży.

– Jasne. Jestem pewny, że gdy tylko ludzie autarchy mnie zobaczą, od razu wezmą nogi za pas – odrzekł Cynober, ale nikt się nie roześmiał.

\*\*\*

Zamienił się w zwierzę, z ostrymi zębami, szorstką sierścią i włosiem. Czuł jej zapach. Wiedział, że żołnierze zabrali ją na drugą stronę zatoki – jej zapach powiedział mu wszystko. Czuł nawet ciepłą krew, która trysnęłaby, gdyby ją złapał i zaczął szarpać zębami...

Daikonas Vo zadrżał i zamrugał gwałtownie. Nie, nie był zwierzęciem, tylko człowiekiem, mimo że momentami coraz trudniej było mu sobie o tym przypomnieć. Rozejrzał się po ludziach zgromadzonych tłumnie dookoła. Niektórzy gapili się na niego. Mógł się tylko domyślać, jak wygląda. Ale co właściwie próbował sobie przypomnieć?

Ach tak. Dziewczyna. Dziewczyna z Samotni. Nie czuł jej zapachu, to tylko szaleństwo przez niego przemawiało, ale widział, jak żołnierze odprowadzają ją do łodzi, która odpłynęła ku Zamkowi Marchii Południowej. Wiedział, dokąd zmierzają – do autarchy, tego cudownego, potężnego, zdradliwego, zbrodniczego autarchy...

Ważne było, żeby pamiętać o rzeczywistości i bronić się przed obłędem. Vo wiedział, że jeśli straci kontrolę nad sobą, naprawdę zamieni się w zwierzę – martwe, jak ścierwo kundla porzucone przy drodze. Ale zdarzały się chwile, kiedy rzeczywiście wyczuwał zapach dziewczyny bez względu na to, jak daleko się znajdowała – niemal potrafił sobie wyobrazić jej woń unoszącą się za nią, kiedy biegła, rozsnutą w powietrzu niczym zerwana nić pajęczyny, słabnącą, ale utrzymującą się na tyle długo, by owinać się wokół niego, niczym mgłą, i poprowadzić dalej...



Otrząsnął się ze swoich myśli w chwili, gdy już miał zacząć wyć. Słońce świeciło jasno, a jego czaszkę rozsadzał ból, jakby rozłupano mu ją dłutem. Ludzie wokół niego się rozstępowali, inni wpatrywali się w niego przestraszeni. Domyślił się, że znowu mówi do siebie.

Opuścił głowę i ruszył przed siebie.

Próbowała go zabić. To wspomnienie dodawało mu sił, kiedy ból stawał się nie do zniesienia. Oczywiście nie była to najgorsza rzecz, jaką zrobiła, w rzeczywistości był to mało istotny szczegół przypominający mu jedynie o tym, jaki stał się powolny. Lecz próbując go zabić, wylała całe słodkie czarne lekarstwo, jedyne, które uspokajało dręczące go monstrum, jakie w jego wnętrznościach zostawił autarcha. Teraz niewyobrażalny ból nasilał się z każdą godziną. Vo próbował innych rzeczy, ziół, które zbierał w lesie, a potem, kiedy już dotarł do wiosek i miasteczek, rozmaitych medykamentów. Zdobywał je od aptekarzy i uzdrowiaczy, kradnąc im je po prostu albo mordując ich bez wahania w razie potrzeby. Ale nawet najbardziej uczeni doktorzy w tym kraju w najlepszym wypadku jedynie znali nazwę mikstury Malamenasa Kimira, lecz nie mieli pojęcia, jak ją sporządzić. Gdyby nie pewność, że umrze, zanim zdąży wrócić do Kimira w Agamidzie, ruszyłyby w drogę powrotną. Niestety, została mu tylko jedna możliwość uśmierzenia bólu: wierzył, że uda mu się przekonać Sulepisa o swojej przydatności, tak by ten uwolnił go od tortur.

I tak Daikonas Vo szedł nabrzeżem Onir Beccan, kierując się do portu. Mijał obojętnie kolejne apteki, bo miał mało czasu i nie chciał się już rozpraszać. Z każdą godziną było mu coraz trudniej zebrać myśli. Momentami jego umysł przypominał ciemną pieczarę pełną piszczących nietoperzy. Kiedy indziej chwyciły go tak silne kurcze w nogach, że zwał się bezradnie na ziemię, ale zawsze zdołał się podnieść.

Ktoś wydawał dziwne odgłosy. Charczał, mrużąc coś niewyraźnie.

Oczywiście to on sam. Vo zaśmiał się mimo bólu. Dziwnie się czuł w szaleństwie, ale bywało gorzej.

\*\*\*

Starając się zignorować palący ból we wnętrznościach, obserwował nieduży statek, na którego pokład zamierzał się dostać. Właśnie wciągano dźwigiem zapasy do ładowni, a półnaczy mężczyźni ciągnący za liny pokrzykiwali do siebie. Uda mu się? Mało prawdopodobne: obecność xiskich żołnierzy na statku sugerowała, że autarcha po prostu go zarekwirował, co bardzo utrudni wślizgnięcie się pod pokład, szczególnie że Vo był w takim stanie.

Kiedy już pogodził się z myślą, że poczeka na inny statek, nagle przypomniał sobie o dokumencie, który dał mu stary Vash – glejt autarchy. Dziwne wydało mu się wspomnienie tamtej chwili, jakby to przydarzyło się komuś innemu. Dokument mu się przysłużył, kiedy w Hierosolu przejmował pierwszy statek, teraz mógłby to zrobić ponownie... jeśli wciąż ma glejt...

Na szczęście ostatnio przez większość czasu Daikonas Vo nie miał dość oleju w głowie, by pamiętać o nieprzemakalnej torebce schowanej za pasem, dlatego wciąż tam była. A w niej dokument, choć pismo nieco się rozmazało po tym, jak Vo musiał płynąć wpław z kutra Vilasa do brzegu. Glif w postaci sokoła Sulepisa III pozostał jednak wyraźny, a jasnoczerwony atrament wskazywał, że nie jest to kopia, lecz oryginał podpisany przez samego autarchę. Ściskając w ręku podniszczony pergamin, skierował się prosto do statku. Pilnował się, żeby nie zawyć, pomimo upału i bolesnego żaru w żołądku.

*Mulasim*, oficer, który zszedł po trapie przywołany przez marynarzy, był starym wygą, jakich Vo spotkał tysiące. Podczas gdy oglądał dokument, nie ukrywając podejrzliwości, żołnierze za nim lustrowali samego Vo. On nawet nie próbował wyobrazić sobie, jak wygląda, lecz ta jego część, która potrafiła jeszcze myśleć mimo bólu, mówiła mu, że przedstawia sobą paskudny widok. Pomyślał, że nawet jeśli oficer nie zakwestionuje autentyczności dokumentu, to może dojść do wniosku, że Vo ukradł go prawdziwemu posłańcowi.

– Wysłuchaj mnie – powiedział, zbierając wszystkie siły, by mówić spokojnie i składnie. – Odniosłem straszne rany w służbie autarchy. Mam mu do przekazania ważne informacje, których on potrzebuje @n a t y c h m i a s t. Przysięgałem Złocistemu wierność. Jeśli nie zechcesz zabrać mnie do jego obozu, nie pozostawisz mi wyboru: będę

musiał was zabić i zjeść wasze serca i wątroby, żeby mieć dość sił na przepłynięcie Zatoki Brenna.

Jego słowa musiały zabrzmieć przekonująco, bo kiedy statek opuszczał Onir Beccan z wieczornym odpływem, Vo znajdował się na jego pokładzie i miał na nim dużo miejsca tylko dla siebie.

\*\*\*

Pomimo niebezpieczeństw – bardzo licznych – Matt Tinwright czuł się wspaniale, mogąc wyjść poza mury rezydencji w nocy sam. Oczywiście niebezpieczeństwa czyhające w twierdzy wewnętrznej były niczym wobec tych z twierdzy zewnętrznej, tak przepelnionej wygłodniałymi i przestraszonymi ludźmi, że chadzając tam w nocy, człowiek ryzykował życie, nawet gdyby akurat nie spadał deszcz pocisków z dział autarchy, po którym pozostawały groźne ruiny.

Cale dwa dni wolności! Tinwright modlił się, żeby Hendon Tolly jeszcze trochę zajął się sobą.

Wcześniej się zastanawiał, czy nie wybrać późniejszej pory na wizytę w domu siostry, lecz twierdza wewnętrzna była prawie tak samo przepelniona uciekinierami jak zewnętrzna. Za dnia krzątania w obozowiskach stanowiła dobrą przykrywkę. Przemierzył pusty sklep, wyszedł na zewnątrz przez okno na piętrze i zeskoczył na podwórko rzeźni końskiej, także opuszczonej. Stamtąd przeszedł do właściwego budynku i wspiał się po schodach, które prowadziły do pokoju na samej górze zajmowanego przez matkę i Elan. Długą chwilę obserwował uważnie ulicę, ale nie zauważył nikogo, kto by obserwował mieszkanie.

Tinwright usłyszał z rozczarowaniem, że to matka odpowiedziała na jego stukanie w okiennicę. Z triskelionem przyciśniętym do piersi uniosła okiennicę do połowy, a potem wyrzuciła przed siebie pięść, w której ścisnęła łańcuch, tak niespodziewanie, że grzmotnęła Tinwrighta w podbródek w chwili, gdy chciał się odezwać.

– Niech Bracia się ciebie wyrzekną, parszywy demonie! – zawołała Anamesiya Tinwright i huknęła Matta w ucho triskelionem.

– Na słodkiego Zosima Salamandrosa! Kobieto, co ty wyprawiasz?

– Mimo że starał się zapanować nad głosem, z jego ust wydobył się zduszony okrzyk. – Rozkwasiałaś mi nos! Wpuść mnie.

– Matthiasie, czy to ty? – Matka cofnęła się, kiedy gramolił się na parapet i częściowo osunął się na podłogę. – Czemu wchodzisz przez okno, głupcze? Myślałam, że to jakiś demon!

Długą chwilę siedział na podłodze otumaniony.

– Nie jestem demonem. Zgodzisz się ze mną czy może przyłożysz mi jeszcze raz?

– Matthias? – Tym razem to Elan zawołała do niego nie z łóżka, ale ze stołka przy stole, na którym paliła się lampa. Szyła i wyglądała tak pięknie w prostym stroju siostry Matta, że dopiero po chwili uzmysłowił sobie, w jaki sposób się do niego zwróciła. Nie Matt ani nawet Matty, ale Matthias. Tak samo jak matka.

– Tak, to ja. – Wstał i otrzepał się z kurzu, a potem, starłszy kilka kropel krwi z górnej wargi, podszedł do Elan i ucałował jej rękę. – Przyszedłem...

– Masz pieniądze? – zapytała matka. – Trzy dni temu minął dekanox.

Tinwright powstrzymał się, żeby nie krzyknąć. Musiał sobie przypomnieć, że być może dom obserwują szpiedzy albo nawet uzbrojeni żołnierze.

– Można rzec, że byłem więźniem Hendona Tolly’ego, matko, który trzymał mnie przy sobie w dzień i w nocy.

– Och, to rzeczywiście wysoko zaszedłeś. – Matka uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Słyszałyśmy, ale nie miałyśmy pewności...

– Biedaku – rzekła Elan. – Potrafisz to znieść? Jest okrutny?

– Nie chcę o tym mówić. – Usiadł obok niej. – A jak ty się miewasz, pani? Pewnie trudno ci żyć w tych... – zerknął na matkę – ...w tych surowych warunkach.

Elan się roześmiała.

– Wobec tego, co się dzieje wokół? Wiedziałaś, że kaplica Eriła na sąsiedniej ulicy została zmiażdżona armatnim pociskiem? Cieszę się, że mam gdzie mieszkać i że są ludzie, którzy chcą mi pomóc. – Uśmiechnęła się przekornie. – Twoja mama jest ogromnie miła.

– Och, częstuję lady Elan świątynnymi cudami i opowieściami o dobroci bogów. Jest już prawie zdezelowana, by włożyć habit siostry trygonackiej.

– Zdeklarowana – poprawił ją Tinwright. – Widzę, że nie tylko ja cierpię. Elan, nie musisz jej słuchać. Przywykła do tego, że ludzie ignorują jej tyrady.

Tym razem uśmiech młodej kobiety był cieplejszy i bardziej szczery.

– Nie, lubię słuchać tych opowieści. Myślę, że mogłabym kiedyś poszukać spokoju w jakimś zakonie... – Zobaczyła rozpacz na twarzy Tinwrighta i źle to zinterpretowała. – Naprawdę. Wcale nie mówię tego po to, by zadowolić twoją matkę.

Anamesiya Tinwright przytaknęła z zadowoleniem.

– Lady Elan wie, że bogowie karzą niegodziwość, a jedynym sposobem uniknięcia kary jest posłuszeństwo ich woli...

– Nie powiedziałaś nam, co cię do nas sprowadza – wtrąciła Elan, przerywając kazanie Anamesiyi. – Jakie przynosisz nowiny, Matthiasie?

– Ach! – Wstał. – Przypomniałaś mi o czymś. Coś ci przyniosłem. – Wsunął dłoń do kieszeni kaftana na piersi. – Jest. Modlitewnik ze scenami z życia Zorii. – Wręczył Elan książeczkę. – Należał do księżniczki Briony. Znalazłem go w kaplicy.

Elan spojrzała ostrożnie na prezent, lecz jej oblicze nie wyrażało wielkiego zachwytu.

– Jest piękny, Matthiasie. Spójrz na te ilustracje! Jaki kunszt! – Powoli przewracała strony, a potem zamknęła modlitewnik i oddała poecie. – Nie mogę przyjąć tego prezentu. Należy do księżniczki, a ona, gdy wróci, będzie chciała go odzyskać.

Matt słuchał jej zaskoczony i zdezorientowany.

– Ale... z pewnością nie odbierze go komuś, kto... wycierpiał tyle co ty...

– Nie, dziękuję. Miło, że o mnie pomyślałeś, prezent jest prześliczny, ale nie mogę go przyjąć – odpowiedziała, nie patrząc mu w oczy. – Należy do kogoś innego.

– To co mam z nim zrobić?

– Nie wiem, Matthiasie.

Poczuł się tak rozczarowany, że przez chwilę się zastanawiał, czy po prostu nie zostawić modlitewnika i nie wyjść, lecz spojrzawszy na matkę, zobaczył, jak z kiepsko skrywaną satysfakcją mu się przygląda, więc zmienił zamiar i schował książeczkę do kieszeni na piersi.

– Coś wymyślę. Może złożę go w ofierze w kaplicy zorianek.

– Przynosisz jakieś wieści? – zapytała Elan.

Tinwright nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kobiety raczej tolerują jego obecność, niż się z niej cieszą.

– Raczej nie – odpowiedział i wstał. – Właściwie udaję się do kaplicy Erivora z polecenia Hendona Tolly’ego i powinienem już iść. W rezydencji... źle się dzieje, szczerze mówiąc. Tolly ma głowę nabitą dziwnymi pomysłami i nie przykłada się do obrony zamku przed autarchą. Ledwo chce rozmawiać z Berkanem Hoodem czy Avinem Brone’em...

– Nasz biedny lord protektor zapomniał, że bogowie nie składają na nasze barki ciężarów, których nie potrafimy udźwignąć – powiedziała matka poety pobożnym tonem. – Ale odzyska wiarę. To dobry człowiek.

Nawet nawrócona Elan nie mogła się z tym całkiem zgodzić.

– Musimy się pomodlić za lorda Hooda i lorda Brone’a, Anamesiyo. Bożej pomocy także będą potrzebowali

Anamesiyo! Już nawet zwraca się do matki po imieniu! Co jeszcze?

Matt nigdy nie przypuszczał, że będzie szukał wymówki, by pozbyć się towarzystwa Elan M’Cory, lecz teraz właśnie to zrobił.

\*\*\*

Sam wśród tysięcy ludzi zgromadzonych na Zamku Marchii Południowej ojciec Uwin zdawał się nieświadomy trwającej wojny, a co dopiero tego, że może ona przynieść koniec świata.

– Tak, tak, oczywiście, z przyjemnością, mało kto do nas zachodzi ostatnimi czasy! – powiedział podobny do chochlika staruszek, prowadząc Tinwrighta do biblioteki, która znajdowała się w Królewskim Gabinetie Południowym służącym monarsze do modlitwy i medytacji i pełniącym też funkcję kancelarii kapelana. Niecały rok wcześniej ojciec

Uwin zastąpił ojca Timoida, który od lat był kapelanem rodu Eddonów.  
– Czego chce lord Tolly? Jak możemy mu pomóc?

Tinwright próbował wyłuszczyć ojcu Uwinowi wszystko, czego dowiedział się do tej pory, przekazując mu całą płataninę zbiegów okoliczności, pogłosek i dziwnych idei. Poprzednie dwa dni spędził w wielkiej Świątyni Trygonackiej w twierdzy zewnętrznej – oczywiście udając się tam tylko za dnia – gdzie studiował księgi.

– Próbowałem się dowiedzieć, dlaczego zdaniem niektórych Hipnologów Zamek Marchii Południowej był tak ważnym miejscem.

– Hipnologów? – Kapłan przechylił małą głowę. Sterczała na niej kępka siwych włosów, co upodabniało go do przestraszonego kurczaka.

– Masz na myśli tę sektę heretyków z dawnych czasów? Którzy twierdzili, że bogowie śpią? A co oni obchodzą lorda Tolly’ego?

Tinwright postanowił skończyć dyskusję na ten temat, zanim zacznie się ona na dobre.

– To jego sprawa, ojcze. Ja tylko wykonuję polecenia.

– Oczywiście, oczywiście. – Uwin przetarł szkła binokli na uchwycie w kształcie nożyczek, które zaraz podniósł do oczu. – Tu jest Clemon, który pisał o nich, jak sądzę, choć dość pobieżnie. Ale to pewnie już czytałeś w bibliotece wielkiej świątyni.

– Owszem. Przyszedłem tutaj, ponieważ tu i tam wspomina się o świętym kamieniu, który według wierzeń Hipnologów pochodził od samych bogów i na którym w dużej mierze opierali swoje przekonania. Rhantys twierdził, że kamień zaginął gdzieś pod Zamkiem Marchii Południowej. Lecz inne źródło podaje, że tenże kamień za rządów króla Kyrila znajdował się tutaj, w kaplicy Erivora! Wiadomo ci coś o tym, ojcze?

– Święty kamień heretyków w naszej kaplicy? – Kapłan zadrzał i ostentacyjnie wykonał znak Trzech. – Trudno mi w to uwierzyć. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Może gdybyś udał się do ojca Timoida i jego wypytał... Podobno przebywa na uniwersytecie po drugiej stronie zatoki.

Uwin najwyraźniej nie widział większego problemu w tym, żeby odwiedzić Marchię Wschodnią, która znajdowała się za pierścieniem wojsk autarchy, mimo że uniwersytet został spalony przez okupującą armię.

– To nie będzie konieczne, ojcze, ale chętnie przejrzę te księgi tutaj, jeśli pozwolisz. W szczególności interesują mnie wszelkie archiwalia pozostawione przez twoich poprzedników.

Uwin posłał mu sceptyczne spojrzenie.

– Ludziom z zewnątrz nie wolno czytać zapisów dotyczących relacji między rodziną królewską a kapelanami, ich rozmowy nie są...

Tinwright uniósł dłoń.

– Interesuje mnie tylko księga rachunkowa czy jak to się nazywa. Protokoły, listy zakupów i tym podobne.

Mały kapłan poprowadził poetę do ustawionych rzędem grubych oprawnych w skórę woluminów.

– Tu jest księga przywilejów obejmująca rządy Kyrila. Powodzenia w poszukiwaniach.

Po odejściu Uwiną Tinwright zebrał z półki stos grubych ksiąg i usadowił się na podłodze. Nie wszystko powiedział mnichowi, między innymi zataił jedną z najważniejszych informacji, jaką wyczytał, dotyczącą tego, w jaki sposób kamień znalazł się w kaplicy. Król Kyril zabrał kamień Funderlingom w wyniku jakiegoś sporu i poświęcił Erivorowi. Ale dlaczego? A przede wszystkim dlaczego Hipnologowie i inni uważają, że miało to coś wspólnego z bogami?

Co ważniejsze, czy ten kamień mógł być Bożym Kamieniem, którego szukają Hendon Tolly i autarcha? Tinwright poczuł dreszcz, zadając sobie to i inne pytania. Czyżby rzeczywiście znalazł przyczynę wojny, która szalała dokoła?

\*\*\*

Ojciec Uwin wrócił mniej więcej po godzinie.

– I jak sobie radzisz, mistrzu Tinwrichtcie? Dopisało ci szczęście?

– Tak myślę, ojcze. Spójrz tutaj. – Pokazał fragment tekstu z księgi przywilejów i odczytał głośno: – „Przekazany kaplicy przez Jego Królewską Mość króla Kyrila posąg boga, wykonany z nieznanego kamienia lub szlachetnego kruszcu, zabrany z ołtarza Funderlingów pod zamkiem, poświęcony przez króla wielkiemu Erivorowi...” Widzisz



zatem, że może chodzi o ten posąg. Tylko że nie wspomina się o tym nigdzie indziej...

– Nie mamy w kaplicy niczego takiego – powiedział Uwin stanowczym tonem. – Wiedziałbym o tym.

– Nie dałeś mi skończyć, ojcze. Nie wspomina się o tym przez pięćdziesiąt lat i dopiero ojciec Timoid pisze na ten temat we własnej księdze przywilejów. Tutaj jest wpis sprzed prawie dziesięciu lat: „Posąg Kerniosa, podarowany kaplicy przez Kyrila, został skradziony. Poinformowałem o tym króla Olina i rozpocząłem poszukiwania w zamku. Podejrzewam któregoś ze służących”. Później wspomina, że przesłuchano kilka sług, niektórych wychłostano, ale posągu nie odnaleziono.

– Pewnie obili nie tych służących, co trzeba – zauważył Uwin pogodnym tonem. – Może w ogóle nie było to konieczne. Znasz pewnie tę opowieść o złodzieju, który skradł złoty kielich z kaplicy Perina, a ten zaczął go parzyć przez kieszeń, jakby się roztopił...

– No cóż, jeśli nawet ten... „posąg Kerniosa” kogoś poparzył, to nigdzie o tym nie napisano. Za to powstaje pytanie co się z nim stało?

– Dziesięć lat temu? – Uwin pokręcił głową. – Ktoś ukradł posąg dziesięć lat temu, a tylu ludzi, setki, wchodziły i wychodziły z zamku, tyle statków przyplęwało i odpływało... Przepadł, młody człowieku, czymkolwiek był. Niech ciebie i lorda protektora pocieszy to, że nie mógł być dużo wart, skoro tak niewiele się o nim mówiło nawet wtedy, kiedy go ukradziono.

– Taka informacja chyba nie ucieszy Hendona Tolly ego – powiedział Tinwright, żegnając się z kapłanem. – Ale przekażę mu to.

W drodze powrotnej poeta się zastanawiał, co może powiedzieć lordowi protektorowi. Był posąg, ale zniknął przed laty. Mało optymistyczne wieści.

Wpadł na pomysł w chwili, gdy czterech mężczyzn zastąpiło mu drogę przy Moście Laguny.

– Proszę, koledzy, spieszę się – powiedział. – Nie mam pieniędzy...

– Ale wyglądasz na kogoś, kto może mieć jakąś wartość – odparł przywódca grupy, który miał tylko jedno oko, za to szerokie bary i

równie wielki bandzioch. – W najgorszym razie zdejmujemy z ciebie to ładne ubranko, mój panie.

Tinwright z pewnością miał przy sobie kilka rzeczy, które mogłyby się spodobać obcym, choćby modlitewnik, który chciał podarować Elan, lecz gdy zobaczył, jak pozostała trójka zachodzi go od tyłu, zdał sobie sprawę, że napastnicy mogą nie poprzestać na obrabowaniu go. A jeśli go zabiją, nie dowie się nigdy, czy posąg Kerniosa rzeczywiście jest Bożym Kamieniem Tolly’ego!

Uniósł ręce.

– Pozwólcie, że coś wam wyjaśnię. – Powolnym ruchem wsunął dłoń do kieszeni kubraka i wyjął glejt, który dał mu Tolly. – Udaję się z misją na osobiste polecenie lorda protektora Hendona Tolly’ego. Jeśli sądzicie, że wasze życie jest podłe, to zatrzymajcie mnie jeszcze chwilę dłużej, a przekonacie się, co znaczy prawdziwe cierpienie.

Jeden z mężczyzn spojrzał na niego, a potem zwrócił się do Jednookiego:

– Pracuje dla Tolly’ego.

– Tak mówi! – rzekł przywódca grupy, lecz pozostali już się odwracali.

– Nie chcę wylądować jajami w lagunie, a potem głową – rzekł jeden z oprychów. – Chodźmy poszukać kogoś innego.

Nie upłynęło dużo czasu, a Tinwright był już z powrotem w swoim dawnym pokoju i potrząsał Zagadką, żeby go obudzić.

– No, staruszku, rusz się! – zawołał. – Musisz mi powiedzieć, co pamiętasz o posągu Kerniosa skradzionym z kaplicy Erivora.

Początkowo mocno przestraszony, że ktoś szarpie go tak gwałtownie, a potem mocno nabzdyczony, błazen ostatecznie opowiedział poecie wszystko, co zapamiętał.

– Na cichutkie kroki samej Zorii – rzekł Tinwright, kiedy Zagadka skończył. – Coraz większy obłąd. – Wstał i zaczął krążyć po pokoju, zastanawiając się nad tym, co sugerował błazen. – Czy ta tajemnica kiedyś się wyjaśni? – jęknął po długim namyśle. – I co mam teraz robić?

Ale błazen zdążył już zasnąć.

## Wieści ze spalonej ziemi

***Wielki Perin pokonał Khorsa, Pana Księżyca,  
porywacza jego córki, po tym, jak sam Khors  
ubił boga wojny Voliosa. Po śmierci obu  
wielkich bogów walki ustały...***

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Briony zastała księcia Eneasza w jego namiocie. Siedział rozebrany do pasa, a jeden z wojskowych golibrodów bandażował mu rany.

– Jesteś ranny! – zawołała.

Skóra na płaskim brzuchu księcia nosiła liczne ślady zadrapań, które po oczyszczeniu zaczęły ponownie krwawić.

Pokręcił głową.

– To nic. Spadłem z konia, który pociągnął mnie kawałek, to głównie skaleczenia od kolczugi. – Eneasza nie włożył zbroi na wypad, by zachować lekkość i większą swobodę ruchu.

Briony wiedziała, że upadek z konia podczas walki może być całkiem groźny, ale zdążyła już poznać Eneasza na tyle, by wiedzieć, że zwykle nie rozmawia o ranach.

– A twoi ludzie?

– Kilku rannych, ale nikogo nie straciliśmy. A jeszcze bardziej cieszę się na twój widok, Briony. Aż boję się zapytać – znalazłaś ojca?

Opowiedziała mu o wszystkim, a przynajmniej podała najważniejsze szczegóły, ponieważ większość tego, o czym rozmawiała z ojcem, była przeznaczona tylko dla uszu członków rodziny. Książę słuchał uważnie.

– Wspaniała nowina: znalazłaś go i wciąż jest silny duchem – powiedział, kiedy skończyła. – Świetnie, zastanawia mnie tylko to, co mówił o letnim przesileniu. Czy autarcha naprawdę tak wierzy w te swoje przesady, że gotów jest zaryzykować atak, zamiast pozostać przy obłęzieniu, które najwyżej za kilka tygodni dałoby mu to samo?

– Ojciec usłyszał to z ust samego autarchy. Wszyscy mówią, że Sulepis jest szalony!

– Na to wygląda. W takim razie mamy mało czasu. Odpoczęłaś?

– Czuję się dobrze.

Zwiadowca przyprowadził ją z powrotem do obozu tuż przed wschodem słońca i Briony od razu pogrążyła się w mrocznym, głębokim śnie, dlatego teraz cały wieczór, a zwłaszcza rozmowa z ojcem wydawała jej się sennym majakiem.

– I co zrobimy? – zapytała. – Mamy tak mało czasu, a ja widziałam xiski obóz. Jest ogromny! Jakies dziesięć tysięcy ludzi na lądzie, a więcej niż połowa to zbrojni. Do tego wielu zeszło do tuneli, jak słyszałam. Myślę, że zamierzają zaatakować zamek przez Miasto Funderlingów.

– Funderlingów? – Eneasza przez chwilę patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem, lecz zaraz kiwnął głową. – Ach, tak, osada Kallikanów. Słyszałem o niej... słynne sklepienie, tak? Twój ojciec pewnie ma rację. Bo z jakiego innego powodu autarcha by się tak spieszył? Hendon Tolly prawie się nie broni, a okręty Sulepisa panują na zatoce. Podejrzewam, że zamek poddałby się w ciągu kilku dni, gdyby wojsko autarchy dalej bombardowało mury.

Briony poczuła wzbierający gniew.

– Tolly to potwór, ale na zamku są jeszcze porządni ludzie, którzy nie poddadzą się tak łatwo.

– Wierzę ci, księżniczko. – Eneasza się uśmiechnął, a jego uśmiech wyrażał szczerą wiarę. – Miałem okazję zobaczyć, z jakiej gliny ulepieni są członkowie rodu królewskiego, dlaczego więc miałbym wątpić w jego poddanych? Tak czy inaczej, najwcześniej jutro będziemy mogli podjąć jakąś decyzję. Dopiero wtedy zaczną napływać raporty szpiegów, których wysłałem do obozu wroga, i dowiemy się, jaka jest rzeczywista siła autarchy, a może nawet poznamy choć częściowo jego plany...

– Nie! – krzyknęła odruchowo i zobaczyła, że wszyscy obecni w namiocie na nią patrzą. – To znaczy... mój ojciec... nie chcę zwlekać z jego uwolnieniem. Mam pewien pomysł, jak to zrobić, ale jeśli się nie pospieszymy, mogą go zabrać gdzieś poza nasz zasięg!

Dopiero po chwili Briony się zorientowała, że księżę patrzy na nią dziwnie, podobnie jak porucznik i inni.

– Nic nie wiesz? – zapytał Eneasze.

– O czym? – W tej samej chwili Briony, tknięta złym przeczuciem, poczuła, że kręci jej się w głowie, a twardy grunt umyka spod jej stóp. – Mów!

– Twój ojciec już został zabrany. Nasi szpiedzy donoszą, że co najmniej setka zbrojnych eskortowała jakiegoś więźnia do tuneli w skalistych wzgórzach przy zatoce. – Wyciągnął do niej rękę, lecz Briony się odsunęła. – Przykro mi, księżniczko. To był twój ojciec. Król Olin. Znalazł się poza naszym zasięgiem, przynajmniej na razie.

Wreszcie poddała się łzom, które powstrzymywała od poprzedniego wieczoru, już nie miała sił walczyć. Odwróciła się gwałtownie i wyszła z namiotu, by znaleźć miejsce, w którym nikt nie zobaczy, jak płacze.

\*\*\*

– Nic ma co się z nią sprzeczać – ostrzegła go Saqri, lecz Barrick miał już dość napominania przez Qarów w najróżniejszych postaciach, co powinien robić i myśleć. Podążył za Yasammez i jej małym oddziałem zmierzającym korytarzami do pieczary, w której obozowali.

Kiedy tam przybył, straszna mroczna dama czarodziejskich ludzi zdążyła już wejść do namiotu. Strażnik Żywiołów przy wejściu nie chciał go wpuścić, lecz Barrick, niewzruszony, stał w miejscu, ignorując gesty istoty, a nawet nieme groźby przekazywane w myślach. Ognisty Kwiat podpowiadał mu, że teraz jest kimś ważnym pośród czarodziejskich ludzi, i księżę zamierzał to wykorzystać. Migoczące Głębokie Światło Strażnika Żywiołów, które przeświecało przez szpary w spowijającej go szacie, stawało się coraz jaśniejsze, lecz Barrick Eddon nie mógł pozwolić, by potraktowano go jak służącego. Może i jest głupcem, w dodatku śmiertelnym, ale pokonał ogromne trudności, by się tu znaleźć, dlatego postanowił, że Yasammez nie ucieknie przed nim tak łatwo.

Wreszcie na wpół ukryte światło zamigotało i prawie zgasło. Strażnik Żywiołów usunął się, choć na koniec raz jeszcze rozjarzył się w proteście, kiedy Barrick go mijał.

Yasammez była sama w namiocie. Nie towarzyszyła jej nawet doradczyni ani strażnicy. Barrick mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy to oznacza, że tak bardzo mu ufa, czy też że nie uznaje go za zagrożenie. Podsycana gniewem pewność siebie, która go za nią pognąła, zaczęła maleć, gdy tylko zobaczył Panią Jeżozwierz, jak siedzi ze skrzyżowanymi w kostkach nogami, nieruchoma jak kamień, z bladymi dłońmi opartymi na kolanach.

– I czego chcesz, mały woreczku na krew? – zapytała.

Barrick tak się przyzwyczaił do nowych sposobów słyszenia i widzenia, że w pierwszej chwili nie wiedział, czy przemówiła do niego głośno czy w myślach, lecz zaraz poczuł delikatne drżenie powietrza w namiocie. Uznał, że odpowie jej głośno, tak jak ona. Może miała nadzieję, że uda jej się go rozgniewać echem swoich słów, jakby był zwykłym śmiertelnikiem, lecz jeśli tak, to nie wiedziała, jak bardzo Barrick Eddon się zmienił.

– Pragnę z tobą pomówić, stryjeczna babko.

– Nie jestem twoją stryjeczną babką. Krew, która płynie w twoich żyłach, nie daje ci żadnych praw do mnie, tak samo jak skradłszy królewski sygnet, nie miałbyś prawa wydawać rozkazów w imieniu króla. Ta krew – święta krew naszej rodziny, dar naszego patrona boga – została skradziona.

Teraz już księżę naprawdę się rozżłościł, ale powściągnął gniew.

– Nie mów mi o królewskich pierścieniach i królach, Pani Yasammez. Mój ród może nie jest tak stary jak twój – a przynajmniej nasz tron – ale sporo wiem o pierścieniach królów i królowych. Te prawa mają swoją cenę, a jej płacenie częściowo polega na robieniu tego, co najlepsze dla twojego ludu. Naprawdę uważasz, że zaniechanie obrony Zamku Marchii Południowej jest najlepsze dla twoich ludzi?

Przechyliła głowę niczym czapła wypatrująca ryb w wodzie.

– Ha! Poucza mnie malutka ropuszka, która dopiero co wyszła ze stawu. – Błysnęła zębami, ale nie w uśmiechu. – Powiedziałam prawdę moim ludziom. Już za późno na to, by zwyciężyć siłą. Lepiej przyjąć to,

co zapisane, by pobiec i może pożyć trochę dłużej, czy zostać i pogodzić się z tym, że wreszcie nadeszła ostatnia godzina Długiej Porażki?

– A zatem się poddajesz? – Wpatrywał się w nią, a jego głowę wypełniały szepty tysięcy głosów, burza chaosu, tajemnic, dawnych opowieści, na wpół zapomnianych historii, wydarzeń z pól bitewnych, a zawsze pośrodku wszystkiego widniała mroczna postać Pani Jeżozwierz podobna do wiedźmy z bajki dla dzieci. – Nie. Nie wierzę. Ty nigdy się nie poddajesz. Wszyscy wiedzą, że walczyłabyś za swój lud do ostatniej kropli krwi, więc dlaczego im doradziłaś, żeby postąpili tak, jak nigdy sama byś nie postąpiła? Czego nie rozumiem, Pani Yasammez?

Tym razem wyszczerzyła zęby w wilczym uśmiechu, jakby się zastanawiała, czy zatopić je w jego gardle.

– Jesteś bardzo irytującym śmiertelnikiem, Barricku Eddonie. Skąd u ciebie taka pewność siebie? Przyjrzyj się sobie! Przypominasz stracha na wróble poskładanego ze szczątków innych ludzi – nieśmiertelna krew szlachetniej urodzonych płynie w twoich żyłach, zostałeś zaczarowany przez zgrzybiałych Śpiących i obdarowany Ognistym Kwiatem, choć pewnie nie potrafisz tego w pełni pojąć. Dlaczego w ogóle miałabym z tobą rozmawiać? Dlaczego ktokolwiek miałby zawracać sobie tobą głowę, dzieciaku, który wszystko, co czyni go wyjątkowym, odebrał komuś innemu?

Miała rację, co sprawiło, że Barrick tym bardziej się pilnował, by nie stracić panowania nad sobą. Jej pytanie było zwodnicze, ponieważ kryła się za nim prawda – nie było powodu, żeby z nim rozmawiać, żeby musiała się przed nim bronić.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego więc ze mną rozmawiasz? – Podszedł bliżej. Jej siła była niemal namacalna. Głosy Ognistego Kwiatu śpiewały w nim o żalu, porażce i odwadze. – Przypominasz mi kogoś, Pani Yasammez.

Uniosła brew cienką jak pajęcza nić.

– Czyżby? Jakiegoś śmiertelnika?

– Do niedawna nie znałem wielu nieśmiertelnych. – Nieproszony usiadł przed nią ze skrzyżowanymi nogami. – Tak, śmiertelnika. Mojego nauczyciela, Shasa dan-Hezę. Był największym wojownikiem wśród swoich ludzi, tak jak ty, jak mi mówiono. Ale stracił cel.

Drapieżny uśmiech powrócił na jej usta.

– Ja nie straciłam celu.

– Shaso też tak myślał, ale się mylił. Widzisz, mój ojciec wziął go do niewoli i przywiózł do domu, zabierając od jego ludzi. I choć później był naszym mentorem, a w końcu został naczelnym wodzem Marchii Południowej, jakaś jego część nigdy nie opuściła Tuanu, nigdy nie wyszła poza Xand, nie pozostawiła za sobą przeszłości.

– A zatem uważasz, że jestem uwięziona w przeszłości? Czy to jest twój rozważny osąd, och, ty mądre książątko?

– Myślę, że jesteś tak samo okaleczona jak on przez... odległość. Tylko że w jego przypadku chodziło o odległość dzielącą go od Tuanu, który zawsze był dla niego bardziej realny niż Marchia Południowa, mimo że nigdy nie wrócił do domu. Za to w twoim przypadku chodzi, jak sądzę, o odległość dzielącą wtedy od teraz – odległość między tym, co było dla ciebie zrozumiałe, a tą dziwną terażniejszością, w której, żeby zwalczyć większe zło, musisz sprzymierzyć się z tymi, których uważasz za zdrajców i wrogów... ze śmiertelnikami.

– Robię to, co jest najlepsze dla Ludzi – odparła mroczna pani, lecz po raz pierwszy w jej głosie zabrakło pewności. – Możesz nieść Ognisty Kwiat przez wieki, a i tak nie będziesz godzien mnie osądzać...

– W takim razie zdradź mi: kiedy Ynnir przedstawił Pakt Lustra, co wtedy powiedziałaś? – Ognisty Kwiat już wcześniej przyniósł mu odpowiedź na skrzydłach szepczącej mglistej pamięci.

Yasammez znowu przechyliła głowę. Mówiono, że autarchowie Xis trzymają sokoła jako symbol, lecz Barrick miał przed sobą prawdziwego drapieżcę, który spoglądał na niego bezlitosnym spojrzeniem jasnych oczu.

– Powiedziałałam mu, że wrogom Ludzi nie wolno przyspieszać Długiej Porażki. Że nie mamy wyboru i musimy walczyć albo się poddać.

– Za to teraz domagasz się prawie kapitulacji. Królowa Saqri powróciła! Autarcha zamierza obudzić bogów. Sama mówiłaś, że to będzie dla nas wszystkich katastrofa! Więc dlaczego nie chcesz walczyć, Pani Yasammez?



Wręcz wyczuwał macki jej myśli wyciągające się ku niemu, kiedy zastanawiała się w milczeniu.

– Nie chcę walczyć, bo nie ma już po co – odezwała się wreszcie. – Nadszedł koniec Długiej Porażki, teraz to widzę. Ludzie... moi Ludzie – urwała i posłała mu spojrzenie tak nienawistne, że niemal poczuł żar na rzęsach – zrobili wszystko, co w ich mocy. Niewielkimi siłami pokonaliśmy dziesięciokrotnie większą armię. Ale król Xis ma sto razy więcej wojska, do tego kapłanów i magów o mocach nawet nam nieznanym. Takiej siły nie da się zwyciężyć.

– Dlatego zostawisz śmiertelników z Zamku Marchii Południowej – nie tylko moich ludzi, ale także Funderlingów – by walczyli i ginęli, podczas gdy twoja armia będzie czekała beczynnie? Tak chcesz zapisać ostatnie strony Długiej Porażki? Pozwolisz, by kiedyś czytano o tchórzostwie i bezduszności?

– Przyzwoitość a tchórzostwo to dwie różne rzeczy, ludzkie dziecko.

– W takim razie pozwól twoim walczyć, jeśli chcą! Będiesz potrafiła się przyglądać – z przyzwoitością – jak my udajemy, że mamy szansę? – Teraz już Barrick był zły, a dzieląca ich niepojęta różnica wieku i doświadczenia nagle wydała się nieistotna. – Saqri przybyła, by walczyć u twego boku. Nie zrobiła tego po to, żeby przyglądać się beczynnie, jak będą wyrzynać innych.

Oblicze Yasammez się zmieniło i teraz przypominała ranne zwierzę, które wciąż może zaatakować. Długo nie patrzyła na Barricka, lecz on wyczuwał jej gniew, zimny i twardy. Kiedy wreszcie niespodziewanie wstała i przyłożyła dłoń do napierśnika, on także podniósł ramię, bojąc się, że nadleci sztylet. Tymczasem Yasammez wyciągnęła spod zbroi coś zawieszzonego na czarnym łańcuchu, połyskiwało czerwonym światłem niczym stopione żelazo, i mu podała. Jej myśli przypominały kłębiące się burzowe chmury, lecz mimo że książę wyczuwał jej gniew i rozpacz, w większości były dla niego niedostępne. Kryło się w nich coś jeszcze, coś głębokiego i strasznego, czego nie potrafił rozpoznać.

– Weź Pieczęć Wojny – powiedziała. – Weź i przekaz Saqri. Albo zatrzymaj. Zrobisz, jak zechcesz. Nic mnie to nie obchodzi. Skoro nie potrafisz już wydawać sądów, to nie powinnam też dowodzić.

Barrick wpatrywał się w rozjarzony kryształ.

– Ale...

– Weź!

Posłuchał jej, ale wyciągał rękę bardzo ostrożnie, jakby przybliżał ją do jadowitego węża. Obserwował Yasammez, ważąc ciężki kamień w dłoni, i przysiągłby, że dostrzegł w jej oczach nienawiść, choć nie miał pewności, jaki byłby jej powód.

– Dlatego, że jestem śmiertelnikiem? – zapytał. – Bo moja rodzina ukradła Ognisty Kwiat?

Zrozumiała, co ma na myśli.

– Wszystko naraz – odparła. – I jeszcze więcej. Walcz, jeśli chcesz. Sprawisz tylko, że koniec będzie jeszcze trudniejszy. A co, jeśli wszechświat obróci się w złą stronę, a ty wygrasz? Los Ludzi jest przesądzony. Nie będzie komu przekazać Ognistego Kwiatu – królewska linia Qarów wymarła, została tylko Saqri. Idź więc, mały śmiertelniku, i opowiedz innym, jak to droczyłeś się z Panią Jeżozwierz i przeżyłeś. Piękna historia, na której opowiadaniu będzie można spędzić czas w oczekiwaniu na śmierć.

Taki żar bił z jej słów i taka wściekłość z oczu, że Barrick nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Odwrócił się z Pieczęcią Wojny w zaciśniętej dłoni i wyszedł chwiejnym krokiem.

\*\*\*

Briony nie była na tyle nieroztropna, żeby zbyt oddalać się od obozu, ale nie mogła tak po prostu siedzieć przez cały dzień, co najwyraźniej zupełnie odpowiadało Eneaszowi i jego Świątynnym Psom. Rozpierały ją gniew i frustracja. Czuła potrzebę ruchu.

Zauważyła wzgórze w pobliżu obozu pozostające w zasięgu wzroku strażników i postanowiła się na nie wspiąć. Dzień był pochmurny, lecz co jakiś czas przez szczeliny w chmurach wyzierało słońce, a droga na szczyt była na tyle trudna, by wspinaczka zajęła jej myśli. Kiedy wreszcie wdrapała się na górę, było już południe, a ona poczuła się lepiej. Wciąż jednak nie chciała myśleć o ojcu. Znalazła się tak blisko niego po tak długim rozstaniu tylko po to, by znowu go stracić!

Księżę Eneasza i jego oficerowie planowali szybkie wypadki mające na celu nękanie sił Sulepisa obozujących na lądzie i zakłócanie dostaw dla armii. To drugie założenie było w zasadzie bezcelowe, dopóki autarcha kontrolował wody Zatoki Brenna, ale Eneasza liczył na to, że przynajmniej uświadomi autarsze, iż ma wrogów zarówno za plecami, jak i przed sobą.

Briony, mimo że nie oczekiwała do szańskiego księcia, by zrobił coś więcej, to wciąż z rozgoryczeniem myślała o tym, że ojca zabrano w głąb ziemi. Dlaczego sprowadzono go do tuneli pod zamkiem? Jakież to szalony plan miał król z południa?

Ojciec wyznał jej też, że powróciły dawne udreki, w miarę jak zbliżał się do zamku. Może to miało coś wspólnego z tym, że to autarcha go tutaj przywiózł. A bogowie? Ojciec wspominał coś o bogach i o nocy letniego przesilenia, która przypadała za niecały dekanox.

Gdybym tylko mogła porozmawiać z nim dłużej... Gdybym mogła spotkać się z nim jeszcze raz, znowu go uścisnąć... Poczula pieczenie łez w oczach.

Briony wyjęła talizman Lisiyi i zaczęła obracać go w dłoni, próbując się uspokoić. Tyle pytań, na które nie spodziewała się znaleźć szybko odpowiedzi, jeśli w ogóle kiedykolwiek. Tymczasem słońce sunęło po niebie, wychylając się i chowając za chmurami, i nieubłaganie zmierzało ku letniemu przesileniu.

Pomimo zmęczenia wspinalczką Briony leżała długo w noc, dręczona bezsennością, słuchając żołnierzy, którzy rozmawiali i śpiewali, grając w kości przy ogniskach. Zwiadowcy, których autarcha wysłał za najeźdźcami, dawno już wrócili do obozu na brzegu Zatoki Brenna, dlatego ludzie księcia mogli trochę odpocząć.

Briony wciąż ścisnęła w dłoni amulet. Proszę, droga Lisiyo, modliła się, pomóż mi zasnąć. Chyba oszaleję, jeśli nie zasnę! Ale gdy wreszcie sen przyszedł po długim czuwaniu, Briony nie od razu się zorientowała, że śni...

\*\*\*

Szła przez teren, gdzie kiedyś rósł las, głęboki, zielony i cichy – przed pożarem. Teraz było to wypalone pustkowie, upstrzone poczerńniętymi kikutami pni, bez trawy i poszycia, gdzie nawet gleba szcerniała. Trudno było się zorientować, jaka to pora dnia, z powodu całunu dymu, który rozciągał się nad nią i sprawiał, że rozgrzane szare niebo wydawało się płytkie jak talerz. Z ziemi wciąż wznosiły się serpentynami smużki dymu, jakby ogień dopiero co wygasł.

Kiedy tak szła po chrzęszczących resztkach ściółki, stwierdziła, że wciąż przyciska do piersi talizman Lisiyi.

Briony znalazła półboginię u stóp ogromnego srebrzystego dębu czy raczej jego zwęglonego szkieletu. Lisiya stała wsparta na kiju, krucha i szara jak puch dmuchawca. Wydawała się skurczona, jakby gorące wiatry wysały z niej całą wilgoć, zostawiając jedynie skórę i kości.

– Ktoś tu jest na mnie zły – powiedziała, a na jej twarzy pojawił się zmęczony uśmiech.

– Kto to zrobił? – zapytała Briony.

Lisiya wydawała się tak krucha, że księżniczka prawie się bała do niej podejść.

– Nie mogę powiedzieć. Jestem obserwowana. – Półbogini uniosła szponiastą dłoń. – Samo niebo słucha.

– Czy to z mojego powodu? – Briony opadła na kolana. – Dlatego że mi pomogłaś?

– Być może. – Lisiya wzruszyła ramionami. Wcześniej wydawała się niezniszczalna, teraz zaś poruszała się tak, jakby się bała, że każdy ruch zagraża jej kruchym kościom. – Nie ma co tego roztrząsać, dziecko. Bogowie śpią i dlatego trudno ich zrozumieć czy choćby rozpoznać. ..

Briony nie pojmowała jej słów.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Po wychudzonej, pomarszczonej twarzy półbogini przemknął cień uśmiechu.

– Posłuchaj. Powiem ci tyle, ile mogę. Ale nie wszystko. – Pochyliła się trochę, lecz zaraz wsparła się na kiju. – Nadchodzi ta godzina. Jest już bardzo blisko. Godzina, w której znany nam świat się skończy.

– Chcesz powiedzieć, że jest za późno?

– Jest za późno, by wszystko odwrócić, żeby było tak jak dawniej – rzekła Lisiya. – Za późno dla świata, który był. Ale na to, jaki świat nadejdzie, może będziesz mogła wpłynąć.

– Jak to?

– Nie mnie o tym mówić. Masz mało czasu.

– Chodzi ci o noc przesilenia letniego? Ojciec powiedział...

– Ludzie nazywają to letnim przesileniem, lecz tutaj, w krainie bogów i ich snów, ta noc wyznacza początek śmierci słońca. I każdego roku, od zarania dziejów, odkąd Rud Gwiazda Poranna po raz pierwszy wspięła się na firmament, toczy się walka. Śmiertelnicy obchodzą noc przesilenia letniego, jakby to było zwycięstwo, ale przecież to zawsze oznaczało coś wręcz przeciwnego – chwilę, kiedy słońce, światło, zaczyna przegrywać. To złowróźbny dzień. – Lisiya pokręciła głową.

– Co możemy zrobić? Ten dzień jest tak blisko!

Wychudłą twarz Lisiyi wykrzywił grymas frustracji.

– Nie wiem! Czuję się taka malutka, mówiąc o tych sprawach – jak zwykła służka, posłaniec – i straciłam grunt pod nogami. Ale wezwałam cię, albo ty mnie, a zatem musi być coś, co mogę ci przekazać, jakieś słowo... – Staruszka zamknęła oczy, a Briony zachodziła w głowę o co chodzi. Lisiya wydawała się tak zmęczona, że z trudem oddychała i kołysała się niczym źdźbło trawy. Wreszcie otworzyła oczy.

– Omfalos – powiedziała cicho. – Szukaj omfalosa, który łączy przeszłość z łonem, a łono z przyszłością, pępka obracającego się wszechświata.

– Co to znaczy?

Lisiya machnęła szponiastą dłonią.

– Nic więcej nie mogę ci powiedzieć! – rzuciła ze złością. – Nawet teraz moje słowa przyciągnęły czyjąś uwagę.

– Nie rozumiem!

– Nic więcej nie mogę... – Półbogini urwała nagle, gdy na niebie rozblęsnęło światło czerwone jak krew na tle szarego dymu. – Idź – ponagliła. – Nic więcej nie mogę zrobić. Żegnaj, Briony Eddon. Jeśli przeżyjesz, wybuduj mi kaplicę!

Briony chciała zadać kolejne pytanie, lecz piorun zagrzecotał konarami spalonego drzewa, a czarna ziemia zadrżała i wydawało się, że jaskrawoczerwone światło zaraz wszystko ogarnie.

Pożar, pomyślała Briony. Znowu pożar...

I wtedy niebo eksplodowało krwistoszkarłatnym światłem, tak jasnym i gorącym, że Briony krzyknęła przerażona i obudziła się w swoim namiocie. Usiadła, dysząc ciężko, z ręką przyciśniętą mocno do piersi. Kiedy otworzyła dłoń, zobaczyła, że amulet jest poczerniały i pomarszczony, jakby strawił go ogień.

\*\*\*

Barrick w milczeniu zmierzał do namiotu Saqri. Setki oczu przyglądały się, jak kroczy przez ogromną przestrzeń, a wszyscy z pewnością widzieli czerwony jak krew kamień w jego dłoni. Ci, którzy już trochę lepiej rozumieli śmiertelników, rozpoznali na jego twarzy wyraz coraz większego zdumienia.

Dała mi go, nie mógł się nadziwić. Powiedziałem najstarszej i najsilniejszej kobiecie na świecie, że się myli, a ona zrezygnowała z przywództwa nad armią Qarów.

Ale czy to jest aż tak proste, jak się wydaje? Wciąż coś w ich rozmowie nie dawało mu spokoju, choć w tym momencie był zbyt zdumiony, żeby się nad tym zastanawiać.

Zaden ze strażników nie próbował go zatrzymać, kiedy ich mijał, wchodząc do namiotu Saqri. Podniosła wzrok, przerywając rozmowę prowadzoną w myślach z dwoma czarodziejskimi istotami, których wcześniej nie widział, i na moment otworzyła szerzej oczy, kiedy jej spojrzenie padło na kamień.

– Czułam ją, ale nie wiedziałam co to takiego – powiedziała. – To dla mnie czy dla ciebie?

Barrick się zaśmiał. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby zatrzymać pieczęć. Nie wiedział wystarczająco dużo – może nigdy nie posiadał Wystarczającej wiedzy i zrozumienia.

– Dla ciebie. Ty musisz zdecydować, co zrobią twoi ludzie.

– Oczywiście będziemy walczyć – odrzekła i podsunęła smukłą dłoń, by kamień na nią opadł. – Szachraj był najdłuższym dziadkiem mojego dziadka, jak mówimy, ojcem Ognistego Kwiatu. Nie możemy pozwolić, by został wykorzystany przez tego szalonego króla. Jeśli Długa Porażka się o nas upomni, większość moich ludzi pogodzi się z tym, bo kto chciałby żyć w świecie pozbawionym piękna przypadku? – Przez chwilę wpatrywała się w kamień, a potem powolnym ruchem zawiesiła łańcuch na szyi i Pieczęć Wojny spoczęła na jej napierśniku. – Wezwij ich wszystkich: dzieci wody, dzieci powietrza i wszystkich Ludzi, którzy podążają za Pieczęcią Wojny. Powiedz im, że dokonujemy ostatecznego wyboru. Nadszedł koniec Wojny Bogów.

\*\*\*

I tak Qarowie i ich prastarzy sprzymierzeńcy, Dachowcy i Muskający Wodę, przybyli z miejsc, w których czekali, i spotkali się w ogromnej pieczarze w pobliżu świątyni Funderlingów, szerokiej i niskiej, ze sklepieniem wspartym na licznych kolumnach. Saqri usiadła na środku, przy małym płytkim stawie, a pozostali usadowili się dookoła, jak rycerze słynnego dworu Landera, z tym że zamiast stołu mieli przed sobą wodne zwierciadło, w którym odbijały się światła pochodni i latarni. Dachowcy pod wodzą Upsteplebat stali w miniaturowych szeregach przy Saqri, a obok nich Muskający Wodę ze swoim przywódcą Turleyem. Qarowie zebrali się za swoimi dowódcami siedzącymi wokół stawu. Przybyła nawet ciemnooka najważniejsza eremitka Aesi'uah. Zabrakło tylko Yasammez. Barrickowi wydało się dziwne, że rozgoryczona Pani Jeżozwierz wędruje gdzieś samotnie pod jego starym domem, ale w końcu uznał, że ją rozumie. Nie należała do osób, które się poddają, a jednak to zrobiła. Nie chciała patrzeć, jak podejmuje się decyzje bez niej.

– Kiedyś byliśmy jednym narodem! – Głos Saqri zabrzmiał dźwięcznie i słodko jak bicie świątynnego dzwonu. – Kiedyś byliśmy jedną pieśnią. Teraz jesteśmy wieloma melodiami o różnym brzmieniu, ale łączymy się, by nasze nuty zabrzmiały harmonijnie. Dzieci Czarnej Ziemi – Funderlingowie, jak ich tutaj nazywają ruszyły przed nami i

walczą z wrogiem, lecz dla nas są drowami i zawsze byli naszą rodziną, mimo że żyli z dala od nas. Są też z nami Muskający Wodę. Nazywamy ich Dziećmi Oceanu i choć czasem próbowano ich nakłonić, by poszli za tym czy za tamtym przywódcą, oni pozostali wolni jak sam ocean. Jesteśmy dumni, że przybyli, by walczyć u naszego boku.

I Dzieci Grzmotu, najmniejsi z nas, lecz nieustępujący nam odwagą. Ich kuzyni, Kąśliwe Duszki, mieszkają w kraju cienia, niektórzy na pustkowiu, inni w miastach i miasteczkach. Może kiedyś znowu będą jednym ludem. A może nie. Nie jest łatwo przewidywać, gdy koniec wszystkiego jest bliski.

Będą też wraz z nami walczyć ludzie, których niegdyś nazywaliśmy „kamiennymi małpami”, zanim poczuliśmy respekt przed ich siłą i strach przed nietolerancją. Nie żyłabym dzisiaj, gdyby nie oni. Barrick Eddon, dziedzic tego zamku, przywrócił mi esencję życia i także staje u naszego boku. Jeśli żywiliście wątpliwości co do czasów, w których żyjemy, to je rozwieję, mówiąc, że Ognisty Kwiat kwitnie teraz w jego żyłach. Tak, pomyślcie o tym: król, mój mąż, nie żyje, lecz jego esencja i esencja życia wszystkich jego przodków trwa we krwi śmiertelnika.

Popłynęły szepty i wielu Qarów spojrzało na Barricka, a wszystkie oczy, wszelkich rozmiarów i kształtów, wyrażały zdumienie.

– Śmiertelnicy walczą także razem z Funderlingami – mówiła dalej Saqri – a tysiące ich zginęły w zamku, broniąc boga, który nas ocalił, choć nie byli tego świadomi. Tak czy inaczej, wszelkie długi zostaną spłacone tą ostatnią bitwą. Bez względu na to, czy poniesiemy klęskę, czy przeżyjemy lub zginiemy, nasza inwazja na ziemię śmiertelników jest zakończona.

Pani Jeżozwierz to usłyszała i poryw złości i smutku, który powrócił, a także poczucie hańby, wdarły się do myśli Barricka z taką siłą, że księżę ledwo ustał na nogach.

– A teraz musimy opracować plan – kontynuowała Saqri. – Rytuał, który autarcha zamierza odprawić w Ostatniej Godzinie Przodka, musi się odbyć w noc letniego przesilenia, już za kilka dni. Jeśli uda się nam pomóc Funderlingom go powstrzymać, straci tę okazję i będzie musiał czekać na następną cały rok. A nie wiadomo, co może się wydarzyć w tym czasie. Zrozumcie mnie dobrze: jego armia jest sprawna i waleczna,



a on gotów jest poświęcić ostatniego żołnierza, by osiągnąć cel, ponieważ gdy już zdobędzie moc bogów, nie będzie potrzebował wojska. Stanie się niepokonany.

Kilka dni, pomyślał Barrick, rozglądając się po zebranych. Nawet z tymi, którzy pozostawali niewidoczni w dalszej części namiotu, mieli zaledwie kilkuset ludzi, może trochę ponad tysiąc razem z innymi Qarami. Aesi'uah mówiła, że Funderlingów są jakieś dwa tysiące, ale w rzeczywistości pewnie dużo mniej.

– Przekonają się, że nie jest nas tak mało – powiedziała Saqri, jakby czytała w jego myślach. – Ale nie stanie się to tutaj, na dole, a przynajmniej nie od razu. Żeby przestraszyli się nas w głębi ziemi, musimy najpierw uderzyć na nich na otwartej przestrzeni. Południowcy przyzwyczaili się do widoku swoich żołnierzy znikających w tunelach, dlatego nie będą przygotowani na to, co z nich wyjdzie.

– Co masz na myśli, pani? – zapytał stary Turley, marszcząc pozbawioną zarostu twarz. – Oni wkopują się w ziemię jak robaki.

– Tak – rzekła Saqri. – Ale ponad połowa ich żołnierzy, dostaw i okrętów pozostaje na powierzchni. A zatem nie schodźmy niżej, lecz idźmy w górę.

Barrickowi ta myśl wydała się dziwna. Przecież nie ma czasu, by marnować bitewny zapas na plażach Zatoki Brenna! I jaką mogli mieć nadzieję? Kilkuset czarodziejskich ludzi, rybaków i istot nie większych niż myszy? Zniszczy ich zimna stal południowców albo wydarzenia nocy przesilenia letniego. Poczuł zniechęcenie. Plan Saqri wydał mu się bezsensowny.

– *Wszystko to zobaczysz* – przemówił głos w jego umyśle, który wyłonił się spośród jego myśli niczym smużka dymu. – *Zobaczysz śmierć wielu.*

– *Ynnir? Panie, to ty?*

– *Tak, ale znowu mnie utracisz. Tyle widzę...* – mówił słabym szeptem jak kapłan, który snuje opowieść o dawnej przemocy, której cel od dawna już pozostaje niejasny. – *Obawiam się, że stracisz wszystko, ludzkie dziecko. Wszystko...*

\*\*\*

Kiedy Barrick wrócił do swojego namiotu w obozie Qarów, zastał tam zbroję, którą ktoś przyniósł dla niego, wykonaną z perliście szarego pancerza, jakiego jeszcze nie widział, z wysokim hełmem, którego grzebień miał kształt liści laurowych. Zbroja nie była nowa – widać było na niej liczne rysy, których nie dało się do końca wygładzić – a szum w głowie podpowiadał mu, że głosy Ognistego Kwiatu ją rozpoznały. Jednakże czy to Ynnir, czy też coś innego, powstrzymywał przed nim myśli Ognistego Kwiatu, dlatego wspomnienia, jakie przywołała zbroja, pozostały odległe i niejasne.

Zbroja była pięknie wykonana, a Barrick wiedział, że będzie mu potrzebna, lecz nie dawała mu spokoju myśl, że nie w pełni zrozumiał znaczenie tego podarunku.

## Wezwanie sepiowego rogu

*Zmeos, którego wielu nazywało Rogatym  
Wężem, pogrążył się w żalobie, pozostając w  
zamku brata, i zatrzymał dla siebie światło  
słońca. Na północnych ziemiach na długie lata  
zapanowała zima.*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Kiedy atakują, to na początku wydaje ci się, że ich szeregi nie mają końca i wszyscy są tacy sami, jak fale napierające na groblę. Ale niech cię to nie zwiedzie – mówił mu sierżant Donal Murroy.

Ferras Vansen pamiętał tamtą noc, jedną z pierwszych, kiedy stanął na warcie razem ze starym żołnierzem. Wciąż miał w pamięci każde słowo.

– Naprawdę z nimi walczyłeś?

Murroy splunął za mur i zaraz cofnął głowę, bo zmienił się wiatr.

– Z południowcami? Tak, chłopcze. Dwa lata walczyłem dla króla Olina za jego młodości. I ja wtedy byłem młody! Oblegaliśmy Hierosol. Ten stary sukinsyn Parak był wtedy autarchą. Parnad był jego synem.

Teraz kapitan musiał stawić czoło Sulepisowi, synowi Parnada. Zmieniały się imiona, lecz agresja xiskiej armii wydawała się niezmienna.

– Co miałeś na myśli, mówiąc: „niech cię to nie zwiedzie”? – zapytał wtedy młody Vansen.

– Oni nie wszyscy są tacy sami. My tutaj, na północy, zbieramy armię, kiedy zachodzi potrzeba. Dobrze, jeśli uda nam się wysłać przodem kilku lekkozbrojnych piechurów z włóczyniami, żeby niepokoiili wierzchowce wroga. Za to autarcha trzyma stutysięczną armię przez cały czas. Musi, żeby utrzymać panowanie we wszystkich podbitych przez siebie krajach. Największa armia od czasów świetności Hierosolu, a każdy żołnierz ma w niej swoje miejsce. Na jaja Voliosa, chłopcze,

wiedziałeś, że mają całą kompanię, która zajmuje się tylko karmieniem i pojeniem słońi?

Vansen nigdy nie widział słońia.

– Naprawdę?

– Tak. Módl się, żebyś nigdy nie spotkał się z tymi bestiami. Wielkie jak dom, strzały odbijają się do nich jak od pancerza. Widziałem, jak taki chwycił dorosłego mężczyznę i cisnął na sto stóp w powietrze, zupełnie jak Bram Kamienne Buty z dawnych opowieści. Jakbyś walczył z demonem. – Murroy znowu przerwał, by splunąć. – Tutaj było tak samo jak wtedy, gdy armia autarchy zaatakowała nas w Hierosolu. – W przeciwieństwie do większości żołnierzy stary Murroy wierzył, że trzeba dobrze poznać wroga, czego próbował nauczyć Vansena. – Najpierw pojawili się Nadzy, jak ich tam nazywają, piechota uzbrojona we włócznie i tarcze. Większość z nich pochodzi z podbitych krajów, Sanii, Zankartuumu, Tuanu, Iyaru, ale oficerowie są z Xis. Napływają jak fale w Zatoce Brenna: autarcha rzuca kolejne oddziały niemal co godzinę. Za tamtymi szli Procarze z Hakki, kanonierzy i Wielki Grzmot, kawaleria, pustynni jeźdźcy szybcy jak wiatr. Kiedy atakują, możesz tylko czekać i wierzyć w siłę własnych włóczni i muru z tarcz.

I oczywiście – kontynuował sierżant, po raz kolejny plując ponad murem, jakby chciał się pozbyć wspomnienia oczekiwania na atak Wielkiego Grzmotu – ten przeklęty przez bogów autarcha ma jeszcze swoje specjalne oddziały, Białe Ogary, do których wcielają pochwyconych na północy trygonatów, a także Lamparty, straż przyboczną. Mówią, że każdy Lampart jest wart szeregu zwykłych żołnierzy.

– Skoro autarcha ma tak potężną i silną armię, to w jaki sposób Olinowi udało się go pokonać?

– W rzeczywistości do końca mu się to nie udało – przyznał Murroy. – Przerwali oblężenie tylko dlatego, że mury Hierosolu są mocne. Kiedy nadejdzie dzień, gdy Hierosol padnie zdobyty przez południowców... no cóż, ja już tego nie dożyję, żeby zobaczyć, co się stanie z resztą Eionu.

\*\*\*

– Wracają z ogniem! – ryknął Jaspis Młot i pchnął Vansena, przewracając go. Jego okrzyk wciąż odbijał się echem, gdy awangarda wroga próbowała wcisnąć się z powrotem do tunelu, a obrońcy z przeciwogniowymi tarczami starali się przeć do przodu. – Szybko! – krzyknął.

Oddział z tarczami przybył na krótko przed tym, nim xiska artyleria przytoczyła ogniowe działa, podobne do ośmiornic konstrukcje składające się z miechów, beczek i ruchomych rur, które bardziej przypominały instrumenty settlandzkich górali niż broń. I tylko to, że Funderlingowie natychmiast postawili ścianę z tarcz, wygiętych do tyłu, dwukrotnie wyższych od siebie i pokrytych czymś, co nazywano „skalną wełną”, uratowało życie wszystkim, którzy znaleźli się za nią, ponieważ korytarz, gdzie się wycofali, był zbyt wąski i nie pozwalał na szybki odwrót. Płynny ogień wypluty przez xiskie maszyny spadł na tarcze. Tu i tam ogniste krople przedostały się za zasłonę, parząc boleśnie podpierających. Nawet Vansen, oddalony o kilka szeregów, poczuł, jak osmalają mu się włosy i brwi.

– Kusze! – Kapitan oddałby wszystko za jedną kompanię dobrych łuczników, ale nikt mu ich nie przydzielił, więc musiał się zadowolić kilkunastoma starymi kuszami, które strażnicy Funderlingów mieli jeszcze z czasów króla Ustina. Ale musiał przyznać, że Funderlingowie dobrze się spisali.

Kiedy południowcy opróżnili pierwsze beczki, ogień zaczął tracić na sile, a niedługo potem oni sami zaczęli się wycofywać. Wtedy Vansen posłał kuszników w dół zatłoczonego korytarza i ustawił ich tuż za tarczami. Gdy napastnicy zajęli się wymianą beczek, obrońcy opuścili nieco tarcze i przykucnęli, tak by kusznicy mogli strzelać nad nimi. Przeróżne krzyki i wielki jęczor ognia z przebitego miecha jednej z maszyn zachęciły Vansena do wydania rozkazu do ataku.

Funderlingowie wylali się z wąskiego korytarza do pieczary, wymachując młotami i toporami i wołając:

– Za Cech! Za Starszych!

Dopadli kilkunastu xiskich kanonierów i ich strażników i pieczarę wypełniły brzęk stali, a także przekleństwa i bojowe okrzyki. Jednak

reszta południowców, setki dobrze uzbrojonych piechurów – „Nagich” – ruszyła do przodu.

– Łapcie ogniowe działo i wycofujcie się! — zawołał Vansen.

Kiedy jego ludzie wrócili do korytarza, nakazał porzucić rozklekotaną maszynę u wejścia do pieczary. Znalazł lont i spust działa, a potem nabił zapaloną zapalniczkę na bełt. Wziął kuszę od jednego z Funderlingów i sam zaczął się wycofywać za nimi. Kiedy zobaczył, że xiscy piechurzy zaczynają się wciskać do korytarza, dobrze wycelował i posłał bełt w jeden z większych miechów ogniowej maszyny. Na falę gorącego powietrza, płomieni i przerażonych okrzyków wroga Funderlingowie odpowiedzieli radosnym wiwatem.

– Do Korytarza Pielgrzyma – zawołał Vansen. – Nieprędko przedrą się przez to świąteczne ognisko, które im zgotowaliśmy!

\*\*\*

– Nawet się nie okopaliśmy! – jęknął Jaspis. – Uderzyli tak szybko! Musieli wiedzieć, że tu jesteśmy. Ale z tej pozycji chyba uda nam się powstrzymać ich dłużej.

– Nie możemy sobie na to pozwolić. – Vansen pokazał jedną z map Rogowca. – Spójrz. Jeśli zablokujemy Korytarz Pielgrzyma w tym miejscu, to nas obejdą. Prawdopodobnie zejdą niżej jednym z bocznych tuneli. Widzisz, ten tutaj nawet nie ma nazwy, ale z pewnością jest wystarczająco szeroki, by skorzystali z niego południowcy.

– Mapy Rogowca okazały się bardziej przydatne, niż się spodziewałem – rzekł Cynober, posapując, gdyż syn pomagał mu właśnie zdjąć hełm. – Nie miałem pojęcia, że istnieje tyle nienazwanych korytarzy.

– Korzystał z dokumentów bibliotecznych, ale był też na dole, pamiętasz? – Vansen przez chwilę przerzucał stos map, aż znalazł tę, która pokazywała poziom pod nimi. – Doszedł aż do wyspy na Morzu w Głębiach.

Jaspis Młot, który nieformalnie mianował się osobistym ochroniarzem Vansena, zagwizdał cicho.

– Nasz Rogowiec był na wyspie? Z samym Lśniącym Człowiekiem?  
– Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nigdy bym nie przypuszczał.

– Nie można go nie doceniać – rzekł Cynober, popijając wodę z bukłaka z kreciej skóry. – Rogowiec to mądry i nietuzinkowy Funderling. Słyszę więcej mądrości przy jego rodzinnym stole niż w komnatach Mistrzów Cechu. Mówię głośno i nie obchodzi mnie, kto to słyszy.

– A gdzie on jest? – zapytał Młot. – Myślałem, że został w świątyni razem z kapłanami i innymi, którzy są niezdolni do walki albo... nie chcą walczyć. – Jego mina mówiła wyraźnie, co myśli o tych, którzy nie chcieli chwycić za broń w obronie Miasta Funderlingów.

– Naszych sprzymierzeńców też nie lekceważ, dobry Jaspisie – odpowiedział Vansen. – Mamy cały pluton mnichów, którzy walczą u naszego boku, mimo że nie mają wojskowego przygotowania. Na bogów, człowieka, większość ma w rękach motyki, młotki i laski!

– Wybacz, kapitanie. Nie chciałem nikogo obrazić. Zastanawiałem się tylko, dlaczego go tu nie ma.

– Wiem, Jaspisie. Rogowiec Lideryt ma pewien plan – szalony desperacki pomysł – i pozwoliliśmy mu spróbować go zrealizować, jeśli to będzie możliwe. Nam bezpośrednio nie pomoże, lecz jeśli my przegramy, to może uratować pozostałą część Miasta Funderlingów.

– Co on takiego robi, kapitanie?

Vansen pokręcił głową.

– Wybacz, ale nie wolno mi o tym mówić. Sprawa jest opatrzona pieczęcią Cechu, tak chyba mówicie, Cynobrze?

Magister przytaknął i westchnął.

– Tak. To już sprawa Cechu, bez względu na to, jak szalona.

– Mówisz, jakbyś wcale nie wierzył, że się powiedzie – rzekł Jaspis.

– To prawda. – Cynober, przy pomocy Kalomela, usiadł oparty plecami o skalną ścianę. – Ale zgodziłem się na to, obiecałem pomoc i pomogłem. Dość gadania. W niczym już nie wesprzemy Rogowca, skupmy się więc na tym, co jeszcze możemy zrobić.

Vansen przysunął mapę.

– Jak wszyscy wiedzą, będziemy się wycofywać, najwolniej jak się da, ale jest to nieuniknione. Od Sali Rachmistrza i dalej przez kolejne

tunele. Zatrzymamy ich dłużej w Pieczarze Wichrów, na co liczę, ale główne gniazdo oporu ustanowimy w Labiryncie. Postaramy się, żeby słono zapłacili za każdą piędź zdobytej ziemi.

– Tylko że oni mają swoich górników, nie wspominając o tych dziwnych stworach w żółtych skorupach – wtrącił Malachit Miedziak, który dołączył do nich, dokonawszy przeglądu swoich ludzi. – Południowcy z pewnością znajdą sposób, by nas obejść.

– W końcu pewnie tak – zgodził się Vansen. – Ale chodzi o to, żeby ustępować im trochę za każdym razem, kiedy już ogarnie ich frustracja. Rozstawimy strażę w dostępnych tunelach, co pozwoli nam się zorientować, czy znaleźli inne korytarze. Lecz gdy będziemy walczyć z całych sił i wycofywać się tylko wtedy, kiedy będzie to konieczne, autarcha zachowa cierpliwość, dzięki czemu wciągniemy go głęboko w dół.

– W ten sposób zaprowadzimy go prosto do Tajemnic! – zaprotestował Jaspis Młot.

– Nie damy rady ich pokonać, Jaspisie. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale czarodziejscy ludzie twierdzą, że autarcha chce się tam znaleźć w noc letniego przesilenia, by odprawić jakiś magiczny rytuał. I temu musimy zapobiec.

– Masz rację, kapitanie. – Jaspis skinął głową. – To rzeczywiście brzmi niewiarygodnie. Ale do tej pory dobrze nas prowadziłeś, nawet na początku, kiedy myślałem, że wszystkich nas pozabijasz. Dlatego ja i moi ludzie wykonamy twoje polecenia.

Vansen odpowiedział uśmiechem.

– Bez was nic bym nie zdołał. – Odwrócił się do pozostałych, Cynobra, Miedziaka i innych Funderlingów, wśród których byli zarówno dowódcy z dziada pradziada, jak i wybrani spośród strażników przez Vansena i Jaspisa. – To walka na śmierć i życie, ale także... taniec. Musimy wyczuć ruchy przeciwnika i jego nastrój, tak jak czujemy samych siebie.

Zapał Jaspisa w jednej chwili przygasł.

– Ta... taniec? Moi ludzie nie umieją tańczyć, kapitanie.

– W takim razie porównaj walkę do dramatu rozgrywającego się na scenie. Macie aktorów i przedstawienia?



Cynober zamyślił się na chwilę.

– Można tak powiedzieć. Niektórzy z Braci Metamorficznych odprawiają pewne rytuały... – zawahał się na moment – ...w Tajemnicach. Oni są jakby aktorami.

– Bardzo dobrze – rzekł Vansen. – W takim razie pomyśl o tym w ten sposób. Musimy dobrze zagrać przedstawienie obrony, a uda nam się, jeśli będziemy walczyć i trochę ustępować. A potem, nawet gdybyśmy potrafili powstrzymać większe siły wroga, to gdy zaczną się niepokoić, znowu ustąpimy im trochę pola, nie bacząc na to, jak dobrą pozycję musimy opuścić. – Ferras Vansen rozłożył ręce, by pokazać, że nie ma nic więcej do zaoferowania. – Oto nasze zadanie. Być może jedno z najtrudniejszych, jakim można obarczyć żołnierzy, tym trudniejsze, że mamy niewycwiczone wojsko i wielu świeżo mianowanych dowódców. Czy może być trudniejsza sytuacja? – Spojrzał na Jaspisa. – A zatem nie obawiaj się, przyjacielu. Może i zginiemy, ale istnieje wiele gorszych rodzajów śmierci i wiele gorszych jej powodów.

– Zaszczycem będzie złamać łopatę u twego boku, kapitanie – powiedział Jaspis takim tonem, jakby zamierzał pobiec i rzucić się na xiską włócznię.

– Dla mnie także, ale powiem ci, że chętnie odrzuciłbym ten zaszczyt – odrzekł Vansen.

\*\*\*

Pinimmon Vash z przerażeniem myślał o tym, jak gruba warstwa skały oddziela go od powierzchni ziemi, jak daleko jest stamtąd do nieba – a nawet do dna morza! Z trudem się powstrzymywał, by nie wyskoczyć z lektyki i nie pobiec, przedzierając się przez umęczonych żołnierzy, z powrotem na górę. Nie zrobił tego nie ze względu na to, że okryłby się dozgonną hańbą. Nawet utrata honoru nie była dość przekonująca, by potrafił pokonać przerażenie na myśl o tonach skały przygniatających jego myśli i odczucia. Nie, na miejscu zatrzymał go widok twarzy samego Sulepisa, wpatrującego się w niego przez dym płynący z rytualnego koksownika, który sprawiał, że Vash uśmiechał się

niepewnie, czując, że w każdej chwili jego skóra może oderwać się od kości i uciec bez niego.

Sulepis nigdzie się nie ruszał bez swojego koksownika, który reprezentował ogień jego boskiego przodka Nushasha. I był to zwyczaj, który sam Vash wielce aprobował, a z którym wiązały się takie skojarzenia, jak starożytny, systematyczny, obrzędowy, budzący szacunek – cechy niezaprzeczalnie obce jego młodemu panu.

– Masz kwaśną minę, pierwszy ministrze – rzekł Sulepis. – Czyżby twoje bystre oko wypatrzyło jakiś słaby punkt w naszym ataku?

Nienawidził, kiedy autarcha żartował z niego w obecności żołnierzy, ale nawet polmarchowie wiedzieli, że nie należy okazywać zbytniego rozbawienia. Bez względu na to, co sobie o nim myśleli, wiedzieli, że Pinimmon Vash jest drugą najważniejszą osobą po Złocistym. Więcej oficerów, niż było tam obecnych, ściągnęło na siebie gniew pierwszego ministra i wszyscy oni odeszli, a tylko ci, którym dopisało największe szczęście, cieszyli się marną emeryturą.

Vash zmusił się do uśmiechu.

– Kwaśną, Złocisty? Jakżeby ktoś mógł mieć kwaśną minę w samym środku tak ekscytującej przygody? To tylko własne troski zajęły moje myśli.

– Doprawdy? Ależ z ciebie samolubny starzec. Żeby nie podzielić się choć jedną z nich? – Sulepis odwrócił się do więźnia. – Olinie, nie chciałbyś usłyszeć, co trapi mojego dobrego sługę?

Vash miał wrażenie, że król z północy jest jeszcze bledszy niż zwykle. Jego czoło lśniło od potu, jakby dokuczała mu gorączka.

– Wybacz. Nie usłyszałem – rzekł Olin.

– Nieważne. Powiedz nam, co cię trapi, ministrze.

Vash wziął głęboki wdech i na chwilę zatrzymał powietrze w płucach.

– Martwię się o ciebie, Złocisty, to wszystko. Obawiam się o twoje bezpieczeństwo tak głęboko pod ziemią, w tak mrocznym i zdradliwym miejscu, w obliczu tak niesamowitego wroga.

– A nie dalej jak wczoraj zapewniałeś mnie, że zatriumfuję mimo wszelkich przeciwności, że niebiosy mi sprzyjają. Jakże więc dzisiaj możesz we mnie wątpić? Wątpisz we mnie, ministrze? – Autarcha

uśmiechał się, lecz jego oczy świeciły żółtym blaskiem równie intensywnym jak ogień w świątyni Nushasha.

Z jakiegoś powodu jest zły, uzmysłowił sobie nagle Vash. Nie na mnie, ale głupio się zachowałem, pozwalając, by zauważył wyraz mojej twarzy.

– Wybacz, Złocisty. Staram się nigdy nie wątpić w twoje zwycięstwo, lecz wrogowie są tak zdradliwi, tak niegodziwi...

Olin skierował ku niemu lśniąca od potu twarz wykrzywioną grymasem niedowierzania.

– Co? Moi biedni ludzie niegodziwi? Nie dość, że zabijacie niewinnych, to jeszcze musicie ich obrażać?

– Nie ich miał na myśli, Olinie – rzekł autarcha, przybierając szlachetny wyraz twarzy. – Chociaż każdy, kto pozwala sobą rządzić tej kreaturze Tolly’emu, nie może być całkiem niewinny. Stary Vash ma na myśli moich prawdziwych wrogów. Bogów. Rzeczywiście, są silni i okrutni, ale nie mają tego, co ja... ludzkiej krwi, która płynie w moich żyłach!

Król z północy, który w przeciwieństwie do Vasha nie miał powodów, by obawiać się gniewu autarchy, zapytał:

– Co masz na myśli, mówiąc „ludzkiej”? Zawsze mówiłeś o krwi bogów, która, jak się zdaje, płynie w moich żyłach.

Sulepis uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Ach, o to właśnie chodzi. Krew bogów uległa rozrzedzeniu i zmęczyła się, ale wciąż stanowi klucz, który pozwoli mi otworzyć pewne drzwi... a gdy już staną otworem, wyleje się z nich moc. – I moc ta, potęga samych niebios, będzie moja. Jednak moja krew może być jedynie krwią śmiertelnika albo, jeśli Nushash rzeczywiście był moim przodkiem, mogła się rozcieńczyć bardziej niż twoja. Jeśli chodzi o mnie, ważne jest to, że w moich żyłach płynie krew zdobywców – twardych milczących mieszkańców pustyni, którzy zdobywali to, na czym im zależało, i utrzymywali to dzięki rozumowi i odwadze. Komu innemu przyszłoby do głowy porwać się na moce niebios? Nie ma na tym świecie istoty bliższej bogu niż ja, a dzięki moim śmiertelnym przodkom koło się zamknie, ja zaś odziedziczę największą moc, jaką można sobie wyobrazić. \_

Olin długo przyglądał się autarsze.

– Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że już osiągnąłeś dno szaleństwa, Sulepisie, znowu mnie zaskakujesz.

– Świetnie! – zawołał autarcha wyraźnie zadowolony. – A teraz chodźmy przeprowadzić inspekcję moich wojsk, Olinie. Nie podoba im się takie ciemne miejsce i wcale się nie dziwię, a ja jestem ich słońcem i muszę trochę im poświecić.

– Za to ja nie świecę – odpowiedział cicho Olin. – A jedynie się spalam.

– Ach – westchnął Sulepis. – Zgadza się, przyjacielu. Cierpisz coraz bardziej, w miarę jak zbliżasz się do swojego dawnego domu, prawda? Złe sny, walące serce, głowa rozsadzana przejmującym bólem? Co za ironia! – Autarcha pokręcił głową z dezaprobatą, niczym ojciec obserwujący zachowanie niegrzecznego młodzieńca. Vash nie mógł się nadziwić, na jak rozmaite sposoby jego pan potrafi się zachowywać: Sulepis wydawał się próbować różnych sposobów bycia, jakby charakter był czymś, co można zmieniać jak maskę. – Bardzo cierpisz?

Spojrzenie, które Olin mu posłał, powinno wzniecić w młodym autarsze ogień gniewu.

– Radzę sobie. Jeszcze żyję.

– Co w końcu stanowi szczyt aspiracji większości śmiertelników, prawda? – Autarcha roześmiał się i wstał.

Kilku służących zerwało się, by rozwinąć święty niebieski dywan Bishakha, by autarcha mógł się udać, dokądkolwiek zechce: Sulepisa wciąż obowiązywał nakaz kapłanów, by nie dotknął stopą ziemi. Vashowi wydało się dziwne, że człowiek, który gotów jest zabijać królów i obrabować bogów z ich mocy, tak skrupulatnie przestrzega religijnych rytuałów.

– Chodź ze mną – zwrócił się autarcha do więźnia. – Dotrzymasz mi towarzystwa, a ja obdarzę swym blaskiem moich ociągających się żołnierzy.

Kiedy strażnicy pomogli wstać królowi z północy, Olin się zatoczył, zrobił chwiejny krok w kierunku Vasha, przytrzymał się szaty starca, a przynajmniej tak się zdawało, gdy zaś ten niemal zgiął się wpół pociągnięty przez króla, Olin przysunął usta do jego ucha.

– Wiem, że nie jesteś głupcem – wyszeptał. – Jeśli chcesz przeżyć, udaj się do Prususa. Przekonasz się, że potrafi słuchać ludzi.

Przez chwilę Vashowi się wydawało, że zatracił znajomość powszechnego języka Eionu, że Olin wymamrotał jakieś przekleństwo, a on po prostu źle go usłyszał. Lecz znaczące spojrzenie, jakie posłał mu król z północy, zanim pozwolił się odprowadzić, sprawiło, że serce starego ministra, już bijące niebezpiecznie szybko, zaczęło łomotać jak świąteczna grzechotka.

Czy on oszalał? Że też przyszło mu do głowy, że mógłbym zdradzić autarchę!

Zaraz jednak przemknęła mu przez głowę kolejna myśl, zabarwiona poczuciem winy. Co on takiego we mnie zobaczył? Coś w mojej twarzy? Czy już wszyscy dostrzegają na niej cień wątpliwości?

Chwilę później naszło go straszliwe podejrzenie: Olin musiał coś usłyszeć. Chce mi powiedzieć, że Złocisty planuje się mnie pozbyć. Sulepis tylko się ze mną bawi, jak kot z myszą w spichlerzu.

Vash patrzył, jak lektyka z autarchą się oddala w ogromnej kamiennej komnacie, oświetlonej w rogach latarniami, i nagle wydało mu się, że jego zdradliwe myśli wyciekają z niego niczym krew przesiąkająca przez bandażę czy też pot gorączki spływający z twarzy Olina. Może wszyscy wiedzą!

Przerażony słowami skazanego na śmierć króla pierwszy minister Xis udał się pospiesznie do swojego namiotu, by schować się w jego cieniu i pomyśleć.

\*\*\*

– Niewiele widzę – wyszeptał Vansen do młodszego strażnika imieniem Dolomit, wpatrzony w ciemność ogromnej niskiej komory. Powiedziano mu, że prawie w całych Tajemnicach świecące grzyby na ścianach dają dość światła, by Funderlingowie mogli widzieć, lecz Vansen uznał, że równie dobrze mógłby mieć kubeł na głowie. – Jestem tu zupełnie ślepy!

– Dlatego, że jesteś powierzchowncem, kapitanie.

– Na szczęście dla nas, strażniku, nasi wrogowie też.

Po chwili milczenia Dolomit odezwał się szeptem:

– Południowcy prawie przebili się przez gruz, który usypaliśmy. Niektórzy mają osłonięte latarnie, nawet ty byś je zobaczył, kapitanie, gdybyśmy podeszli bliżej!

Vansen specjalnie wybrał na stanowisko dowodzenia miejsce w przeciwległym końcu Sali Rachmistrza. W pieczarze znajdowały się duże stosy kamieni, które dawały dobre schronienie, dlatego Vansen uznał, że będą jej bronić, jak długo się da. Wiedział, że ostatecznie ustąpią, ale miał nadzieję, że południowcy zostawią tu wiele trupów.

– Oszczędzaj siły – zwrócił się do młodego strażnika surowym tonem. – Jaspis cię przysłał, żebyś mi pomagał. Jeśli mam się z tobą kłócić, to znajdę sobie innego posłańca, a ty będziesz się tłumaczył przed Jaspisem.

– Przepraszam, kapitanie. – Funderling był wyraźnie zaskoczony. – Ja... już nie będę – wybąkał niepewnie.

– Pewnie, że nie. I mów ciszej. Może i jestem powierzchniowcem, ale nawet ja wiem, że w pieczarach dźwięk się roznosi.

– Masz rację, kapitanie. Przyjmij moje przeprosiny.

– Przyjęte. Na razie. Mów, co widzisz.

Młody strażnik bardzo się starał zapanować nad strachem, co go jednak bardzo rozpraszało.

– Kapitanie – odezwał się po dłuższej chwili milczenia – południowcy uformowali oddział i zdaje się, że... tak, ruszają dalej. Ale to chyba nie są żołnierze z Xis!

– Jaki mają emblemat? Widzisz?

– Wilk albo pies...

– Białe Ogary autarchy – powiedział Vansen. – Zastanawiałem się, kiedy ich zobaczymy. To ludzie z północy, z Perikalu, przynajmniej ich ojcowie stamtąd pochodzili. W walce zaciekli jak ranny odyniec. Ilu?

– Wydaje się, że jedna latarnia przypada na dziesięciu, dwunastu, kapitanie. A ja widzę... ze dwadzieścia latarni w pierwszym szeregu.

– Aż tylu? A Jaspis i pozostali?

– Przyczaili się. Ogary prą do przodu, ale powoli. Ci na samym przedzie mają włócznie, a za nimi idą łucznicy.

– Nic możemy im pozwolić podejść zbyt blisko. Powiedz, jak znajdują się w połowie drogi między resztą swoich a Jaspisem.

Dolomit zmrużył oczy, by lepiej widzieć. W ciszy Vansen słyszał szum krwi w skroniach. Może to być nawet setka wyborowych żołnierzy, pomyślał, ale są na obcym terenie, a moi ludzie walczą u siebie.

Mimo wszystko wciąż powracał w duchu do licznych szeregów xiskich żołnierzy, którzy idą korytarzami za tymi pierwszymi oddziałami, wypełniając pieczary zbrojnymi, łącząc się w tysiące, by w końcu wyjść na zewnątrz do obozu, gdzie czeka drugie tyle ich towarzyszy. Funderlingowie dużo mówili o osuwiskach, a ten najazd można by nazwać właśnie morderczym osuwiskiem. Bez względu na to, jaką odwagą sami się wykażą albo jak bardzo los im będzie sprzyjał, nie poradzą sobie.

– Ogary są prawie w połowie drogi – wyszeptał Dolomit, wytrącając Vansena z nieprzyjemnych rozmyślań. – Prawie... prawie...

– W takim razie daj sygnał! – polecił Vansen. – Masz! – Podał Funderlingowi latarnię.

Strażnik wziął ją od niego i wstawszy, podniósł nad głowę.

– Jaspis zobaczył sygnał!

– W takim razie pochyl się, człowieku! – Vansen chwycił strażnika i pociągnął mocno w dół. W chwili gdy lampa zakołysała się gwałtownie w ciemności i potoczyła po pochyłości, rozchlapując płonąca oliwę, trzy strzały uderzyły o skałę tuż obok nich.

– Przepraszam, kapitanie

– Nie przepraszaj, bierz się do roboty. Już nie będą do nas strzelać, bo nas nie widzę. Mów, co ty widzisz. Czy nasi kusznicy trafili nieprzyjaciół?

– Kilku, ale dużo strzał utkwilo w tarczach.

– Moglibyśmy celować niżej, gdyby to przekłete podłoże nie było usiane kamiennymi garbami. Powinniście bardziej dbać o porządek.

– Kapitanie?

– Nieważne. Mów, co się dzieje.

– Białe Ogary posuwają się, nisko pochyleni, pokonują krótkie odcinki, kiedy strzelają ich łucznicy. I... – Dolomit urwał nagle. – Na

Starszych – powiedział zduszonym głosem – to był Chryzolit. Znałem go!

Vansen odczekał chwilę.

– Wielu dobrych ludzi polegnie. Musimy postarać się zabić więcej wrogów, znacznie więcej. Mów.

– Ogary prawie dotarły do miejsca, w którym czekają nasi ludzie. Ach! A teraz starli się, walcząc...! Och, nie, zatrzymaj ich! Nie...

Okrzyki walczących i umierających odbijały się tak gromkim echem, że Vansen z trudem słyszał, co mówi Funderling.

– Dolomicie, powiedz mi, co widzisz!

– Białe Ogary dotarły do skał i próbują wyprzeć stamtąd Jaspisa i jego ludzi. Walczą włóczniami. Och, na Starszych, straszny widok!

– To nie wczuwaj się, tylko powiedz mi, co się dzieje. Jakbyś oglądał ilustrację w książce.

– Po... południowcy i nasi walczą zaciekle między skałami. W niektórych miejscach duzi wdarli się między kamienie i biją się z naszymi na otwartej przestrzeni. Gdzie indziej ludzie Jaspisa się wycofali. Ach, Cynober przyprowadził swoich do pomocy, bronią się za skałami... – Dolomit zamilkł na moment i wychylił się mocno do przodu, a Vansen chwycił go mocno za kołnierz, żeby Funderling nie spadł ze skały. – Och, nie! Południowcy się przebili!

– Jak to wygląda?

– Przykro mi, kapitanie. Niektórzy zdołali przejść skrajem pieczary, a reszta walczy na środku. Zaraz się znajdą za plecami ludzi Jaspisa... Ach!

– Mów dalej, chłopcze!

– Jest źle, kapitanie! Białe Ogary przedostały się z obu stron naszych żołnierzy. Nasi są otoczeni, lada moment będzie po nich... Idę im na pomoc!

– Nie! Zostań tutaj. Przekłete ciemności. – Vansen wsunął rękę do plecaka. – Jakże żałuję, że nic nie widzę. Mów, co się dzieje, Dolomicie, a nie opowiadaj, co ci się wydaje. Białe Ogary otoczyły naszych?

– Tak. Widzę pierścień pochodni wokół nich!

– Dobrze. – Vansen coś podniósł. – Wiesz, co to jest?



Kapitan był pewny, że młody strażnik gapi się na niego, jakby Vansen oszalał.

– To... to jest sepiowy róg. Muszla morskiego stworzenia. Takim Bracia Metamorficzni wzywają mnichów na modlitwę.

– Przyjmiesz ten zaszczyt i zadmiesz w niego?

– Kapitanie?

Vansen wsunął róg w dłonie strażnika.

– Zadmij w niego. Najmocniej jak potrafisz. Czas przywołać tych białych sukinsynów do świątyni.

Po chwili rozległ się ochryply głuchy dźwięk, który stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie jego triumfalne echo obiegiło całą Salę Rachmistrza. Na wezwanie rogu odpowiedział gromki okrzyk oddziału Malachita Miedziaka ukrytego na skalnym zboczu nad miejscem, w którym żołnierze autarchy weszli do pieczary. Funderlingowie wysypali się z ukrycia i natarli na najbliższych wrogów.

– Funderlingowie, ludzie Miedziaka! – relacjonował podekscytowany Dolomit. – Atakują powierzchniowców!

– Wiem.

– Straszna rzeź, ale spychają Białe Ogary między skały! Ludzie Miedziaka strzelają z kusz w wejście, żeby nie dopuścić następnych południowców.

Vansen skinął głową.

– Czas na kolejny sygnał, strażniku Dolomicie. Chyba nie zgubiłeś rogu, co?

– Nie, kapitanie!

– To dobrze. Niech go znowu usłyszę. Niech usłyszy go sam Sulepis, gdzieś tam w tunelu. Miejmy nadzieję, że dostanie gęsiej skórki!

– Tak, kapitanie! – Chwilę później po raz drugi rozległo się żałosne wołanie, jeszcze donośniejsze, tak że Vansen był pewny, iż pozostawi bolesne wspomnienie w pamięci tych południowców, którzy przeżyją.

– Ogary czują, że są w opałach! – zawołał Dolomit po kilku chwilach milczenia, nie bacząc na obowiązującą ciszę. – A ich towarzysze nie mogą im pomóc! Spójrz, ludzie autarchy zamieniają się w jeże, naszpikowani bełtami! Och, Starsi Ziemi, ale wciąż walczą! – Głos Funderlinga zadrżał. – Tyle krwi!

Vansen uznał, że pora na kolejną sztuczkę. Posłał Dolomita w dół zbocza do inżynierów Korunda, by się upewnił, że są gotowi. Czekał na powrót strażnika, podrzucił ciężki róg w dłoń. Brat Antymon, który mu go dał, powiedział, że róg jest zrobiony z prastarej skamieniałej muszli.

Żywe stworzenie zamieniło się w kamień, tak samo jak chciwy kupiec w starej opowieści. Czy nawet niema istota może obrazić bogów? Vansen nie miał pewności, czy rozumie wszystko, co Chaven i inni opowiadali, ale z własnego doświadczenia wiedział, że boska moc jest wszędzie i jest groźna. Wiedział o bogach wystarczająco dużo, żeby bać się ich bardziej niż czegokolwiek innego, nawet porażki czy śmieszności.

– Korund mówi, że są gotowi – odezwał się niespodziewanie Dolomit, a Vansen aż drgnął zaskoczony jego cichym powrotem.

Siedzenie w pustce i ciemności i poleganie na cudzych oczach okazało się trudniejsze, niż sądził, ale wiedział, że ciemność daje im dużą przewagę nad żołnierzami autarchy.

– A teraz, skoro już mocno oberwali, wycofamy się. – Tym razem sam przyłożył róg do ust i sygnał popłynął przez ogromną pieczarę.

Białe Ogary przyczyły się, czekając na to, co się wydarzy. Wydawało się, że przez długą chwilę nie zorientowali się, że wrogowie wycofują się po cichu w kierunku korytarza w przeciwnym końcu Sali Rachmistrza. Vansen i Dolomit dołączyli do wycofującej się grupy.

Wreszcie Białe Ogary, stwierdziwszy, że był to sygnał do odwrotu wydały okrzyk. Najzacieklejsi skoczyli do przodu, a pod nieobecność kuszników Malachita Miedziaka ich towarzysze uwięzieni w wejściu mogli wreszcie do nich dołączyć. Połączywszy siły, popędzili po nierównym podłożu pieczary, uchylając się przed nadlatującymi od czasu do czasu bełtami. Krzyczeli coraz głośniejszymi głosem, żądni zemsty, ponieważ wyczuli, że wreszcie te małe ludziki wycofują się przed nimi.

– Przepuście pierwszych sześciu z latarniami – polecił Vansen inżynierom, kiedy razem z innymi wpadł do Ochrowej Sztaby, długiej pieczary pod Salą Rachmistrza.

Kiedy pierwszych kilkudziesięciu żołnierzy autarchy wyszło z korytarza, posuwając się ostrożnie, z uniesionymi wysoko tarczami i

pochodniami, tak by mogli widzieć coś przed sobą, nie trzeba było nawet dać w róg. Na znak dowódcy inżynierów jego ludzie natarli na ogromny żelazny klin, który Funderlingowie przynieśli z kamieniołomu. Drzewca wygięły się z jękiem, a ludzie stęknęli z wysiłku i przez chwilę się wydawało, że nie podołają zadaniu. Gdy pierwszy wróg zorientował się, na co się zanoszą, i spojrzął w górę, wypatrując w ciemności celu, który można by ugodzić strzałą, kamienny blok drgnął i osunął się na ludzi w dole tak nagle, że tylko pierwsi ranni zdążyli krótko krzyknąć.

Tunel między Ochrową Sztabą a Salą Rachmistrza został zablokowany, przynajmniej na kilka godzin. Kusznicy Miedziaka wypuścili pozostałe im bełty, głównie godząc w Białe Ogary uwięzione po wewnętrznej stronie osuwiska, a potem pozostali Funderlingowie ruszyli, by dokończyć dzieła, dobijając nawet bezbronych rannych, zanim Vansen zdążył ich powstrzymać. Nie spodziewał się takiej zajadłości u małych Funderlingów.

Kapitan wyszedł do przodu, kiedy zapalono pierwsze latarnie. Stał nad trupami Białych Ogarów, w pięknych zbrojach, z brodami starannie zaplecionymi w warkocze.

– Spójrzcie na nich – powiedział. – Myśleli pewnie, że Śmierć zaprosiła ich na wesele, nie na pogrzeb.

Przybyli na obcą ziemię, żeby zabić ludzi, których nie znali, tylko dlatego, że szaleniec kazał im to zrobić, pomyślał. Trącił trupa butem i odwrócił ciało twarzą do ziemi. Byli żołnierzami, tak samo jak ja. Rozumiem ich, ale im nie współczuję.

\*\*\*

Strażnicy pilnujący namiotu skotarchy odsunęli się, ze wzrokiem wbitym nieruchomo w ziemię, tak że pierwszy minister Vash uznał za cud to, iż byli w stanie go rozpoznać. Służący skotarchy, eunuch niemal tak stary jak Pinimmon Vash, uchylił połę, zanim minister zdążył choćby chrząknąć.

– Wejdz, pierwszy ministrze – rzekł. – Powiem Pustynnemu Latawcowi, że przybyłeś. Z pewnością w swej łaskawości udzieli ci audiencji.

A jakże, pewnie, że udzieli, wiedząc, że mogę tu wejść, kiedy tylko zechcę, podczas gdy on może jedynie kiwać głową i kwiczeć jak zdychający prosiak, pomyślał Vash.

– To dobrze – powiedział. Jakże się nazywa ten eunuch? Starość to przekleństwo. – A gdy już mnie zapowiesz, a on łaskawie mnie przyjmie, może będziesz tak dobry i zostawisz nas samych na kwadrans, nie dłużej.

Oblicze służącego wyrażało tak wielką podejrzliwość, jakby Vash oznajmił mu, że zamierza wpakować skotarchę do worka i zabrać na spacer.

– O wielki, nie rozumiem – odpowiedział.

– Pewnie, że nie rozumiesz. Wróć za kwadrans, tak jak powiedziałem. Twemu panu nie stanie się żadna krzywda.

Gładkolicy eunuch wahał się przez chwilę, lecz w końcu skłonił głowę i wyszedł do większej części namiotu oddzielonej od reszty przepierzeniami z wyhaftowanymi na jedwabiu obrazami przedstawiającymi pustynne skowronki pilnujące gniazda pod krzewem na pustyni, której Vash nie potrafił rozpoznać. W rzeczywistości od pokoleń nikt z jego rodziny nie widział prawdziwej pustyni. Oczywiście do wnętrza ziemi też nie chciał schodzić, ale tak się złożyło.

Eunuch odciągnął wewnętrzną kotarę i zaprosił Vasha do środka przepisowym ukłonem, po czym ostentacyjnie opuścił namiot, robiąc przy tym tyle hałasu, że nawet gdyby Vash miał zawiązane oczy, zorientowałby się, że eunuch wyszedł.

Vash podszedł do Prususa, który siedział mocno pochylony na swoim podróznym tronie. O tym, jak dziwnego wyboru dokonał autarcha, świadczyć mogło to, że Prusus miał tylko jednego służącego eunucha i zaledwie garstkę strażników. Poprzedni skotarchowie dysponowali całą świtą, dorównującą niemal orszakowi samego autarchy.

Tylko że poprzedni skotarchowie, nawet ci najgorsi, potrafili mówić i mieli chociaż trochę oleju w głowie. A ich głowy nie kołysały się na szyjach jak rozgotowane grzyby. Ale skoro biedny Prusus przypominał grzyba, to pewnie dobrze się czuł tutaj, w głębi ziemi, gdzie nie brakowało jemu podobnych.

– Dzień dobry, Wybrany, jeśli to jeszcze dzień. – Vash skłonił głowę. – Nie pozwól, żebym ci przeszkadzał. Przyszedłem tylko po... – Poszukał wzrokiem pustego spojrzenia pływających oczu skotarchy, by sprawdzić, czy znajdzie w nich choć cień zrozumienia. – Król Olin powiedział, że powinienem cię wysłuchać. – Mimowolnie się uśmiechnął, prawie roześmiał. – Rozumiem, że to jakiś kod, bo przecież w rzeczywistości ty nie mówisz. Ale być może cię nie doceniłem, podobnie jak wielu innych. Wierzę, że nie jesteś aż tak oziębiały, jak wszyscy myślą. A zatem powiedz mi spojrzeniem, czy mnie rozumiesz. Czy on tu coś dla mnie zostawił? Czy Olin coś zostawił?

Prusus przestał się trząść na chwilę, jakby potrzebował do tego całej swojej woli. Wysunął głowę do przodu, jakby chciał zejść z tronu albo szukał ucieczki przed czymś strasznym. Vash zdusił w sobie gniew. Dlaczego musi się poniżyć i prosić o cokolwiek taką kreaturę? I wtedy się zorientował, że Prusus wpatruje się w jedno miejsce, we własne kolana, i że być może pokazuje mu to ruchem głowy.

Vash się nachylił. W zaciśniętej kościstej dłoni skotarchy tkwiło coś białego – zgnieciony kawałek pergaminu.

– Ach – westchnął Vash. – „Zwróć się do skotarchy o pomoc”, powiedział król. Bardzo sprytne. – Ostrożnie wyjął zwitek z ręki skotarchy, nie dotykając jego skóry. – W jakież to sposób wrogi król chce zdradzić naszego ukochanego Złocistego? – wypowiedział te słowa dla uszu podsłuchujących, których obecność zawsze zakładano na dworze Sulepisa, podobnie jak na dworach ojca i dziada autarchy.

Wiadomość nie była podpisana, a sądząc po niezgrabnych literach, nakreślono ją w pośpiechu.

*Jeszcze nie jest za późno na ratunek dla ciebie. Skontaktuj się z Avinem Brone'em z zamku. Powiedz mu wszystko, co wiesz. Inaczej zarówno Zamek Marchii Południowej, jak i Xis ulegną zniszczeniu. Ten szaleniec S. nie ma żadnych sprzymierzeńców. Wszystko, co żyje, jest jego wrogiem.*

Sam widok tej notatki sprawił, że Vash poczuł się, jakby stał na lodowatym wietrze z jadowitym węzem w dłoni. Wiedział, że musi to

zniszczyć, natychmiast. Bez względu na to, czy zapamięta przeczytane słowa, czy pozwoli sobie na ich rozważenie czy nie, powinien dopilnować, by nikt nie zobaczył tego skrawka papieru. Avin Brone, też coś! Pinimmon Vash rozejrzał się nerwowo, niczym złodziej zmuszony zwolnić kroku na ulicy, z kieszeniami wypchanymi skradzionymi rzeczami. Czy odważy się to zanieść do swojego namiotu, gdzie będzie mógł spalić papier w koksowniku?

Gdzieś blisko rozległo się bulgotliwe westchnienie. Vash, zaabsorbowany własnymi myślami, tak że z trudem cokolwiek zauważał, skierował nieobecne spojrzenie na skotarchę i zobaczył, że jego usta znowu się poruszają. Dopiero teraz dotarło do niego, że ten dziwny dźwięk, nosowe jęki przerywane bulgoczącymi spółgłoskami, to wypowiedane słowa, a kiedy się skupił, był w stanie nawet je zrozumieć.

– Kharhthka jhesth mhałha... – powtórzył Prusus, a jego dłoń zaciskała się i poruszyła, jakby żyła własnym życiem, z własnymi smutkami i radościami. – Zhjhedhz jhą...

Kartka jest mała, zjedz ją, mówił skotarcha.

Zdumiony Vash to zrobił. Papier niemal utknął mu w gardle, ale wreszcie go przełknął.

## Brama Potępienia

*...a wioska Tessideme, podobnie jak wiele innych, bardzo ucierpiała skuta cały rok lodem, przykryta śniegiem i smagana mroźnym wiatrem. Zwierzęta padły, a ziarno szerniało w ziemi...*

– z *Powiatki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Słońce wreszcie rozproszyło mgłę nad zatoką i wysokie wieże Zamku Marchii Południowej zamigotały w jego blasku, wyłaniając się spoza murów zewnętrznych, każda w innym kolorze i wyróżniająca się szczegółem architektury. W zwykłych okolicznościach stanowiłyby imponujący widok, lecz dla Qinnitan, więźniarki prowadzonej do jedyne go człowieka na świecie, którego tak bardzo się bała i nic chciała zobaczyć, obraz ten nic nie znaczył, chyba że porażkę, przerażenie i moc nieubłaganego Losu: najwyraźniej bogowie postanowili upokorzyć ją za to, że próbowała uniknąć przeznaczenia, jakie jej zapisali.

Wpatrzona w przybliżający się zamek Qinnitan poczuła nagle coś, czego nie czuła od miesięcy, to samo doznanie, które ogarniało ją w momentach, kiedy najwyższy kapłan Panhyssir siłą poił ją strasznymi miksturami: świat nie jest trwały. Jest ulotny jak bańka, a pod nim czeka... Wyczuwała to teraz. To coś było świadome obecności Qinnitan pomimo sporej odległości, bo choć znajdowało się ponad milę od niej, po drugiej stronie zimnej zatoki, głęboko w skale, to było jednocześnie obok niej, wręcz w niej. Qinnitan wyczuwała jego zainteresowanie, równie intensywne jak jej. Czy nikt na pokładzie nie czuje tej upiornej natarczywej obecności tak samo jak ona?

Dlaczego mnie zostawiłeś, Barricku? Dlaczego przestałeś do mnie mówić? Tak się boję!

Ale żal nie mógł jej pomóc. Gdziekolwiek przebywał, Barrick był tylko śmiertelnikiem. Co więcej, podobnie jak sama Qinnitan, był prawie

dzieckiem: nie mógł jej uratować przed Sulepisem, a co dopiero przed samymi bogami.

\*\*\*

Słońce świeciło zbyt jasno. Daikonas Vo domyślał się, że jest już miesiąc Hexamene, prawie lato, mimo to światło wydało mu się zbyt jaskrawe, wszechobecne jarzenie, jakby szedł po hałdzie rozgrzanych do białości węgli.

– „Brzask jaśniej chwałą Nushasha” – powiedział głośno. Jego matka mówiła tak, wstając z łóżka co rano, kiedy jeszcze był dzieckiem, choć potem, kiedy podrośł, rzadziej to słyszał. Dziwne, pomyślał o tej suce chyba pierwszy raz od lat. To ten rozdzierający ból przywoływał wspomnienia o niej.

Kiedy niesieni łagodnymi falami wpłynęli do przystani w lądowej części miasta, ich mały statek, pełen kupców i towarów, prześliznął się między kilkoma xiskimi okrętami, które już zakotwiczone albo holowano na miejsca. Marynarze, przynajmniej ci, którzy akurat nie byli zajęci, przyglądali się Daikonasowi Vo i pozostałym pasażerom ściśniętym na pokładzie. On sam wciąż budził duże zainteresowanie załogi – obdartus, który w jakiś sposób wymusił miejsce na statku zarekwirowanym przez autarchę – ale teraz Vo nie zamierzał dłużej się maskować. Jeśli dziewczynę z Samotni prowadzono do Sulepisa, a może już mu ją dostarczono, za późno na konspirację.

Im dalej szedł w głąb obozu, tym więcej spojrzeń go ścigało. Żołnierze zaczęli go zaczepiać, wołali, żeby się zatrzymał i powiedział, kim jest, oburzeni, że taki włóczęga chodzi swobodnie między namiotami słynnych Białych Ogarów. Vo wiedział, że kilku jego dawnych kompanów podąża za nim. Normalnie odwróciłby się i stanął z nimi twarzą w twarz. Wśród Białych Ogarów nie było tchórzy, ale Vo potrafił tak spojrzeć na człowieka, że nawet najsilniejsi, najzacieklejsi nabierali przekonania, że jest jeszcze kilka rzeczy, które chcieliby zrobić w życiu. Tym razem jednak nie miał chwili do stracenia.

Musiał zatrzymać się na moment i zgięty wpół z bólu przycisnął dłonie do brzucha, zaciskając szczęki, by powstrzymać krzyk, którym



niemal się dławił. Wydawało mu się, że we wnętrznościach pełza mu rozgrzany węgielek.

Jak dotąd nie rozpoznał go żaden z dawnych towarzyszy. Vo domyślał się, że wygląda jak żebrak. Gdy wreszcie uporał się z bólem, wyprostował się, zanim któryś z żołnierzy zdążył do niego podejść. Miał do pokonania jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków, więc ruszył przed siebie, starając się nie zataczać i nie okazywać słabości, która sprowokowałaby innych, by podążyli za nim i obalili na ziemię jak szakale rannego lwa. Albo przynajmniej by spróbowali: Daikonas wiedział, że zabiłby wszystkich, gdyby musiał – palce wbite w oczy, celne kopnięcie, żelazny uścisk prawej ręki, aż zmiażdżona tchawica się zapadnie...

Vo czuł smak krwi w ustach. Odwrócił się na pięcie z uniesionymi rękami, gotów do obrony, lecz żaden z żołnierzy, którzy go obserwowali, nic poszedł za nim. Śmiali się, patrząc, jak się zatacza, drży i mówi do siebie. Vo czuł palący wstyd. Jak paskudnie wyglądał? Może nawet się zmoczył?

Wstrząsany dreszczami, z wnętrznościami płonącymi ogniem i przypominającymi palące się skręcone szmaty, skierował się chwiejnym krokiem do namiotu kwatermistrza.

Vasil Zeru podniósł głowę, gdy Vo wszedł, ale najwyraźniej go nie rozpoznał, bo odwrócił się, by złajać jednego z podwładnych.

– Zeru, to ja, Vo – powiedział pochylony w wejściu. – Daikonas Vo. Minęła chwila, zanim Zeru poznał gościa.

– Na ogniste buty Pana, to naprawdę ty? Wyglądasz, jakbyś się palił, a ktoś cię ugasił mieczem Gromowładnego.

– Ja... – Vo zacisnął zęby, by przeczekać spazm bólu. – Potrzebuję twojej pomocy. I rady.

Kwatermistrz zrozumiał. Natychmiast odesłał podwładnego.

– Wszyscyśmy się zastanawiali nad tą twoją... misją.

– Tak. Wykonuję polecenie Złocistego – odpowiedział Vo. – Misja specjalna. Muszę jak najszybciej się do niego dostać. Ale wrogowie, zdrajcy, wysocy rangą przeciwnicy próbują mnie powstrzymać... mam informację, którą autarcha musi zobaczyć! – Zachwiał się. Niczego nie udawał, co chyba wywarło wrażenie na kwatermistrzu.

Vasil Zeru należał do twardzieli, lecz nie tak jak u większości oficerów, jego okrucieństwo, jako sposób dyscyplinowania, było bezosobowe. Nie miał żony ani dzieci. Białe Ogary stanowiły dla niego namiastkę rodziny, a on bardzo poważnie traktował swoje obowiązki. Vo, w którego obecności inni żołnierze czuli się nieswojo, uosabiał to, co Zeru we własnym oddziale – schludnego, opanowanego i profesjonalnego wojownika. Więc przynajmniej mu uwierzył. Nic więcej nie wiedział o Vo.

– Pomogę ci, oczywiście – odpowiedział. – Na płonąca krew boga, jasne że ci pomogę! Czy chodzi o tego starego fanfaron Vasha? Diabeł, który nigdy nie wziął do ręki miecza ani łuku, ale chętnie zmusza do tego innych. – Pokręcił głową. – To jeden z tych, którzy ochoczo zmuszają żołnierzy do najpaskudniejszych rzeczy...

– Niech Nushash cię błogosławi! – Słowa Vo zabrzmiały przekonująco, bo w tym momencie ból w jego brzuchu ustał i poczuł ulgę. – Wspomnę autarsze o tym, jak mu służył, jak mi pomogłeś, gdy inni się odwrócili.

Wydawało się, że stary Zeru uległ trochę sentymentalnemu wzruszeniu.

– To nic takiego – rzucił, lecz był wyraźnie zadowolony. – Zrobiłem tylko to, co zrobiłby każdy dobry żołnierz dla naszego Wielkiego Sokoła!

– Masz wodę? – zapytał niespodziewanie Vo. Ustępujący ból wysuszył mu usta i sprawił, że coraz bardziej kręciło mu się w głowie. – Żebym mógł się napić – dodał słabym głosem.

I zemdlął.

\*\*\*

– Na przodków! – powiedział młody kapłan, obejrzawszy Qinnitan od stóp do głów. – A co ja mam z nią zrobić?

– Zabierz ją od nas, bracie – rzekł jeden z żołnierzy. – Kapitan powiedział, żebyśmy nawet nie próbowali się z nią zabawić, bo poleca głowy. Ona ma pójść do Złocistego albo do Jego Świetlistości, najwyższego kapłana.

– Do samego Panhyssira? – Młody kapłan z wygoloną głową wyprostował się, jakby ta niemal niewysłowiona świętość zjawiała się w pokoju. – I do Złocistego? No cóż, oczywiście. To znaczy ktoś musi wziąć na siebie odpowiedzialność. – Przełknął ślinę i uśmiechnął się, wpatrzony w Qinnitan, choć już jej nie widział.

Mając za sobą pobyt w Samotni, rozpoznała to spojrzenie wyrażające bezwzględną ambicję. On nie wypuści jej z rąk, zanim się nie upewni, że wszyscy widzieli, jak dostarcza ją do najwyższych hierarchów, do jakich będzie w stanie dotrzeć.

Qinnitan zgarbiła się między strażnikami, pobrząkując łańcuchami. W rzeczywistości kajdany były na nią za duże – żołnierze spodziewali się więźniów większych niż dziewczyna – dlatego otarły ją aż do krwi. Potrafiłaby łatwo się z nich wyzwolić, ale instynkt podpowiadał jej, żeby jeszcze tego nie robić. Tym bardziej że strażnicy nie sprawiali wrażenia zaniepokojonych tym, że mogłaby im sprawić jakikolwiek kłopot.

Młodego kapłana wołali brat Gunis. Nie był zwykłym kandydatem do Wojennego Rydwanu Nushasha, wyjaśnił, kiedy Qinnitan usiadła na podłodze pod ścianą namiotowej kaplicy: już został wybrany do służby kapłańskiej, lecz kiedy zaprowadzi ją do Panhyssira – a może nawet do samego Złocistego, „Chwalić jego imię, niech Sokół Bishkha wiecznie szybuje” – niemal na pewno dostąpi wielkiego zaszczytu i zostanie mówiącym-kapłanem.

– Nie zrobiłam nic złego – zaprotestowała. – Sama jestem kapłanką Nushasha, byłam w Ulu. Wciąż jestem dziewicą. Wiesz, że poddadzą mnie torturom, jeśli to zrobisz, bracie Gunisie? Że mnie zabiją?

Zamilkł na moment i zesnurował usta, jakby się bał, że coś się z nich wymknie albo... coś do nich wpadnie.

– Skoro jesteś więźniem, powinnaś odpokutować za swoje zbrodnie – powiedział. – Wszyscy wiedzą, że szczodrość Złocistego nie ma granic, a jego łaskawość przewyższa nawet łaskawość samych bogów. – Skinął głową. – Tak, daj mi rękę, dziewczyno. Pomódlmy się o przebaczenie dla ciebie.

Nie miała siły się z nim spierać. Pozwoliła, by mocno zacisnął spoconą i ciepłą dłoń na jej ręce. W oczach młodego kapłana pojawił się błysk, który nie miał nic wspólnego z nią, a przynajmniej nie z jej

fizyczną obecnością: on już ujrzał chwałę, jaką zostanie obdarzony. Qinnitan zamrugła, kiedy kapłan zaczął się głośno modlić. Była to modlitwa z Nowego Katechizmu, który napisał sam autarcha. Gunis albo był bardzo ambitny, albo też był żarliwym wyznawcą. Tak czy inaczej, nie mogła liczyć na jego pomoc.

\*\*\*

Gunis zabrał ze sobą dwóch strażników, ponurych procarzy z Hakki, których miny mówiły, że woleliby się napić skwaśniałego mleka, niż mieć do czynienia z kapłanem. Obrzucili Qinnitan obojętnym spojrzeniem – chuda dziewczucha niewarta nawet tyle zachodu, żeby ją zgwałcić. Wyprostowali się, kiedy usłyszeli, że dziewczyna idzie do samego Złocistego, ale domyślali się, że ich misja nie potrwa długo, jako że zwykłych żołnierzy nic dopuszczano do Pana Wielkiego Namiotu.

Poprowadzili ją i Gunisa przez obóz, kierując się ku południowo-zachodniemu krańcowi portu, gdzie linia miejskich zabudowań kończyła się skalistą plażą i kilkoma falochronami, które wykorzystywali biedniejsi rybacy. Tutaj wzgórze okalające miasto schodziły niemal do samej zatoki, a wyrzeźbione wiatrem pionowe kamienne słupy sięgały jeszcze dalej, tak że niektóre wystawały z wody niczym krzywe zęby. Skaliste zbocza wzgórz, które wznosiły się nad plażą, jakby obcięto je ogromnym nożem, miały kolor gołęziej szarości złamanej u góry zielenią krzewów, lecz uwagę Qinnitan zwróciły czarne dziury widoczne wzdłuż plaży. Wiedziała, że nie ma wyboru, mimo to z trudem stawiała kolejne kroki, zbliżając się do złowieszczych ciemnych otworów.

Jeszcze jako dziecko Qinnitan pojechała z rodziną na wybrzeże Xis na pogrzeb prababki. Już po samym pochówku, kiedy dorośli śpiewali i pili, kuzyni zabrali ją i rodzeństwo na tereny zalewane podczas przyływu. Było to dziwne miejsce, szczególnie dla kogoś takiego jak Qinnitan, przyzwyczajonego, że zawsze ma wokół siebie ludzi i budynki. Któryś z kuzynów próbował ją wciągnąć do jednej z dużych pieczar, lecz nie zgodziła się, mimo że jej młodsi bracia tam weszli. Została na skałach i chlapała się w ogromnych kałużach, czekając na nich bardzo długo, jak jej się zdawało. Wreszcie dzieci wróciły, a ona, mimo że nie

czuła się dobrze ze swoim strachem, nie żałowała, że ominęła ją ta przygoda. Ciemne dziury przypominały jej to, co ojciec opowiadał o Xergalu: „Mieszka w głębi ziemi, rozumiesz? Tak głęboko, że nie dociera tam słońce i jest zimno, bardzo zimno. On sam nienawidzi tego miejsca i nienawidzi Nushasha oraz pozostałych z plemienia Ugeni za to, że został tam wygnany. Dlatego tylko czeka, żeby złapać niegrzeczne dzieci, które nie kochają Nushasha, i zatrzymać je dla siebie”.

Ojciec opowiadał o niegodziwym Xergalu, który porywa duchy dzieci i trzyma w mrocznym podziemiu przez wieczność, a Qinnitan z łatwością sobie wyobrażała, że jeśli ktoś schodzi pod ziemię, szczególnie w tak strasznym miejscu jak pieczary, to sam oddaje się w ręce mrocznego i rozgniewanego Pana Ziemi.

I tak, kiedy wydawało się, że nie może być już bardziej przestraszona. Qinnitan dopiero teraz poczuła, że ma w sobie jeszcze ogromne pokłady przerażenia. Kiedy dochodzili do posterunku straży przy wejściu do środkowej pieczary, z całych sił powstrzymywała łzy spowodowane zmęczeniem i strachem. Otwór w ścianie klifu był wysoki, ona jednak wbiła wzrok w stopy, kiedy żołnierze, po krótkiej rozmowie z kapłanem, wpuścili ich za bramę. Strażnicy wzięli pochodnie ze stosu i zapalili od ognia z koksownika. Już po kilku chwilach światło dnia i niebo zniknęły, a Qinnitan zanurzyła się w przepastnej pokłutej migoczącymi światłami ciemności.

\*\*\*

Żołnierze autarchy zbudowali coś na podobieństwo drogi w głównej pieczarze: tam, gdzie było zbyt wąsko dla wozów dostawczych, poszerzono płaskie podłoże, a tam, gdzie wapień był zbyt śliski, wysypano je żwirem, tak że droga prawie się nie różniła od traktów dostawczych, którymi dojeżdżano do ogromnego obozu na zewnątrz. Lecz ta droga wiodła przez bajeczną krainę stalagmitów, których cienie wydłużały się i chwiały na ścianach, kiedy mijali je strażnicy z pochodniami. Dalej droga opadała i wiła się w głąb ziemi, oświetlona z rzadka pochodniami wciśniętymi w stos kamieni. Co jakiś czas mijali kolejne posterunki albo pusty wóz dostawczy wracający na

powierzchnię, lecz poza tym Qinnitan widziała tylko swoich trzech towarzyszy: promieniejącego nadzieją brata Gunisa i znudzonych strażników, którzy szli zajęci cichą rozmową.

Jakieś sto stóp pod ziemią zobaczyli strużkę wody spływającą z płyt tworzących ścianę i Qinnitan zdała sobie sprawę, że muszą być poniżej dna zatoki. Woda skapywała w kilku miejscach, tworząc kałuże na kamiennym podłożu, skąd ściekała dalej w ciemność.

Kiedy przeszli do jeszcze większej pieczary, Qinnitan zobaczyła nagle przed nimi długi odcinek drogi wijącej się wokół zewnętrznej krawędzi ogromnej otwartej komory głębokiej na co najmniej sto stóp. Tutaj kamienny szlak zastąpiły wielkie drewniane konstrukcje podobne do mostów, które zdawały się zawieszane bezpośrednio na skraju pieczary i tworzyły jednolitą drogę prowadzącą na samo dno. Mrok rozjaśniały liczne pochodnie. Dziesiątki, może nawet setki żołnierzy pojawiały się i znikwały w otworach wykutych u podstawy ściany, prawdopodobnie wejściach do tuneli rozchodzących się na wszystkie strony niczym szprychy koła. Z góry żołnierze wyglądali jak mrówki, a Qinnitan opanowało nieprzyjemne wrażenie, że prowadzą ją coraz dalej, w głąb czegoś, co wcale nie jest dziełem człowieka.

– Jakże cudowne jest to, czego autarcha tu dokonał – rzekł Gunis do strażników. – Wszystko to wykopaliscie w tak krótkim czasie?

Żołnierze spojrzeli po sobie.

– Pełno tu takich pieczar, tak samo pod zatoką i wyspą – odpowiedział mu jeden z nich. – Szczerze mówiąc, górnicy nie mieli tu dużo roboty.

– Mimo wszystko to piękne. – Gunis złożył dłonie na piersi i ostentacyjnie zaczął recytować modlitwę dziękczynną do Nushasha.

Qinnitan prawie nie zwracała na niego uwagi. Kiedy zaczęli schodzić opadającym chodnikiem, dudniąc stopami po drewnie, coś sięgnęło z dołu, niewidzialnego, lecz niewiarygodnie silnego, i owinęło się wokół niej niczym zimne palce, a ona poczuła, że z trudem oddycha.

To coś wie, że ona tu jest. Czują, jak jej się przygląda. Wie, że ona tu jest i... jest bardzo głodne.

\*\*\*

Widziałem to już wcześniej, pomyślał Daikonas Vo, kiedy stanął przed czarnymi nierównymi drzwiami w wejściu w głąb ściany klifu. To Brama Potępienia. W opowieści matki była czymś innym... tamtej nocy, kiedy ojciec ją zabił, wcześniej go opluła i powiedziała, że złe duchy zaciągną go do Bramy Potępienia, żeby słudzy Xergala mogli obedrzeć go ze skóry. Ojcu to się nie spodobało i dał wyraz swojemu niezadowoleniu, przetrącając jej kark.

Ale to tutaj to już nie są tylko słowa, pomyślał. Patrzył na prawdziwą bramę. Yermun Stróż pewnie spogląda z tamtej strony, w skórze wywróconej na drugą stronę, jak mówią. Yermun, brat Xergala – Immon i Kernios, jak nazywają ich na północy – był w pewnym sensie bohaterem dla Białych Ogarów uważających siebie za dożywotnich więźniów w obcym kraju, tak samo jak Immon, który pomimo swojej potęgi był więziony w strasznym królestwie Kerniosa.

„Bracia w piekle”, brzmiały słowa piosenki Białych Ogarów, „biegną do walki, a najpowolniejszych zabierają niebios!”

W nowej zbroi, z brodą przystrzyżoną na tyle, by odpowiadała standardom xiskiej armii, Vo wszedł w ciemne wejście. Czuł nasilający się ból we wnętrzościach, uczucie, jakby brudne pazury drapały najwrażliwsze części jego ciała; z całych sił starał się iść prosto, żeby się nie zataczać jak pijak. Strażnicy pilnujący bramy od zewnątrz zatrzymali go na chwilę, być może zaniepokojeni dziwnym wyrazem jego oczu. lecz Zeru przekazał mu wcześniej aktualne hasło, więc zaraz go przepuścili.

Kiedy Vo wchodził do ogromnego tunelu, ból się nasilił.

Jestem przeklęty. Przegrałem zakład. Zaciągnąłem się do Białych Ogarów, ponieważ dzięki temu mogłem robić, co chciałem. Ale było mi mało. Zachciało mi się czegoś więcej. Wygrałem miejsce w specjalnych oddziałach autarchy, a teraz to „coś więcej” mnie zabija. Przegrałem zakład, a autarcha, jak zawsze, wygrał. Ktoś inny zbierze pochwałę za moją harówkę, a ja zdechnę jak wypatroszone zwierzę.

Nie mógł o tym myśleć. Fizyczny ból nie stawał się przez to większy, ale takie myśli raniły jego umysł, wypełniały go czerwoną,

rozjarzoną mgłą. Bał się, że straci orientację i wpadnie w jakiś głęboki dół.

\*\*\*

Vo wreszcie ją zobaczył ze szczytu wielkiej pieczary, którą xiscy żołnierze nazywali „Namiotem Xergala”. Wiedział, że to dziwka autarchy, mimo że znajdowała się daleko od niego, na samym dole, rozpoznał ją, jakby była jego bliską krewną, i choć ze swojego miejsca widział tylko jej czarne włosy, kiedy szła prowadzona przez żołnierzy, rozpoznał jej postać i krok niczym kochanek. Wyobraził sobie duże, czarne na wpół przymknięte oczy, wychudzoną, łagodną i smutną twarz wyrażającą skupienie podczas długich okresów milczenia, którym zadziwiła nawet jego. Nie spotkał wcześniej kobiety, która potrafiłaby tak długo milczeć, skoncentrowana na swoich myślach, z wyjątkiem pewnej dziwki, którą kiedyś kupił, a której poprzedni klient odciął język.

Ruszył szybciej skrzypiącą rampą, która schodziła spiralą w dół. Dziewczyna i strażnicy wciąż stali pośrodku kłębiącego się tłumu pod ścianą z kilkoma wejściami do tuneli różnej wielkości, kiedy ból zaatakował jednocześnie jego żołądek i serce. Vo zachwiał się, z trudem chwytając powietrze, i wydało mu się, że straszny ogień rozsadził mu brzuch i zaraz strawi go całego. Na chwilę kolejna pochodnia przy drodze skurczyła się do rozmiarów iskierki, a on nie mógł zaczerpnąć powietrza. Po krótkotrwałym zamroczeniu Vo zorientował się, że choć opadł na czworaki, znowu może oddychać – i myśleć. Dźwignął się na nogi i ruszył w dół chwiejnym krokiem, lecz nie widział już dziewczyny ani jej strażników. Weszli do któregoś z tuneli.

Kiedy znalazł się na dole, ból zelżał na tyle, że Vo był w stanie rozmawiać.

– Którędy? Która droga prowadzi do obozu oficerów? – zapytał piechura.

Mężczyzna chyba rozpoznał insygnia Białych Ogarów, jeśli nie samego Vo, bo posłusznie odpowiedział:

– Do namiotów oficerów tędy. – Pokazał jeden z tuneli. – To najkrótsza droga.



Vo pospieszył niepewnym krokiem do wejścia. Wiedział, że ma niewielkie szanse, by odzyskać dziewczynę, nawet gdyby ją dogonił – jak miałby zabić dwóch strażników, tak by nikt tego nie zauważył? Sama dziewczyna by go wydała, żeby zobaczyć, jak go torturują i uśmiercają. Cała jego praca, całe cierpienie poszło na marne. Oczywiście z własnej woli przeszedł przez Bramę Potępienia.

Schodził korytarzem dobrą godzinę, jak się zdawało, i od czasu do czasu musiał się przeciskać przez grupy ludzi zajętych jakimiś pracami. Inżynierowie autarchy wraz ze swoimi niewolnikami wciąż pracowali w tunelach, mimo że podziemna inwazja już się zaczęła, poszerzając i umacniając przejścia. Vo pomyślał, że kiedy skończą, pieczary upodobnią się do Sadowego Pałacu i zamienią w wysokie komnaty o białych ścianach. W rzeczywistości gdyby autarcha pozostał przy swoich młodzieńczych marzeniach, może cały świat stałby się jednym wielkim Sadowym Pałacem, w którym ktoś byłby żołnierzem, inny niewolnikiem albo dziwką.

To powinienem być ja. Tylko że on jest sprytny. Widzi wszystko tak samo wyraźnie jak ja, prawie, no i urodził się bogaty i potężny. Ja nie miałem takiej szansy – ale to powinienem być ja. To wszystko powinno być moje. Cały świat powinien być mój, powinien być nie Sadowym Pałacem, a Pałacem Vo!

Podążał coraz węższą ścieżką z głową nabitą myślami o własnym świecie-pałacu, o tym, co by umieścić w poszczególnych komnatach, aż wreszcie złożoność narzędzi, jakich by potrzebował, i liczba ofiar niezbędnych do realizacji jego planu sprawiły, że zakreśliło mu się w głowie, i zatrzymał się nagle. Przez chwilę wydawało mu się, że powraca straszny ból trzewi – zwykle takie nerwowe ukłucie stanowiło jego zapowiedź – aż wreszcie zorientował się, co go powstrzymało.

Droga się skończyła.

Daikonas Vo spojrział w dół w ciemność, na nagły niebezpieczny uskok oddalającej się ziemi. Niemal wkroczył w pustkę.

Odwrócił się i ostrożnie ruszył z powrotem, zdumiony tym, jak wąska stała się solidna droga wyżłobiona w skale przez xiskich żołnierzy. Czyżby nieopatrznie skręcił? Mijał kilka bocznych tuneli, lecz

wszystkie były mniejsze niż ta pustka, w którą o mało nie wszedł. Co się stało?

Vo wracał, idąc nad głębokim uskokiem, który stawał się coraz płytszy, aż wreszcie echo prawie zupełnie ucichło. Okrążał głęboką pieczarę, podążając jej skrajem, i z każdym okrążeniem, jak sądził, zbliżał się do dna, lecz nadal nie widział szerokiej drogi, którą przyszedł. Pieczara była wielka: potrzebował prawie godziny, żeby ją obejść, tak dla pewności.

Po kolejnej wspinaczce inną kamienną ścieżką, między dwiema pochyłymi płytami, gdzie paliły się rzadko rozmieszczone pochodnie, których światło wspomagał blask jego żagwi, Vo doszedł do wniosku, że nie widzi niczego, co by zapamiętał z wcześniejszej drogi. Co więcej, uznał, że w ogóle wszystko dookoła nie wygląda na xiską robotę. Przez chwilę się zastanawiał, czy jego armia ma inżynierów i robotników z innych krajów.

Cokolwiek się stało, Vo definitywnie stracił szansę na dogonienie dziewczyny. Ach, bogowie, a do tego powracał ból trawiący go od środka.

Przez chwilę mógł tylko stać w miejscu, a cień falował za nim niczym królewski tren koronacyjny. Jakże cierpiał! Poczul w ustach krew. Wszystko mówiło mu, że ucieka przed tym bólem, przed którym nie ma ucieczki, chyba że by go wyrwał... z całym brzuchem...

Nieoczekiwany ruch sprawił, że Vo zamarł. Jego instynkt mordercy przemógł trawiący go ból, choćby tylko na chwilę. Ktoś przeciął ścieżkę kilkadziesiąt jardów poniżej, przeszedł z jednego ukrytego korytarza do innego po drugiej stronie. Vo cofnął się w cień i obserwował z zapartym tchem.

To był chłopak, z północy, do wieku męskiego brakowało mu kilku lat, miał włosy, które nawet w tym ciemnym miejscu połyskiwały jak najbledsze złoto. Do tego szedł pewnym krokiem, jakby czuł się tu całkiem swobodnie. Vo wydało się, że ogląda jeden z drzeworytów matki przedstawiających Sierotę. Co dziecko robi samo w takim miejscu? Co to może znaczyć?

Przyszło mu coś do głowy: a może to sprawa bogów? Może wreszcie uznali, że czas wyświadczyć przysługę Daikonasowi Vo po tylu

udrękach, jakimi go doświadczyli? Może postanowili zaprowadzić go do dziewczyny, by otrzymał nagrodę, która mu się należała? Vo zmusił się do marszu. Przeszedł już przez Bramę Potępienia, zza której, jak zawsze powtarzała matka, nie ma powrotu. Wyjątek stanowił Sierota – i oto, zupełnie jak z bajęd matki, pojawia się dzieciak w miejscu, w którym nie powinno go być. Czy to jakiś znak? Vo uznał, że byłby głupcem, gdyby pomyślał inaczej, dlatego postanowił, że pójdzie za płowowłosym chłopakiem.

Uosobienie desperacji, narzędzie chaosu, jakim stał się Daikonas Vo, wyprostował się i poszedł za złocistym dzieckiem w ciemność.

\*\*\*

– Chuda jak szczapa. Myślisz, że naprawdę idzie do autarchy?

– Może on takie lubi.

– Ale mówią, że jego pierwsza żona ma zad jak rasowa klacz.

Qinnitan się skrzywiła, starając się ignorować strażników, mimo że szli tuż za nią i już nie rozmawiali cicho.

– Tylko na nią spójrz: prawie dziecko.

– I ma rude pasemko wiedźmy. Mówią, że świadczy o gwałtownym charakterze. Takie są jak kocica, spróbujesz się do niej przystawić, to cię podrapie i porwie skórę na rzemyki do sandałów.

– Oho! Zaczyna mi się podobać!

Brat Gunis wreszcie nie wytrzymał i się wtrącił:

– Posłuchajcie – powiedział, odwracając się do żołnierzy. – Mówicie o więźniu Złocistego, co samo w sobie jest naganne, a gdybym posłuchał dłużej, jak macie swoimi parszywymi ozorami, pewnie bym usłyszał, jak znieważacie królową Arimone, za co moglibyście zostać wysłani do królewskiej dusicielki.

Żołnierze wymamrotali przeprosiny. Gunis odwrócił się z wysoko uniesioną głową.

– Zarozumialec – szepnął jeden ze strażników, co usłyszała Qinnitan.

– Nigdy nie tknął kobiety – dodał cicho drugi. – Nie ma jaj.

Niektóre tunele były tak wąskie, że musieli się wycofywać, żeby przepuścić jadący z naprzeciwka wóz. Większość była wyładowana gruzem i kawałkami rudy z wykopalisk, w których wciąż pracowali inżynierowie, lecz niektóre wiozły bardziej niepokojący ładunek: ciała zawinięte niedbale w wojskowe płaszcze, spod których wystawały bose stopy, ponieważ buty, które nieżyjący mogli dostać po innych zmarłych, zostały przekazane kolejnym żołnierzom.

Jaki mógłby być lepszy dowód na to, że ludzie dla swojego pana Sulepisa są jedynie zabawkami w zabójczej zabawie? – zastanawiała się Qinnitan. Kiedy życie z któregoś uchodziło, ogałacano go ze wszelkich pożytecznych rzeczy, a ciało wyrzucano na stertę śmieci.

Widok kolejnych ciał wywoływał u Qinnitan mieszane uczucia. Dawno już porzuciła nadzieję na ucieczkę, za to podniosła ją na duchu świadomość, że mieszkańcy północy stawiają opór autarsze. Z drugiej strony każde ciało podskakujące bezwładnie na wozie było młodym mężczyzną z Xis albo z któregoś podległego autarsze kraju, takim jak jej bracia czy nawet biedny, szalony Jeddin.

Jeśli autarcha zwycięży albo jeśli uda mu się zrobić to, po co tu przybył aż z Wielkiego Xis, to, jak się zdawało, cały świat stanie się jedynie pożywką dla jego chciwości i okrucieństwa. Niebawem nawet oceany nie będą bezpieczne i nie uchronią się przed jego rządami – będzie trzymał w garści całą ziemię. Sulepis był na tyle młody, potężny i szalony, by zrealizować taki koszmar.

\*\*\*

Dotarli na skraj podziemnego obozu wojskowego. Wciąż znajdowali się wysoko nad walczącymi, choć po raz pierwszy Qinnitan dostrzegła pierwsze oznaki walki, słabe krzyki i sporadyczne dudnienie dział. Strażnicy, którzy ich teraz zatrzymali, wykazywali większą uwagę i ostrożność niż ci z wcześniejszych posterunków czy eskortujący Qinnitan. Wszedł do nich nawet *mulasim*, żeby ich przesłuchać, oficer w hełmie piechoty Nagich.

– Skoro ma trafić do Złocistego, zaprowadzimy ją do niego – rzekł.  
– A raczej do Lampartów, którzy odprowadzą ją dalej do odpowiedniego ministra, a ten zdecyduje co dalej.

– Ale to ja muszę – zaczął Gunis.

– Z całym szacunkiem, bracie – przerwał mu oficer – ty nic nie musisz poza tym, co już ci kazano zrobić. Skoro więzień jest tak ważny, to dlaczego nie masz pieczęci swojego zwierzchnika?

– Pieczęci? – Gunis był zaskoczony i dezorientowany. – Chcesz powiedzieć, że powinienem z nią wrócić do wysokiego kapelana?

– Ja nic nie chcę powiedzieć. – *Mulasim* był krępy i szpakowatym mężczyzną o sceptycznym wyrazie twarzy straganiarza i ramionach zapaśnika. Teraz podszedł bliżej i stanął twarzą w twarz z młodym kapłanem. Nie był wyższy od Gunisa, za to potężniejszy. – Mówię tylko, że mamy problemy, a ty, przychodząc tutaj, wcale nam nie pomagasz. – Rozejrzał się z niezadowoleniem. – Musiałbym odesłać dwóch ludzi, żeby ją eskortowali, a bogowie tylko wiedzą, jak bardzo ich potrzebuję.

– Ale ja mam dwóch ludzi!

Kapitan wybuchnął śmiechem.

– Ci tutaj? – zapytał i pokazał żołnierzy, którzy przybyli z kapłanem. – Te dwa jeżozwierze? Ależ miałbyś z nich pożytek, gdybyś się natknął na bandę tych diabłów Yistich wychodzących z głębi ziemi! Nie, wy dwaj możecie wracać do swojej ważnej pracy, czyli do pilnowania kupy gówna. Już was tu nie ma albo zakuję was w takie same łańcuchy, jakie ma ta dziewczynka!

Strażnicy nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Zdążyli już odejść na kilkanaście kroków, kiedy Gunis wreszcie odzyskał mowę:

– A ja? Powierzono mi tę dziewczynę. Sam muszę ją odprowadzić.

– Powierzono ci? – Oficer spojrzał na Qinnitan i kapłana. – Handlarze niewolników ci ją dali? – Odwrócił się znowu do dziewczyny. – Mówisz którymś z naszych języków, dziecko?

W pierwszej chwili Qinnitan była tak zaskoczona, że ktoś się do niej odezwał, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Tak, pochodzę z Xis. Proszę, nie odsyłaj mnie do Złocistego! Przez pomyłkę zabrano mnie z Ula...

Kapitan zgromił ją groźnym spojrzeniem.

– Oczekuję odpowiedzi, a nie całej porannej modlitwy. Nigdy w życiu nie odważyłbym się wtrącać do postanowień Złocistego albo kogoś z jego otoczenia. – Rozejrzył się po swoich ludziach.

– Kogo by tu...?

Rozległ się krzyk, a zaraz potem trzask. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Wóz przeładowany kamieniami zjechał jednym kołem z gładkiej drogi tuż nad nimi i chwiał się niebezpiecznie wychylony poza krawędź. Chwilę później przechylił się, wysypując część ładunku. Ludzie przyglądający się z dołu rozpierzchli się na boki. Wóz jeszcze mocniej się przechylił i wtedy cała masa kamieni runęła na drogę poniżej i roztrzaskała się na drobne kamyczki pryskające we wszystkie strony.

Qinnitan nie potrzebowała zaproszenia: strząsnąwszy luźne kajdany z nadgarstków, pobiegła przed siebie. Nic zastanawiała się, po prostu wybrała najbliższy korytarz odchodzący od ogromnej pieczary i tam pognęła. Ostre kamienie boleśnie wbijały się jej w stopy przez podeszwy litych butów, które dostała od żony zagrodnika.

Zanurzyła się w ciemność najeżoną punkcikami pochodni. Mężczyźni odwracali się, gdy nadbiegała, a ich twarze podobne były do masek z otwartymi ustami, kiedy wykrzykiwali pytania. Wiedziała, że musi zniknąć z oczu wszystkim, a potem się ukryć.

Jeden z żołnierzy próbował ją zatrzymać, kiedy go mijiała, i choć zdołał ją pochwycić jedynie na moment, to wystarczyło, żeby się zachwiała. Kiedy próbowała utrzymać równowagę, ktoś inny podstawił jej nogę i upadła ciężko na kamienne podłoże.

– O co chodzi? – zapytał ktoś ostrym tonem z wyraźnym akcentem mieszkańca pustyni, podczas gdy ona leżała zdyszana, starając się złapać oddech. – Szpieg?

Nie wstała, a przynajmniej nie pamiętała, by to zrobiła. Chwilę później poczuła uderzenie w tył głowy, które zgasiło resztki świadomości.

\*\*\*

Pszczoły. Poznała ich brzęczenie, wcześniej nieraz przenikało ją do szpiku kości. W dzień, w który, jak mówiono, są szczęśliwe, słyszało się

je w całym Ulu, monotonne niskie brzęczenie bardziej wyczuwalne niż słyszalne.

A więc to był tylko sen, straszny sen. Duni leżała w sąsiednim łóżku, niedługo wstana i umyła głowę w zimnej wodzie. Opowie przyjaciółce ten głupi sen i będą się z niego śmiały – jakby miała Qinnitan, której dopiero co urosły piersi, nigdy nie została wybrana na żonę wielkiego autarchy! Pozostałe dziewczęta też będą się śmiać, ale Qinnitan się tym nie przejmowała. Cieszyła się, że jest w domu, bezpieczna, pod opieką pszczół i kapłanek, a nawet samego wielkiego Ojca Nushasha.

Tylko dlaczego brzęczenie świętych pszczół Nushasha układa się w słowa?

*...Panhyssir? Wzywaleś... godzinę...*

*...za dużo. Najwyższy kapłan... a potem on...*

Bolała ją głowa. Kolana. Ramię. Zastanawiała się, czy nie jest złamane. Co się stało?

– Wystarczy, Vash. Męczysz mnie. Chodzisz w kółko i wymachujesz rękami jak stara baba. A poza tym ona się obudziła.

Przyjazne ciepło, poczucie bezpieczeństwa zniknęły w jednej chwili. Qinnitan poznała ten głos.

– Obudziła się?

– Nie widzisz? Zmienił się jej oddech. Leży tam zwinięta w kłębek jak szmata, żeby nie zwracać na siebie uwagi. I udało jej się – przynajmniej z tobą! – Śmiech, wysoki, melodyjny, sprawił, że aż ścisnęło ją w dołku. Jakby słuchała muzyki wygrywanej na instrumentach wykonanych z ludzkich kości i skóry.

Ktoś się nad nią pochylił – zobaczyła cień pomimo zamkniętych powiek. Pachniał suszonymi owocami i olejkiem.

– Jesteś pewny, Złocisty?

– Więcej niż pewny. – Znowu śmiech. – Poklep ją czule po policzku. Otwórz oczy, moja przestraszona narzeczono! Wreszcie wróciłaś do swojego pana.

Nie chciała nic widzieć. Nic wiedzieć. W końcu stało się najgorsze.

– Otwórz oczy albo każę ci je otworzyć w sposób, który ci się nie spodoba. – Wciąż mówił głosem słodkim, zrównoważonym.

Zrezygnowana Qinnitan spojrzała na niego z uczuciem pustki wypełnionej jedynie śmiertelnym chłodem.

Sulepis wcale się nie zmienił: wyższy niż wszyscy mężczyźni, jakich знаła, przystojny, złocistoskóry, leżał wyciągnięty na stosie poduszek, które zalegały prawie całą podłogę dużego oświetlonego lampą namiotu z drogimi draperiami i licznymi lustrami. Autarcha miał na głowie swój złocisty sokoli hełm, miał też złociste paznokcie i złociste sandały, i... nic więcej. Jego brązowe ciało wydawało się gładsze niż skóra każdego innego człowieka, jakby wyrzeźbiono go ze steatytu.

Wyciągnął do niej rękę, prostując długie palce, jakby potrafił wysunąć je na kilkadziesiąt stóp i zamknąć ją w dłoni. – Twoja krew mówi prawdę, córko kapłana. Twoje dziedzictwo czuje bliskość przeznaczenia, wielkiej zmiany, która dokona się w tym świecie, i przyciąga cię do mnie. Wróciłaś w samą porę. – Błysnął śnieżnobiałymi zębami w uśmiechu, który na innej twarzy wydałby się radosny, lecz na jego pociągłym obliczu przypominał kpiący grymas krokodyla. Autarcha ją dopadł – pomimo morderczych wysiłków nie udało jej się, wszystko poszło na marne.

Wyciągnął długi zakończony złocistym paznokciem palec.

– Jesteś wyjątkowa, dziecko, i trzeba to docenić. Obiecuję ci, że umrzesz ostatnia, żebyś mogła wszystko zobaczyć. Tak, ujrzysz, jak okrywam się chwałą, jakbym odziewał się płaszczem z pawich piór.



## Skrzydłata burza

*W nocy małego Adisa nawiedzały sny o stadzie jaskółek, które krążyły wokół jego głowy. Ptaki powiedziały mu, że nie mogą usiąść, ponieważ ziemia jest zbyt zimna. Zostały skazane na wieczny lot...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Słowa i obrazy napierały na Barricka niczym tłum żebraków – chwila tuż przed atakiem, powtarzana w nieskończoność przez historię Ludzi jak koszmarny rytuał...

*Upiorny Las, gdzie Ci, Którzy Nie Śpią czekali owinięci w całuny, niewidoczni o zmierzchu, wszyscy ich starannie dobrani stratomanci nucący pieśni śmierci, tak że cały las szeleścił, mimo że nie wiał wiatr...*

*...Drżąca Dolina, gdzie Yasammez walczyła w zbroi rozjarzonej szkarłatnym blaskiem niczym żelazo rozgrzane przed wykuciem miecza...*

*...przeraźliwe krzyki wokół Kopca Olbrzymów i koszmar, jaki czekał na pierwszych jeźdźców, którzy przybyli na Grzbiet Błękitnego Wilka...*

Wszystkie te straszne chwile napierały na niego, a przynajmniej wspomnienia Ognistego Kwiatu, wszystkie chwile, kiedy Ludzie walczyli o przetrwanie, wszystkie momenty bolesnych cierpień, które składały się na Długą Porażkę. Mimo że miał zamknięte oczy, duchy go otaczały, tysiąc różnych głosów z setek wieków, wszystko, co Ognisty Kwiat oglądał, słyszał i pomyślał, teraz przepłynęło przez niego niczym snop trzeszczących iskier.

*Zawsze walczyliśmy i zawsze przegrywaliśmy, nawet kiedy zwyciężaliśmy... Spośród całego tego zgiełku wydobyła się słaba pojedyncza myśl, którą z trudem potrafił wyłuskać spomiędzy masy wspomnień i lamentów – strzęp humoru suchy jak pieprz. Może kiedyś powinniśmy spróbować wygrać, przegrywając...*

*Ynnirze, mój panie! Zostaniesz ze mną?*

Niestety, cichy głos obcego już zgasł.

Zbroja Qarów, którą Barrick miał na sobie, była równie lekka jak dodatkowa warstwa skóry, a laurowy hełm pasował idealnie. Lecz on najbardziej zadowolony był z tego, jak się czuje; wydawał się pozbawiony materii, jak ułamek ciężkiej całości czy płomień świecy. Czuł się całkiem beztroski, wręcz nieustraszony: śmierć oznaczałaby tylko utratę ciała i odpłynięcie, jak odpływają myśli i wspomnienia, które wcześniej składały się na Barricka Eddona, rozwiane niczym puszek dmuchawca. *I wspomnienia Qarów we mnie, wspomnienia królów Ognistego Kwiatu... one też mogłyby się rozwiać...?*

Podeszła Saqri w biało-niebieskiej zbroi. Obejrzała go od stóp do głów i nic nie powiedziała, lecz on znał ją na tyle dobrze, by dostrzec w jej spojrzeniu iskierkę niepokoju – delikatny, drobny ślad rozpoznawalny przez Ognisty Kwiat tylko dzięki wielowiekowemu doświadczeniu z kobietami, w których żyłach płynie krew Szachraja.

– Ostatnia kolumna xiskich żołnierzy zeszła pod ziemię – oznajmiła spokojnym głosem. – Bądź gotów. – Odwróciła się i odeszła.

– Ona nie jest taka jak Yasammez – powiedział niski grzmiący głos tuż obok. – Nie lubi zabijać nawet wtedy, kiedy musi.

Barrick odwrócił się i zobaczył ogromnego Młotostopego – i nie tylko jego, lecz niewyraźną galerię wszystkich etninów, których znali strażnicy Ognistego Kwiatu, tyle wspomnień, że gdyby Barrick się nie skupił, zasnułyby jego umysł jak para szybę zimową porą. Władca etninów patrzył na niego, a czarne oczy płonęły jak węgle ledwo widoczne pod hełmem, który ocieniał jego ogromną brzydką twarz.

– Będę miał na ciebie baczenie, Barricku z Eddonów, nie obawiaj się. – Głos Qara był tak niski, że Barrick z trudem go słyszał. Młotostopy poklepał swój topór, monstrualny, z ostrzem wielkim jak blat niedużego stołu. – Odsuń się, kiedy zacznę wywijać moim Napominaczem. Duży z niego chłopak i potrzebuje sporo miejsca, kiedy chce się zabawić. – Poglądził trzonek topora. – Wkrótce się przekonasz, że ja, w przeciwieństwie do Saqri, lubię zabijać. Nie poczuj się dotknięty.

– Ty... władasz naszym językiem... naszym... jak wy nas nazywacie? Mieszkańcami kraju słońca? – rzucił Barrick. – Całkiem dobrze mówisz językiem mieszkańców kraju słońca.

– Niegdyś polowałem na was i zjadałem, taka jest prawda – przyznał Młotostopy. – Musiałem się więc trzymać blisko, żeby was lepiej poznać. – Ettin mówił poważnym tonem. – Kto by przypuszczał...? – dodał i pokręcił głową.

Barrick nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

Na niemy sygnał Saqri drowy ruszyły do przodu, pomykając nierównym korytarzem niemal w całkowitej ciszy. Za nimi podążał Młotostopy; każdy jego krok wywoływał drzenie, które przenikało Barricka do szpiku kości.

– Trzymaj się mnie, człowieku – warknął Młotostopy. – A najlepiej trzymaj się za mną. I rób, co powiem.

Podeksytowane duchy Ognistego Kwiatu śpiewały w głowie Barricka, a drowy biegly i wkrótce wypadły z tunelu do szerszego korytarza nazywanego Wielkim Wykopem, prowadzącego pod dnem zatoki aż do xiskiego obozu na drugim brzegu. To był cel Saqri. Oddziały, które zeszyły pod ziemię, by dołączyć do autarchy, już zniknęły z pola widzenia.

Drowy i Młotostopy bez wahania zawrócili i pospieszyli ku powierzchni. Barrick pobiegł truchtem, zadowolony, że ma na sobie solidną, a mimo to lekką jak piórko zbroję Qarów. Odwróciwszy się, zobaczył Saqri i innych czarodziejskich ludzi wylewających się z bocznego tunelu i w tym samym momencie niespodziewanie rozległ się ryk Młotostopego, tak donośny, że Barrick potknął się i omal nie przewrócił.

Zza zakrętu przed nimi wynurzył się oddział xiskich żołnierzy. Południowcy krzyknęli zatrwożeni na widok zbliżających się Qarów i szybko ustawili w szyku z tarczami uniesionymi na wysokość głowy i włócznie wystawionymi przed siebie, lecz nawet w słabym świetle pochodni Barrick widział, jak coraz szerzej otwierają oczy z przerażenia na widok Młotostopego, który grząc coraz głośniejszym, zbliżał się do nich z Napominaczem nad głową. Żołnierze czekali schowani za tarczami, lecz tym, którzy znaleźli się na drodze ettina, niewiele to pomogło: ogromny topór opadł i rozległ się straszny odgłos gnieczonego metalu. Nieludzko krzyczeli ci, którzy znaleźli się pod toporem, zmiażdżeni razem z tarczami.

Południowcy stojący nieco z tyłu uniknęli pierwszego ataku olbrzyma, lecz zaraz dopadły do nich biegnące za Młotostopym drowy, które zaatakowały ich nogi hakami umocowanymi na końcu krótkich włóczni i przewróciły dziesiątki ciemnoskórych i ciemnobrodych żołnierzy.

A potem ettin ryknął, a drowy jak jeden mąż opadły na kamienne podłoże. Młotostopy chwycił Barricka, po czym odwrócił się i razem z nim legł na ziemi. Chwilę później z szeregów Qarów posypały się strzały, które ugodziły xiskich żołnierzy z pierwszego szeregu. Umierający i ranni upadali na plecy, wywołując zamieszanie w dalszych szeregach.

Barrick słyszał niewyraźnie głos Saqri, choć nie wiedział, czy słyszy ją uszami, czy w głowie, ponieważ odgłosy walki rzucały setki cieni w jego umyśle, dlatego nie potrafił lepiej zrozumieć tego, co widział przed sobą.

Teraz do dzieła przystąpili najstraszniejsi wojownicy Saqri w walce wręcz, Oszuści i Zmieniający się. Dopadli południowców, zadając śmierć ostrzami i szponami tak szybko, że brodaci wojownicy osuwali się na okaleczone kolana, jakby modlili się do cieni. Lecz ludzie autarchy nie należeli do strachliwych – byli zaprawieni w walce z licznymi wrogami, choć może nie z tak dziwnymi – dlatego wkrótce otrząsnęli się z początkowego zaskoczenia, gotowi do kontrataku. W bitewnym chaosie powstało kilka wysepek rozbrzmiewających okrzykami i szczękiem broni i widać było, że tu i tam Qarowie zostali zmuszeni do wycofania się. Gdy w ferworze walki ze ścian strącano pochodnie, korytarz pograżał się w jeszcze większej ciemności.

Niczym najemnicy walczący w korytarzach Kerniosa, pomyślał Barrick.

– *Pan Ziemi* – zaśpiewały głosy. – *Jesteśmy w domu Pana Ziemi. Straszna będzie jego zemsta. Jeśli przegramy, stracimy coś więcej niż tylko życie...*

– *Walczyliśmy z nim i z jego braćmi na murach zamku Srebrzystego Błysku* – zawołały inne głosy, przepływając w umyśle Barricka niczym niesione wicherem liście. – *Unikaj zimnego spojrzenia Śmierci! Niech nie zmrozi ci serca tak jak Srebrzystemu Błyskowi...*

– *Za Biały Ogień! Za dzieci Powiewu!*

– *Nie. Znajdź siebie* – powiedział głos Ynnira rozbrzmiewający bliżej niż pozostałe. – *Znajdź tylko siebie. Resztę zostaw.*

Barrick uchwycił się tej niejasnej myśli, odtrącając inne.

– *Znajdź siebie.*

I nagle, zupełnie jak dziecko, które wreszcie opanowało sztukę chodzenia, Barrick sięgnął ku sobie i wynurzył się z hałasu. Wokół niego wciąż toczyła się walka, lecz wszystko zwolniło i stawało się coraz bardziej niematerialne, odwracając jego uwagę nie bardziej niż przyjemny powiew wiatru.

– *Jesteś potrzebny.*

Niespodziewanie ujrzał wszystko wyraźnie, jakby patrzył przez najlepszą soczewkę, jaką Chaven wyszlifował dla siebie, a czas pomknął do przodu, pociągając Barricka za sobą. Gdzieś w drugim końcu ogromnego ciemnego pomieszczenia dostrzegł rozjarzony kamień Saqri, podskakujący jak iskra, królowa walczyła z kilkoma xiskimi żołnierzami. Sześciu wrogów, lecz sto królowych, stu przodków było w niej, tak czuł Barrick. Wyczuwał jej gorącą wściekłość i zimną radość podczas walki, a nawet wyłowił strzęp chóru królowych, którego Saqri była tylko częścią, muzykę myśli tak skomplikowaną i dziwną, że z trudem ją słyszał, a jeszcze mniej rozumiał, mimo że wypełniała jego głowę.

– *Biały Ogień!* – Słowa te pojawiły się jednocześnie w jego myślach i na ustach Biały Ogień, bóg słońca, brat skazanego na klęskę Srebrzystego Błysku. I Biały Ogień, miecz boga, który Yasammez tak długo nosiła, by bronić Ludzi. Poczul, że tak jest dobrze. – *Biały Ogień!* – zawołał ponownie i nagle zobaczył – nie, nie tylko zobaczył, lecz przez chwilę to przeżył – ostatni kontratak boga w obronie przed potworami, które zabiły jego brata Srebrzysty Błysk, przed znienawidzonymi wrogami i przyrodnymi braćmi, dziećmi Wilgoci. Barrick podbiegł do przodu i zaraz znalazł się w bitewnym wirze. Wokół niego toczyły się wszystkie bitwy. Usłyszał wiele wojennych pieśni; tyle odgłosów wypełniało jego głowę, tyle głosów śpiewało, że już nie potrafił powiedzieć, które myśli należą do niego, choć nie miało to znaczenia.

Jak łośoś płynący pod prąd, Barrick Eddon popłynął w ciemność i krew oraz odgłosy umierania rozległy się w niewielkiej przestrzeni.

\*\*\*

Briony, która sądziła, że już zgłębiła najtajniejsze zakamarki krainy zadziwienia, obudziła się i zobaczyła człowieczka mniejszego niż ogarek świecy z poprzedniego dnia, który stał przy jej głowie. Zamknęła oczy i znowu je otworzyła, lecz ludzik był prawdziwy.

– Szukam przywódcy tych tutaj – zawołał do niej. – Przynoszę ważne wieści. – Skłonił głowę. – Pędzik Łucznik, jam ci to. Może być, że ty to księżniczka Briony, córka dobrego Olina?

Na jej usta cisnęły się setki odpowiedzi, ale w końcu zachichotała tylko z zaskoczenia.

– Miłościwa Zorio – powiedziała. – To ja, a tyś kto?

– Jużem ci powiedział. – Dostrzegła wyraz irytacji na malutkim obliczu przybysza, który zaraz otworzył szeroko oczy. – Och, wybacz, Wasza Majestatyczna Wysokość! Szorstkie maniere zwiadowcy, wybacz.

Briony już wiedziała, że nie śpi, ale mimowolnie zaczęła się zastanawiać, czy aby nie postradała zmysłów.

– Powiedziałeś, że nazywasz się... Pędzik? – Pokręciła głową. – Ale kim jesteś, Pędziku? – Pod połę wejścia do namiotu sączyło się pierwsze światło poranka. Słyszała głosy żołnierzy na zewnątrz, czuła dym dopiero co rozpalonych ognisk. Zapach palonego drewna przyjemnie podrażnił jej pusty żołądek. – Zaprowadzę cię do księcia Eneasza – odezwała się wreszcie. – To są jego ludzie. Choć może lepiej zaniosę cię do niego. – Wciąż wpatrywała się w ludzika. – Jak się tu znalazłeś? Czy tak po prostu... spadłeś z nieba?

Jego uśmiech był cieniutki jak rześa, lecz czarujący.

– Rzec by tak można... w zasadzie, pani. Przybyłem tu jako kurier. Mój pierzasty rumak czeka na gałęzi.

– Twój co... gdzie...? Pierzasty rumak?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Ptak, Wasza Wysokawa Miłość. – Teraz patrzył na nią podejrzliwie, jakby podejrzewał, że Briony sobie z niego żartuje. – Właściwie to wolę latać na trzepomyszy, ale jest już dzień, więc pozwoliłem im spać, a wziąłem gołębia.

\*\*\*

– Nie mogę obiecać nic więcej – powiedział człowieczek do księcia Eneasza i jego oficerów. Pędzik bardzo się starał stać spokojnie na dłoni Briony, lecz za każdym razem, gdy przestępował z nogi na nogę, ją łaskotał. – Tylko że moja królowa i królowa czarodziejskich ludzi mówią tobie i twoim żołnierzom, że jeśli udacie się do obozu autarchy, może zobaczycie coś, co was zainteresuje. Radzą, żebyście przyszli całą siłą.

– Może coś zobaczymy? – Oblicze lorda Helkisa wyrażało wstęt, ale też jakby... strach. – Mamy być aż tak głupi, żeby dać się złapać w pułapkę? Pójść tam i dać się wyrznąć, bo tak powiedziała jakaś magiczna postać z bajek? Ten... Dachianin?

– Dachowiec – poprawił go Pędzik z urażoną miną. – Twój rodzaj zna nas bardzo dobrze, wysoki człowieku. Zwykliście wystawiać dla nas miski z mlekiem i okruchy chleba, prosiliście nas o przysługi i błogosławieństwo dla domu.

– Mironie, odwiedziły nas nocne elfy z opowieści twojej niani! – Książę się zaśmiał, ale widać było, że żartuje raczej z kapitana niż z malutkiego posłańca. – Może powinienesz sprawdzić buty, czy aby któraś para nie wymaga naprawy?

Żartobliwy ton księcia nie zmienił nastawienia lorda Helkisa.

– Nie rozumiesz, Wasza Wysokość? To są Niebieskie Czapki. Stare opowieści? Oni pochodzą z krainy zmierzchu, z cienia. Nie możemy im ufać.

– Jeśli dobrze pamiętacie, to ten mały dżentelmen właśnie z nimi walczy – zauważyła Briony. – Czy popełnimy ten sam błąd i zaatakujemy sprzymierzeńców?

Kiedy mały posłaniec spojrział na nią nierozumiejącym wzrokiem, szybko wyjaśniła mu, co się stało wcześniej.

– To pewnie byli ludzie Akutrira – odpowiedział. – Pani Jeżozwierz ich wysłała, ale jeszcze nie wrócili. Nie wiedzieliśmy, że się spotkaliście. Eneasze zmarszczył brwi.

– Później porozmawiamy o tej wstydlivej sprawie. Teraz chcemy usłyszeć, co ma nam do powiedzenia twoja pani. Królowa Saqri, tak? Czy to ta, która terroryzowała północ, mroczna pani?

– Nie, tamta to córka Pani Jeżozwierz albo wnuczka... nie jestem pewny. Ale mroczna pani ustąpiła i teraz Saqri dowodzi Qarami. Mówi, że jeśli się pospieszycie i przybędziecie do części miasta na brzegu zatoki, to będziecie mogli zobaczyć coś ciekawego. – Spojrzał na Briony. – Ty także, księżniczko, chociaż królowa nie mówiła o tobie ani nie przysłała dla ciebie żadnej wiadomości. Na Szczyt, długo nie było ciebie ani nikogo z twojej rodziny!

– Rzeczywiście – odpowiedziała.

– Co jeszcze możesz nam powiedzieć? – dopytywał się Eneasze. – Co zastaniemy na brzegu Zatoki Brenna poza ogromnym obozem xiskich żołnierzy?

Pędzik przesunął się nieco, usiłując zachować równowagę na kołyszącej się dłoni Briony.

– Nic więcej nie wiem, książę. Przekazuję tylko to, co mi nakazano. Ale królowa Saqri wysłała tę wiadomość, wiedząc, że jesteście tutaj, podczas gdy nikt inny tego nie wiedział, myślę więc, że dobrze by było jej posłuchać.

Lord Helkis prychnął.

– Ludzik nie większy niż koci wąs mówi nam, żebyśmy zaufali jego czarodziejskiej pani. To się może źle skończyć!

– Helkis, dotarł do nas twój sarkazm. – Eneasze zgromił oficera spojrzeniem. – Ale nie pomaga mi to w podjęciu decyzji.

– Ach, a to przypomina mi o czymś jeszcze – rzekł Pędzik. – Powinniście przybyć na wzgórze nad zatoką przez zachodem słońca.

\*\*\*

Dopiero gdy Barrick przebrnął przez kolejne potyczki, zanurzając kilkakrotnie brzeszczot we krwi – najpierw utoczył jej xiskiemu



żołnierzowi, który leżąc na ziemi, próbował pchnąć go mieczem, potem uporał się z kolejnym, który źle wymierzył cios włócznią i nie miał okazji do drugiego, otrząsnął się ze stanu uniesienia i znowu czuł jak zwykły śmiertelnik. Qarowie dość łatwo odrzucili ludzi autarchy, dlatego Barrick pozwolił bitwie się toczyć, sam zaś usunął się pod ścianę, by zaczerpnąć tchu. Czuł, że każdy mięsień mu pulsuje. Pamiętał każdy wcześniejszy ruch, a zarazem wszystko to wydawało mu się odległe, jakby dotyczyło kogoś innego.

Nawet jeśli jestem w stanie trochę je zagłuszyć, to na dłuższą metę głosy Ognistego Kwiatu są zbyt silne, bym potrafił je całkiem uciszyć. Ale głos Ynnira podpowiedział mu coś, pokazał, jak może wykorzystać Ognisty Kwiat do walki i w ten sposób spożytkować całą jego siłę.

Kim mogę się stać, zastanawiał się. Kim będę? Rozumiem mowę czarodziejskich ludzi. Moje ramię jest uleczone. Nic nie zostało z dawnego Barricka. Wszystko zostało wytrawione.

\*\*\*

Młotostopy, jeśli nawet go osłaniał, robił to dość niedbale. Olbrzym w tej chwili szalał w samym środku grupy xiskich żołnierzy. Rycząc, chwycił jednego z wrogów ze wzgórz Sanii, posłużył się nim jak maczugą, a potem znowu sięgnął po topór, który utkwiał w deskach wozu dostawczego. Bezpieczeństwo Barricka raczej go teraz nie obchodziło.

Książę ponownie wykorzystał fortel, który pozwalał mu stłumić głosy i cienie, jakie Ognisty Kwiat wywoływał w jego myślach – przypominało to zmrużenie oczu, tyle że w umyśle. Trudno było utrzymać ten stan dłużej, łatwo zaś ulec rozproszeniu. Wiedział też, że na nic mu się to nie zda, jeśli zbliży się do kresu swoich możliwości.

– *Pozwól mu płynąć przez siebie* – powiedział mu cichy głos Ynnira.  
– *Nie możesz go zmusić. Do niczego. On po prostu jest.*

Południowcy bronili się zaciekle, wycofując w głąb szerokiego tunelu, ale robili to powoli, a Barrick wiedział dlaczego, nawet bez wsparcia setki qarskich królów i wojowników. Na powierzchni obozowała wielotysięczna armia autarchy. Żołnierze z pewnością wysłali gońców po pomoc. Ale czy ci głupcy nie zastanawiali się, dlaczego tak

się dzieje? Dlaczego Qarowie zaatakowali ich wielką armię w tak dziwny sposób – spod ziemi?

Może autarcha przywykł do tego, że wszystko zawsze idzie po jego myśli. A może po prostu nie docenił Ludzi.

Ogromny jednooki brodacz przedarł się przez Qarów tuż przed Barrickiem. Przebił włócznią smukłego bladokórego czarodziejskiego wojownika, a ten zawisł na jej grocie jak bezwładna lalka, potem odrzucił dwóch innych przeciwników obitą skórą tarczą i teraz zwrócił się ku Barrickowi, który zderzył się z jednym z Qarów i zgubił miecz. Jednooki pchnął włócznią, której grot minął brzuch księcia o szerokość palca albo dwóch. Otarła się o napierśnik Barricka i minęła hełm. Barrick zdążył zasłonić się tarczą, by zablokować drugie pchnięcie, lecz olbrzym natarł na niego własną ciężką tarczą, przewracając księcia na plecy.

Uśmiechnął się, odsłaniając zęby i szcerby po nich. Kopnięciem wytrącił Barrickowi tarczę z rąk, niemal wyrywając mu przy tym ramię, i uniósł włócznię.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że w pierwszej chwili księżę nie potrafił powiedzieć, co się stało. Dopiero gdy krew bluznęła z szyi olbrzyma, ochlapując leżącego księcia, ten zorientował się, że napastnik nie ma już głowy. Ktoś mu ją ściał – nie, strącił ją i posłał daleko, jak dziecko strąca kijem główki stokrotek.

– Czas wstawać, młody panie – mruknął Młotostopy. – Bo przegapisz Strażników Żywiołów przy pracy. – Olbrzym wysunął masywną dolną wargę podobną do granitowego klifu, przyglądając się Barrickowi. – Jesteś zakrwawiony. Dobra robota.

– Większość tej krwi wypłynęła z szyi tamtego, kiedy pozbawiłeś go głowy. – Barrick wstał powoli, obolały, jakby spadł z dużej wysokości. – Dziękuję ci.

Młotostopy skinął głową i oblizał czerwone od krwi palce. Jego oczy błysnęły osadzone w głębokich ciemnych oczodołach.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

\*\*\*

Briony była pod wrażeniem. Wszyscy szańscy szlachcice mieli okazję się wypowiedzieć. Wielu wyraziło zdanie, że jest zbyt wcześnie, by zbliżać się do legionów autarchy, że niemal na pewno jest to pułapka, choć dziwna. Kiedy już wszyscy przedstawili swoją opinię, Eneasza ogłosił decyzję: pojedą. Wtedy pozostali w spokoju się rozeszli, by przygotować się do bitwy, jakby w ogóle nie było żadnej dyskusji.

„Nie zaszkodzi posłuchać”, mawiał jej ojciec i tutaj miała tego przykład: żołnierze księcia, a w szczególności synowie dumnych starych szańskich rodów, domagali się, by ich wysłuchano. Briony doszła do wniosku, że dobry król albo królowa nie mają się czego bać, pozwalając mówić poddanym, a nawet dając im możliwość wyrażenia sprzeciwu wobec władcy, jeśli tylko potem przyłączą się oni do niego z pełnym oddaniem, tak jak teraz Świątynne Psy, mimo że mieli odmienne zdanie. Briony czuła czasem, że pomimo całej wiedzy, jaką przekazał jej ojciec, więcej nauczyła się o rządzeniu od czasu, gdy opuściła zamek.

\*\*\*

Słońce właśnie przekroczyło zenit, a oni wspięli się już wysoko na stoki przybrzeżnych wzgórz. Dzień był ciepły i suchy, spod końskich kopyt wzbijały się tumany kurzu, a w górze śpiewały skowronki. Briony nie mogła uwierzyć, że taki sielski świat może zawierać tyle przerażających rzeczy.

– Jutro wigilia przesilenia letniego – powiedziała do Eneasza, kiedy poili konie. – Ojciec mówił, że autarcha zamierza obudzić boga. Jak sądzisz, co miał na myśli? Co się stanie za dwa dni? Autarcha w to wierzy. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zdobyć Hierosol. Pozostawił go i przyplął tutaj.

Eneasza słuchał jej, ale też obserwował kolejnych jeźdźców i piechurów, którzy ich mijali. Przyglądając mu się, Briony uznała, że jest urodzonym dowódcą, w przeciwieństwie do jej ojca pomimo wszystkich jego zalet. Pewne aspekty przywództwa zawsze napawały Olinę trwogą albo smutkiem. Kendrick często żartował, że „ojciec jest za dobry na króla”. Powinien siedzieć w jaskini pośród wzgórz Kracji razem z pustelnikami i wyroczniami. Barricka nigdy nie śmieszyły te słowa, w

przeciwieństwie do Briony i Kendricka, którzy pokładali się ze śmiechu, lecz dopiero teraz zrozumiała dlaczego. Mężczyzna, z którym rozmawiała w ciemności więziennego namiotu, nie był tym samym, którego Barrick tak się boi i nienawidzi. Jak to możliwe, że po tylu latach, w ciągu których ojciec okazywał mu dobroć, jej brat zapamiętał tylko momenty okrucieństwa ojca, jego szaleństwo?

– Nie wiem, co myśli autarcha – rzekł Eneas, wyrywając ją z zamyślenia. – Ale się boję.

W pierwszej chwili sądziła, że się przesłyszała.

– Słucham, Wasza Wysokość?

– Boję się autarchy Xis jak nikogo innego, no, może tylko sądu ostatecznego niebios. – Powolnym ruchem wykonał znak Trzech. – Walczyłem z nim, jak pamiętasz – przynajmniej z jego ludźmi – i dużo słyszałem o jego dokonaniach w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy resztki armii próbujących go powstrzymać wylądowały na brzegach Eionu. Jest wściekły jak ranna żmija, a przebiegły jak sam Kupilas i ma całe struchlałe ze strachu i przerażające innych imperium, które zaspokaja każdy jego kaprys. – Wciąż obserwował przechodzących żołnierzy, lecz teraz jego oblicze wyrażało niepokój. – Tylko jakie ma zachcianki? Tego nikt nie wie, Briony. Możemy się tylko domyślać i czekać, i... bać się.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, nadjechał lord Helkis, manewrując koniem między drzewami porastającymi zbocze. Jego mina wyraźnie mówiła, że nie może się doczekać, by przekazać wieści.

– Mój dobry Mironie, wszystko w porządku? – zapytał Eneas. – Daj spokój z etykietą, mów! Skąd ten pośpiech?

– Wasza Wysokość, musisz tam podjechać. Zwiadowcy informują, że obóz został zaatakowany.

– Jaki obóz? – zapytał książę, a serce Briony zabiło szybciej.

– Xiski, Wasza Wysokość. Ludzie autarchy zostali zaatakowani!

– Przez kogo? Skąd'?

– Chodź i porozmawiaj z Łasicą i zwiadowcami – nalegał Helkis.

Eneas już dosiadł wierzchowca, nie czekając nawet na pomoc giermka, jakby miał na sobie lnianą koszulę, a nie kolczugę. Briony stała jeszcze chwilę oniemiała, a potem podbiegła do swojego konia, lecz w przeciwieństwie do księcia chętnie skorzystała z pomocy.

– Zwiadowcy opowiedzą nam wszystko po drodze – polecił Eneasze, zakładając hełm. – Muszę to zobaczyć na własne oczy.

\*\*\*

Znaleźli miejsce, ostatnie wybrzuszenie pogórza, z którego można było spojrzeć na ogromny xiski obóz rozbity na brzegu zatoki i dalej, w samym mieście, wypełniony okrągłymi namiotami licznymi jak ziarna piasku. Nic było wątpliwości, że ludzie autarchy walczą, ale z kim, już nie było takie pewne. Eneasze obserwował całą scenę przez kilka chwil, a potem przekazał Briony srebrną lunetkę. Musiała ją trochę wyregulować, a potem nagle, jakby spadła z góry niczym jastrzęb, zobaczyła wyraźnie obóz i walczących.

– Litościwa Zorio, niektórzy to olbrzymy! – To było jak sen: móc oglądać wszystko tak wyraźnie, nie słysząc żadnego dźwięku. – Och, tamten to istny potwór! Chyba jakieś diabelskie nasienie zwróciło się przeciwko autarsze!

– Myślę, że to Qarowie – rzekł Eneasze. – Wiemy, że czarodziejscy ludzie byli tutaj. Ci, którzy zaatakowali kupiecką karawanę, skądś musieli się wziąć.

– Ale gdzie się skryli? Myślałam, że się wycofali. – Briony patrzyła na tarcze i zbroje w setkach kolorów i kształtów, zdumiona obecnością armii czarodziejskich ludzi. Przesunęła lunetę tam, gdzie toczyła się najbardziej zażarta walka, na skraju obozu u podnóża wzgórz, które schodziły niemal do samej zatoki. – Wychodzą spod skał – powiedziała. – Nie, z pieczar! Czarodziejscy ludzie wychodzą z pieczar i próbują się wdrzeć do obozu autarchy. Niektórym to się udało, ale inni zostali zatrzymani. – Zamrugła i oddała lunetkę Eneaszeowi. – Walczą zawzięcie, ale wielu ginie na skraju obozu.

Spojrzała na księcia i dostrzegła dziwny błysk w jego spojrzeniu.

– W takim razie pomóżmy im. Chyba nic ma sensu cię prosić, żebyś tu została?

Briony roześmiała się, mimo dławiącego ją strachu, i tylko kiwnęła głową, ponieważ potrzebowała chwili, by wydobyć z siebie choćby słowo.

– Masz rację, nie ma sensu!

– Niech tak będzie. Jedźmy więc i niech bogowie mają nas w opiece. Raz stanęliśmy po złej stronie. I nigdy więcej!

Książę dał znak i zagrano sygnał na zbiórkę. Żołnierze z oddziałów Świątynnych Psów dosiadali koni, ci, którzy gasili pragnienie, pociągnęli ostatnie łyki wody i otarli usta. Konie tańczyły w miejscu, a Eneasza podniósł się w strzemionach.

– Anglin przybył, by ratować moich przodków! – zawołała Briony, dobywając miecza. – A teraz my spłacimy tamten dług krwi! Zapędźcie te południowe psy do morza!

Eneasza spiął konia ostrogami i popędził w dół zbocza za zwiadowcami.

– Za Syana i Zamek Marchii Południowej! – krzyknął. – Za króla Enandera i króla Olina!

Briony zdążyła odmówić tylko najkrótszą modlitwę...

Miłościwa Zorio, przeprowadź nas bezpiecznie przez to niebezpieczeństwo. ..

A potem i ona dołączyła do jeźdźców. Wszyscy gnali suchym zboczem i spadli na obóz niczym letnia burza.

\*\*\*

Południowcy okazali się arogantami, uznał Barrick. Nie spodziewali się ataku, a już na pewno nie z głębi ziemi, gdzie autarcha wykorzystywał swoją ogromną armię niczym młot, miażdżąc mniej licznego wroga. Jego generałowie popełnili kilka błędów, ponadto nie liczyli się ze stratami, przekonani, że mają dość wojska, by samą jego liczebnością zrekompensować wszelkie pomyłki, i... mieli rację. Xiscy żołnierze walczyli zawzięcie i dziesiątkowali szeregi czarodziejskich wojowników. Qarowie nie dotarli na powierzchnię po pierwszym ataku i zanosilo się na to, że nigdy im się to nie uda.

Wojownicy Saqri zdołali się przebić przez pierwsze szeregi piechoty Nagich – włóczników z tarczami, którzy samą swoją liczebnością i naporem mieli odrzucić Qarów. Udało im się też zniszczyć dwa ogniowe

działa autarchy, zanim wykorzystano je przeciwko nim: nadal płonęły tak wielkim ogniem, że trzeba je było omijać szerokim łukiem.

W górze zbocza wywiązała się zacięta walka, co wreszcie dało łucznikom Oszustów możliwość włączenia się do bitwy, i niebawem kolejni martwi żołnierze autarchy osuwali się w dół. Gdy wreszcie Qarowie dotarli do wylotu tunelu, wywalczyli sobie dostęp do ramp, które biegingy spiralnie wokół wysokiej pieczary, i wydostali się na skalistą plażę. Tuż obok eksplodował pocisk armatni, który zabił trzech ettinów i kilkunastu mniejszych Qarów. Ludzie autarchy wcale nie wyglądali na zaskoczonych, jak się spodziewał Barrick. Zamiast założyć, że zatrzymają w tunelach mniejsze siły Qarów, wezwali posiłki i... nie tylko. Zameczyli przy tym kilka koni, ale udało im się odwrócić jedno ze swoich dział. Pierwszy pocisk nie trafił wroga i tylko wybił ogromną dziurę w zboczu. Teraz szykowali się do kolejnego strzału.

Szwadron xiskich łuczników zbliżał się plażę, by pomóc w obronie obozu, zakładając po drodze rynsztunek i zatrzymując się, by napiąć cięciwy łuków. Inni już szyli strzałami, biegingąc w stronę wielkiego działa najwyraźniej z zamiarem utworzenia nowej linii obrony. Oszuści wspięli się na skały z boku wejścia pieczary, by znaleźć dogodną pozycję, z której mogliby razić wroga strzałami, nie raniąc swoich.

Barrick, chwilowo bezpieczny w cieniu ogromnego Młotostopego, bezradnie przyglądał się całej scenie. Utkniemy w tych pieczarach, pomyślał. A potem, jeśli autarcha wypuści z tuneli swoje wojsko, zostaniemy zmiążdżeni jak kasztan w szczypcach.

Rozległ się kolejny grzmot i chwilę później armatni pocisk spadł obok wejścia pieczary, rozrzucając na wszystkie strony głązy. Kiedy umilkło echo, Saqri przechyliła głowę i szwadron wojowników z plemienia Zmieniających się wypadł z pieczary z wojennym okrzykiem na ustach. Opadłszy na czworaki, zmieniali postać, zbiegingając po skalistym stoku ku nieprzyjacielowi. Niektórzy spośród xiskich łuczników po prostu się odwrócili i uciekli na ich widok, lecz najszybsi spośród Qarów prędko ich dogonili i ze śpiewem na ustach pozbawili życia. Xiskie strzały nadlatywały ze wszystkich stron. Trzech Zmieniających się padło jak porzucone worki z ziarnem, a kolejna istota wygięła grzbiet i zachwiała się, wydając agonalny okrzyk

przypominający ryk dzikiej bestii, której właśnie wyrwano serce. Okrzyk ten sprawił, że Barrick drgnął gwałtownie, mimo że nawet nie znajdował się blisko całej sceny.

Nagle świat wokół niego się rozpadł, a przynajmniej tak mu się wydawało, niczym talerz rzucony o ścianę. Barrick miał wrażenie, że jego uszy przeszły rozgrzane do białości igły. Gdy już nie był w stanie myśleć, słyszał jedynie przenikliwe buczenie i ciche mruczenie Młotostopego. Olbrzym przycupnął nieopodal, lecz na tle artyleryjskiego dudnienia Barrick odbierał jego donośny głos, jakby to był pisk myszy.

Młotostopy strzepnął z siebie kamienne okruchy.

– Na krew ziemi, ludzie autarchy ciągną jeszcze dwa przekłete działa. – Głębinowy ettin wydawał się bardziej poirytowany tym faktem niż przestraszony. – Będą z nich strzelać, aż nas zetrą na proszek...

Rozległ się kolejny grzmot i pieczara znowu się zatrzęsała. Ze sklepienia posypały się odłamki skał, uderzając z grzechotem w hełm Barricka, jakby ktoś bił go po głowie. Oszołomiony, wypluł krew zmieszaną z kurzem i oparł się plecami o ścianę, czekając, aż opadną ostatnie kamienie. Był przestraszony, ale nie zdziwiony tym światem dźwięczącej ciszy. Wszystkie pieśni śpiewane przez Ludzi mówiły o porażce i honorowej śmierci; teraz dostawali to, czego szukali, w co wierzyli. A i on otrzymywał to samo, bez względu na to, czy był jednym z nich czy nie.

Świat po raz kolejny drgnął konwulsyjnie. Tym razem wstrząs przyniósł ciemność.

\*\*\*

Mimo że ojciec i Shaso rozprawiali o tym przez tyle lat, mimo że przeczytała wiele opowieści o odwadze, Briony Eddon ani trochę nie była przygotowana na prawdę wojny. Otaczał ją chaos – krzyki, nadlatujące strzały, krew chlupocząca jak woda – i nawet gdyby walczyły ze sobą armie ludzkie, nie potrafiłaby odróżnić przyjaciela od wroga. W tej sytuacji, zanim zadała pierwszy cios, Briony starała się zapamiętać, że istoty jakby żywcem wyjęte z koszmarów, są jej sprzymierzeńcami, a przynajmniej walczą przeciwko temu samemu



wrogowi, przeciwko żołnierzom z Xis. Stwory, które warczały, przycupnięte jak małpy czy niedźwiedzie, lecz miały na sobie zbroje, inne, skaczące jak owady i pokonujące kilkanaście jardów jednym susem, by zaatakować smukłą zakończoną ostrym grotem włócznią, albo te owinięte szczelnie w zwiewne ciemne szaty, tak że widziała tylko błysk podobny do ognia w miejscu, gdzie powinny być twarze – jakby ożyły ilustracje ze starych modlitewników ojca Timoida i wyskoczyły z nich demony i monstrualne bestie.

Świątynne Psy wbiły się głęboko w xiskie wojsko, które próbowało zatrzymać atakujących Qarów w pieczarze na południe od obozu. Po jakimś czasie Briony się zorientowała, że południowcy bronią się dzielnie, a wojsko Eneasza będzie musiało wywalczyć sobie możliwość wycofania się z bitewnego zgiełku, który teraz otaczał ich niemal całkowicie. Przybywali kolejni południowcy, w pośpiechu ładując broń. Trzy działa autarchy zostały obrócone i wycelowane w wyjście z pieczary, z której wydostawali się Qarowie. Ogromne armaty pluły ogniem, krusząc pociskami zbocze wokół wylotu jaskini.

W tej chwili Briony była względnie bezpieczna, jeśli trzymała nisko głowę, otoczona przez jeźdźców, którzy dawali sobie radę z xiskimi żołnierzami, przeważnie piechurami. Tylko Eneasza i kilku innych rycerzy na skraju pola bitwy walczyli mieczami albo toporami. Briony patrzyła, jak książę uporał się szybko z dwoma piechurami, odbijając tarczą ich włocznie, a potem ciał jednego w głowę, drugiemu zaś przebił gardło. Briony zobaczyła, jak krew bluznęła na pierś Eneasza, i zaraz odwróciła głowę, nie z powodu współczucia do południowca, ale dlatego, że patrząc, jak książę ryzykuje życie, poczuła się równie bezradna jak wtedy, gdy znalazła ojca i nie mogła go uwolnić.

Jeden ze Świątynnych Psów znalazł się w opałach. Próbował utrzymać się w siodle, mimo że stopa wysunęła mu się ze strzemienia, gdy zaatakowało go dwóch południowców. Briony skierowała wierzchowca w tamtą stronę. Podczas treningów nieraz ćwiczyła z manekinem to właśnie przy okazji tych ćwiczeń ojciec po raz pierwszy wziął jej stronę podczas dyskusji z Shasem dotyczącej tego, co jej wolno – lecz teraz księżniczka miała szańską włócznię, która była krótsza niż lanca bardziej odpowiednia do takiego ataku. Była tak lekka, że

wydawało jej się, iż mogłaby się nią zamachnąć jak drewnianym mieczem, jakim w dzieciństwie walczyła z Barrickiem. Kiedy dojechała do walczących, od razu pchnęła mocno najbliższego żołnierza, wbijając mu koniec włóczni w pachę tuż przy piersi. Włócznia weszła głęboko, głównie dzięki sile jej konia, przeciwnik krzyknął przeraźliwie i odwrócił się od szańczego żołnierza. Chwilę później zamilkł, stratowany przez konia innego Świątynnego Psa.

Drugi z południowców do tej pory obserwował, co się dzieje z jego kolegą, a teraz otworzył szeroko oczy, gdy zobaczył, że Briony obróciła konia i ruszyła na niego. Żołnierz puścił ramię rycerza i zasłonił się tarczą, by obronić się przed włócznią Briony. Wyprowadził cięcie, kiedy go mijala, ale nieznacznie chybił. Rycerz, któremu Briony przybyła z pomocą, zdążył już usadowić się pewnie w siodle i zaatakował południowca. Ten parował dzielnie ciosy, ale z tyłu nadjechał inny Świątynny Pies i ciął go u nasady karku, zanim tamten się zorientował, co mu grozi. Mężczyzna opadł ciężko na ziemię i leżał w kałuży krwi z głową niemal odrąbaną od tułowia.

To była walka. Prawdziwa walka, krwawa, straszna, taka, o jakiej opowiadał jej Shaso, a jakiej nigdy nie poznała. Okrutna. I zdumiewająca, ale przede wszystkim okrutna. Briony głupio postąpiła, przyłączając się do niej, a teraz nie mogła się wycofać. To nie była pieśń ani poemat; to była krew, gówno, wrzeszczący ludzie i przeraźliwie rżące konie.

Z łomoczącym sercem, oszalała jak schwyty w sidła królik, Briony Eddon skupiła wszystkie myśli i umiejętności, starając się zachować życie.

Nic wiedziała, jak to się stało, że przyciska ją do ziemi mężczyzna, który napiera kolanem na miecz, przybliżając go do jej piersi. Wcześniej coś uderzyło ją w plecy, potknęła się, pośliznęła, a potem ten człowiek, który pojawił się nie wiadomo skąd, w każdej chwili mógł sięgnąć po sztylet i zabić ją, a ona nie była na tyle silna, by go powstrzymać. Nic z jej dotychczasowego życia – ani rodzina, ani królewska krew, ani opieka księcia czy nawet półbogini – nic nie mogło jej uratować. Pomimo strasznego bólu w ramionach Briony odpychała miecz, by mężczyzna miał zajęte ręce. Południowiec wisiał nad nią w dziwnie intymnej pozie,

mrucząc coś niezrozumiale, a pot z jego twarzy kapał na jej twarz. Z zaciśniętymi zębami, z wąsami podobnymi do końskich ogonów, z oczami wytrzeszczonymi z wysiłku, jego twarz przypominała maskę demona noszoną podczas Zosimi.

Coś przemknęło nad jej głową, mignął cień, jakby ktoś machnął ręką i na chwilę zasłonił słońce. Nieoczekiwanie poczuła, że nacisk na jej piersi zelżał, a mężczyzna odchylił się do tyłu z ręką przyciśniętą do twarzy. Chwilę później stęknął i zsunął się z niej.

Briony obróciła się na bok, usiłując złapać oddech, i zaraz uprzytomniła sobie, jaka jest bezbronna bez konia, w samym środku bitewnej zawieruchy. Dźwignąwszy się na czworaki, spojrzała na ciało xiskiego żołnierza, który próbował ją zabić, a teraz sam leżał martwy z wywalonym, już spuchniętym językiem. Z jego oczu wystawały cienkie igielki. Zakończzone piórami.

Nie igielki, uzmysłowiła sobie, lecz strzały. Malutkie strzały.

Wszędzie dokoła krzyczeli ludzie, wielu z przerażenia. Kolejny cień przemknął nad jej głową i zaraz jeszcze jeden. Briony spojrzała w gęstniejący mrok, mrużąc oczy, by lepiej widzieć. Ptaki. Setki ptaków śmigwały nad wysepkami walczących ludzi, a za każdym razem, gdy któryś zanurkował, a potem wzbił się w górę, xiski żołnierz wycofywał się z walki, z rękoma przyciśniętymi do twarzy albo szyi. Wielu południowców uciekało bezładnie, wymachując rękami, jakby oganiali się od atakujących pszczoł.

Rodacy tego ludzika, pomyślała Briony, przyglądając się niesamowitej scenie. Tego Pędzijakośćam. Mówił, że oni jeżdżą na ptakach.

Wielu południowców pędziło z powrotem do obozu. Ci, którzy pozostali na plaży, znaleźli się w obliczu przeważającej siły wroga. Po raz pierwszy Briony pomyślała, że może jednak dożyje następnego wschodu słońca.

Kolejny ptak przeleciał tak blisko jej twarzy, że usłyszała piskliwy wojenny okrzyk:

– Za królowe! Za królowe! – Nadleciały inne ptaki, cała chmara, burzowa chmara skrzydeł unosząca się i opadająca pomiędzy

uciekającymi na oślep południowcami, którzy w przerażeniu potykali się i przewracali.

Litościwa Zorio! Briony wstała. Jeśli przeżyję, zapamiętam tę chwilę na całe życie...

## Nieposłuszni żołnierze

*W innym śnie Adis wspiął się na dąb, którego korona sięgała nieba. Kiedy dotarł na samą górę, zobaczył, że może dotknąć gwiazd, które śpiewały do niego, błagając, by przyprowadził Z powrotem ich ojca...*

– z *Powiadki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Kilkudziesięciu uchodźców z twierdzy zewnętrznej mieszkało na klatce schodowej, która prowadziła do Komnaty Anglina, ze ścianami pokrytymi freskami przedstawiającymi Góry Connordzkie i sceny z życia pierwszego króla. Koczujący na schodach ludzie nie byli zainteresowani obrazami ani tym, żeby zrobić miejsce Mattowi Tinwrightowi.

Złościło go, że co rusz musi nad kimś przechodzić, ale starał się zachować spokój. Niektórzy z zainteresowaniem zerkali na jego porządne ubranie, pewnie w duchu kalkulując, ile za nie dostaliby na prowizorycznym targu na błoniach przed królewską rezydencją. Nie mieściło się w głowie, żeby ktoś musiał obawiać się rabunku w siedzibie króla, ale też czasy były niezwykle.

Jedna z kobiet wyciągnęła rękę, kiedy próbował ją minąć, i pogładziła jego rękaw.

– Oho, ładniutki pan w ładniutkim ubranku, co?

Poeta odsunął się szybko.

Jeden z mężczyzn zauważył jego pełen niepokoju ruch.

– Hej, zaczepiasz moją kobietę? – warknął i zaczął się podnosić. Inny przesunął się na środek schodów kilka stopni wyżej, blokując drogę poecie. – Słyszałeś? Pytałem cię o coś.

Tinwright starał się, by jego głos zabrzmiał mocno.

– Dotknij mnie, a pożałujesz. Wykonuję polecenie Hendona Tolly'ego. Chcesz zadrzeć ze służącym lorda protektora?

Mężczyźni wymienili spojrzenia i ten ze środka schodów cofnął się pod ścianę.

– Nawet Jego Lordowska Mość nie będzie się szarogęsił w nieskończoność – rzekł pierwszy, ale też się odsunął.

Tinwright rozpoznał ten ton głosu. Wciąż bano się Tolly’ego, ale jego władza słabła. Połowa twierdzy zewnętrznej została zrównana z ziemią przez działa autarchy, a lord protektor nie interesował się obroną.

Poeta wchodził najszybciej, jak tylko się odważył, jednak bez zbytniego pośpiechu, który by zdradził, że nie czuje się bezpieczny. W godzinie, jaka przyszła na Zamek Marchii Południowej, ludzie powoli zamieniali się w stworzenia bardziej prymitywne i przestraszone, i na tyle wygłodniałe, by zabić.

Hendon Tolly stał przy wąskich oknach komnaty i spoglądał w dół na nieduże prowizoryczne miasteczko, które wyrosło w miejscu, gdzie wcześniej rozciągały się błonia, i rozrastało dalej, aż do podstawy Wieży Wilczego Kła, którą Tinwright był tego pewny, też zajęliby ludzie, gdyby nie było tam uzbrojonych żołnierzy.

– Ach, jest mój nadworny poeta – rzekł Tolly, nie odwracając się od okna, jakby widział też, co się dzieje za jego plecami. – Ależ posępne popołudnie. Pojutrze mamy dzień letniego przesilenia, jak ci wiadomo. Zadeklamuj mi jakiś wiersz.

– Co... co masz na myśli, panie? – Tinwright przegnał muchę. Było ich zaskakująco dużo w komnacie, nawet jak na letnią porę.

– Na krwawiących, mściwych bogów, głupcze, to ty klepiesz rymy, nie ja. Skoro nie wiesz, co to jest wiersz, to zaczynam mieć wątpliwości co do twojej sztuki.

– Ale... przynoszę ci wieści, panie...

Tolly wreszcie się odwrócił. Był blady jak martwa dżdżownica, oczy miał zapadnięte, podkrążone, wysokie czoło lśniło od potu. Włosy i ubranie miał w takim nieładzie, że Tinwright niemal gotów był uwierzyć, że ten dandys także się przedzierał przez tłum na schodach. Lecz najbardziej niepokojące były oczy Tolly’ego. Płonęły jasnym blaskiem, lecz niewytłumaczalnym – jakby lord skrywał straszną tajemnicę albo miał zamiar rzucić subtelny żart, który ze wszystkich ludzi na świecie potrafił zrozumieć tylko on.

Lord protektor pochylił się trochę, jakby się kłaniał. Wyciągnął miecz tak szybko, że Tinwright się zorientował, dopiero gdy czubek ostrza zadrżał przed jego piersią.

– Nie chcę wieści... jeszcze nie – wycedził powoli Tolly. – Chcę wiersza, poeto, albo podam ci zaraz na tacy twoje serce.

*...bo gdyby twe ucho rozkoszy zaznało  
I niebiańskiej muzyki kiedyś zakosztowało...*

Wyrecytował Tinwright, zbliżając się do końca rymowanego poematu wypoconego przez Hewneya.

*Takiej, co ani bóg, ani człowiek już nie usłyszy,  
Chyba że ten głos zabrzmi w niebiańskiej ciszy.  
Na Niebiosa, to ona, rzecz niebywała,  
Ta, co słodkiej Sivedzie miejsce zabrała...*

– Dość. – Tolly wykonał szybki gest, jak ktoś, kto strzepuje ręce, by przywrócić w nich krążenie. Po chwili miecz tkwił już w pochwie. – A teraz nalej mi wina, sobie też możesz nalać, jeśli masz ochotę. Na stole stoi perikalskie, takie sobie. Poznasz, który to dzbanek, bo został tylko jeden. A potem możesz zdać raport o Bożym Kamieniu.

Tinwright podniósł dzban ze stołu pełnego przewróconych pustych naczyń. W tym momencie zauważył dziwne zawiniątko w kącie pokoju, z którego wystawała bosa męska stopa. Poczul, jak serce podchodzi mu do gardła, ale szybko przełknął ślinę i oparłszy się o stół, na chwilę zamknął oczy, by odzyskać panowanie nad sobą.

– Co się tak grzebiesz? – Tolly się odwrócił. – Ach, on. Tak, ta świnia cześnik już nigdy mi nie powie, że nie mamy czerwonego wina. – Zaśmiał się nagle. – Kiedy lała się z niego krew na podłogę, zapytałem: „Jak myślisz? Może powinna trochę pooddychać?” Nie śmiał się.

Starając się nie patrzeć w tamten kąt, Tinwright podał kielich Tolly’emu i szybko sam się napił.

Tolly pociągnął długi łyk, delektując się trunkiem.

– A teraz mów.

Tinwright bardzo się starał, by podsumowanie lektury, którą zgłębiał przez ostatnie dni i noce, było zrozumiałe, lecz nie było to łatwe.

Wyjaśnił Tolly'emu, który wydawał się ledwie go słuchać, że sekta Hipnologów wierzyła, iż bogowie śpią i zbliżają się do ludzi tylko w snach i że dramat upadku bogów rozegrał się w tym miejscu, w Zamku Marchii Południowej, a przynajmniej gdzieś w pobliżu.

– Kamień był tutaj. W kaplicy Erivora i wykuto z niego posąg Kerniosa.

– Tego starego rogacza – rzekł Tolly i zaśmiał się gniewnie. – Widzisz, nawet tutaj stary Kernios próbuje ją więzić. Ale nie potrafi. Nie, nie obchodzą mnie jakieś tam magiczne kamienie. Skoro autarcha potrafi otworzyć drzwi do bogów bez niego, ja też to zrobię! Udowodniliśmy, że potrafisz wypowiedzieć słowa potrzebne do otwarcia lustra równie dobrze jak Okros! A nawet lepiej, skoro wciąż żyjesz i masz obie ręce!

– Panie? – Tinwright zaczął się zastanawiać, czy Tolly usłyszał choć słowo z tego, o czym mu opowiadał. – Nie rozumiem...

– Pewnie, że nie rozumiesz, więc zamknij się i słuchaj. Przez długie miesiące razem z Okrosem zgłębiałem prawdę ukrytą za innymi prawdami. Hipnologzy mają znak, dzięki któremu się rozpoznają. Okros był jednym z nich! Ich nauka jest pilnie strzeżona i tylko oni mają do niej dostęp oraz... paru innych, takich jak ja, którzy sponsorują ich badania.

Mówimy o krainie bogów, poeto, o miejscu, o którym wy, wierszokleci, ciągle paplacie. O miejscu, w którym śpią i śnią. Autarcha zamierza otworzyć drzwi do tego świata i pozyskać dla siebie ich moc. Ale ja wiem, jak to zrobić, równie dobrze jak on. Okros był gotowy, to było dzieło jego życia, rozumiesz? I mam wszystkie rzeczy potrzebne do tego. A kamień... to coś innego, głupstwo, zwykły środek ostrożności, prawdopodobnie zbędny, jak mi powiedział Okros. Mamy lustro, które nada się idealnie bez względu na to, czy południowiec ma swoje zwierciadło czy nie. Ale nam potrzeba, ach, potrzeba nam... krwi.

Tinwright, kompletnie zaskoczony, zrobił krok do tyłu, czując, jak jego serce gwałtownie przyspiesza.

– Ależ lordzie Tolly, tak ciężko pracowałem dla ciebie...



Tolly zaśmiał się jeszcze głośniej.

– Sądziłeś, że ciebie mam na myśli? Sądzisz, że jakikolwiek nieśmiertelny chciałby wachać pomyje, które płyną w twoich żyłach, a potem przybiec szybko, szczególnie gdy spał przez tysiąc lat? – Odrzuciwszy głowę do tyłu, ryknął śmiechem nabrzmiętym szaleństwem. – Ach, ależ się ubawiłem! Twoją krew! Głupiego poety! – Odwrócił się i uderzył Matta Tinwrighta na odlew tak mocno, że ten opadł na kolana. – Niech ci nigdy nie przyjdzie do głowy – wycedził lord protektor – że jesteś podobny do mnie. Krew, która płynie w żyłach Eddonów, a także w moich, to święty ichor z Góry Xandos, krew samych bogów! Ale żeby otworzyć właściwe drzwi, trzeba ją utoczyć z żywego serca i zapewniam cię, że nie będzie to moje serce. – Znowu się roześmiał, lecz teraz bardziej przypominało to warczenie. – Nie, musimy znaleźć odpowiednią ofiarę. Prawie wszyscy Eddonowie zniknęli, ale... został jeden, w którego żyłach płynie święta krew.

Matt był coraz bardziej zdezorientowany i przestraszony. Nie widział jeszcze, żeby Tolly tak się zachowywał, jakby wierzył, że można wcielić w życie najbardziej szaloną spośród starych opowieści.

– Krew Eddonów...?

Kogo Tolly mógł mieć na myśli? Starą księżną Merolanę? Ale ona pochodziła z innego kraju, czy nie tak? Nie była z rodu Eddonów, cokolwiek to naprawdę znaczy, tylko wżeniła się w nich, tak jak królowa Anissa...

Anissa. Prawie o niej zapomniał. Tolly manipulował nią od pewnego czasu, na długo przedtem, nim Tinwright nie z własnej woli został służącym lorda protektora. Anissa, która poślubiła króla i urodziła ostatnie dziecko króla Olina...

– ...dziecko? – Tinwright, do tej pory tylko przestraszony, teraz poczuł, że robi mu się niedobrze. – Ty... nie masz na myśli dziecka, panie? Dziecka Anissy?

Tolly skinął głową.

– Tak, Alessandro. Dokładnie kogoś takiego mi trzeba. Weź żołnierzy i przynieś mi go. Ale nie krzywdź Anissy, mogę jej jeszcze potrzebować. – Znowu spoglądał za okno, wpatrzony w światła ognisk.

Tinwright pragnął, by to wszystko okazało się nieprawdą, żeby się okazało, że tylko źle zrozumiał.

– Chcesz, żebym porwał dziecko królowej... królewskiego syna?

– Jeśli się boisz tak po prostu go jej zabrać, to wymyśl coś – rzekł Tolly i machnął ręką lekceważąco, jakby odbieranie kobiecie jedyne dziecko było rutynowym zajęciem. – Powiedz jej, że chcę, żeby kapłani obdarzyli go specjalnym błogosławieństwem lub coś w tym rodzaju. Albo nie, bo wtedy zechce tu przyjść. Ach, nie obchodzi mnie, co powiesz, poeto. Mamy coraz mniej czasu! Po prostu przynieś mi dziecko. Weź dwóch strażników. We trzech powinniście poradzić sobie z jedną devońską kobietą. A niech cię, idź już. I pospiesz się!

Złodziej dzieci. Tinwright wyszedł z komnaty, potykając się. Przez chwilę zachodził w głowę, w jaki sposób znalazł się w najciemniejszym, najpodlejszym dole zaświatów, nie zauważywszy w ogóle własnej śmierci.

\*\*\*

Pomocnik Saletrzaka miał minę, jakby nie do końca wierzył Rogowcowi.

– Na pewno chcesz tylko dwa osły?

– Do wózka wystarczą, tak. – Rogowiec pokazał na szereg czekających ludzi, głównie kamieniarzy już zbyt starych, by regularnie pracować, ale zdeterminowanych, by uratować Miasto Funderlingów. Zastanawiał się, co by powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, co planuje. Wiedział jednak, że nie może im tego zdradzić, dopóki nie oddalą się na bezpieczną odległość od świątyni, gdzie mogliby ulec pokusie wygadania się komuś. – Reszta zostanie przeniesiona ręcznie. Tam dalej są wąskie ścieżki. Może nawet w niektórych miejscach trzeba będzie przenosić osiołki!

– Mam dość własnych problemów – odrzekł pomocnik. – Cynober i reszta tych niestężonych mistrzów Cechu spodziewają się, że będziemy każdego dnia dostarczać pięć beczek więcej – pięć!

Tutaj, w zacisznej części dającego schronienie podziemia, pewnie trudno było pamiętać o tym, co się dzieje tuż obok. Mimo wszystko

Rogowiec pomyślał, że dobrze by się stało, gdyby Saletrzak i jego pomocnicy zostawili na jeden dzień swój młyn prochowy i odwiedzili przeciwległy kraniec terenu świątynnego, gdzie uzdrawiacze uwijali się przez całą dobę, bo nawet ci, którzy nie odnieśli poważniejszych ran, mieli twarze jak zniszczone kukły o guzikowatych, wytrzeszczonych pustych oczach.

– Wiesz przecież, że mamy wojnę – rzekł Rogowiec.

– Och, Starsi wiedzą, że jestem tego świadomy. Kiedy już wszystko przygotujemy, musimy to opuścić pięćset łokci w dół. Zdajesz sobie sprawę, ile czasu trzeba, żeby spleść tak długą linę? – Pomocnik pokiwał głową. – Wiem, że jest wojna. Tylko dlatego pozwalam się tak wykorzystywać.

\*\*\*

Krzemień, który mocno zirytował Opal kolejnym tajemniczym zniknięciem, wspiął się na wąską ławkę wozu. Rogowiec dobrze umocował worki z różnymi składnikami, zanim szarpnął lejce i smagnął zad osła. Kolumna ruszyła. Funderling nauczył się już o prochu wybuchowym tyle, by wiedzieć, że nie musi się martwić, iż saletra zapali się i eksploduje, jeśli worek spadnie. Niepokoił się za to, że na którymś z bardziej stromych odcinków szlaku dojdzie do wypadku i straci duży worek albo – niech Starsi bronią! – cały ładunek. Nie mogli sobie pozwolić na zmarnowanie choćby odrobiny prochu.

To wszystko było czystym szaleństwem, Rogowiec zdawał sobie z tego sprawę. Sam pomysł był szalony. Nawet jeśli się powiedzie, wszyscy mogą zginąć... ale szanse powodzenia były niewielkie.

Pracownik idący przed wozem zwolnił, gdyż zrobili to inni przed nimi, a potem musiał się zatrzymać i postawił taczki. Rogowiec ściągnął lejce, czekając, aż ci z przodu usuną przeszkodę z drogi. Martwił się, że zbyt optymistycznie przedstawił kapitanowi Vansenowi i innym perspektywy tego przedsięwzięcia.

– Tato Rogowcu?

Rogowiec drgnął. Jak często się zdarzało, Krzemień milczał tak długo, że Funderling zapomniał o jego istnieniu.

– O co chodzi, synu?

Chłopak zmarszczył brwi, jakby szukał odpowiednich słów, by wyjaśnić coś szczególnie trudnego.

– Nie czuję się dobrze.

– A co się dzieje? Boli cię brzuch? Jesteś głodny?

Krzemień pokręcił głową. Jak zawsze miał poważną minę niczym mnich podczas modlitwy.

– Nie. Tylko dziwnie się czuję. Coś się zaczyna. Budzi się. – Zamknął na chwilę oczy. – Nie. Nie budzi się. Wciąż śpi... ale się zbliża. – Objął się ramionami, jakby było mu zimno. – Jest silniejsze. W nocy we śnie słyszę, jak śpiewa. To moja wina. Tak mówi. To przeze mnie chce wyjść.

Rogowiec otworzył usta i zaraz je zamknął. Wiedział, że cokolwiek powie – „Nie martw się, chłopcze, wszystko będzie dobrze” albo „To tylko złe sny” – będzie kłamstwem. A w przypadku Krzemienia to się na nic nie zda. On zawsze zdawał się wyczuwać fałsz. Od momentu, gdy wkroczył w ich życie, odkąd Opal go nakarmiła, a on przywiązał się do nich jak bezpański kot, Rogowiec podejrzewał, że chłopak wie więcej niż on. I Krzemień nieraz to udowodnił, co było jeszcze bardziej niepokojące.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytał.

Krzemień spojrzał na niego, a Rogowiec dostrzegł przede wszystkim przestraszone dziecko, przerażoną niewinną istotę, i aż wstrzymał oddech z żalu.

– Nie wiem – odpowiedział cicho chłopak. – Chyba nie. Ale czasem czuję, że nie powinno mnie tutaj być... że powinienem odejść. Gdzieś daleko.

– Nie możesz tego zrobić, chłopcze. Twoja matka wyrwałaby zastrzały i zwała ścianę nośną. Nie, jeśli naprawdę martwisz się o coś, powinieneś trzymać się blisko niej. Nie ma na tej ziemi stworzenia, czy będzie to goblin, czy południowiec, które by się nie bało Opal.

Krzemień uśmiechnął się. Takie nieśmiałe, słabe drgnienie ust Rogowiec widział u niego raz, może dwa.

– Ciągłe to powtarzasz, ale tak naprawdę się jej nie boisz.

– Och, boję się, chłopcze, boję. Ta kobieta napawa mnie strachem bardziej, niż się domyślasz.

Krzemień spojrzał na niego uważniej, niepewny, czy przybrany ojciec żartuje czy nie. Sam Rogowiec nie miał pewności.

– A czego się boisz?

– Że ją rozczaruję. Zawiodę. Że w końcu dojdzie do wniosku, iż nie powinna za mnie wychodzić. Że zrobiłaby lepiej, wybierając mojego brata. Och, podobała mu się, tak, podobała się wujowi Guzkowi. Ale ona powiedziała, że to zakuty łeb. – Rogowiec się roześmiał. – Zakuty łeb, tak powiedziała! Mądra kobieta z tej twojej mamy.

\*\*\*

Znalazł Opal, Vermilion Cynober i pozostałe kobiety siedzące na opuszczonym podjeździe dawnej stacji przystankowej między Wielkim Wykopem a świątynią. Pograżone w rozmowie, delectowały się chłodną wilgotną bryzą. Stacja leżała w pobliżu miejsca, w którym Rogowiec zamierzał zrealizować swój plan. Powietrze wpływało tam przez szczeliny znajdujące się nad poziomem morza, dlatego zawsze było trochę chłodniejsze niż na pozostałym terenie świątyni. Między innymi z tego powodu postanowili tam właśnie mieszać proch: pył z młyna mógł się zapalić i wybuchnąć w bardzo suchym i gorącym powietrzu, a co dopiero mieszanka, którą przygotowywali.

Opal i Vermilion wyjaśniły kobietom, co trzeba robić, jak wielką ostrożność zachować przy oddzielaniu saletry od pozostałych ziaren – należy ją dodać na samym końcu a także przy ubijaniu prochu w malutkie kuleczki wielkości ziarenek pieprzu, dzięki czemu będzie się palił mocniej, szybciej i równiej.

– Zorganizujemy tylko dwa transporty prochu, który panie przygotowują – powiedział Rogowiec. – W ten sposób będziemy mogli się zająć swoimi sprawami, a wy będziecie mogły pracować w spokoju przez nikogo nie niepokozone.

– Chciałeś powiedzieć nie niepokozone przez mężczyzn – orzekła Jaspisowa, żona dowódcy straży Młota, która, podobnie jak mąż, słyszała

z taktu i subtelnych żartów. – Mężczyzn wtrącających się do naszych zajęć, to ja chciałam powiedzieć.

– A od kiedy tak ci to przeszkadza? – zawołała jedna z kobiet. – Słyszałyśmy cię na ulicy Klejnotowej, jak muczałaś pod budynkiem Cechu niczym zagubiona krowa: „Młocie! Młocie, móój piękny! Wracaj do domu, do swojej Dolly! Czuję się taka samotna!”

Kilka kobiet roześmiało się tak głośno, że Rogowiec się przestraszył, iż to im zaszkodzi. Poczul się trochę niezręcznie, wiedząc, że Krzemień słucha tego wszystkiego, chociaż prawdę mówiąc, tylko on sam się zaczerwienił.

– Dosyć, moje panie. Musimy brać się do pracy. Opal, masz chwilę?

Jego żona dobrze wyglądała – zarumieniona, jakby dopiero co wróciła ze słońca na powierzchnię.

– A zatem wyruszasz? – zapytała.

– Muszę, kochana staruszko. Wrócimy pod wieczór, żeby sprawdzić, jak wam idzie, i zabrać to, co zrobicie. Czy Saletrzak pokazał wam co i jak?

– To prawie jak przygotowywanie potrawki – odpowiedziała lekceważącym tonem. – Wszystko mamy zapisane. Vermilion pięknie pisze, jakbyś czytał kartę z księgi świątynnej. – Jej zmarszczone troską czoło wygładziło się i łagodniej spojrzała w oczy Rogowcowi. – Och, staruszku, ty i twoje szalone pomysły! Naprawdę wierzysz, że uda ci się zwalić tyle kamienia tym prochem? A jeśli zapadnie się cały świat? Czasem mnie przerażasz. Zawsze tak było.

– Co masz na myśli? – Uznał za dość miłe, że uznała go za kogoś z głową pełną szalonych pomysłów. Z pewnością było to o wiele lepsze niż bycie mniej udanym bratem magistra Guzka Lideryta.

Opal rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy, ale pozostałe kobiety poszły pilnować mężczyzn, którzy rozładowywali wózek i taczki. Panie pokazywały, gdzie złożyć poszczególne składniki prochu, przy okazji demonstrując różne udogodnienia, jakie wymyśliły, co wywołało sprzeciw mężczyzn i wywiązała się gwałtowna dyskusja.

– Jesteś moim mężem – powiedziała bardzo cicho, jakby przekazywała mu jakąś tajemnicę. – Kocham cię, stary głupcze, bez względu na to, w co nas w przeszłości wpakowałeś i w co nasz jeszcze

wpakujesz, choć nawet nie chcę o tym myśleć. – Zaśmiała się i zamrugła szybko, a Rogowiec zobaczył ze zdumieniem, że w oczach żony lśnią łzy. – Pamiętaj o tym, jak będziesz realizował te swoje... strategie i prowadził wojny – powiedziała to tak, jakby chodziło o chłopięce eksperymenty. – Wracaj do mnie cały i zdrowy. Domagam się tego. Obiecujesz?

Spojrzał na jej twarz, ukochaną, dobrze znaną twarz.

– Tak, a przynajmniej zrobię wszystko...

– Nic. Obiecaj mi. – Ścisnęła mocno jego rękę. – Powiedz to, zanim odejdziesz. Powiedz, że wrócisz cały i zdrowy.

Spojrzał na nią i poczuł to samo, co wielokrotnie wcześniej – że Opal oczekuje od niego czegoś ważnego, on zaś nie rozumie czego, a ona nie potrafi mu tego wytłumaczyć.

– Obiecuję – odezwał się wreszcie. – Wrócę cały i zdrowy.

– Dobrze. – Puściła jego rękę i energicznym ruchem otarła oczy rękawem. – W takim razie idź już. Jesteśmy kobietami Funderlingów, zrobimy, co do nas należy.

– Wiem. – Pochylił się i pocałował ją w usta. – Chłopak powinien zostać z tobą. Tam, dokąd idę, musiałbym wciąż na niego uważać. Za dużo głębokich miejsc i bocznych korytarzy.

Skinęła głową.

– Dobrze. Idź już, bo znowu zacznę paplać.

Już bez ładunku wózek podskakiwał lekko na nierównościach, kiedy ruszyli w kierunku Dróg Burzowego Kamienia, a Rogowiec podrygiwał razem z nim. Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że wygodniej byłoby iść z taczkami tak jak inni, ale przecież ktoś musiał dopilnować, żeby osły nie ściągnęły wózka w dół.

Gdzie są teraz Vansen, Cynober i pozostali? – zastanawiał się. – Czy żyją? Może właśnie walczą o życie tam w dole? Wciąż pamiętał swój pobyt w Labiryncie i nad Morzem w Głębiach, złowrogie wspomnienie, które powracało niczym koszmar. Skąd będę wiedział, że chcą, żebym dokończył swój plan? Powinienem chyba wraz z prochem wysłać wiadomość i poczekać na odpowiedź.

A gdyby nie odpowiedzieli? Gdyby nie mogli? Kto wtedy podejmie decyzję? Rogowiec nic wyobrażał sobie, że on sam miałby to zrobić.

Już uganianie się za przybranym synem po Tajemnicach było wystarczająco kłopotliwe i naganne, a taka decyzja mogła przerazić samych Starszych Ziemi.

\*\*\*

Ferras Vansen już nawet nie próbował zgadywać, jaki jest dzień. Czas stał się upływającymi godzinami, w większości bardzo podobnymi do siebie. Możliwe, że od wigilii przesilenia letniego dzieliły ich trzy dni, lecz Vansen był zbyt zajęty tym, żeby utrzymać się przy życiu, by zastanawiać się nad tym dłużej.

Świątynia Braci Metamorficznych stała się już tylko mglistym wspomnieniem, które pozostało daleko i... wysoko: przeważające siły autarchy zepchnęły ich w dół krętymi korytarzami między Pięcioma Łukami a Pieczarą Wichrów, a potem zmusiły do opuszczenia jaskini i zejścia jeszcze niżej, aż do początków ciemnego Labiryntu, miejsca ceremonii inicjacyjnych Funderlingów.

Oddziały Vansena znacznie spowolniły marsz autarchy, za co zapłaciły wysoką cenę: siły Funderlingów liczyły niecałe dwa tysiące żołnierzy, kiedy wchodzili do tuneli w pobliżu Pięciu Łuków, teraz nie została ich nawet połowa; ciała zabitych pozostawiono ułożone w stosach w bocznych tunelach – było ich zbyt wiele, by zapewnić im coś więcej niż naprędce przekazane pośmiertne błogosławieństwo.

Była to najbardziej ponura walka, w jakiej Vansen brał udział, bo jego mali wojownicy, wygłodniali, wyczerpani, mokrzy od potu zmuszeni byli walczyć długie godziny obok niepochowanych ciał przyjaciół i krewnych. A najgorsza w tym wszystkim była świadomość, że zbliża się koniec. Ich obrona, choć tak heroiczna, mogła się skończyć tylko śmiercią, co i tak wydawało się lepsze niż los, jaki czekał tych, których gdzieś tam zostawili – rodziny i sąsiadów.

Pomimo ogromnego zmęczenia Ferras Vansen nie mógł spać. Nieustannie myślał o bitwie, czuwając jeszcze długo po tym, jak zasnęli jego towarzysze, rozważając nierealne rozwiązania, ponieważ wiedział, że te realne ich nie uratują. Kiedy wreszcie udawało mu się zapaść w



płytki niespokojny sen, budził się szybko z uczuciem, że wałą się na niego wszystkie kamienie świata.

Był już tak blisko dna, a ono nadal przybliżało się z każdą godziną.

– Na bogów, twoi ludzie dzielnie się sprawili, magistrze – zwrócił się do Cynobra. – Nie żebym był zaskoczony, spodziewałem się tego, ale przecież wojna nie jest stałym elementem waszej tradycji, więc tym większy podziw wyrażam dla waszej odwagi.

– Odwaga hartuje się nie tylko na wojnie. – Cynober wyciągnął rękę i zmierzwił dłonią włosy syna, który nawet nie podniósł wzroku. Kalomel nie brał udziału w najzacieklejszych walkach, ale i tak widział dużo więcej, niż chłopak w jego wieku powinien zobaczyć. Z maskotki napędce zebranej armii zamienił się w jeszcze jednego milczącego, zmęczonego i przerażonego młodego Funderlinga, którego spojrzenie napęniało bólem serce Vansena. – Ale wiedz, kapitanie, że i my kiedyś walczyliśmy.

– Nie słyszałem o tym.

– A zatem nie studiowałaś pilnie historii Eionu, panie. – Cynober powiedział to ostrym tonem, lecz Vansen uznał to raczej za przejaw zmęczenia niż przyganę. – Walczyliśmy w największej wojnie, żeby tylko tę jedną wymienić, w wojnie przeciwko naszym kuzynom Qarom.

– W Wojnie Bogów?

– Tak, ale w wojnach ludzi także braliśmy udział. Byliśmy górnikami i saperami w wielkich imperiach, w Hierosolu, w państwach Kracji, w Syanie, a nawet i tutaj za czasów Anglina. Jak myślisz, kto zabezpieczył te pieczary po inwazji Qarów? To robota Funderlingów, niemal tak samo krwawa jak walka. Cokolwiek by mówić o Qarach, zaciekli z nich wojownicy. Tysiące naszych zginęły, by odzyskać wszystkie te pieczary i tunele. Nazwaliśmy tamten czas „wojną rodzinną” i wciąż używamy powiedzenia „samotna jak panna z czasów wojny rodzinnej”, ponieważ zostało wtedy niewielu kandydatów na mężów. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Jeśli przeżyjemy, w przyszłości znowu będziemy mieli zbyt dużo wdów i panien.

– Gdyby tylko Qarowie stanęli u naszego boku... – Zdrada czarodziejskich ludzi bolała Vansena bardziej niż jakakolwiek rana. Żle

ocenił Qarów i teraz Funderlingowie płacili za jego głupotę. – Wciąż nie mogę uwierzyć!

– Nie zamartwiaj się, kapitanie. – Jaspis Młot spojrział znad oselki. Ostrzył swój nóż tak często, że jego cienkie ostrze było już prawie niewidoczne. – Starsi Ziemi mają wobec nas plan, a żaden śmiertelnik nie wie tyle, co bogowie.

– Tylko że tym razem musimy walczyć z bogami, a przynajmniej tak wynikało ze słów Qarów.

Cynober prychnął.

– Osobiście nie ufam temu, co mówią Qarowie, ale to nie ma znaczenia. Bez względu na to, jaka jest prawda, ten król z południa, autarcha... myśli, że może uwolnić bogów, i dlatego wdzierą się do naszych najświętszych miejsc. To dla nas wystarczający powód, by położyć na szali własne życie. To, że walczysz u naszego boku, kapitanie Vansen, jest czymś więcej, niż mogliśmy oczekiwać. Nie zamartwiaj się więc niepotrzebnie.

Vansen bardzo chciał, by to było takie łatwe: rozkazywać uczuciom jak żołnierzom, tylko że ta armia była o wiele mniej posłuszna niż dzielni Funderlingowie.

## Ząb i kość

*Ślepy Aristas powiedział chłopcu, że sny zostały  
mu dane przez bogów, i wyłożył ich znaczenie:  
niewinny musi się udać do domu  
rozgniewanego Zmeosa zwanego Białym  
Ogniem i odnaleźć utracone słońce.*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Budził się powoli, jakby wynurzał się z przepastnych głębin królestwa Erivora.

– Dlaczego unikasz walki, Barricku Eddonie? – Qar z klanu Oszustów wyszczerzył zęby jak lis. – Jeszcze jest sporo do zrobienia.

– Tak – potwierdził drugi uśmiechnięty upiór. – Nie powinieneś spać tak długo.

Drocząc się z nim, długonodzy Oszuści – trzej, na ile zdążył się zorientować, każdy w innym odcieniu brązu czy szarości zmierzchu, o kanciastych twarzach śmiejących się demonów prosto z kart *Księgi Trygonu* – odrzucali gruz i kamienie, które posypały się na Barricka, kiedy zawałiła się ściana pieczary. Wciąż słuchać było odgłosy zaciętej walki na zewnątrz, ale przynajmniej umilkły armaty. Barrick bardzo chciał się stąd wydostać, zanim znowu odezwą się działa autarchy.

Kiedy podniósł się nieporadnie, otrzepując z kurzu, pierwszy z Oszustów podał mu swój miecz skierowany rękojeścią w jego stronę.

– Może chciałbyś wyjść i kolnąć paru mieszkańców kraju słońca – zasugerował.

– Może i chciałbym. – Przyjrzał się smukłemu mocnemu ostrzu, lekko zarysowanemu i wgniecionemu w kilku miejscach. – A ponieważ pomogłeś mi się wygrzebać, to może dotrzymasz mi towarzystwa.

– Z największą przyjemnością, Barricku Eddonie – odparł Qar. Jego szara twarz lśniła jak skrawek starej skóry. – O tak, wszyscy znamy twoje imię. Ja jestem Długa Rysa, a to są Łamijęzyk i Czarnociern, moi

kuzyni, mieszańcy. Przybyliśmy tu, by zabijać mieszkańców kraju słońca, ale jak na razie tępiemy tylko południowców... no cóż, niech i tak będzie.

Qar wyraził się jasno, co czuje wobec ziomków Barricka Eddona, lecz książę pozostał niewzruszony.

– No dobra, pierzaści bandyci, pokażcie, co potraficie – rzekł.

Wypadli z pieczary. Jeszcze tylko kawałeczek zachodzącego słońca wystawał ponad horyzont, jak roztopione masło, a na niebie błysnęły pierwsze gwiazdy. Niebawem miała zapaść ciemność, co bardzo odpowiadało Qarom, ale i tak mieli marne szanse wobec ogromnej siły autarchy.

Barrick ze zdziwieniem zobaczył, że skierowane na pieczarę działa zostały porzucone, ale dopiero gdy tuż obok przemknęło stado ptaków i wiatr przyniósł piskliwe głosy dosiadających je jeźdźców, powoli zaczął pojmować, co się stało. Ptaki pikowały na plażę z tej strony zatoki i na skraju xiskiego obozu, lecz atakowały tylko południowców. A dosiadali ich mali Dachowcy królowej Upsteplebat, jak się zorientował. Gruba skóra i mihańska zbroja nie chroniły oczu ani gardeł żołnierzy autarchy przed małutkimi strzałami, którymi szyli Dachowcy. Wokół biegali jak oszalali południowcy, przyciskając dłonie do twarzy, a wielu leżało nieruchomo na piasku naszpikowanych strzałami.

Barrick spojrział w głąb pieczary, którą właśnie opuścili, ale nie dojrzał, by postępowali za nimi inni.

– Gdzie jest królowa? zapytał. – Gdzie reszta naszego wojska?

– Zamykamy szeregi – odparł Długa Rysa. – Cała nasza armia przebywa na powierzchni.

Dachowcy zmusili do wycofania się do obozu tylko najbliższej walczących południowców, lecz atak z powietrza umożliwił Qarom ucieczkę z pieczar i uniknięcie śmierci pod gradem armatnich pocisków. Lecz żołnierze autarchy byli zahartowani w bojach i zorientowali się, że i tych zdumiewających jeźdźców dosiadających ptaki można pokonać.

Niektórzy, uzbrojeni w płonące żagwie, wymachiwali nimi, jakby to były sztandary.

Długa Rysa i jego kuzyni nazbierali strzał i schowali do kołczanów, które poza tarczami zdawały się jedynymi elementami ich stroju.

– Musimy znaleźć Saqri i innych – zawołał Barrick. – Za mną!

Pobiegł po piasku i przeskoczył rów okalający obóz południowców. Resztki drewnianej barykady jeszcze się tliły na ziemi. Przy zniszczonym ogrodzeniu kłębili się ludzie i konie w wirze zaciętej walki. Z innych części obozu nadbiegały setki południowców, by wesprzeć swoich kompanów, a niektórzy osłaniali kawałkami brezentu głowy i twarze przed pazurami i strzałami latających wojowników. Południowcy najwyraźniej próbowali się przegrupować.

Barrick i trójka Oszustów dołączyli do pozostałych Qarów, którzy starali się utrzymać nowo zdobytą pozycję naciskani przez coraz większą grupę xiskich żołnierzy, a za każdym razem kiedy padał południowiec, na jego miejsce pojawiał się inny. Ludzie autarchy, przybywający z odległych części obozu, szykowali się do kontrataku. Zanosilo się na to, że lada moment spadną na kilkuset Qarów niczym zimowa nawałnica.

Barrick nie miał czasu zastanawiać się nad ich pogarszającą się sytuacją. Wszędzie dokoła trwała walka, włócznie nadlatywały niespodziewanie niczym atakujące węże, brodaci południowcy wyli i warczeli jak psy wokół śmietnika z resztkami jedzenia. Zbroja księcia była tak lekka, że prawie nie czuł, iż ma ją na sobie, lecz już samo utrzymanie się przy życiu nastęczało mnóstwa trudności. Ciągłe nadbiegali kolejni wrogowie, pojawiało się także wielu jeźdźców. Jakby pobudzone bitewnym zgiełkiem, głosy Ognistego Kwiatu znowu niemal zagłuszały własne myśli Barricka.

*Plączące Wzgórze, Szarzy podchodzą...*

*Ach! Moja królowo i siostró, zabierz dzieci i uciekaj!*

*Stań i zmierz się z nami, pożeraczu dusz...*

Czując, jak chwile, których nigdy nie doświadczył, spływają na niego, Barrick zwolnił, oszołomiony tyloma nowymi ideami. Xiska włócznia zsunęła się po jego tarczy i wbiła pod naramiennik. Potknął się i niemal wypuścił miecz, gdy przez ciało przepłynął strumień palącego bólu. Jeden z Oszustów – ten najciemniejszy o imieniu Łamijęzyk – przyskoczył i zablokował drugie pchnięcie południowca tarczą, która wyglądała jak kawał wypełnionej szpikiem kości zbyt dużej, by mogła

pochodzić od jakiegokolwiek istoty znanej Barrickowi. Potem Qar zaatakował włócznią smukłą i białą jak kość słoniowa, dłuższą od miecza zaledwie o kilka szerokości dłoni.

*Rasha*, podszepnął mu głos z jego wspomnień. *Ząb*.

Oszust uniósł ramię i po raz kolejny włócznia południowca ześliznęła się po jego tarczy. *Omuro-nah*, szeptały głosy Ognistego Kwiatu. *Kość*.

*Rasha-sha, Omuro-nah, rasha-sha, omuro-nah!* – skandowały duchy z setek pól bitewnych z mnóstwa różnych krajów. *Ząb i kość, ząb i kość!* Śpiewały tak wielokrotnie w chwilach triumfu, ale wykrzykiwały te słowa jeszcze częściej, gdy umierali u ich boku sprzymierzeńcy i gdy Ludzie sami tworzyli krąg, by jak najdłużej zapobiegać klęsce.

*Nie zobaczysz nas, bo ukrywamy się w ciemności. Nie poczujesz nas, aż będzie za późno. Nie pokonasz nas, bo umrzemy z kłami zatopionymi w twoim gardle – ząb i kość, ząb i kość!*

Barrick wysunął się do przodu, by walczyć razem z tymi znanymi od wieków, a mimo to niedawno odkrytymi sojusznikami, starając się przypomnieć sobie wszystko, czego nauczył go Shaso. Każdą chwilę i scenę walki przepełniały ostrza i wykrzywione twarze przeraźliwie krzyczących wojowników, tak że przez jakiś czas nawet śpiew Ognistego Kwiatu stał się dla niego równie mało zauważalny jak mżawka.

\*\*\*

Wreszcie przystanął, by odpocząć. Płuca mu płonęły, oczy zalewał piekący pot, piekły też liczne drobne rany. Zdumiały go własna siła i odwaga. Momentami nawet Oszuści za nim nie nadążali.

– *Obudzili twoją krew*, wyszeptał głos, który Barrick z trudem usłyszał przez bitewny zgiełk.

– *Ynnirze? Mów do mnie!* – Rozejrzał się oszołomiony. Południowcy ustępowali pola, lecz wciąż wokół spadały strzały, które nadlatywały niespodziewanie, a potem wbite w skotłowaną ziemię, drżały niczym źdźbła upiornego zboża. – *Tylu ich jest, panie! Jak mogę pomóc Saqri?*

– *Pospiesz się* – odpowiedział głos. – *Z nastaniem dnia nadejdzie letnie przesilenie. Jeśli król z południa zdoła zatrzymać was tu do jutra, wygra już prawie osiągnął cel.*

– *Pospieszyć się? Jak?*

– *Powiedz mojej siostrze-żonie, że razem z resztą Ludzi spełniliście tutaj swoje zadanie. Musicie znaleźć drogę do głębi, zanim będzie za późno... za późno!* – Głos króla, i tak słaby, całkiem ucichł.

Barrick nie mógł znaleźć Saqri. Słońce zsunęło się już za wzgórze, ale nie dlatego nigdzie jej nie widział. Teraz dostrzegął wszystko lepiej niż powinien, dlatego ciemność nocy wydawała się zaledwie szarością późnego popołudnia. Jak u kota, jego oczy dostosowały się do światła i mroku jak nigdy wcześniej i pozwalały mu dostrzec kontury i kolory, które normalnie byłyby rozmytą szarością. Także jego mięśnie zdążyły odpocząć, dając mu siłę do walki. Jakby moc i doświadczenie wszystkich królów w nim obecnych spłoty się niczym sznury liny, wzmacniając to, kim był, czyniąc go inną, silniejszą istotą.

Na podobieństwo boga. Tak właśnie było – momentami Barrick czuł się niemal jak bóg. Ognisty Kwiat był niczym roztopione srebro w jego żyłach, wzmacniając go i dodając mu zapachu i ciężaru. Nawet dysponując umiejętnościami przekazywanymi mu pracowicie przez Shasa, byłby tylko niesprawnym szesnastolatkiem, który nic przeżyłby tej bitwy, tymczasem on zabił co najmniej kilku ludzi i ranił kilkunastu, a jego miecz raz po raz przebijał się przez obronę wroga niczym błyskawica.

Kiedy znowu pospieszył do najbliższej grupy walczących, niektórzy południowcy odwrócili się i spojrzeli na niego. Po chwili wydali okrzyk przerażenia. W piersi Barricka Eddona wezbrało gorące i radosne uczucie, jakby ogniste dłonie objęły jego serce.

Boją się mnie!

Dobiegłszy do walczących, zobaczył wreszcie Saqri, Młotostopego i pozostałych Qarów, którzy prowadzili atak. Królowa i jej ludzie zostali otoczeni na środku obozu nieprzyjaciela, gdzie uwijali się w bitewnym wirze. Księżyc wychynał niepostrzeżenie nad horyzont, a jego kościany blask wystarczył, by Barrick widział wyraźnie kolory, szczegóły... wszystko. Dostrzegł nawet przerażone twarze ludzie, z którymi walczyła

Saqri – a raczej których zabijała, bo jeśli miecz Barricka przypominał błyskawicę, to włócznia królowej była jeszcze szybsza i bardziej niebezpieczna, na podobieństwo niebiańskich piorunów, które niegdyś rozpały niebo wokół szczytu samej góry Xandos.

Lecz południowcy mieli tylu ludzi, że mogli zakryć Saqri i głębinowe ettiny ciałami swoich zabitych. Z dalszych części obozu nadjeżdżała kawaleria, a ci nowi obrońcy, w przeciwieństwie do poprzednich, byli w pełni uzbrojeni. Powiewały wojenne sztandary umocowane z tyłu siodła w barwach kilku xiskich kompanii, świszcząły końskie ogony, pobrzękiwały monety na skórzanych pasach.

Barrick patrzył, jak trójka jeźdźców się rozdziela, zmierzając ku niemu. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, by wycofał się w bezpieczne sąsiedztwo Qarów, lecz wewnętrzny płomień go rozzuchwiał, odwodząc od rozsądnego zachowania.

Tak długo uciekałem. Nigdy więcej. Moim sztandarem jest krew – jeśli jej chcą, niech po nią przyjdą!

– Za Biały Ogień! Za Kupilasa! – zawołał i skoczył do przodu, by mieć więcej miejsca na przyjęcie jeźdźców. W ostatniej chwili spostrzegł coś czarnego i odchylił się, upadając na ziemię. Strzała przeleciała ze świstem. – Za Szachraja! – krzyknął, wstając.

Od strony zatoki popłynęło głośnie dudnienie, lecz Barrick nie miał czasu, by się obejrzeć. Pierwszy jeździec już atakował. Wychylony w siodle, zamachnął się długą nabijaną żelaznymi ćwiekami maczugą. Księżę przyjął cios na tarczę i zdołał ciąć południowca w plecy, lecz jego ostrze odbiło się od zbroi xiskiego wojownika, nie czyniąc mu krzywdy. Kiedy jeździec zataczał koło, Barrick zwrócił się ku dwóm pozostałym, uzbrojonym w długie topory o niedużych ostrzach. Zamiast się wycofać, wybiegł do przodu, przez co atakujący chybili cel. Zamarkował cios w kierunku jednego z południowców i zaraz zadał pchnięcie drugiemu, tuż pod pachą. Południowiec przywarł do siodła, ale nie spadł, tylko krzyczał z bólu, krwawiąc obficie.

Znowu zagrzmiało od strony zatoki i kątem oka Barrick dostrzegł ogromny słup ognia, dymu i ziemi pośrodku walczących Qarów, i wyrzucone w powietrze ciała. Statki na przystani! Ludzie autarchy



atakowali z dział pokładowych, lecz zaślepieni żądzą mordy posyłali pociski także w swoich żołnierzy!

Jeźdźcy zawrócili i znowu atakowali, tym razem wolniej, by lepiej wykorzystać liczebną przewagę.

– *Zaskocz ich*, podpowiedziały Barrickowi głosy. Tysiąc potencjalnych strategii pojawiło się w jego umyśle, jakby potrafił czytać wszystkie karty książki jednocześnie. Postąpił kilka kroków do przodu, a potem niespodziewanie się rozpedził i przekoziółkował pod maczugę środkowego jeźdźca. Chwycił przeciwnika za nadgarstek, co byłoby niemożliwe, gdyby nadal miał niesprawne ramię, i zaparł się mocno nogami o ziemię, co wystarczyło, by rozpedzony południowiec został wyrzucony z siodła. Jedna noga pozostała w strzemieniu i jeździec zwisał z konia, rzucając się wściekle, aż dogonił go Barrick. Książę wskoczył na jego wierzchowca, po czym pochylił się i ciął w kostkę jeźdźca, odrąbując mu stopę. Xiski żołnierz upadł na zakrwawiony piach.

Gdy tylko Barrick usiadł pewnie, z nogami w strzemionach, i zapanował nad wierzchowcem, skierował się ku jeźdźcowi, którego wcześniej ranił, nie dlatego, że jęki tamtego go niepokoiły, lecz dlatego, że poczuł w sobie zimną zaciekłość i nie chciał zostawiać spraw niedokończonych. Zanim jednak dopadł rannego, jeździec chwycił się za szyję i runął na ziemię, ugodzony strzałą Qara. Ostatni z jeźdźców, nieoczekiwanie postawiony w zupełnie nowej sytuacji, zawrócił konia i pogalopował na skraj obozu, by schronić się bezpiecznie między towarzyszami.

Usadowiony w siodle, panując nad wierzchowcem, w czym pomagało mu doświadczenie kilkunastu królów, Barrick zobaczył Oszustów walczących z grupą południowców.

– Długa Rysa, Łamijezyk, Czarnocierń – tutaj!

Czekając na Qarów, Barrick zauważył grupę wrogów opuszczających pole walki, którzy nie wyglądali na zdesperowanych uciekinierów, a raczej na oddział dowodzony przez oficera. Południowcy zmierzali do dużego namiotu ustawionego na środku obozu, między skrajem miasta a zatoką – może kwatery samego autarchy albo innego wysokiego rangą wielmoży z południa? A może znajdowało się tam coś

ważnego dla losów bitwy, jedno z ogromnych dział? W namiocie mogli też być więźniowie.

– Pospieszcie się! – zawołał do Qarów. – Ci południowcy coś ukrywają. Trzeba ich dopaść!

Zanim trzej Oszuści do niego dołączyli, Barrick znowu został zaatakowany i walczył o życie. Kiedy już razem z Qarami wyswobodził się z opresji, zobaczył, że coś się dzieje na zboczu wzgórza, tuż za granicą miasta i obozu. Zboczem zjeżdżali jeźdźcy w dużej sile, śpiewając i pokrzykując. Nieprzyjaciel czy też nieoczekiwani sprzymierzeńcy? Kto to mógł być? Wyglądali na ludzi z północy! Przez chwilę Barrick niemal uwierzył, że Ognisty Kwiat pokazuje mu głęboko ukryte wspomnienie z bitwy pod Zimnoszarym Wrzosowiskiem, obraz przedstawiający walczących ludzi i czarodziejskich wojowników, ale zaraz się zorientował, że wszystko dzieje się tu i teraz.

Wyrwali się z bitewnego wiru. Czarnocierń znalazł konia bez jeźdźca i dosiadł go, uspokajając przestraszonego wierzchowca syczącym szeptem, a potem pomógł Łamijęzykowi wskoczyć na siodło za nim. Długa Rysa też znalazł sobie konia; odcięta ręka jego właściciela wciąż obijała się o kark zwierzęcia, zaplątana w wodze.

– Twarde sztuki, ci mieszkańcy kraju słońca – rzekł Długa Rysa, pokazując dyndającą dłoń. – Ale walka już nie ma smaku. Wolałem ich w dawniejszych czasach, kiedy walczyliśmy jeden na jednego, jak prawdziwi wojownicy.

– I kiedy miało się czas, żeby wyssać z nich szpik, gdy już umarli – dodał zamyślony Czarnocierń.

Barrick wyciągnął przed siebie zakrwawiony miecz.

– Spójrzcie! Południowcy wycofali się, żeby bronić namiotu. Jedźmy tam i zobaczmy, co przed nami ukrywają. – Spiał konia ostrogami, a Oszuści ruszyli za nim, śmiejąc się i śpiewając bez słów.

Gdy już przeszedł w pełny galop, czując pod sobą dziką siłę wierzchowca płynącą niczym strumień oliwy, Barrick zauważył coś ciemnego, co minęło go tak blisko, że odruchowo przywarł do grzbietu konia. Strzegący namiotu żołnierze zobaczyli ich i próbowali zniechęcić, szyjąc strzałami. Nadaremnie. Czegóż takiego pilnowali, że byli gotowi

oddać życie? Serce Barricka przyspieszyło. Czy to możliwe, że dopadną samego autarchę?

Kilku strażników wycofało się do namiotu. Barrick i Oszuści zaatakowali pozostałych, którzy szybko się rozpiechli. Łamijęzyk zabił jednego szybkim pchnięciem włóczni w oko, podczas gdy jego kuzyni zajęli się innymi. Barrick, przez nikogo nieatakowany, odchylił połę wejścia.

Grupka żołnierzy wycofała się w kąt okazałego namiotu, w którym paliło się tyle lamp, że wydawało się, iż w środku panuje jasny dzień. Za nimi, niemal zasłonięta, stała mniejsza postać o ciemnych włosach. Barrick poczuł, jak krew w jego żyłach popłynęła szybciej, święta krew, krew boga. Spokojnie zamierzył się mieczem, jakby próbował przebić wszystkich strażników jednym pchnięciem, co w tej podniosłej chwili nie wydawało mu się niemożliwe.

– *Ostrożnie, bo przeszarżujesz...* – ostrzegł go spokojny głos Ynnira, lecz Barrick prawie go nie słyszał ogłuszony triumfalnym rykiem własnych myśli. – *Odnajdź siebie, ludzkie dziecko.*

Och, odnalazłem siebie, pomyślał. Odnalazłem też naszego wroga.

– Wychodź, Sulepisie, ty tchórze! – zawołał do zasłoniętej przez strażników postaci. – Ciskałeś w nas swoimi ludźmi, jakby to były kamienie. Wypróbujesz teraz własne ramię?

Osoba, która się ukazała, nie była mężczyzną, którego Barrick się spodziewał. Była to kobieta, krępa, o kruczoczarnych krótko obciętych włosach. Bez wątplenia miała cechy mieszkańców Xis, ale była masywniejsza niż osłaniający ją strażnicy. Jej małe oczka patrzyły zwierzęco.

– A ty kto, pchełko? – zapytała z wyraźnym akcentem niskim ochrypłym głosem.

– Śmierć autarchy i twoja, jeśli go ukrywasz, kobieto.

Roześmiała się, ukazując zęby.

– Ja nie żona autarchy! Jestem Tanyssa, królewska dusicielka z Samotni! – Uniosła zaskakująco duże dłonie; w jednej trzymała duży nóż, z drugiej zaś zwisał czerwony jedwabny sznur. – Chodź, a poślę cię do piekła.

Dawny Barrick marnowałby czas, wahając się, czy walczyć z tą kobietą, lecz nowy Barrick skoczył do przodu z mieczem w dłoni. Strażnicy skupili się przed nim – najwyraźniej życie kata autarchy było cenniejsze niż ich – a on nagle uzmysłowił sobie, że oto znalazł się w sytuacji, w której być może nie wystarczą nawet te umiejętności, jakimi obdarzył go Ognisty Kwiat. Udało mu się zabić dwóch obrońców, lecz pozostała czwórka go otoczyła, a Tanyssa, z nożem w dłoni, próbowała go zająć od nieosłanianego mieczem boku, gdy do namiotu wśliznęły się trzy ciemne postacie o rozjarzonych żółtych oczach.

– Potrzebujesz pomocy, Barricku Eddonie? – zapytał Długa Rysa.

Barrick sparował cios, który miał go skrócić o głowę, i zaraz się obrócił, unikając długiego noża kobiety.

– Owszem, nie odmówię.

Oszuści w jednej chwili dopadli strażników, a ich kościane *rashayi* wgrzyły się w ich ciała, przebiwszy zbroje. Barrick przeskoczył trupa, kierując się ku muskularnej kobiecie. Ta obróciła się błyskawicznie i wyjęła coś ze złotej skrzyni.

– Gdzie jest autarcha? – zapytał Barrick, którego miecz niemal musnął jej plecy. – Gdzie on jest?

Teraz odwracała się powoli, trzymając w ręku nieduży zamglony kryształ i szczerząc zęby w uśmiechu niczym gargulec.

– To chroni Złocisty – powiedziała z wyrazem zadowolenia na twarzy. – Złocisty poszedł, a ja cię zabiję! – Barrick patrzył zdumiony, jak Tanyssa wkłada do ust przydymiony kamień jak cukierka.

Tuman piasku wzbił się w powietrze, jakby ze wszystkich czterech kątów namiotu zerwał się wiatr. Wirujący obłok oślepił Barricka, lecz go minął i uniósł się nad dusicielką, pokrywając jej ciało drobinkami piasku. Powiew powietrza zgasił większość lamp. Strażnicy nagle stracili zainteresowanie Barrickiem i Qarami i pobiegli do wyjścia.

Istota, która wcześniej była Tanyssą, zdawała się rosnąć z każdą chwilą i stawała się coraz bardziej bezkształtna; już nie była kobietą, jej postać była niewyraźna, wielka jak etnin, i wciąż się powiększała, jej ręce przypominały maczugi zakończone ostrymi szponami. Jej oczy były niczym gwiazdy oglądane przez mgłę, a usta wydawały się otworem prowadzącym w ciemność. Pechowy strażnik, który nie zdążył uciec,

został pochwycony przez Qarów i pchnięty do stwora. Ten złapał wrzeszczącego południowca w szpony, które klekotały jak potłuczone cegły, przysunął do rozdziawionej gęby, po czym połknął nieszczęśnika do połowy i przegryzł. Kiedy niepożarta część żołnierza, wciąż drgająca konwulsyjnie, opadła u stóp monstrum, jeden z Oszustów chwycił lampę i cisnął w niego, lecz lampa odbiła się od twardej skóry potwora, rzucając strugi ognia na ścianę namiotu.

– Biegnij! – zawołał Długa Rysa, wycofując się do wyjścia. – Nie damy rady zabić Połykacza Kamienia!

Płomienie rozpełzły się szybko po tkaninie. Barrick przedarł się przez dym na zewnątrz za Oszustami. Chwilę później, rycząc jak spętany byk, przez ścianę w deszczu iskier wypadł stwór, który wcześniej był Tanyssą.

Do kogo mam się modlić? – zastanawiał się Barrick, podnosząc się z ziemi. Bogowie śpią! Usłyszał świst strzał. Nadbiegali inni Qarowie, lecz żadna z kilkunastu strzał, które trafiły demona, nie wyrządziła mu krzywdy, odbijając się od jego ciała. Nawet głosy Ognistego Kwiatu ucichły zatrwożone.

– Uciekaj, Barricku Eddonie! – zawołał Długa Rysa. – Tej bestii nie da się pokonać. Jest za silna!

– Nie! Zabije dziesiątki naszych, jeśli puścimy ją wolno! – odkrzyknął książę.

Stwór zdołał pochwycić wierzchowca Czarnociernia i mimo że Oszustowi udało się zeskoczyć i uciec, demon nie przestawał rozrywać na strzępy wciąż żywego zwierzęcia. Krzycząc jak najgłośniej, by choć trochę zagłuszyć kwiczenie zdychającego konia, ale też by dodać sobie odwagi, Barrick uniósł miecz i podbiegłszy do przodu, ciął w ramię bestii. Jakby uderzył w kamienny mur; potwór zdawał się w ogóle nie poczuć ciosu. Przyłączyli się do niego Qarowie, którzy zaczęli dźgać demona włóczniami, ale i oni nic nie wskórali. Tych, którzy nieostrożnie podchodzili zbyt blisko, Połykacz Kamienia chwycił i rozrywał z przerażającą szybkością i siłą. Barrick podniósł włócznię i cisnął, lecz odbiła się od demona jak od ściany. Ciemna nieludzka postać stała na tle płonącego namiotu, trzymając w każdej ręce ofiarę. Barrick nie potrafił powiedzieć, czy są to szczątki Qarów czy koni.

Zanim się zorientował, szponiasta łapa go pochwyciła i teraz mógł tylko zadawać kolejne cięcia, aż demon cisnął nim o ziemię, jakby się opędział od uprzykrzonej muchy. Upadek pozbawił tchu Barricka, który przez chwilę zanurzył się w ciemności, jakby wpadł do zimnej mrocznej rzeki. Czuł, jak Ognisty Kwiat go spowija, jakby chciał ułatwić mu opadanie w czekający mrok, a potem usłyszał przedśmiertny krzyk jednego z Oszustów i popłynął z powrotem ku światłu i światu.

Spróbował dźwignąć się na nogi i zaraz poczuł, jak zaciska się na nim ogromna lodowata dłoń. Kiedy demon przysunął go do rozwartej gęby, owiał go oddech cuchnący roztopionym żelazem. Barrick poczuł, jak wyciekają z niego prawie wszystkie siły, jakby był wypchaną lalką, z której wysypały się trociny. Kątem oka dostrzegł płomienie, które pojawiły się w zupełnie nieoczekiwanym miejscu – wyrosły z wody zatoki, ogromne proporce ognia powiewające nad statkami autarchy. Nie rozumiał, co to może znaczyć, ale też już go to nie obchodziło. Z mroków pamięci wynurzył się głos – nie był to głos Ognistego Kwiatu, lecz Shasa, który go łajał: „Zawsze prosisz o zmiłowanie, kiedy jesteś zmęczony, a przecież wróg nie ulituje się nad tobą!”

Ten potwór myśli, że już mnie zabił!

Czarna czeluść gęby ziała tuż przed nim. Wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę. Zebrawszy się w sobie, wepchnął miecz w rozdziawioną paszczę najgłębiej jak potrafił.

Miecz zniknął, wyrwany z jego dłoni gwałtowną konwulsją demona. Potwór puścił Barricka i pochylony nad nim wydał bulgoczący ryk tak donośny, że wydawało się, iż samo niebo się oberwało, przeciągły skowyt wściekłości i bólu. Demon się zakrztusił i zacharczał, wypluwając pokryty krwią kamień koloru dymu, który upadł na piasek przed Barrickiem. A potem niebo lub coś równie wielkiego i ciemnego spadło na księcia, oddzielając go od świata.

### W blasku płonących statków

*Mieszkańcy Tessideme nie chcieli, by chłopiec udawał się z tak niebezpieczną misją, ponieważ darzyli go miłością, lecz Adis Sierota wiedział, że jest to zadanie, do którego został przeznaczony z woli bogów.*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Nadzieja Briony szybko się rozviała. Kiedy xiskie wojsko z wybrzeża uciekło przed atakiem Dachowców, z miasta nadjechała kawaleria autarchy i przejechawszy z łoskotem kopyt przez Rynek, skierowała się do portu.

Briony dołączyła do Eneasza i jego żołnierzy, którzy obrócili konie, by stawić czoło nowemu, śmiertelnie groźnemu atakowi, a znajdujący się w pobliżu Qarowie szybko do nich dołączyli. Niektórzy czarodziejscy wojownicy dosiadali koni równie pięknych i smukłych jak narysowane delikatną kreską stworzenia, które widziała na starożytnych malowidłach, a jeźdźcy wydawali się jeszcze dziwniejsi niż wierzchowce. Niektórzy nowi sojusznicy nie byli w ogóle ludźmi, lecz lisami, wilkami i leśnymi dzikimi kotami, które samą obecnością płoszyły syańskie konie.

– Nie traćcie ducha! – zawołał Eneasza do swoich ludzi, którzy się rozpierzchli, gdy dołączyli do nich Qarowie. – To nasi sprzymierzeńcy! Razem pokonamy sokoła z południa!

Spotkali się z szarżującymi południowcami w miejscu, w którym Jarmarczny Gościniec przecinał drogę prowadzącą do doku. Kiedy się starli, rozległ się rozdzierający serce szcęk broni i rzenie koni, tak że Briony, która pozostała kilkanaście jardów za walczącymi, miała ochotę zatkać uszy i poczekać, aż ucichną te straszne odgłosy.

Dlaczego byłam taka uparta? Dlaczego sądziłam, że powinnam udać się na wojnę jak mężczyzna? Była przerażona.

Ale przecież najdzielniejsi spośród tych rycerzy też pewnie się boją, pomyślała. Nawet Eneasze. Teraz już nic było ważne, dlaczego tu jest – po prostu była.

Potem Briony miała mało czasu na rozmyślenia o czymkolwiek poza tym, jak przetrwać. Zadawała kolejne ciosy, by się obronić albo pomóc komuś w potrzebie – uratowała wielkie jak niedźwiedź stworzenie przed jeźdźcem z włócznią, grzmotnąwszy go mieczem w hełm z taką siłą, że spadł z konia. Niedźwiedziowaty Qar nawet się nie zatrzymał, żeby jej podziękować, od razu doskoczył do innej grupy walczących.

Nie angażowała się w największy wir walki ze względu na swoją mniejszą posturę i zasięg ramion, atakowała tylko w ostateczności. Gdyby południowcom udało się przebić choćby z jednej strony, oddział Briony i jej sojusznicy znaleźliby się między dwiema flankami sił autarchy, które z pewnością szybko by ich zgmiotły. Ku Jarmarcznemu Gościńcowi płynęły z miasta i pól liczne pochodnie – setki, może tysiące xiskich piechurów zdążyło na pole bitwy. Eneasze znalazł się zbyt głęboko w bitewnym gąszczu, by to zobaczyć, i sam walczył o życie. Briony wiedziała, że tylko cud może uratować ich od śmierci.

Wtedy zatoka za nią eksplodowała.

Nie, to nie zatoka, zdała sobie sprawę, starając się obrócić w tamtą stronę przestraszonego konia. Jęzory ognia popęzły w górę masztów i wzdłuż zwiniętych żagli najbliższej zacumowanego xiskiego statku. Chwilę później kilka następnych, dużych i małych, zapalało się w podobny sposób. Wydawało się, że płomienie skaczą po zatoce niczym żywe istoty, dwa lub trzy statki zapaliły się jednocześnie i niebawem dziesiątki ich stały w ogniu, a migotliwy czerwony blask rozlał się na pole bitwy, obejmując je taką jasnością, jakby zachodzące słońce wróciło na niebo. Dookoła rozbrzmiewały głosy wyrażające zdziwienie, zaskoczenie i przerażenie.

Wobec tego oczywistego końca świata obie strony znowu rzuciły się na siebie, skąpane w szkarłatnym blasku. Pozbawieni możliwości ucieczki południowcy walczyli z jeszcze większą zawziętością. Linia walki przesuwiała się niczym żywa istota. W jednej chwili wydawało się, że Qarowie i Syańczycy zepchną południowców poza teren ich obozu, a



kilka chwil później koło fortuny znowu się obróciło i teraz Qarowie i Syańczycy bronili się desperacko, zepchnięci na skraj Zatoki Brenna.

Łuk trzaskającego ognia przeskoczył z za pleców Briony i podpalił najbliższy stojący namiot. Zaraz potem w powietrzu ukazały się kolejne ogniste smugi i kilka budynków na nabrzeżu zajęło się ogniem. Szybko przeniósł się on na wieżę strażniczą, która buchnęła płomieniem jak wielka pochodnia.

Płonące strzały! Skąd je wystrzelono? Z wody? Zatoka tonęła w połyskliwej ciemności, a statki i wodę znaczyły drżące smugi płomieni. Teraz już wszystkie statki autarchy płonęły, a ludzie z pokładów płynęli wpływ do brzegu, by ratować życie. Kto szył strzałami?

Briony otrzymała odpowiedź chwilę później, gdy zobaczyła, jak ciemne długie kształty wślizgują się z wody na plażę. Ciemne postacie holowały niskie łodzie przez płyciznę, pokrzykując radośnie, a potem je zostawiły i pobiegly w głąb lądu. Niektórzy już posyłali strzały w kierunku obozu wroga. Dlaczego pomagają? Kim są?

Muskający Wodę! – uzmysłowiła sobie, patrząc, jak przybysze o długich ramionach atakują harpunami xiskich żołnierzy.

– Egye-Var! – krzyczeli, dżgając wroga i tnąc dziwnymi mieczami, krótkimi i ciężkimi jak tasak.

Południowcy cofnęli się, przerażeni tym niespodziewanym atakiem.

Briony poczuła, jak w jej piersi wzbiera okrzyk.

– Erivor i Eddonowie! – krzyknęła i skierowała konia ku walczącym.

\*\*\*

Barrick obserwował dziewczynę, jak brnie przez labirynt korytarzy, jakby był ptakiem, który zawisł nad nią w powietrzu. Widział, jak beznadziejnie daleko znajduje się od wyjścia, lecz nie potrafił wydobyć z siebie głosu, by jej o tym powiedzieć, a nawet nie miał pewności, czy powinien. Czarnowłosa wyglądała znajomo, lecz nie potrafił przypomnieć sobie jej imienia. Rozczarowało go to, choć nie wiedział dlaczego.

– *Jest cenna* – powiedział mu głos. – *Bardziej niż sądzisz.* – To ślepy król mówił do niego, Barrick to wiedział, lecz nie pojmował, dlaczego ta bezimienna młoda kobieta mogłaby mieć znaczenie dla niego.

– *Pierwszy z ostatnich* – powiedział król. – *Ostatni z pierwszych.*

Co znaczyły te słowa? Dlaczego z takim trudem myśli?

– *Nie opuszczaj jej* – rzekł król.

– *O co ci chodzi?* – próbował zapytać, lecz z jego ust nie padły żadne słowa, jakby był niemą istotą, ptakiem czy koniem, oglądającą rzeczy wykraczające poza jej zrozumienie.

– *Pierwszy z ostatnich* – powiedział głos tym razem ciszej, jakby był bardziej oddalony. – *Ostatni z pierwszych. Małżeństwo zmarłych. Nadzieja dla żywych...*

– *Co to znaczy?* – Wciąż nie potrafił mówić, a słowa pozostały w jego głowie, w samotnych, pozbawionych wsparcia myślach.

– *Nie, Barricku Eddonie.*

I znowu głos zabrzmiał inaczej, jakby z bliska – i należał do kobiety. Czy mogła to być czarnowłosa dziewczyna? Czy wreszcie dostrzegła jego obecność?

– *Wracaj do nas, Barricku Eddonie. Wracaj. Jeszcze nie czas na tę podróż. Nie tędy droga.*

Ciemność zaczęła się osuwać jak piasek w klepsydrze, a zza niej wyłaniał się powoli inny, jaśniejszy świat.

– Nie! – krzyknął Barrick, odzyskawszy wreszcie głos. – Ona się zgubi! Zgubi się...

– Wciąż ma szansę – powiedział do niego inny kobiecy głos, niższy i bardziej znajomy niż ten pierwszy. – Nie porzucaj nadziei.

Zobaczył nad sobą twarz, bladą, o czarnych oczach, zastygłą w wyrazie spokojnej cierpliwości, jakby wyrzeźbiono ją w marmurze. Saqri, królowa czarodziejskich ludzi.

– Nadziei? – zapytał. Czuł się oszołomiony i obolały. Cień, przypomniał sobie, ogromny cień spadł na niego i zepchnął w ciemność.

– Tak ciemno...

– Wszystko jest jednością – rzekła Saqri. – To, co widziałeś, czego się boisz, z czym walczyłeś. Wszystko w jednym ukryte w tysiącu

przebrań. A tą jedną rzeczą jest zapomnienie. Pamiętaj o tym, Barricku Eddonie. Najgorsze, co może ci się przytrafić, to że przestaniesz istnieć. Czy to tak źle? – Saqri ubrana była w lśniącą suknię z białego jedwabiu. Obok niej stała mniejsza kobieta Qarów, której chuda twarz i zwierzęce oczy sprawiały, że wydawała się mniej ludzka i zarazem mniej groźna. – To jest Perła Zachodzącego Słońca – powiedziała Saqri. – Nasza uzdrowicielka.

– *Urayanu* – wyszeptały głosy Ognistego Kwiatu. – *Z plemienia Wzmacniającego Dotyku.*

– Co się stało? – Nie pamiętał. Jak się tam znalazł?

– Zniszczyłeś Połykacza Kamienia, a potem padłeś.

– Ta istota, ta kobieta czy... potwór... kim była?

Saqri pokręciła głową.

– Sługą autarchy. A kamień, który dostała od swojego pana, był potężną bronią. Okruch ze zniszczonego księżycowego pałacu Srebrzystego Błysku – *kulik Khors*, jak nazywają go niektórzy śmiertelnicy. Podobnie jak większe kawałki, może otworzyć drzwi do dróg prababki Pustki. Ale prowadzi tylko do nieprzyjemnego miejsca, a kiedy droga zostanie otwarta, jeden ze stworów, które tam mieszkają, wychodzi, by zamieszkać w ciele Połykacza Kamienia. Jego widziałeś i z nim walczyłeś. – Spojrzała na towarzyszkę. – Czy rany ludzkiego dziecka są poważne?

– Najbardziej ucierpiał, kiedy bestia runęła na niego w śmiertelnych konwulsjach – odpowiedziała uzdrowicielka. – Przeżyje, pani, ale potrzebuje odpoczynku.

– I będzie go miał. Dziękuję ci, Perło Zachodzącego Słońca. – Saqri przyłożyła chłodną dłoń do czoła Barricka. – Odważnie postąpiłeś, ludzkie dziecko. Stawiłeś czoło straszному, bezwzględному wrogowi, który zabiłby wielu...

Nagle Barrick przypomniał sobie wszystko, co się działo przed spotkaniem z Połykaczem Kamienia.

– Autarcha, ci wszyscy żołnierze... co się z nimi stało? Pokonaliśmy ich?

– Południowego króla nie ma w obozie nad zatoką – odpowiedziała Saqri. – Ale tego pewnie się domyślałeś. Ze swoimi największymi siłami

zszedł pod ziemię i stanowi zagrożenie, jakiego nie znaleźliśmy. Razem z nieoczekiwanymi śmiertelnymi sprzymierzeńcami musieliśmy walczyć tylko z wojskami, które zostawił na powierzchni, choć nawet one znacznie przewyższały nas liczebnością. – Opowiedziała mu o ich planie, o tym, jak łucznicy na ptakach i Muskający Wodę ze swoimi płonącymi strzałami całkowicie zaskoczyli południowców. – Uratował nas element zaskoczenia – zakończyła swoją opowieść. – Ludzie autarchy przebili się przez nasze siły i uciekli między wzgórza, tak więc póki co mamy spokój. – Pokręciła lekko głową, ledwie dostrzegalnym ruchem. – Mój mąż miał rację. Często mi mówił, że któregoś dnia znowu będziemy walczyć u boku naszych kuzynów, z którymi się rozstaliśmy. Byłam przekonana, że to nierealne.

– A ty? – zapytał Barrick. Pomimo bólu i zmęczenia odczuwał silniejszą więź z królową niż kiedykolwiek wcześniej. – Jak się czujesz, Saqri? Odpoczęłaś?

– Dopiero co obudziłam się ze stuletniego niechcianego snu, Barricku Eddonie. Nie będę potrzebowała odpoczynku, dopóki mój rodzaj chodzi po tej ziemi. – Złączyła palce dłoni, by utworzyć znak „sen pająka” co oznaczało zmiany. – Czas jest dla nas ważny... a mamy go mało. Idę teraz na spotkanie z żołnierzami śmiertelników, którzy nam pomogli. Naradzimy się co dalej. Ucieszyłabym się, gdybyś poszedł ze mną. – Przyglądała mu się dłuższą chwilę. – Tylko że Perła Zachodzącego Słońca złościłaby się na mnie, gdybym cię zabrała ze sobą – dodała i jakby się zawahała, czego Barrick wcześniej u niej nie widział. – Ale przecież straciłbyś okazję porozmawiania ze swoimi ziomkami.

Barrick pokręcił głową, bo już sama myśl o tym wydała mu się męcząca.

– Prawie nie pamiętam, kiedy z nimi rozmawiałem, i nie czuję takiej potrzeby. A kim oni są? Wiesz już?

Saqri ponownie zastanawiała się przez chwilę.

– Dowodzi nimi ksiączę Syanu. Powiedziano mi, że ma na imię Eneas.

– Syn Enandera? Słyszałem o nim. Mówią, że to dobry człowiek. – Barrick opuścił głowę na poduszkę. – Jeśli naprawdę jestem tam potrzebny, to dam radę. Przyjdę...

– Przekonałeś mnie – powiedziała królowa. – Zostań. Odpoczywaj i nabieraj sił. – Pochyliła się i pocałowała go w czoło. Dotyk jej ust był suchy jak muśnięcie skrawka papieru.

Po odejściu Saqri wróciła Perła Zachodzącego Słońca z kielichem w dłoni.

– Wypij to – poleciła. – Myślę, że ci to nie zaszkodzi, a może bardzo pomóc.

Przyglądał jej się uważnie. Czuł, że poddaje się zmęczeniu, ale starał się nie zamknąć oczu.

– Myślisz, że mi to nic zaszkodzi?

Patrzyła na niego z kwaśną miną. Było w niej coś kociego, lecz był to kot, który przeżył wiele lat i doznał wielu rozczarowań.

– Jeszcze nigdy nie stosowałam swojej sztuki wobec śmiertelników. Niech cię pocieszy fakt, że jeśli umrzesz w strasznych mękach, to przynajmniej będę wiedziała, jak postępować z następnym śmiertelnikiem.

Barrick zaśmiał się mimowolnie.

– Sądzisz, że ktoś przyśle do ciebie innych śmiertelników, gdy dowiedzą się, że mnie zabiłaś? – Przytknął kielich do ust i zamknął oczy, by się skupić na dziwnych, ale nie do końca nieprzyjemnych smakach napoju.

– Nie przyszedłeś do mnie z własnej woli, Barricku Eddonie – powiedziała uzdrowicielka – i tak samo będzie z tymi, którzy będą potrzebować mojej pomocy w najbliższych dniach. – Jej mina wyrażała bardziej rezygnację niż rozbawienie. – Szczerze mówiąc, spodziewam się tu sporej liczby zmarłych i umierających. A teraz wypij to, Rudzielcu.

Przezwisko zabrzmiało dziwnie znajomo. Położył się znowu i zamknął oczy.

– Dziwne – powiedział do uzdrowicielki, zakładając, że nadal przy nim jest. – Jestem pewny, że ktoś mnie kiedyś tak nazywał... ale nie pamiętam kto...

\*\*\*

Fale przyływu wyrzuciły daleko na plażę xiską karakę, a raczej to, co z niej zostało, lecz ogromny statek wciąż płonął jak ognisko podczas Zosimi, jaśniej niż inne ogniska, mniejsze, choć także całkiem okazałe, które szańscy żołnierze rozpalili na brzegu.

Po drugiej stronie zatoki wznosił się Zamek Marchii Południowej. Briony nie mogła przyzwycząić się do tej myśli po tak długiej nieobecności – jej dom czekał na drugim brzegu. Tak jak płonący statek przyćmiewał jasnością ognisko, przy którym siedziała z Eneaszem i jego oficerami, tak pochodnie na blankach świeciły o wiele jaśniej niż gwiazdy nad zasnutą dymem zatoką.

– Ciepło ci, księżniczko? – zapytał Eneasze.

Omali się nie roześmiała. Jeszcze kilka godzin wcześniej próbowano ją zadźgać mieczami i włóczniami.

– Tak, dziękuję. Kiedy przyjdą?

– Ich posłaniec powiedział... – Eneasze zamilkł na moment i zaraz dodał: – Spójrz. Nadchodzą.

Brzegiem szła dziwna procesja, obłana blaskiem płonących xiskich okrętów. Niektórzy spośród szańskich żołnierzy, zebrani wokół własnych mniejszych ognisk, wstawali i cofali się, mimo że Qarowie się do nich nie zbliżali. Briony rozumiała ich niepokój. Nikt, kto zobaczył tyle dziwacznych postaci naraz albo napotkał spojrzenie rozjarzonych oczu – pomarańczowych, żółtych, zielonych jak świetliki – nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś zmieniło się bezpowrotnie, niekoniecznie na lepsze.

Przybysze zatrzymali się na skraju kręgu ludzi siedzących przy ognisku księcia. W pierwszej chwili Briony zastanawiała się dlaczego, ale zaraz przed wszystkich wysunęła się smukła postać w bieli.

– Czy możemy zasiąść przy waszym ognisku? – Głos kobiety miał dziwne brzmienie, dlatego Briony zrozumiała jej słowa dopiero chwilę po tym, jak ta skończyła mówić. – Jestem Saqri, pani w Qul-na-Qar. Wy nazwalibyście mnie królową.

– Witamy cię, Wasza Wysokość – rzekł Eneasze.

Saqri skinęła na swoich towarzyszy, by podeszli bliżej. Nie było ich więcej niż czterdziestu. Usiedli na ziemi. Syańscy żołnierze odetchnęli z ulgą i wrócili do zasłużonego posiłku albo opatrywania ran. Zabitych zdążyli już pochować. Syańczycy stracili wielu swoich, lecz ludzie autarchy o wiele więcej.

Briony inaczej wyobrażała sobie królową czarodziejskich ludzi. Była piękna, miała skórę półprzezroczystą jak śnieg i oczy tak wielkie i czarne, że księżniczka bała się spoglądać w nie dłużej niż chwilę. Ale pomimo swojej urody, nadprzyrodzonego spokoju i opanowania, które wynosiły ją ponad każdego śmiertelnego władcę, nie była wysoka. Briony przewyższała ją wzrostem o co najmniej pół piędy. I nawet ogromny wdzięk kobiety Qarów nie ukrył tego, że była obolała i zmęczona.

Kiedy Eneasz zaproponował wino, Saqri i większość jej towarzyszy, ku zaskoczeniu Briony, przyjęli jego propozycję, mimo że niektórym trudno było pić z kielichów. Kiedy już podano trunek, Eneasz chrząknął.

– A zatem, królowo Saqri, jesteśmy wdzięczni za twoją pomoc w walce z południowcami, lecz zanim zaczniemy rozmawiać, muszę wiedzieć jedno: czy nasze narody wciąż są w stanie wojny?

Usta królowej czarodziejskich ludzi drgnęły, co mogło oznaczać uśmiech.

– Zadałeś dobre pytanie. – Królowa Qarów na krótko skierowała przenikliwe spojrzenie na Briony. Ta poczuła się nieswojo i spuściła wzrok, lecz zaraz poczuła złość na samą siebie. – Odpowiem ci tak, książę Eneasz – rzekła Saqri. – Nasze relacje określa to, co czujemy wobec siebie w tej chwili, przy tym ognisku. Ale wiedz, że nawet jeśli nadal będziemy sprzymierzeńcami, nigdy nie połączy nas przyjaźń. – Królowa znowu patrzyła na Briony. – Wasi ludzie – a w szczególności mieszkańcy tego zamku – zabrali mi rzeczy, których nie można niczym zastąpić ani o nich zapomnieć. – Królowa mówiła tak dobitnie, że Briony wręcz wyczuła niepokój Syańczyków. – Ale ja nie jestem Yasammez, mroczną panią, którą poznaliście i która wzbudza w was taki strach – kontynuowała Saqri już spokojniej. – To ona prowadziła wojnę z Zamkiem Marchii Południowej... choć przyznaję, że jej do tego nie zniechęcałam. Ona nigdy nie wyzbędzie się goryczy. Lecz miałyśmy

odmienne zdanie w tej sprawie i teraz ja dowodzę Ludźmi. – Saqri rozłożyła ręce. – A zatem, księżę Eneaszu, dopóki będziemy walczyć razem, będzie panował między nami pokój. Nie ma mowy o zdradzie. Przynajmniej z naszej strony.

Eneasza skinął głową.

– Ani z naszej, przysięgam. Tak więc odłóżmy na bok to, co było, i mówmy o sprawach ważnych dla teraźniejszości. Co planujecie? Czy autarcha rzeczywiście zszedł w głąb ziemi pod zamek, tak jak słyszałem?

– Gdy słońce jutro wstanie, nastąpi wigilia przesilenia letniego – rzekła Saqri. – Pojutrze zatem przypadnie letnie przesilenie, a potem nadejdzie godzina, której się obawiamy. Rok zaczyna umierać. Słońce powoli odchodzi, a duchy niezgody się radują. – Uniosła dłoń jakby w geście ostrzeżenia. – Jeśli król z południa, autarcha Sulepis, pokona garstkę Funderlingów, którzy jeszcze mu się opierają, i dotrze do swojego celu pod zamkiem przed północą, będzie mógł odprawić rytuał. Otworzy bramę snu i uwolni bogów.

– Nigdy nie słyszałem o czymś takim, nawet w najdawniejszych opowieściach – powiedział Eneasza. – Dlaczego miały to zrobić?

– Ponoć pragnie zapanować nad bogiem... ale Sulepis może nie mieć takiej mocy, jak mu się zdaje. – Wszyscy wyteżali słuch, by usłyszeć, co mówi jakże spokojna kobieta Qarów. – Może otworzyć drzwi, których już nie da się zamknąć. I nie mamy żadnej gwarancji... żadnej... że bogowie, którzy przybędą, będą obudzeni i przy zdrowych zmysłach. – Wykonała dziwny gest, rozkładając dłonie po obu stronach twarzy. – Tak czy inaczej, pewne jest, że jeśli brama wiodąca do bogów zostanie otwarta, ucierpi ten świat – nasz świat.

– W takim razie oczywiście ci pomożemy – rzekł Eneasza. – Choć to wszystko wydaje się dziwne, dzisiaj zobaczyłem wystarczająco dużo, by wyzbyć się wątpliwości. Musimy walczyć wraz z wami, by powstrzymać autarchę.

– Tak, musicie walczyć wraz z nami – potwierdziła Saqri. – Ale chyba nie u naszego boku. Twoi rycerze nie są przystosowani do walki pod ziemią...



– Po co ta zniewaga? – zaperzył się lord Helkis. – Dzielni Syańczycy bronili drewnianej strażnicy przed przeważającą siłą wroga. Widziałas ich dzisiaj na polu walki! Nic im niestraszne!

– Źle mnie zrozumiałaś. – Saqri wytrzymała spojrzenie syańskiego szlachcica, który po chwili opuścił głowę, a na jego twarzy malowały się wściekłość i wstyd. – Nie powiedziałam, że nie są odważni czy biegli w walce, a tylko że nie są przystosowani. Czy dobrze widzą w niemal całkowitej ciemności tak jak nasze plemię Zmieniających się? Czy potrafią świecić własnym światłem w głębi jak Strażnicy Żywiołów? Czy umieją rozłupać skałę gołymi rękoma jak głębinowe ettiny? – Uniosła dłoń wnętrzem do góry. – Twoi ludzie są dzielni, ale najlepsi wśród nich to jeźdźcy. W stromych ciemnych tunelach szybko straciliby wartość bojową. Tutaj, pod niebem, w samym zamku, mogą dopilnować, żeby protektor Tolly nie połączył swoich sił z autarchą.

– Przecież nikt z północy, choćby nie wiem jak skorumpowany, nie zrobiłby czegoś takiego – zaprotestował Eneasze.

– On już to zrobił – powiedziała Saqri z takim spokojem, że Briony nie miała wątpliwości, iż Eneasze jej uwierzył. – Ale dopisało nam szczęście i pokłócili się o coś. Lecz gdy ktoś taki jak Hendon Tolly zorientuje się, jak się sprawy mają, będzie zaciekle walczył, by ratować własne życie. Wystarczy, że zaatakowałyby nas od tyłu, a to mogłoby nas spowolnić, dzięki czemu autarcha miałby dość czasu...

– Skąd tyle wiesz o planach i poczynaniach śmiertelników? – zapytała Briony. – O Tollym i działaniach południowców?

– Wiem też dużo o tobie, Briony Eddon – odrzekła królowa czarodziejskich ludzi. – Nie zapominaj, że aż do tej chwili nasze narody były w stanie wojny. Ty może nie wiesz dużo o Qarach, ale to nie znaczy, że Qarowie niewiele wiedzą o tobie. Od dawna mieliśmy swoich... – Urwała.

– Szpiegów? – podpowiedziała Briony. – Wy też? Czy na tym umierającym świecie jest ktoś, kto nie interesował się moją rodziną? A poza tym dlaczego miałabym ci zaufać, pani, w kwestii sposobu obrony mojego zamku?

– Zaufać? Nie powiedziałam niczego, czego sama byś nie wiedziała. Książę Eneasze, twoi ludzie walczą na koniach, w ciemnych i ciasnych

tunelach nie będziemy mogli wykorzystać ich siły. Jedź do zamku. Znajdź Tolly'ego i go zabij albo uwięź. Jeśli ci się to uda, możesz przysłać nam posiłki przez bramę Miasta Funderlingów.

Briony odwróciła się do księcia.

– Nie rób tego! – Ujrawszy wyraz jego twarzy, miała ochotę krzyknąć. Nie chciało jej się wierzyć, że tak łatwo zaufał czarodziejskim ludziom, którzy jeszcze niedawno oblegali Zamek Marchii Południowej i zabili tylu jego mieszkańców!

– Zaczekaj, zacznym rozumieć – rzekła królowa Qarów. – Chodzi o twojego ojca, tak, dziecko? To on stanowi sedno omawianych przez nas spraw. – Saqri pochwyciła jej spojrzenie i tym razem Briony już przed nim nie uciekła. – Chcesz ruszyć z nami w głąb ziemi, ponieważ twój ojciec tam jest, a ty masz nadzieję uwolnić go ze szponów autarchy.

– Nie! – zaprzeczyła Briony, choć wiedziała, że Saqri ma rację. – Nic o nim nic wiesz!

– Wręcz przeciwnie. O twoim ojcu wiem więcej niż o jakimkolwiek innym śmiertelniku. Ale nie w tym rzecz. – Saqri ujęła Briony za ramię. Księżniczka próbowała się wyrwać, lecz nagle poczuła się słaba jak dziecko. Głos czarodziejskiej kobiety nabral szorstkości. – Spójrz na mnie, dziewczyno! Twoja rodzina znajduje się w centrum wydarzeń, ale jedno ci powiem: nie tobie jest pisane uratować ojca. Nie jestem jedną z naszych Szarych Egret i nie potrafię zajrzeć za welon przyszłości, ale czuję wystarczająco mocno i wyraźnie, jak trzeba postępować. Nie marnuj życia swoich wojowników na egoistyczne i ryzykowne przedsięwzięcia, Briony Eddon. Możliwe że my, Qarowie, odzyskamy go i uwolnimy, ale jego przeznaczenie odnajdzie go bez względu na to, czy będziesz przy nim czy nie.

Poczuwszy napływające do oczu łzy, Briony zamrugła i szybko je otarła. Głos Saqri złagodniał i brzmiał prawie miło.

– Nie powiem, że ci współczuję. Nie po tym, co twoja rodzina zrobiła mojej. Ale wiem, co znaczy strata, oszołomienie i dezorientacja. Bardzo długo nie wiedziałam: nienawidzić czy zapomnieć. Doszłam do wniosku, że nienawiść jest bezużyteczna... podobnie jak zapomnienie. Ci, którzy zbyt łatwo zapominają, są zabawkami losu.

Briony znowu poczuła pieczenie pod powiekami.

– Więc co powinnam zrobić? – zapytała, nie mając nawet pewności, do kogo kieruje to pytanie.

– Żyj, Briony Eddon – odpowiedziała jej królowa czarodziejskich ludzi. – Żyj i pamiętaj. Pamiętaj i ucz się.

\*\*\*

Ciemnowłosa dziewczyna oddalała się od niego. Mimo że próbował do niej zawołać, uspokoić ją, wciąż biegła, jakby to przed nim uciekała. Nie od razu zorientował się, gdzie są – początkowo nie miał pewności, czy to w ogóle jest konkretne miejsce – ale podążając za nią, zaczął rozpoznawać ściany i kamienne posadzki Zamku Marchii Południowej.

Teraz był w Sali Portretowej, przed obrazem królowej Sanasu, który w przeszłości tak często przyciągał jego uwagę. Patrząc w ciemne oczy przodkini, po raz pierwszy zobaczył, że jej postawa i oblicze wcale nie są wyniosłe, jak wcześniej sądził, lecz wyrażają wiele uczuć – stratę, strach, gniew i może trochę nadzieję. Co dziwniejsze, portret poruszał się, falował, jakby coś z jego wnętrza próbowało się uwolnić.

Wyciągnął ręce ku rudowłosej królowej i zaczął drapać powierzchnię malowidła. Szybko zdał sobie sprawę, że to nie obraz, ale wyłącznie ziemia. Im mocniej skrobał, tym więcej jej zdrapywał. Wciąż czuł ruch pod palcami, więc zaczął pracować intensywniej, aż wreszcie jego dłonie trafiły na coś chłodnego i twardego. Wyjął to z lepkiej ziemi i zobaczył, że trzyma posążek ciemnowłosej dziewczyny, której twarz zastygła w wyrazie przerażenia. Chwilę później statuetka rozpadła się na gromadkę lśniących chrząszczy, które wypadły z jego rąk i zaczęły się rozpełzać i odlatywać, rozbiegały się niczym garstka rozspanych klejnotów. Krzyknął, próbując je złapać, lecz wszystkie szybko zniknęły, wracając do ziemi.

\*\*\*

– Czas ucieka, Eneaszu Karalliosie – rzekła królowa czarodziejskich ludzi. W świetle płonących statków cienie zebranych przy ognisku podskakiwały i brykały jak demony. – Podjąłeś decyzję?

– Proszę, nie ufaj im tak bardzo, Eneasz! – odezwała się Briony błagalnie.

– Wybacz, księżniczko. Przede wszystkim mam na względzie bezpieczeństwo moich ludzi, a w dalszej perspektywie i mojego kraju. A to znaczy, że muszę zaufać instynktowi, który podpowiada mi, że czarodziejscy ludzie mają rację... Postąpimy tak, jak mówisz, królowo Saqri – zakończył głośniej.

– Dobrze. W takim razie zrobiliśmy tutaj wszystko, co było do zrobienia – uznała Saqri. – Reszta południowców rozpięzchła się między wzgórzami. Nieprędko wrócą.

Briony nie odważyła się odezwać. Oto powierzają los jej ojca czarodziejskim ludziom. Przez chwilę rozważała kilka innych możliwości, na przykład w jaki sposób sama mogłaby go odszukać, ale wiedziała, że nie może rozdzielić się z Eneaszem i jego żołnierzami i pozwolić, by wyzwolili jej dom bez niej. Poddawała się rezygnacji.

– Kiedy ukrywający się na wzgórzach południowcy zorientują się, jak jest nas mało, wrócą – zwrócił się Eneasz do Saqri. – I co wtedy?

– Będiesz po drugiej stronie zatoki poza ich zasięgiem – zapewniła królowa. – Nasi sprzymierzeńcy dopilnują, żeby tak się stało.

– Sprzymierzeńcy? – zapytał Eneasz. – Cóż to za sprzymierzeńcy?

Briony wolałaby oślepnąć, niż pokazać kobiecie Qarów, że płacze, lecz gdy odwróciła się, by opuścić to idiotyczne zgromadzenie, jej uwagę przykuła wysoka postać, która szła plażą niepewnym krokiem od strony malutkich namiotów Qarów. W pierwszej chwili pomyślała, że to ktoś spośród czarodziejskich ludzi, sądząc po sposobie poruszania się, lecz gdy postać podeszła bliżej, zobaczyła, że poza dziwnym utykaniem, obcy nie różni się od człowieka. Jego włosy mieniły się rudawym blaskiem jak ogień. Dziwne, jakże podobny do Barricka, pomyślała.

Stała w miejscu, oniemiała, podczas gdy jej brat przekuśtykał obok niej, kierując się do królowej czarodziejskich ludzi. Miał na sobie luźne ubranie, koszulę i spodnie z białego płótna, tylko trochę ciemniejszego niż jego skóra, która wydawała się jeszcze bledsza, niż Briony pamiętała. Ponadto był o dobrą głowę wyższy niż wtedy, gdy go widziała ostatnim razem. Ale nie miała wątpliwości, że to jej brat.

– Saqri! – zawołał do królowej. – Saqri, teraz rozumiem! – Kiedy zorientował się, że inni się w niego wpatrują, choć jeszcze nie zauważył Briony, wykonał dziwny gest. – Przepraszam – rzucił i znowu zwrócił się do królowej: – Qinnitan! Dziewczyna o imieniu Qinnitan jest tutaj! Musi być pod zamkiem! Zapomniałem o niej na tak długo... jakże to możliwe? Jak mogłem zapomnieć o kimś tak ważnym?

Saqri nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ Briony przepchnęła się między dziwnymi istotami zebranymi wokół ogniska i stanęła przed Barrickiem.

– Barricku? To naprawdę ty? – Ale tak właśnie było, nie mogło być mowy o pomyłce. Rzuciła się na niego z rozpostartymi szeroko ramionami. – Barricku!

Ku jej zdumieniu w ogóle nie zareagował, jakby objęła kamienny posąg w świątyni.

– Kto to jest? – zapytał i cofnął się, odtrącając jej ręce.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Nie miała wątpliwości, że jest to twarz, w którą patrzyła jak w lustro przez całe swoje życie – jej bliźniak.

– Barricku, to ja, Briony! Twoja siostra! Nie poznajesz mnie? – Nie posiadała się ze zdumienia. Czyżby aż tak się zmieniła?

I wtedy coś pojawiło się w jego spojrzeniu... ale nie to, czego się spodziewała. Dostrzegła w jego oczach błysk zrozumienia, ale i nieufności czy wręcz irytacji.

– Ach, oczywiście, Briony. Jak się masz, siostrze? Dawnośmy się nie widzieli.

– Słucham? – Cofnęła się, jakby ją spoliczkował. – Barricku Eddonie, co się z tobą stało? Dlaczego traktujesz mnie w ten sposób? Bałam się o ciebie i znosiłam cierpienia dla twojego dobra każdego dnia od czasu naszej rozłąki. Chcesz powiedzieć, że nie myślałeś o mnie ani trochę?

Zamiast odpowiedzieć, spojrzał na królową czarodziejskich ludzi, jakby u niej szukał ratunku.

– Wiele wydarzyło się od czasu, kiedy widzieliście się ostatnio – rzekła Saqri. – Bez wątpienia będziesz miał dużo do opowiedzenia

siostrze, gdy to wszystko się skończy, Barricku Eddonie. Ale teraz nie mamy czasu.

Barrick skinął głową, jakby słowa królowej wyjaśniły wszystko.

– Życzę ci wszystkiego dobrego, Briony – powiedział i kiwnął głową Eneaszowi. – Oczywiście także naszym pozostałym śmiertelnym sprzymierzeńcom. Saqri, muszę pomówić z tobą, kiedy wrócisz. Czuję obecność Qinnitan. Ona jest tutaj. Jestem pewny, że autarcha ją przetrzymuje. – Zawiesił głos, jakby zamierzał powiedzieć coś więcej, ale po chwili odwrócił się i pokuśtykał z powrotem plażą w kierunku obozu Qarów.

Briony patrzyła za nim, obolała w środku, jakby połknęła garść zimnych jak lód kamieni. Wkrótce jej brat znowu wtopił się w ciemność.

**...jest jej pełna.**

*Stary Aristas był zbyt słaby, by mu towarzyszyć,  
tak więc Adis wyruszył, mając za towarzysza  
tylko służącego o imieniu Moros, na białym  
koniu, którego podarowali mu mieszkańcy  
wioski.*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Gobliny były zajęte składaniem namiotu Yasammez, lecz gdy powietrze zadrżało i pojawili się Strażnicy Żywiołów, uskoczyły zwinnie z drogi, po czym wróciły do pracy. Ani najważniejsza eremitka Yasammez Aesi'uah, ani nikt inny już nie zwracał na nie uwagi. Gobliny, a w szczególności te, które pracowały w większych domach, znane były z dyskrecji.

Tylko kilkadziesiąt innych istot pozostało w ogromnej pieczarze zwanej Tańczącą Komnatą Piasku Srebrzanego, w większości zajętych, podobnie jak gobliny, usuwaniem pozostałości po obozie, które by się same nie rozłożyły i nie zniknęły. Pieczarę wypełniały niezwykle zapachy i odgłosy; niektóre proszki rozkładające pachniały jak płonące kwiaty; czasami pracujący śpiewali albo rozcierali sobie skrzydła, zamiast mówić.

Strażnicy Żywiołów stanęli przed Yasammez.

– Witaj, Wielka Pani – rzekł Kamień Niechętnych, uprzejmie rozpraszając blask swojej obecności.

– Wzywałaś mnie, więc jestem.

– Czyżby? – Mroczna pani przemówiła głosem, który Strażnicy widzieli w postaci zimnoniebieskiego światła. – Wzywałam cię wielokrotnie, lecz nie spotkałam się z tak szybką reakcją. Właściwie z żadną reakcją.

Kamień Niechętnych poruszył się i zamigotał.

– Pani?

– Zawsze byłeś wierny dawnym obietnicom swojego ludu – rzekła Yasammez. – Zarówno mnie, jak i Ognistemu Kwiatu.

– Oczywiście, pani. I wciąż jestem wierny.

– Możliwe. Ale żywiłam nadzieję, że przyrowadzisz mi kobietę z klanu, która będzie tak samo wierna w przyjaźni i odwadze jak ty... zamiast tej tutaj.

Mniejszy Strażnik Żywiołów rozjarzył się złotym światłem, zanim odpowiedział:

– Pani, wątpisz w moją lojalność wobec Ludzi?

– Nikogo nie oskarżam, Saganie Cienia, tylko pytam, dlaczego nie odpowiadałaś na moje wezwanie. Trzykrotnie cię przywoływałam i trzykrotnie pustka, w której pływacie jak ryby, nie odpowiedziała mi ani słowem.

Żółto-zielona istota znowu pojaśniała.

– Czy to czyni mnie zdrajczynią, pani?

– Kobieto z klanu! – Kamień Niechętnych był wyraźnie poruszony; jego światło pod szatą migotało niczym płomień na wietrze. – Tak się nie rozmawia z Córami.

– Nawet półbogini nie może nazywać mnie zdrajczynią.

Obserwując tę niecodzienną wymianę zdań, doradczyni Aesi'uah poczuła zabobonne przerażenie. Strażnicy Żywiołów byli ostatnią i najzacieklejszą spośród ras, które dołączyły do konfederacji Ludzi; niektórzy twierdzili, że posiadają moc, której obawia się nawet dynastia Ognistego Kwiatu. Ludzie Kamienia Niechętnych byliby strasznymi wrogami.

– Po co ten zapalczywy gniew, Saganie Cienia – zapytała głośno eremitka, składając dłonie w starannie dobranym geście błagalnym. – To nie najlepsza postawa u ludzi otoczonych przez wrogów, tak jak my.

– Ale zaczynamy się zastanawiać, czy może to pani Yasammez już nie jest tak wytrwała w służbie, jak by chciała, żebyśmy sądzili – odpowiedziała mniejsza istota.

– Kobieto z klanu, nie rozumiem cię – rzekł Kamień Niechętnych. – Widzę, że musimy udać się dokądś, gdzie wiatr i światła naszych słów będą mogły płynąć swobodnie, żebyś mogła mi wytłumaczyć swoje niespotykane zachowanie. – Odwrócił się do Yasammez, a jego szata



załopotąła, wyrażając jego niezadowolenie. – Wybacz nam, pani. Wybacz mojej kobiecie z klanu.

Spod kaptura Saganu Cienia popłynęło rozjarzone światło, a jej ramiona się wyprostowały, jakby chciała sięgnąć nimi wysokiego sklepienia pieczary, lecz ona tylko zmieniała postać. Stała się dziwną repliką Yasammez, ale pozwoliła opaść wstęgom zasłaniającym jej twarz, za którymi było tylko straszne puste jarzenie.

– Dlaczego oddałaś Pieczęć Wojny? – zapytała. – Powiedz nam, pani, dlaczego?

– Nie tobie zadawać pytania. – Myśli Yasammez były zimne jak zacinający deszcz ze śniegiem. – Zrobiłam to, co najlepsze dla Ludzi.

– Przekazałaś Saqri swoje błogosławieństwo i armię, żonie i siostrze największego w Qul-na-Qar przyjaciela śmiertelników, zdrajcy Ynnira?

– Myśli Saganu Cienia były z kolei ostre i niosły dyskomfort. – Jeśli potrzebowałaś więcej dowodów zdrady, to ona właśnie sprowadziła między nas śmiertelnika i dzieli się z nim swoją mocą! Śmiertelnika! Razem będą marnować życia wielu, podczas gdy istnieje tylko jedna broń, którą trzeba zniszczyć. To ten parweniusz z południa i jego plany.

– Wykonała ruch ręką w rękawicy i w następnej chwili pojawił się w niej migoczący owal Jaja Gorączki. – Nie próbuj mi go zabierać – rzuciła ostrzegawczo. – To tylko obraz. Jajo zostało przekazane Strażnikom Żywiołów, a my dopilnujemy, żeby je należycie wykorzystano.

– To wykracza poza... – zaczął Kamień Niechętnych.

– Jesteś bliska zdrady, której wcześniej zaprzeczyłaś – wtrąciła Aesi'uah.

– A kim ty jesteś, eremitko? – wycodziła Saganu Cienia. – Istota z ciała i błota. Do tego jedna z Tych, Którzy Nie Śpią... cały kraj zdrajców!

– Dość. – Głos Yasammez zabrzmiał w ich myślach jak trzaśnięcie z bicia. Mimo że z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk, gobliny niosące jej namiot w przeciwległym końcu pieczary padły na ziemię, zakrywając uszy dłońmi. – Zamilknijcie wszyscy. Wiesz, z kim rozmawiasz, kobieto Strażników Żywiołów? Czy nikt ci nie powiedział? – Yasammez postąpiła krok do przodu i choć poruszyła się nieznacznie, szata Strażnika Żywiołów załopotąła, jakby szarpnięta powiewem wichury. –

Jestem Yasammez z Gór Błądzącego Wiatru, córka samego Szachraja! Śmiesz mnie osądzać?

– Oddałaś Pieczęć Wojny!

– Przekazałam ją Saqri, ostatniej z mego rodu Ognistego Kwiatu! Przede wszystkim to ona i jej mąż-brat powierzyli mi pieczęć. – Zamknęła wyciągniętą dłoń i obraz Jaja Gorączki zniknął z ręki Saganu Koła Cienia. – A teraz powiem ci, co się stanie. Wysłuchasz mnie i zrozumiesz. Jeśli nie będziesz mi posłuszna, pustka cię nie rozpozna, a wtedy nie poniesie cię wiatr i nie skryje ciemność.

– Ponieważ wiążą nas śluby lojalności z Ognistym Kwiatem, zawsze byliśmy jego najwierniejszym sojusznikiem – oznajmił rozmigotany gniewnie Kamień Niechętnych. – To była tylko drobna sprzeczka, pani, nieporozumienie spowodowane ogniem i cieniami wojny.

Yasammez posłała mu zimne spojrzenie i mówiła dalej, jakby w ogóle go nie słyszała:

– Nie wiem, co się wydarzy w tych ostatecznych dniach. Nie wiem, jaką rolę odegram, ale wiem, jaka będzie twoja rola, Saganie Cienia. Będziesz strzegła Jaja Gorączki, dopóki nie powiem inaczej. Rozumiesz?

Światło Strażnika Żywiołów migotało ponurym szkarłatem.

– Ja nigdy...

Yasammez otworzyła dłoń i Sagan Cienia uniosła się w powietrze i zaczęła zmniejszać, aż przybrała rozmiary samego Jaja, mały ciemny stosik, z którego biło światło.

– Nie wolno rozbić Jaja, dopóki tego nie rozkażę. – Słowa Yasammez przypominały rytmiczne uderzenia młota. – Nie wolno posłużyć się nim w żadnych innych okolicznościach. Tak ci nakazuję w imię ognia, który płonie w nas wszystkich. Rozumiesz?

Szkarłatne światło zadrgało i zgasło na moment, a gdy znowu zaświeciło, miało już stonowany niebieskawy odcień.

– Rozumiem – powiedziała wreszcie Sagan Cienia.

– I zgadzasz się?

Błękit przeszedł w fiolet.

– Tak.

Yasammez opuściła rękę i pozwoliła Strażnikowi Żywiołów wrócić do normalnych rozmiarów.

– I jeszcze jedno. Kiedy wezwę cię następnym razem, przybędziesz tak szybko, jakby niosły cię lodowate wichry z Pomędzy. Rozumiesz i zgadzasz się?

– Tak.

– Wystarczy. Muszę się zająć innymi sprawami. – Yasammez cofnęła się, a ciśnienie, które sprawiło, że pieczara wydawała się kurczyć, osłabło. – To mogą być ostatnie dni Ludzi. Nic pozwólcie, żeby knowania i urazy zdradziły was albo nas.

Po tych słowach odwróciła się i wyszła z pieczary. Mocno zaniepokojona Aesi'uah podążyła za nią.

Kamień Niechętnych, tak wzburzony, że jego światło chwilami przygasało, wreszcie odzyskał głos.

– *Co ty sobie myślałaś, kobieto z klanu? Rzuciłaś wyzwanie mrocznej pani!*

– *Wszystkich nas zdradzi, jeśli jej na to pozwolimy. Czuję to. Tak jak wielu innych. Jesteś za stary, zbyt ufny. Kiedy śmiertelnicy odejdą... i gdy przeminie miłująca śmiertelników dynastia Ognistego Kwiatu... wtedy ziemia, ze wszystkimi jej barwami i głosami, będzie należeć do nas!*

– *Możesz sobie mówić, co chcesz. Jesteś młoda i głupia. Jeśli będziesz się stawiać Yasammez, zniszczy cię bez mrugnięcia okiem. Ona jest córką boga!*

– *Jest silniejsza, niż przypuszczałam* – przyznała Sagan Cienia. – *Ale dała nam najpotężniejszą broń na ś wiecie.*

– *Nie próbuj jej użyć wbrew woli Yasammez!* – Kamień Niechętnych był wyraźnie zaniepokojony. – *To byłoby szaleństwo. Będzie o tym wiedziała i zniszczy cię, może nawet unicestwi cały nasz klan!*

– *Jesteśmy Strażnikami Żywiołów* – odpowiedziała kobieta z klanu. – *Nie powinniśmy zrobić z siebie sługusów Ognistego Kwiatu. Nie będę aż tak głupia, by jeszcze raz przeciwstawiać się Yasammez, nie bez sióstr i braci z roju, więc póki co, to ona trzyma bat. Ale nic nie trwa wiecznie.*

Wróciła w pustkę, a Kamień Niechętnych ruszył za nią, przeklinając w duchu młodych i ich głupotę.

\*\*\*

Pieczara Wichrów była podobna do innych większych komór w ciemnych Głębiach, ale pomimo przewagi liczebnej wojskom autarchy nie było łatwo ją zdobyć. Zaledwie przed kilkoma godzinami zdołali wyprzeć z niej Funderlingów. Podczas gdy awangarda podążyła za obrońcami, Pinimmon Vash i pozostali z wędrownego miasta zajęli się rozbiciem obozu.

Ogromna pieczara była dziwnym miejscem, w którym wiatr świstał głośno przez szczeliny w sklepieniu i buczał nieprzerwanie, przez co Vash miał wrażenie, że zatrzymali się przy katarynce. Teraz, gdy już ustała walka i można było zapalić pochodnie, południowcy odkryli, że wzdłuż skraju pieczary ciągnie się rozległa rozpadlina, gdzie musiała wpaść ogromna wapienna płyta stanowiąca znaczną część podłoża komory, zakończonej teraz nierówną krawędzią, za którą zaczynała się nieznana ciemność.

Pinimmon Vash powinien poczuć się lepiej, wiedząc, że otaczają go tysiące żołnierzy, lecz ta świadomość zmieniła jedynie tyle, że w jego koszarach ziemia waliła się nie tylko na niego, lecz na wielu innych równie bezbronych jak on.

Mimo wszystko ucieszył się, że znalazł się w miejscu, gdzie nie odnosi wrażenia, że powinien wpełznąć pod stół, żeby przejść z jednego końca komory w drugi. Światła ognisk – oczywiście wciąż było ich za mało z powodu zbyt dużej ilości dymu w zamkniętej przestrzeni – odbijały się ciepłym blaskiem od nierównego sklepienia, tak więc ostatecznie pieczara ta miała swój urok w przeciwieństwie do innych, choćby i większych, przez które przechodzili.

Ale i tak oddałbym jedną kończynę, żeby wrócić na powierzchnię, pomyślał.

Uwięziony król już na niego czekał, kiedy wyszedł z namiotu, tak więc Pinimmon Vash odpędził szybko dwóch chłopców, którzy jeszcze poprawiali mu szatę. Pozwolono mu zabrać ze sobą tylko dwóch, co go bardzo ograniczało, ponieważ nie mógł żadnego stłuc tak, jak na to zasługiwał, gdyż zostałby z jednym sprawnym służącym – albo w ogóle byłby ich pozbawiony!

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić, królu Olinie? – zapytał, modląc się w duchu, żeby ten nie zaczął znowu gadać o skotarsze. Vash wciąż zastanawiał się nad tym, czego dowiedział się o Prusie.

Król z północy prezentował się mizernie. Już wcześniej, zanim dotarli do Zamku Marchii Południowej, nie wyglądał dobrze, ale teraz, kiedy autarcha zabrał go ze sobą w głąb ziemi, prowadząc do miejsca znanego tylko Nushashowi i innym bogom, jego stan się pogorszył.

– Tak, lordzie Vash. – Olin uśmiechnął się, lecz uśmiech był równie słaby jak on sam. – Możesz mi powiedzieć, czy autarcha zamierza dzisiaj do nas dołączyć?

Było coś dziwnego w tym pytaniu. Zazwyczaj król z północy robił wszystko, co w jego mocy, by uniknąć Złocistego. Vash tego ranka nie zdążył nawet napić się herbaty, więc dokuczał mu ból głowy.

– Skąd mnie to wiedzieć, królu Olinie. Jeśli dopisze nam szczęście, być może Złocisty zaszczyci nas później swoją obecnością. A dlaczego pytasz?

Olin otarł pot z czoła, a na jego usta wypełził brzydki, okraszony gniewem uśmiech.

– W końcu nie mam zbyt dużo czasu, żeby zaspokoić swoją ciekawość, prawda?

Vash skulił się. Władca z północy ani trochę go nie obchodził, ale czuł się źle, musząc spędzać tyle czasu z człowiekiem, który, jak wszyscy wiedzieli, niebawem zostanie zabity. Wydawało mu się, że to umniejsza jego rangę, ale nie tylko o to chodziło. Zdarzały się chwile, kiedy ten fakt niepokoił pierwszego ministra jeszcze bardziej, chociaż nie potrafił powiedzieć dlaczego. Znał wielu ludzi, których później stracono, ale nigdy nie musiał dotrzymywać towarzystwa skazańcowi, gdy już wydano wyrok, i dbać, by niczego mu nie brakowało, wręcz traktować go jak gościa honorowego, nie licząc ograniczenia swobody poruszania się. Czuł się rozgoryczony, że musi to robić, w przekonaniu, że spotkała go niesprawiedliwość.

Król Olin odwrócił się i odszedł trochę, a strażnicy podążyli za nim. Przez chwilę Vash się zastanawiał, czy aby władca z północy czegoś nie knuje, lecz zaraz porzucił tę myśl. Olin miał wiele powodów, by dziwnie się zachowywać. Być może, tak samo jak Vasha przygnębiało go to, że

ma nad sobą taką warstwę ziemi i kamienia. A jeśli nawet coś chodziło mu po głowie, i tak nie miało to większego znaczenia, ponieważ nieustannie pozostawał pod strażą trzech Lampartów uzbrojonych w strzelby. Mimo wszystko nie należało być zbyt pewnym siebie – władca z północy wyglądał naprawdę kiepsko. Vash uznał, że powinien zapytać strażników, czy Olin w ogóle coś je. Gdyby zmarł, zanim Złocisty go wykorzysta, doszłoby do katastrofy.

Przez pieczarę popłynęła muzyka fletów. Poła wejścia ogromnego namiotu autarchy uchyliła się i buchnął spod niej aromatyczny dym. Z namiotu wyszli na czworakach kapłani Nushasha. Nawet w świetle lampy Vash był w stanie dojrzeć, że z trudem recytują słowa modlitwy, starając się nie kasłać. Mężczyźni, którzy wyszli za nimi, nieśli długie pomalowane deski – przenośną podłogę, jak to nazywano. Poruszając się ze zwinnością dobrze zgranej trupy akrobatów, położyli się na plecach i umieścili na sobie deski, opierając je na czołach, dłoniach i stopach, tak by powstała droga dla autarchy. Vash wiedział, że Sulepis nie lubi długo chodzić po przenośnej podłodze, ponieważ niewolnicy z końca, którzy musieli pospieszyć z ciężkimi elementami na początek, przed autarchę, zakłócali mu spokój myśli.

– I co sądzisz? – Sulepis nie miał na sobie zbroi jak zwykle, lecz włożył wysoką czapkę w kształcie muszli i szkarłatną szatę kapłana Nushasha, a twarz miał pomazaną popiołem. Zatrzymał się i zaintonował: „Niech ciemność cię nie otoczy”. Było to rytualne powitanie: tego dnia przypadało obchodzone w Xis Święto Ognia, nazywane przez niewiernych z północy wigilią przesilenia letniego. Następnego dnia słońce miało zacząć umierać.

– I ciebie, Złocisty. – Vash pamiętał, jak straszne wydawało mu się to święto w dzieciństwie, szczególnie wieczór, kiedy w ciemności niosło się modlitewne zawroscenie posypanych popiołem kapłanów. A potem, o północy, tłumy szaleńców przynajmniej tak to wtedy widział mały Pinimmon, nie rozumiejąc, że są to po prostu zwykli ludzie, którzy wcześniej długo pili i tańczyli – wylegały na ulice, rozpalając ogniska i domagając się, by wszyscy do nich dołączyli i pomogli im hałasem przestraszyć straszego pana śmierci Xergala próbującego ukraść księżyc bratu Nushasha Xoshowi. Następnego ranka, w Dniu Dymu, już

po wschodzie słońca, świętujący wracali do swoich domów, wyczerpani nocnymi ekscesami. W ten dzień na ulicach można było spotkać głównie dzieci. Wash wciąż pamiętał wrażenie, kiedy szedł z młodszymi braćmi, że przemierzają ulice wymarłego miasta.

– Tak, Wash, to dziwne i cudowne zarazem świętować Dzień Ognia pod ziemią, gdzie nie dociera blask słońca. – Autarcha nie wydawał się bardzo nieszczęśliwy z tego powodu. Spojrzał na Olinę. – Słyszałem, że mówisz o mnie. – Zrobił jeszcze kilka kroków na przenośnej podłodze. Każde stuknięcie jego sandała budziło echo stęknienia niewolnika podtrzymującego chodnik. Autarcha nie był gruby, ale wysoki. – Ponuro wyglądasz, królu Olinie. – Pochylił się nad nią niczym zatroskany rodzic. – Czyżby zawiodła nasza gościnność? Potrzeba ci czegoś?

Olin skinęła głową, a nawet skłoniła ją, co wydawało się dziwne, jako że zwykle był bardzo powściągliwy w kontaktach z Sulepisem.

– Tak. Chciałbym, żebyś... umarł!

Wash z przerażeniem zobaczył, że król z północy nagle się wyprostował i skoczył ku autarsze o wiele szybciej, niż pierwszy minister mógłby się spodziewać po kimś w jego wieku. Zaskoczeni strażnicy patrzyli, jak Olin wbija w brzuch autarchy coś, co trzyma w dłoni. Broń się skruszyła.

Olin się cofnęła, a z jego ręki wystawał długi kawałek nierównego kamienia. Wash z przerażeniem zobaczył krew na jego dłoni, lecz zaraz się zorientował, że należy ona do króla Oliny.

Olin zaklął łamiącym się głosem i zatoczył do tyłu. Teraz wszyscy trzej strażnicy wycelowali w niego broń, dwaj strzelby, trzeci pistolet skałkowy, który wolno było nosić tylko najbardziej zaufanym strażnikom autarchy. Podbiegli też inni strażnicy i pewnie zatłukliby Olinę na śmierć, gdyby Sulepis ich nie powstrzymał.

– Nie róbcie mu krzywdy. Nic mi nie jest – rzekł. Odchylił fałdę szaty i pokazał watowaną koszulę bez rękawów. – Szkoda, że nie zgłębiłeś obyczajów naszego ludu, Olinie. – Sulepis wydawał się nieporuszony, wręcz rozbawiony, jakby wcale nie próbowano wbić mu w brzuch ostrego kamienia. – W Święto Ognia Tautarcha ubiera się jak najwyższy kapłan, przywdziewa całe jego okrycie, spodnie i wierzchnią

szatę. – Sulepis zachichotał jak dziecko. – Już nigdy nie będę narzekał, że muszę nosić taką grubą bieliznę!

Olin upuścił ostry kamień, po czym odwrócił się i pobiegł tam, gdzie za krawędzią podłoga ziała ciemność. Strażnik wymierzył do niego z pistoletu, lecz autarcha i tym razem go powstrzymał.

– Nie ucieknie. Dobrze o tym wie. Niech się nacieszy chwilą wolności.

Strażnik, wyraźnie rozczarowany, opuścił broń. Wszyscy patrzyli, jak król Marchii Południowej zatrzymuje się na skraju przepaści. Długą chwilę patrzył w dół, a potem odwrócił się do Złocistego i żołnierzy.

– Dopisuje ci szczęście demona, Sulepisie. Długo czekałem na taką okazję, ale twój bóg pewnie cię obserwuje.

– O, tak – zgodził się autarcha i zaśmiał się. – Obserwuje mnie, bo się mnie boi! – Pokazał na Olinę. – I co, mały królu, co teraz zrobisz?

– Tę jedną rzecz, przed którą nie możesz mnie powstrzymać. – Władca z północy był rozczochrany, blady i spocony, oddychał ciężko. – Odbiorę sobie życie. Wystarczy jeden krok. A wtedy zobaczymy, jak zrealizujesz swoje plany, pozbawiony krwi Sanasu!

Patrząc na Olinę, Vash nie miał wątpliwości, że ten spełni swoją groźbę. Poczul pomruk nieoczekiwanej nadziei. Jeśli Olin Eddon umrze, może nasz pan da sobie spokój z całym tym szaleństwem. Może będziemy mogli wrócić do Xandu, do godziwego życia.

Tylko że autarcha wydawał się nieporuszony.

– Och, Olinie, co za wyborna komedia. Przypomina przedstawienia, które dajecie tutaj podczas Zosimi, nieprawdaż?

– Nie zamierzam dłużej wysłuchiwać twojego gadania i znosić twoich sztuczek. – Władca z północy stał na krawędzi kamiennej płyty. Nie musiał nawet robić kroku, wystarczyłoby, żeby się pochylił, a już nikt nie byłby w stanie go powstrzymać.

– To nie sztuczki. Raczej, tak jak w waszych komicznych opowieściach, chodzi o zgranie w czasie. Gdybyś zagroził mi wczoraj albo jeszcze wcześniej, byłby to dla mnie poważny problem. Ale dzisiaj... –

Sulepis znowu zachichotał i pokręcił głową. – Och, zaczekaj, a pokażę ci, jak twoi bogowie przeklęli cię i zdradzili!



– O czym ty mówisz?

Sulepis odwrócił się i powiedział coś szeptem do jednego ze strażników stojących nieopodal. Tamten szybko wrócił do zdobionego złotem namiotu autarchy. – Popełniłeś drobny błąd w swoich kalkulacjach, Olinie. Nic wielkiego, po prostu o jedną pomyłkę za dużo. Widzisz, ja nie muszę koniecznie mieć krwi Sanasu Płaczącej Królowej, bardziej chodzi o krew jej przodka, boga Habbilego, którego wy tu na północy nazywacie Kupilasem Szachrajem. – Autarcha uśmiechnął się, widząc, że oblicze króla z północy wykrzywia grymas rozpaczy. – Otóż bóg rozsiał swoje nasienie nie tylko pośród Qarów. Przede wszystkim długo mieszkał na górze Xandos wśród swoich wrogów i w tym czasie spłodził potomka albo dwóch ze śmiertelniczkami. A może z boginiami lub półboginiami, które potem połączyły się ze śmiertelnikami, nieważne. W Xandzie opowiadano historie o tym, jak przetrwał ród Habbilego. Moi kapłani i ja ostatecznie potwierdziliśmy te pogłoski... i dlatego od wczorajszej nocy nie jesteś już kluczem, który otworzy mi bramę niebios. Spójrz!

Strażnik wprowadził dziewczynę ubraną jak jedna z narzeczonych z Samotni. Przywiódł ją do Sulepisa i popchnął mocno, tak że upadła na kolana tuż przy niewolnikach odpowiedzialnych za przenośną podłogę.

– Chyba przypominasz sobie Qinnitan z Ula, królu Olinie? – rzekł autarcha, jakby przedstawiał ich sobie na uroczystym bankiecie. – Widzisz, tak samo jak my, znak w jej włosach. – Pochylił się i wyciągnawszy długie ramię, szarpnął dziewczynę, by się wyprostowała. Gęstwę jej czarnych włosów rozdzierał ogniście rudy kosmyk. – Tak więc możesz skoczyć w przepaść, jeśli chcesz, Olinie Eddonie. Będzie mi brakowało rozmów z tobą w tych ostatnich godzinach, ale mam ją i już nie potrzebuję ciebie ani twojej krwi.

Król z północy popatrzył na uśmiechającego się triumfalnie autarchę, a potem na dziewczynę o tępym spojrzeniu.

– Ach, to ty, dziecko – rzeki. – Nic myliłem się, kiedy zwróciłem na ciebie uwagę.

Dziewczyna spojrzała na niego, a potem na autarchę, a jej wzrok wyrażał rezygnację i przerażenie.

Po dłuższej chwili Olin uniósł dłonie.

– Poddaję się. Zrób ze mną, co chcesz, Sulepisie. Ale proszę cię o jedno. Nie będę bronił się przed śmiercią, jeśli obiecasz mi, że oszczędzisz tę dziewczynę. To jeszcze dziecko!

– Dziecko, w którego żyłach płynie bardzo stara krew – odparł autarcha. – A ty jesteś nikim, więc nie możesz domagać się ode mnie czegokolwiek.

Dziewczyna podniosła wzrok i wreszcie pojęła, co się dzieje. Jej oczy, duże i ciemne, otworzyły się jeszcze szerzej na widok Olina stojącego na skraju przepaści.

– Skacz! – zawołała i zaraz dodała, jakby chciała udowodnić, że dobrze wie, co się dzieje: – Skacz i zgiń! Bądź wolny!

Jej słowa, zamiast zachęcić Olina, odebrały mu resztki sił, jak się zdawało. Opadł na kolana, wypuszczając z ręki kamień, i nie opierał się, kiedy strażnicy odciągali go od przepaści i szybko związali mu ręce za plecami.

– Nie czyńcie mu krzywdy, tylko zamknijcie w bezpiecznym miejscu. – Autarcha uśmiechnął się do Vasha. – Oczywiście nie można go nagradzać za złe zachowanie.

– Przed niczym się nie cofniesz? – zwrócił się Olin do autarchy, kiedy go wyprowadzali. – Żeby się chować za dzieckiem...

– Zamordowałbym milion dzieci, żeby dopiąć swego – odpowiedział spokojnie Sulepis. – Dlatego będę bogiem, podczas gdy ty i twój kraj przestaniecie istnieć, zasypani pyłem przeszłości. – Oblicze Vasha musiało zdradzić jego myśli, ponieważ autarcha pokazał palcem starego dworzanina, jakby chciał zilustrować swoje słowa. – Milion dzieci, mój stary przyjacielu, dziesięć milionów! To nie ma znaczenia. Zniszczyłbym wszystko, co żyje, bez chwili namysłu, gdyby tylko pozwoliło mi to zaspokoić moje pragnienia.

Vash podał jakąś wymówkę i oddalił się. Autarcha, zajęty rozmową z oficerami o dalszym pochodzie w głąb ziemi, chyba nawet tego nie zauważył.

\*\*\*

Matt Tinwright sądził, że nie może już upaść niżej. Że spędziwszy tyle dni u boku Hendona Tolly'ego, będąc na każde jego zawołanie, musząc oglądać, a często i brać udział w niepokojących rozgrywkach Tolly'ego, upadł tak nisko, że nic go już nie zdziwi. Mylił się.

Wystarczyło, że musiał nieść młodego księcia Alessandrosa, który wił się i płakał przez całą drogę. Tinwright nie wyobrażał sobie, co by zrobił, gdyby jeszcze musiał szarpać się z królową Anissą, bo na szczęście zadanie to przypadło strażnikom, którzy najpierw zabrali jej dziecko.

Wyrywała się i krzyczała, przytrzymywana przez nich, lecz wyższe piętra rezydencji były niemal opuszczone, dlatego gdy szli korytarzem, nikt nawet nie wyjrzał, by sprawdzić, co się dzieje. Tinwright zgadywał, że pewnie wszyscy przyzwyczaili się do krzyków kobiet wleczonych wieczorami przez korytarze rezydencji.

Dlaczego pomagam temu potworowi? – zastanawiał się. Nikt nie wie lepiej niż ja, jak szalona jest ta bestia. Powiniennem znaleźć sposób, żeby go zabić, nawet gdybym sam miał przy tym zginąć.

I na tym polegał problem: Matthias Tinwright nie chciał umierać. Nawet po to, by uwolnić świat od tego siejącego śmierć szaleńca, jakim był Hendon Tolly. W rzeczywistości tak strasznie bał się lorda protektora, że nie potrafił przekonać samego siebie, że by mu się powiodło, nawet gdyby zebrał się na odwagę. Tolly i tak na pewno by przeżył, a wtedy postarałby się, żeby Tinwright umierał długo i w męczarniach.

Więc mu pomagasz? – zapytał samego siebie. Na lirę Zosima, co z ciebie za człowiek?

Tchórz. Nic było powodu, żeby kłamać, w końcu Tinwright rozmawiał tylko ze sobą. Tchórz, który chce zachować życie. Bo jeśli zginę, kto zajmie się Elan? Kto ją uchroni, żeby nie wpadła znowu w szpony Tolly'ego?

Ale w rzeczywistości nie chodziło o Elan, o czym dobrze wiedział. Tchórz i koniec. Nie było sensu udawać, że jest inaczej.

Królowa Anissa znowu uwiesiła się na strażnikach, usiłując dosięgnąć dziecka.

– Panie! – zawołała do Tinwrighta. – Panie, nie znam cię, ale masz miłą powierzchowność. Pozwolisz mi chociaż go tam zanieść? Proszę, panie! Przestraszyło się, biedactwo. – Próbowwała się dostać do czerwonego od płaczu niemowlęcia. – Niech mama go weźmie na ręce! Pozwól mi!

Matt Tinwright poczuł, że zaraz zwymiotuje. W końcu co by się złego stało? Dlaczego Anissa nie miałyby wziąć dziecka?

Bo mogłaby je zabić, zamiast pozwolić, by Tolly odebrał jej syna, pomyślał i zaraz przeraził się tym, że w ogóle przyszło mu to do głowy, a jeszcze bardziej tym, że była to prawda, która skłaniała go do takiego, a nie innego działania. Daj spokój, upomniał samego siebie, jakby zbliżył się do niego inny z tłumu Mattów Tinwrightów. Skup się na dziecku, a będzie bezpieczne. Nie wiadomo, co mogłaby zrobić ta rozhisteryzowana kobieta.

– Proszę, panie, proszę! – wołała coraz głośniejsze i coraz bardziej zdesperowana, w miarę jak zbliżali się do komnat Tolly’ego. – Och, na bogów, na świętych Trzech – jęknęła – i na naszą panią Zorię, i na wszystkie demony w głębiach, niech będzie przeklęty ten potwór, który porywa moje dziecko! Niech będzie przeklęty!

Najgorsze było to, że Tinwright nie wiedział, którego potwora miała na myśli: Hendona Tolly’ego czy jego, ponieważ nie widział większej różnicy.

\*\*\*

– Czemu tak się zachowujesz, królowo? Po co ten lament? Nikt nie zamierza skrzywdzić twojego dziecka. Wracaj do swoich komnat. – Lord protektor wydawał się bardziej zrównoważony, niż kiedy Tinwright widział go ostatnio. Wziął kąpiel i zmienił kaftan i obcisłe spodnie. Gdyby nie to, że wciąż krążył niespokojnie po komnacie, gestykulując i łypiąc dzikim wzrokiem, byłby tym samym Hendonem Tollym, jakiego Tinwright pamiętał z przeszłości.

Anissa starała się uwierzyć w jego zapewnienia, lecz nie przychodziło jej to łatwo.

– Dlaczego mi go zabierasz, lordzie? Dlaczego mnie tak traktujesz, mnie, która zawsze miała dla ciebie dobre słowo i... służyła pomocą? – Królowa zawsze mówiła z wyraźnym akcentem, lecz teraz brzmiała prawie niezrozumiale. – Oddaj mi go teraz, a ja przyniosę ci go, kiedy będziesz go potrzebował.

– Ale ja potrzebuję go właśnie teraz. – Tolly uśmiechnął się wyraźnie zniecierpliwiony. Trzymał niemowlę nieporadnie, niczym skrupulatny naukowiec, któremu podano ubłoconego prosiaka. – Dość dyskusji. Wracaj do swoich komnat, a ja obiecuję, że niebawem oddam ci syna całego i zdrowego.

– Ale dlaczego mi go zabierasz? Na co ci on? – Spróbowała się uśmiechnąć, ale skończyło się na żalnym grymasie. – Do czego może ci być potrzebne takie maleństwo?!

– Ależ jest mi potrzebne, moja królowo, uwierz mi. Czyż nie pomagałem ci od czasu, gdy twój mąż dostał się do niewoli? Czy nie wspierałem cię w najtrudniejszych chwilach i nie przysięgałem, że Alessandros pójdzie w ślady ojca?

– Ale po co ci moje dziecko? – Wyrwała się strażnikowi, który przytrzymał ją za ramię, i padła na kolana przed Tollym. Jakże rozdzierający był to widok.

– Dostyc, nie mam czasu na wyjaśnienia. Wracaj do siebie, Anisso. – Cierpliwość Tolly'ego wyraźnie topniała. Widać było, że nie potrafi dłużej udawać opanowanego i zrównoważonego.

– Nie! – Podczołgała się szybko do niego i uczepliła jego nóg. – Proszę, Hendonie! Błagam cię! Tylko nie to! Nie mój Sandros!

– Na miłość wszystkich bogów! Hej wy, głupki, zabierzcie wreszcie ode mnie tę kobietę! – Tolly odepchnął królową nogą, starając się nie upuścić niemowlęcia, które znowu zaczęło płakać. Udało mu się przycisnąć stopą jej ramię i powstrzymać jej próby zbliżenia się do niego.

Wreszcie strażnicy odciągnęli królową i postawili na nogi, ale zaraz musieli przytrzymać ją mocniej, gdyż Anissa wrzasnęła i próbowała dopaść Tolly'ego.

– Zabierzcie ją – polecił. – Zamknijcie w jej komnatach albo nie, bo narobi straszego rwetusu. Zamknijcie ją w skarbcu na wyższym piętrze.

Nakarmcie i zapewnijcie opiekę – wystarczy jedna pokojówka, młoda – ale nie chcę jej widzieć, dopóki jej nie wezwę.

Strażnicy wywlekli królową z komnaty. Co nie było łatwe, mimo że Anissa była niedużą, szczupłą kobietą, za to walczyła o każdy krok, do tego strażnicy, nawet usprawiedliwieni rozkazem Tolly’ego, nie potrafili obchodzić się zbyt brutalnie z królową.

Kiedy wreszcie się oddalili i ucichło echo żalosnych krzyków królowej, Tolly położył dziecko na swoim łóżku, gdzie zaczęło machać rączkami i nóżkami, zawodząc.

– Umiesz przebierać dzieci? – zapytał nieoczekiwanie Tinwrighta.

– Panie?

– To coś śmierdzi. Z pewnością trzeba je przebrać. Trzeba będzie znaleźć kobietę, która się tym zajmie. – Lord protektor pokręcił głową z obrzydzeniem. – Moja biblioteka jest mała i nie zamierzam wdychać tego smrodu.

– Biblioteka, panie?

– Trzeba wypowiedzieć zaklęcia, przygotować mikstury i podać tej małej bestii – powiedział Tolly, spoglądając ze wstrętem na małego Alessandrosa Eddona. – Okros mi to wyjaśnił, choć nie pamiętam wszystkiego, co mówił. Nieważne! Ty jesteś uczonym... tak jakby. Mamy wszystkie jego księgi i papiery. I cały dzień do tego cholernego letniego przesilenia. Mnóstwo czasu. W końcu magiczna królewska krew jest na miejscu. – Lord protektor zaśmiał się długo i chrapliwie. – Tak, ta mała bestia jest jej pełna!

## Lepiej niż się zapowiadało

*Długo trwała podróż Sieroty. On i Moros  
musieli stawiać czoło rabusiom, poganom,  
okrutnym demonom i mściwym czarodziejskim  
istotom...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Gdy Funderlingowie zostali zmuszeni do wycofania się do Labiryntu, walka okazała się doświadczeniem zupełnie nieznanym Ferrasowi Vansenowi. Był przerażony, kiedy stanął naprzeciwko Qarów, był zdesperowany i dezorientowany, kiedy udawał się za Granicę Cienia. Oczywiście pierwsze walki, w jakich brał udział, wyprawy przeciwko bandytom na prowincji, które prowadził jego dawny dowódca Donal Murroy, też go przerażały, ponieważ wtedy po raz pierwszy mierzył się z wrogiem próbującym go zabić – ale ta walka była zupełnie inna. Tutaj głównie prowadzono oblężenia, lecz niemal pierś w pierś, tarcza w tarczę. Pot zalewał oczy, wyczerpanie odbierało resztki sił, a chwila nieuwagi mogła kosztować życie. W niektórych miejscach szeregi były tak zwarte, że ludzie, którzy ginęli obok niego, nie mogli upaść na ziemię, dopóki nie zarządzono odwrotu. Kiedy indziej Vansen i jego towarzysze byli tak splątani z wrogami, których zabili, że mogli odepchnąć ich ciała dopiero wtedy, gdy południowcy się wycofywali. Była to wojna prowadzona w niepokojącym zbliżeniu: z powodu ciemności i ciasnoty łucznicy okazali się niemal nieprzydatni, dlatego walczono głównie wręcz z przeciwnikiem, którego można było dotknąć, poczuć jego zapach i zobaczyć... nawet jeśli tylko niewyraźnie. Brodate, spalone słońcem twarze południowców, ich stożkowe hełmy i zbroje z nachodzących na siebie płyt stały się dla Vansena obrazem równie znajomym jak widok Funderlingów walczących u jego boku. Ramię w ramię walczący schodzili coraz dalej w głąb ziemi, spleceni niczym w skomplikowanym tańcu. obrońcy cofali się, atakujący

naciskali i czasem Vansenowi się wydawało, że cała ta walka to tylko złożony rytuał na cześć wielkiego Kerniosa, pana śmierci i ciemności.

Czy kiedykolwiek prowadzono dziwniejszą wojnę? – zastanawiał się. Czy kiedykolwiek walczyli ze sobą dziwniejsi wrogowie?

\*\*\*

Po długich godzinach zażartej walki ludziom Vansena udało się zrobić użytek z kurczących się zapasów prochu wybuchowego, co pozwoliło im zawalić na głowy południowców spory odcinek sklepienia korytarza i zablokować komorę zwaną Salą Inicjacyjną oraz jedyną drogę do Labiryntu. Wycofawszy się na bezpieczną odległość, obrońcy mogli sobie pozwolić na długo wyczekiwany odpoczynek, gdyż południowcy musieli się przebić przez skalną barykadę.

\*\*\*

– Ale muszę wiedzieć więcej! – powiedział Vansen do brata Polewy Naciekowej, jednego z mnichów, którzy przyszli walczyć u boku innych Funderlingów. Ponieważ ściany w wielu korytarzach Labiryntu popękały, a w innych groziły zawaleniem, wycofał swoich ludzi do szerokiej niskiej komory zwanej Salą Objawienia, w której młodzi Funderlingowie kończyli czuwanie, by zobaczyć Lśniącego Człowieka. – Dlaczego nie możesz mi podać nazw tych tuneli? – dopytywał się. – Tylko tego obszaru Rogowiec nie naniósł na mapę. Mając tyle możliwości do wyboru, może nawet moglibyśmy zaatakować południowców od tyłu albo z boku!

– Te tunele nie mają nazw! – Złamany nos i kilka długich rozcięć nieco szpeciły młodzieńczą twarz Polewy. – Mówiłem ci, kapitanie, my, bracia, uczymy się poziomów Labiryntu na pamięć, tak byśmy mogli przeprowadzać przez niego celebrantów. Nie uczymy się nazw każdego obejścia czy ślepego tunelu. Nie rozumiesz, kapitanie? To nie my zbudowaliśmy to miejsce.

Vansen spojrzał na niego zdumiony.

– Nie wy? W takim razie kto?



Polewa wzruszył ramionami.

– Może Qarowie. A może bogowie. Ci sami, których ten szalony król z południa pragnie przywrócić do życia. W pewnym sensie wszyscy jesteśmy tu obcy.

\*\*\*

Ferras Vansen próbował odpocząć, ale jak to często się zdarzało podczas odwrotu, obudził się z krótkiego niespokojnego snu i zaczął chodzić po prowizorycznym obozie, doglądając ludzi i żałując, że nie może zrobić dla nich nic więcej. Zostawili za sobą zbyt wielu poległych. Tutaj mieli zbyt wielu rannych i potrzebujących pomocy. Vansen zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć, jak grupa Funderlingów wznosi barykadę na wąskim końcu komory. Miała ich ona osłaniać, gdy w odpowiednim czasie zaczną się wycofywać z Sali Objawienia – jeśli w ogóle pozostanie ktoś, kto będzie mógł się wycofać.

Z ciężkim sercem Vansen wrócił do swojego ogniska.

– Bogowie! Chyba oszaleję! – jęknął. – Zużyliśmy prawie cały proch wybuchowy. Kiedy już przekopią się przez naszą barykadę, zostaną nam do obrony jedynie mięśnie i szpadle. Dlaczego zgodziliśmy się na ten przeklęty plan Rogowca? Ile jeszcze prochu zostanie zmarnowane tam na górze?

– Nie ma co się złościć, kapitanie – uspokoił go Jaspis. – Przyjmiemy to, co nam Starsi wyrzucili.

– Ale trzeba by odpierać wroga tylko jeszcze przez dzień albo dwa, wtedy będzie za późno na szalony plan autarchy! – Vansen aż się zatrzęsł z frustracji. – Czy myślę się co do dnia, Miedziaku?

– Może nam zabraknąć wody pitnej – rzekł Malachit Miedziak. – Ale utrzymujemy wodny zegar w wilgoci jak nos fretki. – Pokręcił głową zasmucony. – Tam na górze, w Mieście Funderlingów, pewnie wznoszą kielichy, by uczcić wigilię letniego przesilenia.

– Niech mnie ugryzą bogowie. Co lato obchodzi takich ludzi jak wy, mieszkających pod ziemią? – dziwił się Vansen.

W tym momencie nadbiegł Kalomel, syn Cynobra. Był ulubieńcem Funderlingów, lecz wszyscy byli tak zmęczeni i przygnębieni, że tylko

nieliczni zdobyli się na to, by spojrzeć za nim, gdy przebiegał. Gdyby przyjrzeni się uważniej, zobaczyliby, że brudną twarz znaczą jaśniejsze smużki łez.

– Kapitanie! Chodź szybko! – zawołał młody Funderling. – Pospiesz się! Prowadź ludzi! Ojciec was potrzebuje w Sali inicjacyjnej.

– Co? – Vansen zerwał się na nogi. – Przecież poszedł tam tylko po to, żeby dogłębnie tych, którzy usypują barykadę...

– Południowcy też użyli wybuchowego prochu! – wyjaśnił Kalomel, ciągnąc za sobą Vansena. – Zburzyli całą ścianę Labiryntu i uwięzili tatkę!

– Na brodę Perina! – zaklął Vansen. – Tego się obawiałem. Autarcha wreszcie uznał, że męczy go to powolne dreptanie! Miedziaku, zbierz swoich ludzi. Młocie, razem z Dolomitem przyprowadźcie resztę i podążajcie za nami...

– Szybko! – zawołał chłopiec. – Szybko, bo ich zabiją! Zabiją tatkę!

Vansen nie potrafił znaleźć słów, by pocieszyć chłopaka. Miał nadzieję, że południowcy przebiją się przez barykadę dopiero następnego dnia. A zatem czy to już koniec? Czy na nic się zdała długa i ciężka walka? Cynober zasługuje na coś lepszego niż samotna śmierć, bez względu na wszystko, pomyślał. Jeśli już mamy polec, to przynajmniej z mieczem w ręku. Bał się o swoich towarzyszy, lecz zarazem animuszu dodawał mu optymizm, który nie miał nic wspólnego z rzeczywistością. Niech będzie, co ma być, stwierdził w duchu, biegnąc za Kalomelem. Tylko bogowie znają ścieżki życia. Gdyby nie obecność przerażonego chłopaka, wykrzyczałby to. Jak zwykł mawiać ojciec, gdy chodziło o przodków... „Jeśli nie jesteś tchórzem, to dobra śmierć jest znacznie lepsza niż złe życie, zawsze!”

\*\*\*

Briony udało się przespać dobrą godzinę, lecz szok po spotkaniu z bratem wciąż ją oszałamiał, kiedy wciągała buty i stawała niepewnie na nogi. Co się z nim stało? Jak to możliwe, że Barrick tak po prostu ją zostawił, jakby nic ich nie łączyło – jakby ta część ich życia, kiedy dorastali razem w Zamku Marchii Południowej, nigdy się nie zdarzyła.

Czuła się, jakby została ugodzona strzałą w samo serce, jakby ją zamordowano, tylko nikt jej nie powiedział, że powinna upaść.

Na zewnątrz wciąż było ciemno, lecz Świątynne Psy i ich sprzymierzeńcy likwidowali prowizoryczny obóz. Na plaży płonęły liczne pochodnie. Co najmniej jedna tkwiła wbita w piasek przy wszystkich zgromadzonych tam długich i niskich łodziach, dlatego Briony miała wrażenie, że idzie przez świetlny las. Przy łodziach czekały dziesiątki Muskających Wodę, wielu ubranych w zbroje – jak jej się zdawało – z mocno pachnącej wysuszonej rybiej łuski i uzbrojonych w łuki, długie widły i harpuny, która to broń jej zdaniem bardziej się nadawała do walki z rekinami.

Ale Muskający Wodę spisali się lepiej, niż można by się spodziewać, uzmysłowiła sobie. Nie zabili po prostu tylko kilku południowców. Spalenie floty autarchy, której szczątki wciąż płonęły na wodach zatoki albo unosiły się tuż nad powierzchnią w postaci upiornych zwęglonych i sypiących iskrami kawałków, było dokonaniem mogącym mieć kolosalne znaczenie w najbliższej przyszłości.

Plażą nadszedł Eneasze.

– Wysłałem zwiadowców do miasta. Upewniłem się, że pozostali południowcy rzeczywiście wycofali się między wzgórza. Ani śladu po nich... – Objął ją lekko. – Nie wyglądasz dobrze, Briony.

– A jakżeby miało być inaczej? Widziałeś mojego brata. Zachowywał się tak, jakby mnie nie znał.

Książę wydawał się niezdolny do jakiegokolwiek reakcji. Nie lubi problemów, których nie potrafi rozwiązać, pomyślała, choć natychmiast wydało jej się, że jest niesprawiedliwa dla Eneasza. Jednak w tej chwili nie potrafiła się tym przejmować.

– Widziałem wielu mocno otumanionych przez wojnę, księżniczko...

– On nie jest szalony. To nie wojna go tak odmieniła, tylko ta kobieta Qarów, Saqri. Rzuciła na niego zaklęcie. – Briony się rozejrzała. – Gdzie oni są?

– Odeszli – odrzekł Eneasze. – Do pieczar w zboczach wzgórz. Z powrotem pod zamek.

Na chwilę światła pochodni, twarz Eneasza, a nawet nieliczne gwiazdy migoczące słabo poprzez dym zlały się w jedno, gdy łzy znowu napłynęły jej do oczu. Przycisnęła pięści do powiek.

– Wystarczy – powiedziała. – Dość gadania. Zróbmy to, co mamy zrobić.

– Wszystko prawie gotowe. Muszę jeszcze tylko dopilnować kilku rzeczy...

– W takim razie zrób to – rzuciła krótko. – Nie martw się o mnie, Eneaszu. Nie skoczę do wody i się nie utopię. Jestem z twardszej gliny.

– Ależ ja nigdy...

– Rób swoje. – Odwróciła się i odeszła w kierunku czekających łodzi, nic oglądając się już za siebie. Kiedy doszła do pierwszej, ruszyła wzdłuż plaży, od pochodni do pochodni, usiłując pozbyć się pełnych gniewu smętnych myśli, które tłukły się po jej umęczonym umyśle niczym pszczoły. Idąc, mijała kolejnych Muskających Wodę o wyłupiastych oczach i twarzach pozbawionych wyrazu.

– Księżniczko Briony?

Odwróciła się i zobaczyła za sobą jednego z nich ubranego w zbroję. Kiedy spojrzała dokładniej na tę twarz pozbawioną wszelkiego zarostu, coś ją zaintrygowało. Po chwili zorientowała się, że to ona, a nie on.

– Czy my się znamy? – Briony zmrużyła oczy w słabym świetle. – Litościwa Zorio, to ty? Ena, córka przywódcy klanu?

Dziewczyna skinęła głową.

– Cieszę się, że mnie pamiętasz, Wasza Wysokość. Przecież spędziłyśmy razem jedną noc.

– Najstraszniejszą w moim życiu, przynajmniej do teraz. – Briony pokręciła głową. – Ale co ty robisz u boku mężczyzn?

Ena się zaśmiała.

– O to samo mogłabym zapytać ciebie! Zdaje się, że obie pragniemy odegrać ważniejszą rolę w tych ostatnich dniach.

– Ostatnich?

Dziewczyna Muskających Wodę wzruszyła ramionami.

– Na to wygląda. Egey-Var wyraził się jasno. – Bez hełmu Ena była bardziej rozpoznawalna. Jej poważna twarz o ciężkich powiekach i

wysokim czole przypominała Briony o rzeczach i czasach, o których wołałaby zapomnieć. – A jak się ma Shaso?

Przed tym wspomnieniem Briony bardzo się broniła.

– Niech bogowie dadzą mu wieczny odpoczynek. Dobry był z niego człowiek. Zginął w pożarze w Landers Port, kiedy zaatakowano nasz dom. – Z rozkazu Hendona Tolly’ego, co do tego nie miała wątpliwości. Ktoś musiał nakłonić do ataku miejscowego możnowładcę. Briony była wściekła, że księżę Eneasza dał Saqri wolną rękę w działaniu, ale przynajmniej istniała szansa, że znowu spotka tego zdrajcę Tolly’ego i będzie mogła wyrównać rachunki. Była mu coś winna w imieniu całego rodu Eddonów, nie wspominając o własnym honorze – nie potrafiła nazwać tego inaczej.

– Bardzo mi przykro, pani – odparła Ena. – Lord Shaso był dzielnym mężem, który zawsze darzył przyjaźnią Dzieci Oceanu.

– Szczerze mówiąc, jestem zdziwiona, że tak dobrze go znacie. Kiedy stanął przed twoim ojcem w jego domu, było tak, jakby spotkali się starzy przyjaciele.

– Dużo by opowiadać – odparła dziewczyna. – A nie czas na to. Przed świtem musimy się przedostać na drugi brzeg zatoki. Dzięki temu przynajmniej unikniemy ostrzału z armat, które udało im się wycofać między wzgórz. Uczyni mi ten zaszczyt i pozwól zawieźć cię z powrotem do domu.

– Dziękuję ci, Eno. Zabiorę tylko swoje rzeczy.

Briony ruszyła kamienistą plażą do obozu, w którym Eneasza i jego ludzie omawiali z Muskającymi Wodę ostatnie szczegóły operacji. Wcześniej chciała z nimi zostać – bo w końcu była choćby doradczynią księcia – lecz było to zbyt bolesne. Dowan Birch powiedział jej, że co najmniej raz spotka się z ojcem, i tak się stało. Czy to spotkanie w więziennym namiocie było ostatnie? A teraz wreszcie ujrzała Barricka, on zaś odwrócił się od niej. Tylko nadzieja na spotkanie z nimi dodawała jej sił w najgorszych dniach. I oto znalazła się blisko ojca i brata, ale nie mogła z nimi być. To było niemal nie do zniesienia.

Muszę wierzyć, że jeszcze się z nimi zobaczę, że za sprawą niebios wszystko się ułoży. Bo co innego mogę zrobić?

Nie do końca jednak przekonała samą siebie. Możesz dalej udawać, że jesteś bohaterką opowieści, w której obserwują cię duchy i bogowie, tłumaczyła sobie, albo przyjąć, że żyjesz w zupełnie innym świecie – że bogów nie ma albo zioną nienawiścią, że ktoś inny będzie musiał uratować twojego ojca i że nikt, a już na pewno nie ty, nie wie, jak się skończy ta historia.

\*\*\*

Rogowiec podążał wąską ścieżką równie rozgniewany jak przestraszony. Razem z towarzyszami pracował z ogromną determinacją, mimo że wydawało się, iż nie zdołają przygotować wszystkiego na czas, a tymczasem otrzymał pilną wiadomość od brata Antymona, który domagał się, by przybył natychmiast na skraj wykopalisk. Przepadnie pół dnia pracy albo i więcej.

Minał kilkunastu Funderlingów także wracających z wykopów, którzy przeważnie pchali przed sobą taczki z ziemią albo udawali się z misją trudną do odgadnięcia. Widok ten trochę poprawił humor Rogowcowi, który zobaczył, że wciąż coś się dzieje. Przynajmniej Antymon nie wstrzymał wszystkich prac z powodu tej pilnej sprawy. Szukając go, Rogowiec rozglądał się pilnie, by sprawdzić, czy wszystko idzie jak należy. Ludzie poruszali się gęsiego, jedni zmierzali do wyrobiska, drudzy stamtąd wracali. Powracający pchali taczki wypełnione ziemią i kamieniami. Wielu tych, którzy pozbyli się już swojego ładunku, wracało do najbliższego wykopu, wioząc na taczkach świeżo przygotowany zapas prochu wybuchowego.

Znalazł Antymona w pobliżu pierwszego i największego tunelu, który dochodził do szerokiej szczeliny schodzącej w dół do Morza w Głębiach – „Komina Rogowca”, jak niektórzy Funderlingowie ironicznie go nazywali – do Dołu, jak sam go określał. Koniec świata, pomyślał. Wysoki mnich wyglądał na utrudzonego, lecz to widok jego dwóch towarzyszy, których Rogowiec rozpoznał, podziałał na niego niczym silne uderzenie. Jednym z nich był Nikiel, przyszły opat świątyni Braci Metamorficznych, pozbawiony poczucia humoru mnich, którego Rogowiec nie polubił od pierwszego spotkania, drugim zaś... drugim był

brat Rogowca Guzek, magister z klanu Liderytów i jedna z nielicznych osób, o których Rogowiec mógł powiedzieć, że lubi je mniej niż brata Nikla.

– Patrzcie no – rzekł Guzek na widok brata. – Dobrze, że tata nie żyje. Wściekłyby się, widząc, jak zarysowałeś rodowe imię.

– Mnie też miło cię widzieć, bracie. – Rogowiec przywitał się z Niklem skinieniem głowy, a ten tylko zmarszczył czoło, po czym spojrzał na Antymona. – Przybyłem tu na twoje wezwanie, ale mogę poczekać, jeśli jesteś zajęty rozmową z tymi oto dwoma... zacnymi jegomościami.

– Tak po prawdzie... – zaczął Antymon.

– Jesteśmy tu ze względu na ciebie – rzekł Nikiel. – Czy też z powodu tego, co planujesz. To, co robisz, jest niebezpieczne, zwłaszcza dla świątyni. Jeśli zwalisz taką masę skały, pozabijasz nas wszystkich. Uznałem, że nie mogę na to pozwolić. Prace trzeba przerwać jeszcze dzisiaj.

Przez chwilę Rogowiec tylko się w niego wpatrywał.

– Ja... jak to? Przerwać? Co?

– To. Wszystko tutaj. – Nikiel pokazał ludzi pchających taczki. – Nie wolno realizować ryzykownych projektów w tak bliskim sąsiedztwie świątyni.

Rogowiec z trudem się powstrzymał, by nie chwycić mnicha za kołnierz.

– Ale... przecież wiesz, po co robimy to wszystko! – A może...? – zastanowił się. Może on sam oszalał? Przysięgłoby, że Nikiel uczestniczył we wszystkich dyskusjach, zaciekle przeciwstawiając się projektowi, ale w końcu zaakceptował ostateczną decyzję Cynobra. – To może być nasza jedyna szansa na ratunek! Cynober opatrzył ją pieczęcią Cechu!

– Czyżby? – Nikiel uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Nie pamiętam niczego takiego. Przypominam sobie jak przez mgłę, że przedstawiłeś mało przekonujący plan, by za pomocą prochu wybuchowego wysadzić skały i pokonać wroga, ale nie przypominam sobie, by magister Cynober wyraził na to zgodę.

– Ty... ty kłamco! Byłeś tam! Słyszałeś wszystko i wiesz, że Cynober i Vansen zaakceptowali mój plan!

– Hola, wolnego! – rzucił Guzek, zaciskając masywne szczęki. – Nie godzi się tak mówić do brata Nikla. To ważna osobistość. Po raz kolejny mnie zawstydzasz, Rogowcu.

Rogowiec od lat miał ochotę podbić bratu oko i przez moment sądził, że właśnie nadeszła ta chwila, lecz ostatecznie uznał, że ryzyko jest zbyt duże, a wykonywana praca zbyt ważna.

– Byli tam też inni. Malachit Miedziak, znana i szanowana persona! I kilku innych dowódców.

– A są tu teraz? – Nikiel rozłożył ręce. – Nie widzę. Skoro twierdzisz, że działasz z upoważnienia Cechu i za pozwoleniem Cynobra, to gdzie masz astion?

Rogowiec patrzył na niego zdeorientowany. Replika astionu, pieczęci w kształcie gwiazdy Cechu Kamieniarzy, stanowiła niepodważalne potwierdzenie tego, co służy Miastu Funderlingów, ale... Nikiel miał rację. On jej nie miał.

– Cynober i pozostali musieli się zająć obroną Tajemnic i nie zdążył mi przekazać pieczęci, dobrze o tym wiesz – bronił się.

– O niczym nie wiem. – Nikiel pokręcił głową. – W tej chwili na potwierdzenie całego przedsięwzięcia mamy tylko twoje słowa, a ryzyko jest zbyt duże, by ufać jednemu człowiekowi.

– Szczególnie że chodzi o kogoś takiego jak mój brat – dodał gorliwie Guzek – którego przecież już kiedyś wzywano przed mistrzów z powodu jego głupiego zachowania. – Kiwnął głową. – A ponieważ nie ma tutaj Cynobra, to ja jestem najwyższym rangą członkiem Cechu i oznajmiam, że skarga brata Nikla jest zasadna. Żadne prace nie będą tu prowadzone, dopóki nie zobaczymy astionu. – Uśmiechnął się złośliwie. – Powodzenia, Rogowcu.

– Pozwól, że odprowadzę cię do świątyni, magistrze – rzekł Nikiel. – Jesteśmy wdzięczni za twoją pomoc, a przecież przebyłeś długą drogę. Mam w kredensie wyborną grzybową nalewkę, nazywamy ją staroświecko *mykomelem*. Chętnie cię poczęstuję.

– Będzie to dla mnie zaszczyt. – Nalana twarz Guzka rozpromieniła się. – Uwielbiam dobrą nalewkę! Niestety, obawiam się, że mój brat nie będzie mógł nam towarzyszyć. Czeka go mnóstwo pracy związanej z zamknięciem tych wszystkich prac. – Posłał młodszemu bratu srogie



spojrzenie. – Ale wróć i jeśli zastanę tu choćby jednego czeladnika czy zamiataacza, spadnie na ciebie złość całego Cechu, Rogowcu!

Kiedy mnich i magister się oddalili, Rogowiec usiadł na ziemi i oparł głowę na rękach.

– Ten mój brat, przeklęty głupiec! A Nikiel? Co on wyrabia? Wie, co tu robimy i dlaczego! Starsi wiedzą, że wolelibyśmy tego uniknąć, ale może to być nasza jedyna nadzieja. – Spojrzał na uwijających się robotników, których miny zdradzały dezorientację i niepokój. – Nawet jeśli wszystko się powiedzie, będzie to straszna tragedia śmiertelników. – Zamrugał. – Na przełam i ryse! Nie mogę uwierzyć, że Nikiel jest taki krótkowzroczny.

Antymon westchnął i usiadł obok Rogowca.

– Uwierz mi, on wcale nie jest krótkowzroczny. To najmądrzejszy z braci. Właśnie dlatego pomimo młodego wieku ma otrzymać godność opata. – Zamilkł, przygryzając wargę. – On chyba nie wierzy, że Vansenowi i innym może się udać, ale w twój plan też nie wierzy. Może ma nadzieję na wynegocjowanie pokoju z najeźdźcami.

– Albo że zrobi to Hendon Tolly. – Rogowiec zmarszczył brwi. – Nie mogę się nadziwić, jak wielki z niego kłamca. Czy aż taki, by mógł zmienić się w zdrajcę?

– Nikiel? – Antymon był wyraźnie zaskoczony. – Samolubny i nieuczciwy, owszem, ale w zdradę trudno mi uwierzyć...

– Dość. – Rogowiec pokręcił głową z obrzydzeniem. – Nie ma sensu próbować zgadywać. Musimy zdobyć astion od Cynobra, bo inaczej mój brat zgodnie z zapowiedzią wstrzyma wszelkie prace, a wtedy stracimy nawet tę słabą nadzieję. Po rozpoczęciu oblężenia członkowie Cechu rozeszli się do domów. Nie uda mi się zebrać ich wszystkich na czas, by zagłosowali nad nowym astionem! Cynober jest naszym jedynym wpływowym obrońcą, a jego młodsi poplecznicy w większości walczą razem z nim i Vansenem, bo przecież mój brat i jego zwolennicy nie przyłączą się do walki, dopóki nie będą zagrożone ich domy. – Rogowiec chrząknął. – A gdy to się stanie, będzie za późno! – Wstał. – Muszę w jakiś sposób wydostać astion od Cynobra...

– Ale nie dotrzesz do niego, tak samo jak nie zdołasz zebrać członków Cechu – stwierdził ze smutkiem Antymon. – Jest tak samo

daleko jak oni, do tego między wami znajdują się tysiące żołnierzy autarchy.

Rogowiec czuł się jak przeciążony łuk w sklepieniu. Jeden trzask i runie całość.

- Jak postępują prace? Dalibyśmy radę?
- Gdybyśmy mieli jeszcze ze dwa dni? Trzy?
- Według Vansena być może mamy tylko dzień.

Antymon prychnął.

– Bez obrazy, mistrzu Liderycie, ale wątpię, by nam się udało. Mamy jeszcze kilkanaście jardów do wykucia w skale, by wejść do Korytarza Mułowca, zanim założymy ładunki, a drugie tyle do zrobienia w Ostatnim Korytarzu. Szkoda, że nie mogliśmy się posłużyć prochem wybuchowym do zrobienia otworów, w których go umieszczamy... – Zachichotał.

Rogowiec poczuł dreszcz przerażenia.

– Na Starszych, Antymonie, nawet tak nie żartuj! Gdybyśmy zburzyli ściany w Ostatnim Korytarzu, zanimbyśmy byli gotowi...

– Wiem, wiem. – Młody mnich zatarł ogromne dłonie. – Ale przyznam, że nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyśmy tak zrobili, co trzeba, i zapomnieli wspomnieć o tym bratu Nikłowi. Myślisz, że taki pomysł czyni mnie złym Bratem Metamorficznym? – Znowu się zaśmiał, ale nie był to wesoły śmiech. – A jak się mają twoja żona i pozostałe panie?

– Bardzo dobrze, ku memu zaskoczeniu. – Rogowiec wiedział, że powinien zebrać się w sobie i spróbować rozwiązać któryś ze swoich licznych problemów, ale czuł się zmęczony i łamliwy, jakby zetlały w nim wszystkie zastrzały. – Wątpię, czy damy radę zemleć do wieczora sześćdziesiąt beczulek wybuchowego prochu, ale będzie niewiele mniej. Vermilion jest równie dobrą przywódczynią jak jej mąż, nawet jeśli nie ma tak słodkiego z charakteru. Ona i Opal sprawnie pokierowały pracą pozostałych kobiet, co więcej, wzięły pod swoją komendę Popioła Saletrzaka i jego ludzi. Pamiętasz, jak przed kilku laty zawałiła się część budynku Cechu, jak wszyscy podawali sobie kamienie z rąk do rąk przez całą noc? Teraz wygląda to tak samo w kobiecym obozie. Nigdy nie wątp w to, że kobiety umieją zorganizować innych, Antymonie.

– Ależ nigdy w to nie wątpiłem – odrzekł mnich. – Pochodzę z dużej rodziny. Mama miała nas dziewiątkę do wykarmienia, a mimo to zawsze znalazła wolną rękę, żeby mnie trzepnąć po głowie, jeśli uważała, że jestem niegrzeczny.

Rogowiec się uśmiechnął.

– Tak. Siedzę tu jak kawał krzemienia, który ugrzązł w wapiennym złożu. Lepiej sprawdźmy, czy wszystko jest dobrze zabezpieczone, zanim wymyślę, co dalej. Gdzie Saletrzak? – Wprawdzie Antymon pełnił funkcję oczu i uszu Rogowca, lecz Sól Saletrzak, bratanek Popiołu i Siarki, nadzorował prace jako brygadzysta. – A skoro już mowa o nieobecnych, to gdzie jest Chaven?

Antymon popatrzył na niego dziwnie.

– Jak to? To Chaven nie przebywa w Prochowym Obozie razem z tobą i kobietami?

– Nie. – Rogowiec poczuł ucisk w piersi. – Oczywiście, że nie. Powiedział, że przyjdzie tutaj, żeby wam pomóc. Twierdził, że jest za duży i zbyt nieporadny i tylko by przeszkadzał pośród tych wszystkich zwinnych małych dam. Wiesz, jak on potrafi gadać. Nie było go tutaj?

– Nawet przez chwilę. – Antymon pokiwał głową ze współczuciem. – Nie mamy tu nawet setki ludzi, a wszyscy to emerytowani członkowie Cechu. Jemy wspólnie posiłek i śpimy w świątyni. Nie widziałem go ani tu, ani tam, a przecież trudno go nie zauważyć, bo jest dwa razy większy niż my. Zniknął gdzieś, gdy południowcy zaatakowali tunele.

– Na Starszych – jęknął Rogowiec. – Pewnie zgubił się gdzieś w głębiach, a wszędzie pełno ludzi autarchy i tych okropnych szponiastych potworów, i...

Przyszła mu do głowy jeszcze straszniejsza myśl: Chaven zachowywał się dziwnie od samego początku swojego pobytu w Mieście Funderlingów, być może pod wpływem obsesji na punkcie lustra dopuścił się zdrady. Może medyk zaprzedał się człowiekowi, który pomógł mu odzyskać lustro, to, którego łaknął tak bardzo jak pijak mchówki. Może właśnie w tej chwili przekazuje wiadomości o Vansenie i planach Cynobra – a kto wie, czy także nie o ryzykownym planie Rogowca – ich największemu wrogowi, autarsze z Xis...

– Nie zrobiłby tego... – powiedział, cicho, bardziej by przekonać samego siebie.

– Co mówiłeś, magistrze Rogowcu Liderycie? – zapytał Antymon. – Nie wyglądasz najlepiej. Dać ci coś do picia?

– Nie, nie. – Rogowiec poczuł dreszcz strachu. – Dziękuję. Nie utrzymałbym niczego w żołądku.

\*\*\*

– Śmiertelnicy z południa zejdą ze wzgórz z pierwszym światłem poranka – powiedziała Saqri, kiedy wróciła do namiotu Barricka. – Jest ich wielu i mają potężne działa, do tego zbyt boją się swojego pana, by postąpić inaczej. A przede wszystkim obawiają się tego, co on z nimi zrobi, jeśli odniesie zwycięstwo pod zamkiem, a oni przegrają na górze.

Barrick spróbował wygrzebać się z posłania, lecz marsz plażą bardzo go zmęczył. Tak więc usiadł jedynie na łóżku, przez co poczuł się mniej niedołączony.

– Co to znaczy, Saqri? Znowu będziemy z nimi walczyć?

– To znaczy, że musimy stąd odejść. Inaczej dojdzie do bezsensownej walki o honor xiskich żołnierzy, podczas gdy prawdziwe niebezpieczeństwo czyha pod ziemią. Jak się czujesz?

– Mogę iść, tylko nie za szybko. – Zamilkł wyraźnie zatroskany. – Moja siostra. To była moja siostra.

– Tak, widziałam ją.

Nie pamiętał, co czuł kiedyś, ale wiedział, że już nie żywi tamtych uczuć.

– Nie była ze mnie zadowolona. Dlaczego?

– Może dlatego, że nie jesteś już chłopcem, którego zapamiętała, i to ja przestraszyło. Może dlatego, że masz nowe, poważniejsze obowiązki albo zmieniłeś się tak, że cię nie rozumie. – Saqri mówiła tak bezbarwnym tonem, że można by sądzić, że robi to z rozmysłem. – Kto to wie?

– Martwi mnie to, ale nie wiem dlaczego. Mam wrażenie, że straciłem coś ważnego. Straciłem to bezpowrotnie...

Lekko opuszczone kąciki ust u Saqri oznaczały dezaprobatę.

– Nie marnuj sił na takie rozmyślania, Barricku Eddonie. Mamy dość innych problemów. Południowcy zyskali nad nami przewagę, prawie dotarli do najgłębszego miejsca, do samej Ostatniej Godziny Przodka.

Barrick bardzo się starał otrząsnąć z nastroju, w jaki wprowadziło go spotkanie z siostrą. Jakie to miało znaczenie teraz, kiedy zbliżają się ostatnie chwile Ludzi?

– To wydaje się takie beznadziejne. Mówiłaś, że ten rytuał czy cokolwiek autarcha zamierza zrobić, ma się odbyć jutro...

– Chwilę po północy – powiedziała Saqri. – Kiedy rok zacznie umierać.

– W jaki sposób możemy go powstrzymać? Ma w pieczarach tysiące ludzi. Ty odesłałaś naszych jedynych sojuszników, moją siostrę i tego Syańczyka, żeby bronili zamku przed innymi śmiertelnikami. Dlaczego? Czy teraz w ogóle mamy szansę?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Saqri z kamienną twarzą. – Ale musimy się zająć wieloma innymi ważnymi rzeczami. Ja osobiście muszę zdecydować, co począć z moją śmiercią.

W pierwszej chwili Barrick sądził, że się przesłyszał. Kiedy wreszcie wydobył z siebie głos, poczuł dreszcz.

– Z twoją... śmiercią?

– Trudno to wyjaśnić, ale uważam, że śmierć połowy Ognistego Kwiatu dostarczy sporą moc. Może nie dość potężną, by zmienić rezultat tej nierównej walki, ale wystarczającą, by w jakiejś mierze udaremnić poczynania autarchy. Lecz jeśli nie będzie mnie tam, żebym mogła się nią posłużyć, moja śmierć na nic się nie przyda.

– A ja...? Czy ja też muszę... umrzeć?

Saqri wykonała gest „księga jest zamknięta”, co u Qarów oznaczało wzruszenie ramion.

– To, o czym mówię, nigdy wcześniej się nie wydarzyło. Zawsze gdy któryś z przodków ginał w walce, przygotowywano jego następcę, by przejął Ognisty Kwiat. Ale teraz kto wie? Nikt po mnie nie zostaje. A jeśli chodzi o ciebie... – Saqri wzruszyła ramionami. – O takim jak ty jeszcze nie słyszano, ani Ognisty Kwiat, ani Głęboka Biblioteka. – Jej

uśmiech przypominał wyszczerzone zęby wilka. – Mimo wszystko nie radziłabym ci lekką ręką pozbywać się swojego przejścia.

Skinął głową, tłumiąc ukłucie niepokoju, jaki pozostawiło w nim spotkanie z siostrą.

– A zatem walczymy. I niemal na pewno zginiemy. – Wydawało się to takie proste i ostateczne, lecz także przerażające. – Nie wiedząc, czy wygraliśmy, czy zostaliśmy pokonani. Nie wiedząc, co się stało z Qinnitan.

– Możliwe, że znajdziemy twoją dziewczynę z południa, nim nastąpi koniec. – Saqri nie wydawała się zachwycona takim obrotem spraw. – A co do pozostałych kwestii, przegramy oczywiście. W całym naszym świecie nie ma już dość Qarów... nie ma już dość magii, jak byście powiedzieli, by nas uratować. Lecz my dwoje mamy jeszcze coś do zrobienia. Na dobre czy na złe, mój mąż cię wybrał, byś poniósł Ognisty Kwiat królów do ostatecznej bitwy. Dlatego podarowałam ci zbroję, która wcześniej należała do mojego syna Janniya. Jego nie ocaliła. Zginął tutaj z rąk twoich przodków. Dla mnie był szlachetniejszy i piękniejszy niż sami bogowie. – Nakryła ręką jego dłoń. – Będiesz walczył u mego boku, Barricku Eddonie?

Barrick poczuł się dziwnie pusty, niczym gliniane naczynie wypalone w ogniu. Wydawało mu się, że zniknęły wszystkie rzeczy, o które martwił się tak długo, które kochał tak beznadziejnie, ledwo je pamiętał.

Powoli skinął głową.

– Tak, będę przy tobie, Saqri. Teraz ty jesteś moją rodziną. I gdy nadejdzie ten moment, umrę razem z tobą, jeśli taka będzie wola bogów. – Zmusił się do uśmiechu. – To i tak będzie lepszy koniec, niż się spodziewałem.

# CZEŚĆ TRZECIA

## **SOWA**

## Mały człowiek z kamienia

*Po trwającej ponad rok podróży dotarli wreszcie do ponurego zamczyska zwanego Oblężeniem Wiecznej Zimy, lecz Moros lękał się iść dalej, więc opuścił Sierotę u bram.*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Pożary w mieście na stałym lądzie i dopalające się na wodzie szczątki xiskich statków sprawiały, że noc pojaśniała, jakby nastał świt. Niektóre statki spłonęły do linii zanurzenia i ich bezimienne resztki posykiwały, wyrzucając w górę strumienie pary i snopy iskier.

Nie sądziłam, że wrócę w takich okolicznościach, pomyślała Briony, patrząc za oddalającym się brzegiem z łodzi poruszanej wiosłami przez Enę. Wszędzie dookoła inne łodzie sunęły w kierunku zamku niczym ryby w ławicy, zmierzając w jeden koniec zatoki. Eneas i jego ludzie posiadali na płytke łodzie po dwóch lub trzech, konie popłynęły barkami i teraz prawie osiemdziesiąt niedużych łodzi Muskających Wodę wracało na brzeg od strony zamku.

Ani Briony, ani Ena nie paliły się do rozmowy, dlatego krótka podróż upłynęła w milczeniu do momentu, gdy pierwsza łódź zbliżyła się do ruin grobli, z której został zaledwie niewielki cypel wystający między bramą zewnętrzną a skrajem Góry Midlana. Księżniczka pozwoliła, by Ena pomogła jej wysiąść i stanąć na śliskich kamieniach.

– Co teraz? – zapytała Briony. Ogromna Brama Bazyliżkowa wznosiła się nad nimi niczym nasrożony olbrzym. Wcześniej księżniczka nigdy się nie zastanawiała, jak czuje się człowiek, który przybywa do zamku i widzi ogromną bramę, dla niej stanowiła ona tylko jeden z ostatnich znaków, że zbliża się do domu. – W jaki sposób dostaniemy się do środka?

– Nie tak, jak robimy to my, Muskający Wodę, moja pani – odpowiedziała Ena, uśmiechając się. – To nasza tajemnica i niech tak



zostanie. Ale ty nie potrzebujesz naszych sekretów, Wasza Wysokość! Przecież wróciłaś do własnego domu!

– Nie wszyscy tutaj ucieszą się na mój widok – rzekła Briony, lecz Ena już zepchnęła łódź na głębszą wodę.

– Uważaj na siebie, królowo Briony! Jeszcze się spotkamy! – zawołała dziewczyna Muskających Wodę.

Briony chciała jej odpowiedzieć: „Jestem tylko księżniczką”, lecz uznała, że nie będzie robiła niepotrzebnego hałasu. Pozostałe łodzie przybijały do skalistego cypla ze swoimi pasażerami i wracały na wodę, gdy tylko ludzie Eneasza wysiadali na grobli. Z gardeł Muskających Wodę popłynęła pieśń, niska i ledwo słyszalna poprzez huk wody napierającej na kamienie. Briony nie znała języka, w którym śpiewali, lecz domyśliła się, że jest to pieśń, ponieważ melodia wznosiła się i opadała jak fale. Kim w rzeczywistości są Muskający Wodę? Kobieta o imieniu Saqri wspomniała, że są krewnymi Qarów, co wydawało się niemożliwe. Ludzie wody byli mieszkańcami Marchii Południowej i przybywali tam na długo przed i długo po tym, jak wypędzono Qarów poza Granicę Cienia.

Z wieczornej mgły wynurzył się Eneasze. Kiedy Briony ujrzała wysokiego mężczyznę o surowym obliczu, przez chwilę wydawało jej się, że to ojciec.

– Księżniczko, dobrze się czujesz?

– Tak. – Od świtu dzieliło ich jeszcze kilka godzin. Ciemności rozświetlały jednak płonące statki i pożary w mieście. – To chyba niezbyt dobre miejsce na rozbicie obozu. – Pokazała potężne mury wyrastające nad nimi i bramę jak ogromne drzewo, jakby wyrzeźbioną w cielsku bazyliuszka. – Masz jakiś plan, jak wejść do środka?

– No cóż, trochę spóźniliśmy się na kolację, ale chyba możemy obudzić odźwiernego. – Eneasze przywołał jednego z żołnierzy, który zaraz wyjął trąbkę. Na znak księcia odegrał głośno wezwanie do bitwy. Zaskoczona Briony zakryła uszy dłońmi i odsunęła się nieco.

Kilka chwil później na szczycie bramy pojawiła się głowa, a potem kolejne trzy albo cztery. Strażnicy w hełmach przycupnęli tak nisko, że byli ledwo widocznymi wybrzuszeniami nad blankami, podobni do ząbków wyrastających dopiero z dziąsła niemowlęcia.

– Kto idzie?! – zawołał jeden z nich z tak dużej wysokości, że wiatr niemal porwał jego słowa. – Ludzie autarchy? Przyszliście po wodę, żeby ugasić swoje płonące statki? Dostarczymy wam jej, ale nie tak, jak byście chcieli.

– Nie jesteśmy południowcami! – krzyknął Eneasze. – Jesteśmy sprzymierzeńcami! Wpuście nas!

– Sprzymierzeńcami? Dobre sobie! – odkrzyknął mężczyzna. – Wiatr was przywiał i postawił przed Starym Jaszczurem? Jeśli myślisz, że was wpuścimy, toś skończony wariat!

– Wariat i wariatka! – krzyknął Eneasze. – On mieni się prawowitym dziedzicem tronu szańskiego, ona zaś uważa się za panią tego zamku!

– Na miłość bogów! – odezwała się Briony głosem drżącym z przerażenia. – Czyś ty oszalał, Eneaszu? To ludzie Tolly’ego!

– Być może – odpowiedział jej pogodnie. – A może nie. Dowiedzmy się.

– Co za bzdury opowiadasz, człowieku? – dopytywał się mężczyzna z muru. – Pani zamku? Pewnie jakaś flądra, a ty jesteś pijanym głupcem, durny rybaku. Wracaj do swojej łodzi i odpływajcie, zanim poczęstujemy was strzałami!

Jeden ze szańskich żołnierzy założył już strzałę na cięciwę, gotowy uciszyć strażnika, lecz Eneasze powstrzymał go uniesioną dłonią.

– Zostaw – powiedział cicho.

– Ale, Wasza Wysokość! – zaprotestował żołnierz. – Słyszałeś...

– Tak – odrzekł Eneasze podniesionym głosem. – To ty czujesz oddech Starego Węża na karku. Jestem księżę Eneasze ze Syanu. Otwórzcie bramę! Jesteśmy sprzymierzeńcami waszego prawowitego króla! – Odwrócił się do Briony i powiedział ciszej: – To powinno dać początek ciekawym rozmowom!

Nad ogromną bramą pojawiło się więcej głów, ludzie z pochodniami spoglądali w dół na przybyszów. Briony wstrzymała oddech i modliła się o pomoc Zorii. Wiedziała, że w stróżówce i w potężnych wieżach po jej obu stronach stacjonuje co najmniej penturia wojska. Może i Eneasze miał więcej ludzi, ale pozostali nieosłonięci i nie mieliby się gdzie skryć przed strzałami. Muskający Wodę odpłynęli, więc musieli zostać na wąskim kamienistym cyplu.

– To rzeczywiście syański książę! – zawołał ktoś z muru. – Znam ten sztandar! To on!

– Oszust! – krzyknął ktoś inny. – Albo zdrajca!

– Otwórzcie bramę! – zawołał ktoś inny. – Wpuśćcie ich! To oni zatopili statki tego... otarchy!

– Zabiję pierwszego, który zbliży się do kołowrotu! – krzyknął znowu ktoś u góry i zaraz rozległy się inne głosy, a postacie na murze zaczęły się poruszać chaotycznie.

Briony z przerażeniem zobaczyła, jak z dachu stróżówki spada jakiś człowiek i pokonawszy wysokość dziesięciu dorosłych mężczyzn, uderza o ziemię z upiornym plaśnięciem przed Eneaszem i jego ludźmi.

W wąskich otworach wież po obu stronach bramy błyskały pochodnie w rękach biegających ludzi. Jeden z dzwonów Bramy Bazyliżkowej odezwał się kilkoma uderzeniami i zaraz zamilkł, jakby dzwonnik został skutecznie powstrzymany. Także w innych częściach murów pojawiły się pochodnie, jako że walka przy bramie głównej zwróciła uwagę innych strażnic.

– Formować szyk! – rozkazał Eneasze. – Tarcze w górę, mogą nas ostrzelać!

Briony ochoczo zasłoniła się tarczą, lecz szybko poczuła nieznośny ból w ramionach i prawie uznała, że woli spotkanie ze strzałą. Rzeczywiście, z góry spadło kilka strzał, lecz posłano je chaotycznie i nie z samego szczytu muru, jakby kilku przestraszonych żołnierzy po prostu wypuściło strzały w ciemność.

Wreszcie zapadła cisza, którą przerwało skrzypienie ogromnych wrót, a Eneasze powstrzymał swoich ludzi gotowych do ataku. Opuszczana krata zadrżała i uniosła się, a chwilę później pojawiła się garstka ludzi z pochodniami, którzy stanęli tak, by przepuścić nie więcej niż tuzin ludzi.

– To naprawdę ty, książę Eneasz? – zapytał jeden z mężczyzn. Podchodził, utykając, z pochodnią uniesioną wysoko, jej płomień migotał targany wiatrem, który wiał od zatoki przez otwartą bramę.

– To ja. Znam cię? – Eneasze wysunął się do przodu.

Briony pospieszyła za nim, ponieważ uznała, że jego pewność siebie stanowi lepszą obronę niż najtwardsza syańska tarcza.

– Nie, panie. Nie znasz mnie. Ale my, prawdziwi mieszkańcy Zamku Marchii Południowej, z radością cię witamy. Czy to ty spaliłeś xiskie statki?

Strażnicy szybko otoczyli Eneasza i jego ludzi, lecz Briony nie widziała na ich twarzach wrogości. Inni schodzili ze strażnic, by sprawdzić, co się dzieje, ale ogólne zamieszanie już ustało. Kilkunastu żołnierzy siedziało pod murem, opierając się o niego plecami, pilnowali ich ludzie uzbrojeni we włócznie. Kilku innych leżało nieopodal, lecz tych nikt nie musiał pilnować, o czym świadczyły ich powykęcane nienaturalnie kończyny i mokre od krwi krótkie płaszcze.

Żołnierz, który przemawiał, zobaczył, że Eneasza i jego świta spoglądają na ciała.

– Ludzie Tolly’ego, szumowiny. Jeden próbował wszcząć alarm. Inni zamierzali ostrzec protektora i jego sługusów, wszyscy schowali się w królewskiej rezydencji. Co się dzieje, panie? Przybyłeś, by przepędzić tych cholernych przybłędów z Summerfield? Niech bogowie cię błogosławią, Wasza Wysokość, jeśli tak jest. – Mężczyzna popatrzył nad ramieniem Eneasza, jakby mógł dojrzeć, co się dzieje na drugim brzegu. – A co z autarchą? Co się stało z jego statkami?

– Długo by opowiadać – odrzekł Eneasza. – Moi ludzie potrzebują stawy i dachu nad głową.

– Oczywiście, książę Eneaszu... – zaczął przywódca załogi z zamku, a wtedy Briony wyszła z cienia i stanęła w plamie światła pochodni.

– Nie zamierzam wchodzić do własnego domu potajemnie – rzekła. – Otwierając bramę dla syańskiego księcia, wpuściliście także Eddonów. – Zdjęła hełm, licząc na to, że zostanie rozpoznana pomimo krótko ściętych włosów.

Ludzie z zamku zwrócili się w jej stronę zdumieni, usłyszawszy kobiecy głos.

Ich przywódca, ten kulejący, przyklęknął na kolano.

– Chwalić Trzech – powiedział. – To córka króla Olina.

Towarzysze zebrani wokół niego także przyklęknęli, szepcząc w podnieceniu.

– Nie kłaniajcie się – powiedziała. – Spójrzcie na mnie i nie kłaniajcie się! Nie chcę, by rozniosła się wieść o moim przybyciu.

Najpierw musimy się rozeznąć w sytuacji i postanowić co dalej. – Chciałaby, żeby pamiętali jej imię, tak samo jak pamiętali imię jej ojca, lecz nadzieja i zadowolenie malujące się na ich twarzach stanowiły wystarczającą nagrodę. – Chodźcie za mną wszyscy, którzy mnie słyszycie. Niech nikt nie zostanie. Wystawcie strażę na bramie, a reszta niech idzie za mną i księciem Eneaszem.

– Twierdza wewnętrzna jest pełna sług Hendona Tolly’ego, Wasza Wysokość – powiedział jeden ze strażników. – Tutaj jesteś bezpieczna, ale większość popleczników protektora siedzi z nim w rezydencji. Mają co najmniej tylu ludzi, ilu liczą wasze oddziały, księżniczko, i więżą wiele naszych kobiet i dzieci.

– Tym bardziej powinniśmy działać powoli i nie afiszować się zbyt – odpowiedziała Briony. – Zaprowadź nas tam, gdzie nasi żołnierze będą mogli odpocząć.

Kilku mężczyzn wydało radosne okrzyki, lecz pozostali szybko ich uciszyli. Przywódca spojrzał na Briony.

– To naprawdę ty, księżniczko? – zapytał.

– Tak. A mój ojciec żyje. Eddonowie nie oddali tronu ani swoich poddanych.

– I wszystko będzie dobrze? Znowu będzie dobrze?

Spojrzała na niego i nagle poczuła ogromne brzemię tego, kim jest i co jeszcze musi zrobić, jakby wielki kamień przygniótł jej pierś, tak że przez chwilę nie była w stanie dobrać z siebie głosu.

– Tego nie potrafię powiedzieć – wydusiła wreszcie. – Ale zrobię, co w mojej mocy.

\*\*\*

Barrick wciąż powracał myślami do spotkania z siostrą, lecz nie potrafił powiedzieć, co go trapi w związku z tym wydarzeniem. Nie chodziło o emocje – a przynajmniej nie o mieszane i źle interpretowane odczucia, które go dręczyły, zanim otrzymał dar Ognistego Kwiatu – ale utrudniało mu to skupienie się na tym, co Saqri mówiła o Yasammez.

– ...tak więc spotka się z nami w Wielkim Wykopie.

– Nie rozumiem. Dlaczego Yasammez nie stanęła z nami do walki! Przecież wojna to jej żywioł!

Myśli Saqri niosły ze sobą zarazem niezadowolenie i gniew, lecz te, które zdecydowała się wyartykułować, były klarowne.

– Podejrzewam, że chciała się przekonać, jak sobie poradzę z dowodzeniem i Pieczęcią. A może zajęła się własnymi sprawami.

– Na przykład jakimi? – Garść wspomnień Ognistego Kwiatu nie dawała mu spokoju, kusząc go, lecz on pamiętał nauki Ynnira, co robić w takiej sytuacji. Po prostu był i pozwolił im krążyć wokół siebie.

– Waśniami wśród własnych bliskich doradców. Wiesz, że Yasammez i mój mąż różnili się w swoich poglądach. Ale może nie słyszałeś albo też nie potrafiłeś wyłowić z morza informacji Ognistego Kwiatu, że różnice te nic dadzą się tak po prostu rozdzielić na dwa obozy.

– Powiedz mi coś więcej – poprosił, choć zabrzmiało to jak: „Sprowadź mnie do swojej myśli”. Zorientował się, że posługuje się ideami Qarów niemal tak samo często, jak mówi ich językiem.

– Yasammez od samego początku nas ostrzegała, że powinniśmy zetrzeć z ziemi śmiertelników, zanim będzie za późno. Ale wiek i doświadczenie ją zmieniły i już nie pała do was tak wielką nienawiścią jak kiedyś. Wciąż jednak jest wśród nas wielu, także członków dzikich plemion, jak Oszuści czy Strażnicy Żywiołów, których ucieszyłaby wasza zagłada.

– Dlaczego więc Yasammez posłała mnie do króla Ynnira? – zapytał Barrick. – Czy to znaczy, że zmieniła zdanie o moim rodzaju? A może sądziła, że darując mi życie, może... pomóc Ynnirowi?

Saqri pozwoliła mu poczuć pustą zamgloną myśl ilustrującą wzruszenie ramion.

– Nie wiem. Próbowалам wybadać jej umysł, lecz ona skrywa swoje myśli, nawet przede mną. – Teraz pozwoliła mu odczuć trochę bólu, który ją dręczył. – Tak dużo się zmieniło. Kiedyś Yasammez była dla mnie kimś więcej niż matka...

Nie dokończyła myśli, a Barrick nie naciskał. Wyczuwał tyle cierpienia i zmieszania, tyle rzeczy dla niego niezrozumiałych, uczuć

ujawnionych i bardzo osobistych, wypełniających tak złożoną istotę, że nie chciał brnąć dalej.

– A zatem stanęliśmy w obliczu naszych ostatnich godzin, Barricku – dokończyła wreszcie Saqri – a wszystko, co kiedyś było pewne, stało się niepewnością. Z wyjątkiem porażki. Ona, jak zawsze, kończy wszystkie nasze opowieści.

\*\*\*

Mroczna pani spotkała się z nimi w miejscu nazywanym przez Funderlingów Starym Barytowym Przesłem. Poprzedzała ją straż z pochodniami, od których żyłki kwarcu w ścianach lśniły jak błyskawice. Przez chwilę Barrick się zastanawiał, czy te wszystkie światła są przeznaczone dla niego, jako że większość Qarów widziała w ciemnych korytarzach niemal równie dobrze jak Funderlingowie, którzy zwykle je przemierzali.

Kiedy Yasammez zeszła do pieczary z wyciętych w litej skale schodów, Saqri uniosła dłonie w geście powitania.

– Znowu jesteśmy razem.

– Tak. Znowu razem. – Yasammez zwróciła poważne oblicze ku Barrickowi. – Musiałeś walczyć przeciwko swoim. Wciąż chcesz stać u naszego boku?

– Przeciwko swoim? – Dopiero po chwili odgadł, że miała na myśli żołnierzy autarchy. – Dla mnie oni nic nie znaczą. To najeźdźcy. Intruzi. Gdybym mógł zmieść ich wszystkich jednym uderzeniem miecza, zrobiłbym to.

Yasammez przyglądała mu się bacznie i w milczeniu przez długą chwilę.

– Czas ucieka – powiedziała w końcu.

Narada trwała zaskakująco krótko. Barrick przywykł do tego, że Qarowie potrzebują czasem całych dni, by podjąć decyzję lub coś zrobić, lecz wydawało się, iż przejęcie przez Saqri Pieczęci Wojny dużo zmieniło: Yasammez udzielała niewielu rad i nie sprzeciwiała się prawie niczemu, pozwalając, by Saqri wydawała rozkazy.

– Musimy spróbować pokonać południowców w Ostatniej Godzinie Przodka w największej Głębi – orzekła Saqri, kiedy wysłuchiwała swoich zastępców. – Jest ich jednak zbyt wielu, byśmy otwarcie mogli stawić im czoło. Nawet jeśli Vansen i drowy wciąż żyją i moglibyśmy zaatakować południowców z dwóch stron, autarcha ma zbyt liczne siły. Bezpośrednia walka nie wchodzi w grę. Ważny jest czas, a oni są już głęboko pod nami, u progu Głębi.

W głowie Barricka wirowały myśli i wspomnienia Ognistego Kwiatu, lecz milcząca obecność Ynnira doprowadziła go do tych koncepcji, które były istotne w tej chwili i wypływały z zamętu niczym nuty zagrane na lutni. Zaczynał rozumieć.

– Ale Szachraj... nie żyje. – Zadrżał, wstrząśnięty burzą, jaką wywołała w jego umyśle ta myśl... wszystkie znaczenia, wspomnienia, prastare nadzieje i udreki. Trudno było w ogóle wypowiedzieć te słowa. Bóg, który był ojcem Yasammez i dał początek Wojnie Bogów... Barrick zignorował zimny powiew irytacji płynącej ku niemu od Yasammez i niektórych Qarów. – Zepchnął tam dawnych bogów i zatrzaskał wejście. Autarcha zaś chce ich uwolnić!

Saqri przytaknęła.

– I podobnie jak większość śmiertelników nie ma pojęcia, jak straszne są niektóre z tych... istot, jak długo czekały za murami koszmaru...

– I jak chciwie i żarliwie wypatrują szansy wydostania się stamtąd. – Yasammez wstała, cała w czarnej zbroi niczym cień, tak że przez chwilę wydawało się, że jej twarz unosi się w ciemności jak księżyc. – Bez względu na grzechy śmiertelników, nie życzylabym takiego horroru samej ziemi, która jest niewinna. Już czas. Nie możemy dłużej czekać. Jakie jest twoje życzenie, wnuczko?

Saqri milczała przez chwilę, jakby niespodziewane pytanie Pani Jeżozwierz ją zaskoczyło.

– Potrzebujemy sposobu. – Zwróciła się do ettinów: – Śpiewodrapie, razem z innymi pracowałeś tu, podczas gdy my walczyliśmy z południowcami. Co odkryłeś?

Głos syna Młotostopego przypominał mruczenie budzącej się lawiny.



– Tunele, które zaprowadzą nas aż do żywej rany ostatniego i największego wysiłku Szachraja, a stamtąd do ostatecznych Głębi, pani, częściowo trzeba oczyścić. Będziemy walczyć tam, gdzie nasza droga przetnie się z trasą zejścia sił autarchy, lecz jeśli uderzymy szybko i będziemy pracować niezmiernie, możemy ich pokonać w Ostatniej Godzinie Przodka.

– Niech tak będzie. – Saqri powoli wypuściła powietrze, co przypominało westchnienie. Barrick pierwszy raz widział, by tak reagowała. – Jutro jest ostatni dzień... być może ostatni ze wszystkich dni. Niech nikt z nas nie powie, że mógł zrobić więcej.

\*\*\*

Otępiały Daikonas Vo obserwował paradę potworów z niejaką fascynacją. Wędrował, potykając się w ciemności, tak długo, że blask pochodni go oślepił i musiał zasłonić oczy. Czego chcą? Czy rzeczywiście to *pariki*, jak nazywali ich mieszkańcy Xandu – czarodziejscy ludzie posługujący się jego ojczystym językiem? Co robią tutaj pod zamkiem? Sądził, że autarcha wszystkich się pozbył...

Vo potrząsnął głową, by choć trochę pozbyć się zamroczenia. Czy to ma znaczenie? Wędrował w ciemności tak długo, że ledwo pamiętał, kim jest. Jedynie palący ból, który rozlewał się z żołądka na całe ciało niczym trucizna, przypominał mu, co się z nim stało, dlaczego jeszcze oddycha i idzie, mimo że wszystko w jego wnętrzu domaga się, żeby się położył i poddał słodkiej śmierci.

O ile śmierć byłaby dla niego ulgą. Podczas wędrówki ciemnymi korytarzami Vo znowu zaczął słyszeć głos matki, która szeptem opowiadała mu o bogach, ostrzegała go przed wężami i mrocznymi demonami, które będą polować na niego po śmierci, by go nie dopuścić do łona pradiadka Nushasha, słońca.

A czyż groteskowe stwory maszerujące na jego oczach przez podziemne pieczary nie stanowiły dowodu na to, że takie monstra istnieją nawet w życiu doczesnym? Ze skrzydłami nietoperza, z głową hieny, pokryte szorstkimi łuskami jak najpodlejsze pustynne żmije... i te oczy! Migoczące, rozjarzone ślepie, które płonęły jak rozżarzone węgle.

Z pewnością wypatrzyły go nawet w jego kamiennej kryjówce wysoko w zagłębieniu ściany pieczary, gdzie wąski szlak, którym wcześniej podążał, skończył się nieoczekiwanie sto stóp nad podłożem. Tyle razy omal nie spadł w otchłań w tym ciemnym prastarym piekle, musi istnieć powód, dla którego jeszcze żyje! Bogowie istnieją i litują się nad Daikonasem Vo. Nie znalazł innego wyjaśnienia. A kiedy wypełni swoją misję, przyjmą go do siebie. Żadne bestie nie będą na niego polować w mrocznej krainie śmierci. Nie pożrą go węże.

Stworzenia pod nim trwały długo nieruchomo, oddając się jakiemuś milczącemu rytuałowi. W końcu jednak się ruszyły i podążyły w głąb ziemi, ku ostatecznemu celowi, do którego zmierzał także Daikonas Vo. Uznał, że pójdzie za nimi. Dla kogoś, kto tak długo wędrował w ciemności, pomocne będzie nawet odległe światło pochodni i czyjeś kroki, na tyle głośne, by wskazać mu kierunek bez konieczności zbytniego zbliżania się.

Pałący ból sprawił, że się skrzywił i zgiął wpół, tak że omal nie spadł ze skalnej półki, jakby chciał mu przypomnieć, jaka kara czeka go za niezdarność. Cierpienie trzymało go w kleszczach długie chwile.

Dziewczyna z rudym pasemkiem, dziewczyna, która próbowała go zamordować, czekała gdzieś tam w głębi. Czekają tam też wielki Sulepis. Nawet bogowie czekają na Daikonasa Vo. Nie może ich rozczarować.

Gdy ból wreszcie minął, a ostatni z nieśmiertelnych potworów opuścił pieczarę, Vo zaczął ostrożnie schodzić ze swojej wysokiej kryjówki.

\*\*\*

Szli ciemnymi i wąskimi korytarzami tak długo, że Barrick zapadł w sen na jawie, aż wreszcie Saqri dała znak, że pora rozbić obóz. Od jakiegoś czasu posuwali się nad krawędzią ogromnej, prawie okrągłej rozpadliny, która wydawała się dorównywać obwodem starym murem wewnętrznym Zamku Marchii Południowej i ciągnęła się daleko poza zasięg pochodni.

– To jest rana – rzekła Saqri, przyglądając się, jak jej towarzysze przygotowują obóz. – Blizna ostatniego wysiłku Szachraja.

– To? Ta dziura? – Widok, jaki Barrick miał przed sobą, nie odpowiadał wspomnieniom Ognistego Kwiatu, które płynęły przez jego umysł jak bańki mydlane. – Jesteśmy...?

– Nie. – Saqri przysunęła się do krawędzi. – Gdybyś upuścił kamień, spadałby bardzo długo, zanimby uderzył o dno. Ale daleko w dole, za wieloma skrętami i uskokami tej ogromnej rozpadliny, czeka tamto miejsce – Ostatnia Godzina Przodka. Tak więc to początek ostatniego etapu naszej podróży. Kiedy skończymy przygotowania, zaczniemy schodzić.

– Na samo dno? – Barrick pomyślał o kamieniu, który spada w nieskończoną otchłań, i nie potrafił sobie wyobrazić, że zejda tak nisko. – Liny całego świata by nie wystarczyły, żeby się tam dostać!

Saqri pozwoliła sobie na ledwo dostrzegalny uśmiech.

– Zejdziemy trochę niżej i ruszymy tunelami. Potem wrócimy do rany. Wymaga to czasu, ale przynajmniej dotrzemy do miejsca, w którym zbierają się nasi wrogowie i... sprzymierzeńcy. – Wykonała gest dłoni zwróconej wnętrzem w dół – „woda wnika w glebę”. – Masz trochę czasu, ludzkie dziecko, więc wykorzystaj go i odpocznij trochę. Przyślę po ciebie, kiedy będziemy gotowi.

Zamierzał posłuchać rady Saqri, lecz niepokój i nieustające szepty Ognistego Kwiatu nie pozwalały mu się odprężyć. Wstał i zaczął się przechadzać między Qarami, obserwując, jak pracują, podziwiając ich różnorodne postacie i rodzaje, pomimo chóru głosów Ognistego Kwiatu, który go zapewniał, że wszystko to jest zwyczajne i znajome. Barrick nie odzywał się, dopóki nie przemówił do niego jeden z Qarów, wciąż niepewny, jakie jest jego miejsce wśród tych dziwnych i prastarych istot. Wydawało mu się, że w twarzach niektórych dostrzega niechęć, w innych zaś ciekawość i że jego obecność jest w równym stopniu niepokojąca dla nich, jak i dla niego samego.

Kim jestem? Z pewnością nie księciem, ale też nie zwykłym poddanym. Mam w sobie krew i wspomnienia wszystkich ich królów, ale wiem o nich mniej niż o chłopach z dalekiego Xis.

W końcu doszedł do krawędzi rozpadliny i długo stał nad nią w milczeniu, usiłując zrozumieć znaczenie tak ogromnej dziury w ziemi. Jak to możliwe, że jego rodzina od pokoleń sprawowała rządy w tym

kraju i wiedziała o nim tak niewiele? A może tylko on był nieświadomy, skupiony na własnym nieszczęściu?

– Mistrzu? – odezwał się ktoś. Tytuł ten miał wśród Qarów określone znaczenie: odnosił się nie tyle do przywódcy czy zwierzchnika, ile obcokrajowca, którego status jest nieznan.

Barrick się odwrócił i zobaczył przed sobą trzy gobliny wpatrzone w niego poważnymi lśniącymi oczami.

– Tak?

– Pracowaliśmy w bocznych tunelach z polecenia królowej w bieli. Tam wyczuliśmy kogoś. Śmiertelnika.

W pierwszej chwili pomyślał, że próbują go obrazić, tylko nie wprost, może sugerują, że powinien się umyć. Qarowie w większym stopniu dbali o czystość niż ludzie kraju słońca, jak zauważył książę.

– Śmiertelnika?

– Tak, panie. Takiego jak ty, ale jednak innego. – Gobliny przez chwilę się trącały i gromiły nawzajem wzrokiem, a potem ten, którego wybrali na swojego przedstawiciela, zaczął jeszcze raz: – Starszy. Trochę mniejszy. Przyjdiesz go zobaczyć?

Barrick podążył za nimi, oddalając się od wielkiej rozpadliny.

– Co z nim zrobiliście? Wzięliście do niewoli?

Gobliny spojrzały na Barricka zdumione.

– Nie, panie! – odrzekł przedstawiciel. – Nie zrobilibyśmy niczego takiego bez twojego polecenia...

– Królowa była zajęta – dodał jeden z jego towarzyszy, za co został zgromiony spojrzeniem przez przedmówcę. – A mrocznej pani się boimy.

– Cicho, głupcze – mruknął trzeci goblin do nikogo konkretnego.

Tylko podszeptowana wiedza Ognistego Kwiatu pozwalała Barrickowi zorientować się co do płci rozmówców.

Poprowadzili go krętą ścieżką i wyszli za obóz Qarów. Tutaj, na skraju światła, gdzie cienie mocno się wydłużały, Barrick po raz kolejny uzmysłowił sobie, jak rzadko oglądał słońce od momentu wyruszenia na tę nieszczęsną przygodę.

Powinienem był zostać pod gołym niebem tak długo, jak to było możliwe...

Jego myśli przerwało wspomnienie, jak to razem z Briony zbiegali po nasłonecznionym stoku Skały M'Helana, po kolana w więzówce, słuchając szumu morza płynącego w dole. Myśl ta okazała się bolesna jak dźgnięcie sztyletem prosto w serce. Zaraz poczuł, jak wspomnienia Ognistego Kwiatu gromadzą się i przykrywają ją niczym motyle przysiadające na kwiecie, lecz przez ułamek chwili poczuł ukłucie wątpliwości. Czy Ognisty Kwiat w jakiś sposób ukrywa przed nim pewne rzeczy? Próbuje oddzielić go od jego życia?

Chwilę później ta i podobne spekulacje przestały go trapić, gdyż ukazała się kolejna grupa bosonogich goblinów, którzy nieśmiało popychali smukłymi ostrymi włóczniami mężczyznę dwa razy większego niż oni. Najpierw Barrick pomyślał, że może to xiski żołnierz, który oddzielił się od towarzyszy, lecz pucłowata twarz mężczyzny była tak samo blada jak jego oblicze...

Zdumiony Barrick wpatrywał się w mężczyznę, a on w niego.

– Mój książę...? – odezwał się mężczyzna. – Jesteś... czy ty...? To naprawdę ty, książę Barricku?

Barrick potrzebował dłuższej chwili, żeby sobie przypomnieć.

– Chaven – odezwał się wreszcie głośno. Jego głos, dawno nieużywany, zabrzmiał sucho i ochryple. – Co tu robisz, medyku?

– Książę Barrick! To naprawdę ty! – Mężczyzna patrzył przed siebie, jakby dopiero co się obudził. Chwilę później, jakby coś się w nim poruszyło i odblokowało uczucia, rzucił się do przodu z rozłożonymi szeroko ramionami, lecz Barrick się cofnął. – Ależ jesteś wysoki, książę! rzekł Chaven. – Ach, minął prawie rok... – Pokręcił głową. – Ależ trajkoczę. Skąd się tu wzięłeś, Wasza Wysokość? Jak przeżyłeś wojnę z czarodziejskimi ludźmi? – Pokazał goblina, które przyglądały im się podejrzliwie. – Jesteś ich więźniem? Nie, to ty ich zniewoliłeś w jakiś sposób...

Barrick poczuł narastające zniecierpliwienie wobec tego przysadzistego niewysokiego człowieczka, który nie przestawał mówić.

– Pytałem, co tu robisz. Jesteś w obozie Qarów. Toczy się wojna. Nie powinno cię tu być.

Chaven spojrział na niego zdziwiony.

– Skąd ten chłód, Wasza Wysokość? I gniew? Czyniłem samo dobro twojej rodzinie, gdy cię nie było, pomogłem ocalić życie twojej siostrze!

Barrick miał w głowie zamęt, głosy Ognistego Kwiatu mieszały się z jego wspomnieniami. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego rozgniewał się na medyka.

– Pytam cię po raz ostatni, Chavenie, co tu robisz, dlaczego skradasz się wokół naszego obozu?

– Skradasz? Ja... – Uczony pokręcił głową i zamilkł na chwilę. – Będę szczery, książę Barricku, nie wiem. Ja... przyznaję, że jestem trochę dezorientowany. Chyba zabłądziłem. – Rozejrzał się powoli. – Tak, gdzie ja jestem? Pamiętam, że byłem z Rogowcem i innymi...

Imię to nic nie mówiło Barrickowi. Już miał się odwrócić od medyka, gdy jeden z goblinów pociągnął go za rękaw.

– On coś ukrywa pod szatą, mistrzu. Widzieliśmy, kiedy szedł. Mały człowieczek z kamienia. Uważaj, żeby cię nim nie uderzył...

– Co? Bzdura! – zawołał medyk bardziej oszołomiony niż obrażony. Objął się ramionami, jakby chronił brzuch.

– O czym oni mówią, Chavenie? Pokaż mi to.

– Ale... to nie jest... – Przestraszony surowym spojrzeniem Barricka medyk wsunął dłoń pod szatę i wyjął ukrywany przedmiot. Był to posążek męczyzny z sową na ramieniu, wyrzeźbiony w kryształach przecinanym blad różowymi, szarymi i niebieskimi żyłkami. Głosy Ognistego Kwiatu zaśpiewały głośno w głowie księcia, równie dezorientowane jak on sam.

– Ja... już gdzieś to widziałem. – Długą chwilę wpatrywał się w posążek, a potem skierował wzrok na medyka, który wciąż sprawiał wrażenie na wpół rozbudzonego, jak ktoś, kogo wyciągnięto z łóżka i postawiono w zupełnie nieoczekiwanej sytuacji. A potem nagle wróciło wspomnienie niczym ogień mknący przez suche zarośla. Stał w kaplicy Erivora w domu. Ktoś ukradł posążek. – Barrick miał wrażenie, jakby jego twarz nie należała do niego, nie miał pojęcia, jaką ma minę. – To ja go ukradłem. Razem z Briony wrzuciliśmy go do oceanu. Więc jak to jest możliwe, że masz go tu i teraz?

– Nie wiem, Wasza Wysokość! – Medyk pokręcił gwałtownie głową. – Ależ tak, oczywiście, że wiem! Przynieśli mi go Muskający

Wodę. Znaleźli go poławiacze ostryg i... myśleli, że powiem im, czy jest coś wart. Kupiłem go od nich. – Kiedy skierował wzrok na Barricka, jego spojrzenie wyrażało wyrachowanie, lecz także uczucie głębsze i dziwniejsze, niemal zwierzęce przerażenie. – Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego... postać Kerniosa Olognothasa, wszechwidzącego Pana Ziemi. Tak pragnąłem go mieć.

– Tak bardzo chciałeś mieć ten ciężki posążek ponurego boga śmierci, że nosisz go ze sobą tu w głębi ziemi? Co w ogóle robisz pod zamkiem, człowieku? Co ukrywasz?

Chaven skulił się.

– Mój książę, przerażasz mnie. Powiem ci wszystko, obiecuję. Odpowiem na wszystkie twoje pytania. Zaprowadź mnie tylko do swojego obozu i pozwól się posilić. Zupełnie zaschło mi w ustach. Nie potrafię powiedzieć, jak długo chodzę tymi pustymi tunelami...

– Oczywiście, że zaprowadzę cię do obozu – rzekł Barrick. – A potem spotkasz się z Saqri, królową czarodziejskich ludzi, i odpowiesz na jej pytania. A jeśli nie dopisze ci szczęście, to poznasz też Yasammez. Niektórzy nazywają ją Panią Jeżozwierz. Zmoczysz się jak nic.

Posłał medykowi zimne spojrzenie, po czym podziękował goblinom i pozwolił im odejść. Potem odwrócił się do medyka i powiedział:

– Ale najpierw...

Chaven gapił się na niego z otwartymi ustami.

– Powiedziałeś coś do niech, ale nie wyartykułowałeś głośno ani słowa. Jak to zrobiłeś?

– Nieważne. – Barrick machnął ręką. – Zostawisz posążek w moim namiocie. Nie chcę, żeby Saqri i inni dowiedzieli się o nim już teraz. – Chwytał medyka za łokieć i poprowadził kamienną ścieżką skrajem ogromnej dziury na środku pieczary.

– Ja... nic nie rozumiem, Wasza Wysokość – rzucił Chaven.

– Pewnie, że nie. – Barrick popchnął go lekko, by szedł szybciej. – A to dlatego, że w twoich żyłach nie płynie krew bogów i potworów tak jak w przypadku niektórych z nas.

## Ślizgając się na krwi

***Gdy tylko Sierota przekroczył bramę zamku, od razu znalazła go bogini Zuriyal, siostra Zmeosa zwanego Rogatym Wężem. Obdarzyła go współczuciem przez wzgląd na jego miody wiek i niewinną dobroć...***

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

– Rzeczywiście nadeszły ostatnie godziny – rzekł Malachit Miedziak. W miarę upływu czasu ten ważny Funderling wyglądał coraz mniej dostojnie w powyginanej i zakurzonej zbroi, z włosami rozczochranymi i przypalonymi z jednej strony ogniem racy. – Kiedy południowcy przekopią się przez barykadę z gruzu, którą usypaliśmy na środku Labiryntu, będziemy musieli stawić im czoło. Spowolniliśmy ich marsz w minionych dniach, ale to już ostatnie miejsce, w którym możemy ich powstrzymać.

Vansen pociągnął mały łyk wody z bukłaka. Proch wybuchowy, który Funderlingowie wykorzystywali do stawiania blokad, wycofując się stopniowo coraz dalej w głąb Labiryntu, spowodował też pęknięcia prastarego akweduktu, dlatego nie mieli już świeżej wody ani wiadomości, kiedy dostaną jej zapasy.

– Jak długo jeszcze mamy ich powstrzymywać?

– Niedługo – odrzekł Miedziak. – Zajrzałem do mnichów, którzy nieśli świecę czasową. Skończyła się wigilia przesilenia letniego, kapitanie. Na powierzchni nastąpiło święto. Albo je przeżyjemy, albo zginiemy. Sukces albo porażka.

– Chciałbym, żeby to było takie proste jak rzut monetą: żyjesz albo umierasz. – Vansen zmarszczył czoło. Poczł ból w szczęce uderzonej włócznią południowca, który strącił mu z głowy hełm. – Ale myślę, że szanse na przeżycie mamy bardzo małe, przyjacielu.



Nieopodal Cynober Rzęciowiec rzucał się i mamrotał pograżony w płytkim śnie. Został ranny w jednym z wybuchów spowodowanych przez wrogów w Sali Inicjacyjnej. Zginęło wtedy kilkunastu Funderlingów, lecz Vansen i Jaspis Młot zdołali dotrzeć do rannego magistra i wyciągnąć go razem z garstką innych rannych z zagrożonego terenu. Rany Cynobra wywołały gorączkę, która wydawała się dla niego najgroźniejsza, ale wreszcie trochę spadła. Teraz Funderling leżał na prowizorycznych noszach w Sali Objawienia, ostatniej zadaszanej części Labiryntu. Za nimi był już tylko otwarty Wielki Taras, a dalej rozciągała się pieczara, w której znajdowało się Morze w Głębiach i wyspa Lśniącego Człowieka.

Przykuśtykał Jaspis Młot i usiadł oparty o ścianę. Jego twarz przypominała maskę z brudu i zaschniętej krwi, a na łysej czaszce widniały liczne rany i siniaki. Patrząc na niego, Vansen pomyślał, że Funderling wygląda, jakby próbował rozbijać skały głową.

– Od końca drogi dzieli nas już tylko krótki odcinek – stwierdził Jaspis rzeczowym tonem. – Właśnie stamtąd wróciłem.

– Z Tarasu? – zapytał Vansen. – Wiem, widziałem...

– Kiedy już przebiją się tutaj, będziemy w stanie zatrzymać ich jakąś godzinę... a nasi szpiedzy informują, że południowcy nadejdą lada chwila. W ogromnej sile. – Jaspis spojrział na grupę umęczonych Funderlingów zajętych usypywaniem ostatniej barykady z kamieni. – Przynajmniej nie będziemy musieli daleko się wycofywać.

– Vansen... – Cynober się obudził i wyciągnął rękę. – Kapitanie Vansen?

– Jestem tu. – Vansen przykucnął przy Funderlingu. Cynober miał poważne złamanie nogi. Zdaniem kapitana, nawet jeśli magister jakimś cudem uniknąłby śmierci z rąk wrogów, to były małe szanse na uratowanie kończyny.

– Gdzie... gdzie jest mój chłopak? – zapytał Cynober.

– Kalomel jest cały i zdrowy. – Vansen się pochylił i ujął małą szorstką dłoń Funderlinga. – Kazaliśmy mu odpocząć i się posilić. Czuwał przy tobie cały dzień.

– Naprawdę? Jest cały i zdrowy? – Oczy Cynobra zalśniły. – Nie mówisz tego tylko po to, żeby pocieszyć umierającego?

Kapitan pokręcił głową.

– Nie umierasz, magistrze. Gorączka spadła i najgorsze minęło. Przysięgam na honor żołnierza, że Kalomel ma się dobrze, to znaczy tak samo jak my wszyscy, czyli jest zmęczony i pozostaje na skromnych racjach żywnościowych. To wspaniały dzielny chłopak i z pewnością będzie żył, żeśmy go odesłali, akurat kiedy się obudził.

Cynober, trochę uspokojony, opadł na nosze i wkrótce znowu zasnął.

– A co się stanie na samym końcu? – zapytał niespodziewanie Malachit Miedziak. – Wcześniej o tym nie myślałem. Czy będziemy spoczywać w ciemności przez tysiąc lat, jak mówią niektórzy, czy też od razu powstaniemy, by się stawić przed tronem samego Pana?

Vansen tylko pokręcił głową, czując, że znowu wzbiera w nim złość. Gdyby ci śmierdzący Qarowie dotrzymali umowy, może by do tego nie doszło. W duchu ciskał gromy na czarodziejskich ludzi. Ta Aesi'uah, pozornie tak miła, patrząc mu w oczy, zapewniła go, że Qarowie nie zostawią swoich sprzymierzeńców!

I w pewnym sensie mówiła prawdę, pomyślał. Bo jak można kogoś zostawić, jeśli w rzeczywistości nie doszło do połączenia sił?

– Położę się – powiedział znużonym głosem. – Prześpię się trochę. Proszę, żeby któryś z was mnie obudził, gdyby przechodzili tędy jacyś ludzie autarchy.

\*\*\*

Olin Eddon jęknął. Jego blada twarz lśniła zroszona kropelkami potu.

Pinimmon Vash skłonił głowę przed tym żywym trupem.

– Powiedz tylko, jeśli czegoś ci trzeba, Wasza Wysokość.

– Masz na myśli coś poza rozwiązaniem mi rąk. – Olin bardzo zmizerniał w ostatnich dniach, jego policzki były zapadnięte, wręcz sine pod zmierzwioną brodą. Za to spojrzenie pozostało na tyle jasne, że Vash starannie go unikał.

– Sam sobie jesteś winien, królu Olinie – odpowiedział i w tej samej chwili uzmysłowił sobie, że mówi jak jakiś stary Wybrany z Samotni,

który upomina jedną z mniej ważnych księżniczek. – Próbowałeś zabić Złocistego, więc nie możesz się spodziewać zbyt dużej swobody.

Olin zaśmiał się gorzko.

– Gdybyście mieli trochę oleju w głowie, ty i cała reszta tych xiskich owieczek, tobyście mi pomogli i potwór już by nie żył.

Vash mimowolnie poczuł dreszcz ulgi na samą myśl o takiej ewentualności, ale oczywiście nie mógł tego okazać.

– Głupiec z ciebie, królu Olinie. On jest słońcem na niebie. Każdego dnia mieszkańcy Xis dziękują niebiosom za zdrowie autarchy.

– Planując przy tym to, co mnie się nie udało. A skoro już o tym mowa, to jak się ma skotarcha?

Przez moment Vashowi się wydawało, że serce mu pęknie jak skorupka jajka. Rozejrzał się bojaźliwie, lecz poza strażą Olina w pobliżu nie było żadnych innych żołnierzy ani dworskich urzędników. Ale przecież nie można było mieć pewności, że władca z północy, powodowany gniewem, nie zacznie wygadywać takich bzdur w obecności Złocistego. Śmiertelnie przerażony pierwszy minister zaczął poważnie się zastanawiać, jak uśmiercić więźnia autarchy, tak by nikt się o tym nie dowiedział.

– Rozmawiałeś z nim, tak jak sugerowałem? – spytał Olin.

Niech go przeklną bogowie! Jest szalenie uparty!

– Nie mów tak do mnie, Wasza Wysokość. Czy chcesz, żeby mój pan stracił do mnie zaufanie? Nic z tego. Wie, że jestem mu całkowicie oddany.

– To niemożliwe. – Olin się uśmiechnął, ukazując dziurę po wybitym zębie. – Jesteś na to zbyt mądry, Vash. Dlaczego ktoś, kto żyje tak długo, powierza swój los takiemu szaleńcowi jak Sulepis? Nie wątpię, że zrobiłeś tak, jak ci radziłem, i jestem przekonany, że w twojej głowie zrodziło się mnóstwo nowych pomysłów...

Vash znowu rozejrzał się nerwowo. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Oczywiście, że rozmawiał z Prususem, niepełnosprawnym skotarchą, którego wcześniej nikt nawet nie podejrzewał o to, że potrafi mówić. Olin miał rację co do jednej rzeczy: Pinimmon Vash dożył swojego wieku nic dzięki głupocie, tak więc jeśli było coś, czego nie wiedział o człowieku, który miałby zastąpić Sulepisa Am-Bishakha, to

on musiał się tego dowiedzieć. I rzeczywiście dowiedział się wielu intrygujących rzeczy... ale nie był na tyle głupi, żeby rozmawiać o tym z tym żywym trupem.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiedział. – I nie chcę wiedzieć. Ach! – Wreszcie dostrzegł kogoś na tyle wysokiego rangą, by mógł go rozpoznać. – Oto wielki kapłan Panhyssir, ktoś, kto mówi z sensem.

– Skoro tak twierdzisz – rzekł Olin. – Kop swoją dziurę, ministrze. Mam nadzieję, że będzie głęboka, ponieważ zginie wielu, kiedy nadejdzie koniec, i nie będzie gdzie się schować.

Vash miał dość dziur i Olina Eddona. Odwrócił się plecami do władcy z północy i zawołał:

– Panhyssirze! Proszę o chwilę rozmowy...

– Wybacz, dobry panie – odrzekł kapłan, przechodząc z niedużą świtą. Machnął tłustą dłonią. – Nie mam czasu. Wykonuję ważną pracę dla autarchy, a czas ucieka.

Osiół. Vash miał ochotę rąbnąć laską wielkiego kapłana w jego paskudny zarozumiały łeb. Stał chwilę, usiłując się uspokoić, po czym podążył za Panhyssirem.

– Pójdę więc z tobą, przyjacielu, i zostawię króla Olina w przyjemnym towarzystwie jego strażników.

Vash poruszał się z trudem, szczególnie z rana, zaraz po wstaniu z łóżka, lecz na szczęście Panhyssir był gruby i nie chodził szybciej niż mihański żółw. Pierwszy minister dogonił go szybko i zaraz musiał pochylić głowę w niskim wejściu do jednego z bocznych korytarzy. Znajdowali się w części obrzędowej, to jasne, dlatego wejścia do tuneli i sklepienia nie były jednak tak niskie, jak można było się spodziewać. Vash aż się wzdrygnął, gdy pomyślał, jak to jest mieszkać wśród tych strasznych małych istot w ich okropnym ciemnym i ciasnym mieście. Człowiek jego postury musiałby chodzić na czworakach...

Ale niebawem to się skończy, wrócimy do Xis i już nigdy nie będę musiał oglądać tych żalonych wilgotnych zakamarków i paskudnych stworów, pomyślał z nadzieją.

Tymczasem Panhyssir trochę zwolnił. Ton jego głosu sugerował, że to z jego strony duże poświęcenie.

– O co chodzi, Vash, przyjacielu?

– Chciałem tylko zadać ci pytanie, dobry Panhyssirze, ale wolałbym... – Vash pochylił głowę w obniżeniu korytarza, które kwatermistrz zaznaczył farbą – ...porozmawiać gdzieś na osobności, zamiast dyszeć tu wśród pospólstwa.

– A zatem nie dodaje ci skrzydeł, jak nam wszystkim, świadomość, że jesteś na pierwszej linii frontu razem z naszym Złocistym?

Vash wbił spojrzenie w szerokie plecy Panhyssira. Tłusty, zadufany w sobie głupiec! Vash wielokrotnie słyszał narzekania kapłana podczas tej strasznej podróży, jak skarżył się na brak osobistego kucharza i na niebezpieczeństwa, na jakie jest narażone jego zdrowie w tym wilgotnym i wietrznym kraju. Raz nawet usłyszał, jak wielki kapłan skarży się, iż płacz dzieci uwięzionych w ładowni zakłóca mu popołudniową drzemkę. Dodaje skrzydeł, też coś!

– Nie mam twojej pogody ducha ani takich zasobów radości w przeżywaniu przygody, stary przyjacielu, to prawda – odpowiedział kapłanowi. – Lecz moja niechęć dotyczy raczej rzeczy, o których nie chciałem mówić w obecności podwładnych.

– Ach, w takim razie idź za mną. Znajdę kilka chwil, kiedy dotrzemy do Sanktuarium.

Pinimmon Vash niemal głośno jęknął. Komora, którą kapłani wybrali na Sanktuarium, znajdowała się na wysokości drugiego piętra, a wchodziło się tam przez kilkanaście minut.

– Jesteś miły – powiedział tylko.

Sanktuarium urządzono w jednej z większych komór kompleksu labiryntu, usytuowanej przy końcu płataniny korytarza, które Yisti z północy wydrążyli w skale dla siebie, a które wojska autarchy zdobyły przed kilkoma dniami. Zacisnąwszy zęby, podążył za kapłanem.

Vash z zaciekawieniem zobaczył, że najnowszy więzień Złocistego otrzymał honorowe miejsce w Sanktuarium i ustępował jedynie samemu Nushashowi: klatkę ustawiono na środku pieczary, niedaleko osłoniętej zasłoną szafki, w której trzymano starożytną połączoną drewnianą podobiznę boga. Dziewczyna – Kinten, Kwinten, imię nie miało znaczenia, jako że była córką jakiegoś pomniejszego kapłana – klęczała na słomie pośrodku klatki, z rękami związanymi z tyłu i twarzą

zasłoniętą czarnymi włosami, zapewne płakała. Vash rozpoznał ją dzięki płomiennie rudemu pasemku.

– Wybacz mi, ministrze – rzekł Panhyssir, przybierając bardzo oficjalny ton. – To wymaga punktualności. Codziennie o świcie, a także w południe i wieczorem. – Zaśmiał się. – Chociaż w tych pieczarach wschód i zachód słońca stanowią czysto abstrakcyjne pojęcia.

W pieczarach, pomyślał Vash i zadrżał. Jakby można było nazwać tak pospolicie coś równic ogromnego, starożytnego i dziwnego jak ten podziemny świat! Czy Panhyssir nie ujrzał niczego w tych przeklętych głębiach, z ich ogromnymi rozbrzmiewającymi echem przestrzeniami, z monstrualnymi malowanymi postaciami i wyciętymi w kamieniu zaklęciami? Pieczary to płytkie nisze w przybrzeżnych skałach w pobliżu letniego domu rodzinnego Vasha. Tutaj zaś istniał cały świat.

Klatkę pozostawiono otwartą, lecz dziewczyna trwała w bezruchu. Jeden z młodych kapłanów podał Panhyssirowi misę wypełnioną parującą cieczą. Wielki kapłan powąchał zawartość naczynia, ledwo zanurzając nos w opary, po czym skinął głową pretensjonalnie, jak zawsze, i oddał misę kapłanowi. Ten zaniósł naczynie do klatki i podsunął dziewczynie, po czym wykonał pantomimę, kiedy więźniarka się nie poruszyła, jakby uważał, że istota ta nie jest godna, by zwrócić się do niej słowem.

Panhyssir przysunął się do Vasha.

– Jak zwykle, trzeba będzie zagrozić, że zabijemy jednego z więźniów, jeśli nie zechce współpracować. Stara się chronić dzieci zebrane przez Złocistego, tak więc zaraz przestanie się opierać. Zawsze jest tak samo. – Kapłan się roześmiał. – Ale żadna służba nie jest niemiła, jeśli jest służbą dla samego Wielkiego Namiotu, prawda, ministrze?

– Oczywiście, oczywiście – potwierdził Vash, obserwując dziewczynę. Nie wyglądała, jakby wykonywała zwykłe codzienne czynności, sprawiała wrażenie zdesperowanej i bardzo przestraszonej. Vash nie lubił być zmuszany do krzywdzenia dzieci, przynajmniej nie bardziej niż wymagała stosowna kara. Cały ten kram związany z tajemniczym planem Złocistego z każdym dniem stawał się coraz bardziej obrzydliwy.

Vash pokręcił głową poirytowany swoim sentymentalizmem.

– Bo widzisz, wielki kapłanie Panhyssirze, zastanawiałem się, czy może doświadczyłeś tych samych... problemów komunikacyjnych, które mnie doskwierają.

Kapłan posłał mu ostrożnie obojętne spojrzenie.

– Codziennie wysyłam listy do obozu wojskowego na powierzchni z rozkazami dla moich podwładnych i odpowiadam na pytania dotyczące protokołu od tych, którzy pragną skontaktować się z samym Wielkim Namiotem. Z pewnością zajmujesz się podobnymi rzeczami.

Panhyssir wzruszył ramionami.

– Większość moich kapłanów jest tutaj – powiedział i pokazał salę pełną świec, ozdób i religijnych posągów, przez co prawie nie różniła się od jednej z ogromnych świątyń w ojczystym kraju. – Część kapłanów Wielkiego Boga służy przy wojsku, ale oni rzadko potrzebują mojego kierownictwa.

– Może zatem ciebie nie dotknęło to tak bardzo jak mnie.

– Co?

– Że nie otrzymuję odpowiedzi na listy. Ostatnią wiadomość z głównego obozu otrzymałem dwa dni temu. Pytałem w korpusie kurierów i otrzymałem odpowiedź, że ich ludzie wychodzili na powierzchnię w minionych dwóch dniach, ale jeszcze nie wrócili, i że nikt inny nie zszedł z powierzchni.

Oblicze Panhyssira wciąż wyrażało obojętność, lecz Vashowi się wydało, że dostrzegł w twarzy kapłana nerwowe drgnienie.

– Ach, uważam, że to nic poważnego. Pewnie zamęt organizacyjny albo po prostu fizyczna przeszkoda, jak osuwisko...

– Dlaczego więc nasz posłaniec nie wrócił i nie zawiadomił nas, że droga jest zablokowana?

– Nie mam pojęcia. Z pewnością to warte zastanowienia, bracie Pinimmonie, ale nie ma powodu do zmartwienia.

Dziewczyna zaczęła płakać, co odwróciło uwagę Vasha. Młody kapłan stał pochylony nad nią, szepcząc coś wyraźnie rozgniewany. Kiedy oczy Vasha już przywykły do światła w Sanktuarium, minister zauważył, że nie wszystkie metody perswazji wobec dziewczyny

ograniczają się tylko do słów. Na jej twarzy i ramionach widniały siniaki, a z pewnością też na reszcie ciała pod workowatym okryciem.

– Ja... nie wiem, czy mogę się z tobą zgodzić, wielki kapłanie Panhyssirze. Równie dobrze może chodzić o... – Vash wciąż się wpatrywał w płaczącą dziewczynę. – Dlaczego ona robi tyle zamieszania?

– Co? Och, pewnie dlatego, że napój Krew Słońca smakuje okropnie. Nie mamy czasu, by podawać go jej w mniejszych dawkach.

– Nie rozumiem. Krew Słońca?

– Na wypadek gdyby trzeba było posłużyć się nią podczas ceremonii rytualnej zamiast króla z północy. On pochodzi bezpośrednio od bogów, wypaczony zaledwie o kilka pokoleń. – Panhyssir pokiwał głową z poważną miną. – Ona zaś jest jak kundel, a krew w jej żyłach jest mocno rozcieńczona, dlatego musimy ją znowu zageścić, i to szybko. – Dziewczyna jęknęła żałośnie, a Panhyssir się uśmiechnął. – Dobrze. Wypiła. Nie chciałbyś być tutaj, kiedy ma wizje. Dla kogoś spoza Kościoła może to być nieprzyjemny widok. Wrzeszczy, rzuca się i nie tylko.

Vash, który nadzorował wiele tortur i egzekucji – raczej z obowiązku niż z wyboru – uniósł brew.

– Och tak, to brzmi strasznie. Dziękuję, że oszczędzasz mi szczegółów. Ale nadal chciałbym porozmawiać o tamtej sprawie.

– O sprawie...? Ach tak, o tych problemach z komunikacją, które cię martwią. Może powinieneś porozmawiać z antypolmarchą. On z pewnością jest świadomy wszelkich trudności.

– Tak, to dobry pomysł. Ponieważ przychodzą mi do głowy bardziej niepokojące powody, dla których posłańcy nie wracają.

Teraz z kolei wielki kapłan uniósł brew.

– Niepokojące? Naprawdę? Na przykład jakie?

– Może na górze doszło do zaciętych walk. Albo siły wroga zeszły z zamku przez miasto Yistich i odcięły nasz szlak.

Panhyssir wpatrywał się w niego przez chwilę. A kiedy już się roześmiał, brzmiało to jak niespodziewana salwa o armatnia, dlatego wszyscy obecni, poza krztuszącą się zapłakaną dziewczyną, spojrzeli na niego.



– Odcięli nasz szlak! Niby kto? Oddziały malutkich żołnierzy? Niby czym? Mieczami do zabawy, na koniach z mioteł? – Złapał się za brzuch, jakby chwyciły go bóle. – Och, Vash, mój szacowny przyjacielu, mam nadzieję, że mi wybaczysz, kiedy powiem, że najwyraźniej niewiele wiesz o wojnie. Całkowicie zniszczyliśmy tutejszą obronę, dlatego jeszcze długo po naszym odejściu będą skłonni poddawać się każdemu obcemu, który tu zawita!

Rozgniewany i zawstydzony, czego oczywiście nie pokazał po sobie, Pinimmon Vash skłonił głowę i podziękował Panhyssirovi, że podzielił się z nim swoją opinią. Wychodząc, wciąż słyszał kaszel i szlochanie dziewczyny w klatce.

\*\*\*

Vansen oczyścił się piaskiem przed założeniem zbroi. Nauczył go tego Donal Murroy, jego dawny kapitan: korzystaj z każdej okazji, żeby się umyć. Większość żołnierzy tutaj nie zwracała sobie tym głowy, co nie podobało się Ferrasowi Vansenowi. I nie chodziło o smród potu, krwi i mniej przyjemnych substancji – żołnierz szybko się do niego przyzwyczajał, szczególnie w takich miejscach jak Labirynt. Obawiał się tylko, że to oznacza, iż niezaprawieni w boju Funderlingowie, którzy walczyli tak długo i dzielnie pomimo beznadziejnej sytuacji, stracili ducha walki.

Vansen nie winił ich za to. Jaspis Młot stracił niemal połowę swojego oddziału strażników, których sam szkolił. Straż przyboczna Malachita Miedziaka także została mocno przetrzebiona, a wśród zabitych był jego szwagier, który zginął, wołając o pomoc. Jeśli Miedziak przeżyje, będzie musiał zanieść jego żonie tę straszną wiadomość. Wśród walczących było wielu mnichów, którzy nie spodziewali się, że kiedykolwiek opuszczą mury świątyni, a co dopiero że będą zmuszeni walczyć przeciwko dużym. Pozostali to ochotnicy, młodzi Funderlingowie, którzy nawet nie należeli jeszcze do Cechu Kamieniarzy.

Vansen obserwował dwóch mnichów, którzy ostrożnie przywiązywali Cynobra pasami do noszy pod czujnym okiem Kalomela.

Doświadczenie ostatnich dni nauczyło Funderlingów, że w każdej chwili mogą być zmuszeni do wycofania się, nawet jeśli dowodzi nimi doświadczony Vansen, a ponieważ odwrót był jedyną pewną rzeczą, dlatego starali się być do niego przygotowani. Nieopodal mnich Polewa klęczał wraz z innymi Braćmi Metamorficznymi, pogrążony w modlitwie. Vansen go zawołał, gdy tylko skończyli się modlić.

– Przepraszam, jeśli potraktowałem cię zbyt surowo – zwrócił się do młodego mnicha. – W rzeczywistości dobrze się spisałeś. Przykro mi, że ty i twoi bracia musicie przez to przechodzić.

Polewka spróbował zdobyć się na uśmiech, ale mu się to nie udało.

– Wiara uczy nas, że przeszłość i teraźniejszość są sobie najbliższe właśnie w takich momentach. To oczywiście boli, jeśli ktoś znajdzie się w fałdach historii. Wtedy jesteśmy najbliżej piekących płomieni wieczności.

Vansen nie miał pewności, czy zrozumiał mnicha. Jego wyobrażenia dotyczące bogów nigdy nie wybiegały zbyt daleko poza to, co mówili kapłani, i zawsze towarzyszyły mu pewne wątpliwości dotyczące skomplikowanej hierarchii, nawet jeśli była to hierarchia niebiańska. W końcu skinął tylko głową, co uznał za najlepszą odpowiedź, i zaraz zmienił temat.

– Możemy bronić już tylko ostatniej komory, Sali Objawienia, jak ją nazywacie, a potem zostaniemy wyparci z Labiryntu.

– Kapitanie! – Przybiegł jeden z ludzi Dolomita mocno zdyszany. – Przebijają się przez ostatnią barykadę! Strażnicy mówią, że lada chwila nas zaatakują.

Vansen odebrał to jak finałową nutę długiej pieśni – coś, czego oczekiwał, niemal pragnął. Niedługo już nie będzie musiał się przejmować swoimi błędami. Nie będzie musiał patrzeć, jak umierają dobrzy ludzie. Dał z siebie wszystko. Nie miał się czego wstydzić... prawda?

– Wszyscy na tyły! – wydał komendę donośnym głosem, by usłyszało go jak najwięcej ludzi. Kiedy ci bardziej oddaleni przekazali rozkaz, dodał: – Zgaście pochodnie i wycofajcie się za pierwszą barykadę. Tam stawimy opór.

Jaspis wyszczerzył zęby w uśmiechu i spojrzał na mnicha Polewę, który wyglądał na mocno przestraszonego.

– Popamiętają nas – rzekł dowódca strażników. – Tak się sprawimy, że jeszcze przez wiele lat będą o nas opowiadać w Mieście Funderlingów!

Przez salę przetoczyła się fala strachu, lecz nikt się nie zawahał. Wszyscy ruszyli w nie całkiem składnym szyku do najbardziej wysuniętej barykady.

Polewa spojrzał na Vansena; jego usta drżały.

– Zginiemy tu, prawda? – zapytał cicho mnich. – W tym samym miejscu, w którym przeszedłem inicjację i stałem się mężczyzną.

– Nikt nie wie, kiedy nadejdzie jego czas ani co planują bogowie. – Vansen wzruszył ramionami. – A szczególnie teraz, kiedy nawet bogowie wydają się zdezorientowani. Rok temu byłem przekonany, że umrę za Granicą Cienia, a tak się nie stało. Kto wie, co się wydarzy, bracie Polewo. Chyba tylko siostry Losu. Zapnij hełm i napij się wody, bo nieprędko będziesz miał okazję to zrobić.

\*\*\*

Pinimmon Vash nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Wydawało się, że to kolejny kaprys jego pana – jakaś ceremonia, najwyraźniej o charakterze religijnym, tyle że w asyście całego oddziału Lampartów. Vash upewnił się, że Panhyssir został poinformowany, tak by Sanktuarium było gotowe na czas.

Ku ogromnej uldze pierwszego ministra nigdzie nie było widać władcy z północy. Z sali usunięto też dziewczynę z rudym pasemkiem, tak więc jedyną rzeczą, która mogła odwracać uwagę patrzącego od autarchy, była kapliczka Nushasha, choć oczywiście nic nie mogło konkurować z Sulepisem. W rytualnej złocistej zbroi i sokolim hełmie wysoki władca wyróżniał się spośród zwykłych ludzi. Nawet oczy autarchy zdawały się rozświetlone ogniem pochodni, rozżarzone pomarańczowym blaskiem pod złocistym dziobem hełmu. Dwa tuziny Lampartów otaczały autarchę, tworząc coś na podobieństwo ludzkiej klatki, tak że przez krótką chwilę Vash zobaczył go jako więźnia.

Sulepis przewyższał jednak niemal o głowę nawet największego ze strażników, dlatego „klatka” wydawała się zbyt mała, by mogła go pomieścić.

Vash nie wiedział, co planuje autarcha. Wykonał wszystkie polecenia

I teraz czekał podenerwowany na to, co się miało wydarzyć. Czasem myślał, że służba takiemu kapryśnemu, śmiertelnie niebezpiecznemu panu jak Sulepis jest jak życie ptaka. Wiatry się zmieniają, ciepły prąd wznoszący zmienia kierunek i ciska ptakiem ku ziemi, ten zaś może tylko rozłożyć skrzydła i starać się wyrównać lot.

Autarcha spojrzał na oficera Lampartów.

– Przyprawdziliście je, jak kazałem? – zapytał. – Są tutaj?

Strażnik skinął ogoloną i naoliwioną głową.

– Czekają na zewnątrz, Złocisty.

– Dobrze. Wprowadźcie je.

Dwóch Lampartów wyszło z sali. Reszta strażników pozostała na swoich pozycjach, starając się zachować postawę na baczność, choć wyraźnie byli zaciekawieni, kto wymaga aż takiej obstawy. Kilka chwil później do Sanktuarium wprowadzono trzy ogromne kobiety. Sądząc z wyglądu, wszystkie pochodziły z Xis, a każda była równie potężnie zbudowana i tak samo wysoka jak członkowie Lampartów; ich zimne spojrzenia potęgowały ponurość oblicz. Strażnicy otworzyli szerzej oczy na ich widok. Niektórzy pewnie się zastanawiali, czy zanoszą się na kolejny dziwny żart autarchy.

Sulepis machnął dłonią migoczącą złociście złotymi palcami i zaraz pojawił się pustynny kapłan A'lat z rzeźbioną szkatułką z kości słoniowej. Na znak autarchy kapłan, mimo że pozornie niewidomy, podszedł kolejno do każdej kobiety i dał im coś ze szkatułki. Kiedy wrócił na swoje miejsce u boku Sulepisa, Vash zobaczył, że każda z muskularnych kobiet trzyma coś, co wygląda jak kawałek matowego kryształu wielkości śliwki.

– Ty jesteś Khobana Wilczyca, tak? – zwrócił się autarcha do najwyższej kobiety, która była ostrzyżona krócej niż większość obecnych mężczyzn. – Ta, którą skazano za zabójstwo męża i rodziny?

Usta kobiety wykrzywiły się w pogardliwym grymasie.

– Tak, Złocisty.

– Pamiętam cię. Zrobiłaś to gołymi rękami, prawda? – Skinął głową z zadowoleniem. – Dobrze. Każda z was otrzymała wielki podarunek, który sprawi, że staniecie się równie potężnymi wojowniczkami jak sami bogowie, równie wielkimi jak Xosh, bóg księżyca, który zabił Okhuza, boga wojny. A jeśli przetrwacie, by mi zwrócić podarunki, ja zwrócę wam wolność.

Kobiety wpatrywały się w niego podejrzliwie jak dzikie zwierzęta. Vash do końca nie wiedział, co się dzieje, ale przypomniał sobie, że pomimo swojej wielkiej potęgi Xosh Srebrzysty Błysk został zabity przez silniejszego boga. Ostatnimi czasy Pinimmon Vash myślał o tym coraz częściej: słudzy potężnych panów często marnie kończyli i nikt ich nie oplakiwał...

Autarcha mówił dalej:

– ...i choć w normalnych czasach taka marna obrona nie miałaby żadnego znaczenia – najmniejszego – to teraz, jako że się spieszę, nie mogę pozwolić, by ci skundleni Yisti i ich towarzysze z Marchii dłużej mi się opierali. Dlatego trzymacie w rękach *kulikos*.

Kulikos? Vash zadrżał. Słyszał dość opowieści, by wiedzieć, że takie potężne magiczne artefakty przyniosą śmierć wielu, a w końcu także tym, którzy się nimi posługiwali.

Starał się oswoić z tą myślą, podczas gdy autarcha kontynuował podniesionym głosem:

– Dysponując tymi kamieniami i zaklęciami, których nauczył was A'lat, staniecie się prawdziwymi demonami! Rozerwiecie wrogów na strzępy, jakby to były myszy i króliki, a oni będą uciekali przed wami z płaczem. Niech zostanie po was tylko rzeka krwi, a kiedy słońce raz jeszcze przemierzy nieboskłon, stanę przed samym bogiem i odbiorę mu moc. Wy zaś znajdziecie się wśród moich najcenniejszych sług!

Khobana Wilczyca pierwsza opadła na kolana.

– Bądź pozdrowiony, Sulepisie! – powiedziała.

– Bądź pozdrowiony, Złocisty! – zawtórowały jej pozostałe kobiety.

– Bądź pozdrowiony, a jakże! – zaśmiał się autarcha.

## Brama Miasta Funderlingów

*...Zuriyal powiedziała Zmeosowi, że dziwny zapach w ich wielkim domu pochodzi od myszy, która zakradła się tam, by schować się przed zimnem.*

*– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

– To głupota i nie pozwolę ci na to – powiedział Antymon. – Z całym szacunkiem, mistrzu Rogowcu, nie mogę. Cynober i inni by mi nie wybaczyli. – Pobladł. – Och, na Starszych, pomyśl, co by zrobiła pani Opal! Obdarłaby mnie ze skóry i zrobiła z niej szmatkę do wycierania kurzu!

– Nie powstrzymasz mnie, chyba że mnie zwiążesz i usiądziesz na mnie, młody człowieku. – Rogowiec zmarszczył brwi. – Nie utrudniaj. Myślisz, że ja się nie boję?

– Ale... tam na górze trwa wojna!

– Tak jak i tu na dole. Nasi przyjaciele walczą i pewnie giną w tym momencie. Muszę zrobić, co w mojej mocy. Jestem im to winien.

– Skąd przypuszczenie, że brat Nikiel cię posłucha? Jest uparty, do tego cię nienawidzi, Rogowcu.

– Nie posłucha mnie, lecz astionu. – Rogowiec skończył wiązać tobolek i zarzuciwszy go sobie na plecy, wstał. – Nikiel to paskudnik, ale nie jest zdrajcą. Tak jak i mój brat, do którego też nie pałam sympatią. Mają po swojej stronie prawo Cechu. – Wciąż czuł irytację na wspomnienie chwili, kiedy to jego starszy brat Guzek, magister, wtrącił się do sprawy i od razu opowiedział po stronie Nikla. – Nie, jeśli chcemy ocalić naszych ludzi, będziemy musieli załatwić to we właściwy sposób, tak jak to robią Funderlingowie: ze wszelkimi pozwoleniami, odpowiednio obrobionymi i ułożonymi. – Poklepał po ramieniu młodzieńca. – Pilnuj, by praca nie ustawała, Antymonie. Działaj w

tajemnicy, jeśli się da. Myślę, że nie będą cię niepokoić po moim odejściu, a ja dopilnuję, żeby o nim usłyszeli.

– A co z twoją żoną i synem?

– Sam się nimi zajmę, chłopcze. Cynober i inni są w głębiach skazani na śmierć. Niech przynajmniej ja się odważę powiedzieć Opal, co planuję.

Antymon uściśnął Rogowcowi dłoń z miną kogoś, kto wysyła przyjaciela na pewną śmierć.

\*\*\*

– Co? Oczywiście, że tego nie zrobisz! Musiałbyś przejść po mnie, żeby się wydostać z tej pieczary. – Opal przywarła plecami do drzwi ich tymczasowej kwatery obok stanowiska wyrabiania prochu.

Towarzyszące jej kobiety wyszły dyskretnie, gdy tylko usłyszały pierwsze słowa Rogowca, ponieważ od razu wyczuły nadciągającą burzę, nawet groźna Vermilion Rzęciowiec.

– To nie ma sensu, kochana staruszko – odpowiedział stanowczym tonem wbrew własnym odczuciom. – Nie mam wyboru. Tłumaczyłem ci dlaczego. Będzie za późno, jeśli teraz nie zacznę działać.

– Tym bardziej nie powinieneś tego robić. To szalony i niebezpieczny plan, dlaczego więc miałbyś ryzykować własne życie? – Skrzyżowała ramiona na piersi i widać było, że nie podda się bez walki.

Rogowiec poczuł, że bardzo ją kocha, choć zarazem zaczął się zastanawiać, czy nie będzie musiał jej ogłuszyć, żeby uciec.

– Po prostu mnie wysłuchaj, kochana – powiedział błagalnie.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – Urwała nagle czymś rozkojarzona. Z głębi pieczary wyłonił się potargany i zaspany Krzemień. – Och, chłopcze, za głośno rozmawiamy? – spytała zupełnie innym tonem. – Śpij. Mama zaraz przyjdzie. Prowadzę rozmowę z twoim niegodziwym tatą.

– Pozwól mu iść, mamó Opal. Ja... mnie się to śniło. Lśniący Człowiek płonął, był gorący jak słońce! Wszyscy krzyczeli. Pozwól mu iść.

– Co to za bzdury? – oburzyła się Opal, próbując zawrócić chłopca.  
– To był tylko zły sen. Wracaj do łóżka.

– Nie. – Krzemień się zaparł. Był już większy niż Rogowiec. Wzrostem niemal dorównywał Antymonowi i nie było łatwo ruszyć go z miejsca. – Tato Rogowiec musi iść.

Rogowiec podszedł i położył dłonie na ramionach żony.

– Chłopiec już wcześniej miał rację... w wielu sprawach.

Twarz Opal nie wyrażała gniewu, lecz sam strach.

– Nie! I jeszcze raz nie! Nie pozwolę ci odejść. Zdajesz sobie sprawę, co ja czuję?

Rogowiec pokręcił głową.

– Mogę się tylko domyślać. Ale wiem, że tęsknisz za mną tak samo jak ja za tobą. – Przysunął się o krok i objął Opal, mimo że cała się spięła i odwróciła głowę. – Proszę, moja miłości, nie sprawiaj, żeby to było dla mnie takie trudne. Nie brałbym się do tego, gdybym nie czuł, że muszę to zrobić. Od tego zależy życie wielu i jeszcze więcej, może los całego Miasta Funderlingów.

Odsunęła się odwrócona do niego plecami.

– W takim razie idź. Ale nie spodziewaj się, że będę popłakiwała i pomacham ci na pożegnanie jak jakaś posłuszna żona z opowieści. Idź i bądź przeklęty!

– Nie! – Ta myśl go przeraziła. – Nie odsyłaj mnie z takim pożegnaniem, Opal.

– Wynoś się. – Wzruszyła ramionami, strącając jego dłonie, i trzepnęła go po rękach, kiedy spróbował znowu ją dotknąć. Wciąż unikała jego wzroku. – Idź!

Pocałował chłopaka w czoło, zwichrzył dłonią jego płowe włosy i opuścił prowizoryczną kwaterę. Już na zewnątrz spojrzął w stronę Miasta Funderlingów. Opal miała rację w jednej kwestii: to będzie długa i niebezpieczna wyprawa i tylko Starsi Ziemi wiedzą, jakie potwory i jakich wrogów napotka, nim dotrze do celu. Miał wrażenie, że brnie zanurzony po pierś w wodzie, ślizgając się na szlamistym dnie.

– Zaczekaj! Rogowcu, zaczekaj!

Odwrócił się i zobaczył Opal, która biegła ku niemu z rąbkiem spódnicy w dłoni, by się nie przewrócić. Zanim zdążył coś powiedzieć,



objęła go i przywarła do niego swoim niedużym krępyim ciałem tak mocno, że na chwilę stracił oddech.

– Cofam swoje słowa. Cofam wszystko – powiedziała przez łzy. – Wszystko! Jesteś moim mężczyzną, Liderycie, kocham cię. Lecz jeśli pozwolisz, żeby coś ci się stało, wtedy cię przeklnę i sprawię, że będziesz podskakiwał jak zapchlony szczur, nawet stojąc przed samymi Starszymi! Przysięgam!

Nie tracił tchu, by jej odpowiedzieć, lecz tylko przytulił ją mocno. Kiedy wreszcie się pocałowali i pożegnali cicho, Opal się odwróciła i ruszyła ścieżką, nie oglądając się za siebie.

\*\*\*

Wszelkie nadzieje Briony na szybkie odzyskanie rodzinnego domu rozwiały się w ciągu pierwszych godzin ich wypadu. Sprzymierzeńcy Hendona Tolly’ego, początkowo zaskoczeni przybyciem Briony i Eneasza, gdy jeszcze płonęły statki autarchy, szybko wycofali się do twierdzy wewnętrznej. Berkan Hood i jego żołnierze zmusili setki ludzi z zamku do służby i kazali im wtoczyć na szczyt murów twierdzy działa uratowane z ataku Qarów, tak więc wraz ze wschodem słońca pierwszego dnia pobytu Briony w domu zagrzmiały armaty, śląc pociski z Kruczej Bramy.

– Mamy nasze działa na Bramie Bazyliżkowej i murach zewnętrznych – powiedział Eneasza, kiedy schronili się razem z jego oficerami w wysokim domu pewnego kupca przy Lagunie Północnej. Z okien na najwyższym piętrze widać było dymy po salwach wijące się wokół Kruczej Bramy, lecz wydawało się, że Hood i jego ludzie nie wiedzą, gdzie jest ich wróg, ponieważ strzelali na oślep. Bryza od morza było ciepła, wilgotna i słona jak krew. Zdawało się, że w ciągu dnia pogoda zmieniła się z wiosennej na późnoletnią. – Moglibyśmy zostawić część dział na wypadek, gdyby wrócili żołnierze autarchy, a pozostałe skierować na twierdzę wewnętrzną.

Briony pokręciła głową.

– Tolly otoczył się niewinnymi ludźmi. Nie będę strzelała do poddanych.

Eneasza przytaknął.

– Podzielam twoje obawy, księżniczko. Może nawet się z tobą zgodzę, ale nie jestem pewny, czy możemy sobie pozwolić na taką troskę. Jeśli twój ojciec się nie mylił, mamy czas do jutrzejszej północy, zanim autarcha... no cóż, zanim autarcha zrealizuje swój plan.

– Przecież on jest głęboko pod zamkiem. Tak nam powiedziała ta wiedźma Saqri.

Eneasza wzruszył ramionami, pozwalając, by odezwał się w nim pragmatyczny wojownik.

– Z pewnością pamiętasz lepiej niż ja, co powiedziała królowa czarodziejskich ludzi, ale ja wiem, że stwierdziła też, iż każda bitwa tutaj ma znaczenie. I że wszędzie czyha niebezpieczeństwo, które jest jak pajęczna sieć: nikt nie wie, jak są splecione jej nici.

Briony poluźniła i na powrót zawiązała opaskę na czole, która miała wchłaniać pot. Poczowała wściekłość na myśl o tym, że rozkazuje jej królowa czarodziejskich ludzi, która ukradła jej brata.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie skieruję dział na własnych ludzi, chyba że będą walczyć dla Tolly'ego. Ale nie sposób to odgadnąć z odległości strzału armatniego.

Lord Helkis, przyjaciel księcia i głównodowodzący, chrząknął znacząco.

– Za pozwoleniem, księżniczko Briony, ale nie prowadzimy zwyczajnego oblężenia. Nie możemy ich wziąć na przeczekanie. Z tego, co wiemy, Tolly od miesiąca gromadził zapasy w rezydencji. Sądzisz, że zmusimy ich do poddania się, grożąc im palcem?

– Mironie – rzucił Eneasza ostrzegawczym tonem.

– Nie, Wasza Wysokość, muszę to powiedzieć. – Młody szlachcic odwrócił się do Briony. – Powiem to, czego nie może powiedzieć mój pan przez wzgląd na swoje uczucia albo uprzejmość. Jeśli czarodziejscy ludzie się nie mylą, księżniczko, to skazesz swoich poddanych na zagładę z powodu własnej lękliwości.

– Mironie! Posuwasz się za daleko!

– Nie, Eneaszu. – Briony uniosła dłoń. – Lord Helkis zapewnia ci to, co powinien dobry doradca – prawdę, taką, jaką on ją widzi. – Spojrzała na Helkisa. – Tak, lordzie, to jest problem. Ale nie pozwolę nikomu

strzelać na chybił trafił w serce mojego zamku. Tolly zebrał wokół siebie moich poddanych. Nawet wśród żołnierzy pewnie wielu wierzy, że broni zamku przed autarchą albo czarodziejskimi ludźmi czy też innymi najeźdźcami. Nie, nie wrócę do domu, by przelać krew, gdy nie jest to konieczne. – Zmarszczyła brwi tknięta nagłą myślą. Ileż to razy ojciec powtarzał: „Nawet dobry król zawsze ma krew na rękach”? Nieraz słyszała te słowa. Wtedy sądziła, że ojciec ma na myśli nieuniknione wojny, lecz teraz poznała prawdę: Olin chciał powiedzieć, że niemal każda decyzja monarchy pociąga za sobą czyjeś cierpienie. – Pozwólcie, że się nad tym zastanowię – powiedziała, gdy lord Helkis otworzył usta, by ponownie zabrać głos.

– Potrzebujesz chwili dla siebie? – zapytał Eneasza.

– Tak, jeśli pozwolisz, Wasza Wysokość – odpowiedziała z wdzięcznością. – Ale nie będę was wypraszać z własnych pokoi. Przejdę się.

– Nie dalej niż jard od tego domu!

– Oczywiście, książę Eneasza. Masz moje słowo.

Schodziła na dół, mijając strażników i innych żołnierzy. Po raz kolejny zaskoczyło ją nie to, jak się usuwają z drogi na jej widok przed nią – Briony jako córka króla była przyzwyczajona do uległości – lecz to, jak konsekwentnie unikają jej spojrzenia. To było dla niej coś nowego. Tylko najbardziej strachliwi albo winni ludzie odwracali wzrok, a odkąd stała się kobietą, przywykła do tego, że mężczyźni taksują ją spojrzeniem, nieświadomi, że ona to dostrzega, niczym handlarze końmi. A zatem co się zmieniło?

To są ludzie Eneasza, uzmysłowiła sobie. I myślą, że należą do księcia.

Myśl ta zaniepokoiła ją bardziej, niż się spodziewała.

Przeszła przez zatłoczony dziedziniec do bramy. Właściciel domu był zamożnym kupcem, Briony się zdawało, że spotykała go na dworze, chociaż nie kojarzyła twarzy. Jego posiadłość była ogromna, jak najbardziej nadawała się dla Eneasza i jego dowództwa. Wspięła się po schodach niedużej stróżówki.

To, co się stało z twierdzą zewnętrzną podczas jej nieobecności, było dziwne i straszne jak koszmar. Krótkie oblężenie Qarów niemal ją

spustoszyło, a ci nieliczni, którzy zdecydowali się wrócić do domów, niebawem znaleźli się pod ostrzałem autarchy i szybko uciekli z powrotem do twierdzy wewnętrznej.

Twierdza zewnętrzna była niegdyś pięknym tętniącym życiem miastem, jak wiele innych na północ od Tesis, teraz zaś, wyludniona, przypominała kupkę zwęglonych kości. Budynki leżały w gruzach, najeżone drzazgami lub pokruszonymi ceglami albo tkwiły wypalone ze sterczącymi kominami. Nawet te, które się ostały, były poczerniałe i opuszczone. Patrząc na ogrom zniszczeń, Briony nie potrafiła powstrzymać łez.

To nic nie da, dziewczyno, upomniała samą siebie. Skup się na tym, co musisz zrobić. Skup się!

Problem był oczywisty. Z miejsca, w którym stała, na Gościńcu Białego Brzegu, nie widziała dobrze starych murów twierdzy wewnętrznej, choć dostrzegła wieże Kruczej Bramy na tyle wyraźnie, by zauważyć żołnierzy uwijających się na szczycie muru niczym mrówki. Lecz mury twierdzy wewnętrznej były wysokie i trudno byłoby je pokonać. Zdrajca czy nie, Avin Brone zawsze postępował jak użyteczny tyran, dbając, by utrzymywano je w dobrym stanie oraz by bramy i strażnice zawsze były porządnie obsadzone.

Mimowolnie Briony zaczęła się zastanawiać, gdzie Brone jest w tej chwili i co by zrobił, gdyby wiedział, że ona żyje. Jak daleko posunął się w swojej zdradzie? Zbratał się z Tollym czy też pomoże jej odzyskać zamek dla Eddonów? Należało o tym pamiętać, jeśli uda się sforsować mury twierdzy wewnętrznej: Brone nie wiedział, że Finn Teodoros ujawnił swoją tajemnicę. Nie miał pojęcia, że Briony wie o nim wszystko.

Ale na razie to na nic, dopóki nie będzie mogła skontaktować się z Brone'em i prosić go o pomoc. Równie dobrze mógłby zaprowadzić ją i Eneasza w pułapkę. Może Tolly go szantażował? „On robi to, czego ja nie mogę zrobić” – mawiał jej ojciec, choć nigdy nie wyjaśnił dokładnie, co ma na myśli. Teraz Briony zaczynała się domyślać.

Na wspomnienie o Bronie i jego niezliczonych wybiegach Briony przypominała coś sobie – tamta noc, nie tak dawno temu, a przynajmniej tak się wydawało, już po śmierci Kendricka, lecz jeszcze przed tym, gdy

wszystko się zawaliło, a Brone wezwał do siebie ją i brata. Tej samej nocy Finn Teodoros przeczytał plany Brone'a dotyczące uwięzienia i zniszczenia rodziny królewskiej, lecz nie to ją ożywiło.

List ojca! Jedna strona została skradziona i tamtej nocy Brone im ją oddał, mówiąc, że znalazł kartkę wśród swoich papierów, ale nie wie, skąd się tam wzięła. Teraz Briony wątpiła w jego niewinność, lecz przypomniawszy sobie o tamtym liście. Ojciec pisał, żeby dbać o kanalizację w twierdzy wewnętrznej, ponieważ bał się, że to może być słaby punkt. Czy ta informacja mogła im jakoś pomóc w tej chwili?

I zaraz uprzytomniła sobie z rozczarowaniem, że Brone się tym zajął i zamknął wyloty kanalizacyjne grubymi kratami o otworach tak małych, że nie przecisnęłoby się przez nie nawet najmniejsze dziecko ani najzwinniejszy Muskający Wodę. Zresztą sami Muskający Wodę dopiero co ją zapewnili, że nie ma sposobu dostania się do twierdzy wewnętrznej. Ukochany ojciec niechcący pozbawił ją jedynej szansy na odzyskanie tronu.

Przyszedł jej jednak do głowy inny pomysł dziwny, taki, który Eneasze z pewnością przyjąłby z powątpiewaniem, lecz pozostając myślami przy Muskających Wodę, Briony nabierała coraz większego przekonania, że to jej jedyna szansa.

Odwróciła się w kierunku bramy tak niespodziewanie, że wpadła na jednego ze szańskich rycerzy, który zaraz przyklęknął i zaczął ją przeproszać.

– Nic się nie stało – zapewniła go. – Jak ci na imię?

– Stephanas, Wasza Wysokość. – Podobnie jak inni, nie patrzył jej w oczy, co ją bardzo irytowało.

– Wybierz kilku odważnych ludzi i każ im się przebrać w zwykłe ubranie, w opuszczonych domach na pewno jest ich wiele. I przyjdźcie do mnie za godzinę.

– Zwykłe ubranie? W domach?

– Och, Stephanasie. Mam nadzieję, że to mój akcent szwankuje, a nie twój rozum. Tak, przebierzcie się, ale weźcie ze sobą miecze. Ja tymczasem zawiadomię waszego pana, że powierzam wam pewne zadanie.

\*\*\*

Rogowiec ostrożnie obchodził świątynię. Nie tyle bał się ponownej konfrontacji z bratem Niklem – a przynajmniej tak sobie wmawiał – ile raczej chciał uniknąć rozmowy z małostkowymi i drobiazgowymi strażnikami świątyni, bo nie miał na to czasu. Tak więc przemknął przez grzybowe ogrody, przeszedł obok kuchni, gdzie poczuł zapachy ze słodowni, a w szczególności dym z pieca do suszenia mchu, który wciąż działał mimo trudnych czasów, aż poczuł ukłucie żalu. Kiedy to ostatnio tak po prostu usiadł i trącił się z przyjaciółmi kuflem mchówki? Kiedy to ostatnio robił coś innego niż ratowanie rodziny albo pomaganie Vansenowi i innym w tej strasznej wojnie? Człowiek nie powinien musieć żyć w ten sposób.

No cóż, kiedy walczą bogowie i półbogowie, zwykły śmiertelnik cieszy się, jeśli zachowa życie, pomyślał. Odmówił modlitwę do Starszych Ziemi i wyszedł za świątynię, kierując się ku ścieżce prowadzącej do Kaskadowych Schodów.

\*\*\*

Niemal minął rano, zanim dotarł okreśną drogą do Jedwabnych Drzwi i obrzeży wyludnionego Miasta Funderlingów. Idąc szeroką ulicą Rudną, nie zobaczył ani jednego mieszkańca wracającego z pracy w zewnętrznych tunelach, ani jednej kobiety idącej z suszarni, ani kupców z wózkami szukających ostatniego klienta przed południowym posiłkiem. Czyżby wszyscy sąsiedzi aż tak się przestraszyli? Wydało mu się to dziwne, zważywszy na to, że walka toczyła się daleko.

Zatrzymał się przy Słonym Stawie, by się rozejrzeć, ale i tam nie ujrzał nikogo, nawet małego Otoczaka, i zaczął się zastanawiać, czy w ogóle ma iść przez samo miasto. Co tu się dzieje? Z tego, co mówiła mu Opal, jeszcze dekanox temu życie toczyło się niemal normalnie i ubyło tylko trochę mieszkańców.

Zastał lampiarza pogrążonego we śnie w jednej z bocznych alejek odchodzących od ulicy Diamentowej niedaleko budynku Cechu. Potrząsnął nim.

– Co się stało? – zapytał, podczas gdy lampiarz zaczął mamrotać przeprosiny. – Uspokój się! Nic obchodzi mnie, że spałeś! Co tu się dzieje? Gdzie są wszyscy?

Lampiarz, który wreszcie się zorientował, że nie grozi mu niebezpieczeństwo, skinął na Rogowca, by podszedł bliżej.

– Należałoby raczej zapytać, co ty tu robisz, kolego? Masz pozwolenie? Przepustkę z Cechu, że możesz wychodzić na ulicę o tej porze?

– O czym ty mówisz?

– Tak jest, odkąd przybyli duzi. Nie wiedziałeś? Nie wolno wychodzić na ulicę bez zezwolenia Cechu.

– Zaraz! Duzi? Jacy Duzi?

Funderling nie miał ochoty na dłuższą pogawędkę, ale najwyraźniej nie chciał też, żeby Rogowiec robił zamieszanie. Wyjaśnił więc szybko, że kiedy podpalono statki południowców – była to pierwsza z niesamowitych wieści – i gdy szańscy żołnierze, którzy przybyli zaraz potem, nieoczekiwanie opanowali twierdzę zewnętrzną, część wojsk lojalnych Hendonowi Tolly’emu, dowodzonych przez Durstina Crowela, wdarła się do Miasta Funderlingów. Starsi Cechu i inni przywódcy, którzy ośmielili się zaprotestować, zostali uwięzieni w siedzibie Cechu.

Rogowiec musiał przyznać, że jego plan znalezienia starszego Cechu, który dałby mu asystę, tak by mógł dokończyć swój projekt, bardzo się skomplikował, jeśli w ogóle był wykonalny. Istniał też inny sposób na zrealizowanie swych zamiarów, który wcześniej Rogowiec odrzucił po namyśle jako zbyt niebezpieczny, lecz teraz uznał, że nie ma wyboru.

Kiedy usiadł, rozważając nowiny, lampiarz skorzystał z okazji, by się ulotnić. Funderling nawet nie próbował go zatrzymać, miał na głowie ważniejsze sprawy. Zastanawiał się, czy powinien znaleźć kogoś zaufanego wśród swoich ludzi, starając się przezwyciężyć nieunikniony strach i nieufność pod samym nosem Durstina Crowela i jego sługusów? A może powinien opuścić Miasto Funderlingów i udać się na górę do zamku, by tam poszukać innej, bardzo szczególnej pomocy? Ale nawet gdyby znalazł drogę, trwałoby to bardzo długo.

Wygląda na to, że jestem mistrzem opracowywania niewykonalnych planów, pomyślał.

Męczyło go już samo rozmyślanie, jako że szedł przez wiele godzin. Był wyczerpany i głodny. W końcu uznał, że jeśli ma zginąć, to lepiej, żeby stało się to teraz, kiedy już i tak czuje się podle. Wstał i ruszył ulicą Diamentową, starając się nie rzucać w oczy. Kamienne drzewa i ich wyrzeźbieni mieszkańcy spoglądali na niego ze słynnego sklepienia, kiedy tak szedł ku bramie Miasta Funderlingów.

\*\*\*

Znane mu kontury bramy wyglądały teraz inaczej nawet z pewnej odległości. Strażnicy, ich namiot i barykada usypana z potłuczonych kamieni nie pozostawiali wątpliwości, że brama pełniąca dotąd funkcję symbolicznego przejścia stała się teraz punktem kontrolnym, w którym jednym uniemożliwiano wejście, innym zaś opuszczenie miasta.

Stało tam kilkunastu strażników z zamku dobrze osłoniętych od strony twierdzy zewnętrznej. Rogowiec podsłuchał, jaki jest tego powód: ostrzał artyleryjski, niezbyt częsty, ale to wystarczyło, żeby zaczął rozważać powrót. Tylko kto strzelał i do kogo? Czy to południowcy wciąż próbują złamać ducha u obrońców zamku? A może to obrońcy strzelają do południowców albo i do Qarów, jeśli któryś zdecydował się wyjść na powierzchnię.

To jest jak sztuka teatralna, pomyślał. Ale nie taka jak komedie, o których opowiadał mi Chaven, gdzie występują przebrane księżniczki i zbiegli kochankowie. Tutaj odgrywa się tragedię, co medyk bardzo lubił, pełną krzyków, ran i zakrwawionych bandaży, i dudnienia bębnow naśladowujących wystrzały. Taką, którą człowiek ogląda zadowolony, że wszystko dzieje się na niby.

Rogowiec podszedł trochę bliżej bramy. Pomimo gniewnych odgłosów dochodzących z głębi pieczary strażnicy robili swoje, odmawiając przejścia tłumowi Funderlingów.

– Mówiłem wam, małe szczury, że tylko pracownicy Cechu mają prawo przejścia – warknął strażnik; jego lśniąca od tłuszczu twarz i zły humor świadczyły dobitnie, że przerwano mu posiłek. – Nikt inny.



– Ale dwóch naszych wróciło rano z pracy przy starych murach. Byli ranni – zawołał ktoś z tłumu. – Trzeba ich zastąpić.

– Wybiorą ich ci, którzy wrócą wieczorem – odpowiedział strażnik o zatłuszczonej gębie. – O co ten harmider? Nie podoba się wam w Nowym Graylock? – zaśmiał się i odwrócił do towarzyszy. – Nowe Graylock, co? – Po chwili znowu spojrzał na Funderlingów. – A teraz odwalcie się, karzełki, albo sprawię wam porządne lanie.

Zebrani Funderlingowie zaczęli jęczeć i utyskiwać, lecz nie ruszyli się z miejsca. Rogowiec poczuł, że i on ma ochotę jęknąć. Bo jak ma przejść przez taki posterunek? Sprawa wydawała się równie beznadziejna jak znalezienie przychylnego starszego Cechu, który miał władzę przekazać mu astion.

Znowu zadudniły działa na zewnątrz. Rogowiec już miał się wycofać w bezpieczniejsze miejsce, by zastanowić się, co robić dalej, gdy coś uderzyło w zewnętrzną ścianę pieczary z taką siłą, że jego myśli o bębnach wydały się niepoważne. Runęła połowa przejścia, a ogromne skalne odłamki zmiażdżyły posterunek oraz namiot wraz z tymi, którzy w nim przebywali. Spadające kamienie przewracały też pozostałych żołnierzy i Funderlingów. Ci spośród ziomków Rogowca, którzy zbyt nie ucierpieli, szybko się pozbierali i uciekli w głąb wejścia dla większego bezpieczeństwa. Pośród tumanów kurzu Rogowiec dostrzegł strażnika, który dopiero co przemawiał, a teraz leżał w agonii, zakrwawiony, pośród gruzu.

Teraz albo nigdy, pomyślał Rogowiec. Mam nadzieję, że to znak Starszych.

Oczywiście równie dobrze mogło to być ostrzeżenie Starszych, w którą stronę ma nie iść, jako że zniszczenia były ogromne. Front pieczary wypełniał stos pokruszonych kamieni i tumany pyłu, a na zewnątrz wciąż spadały pociski.

Rogowiec pobiegł przed siebie z nisko pochyloną głową, potykając się o luźne kamienie. Kiedy przeskakiwał nad ciałem przysypanym odłamkami skał, dostrzegł bladą skórę przyprószoną pyłem i umazaną krwią. Nie był w stanie powiedzieć, czy to Funderling, czy jeden z ludzi Durstina Crowela.

Wciąż trzymał głowę nisko, kiedy już wydostał się na zewnątrz. Armatni pocisk uderzył w prastary klif nad wejściem do Miasta Funderlingów, tuż pod wysokim bladym murem twierdzy wewnętrznej. Unoszący się tu kurz był niemal tak samo gęsty jak w przejściu, lecz Rogowiec go zignorował, urzeczony widokiem otwartego nieba, pod którym stanął po raz pierwszy, odkąd razem z Krzemieniem udali się do Suszarni.

Mogę tylko modlić się do Starszych, żeby Dachowcy...

Nie dokończył myśli.

– Jest! – Usłyszał donośny obcy głos, a zaraz potem ktoś pchnął go na ziemię i zerwał mu z pleców tobolek. – Mam go! – Rogowiec leżał z twarzą przyciśniętą do ziemi, a napastnik wyjął coś podobnego do worka, i naciągnął na niego. Owinięty sznurem, w worku, został dźwignięty i poniesiony szybko.

– Puśćcie mnie! – zawołał. – Nie rozumiecie! Mam coś ważnego do zrobienia, chodzi o życie wielu ludzi!

– Zamknij gębę – warknął oprawca i uderzył workiem o coś z taką siłą, że Rogowcowi aż zagrzechotały zęby.

Posłuchał polecenia.

## Moneta za przejście

*Zjadłszy jajka i owsiankę, Zmeos rozsiadł się na krześle. Sierota grał cicho na flecie, aż bóg zasnął z ogromną kulą słońca na kolanach...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Rafe nie posiadał się ze szczęścia. Nadszedł dzień siedemnastego Dorocznego Zgromadzenia i jego ojciec, przywódca klanu Kadłub-Trzeo-Piach, podarował mu na własność piękną czarną łódź *Foczą Skórę*. Rafe marzył o dniu, w którym wreszcie otrzyma naszyjnik mężczyzny! Odtąd już nikt nie będzie rzucał drwiących uwag typu: „Wciąż wiosłuje w łodzi ojca” nawet mimo jego największych wyczynów.

Zdażył już zapracować na swoją opinię nie tylko jako rybak, lecz także wojownik. Czyż to nie on pierwszy podłożył ogień pod statek południowców? Czyż nie on pokonał strach przed Starymi, i to nie raz, stając przed Panią Jeżozwierz, kiedy woził ważne osobistości na wyspę i z powrotem? Wreszcie *Focza Skóra* była jego. Marzył o tym dniu przez całe dzieciństwo, dbając o łódź, by nie przeciekała i mknęła po wodzie jak piskorz. A co najważniejsze, wszystko, co odtąd zarobi, nie będzie już szło do ogromnego słoja ojca. Postawi własny słów, a potem dom. A następnie zabierze Enę od jej brutalnego ojca i uczyni swoją żoną. Kiedy zgromadzą dość pieniędzy, pobiorą się i nie będzie musiał słuchać żadnych innych głosów poza głosami Eny i oceanu.

Wymknął się przez sekretne przejście, które prowadziło z Laguny Zachodniej do morskiego szlaku wiodącego do Ramienia Egye-Vara – czy też Skały M’Helana, jak nazywali je mieszkańcy suchego lądu – lecz Rafe nie zamierzał zbliżyć się do Suszarni ani żadnej innej części wyspy. Od godziny obowiązywała klanowa pora policyjna, a on nie chciał wpaść w kłopoty w pierwszą noc swojego dorosłego życia. Nie sądził, żeby ojciec odebrał mu *Foczą Skórę* – choćby dlatego, że chciałby uniknąć okrycia wstydem całego klanu w obliczu swego rywala Turleya

Długopalcego i ludzi z klanu Zachodni-Pływ podczas Małego Zgromadzenia – ale wiedział, że starszek wymierzyłby mu jakąś inną karę, prawdopodobnie solidne lanie. A Rafe nie chciał więcej lania. Tak więc mimo że jego serce wezbrało niczym żagiel wypełniony wiatrem, nie zamierzał śpiewać ani dokazywać podczas pierwszej podróży własną łodzią.

Statki południowców wreszcie się dopaliły, choć z dryfujących szczątków wciąż unosił się dym płynący ku jaśniejącemu niebu. Rafe opłynął szerokim łukiem jeden z wraków, próbując ustalić, czy to na ten wrzucił włócznie z zapalonymi szmatami i wystrzelił płonące strzały. Nigdy wcześniej nie dokonał czegoś równie ekscytującego może z wyjątkiem tego, co robili z Eną – i wciąż nie mógł uwierzyć, że w ogóle mu na to pozwolono. Lecz przywódcy klanu, ci przyciężkawi starszankowie, jak Turley Tyłem-do-Przyszłorocznego-Pływu, nagle zmienili zdanie: wystarczyło jedno tajemnicze spotkanie ze Starymi i od razu stali się wojownikami. Kto by przypuszczał? Rafe kilkakrotnie pytał ojca, co się zmieniło, lecz Mackel mówił mu tylko: „Wyciągnęli do nas rękę. Wybaczone nam”. A kiedy Rafe zapytał: „Co nam wybaczone?”, ojciec kazał mu zamknąć jadaczkę i zabrać się do łowienia ryb.

Tylko jakie znaczenie miały teraz takie rzeczy? Dla Rafe’a nie było ważne, kto wygra tę wojnę. Jeśli będzie trzeba, spakuje rzeczy, wsadzi Enę do łodzi i popłyną razem w górę wybrzeża albo w dół. Może nadszedł czas, by ludzie Pana Oceanu wrócili na Wyspy Vutskie? Z pewnością znaleźliby jakąś opuszczoną skalistą wysepkę, gdzie mogliby wieść życie w szczęśliwej samotności we dwoje...

Z głową pełną podobnych fantazji Rafe prowadził łódź między szczątkami statków, szukając czegoś, co dałoby się uratować. Poprzedniej nocy natrafił na unoszący się na wodzie antałek miodu z południa, lekko osmalony z zewnątrz, wciąż dobrze zabezpieczony woskiem i bawełnianą otuliną, co bardzo ucieszyło ojca, który stwierdził, że dostanie za niego co najmniej srebrną monetę. Rafe miał wrażenie, że to dzięki temu znalezisku Mackel ostatecznie podarował mu łódź. Pamiętając o swoim wielkim szczęściu, poklepał mocną, choć delikatną burtę *Foczej Skóry*. Rafe wiedział, że następny antałek miodu byłby już tylko dla niego. Może mógłby kupić Enie ślubny naszyjnik.

Przepląnął przez upiorne pobojuwisko i zatoczył szeroki łuk wzdłuż wybrzeża poniżej przylądków Marrinswalk. Prawie świtało i Rafe zdawał sobie sprawę, że niedługo będzie musiał wracać. W dziennym świetle trudniej jest pozostać niezauważonym. W razie kłopotów mógł udawać, że zasnął na przystani w łodzi podczas jej czyszczenia. Wcześniej zdarzało mu się to wielokrotnie.

Rozmyślając tak, zauważył, że na brzegu coś się poruszyło. Wyteżył wzrok. Niemal przy samej linii wody stało coś wysokiego, owiniętego w postrzępiony materiał targany coraz silniejszym wiatrem. Co to jest? Jakież to użyteczny przedmiot ocalał z któregoś ze statków, a woda wyniosła go na brzeg, gdzie znalazł go inny poszukiwacz, który go zostawił, lecz niebawem po niego wróci? Czy dlatego jest owinięty w ten podarty płaszcz? Czy ktoś myślał, że to wystarczy, by zawłaszczyć znalezisko?

Rafe skierował łódź na płyciznę i zatrzymał się w miejscu, gdzie już nie mógł dalej płynąć, lecz nie wysiadł. To coś, co stało na skalistym brzegu, przypominało człowieka, choć tkwiło nieruchomo, jeśli pominąć szarpane wiatrem okrycie. Czy to posąg? A może jakiś samotny wędrowiec zmarł, lecz pozostał mimo wszystko w pozycji stojącej? Rafe znajdował już trupy na plaży, najczęściej topielców, ale przeważnie nie wyróżniały się niczym, jakby ludzie przybywali w to oddalone miejsce właśnie po to, by umrzeć. A już na pewno żaden z nich nie stał. Rafe poczuł dreszcz zabobonnego strachu.

Wtedy postać się poruszyła.

Rafe wstrzymał oddech i zepchnął łódź na głębszą wodę. To coś żyło i prawdopodobnie stało na tej samotnej plaży z własnej woli.

Zobaczył, że postać powoli uniosła rękę i skinęła na niego. Otworzył szerzej oczy. Po chwili człowiek podniósł ramię wyżej i wykonał bardziej zamaszysty gest, lecz tak samo sztywno jak poprzednim razem, jakby był bardzo stary i słaby. Teraz już nie miał wątpliwości, że go przywołuje.

– Czego chcesz? – zawołał Rafe. – Jeśli ci życie miłe, nie zaczepiaj mnie, bo jak nic rozwalę ci łepetynę!

Kiedy postać ponownie na niego skinęła, ciekawość wzięła górę. Muskający Wodę podpląnął bliżej. Siedząc w podskakującej na falach

łodzi, przyglądał się zjawie. Obcy ubrany był w postrzępioną ciemną szatę z kapturem, który zasłaniał mu twarz, a ręce miał całe owinięte brudnymi bandażami, tak że nie było widać ani skrawka skóry. Rafe po raz kolejny poczuł na karku dreszcz. Fale ucichły na chwilę i wreszcie mógł usłyszeć głos obcego, a przynajmniej jego głośny chrapliwy oddech. Choć było to niepokojące, świadczyło o tym, że przybysz nie jest duchem.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał powtórnie.

Dostrzegł jedynie słaby błysk w spojrzeniu obcego, który pokazał na jego łódź, a potem powoli wyciągnął zabandażowaną rękę w stronę zamku wznoszącego się pośrodku zatoki. Wyraził się bardzo jasno.

– Chcesz, żebym cię tam zabrał? – zaśmiał się, licząc na to, że dla obcego zabrzmiało to odważniej niż w jego uszach. – Żartujesz, człowieku? Dlaczego miałbym to zrobić? Jeśli jesteś szpiegiem południowców, to chyba nie najlepszym z tymi zabandażowanymi rękami i ponurym wyglądem. Jakbyś brał udział w paradzie podczas Kernejów!

Mężczyzna raz jeszcze pokazał zamek.

– Pytam dlaczego? Dlaczego miałbym cię tam zawieźć?

Mężczyzna w kapturze opuścił rękę, drugą zaś wsunął między fałdy szaty, jakby chciał rozwiązać węzeł. Rafe uznał, że nie chce zobaczyć, co tamten chowa pod płaszczem, i dla bezpieczeństwa wycofał łódź, lecz mężczyzna miał kłopoty z rozplątaniem szaty. Rafe zatrzymał łódź i uniósł wiosła, kołysząc się w miejscu na falach. Zastanawiał się, co robi ten dziwaczny człowiek.

Obcemu udało się wreszcie rozsuptać pas, lecz zamiast zdjąć płaszcz, tylko wyjął coś z węzła i podniósłszy rękę, wyciągnął ją przed siebie, pokazując coś Rafe'owi w słabym świetle świtu, jakby chciał mu to podać pomimo dzielącej ich odległości. Rafe zdumiał się na widok złotej monety wielkiej jak oko kałamarnicy.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz mi to dać – odezwał się wreszcie z niedowierzaniem. – Żebym zawiózł cię do zamku. Tam – dodał, pokazując palcem. Zakapturzona postać nie odpowiedziała, tylko jeszcze raz wyciągnęła rękę z monetą w jego stronę. – Dobrze, jeśli tego

chcesz. Ale pamiętaj, że mam sztylet. – Podniósł z dna łodzi nóż do patroszenia ryb. – Nie próbuj niczego, bo pożałujesz.

Nie było łatwo posadzić obcego w łodzi. Wydawał się niepełnosprawny, a przynajmniej tak się poruszał, bo kończyny miał sztywne i kruche jak sople lodu. Rafe'owi wreszcie udało się posadzić go na ławce i mógł odebrać złoto. Bandaże mężczyzny były okropnie brudne, ale sama moneta lśniła cudownie. Gdy tylko obcy oddał złoto, zaraz opuścił głowę i pod osłoną kaptura zdawał się drzemać.

Rafe zaczął rażno wiosłować, by wrócić, zanim słońce wzejdzie wysoko nad wzgórze. Wiedział, że będzie musiał znaleźć odpowiednie miejsce, żeby wysadzić tego bogatego szaleńca, a potem jak najszybciej wrócić do domu. Teraz nawet jeśli ojciec złoży mu skórę, nie będzie to miało znaczenia, bo jest bogaty. Będzie mógł kupić Enie nie tylko naszyjnik, ale także taką suknię, jakiej na Lagunie jeszcze nie widziano, suknię, która będzie miała więcej muszelek, niż jest gwiazd na niebie.

\*\*\*

To dziwne, jak dłuży się czas komuś pozbawionemu wolności. Qinnitan doszła do wniosku, że przez większość swojego życia była kimś w rodzaju więźnia, najpierw w Ulu, choć tam traktowano ją dobrze, a potem w Samotni. I wreszcie, po krótkim okresie słodkiej wolności w Hierosolu, została ponownie schwytana przez tego potwora Daikonasa Vo. Potem zdołała uciec nawet jemu, ale chyba sami bogowie nie chcieli, żeby była wolna. I oto siedzi tu, pomimo tylu wysiłków, odwagi i poświęcenia, jako więzień najbardziej niebezpiecznego szaleńca na świecie.

Poruszyła się, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję. Z rękami związanymi za plecami nie było jednak mowy o żadnej wygodzie. Słudzy wielkiego kapłana przychodzili i odchodzili, już prawie nie zwracając na nią uwagi, jakby była meblem albo resztką jedzenia.

Nie, raczej zwierzęciem ofiarnym, pomyślała. Jej cierpienie było dla nich o wiele mniej istotne niż jej rola w zbliżającej się ceremonii.

Ale jakiej ceremonii? Co autarcha planuje dla niej i biednego króla Olina? Przez cały czas słuchała uważnie każdego słowa, jakie padało w

jej obecności, a w szczególności wypowiedzi tego nadętego potwora Panhyssira, mimo to wciąż nie miała pojęcia, co zamierza Sulepis.

Choć bardzo tego nie chciała, mimowolnie jęknęła, czując, że mikstura zaczyna działać. Och, słodki miodzie Nushasha, znowu to czuje – straszliwy palący ból, który spływa z jej głowy aż do kości ogonowej niczym błyskawica. Pamiętała, że obrzydliwy napój nazywany przez Panhyssira „Krwią Słońca” w Samotni przysparzał jej kolejnych upokorzeń, teraz zaś musiała znowu doświadczyć jego okrutnego działania i strasznych myśli, jakie zasiewał w jej umyśle. Czuła, jak jej usta otwierają się do niemego krzyku, jak palce zaciskają się i prostują, aż wreszcie nie mogła już utrzymać podartej szaty, w którą była owinięta.

Ujrzała, jak upada na podłogę, jakby patrzyła na siebie z dużej odległości, a potem zobaczyła, że świat się przechyla i znika w ciemności zaciśniętych powiek.

Bum. Bum. Bum.

Powolne pulsowanie krwi, gorącej czerwonej rzeki, która za sprawą mikstury kapłanów udawała teraz boski ichor. Qinnitan czuła, jak krew płynie leniwie przez jej ciało, wypełniając ją, jak płynne srebro wypełnia misterną formę, aż wszystko, co miało kształt Qinnitan, napuchło, drżąc, przepełnione zabójczą Krwią Słońca.

Coś w ciemności stało się świadome jej istnienia. Nie tyle się podniosło, ile wyłoniło spod szaty. Szata zaś stała się ciemnością, w której to coś żyło, tak jak ogromny wieloryb żyje w wodzie czy też jak błyskawica rozkwita na niebie. Wydawało się jednak zbyt monstrualne jak na jakiegokolwiek żywe stworzenie, Qinnitan czuła, że je rozumie, prawie...

Im bardziej odczuwała zimne zainteresowanie swoją osobą, tym bardziej się bała. Istota się zbliżyła, a sama jej obecność sprawiła, że Qinnitan zafalowała i rozlała się niczym plama oleju. Czuła, że rozpadnie się, jeśli to coś jeszcze bardziej się zbliży. Gdy to się stało, Qinnitan nagle zrozumiała, że owa boska istota chce czegoś od niej. Nigdy wcześniej tak tego nie pojmowała. Zawsze odczuwała tę obecność jako zainteresowanie polującego bezlitosnego drapieżcy, a siebie postrzegała jako nieszczęsną ofiarę, skrepowaną i pozostawioną na jego



pastwę. Teraz, ogarnięta przerażeniem, zdała sobie sprawę, że istota nie chce jej pożreć, a przynajmniej nie w dosłownym sensie. Ona chciała się nią posłużyć, zamieszkać w niej, tak by mogła przekroczyć pustkę i powrócić do świata żywych.

Qinnitan wiedziała, że nie przetrwa, wypełniona bytem tak potężnym i okrutnym – każda chwila tej obecności wypalała część prawdziwej Qinnitan. Ale właśnie w tym celu podawano jej Krew Słońca, uzmysłowiła sobie: by przygotować ją jako naczynie dla boga, by uczynić z niej bardziej przyjazny dom dla tego ohydneho bytu, który nie gościł na ziemi od tysiący lat. Niestety w żaden sposób nie mogła temu zapobiec. Z nadejściem północy albo ona, albo król Olin zostaną złożeni w ofierze, staną się muszlą, w której będzie mogła zamieszkać owa straszliwa istota.

Krzycząc bezgłośnie, Qinnitan zaczęła płynąć w górę w ciemności, by ratować się ucieczką. Istota, cierpliwa jak sama śmierć, puściła ją. W końcu niebawem i tak miała dostać wszystko, czego pragnie.

\*\*\*

Z rękoma związanymi sprawnie za plecami i z workiem na głowie Rogowca prowadzono szybko po nierównym terenie. Nad jego głową wciąż grzmiały pociski armatnie, ale jakby ciszej. Po szumie morza zorientował się, że zmierzają w kierunku Laguny Północnej. Jego porywacze prawie się nie odzywali i choć nie okazywali mu szczególnej uprzejmości, nie byli też bardziej stanowczy, niż to konieczne, co kazało mu podejrzewać, ku jego przerażeniu, że są żołnierzami. A to oznaczało, że to ludzie Tolly'ego. Co więcej, sądząc po tym, jak szybko i sprawnie go pojмали, znali go.

Zachwiał się i omal nie upadł na myśl o tym, że może już nigdy nie zobaczy Opal ani Krzemienia czy Miasta Funderlingów. A jeśli ma zostać stracony, być może nie zobaczy już niczego poza wnętrzem tego okropnego worka...

Zatrzymał się i zapał nogami w miejscu.

– Nie pójdę, dopóki nie powiecie mi, dokąd mnie prowadzicie – oznajmił i zaraz zawstydził się, bo bardzo drżał mu głos. – Skoro mam zginąć, przynajmniej powiedzcie mi dlaczego. I kim są moi mordercy.

– Idź dalej, dwa jardy – warknął jeden z ludzi i pchnął Rogowca w plecy tak mocno, że ten poleciał do przodu.

Funderling nie potrafił rozpoznać jego akcentu – może był to najemnik z Kracji. Rogowiec słyszał wcześniej pogłoski, że Hendon Tolly szukał pomocy za granicą, kiedy się dowiedział, że Qarowie idą na zamek.

Wreszcie wepchnięto go w jakieś wejście i poczuł pod nogami rozrzucone na podłożu sitowie, a potem przytrzymano go mocno za ramiona i posadzono na stołku. Chwilę później szybkim ruchem zdjęto mu worek z głowy. Kiedy już przestał mrugać, ujrzał dziwną postać na krześle naprzeciwko niego. Zbroja sugerowała, że to mężczyzna, młody, sądząc po odkrytej twarzy, lecz po dłuższej chwili Rogowiec zorientował się, że to kobieta, która przygląda mu się z chłodnym zainteresowaniem. Wyglądała niezbyt kobieco, jako że złociste włosy miała krótko przycięte, a twarz brudną.

– Tylko jeden? – zapytała. Rogowiec był pewny, że już gdzieś ją widział. – Tyle czasu i przyprowadzacie mi jednego? A jeśli on nie wie?

– Żaden inny nie wychodził! – sumitował się jeden z mężczyzn, którego akcent był mniej wyrazisty niż jego towarzyszy.

– Sama widziałaś, Wasza... to znaczy, pani. Ludzie Tolly'ego dobrze pilnują, a dzisiaj nikogo nie wypuszczali. Ale potem pocisk trafił w wejście Kallikanów i wtedy ten wyszedł, więc go złapaliśmy.

– Funderlingowie. Tutaj, w Marchii Południowej, mówimy na nich „Funderlingowie”, Stephanasie, a nie „Kallikanie”. – Kobieta ponownie odwróciła się do Rogowca. – Nie obawiaj się – rzekła. – Mam nadzieję, że obeszli się z tobą łagodnie. To szorstcy ludzie, ale kazałam im zachować ostrożność.

– Nie wyrządzili mi krzywdy... ale też nikt mnie nie spytał, czy mam ochotę tutaj przyjść.

– Nie zamierzaliśmy cię pytać o zgodę. Potrzebuję twoje pomocy.

I wtedy w jednej chwili przypomniał sobie, skąd zna tę kobietę, i słowa same popłynęły z jego ust:

– Na przełam i ryse! Co tylko zechcesz, księżniczko Briony. Do usług. Dobrze widzieć cię znowu w domu.

Kobieta zmrużyła oczy.

– Jeszcze go nie odzyskałam. Kim jesteś?

– Rogowiec Lideryt. Spotkaliśmy się tamtego dnia, kiedy twój brat zabił skrzydlatego smoka.

– Litościwa Zorio, pamiętam! To byłeś ty? – zaśmiała się i przez chwilę znowu była dziewczyną, którą wtedy zobaczył. – Naprawdę zechcesz mi pomóc?

Wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Twój ojciec jest naszym królem, Wasza Wysokość. Czy i on wkrótce wróci?

Oblicze dziewczyny spochmurniało.

– Jeśli będę miała coś do powiedzenia w tej sprawie. Teraz jednak przebywa gdzieś pod ziemią jako więzień południowców

Rogowiec omal głośno nie jęknął.

– Wiem o nich aż za dużo, Wasza Wysokość! Przebili się poniżej Miasta Funderlingów i wgryzają w nasze Tajemnice jak robak w jabłko. Chętnie pomogę zadać im cios. Powiedz mi tylko, co mogę dla ciebie zrobić – wypowiadając te słowa, usłyszał w głowie głos Opal: „Przestań się popisywać przed dużymi, Rogowcu Liderycie. Masz swoją pracę do wykonania, a czas wycieka”.

– No cóż, ci ludzie tutaj i ja nie walczymy z południowcami... – Księżniczka sprawiała wrażenie, jakby pragnęła, aby było inaczej. – Mój wróg znajduje się bliżej, to Hendon Tolly. Lecz księżę Syanu i ja nie możemy wprowadzić żołnierzy do twierdzy wewnętrznej, ponieważ chronią ją mocne mury. Własny zamek nie chce mnie wpuścić! – zaśmiała się gorzko.

– Więc co mogę zrobić? – zapytał Funderling, który powoli zgadywał, do czego zmierza ich rozmowa.

– Potrzebowałam Funderlinga, Rogowcu, jakiegokolwiek. Nie wiedziałam, że to będziesz ty. Muszę się dostać do twierdzy wewnętrznej, i to szybko. – Jej ostre przenikliwe spojrzenie zaskoczyło Rogowca. – Widzisz, dowiedziałam się wielu rzeczy. Nie jestem już taką naiwną dziewczynką, jaką byłam, gdy tu mieszkałam. Poznałam

Kallikanów z Tassis, waszych krewnych, i odkryłam, że mają tajemnice przed swoim władcą. Jestem pewna, że i wy skrywacie coś przed moją rodziną.

– Tajemnice...?

– Korytarze pod zamkiem, tunele, ukryte przejścia, o których duzi – bo tak nas nazywacie, prawda? – nie powinni się dowiedzieć. Ale teraz muszę je poznać, Rogowcu Liderycie. W jaki sposób mogę wprowadzić do twierdzy wewnętrznej dość ludzi, by otworzyli bramę i wpuścili pozostałych?

Rogowiec musiał podjąć decyzję, tyle pojął. Księżniczka pytała o Drogi Burzowego Kamienia, nawet jeśli nie wiedziała, że tak się nazywają. Jego zachowawczość i ostrożność ostrzegały go, że nie powinien sam o tym decydować. O istnieniu tych korytarzy ród panujący nie wiedział przez setki lat, tak więc nawet ta niezwykła sytuacja nie dawała Rogowcowi prawa zdradzania tej tajemnicy. Ale miał też do spełnienia własną misję i nie było czasu na rozważania i zasięganie rady.

– Oddacie nam Miasto Funderlingów, jeśli zwyciężycie? Ludzie Tolly’ego je okupują.

Briony się uśmiechnęła.

– Bez wahania. Ręczę słowem Eddonów.

– W takim razie pomogę ci najlepiej, jak będę potrafił. Masz słowo Lideryta.

Jej uśmiech stał się trochę bardziej rzewny.

– Zdaje się, że oboje nosimy nazwiska, które zobowiązują, mistrzu Rogowcu.

\*\*\*

Zapadła już ciemność, kiedy dotarli pomiędzy nowe mury a wielki mur zewnętrzny. Był to labirynt alejek między krańcami Laguny Wschodniej i Zachodniej, zamieszkany przez najbiedniejszych, ponieważ mury wznosiły się tam tak wysoko, że w ciągu dnia słońce muskało ulice zaledwie przez godzinę lub dwie, nawet latem. Obserwatorium Chavena pozostawało niewidoczne, usytuowane na przeciwległym końcu nowych murów, za to Wieża Wiosenna wznosiła

się wysoko nad ich głowami. Rogowiec podejrzewał, że Tolly wystawił straż na najwyższym piętrze, lecz domyślał się, że znajdują się zbyt blisko podstawy, by ktoś zauważył ich ze szczytu.

– Mimo wszystko niech twoi ludzie rozmawiają cicho. Dźwięk odbija się od kamienia na wiele dziwnych sposobów – wyszeptał do Briony.

Poprowadził ich na koniec wąziutkiej uliczki do opuszczonego domu, licząc na to, że pamięć go nie zawodzi i że znajdzie ukryte przejście, z którego czasem korzystał, kiedy chciał wyjść z domu Chavena, nie opuszczając całkowicie nadziemnej części zamku. Z zadowoleniem zobaczył wyraz zaskoczenia na twarzy Briony, gdy otworzył ukrytą zapadnię w zagraconym pokoju.

Sprowadził schodami księżniczkę i jej ludzi do korytarza, którym dotarli do drzwi piwnicy w obserwatorium. Jeden z żołnierzy podważył sztyletem zasuwę i weszli do środka.

Rogowiec rozejrzał się i przypomniał sobie miejsce, gdzie on i Chaven ukryli się za arrasem przed Hendonem Tollym i bratem Okrosem. Wydawało mu się, że działo się to tak dawno temu! Briony sprawiała wrażenie, że osaczyły ją własne wspomnienia.

– To naprawdę jest część domu Chavena? – zapytała szeptem. – Niewiarygodne!

– Kiedy byłem tu ostatnio, kręcili się tutaj strażnicy – ostrzegł ją Rogowiec.

Teraz też tam byli. Jeden z nich, prawdopodobnie w drodze powrotnej z wychodka, natknął się na syańskich żołnierzy, którzy właśnie schodzili ze schodów. Strażnik zaatakował włócznią Rogowca, niemal nadziewając go na nią jak prosię, lecz Syańczycy otoczyli go i zlikwidowali, zanim zdążył krzyknąć.

– Barwy Tolly’ego – powiedziała cicho księżniczka, trącając butem martwego mężczyznę. – Paskudny widok. Odkąd wróciłam, widzę je wszędzie.

Nie spotkali już nikogo, przemierzając obserwatorium. Rogowiec nie wyprowadził Briony i żołnierzy frontowymi drzwiami, lecz z niższego piętra, kolejnym ukrytym wąskim korytarzem, który wiódł do

piwnicy niedużego budynku stojącego już w obrębie twierdzy wewnętrznej nieopodal domu medyka.

– Nawet Chaven nie ma pojęcia, że wiem o tym przejściu – rzekł Rogowiec. Nie wspomniał tylko, że to Krzemień je odkrył podczas jednej z ich wizyt.

– Cała twierdza jest pełna tuneli niczym łąka króliczych nor! – zdumiała się Briony. – Bez obrazy, mistrzu Liderycie, ale sądziłam, że już nic nie będzie w stanie mnie zaskoczyć.

– Nie jesteśmy królikami – odrzekł Rogowiec. – Ale jesteśmy mali i lubimy drążyć w skale.

– Nie zrozum mnie źle – odpowiedziała księżniczka. – W tej chwili bardzo się cieszę, że mam poddanych, którzy lubią kopać!

Ulice twierdzy wewnętrznej były niemal puste, co wydawało się dziwne tuż przed świętem przesilenia letniego, gdy zawsze pełno było hulaków, za to na każdej z ważniejszych wież wystawiono strażników, nawet na górnych piętrach mocno zniszczonej Wieży Wilczego Kła.

– A teraz, za pozwoleniem, muszę iść, Wasza Wysokość – powiedział Rogowiec, kiedy stali w cieniu przejścia.

Ludzie Briony zgasiли pochodnie i czekali na nią niżej na schodach.

– Musisz iść? Liczyłam na większą pomoc, Rogowcu Liderycie. – Księżniczka sprawiała wrażenie niezadowolonej, a Funderling nie chciał jej rozgniewać, ponieważ nie miał czasu do stracenia.

– I pomógłbym ci chętnie, Wasza Wysokość, ale wykonuję swoją misję, równie ważną jak twoja, a może nawet ważniejszą, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Dotyczy ona zarówno twoich ludzi, jak i moich. Czas ucieka.

Briony zamyśliła się na chwilę.

– Tak, czas ucieka, nie trzeba mądrości bogów, żeby to wiedzieć. Rób, co musisz. Mam nadzieję, że jeśli przeżyjemy, będziemy mieli okazję spokojnie porozmawiać o swoich poczynaniach tej nocy, Rogowcu z Funderlingów, ponieważ wciąż wiele moich pytań pozostaje bez odpowiedzi. Przede wszystkim wydajesz się dobrze obeznany z domem nadwornego medyka...

– Ja... byłem tam raz czy dwa.

– Tak myślałam. Obiecujesz, że porozmawiamy?

– Będę zaszczycony, Wasza Wysokość. Ale, jak słusznie zauważyłaś, będzie to możliwe, jeśli przeżyjemy. Uważaj na siebie, księżniczko. Poddani nie chcieliby utracić cię tak szybko po twoim powrocie.

Zaśmiała się cicho.

– Sądzę, że i twoi ludzie chcieliby, żebyś na siebie uważał. Niech cię Zoria błogosławi.

– A ciebie niech strzegą Starsi Ziemi, Wasza Wysokość.

Chwilę później Briony schodziła już schodami cicho jak kot, a Rogowiec został sam na progu domu Chavena.

\*\*\*

Księżyc stał wysoko na niebie, prawie w pełni, przekrzywione białe grono, które dawało tyle światła, że bystrookiemu Rogowcowi się zdawało, że bardzo rzuca się w oczy, kiedy podążał w cieniu murów twierdzy wewnętrznej. Wreszcie ucichła artyleryjska kanonada, lecz z murów twierdzy zewnętrznej wciąż słyhać było okrzyki strażników znieważających Syańczyków.

Zamek wyglądał inaczej, niż zapamiętał – taki ogrom zniszczeń w tak krótkim czasie! Wszędzie zalegały gruzy, a piękne niegdyś błonia zniknęły pod dziesiątkami obozowisk uciekinierów, prowizoryczna wioska kończyła się jednak u stóp wzgórza, na którym stała królewska rezydencja otoczona pierścieniem straży, co mówiło wyraźnie, że Hendon Tolly nie życzy sobie, aby wieśniacy koczowali na progu jego domu.

Trzymając się w cieniu i przystając na każdy obcy mu odgłos czy ruch, jakby rzeczywiście był królikiem, Rogowiec szedł ostrożnie przez twierdzę wewnętrzną w blasku księżyca, którego ogromny żółty dysk malał, w miarę jak wspinał się na niebo. Samotny dzwon na wieży królewskiej rezydencji wybił północ, kiedy Rogowiec dotarł do obrośniętej bluszczem kaplicy Eddonów usytuowanej w rogu sali tronowej. Tylko to miejsce przyszło mu do głowy, gdy myślał o swojej misji. Mimo że omal nie zginął trafiony pociskiem, a potem został

porwany, to najgorsze zadanie tego dnia wciąż było przed nim. Musiał wejść na dach kaplicy.

\*\*\*

Sapiąc mocno, niemal widząc gwiazdki przed oczami i tak spocony, że nawet chłodne nocne powietrze nie przynosiło mu ulgi, Rogowiec zdołał wreszcie wciągnąć się nad szeroką rynną i padł na dach pokryty dachówką. Długo leżał bez ruchu, chciwie łapiąc powietrze. Wreszcie zdołał usiąść i otarł dłonią pot z czoła. Dach był pusty, nic licząc nadętego księżycyca wiszącego między dwoma kominami, jakby ktoś go wyprał i powiesił, by wysechł.

Rogowiec zawołał najgłośniejszym głosem, jak się odważył:

– Ludzie ze szczytu dachu! Poddani królowej Upsteeplebat, to ja, Rogowiec z Funderlingów, przyjaciel! Potrzebuję was!

Nic się nie stało. Spróbował jeszcze raz, przekonany, że w dole, w ciemności dziedzińców albo wąskich uliczek, ktoś z pewnością go słucha, a może nawet już biegnie, by złożyć raport żołnierzom Tolly'go, lecz na samym dachu nic się nie poruszyło. Wreszcie, gdy już postanowił, że się położy i odpocznie trochę, zanim podejmie trzecią próbę, gdy księżyc schowa się za najbliższą wieżę, usłyszał szelest i podniósłszy wzrok, zobaczył malutką postać przycupniętą na linii dachu nad jego głową, widoczną na tle księżycyca koloru pergaminu.

– Jaki to masz interes do Jej Wybornej i Niezapomnianej Wysokości? – zapytał człowieczek.

Rogowiec podczołgał się trochę wyżej ku szczytowi dachu, by móc szeptać. Ludzik przyglądał mu się z rozbawieniem, jak podejrzewał Funderling, dziwując się temu, jak ta monstrualna nieporadna istota porusza się, z brzuchem przyciśniętym do dachówek, jakby się bała, że zmiecie ją podmuch wiatru.

Dachowiec był Rynniennym Zwiadowcą, lecz nie tym, którego Rogowiec kiedyś spotkał, choć wydawał się znać jego imię. Wysłuchawszy, co Funderling ma do powiedzenia, Dachowiec skinął głową i oznajmił:

– Czekać musisz. – A potem zniknął po drugiej stronie dachu.



Rogowiec westchnął i usiadł, by pożywić się kawałkiem chleba i grzybem, które zapakował przed wyjściem. Czekać musisz, Liderycie, pomyślał, naśladowując spokojnego człowieczka. Musisz. W końcu nie będziemy się spieszyć tylko dlatego, że zbliża się koniec świata, prawda?

## Grot włóczni

*Kiedy bóg pogrążył się we śnie i zachrapał,  
Sierota skradł mu kawałeczek słońca, lecz  
okruch był zbyt gorący, by śmiertelnik mógł go  
nieść w rękach. Ukrył go więc w skorupce jaja,  
którą wziął z talerza Zmeosa, i uciekł z  
ogromnego zamku.*

– z *Powiastki u Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

– Nie możemy tracić czasu i atakować wojsk autarchy od tyłu – oznajmiła Yasammez. Jej myśli były ciężkie, twarde i zimne jak metal. – Mamy mało czasu. To nie jest zwykłe obleżenie. Już przerwaliśmy ich szlak dostaw, ale południowego władcy to nie obchodzi.

– Więc pozostaje nam zejść niżej, tak jak planowaliśmy. – Saqri rozłożyła palce dłoni. – Przy odrobinie szczęścia może uda nam się dostać przed nimi do Ostatniej Godziny Przodka.

– Gdzie wciąż będziemy w mniejszości – zauważył Barrick.

Yasammez ledwo na niego zerknęła.

– Nie boimy się śmiertelników bez względu na ich liczbę.

– W każdym razie naszą jedyną nadzieją jest szybkość działania – powiedziała Saqri. – A żeby zejść pod ziemię, będziemy musieli przeciąć główną drogę marszu południowców pod Pieczarą Wichrów. Jeśli obrońcy wciąż ich blokują, to główny tunel będzie pełen xiskich żołnierzy i trzeba będzie wywalczyć sobie przejście przez skrzyżowanie. To szeroka przestrzeń, niezbyt nadająca się do naszych celów, lecz jeśli uda nam się przebić, dojdziemy do wielkiego dołu, co pozwoli nam zejść o wiele szybciej.

– Przebijemy się, nie obawiaj się – zapewniła ją Yasammez. – Będziemy twardzi jak grot włóczni. Zahartował nas Ogień Księgi.

Gdy Ognisty Kwiat wypełniał jego głowę wspomnieniami *Księgi Ognia w Pustce* oraz ideami dotyczącymi Wiecznego Ognia, za którego

sprawą księga została napisana, i tysiącami szczegółów równie drogich Qarom jak imiona, Barrick uzmysłowił sobie, że Yasammez po raz kolejny przypomniła mu o jego dawnym mentorze Shasie dan-Hezie. Jej stwierdzenie, że armia powinna być jak grot włóczni, brzmiało bardzo podobnie do tego, co Shaso wielokrotnie mu powtarzał.

„Armia jest narzędziem, chłopcze. A dobra armia jest bardzo pożytecznym narzędziem. Może być twarde i ciężkie, kiedy trzeba, równie trudne do zniszczenia jak element porządnej zbroi. Ale może też się zmienić w coś ostrego jak dobrze naostrzony grot włóczni, dzięki czemu przebije wroga, jak włócznia przebija nawet najmocniejszy napierśnik. Grupując siły, dodajesz jej mocy w chwili uderzenia...”

Barrick poczuł się dziwnie, widząc Shasa spoglądającego na niego z zimnych prastarych oczu Yasammez, lecz to nie osłabiało znaczenia jego słów. Oboje prędzej by zginęli, nim zrobiliby coś, co uznaliby za niehonorowe, lecz oboje mogli też popełniać błędy, ponieważ byli za bardzo przekonani o swojej prawdzie.

A to oznaczało, że Shaso prawdopodobnie był niewinny śmierci Kendricka, a on się mylił. Było tak, jak mówiła Briony. Po raz pierwszy pożałował, że nie porozmawiał z siostrą. Poczul wykwitający w nim nieokreślony ból, ukłucie żalu spowodowanego stratą tak silne, że na chwilę stracił oddech.

Tęsknota za domem. Barrick był zdumiony. Tak późno? Po tym, jak tak bardzo się zmienił? Uświadomił sobie, że to miejsce nie jest jego domem i nigdy nie było. Zamek, tutejsi ludzie – nic do nich nie czuł. Skąd więc ta dziwna tęsknota?

– Powinniśmy przestać już dyskutować i ruszać – powiedział głośno, co Yasammez skwitowała chłodnym, pełnym irytacji spojrzeniem. – Czas ucieka. Nie spotka nas nic gorszego niż spojrzenie wstecz na zmarnowany czas i błędy, których nie musieliśmy popełnić.

\*\*\*

– Ach, przyjacielu Rogowcu – zawołał ludzik dosiadający białego szczura, który wyłonił się zza szczytu dachu. – Dopiero co mówiłem Jej Wysokości, a jakże: „Dawnom go nie widział, o tak”. I oto jesteś.

– Pędzik. – Rogowiec uśmiechnął się odruchowo. – Dobrze wyglądasz. A to bardzo ładny szczur.

– Ze stajni królowej – powiedział z dumą Dachowiec. – W nagrodę go dostałem, tak jakby.

– Cieszę się, że potraktowano cię tak, jak na to zasłużyłeś. Czy królowa pozwoli, byś zrobił dla mnie coś jeszcze?

Ludzik przechylił głowę, a szczur zaczął lizać sobie sierść.

– Powiedz, czego ci trzeba, a ja udam się do królowej i ją zapytam.

– Pędzik się wyprostował. – Wiesz, my, Dachowcy, walczymy u boku Starych po raz pierwszy od setek lat. Po tylu wiekach! – dodał i zaczął się rozwódzić nad swoimi ostatnimi dokonaniem, lecz Rogowiec mu przerwał:

– Dobrze wiedzieć, że Qarowie ostatecznie zdecydowali się stanąć do walki, lecz to, o co chcę cię prosić, może się okazać najważniejszym zadaniem. – Szybko wyjaśnił Pędzikowi, co ma na myśli, i stwierdził, że Dachowiec nie wygląda na zachwyconego. – A potem przyniesiesz mi astion do miejsca, które zaznaczyłem na mapie, najszybciej jak to będzie możliwe. – Podał Dachowcowi skrawek pergaminu. – Jeśli mnie tam nie zastaniesz, przekaż go bratu Antymonowi.

– To naprawdę aż takie ważne?

– Naprawdę.

Pędzik nie wyglądał na przekonanego, ale uprzejmie nie wyraził swoich wątpliwości.

– W takim razie niech tak będzie, przyjacielu Rogowcu. Nie mogę jednak nic zrobić bez pozwolenia królowej, chodźmy więc.

– Oczywiście. Prowadź. Pamiętaj tylko, że nie jestem zbyt dobrym wspinaczem.

– Zbyt dobrym? – Pędzik się zaśmiał. – Jesteś jak kulawy pies, szczerze mówiąc.

Człowiek, który prosi o przysługę, nie powinien miażdżyć mającego ją wyświadczyć ludzika, bez względu na rodzaj prowokacji, upomniał samego siebie Rogowiec, przesuwając się ostrożnie po zdradliwych dachówkach.

\*\*\*

Atak Qarów zaskoczył południowców: czarodziejscy ludzie wylali się z bocznego tunelu, jednego spośród setek innych, które minęli w drodze do Głębi, na tyle szerokiego, by mogły przecisnąć się tam ettiny. W rzeczywistości to Młotostopy i jego kuzyni wypadli pierwsi z korytarza, rycząc i wywijając bronią, co wywołało wśród południowców tak wielki strach, że niektórzy padli trupem, gdyż zatrzymały się ich serca. Potem rozległ się szcęk broni, a Qarowie zaczęli walczyć, by rozdzielić o wiele większe siły południowców i dzięki temu przedostać się przez szeroki tunel do bocznej odnogi po jego drugiej stronie.

Przez jakiś czas krew płynęła jak woda w rynnach, ponieważ pustynni wojownicy i najbardziej waleczne plemiona czarodziejskich ludzi, ettiny, Ci, Którym Nie Wybaczone i Zmieniający się siekli zaciekle wroga w niemal całkowitej ciemności. Pomimo śmierci kilku ettinów, obleganych przez nieprzyjaciela niczym chrząszcze zaatakowane przez mrówki, olbrzymy i tak siały ogromne spustoszenie, aż wreszcie dowódca południowców, a przynajmniej najwyższy rangą żołnierz, wycofał swoich ludzi w przeciwny koniec tunelu. Ściągnięci przez niego łucznicy szyli teraz strzałami, które leciały z sykiem ku Qarom schowanym za ogromnymi tarczami i ettinom o grubej skórze. Czarodziejscy ludzie wciąż nie mogli się przebić.

Barrick, który znajdował się jeszcze w bocznym korytarzu, choć na tyle blisko wyjścia, by widzieć, co się dzieje, zastanawiał się, czy w ogóle uda im się przetrwać. Jeśli nie dostaną się do tunelu po drugiej stronie, pozostaną uwięzieni między południowcami, którzy już minęli skrzyżowanie, a tymi, którzy tam zmierzali. Bez względu na to, ilu wrogów zabiją wojownicy Saqri, będą przybywać następni, aż wreszcie ich przewaga nad Qarami będzie na tyle znaczna, że ich pokonają.

Dlaczego Saqri nie pozwoliła, by Yasammez poprowadziła ich siły? Imię mrocznej pani było synonimem zniszczenia; nawet bez podpowiedzi głosów Ognistego Kwiatu Barrick znał historie opowiadane przez tych, którzy przeżyli jej wyniszczający marsz przez Królestwa Pogranicza, o tym, jak własnoręcznie zabijała obrońców miast, czasem stając przeciwko kilkunastu wrogom i eliminując ich po kolei. A Ognisty Kwiat opowiedział mu znacznie więcej. Jego głosy śpiewały triumfalnie

o Ognistej Yasammez, o Biczu Drżącej Doliny, o córce boga! A w wizjach pochodzących z tak odległej przeszłości, że nawet pamięć Ognistego Kwiatu stawała się mniej wyrazista, Barrick ujrzał Yasammez z dawnych dni, walczącą zaciekle z zielonym ogniem nad głową, tak że nim oddychała i wypuszczała ustami płomienie i iskry. W krótkiej chwili rozświetlonej blaskiem błyskawicy w holu Srebrzystego Błysku, kiedy całe pole bitwy, ludzie, Qarowie, a nawet sami bogowie zdawali się zastygnąć, Yasammez stała wykręcona, spowita krwistą mgiełką pośród bezgłowych trupów skoszonych jednym cięciem. I takiej właśnie broni Saqri nie dożyła. Dlaczego?

Barrick nawet nie próbował się domyślać, ale wiedział równie dobrze, jak znał własne imię, że kobiety Qarów z najszlachetniejszego domu, a w szczególności te, które przejmowały Ognisty Kwiat, w niczym nie ustępowały mężom. Lepiej było po prostu zaufać królowej czarodziejskich ludzi...

Nie wahaj się pytać, usłyszał podstępny myśl. Mógł to być głos Ynnira, cichutki jak ćwierkanie ptaka na czubku wysokiego drzewa. I bądź gotów później się bronić królowa nie lubi, kiedy krytykuje się ją po fakcie.

Pierwsza fala strzał ustała. W następnej chwili wojownicy Saqri skoczyli na środek tunelu w wir cieni i migoczącego światła pochodni. Teraz Barrick był między nimi, owładnięty triumfalnymi głosami Ognistego Kwiatu, wykrzykiwał słowa, których sam nie rozumiał.

Wykrzywione twarze, klingi, szcęk broni uderzającej o zbroję, a czasem nieprzyjemny, przyprawiający o dreszcz miękkiego odgłos ostrza wgryzającego się w ciało Barrick był przerażony, a zarazem czuł się twardy jak kamień i czysty jak diament. Żył w nim wspomnienia setki królów, niektórych równie wojowniczych jak Yasammez. Ich upiorne głosy śpiewały radośnie, a krew pulsowała w żyłach Barricka. Nie opierał się im i pozwolił się prowadzić przez chaos ataków i obrony, za którymi nie nadążały jego myśli. Posłużył się „ogonem sokoła”, by zatrzymać opadającą klingę, krzyżując miecz ze sztyletem, po czym kopniakiem zmiażdżył kolano xiskiego żołnierza. Kiedy ten się przewrócił, Barrick, wykonując błyskawiczny obrót, chlasnął go ostrzem po gardle, a potem zacisnął dłoń na rękojeści miecza, niespodziewanie

śliskiej od krwi, i zaraz wykonał unik przed atakiem kolejnego napastnika i wbił mu sztylet w podbródek – „kolczasta pięść” – stojąc tak blisko niego, że usłyszał, jak tamten gwałtownie wciąga powietrze, a potem poczuł muśnięcie ostatniego oddechu, który wyszedł z jego ust.

Obróć się, odbij jego miecz i przetnij ścięgno pod kolanem, stań mu na gardle, gdy się przewróci, a potem odbij tarczą włócznię drugiego. Barrick czuł, że coraz bardziej się zatracą w tym specyficznym tańcu, jakby był strumieniem gorącego powietrza przepływającym przez pieczarę w skomplikowanych wirach, śladem, jaki płonąca wirująca żagiew mogłaby zostawić na tle nocnego nieba. Ale mimo że niemal pogrążył się w tej powodzi doznań, w rzece wspomnień, w wirze niezbędnych ruchów, nie potrafił zignorować faktu, że ilu przeciwników by zabił lub unieszkodliwił, podobnie jak jego towarzysze, to wciąż przybywają nowi, wlewając się do korytarza z obu stron niczym morska woda, która musi zalać te podziemne głębie.

Jakbyśmy próbowali zabić samo morze.

*Saqri, gdzie jesteś?*

*– Tutaj, ludzkie dziecko. Za tobą, bliżej południowców, którzy już minęli pieczarę, a teraz wrócili, by przyłączyć się do zabawy.*

Z jej myśli przebijała przewrotna radość, której wcześniej nie wyczuwał – najwyraźniej wojna jej służyła.

*– Jest ich zbyt wielu! Na miejsce każdego zabitego przez nas pojawia się trzech innych!*

*– Zawsze było ich zbyt wielu. Rozmnożyliście się nadmiernie już dawno temu. Widzisz, kiedy odeszli bogowie, nie stało już polujących na was drapieżników...*

Barrick nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

*– I co zrobimy?*

*– Musimy wytrwać. – Wyraziła to nie tyle słowami, ile uczuciem, połączyła ogrom cierpienia Qarów i siłę ich uporu w jednym wrażeniu determinacji walki. – Pamiętaj, że nie musimy pokonać ich wszystkich. Musimy tylko przejść na drugą stronę pieczary do bocznego tunelu. Potem pozwolimy im mozolić się dalej w dół korytarza i z góry spadniemy na ich dowódców!*

Oszalała, pomyślał Barrick, walcząc o życie. To miejsce doprowadziło ją do obłądu. Samotność, do której tak się przyzwyczył, że prawie jej nie zauważał, wezbrała w nim, grożąc uduszeniem. Jedynie naglące głosy Ognistego Kwiatu przypominały mu, że jego życie wciąż trwa – życie, które atakujący go dwaj południowcy chcieli zakończyć.

„Płetwa rekina”. Zablokuj cios gardą. Obróć się i wyprowadź cięcie obręcz, odrzucając pierwszego napastnika i uderzając tarczą w twarz drugiego. Pchnij sztyletem. Obrót i blokada.

Shasowi by się to spodobało, pomyślał. Beznadziejna sprawa. Można walczyć albo zginąć. I nie ma czasu na dyskusje...

Znowu zanurzył się w tańcu. W końcu nie miał nic innego do roboty. Południowcy zgubili kilkanaście pochodni i cienie w pieczarze zaczęły się wydłużać, ciemnieć.

Niedługo będziemy się bić w całkowitej ciemności, niczym zmarli walczący w grobach... — pomyślał Barrick.

\*\*\*

Utta nie potrafiła zrobić nic więcej, by powstrzymać swoją starszą i kruchą towarzyszkę. Pogrążona we śnie Merolanna rzucała się tak mocno, że niemal odepchnęła Zoriankę.

– Nie, nie, nie... – jęczała księżna niewyraźnie, co bardziej przypominało zwierzęce warczenie niż głos szacownej damy. – Puśćcie go, puśćcie!

– Merolanno! – Utta nachyliła się nisko nad księżną, tak by Merolanna usłyszała ją nawet w głębi swojego snu. – Merolanno! Dręczy cię koszmar! Obudź się!

– Nie odchodź! Nie można ufać... on nie... – Zamilkła. Usiadła skulona na łóżku, z zamkniętymi oczami, jakby słuchała jakiegoś odległego, lecz ważnego głosu. Utta wykorzystała ten moment, by po raz kolejny przykryć blade nogi księżnej. – Nie możesz! – powtórzyła Merolanna, lecz teraz mówiła już głosem bardziej rozbudzonym.

– Już dobrze. – Utta się wyprostowała i ujęła w ręce zimną dłoń księżnej. – Miałaś zły sen, Merolanno. Obudź się i przekonaj, że nic złego się nie dzieje.



– Wcale nie. – Merolanna zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy. Jej spojrzenie wyrażało strach, ale było zupełnie trzeźwe. – Nie jest dobrze. Nic nie jest dobrze. On po nich idzie.

– On? Idzie? – Utta pokręciła głową. – To tylko zły sen, moja droga. Mówiłam ci. Wierzgałaś jak rozszłoszczony koń. – Przyłożyła dłoń do obolałej twarzy. – I wściekle machałaś rękami.

– Wybacz – odrzekła Merolanna, lecz jej mina sugerowała, że Utta niewiele ją obchodzi. – To... nie był tylko zły sen. Wszystko było zbyt realistyczne. Bogowie mi go zesłali!

Utta wzięła głęboki oddech

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Ja... nie jestem pewna, czy potrafię. Pamiętam tylko, że był straszny.

Utta mimowolnie pomyślała, że księżna wygląda lepiej niż w ostatnich tygodniach. Być może podniosła ją na duchu świadomość, że wznowiono walki. Utta widziała już podobny stan u księżnej, która sprawiała wrażenie gotującej się na śmierć, a ożywiała się w chwilach konfliktu – nie wojny, lecz jakichś zmagani, rodzinnych czy finansowych kłopotów. Niektórzy wtedy odwracają się plecami do świata, a wtedy śmierć zabiera ich szybko, lecz inni – Merolanna zapewne należała do tych drugich – wydają się powracać do życia niczym kwiat ocalony przez niespodziewany deszcz.

– Spróbuj. – Utta także była całkowicie rozbudzona. Już po północy, stwierdziła. Działa wreszcie przestały strzelać i umilkły krzyki, przynajmniej do świtu, a potem wszystko zacznie się od nowa. Święto przesilenia letniego będzie po prostu kolejną uroczystością popsutą przez niekończącą się wojnę.

– To były Kerneje – powiedziała nieoczekiwanie Merolanna, jakby i ona myślami przebywała przy świętych dniach. – Tak, nie mogło być inaczej, ponieważ ubrani na czarno ludzie wylegli na ulice, wymachiwali kośćmi. Lecz mnie przeraził wóz, ogromny święty wóz. Był zamknięty, jak zawsze, ale coś znajdowało się w środku. Coś żywego, ukrytego w ogromnej czarnej drewnianej skrzyni, którą kładzie się na wozie. Ciągnięto go za liny, po ulicach, ale tylko ja wiedziałam, że coś jest nie tak – że w środku nie przebywa bóg, lecz coś... gorszego. – Wydawało

się, że to wydarzenie wróciło na chwilę do Merolanny, bo twarz księżnej wykrzywił grymas przerażenia, lecz jej spojrzenie pozostało nieobecne: nie widziała Utty ani swojej sypialni. – A wszystkie dzieci... na ulicach było ich mnóstwo! Pewnie nawet nie wiedziały, co się dzieje, wiesz, jakie są maluchy. Były... podekscytowane. Trzeszczały liny i koła, a ogromny czarny wóz się toczył... Na nim siedzieli kapłani Kerniosa, na górze i po bokach, ze zwieszonymi nogami, lecz żaden nie widział dzieci! Tylko ja je widziałam! – W przekrwionych oczach księżnej zabłyśły łzy. – Próbowałam im powiedzieć! Próbowałam krzyknąć: „Zatrzymajcie się, na ulicy są dzieci”, ale nikt mnie nie słyszał!

Utta ujęła drugą dłoń Merolanny, by ogrzać jej rękę, a księżna siedziała zgarbiona, pochlipując.

– No, już dobrze. To tylko sen.

– Nie! – zaprzeczyła Merolanna. – W tym problem! To było zbyt prawdziwe, zbyt... to nie mógł być jedynie sen.

– Jak to, moja droga? – Utta chciała wrócić do łóżka. Niebawem znowu rozpoczną się walki, a ona spędzi kolejny dzień, czekając, aż pocisk zniszczy ich mały kącik. Nie miała już nawet pewności, kto z kim walczy, i graniczyło z cudem znalezienie kogoś, kto potrafiłby powiedzieć coś więcej. – Powinnaś zasnąć...

– To nie był sen, Utto, lecz wizja, taka, jakich doświadczają wyrocznie. Wiem to. Dzieci są w niebezpieczeństwie. Wszystkie dzieci. Bogowie chcą, żebym je uratowała!

Utta z trudem nad sobą zapanowała. Pocieszenie starej schorowanej kobiety czy towarzyszenie jej to jedno, ale czymś zupełnie innym było siedzenie przy jej łóżku w środku nocy i wysłuchiwanie, jak porównuje się do błogosławionej Zorii. – To brzmi strasznie, droga Merolanno. Porozmawiamy o tym rano. Bogowie wiedzą, że potrzebujesz snu...

I tylko bogowie potrafiliby powiedzieć, czy księżna wdowa go zaznała. Wczesnym rankiem, gdy światło dnia przyniosło strzały i krzyki, siostra Utta obudziła się i zobaczyła, że prawdopodobnie po tym, jak ona sama zasnęła, Merolanna wstała, ubrała się i opuściła rezydencję.

\*\*\*

Barrickowi wydawało się, że walczy jednocześnie w stu bitwach, w bitwach z przeszłości i tych obecnych, pełnych realnego zagrożenia, które zlały się w rozsadzający mu czaszkę chaos. Razem z Qarami przeżywał kolejne ataki xiskich wojsk, które napływały do pieczary z tuneli, jakby wystąpiła z brzegów rzeka pełna żołnierzy.

Zobaczył, że królowa odpoczywa, co świadczyło o tym, jak długo już walczyli. W jego mniemaniu Qarowie pozostawali niezmordowani, choć od głosów Ognistego Kwiatu dowiedział się, że także im zmęczenie nie jest obce. Osłaniał ją ogromny syn Młotostopego, którego czerwonawa chropowata skóra przypominała potłuczoną cegłę. Ettin odwrócił się, gdy Barrick podszedł bliżej, i omal nie strącił mu głowy twardą jak skała ręką.

– Spokojnie, Śpiewodrapie – powstrzymała go Saqri. – To ludzkie dziecko.

– Czemu sądzisz, że o tym nie wiedziałem? – zapytał olbrzym.

– Dlaczego Yasammez nie walczy? – zapytał Barrick. – I gdzie są Strażnicy Żywiółów? Mogliby wymalować tę pieczarę ogniem i raz-dwa przepędzilibyśmy te zwierzęta z południa.

– Strażnicy Żywiółów nie pozostają obecnie pod moją kontrolą.

Barrick zdumiał się, choć słyszał w sobie historię niesnasek i zranionych braterskich uczuć, lecz Saqri ukrywała przed nim najmroczniejsze myśli. A Ognisty Kwiat niemal całkiem zamilkł.

– A Yasammez?

– Jest zbyt ważna, by marnować jej siły przed naszym największym zadaniem. Nie, potrzebuję jej mocnej.

– Tak, ale jeśli nie przedostaniemy się na drugą stronę...

– Zrobimy to. Czekałam na odpowiedni moment. W tej chwili nastąpiło zamieszanie w tylnych szeregach południowców. Oszuści odwrócili ich uwagę. Ich łucznikom w pieczarze zaczyna brakować strzał. Mamy mało czasu, by zrobić to, co należy.

I zanim Barrick zdążył jeszcze o coś zapytać, z ust Saqri popłynęła śpiewnie wysoka nuta. Poczul ją też w swoich myślach, podobnie jak wszyscy zebrani tam Qarowie.

– *Ruszajcie na drugą stronę!*

Od tej chwili Barrick nie miał już czasu na myślenie. Qarowie ruszyli do przodu, jak się wydawało, w nierównym szyku, lecz zanim południowcy się zorientowali, że jest to skoordynowana akcja, czarodziejscy ludzie ugodzili w nich po przeciwległej stronie pieczary niczym zaostrzony grot włóczni, a w ich szpicy siały przerażenie ogromne ettiny i Ci, Którym Nie Wybaczone. Południowcy starali się dotrzymać im pola, a sierżanci krzykiem upominali ich, by nie ustępowali nawet na krok, ale dwóch czy nawet trzech zwykłych ludzi nie wytrzymało pojedynku z głębinowym ettinem, więc olbrzymi miażdżyli kolejne szeregi południowców, wywijając maczugami i toporami. Każdy cios powalał jednego czy dwóch wrogów albo wyrzucał ich w górę, a oni byli bezradni jak króliki atakowane przez drapieżnika. Ranni byli dobijani przez Tych, Którym Nie Wybaczone albo Dzieci Szmaragdowego Ognia, którzy podrzynali im gardła z taką łatwością, jakby zabijali pogrążonych we śnie ludzi.

Ale sukces wciąż wydawał się niepewny. Kiedy południowcy już przyjęli impet nowego ataku, natarli z obu stron z jeszcze większą zaciekłością, usiłując zablokować własnymi ciałami wejście do bocznego tunelu po drugiej stronie pieczary i tym samym zamknąć Qarów w głównym korytarzu.

Barrick walczył zaledwie kilka kroków od Saqri, osłaniając ją. Skoczyła do przodu płynnym ruchem, blokując cięcie, po czym zaatakowała z precyzją świątynnego kapłana odprawiającego prastary rytuał, a głosy Ognistego Kwiatu rozbrzmiewały uradowane i zarazem zaniepokojone widokiem królowej, uosabiającej dla nich wszystkie władczynie i zwyciężającej wojowników dwukrotnie od niej większych. Barrick mógł obserwować ją tylko przez chwilę, nie narażając własnego życia, lecz widział, że Saqri porusza się jak biały płomień, zanurzając w najgłębsze cienie i wynurzając z nich z taką prędkością, że chwilami wydawało mu się, że widzi migoczący nad nią jej powidok.

Już tylko garstka południowców broniła dostępu do przeciwległego tunelu. Na telepatyczną komendę królowej ettiny ich zaatakowały i błyskawicznie oczyściły drogę. Wszyscy Qarowie pospiesznie zanurzyli się w bocznym korytarzu. Prawie na końcu podążali medyk Chaven i mniej waleczni Qarowie. Pochód zamykała Yasammez i jej odziani na

czarno strażnicy. Córka boga nawet nie spojrzała na Barricka, kiedy go mijala, spowita płaszczem, z twarzą niczym chmura gradowa.

Gdy już wszyscy weszli do tunelu, strażnicy się odwrócili, by bronić tyłów. Południowcy na zewnątrz przegrupowali się i też próbowali wdrzeć się do korytarza.

– *Nie możemy mieć ich za sobą.* – Zabrzmiał w głowie Barricka głos Saqri. – *Młotostopy, przyjacielu, jesteś ciężko ranny?*

Olbrzym wysunął się do przodu, zmuszając pozostałych, by przywarli do ścian. Krawędź jego tarczy była mocno wyszczerbiona, podobnie jak hełm, choć oczy, widoczne w wizurze, błyszczały jasno.

– *Trzymam się, królowo.*

– *Teraz waszym zadaniem jest utrzymanie tego korytarza. Nie będziemy mogli działać, mając na tyłach południowców. Potrzebuję czasu, Młotostopy, księżę Głębi.*

– *Córko Pierwszego Kwiatu, ja i moi synowie damy ci tyle czasu, ile zdołamy do naszego ostatniego tchu* – odpowiedział. – *Ruszajmy, Głębianie!* – ryknął i zaraz podskoczyło do niego kilku ogromnych ettinów, a wśród nich Śpiewodrap. Szybko zastąpili strażników Yasammez, wypełniając swoimi ogromnymi ciałami prześwit tunelu, jakby zeszła tam jakaś prastara lawina. – *Ruszajcie!* – zagrzemiał Młotostopy. Nawet jego myśli rozbrzmiewały tak nisko i mocno, że Barrick poczuł, jak grzechoczą mu kości.

Saqri odwróciła się do swoich. Jej oczy były suche.

– Naprzód – powiedziała tylko.

Barrick spojrzał na ettiny. Młotostopy ostrzył swój ogromny topór o skałę. Napotkawszy spojrzenie Barricka, uniósł wielki palec, jakby salutował.

– Zachowaj królową przy życiu tak długo, jak zdołasz, ludzkie dziecko – rzekł. – Nie zmarnuj naszej śmierci!

Barrick odwrócił się i podążył za Qarami ku gorącym Głębiom.

## Powrót do domu

*Podstępny służący Moros uciekł ze lśniącym białym koniem. Sierota musiał więc wracać pieszo do Syanu – jak teraz nazywają ten kraj – niosąc w skorupce gorące słońce.*

*– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Minęła wigilia przesilenia letniego i nastał ranek nieuchronnego święta, lecz zamek wciąż pozostawał niezdojony i tylko bogowie wiedzieli, co się działo w głębiach pod nim.

Briony i Eneasza szybko przeprowadzili resztę swoich ludzi tajemnym przejściem Rogowca i pomaszerowali ulicami za Kruczą Bramą, opustoszałymi, gdy odezwały się działa. Briony spodziewała się ataku z sali tronowej, lecz zniszczony budynek był równie cichy jak ogromny cmentarz za nim. Czyżby Hendon Tolly był tak pewny, że zdoła obronić królewską rezydencję? A może zamierzał wykorzystać poddanych jako zakładników, by zyskać czas na ucieczkę? Briony nie miała wątpliwości, że Hendon Tolly wie, iż ktoś z rodziny Eddonów przybył ze szańskimi żołnierzami. Chyba zrozumiał, że jego rządy się skończyły, ale najwyraźniej czekał na ostateczne rozwiązanie. Wcześniej wyobrażała sobie wszelkie możliwe wersje ich konfrontacji: od dramatycznie naiwnego wyzwania, jakie mogłaby rzucić uzurpatorowi, po naszpikowanie go strzałami, gdy tylko się pojawi, nawet gotów do kapitulacji, lecz im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej umacniała się w przekonaniu, że będzie chciała stanąć twarzą w twarz z Hendonem Tollym.

Jego pełen zadowolenia uśmiešek prześladował ją w snach od miesięcy.

Briony, Eneasza i Świątynne Psy, wsparci przez żołnierzy z zamku, przeszli za rozległe błonia i zatrzymali się przy niedużym niemal wyschniętym jezioru, by ocenić sytuację. Królewska rezydencja

przygotowana do wojny wyglądała dziwnie, niemal żałośnie, jak stary szlachcic zmuszony do założenia zbroi w chwili, gdy już dawno o niej zapomniał. Po rozległych trawnikach i ogrodach nie było śladu, pozostała tylko rozorana ziemia. Okna niższego piętra zabezpieczono deskami, a wieżyczki na rogach ogromnego kwadratowego budynku zamieniono w gniazda ogniowe. Briony się zastanawiała, kiedy odezwą się działa. Kilkuset żołnierzy Eneasza czekało w pogotowiu, lecz gdyby mieli zdobywać rezydencję pod ostrzałem artyleryjskim i nękami strzałami, byłoby to bardzo trudne, co nie podobało się Briony. Z drugiej strony, nie widziała innego rozwiązania.

– Musimy dać im szansę poddania się – powiedział cicho Eneasze.

– Nie. Tolly będzie chciał pertraktacji tylko po to, żeby zyskać na czasie. To wcielony diabeł. Musimy zdobyć królewską rezydencję. Nie ma innego wyjścia.

– Nie zgadzam się. – Eneasze mówił trochę podniesionym głosem. – Moja pani, nie wątpię, że znasz Tolly’ego, ale nie mogę ryzykować życia ludzi, nie dając obrońcom szansy na kapitulację. Sama to powiedziałaś. Trzeba oszczędzić niewinnych. Jeśli obawiasz się konfrontacji z Tollym, wycofaj się i zostań z Helkiszem i innymi.

Briony poczuła, że jej policzki rozpala rumieniec.

– Nie boję się spotkania z nim, Eneasze, lecz jeśli będziesz układał się z tym psem, który zawłaszczył nasze królestwo, to nie mogę obiecać, że nie wpakuję tej klingi w jego uśmiechniętą gębę.

– Nie zrobisz tego po zawieszeniu broni – odpowiedział stanowczo.  
– O nie, pani.

Zacisnęła szczęki tak mocno, że zaboląły ją zęby.

– Dobrze. Wycofam się. Zaproponuj zawieszenie broni.

\*\*\*

Ku jej zdziwieniu, tym, kto wyszedł z rezydencji z białą flagą zrobioną z narzuty na łóżko, był Sisel, hierarcha Marchii Południowej. Bardzo się postarzał, odkąd Briony ostatnio go widziała, był wychudzony i tak blady, że księżniczka zastanawiała się przez chwilę, czy aby jest zdrowy.

– Przychodzę z gwarancją bezpieczeństwa – powiedział. – Książę Eneasze, jak mniemam? Przynoszę dla ciebie wiadomości. – Kiedy podszedł jeszcze bliżej, jego spojrzenie spoczęło na Briony. Otworzył szerzej oczy, lecz nic nie rzekł.

– Czy przemawiasz w imieniu Hendona Tolly’ego, eminencjo? – zapytał książę. – Mam dla niego warunki kapitulacji. Chyba zdaje sobie sprawę, że nie ma dla niego ratunku. To jest Jej Wysokość księżniczka Briony. Przybyła, by odzyskać tron.

– By odzyskać go dla ojca, który wciąż żyje – dodała Briony głośno i wyraźnie, tak by usłyszeli ją wszyscy, którzy nasłuchiwali z murów, a w szczególności ci z rodu Tollych.

– Błogosławieni Bracia, to ty, księżniczko! – zawołał Sisel bardziej przestraszony niż zdziwiony, jakby to, że przeżył ten burzliwy rok, źle o nim świadczyło. – Moje oczy... poddani ucieszą się, że żyjesz!

– Wystarczy! – przerwała mu. – Będzie czas na takie przemówienia, hierarcho. Przekaż nam wieści od tego zdrajcy Tolly’ego. Czy podda się i oszczędzi życie niewinnych?

– Ale... w tym rzecz – rzekł Sisel. – Jego tu nie ma!

– Świnia! – Briony nie potrafiła opanować gniewu i rozczarowania. – Gdzie jest?

– Wciąż jestem głową Kościoła bez względu na wydarzenia – odpowiedział Sisel urażonym tonem. – Obrażając mnie, obrażasz sam Trygon.

– Wybacz, eminencjo – odpowiedziała Briony, klnąc w duchu. – Wybacz, proszę.

Sisel skinął głową z zadowoleniem.

– Nie widziano go w rezydencji od wczoraj, Wasza Wysokość. Może się gdzieś ukrywa albo uciekł w przebraniu. Wielu obcych i uchodźców mieszka obecnie w rezydencji. Może nawet opuścił zamek...

– Opuścił?

Eneasze uniósł dłoń.

– W takim razie kto sprawuje rządy, eminencjo? A jego oficerowie?

– Lord konstabl Hood zniknął przed godziną. Prawdopodobnie udał się do południowej części twierdzy, w pobliże tamtejszej wieży. Zabrał



ze sobą drabiny obłęznicze. Możliwe, że dołączył do Durstina Crowela w Mieście Funderlingów.

Eneasza natychmiast wysłał dwie penturie, by powstrzymać Hooda. Sam, razem z Briony i niedużym oddziałem, podążył za hierarchą do rezydencji, zachowując ostrożność, gdyż trygonarcha mógł prowadzić ich w pułapkę, lecz wiwatujący tłum rozwiął te obawy. Dworzanie, a nawet nieliczni żołnierze z obsady zamku, brudni i wygłodzeni, z radością powitali wybawicieli, a byli jeszcze bardziej zadowoleni, gdy dowiedzieli się o powrocie Briony. Księżniczka i Eneasza zdążyli zrobić zaledwie kilka kroków wśród rozentuzjasmowanego tłumu, gdy niepozorna kobieta przepchnęła się do przodu, zawodząc jak opętana, i rzuciła się do stóp Eneasza, ignorując Briony.

– Zabrał moje dziecko! – zawołała. – A mnie zamknął w komnacie! Zabrał mojego pięknego Alessandrosa! Powstrzymajcie go!

Briony spojrzała na nią zdziwiona.

– Anissa?

Macocha była jeszcze bardziej zdumiona niż ona i aż drgnęła na dźwięk głosu Briony, jakby usłyszała ducha.

– Briony? To naprawdę ty? Myśleliśmy, że...

– Oczywiście. Jak to zabrał twoje dziecko?

– Mojego małego Alessandrosa! Syna Olina! Tolly mi go zabrał! Och, bogowie, niech ktoś mi pomoże!

Teraz także inni zaczęli głośno opowiadać swoje historie, aż Briony przestała słyszeć własne myśli.

– Uspokójcie się! – zawołała. – Anisso, powiedz mi, co się stało, opowiedz wszystko.

– Zabrał moje dziecko. Powiedział, że chodzi o krew, że krew Alessandrosa jest magiczna. Sama nie wiem... żeby przywołać boga. Nie rozumiałam, o co mu chodzi! – Zaszlochła i przestała dopiero, gdy Briony mocno nią potrząsnęła.

– Co robisz? – zaprotestował Eneasza. – Bądź bardziej delikatna.

– Ona będzie tak gadać przez godzinę, a my nie mamy czasu. – Zwróciła się do królowej: – Anisso, spójrz na mnie. Jeśli chcesz, żebym uratowała twoje dziecko, to musisz mi powiedzieć, gdzie jest Tolly!

– Nie wiem! – jęknęła królowa. – Zamknął mnie w moich pokojach!

– Opuścił rezydencję – odezwał się inny znajomy głos.

Briony odwróciła się i tuż za sobą zobaczyła ogromnego mężczyznę, przed którym rozstępowali się żołnierze i dworzanie.

– Lord Brone. A zatem żyjesz.

– Nie wydajesz się tym uradowana, księżniczko Briony, za to ja cieszę się na twój widok. – Stary szlachcic był jeszcze grubszy, niż zapamiętała, i poczerwieniał na twarzy od samego wysiłku zstępowania po schodach. Żółtawa skóra świadczyła o złym stanie zdrowia. – Nie ma czasu na pogawędki. Jeden z moich ludzi słyszał, jak Tolly mówił, że musi zabrać dziecko, żeby przywołać boga, tak jak powiedziała królowa Anissa. Z kilkoma strażnikami opuścił rezydencję...

– Nie widzieliśmy go, a nasi ludzie przy Bramie Bazyliżkowej mieli nie wypuszczać nikogo z zamku – odrzekła Briony. – Musi więc wciąż tu być. Eneaszu, daj mi kilku swoich ludzi. Stephanas dobrze mi służył i chętnie zatrudnię go i teraz. Znajdę Tolly’ego.

– Pójdę z tobą – rzekł Eneaszu. – Właściwie byłoby lepiej, gdybym to ja udał się na poszukiwanie uzurpatora, a ty zajęła się przywracaniem porządku w zamku ojca...

– Nie będzie żadnego porządku, dopóki Hendon Tolly nie zostanie schwytany, a królewski syn nie będzie bezpieczny. To Eddonowie muszą wymierzyć zdrajcy sprawiedliwość, a tylko ja z całej rodziny jestem na miejscu.

– To nierozsądne, Briony! Nie mogę ci pozwolić...

– Nie, do licha! – Zrobiła krok w jego stronę. – Nie! Jesteś księciem Syanu, ale nie moim mężem, bratem czy ojcem. Wezmę ze sobą dobrych ludzi. Nie jestem głupia, Eneaszu. Ale Hendon jest mój.

Oblicze księcia stężało z gniewu, lecz on milczał, dopóki nie stłumił w sobie emocji.

– Weź też Helkisa. Obawiam się, co się może stać.

– Jak i ja. Stephanasie, chodźmy. Musimy się pospieszyć. – Odwracając się, zobaczyła, że Brone podchodzi do Eneasza. Starzec był tak wysoki, że niemal zgiął się wpół, by szepnąć mu coś do ucha, jakby niedźwiedź udawał człowieka.

Briony poczuła ucisk w żołądku.

– Zmieniłam zdanie – zwróciła się do Helkisa. – Zostaniesz, Mironie. Bardziej przydasz się tutaj.

Syański szlachcic wyglądał na zdziwionego i rozgniewanego.

– Jak to, księżniczko? Mój pan polecił mi iść z tobą.

– To choć raz się sprzeciw, a lepiej mu się przysłużysz – odpowiedziała. – Nie zostawiaj go samego z Brone'em. Nie ufam mu. Może chodzi tylko o niezbyt fortunny wybór odnośnie do tego, kto ma iść, a kto zostać, a może o coś innego... znacznie gorszego. – Czy to możliwe? – zastanawiała się. Czy Brone odważyłby się zaatakować Eneasza w obecności żołnierzy księcia? Briony nie miała pewności, ale wiedziała, że nie może lekceważyć człowieka, który planował uśmiercenie całej rodziny Eddonów. Może to dla niego ostatnia szansa przejęcia władzy, jeśli tego pragnął hrabia Landsend. – Po prostu zostań z księciem, lordzie. I bacznie wszystko obserwuj. Jeśli będzie niezadowolony, że nie ma cię przy mnie, powiedz mu, że zmieniłam jego rozkaz.

– Dobrze – odpowiedział lord Helkis i odszedł, by mieć w zasięgu wzroku Eneasza i Brone'a.

Briony szybko wyprowadziła z rezydencji Stephanasa i pozostałych żołnierzy. Żywiła pewne podejrzenia co do miejsca pobytu Tolly'ego: bramy Miasta Funderlingów wciąż pilnowali jego ludzie, a skoro w labiryncie pieczar pod zamkiem dla tysięcy czarodziejskich ludzi i południowców było dość miejsca, to i Tolly mógł się tam ukryć. I na tym polegał problem – jak go znaleźć w tych podziemiach? I jakie są szanse na schwytanie go i odszukania ojca?

Tolly. To nazwisko miało gorzki posmak żółci. Czy będzie gotowy przesądzić o losie jej rodziny nawet po własnej porażce? Pomimo całego gniewu i nienawiści nie mogła zlekceważyć strachu, który ją dręczył. Czasy były niebezpieczne, a jej jak dotąd dopisywało szczęście. Wrogowie nigdy się nie poddadzą i będą kąsać do samego końca. Już sama świadomość, że Hendon Tolly wciąż żyje, rzucała na nią zimny cień.

\*\*\*

Przejmująca cisza spowijała obóz Qarów nad ogromną przepaścią nie tylko dlatego, że większość z nich porozumiewała się bez słów, lecz także dlatego, że wielu zginęło, by inni mogli się tam dostać. Saqri rozmawiała z kilkoma doradcami, lecz wydawało się, że nie mieli sobie nic ważnego do powiedzenia, był to raczej pretekst do chwili odpoczynku, dlatego Barrick nie został z nimi długo. Wśród Qarów, podobnie jak wśród głosów Ognistego Kwiatu, panował nastrój spokojnej kontemplacji i przygotowań do nieuniknionej katastrofy.

– Mogę z tobą porozmawiać, Barricku Eddonie?

Podniósł wzrok, zaskoczony dźwiękiem głosu, i ujrzał pierwszą eremitkę Aesi'uah.

– *Nie musisz rozmawiać ze mną słowami* – odrzekł.

– Wiem – powiedziała cicho. – Ale czasem dobrze jest nie przypominać innym, co można lub czego nie można robić, księżę Barricku. Wtedy istnieje większe prawdopodobieństwo, że się zapomną i zdradzą, jeśli mają złe intencje.

Uśmiechnął się.

– Mądra jesteś, Aesi'uah.

– Inaczej nie byłabym główną doradczynią pani Yasammez. To właśnie o niej chciałabym porozmawiać i o czymś jeszcze.

Barrick rozejrzał się. Szukał samotności, dlatego znajdowali się daleko od innych, bezpieczni nawet przed wyczulonymi uszami Zmieniających się. Wydawało się więc, że mogą spokojnie prowadzić rozmowę.

– Słucham.

Aesi'uah wzięła głęboki oddech, lecz zawahała się, jakby nie była pewna, czy ma mówić. Byłaby piękną kobietą, nawet według ludzkich kryteriów, gdyby nie pozbawiona kolorów szarawa skóra i rozjarzone, wręcz groźne niebieskie oczy.

– Moja pani się martwi.

Omam się nie roześmiał pomimo ponurego nastroju panującego w całym obozie. Migoczące ognie nielicznych ognisk tylko potęgowały otaczającą ich ciemność.

– Co masz na myśli? Toczemy beznadziejną walkę. Ojciec twojej pani, bóg, nie żyje, a my pewnie zginiemy jutro, co przyniesie koniec

Ognistego Kwiatu, którego strzegła tak długo. Czy zatem istnieje jakiś powód do radości?

Inna kobieta może by się zarumieniła albo zająknęła, czy wręcz rozgniewała tymi cierpkimi słowami, lecz eremitka była jak głęboka studnia. Poczekala, aż książkę skończy mówić.

– Moja pani przygotowywała się do tego przez całe swoje odwieczne życie. Nie przypadkiem nazywamy wojnę z wami Długą Porażką. Ale coś się zmieniło. Ona nie tyle się martwi, ile... – eremitka nachyliła się i zniżyła głos, zupełnie jak człowiek, co kazało Barrickowi przez chwilę wierzyć w to, co mu kiedyś powiedziano, że Qarowie i ludzie mają wspólnych przodków – ...jest zdezorientowana, Barricku Eddonie. Jak długo jej służę, nie czułam czegoś takiego, i choć jestem młoda w porównaniu z nią, towarzyszę jej od czasów, gdy dziadek twojego ojca był dzieckiem.

– Zdezorientowana? Jak to? I dlaczego mówisz to mnie, a nie królowej Saqri?

– Ponieważ nie wiem, co to oznacza. Dlatego mnie to niepokoi. Teraz, kiedy Yasammez powinna być pewna swego celu, najbardziej zdeterminowana w działaniu, wyczuwam, że jej myśli pierzchają niczym spłoszone ptaki.

– Czy ona się boi? Boi się końca?

Śmiech Aesi'uah brzmiał głucho i niepokojąco.

– Jak widać, nawet ten, kto nosi Ognisty Kwiat, może zadawać głupie pytania. Nie, ona nie boi się o siebie ani o swoich ludzi. Przez całe życie przygotowywała się na tę śmierć. – Eremitka na moment zamknęła oczy. Kiedy znowu je otworzyła, wyraz jej twarzy trochę się zmienił. – A co do Saqri... ona wie. Jej myśli i myśli Yasammez splatają się niczym konary rosnących obok siebie drzew. Nawet jeśli ją to niepokoi, nie daje tego po sobie poznać. Może ma rację. Może nie jest dobrze wątpić w taką moc, jaką ma Yasammez. Lecz ja nie jestem tak spokojna ani tak mądra.

Barrick nic wiedział, co powiedzieć. Nawet z Ognistym Kwiatem jego zrozumienie Qarów było powierzchowne. Jeśli przeżyje, będzie potrzebował długich lat, by poznać ich naprawdę.

– I co chciałabyś, żebym zrobił, wierna służko Aesi'uah?

– Nie potrafię powiedzieć, Barricku Eddonie. Wątpię, by w tej chwili można było coś zrobić. Ale odczuwam ulgę, bo ktoś jeszcze o tym wie.

I to także było bardzo ludzkie. Barrick siedział w milczeniu, zastanawiając się, jak dziwny jest świat, w którym się znalazł.

– Wspomniałaś jeszcze o czymś.

– Rzeczywiście, są dwie sprawy, jedna niewielka i jedna poważna. Widziałeś Kayyina?

– Nie znam tego imienia.

– Jest... krewnym Yasammez. Był z nami od dawna, przez całe oblężenie. Teraz zniknął. Yasammez i Saqri nie okazują z tego powodu niepokoju, co wydaje mi się dziwne.

– Obawiam się, że nie mogę ci pomóc. – Barrick przypomniał sobie niewyraźnie tego pół Qara, pół człowieka, którego często widywano w towarzystwie Yasammez, lecz nie pamiętał, by z nią rozmawiał.

– Ach. Może powiedzie mi się lepiej z drugim pytaniem. Jak dobrze znasz tego Chavena z Ulos, którego do nas przyprowadziłeś?

Serce Barricka zabiło szybciej, był pewny, że eremitka wyczuła tę zmianę w nim.

– Dlaczego pytasz? Właściwie to go nie przyprowadziłem. Spotkałem go błądzącego na skraju naszego obozu. Znam go z dawnych czasów. Był nadwornym medykiem. – Chaven miał przy sobie dziwnie znajomy przedmiot, który Barrick teraz nosił zawinięty w zapasowy koc, lecz o tym już nie wspomniał pierwszej eremitce.

– Myślę, że on jest kimś więcej niż tylko medykiem. Tak jak w twoim wypadku, wyczuwam w nim obecność więcej niż jednej osoby.

– To znaczy?

– Ty nosisz w sobie Ognisty Kwiat i już nie jesteś dla mnie jedną osobą, raczej niewyraźną obecnością wielu. Trudno to wyjaśnić. – Na chwilę powróciła do niemej rozmowy i Barrick uchwycił coś ze swojej migotliwej rozszczepionej natury, tak jak go widziała Aesi'uah. – *Tak właśnie* – powiedziała. – *Medyk jest inny, to ktoś więcej niż jeden człowiek albo ktoś mniej.* – Teraz Barrick pochwycił obraz Chavena widzianego oczyma eremitki, który wydawał się nosić w sobie coś ciemnego, jakby kontur postaci. Książę się zastanawiał, czy powodem

tego może być posążek? Co to za przedmiot? Czy on sam popełnił duży błąd, ukrywając go przed sprzymierzeńcami?

Omam nie powiedział o wszystkim Aesi'uah, lecz był zbyt zawstydzony swoim oszustwem i fascynacją tym przedmiotem, pragnieniem trzymania go przy sobie do czasu, aż zrozumie swoje odczucia. Tak więc tylko zapytał eremitkę:

– Powiesz o tym Saqri?

– Nie wiem. – Aesi'uah wstała, skrzyżowawszy smukłe ramiona na piersi, i skłoniła głowę. – Zostało mało czasu. Zastanawiam się, czy zawracam sobie głowę drobiazgami, ponieważ za bardzo się boję skupić na ważnych sprawach. Dziwnie będzie umrzeć ze świadomością, że ginie wraz mną cały naród, że już nikt nigdy nie zatańczy na zboczach M'aarenol i nie zaśpiewa w środku zimy w pieczarach nad Zimnym Morzem. Niech ci się wiedzie w nadchodzących godzinach, Barricku Eddonie. Niech twoja śmierć będzie szybka.

Po tych słowach odeszła, milcząca i pełna wdzięku, niczym zjawia sunąca po starym cmentarzu.

\*\*\*

Ostatecznie Briony zabrała ze sobą siedmiu spośród Świątynnych Psów Eneasza: Stephanasa, rycerza o imieniu Gennadas i pięciu piechurów. Stephanas wydawał się zadowolony, że go wybrała, a Briony podejrzewała, że rycerz widzi siebie jako tego, kto pochwyci Hendona Tolly'ego, a będzie to jeden z nielicznych czynów w tej strasznej i pogmatwanej wojennej zawierusze, który będzie zrozumiała i o którym będą mówić w domu.

Słońce w dniu letniego przesilenia już dawno sięgnęło zenitu i zsuwało się ku zachodnim murom, kiedy opuszczali rezydencję. Działa wciąż grzmiały, a pociski godziły w mury i wieże, czasami tak blisko, że Briony słyszała świst przelatujących nad ich głowami kamiennych odłamków, choć nie miała pojęcia, kto strzela. Może to ludzie Durstina Crowela ostrzeliwali twierdzę wewnętrzną, ponieważ się dowiedzieli, że Syańczycy zajęli królewską rezydencję? A może strzelano z jednego z

nielicznych okrętów autarchy, które unosiły się jeszcze na wodach zatoki?

Ale ważniejsze pytanie brzmiało, gdzie jest Hendon Tolly. Briony założyła, że uciekł z twierdzy wewnętrznej poprzedniego dnia, kiedy to zorientował się, że nie będzie łatwo przepędzić Syańczyków. Tylko że nie widziano go ani przy Bramie Bazyliszkowej, ani też przy Kruczej Bramie. Co oznaczało, że mógł zbiec w przebraniu albo wciąż przebywał w twierdzy wewnętrznej, czekając na dogodny moment, by wymknąć się w zamieszaniu. Tylko że, jak pokazał jej Rogowiec Funderling, do zamku prowadziły różne drogi, których istnienia wcześniej się nie domyślała. Briony wiedziała, że nawet jeśli przeżyje i odzyska tron, to nie zazna spokoju, dopóki ktoś nie sporządzi mapy wszystkich tuneli.

Twierdzę wewnętrzną zaludniali uchodźcy, bezdomni wygnańcy z najbliższych okolic, z miasta na stałym lądzie, a także z twierdzy zewnętrznej. Dokądkolwiek poszli, musieli się przedzierać przez tłum cuchnących i bełkoczących przestraszonych ludzi. Niektórzy rozpoznawali księżniczkę albo tak im się wydawało, Briony zaś nie zatrzymywała się, by potwierdzić ich domysły, aż w końcu owinęła twarz skrawkiem materiału. Nie chciała, by towarzyszył im pochód sympatyków albo ciekawskich.

Wciąż nie rozumiała, dlaczego Tolly zabrał małego Alessandrosa. Przestraszona macocha mówiła coś o przywołaniu boga i o magicznej krwi. Przypomniała sobie, że i ojciec o tym wspominał. Czyżby Hendon Tolly padł ofiarą tego samego obłędu, który dotknął autarchę Xis? A może chodziło o coś gorszego?

Przestań, głupia kobieto. Sama napędzała sobie strachu. Musiała odnaleźć Hendona Tolly'ego i nie potrzebowała żadnych magicznych gróźb, by wiedzieć, że musi się spieszyć.

\*\*\*

Mijały godziny i niebo nad Zamkiem Marchii Południowej już prawie pociemniało. Po bezskutecznych poszukiwaniach w ogrodach rezydencji Briony, Stephanas i pozostali wrócili do twierdzy smagani coraz silniejszym wiatrem, który wiał od oceanu. Wieczór był ciepły, ale



niebo przysłaniały chmury. Powietrze zwilgotniało, jakby zbliżała się burza.

Działa wciąż grzmiały, kiedy mijali kolumnadę i weszli w sieć wąskich uliczek między zbrojownią a salą tronową. Uwagę Briony przykuło coś w gałęziach jednego z wysokich drzew rosnących przy rogu kaplicy Erivora – coś bladego łopotało, jakby chciało odlecieć spragnione wolności. Wątpiła, by przedmiot okazał się czymś ważnym – zamek pełen był rozrzuconych śmieci – lecz wciąż wpatrywała się w ten punkt, gdy nadleciał pocisk. Przemknął nad ich głowami z wyciem podobnym do zawodzenia córek Kerniosa i zniknął na błoniach. Chwilę później ściana sali tronowej się zawaliła, a kamienie wielkości wozu przygniotły sir Gennadasa i trzech syańskich piechurów, z wnętrza budynku zaś wypadły wraz z gruzem ciała kolejnych zabitych.

Stephanas, Briony i dwaj ocalali żołnierze próbowali wydobyć przysypanych, lecz szybko się przekonali, że to niemożliwe. Kapłan w nędznej szacie, jeden z grupy bezdomnych uchodźców, podszedł i zaczął się modlić nad ciałami. Inni pracowali przy świetle lamp, próbując wydostać pozostałe ofiary, ludzi, którzy przebywali w budynku albo pod jego ścianą w chwili, gdy trafił tam pocisk.

Zmęczona tumanami kurzu i odorem krwi Briony wreszcie odeszła dalej, by zaczerpnąć tchu. Część ściany zawaliła się na wyciągnięcie ręki od niej, przywaliła Gennadasa, lecz ją oszczędziła. Księżniczka wyobrażała sobie, że śmierć będzie osobistym przeżyciem, któremu stawi czoło z odwagą, jak przystało na Eddona. Nie sądziła, że śmierć może nastąpić tak szybko i gwałtownie i że może w jednej chwili zabrać nie tylko ją, lecz także inne osoby.

Ocknęła się z zamyślenia i stwierdziła, że oddaliła się od miejsca katastrofy. Poczowała, że drży jakby nagle bardzo się ochłodziło. Musi się opanować, w końcu jest księżniczką, a ludzie tutaj to jej poddani. Nic miała prawa zostawiać ich samych bez względu na to, jak bardzo się bała.

Kiedy się odwróciła, kątem oka dostrzegła ten sam łopoczący strzęp, który zauważyła już wcześniej w gałęziach drzewa. Porwany siłą wybuchu spadł niżej i zaczął o inny konar. To był szal lub coś podobnego, rzecz niewątpliwie należała do kobiety, zagubiona jak wiele

innych przedmiotów. Podeszła i ściągnęła tkaninę z gałęzi, rozmyślając o tym, że tak delikatna rzecz przetrwała w tym szale zniszczenia, a gruby i solidny mur runął.

Może to powinno mi dać do myślenia... rozważała wpatrzona w doskonały materiał. Jeśli to wełniany szal, to dość mały, a inicjały właściciela miały postać kwiatów i ptaków. Nie, to nie był szal, lecz kocyk, w jaki owija się małe dzieci podczas ważnych religijnych obrzędów, co więcej, widniały na nim cztery litery, co wydawało się niespotykane: OABE.

Serce Briony zabiło gwałtownie i niemal się zatrzymało.

Czy to możliwe? Kto inny poza potomkiem króla mógł mieć cztery imiona? I czyż mały Alessandro nie został nazwany imieniem ojca – Olina. Ojciec Anissy zaś miał na imię Benediktos...

Olin Alessandro Benediktos Eddon. To kocyk małego Alessandrosa!

– Stephanasie! – zawołała Briony. – Chodź tu!

Ton jej głosu sprawił, że Stephanas i dwaj żołnierze przerwali pochówek swoich towarzyszy i przybiegli do niej. Pokazała im kocyk, a potem odwróciła się i spojrzała poza zniszczony mur, na plac porośnięty starymi drzewami, wśród których płonęły nieliczne światła. Nawet bezdomni zastanowiliby się dwa razy, nim rozbiliby tam obóz.

– Cmentarz? – zapytał Stephanas niepewnym głosem.

– To ma sens. Jest tam sporo grobowców na tyle dużych, że można się w nich ukryć, niektóre są też całkiem głębokie. – Ta myśl wydała jej się dziwna, ale zaraz ją odpędziła. – Założę się, że Hendon Tolly schował się tam z moim przyrodnim bratem. – Odwróciła się do jednego z piechurów. – Biegnij szybko do rezydencji, powiedz księciu Eneaszowi, gdzie jesteśmy, i poproś, żeby przysłał posiłki.

– Dokąd idziemy? – zapytał Stephanas, który wciąż wpatrywał się w pogrążony w cieniu cmentarz. – Dlaczego nie zaczekamy na księcia?

– Bo może potrwać całe wieki, nim przybędzie. Bo może się mylimy i jeśli Hendonanie będzie tutaj, będziemy musieli szukać gdzie indziej. Nie rozumiesz? On ma mojego brata jako zakładnika! – Odwróciła się do posłańca. – Ruszaj! Szybko!

Żołnierz oddalił się pośpiesznie, Briony zaś spojrzała na swoich dwóch towarzyszy.

– Trzymajcie się blisko mnie. Znam to miejsce lepiej niż wy.

– Będziemy potrzebować pochodni – rzekł Stephanas.

– To ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba – odpowiedziała. – Światło mogłoby nas zdradzić! Będziemy musieli poruszać się bardzo cicho. Nie znacie Hendona Tolly’ego. Jest jak wąż gotowy ukąsić w każdej chwili.

Kiedy znaleźli się przy starej przechylonej furcie, przyłożyła palec do ust, nakazując milczenie, po czym poprowadziła niechętnych żołnierzy przez ziemię zmarłych.

## Jego gołąbeczka

*Kiedy przebył wielkie Marchie, skorupka jaja  
tak się rozgrzała, że się pokruszyła i rozpadła...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Była to ostatnia rozmowa, jakiej Ferras Vansen się spodziewał.

– Czarne myśli cię naszły, kapitanie? – Usłyszał czyjś głos, kiedy był zajęty ostrzeniem topora. – Masz w domu gołąbeczkę, którą chciałbyś jeszcze raz zobaczyć? – To był Jaspis Młot, całkiem pogodny, mimo że jego twarz przypominała przypaloną pieczeń. Krepy Dolomit, jego prawa ręka, przycupnął obok niego.

– Co? Gołąbeczkę? – Vansen zaśmiał się mimowolnie. Beznadziejny wybór, jakiego dokonał w tym względzie, odzwierciedlał stopień prawdopodobieństwa, że w tej wojnie znajdzie się po stronie zwycięzców. Od tak dawna był bożym głupcem, że już prawie nie pamiętał czasu, zanim ta niemająca szans na spełnienie miłość spadła na niego niczym burza gradowa.

– Ukochaną, kapitanie – dodał Jaspis urażonym tonem. – Wiesz, co mam na myśli.

Jeśli przeżyję, to wyznam jej swoje uczucie, postanowił Vansen. Potem będę musiał opuścić zamek, jeśli wcześniej nie skrócą mnie o głowę za moją bezczelność. Ale warto to zrobić. Będę pusty, wydrażony i gotów na wypełnienie czymś innym. Albo przynajmniej przygotowany na późniejsze puste życie.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedział głośno. – Która godzina?

– Czasomierz pokazuje mniej więcej godzinę przed północą – poinformował Jaspis.

– Ach. – Vansen skinął głową. – A zatem dzień letniego przesilenia wciąż jest młody. – Była to mało krzepiąca wiadomość, jako że musieli odpierać ataki południowców aż do północy. – A jak u ciebie z miłością,

przyjacielu Jaspisie? Taki spełniony mężczyzna jak ty, dowódca, z pewnością ma kogoś, kto na niego czeka.

Jaspis Młot skrzywił się lekko.

– Żonę. Czy to się liczy?

Dolomit wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Twoja Kamykowa przetrzepałaby ci jaja, Młocie, gdyby to usłyszała.

– A ty, Dolomicie? – zapytał Vansen, chwytając się każdego tematu, byleby tylko odciągnąć myśli towarzyszy od tego, co ich czeka. – Masz swoją gołąbeczkę, jak mówi Jaspis?

Funderling zmarszczył brwi.

– Żadna z miejskich dziewczyn mnie nie rozumie, kapitanie. Nie wyobrażają sobie, by ktoś taki jak ja myślał o czymś poza rozbijaniem głów. A ja chciałbym otworzyć tawernę. Odłożyć trochę miedziaków, a potem pójść na Cechowy Targ, kiedy znowu go otworzą, i znaleźć dziewczynę, która jeszcze nie wyrobiła sobie o mnie zdania. Może jakąś pannę z Zachodniego Klifu. Funderlingowie z Settlandii nie grzeszą urodą, ale słyszałem, że ich kobiety mają trochę oleju w głowie...

Jaspis i Dolomit wrócili do swoich ludzi, a wkrótce potem pojawił się brat Polewa, który przycupnął przy Vansenie.

– Boję się, kapitanie – wyznał młody mnich. – Myślałem, że poczuję się zaszczycony, że odczuję wręcz egzaltację, kiedy Starsi mnie wezwą, a tymczasem czuję tylko strach. Nie chcę umrzeć.

– Byłbyś dziwnym mężczyzną w sile wieku, gdybyś chciał.

– Miałem wiele... myślałem, że będzie... inaczej...

Vansen poklepał mnicha po ramieniu.

– Nie rozpaczaj. Jeszcze nie wszystko stracone! Czy to dzisiaj, czy za pięćdziesiąt lat, wszyscy staniemy przed Bramą Immona...

– My go nazywamy Noszh-La – odpowiedział mnich.

...a zatem staniemy przed bramą Noszh-La – kontynuował Vansen – oczekując łaskawego przyjęcia przez jego pana, władcę śmierci.

– Jesteś poetą, kapitanie. – Mnich wydawał się rozbawiony, choć jego głos drżał.

Vansen zaś doznał nagle wizji, dotknięty wspomnieniem tak silnym, że zatrząsł się niczym sznur w psich szczękach i długą chwilę z trudem

oddychał. Brama Immona. Był tam, a przynajmniej widział ją oczyma wyobraźni tak dokładnie, jakby oglądał ją naprawdę, ogromny rzeźbiony portal z czarnego kamienia, część domu Pana Podziemi. A wszędzie dookoła paliły się ponure czerwone światła i kładły długie ciemne cienie Miasta Śmierci. Czy to możliwe? Naprawdę to widział? Ale kiedy? To wyobrażenie wydawało się takie realistyczne!

Nieważne kiedy ani nawet czy to był sen. Widziałem ją. Wiem. Stałem u bram zamku samej Śmierci i wróciłem. Jeśli bogowie próbują przemówić do niego, to Ferras Vansen słucha. Niemal usłyszał wznoszące się głosy, niczym świątynny chór, i coś większego od niego uniosło go, tak że przez chwilę nie bał się niczego.

Nieważne, co się ze mną stanie teraz lub później. Moje życie nie jest takie pospolite!

Coś huknęło w przeciwległym końcu ogromnej pieczary, stłumione uderzenie, od którego niemal pogasły pochodnie i posypały się kamienie z barykady blokującej wejście z tamtej strony. Kolejny huk, jeszcze głośniejszy, tak potężny, że na moment ogłuszył Vansena, roztrzaskując w pył jego myśli. Kraniec pieczary tonął w kłębach kurzu, z którego wyłoniły się jakieś postacie tam, gdzie jeszcze kilka chwil wcześniej była usypana z kamieni barykada.

Vansen od razu zobaczył, że autarcha nie przysłał swoich piechurów, Nagich. Z tumanów kurzu i dymu wyłoniły się wysokie jasne tarcze złączone niczym łuski na skórze węża, a cała ta uzbrojona masa, najeżona włóczniami podobnymi do kolców jeża, wlała się powoli do pieczary. Mężczyźni byli ogromni, a na ich tarczach widniał łeb warczącego psa – atak prowadzili najstraszniejsi mordercy autarchy.

Z rykiem na ustach, który w uszach ogłuszonego Vansena brzmiał jak głośny jęk, Białe Ogary rzuciły się w głąb Sali Inicjacyjnej.

\*\*\*

Popołudnie ciągnęło się niczym trwająca lata burza. Vansen i jego ludzie bronili pierwszej barykady ze starannie usypanych kamieni tak długo, jak się dało, lecz mimo wysokiej osłony poległo kilkunastu Funderlingów. W przerwach między atakami odciągano ciała i

przekazywano innym broń i broje zabitych. Vansen zauważył z gorzkim rozbawieniem, że na skutek uszczuplenia ich sił wreszcie prawie wszyscy są odpowiednio uzbrojeni. Kiedy strażnicy broniący barykady nie wytrzymali naporu południowców, którzy zaczęli przechodzić przez przeszkodę, Vansen zarządził odwrót i Funderlingowie wycofali się za drugą barykadę.

– Zatrzymajcie ich tutaj! – zawołał. – Przygotować włócznie, mistrzowie Cechu. Włócznie na sztorc!

Bronili drugiej barykady tak długo, jak dawali radę. Czas płynął rozmazany, a okrzyki zlały się w plamę hałasu podobną do ryku oceanu gdzieś nad ich głowami.

Niebo i morze, och, żeby tak jeszcze kiedyś móc je zobaczyć! – pomyślał Vansen. I twarz Briony Eddon! Skoro można pokochać boga lub boginię, która cię nie zna, to dlaczego nie księżniczkę? Czy ta miłość jest gorsza tylko dlatego, że nie może zostać odwzajemniona?

Ginęli kolejni Funderlingowie, wśród nich dzielny Dolomit, sierżant Jaspisa. Inni skoczyli, by zastąpić poległych, nawet mnisi, którzy wcześniej tylko opatrywali rannych. Trzej Bracia Metamorficzni, dopiero co wysłani na pierwszą linię, zajęli się ogniem z lampy oliwnej, którą ludzie autarchy przerzucili nad barykadą. Kiedy biegali, przeraźliwie krzycząc, Vansen poczuł, jak rozpacz niczym trucizna wzbiera w Funderlingach, odbierając im siły. Wiedział, że w każdej chwili mogą się załamać i ruszyć do wielkiego tarasu, a wtedy zostaną pokonani. Wychylił się i chwycił jednego z płonących mnichów, parząc sobie rękę, a potem rzucił się na niego, starając się zdusić płomień własnym ciałem i piaskiem. Kiedy usiadł, zobaczył, że Funderlingowie przyglądają mu się w odrętwiałym zdumieniu.

– Przestańcie się gapić! – ryknął. – Pomóżcie im! Przywołajcie uzdrowiaczy. I brońcie barykady!

Funderlingowie ocknęli się i wrócili do walki. Inni pochwycili płonących mnichów i rzucili na ziemię, by ugasić płonące ubrania, po czym odciągnęli ich w głąb pieczary. Kiedy wreszcie ustąpili i wycofali się do trzeciej barykady, działali już składnie pod dowództwem Vansena.

Nie byli w stanie utrzymać długo trzeciej barykady ani mniejszej czwartej. Chmary południowców wlewały się do ogromnej komory, a

kiedy uprzątnełi kamienie spomiędzy kolumn, byli w stanie ściągnąć jeszcze więcej ludzi. Południowcy mogli teraz wykorzystać łuczników i choć ich strzały nic były specjalnie groźne dla obrońców za barykadą, to inaczej rzecz się miała z Funderlingami, którzy pozostali w głębi pieczary. Kalomel, syn Cynobra, dostał strzałę w plecy, kiedy próbował odciągnąć nosze z ojcem w bezpieczniejsze miejsce. Vansen i pozostali mogli tylko powtarzać rannemu Cynobrowi, że jego chłopiec wydobrzeje, choć w rzeczywistości żaden z nich w to nie wierzył.

Wkrótce prastare kamienne płyty podłoża pokryły się krwią i stały zdradliwie śliskie. Co najmniej czterech kolejnych Funderlingów zginęło podczas obrony, wśród nich strażnicy, najbardziej doświadczeni żołnierze Vansena. Mali Funderlingowie walczyli dzielnie na znajomym terenie, lecz oficerowie autarchy sprowadzali coraz to nowe zastępy żołnierzy, wyćwiczonych i dobrze uzbrojonych, do tego wypoczętych.

W miarę upływu feralnego popołudnia i wieczoru Vansen dokonywał coraz bardziej ponurych podsumowań. Wiedział, że w najlepszym razie mogą jedynie spowolnić marsz wroga, lecz stało się jasne, że jeśli nie zdarzy się cud, nie wytrzymają już nawet godziny. Przy takim tempie strat on i Funderlingowie polegną co do jednego na długo przed północą.

– Wycofać się! – zawołał. – Za ostatnią barykadę!

Został z kilkoma strażnikami, by osłaniać odwrót. Funderlingowie odchodzili chwiejnym krokiem, bladzi i przestraszeni. Specjaliści od stawiania rusztowań, pracownicy kamieniołomów, choć żaden z nich nie był żołnierzem, dali z siebie wszystko, by bronić małego kawałka swojego kraju, a teraz odbierano im wszystko. Ferras Vansen starał się nie poddać smutkowi i wściekłości.

Kiedy dołączył do reszty, strzała ugodziła Jaspisa Młota w tył nogi. Funderling zachwiał się i został trochę za innymi, co zauważył jeden z południowców: wpadł na ziemię niczyją między dwoma ścianami i z łatwością ugodził Jaspisa Młota włócznią w plecy, jakby polował na rybę w wyschniętym stawie, po czym odskoczył z okrzykiem radości, przyglądając się, jak Jaspis zwija się w pół i upada.

Zanim pomyślał, co robi, Vansen zeskoczył z barykady i podbiegł do leżącego towarzysza, z wyrazem pogardy na twarzy odbijając



pchnięcie włócznią zaskoczonego południowca. Potem wyrwał mu włócznię z taką siłą, że zaskoczony wróg zatoczył się kilka kroków do tyłu, a wtedy Vansen zamachnął się toporem strażnika i zmiażdżył hełm południowca razem z głową.

Inni południowcy ruszyli na Vansena, uchylając się przed kamieniami rzuconymi w ich stronę przez ludzi kapitana z ostatniej barykady. Vansen podniósł Jaspisa, którego krępe ciało było cięższe, niż się spodziewał, a także śliskie od krwi, i pobiegł z powrotem do barykady. Przekazał dowódcę strażników w czekające ręce, po czym wciągnął się na barykadę i schował za nią przed nadlatującymi strzałami.

Pochylił się nad rannym, lecz było za późno: Jaspis przestał oddychać. Jego otwarte oczy już niczego nie widziały. Vansen poczuł, jak tężeje w środku, pochwycony w kleszcze zimnej nienawiści.

– Niech cię Starsi błogosławią, Jaspisie – powiedział cicho.

Południowcy nie ponowili ataku, lecz Vansen wiedział, że niebawem to nastąpi. Odwrócił się do Funderlingów, którzy wpatrywali się w niego oczami pełnymi strachu albo udręczonej desperacji. Ostatnią barykadę wzniesiono, wysoką i wąską, w najwęższej części pieczary; za nią znajdowało się jedyne wyjście. Kapitan oszacował szybko, ilu zostało mu żołnierzy – dwustu, może trzystu zdolnych do walki, nie więcej. Przeważnie byli ranni; on sam był cały we krwi, w dużej mierze własnej. Zamierzał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

– Siedźcie prosto – odezwał się wreszcie. – Nie wstyďte się, lecz bądźcie dumni. Nie zostało nam już dzisiaj nic więcej do roboty, jak tylko umrzeć z odwagą. Sprawiliśmy, że ci południowcy, dwukrotnie od was więksi i dziesięciokrotnie liczniejsi, już nigdy nie wymówią nazwy Funderling i nie wspomną Sali Objawienia bez smutku z powodu strat, jakie ponieśli, i zdziwienia, kto im je zadał.

Z ust stłoczonych Funderlingów popłynęły niemrawe pomruki, rozległy się jeden czy dwa słabe triumfalne okrzyki.

– Ale dość gadania – kontynuował Vansen. – Cynober wciąż jest wśród nas, może trochę osłabiony, ale nadal oddycha. A Malachit Miedziak? Siedzi tu w swojej najlepszej zbroi, prawda, mistrzu Miedziaku?

Funderling odchrząknął.

– Zaiste, kapitanie.

– Dowódca Jaspis Młot stanie przed Bramą Noszh-la wraz z innymi, którzy udali się tam wcześniej, i razem będą się przyglądać waszym poczynaniom w tej godzinie. A zatem nie rozczarujcie ich! Powstańcie, żołnierze, powstańcie!

Kiedy wstawali, umęczeni, Vansen podniósł głos, tak by usłyszeli go nawet ci z tyłu.

– Stańcie ramię przy ramieniu i wyciągnijcie przed siebie włócznie, żołnierze. Ci, którzy mają tarcze, niech trzymają je wysoko złączone z tarczami sąsiadów. Nie ustępować pola, chyba że w kierunku wyjścia... i bez względu na wszystko nie łamać szyku, dopóki nie wydam rozkazu odwrotu. Od tego zależy więcej niż nasze życie.

– Patrzcie! – zawołał ktoś.

Południowcy sprowadzili taran i teraz próbowali zburzyć barykadę. Funderlingowie jak jeden mąż zerwali się na nogi i zajęli pozycje, jakby chwila odpoczynku w ogóle nie miała miejsca. Vansen ujrzał twarz wyłaniającą się zza barykady i zamachnął się toporem. Nieprzyjaciel zsunął się nawet niedraśnięty i poszedł szukać innego miejsca na barykadzie, gdzie obrońcy nie będą tak wysocy. A działania Vansena sprowadzały się głównie do tego, żeby nie dać się zabić.

\*\*\*

Coś się stało z lewym ramieniem Ferrasa Vansena i nie mógł podnieść go wyżej niż na wysokość barku. Coś stało się także z jego nogą. Wprawdzie mógł na niej stać, ale kiedy przenosił na nią ciężar ciała, kolano przeszywał straszny ból, jakby ktoś wbijał mu rozżarzoną szpilę.

Południowcom udało się wybić w barykadzie kilka dziur, przez które Vansen widział ludzkie postacie i migotanie pochodni. Kolejna część barykady zadrżała i posypały się obluzowane kamienie, a jeden zmiażdżył nogę rannego Funderlinga. Walka stała się tak zacięta, że trudno było zabierać rannych w bardziej bezpieczne miejsce. Vansen nigdy wcześniej nie czuł się tak wyczerpany, nawet podczas miesięcy spędzonych za Granicą Cienia, i musiał wyteżać wszystkie siły, by

pamiętać, gdzie jest i co się dzieje wokół niego. Drabiny wystające nad barykady nie pochodziły ze snu, a wspinający się po nich żołnierze byli równie prawdziwi jak sama śmierć.

Nieopodal kilku Nagich zeskoczyło z barykady, wymachując wygiętymi mieczami i toporami. Vansen się zorientował, że gapi się jak pijak na uliczną burdę, podczas gdy wokoło umierają ludzie – jego dzielni ludzie.

– Już czas! – krzyknął. – Wycofujcie się! Stawimy im czoło na Wielkim Tarasie. Odwrót!

Tym razem mieli do pokonania niedużą odległość. Kapitan wręcz chwycił ludzi za ramiona i odciągały od barykady, lecz wielu czekało na ten moment i sami ruszyli pospiesznie w kierunku wyjścia z Sali Objawienia w nieskładnym odwrocie, tak że niektórzy przewracali się i byli deptani przez innych. Coraz więcej wrogów przelewało się przez ostatnią przeszkodę.

– Pospieszcie się!

Vansen podniósł włócznię, by utrzymać napastników na bezpieczną odległość do czasu, gdy ewakuują się ostatni Funderlingowie. Tego dnia otrzymał tyle ran, że w innych okolicznościach leżałby teraz wśród innych rannych, których opatrywano, lecz wiedział, że jako najwyższy wzrostem, jest nieustannie obserwowany i sam widok jego wysokiej postaci dodaje Funderlingom otuchy. Zdawał też sobie jednak sprawę, że nadszedł czas, kiedy strategia już nic nie znaczy. Każdy z walczących musi sprzedać swoje życie za jak najwyższą cenę, chociaż nigdy się nic dowiedzą, czy nie można było zrobić więcej.

Vansen, Malachit Miedziak i kilku żołnierzy z jego straży wycofali się jako ostatni na ogromną skalną płytę nazywaną przez Funderlingów Wielkim Tarasem, która sterczała z klifu nad Labiryntem. Sto albo i więcej stóp pod Tarasem ciągnęła się gigantyczna podziemna komnata Morza w Głębiach, choć nazwanie tego przestworu komnatą było równym niedomówieniem jak określenie mianem szopy świątyni Trzech Braci albo nazwanie wioską potężnego Hierosolu. Pieczara była niemal tak szeroka jak twierdza wewnętrzna, a jej wysokość pozostawała nieznana. Jeśli w ogóle miała sklepienie, to ginęło w ciemności gdzieś nad nimi, niewidoczne z Tarasu Labiryntu.

W środku ogromnej pieczary migotała łagodna powierzchnia Morza w Głębiach – „Srebra”, jak nazywają je Qarowie. Żyły rozjarzonego kamienia w ścianach dawały stałe słabe światło, dlatego nawet z Tarasu Vansen widział to, czego autarcha najwyraźniej szukał i do czego zmierzał po trupach: błyszczący posąg z kryształu zwany Lśniącym Człowiekiem na wyspie pośrodku srebrzystego podziemnego morza.

– Uwaga, kapitanie, idą! – zawołał Malachit Miedziak.

Vansen westchnął i odwrócił się plecami do kamiennej poręczy, po czym przesunął się do przodu, by przeciwnik nie zepchnął go od razu. Podejrzewał, że niektórzy jego ludzie pewnie będą woleli takie rozwiązanie niż śmierć od włóczni. Nie winił ich za to, ale sam nie zamierzał tak postąpić.

Z Sali Objawienia buchnęły na Taras obłoki dymu. Początkowo Vansen myślał, że to kurz, że południowcy całkowicie zburzyli barykadę, ale mimo wszystko chmura pyłu wydała mu się zbyt duża. Z kłębiącej się dymnej kipieli wyłoniło się kilka postaci, których ciemne sylwetki zdawały się w jakiś sposób powiększone przez dym i bardziej przypominały potwory niż ludzi.

To jest potwór, zorientował się chwilę później zatrwożony Vansen, stwór w niczym nic przypominał człowieka. Ogromny i z każdą chwilą większy, był wijącym się cieniem, nierównym i niestałym.

Z jego paszczy dobyły się jakby warkliwe słowa, nieprzyjemnie zgrzytliwe. Dwa inne równie przerażające stwory stanęły u boku pierwszego, a jeden wciąż trzymał łapę przy gębie, jakby coś jadł. Wszystkie przypominały trąby powietrzne w niemal ludzkiej postaci, jakby kurz i drobne kamyki były zasysane w górę i wirowały wokół nich, okrywając je, tak jak mech porasta kamień, tyle że tysiąc razy szybciej. Postacie wciąż rosły. Wpatrując się w nie, zdumiony Vansen usłyszał krzyki przerażonych Funderlingów.

– Niech będą przeklęte te ich magiczne sztuczki! – jęknął. – Miedziaku? Gdzie jesteś? Potrzebuję twoich ludzi i ich włóczni!

Nie czekając, cisnął toporem w najbliższego stwora. Broń odbiła się tylko od wirującej szarej masy, jakby rzucił śnieżną kulką w maszynę obłączniczą. Wyrwał włócznię z rąk przerażonego Funderlinga i zbliżył się do potworów, dźgając grotem, jakby atakował rozjuszonego odyńca,

lecz demony pozostały na miejscu. Urosły ogromne, nabrzmiałe i nieregularne, kroczyły na dwóch nogach, zamierzając się na obrońców łapskami wielkimi jak tace.

– Pomóżcie kapitanowi, synowie Cechu! – zawołał Malachit Miedziak. – Starsi na was patrzą! Nie pozwólcie, żeby walczył sam!

Wreszcie Funderlingowie dołączyli do Vansena, dzielnie dźgając monstra i wykonując uniki przed szponami, jeśli dopisało im szczęście. Kilku zostało jednak przeciętych na pół, a jeden wpadł na Vansena, wyrzucony w górę uderzeniem na odlew zniekształconą dłonią z taką siłą, że aż przewrócił kapitana. Vansen uderzył głową w podstawę kamiennej balustrady, a kiedy próbował wstać, by podjąć walkę, stwierdził, że wszystko faluje mu przed oczami, jakby znalazł się głęboko pod wodą.

Niespodziewanie z ciemności nad ich głowami spuściła się mała biała postać, lecz Vansen nie rozpoznawał jej bardziej niż tych dziwacznych ryczących potworów siejących spustoszenie wśród Funderlingów. Chwilę później zorientował się, że patrzy na niedużą smukłą kobietę w białej zbroi; lina, po której zjechała, wciąż wisiała obok.

– My, Ludzie, kiepsko się wam przysłużyliśmy, Ferrasie Vansenie – odezwała się głosem tak kojąco spokojnym, że kapitan niemal uwierzył, że to tylko sen. – Teraz postaramy się wam to wynagrodzić, przynajmniej w pewnej mierze.

Kobieta Qarów, to wiedział, ale był pewny, że nie widział jej nigdy wcześniej. Jeszcze raz pomyślał, że pewnie śni albo... umiera.

– Kim... kim jesteś?

– Nazywam się Saqri. Teraz muszę już iść.

Wszędzie dookoła z ciemności u góry spływały kolejne postacie, które zeskakiwały na Taras i zaraz ruszały do walki ze szponiastymi demonami. Vansen spróbował się podnieść, lecz świat zawirował tak gwałtownie, że znowu opadł na plecy i tak już został. Mógł tylko leżeć i słuchać dziwnie melodyjnych odgłosów walki, szczęku szponów uderzających w gładkie zbroje Qarów. W błyskach światła można było zobaczyć na tle rzeźbionych ścian Labiryntu dziesiątki – nie, setki! – Qarów zsuwających się na Taras niczym pełne wdzięku pająki.

Jeden z demonów zginął ze strzałą wbitą w oko aż po same pióra. Długo się miotał, charcząc, aż wreszcie życie z niego wyciekło. Inny się potknął i zaraz w jego cielsku utkwily włócznie czarodziejskich ludzi; oszalały z bólu wyleciał za balustradę – spadał z rykiem jak oddalający się grzmot. Ostatni z demonów, jak zorientował się Vansen, w jakiś sposób zapalił się od środka i zginął, zmieniając się w płonąca masę na środku Tarasu, a ścierwo przypominało komin trafiony przez piorun.

Vansen usiadł, czując, jak jego ramiona i nogi pulsują bólem, i próbował coś zrozumieć z tego, co się wokół niego działo. Gdzie się podzieli żołnierze autarchy? Dlaczego zaprzestali ataku? Czyżby Funderlingowie ich pokonali dzięki pomocy przybyłych w ostatniej chwili Qarów?

Podszedł do niego wysoki wojownik w szarej zbroi Qarów.

– Ferrasie Vansenie – rzekł i przykucnął obok kapitana. – Na bogów, nie sądziłem, że jeszcze kiedyś cię zobaczę. Nie sądziłem. – Zdjął hełm i przez chwilę kapitan tylko wpatrywał się tępo w rudą czuprynę.

– Barrick? – odezwał się wreszcie. – Książę Barrick? To naprawdę ty?

Książę obdarzył go zimnym poważnym spojrzeniem. Wyglądał na dziesięć lat starszego.

– Tak, to ja, kapitanie. Jesteś ranny? Przeżyjesz?

– Ja... tak myślę... – Zdumiony Vansen pokręcił głową. – Ale skąd się tu wziąłeś? W jaki sposób uciekłeś z krainy cienia?

Słaby uśmiech wykrzywił usta Barricka Eddona, nadając jego twarzy ludzki wyraz.

– Z pewnością mamy sobie wiele do powiedzenia... – zaczął książę, lecz w tym momencie podeszła do nich inna kobieta Qarów. Tę Vansen znał. Była to szaroskóra doradczyni Yasammez Aesi'uah.

– Kapitanie Vansen – przywitała się. – Cieszę się, że widzę cię żywego. – Spojrzała na Barricka. – Saqri mówi, że nie mamy czasu. To był pozorowany atak, tak jak się obawiała. Tamci poszli dalej.

– Co? – Vansen spróbował się podnieść. Nienawidził uczucia słabości. – Kto poszedł dalej?

– Południowcy – odpowiedziała Aesi’uah. – Ostatni atak Połykaczy Kamienia autarchy miał zniszczyć ciebie i twoich ludzi, ale on nie czekał, żeby zobaczyć waszą śmierć. W Labiryncie są długie schody, które prowadzą daleko w głąb ziemi, a potem pod Morzem w Głębiach aż na wyspę, gdzie walczyli i ginęli bogowie i gdzie stoi Lśniący Człowiek. Autarcha z kapłanami i żołnierzami poszli tamtędy ukradkiem, kiedy walczyliśmy. Przemknęli się pod nami. Pomimo twojego bohaterstwa i naszego pośpiechu, kapitanie Vansen, przegraliśmy.

## Kiedy spada nóż

*Biedny Sierota musiał zawinąć okruch słońca w  
dębowe liście, ale w końcu i one się spaliły, tak  
więc musiał nieść go dalej w delikatnych  
dłoniach.*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

– Zgrabna rzecz, prawda? – Hendon Tolly uniósł sztylet na tyle, by Matt Tinwright mógł go zobaczyć, choć w rzeczywistości poeta prawie nic nie widział: ostrze tuż przy twarzy tak go przeraziło, że z trudem był w stanie otworzyć oczy. Nóż dorównywał długości od łokcia do dłoni Tinwrighta, a na smukłej jodeitowej rękojeści widniały niezrozumiałe złote symbole, podobnie jak na cieniutkim ostrzu. – To robota Yistich, jak mi powiedziano, z południa Xandu – rzekł Tolly. – Nazywają go wywoływaczem duchów. Przekonamy się, czy przywołuje też bogów. – Tolly się zaśmiał jakby od niechcienia. Był blady i spocony, jakby wydarzenia ostatnich dni nieco pozbawiły go pewności siebie, której wcześniej mu nie brakowało. – Pomyśl tylko, poeto! Ponad tysiąc lat spoczywał w hierosolskim grobowcu, a ty będziesz pierwszym, który po tylu latach znowu się nim posłuży. To warte wiersza, prawda?

Nóż dotykał jego policzka i Matt Tinwright zaczynał podejrzewać, że Hendon Tolly zechce go na nim wypróbować mimo wcześniejszych obietnic. Poeta zerknął na żołnierzy, trzech mężczyzn o surowych obliczach w barwach Summerfield, wybranych strażników Tolly'ego, lecz oni unikali jego spojrzenia. Szaleństwo lorda protektora było widoczne jak ogromny siniak na bladej skórze. Nikt nie chciał się narażać na jego gniew, niepotrzebnie zwracając na siebie uwagę.

– Co ch-chcesz, że-żebym zrobił? – Tinwright nie chciał nawet dotykać noża. Zielona rękojeść i patyna, która powlekła ostrze w grobowcu, sprawiły, że sztylet wyglądał, jakby był zatruty.



– Żebyś poszedł za mną, oczywiście. – Tolly opuścił nóż i pokazał ostrzem schody prowadzące do krypty Eddonów. Słońce zsunęło się już za wzgórze i wejście zdawało się być furta do samej pustki, która istniała przed nastaniem bogów. – Mamy coś do zrobienia, głupcze, a niedługo północ. Jeśli chcemy zdobyć skarb, zanim dostanie go ten kundel Sulepis, nie możemy dłużej czekać. – Spojrzał na jednego ze strażników. – Kiedy przyjdzie Buckle, natychmiast przyślij go na dół.

Strażnik skinął głową, a Tolly znowu odwrócił się do Matta Tinwrighta.

– Chodź. I bierz dziecko! Migiem!

Przerażony, z głową pełną najczarniejszych myśli, od których robiło mu się niedobrze, Tinwright zawinął mocniej w kocyk wiercącego się niespokojnie królewskiego syna i podążył za Hendonem Tollym do grobowca.

\*\*\*

Tolly poprowadził ich do starej krypty, która znajdowała się za pierwszą zewnętrzną komorą, gdzie zginął Okros Dioketian, a Tinwright został złapany przez Hendona. Była ona większa i wyższa niż komora frontowa. Wydrążone w kamieniu sześciokątne pomieszczenie zawierało nisze z kamiennymi lub ołowiowymi trumnami. Na większości z nich nie było wizerunków zmarłych, a kilka nie miało nawet inskrypcji; ci, którzy w nich spoczywali, wśród nich królowie i królowe Marchii Południowej, stali się bezimienni, pozbawieni twarzy.

– Nie chowano tu nikogo od setek lat – rzekł Tolly, idąc powoli skrajem sześciokątnej komory, z rękami założonymi z tyłu, jakby był na spacerze. – Ponoć Kellick zbudował zewnętrzną komorę, co znaczy, że w którejś z tych kryjówek rozsypuje się w proch wielki Anglin. – Podniósł wzrok, by zobaczyć, czy zaszokował swoim bluźnierstwem Tinwrighta. – Tylko nikt nie wie, która to trumna! – zaśmiał się. – Bez względu na to, jak sławny jesteś za życia, po śmierci zamieniasz się w proch.

Niemowlę, które Tinwright trzymał na rękach, zanosilo się płaczem.

– Na brodę Perina, poeto, potrząśnij tym przeklętym bachorem! – warknął poirytowany Tolly. – Uspokój go.

Matt przytulił ostrożnie kwilącą istotkę. Co ktoś taki jak on może wiedzieć o uspokajaniu niemowląt?

– Czy on musi tu być, panie?

– Co tam mamrociesz? Oczywiście, że musi tu być, bez niego nie odprawimy rytuału! To tak, jakbyś chciał zjeść obiad bez pieczeni! – Tolly zamknął oczy, jakby nie potrafił znieść całej tej sytuacji, lecz nie otwierał ich dłużej, niż poeta się spodziewał, a gdy już to zrobił, pełgały w nich niebezpieczne ogniki. – Powiedziałem, żebyś uspokoił dziecko.

Tinwright nic znalazł innego rozwiązania poza podsunięciem niemowlęciu własnego palca. Podpatrzył kiedyś, jak Brigid uspokaja w ten sposób dziecko swojej siostry. Mały Alessandros jeszcze przez jakiś czas zanosił się płaczem, lecz niebawem uspokoił się zajęty ssaniem palca.

Tolly wyciągnął przed siebie rękę, a wtedy strażnik podał mu worek.

– A gdzie ten drugi głupiec? Powinien już tu być.

– Panie?

– Zamknij się, poeto. Nie do ciebie mówię. I co?

Strażnik aż się skulił pod gniewnym spojrzeniem lorda.

– Buckle? Na pewno zaraz tu będzie, lordzie Tolly...

Ten uciszył go niedbałym ruchem dłoni.

– Dość. Ty i ten drugi zaczekajcie na zewnątrz. Chcę porozmawiać z mistrzem Tinwrightem.

Strażnikom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Poeta słyszał ich szybkie kroki na schodach prowadzących z nowej krypty na powierzchnię. Kiedy ucichły, zdał sobie sprawę, że został uwięziony głęboko pod ziemią – w grobowcu, a jakże! – z niebezpiecznym szaleńcem.

– Już prawie czas – odezwał się Hendon Tolly po dłuższej chwili. – Słyszałeś bicie dzwonu, kiedy schodziliśmy? Wybijał dziesiątą. Syańczycy już pewnie zajęli rezydencję. Ha, dużo im to da! – Lord protektor zaniósł się śmiechem. W ostatnich dniach przestał przycinać brodę i zaniedbał strój. W podartym ubraniu nie wyglądał już jak modniś z dworu. – Będą się puszyć i wyobrażać sobie, że są zdobywcami, tak

jak ten pies z południa pod naszymi nogami śni, że jest wybrańcem bogów. Wszyscy się mylą! Bo ja ich pokonam! Sam zdobędę względy bogini!

Tinwright już nawet nie próbował zrozumieć, co jego straszny pan zamierza osiągnąć, składając tę straszną ofiarę. Czasem lord protektor mówił tak, jakby miał sprawić, że sama bogini Zoria będzie mu służyła, a kiedy indziej jakby się spodziewał, że sam zostanie bogiem. Tinwright mógłby uznać całe to gadanie za bredzenie szaleńca, ale pamiętał okrutną moc, która czaiła się w lustrze Tolly'ego, czuł, jak się skradała niczym wygłodniały wilk. Nie chciał więcej tego doświadczyć i z pewnością nie chciał skrzywdzić dziecka, nieważne, czy to królewski potomek czy nie. Ale co miał zrobić? Uciec? Nawet gdyby zwiął Tolly'emu, strażnicy czekali na zewnątrz.

Może lepiej pozwolić, żeby Tolly go zabił. Gdyby doszło do walki, przynajmniej miałby szybką śmierć. Mógłby udać się do bogów, wiedząc, że odmówił popełnienia niewybaczalnej zbrodni.

Ścisnął mocniej niemowlę, przez co znowu zaniósł się płaczem.

– Panie – zaczął. – Nie mogę... ja nie... – Lecz w chwili gdy te słowa padły z jego ust – wypowiedziane dość cicho, trzeba przyznać – Hendon Tolly uciszył go władcym gestem.

– Milcz. Słyszysz? – Przechylił głowę. – Tak. Jest wreszcie ten głupiec Buckle. To ci się spodoba, poeto. Zaplanowałem małą niespodziankę specjalnie dla ciebie.

– Dla-la mnie...? – Teraz i on usłyszał szuranie butów na kamiennej posadzce w drugiej komorze i głos kobiety, protestujący, błagalny.

Bogowie, czyżby ten potwór sprowadził tu królową Anisę, by patrzyła, co robi jej dziecku? Czy zepsucie Tolly'ego nie ma granic?

Żołnierze wciągnęli do grobowca szamoczącą się kobietę. Kiedy poeta ją zobaczył, nogi się pod nim ugięły.

– Ach, a oto ostatni członek naszego zgromadzenia – powiedział Tolly pogodnym tonem. – Lady Elan, jakże mi cię brakowało. Okrutna i niestała z ciebie dziewczyna, myślałem, że uciekłaś.

Elan M'Cory przestała wyrywać się strażnikom, którzy trzymali ją za ramiona.

– Jesteś potworem, Hendonie, istnym goblinem! Demonem!

Tinwright patrzył w milczeniu, przeświadczony, że za chwilę świat zawali mu się na głowę.

– Bzdura, moja droga. – Tolly w jednej chwili znalazł się u jej boku i przycisnął ostrze do jej policzka. Nacisnął trochę za mocno i na skórze ukazała się lśniąca czerwona kreska. – Nasz przyjaciel poeta zrobi wszystko, co mu każę, bo nie dopuści, bym wyrządził choćby najmniejszą krzywdę twojej ślicznej główce. Czyż już nie zadał sobie sporo trudu, by cię przede mną ukryć?

Tinwright miał wrażenie, że jego wnętrze zamieniły się w błoto.

– Och, bogowie, pomóżcie nam. Jak... jak ją znalazłeś?

– Och, nie obawiaj się, już niedługo bogowie będą ci pomagać. – Oblicze Hendona Tolly'ego promieniało. – Kazałem ci śledzić podczas każdego twojego wyjścia za mury zamku, poeto. Myślałeś, że jesteś sprytny, kiedy tak kluczyłeś, ale nie oszukałeś moich żołnierzy, tylko ich zmęczyłeś i rozgniewałeś. Daj spokój, naprawdę sądziłeś, że ukryjesz szlachciankę z Summerfield w norze swojej matki?

Tinwright pochwycił spojrzenie Elan.

– Wybacz. Nie sądziłem...

– Dość. – Tolly został jeszcze chwilę na miejscu, wachając włosy i twarz kobiety jak kot, który znalazł padlinę. – Ach, wierzę, że on postąpi tak, jak trzeba, moja droga – szepnął na tyle głośno, by Matt go usłyszał. – Nie chcę, żeby stała ci się krzywda. Widzisz, pragnę, żebyś do mnie wróciła. Brakowało mi naszych zabaw, po których na twojej skórze zostawały ślady, i twoich jęków. Moja tęsknota jest jak choroba...

– Nie rób tego, czego on chce, Matt! – zawołała Elan. – Kiedy się spotkaliśmy, już nie żyłam. Byłam trupem, odkąd pierwszy raz mnie dotknął...

– Ale poeta nie jest ulepiony z naszej gliny – rzekł Tolly. – Zrobi, co mu każę. Pomoże mi odprawić rytuał w zastępie biednego głupiego starego brata Okrosa. Złoży w ofierze dziecko. – Tolly podszedł do Tinwrighta i dotknął brudnym palcem czoła królewskiego syna, pozostawiając na nim ślad. – Bo jeśli nie, to zanim sam umrze, będzie musiał patrzeć, jak obdzieram ze skóry jego ukochaną Elan.

\*\*\*

Usłyszała ruch w ciemności zbyt gęstej nawet dla jej wspaniale widzących oczu Funderlinga i usiadła.

– Żółw... – powiedział cichy głos. – A potem Węzeł i Sowa... Ostatnia Godzina Przodka, która w starożytnych czasach była drzwiami jego domu... znaki są tak czytelne, że tylko głupiec by ich nie zauważył... ale dlaczego?

– Kto tam? – zawołała Opal.

Minęła chwila, zanim padła odpowiedź:

– To ja, mamó Opal.

– Krzemień? Co ty robisz, chłopcze? – Podniosła się na wąskim łóżku i poszukała dłonią ciepłokamienia. Kiedy wzięła go do ręki, rozjarzył się słabym różowym światłem, tak że mogła rozejrzeć się po pokoju. Z przerażeniem zobaczyła, że Krzemień stoi przed nią ubrany nie w nocną koszulę, ale w dzienny strój i w buty, z niedużym workiem w ręku.

– W imię kamienia i kamieniarstwa, co ty wyprawiasz? Po co ci ten worek?

– Kładłem do niego jedzenie. Trochę chleba i kilka suszonych zimowych grzybów.

– Co...? Och, rozumiem, wybierasz się dokądś, a przynajmniej tak ci się wydaje. – Wyskoczyła z łóżka i stanęła między nim a drzwiami dormitorium mnichów, gdzie spali. – Tylko że ja ci na to nie pozwolę.

Oblicze chłopaka wyrażało spokój i powagę.

– Muszę iść, mamó Opal. Puść mnie, proszę.

– Dokąd? Czemu nam to robisz, chłopcze? Mnie? Żle ci było u nas? Krzemień drgnął, jakby go zraniła, co zaskoczyło Opal.

– Nie. Byliście dla mnie lepsi niż ktokolwiek inny! Ja nie uciekam, mamó Opal, ani nie pakuję się w żadne kłopoty. Po prostu zdałem sobie sprawę, że muszę coś zrobić. To... przyszło do mnie.

– Co?

– Nie... nie potrafię ci tego wyjaśnić. Ponieważ sam do końca nie rozumiem. Muszę iść.

Opal była coraz bardziej zrozpaczona, a jej gniew przerodził się w strach.

– To niedorzeczne, chłopcze! Dokąd miałbyś pójść? Na zewnątrz toczy się wojna! W każdej chwili mogą nas zaatakować południowcy. Zabiją cię! – Podeszła do niego z dłońmi złożonymi na piersi. – Nie mów takich rzeczy, ty mój króliczku. Nigdzie nie pójdziesz. Wracaj do łóżka. Idź spać, a jutro wszystko będzie wyglądało inaczej! Miałeś sen, który wydał ci się bardzo prawdziwy.

– Nie. – Głos Krzemienia nie był zimny, ale też nie pocieszający. – Nie, mamu Opal. To jest snem. A ja zaczynam się budzić.

– Dlaczego nie ma z nami Rogowca? – Krzemień był wyższy niż ona, ale to nie miało znaczenia; nie przyszło jej nawet do głowy, by próbować zatrzymać go siłą. Objęła go. – Proszę, mój słodki chłopczyku, mój synu, nie rób tego. Musiałam patrzeć, jak twój... jak mój mąż udaje się na bezsensowną wyprawę... – Po jej policzkach popłynęły łzy.

Chłopak objął ją nieporadnie.

– Przepraszam, mamu Opal, ale muszę iść.

Odchyliła się do tyłu i spojrzała mu w oczy z wyrazem cierpienia na twarzy.

– Nie jesteś taki jak inni, prawda? Nie ma co próbować robić z ciebie kogoś, kim nie jesteś. – Zaśmiała się gorzkim śmiechem kobiety o złamanym sercu. – Już nigdy cię nie zobaczę. Starsi dali mi cię po to, żeby znowu mi cię odebrać, to taki ich okrutny żart.

– Zobaczymy się. – Krzemień nie wyglądał już na dezorientowanego. – Obiecuję ci to. Zrobiłaś dużo więcej, niż sama zdajesz sobie sprawę. Uratowałaś mnie.

Opal odsunęła się od drzwi.

– Idź zatem. Nigdy nie potrafiłam powstrzymać cię ani Rogowca przed zrobieniem tego, co uważaliście za konieczne. Naprawdę nie możesz mi powiedzieć, dokąd się wybierasz?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Ale wkrótce się dowiem. Bądź dzielna, mamu.

Odłożyła ciepłokamień; pozbawiony dotyku dłoni i płynącej przez nią krwi, już prawie zgasł. Słabe różane światło musnęło postać

Krzemienia, który otworzył drzwi i wyszedł w rozbrzmiewającą echem ciemność.

\*\*\*

W ostatnich dniach Qinnitan słyszała jedynie odgłosy walki dochodzące z daleka, jakby w tych nieskończonych skalistych głębiach dwie armie duchów toczyły jakąś pradawną bitwę. Kiedy przechodzili przez ogromne pieczary, splątane prądy powietrza płynące przez labirynt tuneli przynosiły niespodziewanie jęki i krzyki i przez krótką chwilę wydawało się, że żołnierze umierają tuż za najbliższym zakrętem. Mimowolnie przypomniawszy sobie podcienie wokół rynku, po którym biegała w dzieciństwie, gdzie w niektórych miejscach słychać było ciche rozmowy kupców prowadzone w zupełnie innej części placu.

Jak to się stało, że tamta dziewczynka – bosonoga i roześmiana, uganiająca się za kolegami po bazarze – zamieniła się w tę żalospną istotę zamkniętą w klatce, która już nigdy nie ujrzy blasku słońca, tak jak ptaki zabierane przez górników na dół w kopalni miedzi?

Bogowie mnie karzą, a przecież nic nie zrobiłam. Poczuję wściekłość. Nie zrobiłam nic złego, podobnie jak biedny Gołąb! To wina bogów!

Qinnitan przysunęła się do prętów klatki z twardego drewna i przycisnęła do nich twarz. Widziała niewyraźnie klatkę króla z północy kołyszącą się na barkach niosących ją niewolników, tak jak i jej klatka. Stopy tragarzy chrzęściły na ścieżce wysypanej potłuczonym kamieniem przygotowanej przez innych służących autarchy. Pomimo pośpiechu Sulepis rozkazał wykonać szerszą drogę, tak by on i jego ludzie mogli się przemieszczać swobodniej. Qinnitan widziała, że wiozą tony kamienia. Czowała się oszołomiona, kiedy pomyślała o tym, że ktoś zagania ludzi do morderczej harówki, nie bacząc na to, ilu z nich przy tym zginie, by zrobić drogę, którą wykorzysta się tylko raz.

– Podoba ci się nasz trakt, królu Olinie?

– To ty, panienko Qinnitan?

Rozmawiali już kilkakrotnie, kiedy ich klatki znalazły się blisko siebie. Podczas pobytu w Hierosolu dziewczyna znacznie poprawiła

znajomość języka północy. Była zażenowana swoją nieporadnością w tej kwestii podczas ich pierwszego spotkania.

– A któż by inny?

Usłyszała, jak zaśmiał się cicho. Niewolnicy niosący jej klatkę spojrzeli na nią z wyrazem niezadowolenia na twarzach, jako że więźniowie gawędzili sobie i żartowali, podczas gdy oni musieli ciężko pracować.

Chyba jednak nie chcielibyście zamienić się miejscami, pomyślała, a głośno powiedziała:

– Złocisty kazał zrobić taką szeroką drogę prowadzącą w głąb góry. Nie boi się, że góra zawali mu się na głowę?

– On, jak się zdaje, nie boi się niczego – odrzekł Olin. – W przypadku kogoś innego wyraziłbym podziw, ale mam wrażenie, że twój Złocisty nie wierzy, by mogło stać się cokolwiek poza tym, czego on pragnie.

– Nie mój – zaperzyła się. – To świnia, szalona świnia! – powtórzyła głośniej po xisku, tak by usłyszeli ją niewolnicy.

Niektórzy potknęli się, sparaliżowani strachem i zdziwieniem.

– Lepiej tego nie rób – rzekł Olin.

– Dlaczego? A co może mi zrobić Sulepis? – W tej chwili Qinnitan nie czuła najmniejszego strachu przed autarchą ani przed torturami, jakim mógłby ją poddać. – I tak już nie żyjemy. Nawet autarcha może nas zabić tylko raz.

– Nie w tym rzecz. Cokolwiek powiedziałaś, sprawiło to, że niewolnicy niemal upuścili mnie w rozpadlinę. Pewnie nie widzisz jej ze swojej strony. Tak czy inaczej, nie chciałbym zginąć w ten sposób.

Boisz się, że wtedy to ja odegrałabym rolę kozła ofiarnego podczas ceremonii Złocistego, pomyślała. Wiedziała, że właśnie tego się obawiał.

– Przepraszam, królu Olinie – powiedziała. – Postaram się już więcej tak nie zachowywać.

Jakiś czas podróżowali w milczeniu, kołysząc się w swoich klatkach.

– Kiedyś powiedziałaś, że przypominam ci twoją... córkę? To dobre słowo? Twoją dziewczynę-syną?



Król znowu się zaśmiał. Teraz prawie go nie widziała. Najbliższa pochodnia paliła się za nimi, a twarz Olina pogrążyła się w cieniu.

– Moją dziewczynę-syna. Zabawne, że tak się wyraziłaś, ponieważ ona nigdy nie lubiła nosić kobiecych strojów.

– Naprawdę? Jest jak mężczyzna?

– Tylko w tym znaczeniu, że posługuje się własnym rozumem, zamiast polegać na mężczyźnie, który będzie myślał za nią. – Głos Olina zabrzmiał cieplej. – Polubiłabyś ją. Z tego, co mi opowiadałaś, jesteście bardzo podobne. Tak jak ty, Briony uciekała wielokrotnie przed wrogami.

– Masz z niej dumę.

– Tak. I z jej brata, choć o nim ci nie opowiadałem. Już jako dziecko musiał nosić brzemię, którego nie zniósłby dorosły mężczyzna. Skrzywdziłem go, Qinnitan. I bardzo mnie to smuci. Nie boję się śmierci, ale martwię się, że już nigdy go nie zobaczę.

– Dopiero w niebiosach.

– Oczywiście. Dopiero w niebiosach.

\*\*\*

Qinnitan ocknęła się z drzemki, kiedy niewolnicy postawili ciężką klatkę, jęcząc i stękając niczym woły wydające ludzkie dźwięki. W świetle latarni ujrzała, że znajdują się w wąskim korytarzu, którego sklepienie wznosiło się zaledwie kilka długości ramienia nad jej głową. Sam pierwszy minister Pinimmon Vash, stary i pomarszczony jak skóra sandała zgubionego na pustyni, wydawał rozkazy niewolnikom strzegącym jej i króla z północy.

– Wybacz, królu Olinie. – Vash posługiwał się tym językiem z taką swobodą, jakby wychował się na północy. – Teraz będziemy musieli pokonać wiele stopni i wąskich przejść. Klatki by tylko przeszkadzały. Obawiam się, że musisz iść pieszo.

– Wciąż skępowany – rzekł Olin.

– Niestety, tak. Będziesz miał związane ręce. Po ostatnim incydencie... sam rozumiesz. – Vash sprawiał wrażenie znudzonego i oficjalnego, lecz w jego zachowaniu wyczuwało się dziwną słabość. Czy

bał się tych skalnych głębi, zmuszony zejść tak nisko pod zalaną słońcem powierzchnię ziemi, czy też chodziło o coś innego? Mimo że Vash dobrze się maskował, Qinnitan, obeznana z fałszywymi uśmiezkami w Samotni, miała wrażenie, że pierwszy minister niemal boi się Olina. Ale co mogło być tego powodem? Poza tym jednym nieudanym zamachem na życie autarchy władca z północy nie stanowił żadnego zagrożenia, nic bardziej niż ona.

– Oczywiście. Bo co innego możecie zrobić? Przecież nikt z was nie chce, żeby coś się stało Złocistemu – odpowiedział Olin. Także w jego słowach kryło się jakieś delikatne niedopowiedzenie.

Qinnitan wyczuwała, że Olin popycha starego ministra do czegoś. Tylko dlaczego? I do czego?

Ją pierwszą wypuścili z klatki, na wypadek gdyby władca z północy czegoś próbował. Co jakiś czas do jej uszu dochodziły okrzyki walczących, głośniejsze niż upiorne szepty, które czasem niosły prądy powietrza. A zatem bitwa toczyła się blisko, co oznaczało, że niedaleko są też wrogowie autarchy. Czy istniała jakakolwiek szansa na ucieczkę? W bitewnym zamieszaniu można by spróbować.

Lecz jej nadzieje szybko się rozwiały, ponieważ potraktowano ją jak schwytanego mordercę. Związano jej ręce za plecami, a sznur opleciono wokół szyi. Kiedy dwóch strażników chwyciło ją za ramiona, a trzeci stanął za nią, wyprowadzono z klatki Olina.

– Czuję się jak biały byk Branna – rzucił. – Karmiony i pielęgnowany przez cały rok tylko po to, żeby poderżnąć mu gardło w Święto Sieroty. – Twarz miał szarą. – Niech spłynie na nas wszystkich łaska Erivora.

Qinnitan zadrżała i z trudem stała na nogach, kiedy strażnicy wprowadzili ją do wąskiego korytarza i dalej w dół, po starożytnych zaokrąglonych schodach, w ciemność, która pozostawała niemal nieprzenikniona pomimo pochodni.

\*\*\*

– Żuj, człowieku, przeżuwaj! A niech cię, mówiłem ci, że tak trzeba.  
– Tolly podsunął Tinwrightowi kolejną pajdę ziarnistego ciemnego chleba. – Połknij to i weź następny kawałek. Na krew Braci, ty płaczesz?

Matt Tinwright właściwie nie płakał, a łzy napłynęły mu do oczu dlatego, że się krztusił i z trudem oddychał. Ciemny chleb, zamoczony w atramencie sepji i upieczony bez soli i zaczynu, był niedobry i suchy, dlatego mając go pełne usta, Matt zakasłał, a z jego ust trysnęły okruchy niczym iskry z ogniska.

– Ciesz się, że nie mogłem znaleźć czarnego psa – rzekł Tolly – bo przygotowałem ci posiłek, po którym rzeczywiście rzewnie byś zapłakał. A teraz wkładaj te grobowe łachmany. Okros mówił, że osoba przywołująca musi się tak ubrać, kiedy będzie przemawiała do krainy zmarłych.

Okros zginął jak mysz na wpół zjedzona przez kota, pomyślał przybity Tinwright. Nie było ucieczki. Gdziekolwiek się odwrócił, wszędzie czekał ponury koszmar. Elan stała, chwiejąc się, między dwoma strażnikami, z twarzą pozbawioną wyrazu, blada jak świeży nieboszczyk wyciągnięty z którejś z trumien ustawionych pod sześcioma ścianami krypty. Malutki książę Alessandros, przeznaczony na ofiarę, wiercił się na jego rękach, pogrążony w niespokojnym śnie, wyczerpany płaczem.

Tinwright został schwytany w pułapkę jak nikt inny w historii, nawet sam święty Sierota. Wiedział, że nie zjawi się żadna świetlista bogini, by uratować jego duszę, tak jak Zoria ocaliła duszę Sieroty. Łzy? Ocean nie miał w sobie dość soli i wody, by starczyło na wszystkie łzy, jakie Matt Tinwright pragnął uronić.

Ubranie, które jeden ze strażników wyjął z worka, tak cuchnęło, że poeta nawet nie próbował się domyślać, skąd pochodzi. Zbutwiały materiał rozrywał się przy każdym ruchu. Na wierzch poeta włożył o wiele porządniejszy czarny płaszcz, choć i on był spleśniały i cuchnął grobem. Tinwright starał się nic myśleć, co ma się wydarzyć. Kiedy już owinał się paskudnym całunem, opuścił ręce, zrezygnowany, czekając na dalsze rozkazy Tolly'ego.

– Przynieście tu trumnę – zwrócił się lord do żołnierzy. – Którąś z tych najstarszych. To będzie nasz ołtarz.

Strażnicy wysunęli z niszy wskazaną przez Tolly'ego trumnę i z ponurymi minami przenieśli na środek grobowca. Elan M'Cory milczała, na widok trumny zacisnęła usta i odwróciła głowę. Tolly wziął niemowlę od poety i położył na wieku niedbałym ruchem, jakby był to wypchany worek. Alessandros zakwilił, lecz się nie obudził. Następnie Tolly polecił innemu żołnierzowi odwinąć lustro i postawić na kamiennej posadzce obok prowizorycznego ołtarza.

– A teraz przeczytaj tekst z księgi, poeto! – rozkazał Tolly. – Zaznaczyłem fragment wstążką. Czytaj!

Gdyby Tinwright mógł tylko spojrzeć na stronę książki, którą dał mu Hendon Tolly, tylko złożyć litery, które maszerowały w poprzek kartki, choć wiły się w jego oczach jak robaki, mógłby prawie uwierzyć, że wszystko jest w porządku. Gdyby nie spojrział na ohydne demony i potwory dokazujące na marginesie, narysowane ze zbyt dużym radosnym zaangażowaniem, by być dziełem bogobojnego skryby, gdyby nie patrzył na nic poza słowami i zignorował śmierć, która go otaczała, i szaleństwo, jakim emanował Tolly, i przede wszystkim, gdyby nie świadomość, że za kilka chwil zostanie zmuszony do czegoś tak niewyobrażalnego, że jego dusza zostanie potępiona i wtrącona do najgłębszych i najciemniejszych dołów w szarym królestwie Kerniosa aż do końca czasu... wtedy niemal mógłby udawać, że to, co robi, ma sens...

– A niech cię, ty wiejska szumowino! – syknął gniewnie Tolly, niemal podskakując w miejscu, a w kąciku jego ust wyrosła bańka śliny. – Czytaj! Czytaj na głos! To jest inwokacja, która ma otworzyć drogę do krainy bogów! Czytaj!

Tinwright przełknął ślinę. Wydawało mu się, że w jego gardle utknęło coś wielkości świerkowej szyszki.

*Niebo zachmurzone sypie deszczem gwiazd.  
Wsporniki nieba pękają; drżą kości boga-ziemi;  
Siedem Szarych Ptaków struchlało na mój widok,  
Kiedy wznoszę się ku niebu, zmieniam się w boga,  
Który strąca ojca i zjada swoją matkę!  
Jestem bykiem nieba. Moje serce żywi się boskimi istotami.  
Pozeram wnętrzości ich ciał przenikniętych magią...*

W miarę czytania poeta nabrał trochę siły, nie dlatego, że lżej mu się zrobiło na sercu, lecz dzięki rytmowi słów, który mu się udzielił, tak potężnemu jak krok maszerującej armii.

*Zjadam ludzi i bogów! Połykam ich magiczną moc! Delektuję się ich chwałą!*

*Najwięksi stanowią mój poranny posiłek,*

*Tych średnich zjadam w południe,*

*Małych zostawiam na kolację, a tych za starych spałam w kadzidle!*

*Ukazuję się na niebie jako Pan Horyzontu...*

Dotarłszy do końca fragmentu, Tinwright zająknął się, nie zdając sobie z tego sprawy, i przeczytał jeszcze kilka słów, lecz Hendon Tolly uderzył go mocno w bok głowy, tak że omal nie wypuścił z rąk starożytnej księgi.

– Psie! Weź nóż i kiedy powiem, że już czas, złóż ofiarę. Trzeba naznaczyć lustro krwią, tak mówił Okros. Ale nie podrzynaj dzieciakowi gardła, dopóki nie wypowiem odpowiednich słów! – Tolly wcisnął nóż do ręki Tinwrighta, który próbował cofnąć dłoń. – Weź i trzymaj w pogotowiu. Nadchodzi godzina, w której ten przeklęty pies z południa zacznie odprawiać swój rytuał. Musimy zwrócić się do bogów, zanim on to zrobi! – Z ust Tolly’ego popłynął śmiech tak upiorny jak wszystko, co się wydarzyło dotąd, dźwięk czystego szaleństwa. – Och! Och! Wyobrażasz sobie wściekłość autarchy, kiedy się dowie, że pierwszy wdarłem się do niebios, że ukradłem wszystko, czego pragnął?

– Nie rób tego, Matt! – Głos Elan rwał się tak samo jak ubranie poety. – Tylko nie dziecko! Twoje życie, moje, nic nie jest warte takiej zbrodni!

Poeta nie potrafił znieść tego dłużej. Każde słowo Elan piekło go jak smagnięcie batem. Przyłożył ostrze do szyi niemowlęcia. Dotyk zimnego metalu obudził dziecko i znowu zaniósł się płaczem, dlatego Tinwright szybko cofnął nóż, żeby niechcący nie przeciąć delikatnej skóry. Nie mogąc znieść widoku wiercącego się niemowlęcia, zamknął oczy.

Nic, pomyślał. Nic nie mogę zrobić. Nic. Może to wcale się nie dzieje. Może śnię. Może to tylko sen. Poszukał dłonią po omacku piersi dziecka i delikatnie położył na niej rękę. Nic.

Tolly zaczął czytać kolejne słowa sprzed wieków, po raz ostatni wypowiedziane za czasów nieopłakanych Władców Cienia albo recytowane w kamiennej krypcie w południowych lasach, gdzie miał powstać Hierosol.

*Tych, których spotykam, połykam żywcem!  
Pozrywałem ścięgna bogom;  
Połamalem im karki i kręgosłupy;  
Wyrwałem im serca...*

Czytany tekst był czymś więcej niż tylko inwokacją, uzmysłowił sobie jak przez mgłę Tinwright. Stanowił wyzwanie rzucone samym bogom, śmiertelną pieśń jakiegoś pogańskiego króla, który ośmielił się twierdzić, że nie zatrzyma go grób, nie powstrzymają bogowie.

Tinwright usłyszał coś, co przebijało spoza słów Tolly'ego, niewyraźny odgłos dochodzący ze wszystkich stron, ciche uderzenia i skrobanie, jakby coś poruszało się w trumnach ustawionych pod ścianami ogromnej krypty.

*Połknąłem wielką koronę!  
Połknąłem też berło!  
Pozarłem serca wszystkich królów!  
Moje życie nigdy się nie skończy!  
Niewypowiedziane i nieznane są moje możliwości!*

Matt Tinwright otworzył oczy. Nie zobaczył niczego poza drżącymi płomieniami pochodni, które płożyły się zgięte nagłym podmuchem, lecz żołnierze rozglądali się przerażeni. Drapanie stało się głośniejsze, jakby szczury próbowały przegryźć się przez ścianę. Dwaj strażnicy uciekli do drugiej krypty. Hendon Tolly powiódł za nimi rozwścieczonym spojrzeniem, lecz recytował dalej, coraz głośniej, i wydawało się, że już nie ma odwagi przerwać:

*Dajcie mi oczy Tego, Który Się Wpatruje!  
Dajcie mi kości Tego, Który Buduje!  
Dajcie mi serce Tego, Który Rządy Sprawuje!  
Dajcie mi mądrość Tego, Który Wszystko Opisuje!  
I dajcie mi Tę, Która Jako Najpiękniejsza zostanie moją kobietą...!*

Teraz i Tinwright poczuł coś więcej niż tylko niepokój starożytnych królów obudzonych z powleczonego pleśnią snu. Znajoma straszliwa obecność czyhała tuż za skrajem pola widzenia poety, tuż na granicy jego czucia i słuchu, ta sama, która czaiła się w lustrze. Była bliżej niż kiedykolwiek; czuł, jak przygważdża go swoją uwagą, jakby był owadem rozłożonym na blacie stołu. Była prastara i silna, interesowała się myślami i odczuciami śmiertelnika Tinwrighta równie mało, jak jego obchodziły nadzieje i troski kamienia. Zbliżała się...

*Pokłoń się przede mną! Nie boję się ciebie. Pożarłem twoje wnętrzności i ukradłem twoją odwagę!*

Powiedział Tolly głosem tak wysokim, że mógł zdradzać przerażenie albo egzaltację – lub też groteskową kombinację jednego i drugiego.

*Rozkazuję ciemności, by cię nie kryła!  
Rozkazuję światłu odszukać cię i ukazać!  
Całe niebiosa są moim zakładnikiem, a bogowie moimi niewolnikami! Nadeszła moja godzina!*

Tinwright wodził bezradnie spojrzeniem od białej szyi niemowlectwa do twarzy Hendona Tolly'ego, czerwonej, z wybałuszonymi oczami jak u tkniętego apopleksją szaleńca. Stojąca nieopodal Elan M'Cory zwiotczała w omdleniu podtrzymywana przez przerażonych strażników.

– Teraz! – wrzasnął Tolly. – Teraz, ty nędzniku, podnieś nóż, kiedy będę wypowiadał ostatnie słowa! A potem utocz krwi i obmyj nią lustro!

Ramię Matta Tinwrighta podniosło się, jakby już nie było częścią jego ciała, i zawisło nad niespokojnym niemowlęciem. Płomienie pochodni miotały się we wszystkie strony. Na ścianach tańczyły cienie. Dochodzące zewsząd skrobanie przeszło w głośne krzyki i odgłos kroków – czyżby zmarli powstawali z grobów?

Nie potrafił zmusić ramienia do ruchu. Wiedział, że Tolly go zabije, jeśli tego nie zrobi, ale po prostu nie potrafił skrzywdzić niemowlęcia. Proszę, wszyscy bogowie, pomóżcie mi!

Tinwright poczuł tak silny cios, że w pierwszej chwili pomyślał, iż to Tolly uderzył go ciężką księgą czarów. Zatoczył się do tyłu, a nóż wysunął się z jego bezwładnej ręki i upadł na podłogę.

Wpatrywał się przerażony w drżącą strzałę, która utkwiała w jego piersi, tak blisko twarzy, że to pióra odpowiedziały mu, czym został ugodzony. Poczul ciepłą krew płynącą po brzuchu i wsiąkającą w śmierdzące ubranie. A potem świat Matta Tinwrighta zawirował i pograżył się w ciemności.



## Krew boga

*Zanim dotarł do Tessideme w towarzystwie gromady zwierząt i ptaków, także dębowe liście zdążyły się spalić i płaczący Sierota niósł płomień słońca w gołych rękach.*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Zielona Sójka, przywódczyni plemienia Oszustów, wydostała się na kamienną posadzkę bez wdzięku, z jakim zwykle się poruszała. Jej oczy pałały gniewem.

– Sto jardów pod nami schody są pełne żołnierzy z południa. Autarcha skradł sztukę drowów, trzeba będzie okupić krwią każdy zdobyty jard drogi. Nie dogonimy go w ten sposób. Niech wiatr pożre jego imię i ślady jego stóp.

– Nie daję nam wyboru – powiedziała Saqri do Barricka. – Chodź, ludzkie dziecko, liny są już pewnie gotowe. Nie ma innej drogi na dół. Szybko!

Barrick podążył za Saqri przez Labirynt, którego korytarze pełne były gruzu i ciał ludzi oraz Funderlingów. Żołnierze królowej przygotowali liny, po których jej wojsko mogło szybko opuścić się na dno pieczary przy Morzu w Głębiach; ci, którzy byli zbyt ciężcy albo z powodu budowy ciała nie nadawali się do zsuwania po linie, mieli zejść wąskimi szlakami wijącymi się w głębi skalistego klifu.

Aesi'uah czekała z końcami kilku lin w ręku, jakby trzymała pęk bazi.

– Większość południowców już wyszła z tuneli na wyspę – oznajmiła.

Barrick, który nie widział tak dobrze jak Saqri, zmrużył oczy, próbując zobaczyć ciemne postacie na wyspie na środku srebrzystego morza. Dalej widniała sylwetka ogromnego Lśniącego Człowieka.

– Niektórzy ludzie autarchy budują łodzie – powiedziała Saqri. – Przynieśli ze sobą potrzebne materiały – dodała i zmarszczyła brwi. Barrick się zdziwił, widząc ten drobny przejaw emocji na jej gładkiej twarzy. – Nie doceniliśmy go, nawet Yasammez źle go oceniła. Sulepis zna teren, jakby wcześniej sam przychodził tu na zwiady.

– Ale po co mu łodzie? – zapytał Barrick. – Przecież już jest na wyspie razem z żołnierzami.

– Bo wie, że skoro kontrolują tunele, którymi przyszli, może spodziewać się naszego ataku z tej strony Morza w Głębi. Zamierza posłać wojska na drugą stronę, by nas zatrzymać. – Saqri wykonała gest „nieświadoma ślepoty”. – Nie ma co tracić czasu na gadanie. Chwytaj za linę, Barricku Eddonie! Z każdym uderzeniem serca zbliżamy się do katastrofy.

A ta katastrofa, książę zdał sobie sprawę, nie będzie miała nic wspólnego z Długą Porażką, na którą Saqri i jej ziomkowie czekali przez wieki, tak jak kochanek oczekuje powrotu ukochanej. Ten koniec będzie zupełnie inny: mroczny, dziki, bezsensowny.

Liny trzeszczały, lecz wytrzymały mimo swojej zdumiewającej cienkości. Co jakiś czas stopa Barricka się obsuwała, a wtedy jego ciało odskakiwało, kręcąc się, od ściany klifu. W tych niebezpiecznych, przyprawiających o zawrót głowy momentach widział łodzie odbijające od brzegu wyspy i wypływające na to dziwne metaliczne morze. A w każdej, jak wiedział, siedzieli żołnierze z południa, gotowi zamalować własny strach – pewnie ogromny w tym niesamowitym miejscu – krwią tyłu Qarów i Funderlingów, ilu tylko zdołają zabić.

Książę spojrział w górę na szczyt klifu, gdzie Ferras Vansen wraz z Funderlingami kończyli przygotowywać własne, bardziej bezpieczne konstrukcje linowe, by dołączyć na dole do Qarów i Barricka i wziąć udział, nie mógł oprzeć się tej myśli, w widowiskowym samobójstwie.

– Pozdrówcie Wielkie Głębie! – zawołał do Vansena, a jego głos odbił się echem od ścian pieczary.

Kapitan zasalutował w odpowiedzi.

Barrick czuł się zaskoczony swoim zachowaniem. Dlaczego to zrobił? Nie było osoby bardziej ludzkiej niż Vansen z jego niezłomną dobrą wolą i ślepym oddaniem i nie było osoby mniej ludzkiej niż ta,

którą stał się Barrick Eddon, z sercem i myślami pełnymi tłącego się Ognistego Kwiatu. Dlaczego nadal obchodzili go śmiertelnicy i ich sprawy?

\*\*\*

Pinimmon Vash widział już wiele dziwnych miejsc, od tajemniczych wodnych lochów pod Sadowym Pałacem po cieszące się złą sławą krypty mihańskich Niebieskich Królów czy choćby rodzinny grobowiec autarchy, legendarne Orle Gniazdo Bishakh, które malowało się na tle nieba, jakby wyrastało ze skały góry Gowkha... ale jeszcze nigdy nic widział czegoś takiego.

Sama pieczara... no cóż, śmieszne się wydawało nazywanie tej przestrzeni pieczarą. Ta ogromna komnata głęboko pod ziemią zdawała się dorównywać rozmiarami – w mniemaniu Vasha – jednej czwartej całego Sadowego Pałacu razem z przyległymi terenami. Żyły słabo świecącego kamienia i lśniące krystaliczne guzy nadawały jej wygląd jakiegoś niebiańskiego modelu zbudowanego po to, by uświetnić stół boga, lecz pośrodku, niemal dokładnie nad głową Vasha, rozciągała się tylko ciemność. Jeśli ta ogromna pieczara miała sklepienie, to znajdowało się ono o wiele wyżej, niż sięgało słabe światło pochodni. Vash miał wrażenie, że spogląda w górę z dna bardzo głębokiej studni.

Razem z resztą armii stał na wyspie Morza w Głębiach, ale to Lśniący Człowiek – wyrzucenie matowego kamienia o ludzkiej postaci na środku wyspy – zdumiewał i napawał Vasha niepokojem. Nic był to posąg. Nie wyrzeźbiły go ręce człowieka na podobieństwo prawdziwej istoty. Wyglądał bardziej prymitywnie, jakby ktoś wlał roztopione kamienie szlachetne w odcisnięty kontur postaci upadającej w błoto głową do przodu. Ale i to nie był trafny opis. Mimo że w tej chwili kamień migotał tylko odbitym i załamany światłem samej pieczary, Vash dostrzegł przez chwilę silniejsze jarzenie w głębi, jakby patrzył przez przydymione szkło na dopalającą się świecę, i poczuł, jak jeżą mu się włoski na ramionach i karku. Pierwszy minister nie chciał tego oglądać, nie chciał czuć tego pulsowania podobnego do bicia ogromnego chorego serca.

Dookoła niego na kamiennej wysepce uwijali się żołnierze, którzy bardzo się starali ignorować złowieszcze otoczenie, kończąc związywać trzciny łodzie. Vash zauważył, że on i polmarcha dobrze obliczyli, ile wiązek trzciny trzeba będzie znieść na dół, i odetchnął z ulgą, lecz tylko na chwilę, bo zaraz uzmysłowił sobie, jakie to głupie: nie miało żadnego znaczenia to, że Vash dobrze wykonał swój obowiązek, ani nawet że autarcha mógł dobrze ocenić jego umiejętności planowania. Za chwilę wszyscy mogą umrzeć albo autarcha zdobędzie moc niebios. Tak czy inaczej, już nic nie będzie takie samo.

– Gdzież to podziewa się mój zaufany pierwszy minister? – zawołał Złocisty.

Vash poczuł dreszcz.

– Tutaj jestem, o Wielki Namiocie. – Ruszył niepewnym krokiem po śliskich zaokrąglonych kamieniach do miejsca, w którym Sulepis, smukły i wysoki, stał w złocistej zbroi, stanowiąc wspaniały widok nawet w tym słabym pulsującym świetle. – Jak mogę ci służyć, panie?

– Czy łodzie są gotowe?

Vash wziął głęboki oddech, ukrywając frustrację. Łatwo było się zorientować, że wszystko jest przygotowane. Żołnierze stali w szeregu wzdłuż brzegu obok solidnych łodzi z powiązanych i ściągniętych mocno wiązek trzciny, tak by tworzyły dziób i rufę.

– Oczywiście, Złocisty – odrzekł.

Niezwykle trudnym zadaniem był transport takiej ilości rzecznej trzciny z Hierosolu organizowany w tak krótkim czasie; trzeba było utrzymać ją w suchości i zabezpieczyć przed pleśnią, bo przecież nie mieli pojęcia, czy będą w stanie znaleźć odpowiednie materiały na tym zapomnianym przez bogów północnym pustkowiu, a Złocisty źle znosił porażki swoich sług.

Sulepis zostanie bogiem, podczas gdy ja prawdopodobnie umrę i spocznę w prowizorycznym grobie w tej napawającej grozą dziurze, gdzie nie zostanie nawet jeden kapłan, by pomodlić się za mnie, pomyślał Vash. Ale oto są łodzie. Po raz kolejny zrobiłem to, co do mnie należy. Głośno powiedział:

– Łodzie gotowe. Czego jeszcze pragnie Złocisty?

– Więźniów, oczywiście. Wszystkich.

Vash zamrugał.

– Wszystkich?

Sulepis wpatrywał się w Vasha, jakby patrzył na niego z dużej wysokości, jakby sam był Lśniącym Człowiekiem.

– Tak. Króla, dziewczynę z Ula i tutejsze dzieci. Czy to ci odpowiada, ministrze? A może mam poprosić kogoś innego, kto nie ma nic lepszego do roboty?

Vash poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Wybacz mi, Złocisty, głupiec ze mnie. Nie zrozumiałem. Oczywiście, że zaraz wszyscy zostaną przyprowadzeni. Kapłani Panhyssira prowadzą dzieci, a pozostali są już tutaj. – Pokazał na niewielką grupę żołnierzy wychodzącą z tunelu, którym dostali się pod dnem morza na wyspę, wiodących króla Olina i dziewczynę z rękami skrepowanymi za plecami. Cały pochód prowadził kapłan A'lat, idąc tyłem z miseczkami w dłoniach, okadzając więźniów wonnych dymem. Kiedy wreszcie się odwrócił, Vash poczuł ucisk w żołądku na widok maski pustynnego kapłana, która najwyraźniej zrobiona była z ludzkiej skóry.

– Dobrze, dobrze. – Sulepis zdjął złote paluchy i rzucił na dywan. – Muszę to poczuć przez własną skórę. Spójrz, Vash. – Wyciągnął długie ramię, pokazując pieczarę, Lśniącego Człowieka i być może inne rzeczy, które tylko on widział. – Zapamiętaj wszystko zapachy, dźwięki, widoki – bo nim minie godzina, świat zmieni się bezpowrotnie.

– Oczywiście, Złocisty. Oczywiście. – Vash nie mógł się doczekać, kiedy skończy się ten ohydny koszmar, by mógł dostosować się do tego, co nastąpi, jeśli to w ogóle będzie możliwe. – Nie powiedziałeś, jak jeszcze mogę ci pomóc w tym... rytuale. Potrzebujesz ołtarza?

– Ołtarza? – Sulepis wydawał się rozbawiony. – Nie rozumiesz, Vash? Całe to miejsce jest ołtarzem, bo tu zatrzęśły się kiedyś niebiosa, co nastąpi i teraz! – Autarcha powiedział to tak głośno, że żołnierze i urzędnicy uwijający się na wyspie zastygli w bezruchu, przerażeni, ponieważ sądzili, że władca się rozgniewał. – Nie, moim ołtarzem jest sama ziemia, to srebrzyste morze i blizna, którą Habbili zostawił, pieczętując wejście do tego świata swoim umierającym duchem. – Autarcha wskazał Lśniącego Człowieka, który wznosił się nad nimi

niczym iglica ogromnej świątyni. – Naprawdę nie wiesz, co to jest? Właśnie tutaj Habbili Szachraj otworzył świat, by wypędzić bogów! A potem, sam śmiertelnie ranny, zamknął otwór własnym ciałem, by ich uwięzić – i tak już zostało. Ukrywa się w głębi ziemi od tysięcy lat, czczony przez prymitywnych ludzi, jakby był żywą istotą. – Sulepis nachylił się do Vasha, jakby zamierzał przekazać mu jakąś tajemnicę. – Lecz teraz jego rany wreszcie go zabiły. Poczuli to kapłani i prorocy. I powiedzieli mi o tym! Moc Habbilego już nie będzie zamykać rany świata. Każdy, kto posiada siłę lub wiedzę, może sięgnąć poprzez ogromną przepaść albo... w głąb. – Autarcha się wyprostował, a Vash wpatrywał się w niego, jakby obserwował nadciągającą burzę. – A zatem przyprowadź dzieci! Niech ich krew otworzy drzwi, a bogowie mają się na baczności! Bo oto Sulepis zostanie władcą nawet nieśmiertelnych!

\*\*\*

Barrick zeskoczył na kamienną posadzkę i zobaczył Yasammez, która stała nieopodal, wpatrzona w widniejący w oddali zarys Lśniącego Człowieka. Choć raz była sama, spowita w czarny płaszcz, oczy miała na wpół przymknięte, spokojna i nieobecna jak kot wygrzewający się na słońcu. Miała potargane włosy, które podczas schodzenia wysunęły się z misternych węzłów.

– *Pani Płaczu* – wyszeptały głosy w jego głowie przepelnione jakby zabobonnym strachem. – *Bicz. Wygnaniec Wędrującego Wiatru.*

Barrick podszedł do niej, ale nie przyklęknął ani nie skłonił głowy.

– Pani, nie będziesz walczyć razem z nami? To ostatni dzień, ostatnia godzina, chwila, w której piszemy ostatnią stronę *Księgi skruchy*.

Powoli skierowała ku niemu spojrzenie.

– Ta strona została już dawno napisana, zanim twój rodzaj pojawił się na tym świecie.

Poczuł się zraniony, ale nie dał się sprowokować.

– Należę też do twojego rodzaju, pani Yasammez, czy nam się to podoba, czy nie... a ty jesteś naszą największą wojowniczką. Jeśli nie teraz, to kiedy staniesz do walki? Kiedy twój trupem? – Przez

chwilę zgiełk głosów Ognistego Kwiatu, zszokowanych jego brakiem szacunku, wzbudził w nim gniew. – Czy to rodzaj samozniszczenia, pani? Zamierzasz czekać, aż nie ostanie się nikt, kto mógłby zobaczyć twój koniec, by w ten sposób oszczędzić sobie wstydu porażki?

– Wstydu porażki? – Gniewnym ruchem Yasammez odrzuciła poję płaszcz, odsłaniając czarną zbroję i obnażony miecz Biały Płomień, na którym opierała się jak na lasce; błysk klingi pomknął ku jego oku niczym zygzak błyskawicy. – Ludzkie dziecko, to ja jestem wcieloną porażką moich ludzi. Żyję ze świadomością własnej śmierci od czasów, gdy twoi pobratymcy ogryzali w lesie kości. Nie przeżyję tego dnia, wiem o tym, ale nie pozwolę, by ktoś taki jak ty kwestionował moje intencje. Odejdź, dziecko skradzionego dziedzictwa, i zrób, co potrafisz, z resztą własnego życia.

Czarny całun płaszcz i mroczne migotanie zbroi okalały jej bladą zaciętą twarz niczym burzowa chmura księżyc. Przez chwilę Barrick dostrzegł w jej oczach rzeczy, których wcześniej nie widział, czy też może które w tym dziwnym miejscu i czasie śnił, i ku swemu zdumieniu, poczuł, że po jego policzku spływa łza.

– Jeśli cię zraniłem, pani, proszę o wybaczenie. – Skłonił głowę i odszedł.

\*\*\*

Saqri czekała na niego; miała włosy w nieładzie, gdyż wysunęły się spod diademu i powiewały na dziwnym wietrze w głębiach niczym nici czarnej pajęczyny.

– Oto ten, który nosi Ognisty Kwiat – powiedziała, a zebrani wokół niej Qarowie odwrócili się, by spojrzeć na Barricka. – Teraz jesteśmy już wszyscy. – Popatrzyła na księcia, a potem na oddaloną Yasammez, która wciąż stała u podstawy klifu. – Powiedziała ci coś?

– Tak, kilka słów. – Włożył hełm. – Prowadź nas, Saqri. Chcę poczuć zapach krwi. To pozwoli mi przestać myśleć.

Nieoczekiwanie królowa się roześmiała.

– A zatem ruszajmy! – zawołała do pozostałych Qarów, którzy uderzyli o tarcze mieczami i włóczniami albo odchyliłi głowy i wydali

okrzyk, kierując spojrzenia w górę pieczary ku niewidocznemu księżycowi, który mieli we krwi, tak jak Barrick nosił we krwi Ognisty Kwiat. – Nadeszła godzina! Umiera ostatni ze starych dni! Pokażmy temu aroganckiemu śmiertelnikowi, jak Ludzie tańczą w noc letniego przesilenia.

Qarowie popędzili z okrzykiem na ustach ku południowcom, którzy wysiadali z łodzi na bliższym brzegu, liczni jak mrówki w mrowisku. Południowcy już napinali łuki, czekając, aż Qarowie znajdą się w zasięgu ich strzał.

– Noc letniego przesilenia! – zawołał Barrick, a głosy w jego głowie zapłakały i krzyknęły w uniesieniu.

\*\*\*

Ferras Vansen brał udział w niejednej strasznej i zażartej bitwie. U boku swojego mistrza Donala Murroya stawiał czoło bandytom i rebeliantom. Przeprowadzając zwiad, potrafił przesiedzieć ukryty na drzewie pół dnia, świadomy, że najmniejszy ruch czy hałas może spowodować na niego śmierć, ponieważ oddział najemników obozuje niemal pod nim. Kiedyś rozbroił ogarniętego szaleńcem żołnierza, który zabił własną żonę i czwórkę dzieci, mocował się z nim w kałuży krwi jego rodziny. Walczył z Qarami na polach bitew dziwnych jak koszmary – lecz nic nie przygotowało go na tę ostateczną śmiertelną rozgrywkę tutaj, głęboko pod Zamkiem Marchii Południowej.

Zanim Vansen i zdolni do walki Funderlingowie zdołali zejść z klifu, Qarowie, prowadzeni przez milczącą królową, już zaatakowali pierwsze szeregi żołnierzy autarchy, którzy wysiedli na brzeg. Vansen nie widział dobrze, jak rozwija się sytuacja, ponieważ światło w ogromnej pieczarze migotało i błyskało, pulsując kolorami, które z trudem rozpoznawał, w głębiach ze Lśniącym Człowiekiem, podobnie jak rozgrzane węgle świecą czerwonym żarem.

– Pospieszcie się! – zawołał Vansen. – Bo inaczej czarodziejscy sprzątną nam wszystkich południowców sprzed nosa!

– Ha! – Malachit Miedziak dyszał ciężko u jego boku. – Wiedziałem, że Starzy są niesamowici, ale nie sądziłem, że są tacy



zaborczy! – Miedziak został ranny w nogę jeszcze w Sali Inicjacji, lecz teraz kuśtykał dzielnie, starając się dotrzymać kroku pozostałym. Zaklął siarczyście, kiedy Vansen zasugerował, żeby został i dał sobie opatrzyć ranę. – No cóż, kapitanie, będziemy musieli zadowolić się tym, co nam zostawia.

Vansen się obejrzał. Podążający za nimi Funderlingowie patrzyli przed siebie szeroko otwartymi oczami, lecz nie było w nich strachu, raczej wybiegali spojrzeniem poza chwilę obecną, może nawet za swe krótkie śmiertelne życie. Mimo małego wzrostu – niewielu sięgało Vansenowi do piersi – mimo ciężaru zbroi i broni maszerowali dziarsko, by za nim nadążyć, jakby po wszystkich cierpieniach, jakich doznali, wciąż chcieli pokazać, na co ich stać.

– Jaspis Młot byłby z was dumny! – zawołał kapitan. – Patrzy na was!

– Nie zawiedźcie swojego dowódcy, chłopcy! – wysapał Malachit Miedziak i zachwiał się lekko, ogarnięty zmęczeniem. Znaleźli się już blisko walczących, w świetle mroku z pojawiającymi się i znikającymi postaciami zwartymi w śmiertelnych zmaganiach kamienie nad ich głowami to rozjarzały się, to gasły i znowu rozjarzały, by za chwilę przygasnąć.

– Na nich! – Vansen poczuł, że jego serce bije z dziwnym ożywieniem, pomimo wszystkiego, co stracił, wszystkiego, czego nigdy nie miał. – Na nich, dzielni żołnierze!

\*\*\*

Pędzik dotarł do stajni w ruinach Wieży Wilczego Kła i zobaczył ze zdumieniem, że czeka tam na niego sama królowa Dachowców. Jego ulubiony wierzchowiec, Burogniada, został już osiodłany i niecierpliwie drapał łapkami – wspaniała silna samica trzepomyszy, ciemna jak słodkie piwo i prawie tak duża jak gołąb – cała uwaga Pędzika była jednak skierowana na jego panią.

– Wasza Wysokość. – Skłonił głowę najniżej, jak potrafił. – Czynisz nam zbyt gruby zaszczyt.

– Bzdura. – Upsteplebat uśmiechnęła się. – Jesteś moim najlepszym zwiadowcą, Pędziku. Ale nie traćmy czasu na rozmowy. Skoro Funderling Rogowiec Lideryt mówi, że trzeba się spieszyć, to musisz lecieć w głąbię odnaleźć tego Cynobra. Jesteś gotowy?

– Jak najbardziej, pani – odrzekł. – Włożyłem nieprzemakalne okrycie, niektóre ścieżki prowadzą przez ściany wody wysokie jak drzwi zamkowe!

– Chciałabym móc to zobaczyć, tak jak ty, dzielny Pędziku.

– Jeśli... wszystko pójdzie dobrze, to może Wasza Wysokość uczyni mi ten zaszczyt i pozwoli być swoim przewodnikiem – powiedział. – Wiem, że mój przyjaciel Rogowiec i jego ziomkowie byliby dumni, mogąc ci pokazać wielkie pieczary.

Piękne oblicze królowej spoważniało.

– A ja chętnie na to przystanę. A zatem trzymam cię za słowo. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, pokażesz mi miejsca, które widziałeś, dzielny zwiadowco.

Pędzik czuł, że zaraz zaśpiewa z radości.

– Jesteś zbyt łaskawa, Wasza Wyborna Wysokość. – Skończył wiązać nieprzemakalny płaszcz, tak by ściśle przylegał do ciała, ponieważ wiedział, że w tamtych ciasnych i ciemnych miejscach poły nie powinny powiewać, po czym skierował się do Burogniadej, która przycupnęła ze złożonymi skrzydłami i wpatrywała się w Dachowca zmaconym spojrzeniem niczym dziecko obudzone zbyt wcześnie z drzemki. Pędzik wspiał się na porośnięty futrem grzbiet i czekał cierpliwie, aż stajenni przywiążą go do siodła i podadzą pierścienie wodzy.

– Ach! Nie zapomnij miecza, Pędziku – odezwała się niespodziewanie królowa.

– Miecza? – Dachowiec pokręcił głową. – Obawiam się, że pomyliłaś mnie z kimś, Wasza wysokość. Ja nigdy...

– Aż do dzisiaj. Dowiodłeś, że jesteś nie tylko dzielnym Ryniennym Zwiadowcą, ale też paladynem królowej. Ktoś taki według tradycji otrzymuje... miecz. – Królowa klasnęła i zaraz pojawił się mały paż z mieczem, który wydawał się zrobiony z klejnotów, co w pewnym sensie było prawdą. Srebrna klinga była smukła jak wąs kota i ostrzejsza niż

zakrzywione żądło pszczoły, a rękojeść owinięta złotą nicią. – To igła samej królowej Sanasu, którą upuściła w dawnych czasach. Przyjmij ją, Pędziku. Przysłuż się dobrze swojemu przyjacielowi Rogowcowi, a i nam się przysłużysz.

Pędzik wiedział, że jeśli coś powie, to palnie jakieś głupstwo, dlatego pochylił się nisko i przyjął miecz z delikatnych rąk królowej, po czym wsunął go za ramię na ramieniu, tak by rękojeść znalazła się blisko głowy, a ostry koniec nie przeszkadzał trzepomyszy.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. – Dał znak stajennym, którzy rozwiązali pęta nietoperza i odsunęli się szybko, by uniknąć potrącenia. Duże wierzchowce były dość kapryśne, kiedy nie pozwalano im latać nocą, a słońce zaszło już dość dawno temu. Wyczuwszy wolność, Burogniada wyskoczyła przez łukowate okno dzwonnicy i pomknęła w nocne niebo.

Pędzik spał wierzchowca piętami; nietoperz zamachał skrzydłami i skręcił łagodnie w stronę muru twierdzy wewnętrznej, a potem przeleciał nad nim, mknąc z łagodnym świstem przez nieruchome powietrze. Zwiadowca jeszcze raz ścisnął piętami boki nietoperza i ściągnął trochę wodze. Burogniada wzniosła się wysoko i przechyliła na skrzydło, tak że przez chwilę wydawało się, że nawet księżyc jest pod nimi, a potem zaczęła opadać jak kamień i rozłożyła skrzydła dopiero wtedy, gdy ziemia znalazła się tak blisko, że Pędzik wstrzymał oddech.

Chwilę później przelecieli przez bramę Miasta Funderlingów i mknęli pod rzeźbionym sklepieniem, które wydawało się ożywione jak odwrócony do góry nogami świat. Pędzik znał tylko jedną drogę do Labiryntu, długą i niebezpieczną, którą pokazał mu Rogowiec. Mógł więc jedynie pomodlić się do Pana Szczytu, by zdążył na czas.

\*\*\*

Ferras Vansen czuł się, jakby cały był okiem, jakby nie miał już ścięgien i kości, a jedynie narząd wzroku. Nawet odgłosy walki stały się tak jednostajne, że zlały się niemal w ciszę; twarze przepływały przed nimi niczym duchy we śnie, rozgniewane, przestraszone, niekiedy znajome, lecz on nie miał czasu na zwyczajne myśli. Znalazł się w

środku zawieruchy śmierci i strzepy jego przytomnych refleksji nie wykraczały poza możliwość przetrwania.

Południowcy po drugiej stronie Morza w Głębi ustawili w szeregu łuczników i kiedy pierwsze ich łodzie dotarły do brzegu, gdzie ruszyli ku nim Funderlingowie z Ferrasem Vansenem na czele i Qarowie, w powietrzu świsnęły strzały prawie niewidoczne w pulsującym świetle. Funderling biegnący tuż przed Vansenem padł z drzewcem strzały wystającym z szyi, inny przewrócił się, gdy strzała utkwiała w jego udzie. Pierwszy zginął od razu. Vansen opadł na kamienne podłoże obok drugiego i wyciągnął strzałę z jego nogi najostrożniej, jak potrafił, po czym obwiązał kończynę pasem, by zatrzymać krwawienie, i zaraz dołączył do atakujących.

Mając dłuższe nogi, dogonił awangardę w chwili, gdy znalazła się przy pierwszej fali jeszcze niezorganizowanych wrogów, spośród których wielu dopiero wysiadało z łodzi, starając się zbytnio nie zamoczyć w dziwnej srebrzystej cieczy wypełniającej podziemne morze. Niektórzy przypominali dzieci umykające przed falami, kiedy tak wyskakiwali z kołyszących się łodzi na kamienną plażę. Ich widok podsunął Vansenowi pewną myśl.

– Zepchnijcie ich do morza! – zawołał. – Boją się go! – W tej samej chwili przyszło mu do głowy, że Funderlingowie też mogą się tego obawiać. Czyż morze nie było sercem ich religijnych tajemnic?

Wydawało się, że południowi żołnierze są nieprzebrani, jakby autarcha miał magiczny worek boga urodzaju Eriła i czerpał z niego za każdym razem, kiedy potrzebował wsparcia. Vansen, Malachit Miedziak i kilku innych Funderlingów wbili się w grupę piechurów; każdy z południowców uzbrojony był w dwie włócznie i niedużą tarczę z metalu i skóry tylko trochę większą niż rękawica. Lekkozbrojni pustynni wojownicy byli szybkimi i trudnymi przeciwnikami dla Funderlingów, którym niski wzrost nie dawał przewagi. Jeden z małych wojowników zginął ugodzony włócznią, zanim jeszcze grupy się starły. Kilka chwil później na przeciwległym brzegu Morza w Głębi błysnął ogień, a zaraz potem pocisk uderzył w skaliste podłoże w pobliżu Malachita Miedziaka, wyrzucając fontannę pokruszonego kamienia. Dwóch Funderlingów, pokiereszowanych i zakrwawionych, zostało

wyrzuconych w powietrze, sam Miedziak szczęśliwie odniósł tylko kilka nowych ran od kamiennych odłamków.

Funderlingowie walczyli już od wielu godzin, najpierw w Sali Inicjacji, teraz tutaj, w migotliwym półmroku. Vansen był wyczerpany, wiedział, że jego żołnierze są równie zmęczeni. Większość południowców nie brała udziału w walce o Salę Inicjacji. Nie dość, że mieli więcej sił, to było ich trzy razy więcej.

Jeśli czegoś nie wymyślimy, będzie po nas, pomyślał zdesperowany Vansen, cofając się przed uśmiechniętym południowcem, którego twarz pokrywały ciemne tatuaże i który posługiwał się włóczniami z taką wprawą, że Vansenowi się wydawało, iż walczy z dwoma przeciwnikami naraz. Kapitan chciał mieć pewność, że za nim nie ma nikogo, by skupić się na zręcznym wrogu, tak więc odsunął się od Miedziaka i pozostałych, szukając otwartej przestrzeni. Nie ma znaczenia, że to ostatnie godziny przesilenia letniego, bo autarcha i tak już pewnie jest na wyspie i rozpoczął to, co zamierzał. Myśl ta oładnęła jego ciałem niczym trucizna, rozpraszając go na chwilę, przez co półnagi żołnierz omal nie ugodził go w brzuch. Szybko zasłonił się tarczą i znowu cofnął trochę.

Vansen zorientował się, że jest spychany zbyt daleko od swoich towarzyszy: nawet jeśli pokona tego przeciwnika, będzie mu trudno wrócić między swoich, gdzie byłby względnie bezpieczny. Napastnik znowu zaatakował, czy raczej tylko zamarkował atak, i dopiero chwilę później zamachnął się krótką włócznią, próbując uderzyć Vansena w hełm albo zsunąć mu go na oczy, lecz Vansen zdołał odbić włócznię krawędzią tarczy i zaraz się cofnął, by uniknąć drugiego, o wiele bardziej niebezpiecznego pchnięcia.

Wytatuowany wojownik zaśmiał się przenikliwie i nieprzyjemnie. Może był pijany albo zamroczony narkotykiem. Opowiadano, że xiscy kapłani poili żołnierzy różnymi miksturami, żeby dodać im odwagi. Niektórych to przerażało, lecz Vansen poczuł gniew. Czy on jest jakimś chłopkiem, żeby broniąc własnego domu, bać się chichoczącego dzikusa z obcego kraju?

Strzała przemknęła tuż obok nich i Vansen wykorzystał chwilę nieuwagi wroga; skoczył do przodu i uderzył tamtego tarczą w twarz, po

czym zaraz skreślił tułów, by uniknąć pchnięcia włócznią. Przeciwnik zaatakował jak wąż, lecz kapitan wciągnął brzuch i przeniósł ciężar ciała na tarczę, zmuszając południowca do odchylenia się w tył, tak że ten z trudem utrzymywał równowagę, rozrzucając szeroko ramiona. Vansen nogą podbił stopę przeciwnika, a potem uderzył go kolaniem w krocze, przygniatając swoim ciałem i pozostając w zasięgu jego włóczni. Tamten mógł jedynie starać się nie upaść pod jego ciężarem, dlatego Vansen puścił tarczę i sięgnął po sztylet. Zanim południowiec go odepchnął, kapitan zdążył zadać mu dwa ciosy nożem w brzuch. Mężczyzna otworzył szeroko usta do krzyku, lecz Vansen wpychał dalej ostrze w jego ciało, aż tamten bluznął krwią.

Kapitan dźwignął się na nogi, podczas gdy południowiec leżał na ziemi, drapiąc ją paznokciami, jakby chciał się dostać w jakieś bezpieczne miejsce. Vansen postawił stopę na jego głowie i nacisnął mocno, aż usłyszał chrzęst złamanej szczęki. Potem się wyprostował i rozejrzał.

Oddział Lampartów autarchy zajął stanowisko na drugim brzegu srebrzystego morza i zaczął strzelać z długich strzelb, a każdemu strzałowi towarzyszył obłoczek dymu, tak więc niebawem się wydawało, że nad Lampartami gromadzą się burzowe chmury. Pociski nadlatywały zbyt szybko, by dało się je zobaczyć, i trafiały celnie: prawie każdy kładł Funderlinga albo Qara. Vansen zobaczył nawet, jak jeden z nielicznych już ettinów pada z odstrzeloną połową głowy. Gdyby autarcha miał więcej Lampartów albo gdyby zdołali oni szybciej ładować strzelby, bitwa prędko dobiegłaby końca. Strzelające Lamparty nie pozwalały Funderlingom i Qarom zająć południowców z flanki, tak więc sprzymierzeńcy zmuszeni byli bezpośrednio stawić czoło siłom autarchy.

Vansen miał już pewien pomysł, jak uratować tę beznadziejną sytuację, gdy nadbiegł Barrick Eddon, z twarzą brudną od krwi sączącej się z niewielkiej rany, z hełmem w rękę i rozwianymi rudymi włosami, tak że w pierwszej chwili w oczach Vansena przypominał jakąś nadnaturalną istotę, uzbrojonego demona z głową w płomieniach. Kapitan wciąż nie mógł się nadziwić, jak bardzo chłopak urósł, jak wydorósł w ciągu jednej pory roku.

– Znaleźliśmy się w pułapce, kapitanie, to koniec! – zawołał Barrick. Strzały świstały tuż obok, lecz księżę nie zwracał na nie uwagi.

– Jeśli tu zostaniemy, to po nas!

– Ale co innego możemy zrobić, Wasza Wysokość?

Z ust Barricka dobył się dziki, zgrzytliwy śmiech.

– Widziałem, jak spoglądasz na łodzie, Vansen. Też o tym pomyślałeś! Chodź. Saqri i inni utrzymają jeszcze środek sił autarchy i odwrócą ich uwagę. Powiedziała, że zaraz odegra swoją scenę!

Vansen nie miał pojęcia, o co chodziło Barrickowi z tą sceną, ale księżę miał rację: pomyśleli o tym samym. Nie byli w stanie przebić się przez wojska południowców, polegając tylko na swojej sile, lecz gdyby ktoś dotarł do autarchy i poczęstował go mieczem albo strzałą, może dałoby się jeszcze uratować ten dzień.

– Która, Wasza Wysokość? Ta na samym końcu? – Vansen wiedział, że muszą pozostać jak najdalej od centrum walki. Gdyby łucznicy wroga zauważyli, że płyną bez osłony, nigdy nie dotarliby do drugiego brzegu. – Idę, ale na miłość bogów, włóż hełm!

Pobiegli opadającym brzegiem, przystając co jakiś czas. Byli zmęczeni, przynajmniej Vansen. Ze zdumieniem stwierdził, że Barrick Eddon nie tylko jest wyższy, lecz także nabrał siły, a jego ruchy stały się pełne gracji. Co więcej, wydawało się, że posługuje się swobodnie ramieniem, które, jak Vansen wiedział, było niesprawne. Co się stało z tamtym naburmuszonym dzieciakiem o czerwonej twarzy sprzed kilku miesięcy, kiedy to Vansen wpadł w ciemność Głębi?

Pochylił głowę jak najniżej, gdy grad strzał przeleciał nad nimi, a ich świst niemal zagłuszał harmider głosów i strzałów. Wtedy przyszła mu do głowy nieoczekiwana myśl. Pomimo szalejącego dookoła niebezpieczeństwa Barrick Eddon żył i wrócił do Zamku Marchii Południowej. Co oznaczało, że Ferras Vansen nie zawiódł siostry Barricka, księżniczki Briony. Może i nie przyprowadził osobiście księcia do zamku, ale pomógł zachować go przy życiu. Jeśli teraz przeżyje, co wydawało się mało prawdopodobne, może księżniczka przestanie odnosić się do niego z pogardą.

Nagle poczuł się lekki, jak to opisują poeci, lekki jak piórko uniesione dmuchnięciem ust. Nie zawiódł jej, mimo że tyle razy był o

tym święcie przekonany. Bez względu na to, jak niewiele znaczyły dla Briony Eddon przekleństwa i pogardliwe słowa pod jego adresem, dla Ferrasa Vansena znaczyły ogromnie dużo, przygniatały go jak wielki ciężar. Teraz się go pozbył.

– Pospiesz się – zawołał Barrick. – Saqri zaczęła!

Usłyszeli dźwięk dobiegający z tyłu, dziwne i piękne zawrodozenie jak wycie wilka, który posiadał ludzką mowę. Królowa czarodziejskich ludzi wspięła się na plecy swoich żołnierzy, by zwrócić na siebie uwagę wroga, a jej miecz śmigał roziskrzony jak koliber w plamie światła. Jej głos wzniósł się nad zgiełk bitwy. Niemal wszystkie oczy zwróciły się ku niej. Długi, smukły miecz uderzał raz po raz. Płynęła między południowcami jak snujący się dym, oni zaś cofali się zdumieni. Saqri nie przestawała śpiewać.

Vansen skupił się znowu na własnej sytuacji. Dwóch xiskich żołnierzy, pilnujących ostatniej łodzi, biegło w ich kierunku. Uchylił się przed cięciem pierwszego, potknął się i przeturlał, lecz zaraz wstał, by stawić czoło napastnikowi, który zaatakował go ponownie. W tym samym momencie Barrick wykonał unik przed drugim południowcem, wyrwał mu z rąk strzelbę, gdy tamten opuszczał ją do strzału, po czym obrócił się na pięcie i uderzył wroga w tył głowy tak mocno, że szczeka tamtego wbiła się w pierś. Zanim południowiec się przewrócił, Barrick wykonał obrót i rzucił strzelbą w drugiego żołnierza, jakby to była włócznia. Broń uderzyła przeciwnika w głowę, on zaś upadł na ziemię, zakrwawiony i wstrząsany śmiertelnymi drgawkami. Vansen wpatrywał się w żołnierza, którego księżę powalił z taką łatwością, tymczasem Barrick pędził już do wyciągniętej na brzeg łodzi.

– Bogowie, jest wielka. – Naparł barkiem na dziób i zaczął spychać łódź na wodę. Trzcina zatrzeszczała, lecz łódź nawet nie drgnęła.

Vansen stanął obok niego i razem pchnęli, ale przypominało to przesuwanie kosza wielkości domu pełnego mokrej bielizny. Vansen pomyślał, że prędzej krew pójdzie mu z uszu, niż łódź drgnie choćby na palec.

Wreszcie łódź przesunęła się ze zgrzytem kilka cali po kamieniach. Vansen zacisnął zęby tak mocno, że wydawało mu się, iż się pokruszą, i naparł na kadłub z całych sił. Usłyszał, że Barrick mówi coś cicho do



siebie. Trzciniowa łódź zadrżała i zaczęła sunąć, coraz szybciej, aż wreszcie Vansen się potknął, nie nadążając za nią, i zorientował się, że stoi po kolana w srebrzystym morzu.

– Pchnij jeszcze trochę, żeby popłynęła – powiedział cicho Barrick.  
– Tylko trzymaj głowę nisko.

Vansen pchnął łódź, starając się nie chlapać. Zanurzył się już po pierś w srebrzystej cieczy. Była gęstsza niż woda, bardziej śliska, lśniąca i cięższa, ale nie tak jak metal. I niepokojąco ciepła.

– Zamoczyliśmy się! – wyszeptał zaniepokojony, gdyż substancja wydała mu się bardzo dziwna, kiedy dotknęła jego skóry, niemal... żywa.

Barrick wskoczył do łodzi, po czym obrócił się i podał rękę Vansenowi. Kapitan opadł na dno, dysząc ciężko. Przyglądał się, jak srebrzysta ciecz ścieka z niego, zsuwając się w szczeliny między wiązkami trzciny.

– Co to jest? Co wypełnia to jezioro?

Barrick także wyciągnął się na dnie łodzi i położył na boku przy burcie. Oczy miał półprzymknięte i nie patrzył na nic konkretnego, jakby widział przez trzciniową burzę, a może nawet przez kamienną ścianę pieczary.

– Pytasz, co jest w tym jeziorze, kapitanie? Szczątki mojego najstarszego przodka. – Uśmiechnął się, lecz jego uśmiech wywołał dreszcz u Vansena. – Brodziłeś we krwi boga.

## Gość w domu Śmierci

***Zanim Sierota dotarł do domu Aristasa, okruch słońca spalił mu dłonie na popiół. Przekazał kawałek słońca przyjacielowi i padł martwy u jego stóp.***

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Wszystko wydarzyło się niewiarygodnie szybko.

Briony, żołnierz i rycerz Stephanas szli cicho przez pagórkowaty świątynny dziedziniec, a przyświecał im tylko księżyc w trzech kwartach, którego blask był na tyle jasny, że Briony nie zauważyła słabszego światła, jarzenia na kamiennym występie nad wejściem do grobowca Eddonów, aż do momentu, gdy podeszli bardzo blisko.

Poczuła, jak wzbierają w niej zarazem strach i wściekłość. Co Tolly robi w ich rodzinnej krypcie?

Kiedy nakazała ciszę towarzyszom, z grobowca szybko wyszli po schodach dwaj żołnierze ubrani w ciemne płaszcze, którzy sprawiali wrażenie poruszonych i jakby skłóconych.

– Zmarli... – wydusił z siebie jeden z nich, szarpiąc się z kolegą; widać było, że z trudem mówi ze strachu. – On próbuje sprowadzić... – Przerażony żołnierz wreszcie uwolnił się z uchwytu towarzysza, który próbował go uspokoić, i pobiegł przez cmentarz, znikając w ciemności. Jego kolega popatrzył za nim, lecz zaraz usłyszał coś, co odwróciło jego uwagę od uciekającego. Z opuszczoną włócznią zaczął podchodzić wolno do miejsca, w którym Briony i żołnierze Eneasza przycupnęli za kamienną ścianą.

– Kto tam? – zapytał drżącym głosem. – Wychodź. Nakazuję ci w imieniu lorda protektora!

A zatem to jeden z ludzi Tolly'ego, pomyślała Briony. Skinęła głową żołnierzowi z łukiem, a ten się podniósł i posłał strzałę mniej więcej w kierunku celu. Strażnik spojrział na drzewce wystające z jego

piersi, jakby nigdy w życiu nie widział niczego bardziej zagadkowego, a potem zgiął się wpół i upadł cicho na ziemię.

Briony poprowadziła Stephanasa i drugiego Syańczyka schodami w dół. Ze zdumieniem zobaczyła, że główna komora krypty, w której spoczywali jej dziad, matka i brat, jest pusta, nie licząc złożonych w trumnach zmarłych, ale usłyszała głosy – zaskakująco donośne w wewnętrznej komorze. Spojrzała na towarzyszy i przyłożyła palec do ust.

– Dziecko wyszeptała. Pamiętajcie, ratujcie dziecko za wszelką cenę.

Weszli do krótkiego korytarza, który łączył obie komory. Kiedy przemieścili się do oświetlonego wewnętrznego grobowca, z bronią w pogotowiu, Briony zobaczyła kilka osób, lecz najbardziej rzucał się w oczy mężczyzna z długim nożem w ręku, który opuszczał dłoń, by zabić niemowlę na czymś w rodzaju prowizorycznego ołtarza. Zanim zdążyła coś powiedzieć, syański łucznik posłał strzałę w pierś mężczyzny z nożem. Ten obrócił się, zdziwiony, i upadł ciężko na podłogę, wypuszczając nóż, który z grzechotem potoczył się w bok.

Hendon Tolly zareagował niemal równie szybko jak łucznik. Zanim mężczyzna z nożem runął na posadzkę, Tolly zdążył rzucić ciężką księgą w łucznika, wytrącając mu broń z ręki. Rozległ się syk wysuwanego z pochwy miecza. Briony sięgnęła po swój miecz, lecz Tolly nie zamierzał postępować honorowo i walczyć z uzbrojonym przeciwnikiem. Jego wąski brzeszczot skoczył do przodu niczym język srebrzystego węża i zawisł, drżąc lekko, nad dzieckiem, którego płacz wydawał się bardzo miłym dźwiękiem w tym jakże złowrogim otoczeniu.

– No, no – rzucił Tolly; jego szeroko otwarte oczy płonęły jasno w świetle pochodni. Postąpił krok w stronę niemowlęcia, trzymając brzeszczot przed jego oczami. – Wieczór robi się coraz ciekawszy!

„Nie słuchaj gadania”, tak zawsze Shaso upominał Briony, najczęściej po tym, jak udało mu się odwrócić jej uwagę, tak by opuściła gardę. „Gadając, przeciwnik zachowuje się głupio albo chce cię rozproszyć. Musisz pamiętać, gdzie jesteś”. Briony starała się teraz zastosować do rady starego mentora, chociaż na widok uśmiechniętej

twarży Hendona Tolly'ego oddalonego zaledwie o kilka jardów mimowolnie z całej siły zacisnęła dłoń na rękojeści miecza.

Briony nigdy wcześniej nie była w wewnętrznej komorze krypty, o sześciu ścianach, z wąskimi półkami i głębokimi, ciemnymi niszami – w komorze, która nawet bez starych trumien wydawała się teraz przepelniona. Oprócz niej samej i dwóch Syańczyków stał tu jeszcze Hendon, jego strażnik i ciemnowłosa kobieta, która, jak się wydawało, była zakładniczką. Briony rozpoznała ją dopiero po chwili: szlachcianka z Summerfield, Elan M'Cory, jedyna szczerze opłakująca śmierć Gailona Tolly'ego. Drugi człowiek Tolly'ego, ten z nożem, leżał twarżą do podłogi w małej kałuży krwi. Lecz miecz Hendona znajdujący się tuż przy gardle małego księcia niwelował przewagę Briony.

A Tolly zdawał sobie z tego sprawę.

– Wycofaj się, Briony, albo zabiję dziecko. Zaatakujesz mnie, a stracisz małego Alessandrosa. Chętnie pozbawię cię brata – dodał i roześmiał się.

– Nie masz ani kszty przyzwoitości? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Ta rozmowa nie ma sensu. Nie zrozumiałabyś mnie, nawet gdybyś żyła tak długo jak czarodziejscy ludzie. Wycofaj się powoli z krypty. Jeśli pozwolisz mi zamknąć drzwi, co powinienem był zrobić wcześniej, możesz robić, co tylko zechcesz. – Znowu się zaśmiał. – Możesz nawet sprowadzić taran.

– Nie bądź głupi. Nie zostawię z tobą dziecka.

– Tego się obawiałem. Zawsze byłaś uparta. To cecha zadowolonych z siebie Eddonów. – Hendon skinął głową, przesuając spojrzenie na jej strażników. – Widzę, że sprowadziłaś Syańczyków. – Uniósł drwiąco brew. – Co oczywiście oznacza, że puściłaś się z Eneaszem. – Otworzył szerzej oczy, widząc wyraz jej twarzy. – Jak to, nie? Naprawdę? No to może ze starym. Tak? Czy córka Olina oddała się staremu królowi Syanu, by ratować swój lud? Jakże to szlachetne!

Briony robiła, co mogła, by nie dać sprowokować się Hendonowi i zostać na miejscu. Czuła ból głowy spowodowany płaczem niemowlęcia.

– Stephanasie – powiedziała. – Poślij swojego człowieka do księcia Eneasza. Niech mu przekaże, że mamy Hendona Tolly’ego w mojej rodzinnej krypcie.

– Nie! Jeśli zrobi choć krok w kierunku zewnętrznej komory, wykłuję dziecku oko – ostrzegł ją Tolly. – Wciąż będzie się nadawało do moich celów, za to będzie się darło jeszcze głośniej.

– Ty psie! To tak wygląda twój honor? Po prostu straszysz dzieci?

Tolly zaniósł się śmiechem, który zabrzmiał całkiem szczerze.

– Honor? A co to za bzdury? Myślisz, że obchodzą mnie takie rzeczy?

– Bogowie! Jesteś śmieciem, Tolly. I nawet jeśli będziemy tu tkwić długie godziny, w końcu przyjdzie Eneasza. Stąd nie ma innego wyjścia.

Spojrzał na nią z wyrazem rozbawienia na twarzy.

– Naprawdę? A to smutne.

Briony starała się odebrać mu pewność siebie, odciągnąć w jakiś sposób od dziecka.

– Nie uciekniesz przed katem. A potem zajmiemy się twoją zdradziecką rodziną. Osobiście zrównam z ziemią dwór Summerfield i wyciągnę na światło dnia twojego brata i matkę, bo są jak szczury chowające się po norach...

Tolly skinął głową.

– No cóż, matkę pewnie tam zastaniesz, ale z bratem Caradonem to zabawna historia. – Wygląda na to, że ostatnio trochę się skurczył...

– Na miłość Trygonu, Wasza Wysokość! – odezwał się Stephanas. – Nie marnuj więcej słów na tego tchórza. Mamy przewagę!

– Nie, Stephanasie... – zaczęła Briony.

– Ona ma rację, młodzieńcze – rzekł Tolly, szczerząc zęby w uśmiechu. – Rzeczywiście, wydaje się, że macie przewagę, a jest was tylko dwóch przeciwko mnie i kobieta, do tego jesteście Syańczykami. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby kilku zjadaczy chleba potrafiło pokonać człowieka z Marchii!

– Fanfaron!

Ku przerażeniu Briony Stephanas skoczył do Tolly’ego i uderzył mieczem w jego broń, by odsunąć ostrze od bezbronniego niemowlęcia, lecz lord protektor tylko się usunął i jego smukła klinga znowu

wystrzeliła. Stephanas zachwiał się, a zaraz potem wyprostował i postąpił kilka niepewnych kroków, zasłaniając Briony przed wzrokiem Tolly'ego. Wypuścił miecz i osunął się na podłogę, a z jego oczodołu popłynęła krew. Hendon przyskoczył z powrotem do niemowlęcia, lecz... Alessandros zniknął z ołtarza.

– Co...? – Zobaczył Briony i stanął w miejscu. Tym razem jego uśmiech był kwaśny. – Dobra robota, dziewczyno. Wy, Eddonowie, jesteście wytrwali, muszę to przyznać. Ale skończ już z tymi głupstwami i oddaj mi dziecko.

Mały Alessandros był zaskakująco ciężki, do tego wiercił się i płakał. Briony podniosła wyżej miecz i obróciła się powoli, tak by znaleźć się między Tollym a syańskim żołnierzem, który z przerażeniem, wpatrywał się w umierającego Stephanasa.

– Zabierz dziecko – zwróciła się do młodego żołnierza. – Zabierz je!

– Nie! – Hendon zrobił krok do przodu, lecz Briony cofnęła się, utrzymując bezpieczną odległość między nimi. – A niech cię, weź dziecko! – warknęła do Syańczyka. – Biegnij z nim do rezydencji. To królewski syn! Zabierz go w bezpieczne miejsce!

Żołnierz wyciągnął ręce, nie spuszczając wzroku z Tolly'ego, niczym królik obserwujący zbliżającego się węża.

– Biegnij, powiedziałam, biegnij!

Hendon Tolly wyglądał tak, jakby zamierzał coś powiedzieć, lecz niespodziewanie skoczył do przodu i zaatakował długim i paskudnym pchnięciem, tak że gdyby Briony nie trzymała miecza w pogotowiu i jednym ruchem nadgarstka nie odbiła ostrza Tolly'go, pchnięcie przebiłoby ją na wylot. Tolly zaatakował jeszcze raz, tak szybko, że z trudem się cofała, by pozostać między nim a drzwiami, broniąc się przed kolejnymi cięciami.

– Biegnij! – krzyknęła.

Syańczyk wreszcie oprzytomniał. Ostatni sprzymierzeniec Briony wybiegł z wewnętrznej komory z dzieckiem na ręku. Księżniczka wzięła głębszy oddech dopiero wtedy, gdy usłyszała jego kroki na schodach zewnętrznej krypty.

– Teraz księżę jest poza twoim zasięgiem, Tolly.

– Suka – wycedził protektor. Już się nie uśmiechał. – Za to będziesz umierała powoli. W końcu twoja krew będzie równie dobra na ofiarę jak krew niemowlęcia... – Odwrócił się do strażnika, który wciąż trzymał Elan M’Cory. – Zostaw tę dziwkę. Chodź i pomóż mi z tym babochłopem.

Niepotrzebny akcent na ostatnie słowa ostrzegł ją: Briony zdążyła się odwrócić od Elan i zasłonić przed kolejnym nieoczekiwanym atakiem Tolly’ego.

Szybko zmusił ją do cofnięcia się, lecz zamiast pozwolić jej dotrzeć do drzwi prowadzących do wewnętrznej krypty, sprawiał, że zaczęła przesuwać się w stronę jego strażnika. Briony zdała sobie z tego sprawę, lecz w tej samej chwili usłyszała okrzyk bólu. Zaryzykowała i zerknęła w bok: zobaczyła, że Elan M’Cory wskoczyła żołnierzowi na plecy i wbiła mu paznokcie w twarz. Strażnik krzyknął boleśnie i zaklął, usiłując ją z siebie zrzucić.

Chwilowe zamieszanie pozwoliło Briony uniknąć kolejnego pchnięcia Hendona. Broniąc się, przesuwała się po obwodzie sześciokątnej krypty, tak by Tolly pozostał po drugiej stronie ołowianej trumny stojącej na środku komory. Zdała sobie sprawę, że przeciwnik powoli zyskuje przewagę i że poturbowany żołnierz wkrótce poskromi Elan M’Cory. A wtedy będzie dwóch na jedną. Dwukrotnie zamarkowała pchnięcie, a potem zamachnęła się szeroko w głowę Hendona, czego on z łatwością uniknął, ale nie ruszyła dalej, by nie odsłaniać tułowia. Kiedy Tolly zrobił krok do przodu, by ponownie zaatakować, Briony odwróciła się błyskawicznie i instynktownie skierowała miecz w zupełnie inną stronę, rażąc strażnika w twarz. Żołnierz upuścił miecz i przyłożył dłonie do krwawiącego policzka i ust, wtedy ona wyciągnęła zza pasa długi sztylet Yistich i ugodziła go, przebijając się przez kolczugę i wbijając wąskie ostrze głęboko w jego brzuch.

Strażnik jęknął i charcząc, opadł na trumnę.

– Masz swoją ofiarę, cokolwiek planowałaś, Hendonie – powiedziała, wyrównując oddech. – A teraz chętnie wyślę cię za nim do Kerniosa.

Oblicze Tolly’ego wyrażało zawziętość.

– Nauczyłaś się kilku rzeczy. – Zamarkował pchnięcie i zaraz zaatakował, a potem jeszcze raz, drugi atak miał ją ugodzić. Prawie mu się udało. Ona była już zmęczona, podczas gdy Tolly nawet nie oddychał ciężko. Nie był roslym mężczyzną, za to bardzo silnym, o mięśniach jak splecione rzemienie. – Shaso cię tego nauczył czy nowy kochanek Eneasza? – zapytał. – To ja kazałem zabić Shasa. Z mojego rozkazu spalono gniazdo zdrajców w Landers Port. Szkoda, że nie upiekłaś się razem z innymi ptaszkami na tym samym ogniu.

Nie słuchaj, powtarzała sobie Briony w myślach, mimo że niemal płakała z wściekłości. Nie słuchaj. Uniknęła kolejnego ataku, a chwilę później zablokowała następny cios i uchyliła się przed nim, ale poczuła, że ostry koniec klingi Tolly’ego przeciął jej kolczugę i nawet musnął szyję, zanim się obróciła. Zmęczenie brało górę; nie potrafiła już utrzymać równowagi i niemal się przewróciła. Hendon zorientował się w sytuacji i ponownie zaatakował, zadając kolejne cięcia niczym kowal uderzający w kowadło, a Briony mogła jedynie zasłaniać się mieczem.

Nie dam rady. Jest ode mnie szybszy... silniejszy... zawsze taki był...

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk Elan M’Cory, krzyk wyrażający autentyczne przerażenie, który sprawił, że nawet Hendon Tolly cofnął się o krok od Briony, by spojrzeć w tamtą stronę. Ciemna postać stanęła w drzwiach łączących komory krypty, a po chwili zrobiła chwiejny krok naprzód w głąb wewnętrznego pomieszczenia.

W pierwszej chwili Briony pomyślała, że powstał któryś z nieboszczyków spoczywających w rodzinnym grobowcu i stanął na granicy ciemności, w brudnym postrzępionym płaszczu podobnym do całunu, z obliczem schowanym w głębi kaptura. Postać wyciągnęła ku nim ręce, w migotliwym świetle pochodni podobne do nierównych szponów, owinięte w grobowy całun.

Przemówiła, lecz jej głos przypominał syk. Briony poczuła, jak włoski na jej karku się podnoszą, a serce, już bijące szybko, jeszcze przyspiesza.

– Nie-niech Bracia mają nas w opiece! – powiedziała księżniczka.

Zjawa ponownie spróbowała przemówić i tym razem jej słowa były zrozumiałe, postrzępione, wydzierane z trudem z gardła, niemal tak samo bolesne dla słuchającego jak i dla mówiącego.



– Briony – wyskrzeczwała zjawa. – Wróciłem z... krainy Śmierci...

Dziewczyna wstrzymała oddech, a zakapturzona postać postąpiła kolejny chwiejny krok w głąb krypty.

– Na litość Zorii, to ty, Shaso? – wyszeptała zdumiona. – Niech bogowie mają cię w opiece, to ty? – Jednak w chwili gdy to powiedziała, ogarnięta zabobonnym strachem, coś wydało jej się nie tak.

A jeszcze dziwniejsza była reakcja Tolly'ego: lord protektor wybałuszył oczy i uniósł dłonie, jakby chciał się obronić, wbrew zdrowemu rozsądkowi, przed zjawą, nie bacząc na miecz, który trzymał w ręku.

– Przecież ty...! Ty... nie żyjesz!

Elan M'Cory popęzła po podłodze, płacząc i modląc się, a Briony nabrała przekonania, że chaotyczna atmosfera letniego przesilenia udzieliła się im wszystkim i wpędziła ich w obłąd.

Zjawa powoli uniosła dłonie i odchyliła kaptur. W pierwszej chwili Briony nie potrafiła powiedzieć, co widzi – zasnuła bielmem oczy, ociekająca mazią skóra jak u trupa, upstrzona, jak się zdawało, grudkami ziemi. Lecz kiedy zniszczona twarz odwróciła się powoli od Hendona Tolly'ego, księżniczka nagle rozpoznała, kogo widzi.

– Gailon – wyszeptała. – Gailon Tolly.

Zjawa pokazała palcem Hendona.

– Ty – wyrzęziła z wysiłkiem. – To ty mnie zabiłeś.

– Co to za szaleństwo? – Głos lorda protektora nie brzmiał już tak pewnie. – To jakaś sztuczka? Przecież umarłeś, bracie. Przeszyty strzałami. Nie jesteś duchem, to mogę przysiąc, jesteś z krwi i ciała.

– Twoi ludzie... zabili mnie, bracie, a potem... zakopali razem z moimi służącymi i przyjaciółmi. – Kolejne słowa wychodziły z ust zjawy swobodniej, lecz wciąż mówiła urywanym i zachrypniętym głosem. – Kiepsko celowali, jak widzisz. – Gailon wyszczerzył zęby w upiornym uśmiechu. – Przez długie godziny, dni, leżałem ranny, przysypany ziemią, razem z trupami moich towarzyszy, zbyt słaby, żeby się poruszyć... ale zbyt silny, by umrzeć. Byłem obcy w domu Śmierci i Śmierć mnie nie chciała. Kiedy zdałem sobie sprawę, że wciąż żyję, wygrzebałem się z dołu, który według ciebie, Hendonie, miał być moim grobem, i wróciłem, by poinformować Briony o twojej zdradzie. –

Skierował niemal ślepe oczy ku Briony. – Ale widzę, że zbyt późno się dowiedziałas, kim jest mój brat, najbardziej zgniły owoc łądzwi mego ojca. By naprawić swój błąd, mogę zrobić jedno... zakończyć jego życie.

Zjawa postąpiła kilka chwiejnych kroków w kierunku Hendona, który wydawał się zdumiony tym, co się dzieje. I wtedy szczupła ciemna postać Elan M’Cory podpełzła do zjawy i objęła ją za nogi.

– Nie! – zapłakała. – Nie zostawiaj mnie po raz kolejny, Gailonie! Nie zostawiaj mnie!

– Puść mnie, słodka Elan – odpowiedziała odziana w łachmany postać głosem niespokojnego ducha, ale nie od razu się odsunęła i po raz pierwszy okazała coś na podobieństwo ludzkich uczuć. – Nie mogę... ja już nie należę do twojego świata...

– A ja wolę, żeby tak pozostało! – zawołał Hendon, który skoczył do przodu i wbił miecz w brzuch brata.

Gailon jęknął i razem z Elan upadł na podłogę, wyrrywając miecz z dłoni Hendona.

Briony dostrzegła swoją szansę i zaatakowała, lecz Hendon zdążył się odwrócić i zasłonić ramieniem, jej miecz skaleczył mu dłoń, ale zsunął się, nie czyniąc mu większej krzywdy. Potknęła się i straciła równowagę, wtedy Hendon pchnął ją, tak że zatoczyła się do tyłu i wpadła na ścianę przy wejściu. Zanim zdążyła się odwrócić z mieczem gotowym do walki, Hendon Tolly zniknął.

Stała w drzwiach prowadzących do zewnętrznej komory, co oznaczało, że Hendon nie uciekł tędy. Zdała sobie sprawę, że mógł się wymknąć tylko do kolejnej głębszej krypty. Zerknęła na Elan M’Cory, która zapłakana usiłowała wyrwać miecz z ciała Gailona.

– Wyjdź stąd – zwróciła się do niej i powiodła wzrokiem po porośniętych mchem ścianach grobowca, szukając miejsca, w którym mógł przepaść Hendon.

Kiedy wepchnęła miecz w jeden z pograżonych w ciemności kątów, ostrze wsunęło się o wiele dalej, niż się spodziewała, nie napotykając oporu. Podsunęła się bliżej i wymacała otwór w miejscu, w którym ściany się nie schodziły, na tyle szeroki, że szczupły mężczyzna – albo kobieta – mógł się przecisnąć.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zaczekać na Eneasza, ale nie miała pojęcia, kiedy książę przybędzie. Jeśli ten ukryty korytarz prowadzi do zamku – albo, co gorsza, jest jednym z tuneli Funderlingów – Tolly może szybko znaleźć się poza ich zasięgiem. A wtedy potwór i morderca ucieknie...

Dźgnęła kilkakrotnie mieczem ciemność między ścianami i upewniła się, że nie ukrył się tam nikt, kto by chciał ją zaatakować. Oczyszczyła ostrze sztyletu z krwi i wsunęła go za pas, po czym wróciła do krypty i zdjęła ze ściany pochodnię.

Za wewnętrzną kryptą czekały kolejne komory, co najmniej kilka. Na ile była w stanie się zorientować, nigdy nie były używane ani nawet wykończone na tyle, by służyły za grobowiec: ściany pozostały niewyglądzone, podobnie posadzki. Ale bardziej niepokojące było to, że każda kolejna komora prowadziła niżej do następnej.

Pod nami, za nami, wszędzie wokół nas... Briony zawsze sądziła, że stąpa po pewnym gruncie – dobry żart! Spotkanie z Gailonem, którego ona, jak i wszyscy inni uznali za zmarłego, wstrząsnęło nią, a odkrycie ukrytych przejść pod rodzinną kryptą pogorszyło jej stan. Już nic nie wydawało jej się solidne ani prawdziwe.

Zbadawszy ostrożnie kolejne komory, wyszła z ostatniej i stanęła na początku dziwnej amfilady. W świetle pochodni zobaczyła, że po drugiej stronie podłóża urywa się gwałtownie i otwiera się tam przepaść, której mroki blask rozjaśniał tylko przez kilkanaście jardów. Sama ścieżka prowadziła dalej w dół poza zasięg spojrzenia, między przepaścią z jednej strony a surową skałą z drugiej, podobnie jak stopnie schodów pnących się spiralnie w Wieży Wilczego Kłosa. Jak daleko schodziła? I dokąd prowadziła? A przede wszystkim gdzie się podział Hendon?

Gdy tylko to pomyślała, Tolly spadł z góry, gdzie trwał przyklejony do ściany jak pajak. Omal nie zepchnął jej w czarną nicość, lecz Briony okręciła się i przywarła do kamiennej ściany. Ostrożnie przesunęła się na środek ścieżki, upuściła jednak pochodnię i wypuściła z ręki miecz, który spadł w przepaść.

Hendon rzucił ją na plecy i przygwoździł kolanem do podłóża, przytrzymując ją za ramiona, po czym przyłożył jej sztylet do gardła.

– Zmitreżyłem przez ciebie mnóstwo czasu, dziewczyno. – Jego pot skapywał jej na twarz. – Więc teraz po prostu poderżnę ci gardło.

\*\*\*

Nie słyszał niczego poza kojącym głosem; pozbawiona słów aprobata, a czasem napomnienie pomagały mu znaleźć drogę, kierując jego krokami w ciemności. Miał wrażenie, że wędruje od wielu dni, ale czy to możliwe? Spróbował sobie przypomnieć, gdzie był wcześniej; wspomnienia wracały powoli. Dziwne twarze, nieznanne zapachy, szmer obcych języków, którymi posługiwały się jeszcze bardziej obce istoty. Tak, wtedy przebywał wśród czarodziejskich ludzi. A teraz? I dlaczego tak trudno mu zebrać myśli?

Chaven Makaros. Tak się nazywam. Jestem Chaven, medyk... nadworny medyk. Imię i nazwisko oraz tytuł określały jego tożsamość, dlaczego więc wydawały mu się tak nieistotne?

Głos bezsłownie nakłaniał go, by szedł dalej, przenikał jego kości i całe ciało. Szybciej, tak. Musi iść szybciej. Jest potrzebny. Nic nie może się zdarzyć bez niego, a potem otrzyma nagrodę.

Tylko dlaczego nie pamięta, jaka to ma być nagroda? Ani kto ma go nagrodzić?

\*\*\*

W Labiryncie szalała walka, lecz Chaven zdołał uciec. W rzeczywistości poczuł ulgę, mogąc zostawić za sobą Barricka i jasnooką kobietę Qarów. Zbyt wiele pytań. Zbyt wiele ciekawskich spojrzeń. Oni nie są ludźmi, tego był pewien, i szczerze mówiąc, księżę Barrick też już nie był człowiekiem. Momentami Chaven czuł się nagi, przekonany, że każdy, kto go widzi, potrafi dostrzec, komu jest oddany.

Poczuł się dziwnie, gdy pomyślał, że zaledwie przed rokiem jego życie było zupełnie zwyczajne. A potem znalazł lustro podczas jednej z wypraw na targ, jakie odbywał kilkakrotnie w roku, choć teraz nie pamiętał, żeby je przyniósł do domu. W ciągu następnych dni, kiedy zajął się czyszczeniem lustra, jego zainteresowanie tym starym

przedmiotem przerodziło się w coś innego. Chaven zaczął spędzać z nim coraz więcej czasu, polerując zwierciadło i wpatrując się w jego kuszącą, czasem nieco dezorientującą głębię. I choć nie pamiętał, jak to się stało, któregoś dnia odkrył, że potrafi spojrzeć przez zwierciadło. Na drugą stronę.

A potem... a potem... już nie pamiętał, co się działo. W każdym razie nie wszystko: czasem życie toczyło się zwykłym trybem, a lustro było jedynie cieniem na skraju myśli, jak ukryta plama. A kiedy indziej sprawiało, że różne rzeczy... się działy. Bywało, że ocknął się w dziwnym miejscu albo niezwykłych okolicznościach, nie pamiętając, jak do tego doszło. Sprawa z posążkiem Kerniosa była jedną z tych, które po prostu się wydarzyły. Pewnego dnia znalazł go na środku swojego stołu i choć kwerenda w zamkowych archiwach pomogła mu zorientować się, co to za przedmiot, to nie pamiętał, w jaki sposób do niego trafił, do momentu wizyty Muskającego Wodę, który przyszedł po złoto, które Chaven obiecał jemu i jego ziomkom za wydobycie posążka z dna Zatoki Wschodniej w pobliżu Muru Zewnętrznego. Muskający Wodę przysięgał na swojego boga wody, że Chaven powiedział im dokładnie, gdzie mają nurkować.

Przestraszony medyk zapłacił mu część należności, obiecując później uregulować resztę, lecz potem wypchnął z pamięci całą sprawę, uznawszy ją za zbyt niepokojącą. W jego życiu na jawie pojawiały się kolejne przerwy. Teraz zaś przemierzał podziemny świat z tym przeklętym posążkiem Kerniosa, nie mając pojęcia, dokąd idzie ani dlaczego niesie ten przedmiot.

Chaven nie mógł jednak zawrócić, tak jak nie mógł zmienić skóry i stać się kimś innym. Najpierw lustro, teraz posążek – cokolwiek skłoniło go do nabycia tych rzeczy, jeszcze mocniej objęło go w swoje posiadanie i już nawet nie próbowało zmącić jego myśli. Zdał sobie sprawę, że jest narzędziem. Bronią. Należał do kogoś i nie mógł dłużej udawać, że jest inaczej, nie wiedział tylko, kto jest jego panem.

Chaven Makaros szedł ciężkim krokiem w dół głębi pod Labiryntem, a fale wilgotnego ciepłego powietrza przynosiły do jego uszu odgłosy trwającej gdzieś daleko bitwy.

\*\*\*

„Nigdy nie myśl, podczas gdy możesz poczuć, co się dzieje”, powtarzał jej wielokrotnie Shaso. „Myślenie cię zabije”.

A jednak pozwoliła sobie na myślenie i, tak jak ostrzegał ją starzec, praktycznie już nie żyła – tak samo jak Shaso. Straciła miecz, a Tolly przygniatał jej piersi i ramiona tak mocno, że nie miała szans na wyciągnięcie zza pasa sztyletu Yistich. Ostrze Tolly’ego, przytknięte do jej szyi było zimne jak lód. Poczowała, jak Hendon przenosi ciężar ciała, by poderżnąć jej gardło, lecz w tej samej chwili w korytarzu za nimi rozległ się cichy dźwięk. Szurnięcie buta? Obluzowany kamień? Tolly zawahał się i odwrócił, a to wystarczyło, by zdołała uwolnić rękę; zacisnąwszy dłoń w pięść, uderzyła napastnika w krocze.

Lord protektor przypominał sobie boleśnie, że przestał nosić suspensorium.

Jęknął, zakrztusił się i pochylił do przodu, nieznacznie skulony, co pomogło Briony wyswobodzić drugą rękę. Zanim Tolly zdążył ponownie przytknąć nóż do jej szyi, wyrwała z pochwy przy pasie mały sztylet Yistich i wbiła go od dołu w szczękę lorda. Zdumiony Tolly otworzył szeroko oczy i chwycił się za szyję; krew płynęła między jego palcami, a on wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, tymczasem Briony wyszarpnęła ostrze i wbiła ponownie, tym razem w oko prześladowcy. Hendon Tolly krzyknął głośno i przywarł do niej, wstrząsany śmiertelnymi konwulsjami; poturlali się na skraj ścieżki, lecz Briony nie mogła oderwać śliskich od krwi palców Tolly’ego od swego ubrania. Czowała, że Tolly pociągnie ją za sobą, gdyż zaczął się zsuwać w ciemność, a wtedy coś chwyciło ją za pas i odciągnęło od przepaści. Palce Tolly’ego puściły jej ubranie i przez krótką chwilę jego oślepienie oko zwróciło się ku niej – nóż Yistich wciąż sterczał z oczodołu – a twarz wyrażała rozczarowanie, a potem lord protektor osunął się w ciemność.

– Pani... księżniczko Briony... żyjesz?

Spojrzała na małego mężczyznę wyciągniętego obok niej na ziemi, który wciąż ścisnął kurczowo jej pas. Mimowolnie roześmiała się cicho, zaskoczona tą dziwną sytuacją.

– Rogowiec – powiedziała. – Chwalmy letnie przesilenie, ty... uratowałeś mi życie. – Trzęsła się tak bardzo, że z trudem podczołgała się z powrotem na środek ścieżki. Kiedy upewniła się, że jest bezpieczna, opadła na kamienne podłoże, drżąc i dysząc ciężko, postanawiając z całą mocą, że cokolwiek się zdarzy, ona się nie rozplacze. – A ja odzyskałam rodzinny tron, widziałeś? On nie żyje. Hendon Tolly nie żyje. Zabiłam go jak wściekłego psa, którym był.

Funderling niezdarnie poklepał Briony po plecach, niepewny, jak należy pocieszyć ranną i trzęsącą się jak galareta księżniczkę.

Wreszcie Briony zdołała usiąść. Pochodnia leżała nieopodal na ścieżce, tryskając iskrami. Rogowiec owinał ramię księżniczki kawałkiem swojej koszuli.

– Co jest tam na dole, Rogowcu? – zapytała. – Co znajduje się pod kryptą mojej rodziny?

Spojrzał na nią nieco zaskoczony.

– No cóż, wszystko, Wasza Wysokość. Ten tunel prowadzi w głąb świętych Tajemnic mojego ludu.

– Dokąd udał się mój brat i Qarowie? – Otrzepała się z kurzu i wstała niepewnie. Była cała obolała. – Gdzie jest autarcha? I mój ojciec. – Schyliła się i podniosła pochodnię. – Eneasz zajmie się tu wszystkim. Zaprowadzisz mnie tam?

– Czy cię zaprowadzę? – Funderling, który także wstał, wpatrywał się w nią, jakby nagle zaczęła mówić w obcym języku. – Chcesz zejść... na dół?

– Tak. Z tobą jako przewodnikiem. – Wsunęła nóż do pochwy. – Chyba że masz coś lepszego do roboty w ten dzień końca świata.

– Ale... to zajmie nam całe godziny. Zanim dotrzemy na sam dół, wszystko się skończy. Nie zdążysz... – Inna myśl go zaniepokoiła. – I czyhają tam nieznanne ci niebezpieczeństwa, Wasza Wysokość!

– Nigdy nie mów „nie” Eddonom, mistrzu Liderycie. Jesteśmy uparci – odpowiedziała i nie czekając na to, co zrobi Funderling, minęła go i ruszyła ku głębiom.

## Prastara istota

*Aristas wziął okruch słońca i chwając Trzech Braci, rzucił w niebo, gdzie ten zawisł i zaczął ogrzewać północne ziemie. Niebawem stopniał śnieg na szczytach gór Wysp Vuttskich i dalej na południe, aż po Krację, i ziemia tam wróciła do życia...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Żołnierze autarchy przynieśli na wyspę w głębiach poszczególne elementy miasteczka, namioty, drewno i trzcinę do budowy łodzi. Teraz legion cieśli Złocistego pracował nad skonstruowaniem ogromnej platformy na brzegu srebrzystego morza, mimo że kilkaset kroków dalej toczyła się zacięta bitwa, dlatego odgłosy budowy niemal zagłuszały przeraźliwe krzyki umierających.

Wzdłuż brzegu błyskały brzeszczoty i świstały pociski. Z tej odległości Qinnitan nie mogła zobaczyć, co się dzieje, lecz wydawało się, że walka jest równie krwawa, a walczący tak samo zdesperowani jak podczas zmagania na murach Hierosolu. Dalej na wybrzeżu wrogowie autarchy przebili się do wyciągniętych na piasek łodzi, a jedna z nich wypłynęła nawet z powrotem na środek srebrzystej powierzchni; Qinnitan zapragnęła znaleźć się w niej, by móc oddalić się od tego szaleństwa.

Sam potwór z Xis, architekt całego tego zamętu i cierpienia, siedział w lektyce, odziany w jasną zbroję, i krzykami poganiał ludzi, którzy i tak harowali w pocie czoła. Wielu broczyło krwią niemal tak samo jak walczący żołnierze.

– Dzieci! – wrzasnął Sulepis i wstał tak gwałtownie, że dwunastu nagich niewolników trzymających lektykę zachwiało się, a paru omal się nie przewróciło. – Gdzie one są? Gdzie moi więźniowie? – Jeden z kapłanów Nushasha podskakiwał w miejscu, usiłując mu coś



powiedzieć. – Nic mnie to nie obchodzi! – krzyknął autarcha. – Vash! Vash, gdzie jesteś? Na grób mojego ojca, gdzie jest Pinimmon Vash? Czy i on gdzieś się zapodział? Każę jego i kapłana rozerwać na strzępy!

Zanim jednak znaleziono pierwszego ministra i rozerwano go na strzępy, ukazał się wielki kapłan Panhyssir na czele procesji mniej znacznych kapłanów, żołnierzy i dzieci, przykuwając na siebie uwagę Złocistego. Qinnitan patrzyła, jak najmłodszy więźniowie mijają ich ciężkim krokiem; ona i król Olin byli przywiązani do dużego słupa wbitego głęboko w podłogę. Dzieci było pięćdziesięcioro, może sześćdziesięcioro, i wyglądały na mieszkańców północy; ich spojrzenia wyrażały pustkę i brak nadziei, a twarze były trupio blade po tygodniach spędzonych w ładowniach statków. Przez chwilę dziewczyna zastanawiała się, w jakim celu Sulepis je sprowadził.

– Nie patrz, Qinnitan – zwrócił się do niej Olin. – Rozumiesz? Nie patrz.

Ale ona nie potrafiła odwrócić wzroku. Teraz, na końcu wszystkiego, poczuła w sobie głód każdej chwili, nieważne, jak okropnej, ponieważ niebawem miała już niczego nie oglądać.

– Zaprowadźcie je na miejsce – rozkazał Sulepis strażnikom. – A wy, cieśle, uciekać z platformy, już was nie ma! Niech będzie tak, jak jest. Już prawie nadeszła godzina.

Xandyjscy robotnicy zaczęli opuszczać platformę, prostą drewnianą konstrukcję, pozbawioną zbędnych elementów i funkcjonalną jak szubienica. Niewolnicy Sulepisa ponieśli lektykę do przodu, tak by autarcha mógł zejść z niej prosto na drewnianą podłogę. Sulepis spojrział na srebrzystą powierzchnię Morza w Głębiach. Na lewo od niego stali żołnierze, rozstawieni na łuku obrzeża wyspy, a wielu strzelało do walczących po drugiej stronie wody, mimo że nawet Qinnitan wiedziała, że w ogólnym zamieszaniu najprawdopodobniej nie odróżniają swoich od wrogów. Przywódca atakujących, smukła postać w białej zbroi, właśnie poległ i ich skromne siły się wycofywały. Teraz walczyli tylko po to, by utrzymać się przy życiu.

Do słupa podeszli dwaj żołnierze Lampartów. Nie zwracając uwagi na Qinnitan, odpięli żelazne okowy króla Olina.

– Nie bój się, Qinnitan – powiedział władca z północy. – Ja się nie boję.

– Będę się za ciebie modliła – odpowiedziała. – Niech bogowie obdarzą cię spokojem, Olinie Eddonie.

Król wciąż miał skrepowane ręce. Strażnicy podtrzymywali go, prowadząc po śliskich kamieniach ku platformie i czekającemu autarsze. Złocisty spoglądał to na nieruchomą powierzchnię Morza w Głębiach, to na masywne kamienne wypiętrzenie w kształcie ludzkiej sylwetki na środku wyspy – na Lśniącego Człowieka. Kamień wydawał się ciemny jak obsydian, lecz Qinnitan wcześniej widziała błyski pulsujące w jego wnętrzu, słabo, niemal ukradkiem, jakby coś, co żyło w jego wnętrzu, jeszcze nie chciało się ujawnić.

Kiedy strażnicy poprowadzili Olinę na platformę po schodach z surowego drewna, inni żołnierze popędzili dzieci na brzeg wyspy, po czym rozstawili je w równych odstępach jedno od drugiego i zmusili, by ukłękły. Kilku ludzi autarchy pomogło Panhyssirowi wejść po schodach i wielki kapłan stanął przy władcy. Towarzyszyło mu paru innych kapłanów, którzy szeptali modlitwy i okadzali Sulepisa dymami kadzideł.

A zatem tak to się skończy, pomyślała Qinnitan. Wszystkie jej wysiłki, by uciec, cała desperacja, wszystkie chwile, kiedy czuła się wolna... wszystko to sprowadziło się do tego. Cieszyła się, że uratowała chociaż Gołębia. Ach! Jakby na potwierdzenie tego, jak bezcelowe było ocalenie jednego dziecka, teraz setka innych dzieci miała zostać zaszlachtowana na jej oczach. Czy bogom rzeczywiście tak bardzo zależy na tym, aby jej pokazać, że nic niewarte są jej wysiłki?

*Wy, przebudzeni, zawołajcie do tych, którzy śpią,  
Tutaj! Nasze drzwi są otwarte – wchodźcie, wchodźcie!  
Zburzyliśmy cierniste mury.  
Oczyściliśmy ścieżkę z parzących pokrzyw.*

Panhyssir intonował w odmianie xiskiego tak starej, że Qinnitan z trudem rozumiała poszczególne słowa; ogromna broda wielkiego

kapłana unosiła się i opadała nad jego wypiętą piersią. Żołnierze pilnujący kłęczących więźniów wpatrywali się czujnie w platformę.

– Masz mnie! – zawołał Olin do autarchy. – Wypuść dziewczynę!

Coś usiłowało się przedostać do głowy Qinnitan.

– Dziękuję, żeś mi o tym przypomniał – rzekł Sulepis. – Straże! Dziewczynę też tu przyprowadźcie!

Dwóch żołnierzy odpięło od słupa jej łańcuchy, a potem popchnęli ją w kierunku platformy. Prawie nie czuła poobcieranych dłoni.

Coś jeszcze nas obserwuje, zdała sobie sprawę. Żołnierze powlekli ją po schodach i postawili bezceremonialnie obok Olina. Jej serce, które już biło szybko, teraz zaczęło tłuc się w piersi jak przestraszony ptak. Ta monstrualna istota, którą czuję, kiedy poją mnie Krwią Słońca... jest tutaj.

W pieczarze jakby pociemniało, lecz Qinnitan wiedziała, że to nie otoczenie, lecz ona sama osuwa się w mrok. Tajemnicza obecność osaczała ją ze wszystkich stron, była też w niej, wietrząc światło dnia i powietrze przez jej zmysły, czekając za jakimiś niepojętymi wrotami, które zamknięto przed tysiącami lat.

Tutaj, uzmysłowiła sobie z przerażeniem. Tutaj zamknięto owe drzwi, a ta istota czekała tu przez cały czas... by powrócić...!

*– Niech Nieśmiertelni nie spowolnią twojego nadejścia!*

*Niech huragan nie skradnie twych kroków!*

*My, umierający, mówimy do ciebie, nieumierającego: Przejdź!*

Panhyssir uniósł ramiona w dramatycznym geście, nieświadomy tego, że w chwili, gdy to uczynił, cały świat ciemności wstrzymał oddech niczym kot przyczajony przy mysiej dziurze, nieruchomy jak kamień z wyjątkiem poruszającego się ogona.

*– Przejdź przez Spizową Bramę, której strzeże Smok Rozumu.*

*Przejdź przez Srebrną Bramę, której strzeże*

*Lew Fałszywej Wiary.*

*Przejdź przez Złotą Bramę, gdzie w cieniu kryją się mroczne rzeczy przed twoim jasnym światłem i majestatem!*

– Teraz! – Głos autarchy zadrżał z zadowolenia i podniecenia. – Ach, teraz! Krew!

Żołnierze na brzegu chwycili dzieci za włosy i odchyłili ich głowy. Kiedy przyłożyli miecze do cienkich dziecięcych szyj, Qinnitan wiedziała, że to, co się tam dzieje, jest gorsze niż morderstwo dzieci – po stokroć gorsze! Tysiąc razy gorsze! Wzdłuż brzegu wyspy z powierzchni morza spojrzęło sto odbić przerażonych więźniów, setka dzieci i drugie tyle patrzących z płynnego srebra. Qinnitan otworzyła usta, by wykrzyknąć ostrzeżenie – czy oni nie rozumieją, co robi autarcha, jakie moce chce uwolnić? – lecz łapczywa ciemność była zarówno w jej wnętrzu, jak i wokół niej i nie pozwalała jej wydobyć głosu.

Miecze się przesunęły i dzieci opadły na kamienie, lecz ku zdumieniu Qinnitan mali więźniowie byli cali, strażnicy tylko udali, że podcinają im gardła. Za to odbicia, w przeciwieństwie do prawdziwych dzieci, zostały śmiertelnie ugodzone przez odbicia strażników. Z poderżniętych gardeł trysnęła krew na powierzchnię Morza w Głębiach, lecz w prawdziwym świecie dzieci nadal żyły; i tylko na srebrnej tafli rozlewała się coraz większa szkarłatna plama.

– Widzisz, Olinie, chodzi o ofiarę w lustrzanej krainie! – zaśmiał się autarcha. Qinnitan ledwo go słyszała, ogłuszona pulsującym szumem w głowie i przekonana, że jej czaszka zaraz się rozpęknie niczym przejrzały owoc. – Ważne jest tylko to, co się dzieje po drugiej stronie, ważne jest, żeby lustro przesłoniła ofiarna krew niewinnych! – Rozłożył ręce, obejmując Morze w Głębiach. Szkarłatna plama rozlewała się coraz szerzej, jakby w morzu przelano ogromne ilości prawdziwej krwi. – A to jest największe istniejące lustro powstałe z boskiej esencji Habbilego! – Autarcha odwrócił się do strażników. – Dzieci już nie są mi potrzebne. Rytuał został odprawiony. Możecie się ich pozbyć.

– Przecież osiągnąłeś to, co chciałeś, i nie musisz tego robić! – zawołał rozwścieczony Olin, lecz zaraz jego głos się załamał i przeszedł w ohydne rżenie. Gdy Lamparty autarchy zaczęły zabijać bezradne, krzyczące dzieci, które wciąż klęczały na brzegu srebrzystego morza albo rzucały się do ucieczki, wierząc, że unikną śmierci, coś zaczęło się dziać z królem Marchii Południowej.

Strażnicy podtrzymywali go, ale nie było to łatwe: Olin zaczął się więc i jęczeć jak przerażone zwierzę, wybałuszał oczy, jakby coś w jego czaszce próbowało się uwolnić przez oczodoły. Wokół doganiano i zabijano krzyczące przeraźliwie dzieci, lecz Qinnitan mogła tylko przyglądać się temu z przerażeniem, ponieważ ta sama istota, która najwyraźniej wnikała w króla z północy, napierała też na jej myśli – bardzo stara i straszna istota.

Teraz już prawie cała powierzchnia Morza w Głębiach pokryła się szkarłatem, a w zagłębieniach kamiennej wyspy zebrała się krew umęczonych dzieci, lecz ochryply krzyk dobiegający gdzieś z tyłu zdołał odwrócić uwagę Qinnitan od tej strasznej sceny. Powiodła spojrzeniem wzdłuż brzegu i zobaczyła, że trzecina łódź, która dryfowała po morzu, dotarła wreszcie do wyspy. Żołnierze autarchy pobiegli szybko w kierunku łodzi, z której wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie zbroję ze zwykłego metalu, za to zbroja i hełm drugiego miały dziwną, jakby rozjarzoną niebieskoszarą barwę.

Xiscy żołnierze zaatakowali przybyszów. Qinnitan była pewna, że ich los jest przesądzony, lecz zaraz zobaczyła, że ludzie autarchy cofają się, a dwaj pierwsi padli na ziemię niczym zepsute zabawki. Wysoki wojownik zgubił hełm i Qinnitan ujrzała, że jego włosy są niemal tak czerwone jak plama, która wykwitła na srebrzystym morzu.

Od razu go poznała, mimo że nigdy go nie widziała w jego prawdziwej postaci, i poczuła w sobie odrobinę powracającej siły. Nie może jeszcze umrzeć, nie może się poddać rozpacz. Musi w jakiś sposób pozostać przy życiu, choćby jeszcze trochę.

Barrick po nią przybył.

\*\*\*

Książę prawie się nie odzywał, kiedy płynęli po dziwnym morzu, i poruszał się tylko, gdy musiał się wychylić za burzę, by odepchnąć łódź. Kiedy jej dno otarło się o przybrzeżne kamienie, Barrick usiadł prosto i założył hełm.

Wreszcie łódź przybiła do brzegu, a on powiedział do Vansena jedynie dwa słowa:

– Za mną. – I zaraz wyskoczył w płytką wodę. Zanim wyszedł na brzeg, brnąc w lśniącej cieczy, która opływała jego nogi, jakby był samym Perinem kroczącym wśród chmur, kamienistą plażą biegły już ku nim dziesiątki xiskich żołnierzy.

Pierwsi południowcy dotarli do nich w momencie, gdy Vansen dogonił księcia, lecz zanim kapitan zdołał unieść topór Funderlingów, Barrick z łatwością odrzucił kilku napastników niczym ojciec mocujący się z gromadką dzieci. Któryś z żołnierzy stracił mu hełm z głowy, lecz zamiast poczuć się tym zachęceni do dalszego ataku, wrogowie zatrzymali się w miejscu, ujrawszy spojrzenie i szeroki uśmiech Barricka. Księżę tańczył między nimi, błyskając mieczem, jakby walczyli w pełnym dziennym świetle, a niemal za każdym razem, kiedy cofał ostrze, przeciwnik padał i już nie wstawał.

Na bogów, co się stało z tym chłopakiem? – zdumiał się Vansen. Jakaż to magia go prowadzi?

Ale kapitan nie dysponował magią ani czasem, by zastanawiać się nad przemianą niegdyś kapryśnego i okaleczonego młodzika, ponieważ musiał stawić czoło wrogom, którzy opadli go, zwietrzywszy w nim mniej groźnego przeciwnika. Vansen szybko skonstatował ze wstydem, że najlepszym sposobem na zachowanie życia będzie trzymanie się blisko Barricka, tak więc przyjął rolę osłaniającego tyły księcia.

Choć nie wydawało się, żeby Barrick specjalnie tego potrzebował. Po pierwszym gwałtownym ataku jego blade oblicze przybrało trochę nieobecny, egzaltowany wyraz twarzy, podobny tym, jakie Vansen widywał na obrazach przedstawiających wielkie wyroczenie rozmawiające z bogami. Tyle tylko że Barrick działał tu i teraz. Każdy jego wyważony ruch czemuś służył, a żadne uderzenie nie było silniejsze, niż było to konieczne. Księżę potrafił zablokować pchnięcie z jednej strony i zachować równowagę, tak by zamachnąć się w drugą stronę i pozbyć napastnika, który nieopatrznie podszedł o krok za blisko.

Barrick parł w górę plaży, kierując się ku autarsze stojącemu w odległości kilkuset kroków na czymś w rodzaju platformy, lecz każde pchnięcie, blokada, każdy pokonany przeciwnik, którego ciało odrzucał, prowadziły go zarazem w głąb szeregów xiskiej armii.

Czas, który dla Ferrasa Vansena już dawno się rozregulował, teraz jakby całkiem się zatrzymał. Nie potrafił powiedzieć, czy walczą na plaży dopiero od kilku chwil czy od wielu godzin – zdawało mu się, że postawienie kolejnego kroku naprzód zajmuje mu całą wieczność. Twarze xiskich żołnierzy przepływały przed jego oczami niczym wody rzeki.

Gdzieś niedaleko padł strzał ze strzelby; Vansen poczuł na twarzy ciepły podmuch przelatującej kuli. Któremuś przeciwnikowi udało się ominąć jego obronę i zaraz poczuł przeraźliwy ból w już wcześniej zranionym udzie. Robił wszystko, by utrzymać się na nogach, lecz na jego tarczę spadł ciężki buzdygan z taką siłą, że jeden z rzemieni pękł. Vansen odrzucił tarczę i osłaniał się szerokim trzonkiem topora. Już nawet nie próbował atakować, a tylko parował najbardziej niebezpieczne ciosy, by oddalić zagrożenie od Barricka.

Na tyłach atakujących rozległ się okrzyk. Inni go podchwycili i powtórzyli, lecz Vansen nie rozumiał chropowatego języka południowców. Buzdygan uderzył go w ramię, tak że niemal wypuścił topór. Zanim zdążył znowu podnieść broń, został rozdzielony z księciem na kilka kroków, a w lukę natychmiast wdarli się xiscy żołnierze. Udało mu się uderzyć jednego łokciem w twarz tak mocno, że usłyszał chrzęst łamanych kości, lecz upuścił topór i szybko został powalony na ziemię.

Żegnaj, księżniczko Briony, pomyślał, czując, jak opuszczają go resztki sił. Oddałem wszystko twojemu bratu... mam nadzieję, że mi wybaczysz...

Ku swojemu zdumieniu Vansen nie doczekał się ostatecznego ciosu, pchnięcia włócznią w brzuch ani dotyku ostrza na gardle. Kiedy go rozbrojono, został zmuszony do wstania, a potem związano mu ręce za plecami i poprowadzono do platformy autarchy.

Może ten szaleniec z południa potrzebuje więcej krwi do swoich czarów...

Barrick wciąż trzymał się na nogach. Vansen widział księcia otoczonego przez żołnierzy i jeszcze przez długie chwile wydawało się, że może uda mu się przebić, lecz księżę parł do przodu coraz wolniej, aż wreszcie się zatrzymał, zaledwie kilkanaście kroków przed miejscem, w którym czekał autarcha. Walka jeszcze całkiem nie ustała, kolejni

przeciwnicy cofali się, krzycząc z bólu albo przyciskając ręce do twarzy, lecz wreszcie południowcy zdołali powalić księcia na ziemię. Ruda głowa Barricka ukazała się nad nimi, kiedy żołnierze dźwignęli na ramiona jego nieruchome ciało, niemal z czułością. Poniesiono go na platformę i nieprzytomnego i zakrwawionego rzucono na deski. Chwilę później Vansen upadł obok niego.

– I co my tu mamy? – odezwał się gdzieś z wysoka głos spokojny, lecz jakoś przerażający. Ktoś mówił w języku Vansena prawie bez akcentu. – Poznają cię.

Ferras Vansen przeturlał się na bok, a potem na plecy i spojrzał na nienaturalnie wysokiego młodzieńca o brązowej skórze odzianego w złocistą zbroję. To musi być sam autarcha, pomyślał, ale kto by zgadł, że będzie taki młody?

Spojrzenie króla z południa przesunęło się z księcia na Vansena i autarcha zmarszczył brwi.

– Nie ty, północny psie. Ty jesteś niczym. Miałem na myśli twojego towarzysza. No, no, to musi być jeden z książąt. Kendrick? Nie, on nie żyje. Tylko, ach, te włosy... oczywiście. Barrick.

Książę chyba usłyszał swoje imię, ponieważ jęknął. Autarcha się zaśmiał.

– Spójrz, Olinie. Przybył twój syn, by popatrzeć, jak sam składasz się w ofierze. – Odwrócił się do grubego kapłana z wysokim nakryciem głowy. – Już czas. Drzwi są otwarte. Musimy przeprowadzić boga, by wejść w jego otwarte naczynie.

Król Olin? To on tu jest? Vansen podźwignął głowę, by się rozejrzeć, i przez chwilę dostrzegł króla, jak sądził, który zgięty wpół oddychał ciężko, właściwie dyszał.

Ciężki but przygwoździł Vansena do drewnianej podłogi.

– Och, nic, kapitanie Marukh. Niech wieśniak też popatrzy – zwrócił się autarcha do kapitana straży. – W końcu Olin jest jego królem... a niebawem ja będę jego bogiem!

\*\*\*



Ból się nasilał. Qinnitan wydawało się, że rozgrzewa się w niej każda kropla krwi i że zaraz upiecze się od środka jak koza wypchana gorącymi kamieniami. Ale chodziło o coś więcej niż tylko o ból: wydawało się, że powietrze zgęstniało i utrudniało oddychanie, stało się jak woda albo srebrzysta ciecz, która oblewała tę wyspę na samym dnie świata. A najgorsze było to, że wreszcie pojawił się Barrick, jedyna osoba, która trzymała ją przy życiu podczas całej tułaczki, ona zaś nie potrafiła nic zrobić, była bezradna.

Dlaczego mi to zrobiliście? – zwróciła się do bogów. Zabraliście mnie z Ula, powlekliście przez świat, poddając nieustannym mękom, by pokazać mi go na kilka chwil przed śmiercią. Przeklinam was!

Lecz jeśli nawet bogowie ją usłyszeli, w momencie, w którym zdawali się być bliżej niż kiedykolwiek wcześniej, nie zareagowali. Barrick leżał kilka kroków od niej, ale równie dobrze mógł się znajdować na końcu świata. Był tak poturbowany i zakrwawiony, że wątpiła, że jeszcze się ocknie.

I Olin! Na jakież tortury skazali go nieczuli bogowie?

Kiedy głosy kapłanów znowu się podniosły, władca z północy wreszcie przestał się trząść, ale Qinnitan prawie go nie widziała. Coś strasznego działo się z nią, jakby z każdą chwilą jej gotująca się krew parowała. Wszystko to, czym była, wszystko, co знаła i pamiętała, zaczęło się ulatniać.

– Ty, który lamentujesz! Który wynosisz! Który sprowadzasz zimę i ciemność! – intonował kapłan. – Panie Bramy! Ty, Który wiążesz Węzeł! Biały Korzeniu w Najgłębszej Ziemi!

*Przejdź do nas! Ukaż nam swe oblicze!*

*Drzwi są otwarte!*

*Przejdź do nas! Ukaż nam swój ogień!*

*Powstań! Ukaż nam swe oblicze!*

*Powstań! Ukaż nam swoje serce!*

*Powstań!*

Za każdym razem, kiedy kapłan wykrzykiwał to słowo, Qinnitan także je wypowiadała, podobnie jak Olin w dużej mierze pozbawiony

swej ludzkiej istoty. Qinnitan próbowała przeturlać się do cierpiącego króla, lecz nie była w stanie się ruszyć i z trudem trzymała się swoich myśli.

– *Powstań!*

– *Powstań!*

Nagle Olin się wyprostował i zaczął się kołysać jak kobra, z ustami zaciśniętymi w grymasie bólu. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, tak że widać było tylko białka.

– *Drzwi są otwarte!*

Istota była już tak blisko – Qinnitan czuła wyrwę w świecie wydrapaną szponem, a także ogromną straszną obecność, która próbowała się przepchnąć przez szczelinę. Jak kapłani mogą kontynuować inwokację? Jak Sulepis może stać tak spokojnie, z twarzą naznaczoną jedynie dziwnym półuśmiechem? Autarcha, jego żołnierze, kapłani wydawali się niemal nie zauważać tej strasznej obecności, która zabijała ją i króla z północy.

Oddech Olin przyspieszył, przypominał zgrzytliwe stęknienia. Uniósł rozłożone ramiona jak ptak skrzydła, jakby zmuszono go, by objął tego strasznego gościa. Z nosa króla popłynęła krew, a jego głowa opadła na bok.

Qinnitan czuła, jak istota wpycha się do ciała króla, lecz jednocześnie wnika także w nią niczym rozprzestrzeniający się żar. Wnikała w jej świat... w całe to miejsce!

Jej ciało skreśliło się, ugodzone bolesnym ukłuciem, i na chwilę wszystko pociemniało. Kiedy znowu mogła widzieć, zobaczyła, że Olin trzyma głowę odchyloną do tyłu z szyją wygiętą pod nienaturalnym kątem, jakby powieszono go na haku. Jego urywany oddech przeszedł teraz w jednostajny zawodzący krzyk bólu.

– Och, bogowie, jeśli macie choć odrobinę litości, pomóżcie nam! – zawołała Qinnitan, lecz nie odpowiedział jej żaden bóg.

Na dźwięk jej głosu Barrick otworzył oczy. W tym momencie, w tej jednej chwili, która została Qinnitan, ich spojrzenia się spotkały... a potem gorąca bezlitosna ciemność spłynęła na nią i całą połknęła.

## Ognisty śmiech

*Kiedy Zmeos przekonał się, co się stało,  
rozwścieczony opuścił zamek. Nie mogąc  
odwrócić tego, co się wydarzyło za sprawą  
Sieroty, Rogaty Wąż uciekł daleko na zimną  
północ, gdzie panowały lód i ciemność. A  
mieszkańcy Eionu uradowali się na widok  
słońca, które powróciło na niebo, i dziękowali  
Trzem Braciom...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Ci, którzy ich nie dosiadali, nic o tym nie wiedzieli – trzepomyszy i ptaki różniły się. Nietoperz nie lata tak gładko jak ptak, a i szybuje krócej. Dosiadający go jeździec musi mocno przywrzeć do jego mechatego ciała, bo inaczej kołysze się na boki i spowalnia lot.

Pędzik Łucznik wiedział to wszystko i jeszcze więcej – latał na nietoperzach, odkąd urósł na tyle, by ojciec mógł przywiązać go przed sobą do siodła. Mówiono, że nikt nie zna się lepiej na lataniu niż stary Pędziskrzydło, a jego syn był dumny z wiedzy przejętej po ojcu. Bo też co to za przyjemność badać wysokości świata na grzbiecie potulnego szczura czy na własnych nogach? Skrzydlaty wierzchowiec to atrybut prawdziwego Ryniennego Zwiadowcy.

Ale nie chodziło tylko o dumę z tego, jak potrafi latać na Burogniadej, to była kwestia życia i śmierci, a w szczególności teraz. Im dalej zapuszczał się w głębie, tym bardziej dokuczało mu cuchnące powietrze, tak jak za pierwszym razem, kiedy zaprowadził go tam Rogowiec. Już teraz trudno było mu skupić się na podróży, a za każdym razem, kiedy wierzchowiec wlatywał w zstępujący prąd powietrza i opadał gwałtownie albo wykonywał skręt na skrzydło i odwracał jeźdźca do góry nogami w czasie jednego uderzenia serca, Pędzik czuł, że coraz bardziej traci kontrolę nad trzepomyszą i nad sobą.

Obiecałeś, powtarzał w myślach. Obiecałeś Rogowcowi Funderlingowi i królowej. Przecież jesteś synem swego ojca! Tymczasem potrzebował aż godziny na przebycie Miasta Funderlingów i ciemnych korytarzy za Jedwabnymi Drzwiami, którą to drogę pokazał mu Rogowiec, a od tamtej pory minęło trochę czasu. Zachowanie czujności i utrzymanie równowagi na aksamitnym grzbiecie Burogniadej wymagało wysiłku, a Pędzik był zmęczony poprzednimi lotami. W miarę jak trzepomysz zanurzała się w zabójcze głębie, coraz trudniej mu było bronić się przed zaśnięciem.

Jego nozdrza owionął nowy zapach, słaby, ale mimo wszystko wyczuwalny, a z nim pojawił się szmer podobny do szumu oceanu, który rozbrzmiewał echem w Królewskiej Muszli Wrzecionowatej. Dźwięk się nasilał, mimo że powietrze stawało się coraz gęstsze, aż wreszcie umęczone zmysły Pędzika zaczęły mu zwodniczo podpowiadać, że przewrócił się do góry nogami razem ze swoim wierzchowcem: przecież taki ryk mógł wydawać tylko sam ocean! Jak to możliwe? Czy aż tak bardzo zablądził?

Nie, uznał po chwili namysłu, to nie może być zapach dobrego, pocziwego oceanu. Już wcześniej spotkał się z tą gęstą, mdłą wonią. To nie jest prawdziwy ocean, lecz paskudne srebrne morze Funderlingów w sercu ziemi.

Ale skąd pochodzą ten zapach i dźwięk? Wciąż był daleko od świątyni Braci Metamorficznych, nie wspominając o głębiach, do których wysłał go Rogowiec, a czas, jaki miał, by się tam dostać, szybko się kurczył.

Wahał się tylko przez chwilę, a potem ściągnął wodze i przechylił trzepomysz na skrzydło. Pędzik i jego wierzchowiec oddalali się coraz bardziej od jedynej znanej mu ścieżki. Pokonawszy kolejne wąskie i kręte korytarze – jeden z nich zbyt ciasny, by mogli przelecieć, więc Pędzik musiał zsiąść i przeprowadzić niespokojną Burogniadą – poczuł dziwny słony i metaliczny zapach intensywniej niż wcześniej. Zmieniło się też echo i szum piał się w górę, wypełniając – wszystko na to wskazywało – ogromną pieczarę.

Skoro wciąż jesteśmy tak daleko od oceanu, to skąd ten ryk?

Spiął trzepomysz ostrogami; spuściła głowę i zanurkowała, opadając spiralnie z taką prędkością, że Pędzik poczuł w uszach bolesny napór powietrza. Wydawało się, że bardzo długo opadali szerokim pionowym tunelem, aż wreszcie zupełnie nieoczekiwanie wynurzyli się z ciemności i znaleźli w rozległej pieczarze, w której słabo rozjarzone kamienie oślepiły Pędzika jak gwiazdy. Przez chwilę nawet Burogniada była zdezorientowana: wpadła w wir zimnego powietrza i runęła w dół. Jakiś czas opadali ku walczącym postaciom w dole – to ich głosy Pędzik wziął za szum morza – aż wreszcie odzyskał kontrolę nad trzepomyszą.

Pędzik obleciał ogromną pieczarę, a potem jeszcze dwukrotnie, usiłując zorientować się, co właściwie widzi. Na wyspie pośrodku srebrzystego jeziora uwijało się mnóstwo ludzi. Niektórzy, jak się wydawało, bronili wyspy przed napastnikami o zróżnicowanym wyglądzie; wielu przypominało Funderlingów, a przynajmniej byli podobni wzrostem. Pędzik uznał, że to do nich go wysłano, ale nie mógł tak po prostu wylądować w środku bitewnej zawieruchy i liczyć na to, że przeżyje.

Krążył jeszcze trochę, aż wreszcie dostrzegł grupkę Funderlingów, którzy przycupnęli na skraju pola walki, by chwilę odpocząć. Kiedy sprowadził w dół Burogniadę, jeden czy dwóch małych osobników odsunęło się z zaskoczeniem, lecz pozostali, brudni i zakrwawieni, nawet na niego nie spojrzeli.

– Przynoszę wiadomość dla Cynobra, a jakże! – zawołał Pędzik najgłośniejszym, jak potrafił, licząc na to, że go usłyszą i nie zmiotą razem z trzepomyszą jednym pacnięciem. Jego wierzchowcowi nie podobało się, że są otoczeni przez ogromne postacie, dlatego Pędzik z trudem panował nad trzepomyszą, kiedy popiskiwała rozgniewana. Lecz otepiali ze zmęczenia Funderlingowie tylko im się przyglądali.

– Potrzebuję Cynobra magistra! – zawołał Dachowiec. – Niech Pan Szczytu przeczyści wam uszy! Czy nikt mnie nie słyszy? Cynobra! Jestem Pędzik Łucznik i przynoszę wiadomość od Rogowca Lideryta!

Jeden z Funderlingów pokazał do tyłu na kamienny klif na skraju ogromnej pieczary.

– Magister jest ze swoim chłopakiem – powiedział. – To ten w zbroi. Tam go szukaj.

– Dziękuję ci, dobry panie. – Pędzik dotknął dłonią róna kapelusza i spał piętami boki Burogniadej. Wyprysnęli w powietrze. Wykonali jedno okrażenie, a potem Pędzik skierował wierzchowca ku podstawie skalnej ściany.

Dostrzegł Cynobra opartego o duży kamień pośród swoich towarzyszy. Przy nim leżał mniejszy Funderling, blady i nieruchomy. Pędzik wylądował w pobliżu, lecz Cynober wpatrywał się zatroskany w oblicze znieruchomiałego syna.

Dachowiec podniósł się w strzemionach i zamachał rękami.

– Wysłuchajcie mnie! Przybywam od Rogowca Lideryta! Czy ty jesteś Cynober magister?

Ranny Funderling skinął głową, lecz nie podniósł wzroku.

– Tak, jestem... jeszcze trochę. A potem Starsi zdecydują. – Dotknął dłonią twarzy chłopca. – Zabili mi syna. Zabili mojego kochanego Kalomela!

Pędzik pokręcił głową.

– Niech Pan go wyniesie. Wyrażam żal i proszę o wybaczenie, magistrze, ale moja sprawa nie może czekać.

Cynober zerknął na Pędzika bez większego zainteresowania.

– A czy jakieś sprawy mają jeszcze znaczenie? Nie widzisz, że straciliśmy wszystko?

– Być może. A być może nie. – Pędzik klepnął trzepomysz, która niechętnie podsunęła się bliżej. – Ale przysięgałem. A teraz słuchaj: Rogowiec kazał ci powiedzieć, że brat Nikiel go powstrzymał, że on nie może kontynuować tego, co zaplanował.

Cynober skierował na niego udęczone spojrzenie.

– To była płonna nadzieja. Naprawdę przebyłeś taki szmat drogi, żeby poinformować mnie o tym niepowodzeniu?

– Nie! – Pędzik czuł, że czas ucieka. – Astion, tak powiedział Rogowiec. Prześlij mu astion, a może jeszcze będzie nadzieja.

– Ach, nadzieja. – Usta Cynobra wykrzywił grymas uśmiechu. – Astion, powiadasz? Nawet na końcu świata Cech będzie się trzymał swoich regulaminów. – Wyjął zza pasa niedużą sakiewkę i wytrząsnął zawartość na kamienne podłoże. Pędzik czekał, mocno zniecierpliwiony, przysłuchując się głosom ludzi walczących i umierających w drugim

końcu pieczary. Funderling podniósł lśniący krążek z czarnego kamienia z sześcioramienną gwiazdą i podał Dachowcowi. Dasz radę go zanieść?

– Jeśli umieścisz go w torbie na moich plecach – odrzekł Pędzik.

– Ruszaj więc... choć to już nie ma znaczenia – powiedział Cynober.

– Zostało nas zbyt mało, południowców jest za dużo, do tego Qarowie i my uszczupliliśmy swoje siły we wzajemnej walce. Przegraliśmy.

Ale Pędzik już go nie słyszał: na swoim wierzchowcu pędził ku ogromnemu kominowi i górnym poziomom Tajemnic.

Pędzik Łucznik wiedział, że nie ma czasu, by dostarczyć Rogowcowi astion na powierzchni, że będzie musiał lecieć kominem bezpośrednio do Miasta Funderlingów i liczyć na to, że za pomocą mapy Rogowca odnajdzie jego przyjaciela brata Antymona i że on będzie mógł zrobić to, co należy. To, co Pędzik widział w wielkiej pieczarze w głębi ziemi, cuchnęło klęską.

To być może ostatnie godziny, pomyślał. Dla nas wszystkich. Przynajmniej wypełnię swój obowiązek, tak by Pan Szczytu był ze mnie dumny.

Pnąc się w górę ku czystszeremu powietrzu, Pędzik nie zauważył czarnej postaci, która zsunęła się ze skalnej półki, gdzie cierpliwie czekała. Ogromna szara sowa zataczała szerokie kręgi, aż Pędzik na trzepomyszy wyłonił się zza zakrętu, wtedy mocniej poruszyła skrzydłami i podążyła za nimi; jej oczy migotały pomarańczowym blaskiem, mimo że leciała prawie w całkowitej ciemności.

\*\*\*

W tej jednej krótkiej chwili ich spojrzenia się skrzyżowały, a potem ciemnooka i ciemnowłosa dziewczyna wykrzyknęła imię Barricka, drgnęła konwulsyjnie i znieruchomiała. Głosy Ognistego Kwiatu w jego głowie zamilkły. Słyszał tylko jeden głos.

– *Barricku!* – Głos dźwięczał bezsłownie i zanikał, jakby niesiony porywistym wiatrem. – *Barricku, to... ogień...*

A potem usłyszał jeszcze jeden głos, własny, który wyłonił się w jego wnętrzu z ciszy niczym zapomniany więzień z głębokiej celi.

– *Qinnitan!*



Przez ułamek sekundy poczuł to co ona – jej przemożny strach przed końcem, a także rozpaczliwą iskrę odwagi. I przez tę krótką chwilę czuł, jak topnieje w jego wnętrzu lód, twardość, która oddzielała go od własnego serca. Znowu był wolny, pozbawiony wszystkiego, nawet Ognistego Kwiatu, lecz była to wolność, którą odbierał jako straszną słabość.

Nie. Nie teraz. Nie mogę znowu być tak bezużyteczny! Barrick zmusił się, by unieść pulsującą głowę. Silny. Silny! Qinnitan leżała nieopodal, nieruchoma, może nawet martwa. Z jej nosa ciekła krew; jedna kropla zawisała na policzku, gotowa spaść na drewno. Przez krótką dziwną chwilę Barrick nic potrafił oderwać oczu od tej kropli krwi, wyobrażając sobie, jak rośnie, jak rozrasta się w ogromną lśniąca kulę, w cały świat krwi, do którego ktoś może wskoczyć i zniknąć w żywym szkarłacie...

Nie. Zamknął oczy. To była ludzka krew, taka sama jak ta rzadka ciecz w jego żyłach, która próbowała go osłabić. Teraz musi być Qarem.

Spróbował wstać, lecz kończyny nie były w stanie udźwignąć ciężaru ciała. Głosy Ognistego Kwiatu jęknęły, zrozpaczone bezradnością Barricka.

W ten sposób zmienili mnie Śpiący, uzmysłowił sobie. Dawnego, słabego Barricka zakopali głęboko w moim wnętrzu. Żebym mógł dotrzeć do Qul-na-Qar. Żebym mógł żyć z Ognistym Kwiatem. Pogrzebali go i otoczyli murem moje serce, by zachowało siłę. A pośród cuchnącego powietrza i zawodzenia kapłanów, a nawet niewyraźnej świadomości istnienia ogromnego i strasznego czegoś, co czaiło się za tym wszystkim – Barrick odczuwał trujący dar Śpiących, który powracał, by go chronić, ratować przed jego ludzkimi cechami.

Potrzebują mnie, Ludzie mnie potrzebują!

Dźwignął się na kolana i zebrał w sobie, by wstać, mimo że jego posiniaczone i zakrwawione kończyny chwiały się jak u nowo narodzonego źrebca. Od razu rzuciło się na niego kilku południowców i zaczęli go popychać, by padł z powrotem na twarz, lecz autarcha powstrzymał ich uniesieniem ręki.

– Odsuńcie się, Lamparty. Już nie popełnię więcej błędu zlekceważenia cię, synu Olina. Najwyraźniej twoi przyjaciele *pariki* przekazali ci kilka swoich magicznych sztuczek. Mokori!

Potężna dłoń zacisnęła się na luźnej kolczudze Barricka, odcinając mu dopływ powietrza, i szarpnęła go w górę, stawiając na nogach. Chwilę później złoty drut, cieniutki jak nić jedwabnika, zsunął się po głowie księcia i zacisnął na jego szyi. Barrick został przyciągnięty do jednego z największych cielsk, jakie widział. Autarcha roześmiał się i znowu machnął ręką.

– Tylko go nie zabij, Mokori! Syn Olina będzie widzem. Podejrzewam, że jako jeden z nielicznych rozumie, co się tu dzieje. – Autarcha cofnął się i odsłonił ojca Barricka, który leżał na ziemi wstrząsany drgawkami, jak ktoś ogarnięty zabójczą gorączką.

– Spójrz, Olinie – jeśli wciąż nim jesteś – zawołał zadowolony autarcha. – Przybył jeden z twoich synów, by zobaczyć, jak przyjmujesz Xergala, boga śmierci i podziemia.

Drut zaciskał się na szyi Barricka przy każdym jego ruchu. Nie sądził, by był zdolny się wyzwolić – dusicielka Mokori była niemal tak ogromna jak głębinowy ettin Młotostopy – lecz widok cierpiącego ojca, nawet mimo oszalamiającego zaklęcia Śpiących, czy cokolwiek to było, sprawił, że zaczął się szamotać, nie zważając na pętlę na szyi.

– Ojcze? – zawołał. – Ojcze, słyszysz mnie? – Lecz wydawało się, że Olin nawet go nie widzi, nie wspominając o rozpoznaniu.

Barrick poczuł chciwą radość tamtego niewidocznego obserwatora. W jakiś sposób zerował on na niedoli, na oszustwie i wstydzie. W ten sposób utrzymywał się przy życiu przez wszystkie te wieki w świecie snu... być może żywy, ale nie zdrowy na umyśle.

Nagle Olin zgiał się wpół i padł na twarz, młócąc nogami jak wisielec. Z ust króla popłynęło tak straszne i rozpaczliwe zawodzenie, że oczy Barricka wypełniły się gorącymi łzami. Pomimo wszystkich uraz, pomimo muru wokół serca, w tym momencie Barrick gotów był oddać życie, by uchronić ojca od tego cierpienia.

– Nadeszła noc przesilenia letniego! – zawołał autarcha. – Oto bóg nadchodzi! I wstępuje w naczynie!

– Tym naczyniem jest człowiek. Bądź przeklęty! – zawołał Barrick.  
– On jest królem!

– Przyjdź do mnie, wielki bogu, Xergalu lub Kerniosie czy jak tam się nazywasz! – Głos autarchy zabrzmiał donośniej niż inwokacje wszystkich kapłanów. – Przyjdź do mnie, Panie Ziemi, Samotniku, Szara Sowo, Wieczna Sosno! Przywołuję cię, byś przebył pustkę! Przygotowałem dla ciebie dom! – Autarcha rozłożył szeroko ramiona, jakby witał kochankę. – Przyjdź i zostań mym sługą na wieki – moim niewolnikiem!

Jęki króla Olina ucichły. Ojciec Barricka przewrócił się na plecy, a jego kończyny zeszywniały; przez chwilę wydawało się, że całe jego ciało pęcznieje i deformuje się, falując od głowy po czubki palców rąk i nóg, jakby wiano w nie gorącą substancję.

Barrick usłyszał okrzyk udrczenia i zaraz zorientował się, że padł on z jego ust. Wszystkich zawiodłem, pomyślał, poobijany przez chaotyczny przyptyw głosów Ognistego Kwiatu. Zawiodłem.

Rozległ się kolejny krzyk, tym razem krzyczał jeden z południowców, za chwilę następny i jeszcze jeden, krzyczeli też przestraszeni kapłani. Ciało Olina podniosło się niczym poruszana sznurkami marionetka i znieruchomiło w pozycji stojącej. Ludzie na platformie i dalej, na kamienistej ziemi, cofali się, niektórzy czyniąc znak Nushasha z rozpostartymi palcami, które symbolizowały promienie słońca, inni płakali przerażeni tym, co się działo w tym dziwnym miejscu, tak daleko od rodzinnego domu. Olin trwał nieruchomo niczym replika Lśniącego Człowieka, który wznosił się nad nimi, ciemny cień o ludzkiej postaci na środku wyspy.

– Przemów do mnie, sługo – rzekł autarcha. – Naprawdę jesteś bogiem ziemi?

Istota, jaką widział Barrick, już tylko trochę przypominała Olina.

– *Ten koniec klina* – odezwały się przejęte grozą głosy w jego myślach. – *Pęknięcie świata. Ostatni...*

Istota powoli odwróciła głowę do autarchy i Barrick aż wstrzymał oddech, kiedy zobaczył, jak bardzo zmieniły się oczy ojca; cokolwiek patrzyło teraz przez nie, wyzierało zza płataniny ognistych linii, które

wypełniały gałki oczne, jarzenie zalewało nawet brwi i twarz króla... lecz istota wciąż się nie odzywała.

– Pytałem, kim jesteś? – Głos autarchy nabrał ostrości.

– Jestem tym, który rozkazuje Sowie – odpowiedziała istota głosem tak słodkim, że przez chwilę Barrick niemal poczuł radość, że przeżył cały ten koszmar, by móc go usłyszeć. Lecz gdy słowa ucichły, wyczuł posmak bezgranicznego okrucieństwa drzemiącego w istocie, od którego wzburzyła się w nim krew. – Jestem panem Wężła i strażnikiem Sosny. Jestem Wronim Ojcem.

Sulepis zaklaskał jak zadowolone dziecko.

– Bóg śmierci jest moim niewolnikiem! Jesteś moim niewolnikiem, prawda, panie śmierci?

– Pozostaję niewolnikiem tego, który mnie przywołał, dopóki zatrzyma mnie w tym świecie.

Po raz kolejny piękny i straszny głos sprawił, że Barrick zapragnął paść do stóp istoty i błagać o przebaczenie albo rzucić się w srebrzyste morze i pograżyć w jego toni. Lecz najstraszniejsze w tym wszystkim było to, że istota przebywała w ciele jego ojca, którego twarz wykrzywiały nieporadnie jej nieludzkie emocje. Jak mógł kiedykolwiek sądzić, że naprawdę nienawidzi ojca, skoro widział, jak straszliwie dręczone jest jego serce?

– W takim razie musisz robić, co ci każę! Musisz! – Autarcha zamknął oczy i niemal znieruchomiał, jakby zastygł w miłosnej ekstazie czy religijnym uniesieniu.

Barrick nigdy wcześniej nie widział takiego zachwytu na ludzkim obliczu.

– Dopóki tu pozostanę, będę robił, co mi każesz – odrzekł bóg o martwym spojrzeniu. – Spalę cały świat do fundamentów, jeśli mi tak rozkażesz. Wyszę życie z każdej rośliny i zwierzęcia, ze wszystkiego, co chodzi i oddycha – mówiąc to, istota zaśmiała się, a był to tak słodko-koszmarny dźwięk, że głosy Ognistego Kwiatu ucichły, po raz kolejny zszokowane.

Ten bóg jest szalony, pomyślał Barrick. Zbyt długo pozostawał zamknięty, odcięty od świata. Jak ktoś pograżony we śnie, kto nigdy się nie budzi i już nie dostrzega różnicy między tym, co jest na zewnątrz

niego, a tym, co jest wewnątrz. I teraz oto został wypuszczony na świat, a jego jedynym strażnikiem jest inny szalowiec w złocistej zbroi.

Autarcha znowu zaczął się śmiać, głośno, z ekscytacją, niemal triumfalnie.

– Tak! Tak! Mój, mój, mój! – Trudno było stwierdzić, który z nich dwóch wydaje się mniej ludzki.

\*\*\*

– Uczyń mnie nieśmiertelnym – rozkazał autarcha, gdy już odzyskał panowanie nad sobą. W ciszy, jaka wypełniła ogromną pieczarę, jego głos niósł się daleko. – Uczyń mnie nieśmiertelnym, kimś takim jak ty!

– Nie zrobię tego – odrzekł bóg w ciele ojca Barricka.

– Co? – Sulepis się wyprostował i znowu znieruchomiał. Autarcha był wyższy niż Olin, lecz mimo jego wzrostu, przepysznej błyszczącej zbroi i pierzastych ozdób nikt ani przez chwilę nie sądził, że to autarcha jest tym, który posiada większą moc. Bóg płonął w ciele Olina, jarzył się tak, że patrząc na niego pod różnymi kątami, można było zobaczyć żyły i kości. Wydawało się, że czaszka króla jest z tego samego połyskującego kamienia, którego żyły wiły się na ścianach pieczary. – Rób, co mówię, albo cię zniszczę!

Barrick wciąż się trzymał. Odzyskał trochę siły, ale krwawił z wielu ran i miał połamane kości.

– Nie możesz mnie zniszczyć, Sulepisie am-Bishakh – odpowiedział bóg spokojnie. – Nie masz takiej mocy ani ty, ani ci śmiertelnicy. Nie możesz mnie do niczego zmusić.

– Co? Chcesz powiedzieć, że kłamałeś? – Głos autarchy już nie brzmiał ostro, lecz nagle stał się jedwabisty i groźny. – Chcesz powiedzieć, że obietnice, jakie mi słałeś przez ogromne Lustro Khau-r-Yisti, były nieprawdziwe? – Autarcha odwrócił się, jakby zamierzał przemówić do swoich żołnierzy, którzy w większości klęczeli z twarzami przyciśniętymi do kamieni albo uciekli w inne części wyspy. Tylko ci z jego straży przybocznej, jakieś dwa tuziny strasznych Lampartów, pozostali blisko Sulepisa, kapłanów i więźniów. – Sądzisz, że nie jestem przygotowany na taką sztuczkę kogoś, kto został

wypędzony z ziemi właśnie za zdradę? – spytał głośno. – Zmuszę cię w sposób, który ci się nie spodoba.

Twarz Olina, rozjarzona mdłym światłem w ciemnej ziemi, wykrzywiła usta w upiornym grymasie przypominającym śmiech.

– Powiedz, cóż to za sposób, mały imperatorze. Albo lepiej: pokaż mi.

– A’lat! – zawołał autarcha. – A’lat! Przynieś księgę!

Drobna postać o ciemnych włosach, pomarszczona i pochylona jak małpa, przykuśtykała szybko z tyłu platformy, trzymając w gruzłowej dłoni brązowy postrzępiony zwój. Kapłan uniósł pergamin i zaczął czytać zapisane na nim słowa. Głosy Ognistego Kwiatu przekazywały Barrickowi ich znaczenie wprost do jego obolałej głowy.

*Xergalu, wzywam cię z imienia i zobowiązuję!*

*Kerniosie, wzywam cię z imienia i zobowiązuję!*

*Panie Ziemi, wzywam cię z imienia i zobowiązuję!*

*Nie możesz umrzeć, lecz ja zabieram twoją radość!*

*Nie możesz umrzeć, lecz ja posyłam czarne mrówki, by cię pokąsały!*

*Nie możesz umrzeć, lecz ja posyłam kamyki pod twoją skórę, by ci dokuczały!*

*Nie możesz umrzeć, lecz wiatr zadmie i rozproszy twoje myśli!*

*Psy będą szczekać u twych okien!*

*Sen nigdy cię nie ukoi!*

*Twoje łóżko będzie równie samotne i niespokojne jak grób pozbawiony ofiar...*

Kiedy kapłan intonował te słowa, drewniana platforma zaczęła się kołysać i skrzypieć, jakby złożono na nią ogromny ciężar. Wydawało się, że skalne ściany zadudniły, przeszywając Barricka nieprzyjemnym drżeniem. Leżący obok niego Ferras Vansen zaczął odzyskiwać przytomność, ale Qinnitan wciąż leżała bez ruchu.

Za to istota w ciele króla Olina, o woskowym lśniącym obliczu, która w niczym nie przypominała człowieka poza zewnętrzną postacią, słuchała tylko, nieruchoma i niewzruszona.

*Panie Śmierci, na twe sekretne imiona, wymierzam ci karę!  
Panie robaków!  
Pusta szkatuło!  
Żelazne rękawice!  
Na twe tajemne imiona, przeklinam cię! Nie możesz mnie  
skrzywdzić!  
Spalona stopo!  
Srebrny dziobie!  
Królu Czerwonych Okien!  
Panie i niewolniku Wielkiego Węzła!  
Nie posłuchałeś mojego prawowitego wezwania,  
Twoje serce jest moje! Moje jest twoje szczęście!*

Kapłan skończył litanie złorzeczeń i zamilkł, bóg zaś wciąż stał nieruchomo, rozjarzony swoją esencją we wnętrzu woskowego ciała Olina.

– Naprawdę myślałeś, że pozwolę ci pokrzyżować moje plany po tym wszystkim, co zrobiłem? – zawołał autarcha zbyt rozgniewany, by się bać. – Znalazłeś się w pułapce, Kerniosie, uwięziony w ciele śmiertelnika! Ponieważ wzywam cię z imienia, mogę ci rozkazywać, a znam wszystkie twoje imiona, Pożeraczu Czaszek! I jeśli zechcę zniszczyć to naczynie, możesz umrzeć prawdziwą śmiercią, która przychodzi nawet na bogów!

– Tak mało wiesz. – Bóg rozłożył szerzej ramiona. Powietrze w pieczarze stężało, aż Barrick poczuł ból w uszach. Vansen, leżący tuż obok, jęknął i chwycił się za głowę. – To prawda, wymieniłeś imię... lecz nie moje.

– Zabijcie to! – krzyknął autarcha. Stojący dookoła strażnicy ruszyli nieporadnie do przodu. – Chwycie to i wrzucie do ognia, spalcie jak świecę!

– Nie! – Bóg wyciągnął przed siebie rękę i żołnierze padli na ziemię z dłońmi przyciśniętymi do piersi, jakby zostali ugodzeni strzałami, a ich broń i hełmy zagrzechotały na kamiennym podłożu. – Tak mało wiesz. Mnie tu nie ma w tej żalösnej skórze. Nawet po twoim rytuale tylko drobna część mojej istoty mogła przejść i zamieszkać w ciele tego

dwukrotnego uzurpatora. Reszta mojej osoby pozostaje uwieczona w krainie snu, dokąd wypędził mnie Szachraj... ale teraz on nie żyje.

– Jesteś moim niewolnikiem, Xergalu, Kerniosie czy jakie tam imię wybierasz, boże śmierci! – wrzasnął autarcha. – Nie zmieni tego nic, co powiesz albo zrobisz. Wypowiedziałem słowa, które dają moc. Przygotowałem drogę. A ty przeszedłeś i przyjąłeś to, co ci podsunąłem – śmiertelne naczynie, w którym jest prastara święta krew! Teraz jesteś mój, mój, powtarzam!

Bóg znowu się roześmiał. Jego śmiech wciąż przypominał muzykę, lecz pełną zgrzytów i fałszywych tonów w głowie Barricka, któremu się zdawało, że zaraz upadnie i zacznie krzyczeć.

– Głupcze – rzekł bóg w ciele Olina. – Nie możesz mnie okiełznać, ponieważ nie potrafisz mnie nazwać. A teraz spójrz pod stopy Lśniącego Człowieka, a zobaczysz resztę rozwiązania mojej zagadki.

Barrick odwrócił się wraz z innymi. Było bardzo prawdopodobne, że w słabym oświetleniu ogromnej pieczary jako jedyny rozpoznał małą przysadziłą postać idącą powłóczytym krokiem przez wyspę w kierunku monstrualnego kamiennego wybrzuszenia. To był medyk Chaven Makaros z kamiennym posążkiem Kerniosa w rękę i wyrazem twarzy kogoś, kto został przyłapany w świetle, a wolałby pozostać w ciemności.

– Kto to taki? – zapytał Sulepis, tracąc panowanie nad sobą. – Kto tam idzie?

– To mój niewolnik – odrzekł bóg w ciele Olina. – Widzisz, co niesie? To Boży Kamień, jak go nazywacie, którego bezskutecznie szukałeś. Ostatni kawałek Lśniącego Człowieka. Odłamał się dawno temu, kiedy Szachraj zagroził wyjście własną esencją życia. Ludzie, ignoranci, uczynili z niego fetysz, figurkę...

– Zabijcie go! – krzyknął niespodziewanie autarcha. – Łucznicy! Zabijcie tego człowieka!

Zanim Barrick zdążył zaczerpnąć tchu, nie wspominając o próbie wyrwania się wrogowi, świsnęły strzały wystrzelone w kierunku medyka oddalonego o jakieś sto kroków; wydawało się, że lecą prosto na niego, lecz ostatecznie ich groty uderzyły w kamienie, odłupując z nich



okruchy i nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Rozwścieczony autarcha ryknął i nakazał kolejną serię, lecz i te strzały nie dosięgły Chavena.

– Nie traficie go! – Twarz opętanego króla zdawała się rozdęta i niehumanoidalna, jakby coś przebijało się spod skóry. Barrick widział już coś podobnego, kiedy wyłowiono topielca z Laguny Wschodniej, którego spuchnięte ciało wyglądało o wiele bardziej groteskowo niż u normalnie zmarłego człowieka. – Zmaciałem oczy twoich żołnierzy!

– Wybacz, ojciec – wyszeptał Barrick. – Przepraszam, przepraszam.

..

Nawet niedrażniony grotem strzały Chaven jakby wreszcie oprzytomniał i zaczął zdawać sobie sprawę, co się dzieje wokół niego. Zwolnił kroku, a potem zatrzymał się i obrócił twarzą do platformy.

– Gdzie...? – Rozglądał się powoli, jakby nie rozpoznawał tego miejsca. – Skąd ja się tu wziąłem?

– Jesteś tam, gdzie powinieneś być, mój dobry, wierny sługo – rzekł bóg, prześwitując przez skórę Olina. – Zanieś Boży Kamień do Lśniącego Człowieka. Niech znowu się połączą, tak by przejście dopełniło się po tylu wiekach...

– Ale... ale dlaczego to tak boli? Obiecałeś niebiańskie szczęście!

– I zaznasz go. Tylko uzupełnij przejście.

Barrick nie rozumiał, co się dzieje, ale wiedział, że medyk jest biernym pionkiem i że żaden z potworów na platformie, ten śmiertelny i ten nieśmiertelny, nie powinien zatriumfować.

– Stój! – Szarpnął się tak, że drut dusicielki werznął mu się mocno w szyję. – Chavenie, nie rób tego! Zostałeś wykorzystany!

Poczuł uderzenie kolby strzelby Lamparta i nogi ugięły się pod nim, tak że przewróciłby się, gdyby nie metalowa pętla. Czerwona mgielka przesłoniła mu oczy. Medyk odwrócił się, jakby go nie usłyszał, i poszedł dalej w kierunku podstawy Lśniącego Człowieka, który rozjarzył się pulsującym światłem.

– Szybko! – krzyknął autarcha. – Powstrzymajcie go!

Żołnierze zbiegli po schodach platformy, by dopaść Chavena, lecz gdy ich stopy dotknęły kamieni, zaczęli się zataczać i potykać jak pijani, a potem rozeszli się chwiejnym krokiem na wszystkie strony, jakby stracili wzrok.

– Ich rozum został porażony – powiedział zadowolony bóg w ciele Olina. – Nigdy nie znajdą mojego sługi. A gdy Boży Kamień znowu połączy się ze Lśniącym Człowiekiem, zobaczysz, coś naprawdę zrobił, mały śmiertelny królu! – Znowu rozległ się melodyjny śmiech. – Zarozumiali śmiertelnicy, czy wiecie chociaż, czym jest Lśniący Człowiek? To nie jest bóg, lecz cień ostatniej chwili boga na tej ziemi. To znak pozostawiony na świecie od momentu, gdy ranny, umierający Szachraj posłużył się swoją esencją, by zamknąć drzwi między tym światem a światami poza pustką. Lecz teraz wreszcie umarł i gdy tylko Lśniący Człowiek znowu będzie cały, esencja, którą pozostawił Szachraj, zniknie!

– Dlaczego mi to robisz? – krzyknął Sulepis. Przyskoczył do Olina, by chwycić go za gardło, lecz zaraz cofnął dłonie i wrzasnął z bólu, machając rękami, jakby się oparzył. – Potwór! Kłamca! Dlaczego mi się sprzeciwiasz?

– Ponieważ jesteś aroganckim głupcem! – Bóg w ciele Olina znowu się zaśmiał. – Planowałeś przez lata, a ja przygotowywałem się sto razy dłużej! Chciałeś uwięzić mnie w ciele człowieka, lecz nie zadałeś sobie trudu, by zdobyć Boży Kamień, a bez niego nie masz nade mną żadnej władzy! – Kiedy Chaven zbliżył się do Lśniącego Człowieka, kolorowe błyski popłynęły w górę i w dół tej postaci, smugi mlecznobłękitnej i ciemnej, ale połyskliwej purpury, a nawet drobne błyski czerwieni pojawiające się tuż pod powierzchnią, podobne do letnich błyskawic, jakby ogromny kamień mający postać człowieka budził się do życia.

Dusicielka pozwoliła wreszcie Barrickowi opaść na kolana. Przez chwilę chwycił łapczywie powietrze, a czerwona mgiełka przysłaniająca mu wzrok powoli ustąpiła.

Wtedy w szczelinie blisko podnóża ogromnego Lśniącego Człowieka pojawiła się nowa postać, jakby czekała tam cały czas. Dziwny człowiek, którego Barrick nigdy wcześniej nie widział, obdarty, z brodą niczym pustynny prorok. Chaven, wiedziony wewnętrznym impulsem, w ogóle nie zauważył przybysza, ale nie miało to znaczenia, bo tamten widział go bardzo dobrze. Obcy wyszedł przed medyka i przez chwilę obaj zastygli w bezruchu, wpatrzeni w siebie. A potem brodata zjawą uniosła kamień i uderzyła Chavena w głowę. Medyk osunął się na

ziemię z posążkiem w rękę, tymczasem obcy pochylił się i dalej walił kamieniem w jego czaszkę, nieprzerwanie, aż Barrick, mimo że przeżył już tyle koszmarów, odwrócił się. Kiedy znowu spojrzał w tamtą stronę, przybysz stał już dumnie wyprostowany nad ciałem medyka z Bożym Kamieniem w zakrwawionych rękach.

– Na wszystkich moich przodków... to jest Daikonas Vo! – powiedział zdumiony autarcha.

– Niiieeee! – Teraz bóg w ciele Olina wyraził zdumienie i konsternację, a jego grzmiący i syczący głos już prawie wcale nie brzmiał jak głos człowieka. – To nie może... Nie! To nie jest zapisane!

Brodacz podniósł lśniący posążek nad głowę i ruszył chwiejnym krokiem do platformy niczym zwycięzca wiejskiego turnieju. Strażnicy wysłani przez autarchę po medyka wciąż błakali się jak lunatycy i jakby w ogóle go nie widzieli.

– Vo! – zawołał autarcha z ulgą i radością. – Daikonas Vo, mój cudowny żołnierz! Otrzymasz za to tysiąc darów! Złoto, dziewice, korzenie, czego tylko zapragniesz!

Człowiek imieniem Vo zatrzymał się, po czym opuścił rękę z posążkiem i spojrzał na niego, jakby dopiero teraz zorientował się, że niesie ciężką kamienną figurkę. Skierował mętne spojrzenie na Sulepisa.

Bóg w ciele Olina wił się z wściekłości i frustracji.

– Nie dawaj mu go! – zawołał. – Dlaczego mnie nie słuchasz?

Vo spojrzał na Olina z zaciekawieniem, lecz zaraz znowu odwrócił się do autarchy.

– Umieściłeś coś we mnie, Złocisty – powiedział. – To mnie zabija. – Vo spojrzał na swój brzuch. – Nie, to kłamstwo. Już mnie zabiło. Czuję to.

– To nieprawda! – Autarcha zamachał energicznie rękami, co sprawiło, że po raz pierwszy wyglądał jak młodzieniec, którym przecież był. – A'lat, chodź tu i powiedz mu. – Skinął na kapłana. – Powiedz mu! Powiedz mojemu dobremu żołnierzowi, że możemy sprawić, że wszystko znowu będzie dobrze. Wyleczymy cię, kapitanie Vo. Niczego się nie obawiaj. Zostaniesz wyniesiony w mojej służbie najwyżej jak to możliwe! Chcesz zostać panem północnej ziemi? Wicekrólem? Proszę bardzo! Gdzie jest Pinimmon Vash? Niech przyniesie kartę Bishakha, a

dopełnię formalności. Wash? Na płonącego Nushasha, gdzie się podział ten staruch?

Vo zachwiał się i Barrick zobaczył, że mężczyzna ledwo trzyma się na nogach.

– A dziewczyna z Ula?

– Oczywiście – rzekł autarcha. – Dziewczyna. Chcesz ją dla siebie? Zrobisz z nią, co zechcesz. Jest twoja. I tak już nie jest mi potrzebna!

Daikonas Vo postąpił kilka kroków w stronę autarchy i żołnierzy, trzymając posążek coraz niżej, jakby ten stawał się coraz cięższy. Niektórzy z południowców nałożyli strzały na cięciwy, czekając na rozkaz autarchy.

– Nie potrzebowałeś jej – powiedział Vo tak cicho, że był ledwie słyszalny.

– Co? – Słuch autarchy najwyraźniej nie był tak dobry jak Barricka.

– Co powiedziałaś? Chcesz więcej, Vo? Powiedz tylko!

– Nie była ci potrzebna. – Prawie wszyscy obecni na wyspie zamilkli, by móc go usłyszeć. – Umieściłeś demona w moich wnętrznościach, żebym na pewno dostarczył ci dziewczynę... a nawet nie potrzebowałeś jej do swojego teatrzyku. – Zgiął się w pasie, ugiął nogi w kolanach i wciąż się zniżał, aż stało się jasne, że zaraz upadnie na ziemię. Lecz on wyprostował się powoli. – I teraz chcesz także tego – mówił dalej.

– Lamparty! – rzucił cicho autarcha, lecz bynajmniej nie był spokojny. – Bądźcie gotowi...

– Ale tego nie dostaniesz. – Daikonas Vo odwrócił się szybko i z całej siły cisnął statuetką w kierunku Lśniącego Człowieka.

Autarcha i inni przyglądali się z otwartymi ustami, jak posążek szybuje ku Lśniącemu Człowiekowi, który nagle pociemniał; a potem, kiedy posążek zniknął w czarnym cieniu kamiennego wybrzuszenia. Lśniący Człowiek wybuchł oślepiającym światłem. Xiscy żołnierze stojący najbliżej cofnęli się, zasłaniając oczy dłońmi, płacząc i krzycząc, za to autarcha wydał tylko jeden okrzyk nabrzmiały rozpaczą.

Podczas gdy oślepiające światło rozlewało się na wszystkie strony, pieczara zadrżała, jakby gigantyczna dłoń ją podniosła i nią zatrzęsła. Platforma przechyliła się, tak że stojący na niej ludzie z trudem

utrzymywali równowagę. Lśniący Człowiek wciąż jaśniał, aż ostre jarzenie wyparło inne światło, aż wydawało się, że w pieczarze rozblęskło samo słońce.

Głosy Ognistego Kwiatu wypełniły głowę Barricka.

*Szachraj odszedł!*

*Strzeżcie się! Droga została otwarta! Biada całej ziemi!*

*Bogowie znowu będą wolni!*

Płynące strumieniem białe światło nagle przygasło i przybrało postać wiru barwy fioletu i indygo, niczym siniak na skórze, a potem zaczęło całkiem gasnąć. Drżenie też ustawało. Przez chwilę w miejscu, gdzie wcześniej stał Lśniący Człowiek, pozostała tylko czarna dziura o postrzępionych krawędziach, a potem ciało ojca Barricka osunęło się na ziemię obok niego, jakby rzucono worek pełen mokrego jedzenia. Luka pośrodku wyspy wypełniła się gorącym czerwonym światłem, a potem coś przemknęło przez nią, coś większego niż człowiek, co rosło z każdą chwilą, pochylony biały płomień mający postać pięknego młodzieńca odzianego w falujący ogień.

– MUSZĘ TERAZ PORZUCIĆ TWÓJ DAR ŚMIERTELNEGO CIAŁA – oznajmił bóg wywyższony nad wszystkich i wciąż rosnący. Jego głos brzmiał tak słodko, że Barrick zapragnął umrzeć od jego cudownej melodii. – BO, JAK WIDZISZ, POTRAFIĘ TERAZ STWORZYĆ WŁASNE...

– Nie! Jesteś mój, boże śmierci! – krzyknął autarcha.

Młodzieniec zaśmiał się, a jego włosy zafalowały bladymi płomieniami.

– MÓWIŁEM CI, ŻE JEŚLI NIE POTRAFISZ MNIE NAZWAĆ, NIE BĘDZIESZ TEŻ UMIAŁ MNIE OKIEŁZNAĆ. NIE JESTEM KERNIOSEM, KTÓRY WCIAŻ ŚPI RAZEM Z RESZTĄ BOGÓW, CHOĆ MOŻE KIEDYŚ OBUDZĘ MEGO OJCA, ŻEBY MI SŁUŻYŁ, JAK POZOSTALI NA DWORZE. NIE, TY GŁUPI ŚMIERTELNIKU! PRÓBOWAŁEŚ ZNIEWOLIĆ BOGA, ALE TO TY ZOSTAŁEŚ OSZUKANY PRZEZE MNIE – OSZUSTA, JAK NAZYWAJĄ MNIE CI LAMENTUJĄCY QAROWIE. I TERAZ ZOSIM SALAMANDROS JEST WOLNY! A TWOJE ARMIE ŚMIERTELNIKÓW ORAZ

## IDIOTYCZNE PRZEKLEŃSTWA I ZAKLĘCIA NIC DLA MNIE NIE ZNACZĄ!

Spotkałem już tę istotę, kiedy śniłem w mieście Sen, pomyślał Barrick. „Czy potrafisz zabić ciemność? – drwiła ze mnie. – Czy potrafisz zniszczyć twardą ziemię albo zamordować płomień?” Tak. Teraz, kiedy Szachraj nie żyje i droga jest otwarta, nie możemy go powstrzymać!

– PODEJDŹ DO MNIE, ŻOŁNIERZYKU! – zagrział Zosim. Chwyił Daikonasa Vo, człowieka, który go uwolnił, i podniósł wysoko. – PRZYSŁUŻYŁEŚ MI SIĘ, WIĘC PODARUJĘ CI COŚ! STANIESZ SIĘ CZEŚCIĄ BOGA! – Wrzucił Vo do swoich płomiennych ust i zaczął chrupać, jakby jadł pieczonego kasztana. – BĄDŹ DUMNY! – Zosim zaśmiał się, bekając ogniście i z zadowoleniem. – TERAZ JESTEŚ NIEŚMIERTELNY!

Monstrualna postać wciąż rosła, a powietrze stawało się gorętsze; ludzie krzyczeli i wybuchali płomieniami, usiłując uciec. Młodzieniec, wysoki jak katedra, bóg poetów i oszustów, spoglądał na ich bezowocne wysiłki i zagrział gromkim śmiechem, od którego aż zatrzęśły się kamienne ściany pieczary.

## Węże i pająki

*Wielu pobożnych ludzi przybyło do Tessideme, by zobaczyć miejsce, w którym słońce wróciło na niebo, a także by złożyć ofiarę na grobie Sieroty. Wciąż napływali nowi pielgrzymi, aż z czasem Tessideme wyrosło na miasto okolone wysokimi murami, w którym zamieszkało wielu ludzi i nazwali je Tesis.*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Stwór, który podążał za nim, przybliżył się i po raz pierwszy Pędzik zobaczył go wyraźnie, kiedy się odwrócił. To była szara diabelska sowa, ogromny ptak o rozjarzonych oczach, które świeciły jasno jak lampy w ciemności.

Diabelskie sowy były nocnymi myśliwymi – choć Pędzik nigdy nie słyszał, by jakaś polowała tak głęboko pod ziemią – lecz w tej chwili nie było sensu się zastanawiać, dlaczego akurat ta się tam znalazła. Drapieżnik leciał tuż za nim, zręcznie podążając za Burogniadą, i nigdy nie zostawał w tyle. Pędzik wyczuwał, jak mocno pracuje skrzydłami trzepomysz, usiłując zgubić ogromną sowę, za to ona zdawała się sunąć niemal bez wysiłku. Trzykrotnie udało jej się zbliżyć na tyle, że wzniosła się nad głowę Pędzika, gotowa spaść na niego i zaatakować. Za każdym razem ratowała go Burogniada, która w ostatniej chwili skręcała, unikając szponów drapieżnika, a nie przebyli jeszcze nawet połowy drogi. Sowy potrafiły polować w całkowitej ciemności, jeśli znały teren; mając doskonały słuch, poruszały się bezgłośnie i nie potrzebowały dużo światła nawet w obcym miejscu. Pędzik wyobraził sobie, że zanim dotrze do celu, drapieżnik pochwyci ich w ostre pazury i rozerwie na strzępy jego i trzepomysz ogromnym zakrzywionym dziobem.

W całym barwnym życiu Pędzika była to najstraszniejsza podróż. Przywarł mocno do grzbietu trzepomyszy, przyciskając brzuch do jej

barków i karku, by zmniejszyć opór powietrza, podczas gdy Burogniada płynęła przez wąskie korytarze, lecz nawet jeśli były miejsca, w których sowa musiała zwalniać, to nie udało im się zostawić jej daleko w tyle: była silna i ścigała ich z zawziętością, jakiej nigdy nie widział u ptaka, jakby miała na grzbiecie jeźdźca, który ją popędzał. Dwukrotnie próbował schować się w zagłębieniach niedostępnych dla sowy, lecz ta czekała cierpliwie, tak że w końcu ruszał dalej, wiedząc, że nie ma czasu.

Momentami Pędzik zdobywał się na odwagę i wylatywał w przestwór wielkiego komina, który prowadził go do głębi i z powrotem, lecz potem jak najszybciej wspinał się wyżej, zanim potwór go dogonił i zmusił do wycofania się do węższych i bardziej bezpiecznych bocznych korytarzy. Był to jedyny sposób poruszania się we właściwym kierunku, ponieważ w tym chaosie nawet jego doskonały instynkt nie nadążał za skrętami i zwrotami mniejszych tuneli, dlatego równie mocno bał się, że zgubi drogę, jak tego, że zostanie schwytyany i pożarty.

Tylko czy to w ogóle miało znaczenie? Czy Funderling nie powiedział mu „to nie będzie miało znaczenia” czy jakoś tak? „Już nie żyjemy”, rzekł Cynober.

Wszyscy? Co to znaczyło, zastanawiał się Pędzik przyklejony do grzbietu lawirującej trzepomyszy. Czy obejmowało też Dachowców? Czy chodziło o koniec także jego ludu? Czy nie miał szans na powodzenie?

Wysoki Panie, naprawdę nie pragniesz już niczego dla twojego wiernego ludu?

Modlitwę przerwał mu szum powietrza tak głośny, że zwrócił jego uwagę. Pędzik nawet nie próbował się odwrócić – dobrze znał łopot sowych skrzydeł pracujących w pobliżu. Pociągnął głowę trzepomyszy w bok i skęcili gwałtownie w chwili, gdy szpony przemknęły tuż obok, a jeden z tylnych pazurów rozorał skrzydło Burogniadej, tak że mały nietoperz zapiszczał z bólu i przerażenia.

Nie uciekniemy, pomyślał Pędzik. Nie przeczekamy. Tylko patrzeć, jak położy na nas łapę i wróci do gniazda z kolacją. Pędzik spróbował sięgnąć ręką za plecy do rękojeści miecza, co nic było łatwe, gdyż lawirowali między stalaktytami, które zwisały z sufitu w długiej, wąskiej



pieczarze i tylko one utrzymywały diabelską sowę w bezpiecznej odległości. Wreszcie namacał pochwę, która zsunęła się daleko na plecy podczas nierównego lotu, i dotknął rękojeści; przez jakiś czas lecieli w miarę prosto i wtedy Pędzik zebrał się na odwagę i wyciągnął igłę królowej Sanasu.

Pierwszy i ostatni raz sięgam po królewski miecz, pomyślał ze smutkiem. No cóż, przynajmniej na coś się przyda...

Opadł w pierwsze boczne zagłębienie, odchodzące na co najmniej kilka jardów, zadowolony, że dosiada trzepomyszy, która lepiej sprawdzała się w takich miejscach niż inne wierzchowce. Starał się pozostać jak najwyżej w tunelu – a właściwie w szerokiej szczelinie – co nic zawsze było możliwe; kiedy trzepomysz zanurkowała, by uniknąć kamiennych kurtyn, które pojawiały się jedna za drugą, sowa ponownie zaatakowała. Pędzik wykonał skręt, niemal wypadając z siodła, mimo że był przywiązany, i zebrał się w sobie, uderzył. Udało mu się zaledwie ukłuć gruzłowatą łapę sowy tuż za pazurem. Ptak zaskrzeczał głośno i zatrzepotał skrzydłami, zwalniając.

Więcej nie popełni tego błędu, pomyślał Dachowiec. Ale wróci, na pewno.

Przypominało to jego najgorsze koszmary z dzieciństwa, w których na Pędzika polowały sowy i inne ptaki, on zaś ostatkiem sił uciekał na otwartej przestrzeni, gdzie nie mógł się nigdzie schować przed zbliżającym się skrzydlatym cieniem. Tym razem jednak się nie obudzi i nic przytuli do siostry czy brata śpiących tuż obok.

Pędzik kilkakrotnie miał okazję zobaczyć swego prześladowcę. Było jasne, że sowy nie prowadzi żaden jeździec, mimo to nie zamierzała zaprzestać pościgu. Jest chora? Szalona? Każda inna już dawno dałaby sobie spokój.

Jeszcze dwukrotnie ptak zbliżył się na tyle, by Pędzik mógł dźgnąć go mieczem, w łapę i w koniec ogromnego skrzydła, kiedy przepływało tuż nad jego twarzą. Za każdym razem sowa wydawała krzyk wściekłości i protestu, lecz nie rezygnowała z pościgu.

Burogniada osłabła i zniżyła lot, lecz zaraz podjęła wysiłek, by wrócić jak najwyżej pod sklepienie, lecz sowa wykorzystała jej chwilowy kryzys i po raz kolejny wzniosła się ponad nią. Pędzik

wiedział, że w najlepszym razie ma jeszcze parę sekund, dlatego ściągnął wodze i skierował trzepomysz w kolejną szczelinę, która prowadziła do szerokiego komina, świadomy, że to jego jedyna szansa: z sową nad sobą i coraz słabszym wierzchowcem nie przeżyłby kolejnego ataku.

Wyczerpany Pędzik z radością zobaczył, że jego przypuszczenia się potwierdziły, i chwilę później wylecieli w ciemną przestrzeń, lecz sowa była tuż za nimi i nie można było liczyć na to, że zdołają uciec na samą górę komina... jeśli w ogóle istniała jakaś góra komina. Skierował trzepomysz do ściany, ufając, że znajdzie jakieś skalne występy, które mogłyby ich osłonić, lecz wciąż znajdowali się daleko od stanowiska pracy Funderlingów, a Burogniada była wyczerpana i ledwo poruszała skrzydłami. Wiedział, że nawet jeśli nie zostaną zaatakowani, trzepomysz nie wytrzyma, jeśli nie będzie mogła odpocząć.

Nagle ogromny skrzydlaty cień spadł na nich z boku, co zupełnie zaskoczyło Pędzika – nie zdawał sobie sprawy, że są tak odsłonięci. Zdażył zadać cios mieczem, ale chybił. Szpony sowy zacisnęły się, nie zdoławszy jednak pochwycić nietoperza, ale pazur zaczepił o rzemień siodła Pędzika, strącając go z grzbietu Burogniadej. Trzepomysz zapiszczała przestraszona i opadła gwałtownie, lecz sam Pędzik leciał wciąż w górę, jakby zamierzał kontynuować swoją desperacką podróż bez wierzchowca. Chwilę później osiągnął maksimum wznoszenia się i zaczął spadać, koziołkując, coraz niżej i niżej...

\*\*\*

– Dlaczego nigdy tu nie byłam? – zapytała księżniczka Rogowca, kiedy szli wąską ścieżką biegnącą wokół krawędzi ogromnej dziury, którą Funderling nazwał Dołem. – Jak mogłam nie wiedzieć o istnieniu ścieżki, która prowadzi z naszej krypty w głąb ziemi?

– Ta ścieżka była wykuwana dłużej niż Drogi Burzowego Kamienia, którymi prowadziłem cię do twierdzy wewnętrznej – wyjaśnił Rogowiec. W szaleństwie tych ostatnich godzin zabrzmiało to banalnie. – Moi przodkowie z tamtych odległych czasów bali się, że... twoi przodkowie mogą zechcieć zamknąć nas w Mieście Funderlingów, tak jak my

obawialiśmy się tego za czasów Burzowego Kamienia. Chcieliśmy mieć własne wyjścia z miasta i dostęp do niego.

– A więc złamaliście królewski dekret?

– Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, postąpilibyście tak samo, gdyby kilof był w waszych rękach, jak mawiamy. Każdy próbuje się chronić. Dlatego wybudowaliśmy Drogi Burzowego Kamienia, a także tę ścieżkę.

– Wytłumacz mi to.

Rogowiec spełnił jej prośbę, zastanawiając się przy tym, jaka przyszłość czeka jego ludzi, jeśli w ogóle przeżyją. Jeżeli duzi dowiedzą się o nas wszystkiego, będziemy zdani na ich łaskę. A ja w dużym stopniu przyczynię się do tego.

– Ponieważ się nas baliście – powtórzyła beznamiętnym tonem księżniczka, kiedy skończył opowiadać. – Cała ta praca, wszyscy robotnicy, ranni a nawet zabici... wszystko dlatego, że baliście się mojej rodziny. – Pokręciła głową. – To ponura spuścizna.

Ton jej głosu natknął Rogowca pewną nadzieją.

– Nie możesz się winić za to, co robili twoi przodkowie.

– Wręcz przeciwnie. Nasze prawa do tronu opierają się na tym, czego dokonali nasi przodkowie! Jeśli historia nie ma znaczenia, podobnie jest z dynastią Eddonów.

Rogowiec wzruszył ramionami.

– W takim razie może każde kolejne pokolenie musi od nowa zapracować na tron.

Briony otworzyła szerzej oczy.

– Zaskakujesz mnie, mistrzu Liderycie. To doprawdy...

Księżniczka nie zdążyła dokończyć tego zdania ani w tej chwili, ani później. Podążali ścieżką wokół wypiętrzenia, zmuszeni trzymać się niepokojąco blisko wewnętrznej krawędzi, gdy nagle światło pochodni ukazało ciemną postać rozciągniętą na ziemi przed nimi.

– Na Gorącego Pana! – zawołał Rogowiec i zaraz poczuł ukłucie wstydu, że wypowiedział bluźnierstwo w takim miejscu, tuż nad Tajemnicami i Morzem w Głębiach. – To ten człowiek, z którym walczyłaś, lord protektor!

Briony ostrożnie trąciła leżącego butem.

– Nie był niczym protektorem.

Jedyne oko Hendona Tolly’ego otworzyło się niespodziewanie. Rogowiec wstrzymał oddech i odskoczył, lecz lord protektor się nie poruszył. Wydawał się w nich wpatrywać, lecz trudno było powiedzieć, czy cokolwiek widzi. Drugie oko przesłaniała zakrzepła krew i rękojeść małego sztyletu Briony.

– Próbowaleś zniszczyć wszystko, co kocham – powiedziała. – Ale ci się nie udało, Hendonie Tolly. Spędzisz wieczność z takimi jak ty, ze żmijami i pajakami, w ciemności. – Wyrwała sztylet z oczodołu i zanim rana znowu zaczęła krwawić, przyłożyła stopę do piersi Tolly’ego i skopnęła go w ciemną otchłań.

Kroki Rogowca stawały się coraz cięższe, w miarę jak schodzili w dół.

– Wasza Wysokość – powiedział, zatrzymując się. – Naprawdę nie mogę prowadzić cię dalej. Jesteśmy już pewnie na poziomie Miasta Funderlingów, może dałoby się gdzieś tu przejść i wrócić tamtędy.

– Tam, gdzie jest ostatnie gniazdo oporu Durstina Crowela i innych morderców, którzy poparli Tolly’ego? Dlaczego miałabym tam iść? Chcesz powiedzieć, że tą drogą nie dojdziemy do mojego ojca, brata i Qarów? – Spojrzała na niego. – Okłamałeś mnie?

– Nie, pani, nie. – Funderling pokręcił głową. Dostrzegał w tej młodej kobiecie wiele cech Opal, jakkolwiek arogancka wydawała się ta myśl. Obie miały kręgosłupy z żelaza i nie spodziewały się po nim zbyt wiele dobrego. – Ale z każdą chwilą zbliżamy się do pewnego rodzaju katastrofy. – Poczul, że teraz, gdy nadszedł ten moment, nie chce jej o tym powiedzieć. Taka brzemenna w skutki decyzja i oto monarchini miała się o niej dowiedzieć od zwykłego członka Cechu, który postanowił za nią! – Pani, czy zaufasz mi, jeśli po prostu powiem, że nie powinniśmy iść dalej? Że niebezpieczeństwo jest zbyt duże?

Wciąż się w niego wpatrywała, a jej oblicze ani trochę nie złagodniało.

– Czy ci zaufam, Rogowcu Liderycie? Oszalałeś? Niemal wszyscy pozostali przy życiu członkowie mojej rodziny są głęboko pod ziemią i walczą o życie. Na niebiosa, dlaczego miałabym się tu zatrzymać?

Rogowiec się domyślał, że księżniczka nie ustąpi, a tym bardziej nie zawróci, i wiedział też, nauczony wspólnym życiem z inną upartą kobietą, że sam nie ma wyboru.

– W takim razie zatrzymajmy się tu na kilka chwil, Wasza Wysokość, a ja spróbuję ci wyjaśnić, dlaczego nie powinniśmy iść dalej...

\*\*\*

Rogowiec skończył mówić, a księżniczka wpatrywała się w niego w milczeniu. Funderling nie potrafiłby wymienić wszystkich uczuć, jakie wyrażało jej oblicze – strach, zaskoczenie i gniew były najwyraźniejsze.

– Czy ja dobrze słyszałam? – odezwała się wreszcie. – Wy, Funderlingowie, zamierzacie to zburzyć? Wysadzić posady mojego rodzinnego domu? Ze wszystkimi, którzy wciąż tam mieszkają? I z członkami mojej rodziny, którzy spoczywają w dole, w samym sercu zamku? Zmrużyła oczy. – Chcesz powiedzieć, że to twój plan?

– Tak, ale miał zostać zrealizowany tylko wtedy, gdyby przepadła wszelka nadzieja, księżniczko. I plan jest bardziej złożony, niż to przedstawiłem, bardziej subtelny, uwierz mi! – Nie chciał jej powiedzieć, że jego zdaniem i tak jest za późno na jakiegokolwiek działania za późno, by pokonać autarchę lub by wcielić w życie jego desperacki plan. Czuł jak opuszczają go siły niczym suchy piasek wysypujący się z worka. Czy jeszcze cokolwiek ma jakieś znaczenie? Od tak dawna myślał o tylu rzeczach, których się obawiał, lecz nie przewidział, że w tej ostatniej godzinie znajdzie się daleko od wszystkich, których kocha, i nie będzie mógł umrzeć razem z nimi. Szaleństwo, to było szaleństwo.

Księżniczka zamrugała i skinęła głową, po czym odwróciła się i ruszyła przed siebie ścieżką w dół. Rogowiec poruszył się niespokojnie.

– Księżniczko? Dokąd idziesz?

– A jak myślisz, Funderlingu? – rzuciła przez ramię, nie zatrzymując się. Wydawało się, że w tym momencie nie bardzo ją obchodzi osoba Rogowca. – Idę zginąć razem z moją rodziną. Każdy może wybrać własną śmierć.

– Ale, Wasza Wysokość, jeśli proch zadziała, skały się zawalą!

Odwróciła się i ukazała mu twarz stężoną we wściekłości. Po raz pierwszy Rogowiec zauważył, że od ich pierwszego spotkania w księżniczce zmieniło się coś więcej niż tylko powierzchowność. Dojrzała, lecz nie wiekiem, lecz... wewnątrz. Stała się silniejsza. Teraz było w niej coś, czego nie potrafił nazwać, a co napawało go lękiem.

– Podjąłeś ryzyko za mnie, Funderlingu – powiedziała. – Teraz pozwól mi zrobić to, co muszę.

– Na pewno jest już za późno...!

– Zamilknij! – Postąpiła krok ku niemu i przez chwilę Rogowiec sądził, że go uderzy. – Dopóki mój ojciec nie zasiądzie ponownie na tronie, ja jestem księżniczką regentką. I wszyscy, którzy żyją na ziemi i pod ziemią, twoi i moi ludzie, powinni być pod moją opieką, lecz ty i twoi kamieniarze odebraliście mi to prawo. Zostaw mnie teraz... a jeśli nie będziesz na tyle miły, to przynajmniej się nie odzywaj. – Znowu się odwróciła i ruszyła wyboistą ścieżką w ciemność z nożem w każdej dłoni.

Rogowiec wahał się długą chwilę, a potem pospieszył za nią.

\*\*\*

Aesi'uah czekała, aż jej pani wróci z krainy snu. Córka prastarego Snu czekała cierpliwie, aż Saqri i inni złożą ofiarę z siebie, aż dopełni się rytuał autarchy, nie zważając na krzyki przerażenia płynące przez pieczarę, kiedy rozjarzony kamień na wyspie zaczął rosnać, jakby Lśniący Człowiek przybrał monstrualną nieśmiertelną postać. Aesi'uah nie miała nic przeciwko czekaniu: nic innego jej nie pozostało. Nie była wojowniczką, lecz eremitką, i mogła tylko czekać, aż jej pani poprosi ją o pomoc.

Yasammez otworzyła oczy, czarne i przepastne, lecz nie ruszyła się ze swojego miejsca; długo siedziała ze skrzyżowanymi nogami na skalnym podłożu u stóp klifu pod Labiryntem. Wreszcie wstała.

– Teraz umrę – oznajmiła. – Zbierz tych spośród Ludzi, którzy jeszcze mogą iść. Każ im jak najszybciej zanieść moją słodką Saqri i pozostałych rannych na powierzchnię.

Aesi'uah nie miała wątpliwości, że Saqri już nie można pomóc, ale posłusznie skłoniła głowę.

– A co ze Strażnikami Żywiołów? Wyczuwam, że nalegają, byś im odpowiedziała.

– Już udzieliłam im odpowiedzi, która brzmi nie – nie użyję Jaja Gorączki. Śmiertelnik Barrick Eddon czegoś mnie nauczył.

– Naprawdę, pani?

Uśmiech Yasammez przypominał cięcie nożem. W oddali xiscy żołnierze umierali w płomieniach z rąk rozradowanego boga, a ich krzyki przypominały płynące z daleka skrzeczenie ptaków.

– Naprawdę – odpowiedziała. – Wydaje się, że ich krótkie życie znaczy dla nich tyle co bezkresne istnienie samych bogów, a może nawet więcej. Jakie mam prawo im je odbierać, sama obdarowana przez niebiosa tak długim życiem? Być może w jakiś sposób ułożą się z powracającymi bogami i napiszą zakończenie, jakiego nie potrafię przewidzieć. Nasi ludzie przecierpieli Długą Porażkę, ale być może ta opowieść będzie inna.

Yasammez wysunęła z pochwy Biały Ogień. Migotał jak brylant, jak okruch księżyca. Podniosła miecz i powiodła wzrokiem wzdłuż klingi.

– Dawno temu tą potężną bronią władał bóg słońca. Zabijał innych bogów. – Skinęła głową. – Sam Długobrody padł, ugodzony nim, a mówiono, że był największym spośród niebiańskich wojowników. Przekonamy się, czy w tym mieczu jest moc na jeszcze jedną walkę, czy potrafi przelać krew kolejnego nieśmiertelnego. Szkoda, że nie mam siły boga słońca.

Odwróciła się do Aesi'uah.

– Podejdź tu.

Yasammez pochyliła się i ku zdumieniu eremitki złożyła delikatny pocałunek na jej czole.

– Byłaś dobrą służącą, Aesi'uah, jedną z najlepszych, jakie znałam w całym moim niezmiernym życiu. Mam nadzieję, że gdy spotkasz

swoją śmierć, będzie ona łagodna. Jeśli moja po-wielekroć-prawnuczka przeżyje tę godzinę, powiedz jej, że Ludzie umierali szlachetnie. Nie mogłam liczyć na nic więcej. – Yasammez odwróciła się i zaczęła schodzić po skalnej pochyłości ku srebrzystemu morzu, które zaczynało parować, ogrzane rozprzestrzeniającymi się płomieniami Zosima. Po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła do eremitki. – Jeśli ludzkie dziecko jeszcze żyje i je spotkasz, przekaż mu, że pamiętam jego słowa. Uznałam, że pozwolę jego ludziom, jak i moim, znaleźć własny koniec. Mam nadzieję, że rozumie brzemie, jakie teraz musi dźwigać.

Córka Szachraja ruszyła dalej w dół ku pogrążonemu we mgle srebrzystemu morzu, ku bogu, którego dotąd spotkała tylko raz i nie chciałyby spotkać znowu. Szła spowita aurą, która wirowała i rozprzestrzeniała się, mroczna i straszna jak burzowa chmura, atramentowa plama na tle rosnących płomieni.

\*\*\*

Pędzik spadał i w tej krótkiej chwili zdążył pomyśleć o tym, że nie podołał zadaniu: nawet gdyby jakimś cudem spadł na wąską ścieżkę, a nie w przepaść, nawet gdyby przeżył z połamanymi kośćmi, nie byłby w stanie dotrzeć na górę do obozu Funderlingów.

I wtedy coś go złapało.

Owinęło się wokół niego, miękkie i ciepłe, ale solidne, tak że przez chwilę pomyślał, że pewnie wpadł na ścigającą go sowę – nic innego nie przyszło mu do głowy. Lecz chwilę później został uniesiony wysoko, a dłoń, która go trzymała, otworzyła się i Pędzik nagle się zorientował, że patrzy na świecący koral Funderlingów umieszczony w lampie na głowie płowowłosej postaci, która z kolei wpatrywała się w niego.

– Witaj, Pędziku – rzekł Krzemień. – Tak myślałem, że cię tutaj znajdę.

Pędzik wpatrywał się zdumiony w znajomą twarz.

– Ależ... ty jesteś... synem Rogowca. Co tu robisz?

– Miałem przeczucie, że powinienem być tutaj – odrzekł chłopak. – I nie pomyliłem się. Zosim przejrzał twoje zadanie i wysłał za tobą



ptaka. Nie ma czasu na gadanie. Musisz iść dalej, ruszaj! Brat Antymon czeka.

Pędzik mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy nic leży gdzieś, ogłuszony albo nawet martwy, i śni to wszystko.

– Nic dam rady. Nic mam jak się tam dostać. Sowa zabiła mojego wierzchowca.

Krzemień uniósł drugą dłoń do światła koralowej lampy. Kiedy rozchylił palce, Pędzik ujrzał brązową mechata postać Burogniadej.

– Nie – uspokoił go chłopak. – Ją też złapałem.

Pędzik nie potrafił się powstrzymać i zaśmiał się głośno.

– Co to za cud? Dzieło samego Pana Szczytu. Coś, co nie wydarzyło się od wieków, prawda?

– Być może – odrzekł Krzemień. – Nie jestem pewny. Ale lepiej ruszaj w drogę.

– A sowa?

– Nie ma jej. Strącając cię, zrobiła, co do niej należało. Została uwolniona. Raczej już jej nie spotkasz.

– W takim razie pomóż mi dosiąść mojej trzepomyszy. Może kiedyś, synu Rogowca, będziesz tak dobry i wyjaśnisz mi wszystko.

– Może. – Krzemień skinął głową. – Ale to jest coś, czego nie widzę.

Burogniada była w opłakanym stanie, lecz z Pędzikiem w siodle i już bez sowy za plecami, wydawała się gotowa do lotu.

– Będę leciał powoli – rzekł Dachowiec. – Ona ledwo porusza skrzydłami.

– Tylko nie za wolno – ostrzegł go Krzemień, gotowy, by podrzucić w górę trzepomysz z jeźdźcem. – Wielu na ciebie czeka. A kiedy zobaczysz mamę Opal, powiedz jej, żeby nie czekała na mnie, musi iść razem z innymi. Ale przekaż, że znowu się zobaczymy.

Zanim Pędzik zdążył ogarnąć to wszystko myślą, już sunął w górę w ciemności, spowity szumem skórzastych skrzydeł.

## Jasne ostrze

*...Wreszcie modlitwy żałobników dotarły do Zorii, najczulszej ze wszystkich bogiń. Ukazała się mieszkańcom Tesis i zapytała, czego pragną, a oni opowiedzieli jej o Sierocie i o tym, jak oddał życie, by przynieść słońce...*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Burogniada pracowała skrzydłami bardzo wolno, kiedy Pędzik sprowadził ją wreszcie spiralnie w dół na blat prowizorycznego stołu, przy którym siedział brat Antymon wpatrzony w plany wyrysowane na płytce. Trzepomysz wylądowała ciężko i złożyła skrzydła, skupiona tylko na własnym oddechu, nie przejmując się tym, co jeszcze może się zdarzyć. Pędzik zsunął się z siodła na płaski kamień.

– Na Starszych! – zawołał Antymon. – Co to...?

– Jestem Pędzik Łucznik, bracie, spotkaliśmy się już kiedyś. – Przesunął z pleców torbę i wyjął z niej astion, od którego ciężaru aż zadrżały mu ręce. – Cynober to przysyła. Mówi, że kamienie mają się zapaść teraz, że bitwa w głębiach przegrana.

– Ale... ale... – Antymon był oszołomiony. – Przegrana? To prawda?

– Dopiero co tam byłem. Tak mi powiedział. – Przekazawszy astion, Pędzik z ulgą pochylił głowę. – Masz wodę? Podzielę się nią z moim wierzchowcem.

– Co? Ach, oczywiście. – Antymon wstał. – Ale najpierw muszę przekazać wieści. Ludzie czekają. Wstrzymali prace, licząc na to, że Rogowcowi się powiedzie... – Pokręcił głową. – Na Starszych! Nadeszła straszna godzina. Niestety, musimy zrobić to, co obiecaliśmy... musimy! – Funderling, wciąż mrużąc pod nosem, wybiegł do głównej części pieczary, gdzie zebrali się pracownicy.

Pędzik popęzł po kamiennym blacie i oparł się o Burogniadę, która wciąż ciężko oddychała.

– Dobra jesteś, skórzasta – zwrócił się do trzepomyszy. – Doskonale się spisałaś. Szlachetnie. – Poklepał Burogniadą. – Dobra dziewczynka. Zaraz będzie coś do picia.

I koniec świata, a przynajmniej tak się wydawało. Ale wcześniej napiją się wody.

\*\*\*

*Bóg poetów, złodziei i pijaków.*

*Bóg ognia.*

*Bóg kłamstw.*

Imiona i opowieści pojawiały się w umyśle Barricka niczym szczegóły krajobrazu ukazujące się w świetle błyskawicy: Zosim kradnący bojowy rydwan Voliosa, Zosim ukrywający się w kwiatach, by móc podglądać Mornę, boginię zimowej kąpieli, którą potem zgwałcił. Kiedy indziej zmienił głos, by uniknąć gniewu Perina, pana nieba, i udawał jego ojca Sverosa, który powrócił z pustki; teraz Zosim znowu się przebrał i udawał Kerniosa, by nabrać autarchę i skłonić go do wypuszczenia go z powrotem na świat.

Oszust powrócił, a głosy Ognistego Kwiatu w głowie Barricka były przerażone: w dawnych czasach tylko większa moc innych bogów potrafiła powstrzymać Zosima i zniweczyć jego najokrutniejsze zamysły. Teraz znalazł się sam na świecie, ostatni z bogów. I był niepowstrzymany.

Już tylko autarcha i nieliczni z najwierniejszych Lampartów pozostali w obliczu zagrożenia obecnością uwolnionego Zosima Salamandrosa. Większość zwykłych żołnierzy uciekła w panice, a wielu próbowało opuścić wyspę, brodząc w srebrzystej krwi Kupilasa, lecz zostali pochwyceni w jej lepki uścisk i wciągnięci na dno. Innym Zosim zgotował jeszcze gorszy los: wskazywał ich kolejno palcem, a oni wybuchali płomieniami, on zaś wydawał głos płynącego z oddali grzmotu; agonalne krzyki zagłuszał śmiech rozbawionego boga.

Po drugiej stronie srebrzystego morza Qarowie i Funderlingowie wycofywali się w pośpiechu. Południowcy, z którymi dopiero co

walczyli, biegli obok nich, myśląc tylko o tym, by ratować własne życie. Zwykli ludzie i czarodziejscy przepychali się, by uzyskać dostęp do spuszczonej z góry lin, pragnąc wrócić do Labiryntu i tuneli za nim.

Barrick poczuł, że wracają mu siły. Skręcił tułów, by napiąć krepujące go sznury, i po kilku chwilach bólu usłyszał trzask. Głosy przodków Ognistego Kwiatu, wciąż zdumione pojawieniem się Oszusta, zlały się w jego głowie w niezrozumiały bełkot. Książę znalazł miecz w miejscu, w którym porzucił go przestraszony żołnierz, i przeciął więzy Ferrasa Vansena, a potem ostrożnie uwolnił leżącą bez ruchu czarnowłosą dziewczynę.

Vansen podniósł się i stanął chwiejnie na nogach. Dziewczyna nawet się nie poruszyła.

– Qinnitan. – Barrick klęknął przy niej i przysunął twarz tak blisko, że poczuł słonawy zapach jej skóry. – Słyszysz mnie? Qinnitan, nie opuszczaj mnie! – Ale jego wysiłki były daremne: nawet jeśli oddychała, nie potrafił tego wyczuć. Bóg, który wdarł się do świata, siał swoim ogniem spustoszenie w jego myślach niczym żar – o ile bardziej bolesne musiało to być dla niej, specjalnie przygotowanej do roli naczynia dla boga? Zamrugał gwałtownie, nie mogąc znieść widoku jej nieruchomej twarzy. Los nie może być aż tak okrutny... a może jednak?

Oczywiście, że tak. Zawsze tak było.

Spojrzał na postać, która leżała obok dziewczyny. Zauważył, że broda ojca znacznie posiwiała, ale poza tym była to ta sama twarz, którą tak dobrze znał, którą kochał i nienawidził niemal w równej mierze. Olin także wydawał się martwy, lecz Barrick wyczuł słaby puls. Czy zostało coś z jego ojca w tym prawie trupie, czy też bóg wypalił go całego, przebywając w jego ciele? Czy zostało z niego coś poza ledwie żywym ciałem...?

Z zamyślenia wyrwał go głośny plusk. Ogromny piękny młodzieniec wszedł na środek srebrzystego morza, by chwycić garść żołnierzy autarchy, którzy próbowali się ratować, płynąc wplaw. Bóg przysunął szamoczących się uciekinierów do rozpromienionej twarzy.

– SMAKUJE WAM NIEBIAŃSKA KREW? – zagrzemiał. – DLA ŚMIERTELNIKÓW TO MOCNY TRUNEK. LICZYCIE NA TO, ŻE WAS ODMIENI? NO TO SIĘ PRZEKONAJMY!

Zanim skończył mówić, krzyki przerażonych południowców przeszły w długie nieludzkie zawodzenie. Kolce srebrzystej krwi rosące w ich wnętrzach niczym cierniste krzewy zaczęły przebijać się przez skórę. Żołnierze wybałuszyli oczy, młócąc kończynami, ale nie mogli uciec przed tym, co znalazło się w ich ciałach. Srebrzyste wąsy wysuwały się z nich jak pędy winorośli, unosząc ich w górę, aż zawiśli na cierniach własnej skrzepniętej krwi, niczym w spiżarni dzierzby.

Vansen wpatrywał się bezradnie w umierających wrogów, nieruchomy, jakby już nigdy nie miał się poruszyć.

– Musisz zabrać stąd Qinnitan i ojca – zwrócił się do niego Barrick.  
– Weź łódź i płyn na drugi brzeg. Leż spokojnie, to może bóg cię nie zauważy.

Blady, oszołomiony strasznymi widokami, które oglądał, Ferras Vansen spojrzał na księcia.

– A co ty zrobisz, księżę Barricku?

– To, co muszę. – Mimowolnie zaśmiał się z samego siebie, bo co mógłby zrobić bogu? – Najpierw zabierz dziewczynę. Popilnuję ojca. Pospiesz się!

Kiedy Vansen odszedł chwiejnym krokiem, niosąc bezwładne ciało Qinnitan, ogromny cień przesunął się nad głową Barricka. Księżę odwrócił się, osłaniając się mieczem, lecz zobaczył, że to tylko bóg wyszedł z powrotem na wyspę. Oszust zmierzał ku autarsze i ludziom, którzy przy nim zostali i właśnie dotarli do prowizorycznego obozu.

– Działo, a niech was! – krzyczał Sulepis. – Zabijcie to coś!

– OCH, TAK. POKAŻCIE MI, CZEGO NAUCZYLI SIĘ LUDZIE, KIEDY SPAŁEM! – zawołał bóg i zaniósł się śmiechem. – WYGLĄDA NA TO, ŻE SZACHRAJ WYNALAZCA WIELE WAM POKAZAŁ!

Żołnierze autarchy bardzo się starali wykonać jego rozkaz, tyle że działo nie mogło strzelać tak wysoko. W najlepszym razie pociski sięgnęłyby kolan boga. Zosim był już wyższy niż słynne posągi Trzech Braci stojące w trygonackiej świątyni w Syanie. Działo plunęło ogniem, lecz ponieważ bóg się poruszał, ogromny pocisk przemknął z sykiem obok jego nogi i uderzył w ścianę pieczary, zasypując lawiną kamieni uciekających południowców i wielu zabijając.

Autarcha i jego strażnicy pobiegli w kierunku tunelu, który prowadził z wyspy do Labiryntu, lecz zanim tam dotarli, Zosim minął ich i chwycił działo. Zgniółszy je w bezkształtną spizową masę, wcisnął we wlot tunelu i odciął im drogę ucieczki.

– SIO, MRÓWKI! – zawołał, śmiejąc się, po czym zaczął podnosić z ziemi kolejnych żołnierzy i nie bacząc na ich krzyki, zgniatał w upiorną ludzką masę.

Barrick z mieczem wykutym przez czarodziejskich ludzi popędził po skalistej plaży w stronę ogromnej postaci. Vansen krzyczał coś za nim, lecz on wiedział, że trzeba powstrzymać boga, bo niedługo skończą mu się ofiary i skieruje się do zamku.

– Zabierz ojca i dziewczynę! – odkrzyknął kapitanowi. – Nic więcej już nie możemy zrobić.

– Nie mogę cię tutaj zostawić!

– Na miłość bogów, dlaczego?

– Twoja siostra kazała mi czuwać nad tobą! Obiecałem jej to!

Słowa Vansena poruszyły coś w Barricku, dały początek strumieniowi myśli, które kazały mu się zatrzymać w pół kroku. To prawda... jestem jednym i drugim. Qarem i człowiekiem. Krew płynąca w moich żyłach... to także jej krew. Briony. Pamiętam!

Znowu zaczął biec, jakby on, śmiertelnik, mógł rzeczywiście walczyć z bogiem.

Dwie bezkształtne postacie spadły z wielkiej dłoni Zosima na kamienie – xiscy żołnierze zgnieceni przez boga, tak że przypominali kraby odlane z roztopionego brązowego wosku. Popęzli nieporadnie w jego stronę. Najstraszniejszy był żalospny wyraz ich twarzy.

– GDZIE JESTEŚ, MAŁY AUTARCHO? – zapytał bóg słodkim, lecz grzmiącym głosem, przesiewając między palcami wijących się i krzyczących Lampartów i kapłanów, których zebrał w garść. Podniósł jednego człowieka, lecz zaraz pokręcił ogromną ognistą głową. Miotający się w jego uścisku stanął w płomieniach i, stopiwszy się, zaczął przeciekać między palcami boga jak rozgrzany tłuszcz. Potem Zosim podniósł grubą postać – mógł to być wielki kapłan autarchy – i podrzuciwszy ją na dłoni jak owoc, z uśmiechem oblizał płonące palce. – CUDOWNIE! TEN SMAKUJE JAK OFIARA!

– Przyjdź do kogoś, kto się ciebie nie boi! – Barrick piał się po skalistej pochyłości, kierując się do monstrualnej istoty, która przykucnęła przy kupce krzyczących ofiar.

– Odwróć się, Oszuście. Mój przodek cię pokonał, a jego krew wciąż płynie wartko!

Zanim jednak Barrick zdołał choć zamachnąć się mieczem, Zosim wyrzucił przed siebie ramię gorące jak rozgrzany kamień i chwycił go w dłoń. Ból był tak przenikliwy, że Barrick niemal krzyknął jak przerażone dziecko, ale jego skóra nie została poparzona: Zosim najwyraźniej nie chciał tak szybko pozbawić się rozrywki. Przysunął księcia do twarzy wielkiej jak dom.

– PRZODEK, POWIADASZ? A KTÓŻ TO TAKI? JAKIŚ ŚMIERTELNIK, KTÓRY SZCZAŁ W KĄCIE JEDNEJ Z MOICH ŚWIĄTYŃ? WIEŚNIAK, KTÓRY PRZEKLINAŁ, WZYWAJĄC MOJE IMIĘ, A POTEM CHOWAŁ SIĘ PRZEZ RESZTĘ ŻYCIA, BOJĄC SIĘ, ŻE SIĘ O TYM DOWIEM?

– Nie – odrzekł Barrick, wijąc się w uścisku boga. – Nie, ty śmieciu. To Kupilas był moim przodkiem, Szachraj, który cię pokonał i zamknął!

– NAPRAWDĘ? – Zosim wydawał się zadowolony. Przysunął Barricka jeszcze bliżej i powąchał nozdrzami wielkimi jak otwory strzelnicze. – TAK, CUCHNIESZ NIM. ZABAWNE. A ZATEM JEGO KREW WCIAŻ PEŁZA PO TEJ ZIEMI W ŚMIERTELNYM CIELE! ALE SZACHRAJ NIE ŻYJE, A JA JESTEM WOLNY. I CO TY NA TO, MRÓWECZKO?

– A to! – krzyknął Barrick i wbił miecz w dłoń potwora najgłębiej, jak potrafił. Wydając pomruki zdziwienia i niezadowolenia, Zosim potrząsnął ręką i wypuścił Barricka.

Książę stracił oddech, kiedy spadł na kamienie, i przez chwilę leżał, dysząc ciężko, ale poczuł niewielką satysfakcję, gdy zobaczył, że przynajmniej zirytował swojego gigantycznego wroga.

– TO BYŁA PASKUDNA SZTUCZKA, MRÓWECZKO. TAK, TO PRAWDZIWE CIAŁO ULEPIONE Z GLINY TEGO ŚWIATA. CZUJĘ PEWNE RZECZY I CIEBIE TEŻ POCZUŁEM, TY MAŁA ŚMIERTELNA KUPKO MYSIEGO GÓWNA. – Zosim uniósł nogę, by rozdeptać księcia, a Barrick, zupełnie bezradny, mógł tylko patrzeć na

wznoszącą się stopę wielką jak łódź wodowana na przystani. – NIEBAWEM POZOSTAŁA CZĘŚĆ MOJEJ ESENCJI PRZEKROCZY PUSTKĘ I WYPEŁNI MOJE CIAŁO – powiedział dudniącym głosem i zakołysał się, wciąż trzymając stopę w górze. – KIEDY TO NASTĄPI, NAWET BIAŁY OGIEN, SAM PAN SŁOŃCA, NIE BĘDZIE MÓGŁ MNIE ZRANIĆ...

– Ja nie jestem panem słońca – odezwał się nowy głos donośny jak granic trąbki. – Ale noszę ten miecz. Chodź i zakosztuj jego ostrza!

Kiedy zdziwiony Zosim się odwrócił, Barrick wyturlał się spod cienia ogromnej stopy boga i usunął najdalej, jak to było możliwe. Yasammez stała na brzegu Morza w Głębiach i tylko jej twarz jaśniała w mroku czarnej zbroi i płaszcza; w jej dłoni migotał miecz, smuga białego światła.

– UMRZESZ, STARUSZKO – rzekł bóg wyraźnie zadowolony, jakby wreszcie znalazł na tym śmiertelnym świecie coś, co go naprawdę zainteresowało. – NAWET Z BLADYM SZPIKULCEM DO POGANIANIA ŚWIŃ WUJA BIAŁEGO OGNIA NIE MASZ CO LICZYĆ, ŻE MNIE SKRZYWDZISZ!

– Może nie – odrzekła Yasammez. – Ale może, jak sam powiedziałaś, twoje ciało jest bardziej kruche, niż ktokolwiek mógłby sobie zdawać sprawę, mały uwięziony bożku.

Zosim odrzucił w tył głowę, śmiejąc się, a płomienie skoczyły wysoko, aż kamienie nad nimi zamigotały w żółtym świetle.

– TA SŁABOŚĆ TO CIEKAWY POMYSŁ, STARUSZKO, ALE TO NIEPRAWDA. CHODŹ! POKAŻ, NA CO CIĘ STAĆ! – Kiedy wyciągnął przed siebie rękę, w jego dłoni ukazał się ogromny złoty miecz.

Yasammez weszła do podziemnego morza. Gęsta lśniąca ciecz rozstąpiła się przed nią niczym wody odpływu i nawet gdy już zbliżyła się do środka Morza w Głębiach, nie zalały jej uniesione i zastygłe fale; sama Yasammez zaczęła rosnąć i nim dotarła na przeciwległy brzeg, była już w połowie tak duża jak Zosim. Wraz z jej przejściem przez spowitą oparami pieczarę przetoczył się zimny powiew, dlatego Barrick, który próbował wstać, opadł na czworaki, drżąc mocno.



Kiedy Yasammez doszła do Oszusta, była już tak wielka jak on, lecz podczas gdy bóg wydawał się zwarty jak kamień, kobieta czarodziejskich ludzi była szczuplejsza i jakby mniej materialna, jakby rozrosła się poza granice swych możliwości. Barrick prawie nie widział jej prawdziwej postaci, była równie nieokreślona jak dym. I tylko ogromny biały miecz zachował swój blask i stałość. Świecił przez esencję mrocznej pani niczym skrawek księżyca w pełni.

Barrick wreszcie zdołał dźwignąć się na nogi w momencie, gdy wielkie miecze skrzyżowały się po raz pierwszy, czemu towarzyszył dźwięk podobny do bicia ogromnego dzwonu, od którego zatrzęsała się cała pieczara. Słyszał krzyki autarchy domagającego się, by jego śmiertelnie przerażeni ludzie pomogli mu ponownie zaatakować Zosima. Barrick wątpił, by Sulepis znalazł ochotników. Wysoko nad jego głową niebiańskie miecze znowu się zderzyły i wciąż się ścierały, aż odgłos uderzeń niemal go ogłuszył. Książę pokuśtykał w stronę walczących olbrzymów. Przypominali jakąś fantastyczną iluzję powstałą na środku wyspy, postacie z obłoków wirujące nad wzburzonym morzem, miecze śmigały niczym podmuchy nasilającej się burzy. Jasne płomienie Zosima falowały, za to Yasammez pociemniała, stała się jakby bardziej zwarta w sobie.

Barrick wpatrywał się w mrok, aż zobaczył ogromną poruszającą się bryłę pięty Zosima i poczłapał ku niej. Pchnął mieczem z całych sił i wbił ostrze w dziwnie płynne ciało aż po rękojeść, co wywołało głuchy pomruk niezadowolenia olbrzymia, lecz książę zaraz z przerażeniem zobaczył, że brzeszczot topi się i znika i tylko sama rękojeść opadła na ziemię jak kwiat złamanej rośliny. Ogromna stopa poruszyła się nieoczekiwanie i uderzyła Barricka, wyrzucając go w powietrze.

– Biegnij, ludzkie dziecko! – Twarz Yasammez wyłoniła się z mgiełki nad nim, wykrzywiona grymasem, jakby kobieta dźwigała na barkach ciężar całego świata i nie mogła się go pozbyć. – Nic więcej nie zdasz. Nawet ja mogę zająć go jedynie na kilka chwil. – Coś w nią uderzyło i Yasammez zachwiała się i zniknęła na moment w obłokach swojej gigantycznej esencji. Potem jej twarz znowu się pojawiła niczym słońce usiłujące się przebić przez gęste chmury. – Biegnij! Uratuj tych, których zdasz. Nie mogę dać ci nic więcej...

Znowu coś ją uderzyło, a Yasammez zadrżała, oddaliła się i cała jej mroczna postać przewróciła się jak wieża. Upadając, zamachnęła się jeszcze białym mieczem, lecz płonący olbrzym był zbyt szybki, zbyt silny. Skoczył na nią i pociągnął do góry, a przynajmniej tak to wyglądało w oczach Barricka, bo obraz był zbyt zamazany, zbyt dziwny, jak bitwa w mulistym dnie głębokiego jeziora. Złocisty miecz boga, podobny do wielkiego ognistego jeziora, ciął ciemną postać i Barrick usłyszał straszliwy krzyk bólu Yasammez, ohydny, rozdzierający serce głos, który zdawał się wstrząsać każdym kamieniem w pieczarze.

Ktoś ciągnął go za ramię. Książę odwrócił się powoli, jakby pogrążony we śnie, i zobaczył Ferrasa Vansena, który stał za nim, brudny i zakrwawiony.

– Nie możesz jej pomóc, sama tak powiedziała! – zawołał kapitan, starając się przekrzyczeć odgłosy walki boga z półboginią. – Pomóż mi ratować innych.

– Już nigdzie nie jest bezpiecznie... – rzekł Barrick i w tym momencie ogromna płonąca dłoń spadła na niego i wyrzuciła go w powietrze.

To już koniec... wreszcie... miał jeszcze czas, by tak pomyśleć, a potem ciemność wybuchła w jego wnętrzu.

\*\*\*

Robotnicy uwijali się, by umieścić ostatnie prochowe żuki u podstawy ogromnej kamiennej ściany, która biegła wzdłuż Pieczary Browarnika, „zimnej ściany”, jak nazywali ją mnisi. Pieczara – miejsce, jakiego Pędzik nigdy wcześniej nie widział i oczywiście miał już więcej nie zobaczyć – cuchnęła siarką i innymi mniej znanymi substancjami i leżała jakieś sto stóp albo i więcej poniżej samej świątyni. Ponieważ było w niej chłodniej niż w innych komorach, mchówka dojrzewała w beczkach z korzeniowego drewna, lecz cenny trunek został wyniesiony wiele dni wcześniej. Na ile Pędzik był w stanie się zorientować, żuki – żelazne kliny wielkości buta dużej osoby – miały wybuchnąć w tym samym czasie, tak by zawałiła się cała pieczara. Nie miał najmniejszego

pojęcia, w jaki sposób miało to wpłynąć na przebieg bitwy toczącej się na niższym poziomie.

Dachowcowi trudno było umościć się wygodnie w siodle po długiej podróży, dlatego przechadzał się tam i z powrotem po płaskim kamieniu, który służył Antymonowi za stół, podczas gdy mnich wysyłał taką samą wiadomość do kolejnych mniejszych pieczar, nakreślona pospiesznie i zalakowaną glinianą pieczęcią z odcisniętym astionem.

Pędzik czuł się nieswojo, wiedząc, że w pobliżu jest tyle prochu wybuchowego. Odkąd w Zamku Marchii Południowej nastąpiła wojna, zdążył się napatrzeć, co proch może zdziałać. Dach Wieży Wilczego Kła, odwieczne święte miejsce Dachowców, został rozbity pociskami południowców, a szczątki wszystkich najważniejszych wież, w tym znaczna część szczytu Wieży Zimowej, wały się po twierdzy wewnętrznej jak zniszczone zabawki. Tak, Pędzik bał się prochu wybuchowego, ale oczekiwanie było jeszcze gorsze.

– Cynober powiedział, że trzeba się spieszyć – zwrócił się do Antymona, który siedział pochylony nad swoimi papierami z czołem zroszonym potem, który skapywał na małe gliniane tabliczki, jakie zapisywał. – Mówił, że właściwie to jest już prawie za późno...

– Na miłość Gorącego Pana, człowieczku, zamilcz! – Antymon otarł czoło. – Wiem, że trzeba się spieszyć. Wiem, że Cynober i inni powiedzieli, żeby się spieszyć, wiem, wiem, wiem! Lecz jeśli popełnimy błąd...

Pędzik nie miał pewności, co się wydarzy, jeśli inżynierowie Funderlingów coś źle zaplanują, ale przeczuwał, że nikomu nie wyjdzie to na dobre.

– Wybacz, bracie. Moi bliscy zawsze twierdzili, że za dużo gadam... – Napotkawszy spojrzenie zdesperowanego Antymona, zamilkł.

– To już ostatni list – powiedział mnich po kilku chwilach, odciskając astion w glinie i przekazując wiadomości czekającemu kurierowi. – Zanieś je do pozostałych stanowisk, chłopcze, a ten do brata Soli. On sprawdzi liczby i jeśli wszystko będzie się zgadzało, usypie lont.

Młody posłaniec odszedł szybko. Ponieważ tak wielu mężczyzn brało udział w wojnie, pozostałymi pracownikami były albo dzieci, albo starcy.

Antymon się wyprostował i znowu otarł pot z czoła. Pędzik zauważył, że dłonie mnicha mocno drżą.

– Będziemy musieli podpalić lont na następnym poziomie – tam łączą się wszystkie lonty i można zapalić je jednocześnie. – Antymon podniósł wzrok, słysząc, że ktoś się zbliża.

– Pani Opal? – zdziwił się. – Wciąż tutaj? Zostali tylko ostatni inżynierowie.

– Nie ma go! – powiedziała żona Rogowca. – Nie mogę go znaleźć!

– Waszego chłopaka? – Teraz Antymon zrobił zatroskaną minę. – Krzemienia? Nicpoń z niego, dokąd znowu poszedł? Przecież wie, że to plan jego ojca. To niebezpieczne, żeby tak chodził sam. Na Starszych, co on sobie myśli?

Pędzik podszedł na skraj kamienia.

– Pani Opal, witam po raz kolejny i przynoszę dobre wieści, które mi umknęły. Widziałem waszego syna. To on uratował przed sową skórzaste skrzydło i twojego sługę i kazał przekazać, że wszystko jest w porządku.

Opal otworzyła szeroko oczy i posłała Antymonowi bezradne spojrzenie.

– Co on wygaduje? Ptak mu powiedział, że mój syn ma się dobrze?

Potrzeba było trochę czasu, by Funderlingowie zrozumieli opowieść Pędzika, lecz gdy wreszcie udało mu się przekazać im najistotniejsze szczegóły, Opal jakby odetchnęła z ulgą, choć nie wyglądała na zupełnie szczęśliwą.

– Zawsze tak było z tym dzieciakiem, od samego początku... – mruknęła, jakby mówiła do siebie.

– Idź więc – rzekł Antymon. – Jeśli Starsi pozwolą, ty, twój dzielny mąż i wasz syn znowu będziecie razem. Upewnij się tylko, że nikt nie został w obozie, i przekaz, żeby wszyscy wycofali się na wyższy poziom.

– Chodź ze mną, Antymonie – powiedziała Opal. – Przecież nie możesz zwlekać zbyt długo.

Mnich pokręcił głową, a Pędzik dostrzegł jego dziwny wyraz twarzy.

– Jeszcze nie. Muszę poczekać na Saletrzaka i naszych ostatnich inżynierów oraz ludzi, którzy usypują lont. Niech pani idzie, Opal. Dołączę do pani.

Kiedy Opal odeszła i pozostali Funderlingowie zatrudnieni przez Antymona także zaczęli zbierać się w pośpiechu, Pędzik zaczął się zastanawiać, czy i on nie powinien ruszyć w drogę powrotną. Głębie go niepokoiły, delikatnie mówiąc – w końcu nie przebywał tak po prostu pod ziemią, ale kilka poziomów pod samym Miastem Funderlingów, a oprócz tego czekały co najmniej dwa cetnary prochu, który mógł wybuchnąć od jednej iskry. Zadrżał na samą myśl o tym.

Kiedy zaczął się żegnać, brat Antymon poprosił go, by poczekał.

– Ostatni wyjdą za kilka chwil – rzekł. – Zostań trochę dłużej.

Po raz kolejny Dachowiec dostrzegł dziwny wyraz twarzy Funderlinga. Pędzikowi trudno było wytrzymać w miejscu, ale starał się spacerować spokojnie, gdy ostatni inżynierowie szybko mijali Antymona, który odhaczał ich imiona na liście pracowników. Na końcu pokazał się Saletrzak, bratanek Popiołu, który zszedł z góry wolnym krokiem, jakby skończył codzienną pracę, co, sądząc z tego, w jaki sposób rozmawiał z Antymonem, mogło być bliskie prawdy.

– Wszystko przygotowane – rzekł Funderling. – Ten lont jest żałośnie krótki. Będzie ci trudno oddalić się na bezpieczną odległość. Dlaczego nie pozwolisz mi zrobić dłuższego?

– Nie ma czasu – odpowiedział mnich. – Jeśli użyjemy lontu, który będzie się palić przez pół świecy, dla tych na dole będzie za późno, kiedy ogień dotrze do prochu. – Antymon pokręcił głową. – Może w ogóle jest już za późno... dokończenie prac zajęło nam strasznie dużo czasu.

– To wina tej zmił Nikła, nie wspominając o tym głupim magistrze, bracie Rogowca – powiedział Saletrzak, a jego twarz wyrażała tradycyjną inżynierską pogardę dla zwierzchników. – Gdyby nas nie zatrzymali, już dawno wszystko byłoby gotowe. To cud, że tak się uwinęliśmy.

– Wiem – odrzekł Antymon. – Ty i pozostali świetnie się spisaliście, bracie Saletrzaku.

Starszy mnich tylko wzruszył ramionami.

– No cóż, chłopcze, lepiej zwiewaj z prędkością wiatru, kiedy zostanie podpalony lont. Będziesz miał piekielnie mało czasu.

Antymon odprowadził go do schodów wykutych w surowym kamieniu prowadzących na górę do Miasta Funderlingów.

– Wiem, wiem – odpowiedział. – Pospiesz się. – Kiedy Saletrzak zaczął się wspinać po stopniach, Antymon odwrócił się do Pędzika. – I ty również, przyjacielu. Czas...

Słyszac odgłos kroków, obaj, Funderling i Dachowiec nie większy niż palec, odwrócili się i zobaczyli brata Nikla, przyszłego opata, który schodził po schodach z wyrazem wściekłości na twarzy.

– Na Starszych, Antymonie, cóż to za szaleństwo? To już zaszło za daleko! Dopilnuję, żebyś został usunięty z Bractwa!

Antymon wpatrywał się w niego przez chwilę.

– Co ty tu robisz, bracie? Ty i pozostali otrzymaliście polecenie opuszczenia świątyni...

– Polecenie?! – wrzasnął Nikiel. – Czyś ty postradał zmysły? Widziałem to polecenie twoje polecenie, zwykłego świątynnego brata. Co to ma znaczyć? Kto ci dał prawo...?

– Czy inni odeszli? – przerwał mu Antymon. – Czy świątynia jest pusta? Chyba ich tam nie zatrzymałeś, ty bęcwale?

Nikiel stał oniemiały, otwierając i zamykając usta. Wreszcie wydobył z siebie głos:

– Nie tylko dopilnuję, żeby cię usunęli, bracie Antymonie, ale zadbam o to, żebyś stanął przed Radą Cechu!

Antymon skoczył do przodu z zaskakującą prędkością jak na swój wzrost był największym Funderlingiem, jakiego widział Pędzik – i chwycił Nikla za kołnierz, po czym uderzył starszego mnicha na odlew dłonią z lewa i z prawa.

– Odpowiedz mi, głupcze! Czy świątynia jest pusta?

– Tak, a niech cię! – Nikiel prawie płakał z wściekłości. – Ty i ten wszędobyłski kret Rogowiec podkopaliście mój autorytet tak bardzo, że

nikt nie został, kiedy przyszedł rozkaz! Zabroniłem im się ruszać, ale nawet brat Rogowca, ten tchórz Buła, uciekł do Miasta Funderlingów.

– Błogosławieni niech będą Starsi Ziemi! – westchnął Antymon i odepchnął mnicha. Nikiel zatoczył się do tyłu i upadł na kamienną podłogę. – Pograżyłybyś ich wszystkich, gdybyś ich zatrzymał, ty głupcze! A teraz idź albo polegniesz razem ze swoją świątynią. – Antymon chwycił Nikla za kołnierz i postawił na nogi. – Nie rozumiesz? Zaraz podpalę lont. Zużyliśmy mnóstwo prochu wybuchowego, więc jeśli wciąż tu wtedy będziesz, zginiesz – zniknie twoje ciało, twoje kości, a nawet twoje imię. Zamienisz się w warstwę popiołu na kupie kamieni. Tego chcesz? W takim razie zostań i dalej się wydzieraj.

Antymon odwrócił się od Nikla i ruszył w kierunku schodów. Nikiel gapił się przez chwilę na jego plecy, wściekły i przestraszony, a potem ruszył za nim. Chwilę później Pędzik trącił trzepomysz i podążył za Funderlingami. Wyszli na schody i dalej do mniejszej pieczary. Na jej środku widniała gwiazda z lontów usypanych z prochu, rozchodzących się we wszystkich kierunkach i znikających w szczelinach i bocznych korytarzach.

Antymon przykucnął na środku gwiazdy i wyciągnął krzesiwo i hubkę.

– Idź, Niklu, jeśli nie chcesz przysmażyć sobie tyłka – powiedział. – Ty też, dobry Pędziku.

Tym razem Nikiel nie potrzebował dodatkowej zachęty. Popędził w górę schodów w nieporadnym pośpiechu, lecz nie ubiegł daleko, bo zaraz się potknął i zsunął po stopniach.

– Moja noga! – jęknął. – Złamałem ją! Ach, na Dół, boli!

– Na krew Starszych! – zaklął Antymon. – Nic ci nie poradzę, Niklu. Muszę zostać i dopilnować, żeby wszystkie lonty się zapaliły.

– Nie, pomóż mu – powiedział Pędzik. Nikiel przypominał teraz przestraszone dziecko. – Odprowadź go w bezpieczne miejsce. Jeśli rozniecisz ogień, poczekam i podpalę lonty.

Antymon pokręcił głową.

– Ktoś musi zaczekać wystarczająco długo, by sprawdzić, czy proch się pali. Inaczej wszystko na nic. To moje zadanie.

Dopiero teraz Pędzik zrozumiał dziwny wyraz twarzy mnicha.

– Już nie twoje. – Pędzik poklepał Burogniadę, by ją uspokoić – trzepomysz była niespokojna, pozostając długo na ziemi, w hałasie. – Ona leci szybciej, niż ty pobiegiesz. Oddalimy się bezpiecznie. Idź i ratuj kolegę, bracie. Masz mało czasu.

Antymon chciał się sprzeciwić, ale w końcu poddał się i rozniecił niewielki ogień.

– Nie marnuj życia dla Nikła – powiedział cicho. Mnich wciąż siedział na ziemi, pojękując. – Nie jest tego wart.

– Ale ty jesteś, przyjacielu – odrzekł Pędzik. – Nie martw się o mnie ani o Burogniadę. Zdamy.

Antymon podniósł Nikła i zarzucił sobie na plecy.

– Żegnaj, Pędziku! – zawołał, zanim zniknął za zakretem. – Nie czekaj zbyt długo!

Pędzik pomachał mu, już żałując, że wykazał taką brawurę. I nawet nikt tego nie widzi! Czyste szaleństwo.

Królowa chciałaby, żebym tak postąpił, pomyślał. A ja przecież jestem lojalnym Ryniennym Zwiadowcą.

Kiedy policzył wolno dziesięć razy palce u rąk i nóg, Pędzik zsunął się z siodła i podniósł drzazgę z małego ogniska, które zostawił Antymon. Przyłożył tę małą pochodnię do środka gwiazdy, a gdy proch zaskwierczał, Dachowiec wdrapał się na grzbiet trzepomyszy i dał jej znak, by wzbiła się w górę. Wylecieli na schody i już mieli oddalić się na wyższe poziomy, gdy Pędzik przypomniał sobie, co obiecał mnichowi, i zawrócił, by się upewnić, że wszystkie lonty się palą.

Pięć paliło się idealnie, lecz ten, który prowadził do Pieczary Browarnika z zimną ścianą, przygasł w połowie. Pędzik sprowadził Burogniadę w dół i przyniósł kolejną płonąca drzazgę. Patrzył, jak proch się zapala, ale zobaczył też, że pozostałe ścieżki płonącego prochu wyszły już na zewnątrz. Lont z Pieczary Browarnika podążył za nimi.

Zawilżał, pomyślał Pędzik, czując, jak szybko bije mu serce. Nie miał pojęcia, jak długo będą się palić lonty, zanim dotrą do prochu. Czy odważy się odlecieć? A jeśli inne też przestaną się palić? Albo, co gorsza, co będzie, jeśli w jakiś sposób zmieni to rozmiary zniszczenia i zagrozi samemu zamkowi, a także domowi jego rodaków?

Wrócił po dłuższą drzazgę.



– Ruszaj – zwrócił się do Burogniadej i skierował ją do niższej pieczary.

Ścieżka prochu ciągnęła się przez całe podłoże Pieczary Browarnika. Pędzik wybrał miejsce blisko jej środka i przytknął drzazgę. Strzeliły iskry i zaraz strużka ognia popłynęła, skwiercząc, do prochowych żuków rozmieszczonych wzdłuż chłodnej ściany, a kiedy dał znak trzepomyszy, żeby wzbiła się w powietrze, ogień skoczył do przodu wyznaczoną drogą o wiele szybciej niż wcześniej.

W górę, pali się szybciej pod górę! – pomyślał.

Wylecieli szybko na schody. Pędzik przywarł do grzbietu wierzchowca i wczepił się w jego sierść tak mocno, że nawet mu się nie wysuwała spomiędzy palców. Czuł, jak pracują mięśnie i skrzydła trzepomyszy, które niosły ich coraz wyżej przez pustą ciemność. Pędzik słyszał tylko przenikliwy ostry głos Burogniadej, która pragnęła jak najszybciej znaleźć się w domu. I wtedy poczuł gorące powietrze, które zacisnęło się na nim jak brutalna pięść: Pędzika razem z Burogniadą ogarnęło czerwone światło.

## Jajo Gorączki

*Kiedy wielki Immon odwrócił się, stropiony,  
Zoria weszła przez bramę. Niebawem stanęła  
przed samym Kerniose, który zasiadał na  
bazaltowym tronie, pan zmarłych o surowym  
obliczu i zimnym spojrzeniu...*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Proszę, bogowie, modlił się, niech mnie nie zauważy. Nie pozwólcie, żeby mnie zauważył.

Vansen wiedział, że to głupie modlić się do nieobecnych bogów, by chronili go przed tym, który był jak najbardziej obecny, ale trudno było wyzbyć się przyzwyczajień, a ponadto nigdy wcześniej nie był tak przerażony.

Na rozkaz księcia Barricka zaniósł czarnowłosą dziewczynę do najbliższej łodzi, a teraz zmagał się z większym ciężarem bezwładnego króla Olina. Czuł, że wszystko dokoła pogrążyło się w szaleństwie i chaosie. Spaleni ludzie sterczeli zwęgleni niczym osmalone strachy na wróble; inni leżeli na dymiących stosach albo unosili się twarzami do dołu na powierzchni srebrzystego morza niedaleko zwęglonych łodzi, do których nie udało im się dotrzeć. Jeszcze inni wciąż żyli, ale byli w takim stanie, że Vansen mógł się tylko modlić, by ich życie skończyło się jak najszybciej: nawet wrodzy południowcy nie zasługiwali na takie męczarnie.

Vansen był żołnierzem. Często narażał życie w walce. W ostatnim roku walczył zarówno z legendarnymi Qarami, jak i z wojskami autarchy. Stawał przed monstrualnymi głębinowymi ettinami, a nawet przed półbogiem Jikuyinem, jednookim olbrzymem. Wszyscy byli straszni i Vansen już nie pamiętał, ile razy się poddawał. Lecz ten przeciwnik był inny. Ponieważ wkroczył do tej pieczary z innego świata

– którego Vansen nie potrafił sobie nawet wyobrazić – i był prawdziwym bogiem.

I to szalonym, pomyślał coraz bardziej przestraszony. Który zamierza zabić wszystko, co żyje.

Pieczarę wypełnił blask ognia Zosima i echo jego grzmiącego rozradowanego głosu. Piękny młodzieniec wciąż walczył z Yasammez, lecz z każdą chwilą odrywał i spalał ogromne strzępy jej ciemnej esencji, ona zaś z każdym kolejnym atakiem stawała się coraz mniejsza i mniej materialna. Vansen był zdumiony, że Yasammez walczy tak długo i zaciekle; zawsze go przerażała, lecz nie podejrzewał, że ma w sobie tyle mocy. Rzeczywiście była córką boga. Teraz jednak walczyła z innym bogiem, który był dla niej za silny.

– CZUJESZ TO, KUZYNECZKO? – zaryczał Zosim. – CZUJESZ, JAK TWOJA ESENCJA GOTUJE SIĘ W TOBIE? SALAMANDROS JEST DLA CIEBIE ZBYT MOCNY. SPALIŁBYM NA POPIÓŁ TWOJEGO OJCA, GDYBY WALCZYŁ UCZCIWIE...

Z kłębiącego się ciemnego obłoku wyłoniła się twarz Yasammez, zdeformowana jak roztopiony wosk, emanująca wściekłością i agonią.

– Jesteś kłamcą z imienia i z natury – zawołała, a jej głos zabrzmiał jak grzmot oddalającej się burzy. – Gdybyś nie zaatakował z ukrycia... nic zraniłbyś go nigdy...

– ZRANIŁ? ZABIŁ! WŁÓCZNIĄ OJCA! – Ognie Zosima znowu się podniosły i przez chwilę zamienił się on w słup ognia, który wydawał się wychodzić przez sklepienie ogromnej pieczary.

Vansen, oddalony o setki stóp, poczuł, że palą mu się włoski na ramionach, a skóra pęka, i zachwiał się, omal nie upuszczając ciała króla.

– TWÓJ ŚMIESZNY KULAWY OJCIEC WRESZCIE UMARŁ – zagrzemiał Zosim. – A ZARAZ TY PÓJDZIESZ W JEGO ŚLADY.

– To... nie ma znaczenia... – powiedziała Yasammez, a każde jej słowo brzmiało ciszej. – Powstrzymałam cię... wystarczająco długo...

Co ona ma na myśli? – zastanawiał się Vansen. Wystarczająco długo? Co takiego zobaczyła... a może postradała zmysły? Umieramy. Zostaliśmy pokonani...

Zosim zaśmiał się tak głośno i radośnie, że kapitan się potknął i upadł na kamienie, a ciało Olina potoczyło się po ziemi. Vansen prawie nic nie widział przez łzy bólu, wyczerpania i wyciśnięte gorącym wiatrem, który szalał w pieczarze.

Głos Zosima grzechotał w jego czaszce.

– KIEDY JUŻ UMRZESZ, WYJDĘ Z TEGO KAMIENNEGO GROBU MEGO OJCA NA POWIERZCHNIĘ I WSZYSTKO, CO ŻYJE, BĘDZIE MI POSŁUSZNE ALBO ZGINIE! – I znowu rozległ się śmiech niczym niszczący poryw wichru, a płomienie wokół głowy Zosima liznęły ściany pieczary.

Vansen poczołgał się po kamieniach, modląc się, by nie został zauważony. Czuł w ognistym świetle, że Yasammez traci siły. Przysunął się do Olina, który leżał jak martwy, i zarzuciwszy go sobie znowu na ramię, zaczął go ciągnąć. Kiedy dotarł do łodzi, nieporadnie przerzucił króla przez burzę i pozwolił mu opaść obok nieprzytomnej ciemnowłosej dziewczyny. Duża łódź utknęła między luźnymi kamieniami przy brzegu; Vansen wiedział, że w stanie skrajnego wyczerpania nie da rady zepchnąć jej na głębszą wodę. Gdzie jest Barrick?

Wreszcie, gdy po raz kolejny złoty miecz rozerwał na strzępy ciemny obłok esencji Yasammez, Vansen zauważył błękitny błysk zbroi księcia. Barrick się nie ruszał. Kapitan pobiegł do niego najszybciej, jak potrafił.

Z ogromną ulgą poczuł, że pierś księcia unosi się rytmicznie, choć jego zbroja była spalona i poczerniała, a zwykle blada twarz Barricka błyszczała rumieńcem, jakby przeciągnięto go przez ognisko rozpalone w noc przesilenia letniego.

Północ przesilenia letniego, pomyślał Vansen. Kto by się spodziewał, że świat zakończy się w taki dzień, w takim miejscu... w taki sposób? Yasammez, już prawie pokonana, skurczyła się do połowy rozmiarów Zosima, a jej aura zapadała się z każdą chwilą, w miarę jak topniał w niej boski pierwiastek. Niebawem miało z niej zostać tylko to, co śmiertelne, a wtedy Zosim łatwo sobie z nią poradzi.

– Książę Barricku! Słyszysz mnie? – Vansen potrząsnął księciem, lecz ten się nie ocknął. Zaczął ciągnąć Barricka do łodzi, rysując obcasami jego butów kamienie. W połowie drogi musiał upuścić go na

ziemię, by złapać oddech w gorącym powietrzu, lecz przez cały czas obserwował słup ognia na środku pieczary, który systematycznie topił opór kobiety, największej spośród Qarów, jaka kiedykolwiek żyła.

Kiedy wreszcie dotarł do łodzi, coś chwyciło go za kołnierz płaszcza i pociągnęło mocno do tyłu, tak że stracił równowagę i wypuścił księcia. Leżał na ziemi, a przy jego gardle pojawiła się długa zakrzywiona klinga xiskiego miecza, tak ostra, że skaleczyła go samym muśnięciem.

– To moi więźniowie – rzucił autarcha, błyskając zębami. Vansen poczuł, że klinga przylgnęła mocniej do jego szyi, po której spłynęły krople krwi. – Oddasz mi ich, wieśniaku.

\*\*\*

– Proszę, pani! – zawołał Rogowiec i po raz kolejny pociągnął Briony za rękaw. Mimowolnie pomyślał, że w innych okolicznościach skracano ludzi o głowę za mniejsze przewinienia. – Proszę, księżniczko, w ten sposób nikomu nie pomożesz!

Briony nawet nie zwolniła kroku.

– Nie wątpię, że wśród swojego ludu uchodzisz za dzielnego wojownika, ale jestem księżniczką Marchii Południowej, do tego dwukrotnie większą od ciebie. Jeszcze raz pociągniesz mnie za rękaw, a zrzucę cię ze ścieżki.

Rogowiec cofnął rękę. Wiedział lepiej niż ona, jak długo spadałby na dno.

– Ależ, księżniczko, zginiesz!

– Nie, zginą wszyscy, których znam, jeśli nic nie zrobię!

Pełna determinacji i uzbrojona jak mężczyzna, Briony przypominała postać z jednego ze starych gobelinów – królową Lilię jadącą na czele wojska, zapewne wbrew kapłanowi i jego legionom najemników. Że też tamta słodka i grzeczna dziewczynka, której koń omal nie stratował go na wzgórzach, wyrosła na taką...! — Rogowiec nie mógł wyjść z podziwu, dlatego tak się zżymał na myśl o tym, że mogłaby narazić się na śmierć. Ja też pożegnam się z życiem, jeśli pójdę dalej... – Pani, proszę! Myśl rozsądnie! Mówiłem ci, co się stanie!

– Ale jakoś nic się nie stało. Może w ogóle do tego nie dojdzie, może coś źle obliczyłeś albo proch jest mokry. – Szła szybko skrajem przepaści, a nawet zaczynała biec w miejscach, gdzie ścieżka się rozszerzała, i zwalniała kroku na nierównym terenie. – A wtedy moja rodzina i przyjaciele tym bardziej będą potrzebować mojej pomocy. Nie, nie powstrzymasz mnie.

– Niepodparta, uparta...! – mruczał Rogowiec, choć nikt lepiej niż on nie znał upartych kobiet. Nie zmieniały swojego postępowania tylko dlatego, że prosił je o to mężczyzna.

Mogę iść z nią i zginąć albo zawrócić i być może przeżyć – to znaczy, jeśli ktokolwiek przeżyje – nienawidząc samego siebie za to, że ją opuściłem. Starsi Ziemi, czemuście się na mnie uwzięli? Dlaczego nigdy nie mogę być panem własnego życia?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie Rogowiec usłyszał odgłos szybkich kroków. Zatrzymał się, a chwilę później to samo zrobiła Briony. Stali nieruchomo, wpatrzeni w ciemność, a w miarę jak dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy, było jasne, że cokolwiek się do nich zbliża, przybywa z góry.

– Kto...? – zdążyła zapytać Briony i zaraz w kręgu pochodni pojawiła się młoda ciemnowłosa dziewczyna, która biegła, nie mając żadnego źródła światła. Ominęła Rogowca i Briony, ledwo rzuciwszy na nich okiem, i ruszyła dalej; chwilę później zniknęła w ciemności pod nimi. Jeszcze przez jakiś krótki czas słyszeli jej szybkie kroki, ale i one wkrótce ucichły.

– Na bogów, co się tu dzieje? – zapytała zdumiona Briony. – Jak ona widzi w ciemności? I dlaczego biegła w tę stronę, w ciemność?

– Ja... ją znam – rzekł Rogowiec. – Znam tę dziewczynę.

Briony podjęła już marsz ścieżką.

– Jak to? Przecież nie należała do twojej rasy. Wzrostem prawie dorównywała mnie!

– Spotkałem ją i z nią rozmawiałem. Ma na imię Wierzba. Jest dotknięta magią, jak sądzę, a kiedyś zaprowadziła mnie do Qarów...

– Wierzba? Ja też ją znam. Kapitan Vansen przywiózł ją z zachodu – powiedział, że się zgubiła za Granicą Cienia. – Briony przyspieszyła

kroku. – Dlaczego tak pędziła w głąb ziemi i nie powiedziała ani słowa? I jak może coś widzieć w ciemności?

Rogowiec nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Nie wiedział, dlaczego dziewczyna przebywa tu w tej chwili. Nie wiedział nawet, dlaczego on sam tu teraz jest.

\*\*\*

Tym razem usłyszeli ją dopiero w ostatnim momencie, kiedy wyłoniła się z cienia przed nimi, zdążając szybko w ich stronę, jakby dopiero teraz ich zobaczyła.

– Uratujcie go! Zrobią mu krzywdę! Proszę, są dla niego za silni! – Rzuciła się na ziemię i oplotła ramionami nogi Briony. – Uratujcie go, mojego Kayyina!

– C-co? Kogo...? – wymamrotała księżniczka, lecz dziewczyna już się podnosiła. Chwyciła Briony za ramię, próbując pociągnąć ją za sobą.

– Chodź! Och, chodź! Istoty ognia i wiatru go zabiją!

Briony pozwoliła dziewczynie poprowadzić się w ciemność, a Rogowiec podążył za nimi. Usłyszał jakieś głosy z przodu, z których tylko jeden wydawał się ludzki, pozostałe zaś poświstywały i gwizdały jak wiatr.

Wyszli w miejscu, w którym ścieżka się rozszerzała, i ujrzeli wysokiego, smukłego mężczyznę, który, jak się zdawało, przeżywał coś straszego: machał ramionami, a jego ciało kołysało się niczym młode drzewo nękane silnym wiatrem. Dopiero po chwili Rogowiec zobaczył, że mężczyzna walczy z cieniami, które czepiały się go rękami podobnymi do podartych łopoczących zasłon.

– Pomóżcie mu! – krzyknęła dziewczyna.

Briony wahała się tylko chwilę, a potem pobiegła do walczących ze sztyletami w dłoniach. Rogowiec wpatrywał się w nią, po raz kolejny się dziwując, co się stało z tamtą dziewczyną, którą widział podczas pogrzebu. Kiedy zdążyła się zamienić w istotę ze stali i powrozu?

Nieważne, te mroczne istoty ją zabiją, pomyślał. I też pobiegł, wymachując pochodnią i usiłując wydobyć ze ściśniętego gardła groźny okrzyk, co mu się nie udało.

Półelf był spowity w ciemność, z której wyciekało światło jak spod zakrytej latarni. Kiedy Briony się zbliżyła, jedna z istot odsunęła się od Kayyina i podpłynęła do niej; przypominała osobę w płaszczu smaganą porywem gwałtownego wiatru. Tylko jej oczy miały barwę i połyskiwały jak szmaragdy.

– Nosisz bardzo starą broń – powiedziała do Briony. Głos zdawał się wydobywać westchnieniem z każdego ciemnego kąta poza kręgiem pochodni Rogowca. – Metal spadającej gwiazdy. W przeszłości takie ostrze potrafiło ranić nawet nas, a nie jest łatwo wyrzucić nam krzywdę. – Oczy istoty zaświeciły jaśniej. – Ale zranić to jeszcze nie zniszczyć, a ty nie jesteś wielką wojowniczką.

Briony nie zatrzymała się, by wysłuchać istoty, lecz z nożami wyciągniętymi przed siebie poruszała się po szerokim łuku, starając się odciągnąć napastnika od Kayyina i pozostałych czarnych postaci.

– Powiedziałeś, że można cię zranić, demonie. – Jej głos był napięty, ale zaskakująco spokojny. – Tylko tyle chciałam usłyszeć. Dopiero co zabiłam mojego najbardziej niktzemnego wroga gołymi rękami, tak więc chodź, przekonamy się, które z nas skończy!

Briony na moment skrzyżowała sztylety i zaatakowała. Wtedy zjawa odpłynęła do tyłu jak dym, po czym znowu się przybliżyła i zamachnęła na księżniczkę szponami. Rogowiec uderzył pochodnią ramię istoty, lecz żagiew przeszła przez nie na wylot; kiedy bezkształtna zjawa spojrzała na niego, wydało mu się, że ciemność jej twarzy wypełniła jego oczy. Rogowiec został odrzucony do tyłu. Upadając, uderzył głową w ścianę. Pochodnia wypadła mu z ręki i potoczyła się na sam skraj ścieżki, a płomień przygasł, lecz po chwili znowu się wydłużył.

Funderling spróbował wstać, lecz wszystko przed nim kołysało się albo kręciło, i to nie tylko z powodu pełgającego światła. Wydawało mu się, że w głowie ma rój pszczół, a w nogach stracił czucie. Starsi Ziemi, pomyślał. Nie mogę umrzeć, nie w ten sposób, nie jako świadek czyjejś walki i z dala od Opal...

Łopocząca i migocząca istota, która przemówiła, zanim zawirowała wokół Briony niczym mgła, znowu odpłynęła do tyłu, kiedy księżniczka zaatakowała sztyletami, jakby z niej drwiła.



– Podejdz na tyle blisko, zebym mogła cię zabić, tchórze! – powiedziała Briony, oddychając nierówno. – Królowa Saqri przysięgała, że będziecie naszymi sojusznikami!

– Saqri nie mówi w naszym imieniu, a śmiertelnik nie może zabić Strażnika Żywiołów – odpowiedziała istota pogodnym tonem. – Jestem Saganem Cienia i mój los jest zapisany w Księdze na wieki po tym, jak z ciebie zostanie tylko proch. A poza tym chciałam się tylko zabawić, dopóki nie wypełnimy swojego zadania. Siostry? Zabrałyście złodziejowi naszą nagrodę?

Pozostałe cienie leżały rozciągnięte na Kayyinie niczym czarne koce, lecz na głos Saganu Cienia uniosły się, powiewając. W miejscu zachodzenia na siebie plam ciemności spoczywał duży kamień, który połyskiwał żółto i mętnie jak brudna woda.

– Mamy to – zawołała jedna z istot. – Musiała powiedzieć mu o jaju!

– Nie – odrzekła druga. – Zobaczył je w jej myślach.

– Zabierzcie je – zawołała ta zwana Saganem Cienia. – Nieważne, w jaki sposób się dowiedział. – Jedno machnięcie postrzępionej kończyny rzuciło Briony na ziemię z taką siłą, że noże wypadły jej z rąk. Wtedy Sagan Cienia odpłynęła jak mgła i chwilę później wróciła do poprzedniej postaci w powietrzu nad przepaścią niczym wielki nietoperz o rozjarzonych ślepiach.

*– A teraz, siostry, weźcie jajo i upuśćcie na kamień. Rozbijcie je I niech śmierć rozleje się na te ciepłe cielesne istoty!*

Wszystkie postacie pomknęły w górę z niewiarygodną prędkością i tylko błyski ich oczu i mdłe świecenie jaja wskazywało Rogowcowi, gdzie są.

– Myśli Głębokiej Biblioteki pomogły nam je stworzyć, ale nie miały odwagi się nim posłużyć! Podobnie jak Yasammez, która ostatecznie zmarła śmiercią tchórze, tak jak Ynnir Zdrajca. Ale my jesteśmy inne, jesteśmy Strażnikami Żywiołów. – Spokojna pewność w syczącym głosie istoty ścisnęła trzewia Rogowca niczym lodowata dłoń. – Opiekowałyśmy się nim w naszym najciemniejszym ogrodzie i uczyniłyśmy jeszcze groźniejszym, niż wyobrażała sobie Yasammez.

– Nic wolno rozbić jaja – odezwał się słaby głos. Kayyin stanął chwiejnie na nogach tak blisko, że Rogowiec mógł go dotknąć. – Kiedy gorączka się wykluje, zniszczy nie tylko to, co w zamku, ale rozpełźnie się po całej ziemi i nie zostanie na niej nic, co oddycha – powiedział na wpół czarodziejski człowiek.

– Tak! – zawołała uradowana Sagan Cienia. – Nasze dzieci zatańczą przy świetle księżycy i będą miały tylko dla siebie wszystkie opustoszałe ziemie i morza! – Głos istoty wył jak rozszalały szkwał. – Rzućcie jajo, siostry, i oczyśćcie tę zbrukaną ziemię!

\*\*\*

– To są moi więźniowie. – Spośród wszystkich obecnych w pieczarze, tych martwych i tych, którzy jeszcze czepiali się życia, autarcha wyglądał tak, jakby właśnie przybył z innego miejsca. Jego złocista zbroja, nietknięta ogniem i tylko trochę przyprószona popiołem, lśniła refleksami szalejących wokół płomieni. Sokoli hełm miał podsunięty wysoko na spoconym czole, a z jego wytrzeszczonych oczu biła szalona wściekłość, jakiej Vansen nie widział u człowieka. – I łódź też jest moja. Co do niej włożyłeś, psie, co jeszcze mi ukradłeś? Ach, jeszcze jeden Eddon, ten z ognistą czupryną. Więcej starej krwi do rozlania, tak, więcej krwi. – Mimo że nóż autarchy przylgnął mocniej do szyi Vansena, Sulepis wydawał się prawie go nie zauważać. – Z pewnością znajdę innego więźnia niebios, innego śpiącego boga, który zechce zawrzeć umowę w zamian za wolność i wyzwoli mnie od tego zdradliwego Oszusta – rzekł. – Nie, jeszcze nie skończyłem z bogami. Odplacę im za tę zniewagę. Myślą, że kim jestem? – Skierował spojrzenie na Vansena. – Jestem Złocistym! Żyjącym Słońcem!

Vansen wycedził przez zaciśnięte zęby, spodziewał się, że będą to jego ostatnie słowa:

– Jesteś... tylko... jeszcze jednym... głupcem.

– Co? – Autarcha pochylił się nad kapitanem, przyciskając mocniej nóż do jego szyi, i przygwoździł mu kolanami ramiona, by przestał się szarpać. – A ty czym jesteś? Jednym z wieśniaków z Marchii?

– Wolę... – Głos Vansena brzmiał jak ledwo słyszalny szept, dlatego autarcha pochylił się jeszcze niżej. – Wolę być najzwyczajszym pasterzem z Marchii niż tobą w tej złotej zbroi... – Vansen się nie szarpał, ale próbował dosięgnąć kamienia; kiedy wreszcie go chwycił, uderzył nim z całej siły w lśniący sokoli hełm autarchy.

Niewiele sił pozostało jednak Vansenowi. Uderzenie było na tyle mocne, by zaskoczyć króla-boga, i pozwoliło też kapitanowi go z siebie zrzucić. Próbował odczołgać się jak najdalej, lecz Sulepis szybko go dopadł, dziobiąc mieczem, tak że kapitan mógł tylko próbować chwycić go za ramiona. Starał się nie dopuścić, by ostrze dosięgło jego nieosłoniętej szyi i twarzy, lecz był skrajnie wyczerpany i ranny, Sulepis zaś był wyższy, dobrze umięśniony i wypoczęty. Vansen zdołał się przeturlać i przygnieść nadgarstek autarchy, zmuszając go do wypuszczenia miecza, lecz było to jego jedyne zwycięstwo. Kiedy zaczęli się szamotać, autarcha szybko zyskał przewagę i usiadł na piersi Vansena, a potem zacisnął na jego szyi długie silne palce.

Przed oczami kapitana rozlała się ciemność. Vansen słyszał tylko szum w uszach i widział niewyraźną plamę oszalałego autarchy rozjaśnioną błyskającymi oczami i obnażonymi zębami. A potem wydawało się, że ogromny płomień wypełnił niebo nad nimi, jakby samo oślepiające palące słońce spadło w to miejsce w głębi ziemi. Chwilę później Vansen nie czuł już na sobie ciężaru autarchy. Zakasłał gwałtownie, spragniony powietrza, które mu odebrano.

Kiedy znowu spojrzął w górę, zobaczył malutką złocistą postać autarchy, którego Zosim trzymał w płomiennych białych palcach, uśmiechając się triumfalnie.

– PONIEWAŻ SKOŃCZYŁEM Z CÓRKĄ SZACHRAJA – zamruczał głucho bóg, co przypominało odgłos nadciągającej burzy – ZOSTAŁEŚ JUŻ TYLKO TY, MALUTKI CZŁOWIECZKU, KTÓRY MNIE PRZYWOŁAŁEŚ.

Sulepis szarpał się tak gwałtownie, że puściły rzemienie jego zbroi. Runął w dół, lecz ogromny Zosim złapał go w powietrzu jak muchę.

– NIE, NIE STRACĘ CIĘ TAK ŁATWO – rzekł. – W KOŃCU COS CI ZAWDZIĘCZAM. ZAMIERZAŁEŚ MI ROZKAZYWAĆ, JAKBYM BYŁ JEDNYM Z TWOICH NIEWOLNIKÓW. – Bóg się

zaśmiał, a jego gromki śmiech przetoczył się przez ogromną pieczarę. Podniósł wyżej wijącego się autarchę, który znalazł się przed jego oczami. – WIDZĘ, ŻE NOSISZ SOKOŁA PANA SŁOŃCA, TY MAŁA ŚMIERTELNA KREATURO. JAKŻE BY SIĘ UŚMIAŁ, GDYBY TO ZOBACZYŁ! ALE PODOBA MI SIĘ TEN POMYSŁ, TAK, BĘDZIESZ MOIM... GRZEBIENIEM, JAK SOKÓŁ NA TWOIM HELMIE!

Mówiąc to, Zosim przycisnął kciukiem pierś autarchy, by go przytrzymać, po czym oderwał mu jedno ramię, a potem drugie i rzucił na ziemię. Następnie, kiedy pieczarę wypełniły żalose krzyki autarchy, a jego krew popłynęła po palcach boga, Zosim oderwał Sulepisowi długie nogi. Agonalne okrzyki oszalałego z bólu autarchy płynęły w górę, aż wydawało się, że krzyczą same gwiazdy na niebie. Bóg uniósł pozbawiony kończyn tułów z głową i przycisnął sobie do czoła i przez chwilę się zdawało, że ta zakrwawiona złocista narośl wyrosła z jego ciała... a potem wybuchła płomieniem. Sulepis wciąż żył, płonął nietrawiony przez ogień, krzycząc przeraźliwie i wyrывая się z ciała boga, które trzymało go mocno. Ferras Vansen leżał na wpół przytomny, na wpół oszalały od tego wszystkiego, co widział.

– TERAZ PÓJDZIESZ WSZĘDZIE TAM, DOKĄD JA PÓJDE, MAŁY KRÓLU, I ZOBACZYSZ TO, CO JA BĘDĘ OGLĄDAŁ... PRZEZ JAKIŚ CZAS. – Zosim się odwrócił i ruszył ku brzegowi, a każdy jego krok wstrząsał ziemią, po czym wszedł do morza i zanurzył się w srebrzystej cieczy aż po uda. Z każdym krokiem bóg wydawał się coraz jaśniejszy, coraz gorętszy, a płomienie na jego skórze tańczyły coraz wyżej. Zanim dotarł na przeciwległy brzeg Morza w Głębiach, płonął już tak jasno, że trudno było rozpoznać wśród płomieni jego postać.

Zosim wyciągnął ogromną rękę i przyłożył do ściany pieczary. Skala eksplodowała i pękła, krusząc się na zewnątrz. Siegnął ręką wyżej i wyrwał kolejny kawał kamienia, czyniąc uchwyt dla siebie, po czym przyłożył stopę do ściany. Bóg już ani trochę nie przypominał człowieka, był ogromną postacią o ludzkim kształcie niemal z czystego ognia. Z takiej odległości Vansen nie widział autarchy, lecz wydawało mu się, że przez ryk płomieni przebijają się żalose krzyki.

OTO POWRACAM! – oznajmił bóg, po czym zaczął się wspinać po dymiącej, kruszącej się skale, kierując się ku powierzchni.

## Krzyczące gwiazdy

*...I tak Kernios przywołał cień Sieroty i  
oznajmił, że jeśli w ponurym Kernionie znajdzie  
się ktoś, kto za nim zapłacze, będzie mógł  
odejść... Zoria podarowała mu dłonie z  
dębowego drewna, żeby mógł grać na flecie.*

*– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w  
niebiosach*

*– Zobacz, co zrobili.*

Barrick się poruszył i spróbował otworzyć oczy, ale mu się to nie udało. Ciemność pozostała.

*– Nic nie widzę!*

*– Musisz patrzeć oczami Ognistego Kwiatu. – Głos Ynnira. – Obawiam się, że to ostatni raz, kiedy mogę do ciebie przemówić. Jest coraz trudniej...*

Barrick zaczął poruszać się nie w stronę światła, lecz blednącego cienia, postaci, która zdawała się tworzyć samą siebie, stawiając opór ciemności. Stała spokojnie przed nim, czekając, z gęstym porożem, które zdawało się nie mieć końca.

*– Czy ja umieram?*

*– Jeszcze nie. – Olbrzymi jeleni opuścił głowę, jakby chciał skubnąć trawę. – Ale nikt – nawet bogowie, jak sądzę – nie przetrwa dłużej niż Księga. A to będzie jedna z jej najdziwniejszych stronic... – Nagle zwierzę uniosło głowę, jakby coś usłyszało. – Chodź. Idź za mną. Zobacz, co zrobili!*

Jeleni ruszył przed siebie i choć Barrick nie widział ziemi, po której biegł, słyszał realny odgłos kopyt na trawie, liściach i gałązkach. Popędził za jeleniem.

*– Kto i co zrobił? – zawołał.*

– *Ci, którzy żyją krótko. Twój rodzaj – duzi i mali. Widzisz? Zobacz, jak znaleźli drogę w ciemności...*

Pędzili teraz przez czarne pustkowie poprzecinane strumieniami ognia. Płomienie strzelały w kolejnych miejscach, ogromne ogniste kwiaty, które rozlewały się lśniące, pchane gorącym wiatrem, aż sama ziemia zatrzęsała się i zaczęła pękać.

– *Co to jest, panie?*

– *Śmiertelnicy uwolnili ogień, by zwalczyć boga ognia – wyjaśnił Ynnir, kiedy patrzyli, jak ogień rośnie i się rozprzestrzenia, jak pękają kamienie i zapada się ziemia. – Ogień Szachraja, tak to nazywają. Widzisz? Moc Ognia to moc samego Czasu, niszczy wszystko, lecz tutaj spustoszenie ognistego wieku skurczyło się do jednego punktu, do momentu zniszczenia, który oglądamy w całej okazałości. Patrz! Za pomocą sproszkowanej skały śmiertelnicy wzniecili płomienie i rozerwali ziemię.*

– *Ale dlaczego? Zamierzają zdusić Oszusta i jego ogień?*

– *Och, nie. Mają większy plan. Rozpalili ogień, by skruszyć ziemię, a gdy to nastąpi... patrz teraz!*

Kiedy pękły i zapadły się skały Góry Midlana, kiedy kolejne eksplozje ognia zwały pierwszą ścianę Tajemnic Funderlingów, a potem następną, do środka wreszcie wdarło się morze.

– *Pan wody może i śpi, ale wciąż jest potężny!* – zawołał Ynnir. – *Co może zniszczyć ogień Oszusta? Głębokie wody, ludzkie dziecko, głębokie, zimne wody ogromnego oceanu.*

\*\*\*

Monstrualny płonący bóg wspiał się po kamiennej ścianie komina, tak że zniknął Vansenowi z oczu, gdy z przepastnego otworu w sklepieniu pieczary spłynął huk podobny do grzmotu. Przez chwilę kapitan myślał, że to głos boga wyrażającego swoją wściekłość i triumf, zwielokrotniony echem zamkniętym w pionowym tunelu, lecz zatrzęsała się też sama ziemia, a zaokrąglone kamienie wyspy zaczęły podskakiwać i obsuwać się dookoła.

Vansen dźwignął się najpierw na czworaki, a potem z wielkim trudem stanął na nogi. Ze ścian pieczary osypywały się kamienie, najpierw drobne, a potem zaczęły spadać kawały skał wielkości jego głowy i jeszcze większe. Głaz o rozmiarach wozu spadł do Morza w Głębiach i wzbił srebrzystą fontannę wysoką jak Mur Zewnętrzny.

Gdzieś tam bogowie śmieją się z nas, pomyślał Vansen. Zosim Oszust wydostanie się na powierzchnię, tymczasem my, śmiertelnicy, którzy tu zostaniemy, utkniemy, zasypani kamieniami, niezdolni do ucieczki.

Dudnienie się nasiliło. Ziemia zatrzęsała się mocniej. Vansen zachwiał się, kiedy wyspa pod nim zakołysała się jak most linowy, lecz wreszcie dotarł do księcia Barricka. Miał nadzieję, że drzenie wkrótce ustanie, tymczasem ziemia wciąż pulsowała, i to coraz gwałtowniej, jakby stał na bębnie, w który ktoś wali. Jednocześnie powietrze jakby zgęstniało i napierało mocno na jego oczy, wywołując dzwonienie w uszach.

– Wasza Wysokość! Barricku! Ja nie... nie mam dość sił... by cię ponieść! Obudź się!

Vansen pociągnął księcia kilka kroków w stronę łodzi, lecz z trudem mógł się wyprostować, a ręce miał zdrtwiałe z wysiłku. Poczł, że Barrick się poruszył.

– Co...?

– Wszystko wokół się wali, Wasza Wysokość, cała pieczara. Może gdyby udało nam się dotrzeć do któregoś z bocznych tuneli...

Barrick wyrwał się z uścisku Vansena.

– Nie! – Przeturlał się na bok i zaczął czołgać po kamieniach nieporadnie jak żółw. – Nie... łódź. Musimy... wsiąść do łodzi.

– Wasza Wysokość, to szaleństwo – zawołał Vansen. – Nic nam to nie da. Niektóre kamienie są wielkie jak domy!

– Vansen, ja nie... rozkazuję ci teraz jako księżę. Błagam cię jak przyjaciel. Wsiądźmy do łodzi!

Barrick resztką sił przetoczył się nad trzciniową burtą i położył między królem Olinem a czarnowłosą dziewczyną; gdy tak leżał, blady i nieruchomy, wydawało się, że i jego serce ustało. Vansen wpełzł do łodzi obok niego.



– Bez względu na wszystko trzymaj ich – rzekł książę; oczy miał zamknięte, a twarz bladą, tak samo jak jego brat w noc, kiedy go zamordowano. – Trzymaj mocno mojego ojca i nie wypuść. On zasługuje na to... by wrócić do domu.

Wtedy spadły pierwsze strumienie morskiej wody i wlały się do Ostatniej Godziny Przodka. Strumienie zamieniły się w powódź, w zbitą jaszczurkową kolumnę, jakby wylano na nich cały Ocean Irisjański. Patrząc na ścianę zielonej wody pędzącej ku nim, Vansen doznał dziwnej wizji: wydało mu się, że widzi pięknego białego młodzieńca uwięzionego w wodnej kurtynie, płonącego i rozjarzonego jak płynne srebro, wijącego się bezradnie w uścisku wody. Kapitan wsunął dłoń głęboko w trzciniową burtę łodzi, a drugie ramię owinał wokół bezwładnego ciała ojca Barricka, króla.

Pędząca fala przewaliła się z hukiem nad nimi i zamieniła świat w jaszczurkę. Bańki powietrza płynęły przed oczami Ferrasa Vansena, lśniące jak strącone z firmamentu gwiazdy. Łódź wyskoczyła na powierzchnię, tak że przez chwilę Vansen mógł łapać powietrze, lecz unosiła się na wzburzonej wodzie niczym kawałek drewna. Vansen nie był w stanie unieść głowy, by się rozejrzeć, ponieważ z całych sił musiał trzymać się burty i pilnować Olinę, aż wył z bólu, czując, że siła wody wyrzywa mu ramiona ze stawów. Uderzyli o kamień i mała łódź obróciła się, a potem została wyrzucona z zielonej toni, zawirowała i znowu podskoczyła. Ponownie walnęli w skalną ścianę. Vansenowi się wydawało, że słyszy Barricka, który krzyczy i się krztusi. I jeszcze raz zalała ich zielona toń i zakręciła, jakby łódź była liściem niesionym wartkim prądem. Głęboko pod nimi wciąż coś płonęło i się tliło, lecz nawet boskie płomienie musiały zgasnąć pod ciężarem takiej masy wody.

W górę i w dół. W kółko, Vansen trzymał się kurczowo, nic mając pojęcia, w którą stronę się przetaczają. Znowu w dół, potem w górę. Woda szarpała nim jak pies złapanym w zęby szczurem. Vansen zamknął oczy i trzymał się mocno.

\*\*\*

Briony próbowała się podnieść, gdy pierwszy wstrząs przepłynął pod jej stopami, tak że znowu się przewróciła, niemal spadając ze ścieżki. Z głębi popłynął ryk tak straszny jak wycie legendarnej bestii; nawet zaskoczeni Strażnicy Żywiołów poruszyli się niespokojnie w powietrzu.

Ryk z dołu przeszedł w coraz głośniejszy grzmot. Z otchłani popłynął wyjący wichur, a strumień gorącego powietrza odrzucił Briony ze skraju ścieżki i targnął Strażnikami Żywiołów, jakby byli szmatkami. Istota z rozjarzonym kamieniem, nazywana Saganem Cienia, zawisała nad przepaścią poza zasięgiem ramion Briony, gotowa rzucić w dół Jajo Gorączki i rozbić je o kamień, by uwolnić z jego wnętrza zarazę.

– Nie! – krzyknęła Briony, kiedy upiorny artefakt uniosł się wyżej, a ziemia pod nią zadrżała. – Nie rób...!

Coś pomknęło do przodu i wyskoczyło poza krawędź ścieżki ku Strażniczce Żywiołów. W ostatniej chwili, zanim Kayyin spadł w ciemność, chwycił nogi wiszącej w powietrzu istoty, mocując się z ciemną niesubstancjalną masą Saganu Cienia, jakby to był ogromny nietoperz. Przez chwilę się wydawało, że swoim ciężarem pociągnie Strażniczkę Żywiołów w dół, lecz postrzępiona czarna istota była zbyt silna uniosła się razem z półczarodziejskim Kayyinem. Nagle inna postać przemknęła obok Briony – dziewczyna o imieniu Wierzba. Skoczyła za Kayyinem i uczepiła się jego nóg, wydając okrzyk przestraszonego dziecka. Zaskoczyła Strażniczkę Żywiołów. Briony patrzyła przerażona, jak cała trójka kołysze się przez chwilę, a potem wszyscy runęli w ciemność razem z jajem. Pozostałe dwie Strażniczki wzbity się nad przepaść, by sprawdzić, co się stało z ich towarzyszką, a potem w jednej chwili zniknęły, jakby w ogóle ich tam nie było.

Oszołomiona Briony podczołgała się do krawędzi otchłani i spojrzała w ciemność, zastanawiając się, czy poczuje zarazę, kiedy ta wypłynie czy będzie jak dym, jak kadzidło w świątyni?

Zobaczyła, że coś wynurza się z głębi przepaści, coś ogromnego. Wiatr wiejący z tamtej strony przycisnął jej włosy do głowy, a ona widziała tylko niezmierną masę pnącą się w górę w ciemności.

Woda. Przepaść wypełniała się wodą, która pędziła ku niej. Kayyin, dziewczyna, a nawet Jajo Gorączki zostali przez nią pochłonięci, za kilka

chwil także ona i Rogowiec zostaną porwani i będą unosić się na powierzchni, dopóki ich kości nie spoczną na dnie. Briony wycofała się do miejsca pod ścianą, gdzie mały Funderling wciąż próbował wstać. Usiadła przy nim i czekała na koniec; chciała nawet się pomodlić, ale nie miała pewności, do kogo miałyby skierować swoją modlitwę. Po kilku długich chwilach ryczący szum zaczął cichnąć; woda wciąż się podnosiła, ale już nie tak szybko. Księżniczka przysunęła się do krawędzi i spojrzała w dół, trzymając przed sobą pochodnię, co pozwoliło jej zobaczyć spieniony cień pnący się w górę, połykający kolejne poziomy, aż ze zdumieniem zauważyła, że woda zatrzymała się kilkadziesiąt jardów poniżej.

– Woda – powiedziała, usiłując zrozumieć to, co widzi.

Rogowiec podczołgał się do niej.

– Na przełam i ryse – rzucił. – Udało się. Na przodków, udało nam się...

– Jajo Gorączki wpadło do wody i się nie rozbiło – dodała powoli Briony. – Pewnie teraz opada na dno.

– Jesteś pewna? – zapytał Rogowiec i zerknął w ciemność, jakby się spodziewał, że zobaczy jajo unoszące się na wodzie. – Skąd wiesz?

– Bo gdyby się zbiło, to chyba już byśmy nie żyli.

Rogowiec podniósł głowę.

– Księżniczko? Nie widzisz ich?

– Czego? Kogo?

– W dole.

Briony nie zobaczyła niczego tam, gdzie pokazywał Funderling. Było to zbyt daleko i zbyt ciemno.

– Żadne z nich się nie rusza – powiedział. – Jest ich czworo. Leżą na dnie łodzi.

– Jak to? – W słabym świetle nie widziała tak dobrze jak Rogowiec, dlatego nie zobaczyła łodzi, lecz gdy wyteżyła wzrok, dostrzegła zielony błysk w głębi, który przybliżał się do powierzchni. Przez chwilę, jak we śnie, ujrzała coś niewiarygodnego: ogromną rozjarzoną ludzką postać brnącą przez kotłującą się wodę ku górze. Lecz zaraz zwolniła i zawisła w wodnej otchłani. Jej światło przygasło, a ogromna postać rozpadła się na tysiące ciemnych migoczących kawałków. Chwilę później woda

znowu była jednolicie ciemna. To był sen, wizja, nic więcej. Briony potrząsnęła głową. – Widzisz łódź? Naprawdę są w niej ludzie?

– Tak. Może gdyby udało mi się zejść do nich po linie, odpowiedzieliby na moje pytania. O ile żyją.

– Wątpię. – Briony wpatrywała się w łódź, której i tak nie widziała. Co tam się stało? A co ważniejsze, co się stało tam w dole? Z jej rodziną? Z autarchą? Niespokojna woda wciąż się burzyła i zalewała falami krawędź przepaści. Czy ktoś z nich mógł przeżyć? – Litościwa Zorio, czy ocalał ktoś poza nami?

Rogowiec już szukał miejsca, w którym mógłby przywiązać linę.

\*\*\*

Funderling wrócił z bardzo ponurą miną, wspiąwszy się z powrotem na górę po zdradliwej pochyłości po tym, jak obwiązał liną jednego z tych, którzy przeżyli. Nie odpowiadał na pytania Briony, kiedy zaczęli wyciągać pierwszego pasażera łodzi, smukłą dziewczynę o brązowej skórze i ciemnych oczach mieszkanki południa, zimną i nieruchomą. Zanim ją odwiązali, na ścieżce pojawili się pierwsi szańscy żołnierze. Wysłał ich Eneasz, jak oznajmili Briony, a księżę szedł z tyłu. Z ich pomocą o wiele szybciej wyciągnęli drugą ofiarę i Briony, zanim jeszcze rozwiązano linę, zorientowała się, że patrzy na ciało ojca.

Kiedy leżała z głową na zimnej piersi Olina, strażnicy wyciągnęli pozostałe dwie osoby. Jej brata położono obok ojca, a gdy przerażona wpatrywała się w jego blade nieruchome oblicze, podciągnięto ostatniego pasażera. Sam wyplątał się z lin i podszedł do niej chwiejnym krokiem, a potem opadł na kolana, kołysząc się jak podcięte drzewo.

– Jestem na twoje rozkazy, pani. Przyprawiam ci z powrotem twojego brata. Wierzę, że... żyje...

Oczy Ferrasa Vansena uciekły w głąb czaszki i kapitan padł nieprzytomny u stóp Briony..

# CZĘŚĆ CZWARTA

## **SOSNA**

## Tylko w snach

*Przez trzy dni i trzy noce Adis chodził po Kernionie, wyśpiewując opowieść o swoim smutnym życiu, aż wreszcie bogini Mesiya, żona Kerniosa, uрониła łzę współczucia. Wtedy Kernios tak się rozgniewał, że wygnał ją na zawsze...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Była zmęczona, tak bardzo zmęczona. Pragnęła jedynie zasnąć i spać do chwili, kiedy świat się zmieni, lecz najwyraźniej się na to nie zanosilo...

– A ludzie autarchy, Wasza Wysokość?

Briony skinęła głową.

– Miasto jest bezpieczne. Kapitan Vansen twierdzi, że południowcy wycofali się między wzgórz, lordzie M' Ardall.

– Ale wciąż są ich... tysiące!

Bardzo się starała zapanować nad głosem. Młody hrabia był jednym z nielicznych, którzy nie podporządkowali się Hendonowi Tolly'emu. Potrzebowała takich jak on.

– Nie wykazują chęci kontynuowania ataku, jaki przypuścił autarcha, a nasi żołnierze zajmują się likwidacją ostatnich zdrajców, którzy schowali się z Tollym za murami twierdzy wewnętrznej. – Postarała się przywołać uśmiech. – Uwierz mi, dobry M' Ardallu, że obserwujemy naszych wrogów. Nie szukajmy kłopotów, dopóki same się nie pojawią.

– Mądre słowa, Wasza Wysokość – odpowiedział szlachcic i skłonił głowę.

Sala tronowa była zniszczona, dlatego pośrodku ogrodu rezydencji rozstawiono namiot, a w nim ławki z jadalni, by mogły odbywać się tam audiencje do czasu naprawy zniszczeń. Książę Eneas z nalegał, by Briony

zasiadła na tronie, które to honorowe miejsce miało ją wyróżnić spośród innych w tej prowizorycznej sali, jak i dać pewną pociechę, jako że była bardzo przybita tym, że znowu musi nosić suknię i gorset. Bardzo jej się to nie podobało, ale uznała, że poświęci się dla poddanych, by pokazać im, iż wszystko jest tak jak dawniej – nawet te znienawidzone przez nią rzeczy.

Gdybym tylko nie czuła się tak, jakbym miała kowadło zamiast głowy, pomyślała. Gdyby tylko ich głosy nie przypominały uderzających w nie młotów...

Rozglądając się po zgromadzonych, wielu dobrze jej znanych, mimo wszystko poczuła, że sytuacja jest dziwna: bo choć kilkoro Eddonów żyło, żadnego w tej chwili z nich nie było przy niej. Anissa z małym Alessandrosem wycofała się do swoich dawnych pokoi w zniszczonej Wieży Wiosennej. Jej stryjeczna babka Merolanna także pozostała u siebie, złożona niemocą. Ojciec, a raczej jego ciało, spoczywał w jedynej ogólnie dostępnej sali rezydencji w blasku świateł. Briony wielokrotnie płakała nad zwłokami. A jej brat...

Ach, Barricku, gdzie jesteś?

– Księżniczko? Wybacz, mam przyjść kiedy indziej?

Otworzyła oczy i zobaczyła hierarchę Sisela, który robił wszystko, by zachować cierpliwość. Z wielu powodów rządy Hendona Tolly'ego nauczyły hierarchę, jak i innych arystokratów, że nie należy wzbudzać gniewu władcy.

Tyle przynajmniej ci zawdzięczam, umarlaku.

– Nie, eminencjo – odpowiedziała głośno. – To moja wina, nie twoja. Powtórz, proszę.

– Chodzi o to, że nie możemy odkładać pogrzebu twojego ojca i trzeba podjąć pewne decyzje. Kaplica Eddonów jest zburzona, poważnemu zniszczeniu uległa także świątynia w twierdzy zewnętrznej.

– W takim razie ceremonia pogrzebowa odbędzie się pod gołym niebem, eminencjo. Sądzę, że ojciec tak by wolał.

– Zajmę się wszystkim, księżniczko – rzekł Eneas, ucinając protesty Sisela. – Oczywiście za twoim pozwoleniem.

– Miło z twojej strony, książę Eneasz – odpowiedziała, choć gorliwość księcia w niesieniu jej pomocy trochę ją niepokoiła. Nie

chciała polegać na nim za bardzo; wciąż czekał na jej odpowiedź w wiadomej sprawie.

– Co jeszcze? Mam mętlik w głowie i obawiam się, że w tej chwili nie myślę jasno. Nynorze? Dobrze znowu cię widzieć. Pragniesz coś powiedzieć?

Starzec zaczął się z trudem podnosić, lecz opadł z powrotem na swoje miejsce, powstrzymany gestem księżniczki.

– Gdzież indziej mógłbym być, kiedy moja pani mnie potrzebuje? Twój ojciec był jednym z moich najdroższych przyjaciół, klejnotem wśród książąt, przykładem dla zwykłych ludzi...

Briony starała się ukryć zniecierpliwienie. Czy oni nie rozumieją, że nie czas na formalności i miłe słówka? Jest wiele do zrobienia. Królestwa Pogranicza, a przede wszystkim sam Zamek Marchii Południowej znajduje się w opłakanym stanie. W ruinach, w pieczarach i tunelach pod nim leżą ciała, które zaczynają gnić. Żywych trzeba nakarmić, a Tolly opróżnił skarbiec. Briony wątpiła, by zdołał wydać wszystko. Należało raczej podejrzewać, że przewiózł złoto i klejnoty do swojej rodowej rezydencji w Summerfield, tak więc oprócz innych spraw musi rozważyć wojnę z kuzynami, by odzyskać własny majątek.

Nynor wciąż przedstawiał kolejne dowody na to, że obecny stan finansów królestwa – i w rzeczywistości całe administrowanie – to katastrofa, jakiej nie było od czasów Wielkiej Śmierci.

– ...i kto zaświadczy przeciwko zbrodniarzom? – narzekał, kiwając gruzłowatym palcem. – Praktycznie niemożliwe jest stwierdzenie, kto poparł Tolly'ego, a kto pozostał wierny Eddonom...

Briony udała, że zmienia pozycję, by ukryć westchnienie. Dlaczego wciąż jest zmęczona, każdego dnia?

– To nie jest najważniejsze, lordzie – odpowiedziała Nynorowi. – Czy mieszkańcy zamku mogli zrobić cokolwiek innego poza tym, żeby wspierać tron i tego, kto na nim zasiada? – Myślała o tym dużo w drodze powrotnej ze Syanu przez wszystkie te długie dni, kiedy przemierzała ziemie będące niegdyś dostatnim królestwem jej ojca, a teraz, niczym opuszczona zagroda, wracały do życia. – Naszym zadaniem nie jest karanie ich, jeśli zawierzili Tolly'emu, ale pokazanie dalszej drogi.



Chyba że ktoś posłużył się rządami Tolly'ego jako pretekstem dla własnych zbrodni i okrucieństwa! Wtedy będę nieugięta jak stal.

Wśród dworzan, szlachty i pozostałych zebranych w dużym namiocie rozległy się szepty, gdyż wielu z niepokojem się zastanawiało, jak ich poczynania ostatnich dwóch lat mogą zaważyć na tej szali. Dobrze, pomyślała Briony. Będę sprawiedliwa i okażę łaskę nawet wtedy, gdy inni może by tego nie zrobili, ale nie chcę, żeby niegodziwcy myśleli, że ich czyny pozostaną niezauważone i nienapiętnowane. Z bólem serca pomyślała o pracy, jaka ją czekała. I nie będzie ojca ani wielu dawnych doradców, a przede wszystkim, co najbardziej ją bolało, nie będzie jej brata...

– Gdzie jest Avin Brone? – zapytała niespodziewanie, przerywając wywody Nynora dotyczące spichlerzy. – Dlaczego go tutaj nie ma?

Pomarszczona twarz Nynora oblała się rumieńcem.

– Lord Brone powiedział... że przybędzie na twe wezwanie, księżniczko Briony. O każdej porze dnia i nocy.

– Ale nie czuje się zobowiązany, by być tutaj w tej chwili?

Nynor chrząknął.

– On... stwierdził, że zaczeka, jako że nie wydaje się, byś potrzebowała jego pomocy. Powiedział, że pozostaje w pokoju wobec bogów i władcy i spełni twoją wolę.

Patrząc na starego dworzanina, Briony się zastanawiała, jak by się czuł, gdyby wiedział to co ona.

– W takim razie spotkam się z nim jutro albo pojutrze. – Uśmiechnęła się tak, że kilkoro dworzan aż zamrugało, mimo że nie wiedzieli więcej niż Nynor. – Kiedy tylko będzie mu wygodnie, przekaż mu to. – Odwróciła się do księcia Eneasza. – Oczywiście wciąż setka albo i więcej ludzi Tolly'ego zostaje w Mieście Funderlingów, gdzie kryją się jak szczury. Myślę, że kapitan Vansen i lord Helkis znajdą tam zajęcie na kilka dni.

Eneasza skinął głową.

– O ile zdrajcy nie otrzymają pomocy od mieszkających tam Kallikanów.

– Funderlingów – poprawiła go tonem odrobinę ostrzejszym, niż zamierzała. – Nazywamy ich Funderlingami i są tak samo lojalni jak inni poddani.

– Tak, księżniczko, oczywiście, Funderlingowie. – Eneas rozciągnął usta w uśmiechu.

– Wybacz – rzuciła szybko. – Dokucza mi paskudny ból głowy. Nie chciałam...

– Wybaczzone i zapomniane, księżniczko. – Powiedziałyby coś więcej, lecz uwagę Briony zwróciła intrygująca postać, którą żołnierze zatrzymali w wejściu do namiotu.

– Zdaje się, że przybyła delegacja – rzekła. – Straż, wpuście gościa.

Wszystkie oczy zwróciły się ku szaroskórej kobiecie. Niektórzy zebrani znali Qarów jedynie jako wrogów, którzy próbowali ich zgładzić, dlatego teraz nie ukrywali swojej niechęci wobec przybysza. Kilka osób wręcz cofnęło się przed wysoką, szczupłą kobietą. Inni, jak Sisel, którzy opuścili zamek, zanim rozpoczęło się oblężenie, i przeczekali najgorszy czas w swoich rodzinnych włościach, przyglądali jej się bardziej zaintrygowani niż przestraszeni. Lecz wszyscy, o czym Briony była przekonana, nawet ona sama, patrzyli na gościa z mieszanymi uczuciami.

– Jestem Aesi’uah, doradczyni Barricka Eddona, Pana Wiatrów i Myśli. – Czarodziejska kobieta, która miała skórę koloru piór na piersi gołębicy, zgięła się w ukłonie, gibka jak wierzba na wietrze. – Przynoszę od niego powitanie i wyrazy wdzięczności.

Dworzanie zaczęli szeptać, a Briony wpatrywała się w kobietę, usiłując spojrzeć w głąb jej oczu barwy jaja rudzika.

– Wydaje się, że mój brat znalazł wśród was dom. Cieszy mnie to, bo tutaj nie zawsze było mu łatwo, w otoczeniu jego ludzi i rodziny.

– Wydajesz się zagniewana, księżniczko Briony – rzekła Aesi’uah.

– Dlatego, że prawie nie widziałam się z bratem od czasu, gdy wszyscy omal nie zginęliśmy. – Z trudem panowała nad sobą. Wzięła głębszy oddech. – Tak, masz rację. Zastanawiam się, dlaczego nie przyszedł zobaczyć się ze mną albo chociaż pożegnać z ojcem, którego niebawem pochowamy.

Aesi’uah skinęła głową.

– Dziwne to czasy, księżniczko. To jest... dla niego trudne.

Briony nie potrafiła ukryć niedowierzania.

– Tak sądzisz?

– Proszę, księżniczko, przesłałaś wezwanie. Twój brat nie odpowiedział osobiście, ale wysłał mnie. Pozwól, bym odpowiedziała na twoje pytania, a twój brat niebawem wyjawi przed tobą swoje myśli.

Briony dostrzegła strach i dezorientację na twarzach zebranych. Niecały miesiąc wcześniej wszyscy toczyli wojnę z Qarami. Nie chciała, by wrócił tamten strach, pokój był zbyt kruchy.

– Oczywiście, lady Aesi'uah – powiedziała łagodniejszym głosem. – Twoje słowa brzmią sensownie. Rozumiem, że obozujecie na skraju Miasta Funderlingów.

– Uznaliśmy, że zostaniemy tam, dopóki wasi pozostali wrogowie nie zostaną wypędzeni z Miasta Funderlingów. Wspólnie z naszymi gospodarzami zadbaliliśmy o to, aby wasi nieprzyjaciele nie mogli uciec do tuneli, szczególnie tych, które prowadzą na powierzchnię na stałym lądzie.

– Jesteśmy wam za to wdzięczni. A gdy już ostatni wrogowie zostaną pochwyceni? Co wtedy zrobią twoi ludzie?

– Wrócimy do naszego kraju na północy. Wielu spośród tych, którzy ocaleli, zostawiło rodziny w krainie cienia, a Qul-na-Qar, nasz wielki dom, jest prawie opustoszały. Jest nas zbyt mało, żebyśmy żyli w rozproszeniu.

– Muszę zadać jeszcze jedno pytanie: Czy zapanuje między nami pokój?

– Myślę, że na to pytanie mogę odpowiedzieć za twojego brata. Tak, będzie pokój, jeśli rodzaj ludzki zostawi nas w naszej wolności i odosobnieniu.

Znowu rozległy się szepty, które Briony zignorowała.

– Jeśli mój brat rzeczywiście jest waszym przywódcą, to chcę usłyszeć to z jego ust, zanim... – posłała Eneaszowi spojrzenie pełne poczucia winy – ...zanim będziemy mogli obiecać, że uhonorujemy ten pakt w imieniu naszych narodów.

Eremitka skłoniła głowę.

– Będzie, jak sobie życzysz.

Briony wzięła głębszy oddech i powiedziała sobie w duchu, że troszcząc się o swój naród, zawsze będzie musiała uciekać się do kompromisów.

– Dziękuję ci, lady Aesi’uah. Twoje słowa mnie uspokoiły. Pomówmy o czymś innym. O tym, co się wydarzyło pod zamkiem... nie bardzo wiem, jak o tym rozmawiać. Słyszałam wiele opowieści, lecz wciąż do końca nie rozumiem wielu rzeczy. Ta... istota... olbrzym...

– To był Zosim Oszust, pan słowa, wina i ognia. Zosim, syn Pana Śmierci. Bóg Zosim.

Szepty stawały się coraz bardziej gorączkowe, nabrzmiałe strachem.

– Wybacz nasze wątpliwości – odezwał się nieoczekiwanie Eneasz.  
– Ale to, co mówisz, przeczy wszystkiemu, w co wierzymy my, wyznawcy Trygonatu.

– Nie musisz brać za prawdę moich niepopartych dowodami słów, książę Eneasz – odrzekła Aesi’uah. – Przeżyli poddani Briony, którzy widzieli wszystko, co się wydarzyło.

– Mali ludzie – mruknął Eneasz bez przekonania. – Kallikanie.

– Są moimi poddanymi, książę – odpowiedziała Briony najuprzejmiejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. A także Ferras Vansen, pomyślała. Ale on nie chce ze mną rozmawiać. Ledwo minął dzień od chwili, gdy Vansen padł u jej stóp, a już udał się razem z Funderlingami na poszukiwanie Durstina Crowela i pozostałych zwolenników Tolly’ego ukrywających się pod zamkiem. – Mimo wszystko, lady Aesi’uah, trudno to zrozumieć tym, którzy tam nie byli. A co się stało z... Zosimem?

– Odszedł, księżniczko. Nawet najstarsi i najmądrzejsi spośród nas, którzy przeżyli, nie potrafią powiedzieć na pewno, co to znaczy. On jest nieśmiertelny, a nieśmiertelnych z definicji trudno zabić, choć jest to możliwe, kiedy przyjmą ludzką postać. Nie wyczuwamy żadnego śladu po nim w wodach, które wciąż się pod nami burzą. Morze, które wdarło się do głębi, zgasiło jego ogień. A gdzie jest ogień, kiedy przestaje płonąć? Tam jest też Zosim.

– Chcesz więc powiedzieć, że on... nie może wrócić? Że jesteśmy bezpieczni?

Oblicze Aesi'uah przybrało dziwny wyraz, który przypominał uśmiech.

– Nie jest bezpieczny nikt, kto oddycha.

Briony z trudem się opanowała. Potrzebowała chwili, zanim zdobyła się na odpowiedź:

– Dziękuję, lady Aesi'uah. Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Tylko to, że żałujemy, iż twoi ludzie i nasi ponieśli takie straty.

– Ale to wy w znacznym stopniu przyczyniliście się do tego! – odezwał się jeden ze szlachciców, któremu zaraz zawtórowały pomruki niezadowolenia przybierające na sile.

– Mordercy! – zawołał ktoś tak głośno, by inni usłyszeli. – Demony!

Briony rozgniewała się, słysząc to, ale wiedziała, że wielu popiera ją tylko ze względu na jej nazwisko, inni zaś przez wzgląd na księcia Eneasza i jego żołnierzy. Nie mogła więc pofolgować swojemu zniecierpliwieniu.

– Proszę – powiedziała i uniosła dłoń, by uciszyć narastający zgiełk.

– Lady Aesi'uah jest naszym gościem. Bez względu na to, co się stało wcześniej, ostatecznie Qarowie walczyli u naszego boku i wielu z nich poległo w obronie tego miasta i twierdzy. Nie zapominajcie o tym. – Odwróciła się do eremitki. – Jak widzisz, nasi ludzie nie są jeszcze gotowi, by wyciągnąć do was rękę i trudno ich o to winić.

Aesi'uah skłoniła głowę.

– Jak mówisz, trudno ich winić.

Briony się wydało, że dosłyszała w odpowiedzi kpiącą nutę i to jej wystarczyło. Nie potrafiła znieść samozadowolenia tych istot, nawet jeśli było usprawiedliwione.

– Ponieważ wciąż mamy wiele do omówienia, a mój brat do mnie nie przyjdzie, w takim razie ja udam się do niego – odezwała się.

Z zadowoleniem zobaczyła na pociągłej twarzy eremitki coś bliskiego zaskoczeniu.

– Wasza Wysokość...?

– Wybacz, czyżbym nie wyraziła się jasno? Pójdę pomówić z waszym Barrickiem, panem mgły, wiatru czy jak tam brzmi jego nowy tytuł.

– Ale, Wasza Wysokość, to jest... on jest wśród... – Aesi’uah wyglądała na zagubioną.

– Kim on jest? Jest moim bratem. Przebywa na terytorium Zamku Marchii Południowej, w stolicy Królestw Pogranicza. Jest wśród czarodziejskich ludzi, którzy, jak mnie właśnie zapewniłaś, żałują krzywd, jakie nam wyrządzili. Skąd więc twoje obawy?

Eneasza także wydawał się zaskoczony.

– Briony... księżniczko... nie sądzę, aby to było rozsądne.

– A ja przeciwnie, księżę. Co więcej, uważam to za konieczne. Ludzie, z którymi dopiero co prowadziliśmy wojnę, obozują pod nami w długich tunelach, o których prawie nic nie wiemy. Skoro nie potrafimy pozbyć się takiego małego wrzodu jak Crowel, to wyobrażasz sobie to gniazdo szerszeni, z jakim mielibyśmy do czynienia, gdybyśmy musieli wyrugować stamtąd Qarów? – Odwróciła i zobaczyła, że zgodnie z jej oczekiwaniami, oczy zebranych w ogromnym namiocie zwróciły się na nią. – Oczywiście, że pójdę. – Gestem dłoni powstrzymała dalsze perswazje księcia. – Sama, tylko w asyście kilku żołnierzy, w końcu udaję się do sprzymierzeńców. Lady Aesi’uah, możesz poinformować Barricka, że przyjdę dzisiaj przed zachodem słońca.

Briony usiadła wygodniej na swoim zaimprovizowanym tronie, patrząc za eremitką, która odchodziła z wdziękiem, niespiesznie. Wciąż czuła w głowie pulsowanie, ale już nie tak dotkliwie. Przynajmniej będzie miała okazję spotkać się z bratem twarzą w twarz.

\*\*\*

Tinwright przycupnął w skąpym cieniu cisu na błoniach i obserwował księżniczkę Briony, która przechodziła z żołnierską swiłą. Zajęci pracą budowniczowie także ją zauważyli i wznieśli nierówne okrzyki. Poeta miał nadzieję, że księżniczka go nie zauważyła. Tylko zapewnienie Elan M’Cory, że Tinwright opierał się Tolly’emu, podczas gdy inni po prostu zabiliby małego brata Briony, uchroniło go przed powrotem do więziennej celi czy wręcz pieńkiem kata.

Ale czy to prawda? – zastanawiał się. Co by zrobił, gdyby sprawy potoczyły się inaczej? Czy oddałby własne życie, czy też wykonał rozkaz Tolly’ego?

Matt Tinwright właśnie opróżnił dzban wina i zaraz zaczął żałować – o niczym innym nie potrafił myśleć – że nie stać go na więcej. Ceny poszły w górę, a wszystko, co najlepsze, przeznaczono dla syańskich żołnierzy, tak więc był zmuszony podkradać miedziaki z pudełka na biżuterię matki, by mógł się upić i uśmierzyć ból w piersi, która bolała go przy każdym głębszym oddechu. Mimo wszystko czuł, że powinien być wdzięczny, że żyje. Gdyby nie miał w kieszeni na piersi zoriańskiego modlitewnika, to teraz popijałby w niebiosach, a na pewno nie w Zamku Marchii Południowej.

– Kto by pomyślał, że książka może uratować człowiekowi życie? Co za szczęście – dziwował się syański medyk wojskowy, który opatrywał mu ranę.

Wtedy Tinwright był jeszcze w kajdanach i nie podzielał opinii tamtego co do szczęścia. Teraz był wolny, ale nie czuł się o wiele lepiej, jeśli chodzi o wiele rzeczy.

Oto księżniczka przechodziła niecałe sto kroków od miejsca, w którym przysiadłem, lecz równie dobrze mogłoby nas dzielić sto mil, pomyślał. Mógł jedynie patrzeć, jak razem z żołnierzami zmierza ku Kruczej Bramie – patrzeć i zastanawiać się, jak to się stało, że wszystko poszło nie tak dla Matta Tinwrighta, nadwornego poety.

Elan M’Cory go nie kocha. Wyraziła się jasno. Podziękowała mu, że zachował ją przy życiu i ukrył przed Hendonem Tollym, lecz tym, co do niego czuje, jest wdzięczność, a nie miłość.

– Książę Gailon mnie potrzebuje – powiedziała mu, pokazując szkaradne stworzenie, które pielęgnowała przez ostatnie trzy dni. – On prawie umarł, myślał, że nie żyje! Jakże mogłabym go teraz opuścić?

Nawet jeśli Tinwright nie miał za złe księciu, że ten się szczęśliwie odrodził, to bolało go to, że Elan wybrała taki wrak człowieka w porównaniu z jego stosunkowo nieskalaną osobą. Twarz Gailona Tolly’ego cała była w otwartych ranach, do tego pokryta dziobami z piaskiem i jeszcze gorszymi rzeczami pod skórą, co wyglądało, jakby dopadła go zaraza. Mimo to Elan powiedziała Mattowi, że pragnie

poświęcić resztę życia na opiekę nad Gailonem. Czy mogła wyrazić się jaśniej? Tinwright już jej nie interesował.

Miłość, pomyślał. Temat tylu słodkich wersetów, a mimo to cuchnie głównem.

Wstał i ruszył przez błonia, które teraz pokrywało błoto i gruz, spomiędzy którego sterczały tu i tam źdźbła suchej trawy.

Krajobraz mojego serca, stwierdził w duchu poeta.

\*\*\*

Czybym to zrobił? Zabiłbym dziecko, by ratować własne życie, a raczej żeby ratować Elan? Teraz trudno było powiedzieć, trudno przypomnieć sobie cokolwiek poza zagubieniem i przerażeniem tamtej chwili. Spoglądał z blanków na huczące jednostajnie morze. Wieża Letnia kładła na nim chłodny cień. Myśli Tinwrighta dotyczące tamtej nocy były tak samo niepojęte dla niego jak coś wyciągnięte z zakamarków historii. Jak ktokolwiek mógł z całkowitą pewnością stwierdzić, co taki a taki bohater powiedział, pomyślał albo poczuł? Tinwright znalazł się w samym centrum wielkich wydarzeń... choć musiał przyznać, że odgrywał niewielką rolę... i mało co pamiętał poza widokiem wykrzywionej twarzy rozwścieczonego Tolly'ego podobnej do świątecznej maski. Zupełnie jak w sztuce...

Usłyszał czyjeś kroki i podniósł wzrok. Zbliżała się do niego smukła postać, starsza kobieta, sądząc z twarzy, choć szła sprężystym krokiem. Kiedy zorientował się, że się na nią gapi, ponownie skierował spojrzenie na wodę. Fale, chłostane letnim wiatrem, pryskały pianą, pędząc ku zamkowemu muirowi.

– Ach. – Kobieta go dostrzegła. – Wybacz. Zostawię cię samego i poszukam innego miejsca.

Tinwright pokręcił głową. Wyglądała na starszą niż jego matka, lecz on był zmęczony własnymi myślami.

– Nie, zostań, proszę. Jesteś kapłanką?

– Zorianką – odrzekła.

– Tak. – Skinął głową. – Nic wątpię, że masz teraz pełne ręce roboty.



– Zawsze jest dużo do zrobienia, teraz i w każdym innym czasie – odpowiedziała i uśmiechnęła się. Spodobała się Tinwrightowi, który podziwiał jej poważne, trochę posępne oblicze. – Ale teraz pragnę jedynie poczuć wiatr na twarzy.

Poeta uznał jej słowa za zachętę do milczenia, dlatego zwrócił się ku niespokojnemu morzu. Ludzie mówili, że morze zalało głębie pod Miastem Funderlingów; odkąd to usłyszał, spodziewał się, że w którymś momencie zamek odpłynie niesiony falami niczym łódź zabrana z plaży przez odpływ.

– Powiedz mi – odezwał się po chwili – jak to jest czuć, że bogów z nami nie ma?

– Słucham?

– Na pewno słyszałaś, co się stało. Nawet w waszej świątyni czy kaplicy z pewnością o tym mówiono.

Kobieta znowu się uśmiechnęła.

– Ach, tak, wiem to i owo.

– W takim razie powiedz mi, jak wciąż możesz uważać się za zoriankę, skoro powiedziano nam, że bogowie śpią, że spali od tysięcy lat. Że sama Zoria została zabita przez swojego męża u zarania czasu. Że wszystko, co kapłani mówili nam o niebiosach, było kłamstwem. Nikt nie czeka na nas po śmierci. Nikogo nie obchodzi, co robimy na tym świecie, czy dobrze, czy źle żyjemy.

Spojrzała na niego uważnie, a potem postąpiła krok i stanęła za nim. Teraz oboje patrzyli na niespokojne wody rozmigotane srebrzyście w blasku popołudnia.

– A co to za różnica? – zapytała po chwili.

– Jak to?

– Czy to w jakiś sposób różni się od tego, co zawsze wiedzieliśmy? Bogowie przychodzą do nas tylko w snach. Musimy dokonywać własnych małych wyborów każdego dnia naszego krótkiego życia. Nie wiemy, czy nagrodzą nasze decyzje ani czy w ogóle je zauważą. Sądzę, że nic się nie zmieniło.

– Ależ zmieniło się! To było kłamstwo. Widzieliśmy to, co kapłani nam pokazywali, wierzyliśmy w to, co mówili, a przecież bogowie,

których nam opisywali, byli jedynie marionetkami w przedstawieniu. A teraz nie mamy nawet marionetek. Nic nam nie zostało.

– Mamy te same kłopoty co zawsze, młody człowieku – odpowiedziała zorianka ostrym tonem. – I te same potrzeby. Widzę, że jesteś ranny. – Pokazała na opatrunek na jego piersi. – Ale wielu odniosło poważniejsze rany. Potrzebują pomocy tu, na ziemi, bez względu na to, co mogą zrobić bogowie. Nawet jeśli nasza wiara była zawsze jedynie teatrem cieni, to możemy się z niej czegoś nauczyć. I możliwe, że nawet sami bogowie byli marionetkami, że za tym wszystkim kryje się coś większego, dla ciebie, dla mnie i dla wszystkich innych. – Pokręciła głową. – Posłuchajcie mnie tylko... Znalazłeś jakąś pociechę w moich słowach? Obawiam się, że wyszłam z wprawy. – Poklepała go po ramieniu. – Trzymaj się, młody człowieku. Jedynym prawdziwym wrogiem jest rozpacz. Postaraj się być pożyteczny. Zajmij się kimś, kto jest w większej potrzebie niż ty. Nakarm kogoś, kto jest głodny. Zrób coś, czym się komuś przysłużysz.

Kobieta odeszła, a Tinwright wciąż stał w tym samym miejscu, rozważając jej słowa.

\*\*\*

– Gdzie jest Crowel i jego renegaci? – zwróciła się Briony do lorda Helkisa, który uprzedzony o jej nadejściu, wyszedł jej na spotkanie przy bramie Miasta Funderlingów.

– Schowali się głęboko, księżniczko. Zostali zepchnięci aż do kamieniołomu na skraju miasta, jak mi powiedziano. Dalej już nie uciekną. – Wydawało się, że Helkis uznał, iż skoro jest niemal pewne, że księżniczka poślubi jego księcia, to będzie traktować ją z większym szacunkiem. Briony nie wiedziała, czy taki jest tego powód, ale ta zmiana była miła. – Crowel nie zna tych tuneli, ale Vansen ma dobre rozeznanie, jak się wydaje, no i oczywiście pomagają mu Kallikanie.

– Vansen wciąż znajduje sobie coś do roboty – stwierdziła. Był tak zajęty, że nie widziała go od momentu jego wyzdrowienia. Zaczynała nabierać przekonania, że zarówno kapitan straży, jak i brat jej unikają.

Czy Vansen mnie nienawidzi? – zastanawiała się. Boi się mnie? A może po prostu ich nie obchodzę, co mój brat dał mi wyraźnie do zrozumienia.

Funderlingowie, którzy już powrócili do swojego miasta, wychodzili z domów, by popatrzeć na Briony. Kiedy księżniczka szła ulicą Klejnotową, niektórzy wiwatowali, lecz wielu obserwowało ją z wyrazem fascynacji i troski na twarzach. Najwyraźniej nie ucieszyli się z jej obecności.

– Muszę pomówić z Rogowcem Liderytem – zwróciła się do lorda Helkisa. – Czy poprosisz Funderlingów, żeby go do mnie przysłali?

– Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość. – Pchnął gońca do ratusza znajdującego się na końcu długiej i krętej ulicy, na której już rozpoczęto prace naprawcze, by usunąć zniszczenia powstałe podczas walki, zanim wycofał się Crowel. – Nikt nie ośmieli się zignorować twego wezwania, księżniczko. Obiecuję ci to.

Z wyjątkiem tych, z którymi najbardziej chcę się spotkać, pomyślała.

\*\*\*

Aesi'uah wyszła po nią. Mimo że twarz eremitki była spokojna jak zawsze, Briony wyczuwała w niej pewien niepokój.

– Czeka na ciebie, księżniczko Briony. – Czarodziejska kobieta pokazała smukłą dłonią sklepienie przejście i migoczące dalej światła, po czym odsunęła się na bok.

– Jest moim bratem – powiedziała wcześniej Briony Helkisowi, który nalegał, że on i straż pójda z nią. – Cokolwiek się wydarzyło, czuję, że nie stanowi dla mnie zagrożenia.

Lord Helkis nie wyglądał na zadowolonego, że musi stać tak blisko Aesi'uah, ale odsunąć się nie chciał, dlatego Briony zostawiła im ten problem do rozstrzygnięcia.

Jej brat stał wpatrzony w stół zrobiony z dwóch kamieni ułożonych jeden na drugim, na którym leżało mnóstwo płytek i zwojów. Miał na sobie luźną białą koszulę i spodnie w tym samym kolorze. Miał bose stopy i przez chwilę Briony się wydało, że miniony rok w ogóle się nie wydarzył, że właśnie wyszła z sypialni i spotkała za drzwiami brata,

który czekał w nocnej koszuli, aż ona wstanie, tak jak bywało w dzieciństwie. Wtedy Barrick podniósł wzrok i dziwny chłód jego oblicza przekonał ją, że niewinna, przeważnie szczęśliwa przeszłość odeszła bezpowrotnie.

– Briony – powiedział cicho. – Słyszałem, że chcesz ze mną porozmawiać.

Nie było jej łatwo wydobyć z siebie głos. Chciała podbiec do brata, objąć go, a nawet uderzyć – cokolwiek, byleby tylko zmasać ten wyraz z jego twarzy. Zdołała jedynie skinąć głową.

– Tak. Pomyślałam, że to dobry pomysł... ponieważ ty nie chciałeś przyjść do mnie.

– Wybacz – powiedział to tak, jakby przepraszał obcego, że niechcący nastąpił mu na stopę – ale to nie jest łatwe. Moi ludzie... no cóż, oni nienawidzą waszego ludu. Dlatego wszystko jest takie trudne. Wciąż się boją, a wielu nie ufa mi ani trochę.

– Twoi ludzie? Mówisz o elfach i goblinach? – Briony zdała sobie sprawę, że podniosła głos niemal do krzyku, ale nie potrafiła się opanować. – Nazywasz ich swoimi, a nie chcesz się spotkać z własną siostrą? Nie przyjdiesz spojrzeć na ciało ojca, zanim zostanie pochowany?

Odwrócił się do niej plecami, jakby zamierzał wrócić do rozłożonych na stole zwojów.

– Oczywiście nie rozumiesz.

Czy to możliwe, że ten wysoki ognistowłosy obcy naprawdę jest Barrickiem? Czy też Qarowie go podmienili? Czy w ogóle coś takiego było możliwe, a może działo się tak tylko w dawnych opowieściach? W tych dniach legendy o czarodziejskich ludziach wydawały się jedynymi prawdziwymi informacjami.

– Sądzisz, że dla mnie nie zmieniło się wiele, Barricku? Nasz ojciec nie żyje. Wędrowałam aż do Tesis i z powrotem w przebraniu aktora. Próbowano mnie otruć i strzelano do mnie z łuku. Spotkałam półboginię!

– Ja także znałem półboginię – odrzekł. – Ale nie należała do tych, którzy chcieliby się zaprzyjaźnić z naszym rodzajem.

– Z naszym rodzajem. Posłuchaj siebie! Dopiero co czarodziejscy byli twoimi ludźmi, a teraz mówisz tak, jakbyś sobie przypomniał, kim naprawdę jesteś! Będziesz musiał się zdecydować, Barricku Eddonie.

– Nie rozumiesz. Ognisty Kwiat...

– Och! – Odwróciła się i odeszła kilka kroków, usiłując powstrzymać gniew. – Tak, wiele przeszedłeś. Ja również. Na litość Zorii, Barricku, własnymi rękami zabiłam Hendona Tolly’ego! Jeśli zostałeś poparzony niebiańskim ogniem, tak jak Sierota, to i ja tego doświadczyłam! Oboje jesteśmy odmienieni! Ale ty nie zmieniłeś się aż tak bardzo, twoje cierpienie nie może być większe od cierpienia innych!

Kiedy się odwrócił, jego twarz drgała z wściekłości.

– Nie mów mi o cierpieniu, Briony! Poślubisz księcia. Widziałem, jak wodzi za tobą oczami niczym cielak za matką. Zostaniesz królową Syanu i świat będzie ci się kłaniał. A ja co mam? Obchodzi cię to w ogóle?

– Barricku, to głupie...

– Wiesz, jaki los czeka Qarów i... mnie? Saqri, królowa Ludzi, umiera. Poświęciła się, by można było pokonać Zosima, przeszyły ją dziesiątki strzał i pocisków. Tylko siła woli i miłość do swojego ludu trzymają ją jeszcze przy życiu. Kiedy ona odejdzie, zniknie też połowa tego, co scalało rasę Qarów. Pomyśl o tym, siostrze. Kiedy ty będziesz planowała małżeństwo, jak będę grzebał moją królową i moją ukochaną!

– Twoją ukochaną...? – Briony patrzyła na niego jak porażona. – O kim ty mówisz, chyba nie o tej Saqri?

– Nic nie rozumiesz – odpowiedział rozgoryczonym tonem. – Chodź, pokażę ci. – Skinął na Briony i poprowadził ją do bocznej komnaty, w której dwie kobiece postacie w strojach takich, jakie nosiła Aesi’uah, klęczały w milczeniu przy prowizorycznym łożu z trawy. Na nim leżała, ledwo widoczna w słabym blasku kilku świec, niewysoka, smukła dziewczyna, z pewnością młodsza niż Briony i Barrick.

– To nie jest Saqri – rzekła księżniczka. – To dziewczyna, która była z tobą w łodzi.

Barrick stanął u wezłowania łóżka.

– Saqri jest w obozie pośród swoich ludzi. A to... to jest jedyna osoba, która naprawdę troszczyła się o to, czy żyję, czy zginąłem

podczas tego straszego koszmaru. Ma na imię Qinnitan. Przez rok żyła w moich snach i myślach. Była moją towarzyszką, przyjaciółką, moją... – Urwał i potrząsnął gniewnie głową. – Umiera... a nawet nie rozmawialiśmy twarzą w twarz. Nigdy się nie dotknęliśmy... – Odwrócił się szybko i wyszedł.

Briony stała wpatrzona w nieruchomą postać. Jeśli nawet dziewczyna żyła, to nie dało się tego zauważyć. Nie widać było oddechu ani nawet słabych drgnień twarzy śpiącej osoby.

Kim jesteś? – zastanawiała się Briony. Kim naprawdę byłaś dla mojego brata? Kochałabyś go? Troszczyła się o niego?

– Jak długo jeszcze pożyje? – zapytała kobiety Qarów, lecz one, mimo że usłyszały jej słowa, nic nie odpowiedziały.

\*\*\*

– Wybacz, Barricku – powiedziała, gdy wróciła do brata. – Nie wiedziałam. Ale tym bardziej...

– Daj spokój, Briony, błagam cię. – Odsunął się, gdy wykonała ruch, by dotknąć jego ramienia. – Powiesz, że tym bardziej powinienem trzymać się rodziny, którą mam, ale nie rozumiesz tego. Ja już do was nie należę.

– Jak to? Eddon...?

Zaśmiał się ochryple.

– Och, jestem Eddonem, jak najbardziej. Dokądkolwiek pójde, inni cierpią za mnie. Zapewne zdażyłaś się o tym przekonać. Ilu z tych, którzy poszli z tobą, zginęło, byś mogła odzyskać tron ojca? Ilu poległo dlatego, że Tolly'owie chcieli go zagarnąć? I ilu Qarów zginęło, ponieważ nasz przodek porwał Sanasu od jej rodziny?

Do Briony powróciło wspomnienie jej ostatniej rozmowy z ojcem.

– Musisz o czymś wiedzieć...

Ale Barrick mówił dalej, jakby jej nie usłyszał:

– Właściwie, jak się nad tym zastanowić, to nieważne, ilu teraz zginęło, ponieważ ostatecznie Qarowie wszyscy zginą z powodu tego, co zrobiła im nasza rodzina. Dlatego jeśli mogę choć w niewielkim stopniu

spłacić dług, jaki Eddonowie zaciągnęli u Saqri i Ynnira, a nawet u Yasammez, to muszę tak postąpić.

Gniew stłumił tamto wspomnienie.

– W taki sposób mówisz o Yasammez? O tej suce, która wymordowała tylu naszych ludzi?

Machnął ręką.

– Odejdź, Briony. Nie zrozumiesz tego. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Niedługo Qarowie odejdą, a ja z nimi. Odbudujecie swoje domy w pokoju, nas jest zbyt mało, byśmy stanowili zagrożenie dla rodzaju ludzkiego.

– Kiedy cię zobaczyłam, zastanawiałam się, jak bardzo się zmieniłeś, Barricku – odpowiedziała. – Ale teraz widzę, że w najistotniejszych sprawach jesteś taki sam. Wciąż obchodzą cię przede wszystkim własne smutki i wciąż odwracasz się od miłości i dobroci, jakby ktoś cię nimi prześladował.

Błede oblicze brata nie zdradzało żadnych emocji, wydawał się równie niewzruszony jak morze. Briony odwróciła się i opuściła pieczarę.

## Dopalająca się świeca

***...Powiedział Zorii, że jeśli wyprowadzi go z Kernionu, Sierota będzie mógł wrócić do świata i do słońca, lecz jeśli się zawaha albo jej się to nie uda, będzie musiał na zawsze pozostać wśród zmarłych.***

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Wyczuwał, że próbuje zachować powagę, choć nie wiedział dlaczego. Często nie potrafił się zorientować, co bawi Saqri.

– *Twoja siostra odeszła. Nie ułożyło się dobrze?*

– *Wiesz, że nie. Wiesz to równie dobrze jak ja.*

– *Nie było mnie przy tobie. Czulałam cię, ale z pewnej odległości. Mimo wszystko emocje były dobrze odczuwalne!*

Nawet w takiej chwili, kiedy droczyła się z nim, okazując dziwną pobłażliwość, którą zaczęła przejawiać, odkąd została ranna, zdawał sobie sprawę, że Saqri walczy z coraz większą słabością. W przeciwieństwie do niej on dopiero się uczył taktownie nie zauważać pewnych rzeczy.

– *Nie kpij – odpowiedział. – Cierpię.*

– *Nie wątpię. Ale niepotrzebnie. Nadszedł koniec Ludzi. Nigdzie nie zostało powiedziane, że każdy z nas spotka swój koniec w tej samej chwili, ale nie mam wątpliwości, że to będzie nasze ostatnie pokolenie, przynajmniej dla długowiecznych. Nieliczni spośród nas będą brnęli jeszcze przez lata, ale Porażka wreszcie nadeszła. Twój ludzie nie dźwigają takiego samego ciężaru jak my, więc pewnie nie rozumiesz, że świadomość końca, jest dla nas niemal ulgą. Żałuję, że nie będzie mnie tu, by zobaczyć ostatnie jasne kwiaty, jakie przyniesie Porażka – jestem pewna, że zaowocuje sztuką i muzyką wspaniałą i straszną na tysiąc sposobów!*



*Ale skoro nie będzie Ludzi, Barricku Eddonie, to nie ma potrzeby, żebyś się poświęcał. Ognisty Kwiat wszystkich naszych matek także niebawem odejdzie. A potem, nawet jeśli twój czas zostanie wydłużony dzięki doświadczeniu, przyjdzie kolej na ciebie, drogie ludzkie dziecko – ostatni Ognisty Kwiat zamigocze i zgaśnie. Bez jego światła Głęboka Biblioteka zamieni się w staw wypełniony stojącą wodą. A bez wspomnienia, kim jesteśmy, będziemy zanikać i umrzemy, jak każde nieme stworzenie. Pieśń będzie dalej rozbrzmiewała bez naszych głosów.*

Wydawało się, że im bliżej śmierci była Saqri, tym stawała się starsza. Teraz wydawała się niemal tak stara jak Yasammez. Może to bliskość wieczności i tego, co ze sobą niesie, pomyślał Barrick, ale nie podzielił się z królową swoim spostrzeżeniem.

*– Kiedy zakończysz spotkanie ze śmiertelną dziewczyną – zwróciła się do niego – przyjdź do mnie. Chciałabym zobaczyć cię oczami.*

Długo stał nad Qinnitan, starając się nie myśleć. Zanim odszedł, opadł na kolana i ujął jej dłoń, lecz była tak wilgotna i zimna, że nie mógł znieść jej dotyku. Pocałował jej rękę i położył z powrotem na piersi dziewczyny.

\*\*\*

Saqri leżała na łóżku, które wykonano na prośbę Barricka, choć pewnie gdyby dano jej wolną rękę, wolałaby spocząć na nagiej skale przykryta tylko płaszczem.

*– Jeśli mamy wybór, jak umrzeć – powiedziała wcześniej – my, żyjący według dawnych zasad, przyjmujemy żywioły takimi, jakie są. Dobrze jest więc nauczyć się znosić chłód nocy, bo kiedy nadchodzi śmierć, ona także owiewa nas swoim zimnym oddechem. Uczymy się mniej ruszać, a więcej myśleć.*

*– Ale nie masz wyboru – odpowiedział jej Barrick, dlatego Córka Pierwszego Kwiatu spoczęła wygodnie w ciepłe, ponieważ była zbyt słaba, by mogło być inaczej. – Nie pozwolę ci umrzeć w tym miejscu – obiecał jej Barrick. – Zwrócę cię Domowi Ludzi.*

*– Głupi chłopcze. Podobnie jak Yasammez, umrę wtedy, kiedy Księga mówi, że to nastąpi.*

– *Kłamczyni. Wciąż żyjesz, podczas gdy wszyscy inni już dawno przekroczyliby rzekę. Siła woli daje ci czas, dobrze o tym wiesz.*

– *Spotkałeś się z siostrą – powiedziała. Ona płonie jaśniej, niż się spodziewałam. Byłaby dobrą partią dla ciebie.*

Barrick wpatrywał się w nią osłupiały.

– *To ohydne.*

– *Nie wśród nas, nie w rodzinie panującej. Kochałam Ynnira, zanim go nienawidziłam, i nienawidziłam go, zanim go pokochałam. Znałam go w każdej chwili mojego życia. W ten sposób jesteśmy spleceni. Ale wy żyjecie inaczej.*

– *Nie mów takich rzeczy. A poza tym nie jestem już z nią blisko. Za bardzo się zmieniłem.*

– *Czyżby?*

– *Wiesz, że tak!*

Uśmiechnęła się do niego. Było to ledwo dostrzegalne drgnienie ust, którego mniej uważny obserwator w ogóle by nie zauważył.

– *„Wszystko można przepowiedzieć”, jak mówi Wyrocznia. Uważam, że powinieneś zostać ze swoimi... Wybacz, Barricku Eddonie, z tamtymi twoimi.*

– *Nigdy! Nie potrafiłbym już żyć wśród nich! Nie jestem taki jak dawniej.*

Saгри mówiła dalej, jakby w ogóle nie usłyszała jego odpowiedzi:

– *Nie chciałam cię obrazić. Zapracowałeś na to, by być jednym z nas, bez dwóch zdań. Nawet najmniejsze i najbardziej odległe klany Ludzi dowiedzą się o tobie.*

Barrick nie dbał o takie rzeczy, bo jakie znaczenie miała jakakolwiek sława, kiedy reszta jego życia miała być tylko trochę lepsza niż długi kondukt pogrzebowy, bo przecież Qarowie i ich wiedza będą powoli umierać. A potem i on umrze, albo sam wśród Ludzi, których jego rodzina pomogła zniszczyć, albo też jako obcy na ziemi, gdzie się urodził. Tak czy inaczej, pozostanie obcy wśród tych, którzy będą go otaczać.

– *Zachowaj pogodę ducha – rzekła Saгри. – W najlepszym razie życie jest krótkie. Nawet życie tak długie jak Yasammez było zaledwie mgnieniem wobec blasku gwiazd, a i one kiedyś zgasną.*

Nic nie można było odrzec na tak pogodne stwierdzenie, więc Barrick skinął głową i się odwrócił.

– *Nie* – rzuciła Saqri. – *Wróć. Usiądź przy mnie, proszę.*

Spełnił jej prośbę i spojrzał na nią uważniej. Wydawała się niemal przezroczysta, niczym świeca, której knot już prawie się wypalił. Wiedział, że w jej żyłach płynie tak samo czerwona krew jak w jego, ale trudno było w to uwierzyć; Saqri wydawała się bezcielesna, podobna do płatka białej lilii.

– *Dlaczego to wszystko się stało?* – zapytał wreszcie.

Wiedziała, co ma na myśli.

– *Tak musiało być, ludzkie dziecko. Równowaga była zbyt krucha, by mogła trwać wiecznie. Kiedy Szachraj umarł, wszystko się rozsypało. I teraz nasz czas się skończył.*

– *Ale dlaczego? Nawet bez dwóch połówek Ognistego Kwiatu Ludziom musiało coś zostać! Nie mogą tak po prostu położyć się i umrzeć.*

Znowu prawie się uśmiechnęła.

– *Nie, nie mogę położyć się i umrzeć, Barricku, lecz era naszego rozkwitu dobiegła końca. Może nadejdzie coś... może... ale nie widzę tego...*

Wiedział, że jest coraz bardziej zmęczona, i nie chciał marnować jej sił. Z drugiej strony wiedział, że kiedy Saqri odejdzie, nie będzie drugiej osoby na świecie, która by go zrozumiała.

– *Mówiłem ci, co znalazłem?*

Jej powieki drgnęły, ale nie otworzyła oczu.

– *Nie, powiedz teraz, ludzkie dziecko.*

Było tak jak wtedy, zanim dowiedział się o strasznej dolegliwości ojca, kiedy ojciec poruszał się i mówił jak ktoś, kto poprzedniego dnia strasznie się upił. Biedny, wyniszczony człowiek. Rozumiał to, co go dręczyło, mniej niż ja, a przecież sam nie do końca to wszystko pojmuję... pomyślał Barrick, a głośno powiedział:

– Dowiedziałem się od xiskich więźniów, że na południowych pustyniach i wśród tamtejszych wzgórz być może żyją plemiona Ludzi. Południowcy nazywają ich Khau-Yisti. Opowieści mówią o istotach,

które muszą być spokrewnione z Ludźmi, a które zamieszkują wyspy na południe i na zachód od Xandu...

Zorientował się, że Saqri już go nie słucha, zapadła w głęboki sen, odchodząc na skraj śmierci. Za każdym razem coraz trudniej było przywołać ją z powrotem, za każdym razem wracała tam szybciej. Niebawem i druga część Ognistego Kwiatu odejdzie na zawsze.

– *Ynnirze? Co mam robić?*

Ale i ten głos zamilkł.

\*\*\*

– Elan, porozmawiaj ze mną. Nie jest to chyba zbyt wygórowana prośba w przypadku człowieka, który darzy cię szczerą miłością?

Zmarszczyła brwi, lecz nie był to wyraz gniewu.

– Wiesz, że nie jesteś mi obojętny, Matt. Zawsze będę ci wdzięczna za to, że tak usilnie próbowałeś ocalić mnie przed Hendonem.

– Próbowałem? Uratowałem!

– Oczywiście. Przynajmniej na jakiś czas. Ale teraz wszystko się zmieniło – chyba to widzisz?

– Co widzę? Że odtrącasz mnie dla umierającego...?

Odsunęła się od niego.

– Gailon nie umrze! Na dworze Summerfield będzie miał najlepszych medyków. On nie może umrzeć! Bogowie nie pozwoliliby na taki cud, żeby znowu go zabrać!

Ostatnie tygodnie sprawiły, że Matt Tinwright zmienił opinię na temat tego, co bogowie by zrobili albo nie, lecz wiedział, że nie ma sensu dyskutować o tym z Elan. Kochała Gailona Tolly'ego od młodości, a teraz będzie mogła się nim opiekować przez ostatnie miesiące jego życia.

– Wszędzie wokół zdarzają się cuda, Elan – powiedział. – Ja powinienem nie żyć! Zostałem ugodzony bełtem z kuszy w samo serce. Ale został on zatrzymany przez modlitewnik, który chciałem ci ofiarować. – Wyjął książeczkę z kieszeni kubraka i podniósł. Na środku okładki widniała postrzępiona dziura wielkości srebrnej monety. – Spójrz! Z tyłu jest moja krew! Gdybym nie miał tego ze sobą, grot

dosięgnąłby mojego serca, a nie tylko mnie zranił. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

– Tyle że miałam rację, zwracając ci modlitewnik, mistrzu Tinwrightcie. Gdybym przyjęła twój podarunek, już byś nie żył.

Zwiesił głowę. Prawie nie spał od nocy przesilenia letniego. Czasem myślał, że jeśli nie będzie mógł być z Elan, pęknie mu serce i on też umrze – może nawet szybciej niż Gailon – i wtedy dopiero Elan pożałuje...!

– Podejdz tutaj – powiedziała, unosząc blade dłonie. – Niech cię ucałuję. – I ku ogromnemu smutkowi Matta złożyła na jego policzku czysty, siostrzany pocałunek. – Nigdy cię nie zapomnę, Matcie. Nie zapomnę ciebie ani twojej siostry i matki...

– Mojej matki nikt nie jest w stanie zapomnieć – rzucił z goryczą.

– Mógłbyś być dla niej lepszym synem. Ona chce dla ciebie jak najlepiej...

Obolałe serce Tinwrighta skurczyło się nagle, chowając głębiej w piersi. Chciał powiedzieć kilka gorzkich słów, lecz uświadomił sobie, że on i Elan mówią różnymi językami.

– Jak to najlepiej? Dla mnie? Uważasz mnie za dziecko?

– Myślę, że jesteś dobrym, miłym człowiekiem.

– Co powinienem zrozumieć: „Już cię nie potrzebuję”, prawda?

– Nie złość się, proszę.

– Złościć się? – Wstał i skłonił głowę. – Gdzieżby, pani, wcale się nie złoścę. Nie, jestem szczęśliwy, ponieważ dzisiaj nauczyłem się czegoś ważnego o miłości, bo to przecież jest właściwy temat dla poety, nieprawdaż? Miłość. Żegnaj, Elan. Dobrze wam życzę, tobie i Gailonowi.

Kiedy odwrócił się już na progu, po swoim szlachetnym poetyckim odejściu, przekonał się, że Elan M’Cory nawet nie spogląda za nim wzrokiem pełnym żalu i tęsknoty, na co liczył. Wróciła do swoich robótek.

\*\*\*

– Ani śladu. – Rogowiec złożył raport Opal i opadł na siedzenie. – Rozpytywałem w całym mieście i nikt go nie widział.

Opal ledwo miała siły, żeby podnieść wzrok.

– Dlaczego mnie okłamał? Dlaczego powiedział, że jeszcze się spotkamy?

Rogowiec siedział na ławce obok żony i po raz setny żałował, że muszą szukać schronienia w domu jego brata, ponieważ ich mieszkanie przy ulicy Klinowej znajdowało się zbyt blisko miejsca, w którym Durstin Crowel i poplecznicy Tolly’ego jeszcze się bronili.

Jakby chcąc go pograżać we wszystkich smutkach życia, Buła Lideryt zszedł właśnie z góry do saloniku, w którym pomieszkiwali jego brat i szwagierka.

– Ach, Rogowcu, siedzisz sobie, jak widzę. Z pewnością znalazłbyś coś do roboty i na coś się przydał, Starsi wiedzą, że jest teraz mnóstwo do zrobienia. – Kiwnął głową, powoli, jakby brzemień obowiązków sprawiało, że nawet taki prosty gest przychodził mu z trudem. – Był ktoś z Cechu i mówił, że wzywają cię na powierzchnię do zamku. – Buła się roześmiał, lecz w jego śmiechu pobrzmiewała nuta gniewu. – Sądzę, że pomyłono cię ze mną, ale tamten głupiec się upierał, że to ciebie wzywają, więc idź i sam się dowiedz. – Buła skinął głową Opal, włożył płaszcz i wyszedł.

Rogowiec prawie nie słuchał brata, ponieważ wciąż przeżywał zniewagę. Przydał się na coś? Przecież to Buła omal nie zniszczył wszystkiego, pomyślał Rogowiec. – Mój własny brat. Próbował mnie powstrzymać, nie zadawszy sobie trudu dowiedzenia się, co zamierzam.

Przyszła mu do głowy inna myśl, która już wcześniej kołatała się w zakamarkach jego umysłu, a której nie miał czasu rozwinąć. Brałem udział w tym wszystkim, co się wydarzyło i zakończyło się lepiej, niż mogliśmy się spodziewać. Autarcha pokonany. My wszyscy żyjemy. Przez chwilę Rogowiec miał ochotę pobiec za bratem i grzotnąć go kamieniem w czaszkę. To ja. Nie on. Do tej pory większość mieszkańców Miasta Funderlingów już wiedziała, co się stało, i rozumiała, że Rogowiec odegrał istotną rolę w zniszczeniu ich najświętszych miejsc.

Z zamyślenia wyrwała go Opal, która ścisnęła go za ramię.

– Idź do niej – powiedziała.

– Co? Do kogo? Dlaczego?

Opal otrząsnęła się z głębokiego paralizującego ją smutku i poddała gorączkowemu ożywieniu, które Rogowcowi wydawało się prawie tak samo niepokojące.

– Do księżniczki, oczywiście, skoro wzywają cię do zamku. Uratowałeś jej życie! Teraz ona nam pomoże!

– Uratowałem jej życie? Ona też mnie uratowała. Mówiłem ci, że to nie było takie proste...

– Powiedz jej, że musi nam pomóc odnaleźć chłopca! Powiedz o wszystkim, co zrobił Krzemień! Nie może ci odmówić, jest ci coś winna!

– Ależ, kochana, księżniczka Briony ma pełne ręce...

– Co może być ważniejszego niż odnalezienie naszego chłopca, ty stary głupcze? Słyszałeś, co powiedział Antymon: Krzemień uratował Pędzika, żeby ten mógł dostarczyć astion! A jeszcze Qarowie – chłopiec robił też różne rzeczy dla Qarów, choć nigdy do końca tego nie rozumiałam. Przecież... nasz chłopiec się liczy. Powiedz jej to. Musi nam pomóc!

Rogowiec pokręcił głową, mimo że wiedział, iż już przegrał tę bitwę.

– Nie mogę tak po prostu pójść do Briony Eddon, księżniczki regentki Królestw Pogranicza, i powiedzieć: „Musisz znaleźć naszego syna”. Uznałaby mnie za szaleńca.

– Uznałaby cię za dobrego ojca. – Rogowiec dostrzegł na twarzy żony ten sam wyraz, który pojawiał się, gdy coś już zostało postanowione, nawet jeśli jednostronnie. – Sama ma ojca, a właściwie dopiero co go straciła. Zrozumie.

Rogowiec westchnął. Bardzo boleśnie odczuwał nieobecność Krzemienia, ale był przekonany, że błaganie o pomoc pani na Zamku Marchii i Południowej nic nie da. Jeśli Krzemień żyje, odnajdzie się tylko wtedy, jeśli sam tego zechce. Rogowcowi przyszła do głowy inna myśli i poczuł dreszcz. Jeśli nic znajdą Krzemienia, to czy Opal jeszcze kiedyś będzie szczęśliwa?

– Oczywiście, że pójdę do księżniczki – powiedział głośno. – Jasne, że pójdę, kochana.

\*\*\*

Siostra Utta wróciła ze spaceru po murach podniesiona na duchu. Dobrze było zobaczyć tylu ludzi, którzy zajęli się odbudową zamku, mimo że wiedziała, iż minie dużo czasu, zanim choć częściowo zabliznią się rany po konflikcie. A ile czasu minie, zanim zostaną uleczone ludzkie serca? Tego nie potrafiła powiedzieć, ale czuła w powietrzu lato i póki co to jej wystarczyło. Dzień po tym, jak ocean wdarł się do wnętrza ziemi i zatopił najgłębsze pieczary, niebo nad zamkiem zakryły czarne chmury, które lunęły deszczem, jakby chciały zmyć wszystko także na powierzchni ziemi. Po burzy w pęknięciach kamienia pojawiły się zielone gałązki i źdźbła wychylające się z błota rozdeptanych błoni.

Jakby na potwierdzenie ogólnej odnowy Merolanna siedziała w łóżku i jadła zupę, karmiona przez jedną z pokojówek. Jeszcze kilka dni wcześniej księżna zdawała się być na progu śmierci, lecz tego dnia poczuła się tak dobrze, że siostra Utta mogła przekazać opiekę innym i trochę się przewietrzyć.

– Utto! – Księżna odepchnęła miskę drżącą ręką i pokręciła energicznie głową, kiedy pokojówka znowu przysunęła naczynie. – Dopytywałam się o ciebie, moja droga! Mam wrażenie, że odbyłam długą podróż. Opowiadaj szybko! Czy to prawda, że Hendon Tolly i jego zbiry się wynieśli?

– Tolly nie żyje, według wszelkich relacji – odrzekła Utta i przysiadła na brzegu łóżka. – Powinnaś się położyć i odpoczywać. Będziemy mieć dużo czasu na rozmowy.

– Bzdura. W moim wieku? – Merolanna się roześmiała, lecz jej głos wciąż brzmiał słabo i piskliwie. – Ale i ja mam dla ciebie wieści! Spotkałam syna.

– Co? – Serce zorianki, jeszcze kilka chwil wcześniej tak ożywione widokiem ozdrowiałej przyjaciółki, niemal się zatrzymało. Czy to wciąż efekt gorączki, czy też szaleństwo głębsze i niezwiązane z chorobą, które nie ustąpi nawet wtedy, gdy księżna odzyska zdrowie fizyczne? – Widziałas go?



– Nie tylko widziałam, ale i spotkałam się z nim! Przyszedł do mnie! – Staruszka znowu się roześmiała i zaraz zmarszczyła brwi, kiedy pokojówka starła jej z podbródka kropelkę zupy. – Przestań, dziewczyno, a ty, Utto, nie rób min. Widzę po twojej twarzy, że dopatrujesz się u mnie jakiejś słabości albo gorączkowych omamów. Przyszedł do mnie wczorajszej nocy, kiedy już zasnęłaś. Rozmawiałam z nim. Pamiętał nawet swoje prawdziwe imię. To, które tylko ja znałam... Adis. – Staruszka zamrugwała zawstydzona. – Tak, nadałam mu je na cześć świętego Sieroty. Chociaż i tak go nie uchroniło, czarodziejscy ludzie zdołali go wykraść.

Teraz Utta zaczęła się zastanawiać, czy Merolanna przypadkiem nie padła ofiarą oszustwa jakiegoś przedsiębiorczego małego żebraka, który uznał, że znalazł dobrą duszę skłoną obsypać go złotem. Zorianka nie była pewna, co by zrobiła, gdyby tak było.

– Czy zatem jeszcze tutaj przyjdzie? Zaproponowałaś, żeby z tobą został?

– Oczywiście. Ale ma zbyt dużo do zrobienia. Był bardzo zaangażowany w wojnę z czarodziejskimi ludźmi. – Merolanna zmarszczyła czoło. – Czy też to była wojna z południowcami? Dokładnie nie pamiętam. W każdym razie jest zbyt zajęty, żeby siedzieć tu ze starą kobietą. Ale prawie się nie zmienił od momentu zaginięcia! Wyobrażasz to sobie?

Teraz Utta poczuła dreszcz.

– Jak to, Merolanno? Przecież on zaginał... pięćdziesiąt lat temu.

– Wiem. Czyż to nie dziwne i cudowne? – Księżna opadła na poduszki. – Bardzo się cieszę, a on obiecał, że jeszcze się zobaczymy. A teraz opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło podczas mojej choroby. Jestem spragniona wiadomości, a nie zupy!

\*\*\*

Barrick spojrzał na twarz dziewczyny, tak znajomą, a mimo to obcą. Nie tak dawno temu Briony stała w tej samej skalnej komnacie i także zdawała się wyczuwać tajemniczą mieszaninę tego, co niepoznawalne, i tego, co znane. Czy rzeczywiście była jego bliźniaczką, z którą czasami

był tak blisko, że wydawało się, iż jest jego częścią? A Qinnitan, leżąca przed nim w upiornym blasku kilku świec, czy była tą obcą dziewczyną, której nigdy nie spotkał naprawdę aż do tamtej chwili w głębiach Tajemnic?

*Qinnitan? Słyszysz mnie? Oczyszczył umysł ze wszystkiego – Saqri, Briony i tego, co wydarzyło się od czasu, kiedy zaczęło przybywać ostatniego wiosennego księżyca – i spróbował jeszcze raz. Qinnitan, to ja, Barrick. Potrzebuję cię. Muszę z tobą pomówić.* Lecz nic nie poczuł w tym odległym zakątku swojego umysłu i serca, w którym dziewczyna kiedyś żyła. *Qinnitan!*

Usiadł przy niej. Głosy Ognistego Kwiatu, milczące i uśpione niczym wygrzewające się w słońcu pszczoły, szeptały do niego o Komnacie Ostatniego Czuwania, o spokoju, o godnym przejściu w poza, lecz on nie chciał słuchać. Ten jeden raz wiedza królów Qarów niewiele znaczyła: nigdy wcześniej nie wydarzyło się to, co działo się teraz. Bez dwóch połówek Ognistego Kwiatu nie będzie Głębokiej Biblioteki, a głosy stamtąd rozproszą się niczym oszalałe. Qinnitan go opuści. Saqri też zniknie. Niebawem w jego głowie pozostanie jedynie Ognisty Kwiat. Wszyscy odeszli, przeszli przez rzekę albo też czekają na brzegu, by przebyć jej mroczne wody. Nawet Ynnir już prawie go opuścił i spacerował po odległych polach, gotowy udać się dalej wraz z końcem ziemskiego rodu.

Ta idea pojawiła się w jego myślach jak fragment dobiegającej z oddali muzyki, tyle że zapoczątkowanej innym dźwiękiem, ale szybko wybiła się ponad inne przypadkowe odgłosy. Ynnir. Pola. Rzeka...

Barrick zanurzył się w siebie, pogrążony w myślach. Świece płonęły równo. Po jakimś czasie niektóre prawie się dopaliły, a ich płomienie zaczęły się chwiać, zanim zgasły, a on wciąż siedział przy nieruchomej ciemnowłosej dziewczynie, wciąż się zastanawiał...

## Śmierć Eddonów

*Wzięła go więc za rękę, lecz Kernios posłał straszne duchy zmarłych, by ich śledziły i nękały... Zoria szła tak szybko, że nawet nie spoglądała na Sierotę, on zaś ani razu nie zapłakał ani nie krzyknął...*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Briony wiedziała, że powinna ubrać się stosownie do spotkania, lecz gdy nadszedł czas, uznała, że łatwiej będzie udać się do komnat księżnej w porannej szacie, z czepkiem na głowie i w towarzystwie tylko jednej damy.

Jakbym znowu była dzieckiem, pomyślała, choć oczywiście ani trochę nie była.

Drzwi otworzyła Utta. Przez chwilę zorianka jakby nie wiedziała, co zrobić: pokłonić się Briony czy też ją objąć. Dziewczyna wybawiła ją z kłopotu, rozkładając szeroko ramiona.

– Och, proszę, Utto. Nie udawaj, że jestem obca. Nie po tym, co się wydarzyło!

Starsza kobieta uśmiechnęła się i objęła ją. Utta zeszczuplała, podobnie jak większość mieszkańców zamku: oblężenie dało się wszystkim we znaki.

– Tak się cieszę, że cię widzę, księżniczko – rzekła. – I jak wszyscy tutaj, smucę się z powodu śmierci twojego ojca.

– Oczywiście. – Briony otarła dłonią oczy i zaraz się roześmiała. W każdej chwili starała się nie płakać albo wyglądać surowo, jak przystało na prawdziwą monarchinię. – Ach, jak dobrze cię widzieć.

– I ciebie, Wasza Wysokość. – Utta patrzyła na nią z nieukrywaną czułością.

Briony poczuła się lepiej, widząc, że chociaż kilka rzeczy pozostało niezmiennych.

Utta zaprowadziła ją do łóżka stryjecznej babki. Briony była przygotowana na zmianę, lecz widok Merolanny okazał się dla niej szokiem: jeszcze kilka miesięcy wcześniej księżna wdowa była tryskającą energią starszą panią. Teraz jakby się skurczyła, oczy i policzki miała zapadnięte, jakby zapadała się do wewnątrz niczym zepsuty owoc. Tylko oczy patrzyły bystro i gdy tylko staruszka zobaczyła Briony, natychmiast uniosła się na łokciach.

– Chwalić Trzech! – odezwała się. – Utto, podsuń mi te poduszki, żebym mogła lepiej się przyjrzeć mojej drogiej Briony. – Merolanna pokręciła głową. Miała na niej tylko czepek zamiast peruki, którą zwykle nosiła razem z jakimś wymyślnym nakryciem, przez co nawet jej głowa wydawała się skurczona. – Chodź i opowiedz mi wszystko! Twój biedny ojciec! Och, jakich strasznych czasów dożyliśmy, straszne czasy. Ale teraz będzie lepiej.

Briony wciąż nie mogła się otrząsnąć. Wydawało jej się, że podstawiono aktorkę, by odegrała rolę księżnej – od ostatniej Wigilii Zimy stryjeczna babka postarzała się co najmniej o dziesięć lat.

– Oczywiście – powiedziała głośno. – Oczywiście, ciociu Lanno. Będzie lepiej.

\*\*\*

– Pani, wyglądasz na piękną i silną kobietę – zwróciła się do niej Rose Trelling.

Inna dworka, Moine, opuściła zamek przed miesiącami i wróciła do rodzinnego majątku na wschodzie, lecz Rose została ze swoim wujem Avinem Brone'em i teraz ochoczo podjęła funkcję damy dworu. Zapięła ciężki naszyjnik, który wydawał się zbyt błyszczący na tle jasnej skóry jej pani, podobny do sznura gwiazd.

– Nie czuję się ani ładna, ani silna – odrzekła Briony, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze. – Szczególnie dzisiaj, w dniu pogrzebu ojca. Wydawało jej się, że obszerna sztywna suknia upodabnia ją do statku płynącego pod żaglami, i to wcale nie zwinnego brygu. – Handlowy karak – powiedziała, – który płynie powoli z pełną ładownią.

– Słucham, pani?

– Nieważne. – Chociaż bardzo by chciała, żeby wiele rzeczy było tak jak dawniej, to nie mogła tego sprawić samymi życzeniami: widok słodkiej szczerzej buzi Rose nasunął jej na myśl Brone’a, wuja dziewczyny. Wiedziała, że nieuchronnie zbliża się chwila, kiedy będzie musiała skonfrontować hrabiego z tym, co wiedział Teodoros. Sądząc po tym, jak Brone na nią patrzył, było jasne, że najbliższy doradca króla Olina wie, iż coś jest nie tak, lecz Briony uznała, że będzie w stanie spotkać się z nim dopiero po pogrzebie ojca. Ale nie później. Jeśli ten człowiek jest ich wrogiem, w czym coraz bardziej się utwierdzała, to czyż nie było nierozważne pozwalać mu chodzić swobodnie, mimo że wiedział, iż jest podejrzany? Nie, musi zająć się tą sprawą jeszcze tego wieczoru, po pogrzebie.

– Poślij po dowódcę straży królewskiej Tallowa – zwróciła się do czekającego pazia. – Pogrzeb za godzinę, więc zdążę go teraz przyjąć.

– Przestań się wiercić! – jęknęła Rose po wyjściu chłopca. – Jeśli nie pozwolisz mi okiełznać tego ostatniego niepokornego loka, będziesz miała fryzurę jak żebraczka!

\*\*\*

Briony zobaczyła z zaskoczeniem, że to nie Jem Tallow przybył na jej wezwanie.

– Książniczko – rzekł Ferras Vansen i przyklęknął na progu. – Usłyszałem wezwanie i przybywam zamiast Tallowa. Wybacz, jeśli źle postąpiłem.

Westchnęła, lecz nie tak głośno, by usłyszał.

– Zdaje się, że masz mnóstwo przeprosin w zapasie, kapitanie Vansen. Naprawdę uważasz, że jest tak dużo rzeczy, za które powinieneś przeproszać?

Jego twarz oblała się rumieńcem.

– Więcej niżbym sobie życzył, Wasza Wysokość. Wyraziłem się niewłaściwie, twierdząc, że przyprowadzam ci brata z powrotem. Prawda jest taka, że zostawiłem go w kraju cienia, choć nie z własnej woli. Sam wrócił do Zamku Marchii Południowej.

Briony wydało się dziwne, jak bardzo kapitan przypomina jej Barricka – nie wyglądem czy sposobem mówienia lub działania, bo pod tymi względami bardzo się różnili, lecz tym, jak wzbudza w niej jednocześnie tkliwość i frustrację. W przypadku Vansena chodziło jednak o coś więcej, czego nigdy nie czuła wobec brata, a z czym nie bardzo wiedziała, co zrobić. Oczywiście był jeszcze Eneas, który wciąż czekał na odpowiedź...

Starła się nie okazać chaosu swoich myśli.

– Potrzebuję straży po ceremonii pogrzebowej. Czy dopilnujesz, żeby oddział stawił się w nowej sali tronowej?

– W namiocie? – Vansen znowu się zarumienił. – Nie lekceważę...

Briony się roześmiała.

– To jest namiot. Powiedziałeś prawdę.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Zastaniesz tam pół penturii swoich najlepszych żołnierzy, dopilnuję tego. – Wstał i już miał wyjść, lecz Briony powstrzymała go uniesieniem dłoni.

– Prawie nie rozmawialiśmy w ostatnim dekanoksie, kapitanie Vansen. Każę paziowi przynieść krzesło i może opowiesz mi więcej o tym, co przeszedłeś. – Kiwnęła na jednego z chłopców. – Wciąż wiele nie rozumiem z tego, co się tu wydarzyło.

– Tak jak my, Wasza Wysokość – odpowiedział z powagą. – Myślę, że dowiemy się czegoś więcej, gdy wysłuchamy wszystkich, którzy tu walczyli, Funderlingów, powierzchniowców, a nawet Qarów i południowców...

– Powierzchniowców? A cóż to znaczy?

– Wybacz, księżniczko. Funderlingowie tak nas nazywają, a czasem mówią na nas po prostu duzi. Dziwne, ale przebywając z nimi, coraz bardziej zapominałem, że nie jestem jednym z nich, mimo że znacznie przewyższałem ich wzrostem.

– W takim razie opowiedz mi o tym, kapitanie. Opowiedz mi też o bracie i o tym, co przeżyliście za Granicą Cienia. Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz. Dzisiaj pochowam ojca i strasznie się tego boję.

– Nigdy sobie nie daruję, że nie mogliśmy go uratować – odrzekł Vansen, spuściwszy wzrok.

– Wystarczy. Oddałeś mi jego ciało. A w ostatnich dniach udało mi się raz z nim porozmawiać.

– Naprawdę? – Widać było, że kapitan o tym nie słyszał.

– Tak. A zatem porozmawiajmy, kapitanie Vansen. – Spojrzała po pokojówkach, damach dworu i młodych paziach, którzy tworzyli środowisko, w jakim znowu się zanurzyła. – Obawiam się, że możemy nie mieć drugiej takiej okazji.

Vansen nie należał do rozmownych, lecz tym razem porwał go nurt opowieści: kiedy kończył opowiadać o ostatnich godzinach w Tajemnicach Funderlingów, wszyscy obecni w komnacie Briony, zarówno służący, jak i szlachta – zebrali się wokół nich już wcześniej – przysłuchiwali się z otwartymi ustami i przestraszonymi minami. Relacjonując kolejne przygody, okazał przebłycki sarkastycznego poczucia humoru, zwykle skrywanego, i często, jak zauważyła Briony, umniejszał swoją rolę w wydarzeniach, kierując uwagę słuchaczy na innych. Przypomniała sobie ojca, który w podobny sposób opowiadał o roku spędzonym w Hierosolu, co z kolei skierowało jej myśli ku o wiele mniej przyjemnemu zadaniu, jakie ją czekało.

– Dziękuję ci, kapitanie Vansen – powiedziała, kiedy ten przerwał, by napić się wina z pucharu podsuniętego mu przez jedną z dam dworu. – To dar niebios, że nasz kochany Zamek Marchii Południowej przetrwał, choć straciliśmy tylu ludzi. – Pokręciła głową. – Mój ojciec, drogi Chaven, wszyscy twoi dzielni Funderlingowie i wielu innych. – Spróbowała się uśmiechnąć, co nie przyszło jej łatwo. – Zbliża się pora pogrzebu. Nie zapomnisz o swojej obietnicy, prawda?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Słucham, Wasza Wysokość? O mojej obietnicy...?

– By dopilnować, że straż królewska będzie mi towarzyszyć wieczorem po pogrzebie?

– Ach. – Wydawało się, że odetchnął z ulgą, ale był też chyba rozczarowany. Czego oczekiwał? Jakiegoś żenującego wyrazu wdzięczności? Czyżby ostatecznie się pomyliła co do uczucia, jakie do niej żywi? Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Teraz, kiedy ojciec nie żyje, a brat jest zdecydowany opuścić Zamek Marchii Południowej, Briony wiedziała, że nie ma prawa do osobistych uczuć, do

czegokolwiek poza tym, co jest dobre dla królestwa i jego mieszkańców.  
– Oczywiście, Wasza Wysokość – odpowiedział. – Dopilnuję tego.

– Dziękuję, kapitanie Vansen. Jestem ci winna przeprosiny... co spędza mi sen z powiek. Szczerze cię przepraszam za wszystko, co powiedziałam, kiedy cierpiałam po śmierci Kendricka. Jesteś dobrym człowiekiem, czego dowiodłeś wielokrotnie.

Spokojne oblicze Vansena drgnęło. Czy był to gniew? Smutek?

– Służba tobie jest dla mnie najważniejsza, Wasza Wysokość – powiedział. – I Królestwom Pogranicza oczywiście.

Wstał szybko, skłonił głowę i wyszedł pośpiesznie. Briony siedziała jeszcze chwilę, zbierając się w sobie, by wstać i poprowadzić ceremonię pogrzebową. Otoczona damami i dworzanami wciąż czuła się samotna.

\*\*\*

Vansenowi nie spodobała się decyzja Briony, by pogrzeb odbył się na błoniach przed królewską rezydencją, które to miejsce jego zdaniem nie było bezpieczne, choć rozumiał, że księżniczka pragnęła, by mieszkańcy mogli wspólnie pożegnać króla. Wprawdzie Durstin Crowel wreszcie się poddał i razem ze swoimi współnikami został osadzony w twierdzy, to jednak niektórzy z najbardziej niebezpiecznych popleczników Tolly'ego, jak Berkan Hood, wciąż pozostawali na wolności i choć prowadzono energiczne poszukiwania, to Vansen uważał, że Briony w sposób niewybaczalny naraża siebie i królewskiego syna na niebezpieczeństwo, wychodząc na otwarty teren, gdzie wystrzelona z odległego dachu strzała może pozbawić królestwo władcy mimo wszelkich starań uszczuplonej straży królewskiej.

Z niepokojem myślał o bliskiej przyszłości. Straż królewska, podobnie jak zamek, w którym rezydowała, i ród Eddonów, który ją zatrudniał, musiały zostać odbudowane. Jem Tallow już kilkakrotnie próbował przekazać dowództwo swojemu byłemu kapitanowi, lecz Vansen nie był pewny, czy chce przyjąć dawne stanowisko. Przede wszystkim wtedy byłby zmuszony widywać Briony codziennie i choć z jednej strony było to jego gorącym życzeniem, to z drugiej strony wiedział też, że bardzo by cierpiał, będąc tak blisko niej i nie mogąc być



z nią. Bo przecież niebawem ona zwiąże się z Eneaszem ze Syanu. I co wtedy z Ferrasem Vansenem? Stałby się paziem ze mieczem.

W pewnym sensie wydawało mu się bezcelowe robienie tego co kiedyś, bez względu na to, jak ważne to były rzeczy. Kiedy ktoś walczył z królem-bogiem, a nawet z prawdziwym bogiem, nic było mu łatwo wrócić do codziennej rutyny i nudnych obowiązków. Marzył o przyszłości wypełnionej spokojem – bo jaki żołnierz, który przeżył podobne szaleństwo, by tego nie pragnął? – a nie o tym, by utrzymywać w gotowości bojowej pięć penturii żołnierzy i chronić rządzących w dzień i w noc.

Wszyscy od południa czekali w ogrodzie, podczas gdy długi cień Wieży Wilczego Kła przesuwiał się z zachodu na wschód. Mimo że panował podniosły nastrój, mogło się wydawać, że ludzie zebrali się z jakiejś radosnej okazji, gdyż rozłożono koce i płaszcze na zalanej słońcem trawie, a tu i tam widać było resztki jedzenia. Główna część ceremonii pogrzebowej dla królewskiej rodziny już się odbyła, jako że ciało króla Olina wystawiono w holu rezydencji. Teraz, gdy już spoczęło w prostej trumnie, skromnie udekorowanej i owiniętej w sztandar z wilkiem i gwiazdami Eddonów, żałobny chór odśpiewał tren, a Sisel wygłosił mowę pochwalną. Olin władca, Olin obrońca ludu, Olin dyplomata – Vansenowi się zdawało, że hierarcha mówi o władcy tak, jakby Olin był jednym z nieśmiertelnych bogów Trygonatu. On sam wolał myśleć o człowieku, który spłodził Briony, Barricka i Kendricka, który wzbudził w nich wszystkich tyle uczucia i... przepadł. Olin był śmiertelny i już nie żył. Teraz był tylko opowieścią.

\*\*\*

– Choć wdzięczność modlących się wypełnia wasze uszy miriadami głosów, o bracia, którzy przebywacie na świętej górze Xand, wysłuchajcie nas i niech ten dzień będzie wam miły, by wygnanie dobrego Olina wreszcie się skończyło i wróci do was i swej ojczyzny, by spocząć po trudach długiej podróży...

Posypano sól i Sisel zaczął intonować ostatnią modlitwę, która miała poprowadzić ducha zmarłego króla, gdy Ferras Vansen wyczuł jakieś

poruszenie wśród żałobników, jakby tłum stał się polem kwiatów falujących na wietrze. Czy coś jest nie tak? Zerknął szybko na Briony i zobaczył, że i ona to wyczuła.

Drogą między zbrojownią a Wieżą Wilczego Kła nadchodziła procesja; ci stojący na skraju tłumy odwrócili się, by na nią popatrzeć. Dopóki idący pozostawali w cieniu wieży, Vansen niewiele widział, lecz kiedy prowadzący pochód wyszedł na słońce, kapitan ujrzał czuprynę płomiennie rudych włosów. Barrick Eddon przybył na pogrzeb ojca. Księżę ubrany był w luźne białe szaty, na które nałożył biały płaszcz z kapturem, podobnie jak królowa Saqri, kiedy Vansen miał okazję ją oglądać; dopiero teraz kapitan się zorientował, że u Qarów biały kolor oznacza żałobę.

Zerknął na Briony, lecz jej oblicze pozostawało nieodgadnione. Barrick i towarzyszący mu czarodziejscy ludzie przeszli pod kolumnadą obok błoni i ponownie wynurzyli się w słońcu tuż przed frontowymi schodami rezydencji, gdzie postawiono trumnę, a Barrick zatrzymał się wyprostowany jak strażnik.

Po kilku chwilach ogólnej dezorientacji hierarcha Sisel powrócił do modlitwy. Kiedy skończył, wystąpili kapłani z grzechotkami i fletami, by poprowadzić kondukt, a wyznaczeni żałobnicy podnieśli trumnę i ustawili ją na wozie, który miał ją zawieźć na cmentarz. Vansen przypuszczał, że Eddonowie zamierzają złożyć ciało Olina w swojej rodowej krypcie bez względu na to, co się tam wydarzyło i co znajdowało się pod nią. Zanim jednak kondukt ruszył, Barrick wysunął się do przodu i położył na wieku trumny dwie gałązki, tawuły i jemioly, kwiaty Sieroty symbolizujące nieśmiertelność. Na chwilę zastygł w bezruchu, lecz zaraz jego oblicze wykrzywił grymas bólu i dezorientacji i szybko cofnął rękę, jakby się oparzył.

Księżę i Qarowie nie towarzyszyli orszakowi aż na cmentarz, lecz skręcili w pobliżu zburzonej ściany sali tronowej i ruszyli w kierunku Kruczej Bramy do swojego obozu w Mieście Funderlingów. Niektórzy spoglądali za nimi, wykonując znak odczyniania zła, lecz większość prawie nie zwracała na nich uwagi, jakby królewski syn i jego dziwni towarzysze byli częścią żałobników.

\*\*\*

Stypa skończyła się prawie przed godziną i większość gości już wyszła, choć garstka starszej szlachty została w długiej i niskiej jadalni i popijając wino, snuła opowieści o zmarłym królu i o tym, co się wydarzyło od czasu, gdy Olin zasiadał na tronie Anglina. Bez wątpienia niektórzy powątpiewali skrycie, czy królewska córka nadaje się do rządzenia królestwem, i zastanawiali się, dlaczego jej brat uchylił się od tego obowiązku, lecz Vansen zignorował ich rozmowy i zdjawszy ze służby w jadalni kilku zaufanych żołnierzy, skierował ich do salonu w rezydencji, który pełnił teraz funkcję pokoju wypoczynkowego Briony. Księżniczka już tam czekała, a jej twarz pozostawała obojętna. Dla Ferrasa Vansena było to niczym rana: cierpiał, patrząc na nią.

Kiedy strażnicy zajęli pozycje, zwrócił się do Briony:

– Czy mam sprowadzić lorda Brone’a, Wasza Wysokość?

Skinęła głową, niemal na niego nie patrząc.

Ku zdumieniu Vansena Avin Brone czekał za drzwiami, co oznaczało, że przybył, kiedy kapitan rozstawiał strażę. Olbrzym kiwnął głową.

– Dobrze cię widzieć, kapitanie Vansen. Przypuszczam, że niebawem zmienisz stopień...?

– Nikt nie rozmawiał ze mną o awansie, lordzie Brone.

– Ach, nie wątpię, że zostaniesz nagrodzony. Słyszałem, że dowiodłeś swej szlachetności i odwagi po powrocie do Zamku Marchii Południowej. Wielu twierdzi, że gdybyś nie umocnił obrony Funderlingów, wszyscy bylibyśmy teraz niewolnikami. Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć. Chętnie usłyszę, co widziałeś. Ufam twoim oczom i spostrzeżeniom bardziej niż opiniom innych, może poza własnymi.

– Dziękuję, wasza lordowska mość.

Hrabia uśmiechnął się, lecz zmęczenie na jego twarzy pozostało widoczne.

– Nie każmy czekać naszej pani. W końcu niedługo będzie królową.

– Minał Vansena i podszedł do drzwi.

Kiedy Brone się uklonił – nie bez pewnych trudności, jako że przytył i mocniej utykał – księżniczka kazała przynieść ławkę.

– Zanim przejdziemy do najważniejszej sprawy zaczęła – mam do ciebie pytanie, Brone. Berkan Hood zostanie wkrótce schwytany albo zabity. Stanowisko lorda konstabla pozostaje nieobsadzone. Może mógłbyś kogoś zarekomendować?

Brone chrząknął, zanim odpowiedział:

– Nie widzę lepszego kandydata niż Ferras Vansen.

– Nie ty sam, lordzie Brone? Długo piastowałeś ten urząd. Nie wierzysz już w swoje możliwości?

– Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, nie baw się ze mną w żadne gierki. Jestem na to za stary, jak i na to, by robić to, co kiedyś. Jeśli nie chciałaś mojej rady, nie powinnaś pytać.

– Dobrze, przestańmy krążyć wokół siebie jak dwaj opryszkowie w knajpianej bójce. – Uśmiech Briony był chłodny. – Brone, byłeś zaufanym doradcą mojego ojca. Służyłeś też radą mojemu bratu i mnie.

– Mam szczęście służyć tronowi i mieszkańcom Królestw Pogranicza. To fakt powszechnie znany. Wielu twierdzi, że dobrze się sprawiałem.

– Tak, wielu, lecz ja mam na myśli coś innego. – Dopiero teraz Vansen zorientował się, że emocje ukrywane przez Briony pod maską obojętności to nie zmęczenie czy strach, lecz wściekłość. Z rumieńcem na twarzy zmrużyła oczy; Vansen po raz pierwszy zauważył, jak bardzo jest podobna do brata. – Zdradziłeś nas, Brone, albo to planowałeś. Wszyscy mieliśmy zginąć: ojciec, moi bracia i ja. Co ty na to?

Brone nie zarzucił jej protestami, co umocniło Vansena w przekonaniu, że świat zadrżał w posadach. Starzec jakby schował się w gęstej brodzie i zmarszczył krzaczaste brwi, co upodobniło go do niedźwiedzia wyglądającego z pieczary.

– Dlaczego tak twierdzisz, Wasza Wysokość? Kto ci to powiedział?

– Nie twoja sprawa. Osoba, którą darzę zaufaniem, wyznała mi, że miałaś listę, na której znajdowali się wszyscy członkowie mojej rodziny oraz zalecenia, w jaki sposób każdy z nich ma zostać pochwycony, uwięziony i zamordowany na twój rozkaz. Zaprzeczysz temu?

Ferras Vansen zorientował się, że od dłuższego czasu wstrzymuje oddech i nawet jego najlepsi strażnicy wyglądali na zaskoczonych. I tylko Avin Brone, jedyny z obecnych w długiej Sali, nie wydawał się specjalnie zaniepokojony.

– Nie – odpowiedział. – Nie zaprzeczę.

Z piersi Briony dobył się urywany oddech, jakby otrzymała silny cios.

– No tak – odezwała się po dłuższej chwili, z trudem panując nad głosem. – Sam mi radziłeś, żebym nie ufała nikomu, Avinie Brone. Dziękuję ci za tę uczciwą radę.

– Chcesz się dowiedzieć, dlaczego miałem taką listę?

– Nie. Nie chcę. Straż, zabrać go. Twierdza gościła niewinnego człowieka, Shasa, więc będzie dobra i dla tego złoczyńcy.

Brone wciąż siedział nieruchomo, kiedy na znak Vansena otoczyło go czterech strażników w czarno-srebrnych strojach Eddonów.

– Naprawdę zrobisz to jeszcze raz, księżniczko? – zapytał starzec łagodnym tonem.

– Co masz na myśli? – Briony ponownie skryła uczucia pod maską: wpatrywała się w niego niczym posąg przedstawiający Karę Boską.

– Uwięziłaś Shasa dan-Hezę, nie poznawszy prawdy. Czego potem żałowałaś. Popełnisz ten sam błąd?

– Błąd? – Briony niemal zeskoczyła z tronu. – Brone, przyznałeś, że planowałeś wymordowanie mojej rodziny! Czy można powiedzieć więcej? – rzuciła, ale nie powtórzyła rozkazu wyprowadzenia starca, dlatego Vansen, wyczuwając, że na coś się zanoszą, gestem powstrzymał swoich ludzi. – Mów – poleciła wreszcie Briony. – Już późno, a ja jestem smutna i zmęczona. Dopiero co pochowałam ojca. Chcę się zaraz położyć.

– Ja też go kochałem, Briony.

– Ale planowałeś go zabić!

– Przede wszystkim służę koronie, księżniczko. Zawsze tak było. Twój ojciec zadbał o to, żebym zrozumiał, co to oznacza. Tak, planowałem jego śmierć – za jego przyzwoleniem.

– Co? – Wydawało się, że Briony doskoczy do starca i go uderzy. – Twierdzisz, że ojciec planował wymordować własną rodzinę?

– Nie! – Po raz pierwszy Brone niemal stracił panowanie nad sobą.  
– Nie, oczywiście, że nie, Wasza Wysokość! Ale twój ojciec wiedział, że cierpi na chorobę, na którą nie ma lekarstwa, na chorobę krwi, która przyprawiała go o napady szaleństwa. Od dziesięciu lat albo i dłużej wiedział też, że i Barrick jest nią naznaczony. Ty i Kendrick wydawaliście się od niej wolni, ale kto mógł to wiedzieć na pewno?

– Co ma z tym wspólnego... krew mojego ojca?

– Nie ufał sobie i szczerze mówiąc, ja także nie mogłem pozwolić sobie na to, żeby mu całkowicie zawierzyć. Był królem, ale przynajmniej na jedną noc co cztery miesiące zamieniał się w bestię, w szaleńca. Jakże miałem bronić kraju, nie planując, jak zająć się samym królem, gdyby w końcu oszalał? Jak miałem bronić Królestw Pogranicza, skoro jego następcy także byli dotknięci tą chorobą? Na wypadek gdyby twój ojciec całkowicie postradał zmysły, miałem trzymać go w zamknięciu. A także was wszystkich do momentu, kiedy przekonalibyśmy się, że któremuś z was można zaufać. A gdyby żadne z was nie mogło rządzić, nie byłoby sensu utrzymywać was przy życiu, bo to wywołałoby niepokój wśród ludu, który by nic nie rozumiał. Byłem przygotowany na to, by osadzić na tronie któregoś z waszych krewnych, może kogoś z breńskiej linii... Tak, byłem gotów nawet zabić was wszystkich, gdybym nie miał wyboru! Ale nie chciałem tego, a jedynie planowałem, bo tak mi kazał twój ojciec, niech bogowie błogosławią jego odwagę i przenikliwość – powiedziawszy to, hrabia Landsend skrzyżował ramiona na piersiach i spojrzał na Briony. – Jeśli wciąż pragniesz mojej głowy, księżniczko, każ mnie ściąć. Nie będę stawiał oporu.

Vansenowi się zdawało, że Briony krzyknie na starca, bo jej twarz tak się zaczerwieniła, że kapitan się przestraszył. Ale kiedy się odezwała, mówiła prawie szeptem:

– Masz jakiś list od ojca, który poświadczyłby twoje słowa?

Brone wzruszył ramionami.

– Mam listy od niego, w których wspomina o tym planie. Mogę ci je dostarczyć. Tak czy inaczej, wszelkie moje papiery od początku służby u twego ojca są teraz twoje, księżniczko. Ale może wolisz, żeby przejrzał je ktoś bardziej zaufany. Tylko wybieraj ostrożnie, Briony. – Uśmiechnął

się, lecz nie był to uśmiech pogodny. – Podejrzewam, że wokół ciebie wciąż krążą zdrajcy...

– Zejdź mi z oczu, Brone – powiedziała to tak, jakby trzymała w ustach pigułkę z trucizną. – Poślę z tobą straż po papiery. Zostaniesz w twierdzy wewnętrznej, dopóki nie zdecyduję, co dalej. A na pewno nie wrócisz do swojego domu w Landsend.

Avin Brone skłonił odrobinę głowę.

– Jesteś moją władczynią, księżniczko. Oczywiście zrobię, co każesz.

\*\*\*

Vansen skończył rozmieszczać strażę, pozostawiając podwójną wartę przy księżniczce, pozostałych zaś odesłał i czekał, zgodnie z jej prośbą, lecz Briony, skończywszy pić wino, rozmyślnie go ignorowała.

Wiedziała, że powinna się cieszyć, iż Brone przedstawił wiarygodne wyjaśnienie – nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej bardziej się bała spotkania z kimś – tymczasem wciąż odczuwała złość, lecz nie miała obiektu, na który mogłaby ją skierować. Wcześniej drobna jej cząstka miała nadzieję, że hrabia wyśmieje jej oskarżenie, że okaże się ono tak absurdalne, że i ona skwituje je śmiechem, lecz intuicja podpowiadała jej, że Brone jest winny, że jego ostrzeżenia, by nikomu nie ufała, stanowiły słabo zawołowane wyznanie. Tak więc kiedy starzec potwierdził istnienie listy, wszystkie obronne mechanizmy w jej wnętrzu opadły niczym krata w Kruczej Bramie. Wciąż była wściekła na Brone'a, ale też na samą siebie. Jeśli opowieść Brone'a była prawdziwa, to co innego mógł zrobić poza wypełnieniem woli jej ojca? Lecz jeśli nie będzie potrafił tego udowodnić? Co wtedy?

Ewentualność, że Brone udawał – że ona może być zmuszona go uwięzić i być może ściąć – pogarszała sprawę; czuła się tak, jakby za bardzo rozpędziła się w tańcu i zaczęła się potykać, nic mogąc złapać tchu.

Vansen wciąż czekał przy drzwiach, a jego oblicze zdaniem Briony wyrażało irytująco szlachetne cierpienie. W jego obecności czuła się niemal tak nieszczęśliwa jak wcześniej przy Avinie Bronie. Skinęła na

kapitana, lecz nie wydała mu konkretnych poleceń. Vansen zatrzymał się przed tronem, skłonił głowę nieporadnie i znowu przybrał wyczekującą postawę. Lustrowany przez Briony długą chwilę, wreszcie się odezwał:

– Wasza Wysokość?

– Kapitanie, dziękuję, że zostałeś. Jestem zmęczona, jak się domyślasz, mimo to chciałabym z tobą porozmawiać. Co myślisz o propozycji lorda Brone’a?

Spojrzał na nią szczerze zaskoczony.

– Wasza Wysokość?

Briony zaczęła się obawiać, że Vansen nie powie już nic więcej.

– Zasugerował, że byłbyś właściwym kandydatem na urząd lorda konstabla, kapitanie. Lorda konstabla na Zamku Marchii Południowej? Chyba słyszałeś o takim stanowisku? Podobno dość znane w tej części świata.

Vansen się zarumienił, a Briony znieubiła sobie jeszcze bardziej niż na początku rozmowy. Tyle razy pragnęła znowu zobaczyć tego mężczyznę, dlaczego więc po raz kolejny potraktowała go w tak nieprzyjemny sposób?

– Zrozumiałem pytanie, Wasza Wysokość, tylko nie rozumiem, dlaczego skierowałaś je do mnie.

– Ponieważ chciałabym się dowiedzieć, czy jesteś zainteresowany, kapitanie. Tak jak mówiłam – a mówiłam szczerze – dokonałeś wspaniałych rzeczy dla królestwa. Nie tylko dla mojej rodziny, lecz wszystkich, którzy mieszkają w obrębie Pięciu Wież.

– Zrobiłem to, co zrobiłby każdy lojalny sługa Eddonów, księżniczko.

– To, co każdy lojalny sługa chciałby potrafić zrobić, lecz tylko niewielu miałoby dość rozumu albo odwagi, by się na to zdobyć. Nie umniejszaj swoich zasług. – Vansen znowu się zaczerwienił. Jak kiedykolwiek mogła pomyśleć, że nie jest mu obojętna? Albo że jeśli nawet darzy ją uczuciem, to jest to zauroczenie nie trwalsze niż zachwyty skrytego dziecka dla niańki. Jak to możliwe, że tak wysoki, silny mężczyzna wydaje się tak godny i poważny w jednej chwili i tak głupi w następnej? Czy wszystkie jego zalety są jedynie wytworem jej wyobraźni? – No, człowieku, co powiesz na urząd lorda konstabla?



– Ja... nie jestem lordem, księżniczko.

– Drobną przeszkodą. I tak otrzymałbyś tytuł i ziemie za swoje bohaterskie czyny, kapitanie. Mam nadać ci tytuł markiza? Choć obawiam się, że bycie lordem wcale cię nie ucieszy. Nie wyglądasz na kogoś, komu podobałaby się dworska krzątanina i straszenie piórek.

– Przeraza mnie to.

Roześmiała się mimowolnie.

– Biedny kapitan Vansen. Tak, wydaje się, że byłoby okrucieństwem uszczęśliwić cię w ten sposób...

Wcześniej stał ze wzrokiem wbitym w podłogę, lecz teraz spojrzał jej w oczy, czym ją zupełnie zaskoczył. W ciemnych oczach Ferrasa Vansena Briony dostrzegła zawziętość, jakiej nie widziała u nikogo, jakiej sobie nawet nie wyobrażała, jak u stworzenia, które nie ma już drogi ucieczki i musi się odwrócić i walczyć.

– Dlaczego mi to robisz, pani? Dlaczego?

– Co masz na myśli, kapitanie Van...?

– To! To mam na myśli! Twój sposób rozmawiania ze mną. Już wołałem, kiedy mnie nienawidziłaś. Wtedy przynajmniej kolejna słowna chłosta nie była dla mnie niespodzianką. Teraz zaś... mówisz, że jesteś wdzięczna, chwalisz moje czyny, a przez cały czas zachowujesz się jak... jak... – Urwał nagle czerwony z gniewu. Takim go jeszcze nie widziała. Odezwał się ponownie po chwili, ale już o wiele spokojniejszym tonem.

– Wybacz, Wasza Wysokość. Nie miałem prawa.

– Nie wybaczę... dopóki nie powiesz mi, jak się zachowuję.

– Proszę...

– Nie, kapitanie Vansen, nalegam. Wręcz rozkazuję ci: powiedz mi, jak się zachowuję.

Jego spojrzenie błądziło desperacko, jakby szukał drogi ucieczki z pułapki, którą sam sobie zgotował, lecz wszyscy strażnicy byli bardzo zajęci udawaniem, że nie słuchają ich rozmowy, a nawet nie wiedzą, iż ktoś jeszcze jest w komnacie.

Vansen zebrał się w sobie, wziął głęboki oddech i powiedział:

– Zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko, które znudziło się podarowanym mu zwierzątkiem. Zamiast po prostu je oddać, gdyż zabawa z nim już nie sprawia mu przyjemności, droczy się z nim i

męczy dla własnej satysfakcji – mówił schrypniętym głosem. – Taka właśnie jesteś, Briony Eddon. Tak się zachowujesz wobec mnie.

Jakaś jej część poczuła wściekłość, że odważył się tak do niej mówić, lecz ta większa jej część była przerażona tym, co zrobiła temu miłemu i dobremu człowiekowi.

– Ja nie... – Nie potrafiła znaleźć słów. – Ja nigdy...

Vansen, który jeszcze przed chwilą przypominał zrezygnowanego więźnia prowadzonego na szafot, teraz postąpił krok do przodu. Ona zaś nie rozumiała wyrazu jego twarzy – mogło to być uniesienie, ale też przerażenie.

– Powiem więcej – wyrzucił z siebie jednym tchem. – Bez względu na to, co myśli Avin Brone, i nawet jeśli ty sama odczuwasz wdzięczność, jak twierdzisz, nie mogę zostać lordem konstabłem ani szlachcicem na twoim dworze, ani kapitanem twojej straży. Dlatego wdzięczny za wszystko, co dała mi twoja rodzina, i za uprzejmość, jaką sama mi okazywałaś... czasami. .. muszę zrezygnować. – Wyciągnął rękawice z pasa i położył na podłodze u jej stóp, po czym odpiął miecz i złożył obok rękawic. – Niech bogowie czuwają nad Waszą Wysokością i tronem Królestw Pogranicza.

Zrobił zaledwie kilka kroków, kiedy zawołała za nim:

– Dlaczego? Dlaczego odrzucasz wszystkie nagrody, na które zasłużyłeś?

Odwrócił się powoli, wiedząc, że już nigdy nie będzie mógł cofnąć tego, co teraz powie.

– Ponieważ nie zniósłbym służby przy tobie do końca życia, Briony Eddon. Pokochałem cię od chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy, mimo że wiedziałem, iż bogowie w niebiosach zaśmiewają się ze mnie do łez... bo przecież kim jestem? Zwykłym żołnierzem.

– Nie! Dzielnym człowiekiem – odpowiedziała, jako że tak właśnie myślała. – Miłym człowiekiem. Dobrym człowiekiem.

– Dlaczego teraz mówisz te miłe słowa, a nie wcześniej, księżniczko? – Wydawało się, że Vansen już niczym się nie przejmuje. – Odrobina współczucia dla głupca?

– Myślę, że to ja jestem głupia. – Zaśmiała się. – Ale ty też, kapitanie! Och, litościwa Zorio, myślałam, że już nigdy nie rozmówisz

się ze mną szczerze. Jak mogłabym pozwolić sercu pokochać mężczyznę, który boi się wyjawić mi, co czuje?

– Ty... nie jestem ci obojętny? – Briony się spodziewała, że Vansen może się roześmieje albo rozpocznie długą orację niczym postać ze sztuki, on tymczasem zawołał: – Straż! Wyjdźcie i pilnujcie wejścia. Mam pewne obawy co do bezpieczeństwa w holu.

– Nie musisz odsyłać wszystkich... – zaczęła Briony, widząc, jak wychodzą kolejni żołnierze. Czuła, jak szybko bije jej serce. Miała ochotę zachichotać jak mała dziewczynka.

– Muszę – odpowiedział Vansen. – Nawet jeśli potrafią zachować dyskrecję, to nie można wymagać od nich, żeby udawali ślepych i głupich. My, prości ludzie, mamy swoją dumę. – Wszedł na podwyższenie. – Możesz mnie za to posłać jutro do kata, księżniczko, ale muszę cię pocałować, muszę! Tak długo na to czekałem...

Początkowo Briony milczała, ponieważ wszystko było tak dziwne i nieoczekiwane, że bała się, iż może zniknąć, kiedy się odezwie. Ledwo oddychała, kiedy Vansen podniósł ją z tronu i przyciągnął do siebie, lecz jego ciepły oddech na jej twarzy uzmysłowił jej, jak daleko trzymała go od siebie przez te wszystkie miesiące.

– Tak, pocałuj mnie, Ferrasie – odezwała się wreszcie. – Pocałuj mnie, proszę!

## Nad ciemną rzeką

*Dobra Kwiat Świtu myślała, że uratowała  
Adisa, kiedy wyszła w słońce poza bramy  
Kernionu i podziemia, lecz spojrzawszy w dół,  
Zoria zobaczyła, że trzyma tylko jedną z  
drewnianych rąk Sieroty...*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Barrick ledwo słyszał pytania Aesi'uah, kiedy wychodzili przez Kruczą Bramę do twierdzy zewnętrznej. Żołnierze w strażnicy patrzyli przezornie w drugą stronę, kiedy mijała ich mała procesja, choć Barrick widział w ich postawach zarówno strach, jak i ciekawość. Mogło być gorzej, Barrick wybrał jednak tylko Qarów najbardziej podobnych do ludzi.

– Jesteś zły na nas czy na swoich ludzi, Barricku Eddonie? – zapytała eremitka.

– *Porwali Sanasu, która miała ponieść Ognisty Kwiat* – przypomniały mu głosy, jakby sam nie wiedział. – *Zabili jej brata, który miał być jej mężem.*

Nieważne. Zaprzętały go teraz pilniejsze sprawy. Kiedy kładł ofiarę na trumnie ojca, poczuł w dłoni silny ból, jakiego nie czuł od tak dawna, że zapomniał, jak może być dotkliwy. Ból ustąpił, lecz on wciąż o tym myślał. Dlaczego teraz, dlaczego odczuł to właśnie teraz, po tak długim czasie?

Barrick i towarzyszący mu Qarowie szli w milczeniu przez twierdzę zewnętrzną i zanurzyli się w cień portowego muru między Laguną Zachodnią a nowymi murami. Bram Miasta Funderlingów strzegli ludzie Vansena, lecz były towarzysz Barricka dobrze wyszkolił swoich żołnierzy, którzy tylko zaszalutowali z szacunkiem, kiedy Qarowie ich mijali. Przez krótką chwilę Barrick się zastanawiał, czy byłoby możliwe, żeby oba narody żyły w pokoju, jak to było przed wiekami, lecz gdy

obejrzał się przez ramię i zobaczył twarze wyrażające strach albo podejrziwość, uznał, że to mrzonki.

\*\*\*

Zacisnął i rozluźnił obolałe palce i pomyślał o Briony.

Znowu powrócił ból w lewej ręce i nawet same mięśnie jakby ponownie się skurczyły, tak jak kiedyś, tak że jego dłoń zacisnęła się mocno. A zaczęło się to w chwili, gdy dotknął trumny ojca... nie, chwilę później, kiedy wspomnienie o ojcu uniosło go wysoko, by pokazać mu ocean ze szczytu Wieży Letniej. Wraz ze wspomnieniem napłynęła fala smutku, tęsknoty za człowiekiem, z którym spędził tyle czasu, przeklinając go. I ból.

Spróbował rozprostować palce. Dlaczego to powróciło? Czy to skutek obcowania z mieszkańcami Zamku Marchii Południowej? Czy może kłótnia z siostrą, która oczekiwała od niego dużo więcej, niż powinien dać... Ale ona zawsze tak się zachowywała, zawsze domagała się jego miłości, podczas gdy on był zbyt zmęczony, by jej okazać uczucie.

Ból pojawił się tak szybko i niespodziewanie, że upadł na kolana i wstrzymał oddech.

– *Ona jest przeszłością – powiedziały mu bardzo nieśmiało głosy Ognistego Kwiatu. – Zapomnij o niej. Zapomnij o tym miejscu. Bądź silny dla swoich nowych ludzi...*

Barrick usiadł na kamiennej posadzce i roztarł obolałą rękę.

\*\*\*

– *Śpiący zabrali mi coś, żeby mnie uleczyć, prawda?*

Twarc Saqri nic nie wyrażała królowa była poza wszystkim, prawie tak pozbawiona życia jak Qinnitan – lecz on poczuł jej słowa w swoich myślach, ledwo wyczuwalne jak powiew wiatru.

– *Wszystko ma swoją cenę: życie, miłość, a nawet śmierć. Wiesz o tym. Wiesz o tym lepiej niż większość przedstawicieli twojego rodzaju.*

– *Ale ceną była moja rodzina! Moja miłość do siostry!* – Teraz to zrozumiał, mimo że jego uczucie do Briony pozostało dziwnie odległe. – *Zabrali mi to bez pytania!*

– *Nie zabrali.* – Jej myśli znowu były ledwo wyczuwalne. – *Wykorzystali. Tak jak spiętrzona kamieniami rzeka podniesie się i rozleje na wszystkie strony, oni tylko zmienili jej bieg. Miłości nie można zniszczyć, widzisz, można ją tylko zmienić...*

Barrick wiedział, że nie może dłużej czekać. Siła czarodziejskich ludzi topniała bardzo szybko. Odsunął z myśli dar Śpiących i klękawszy przy łóżku królowej, wziął ją za rękę. Perła Zachodzącego Słońca i pozostałe uzdrowicielki wycofały się, starając się nie pokazywać po sobie, że nie pochwalają tego dziwactwa, które zamierza zrobić.

– *Dość innych spraw* – powiedział. – *Czas, bym odbył podróż, o której rozmawialiśmy* – zwrócił się do królowej. – *I spróbował uratować, co można... jeśli mi pozwolisz.*

Poczuł jej delikatne rozbawienie.

– *Dlaczego miałabym nie pozwolić, drogie ludzkie dziecko...?*

Dwóch bladych wojowników z plemienia Tych, Którym Nie Wybaczone zaniósło łóżko Qinnitan do kamiennej pieczary i postawiło obok łoża Saqri. Ciemnowłosa dziewczyna wydawała się jeszcze mniejsza, jakby z każdą godziną kurczyła się, jakby się wypalała. Jej skóra była zimna, jakby duch już opuścił ciało.

– *Zostawcie nas samych* – zwrócił się do Qarów.

Wyszli bez słowa i zostawili Barricka z dwiema kobietami, które leżały nieruchomo w migotliwym blasku świec.

\*\*\*

Pomyślał ostrożnie o tym, czego Saqri nauczyła go jeszcze w Qul-na-Qar i co powiedział mu Ynnir: „Ognisty Kwiat to coś więcej niż wiedza tych, którzy odeszli. To mapa ich podróży, księga rytuałów. Ale nie możesz tak po prostu do niego zaglądać, jakby to był zakurzony zwój zostawiony w skalnej wnęce. Musisz uczynić go częścią siebie”.

Barrick wycofał się w ciemność swojego wnętrza; długo tylko dryfował w pustce. Kiedy poczuł, że jest gotowy, pomyślał o Szachraju, który odkrył, jak można podróżować przez tyle różnych rodzajów ciemności, a potem pomyślał o sobie i o krwi, która ich łączyła, nawet jeśli tylko w bardzo odległym sensie.

– *Jestem prawnukiem Sanasu – oznajmił. – Podróżuję, dokąd chcę w krainie poza, w kraju śpiących bogów. Moja krew jest moim glejtem. –* W ciemności będzie wielu takich, którzy nie poważają podobnych rytuałów.

Pojawiło się słabe światło, które zaczęło formować pustkę w rozpoznawalne kształty – w tutaj i tam, w górę i w dół. To było jego światło, blask Ognistego Kwiatu płynący z jego czoła. Jego stopy dotknęły trawiastej ziemi, choć niewiele widział z tego, co jest pod nim – dwie stopy, nie, cztery, jego ciało niosły silne nogi zakończone twardymi kopytami. Tak jak Ynnir w tej krainie występował pod postacią jelenia, a Saqri jako łabędź, tak Barrick stwierdził, że jest koniem, jasnym rumakiem. Owładnięty nowymi doznaniem puścił się kłusem, a potem galopem.

Gdzie ja jestem? – zastanawiał się. Czy to drogi Szachraja wiodące przez pustkę, czy też jest to kraina snu, w której wciąż żyją bogowie? A może kraina zmarłych? Albo całkiem inne miejsce?

Barrick nie rozumiał dziedzictwa Ognistego Kwiatu na tyle, by znać odpowiedzi na te pytania, ale wiedział, że robi to, co musi. Odrzucił obawy i galopował dalej, od cienia do cienia, przez gąszcz ciemności tak gęstych, że wydawało mu się, iż nigdy się z nich nie wyplącze i nie wyjdzie w plamy oślepiającego światła, które go dezorientowało. Czaiły się tam też inne cienie – może istoty takie jak on albo starsze i dziwniejsze – ale nie odważył się do nich przemówić. Zbyt łatwo wędrowiec mógł się tam zgubić, zboczyć ze ścieżki, i choć może ci, którzy przemykali obok niego, nie byli wrogo nastawieni, to byli także inni, którzy żywili się samotnością i cierpieniem – słyszał ich szepty, kiedy podążali za nim, niczym skrobanie szczurów zza drewnianej ściany.

– *Barricku Eddonie, nie jesteś nic winny Ludziom. Damy ci siłę. Wskrześ dziewczynę. Zażądaj posłuszeństwa od każdej istoty, jaką*

*napotkasz. Uczyń z siebie największego króla, jaki kiedykolwiek stąpił po ziemi! Wszystko będzie twoje... Tylko zaczekaj na nas na ścieżce. Pozwól nam się przyłączyć!*

Miał nadzieję, że światło Ognistego Kwiatu wystarczy, by je odegnąć.

\*\*\*

Barrick poczuł zmęczenie, lecz cienie wydawały się nie mieć końca. Napotkał wiele widoków, których nie rozumiał – wejść donikąd, jęczące zjawy podobne do duchów uwieczonych we własnych strasznych snach, a nawet gruzowiska, które przypominały ruiny starożytnych świątyń, monstrialne kamienne płyty tak stare jak gwiazdy. W którymś momencie coś ogromnego przesunęło się nad jego głową, częściowo zasłonięte przez postrzępione pionowe cienie, które mogły być drzewami. Kiedy spojrzał w górę, wydało mu się, że wysoko nad sobą widzi statek, częściowo zakryty srebrzystymi obłokami, z załogą szkieletów i tylko jedną pasażerką, kobietą bladą jak księżyc w pełni, siedzącą na wysokim tronie postawionym na pokładzie, lecz oglądał całą tę scenę tylko przez kilka chwil, gdyż zaraz rozplynęła się w zasnutym mrokiem niebie.

Pędził dalej, aż poczuł, że wkrótce zmęczenie weźmie nad nim górę. Czekał w cieniach głosy brzmiały donośniej, obiecywały więcej, ale i więcej żądały, jakby wyczuwały jego słabość.

– *Jesteście dla mnie niczym* – oznajmił i pokazał im znak „białych ścian”, wewnątrz połykające zewnątrz.

Wycofały się stropione i wściekłe.

– *Znajdziemy cię* – obiecały, on zaś wiedział, że mówią prawdę: stwory, które mieszkały w tych miejscach, były jak zapomniani więźniowie, którzy nie mieli innego zajęcia jak rozmyślanie o ucieczce.

– *Znajdziemy cię, kiedy będziesz zbyt zmęczony. I co wtedy, ludzkie dziecko...?*

\*\*\*



Zapisał się o wiele dalej niż wtedy, gdy podróżował z Saqri, i choć nie miał pewności, czego szuka, to wiedział, że jeszcze tego nie znalazł.

*– Zaszedłeś zbyt daleko od światła – drwiły z niego cienie. – Nie pożyjemy się tobą, gdy wreszcie padniesz, uczynimy z ciebie bramę, tak byśmy mogli żywić się wszystkim, co żyje. Rozpostrzemy na całą noc, będziemy żyć w wołaniu sowy, ukryjemy się w nagłym bezruchu niemowlęcia. Wyskoczymy stąd niezliczeni jak nietoperze wyfruwające z gniazd, gdy ciemność połyka zmrok.*

Wiedział, że przynajmniej jedno z tego, co mu powiedziały cienie, było prawdą: nie miał już siły, żeby zawrócić. Jeśli mu się nie powiedzie, wszelkie okropieństwa, jakie czają się w ciemności poza snem i życiem, rzucą się na niego i to będzie jego koniec; nie było już nikogo, kto mógłby go uratować.

Poruszał się coraz wolniej, coraz częściej potykając się na rubieżach snu, a za nim podążał coraz większy tłum wygłodniałych cieni, aż wreszcie ujrzał coś, co dało mu nadzieję: blade jarzenie w kolorze wrzosu widoczne w oddali – jeśli można do tego miejsca odnieść słowo takiego jak „dal” – przydało ciężaru i solidności krajobrazowi snu: tam, gdzie dotykało go światło, ziemia stawała się substancjalna. Ujrzał przed sobą trawiaste wzgórze, a na nim kanciaste postacie, każda z koroną poroża szerokiego jak rozłożone ramiona mężczyzny.

Barrick skierował się ku wzgórzom zanurzonemu w zmierzchu. Pojedyncze zjawy ze stada cieni spojrzały ku niemu, kiedy się zbliżył, i choć w ciemnych oczach niektórych błysnęło światło rozpoznania, wiele innych jeleni prawie nie zwracało na niego uwagi. Tylko jeden, największy, czy może tylko najbliższy stojący, przywitał Barricka, jakby go znał. Nad jego czołem zawisł obłoczek lawendowego światła podobny do niewypowiedzianej odległej gwiazdy.

*– Ludzkie dziecko, odszedłeś daleko od tego, co wiesz. Czy twój oddech ustał tak szybko?*

Barrick klęknął przed ogromnym zwierzęciem.

*– Ynnirze, mój panie, wybacz, że cię kłopotę.*

*– Kłopotujesz mnie? – Jeleń pochylił głowę. – Jestem już ponad tamte rzeczy, dziecko. A niebawem będę też ponad to.*

Na chwilę tajemniczość tej krainy wyparła wszystkie inne myśli z umysłu Barricka.

– *Dokąd się udasz, panie? Co jest potem?*

– *Nie wie się tego do chwili poznania* – odrzekł Ynnir. – *A nawet ci, co wiedzą, nie potrafią powiedzieć. Dlaczego tu jesteś, ludzkie dziecko? Zapuściliś się daleko poza to, co możesz bezpiecznie pojąć.*

– *Wiem. Ale znalazłem się w wielkiej potrzebie.* – Opowiedział wspaniałemu jeleniowi o swoim strachu i nadziei. Kiedy skończył mówić, jeleni milczał długą chwilę.

– *Jeśli to zrobię, nie będę mógł dłużej tu zostać* – odpowiedział wreszcie. – *Pozbędę się resztek sił i będę zmuszony udać się do tego, co czeka poza, a być może jest to pustka. A i tak mogę nie mieć dość...*

– *Mogę tylko prosić cię, panie, przez wzgląd na twoją siostrę i Ognisty Kwiat.*

Jeleń odwrócił się i odszedł.

Zdumiony Barrick przeraził się, że został odrzucony i pozostanie, bezradny, w tym ponurym miejscu, wydany na pastwę wygłodniałych cieni. Lecz zaraz zobaczył, że ogromny jeleni kroczy przez stado. Każdy z jego towarzyszy, do którego podchodził, pochylał głowę i na chwilę splatali poroża. Za każdym razem, kiedy Ynnir odchodził, jego płomień rozszerzał się trochę i jaśniał.

Kolejne jelenie ze stada udzielały mu swojego światła, aż wreszcie nad głową Ynnira zajaśniała ogromna zimnofioletowa kula i wtedy wrócił on do Barricka. Ynnir wydawał się słabszy, a Barrickowi zdawało się, że przez jego ciało widzi ciemne wzgórza.

– *Proszę* – powiedział jeleni. – *Ostatni królowie nad rzeką dają ci swoje błogosławieństwo, choć wiele ich to kosztuje. Pokłoń się przede mną, a przekazemy ci ten ostatni dar.*

Barrick skłonił głowę. Miał wrażenie, że fioletowe światło spowiło go całego i ogrzewało wszystko, na co spojrział, mimo że ciemność napierała na nich ze wszystkich stron. Poczuli to światło także w sobie i dodało mu to siłę, a przecież dopiero co był śmiertelnie zmęczony, przyniosło także nadzieję. Błogosławiona siła płynęła w jego żyłach niczym roztopiony metal, jak miód, jak pieśń tysiąca ptaków. Zamrugali i na chwilę ciemne wzgórza zajaśniały, jakby oblało je blaskiem letnie

słońce. Istoty z cienia, przerażone i zaskoczone, uciekły do swoich kryjówek.

Światło zgasło i Barrick znalazł się sam na zboczu ciemnego wzgórza, patrzył na trawę kołysaną niewyczuwalnym wiatrem. Dzięki poświęceniu królów, którego do końca nie rozumiał, miał teraz siłę, by uchwycić się ostatniej szansy.

Niech bogowie, czy ktokolwiek jeszcze na was patrzy, przyspieszą waszą podróż, wielcy królowie – modlił się. – Obyście znaleźli schronienie przed burzą. Obyście znaleźli soczystą trawę i orzeźwiająca wodę.

\*\*\*

Ognisty Kwiat jedynie dotyka w nas czegoś, co już tam jest, pomyślał Barrick i uznał to za wielką prawdę. Sama nienawiść nie zawiodłaby nikogo tak daleko, jak ja zaszedłem. Pomyślał o Zosimie czekającym całe wieki w ciemnościach koszarnej krainy. Żądza i chciwość też nie wystarczą. Ostatecznie tylko obowiązek albo miłość, z której on się rodzi, może dać siły do takiej podróży.

Zostawił za sobą wzgórze i wędrował przez inną ciemną krainę, gdzie drzewa rosły gęsto, a cienie znowu zaczęły się wypełniać obserwującymi oczami. Nie wiedział jak, ale pozbył się swojej czworonożnej postaci i teraz, jak mu się zdawało, miał ciało mężczyzny i poruszał się w tempie idącego.

Zmęczenie go spowalniało i z trudem odrywał stopy od ziemi, ale wytrwał, aż wreszcie usłyszał głos, na który czekał od dawna – najpierw szept, potem głośniejszy szum, który nasilał się, aż wydawało mu się, że słyszy oddech wszechświata. To była jakaś rzeka... nie, ta rzeka, choć do końca tego nie rozumiał. Coś więcej niż przejście prowadzące do tego, co poza śmiercią, wyobrażenie tego, czym może się stać sama ciemność.

Ale dla Barricka przede wszystkim była to rzeka. Ostatnia granica przed krainą śmierci.

Znalazł ją, tak jak przypuszczał, że może to się stać: dziewczyna stała zanurzona po uda w wodzie, macając przed sobą rękami, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Podeszedł bliżej, ale zatrzymał się, zanim wszedł do

rzeki. Wiedział, że byłby to błąd, nawet tutaj, gdzie wydawało się, że jest płytko.

– Qinnitan – mówił cicho, wiedząc, że będzie oszołomiona, przestraszona. – Jestem tutaj. Nie idź dalej. – Nawet te spokojne słowa ją przestraszyły. Zrobiła chwiejny krok do tyłu, a przezroczysta woda zalała jej szczupłe biodra! Była taka młoda! Jak to się stało, że tyle wycierpiała, tyle widziała? – Nie zasłużyłaś na to! – powiedział tak samo do siebie, jak i do niej.

Poruszyła się.

– Kto... kto tam jest?

– Qinnitan, to ja, Barrick. – Kiedy to wypowiedział, zorientował się, że ona nie rozumie, co to znaczy – czy jest to imię śmiertelnika czy też mieszańca z królewskiego domu Qarów? Imię człowieka wiedzonego miłością czy takiego, w którym nie zostały już tak subtelne uczucia? – Chodź ze mną, Qinnitan.

Wciąż stała w miejscu, a kiedy przemówiła, brzmiało to tak, jakby powtarzała niezrozumiałe dla siebie słowo:

– Barrick...?

Powoli wyciągnął rękę i dostrzegł delikatne fioletowe jarzenie na czubkach swoich palców. Odchyliła tułów, ale nie cofnęła się w głębszą wodę. Kiedy jej dotknął, zadrżała, lecz pozwoliła się poprowadzić ku trawiastemu brzegowi.

– *Kiedy jej stopa dotknie ziemi, nie wolno ci na nią patrzeć.* – Chór głosów Ognistego Kwiatu powrócił, jakby obudził się z krótkiego snu.

– *To przekleństwo Sieroty. Bogowie kochają swoje sztuczki, a śpiący są szczególnie kapryśni...*

– *Trzymaj ją za rękę, ale nie otwieraj oczu.*

– *Wyśpiwamy ci drogę.*

Jakaś cząstka Barricka bała się, że to bzdury. Czasem głosy Ognistego Kwiatu bardziej przypominały ogólne idee niż faktyczne informacje, ulotne zjawy pozbawione spójności żyjącej osoby. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że sam nie zdoła uratować Qinnitan, że znalazła się zbyt blisko śmierci. Zacisnął mocno powieki, wziął ją za rękę i pozwolił głosom, by go prowadziły.

Kiedy oddalili się od rzeki, czasami dziewczyna wydawała się Barrickowi tak niematerialna, że nie miał pewności, czy jeszcze trzymają za rękę, ale wiedział, że nie wolno mu spojrzeć, że jeśli to zrobi, utraci tę małą szansę, jaką otrzymali.

– *Zignoruj wszystkie inne głosy* – powiedział mu Ognisty Kwiat.

– *Nawet te, które brzmią tak słodko. Miej zawsze rzekę za plecami. Zaufaj swojej intuicji.*

Otworzył się na ciemność i ruchy powietrza, wilgotne podmuchy nad powolną, lecz potężną czarną rzeką. Starał się mieć ją za sobą.

– Qinnitan? Jestem tutaj. Słyszysz mnie?

Kiedy nie odpowiedziała, odezwał się jeszcze raz. Wreszcie ją usłyszał, choć jej głos wydawał się o wiele bardziej odległy, niż powinien, skoro trzymał ją za rękę.

– Kto woła? Boję się.

Słowa na niewiele się zdały – tylko jej ręka w jego dłoni była prawdziwa; wiedział, że dopóki ją trzyma, dziewczyna wciąż przy nim jest.

Szli z powrotem przez ciemną krainę całe lata, jak się zdawało. Od czasu do czasu widział i słyszał coś, co kazało mu sądzić, że zgubili drogę, lecz głosy Ognistego Kwiatu ostrzegały go, żeby nie wierzył duchom, że są to tylko samotne zgorzkniałe istoty, które zamieszkują to miejsce i zastawiają na niego sidła. Wreszcie Qinnitan stała się niespokojna i zaczęła z nim walczyć. Szarpał się z nią długo, jak mu się zdawało, próbując ją uspokoić, lecz nic nie wskórał. Wreszcie, przerażony i obolały, przyznał przed samym sobą, że nie potrafi jej zmusić, by szła dalej.

Głosy Ognistego Kwiatu podpowiadały mu, żeby się nie poddawał, żeby dalej się starał.

– Nie – powiedział zarówno do nich, jak i do niej. – Nie będę cię zmuszał. Dlaczego się boisz, Qinnitan? Próbuję zaprowadzić cię z powrotem do światła. Dlaczego się opierasz?

Lecz ona go nie słyszała, a nawet jeśli tak, to nie rozumiała, i nadal się wzbraniała jak przestraszone dziecko. Barrick się obawiał, że jeśli będzie działał wbrew jej woli, może ją stracić, a nawet zniszczyć to, co

jeszcze z niej zostało. Nie wiedząc, co począć, puścił jej rękę, mimo że bardzo bał się to zrobić.

– Idę dalej – powiedział do Qinnitan. – Chodź za mną, jeśli możesz – jeśli chcesz – a ja cię stąd wyprowadzę.

Z głową przepelnioną chórem udęczonej głośów Ognistego Kwiatu Barrick ruszył przed siebie.

Głosy stopniowo cichły, bardziej zaskoczone niż zrozpaczone. Barrick poczuł, że jego strach słabnie, i wziął to za dobry znak. Czuł, że Qinnitan podąża za nim.

Nadeszły najtrudniejsze chwile. Przedzierał się przez gęstwinę gałęzi, które czepiały się go boleśnie, przechodził przez strumienie zimne i czarne jak rzeka, w której znalazł Qinnitan. Potem schodził długim niebezpiecznym zboczem w dolinę, w której dostrzegł migoczące światła, lecz kiedy tam dotarł, ujrzał jedynie puste pole z pochylonymi kamieniami.

Dziesiątki razy powstrzymywał się przed spojrzeniem za siebie. Głosy Ognistego Kwiatu prawie się nie odzywały, lecz on był przekonany, że nawet gdyby mu nie powiedziały, wiedziałyby, czy Qinnitan się od niego oddaliła. Czyż nie odnajdywali się w swoich snach? Czyż nie znalazł jej na samym skraju nieuniknionego królestwa śmierci?

I wreszcie rzeczywiście się zatrzymała – poczuł, że zanika jej ciepło. Też przystanął i zmusił do patrzenia tylko przed siebie.

– Już prawie jesteśmy – powiedział do dziewczyny. – Jeszcze trochę. Nie bój się! – uspokajał ją i nagle uświadomił sobie, że to nie odwaga ją opuściła, lecz siły.

Wcześniej podążali doliną otoczoną wysokimi górami i wypełnioną ciemnością; teraz ruszył powoli dalej, macając ścianę przy ścieżce, aż znalazł w niej szczelinę.

– Chodź – zawołał do Qinnitan. – Wejdz tu za mną. Odpoczniesz i nie będą ci zagrażać żadne stwory, które tu polują.

Wszedł do wąskiej wnęki trochę niższej niż on, szerszej i dłuższej, a gdy usłyszał, że Qinnitan idzie za nim, jego serce znowu żywiej zabiło. Usiadł na zimnej ziemi, ona zaś dołączyła do niego, wtedy rozłożył ramiona, by mogła się w nie wtulić jak chore dziecko. Poczuł ją, jej

zapach, którego nie znał, a który mimo to wydał mu się znajomy. Słyszał nawet jej oddech tuż przy swoim uchu, początkowo urywany, potem coraz wolniejszy, gdy poddała się snowi czy też podobnemu stanowi w tym bezimiennym miejscu.

Niebawem i on poczuł, że zasypia, i przez chwilę zastanawiał się, czy obudzi się w tym świecie czy może w innym.

\*\*\*

Nie od razu zrozumiał, co się dzieje. Pozostawał pogrążony głęboko w niezapamiętanym śnie, a teraz siedział, rozbudzony, w ciemności. Coś owinęło się wokół niego. Wsunął rękę i dotknął twarzy, a potem powiódł palcami po policzku do ust.

– Barrick? – zapytała znienacka.

– Qinnitan! Tak, to ja. Naprawdę mnie słyszysz?

Nie od razu odpowiedziała:

– Tak, ale twój głos dochodzi jakby z daleka. Dlaczego tak jest, skoro czuję cię przy sobie? Gdzie my jesteśmy?

Właściwie nie wiedział – nawet głosy Ognistego Kwiatu nie potrafiły powiedzieć gdzie dokładnie się znajduje. A nie chciał jej przestraszyć, bo gdyby stracił ją teraz, byłoby to już na zawsze.

– W drodze do domu.

Dotknęła jego twarzy.

– Widzisz mnie? Bo ja nic nie widzę.

Barrick nie chciał ryzykować, wciąż miał oczy mocno zamknięte, nawet w tej całkowitej ciemności.

– Nie, nie widzę, ale to dlatego, że przebywamy w ciemnościach. Pamiętasz coś?

– Ciebie. – Przytuliła się do niego mocniej. Była wyższa, niż się spodziewał; głowę wsunęła pod jego podbródek i oplótła go nogami, przywierając do jego tułowia. Już zapomniał, jak to jest tulić kogoś i być tulonym. – I pamiętam ogień – mówiła dalej. – Coś się paliło. Coś dużego.

Barrick dobrze pamiętał straszne ostatnie godziny w podziemiach zamku, ale nie miał ochoty o tym mówić. Bo kto wie, czy bóg oszustw rzeczywiście umarł? A jeśli Zosim także tu wędruje?

– Nie myśl o tym – powiedział. – Skup się na tym, żeby stąd wyjść. Chcę, żebyś mi towarzyszyła.

– Jestem taka zmęczona – powiedziała to rzeczowym tonem, a nie jak ktoś, kto prosi o pomoc. – Ledwie mogę cię objąć.

– Całkiem nieźle sobie radzisz. – Poczuję, jak wzbiera w nim nieoczekiwana radość. – Ściskasz mnie dość mocno.

– Bo nie chcę cię zgubić w ciemności. Zdajesz sobie sprawę, jak długo czekałam, żeby cię objąć... dotknąć...? – Jej ciało trochę się napięło. – Przepraszam. Pewnie myślisz, że jestem okropna. Jaka dziewczyna wygaduje takie rzeczy?

– Ta właściwa. – Bał się mówić, żeby nie zepsuć tej chwili. – Wcześniej mnie nie poznałaś. Kiedy znalazłem cię w rzece. Pamiętasz?

– Nie pamiętam niczego poza przebudzeniem tutaj – odpowiedziała. – Pocałujesz mnie?

– Czy cię... pocałuję?

– Żaden mężczyzna jeszcze mnie nie całował. Chyba nie musimy się przy tym widzieć, jak myślisz?

Zdawało mu się, że serce wyskoczy mu z piersi.

– Nie. Nie sądzę, byśmy musieli się widzieć, żeby to zrobić.

Barrick nie mógł się nadziwić, że odczuwa wszystko tak wyraźnie, ciepło jej skóry, słodycz jej oddechu, puszek na jej policzku i łaskoczącą miękkość rzęs... i nawet wilgoć jej łez.

– Dlaczego płaczesz?

– Ponieważ nie sądziłam, że to kiedyś nastąpi. Modliłam się o to, ale nie wierzyłam, że bogowie na to pozwolą. A teraz nie chcę, żeby się skończyło – powiedziała. – Bo przecież się skończy, prawda? Nigdy nie będziemy razem.

– Nie! – zawołał, lecz nie potrafił zmusić się do kłamstwa. – Nie wiem, Qinnitan, naprawdę nie wiem. Nie prosz, bym powiedział coś więcej.

– Nie będę. – Jej policzki wciąż były mokre. Przyłgnęła do niego tak mocno, że wydawało się, iż chce się w niego wcisnąć, jakby ich ciała



mogły w jakiś sposób zlać się w jedno, a serca zacząć bić jak jedno. – Pocałuj mnie jeszcze raz, Barricku. Skoro nie możemy być razem, stwórzmy wspomnienie, którego ani śmierć, ani ogień nam nie odbiorą. Zostań tu ze mną. I kochaj się ze mną.

Pocałował ją jeszcze raz, tak jak prosiła. Ciemność może skryła ich przed wzajemnymi spojrzeniami, ale też ukazała dużo więcej, niżby zobaczyli w świetle, a godziny mijały jak minuty.

\*\*\*

Kiedy Barrick się obudził, był sam. Przerażony wyszedł ze skalnego zagłębienia, które znaleźli i w którym wreszcie mogli być razem. W ostatniej chwili przypomniał sobie, żeby zamknąć oczy, co go uchroniło przed pewną zagładą.

– Qinnitan! – zawołał. – Gdzie jesteś? Wróć!

Po pewnym czasie usłyszał jej głos jakby płynący z oddali.

– Tutaj jestem, Barricku. Ale ty idź dalej.

– Jak to? Musisz iść ze mną!

– Nie mogę! – powiedziała to smutnym, ale pewnym tonem. – Nie mam dość sił, żeby przejść z powrotem. Wiem, gdzie jestem teraz, Barricku, i wiem, co jest możliwe. Przeprowadziłeś mnie tak blisko krainy żywych, jak tylko mogłeś. Dalej musisz iść sam.

– Nie! Nigdy cię nie zostawię! Zostanę tu z tobą!

– Nie – odpowiedziała ze spokojem. – Mielibyśmy niewiele czasu, potem musielibyśmy przejść na drugi brzeg rzeki, a kto wie, co wtedy by się wydarzyło?

– Nie zostawię cię tutaj na pewną śmierć.

– Za bardzo się martwisz. Będę mogła zostać tutaj, blisko krainy żywych, nasza miłość mi to zapewniła. To, co razem zrobiliśmy, jest silne, mój słodki Barricku, niczym ogromny głaz tkwiący głęboko w ziemi. Mogę uchwycić się tego przynajmniej na jakiś czas. – Wyciągnęła rękę. Poczuli jej palce na twarzy, cieplejsze, jakby powróciło do nich trochę życia. – Wracaj. Wyczuwam, że coś zaplanowałeś. Może to nas uratuje.

– Uratuje innych. – Starał się pozbyć goryczy. – Ty będziesz cierpieć, tak jak i ja.

Zaśmiała się, a był to zdumiewający dźwięk w tym miejscu.

– W takim razie będę cierpieć i będę ci za to wdzięczna. Sądzisz, że jakie życie miałam wcześniej? Teraz mogę cierpieć po stokroć mocniej, wzbogacona o twoją miłość.

– Masz ją – odpowiedział bez chwili namysłu. – Na zawsze.

– W takim razie idź i ufaj temu uczuciu.

Nigdy wcześniej nie czuł się tak bezradny i niepewny. Ale też nigdy nie znał niczego, za co byłby gotów walczyć. Zaufać, no cóż – to było trudniejsze niż walka.

– Zaczekaj na mnie, Qinnitan, mój słodki głosie, moja najdroższa. Obiecuj, że bez względu na to, jak będzie ci się dłużyć, jak bardzo niemożliwy wyda ci się mój powrót... zaczekasz na mnie.

Potem odwrócił się i ruszył szybko ku krainie budzących się i żywych. Okrutny Los odebrał mu nawet możliwość ostatniego spojrzenia za siebie.

\*\*\*

Barrick klęknął przy Saqri. Nie odważył się spojrzeć na twarz Qinnitan leżącej obok, nieruchomej, prawie zmarłej.

– Przeprowadziłem ją tak blisko, jak to było możliwe. Możesz ją odnaleźć?

Saqri miała na wpół przymknięte oczy niczym pochwycone w pułapkę stworzenie wydające ostatnie tchnienie.

– *Ja... nie widzę... niczego... poza tym...*

– W takim razie pozwól mi sobie pomóc. – Nie zważając na potworne zmęczenie, pochylił się nad królową. Ujął suchą i zimną dłoń Saqri i położył na czole Qinnitan. Tylko lekki skurcz mięśni wokół oczu królowej świadczył o tym, że wciąż żyje. Wreszcie Barrick usłyszał jej głos, ledwo słyszalny szept, westchnienie pokonanej...

– *Nie mogę jej znaleźć...*

Barrick położył dłoń na ręce królowej, a potem zamknął oczy i zanurzył się w ciemności, którą dopiero co opuścił. Głosy Ognistego Kwiatu krzyczały przerażone:

- *Za słaby, ludzkie dziecko! Jesteś za słaby...*
- *Umrzesz. Ty, Saqri i dziewczyna. Wszystko przepadnie!*
- *Nie ryzykuj!*

Ale Barrick nie mógł postąpić inaczej. Bez Qinnitan stałby się czymś paskudnym – zimnym, wściekłym cieniem samego siebie, żywym duchem nawiedzającym własne życie. Lepiej odejść teraz, skoro nie może jej uratować, skoczyć w ogień po szybką śmierć.

W dół. Barrick Eddon opadał coraz niżej. Wyczuwał przy sobie Saqri, biała skrzydlata postać nurkowała przy nim, jakby wypadła spomiędzy obłoków na końcu długiego lotu. Ciemna kraina się przybliżała, a potem przesunęła pod nimi, kiedy mknęli nad milczącymi lasami i srebrzystymi łąkami poznaczonymi wstęgami lśniących, czarnych strumieni. Prowadził ją najlepiej, jak potrafił, choć nie było to łatwe, ponieważ Saqri pragnęła szybować, odzyskawszy wolność i pozbywszy się okaleczonego śmiertelnego ciała.

Dopiero kiedy znowu dotarli do doliny, Barrick przypomniał sobie, że nie patrzył na Qinnitan, że, tak jak w przypadku Sieroty, dotknięcie jego spojrzenia przerwałoby czas i mroczna kraina zatrzymałaby ją na zawsze. Zacisnął mocno powieki albo też śnił, że tak zrobił, i teraz musiał podążać na oślep przez krainę o wiele większą niż jakikolwiek kraj na ziemi. Jak miał znaleźć Qinnitan? Zaczął macać wokół siebie, łudząc się, że w tym zimnym świecie dziewczyna będzie jedynym źródłem ciepła, jedyną istotą, która żyje i czuje...

– *Jestem tutaj.* – Głos brzmiał słabo jak cykanie świerszcza podczas burzy. – *Czekam.*

Odwrócił się w tamtą stronę, pozwalając, by ciemność układała się po swojemu. Mógł tylko podążać dalej. I ufać.

Kiedy już odnalazł Qinnitan, pocałował ją, czując pieczenie łez pod zaciśniętymi powiekami.

– Saqri! – zawołał. – Jest tutaj! Qinnitan... ta, w której żyłach także płynie krew Szachraja!

Ogromna postać spadła z nieba niczym biała burza, uderzając głośno skrzydłami.

– Czy on cię pytał, dziecko kobiety? Czy ostrzegł, co oznacza, przyjęcie Ognistego Kwiatu? – Głos Saqri brzmiał jak smutna melodia. – Przyjmiesz na siebie ten straszny ciężar?

– Tak. – Wydawało się, że Qinnitan wie wszystko, co powinna wiedzieć. – Przyjmę.

– Ona wciąż nie może wrócić, Barricku Eddonie, nawet z Ognistym Kwiatem – ostrzegła Saqri. – W twoim świecie będzie spała, tak jak ja kiedyś. I może już nigdy się nie obudzi.

– Coś wymyślę, by ją obudzić. – Wyciągnął rękę po Qinnitan. Czuł wokół nich pulsowanie i blask Ognistego Kwiatu, jakby Saqri oddychała zimnym ogniem. – Nawet gdybym miał poświęcić na to całe życie. Słyszysz? Obudzę cię.

Qinnitan podniosła jego rękę do ust.

– Nie oczekuję, że uratuje mnie jakikolwiek mężczyzna, nawet ty, mój ukochany. Znajdę sposób, by się obudzić.

Saqri się zaśmiała.

– Dobrze powiedziane, dziecko, po tym wszystkim będzie z ciebie godna następczyni. Przyjmij Ognisty Kwiat, Qinnitan, córko Cheshreta i Tusiyi. Ty i Barrick odziedziczycie to, co zostało z długiej spuścizny mojej rodziny. Niech Księga napisze nową przyszłość dla naszych rodzajów.

Kiedy to się stało, Saqri odeszła.

\*\*\*

Barrick budził się powoli, osłabiony i obolały, jakby go pobito. Dookoła krzatali się Qarowie, którzy śpiewając, przygotowywali ciało Saqri. Barrick poczołgał do pozostawionej samej sobie Qinnitan i złożył głowę na jej delikatnej piersi, by posłuchać wolnych, lecz jakże krzepiących uderzeń jej serca. Kiedy usiadł, zobaczył nad jej czołem słabe srebrzyste migotanie, a głosy Ognistego Kwiatu w jego wnętrzu zawibrowały przyjaźnie niczym czule trącona struna. Kiedy wreszcie

dźwignął się na nogi, stał niepewnie, tak że wszyscy dookoła spoglądali na niego z niepokojem.

– Przygotujcie wóz dla ciała królowej Saqri – powiedział. – Zabierzemy ją z powrotem do Qul-na-Qar, by mogła spocząć obok swoich przodków i by poddani mogli ją opłakać, tak jak na to zasługuje.

– A dziewczyna? – zapytała jedna z uzdrowicielek.

– Ubierzcie ją w szatę panny młodej – odrzekł. – Ona żyje, ale śpi. Także uda się do Qul-na-Qar. Widzicie, jak jarzy się w niej światło Ognistego Kwiatu? Ona jest wszystkim, co pozostało po Saqri i jej przodkiniach. Opiekujcie się nią. Niech... niech jej będzie wygodnie. – Przez chwilę nie był w stanie powiedzieć nic więcej. – Jest moją wybranką.

## Dwie łodzie

*Zrozpaczona bogini udała się do swojego ojca  
Perina i wuja Erivora, by prosić ich o  
interwencję... Lecz pozostali dwaj bracia  
zgodzili się, że Pan Ziemi nie zrobił niczego  
złego i że Sierota nie może powrócić do życia,  
ponieważ Zorii nie udało się go wyprowadzić.*

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

Teraz jest to miasto popękanych kamieni i jedwabnych namiotów odrobina piękna wśród ruin. I cóż to za piękno! Ferras Vansen nie zachwycał się bardzo wszystkim, co nowe i nieznane, ale z drugiej strony już i tak wypadł ze świata, który znał. Nie było powrotu: to, co niemożliwe, stało się jego życiodajnymi sokami i wydawało się kipieć w nim niczym morska piana. Czy naprawdę myśli tak, jak powiedziała. Oczywiście, ty głupcze. Jej usta i ramiona, kiedy się do ciebie przytuliła, pokazały, że nie kłamie! Ale czy zrobiłoby jakąś różnicę, gdyby zestawić to z twardymi faktami?

– Na Młot Perina, Dab, dlaczego na murach nie ma łuczników? – Jego dobry nastrój prysł w jednej chwili ścięty strachem. Ochrona Briony stała się dla niego niemożliwie ciężkim obowiązkiem. – Co ci ludzie tam na górze robią, jeśli południowcy coś knują? Naplują na nich! W naszych rękach spoczywa życie jedynej córki króla!

– Łucznicy już idą, kapitanie Vansen – zapewnił go Dawley. – Dziesięciu kertskich łuczników, wyborowi strzelcy. Będą tu zgodnie z twoim rozkazem.

– Wolalbym, żebyś powiedział „dziesięciu łuczników z Dale”. – Vansen otarł czoło dłonią. Bardzo się bał, że coś pójdzie nie tak właśnie w chwili, kiedy szczęście, które wydawało mu się nieosiągalne, znalazło się w zasięgu ręki. – Zawiadomcie mnie, kiedy przybędą. – Kapitan się rozejrzył. Świeżo wzniesiony pawilon zajmował znaczną część

przeźreni przed Bramą Bazyliżkowaną; z grobli od strony zamku pozostała niemal tylko droga prowadząca skalistym zboczem. W rzeczywistości Vansen nie wierzył, żeby południowcy planowali jakiś podstęp, nie teraz, kiedy towarzyszy im nowy monarcha, ale był przekonany, że mogliby zrobić coś aroganckiego lub głupiego. Jak mawiał Donal Murroy: lepiej dmuchać na zimne.

\*\*\*

Wreszcie się wypogodziło i od morza wiał ciepły wiatr, dlatego zaczęto zwijać zasłony pawilonu. Briony przybyła z pozostałą częścią straży, a towarzyszył jej książę Eneas, który zabrał niewielki oddział swoich ludzi, „Świątynnych Psów”, jak ich nazywał. Ferras Vansen uznał, że to przesadnie chępliwa nazwa dla jeszcze jednej grupy żołnierzy. Nie pochwalał syańskiego zwyczaju nadawania samochwalcznych przydomków.

Podszedł do księżniczki Briony, skłonił głowę i powiedział:

– Straże są na miejscach, Wasza Wysokość. Będiesz tu tak bezpieczna jak to tylko możliwe.

Kiedy usłyszał jej śmiech, podniósł wzrok, zaalarmowany i przerażony, że ujrzy jej kpiącą minę, lecz pochwycił życzliwe spojrzenie księżniczki.

– Kapitanie Vansen, będziemy musieli wrócić do sprawy twojego awansu, bo jeśli pozostaniesz w straży królewskiej, wyczerpiesz wszystkie środki przeznaczone na ochronę. Widzę tu chyba co najmniej trzy penturie!

Poczuł, że się czerwieni, i zaklął pod nosem.

– Wasza Wysokość jest sercem królestwa. Zbyt wiele przeszłaś, byśmy teraz ryzykowali.

– On ma rację, księżniczko – rzekł Eneas z lekkim akcentem mieszkańca środkowych krajów.

Vansen bardzo się starał nie znieawidzić tego człowieka. Z tego, co słyszał, syański książę był człowiekiem honoru i odważnym żołnierzem, a był też dżentelmenem i prawdziwym przyjacielem Briony; gdyby Vansen nie obawiał się go tak bardzo, może zapragnąłby go poznać

bliżej. Lecz Eneasza posiadał wszelkie prawa do poślubienia Briony, podczas gdy on sam nie miał żadnego, bez względu na to, co księżniczka do niego czuła. Nawet teraz, kiedy sercem był bliżej niej niż kiedykolwiek. Vansen się domyślał, że Briony pójdzie za głosem rozsądku – co będzie jedynym sensownym posunięciem – i poślubi księcia Syanu.

A wtedy będę musiał opuścić miejsce, które kocham, jak również jedyną kobietę, której pożądam. Starał się odpędzić takie myśli, żeby się nie użalać nad sobą. Bo co innego mógłbym zrobić? Jestem żołnierzem, ona jest moją królową... nie dla mnie takie zaszczyty. Przynajmniej znowu czuję słońce i wiatr...

Ile czasu spędził w upiornym zmierzchu czy w strasznych kamiennych podziemiach? W minionym roku tak długo nie widział nieba i słońca, że zapomniał, jak prostą przyjemnością jest jego ciepło odczuwane na skórze, jak urzeka słonawy zapach morskiego powietrza, który dla chłopca z odległych wzgórz wciąż był czymś magicznym, zawsze obecnym w opowieściach ojca.

Pewnie za tym tęsknił, pomyślał Vansen. Z pewnością tęsknił za morzem i domem, kiedy je zostawił. Przyszła mu do głowy jeszcze inna myśl, ale wydobywał ją ostrożnie z zakamarków umysłu, by właściwie ją sformułować. Co więcej, musiał też bardzo kochać swoją matkę, skoro to wszystko porzucił.

– Statek! – zawołał ktoś z muru.

Vansen odwrócił się i zobaczył niedużą jednostkę podskakującą na falach, zmierzającą w ich kierunku, napędzaną rzędami wiosł po obu burtach podobnych do nóg wodnego chrząszcza. Statek mienił się xiskimi barwami, a na dziobie widniał wyrzeźbiony sokół z rozpostartymi skrzydłami, jakby próbował unieść cały statek i z nim odlecieć.

Dobry symbol, pomyślał Vansen i poczuł zadowolenie. Sądził, że mają dość sił, by wziąć sobie stąd, co tylko zechcą, ale nie docenili woli walki mieszkańców Marchii... a zwłaszcza odwagi Funderlingów. I oto teraz przychodzą do nas z pokorą.

Kiedy statek wciągnięto do prowizorycznego doku, wybudowanego z ostatnich kamieni, jakie pozostały z grobli, z pokładu zeszli xiscy



żołnierze w płaszczach z lamparciej skóry i ustawili się po obu stronach grobli, a zaraz za nimi pojawiła się postać w ozdobnej ceremonialnej szacie. Kiedy chudy stary osobnik szedł powoli, wsparty na ramieniu młodego sługi, żołnierze, którzy pozostali na pokładzie, zaczęli opuszczać dużą lektykę.

Starzec dotarł już do pawilonu, w którym siedziała Briony, a obok niej stał czujny Eneasz. Książę Syanu już tak bardzo wyglądał na przystojnego męża królowej, że Vansen chętnie zobaczyłby strzałę wbita w jego pierś. Południowiec wykonał skomplikowany ukłon, który nie całkiem wyrażał upokorzenie. A potem przemówił zgrzytliwie młody służący, zacinął się często, co wskazywało na to, że kazano mu nauczyć się na pamięć tekstu.

– Przedstawiam Jego Wielegodność... Jego Czcigodność, Mądrego Starszego, Pierwszego mis... ministra Pinimmona Vasha.

– Jesteś wśród nas bezpieczny, ministrze – zwróciła się do starca Briony. – Jak i wszyscy, którzy z tobą przybywają.

Pierwszy minister złożył dłonie i jeszcze raz się ukłonił.

– Jesteś zbyt łaskawa, Wasza Wysokość. Zanim zaczniemy formalne rozmowy, czy wolno mi skorzystać z tej chwili i wyrazić najgłębszy smutek z powodu śmierci twego ojca? Miałem okazję dobrze go poznać w ostatnich miesiącach, powiedziałbym wręcz, żeśmy się zaprzyjaźnili...

– Zaprzyjaźnili? – Głos Briony stracił łagodność. – Twój pan zabił mojego ojca, ministrze. Czy to nie hipokryzja udawać teraz smutek?

– Mój smutek nie jest udawany, Wasza Wysokość – odpowiedział starzec ze spokojem doświadczonego dworzanina. – Ale my przecież pragniemy mówić o moim zmarłym... panu.

– My?

– Mój obecny monarcha... i ja. Błagam o twoją wyrozumiałość. Autarcha Prusus ma pewne słabości, które nie pozwalają mu mówić wyraźnie. Mamy nadzieję, że pozwolisz łaskawie, bym mu asystował.

– A skąd wiemy, że po prostu nie powiesz nam tego, co zechcesz, i że to nie ty jesteś prawdziwym władcą Xis? – zapytał Eneasz.

– Och, mój pan włada waszym językiem – zapewnił starzec. – Jest uczonym. Lecz mówienie sprawia mu trudność. – Po tych słowach Vash odwrócił się i klasnął w dłonie.

Przyniesiono lektykę i postawiono przed wejściem do pawilonu. Kiedy rozsunięto zasłony, nawet Briony nie całkiem potrafiła ukryć zdziwienie.

Nowy autarcha był... kaleką, a przynajmniej tak się wydawało, siedział zaśliniony, a głowa kołysała mu się z boku na bok. Nawet jego kończyny były jakby niechętne temu, by władał nimi ktoś taki, i poruszały się tak, jakby próbowały nieporadnie oddzielić się od tułowia.

– Wybacz, ministrze, ale co to ma być? – spytał Eneasz. – To jakiś żart czy sztuczka?

– Proszę, Wasza Wysokość – rzekła Briony. – Nie spiesz się z wyrokami. Autarcho Prususie, czy mnie rozumiesz?

Mężczyzna w lektyce odpowiedział skinieniem głowy, na które składały się liczne drgnięcia i kiwnięcia.

– Naprawdę władasz naszym językiem?

Z ust autarchy popłynął ciąg wyjąkanych słów. Vansen nawet jedno zrozumiał

– ...godności.

– Mówi, że władza waszym językiem i że przeprasza – rzekł Vash. – Złocisty mówi, że bogowie dali mu więcej rozumu niż godności.

Briony odpowiedziała chłodnym uśmiechem.

– W takim razie nie pasowałyby do większości dworów, gdzie jest raczej odwrotnie, ale wejdź do naszego namiotu i porozmawiajmy. Nie ma w moim sercu przebaczenia dla Xis, ale też nie chcę dalszej wojny, jeśli da się tego uniknąć.

– Proszę, księżniczko Briony, to za namową twojego ojca zbliżyłem się z Prususem – rzekł stary Vash. – Tylko on zdawał sobie sprawę z pozorów zewnętrznej niemocy skotarchy i uświadomił mi to. Dlatego w końcu udało mi się znaleźć kilku sprzyjających mi ludzi, którzy ponieśli skotarchę, i uciekliśmy. Dzięki temu nie zginęliśmy w podziemiach twojego zamku. Uratowała nas mądrość twego ojca.

– Nie próbuj zjednać mnie pochlebstwami na temat ojca walczącego o życie, które twój pan i tak mu odebrał. – Vansen widział, że Briony bardzo się stara zachować spokój. Bardziej niż czegokolwiek innego zapragnął położyć dłoń na jej dłoni, by wiedziała, że nie jest sama, ale oczywiście nie mógł tego zrobić. – Z tego, co o was słyszałam, sędzę że

szkoda czasu na negocjacje. Gdy tylko wrócicie do swojego kraju, ten człowiek... – pokazała na nowego autarchę, który przy pomocy służącego popijał rozcieńczone wino – ...zostanie zastąpiony przez innego członka waszej szalonej królewskiej rodziny. Dlaczego więc nie miałabym kazać wam po prostu wracać łądem przez Eion i pozwolić, by sprawy potoczyły się własnym biegiem? – Tym razem jej uśmiech był jeszcze zimniejszy. – Sądzę, że nie byłby to dla was najszcześniejszy czas, gdybyście musieli wędrować przez Syan i Hierosol.

Vash skinął głową, ale widać było, że i on jest poirytowany.

– Tak i zginęłoby więcej niewinnych ludzi. A nie mam na myśli naszych żołnierzy, Wasza Wysokość. Najechaliśmy was... czy też zmusił nas do tego nasz poprzedni autarcha. I w zwykłych okolicznościach miałabyś rację: Prusus rządziłby krótko, zanim wybrano by nowego władcę. Lecz mamy lepszy plan. Nasze stare prawo mówi, że skotarcha rządzi do momentu wyboru następcy. Jeśli jednak autarcha nie umarł, a jest po prostu nieobecny, sukcesor może zostać wybrany dopiero po pięciu latach. – Vash uśmiechnął się. Pomimo sędziwego wieku miał uśmiech pewnego siebie mężczyzny. – W ciągu pięciu lat zdołamy wiele zrobić, jak sądzę. Wiele zmienić z tego, co nam się nie podoba w naszym kraju. Przede wszystkim, jeśli pozwolisz nam odejść bezpiecznie, wycofamy naszą armię także z Hierosolu.

– Naprawdę? – zapytał Eneas, nie ukrywając sceptycyzmu. – Dlaczego mielibyście to zrobić?

Nieoczekiwanie odezwał się Prusus. Vansen rozumiał pojedyncze słowa, lecz cała wypowiedź przypominała zwierzęce odgłosy.

– Mówi tak: „Ponieważ podbój jest drogi, a jeszcze droższa jego kontynuacja” –przetłumaczył starzec. – Xis nadmiernie poszerzyło swoje granice i nadwreżyło środki. Mamy dość zachodu z naszym imperium w Xandzie. Ta przygoda na północy była obsesją Sulepisa. Wszystko temu podporządkował. – Vash skłonił głowę. – Lecz Prusus mówi, że on, jako człowiek ułomny, nie ma złudzeń i wie, że raczej nie nadaje się na boga. Uważa natomiast, że może być niezłym monarchą tak długo, jak długo bogowie pozwolą mu rządzić.

– Obiecujesz? – zapytała Briony, patrząc na Prususa, a nie na Vasha.  
– Jeśli pozwolimy wam odpłynąć – a wy zapłacicie za statki i wszystko, co się na nich znajduje – to wycofasz wszystkie siły z Eionu?

Głowa Prususa kiwnęła się kilkakrotnie, zanim zdołał coś powiedzieć. Trudno było zrozumieć jego słowa, ale nie było to niemożliwe.

– Taa... Ohb... hie... cuje...

– Możesz razem z ministrem Vashem wrócić do waszego obozu na wzgórzach. Muszę pomówić z księciem Eneaszem i moimi doradcami.

\*\*\*

– Jestem skłonna im zaufać nie dlatego, że wierzę we wszystko, co mówią – Vash z pewnością ma duże doświadczenie w manipulowaniu – ale dlatego, że nie widzę innej możliwości. – Kiedy zostali sami, zdjęła nakrycie głowy. Jej czoło lśniło kropelkami potu.

Vansen się zorientował, że się na nią gapi.

– Nie podoba mi się to, Briony – rzekł Eneasze. – Nie rób tego. Myślę, że to błąd.

Posłała księciu pełne irytacji spojrzenie, co sprawiło, że Vansen poczuł się przeszczęśliwy.

– Jestem ci wdzięczna za radę, Eneaszu, ale pamiętaj, proszę, że to nasza ziemia, i choć nigdy nie będę w stanie odwdziżyć ci się za to, co zrobiłeś dla mnie i moich ludzi, to wciąż jestem tu panią, nawet jeśli nie noszę korony.

Naprawdę się zmieniła, pomyślał Vansen. Już się nie obraża o byle co. Zostało w niej to, co słuszne i konieczne... jak przystało królowej.

Briony zmarszczyła brwi.

– Co innego możemy zrobić? Uwięzić ich wszystkich? Stracić...?

W tym momencie pojawił się zdyszany strażnik. Nachylił się i przekazał szeptem wiadomość Vansenowi, ten zaś natychmiast wystąpił do przodu.

– Księżniczko – powiedział – moi ludzie donoszą, że płynie tu statek, ale nie z miasta, lecz z drugiego brzegu zatoki, od strony Oscastle...

– Nie widzę w tym nic dziwnego, kapitanie Vansen. Chyba że to okręt wojenny.

– Nie, ale...–Nie wiedział, co powiedzieć. Może sama powinnaś zobaczyć.

Szybko ponownie zwinięto ściany pawilonu i odsłonięto błękitne niebo i zielone wody zatoki. Bez wątpienia był to statek z Marrinswalk, jednomasztowy kog, jakich używano, kiedy trzeba było szybko przekazać wieści, lecz uwagę Vansena zwróciły trzy flagi nad pokładem. Na jednej widniała sowa książęcej rodziny z Marrinswalk, druga miała czarno-srebrny emblemat rodu Eddonów i tylko trzeciego proporca kapitan nie potrafił rozpoznać.

– Na bogów! – zawołał Steffens Nynor. Miał zwichrzony włos z powodu wypitego wina i upału. – Wywiesili bojowy proporzec naczelnego wodza Marchii Południowej. A przecież my nie mamy naczelnego wodza. Już od...

– Nic nie mów. Nie kuś bogów do okrucieństwa albo podstępu.

Statek rzucił kotwicę w pewnej odległości od brzegu i zaraz szalupa podpłynęła do grobli i zatrzymała się po przeciwnej stronie xiskiego statku, który właśnie podpływał. Jakby naśladując delegację z południa, także z tej łodzi wysiadł ktoś w ciemnym podróżnym ubraniu i kapeluszu z szerokim rondem; mężczyzna siedzący na dziobie miał skórę ciemniejszą niż Pinimmon Vash.

– Och, litościwa Zorio, czy to naprawdę Dawet? – zapytała Briony. Wstała i pomachała do przybysza. – Mistrzu dan-Faar, to ty?

Przybysz odmachął z końca grobli, lecz Vansenowi się wydało, że zaraz się pohamował. Czarnoskóry mężczyzna wysiadł z łodzi, zanim ją przywiązano, i poszedł drogą do pawilonu.

Briony klasnęła w dłonie.

– Jakże się cieszę, że do nas przybyłeś! – zawołała. – Bałam się, że coś ci się stało, że nie zobaczysz pomyślnego zakończenia naszych wspólnych poczynań w Syanie.

Człowiek, którego Vansen ostatnio widział w roli posła Ludisa Drakavy, wszedł po drewnianych stopniach, skłonił głowę i ucałował dłoń Briony.

– Cieszę się, że widzę cię znowu na tronie, księżniczko. – Po tych słowach odwrócił się i przywitał księcia ukłonem. – Wasza Książęca Mość.

Eneas i Ferras Vansen spojrzeli po sobie, niezadowoleni z wizyty przystojnego przybysza i radosnego powitania Briony.

– Ale dlaczego przybywasz pod sztandarem naczelnego wodza, mistrzu dan-Faar? – zapytała Briony. – Czyżbyś chciał się ubiegać o ten urząd? – Roześmiała się, lecz spojrzała na gościa niepewnie. – I skąd ten czarny strój? Coś się stało?

Dawet wciąż klęczał, jakby był zbyt zmęczony, by się podnieść. Wyjął spod płaszcza złożony pergamin i podał Briony.

– Proszę, księżniczko. To dla ciebie.

Widząc, jak Briony drgnęła na widok listu, Vansen miał ochotę przyskoczyć i wyrwać go jej z ręki, lecz wiedział, że nie może tego zrobić. Księżniczka złamała pieczęć i rozłożyła arkusz na kolanach. Czytała przez chwilę, lecz zaraz oddała list dan-Faarowi, a sama zamrugnęła gwałtownie, powstrzymując łzy.

– Nie mogę... – Pokręciła głową. – Czytaj, proszę.

\*\*\*

*Do księżniczki Briony od jej przyjaciółki i poddanej, Idite Ela-dan-Mozan*

*Witaj.*

*W noc pożaru udało nam się wydostać z domu mego męża wielkiego człowieka Shasa dan-Hezę, niech Wielka Matka ich prowadzi i strzeże w ich podróżach. Shaso odniósł liczne rany w walce z tymi, którzy podłożyli ogień, umożliwiając ucieczkę kobietom, dzieciom i innym, ale przeżył na tyle długo, by spytać o twoje bezpieczeństwo. Kiedy powiedzieliśmy mu, że nigdzie cię nie ma, ale i cię nie złapano, sprawiał wrażenie zadowolonego i zmarł, nie powiedziawszy nic więcej. Shaso był człowiekiem wielkiego honoru i mądrości. Tuan i Marchia Południowa posmutniały po jego stracie...*

Dawet opuścił pergamin i odwrócił się do Briony.

– Oddaję Marchii Południowej wielkiego człowieka, pani, dlatego na moim statku powiewa jego proporzec. Wdziałem ten strój, ponieważ przywożę jego prochy. – Opuścił głowę. – Księżniczko, przybywam, by potwierdzić to, co dotąd było tylko smutnym domysłem. Shaso dan-Heza nie żyje.

\*\*\*

– Czy aby na pewno wolno nam tu być? – zapytała po raz kolejny Opal. Nie przekonywała jej nawet obecność powściągliwego brata Antymona. Wieża Letnia, usytuowana w samym sercu zamku, nie była miejscem, w którym większość Funderlingów czułaby się swobodnie, mimo że ich przodkowie pomagali ją zbudować.

– Duzi mają dług wobec Dachowców – rzekł brat Antymon. – Nic sędzę, żeby zabronili im korzystać z opuszczonej wieży.

– Ciesz się, że tak jest – zwrócił się Rogowiec do żony, gdy mijali kolejny zamknięty pokój. – Kiedy ja ich odwiedziłem, musiałem wdrapywać się na dach.

– Ty? W twoim wieku? Co ty sobie wyobrażałeś?

– Na rysę i przełam, kobieto, nie jestem aż tak stary.

Udawał oburzonego, ale wiedział, że Opal nie miała nic złego na myśli i, podobnie jak on, próbuje odnaleźć się w świecie, który przewrócił się do góry nogami. Miasto Funderlingów przypominało dom wariatów; do niektórych jego części Cech wciąż nie pozwalał wchodzić i patrolowały je strażę dużych w poszukiwaniu ludzi Durstina Crowela. Prawie w każdym domu był ktoś, kto na własnej skórze doświadczył wojny, pozostało też wielu rannych, nie wspominając o mnichach, którzy stracili nie tylko Tajemnice, ale i swój dom, świątynię, a to głównie za sprawą Rogowca. I choć wielu mieszkańców przyznało, że zatopienie głębi było heroicznym czynem, który zapewne uratował im wszystkim życie, to bardziej konserwatywni członkowie społeczności odnosili się z pogardą do Rogowca, Antymona i inżynierów, którzy przeprowadzili całą operację, a wielu spośród Braci Metamorficznych oświadczyło wręcz, że nigdy nie wybaczą Rogowcowi Liderytowi, że – w ich mniemaniu – im wszystko odebrał.

– Tutaj – powiedział Rogowiec, gdy dotarli na samą górę. Otworzył drzwi. – Najwyższe piętro.

Opal weszła pierwsza.

– Och – jęknęła cichutko. – Spójrz, ilu ich tu...!

\*\*\*

Przyjdzie nam wziąć udział jeszcze w niejednej takiej uroczystości, pomyślał Rogowiec. Pogrzeby i smutne spotkania ku czci poległych. Teraz jednak uznał, że to, co widzą, przypomina jakiś memoriał Funderlingów, oglądany z ostatniej ławki w ratuszu: malutkie postacie wychodziły i odgrywały swoje role, lecz on i Opal prawie ich nie słyszeli i musieli się domyślać, co one mówią i robią. Nigdzie nie widział trumny ani wizerunku Pędzika Łucznika, ale piskliwe głosy Dachowców brzmiały poważnie, a ich postawa była przepełniona smutkiem. Rogowiec nie miał wątpliwości, że jego przyjaciel cieszył się miłością swoich ziomków, i gdy tylko zdał sobie z tego sprawę, zrozumiał też, że już nigdy nie zobaczy malutkiej przyjaznej twarzy Pędzika. Nigdy się nie dowiedział, czy mały zwiadowca miał żonę albo dzieci, tak więc nie mógł powiedzieć, że był z nim bardzo zżyty, ale przeżyli razem takie przygody, o jakich innym nawet się nie śniło.

Rogowiec zorientował się, że ociera oczy rękawem, by ukryć łzy przed Antymonem i Opal. Z tego powodu nie zauważył królowej Dachowców, która wyszła na środek pustego kominka, ale usłyszał malutkie muszlowe trąbki zwiastujące jej nadejście i szybko ostatni raz otarł twarz.

Była mniejsza niż lalka, ubrana w śliczną suknię ze sztywnego lśniącego materiału wyszywaną koralikami tak malutkimi, że Rogowiec z trudem je dostrzegał. Stojąca obok niego Opal wstrzymała oddech.

– Ojej – wyszeptała – ależ ona jest ładna!

– To królowa – odpowiedział szeptem jej mąż.

– Sądzisz, że się nie domyśliłam, stary głupcze?

– Jej Najpodstępniejsza i Niezmieszana Wysokość Upsteeplebat królowa! – oznajmił herold wielkości igły do cerowania i zagrał na swojej muszelnikowej trąbce.



– Upsteeplebat? – zdziwiła się Opal. – A cóż to za imię?

– Ciii.

Królowa spojrzała ku wyżynom pokoju – a przynajmniej tak to musiało wyglądać z jej pozycji – gdzie widniały twarze trzech ogromnych gości, podobne do trzech księżyców na niebie. Skinęła głową, co mogło oznaczać zadowolenie z ich przybycia, lecz swoje słowa skierowała do zebranych żałobników.

– Nie przychodzę tu, by opłakiwać śmierć Pędzika Łuczniaka, dowódcy moich Ryniennych Zwiadowców – zaczęła zaskakująco donośnym, wysokim głosem – ponieważ wiemy, że jest on z Dłonią Nieba wśród wyżyn nad wyżynami, a na tym poddaszu rozkoszy nie ma smutku ani bólu.

Staję przed wami, by wyznać, że będzie nam go brakowało, jako że darzyliśmy go wielką miłością – tak jak on kochał swój rodzaj i swój naród, od czubka Żelaznej Igły po głębie przerażającej ziemi, od Wielkiej Boazerii po pola Południowych Dachów, na których pasą się nasze podniebne wierzchowce. Pędzik złożył największy dar, żeby to wszystko mogło przetrwać i byśmy mogli patrzeć, jak nasz naród rozkwita w święcie, który tak często wystawia nas na próbę, ale jest jedynym, jaki został dany nam, żyjącym...

– Cudownie przemawia – wyszeptał Antymon.

– Jest królową – rzekł Rogowiec. – Godna podziwu osoba.

Opal obdarzyła go spojrzeniem, którego nie pochwycił, ale wyczuł.

– Godna podziwu, tak?

– Jest ich królową, do tego bardzo dobrą, tylko to chciałem powiedzieć!

– Nie dość, że jesteś irytującym starym kundlem, który lubi się włóczyć – rzuciła Opal z cichą stanowczością w głosie – to jeszcze oglądasz się za kobietami nie większymi niż niemowlęca grzechotka!

– Och, przestań! – Bał się, że ich głosy niosą się dalej, niż przypuszczają, wśród tych małych istot obdarzonych doskonałym słuchem. – To bzdura, kobieto. Dobrze o tym wiesz.

Opal prychnęła, ale już nic nie powiedziała.

– ...on zaś zgodził się bez chwili wahania po tym wszystkim, co już zrobił dla swojego ludu i królowej. – Upsteeplebat wciąż wychwalała

zalety Pędzika. – Niechaj ci, którzy dzisiaj są dziećmi, spojrzą na jego przykład, najlepszy, jaki można sobie wyobrazić.

Na wspomnienie dzieci Rogowiec jeszcze bardziej posmutniał. Wiedział, że Opal tak naprawdę się na niego nie gniewa i nie wierzy, że mógłby coś czuć do malutkiej królowej Dachowców. Była zła na niego za to, że pozwolił Krzemieniowi odejść, a jeszcze bardziej złościła się na samą siebie. Ta ceremonia bez wątpienia przypomniała jej dzień zniknięcia chłopca i że ostatnio go widziano, jak pomagał Pędzikowi w dramatycznej ucieczce i misji dostarczenia Antymonowi astionu, i że wkrótce potem wszystko tam, także miejsce, w którym przebywał Krzemień, zostało zalane przez nieubłaganą wodę. Na powierzchnię Słonego Stawu wciąż wypływały ciała Funderlingów, południowców i Qarów. Rogowiec się domyślał, że Opal sądzi, iż Krzemień podzielił los wielu innych, że w końcu przyjdą ludzie z nabrzmiałym ciałem złożonym na marach.

Już nie słyszał, co mówi królowa Dachowców, owładnięty smutnymi myślami, i tak dotrwał do końca ceremonii.

\*\*\*

Malutki człowieczek z trąbką stał u stóp Rogowca i krzyczał na cały głos:

– Jej królewska Mość pragnie z tobą porozmawiać, Rogowcu Liderycie.

Antymon poklepał go po plecach.

– Idź. Zaczekam na ciebie na schodach. Boję się, że tu kogoś rozdepczę.

– Nie flirtuj za długo, staruszkule – dodała żona. – Mamy w domu dużo roboty.

– Jak to? – zdumiał się Rogowiec. – Opal, musisz poznać królową. To zaszczyt. Ile królowych dotąd poznałaś?

– Naprawdę? Ale nie jestem ubrana...

– Na bogów surowej ziemi, kobieto, cały ranek sprawdzałaś, czy jesteś stosownie ubrana. Chodź, Pędzik był moim przyjacielem i... pomógł uratować Krzemienia.

Twarz jego żony przybrała tak nieszczęśliwy wyraz, że Rogowiec pożałował, iż w ogóle się odzywał, ale nie mógł już cofnąć tych słów. Wziął Opal pod ramię i poprowadził, stawiając ostrożnie kroki, by dać gospodarzom dość czasu na usunięcie się z drogi.

Królowa Upsteeplebat, usadowiona na grzbiecie osiodłanej gołębicy, czekała na nich z wyrazem spokoju na twarzy, podobna do małej, acz wymyślnej rzeźby. Kiedy Rogowiec i Opal podeszli, przebierając ostrożnie nogami, powoli opadli na kolana, by mogli lepiej widzieć królową.

– Miło, że przyszedłeś, Rogowcu Liderycie – rzekła królowa. – A to pewnie jest twoja żona, lady Opal. – Skinęła głową. – Słyszeliśmy o pani wiele dobrego od Krzemienia i Rogowca. I tobie dziękuję za przybycie. Pędzik Łucznik wiele dla nas znaczył. – Pokręciła głową. – Nigdy go nie zapomnimy i nikt go nie zastąpi.

Ku zaskoczeniu i radości Rogowca Opal była wyraźnie oczarowana miniaturową królową.

– Jesteś zbyt łaskawa, Wasza Królewska Mość. Ja także bardzo lubiłam Pędzika. Cudowny ma... cudowny człowiek. Tyleśmy stracili w tej wojnie. Co za straszne czasy!

Słuchając rozmowy żony i królowej, Rogowiec kątem oka dostrzegł Antymona, który stał w drzwiach sanktuarium Dachowców i kiwał na niego, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę. Ostrożnie wycofał się do drzwi.

– Chodź tu. – Oblicze Antymona nie zdradzało żadnych uczuć.

– O co chodzi?

– I przyprowadź swoją żonę, Rogowcu.

Wrócił do królowej i przeprosił ją, ona zaś, wcale nieobrażona ani urażona, pożegnała się z Opal.

– Co się stało? – zapytała żona. – Chciałeś, żebym poznała królową, a kiedy już nawiązała się między nami niemal przyjacielska rozmowa, ciągniesz mnie za sobą, jakbym była... – Zatrzymała się na progu, patrząc nad ramieniem Antymona na coś, czego Rogowiec nie widział.

– Och! – zdumiała się. – Och! – I zaraz popędziła przed siebie. – Chwalić Starszych! – zawołała. – Och, chodź i zobacz!

To był Krzemień, oczywiście – Rogowiec domyślił się z tonu żony. Kiedy Opal uściskała chłopaka i wtarła łzy w jego barki i kark – zdawało się, że w ostatnich dniach ich przybrany syn jeszcze urósł – Krzemień posłał Rogowcowi spojrzenie, które wyrażało rozbawienie i zażenowanie.

– Ależ, mamO Opal, nic mi nie jest – powiedział, kiedy kobieta, nie przestając płakać, dotknęła jego twarzy. – Mówiłem, że się zobaczymy. Nie przekazali ci?

Opal zaśmiała się przez łzy.

– Patrzcież no tylko. Ja tu się zamartwiam i pół świata mi się zawaliło, a on wyrósł jak spod ziemi!

Rogowiec objął ich oboje, trochę sztywno. Chłopak przewyższał go już o głowę, lecz wciąż się wydawało, że nie może liczyć więcej niż dziewięć wiosen.

– Nie powinieneś tak martwić matki, chłopcze. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się podziewasz...

– Chodź do domu – rzekła Opal. – Chodź do domu, a ja przygotuję twoje ulubione danie, potrawkę z namułki. Och, Rogowcu, zabierzmy go do domu.

Funderling spojrzał na brata Antymona i zobaczył niepokój czy też troskę na jego twarzy. Kiedy chłopiec zaczął schodzić po schodach, nieustannie atakowany przez Opal, która próbowała go obejmować albo trzymać za ręce, tak że w którymś momencie oboje omal nie spadli, Rogowiec zwolnił, aż zrównał się z mnichem.

– Skąd ta troska? – zapytał, siląc się na pogodny ton.

– Och, nic takiego – odrzekł Antymon. – Martwi mnie tylko, że pech kazał mi zostawić Pędzika i zanieść Nikła w bezpieczne miejsce... tego... – Rozejrzał się, jakby się spodziewał, że poplecznicy brata Nikła czają się w pobliżu, na najwyższych piętrach Wieży Letniej – ...tego nędznego zarozumialca. Jak szkoda, że straciliśmy Pędzika zamiast niego!

– Plany Starszych nie zawsze są jasne – powiedział Rogowiec.

– Z drugiej strony myślałem o tym, skąd Krzemień wiedział, gdzie się znaleźć, w którym miejscu! Ze wszystkich tuneli Tajemnic wybrał dokładnie ten, którym leciał Pędzik i gdzie dopadła go sowa... –

Antymon pokręcił głową. – Nad tym się zastanawiałem, a także nad tym, jak zniknął i skąd taki zwykły chłopak wiedział takie rzeczy... a potem nagle znowu się pojawia! Stał przede mną na schodach jak... jak... wyczarowany.

Rogowiec poczuł dreszcz – nie pierwszy raz, gdy chodziło o ich przybranego syna.

– Musimy się do tego przyzwyczaić. Chłopak... chłopak nie jest taki jak inne dzieci.

Antymon zaśmiał się niemal gniewnie.

– Jesteś mądrym człowiekiem, Rogowcu Liderycie, ale teraz nie powiedziałaś nic specjalnie mądrego. Chłopak jest całkiem inny, niż zazwyczaj są dzieci!

– Rogowcu! – zawołała Opal. – Słyszałeś, co powiedział Krzemień? Masz zaproszenie na audiencję u księżniczki, a ja idę z tobą!

– Co takiego? Krzemieniu, o czym ty mówisz?

– Za dwa dni odbędzie się audiencja u księżniczki – odpowiedział chłopiec. – To bardzo ważne, tato Rogowcu. Musisz tam pójść.

– U księżniczki Briony? A ty skąd o tym wiesz? – zapytał Funderling. – Powiedział ci to ktoś z jej otoczenia?

– Och, nie – odrzekł Krzemień, otwierając drzwi na parterze wieży. Do wnętrza wlało się popołudniowe światło, tak że przez chwilę Rogowiec nie widział chłopca, przez co Krzemień wydał mu się jakąś nieznaną istotą. – Nie – powtórzył. – Nikt mi nie powiedział. Po prostu o tym pomyślałem.

## Kukulka w gnieździe

***Wielki Kernios oznajmił, że skoro odesłał swoją  
żonę, to potrzebuje innej i jeśli Zoria zastąpi  
Mesię, wtedy on, Kernios, pozwoli bogom  
zabrać Sierotę do niebios, by mógł tam żyć z  
nimi...***

– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach

*Do Jego Księżęcej Mości Eneasza Karalliosa, księcia Syanu i  
północnej Kracji*

*Drogi przyjacielu i protektorze,*

*wciąż pogrążona w żalobie po śmierci ukochanego ojca i strapiona  
utrata brata, chociaż on żyje i spoczywa niedaleko pokoju, w którym  
piszę ten list, podejmuję się zadania, którego unikałam przez cały dzień.  
Wolałabym jąć się najbardziej niewdzięcznych zajęć, jak sprawdzanie  
rachunków z Nynorem, co pokazuje, w jak oplakany stan znajduje się  
nasze królestwo, co było do przewidzenia, niż pisać te bolesne słowa. Ale  
robię to, ponieważ inaczej musiałabym przekazać ci je osobiście i  
oglądać potem wyraz twojej twarzy.*

*Eneaszu, nie mogę cię poślubić. Obiecałam, że rozważę twą  
propozycję, wiedząc, co mnie czeka, tu, w Zamku Marchii Południowej, i  
tak też uczyniłam, pochylilam się nad nią z wielką uwagą. Któż nie byłby  
zaszczycony tą propozycją? Co więcej, która kobieta, nawet gdyby nie  
podziwiała cię tak jak ja, byłaby na tyle głupia, by ją odrzucić?  
Spędziwszy z tobą wiele miesięcy i poznawszy twoje zalety, czuję się  
bardziej zaszczycona, niż potrafię to wyrazić słowami, lecz mimo to nie  
mogę zostać twoją żoną. Kobieta, której kiedyś dopisze szczęście i  
zasiądzie u twego boku jako królowa, kimkolwiek będzie, będzie  
największą wybranką losu wśród przedstawicielek mojej płci na całym  
Eionie.*

*Zrozum, proszę, szlachetny Eneaszu, nie ma w tobie nic, co skłoniłoby mnie do podjęcia tej decyzji, żadna niedoskonałość twojego charakteru ani uchybienie w traktowaniu mnie nie wpłynęło na moją decyzję. Byłeś wobec mnie człowiekiem honoru i otrzymywałam od ciebie więcej, niż na to zasługiwałam, i nigdy nie zdołałabym sobie na to wszystko zasłużyć, nawet gdybym poczynając od tej chwili, poświęciła na to resztę życia. Tymczasem mój kraj się o mnie upomina, mój lud mnie potrzebuje i wreszcie mój zrujnowany dom błaga o całą moją uwagę. Wiem, że gdybym cię poślubiła, nie porzuciłabym planów odbudowy Zamku Marchii Południowej i nie przestałabym myśleć o swoich poddanych, za to ty źle przysłużyłbyś się swojemu ludowi, gdybyś go opuścił, tak więc połączylibyśmy się, dzieląc. Wydaje mi się też, że za sprawą natury twojej płci i znaczenia twego kraju Marchia Południowa stałaby się placówką Syanu. Już tylko to przekonuje mnie, że nie powinnam wychodzić za innego monarchę. Widok zrujnowanego ukochanego domu rozdarł mi serce i zrozumiałam, że przede wszystkim jestem córką mojego ojca. Bardziej cenię dobro mego ludu niż własne szczęście.*

*Powiesz, że nic z tych rzeczy nie stoi na przeszkodzie naszemu małżeństwu, że to tylko obawy młodej kobiety, która wiele straciła. Możliwe, ale zasługujesz na kogoś lepszego niż narzeczona, która odda ci jedynie połowę serca. Jesteś niedoścignionym wzorem trygonackiego rycerza, drogi Eneaszu, i zasługujesz na małżonkę, która zawsze będzie trwać u twego boku i nie będzie lamentowała nad swoim zniszczonym królestwem.*

*Ale wiedz, proszę, że mam u ciebie ogromny dług. Modłę się, by cokolwiek się wydarzy, nasze kraje zawsze trwały w przyjaźni, a przede wszystkim byśmy my oboje pozostali dobrymi przyjaciółmi...*

\*\*\*

Strażnicy przyglądali mu się uważnie, lecz on nie zwracał na nich uwagi – to nie oni byli powodem jego gniewu.

Wpuściła go jedna z pokojówek, a on chodził tam i z powrotem po przedpokoj, aż wróciła i wprowadziła go do komnaty wypoczynkowej

Briony. Księżniczka pisała list; kiedy wszedł, osuszyła arkusz bibułą, zwinęła i odłożyła. Pomimo ciepłej nocy Briony miała na sobie ciężką nocną szatę, być może przez wzgląd na skromność. Pokojówki były jeszcze w ubraniach, co Ferras Vansen przyjął z zadowoleniem, mając pewien plan.

– Muszę pomówić na osobności z Jej Księżecą Mością – powiedział.

– Księżniczko, czy możesz odesłać damy? Przepraszam za to najście, ale sprawa jest niezwykle pilna.

Spojrzała na niego, próbując odczytać wyraz jego twarzy.

– Oczywiście, kapitanie Vansen. Daj im chwilę, żeby się pozbierały. Moje panie, wiem, że księżna Merolanna kładzie się późno, ponieważ ma trudności z zaśnięciem. Z pewnością znajdziecie w jej komnatach ogień i towarzystwo.

Kiedy wszystkie wyszły, dziwując się nagłemu wtargnięciu kapitana, Briony usiadła wygodnie na dużym krześle i wyciągnęła przed siebie nogi.

– Zamieniam się w słuch, kapitanie Vansen. – Pokręciła głową. – Już niedługo będę tak do ciebie się zwracać, prawda? Koronacja coraz bliżej, a wtedy będziemy nadawać wyróżnienia...

– Do licha z nimi – rzucił. – Nie obchodzą mnie zaszczyty. Wiesz o tym.

– Skąd tyle gniewu wobec mojej osoby? – zapytała. – Wczoraj patrzyłam na ciebie wielokrotnie i wciąż widziałam na twojej twarzy tylko niezadowolenie. Unikales mojego spojrzenia. – Po raz pierwszy odsoniła się trochę, a głos jej zadrżał. – Poprzedniego wieczoru ofiarowałam ci serce i usta. Skąd więc ta pogarda?

Stał przed nią, zaciskając i prostując palce.

– Pogarda? To ty nie chciałaś na mnie patrzeć! Próbowałem pochwycić twoje spojrzenie, gdy tylko przyszłaś, a ty gapiłaś się na mnie, jakbyś widziała mnie po raz pierwszy! Jakbyś dławiała się wstydem i nie potrafiła mi okazać choć tyle uprzejmości, ile okazujesz chłopcom stajennym czy staremu Zagadce!

Briony zaśmiała się, czym zupełnie go zaskoczyła.

– Zagadce! Bogowie, jesteś zazdrosny o błazna, bo pocałowałam go w czoło i dałam kilka miedziaków! Przecież on ma sto lat!



Vansen nie cierpiał, kiedy ktoś się z niego śmiał; już by wolał znaleźć się znowu w głębiach Tajemnic, duszony przez samego autarchę, niż żeby wyśmiewała się z niego kobieta, którą kochał tak bardzo, że serce mu pękało, kiedy przebywał z dala od niej.

– Drwisz sobie ze mnie, pani. Kpisz ze swojego sługi, ponieważ nie jest dla ciebie niczym więcej jak tylko sługą. Wybacz. Głupiec ze mnie, bo pomyślałem, że mógłbym być kimś więcej. – Odwrócił się i sztywnym krokiem ruszył do drzwi z głową pełną sprzecznych myśli.

– Zaczekaj.

Zatrzymał się. W końcu Briony była jego władczynią.

– Odwróć się i spójrz na mnie, kapitanie. Nie staję się tyłem do królowej.

Vansen posłuchał jej.

– Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, ale jeszcze nie jesteś królową.

Oczy miała zaczerwienione, ale wyraźnie starała się powstrzymać śmiech, co mocno skonfundowało Vansena.

– Litościwa Zorio, miałeś rację, kapitanie. Jesteś głupcem!

– W takim razie, jeśli moja pani już mnie nie potrzebuje – powiedział głośno – to może będzie tak miła i mnie zwolni...

– Bogowie w niebiosach, Ferrasie, co z tobą? – Opuściła stopy na podłogę i wstała, przyciskając ramiona do ciała. – Zwolnić cię? Naprawdę dąsas się dlatego, że nie chciałam spojrzeć na ciebie z miłością w obecności poddanych, w obecności księcia Eneasza i nowego autarchy? Czego ty chcesz, człowieku?

– Znaku. – Starał się uspokoić. Wyobraził sobie nagle wszystkie damy dworu Briony i strażników podsłuchujących pod drzwiami. – Drobnego znaku, że tamten wieczór... coś dla ciebie znaczył.

Podeszła do niego i rozłożyła ramiona.

– Coś znaczył? Och, słodkie niebosia, jak możesz tak mówić? A czy to coś znaczy? – Kiedy przyłgnęła do niego, jej szata się rozchyliła, a on poczuł ciepło całego jej ciała, od którego dzieliła go tylko cienka bawełniana nocna koszula.

Przycisnął ją do siebie i długo trzymał, aż ledwo oddychała.

– Och, bogowie, jestem ciebie głodny, Briony. Nie jestem poetą ani dworzaninem. Nigdy wcześniej nie kochałem tak jak teraz i nie znam zasad tej gry! Przestraszyłem się, ponieważ nie zobaczyłem uczucia w twoich oczach! To było jak... nie mogłem... – Wtulił twarz w jej złociste włosy, wciąż tak krótkie, że czuł na policzku gorącą skórę jej karku. – Wydało mi się, że to wszystko... było kłamstwem.

– Głupiec, kochany głupiec. Wkrótce mam zostać królową. Nie mogę zdradzać przed ludźmi swoich uczuć. Już bym nie żyła, gdybym nie potrafiła się maskować.

– Ale teraz nie ma tu nikogo – odpowiedział i uniósł jej podbródek, by móc spojrzeć w jej twarz, którą tak długo oglądał tylko we wspomnieniach, i przez chwilę wydało mu się, że to sen, lecz jej dotyk przekonał go, że jest inaczej. – Nikogo. Tylko my.

– W takim razie zobaczysz, z czego utkana jest nasza prawdziwa miłość – powiedziała i przycisnęła usta do jego ust.

\*\*\*

– Wszystko dobrze, kochana?

Poruszyła się.

– Tak. Trochę bolało. Mówią, że za pierwszym zawsze jest tak. – Uśmiechnęła się. – Teraz jesteś mój, na zawsze. Jedyne małżeństwo, jakiego będę miała kiedykolwiek, nawet jeśli nie złożymy ślubów w świątyni. Wiesz, że tak będzie?

– Tylko tak może być. – Zaczął kreślić palcem kółka na jej brzuchu, lecz zaraz poczuł, że znowu pragnie ją pocałować.

– Przestań! – Briony się zaśmiała. – Nie możemy! Pomyśl tylko o moich damach dworu, które rano będą rozpowiadać tę historię po całym zamku, jeśli nie sprowadzę ich z komnat Merolanny przed północą.

– Mówiłem im, że chodzi o ważną sprawę – powiedział. – Czy skłamałem?

Pacnęła go w głowę i przewróciła się na bok, by móc go pocałować.

– Och, Vansen, chciałabym, żeby zawsze tak było.

– Mam na imię Ferras – odpowiedział trochę nieśmiało.

– Myślisz, że nie wiem? – Znowu się zaśmiała. – Wiem o tobie wszystko, czego zdołałam się dowiedzieć. Najpierw szukałam, ponieważ uznałam cię za najgorszego człowieka na świecie. A później... no cóż, moje uczucia się zmieniły... czy też wykryzowały. – Spojrzała na niego uważnie. – Wolisz, żebym zwracała się do ciebie po imieniu?

– Nieważne, jak się do mnie zwracasz, bylebyś zawsze patrzyła na mnie tak jak teraz – odrzekł.

Przewróciła się na plecy.

– Nie mogę, wiesz o tym. Nie w obecności innych. O tym też wiesz. Proszę, powiedz, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– Chyba tak. Ale jak możesz kochać kogoś tak pospolitego, że musisz ukrywać swą miłość przed wszystkimi?

– Ach, ty głupi kapitanie! Mogłabym zrobić z ciebie szlachcica w jednej chwili. I tak uczynię, bo inaczej nie mógłbyś być moim lordem konstabłem. Ale i wtedy to, co jest między nami, będzie musiało pozostać naszą pilnie strzeżoną tajemnicą.

– W takim miejscu nic ma tajemnic. Służba i strażnicy wiedzą wszystko. – Pokręcił głową. – Mogę żyć, nie poślubiając ciebie, Briony, chociaż umrę, jeśli wyjdiesz za innego... ale dlaczego musimy kryć się z naszą miłością? Nie czujesz tego samego co ja? – Nagle spoważniał. – Przecież czujesz? To samo?

– Oczywiście, ty cudowny, wierny mężczyzno, ale nie mogę myśleć tylko o własnym szczęściu. Wszystko byłoby inaczej, gdyby żył Kendrick albo ojciec. Albo żeby chociaż Barrick nie zmienił się tak bardzo... – Potrząsnęła głową, a jej oblicze spochmurniało. – Lecz zwykłe życie nie jest tym, co daje nam Los. Muszę zachowywać dystans, a przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Udawać, że żaden mężczyzna nie zdobył mojego serca... i że każdy mógłby to zrobić, jeśli przyniosłoby to korzystny sojusz dla królestwa. Tak się prowadzi politykę. Dzięki temu nasz kraj będzie wolny od wpływów silnych sąsiadów.

– Nawet Syanu? – zapytał podejrzliwie.

Uśmiechnęła się, lecz ze smutkiem.

– Nawet Syanu. Szczególnie Syanu.

Przysunął się do niej.

– Nie rozmawiajmy już o Syanie. Pocałuj mnie.

Kiedy już się pocałowali i... nie tylko, usiadł.

– Nie odchodź – poprosiła sennym głosem. – Odwołuję to, co powiedziałam. Moje damy znajdują nocleg u Merolanny. Opowiedz mi jeszcze o tym, co widziałeś w pieczarach. Trudno mi w to wszystko uwierzyć. Naprawdę walczyłeś z bogiem?

– Nie ja, nie. I nawet nie twój brat. Ten stwór był poza naszymi możliwościami. – Pokręcił głową. – Nie chcę o tym mówić. Wszystko wciąż jest zbyt świeże.

– Trudno mi to zrozumieć. Mówić: Mój brat to, mój brat tamto, walczył z setką ludzi! Spuścił się po linie! Musi tu działać jakaś potężna magia, bo to nie jest Barrick, którego znałam, a który nie potrafił nawet ukroić sobie mięsa i zaraz ciskał przekleństwami i całą tacą!

Vansen uśmiechnął się, jakby trochę zdziwiony.

– Rzeczywiście, magia. Wydaje się, że w ciągu kilku miesięcy stał się starszy o dziesięć lat. I jego ramię jest zdrowe! Zmienił się tak bardzo, że z trudem go poznałem. Kiedy zaatakowały nas demony połykające kamienie, zginęlibyśmy, gdyby nie Barrick i Qarowie...

– Jakie demony? – Na twarzy Briony pojawił się cień niepokoju. – Połykające kamienie...? O tym nie słyszałam. Opowiedz mi.

Przyciągnął ją do siebie.

– A twoje damy i pokojówki?

– Pozwól im pobyc u Merolanny jeszcze trochę.

Opisał szczegółowo ostateczną bitwę w Labiryncie, jak wycofywali się, aż nie było już dokąd uciekać.

– Taka odwaga! – dziwiła się. – I nie tylko ciebie mam na myśli, mój najdroższy kapitanie. Ludzie Rogowca mnie zdumiewają.

– Wszystkich zdumiewają – odpowiedział. – Zdaje się, że przez lata byliśmy wobec nich niesprawiedliwi. Ale nawet oni nie potrafili nic zdziałać, kiedy pojawili się Połykacze Kamieni. Nie wiem, jak się naprawdę nazywają, było ich trzech. Każdy włożył sobie do ust kamień i wtedy... zaczęli się zmieniać... – Zawahał się, czując, jak jej ciało tężeje. – Briony?

– Jesteś pewny, że to byli mężczyźni?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Szczerze mówiąc, zobaczyłem ich dopiero, kiedy zmienili postać.

..

– Opowiedz mi o tym jeszcze raz. Opisz kamienie.

– Nie jestem niczego pewny. – Zaśmiał się nerwowo. – Na młot Perina, tam panowała prawie całkowita ciemność!

– Opowiedz wszystko, co pamiętasz! – Głos Briony nie brzmiał już tak słodko.

Vansen spełnił jej prośbę i uświadomił sobie przy tym, że przez cały czas całował nie tylko swoją ukochaną, lecz także królową.

\*\*\*

Steffens Nynor był owinięty w ciężki wełniany płaszcz, lecz miał bose stopy, które najwyraźniej mu marzły.

– Czy naprawdę musimy to robić teraz, Wasza Wysokość?

– Nauczyłam się czegoś. – Briony dała znak jednemu ze strażników, żeby zapukał do drzwi wieży. Głuche echo popłynęło w górę i ucichło. Już miała kazać mu zastukać jeszcze raz, gdy usłyszeli drżący dziecięcy głos.

– Kto tam?

– Księżniczka regentka do królowej Anissy – oznajmił strażnik.

Drzwi uchylły się na tyle, by chłopiec mógł wysunąć głowę i zerknąć na przybyszy, i zaraz otworzyły się na oścież.

– Królowa śpi! – oznajmił, jakby goście nie zdawali sobie sprawy, że jest po północy. – Jest pogrążona w żałobie – dodał, lecz strażnicy już weszli dalej, tak że został tylko z Briony, Vansenem i lordem Nynorem.

– Oczywiście – odpowiedziała Briony ze zrozumieniem. – Tak jak i ja. Widzisz moją czarną suknię?

Chłopak popędził schodami na górę, jakby się przestraszył Briony. Strażnicy pełniący wartę w komnacie przyklęknęli, lecz ona dała im znak, żeby wstali. Niektórzy spoglądali na kapitana, jakby się spodziewali, że wyjaśni im, dlaczego zwykle tak spokojna zmiana przebiega inaczej, lecz Vansen wziął przykład z Briony i zachował swoje myśli dla siebie.

Anissa i jej świta ociągali się z zejściem tak długo, że Briony już chciała posłać po nich żołnierzy, ale wreszcie usłyszała płynący z góry schodów głos królowej.

– Ale dlaczego? Dlaczego przychodzi w środku nocy? Przestraszyła mnie!

Królowa przybyła w towarzystwie kilku kobiet, a jedna z nich trzymała na rękach jej małego syna Alessandrosa.

Olin Alessandros, pomyślała Briony. Mój brat. Dziecko mojego ojca.

Widok Anissy w koszuli nocnej przywołał straszne wspomnienia ognia i żywych cieni, wspomnienia z ostatniej Wigilii Zimy, kiedy cały jej świat przewrócił się do góry nogami, lecz postarała się, by jej głos brzmiał pewnie.

– Wybacz, że nachodzę cię o tej porze, Anisso, ale coś mnie zaniepokoiło, a tylko ty możesz odpowiedzieć na moje pytania.

Zdezorientowana królowa spojrzała na Nynora, lecz wiekowy doradca nie miał tu żadnej władzy i pełnił tylko rolę obserwatora.

– O co chodzi? – zapytała. – Co to może być, że tak mnie niepokoisz.

– Chcę się dowiedzieć, w jaki sposób trafiła do ciebie pokojówka Selia. Nie blednij tak bardzo, macochu. Dowiedziałam się czegoś o autarsze Xis i chcę, żebyś mi to wyjaśniła. Jak trafiła tutaj ta pokojówka?

– Ja... nie wiem. Nie pamiętam! – Anissa rozejrzała się, jakby oczekiwała, że któraś z obecnych pokojówek jej pomoże, lecz wszystkie unikały jej spojrzenia. Wiele pochodziło z domu królowej w Devonis i wiedziały, że na tutejszym dworze są obce, chroni je jedynie pozycja Anissy, lecz jakoś żadna się nie kwapiła, by wystąpić w obronie królowej. – Ona... przysłano ją do mnie – odezwała się wreszcie Anissa.

– Poprosiłam szambelana matki, żeby przysłał mi jakąś dobrą dziewczynę, która nadawałaby się na służącą. To wszystko. Prawie jej nie znałam! Nie miałam pojęcia, że jest czarownicą! Przecież opowiadałam ci to wszystko, Briony. Więc dlaczego niepokoisz mnie teraz, kiedy twój ojciec nie żyje, a ja jestem pogrążona w smutku?

– Dlaczego? – Briony pokręciła głową. – Dobre pytanie. Nynorze, znalazłeś ten list?

Starzec wpatrywał się w Anisę z wyrazem twarzy, jakiego Briony jeszcze u niego nie widziała. Dopiero po chwili się zorientował, że Briony mówi do niego.

– Och. Och, tak. Jest tutaj. – Drżącą dłonią wyjął list z kieszeni płaszcza. – Nigdy niczego nie wyrzucam i na szczęście głupiec, który mnie zastąpił, też tak postępował. – Podał list Briony, lecz księżniczka go nie odebrała.

– Przeczytaj nam, proszę.

– Niech no tylko... – Zmrużył oczy, wsuwając na nos okulary – znajdę... ach. Tutaj. Fragment listu, który królowa Anissa napisała do mnie w miesiącu Heptamene ubiegłego roku, po tym, jak król został uwięziony przez Hespera z Jellonu, a potem sprzedany Ludisowi Drakavie w Hierosolu.

*...na wyraźne życzenie króla Olina sprowadzam lady Selię ei'Dicte, moją serdeczną przyjaciółkę z dzieciństwa, aby mi towarzyszyła podczas jego nieobecności. Jest mi bliska i jest wysoko urodzona, dlatego dopilnuj, proszę, żeby nie kazano jej czekać na przystani jak pospolitej służącej...*

Briony nie odrywała wzroku od królowej.

– A zatem była twoją serdeczną przyjaciółką z dzieciństwa czy prawie nieznaną służącą?

Anissa cofnęła się kilka kroków w stronę schodów. Briony wyczuła, że niektórzy strażnicy się spięli; wydawało się wręcz, że powietrze w dużej i pełnej przeciągów komnacie zgęstniało.

– Jak mogę to pamiętać? Może i ją znałam! To jeszcze nie znaczy, że miałam coś wspólnego z tym, co zrobiła. Ja nigdy bym...

– Teraz wiem, że kamień, którym posłużyła się twoja pokojówka, musiał pochodzić od autarchy, to był jeden z magicznych kulikosów, które dał swoim ludziom w ostatnich godzinach walki pod zamkiem, a które zamieniły ich w straszne demony. Kapitan Vansen widział, jak jeden z nich wkłada kamień do ust. – Zamyśliła się na chwilę. – Nie „jeden”, lecz „jedna” z nich. To były kobiety. Chaven twierdził, że te kamienie działają tylko w przypadku kobiet.

Briony podeszła do Anissy.

– Mogę więc tylko przypuszczać, że autarcha, który posiadał kilka takich kamieni, a także miał swoich szpiegów u Tollych w Summerfield, dał jeden z tych zabójczych artefaktów twojej pokojówce. Dlaczego? Czy przypadkiem nie po to, żeby zamordowała Kendricka? – Wypowiadając te słowa, Briony poczuła falę gniewu, ale postarała się, żeby jej głos brzmiał nawet jeszcze łagodniej. – Dlaczego? Skąd wiedział, że można zaufać Seli, że podejmie się ona takiego zadania? Chyba że sprowadzono ją tutaj właśnie w tym celu. Że już wcześniej została wybrana...

Pokojówki i damy dworu cofnęły się trochę, szepcząc lękliwie. Anissa otworzyła szeroko oczy.

– Co ty mówisz? Że wiedziałam? To niedorzeczność! Dlaczego miałabym nastawać na życie księcia Kendricka?

– Co do tego nie mam pewności – wycedziła Briony przez zaciśnięte zęby. – Ale pozwól, że będę zgadywać. Najpierw jednak odpowiedz na jedno pytanie, Anisso. Czy wysłannik autarchy przybył do ciebie, zanim opuściłaś Devonis, czy też już tutaj? Przypuszczam, że nawet jeśli rozmawiałaś z nim wcześniej, to ostatecznie zwrócił się do ciebie już tutaj, kiedy wiedziałaś, że nosisz pod sercem dziecko mojego ojca.

– Co...? Nie rozumiem.

– A to, macoch, choć teraz czuję w ustach żółć, gdy wymawiam to słowo. Myślę, że rozumiesz aż za dobrze. Jeden ze szpiegów autarchy przyszedł do ciebie i powiedział, że los twojego dziecka będzie zagrożony, jeśli Kendrick albo któreś z młodszych dzieci króla Olina – ja lub Barrick – obejmie tron. Powiedział ci, że jeśli Olin umrze w niewoli, ani Kendrick, ani my nie będziemy tolerować żadnych rywali do tronu, że Kendrick zechce pozbyć się twojego dziecka, a pewnie i ciebie. Mam rację? Tak ci powiedziano?

– Nie! Nie! – Był to okrzyk zrozpaczonej kobiety, a nie wyraz protestu.

Briony poczuła zimny ścisk w brzuchu i zrozumiała, że jej domysły są słuszne.



– Powiedz prawdę, Anisso. Nie jestem autarchą Xis, ale ucieknę się do surowszych form nacisku, jeśli zaraz nie usłyszę od ciebie całej prawdy.

– Przestań mnie straszyć! – zawołała Anissa, łkając.

Przez chwilę Briony zrobiło się nawet żal tej drobnej, ładnej kobiety, która przyniosła ojcu tyle szczęścia, ale zaraz sobie przypomniała, co się stało w komnacie macochy w pierwszą noc jej wygnania, kiedy to Selia włożyła kamień do ust i zamieniła się w straszną nieziemską istotę. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co przeżywał Kendrick w ostatniej godzinie swojego życia, napadnięty przez takie monstrum.

– Straż. Odprowadźcie ją do twierdzy.

– Nie! – Anissa upadła na kolana i w tej pozycji ruszyła w kierunku Briony, usiłując ją objąć za nogi. Vansen zagroził jej drogę i podniósł z zaskakującą łagodnością. – Briony, proszę, nie rób mi tego! – jęczała królowa. – Byłam taka przerażona! Powiedział, że zabiorą mi dziecko i je zamordują! Że już nigdy nie zobaczę swojego domu, że otrują mnie tutaj... zakopią w zimnej ziemi! – Anissa szlochała tak gwałtownie, że trudno ją było zrozumieć.

Briony spojrzała na Vansena podtrzymującego królową, którego twarz wyrażała zarówno litość, jak i obrzydzenie.

– Kto tak powiedział? Kto do ciebie przyszedł?

– Mój ziomek. Kupiec. Powiedział, że przywozi wieści z kraju, więc go zaprosiłam. – Królowa ledwo trzymała się na nogach. – Proszę, proszę, nie zabijaj mnie! Nie krzywdź mojego dziecka! Nie chciałam tego zrobić, ale oni powiedzieli, że Kendrick nas zamorduje. Tak się bałam!

– A zatem pomogłaś autarsze zabić mojego brata. – Briony miała wrażenie, jakby była naczyniem wypełnionym po brzegi żrącą substancją i gdyby wylała się z niego choćby kropla, wypaliłaby wszystko, czego dotknie.

– Zamknąć ją – zwróciła się do Vansena.

– W twierdzy?

– Nie. To nie miejsce dla matki dziecka mojego ojca. Może zostać tutaj pod strażą. – Spojrzała na Anissę. – Ale nie zatrzymasz chłopca. –

Wyciągnęła ręce i odebrała od pokojówki małego Olina Alessandrosa, podczas gdy Vansen przytrzymał szarpiącą się Anissę. – On jest częścią mojego ojca, nie ciebie!

– Nie zabijaj mnie!

– Bez względu na wszystko, królowa musi stanąć przed sądem, Wasza Wysokość – rzekł Nynor. – Jej ojciec był przez lata naszym sprzymierzeńcem.

– Sprzymierzeńcem, który dawał schronienie agentom autarchy. Który pozwolił im przysłać tu czarownicę, żeby zamordowała mojego brata! – W tej chwili Briony pragnęła raz na zawsze pozbyć się Anissy, ale nie mogła tego zrobić. – Tak, staniesz przed sądem, pani. A potem zostaniesz zamknięta w odosobnieniu na tak długo, że nawet twoje imię zostanie zapomniane. Umrzesz w samotności.

Mały Alessandros rozplakał się, zaniepokojony krzykami matki. Podczas gdy Vansen wyznaczał nowych żołnierzy, by zastąpili tych, którzy dotąd strzegli Wieży Letniej, a którym chciał się lepiej przyjrzeć, Briony przytuliła niemowlę do piersi.

Kiedy już wyszła na zewnątrz w zimną noc, potknęła się. Nagle wydało jej się, że przytłacza ją ciężar, który na siebie wzięła, że nie będzie miała nawet tyle siły, żeby wrócić do swojej komnaty. Lecz Vansen podtrzymał ją natychmiast i oboje wrócili do rezydencji.

## Powszechny podziw

*Zoria Gołębica, ze wszystkich bogów i bogiń  
najmilsza, zgodziła się poślubić wuja, jeśli ten  
wypuści Sierotę, mimo że na całej ziemi i w  
niebiosach oplakiwano jej stratę.*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Z okazji wizyty przyszłej monarchini ulica Diamentowa rozbłysła światłami, dzięki czemu słynne sklepienie Funderlingów i fasady budynków publicznych mogły być podziwiane w całej okazałości.

– Zdumiewające – powiedziała Briony z zadartą głową, siedząc na koniu, którego Vansen prowadził wąską główną ulicą. – Całe to piękno. Wiedziałam, że tak tu wygląda, ale nie zwracałam na to uwagi... wiesz, ojciec przyprowadził mnie tu kilkakrotnie.

– Popatrz też trochę w dół, Wasza Wysokość – rzekł Nynor. – Poddani także pragną twojej uwagi.

– Przestań mnie łąjać, hrabio Steffens. Wiem, że czekają. Dlatego tu jestem. – Na skrzyżowaniu Diamentowej i Rudnej pomachała i uśmiechnęła się do tłumów, które czekały tam od jakiegoś czasu. – Ach, widzę budynek Cechu – powiedziała. – Imponująca budowla, nieprawdaż kapitanie Vansen?

Ferras coś tylko mruknął, zajęty torowaniem drogi Briony, by mogła dotrzeć do szerokich schodów. W zamku panował spokój, najogólniej mówiąc, lecz najbardziej zdesperowani poplecznicy Hendona Tolly'ego wciąż czaili się na skraju Miasta Funderlingów, ponadto krążyły pogłoski, że w zewnętrznych tunelach mogą się ukrywać xiscy żołnierze, a nawet ogromny *askorab*. Po takich niesamowitych wydarzeniach trudno było odgadnąć, kiedy wszystko znowu wróci do normalności.

Niektórzy spośród Funderlingów głośno przywitali Vansena, co go zdziwiło. Kiedy spojrział w ich stronę, rozpoznał ludzi, z którymi walczył w Labiryncie, i w odpowiedzi zasalutował, choć poczuł się trochę

nieswojo. Był poruszony tym, że uznali go za swego, ale, jak zawsze, nie czuł się dobrze, będąc w centrum uwagi.

I co ja robię, przyjmując urząd lorda konstabla? Nie będę potrafił spojrzeć w oczy prawdziwemu szlachcicowi... Ale zaraz upomniał samego siebie, że wielu tych „prawdziwych” szlachciców wymigało się od walki o Zamek Marchii Południowej. Wielu dało wyraźnie do zrozumienia, że nie zejdą do Miasta Funderlingów, nawet jeśli będzie tam przemawiać księżniczka regentka. Co świadczy o tym, że samo urodzenie ani nie nobilituje, ani nie całkiem przekreśla człowieka, pomyślał i poczuł, choć raz z zadowoleniem, że jego serce przyspiesza. Spójrzcie na mnie! Księżniczka mnie kocha! Czy mam powód do narzekań?

Jego nastroju nie popsuło nawet to, że prawie tyle samo Funderlingów wykrzykiwało jego imię co imię Briony, co dyskretnie zachował dla siebie. Pomógł jej zsiąść z konia przed ratuszem i rozstawił straż, by towarzyszyła jej w dalszej drodze.

– Jesteś tutaj popularny, kapitanie – powiedziała Briony z uśmiechem.

– Przywitaliby tak samo każdego, kto nie dał drapaka przed kłopotami – odrzekł, ale ucieszył się, że zauważyła, jak go pozdrawiano.

– Wasza Książęca Mość – zawołał Malachit Miedziak ubrany w uroczystą szatę ozdobioną przy szyi i na ramionach metalem i drogimi kamieniami. – Wybacz, że przynoszę złe wieści, ale muszę powiedzieć, że twój kapitan jest strasznym kłamcą. W całym mieście nie ma drugiego, który cieszyłby się takim szacunkiem, Funderlinga czy dużego.

– Wiem o tym, mistrzu Miedziaku – powiedziała Briony. – Miło znowu cię widzieć w przyjemniejszych okolicznościach niż wtedy, gdy wdarł się tu ocean.

– I ja tak uważam, Wasza Wysokość. – Miedziak uklonił się i wyciągnął rękę. – Pozwól mi poprowadzić się do Cechu. Twoja ponura eskorta może do nas dołączyć, kiedy będzie gotowa.

– Księżniczka może z tobą pójść, mistrzu Miedziaku, ale ja będę tuż za tobą – rzucił Vansen stanowczym tonem. – Jej Wysokość nie chodzi

nigdzie bez kapitana straży. Jest to winna swoim poddanym. Mam rację, księżniczko?

Uśmiechnęła się, kładąc dłoń na ramieniu Miedziaka.

– Oczywiście, kapitanie Vansen. Zawsze wiesz najlepiej.

\*\*\*

Było to wprawiające w zmieszanie zgromadzenie, jak inne z minionych miesięcy, kiedy tylu różnych ludzi zbierało się razem pod wpływem rozpacz. Przybyło sporo dworzan z zamku i oczywiście stawili się licznie Funderlingowie – w końcu był to ich ratusz – z czterema starszymi, którzy dzierżyli najwyższą władzę. Ale nie tylko oni. Zjawiła się też duża reprezentacja Muskających Wode, mężczyźni mieli na głowach kapelusze i płaszcze z rybiej łuski – całkowicie wysuszonej i prawie pozbawionej zapachu, jak zauważył z zadowoleniem Vansen, ponieważ sala nie była zbyt obszerna. Pojawili się także Dachowcy, których delegację posadzono na wózku do wywozu rudy przygotowanym specjalnie dla nich. Nawet Qarowie mieli swoich nielicznych przedstawicieli w osobach Aesi'uah i kilku milczących spowitych w szaty postaci. Podobnie jak jej ziomkowie, Aesi'uah sprawiała wrażenie, że może czekać do końca świata. Barrick nie przyszedł.

Jeden ze starszych Cechu, imieniem Sard, który zdaniem Vansena mógł być starszy niż prastary budynek, w którym się znajdowali, otworzył zgromadzenie, wygłaszając powitanie i składając obietnicę wierności Funderlingów, co zabrzmiało jakoś mało przekonująco. Vansen zastanawiał się, czy tylko on to zauważył.

– I oto w geście, który poczytujemy za wyraz szacunku – zakończył swoją przemowę pomarszczony Funderling – ona wstępuje w nasze skromne progi, by do nas przemówić. Oto nasza monarchini, córka Olina Eddona i księżniczka regentka – tak, tak, niebawem królowa, jak mi powiedziano – księżniczka Briony. Pochylcie głowy.

Briony wstała, towarzyszyły temu szepty i szmery wśród Funderlingów wyrażających swój szacunek. Ze wszystkich obecnych tylko Qarowie się nie pokłonili ani nie wykonali żadnego gestu. Wielu

spośród dworzan Briony to zauważyło i wyraziło cichą dezaprobatę, co nie uszło uwagi Vansena. To ci, którzy nie walczyli i mają najmniej zrozumienia dla naszych dziwnych sprzymierzeńców, pomyślał.

– Przyjmuję ten zaszczyt w imieniu korony i ojca – powiedziała głośno Briony. – Choć sama na to nie zasłużyłam, ale mam nadzieję, że kiedyś tak się stanie.

Niektórzy Funderlingowie zaczęli szemrać.

– Przetrwaliśmy ogromne niebezpieczeństwo – mówiła dalej. – Wierzę, że same niebiosy uratowały nas przed strasznym losem, i zapewne nie bez powodu. Wszystko, co cenimy, znalazło się na skraju unicestwienia – nasze królestwo, miasto, nasze życie, a może nawet nasze dusze. Nie wierzę, by takie rzeczy działy się bez powodu. I czy stało się to za sprawą bogów, których czi mój lud, czy też za sprawą Starszych Ziemi Funderlingów... – wśród zebranych nastąpiło poruszenie, kiedy zaczęła wymieniać imiona rozmaitych bogów – ...Egye-Vara, obrońcy Muskających Wodę, albo Pana Szczytu – skinęła głową w stronę Dachowców – zostaliśmy uratowani, gdy wydawało się, że czeka nas pewna śmierć.

Jestem tu po części po to, by podziękować tym, którzy walczyli za Zamek Marchii Południowej, od najmniejszych do największych – później opowiem o tym, czego dokonali – ale, co ważniejsze, jestem tu, ponieważ uważam, że powinniśmy wyciągnąć naukę z tego, co się stało.

Może nigdy do końca się nie dowiemy, jaka to tajemnicza ręka kształtowała przeznaczenie mieszkańców zamku, Qarów i południowców i sprawiła, że spotkaliśmy się tu wszyscy. Wiem tylko, że dzięki przedstawicielom różnych nacji udało nam się uniknąć strasznego losu. Nie mogę w dobrej wierze sprawować rządów, nie zrozumiałwszy przesłania niebios.

– Funderlingowie! – mówiła głośnie. – Moja rodzina, która kiedyś nazywała was braćmi, w minionych latach źle was traktowała. Cieszyliśmy się z owoców waszej pracy, ale niewiele mieliście do powiedzenia w kwestii rządów. Podobnie rzecz się ma z Muskającymi Wodę i z Dachowcami, choć nie można tylko nas za to winić, ponieważ chowaliście się pod naszym nosem tak dobrze, że niektórzy z nas zapomnieli, że w ogóle istniejecie. – Z wózka zajętego przez

Dachowców popłynęła salwa przenikliwego śmiechu, co przypominało cykanie świerszczy.

Teraz Briony spojrzała na Aesi'uah i jej zakapturzone towarzyszki.

– Nawet Qarowie zasługiwali na lepsze traktowanie z naszej strony.  
– Te słowa wywołały z kolei pomruki niezadowolenia wśród ludzi. – Pewnie i my mogliśmy się spodziewać czegoś lepszego po nich – dodała Briony, lecz bez pośpiechu. – Nikt nie potrafi wyjaśnić tej zagadki. Nie da się w jedno popołudnie zaleczyć ran, które sobie nawzajem zadaliśmy.

Przyszedł jednak czas odbudowy Zamku Marchii Południowej, od pięknych ulic i domów Miasta Funderlingów uszkodzonych przez pociski, po spustoszone miasto na lądzie. Będziemy potrzebowali pomocy. A naprawiając to, co zniszczyły wojna i zdrada, będziemy musieli pracować jak jeden naród. Odtąd nie będzie już rady królewskiej bez udziału Funderlingów, a wszelkie decyzje dotyczące Zamku Marchii Południowej będą uwzględniały wszystkich jego mieszkańców. Nie zrozumcie mnie źle! – Briony podniosła głos, gdyż rozległy się szmery. – Trzeba będzie podejmować różne decyzje i nie wszystkie będą popularne. Dlatego ten, kto zasiada na tronie, czy to będę ja, czy któryś z moich braci, musi mieć za sobą prawo, tak jak wcześniej. Ale odtąd będzie ono egzekwowane po wysłuchaniu wszystkich przedstawicieli Marchii.

Głosy w tłumie, w miarę trwania tej dziwnej i nieoczekiwanej przemowy, stawały się coraz donośniejsze i przez chwilę Vansen się zastanawiał, czy nic sprowadzić Briony z podwyższenia dla jej bezpieczeństwa, bo niektórzy Funderlingowie wręcz krzyczeli. Szybko jednak się zorientował, że są to głównie młodzi wiwatujący na cześć księżniczki regentki. Ich starsi ziomkowie, podobnie jak wielu dworzan i Muskających Wodę, siedzieli z wyrazem zdumienia na twarzach.

– Przybyłam tu dzisiaj – kontynuowała księżniczka – by proklamować nową radę przy władcy Królestw Pogranicza. W jej skład będą wchodzić reprezentanci wszystkich narodów, dużych i małych, mieszkańców lądu i Muskających Wodę. Wspólnie będziemy się troszczyć o to prastare miejsce, które jest naszym domem, drogim nam wszystkim...

\*\*\*

Długie popołudnie wreszcie się kończyło. Kiedy Vansen czekał, jego ukochana słuchała Steffensa Nynora, który próbował porozmawiać z nią poufnie w ratuszu pełnym Funderlingów i innych.

– Ależ Wasza Wysokość – mówił starzec podekscytowanym szeptem – czegoś takiego jeszcze nie było!

– Przywilejem królów jest tworzenie precedensów – zaśmiał się Dawet dan-Faar. – Briony rozpoczyna rządy jak prawdziwa królowa. Godne pochwały.

Nynor nachmurzył się.

– Nie ma precedensu dla sprawy kogoś takiego jak ty, mistrzu dan-Faar. Z tego, co pamiętam, podczas naszego poprzedniego spotkania zażądałeś okupu za naszego króla w imieniu Ludisa Drakawy.

– Prawda – potwierdził Dawet. – Prowadzę liczne interesy.

Vansen wsunął się między nich nie dlatego, że spodziewał się, iż Nynor zagrozi gościowi, ale nie chciał, by drażniono starca, a Dawet trochę przypominał psotnego kocura.

– Proszę, Wasza Wysokość, powinnaś już wrócić do rezydencji – zwrócił się do księżniczki.

Briony zgromiła go spojrzeniem.

– Czemuż to wszystkim się wydaje, że trzeba się mną opiekować jak dzieckiem?

– Ponieważ jak kochający rodzice nie mamy cenniejszego skarbu i nie chcemy go stracić. – Dawet był wyraźnie z siebie zadowolony.

Przez moment Vansen się zastanawiał, czy ten gładki a niebezpieczny osobnik uda się zaraz do innego królestwa, by tam siać zamęt. Kapitan miał nadzieję, że stanie się to szybko.

Dopiero po chwili się zorientował, że stoi przy nim Aesi'uah. Wyrosła jak spod ziemi, a wraz z nią jej towarzyszki z twarzami schowanymi w głębi kapturów; wszyscy inni obchodzili eremitki z daleka.

– Księżniczko Briony – odezwała się Aesi'uah. – Wybacz, że przeszkadzam. Przynoszę wiadomość od twojego brata.



– Naprawdę? – rzuciła Briony chłodnym tonem. – Wasz obóz nie leży tak daleko, żeby sam nie mógł tu przyjść.

– Chcesz wysłuchać tej wiadomości?

Księżniczka machnęła ręką.

– Tak.

– On pragnie cię poinformować, że jutro opuszczamy Marchię. Ci spośród Ludzi, którzy przeżyli, wracają do Qul-na-Qar. Powiedział, że chciałby jeszcze raz z tobą porozmawiać, jeśli przyjdiesz się z nim pożegnać.

– Gdzie? – Briony sprawiała wrażenie rozgniewanej, lecz Vansen dostrzegł na jej twarzy jeszcze inne uczucie, którego jednak nie potrafił rozpoznać.

– Tam, gdzie się zegnaliście, kiedy wyjeżdżał ostatnio. – Eremitka złożyła dłonie na piersi. – Na Gościńcu Przybrzeżnym o zachodzie słońca. Jeśli nie będziesz mogła udać się tak daleko, zrozumie...

– Przyjdę – odpowiedziała Briony i odwróciła się od eremitki, jakby tamta zniknęła. – Idziemy, kapitanie Vansen. Zbierz swoich żołnierzy. Nynorze, możesz poinformować ludzi z zamku, że wracamy. – Uśmiechnęła się, lecz było to zaledwie skrzywienie ust. – Za naszą sprawą będą mieli o czym mówić, prawda?

Nynor pokręcił głową i westchnął.

– Och, bez wątpienia, Wasza Wysokość, bez wątpienia. Jesteś córką swojego ojca, bez dwóch zdań.

\*\*\*

Ranek upłynął w deszczu, lecz kiedy siostra Utta wracała z kaplicy, niebo było już niebieskie i tylko gdzieniegdzie usiane strzępkami chmur. Przy pomocy kilku żołnierzy ze straży królewskiej, których wypożyczył jej przystojny, acz małomówny kapitan, naprawiła największe szkody, chociaż mozaiki, roztrzaskane przez pociski, leżały w kawałkach na podłodze. Pozbieranie ich i ułożenie będzie wymagało długich miesięcy żmudnej pracy. Mimo wszystko czuła się wspaniale, mogąc robić coś pożytecznego, tym bardziej że chodziło o miejsce kultu Zorii. Po

wydarzeniach ostatnich miesięcy Utta czuła bliższą więź ze swoją patronką niż kiedykolwiek wcześniej.

A właściwie po co się męczyć z odbudową starej kaplicy, która zawsze była za mała? – pomyślała, idąc do komnat Merolanny. Dlaczego by nie zbudować nowej, która lepiej by służyła mieszkańcom zamku? Większa kaplica przyniosłaby większą dziesięcinę, dzięki czemu można by pomóc ludziom, którzy podczas długiej wojny stracili dach nad głową albo wszelkie środki do życia.

Utta, zaabsorbowana nowymi pomysłami, w pierwszej chwili nie zauważyła chłopca, który siedział na ławce w przedpokoju Merolanny niczym żak wyrzucony z sali, by zastanowił się nad swoimi występkami.

– Och! – Cofnęła się o krok, kiedy wreszcie go dostrzegła. Mógł liczyć dziewięć albo dziesięć lat i miał włosy tak jasne, że w ciemnym pomieszczeniu wydawały się białe. Jego ubranie nasunęło jej na myśl Funderlingów, lecz twarz, pomimo powagi, należała do dziecka.

– Witaj! – powiedziała, gdy już się otrząsnęła. – Niech cię błogosławią Trzej i Zoria obdarzy swoją łaską.

Chłopiec zsunął się z ławki.

– I ciebie, siostró Utto. Muszę iść, ale przedtem chciałem ci coś powiedzieć.

Było coś dziwnego w tym chłopcu, choć Utta nie potrafiła tego sprecyzować, miał w sobie coś, co przykuwało uwagę, dlatego tym razem się nie cofnęła, kiedy podszedł do niej i wziął ją za rękę.

– Proszę, opiekuj się Merolanną. Ona jest dla mnie ważna i na pewno się zasmuci, kiedy się dowie, że odszedłem. Nie zostało jej dużo życia – obawiam się, że zostanie wezwana, zanim nadejdzie wiosna – więc nie będzie to długi obowiązek. – Zorianka słuchała go zdumiona i nieco zaniepokojona, a chłopiec uścisnął jej rękę. Oczy miał błękitne jak wiosenne niebo. – Muszę już iść do stajni – mówił dalej, niczego nie wyjaśniając. – Ciebie zaś czekają jeszcze długie lata życia, siostró, więc nie musisz się martwić, że opieka nad Merolanną nie pozwoli ci zrealizować twoich ambitnych planów. Wiem, że sprowadzisz wiele serc do służby mojej matce.

Słowa te jeszcze rozbrzmiewały w głowie Utty, gdy chłopiec puścił jej rękę i opuścił komnaty księżnej wdowy.

– Ach, cóż za ranek! – zaświergotała Merolanna, kiedy Utta podeszła do jej łóżka. – Przyszedł do mnie mój syn! Tutaj, do pokoju! Szkoda, że go nie widziałas!

Utta bała się coś powiedzieć, nie ufając sobie, więc wydusiła tylko:

– To musiało być dla ciebie błogosławieństwem.

– Błogosławieństwo, tak, to właściwe słowo. Przyszedł do mnie i opowiadał o tylu cudownych rzeczach, które mi kiedyś pokaże! Już nie mogę się doczekać.

Patrząc na uśmiechniętą twarz staruszki, zorianka odwróciła się lekko, by otrzeć łzy.

– Wszystko dzieje się zgodnie z wolą bogów.

– Mam wrażenie, że nie wierzysz, iż on niebawem wróci – rzekła księżna – ale nie będzie się ociagał. W końcu bierze mój powóz z woźnicą! – Merolanna poprawiła poduszki i usiadła wygodniej, po czym wzięła Utte za rękę. – A do tego czasu bądź tak dobra i posiedź ze mną, droga przyjaciółko. Jaką mamy pogodę? Naprawdę przyszła wiosna?

Utta pozwoliła księżnej posadzić się na krzesło, miała głowę pełną rozpedzonych myśli.

– Lato? Och, tak... rzeczywiście, księżno. Nie jest dzisiaj bardzo ciepło, ale niebo jest niebieskie jak okiem sięgnąć...

\*\*\*

– Jest winna morderstwa. Co więcej, popełniła zbrodnię przyzwolenia na śmierć panującego księcia. Nie możesz zostawić jej przy życiu, księżniczko.

Rose walczyła z rozwiązaną wstążką gorsetu Briony, co zaczynało irytować księżniczkę. Machnęła ręką, by się pozbyć dziewczyny.

– Mistrzu dan-Faar, mówimy o mojej macosze, wdowie po moim ojcu. To nie jest takie proste, jak to przedstawiasz.

– Właśnie, że jest. Jeśli twoje rządy zrodzą niezadowolenie, to Anissa stanie się ośrodkiem opozycji, jest przecież matką księcia. „Posadź syna Olina na tronie” – powiedzą. „Potrzebujemy króla!”

– W opozycji do królowej? – zapytała Briony. – Nie znasz historii mojego narodu aż tak dobrze, jak sądzisz, Dawecie...

– Tak, wszyscy słyszeliśmy o królowej Lilii, dumie Eddonów, tak, tak. – Zaśmiał się w ten swój irytujący sposób, jakby już dawno poznał myśli wszystkich, rozważył je i odrzucił. – Ale to było dawno temu i wtedy nikt nie śmiał się sprzeciwić krwi Anglina. Tylko że czasy się zmieniły, Wasza Wysokość. Świat przewrócił się do góry nogami, szczególnie tutaj, w Zamku Marchii Południowej, i już nikt nie będzie miał pewności, co jest ważne, a co nie.

– Nie wszystkie twoje słowa są błędne, mistrzu dan-Faar, lecz ja nie jestem tobą i nic przebywamy w Tuanie ani w żadnej satrapii Xandu. Nie zabijamy swoich krewnych.

– Każdy ksiązę skazałby na śmierć taką krewną, która próbowała go zabić. My, ludzie z południa, nie jesteśmy aż tak niecywilizowani, jak sądzisz, księżniczko.

Poczuła, że słusznie jej dopiekl.

– Nic chciałam cię urazić, Dawecie.

Skłonił lekko głowę.

– Wiem, Wasza Wysokość. Ale fakty pozostają faktami.

– Wystarczy. Pomówmy o czymś innym. Co z południowcami? Czy ich ostatni statek odpłynął po południu?

– Tak, z nowym autarchą Prususem, ministrem i ocalałymi Lampartami. Odpłynęli statkiem handlowym z Helmingsea, więc będzie to powolna podróż. – Uśmiechnął się. – Miło było patrzeć, jak resztki wielkiej armii Sulepisa musiały wynajmować statki i wymykać się stąd ukradkiem. Może kiedyś mój kraj także zobaczy coś takiego.

– Może. A ksiązę Eneasz?

– On i jego ludzie są gotowi wyruszyć jutro w drogę powrotną do Syanu. Jak ci wiadomo, jego ojciec zaniemógł i ksiązę jest potrzebny w domu.

– Otruty przez tę sukę Anankę. Jestem tego pewna. Mam nadzieję, że Eneaszowi uda się zaprowadzić porządk. Będzie go nam brakowało. Mnie będzie go brakowało. – Westchnęła. – Cieszę się, że tu jesteś, mistrzu dan-Faar. Gdy tyle rzeczy jest niepewnych, ty jesteś dobrym doradcą i przyjacielem. Masz moją wdzięczność.

– Chętnie przyjmę złoto – odpowiedział, nie przestając się uśmiechać. – Zapewniam cię, że moja pomoc jest płatna.

Zaśmiała się.

– Och, tak, jesteś słynnym draniem, nieprawdaż? Zapomniałam. – Jej pogodny nastrój szybko minął. – Nigdy nie zapomnę, że... że sprowadziłeś Shasa do domu. Wiem, że w swoim czasie byliście wrogami.

Wzruszył ramionami.

– Ostatecznie nie mogłem zapomnieć, że coś nas łączy: miłość i podziw dla tej samej młodej kobiety.

– Ach. – Briony skinęła głową ze zrozumieniem. – Córka Shasa, która zmarła.

Dawet wyglądał na zaskoczonego, ale starał się nie dać tego po sobie poznać.

– Tak, ona. Oczywiście.

## Esencja Szachraja

*...tak Sierota został zabrany do niebios, by wieść  
życie wśród bogów, gdzie wciąż żyje...*

*– z Powiastki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

Vansen trzymał się w przyzwoitej odległości, ale żałował, że Briony nalegała, aby z nimi pojechał. Uprzejmość i bezpośredniość, z jaką rozmawiała z Eneaszem, jej nieskrywany podziw dla syańskiego księcia, bardzo mu dopiekły.

– Nie zabieraj ich. – Usłyszał, jak księżniczka zwraca się do Eneasza. – Pozwól, że podziękuję im raz jeszcze.

– Oni są żołnierzami, księżniczko. Nie oczekują podziękowań za to, co robili w imię honoru.

– Większość ludzi lubi pochwały, jeśli na nie zasłużyli. Myślę, że twoi żołnierze nie pomyślą o mnie źle, jeśli jeszcze raz wspomnę o ich odwadze i poświęceniu. – Podjechała do skrzyżowania szerokiego Gościńca Przybrzeżnego, gdzie lord Helkis zebrał wojsko Eneasza. – Mieszkańcy Syanu! – zawołała. – Miałam szczęście wam towarzyszyć. Jestem dumna, że pozwolono mi podróżować wśród Świątynnych Psów jako drugiej w sukcesji do tronu Anglina, którego krew płynie w moich żyłach!

– Odda wszystko, co ma, waszemu krajowi – rzekł Eneasza, obserwując podeksytowanych żołnierzy. Dopiero po chwili Vansen się zorientował, że księżę mówi do niego. – Ktoś musi nad nią czuwać. Chroń ją.

Vansen poczuł ukłucie niechęci.

– My także mamy żołnierzy, księżę Eneasza.

Księżę się roześmiał i odwrócił do niego.

– Powiedziałem to głośno? Wybacz, kapitanie. Nie zamierzałem obrazić ciebie ani ludzi z zamku. Mówiłem z serca. Wiedziałem, że

nigdy nie będę trzymał jej w ramionach, nigdy jej nie okiełznam. Jest zbyt szlachetną i osobliwą istotą.

– Nie jest istotą, Wasza Wysokość. – Vansen wiedział, że to głupota spierać się z księciem, lecz czuł, że spod ich słów przebija coś bardziej pierwotnego, czego nie potrafił się łatwo wyzbyć. – Ale zgadzam się, że jest osobliwa.

– Dobrze powiedziane! – Ku zdumieniu Vansena księżę nie wyglądał na urażonego. – Chciałem tylko powiedzieć, że ona ma w sobie taką... determinację. Jest jak ptak, który czuje potrzebę lotu...

Rozległ się głośny okrzyk żołnierzy, który szybko ucichł porwany przez wiatr. Świątynne Psy wymachiwały mieczami i powiewały sztandarami, stłoczone wokół Briony, by się pożegnać, zapominając dyscyplinie. Tak mało mężczyzn, a świat tak duży, pomyślał Vansen i spojrzał na tłumek żołnierzy, a potem na puste wzgórza. Jak będziemy żyć bez bogów?

Głupcze, chwilę później upomniał samego siebie. Bogów mamy dokładnie tylu co zawsze.

\*\*\*

Kiedy księżę Eneasze wreszcie skręcił na południe, udając się do ojczyzny, Briony ruszyła ze swoją świtą z powrotem przez część miasta na lądzie, miejsce tak samo opustoszałe jak inne, które Vansen widział na Gościńcu Marchii Północnej tamtego odległego dnia, kiedy odjeżdżał z Collumem Dyerem i biednym młodym kupcem Raemonem Beckiem.

– Wybieram się na spotkanie z bratem – oznajmiła Briony. – Masz dużo zajęć na zamku, a sierżant Dawley się mną zaopiekuje.

Vansen wiedział, że młody Dawley jest zauroczony księżniczką niemal tak samo jak on, do tego nie pała wielką sympatią do Qarów. Kapitan nie wątpił, że Dawley dobrze wypełni swój obowiązek, ale żywił pewne obawy.

– Nie – sprzeciwił się. – Oczywiście możesz mnie odprawić, Wasza Wysokość, lecz jeśli pozwolisz, chciałbym raz jeszcze spotkać się z twoim bratem. Odbyliśmy razem długą podróż.

– Co się z nim stało za Granicą Cienia, drogi kapitanie?

Pokręcił głową bezradnie.

– Nie potrafię ci powiedzieć. Kiedy widziałem go po raz ostatni w Wielkich Głębiach, był w dużej mierze tym samym Barrickiem, którego znałaś. Może był trochę twardszy. Bardziej milczący. Stał się mężczyzną, bo inaczej nie przeżyłby w tym strasznym miejscu. – Słońce zsuwało się już za zachodnie wzgórza, kiedy dojeżdżali Gościńcem Jarmarcznym do skrzyżowania z Gościńcem Przybrzeżnym na skraju miasta. – Potem Gyir, czarodziejski wojownik, o którym ci opowiadałem, polecił mu przekazać lusterko od Yasammez dla króla Qarów. Wciąż nie wiem dokładnie po co, ale miało to pomóc obudzić królową Saqri, tak więc jego misja się powiodła. – Wzruszył ramionami. – Następnym razem spotkałem go na kilka godzin przedtem, nim ty się pojawiłaś. I jakbym spotkał inną osobę.

– Niezupełnie. – Briony osłoniła oczy dłonią, spoglądając w górę drogi. – Zawsze był skryty i tajemniczy. To w jego stylu spotkać się ze mną tutaj, z dala od innych. Kiedy byliśmy młodszy, chowaliśmy się przed rodziną i służbą, przynajmniej Barrick często tak robił. Ale zawsze potrafiłam go znaleźć. – Widząc, jak Briony posmutniała, Vansen zapragnął przyciągnąć ją do siebie i pocałować mimo obecności żołnierzy, giermków i paziów. – Razem chowaliśmy się przed światem. To mnie chyba najbardziej boli: on znowu ucieka, żeby się schować, a ja nie mogę pobiec za nim. Ktoś musi zostać. Ktoś musi grać rolę władcy.

\*\*\*

Słońce stało bardzo nisko, a wciąż nikt nie pojawiał się na skrzyżowaniu. Vansen nakazał rozbić namiot, by księżniczka mogła się schronić w oczekiwaniu na brata, i Briony właśnie odpoczywała, krzepiąc się winem, pogrążona w myślach, kiedy zwiadowcy donieśli, że ktoś się zbliża. Nic był to oddział Qarów, tak jak spodziewał się Vansen, ale zaprzęgnięty w dwa konie powóz, który nadjeżdżał z turkotem kół podskakujących w koleinach.

Już sam widok powozu z herbem zmarłego księcia Damana, brata króla Olina, ze stangretem w liberii, zaskoczył kapitana, ale Vansen jeszcze bardziej się zdumiał, gdy zobaczył, kto zstępuje po wąskich



stopniach, kiedy powóz się zatrzymał: Funderlingowie, Rogowiec i Opal, a za nimi ich adoptowany syn Krzemień.

– Mistrz Rogowiec Lideryt! – zdumiał się Vansen. – Co tu robisz, tak daleko od Miasta Funderlingów?

Rogowiec nic nie mówił do momentu, kiedy przekonał się, że Opal stoi pewnie na ziemi.

– Właściwie nie wiem, kapitanie Vansen. To pomysł naszego syna i księżnej Merolanny, której powozem przybyliśmy.

– Dobry powód, żeby wyciągnąć go z wozowni, panie – odezwał się stangret pogodnym tonem.

– Przybyliście, żeby spotkać się z księżniczką? – zapytał Vansen. – Czy żeby pożegnać się z księciem Barrickiem?

Rogowiec bezradnie rozłożył ręce i pokazał na Krzemienia, który już prowadził Opal do namiotu księżniczki.

– Sam porozmawiaj z chłopakiem. Wiem, że to brzmi głupio, ale obiecałem mu, że powstrzymam się od pytań, dopóki nie będzie gotów na wyjaśnienia.

Vansen znał historię chłopca, dlatego nie zdziwił się, że Rogowiec musiał tak postąpić, choćby tylko dlatego, że Opal pewnie nalegała. Nie rozumiał tylko, dlaczego chłopak chciał, żeby się tu wszyscy spotkali.

Kiedy Vansen wprowadził Rogowca do namiotu, Opal i Krzemień siedzieli już na poduszkach u stóp Briony. Rogowiec niechętnie zajął miejsce obok nich, Vansen zaś pozostał przy wejściu, by mieć baczenie na to, co się dzieje na zewnątrz. Nie obawiał się Rogowca ani jego rodziny, ale nie chciał zostać zaskoczony przez bardziej niespodziewanych gości.

– No cóż, pani Opal – rzekła Briony. – Nie miałyśmy okazji się poznać, ale musi pani wiedzieć, że pani mąż wiele dla mnie zrobił. Prawdopodobnie uratował mi życie.

Opal się zarumieniała.

– Ach, ten mój Rogowiec zawsze się w coś wpakuje. Czasem trudno z tym wytrzymać.

– Wszystkim nam było trudno ostatnimi czasy – odrzekła Briony. – Smutne to i pełne zamętu czasy. Ale jeśli się nie mylę, mamy dzisiaj szansę poznać lepiej pewne tajemnice, które nas otaczają.

– Ode mnie niczego się nie dowiesz, księżniczko! – odpowiedziała szybko Opal. – Och, nie, nie sądzę...

Briony spojrzała na chłopca.

– Paniczu Krzemieniu, pojawiaasz się i znikasz w wielu opowieściach, które słyszałam w ostatnich dniach. Czy nadszedł czas, byśmy mogli porozmawiać o tobie? To jasne, że cokolwiek łączy cię z Rogowcem i Opal, nie jesteś Funderlingiem z urodzenia.

– To prawda, Briony Eddon – odpowiedział chłopiec poważnym tonem.

Vansen spojrzał na niego zszokowany.

– Młodzińcze, uprzejmość nakazuje zwracać się do księżniczki „Wasza Wysokość” albo „Wasza Książęca Mość”...

Briony uniosła dłoń.

– Zwykle tak jest, kapitanie. Ale podejrzewam, że mamy do czynienia z niezwykłą osobą.

Chłopiec skinął głową.

– Nie jestem dzieckiem Rogowca i Opal, to wszystkim wiadomo. – Słyszac ton głosu i sposób mówienia Krzemienia, Vansen poczuł mrowienie na karku. Chłopak nie zachowywał się jak dzieci, które znał kapitan. Nawet nie zachowywał się tak jak wcześniej, bo z pewnością nigdy nie posługiwał się tak oficjalnym językiem.

– W takim razie gdzie się urodziłeś? – zapytała Briony.

– Tutaj, na Zamku Marchii Południowej... ale to było dawno temu według waszej miary czasu. Pięćdziesiąt lat i więcej. – Chłopiec kiwnął głową. – Merolanna jest moją matką. A ojcem Avin Brone, hrabia Landsend.

Vansen nigdy wcześniej nie widział Briony tak zdumionej.

– Avin Brone? – zawołała. – Był potajemnym kochankiem Merolanny? Przecież mówiła, że ojciec dziecka nie żyje! – Księżniczka zmrużyła oczy. – Kimkolwiek możesz być, w żadnej mierze nie wyglądasz na pięćdziesięcioletniego mężczyznę!

– Kiedy byłem mały, zabrali mnie Qarowie. Ich bezdzietna kobieta porwała mnie z domu mamki, ale coś im przeszkodziło i nie zdążyli zostawić innego dziecka, by ukryć swój postępek. Zabrali mnie do Qul-na-Qar i tam wychowywali. Kiedy przebywałem za Granicą Cienia,

przybyło mi tylko kilka lat, podczas gdy tutaj minęło ich wiele. Wreszcie Ynnir, ślepy król, posłał mnie tu w ramach paktu z Panią Yasammez, żebym spróbował przynieść esencję boga Kupilasa, potrzebną, aby obudzić królową Saqri. Wtedy oszczędzono by zamek i jego mieszkańców.

Królowa umierała powoli, jak śnieg niesiony w dal, nawet gdy jeszcze pada, ale bóg też umierał od wieków. Kupilas, jak go nazywają na północy, umierał, cierpiąc od zdradliwej rany zadanej mu przez Zosima. Zbliżał się jego prawdziwy koniec, o czym wiedzieli wszyscy, którzy potrafią wyczuwać takie rzeczy. Wyczuli to bogowie pograżeni we śnie poza tym światem. Nawet ci tylko po części pochodzący z góry Xandos, jak Jikuyin, ogromny jednooki półbóg, którego spotkał Vansen, a także twój brat i ojciec, Briony Eddon.

Vansen był zaskoczony tym, że usłyszał swoje nazwisko, podobnie jak księżniczka.

– Chcesz powiedzieć, że mój ojciec i Barrick wiedzieli, co nadchodzi?

– Nie, ale bliskość umierającego boga i miejsca pod zamkiem, w którym niebiosa dotknęły ziemi, kiedy bogowie zostali wypędzeni, burzyła ich krew i myśli.

– Ale skąd dziecko, takie jak ty, nawet jeśli byłeś wychowywany przez czarodziejskich ludzi, może o tym wszystkim wiedzieć, znać sprawy bogów i mojej rodziny? – W głosie księżniczki zabrzmiała zimna twarda nuta, a Vansen po raz pierwszy ją rozpoznał: to nie była pogarda, lecz strach. Briony bała się, co może usłyszeć od tego cudownego dziecka, a w chwilach strachu chowała się za maską monarchini.

– To właśnie część całej opowieści – odpowiedział płowowłosy chłopiec. – Czas na moją opowieść. Dopiero teraz potrafię zobaczyć ją wyraźnie i w całości. Ma kształt łamigłówki. – Kiwnął głową niemal z zadowoleniem. – Moja pierwsza matka poprosiła moją drugą matkę, żeby mnie ukryła. Moja trzecia matka porwała mnie od drugiej matki. Moja czwarta matka mnie przygarnęła, kiedy zgubiła mnie trzecia matka. I wtedy uratowała mnie moja pierwsza pierwsza matka.

Vansenowi nie podobała się tajemniczość słów chłopca. Briony także patrzyła na Krzemienia niepewnie, podobnie jak para Funderlingów.

– Co znaczy „pierwsza pierwsza matka”?

– Moją pierwszą matką była księżna, która przekazała mnie drugiej matce, mamce mieszkającej w wiosce za murami zamku. Kobieta czarodziejskich ludzi porwała mnie od niej, mimo że nie miała dziecka na podmiągę, tak więc odkryto, co się stało. Z kolei trzecia matka straciła mnie na rzecz ślepego króla Qarów, który przeznaczył mnie do wyższych celów niż pilnowanie ognia i sprzątanie domu matki złodziejki. A kiedy zostałem wywieziony z Granicy Cienia, przygarnęli mnie mama Opal i tato Rogowiec.

– Tak było – wtrąciła Opal z uczuciem. – Pragnęliśmy ciebie. Czy nie tak, staruszk?

– Tak, chłopcze – odpowiedział Funderling bez wahania.

– Dowiedziałem się od was rzeczy, których nie powiedzieli mi inni – rzekł Krzemień. – Potrzebowałem mądrości wszystkich moich rodzin, ponieważ dni, które miały nadejść, okazały się bardzo mroczne.

Kiedy przyniosłem lusterko Ynnira w miejsce, w którym Szachraj wypędził ostatnich bogów, do kamienia zwanego Lśniącym Człowiekiem, żywotność Kupilasa wpływająca do lusterka wprawiła mnie w stan w rodzaju ekstazy. Nawet umierający bóg ma w sobie moc, której ludzkość nie potrafi zrozumieć, a co dopiero okiełznać, i odrobina myśli umierającego boga dotknęła mojego umysłu. W tamtej chwili ujrzałem to, co widział bóg, potrafiłem spojrzeć przez góry, jakby były ze szkła, potrafiłem zobaczyć, co może nastąpić, niemal równie wyraźnie jak to, co się działo wtedy i wcześniej, a wszystko naraz ogarniałem jednym spojrzeniem.

I choć wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, Kupilas o Kościanie i Spiżowej Dłoni zostawił we mnie trochę boskiej esencji – nasienie, można by powiedzieć. Rosło w mojej głowie i w moim sercu, aż spowiło moje myśli cieniem obcych mi – chociaż nie całkiem – obrazów i zrozumieniem, które mi się wymykało... choć niezupełnie. Ta obecność powoli we mnie wzrastała, a ja rosłem z nią i teraz nie potrafię

już powiedzieć, co jest mną, a co nasieniem Szachraja, które we mnie urosło...

– To mógł być po prostu jakiś chochlik, duszek dręczący twojego ducha. Możemy zapytać Braci Metamorficznych...

– Bracia prawdopodobnie by nie pomogli, nawet gdyby potrafili, mamó Opal – odpowiedział chłopiec, uśmiechając się łagodnie. – Nie zapominaj, że ja, tak jak i tata Rogowiec, przyczyniłem się do tego, że nie mają już swojej świątyni.

– Dobrzy... – Vansen zaśmiał się raczej niewesoło. – Już chciałem powiedzieć „dobrzy bogowie”. Czy to wszystko może być prawdą? W głowie mi się kręci.

– No właśnie, czy to może być prawdą? – zastanawiała się Briony. – Bez obrazy, Krzemieniu, ale dlaczego mielibyśmy ci wierzyć? Obserwowałam uważnie wiele rzeczy, mając oczy szeroko otwarte, ale nie wiem, czy otwieram je wystarczająco szeroko, by zobaczyć boga uzdrowiciela w ciele chłopca.

Krzemień znowu się uśmiechnął.

– Słusznie zachowujesz ostrożność, Briony Eddon... ale o nic cię nie proszę. Opuszczam zamek.

Zduszony okrzyk zrozpaczonej Opal niemal zagłuszyły urywane pytania pozostałych. Chłopiec czekał, aż się uciszą.

– Nie mogę zostać, mamó – powiedział, kiedy już umilkli, by go do końca wysłuchać. Uśmiechnął się smutno, widząc, jak Rogowiec próbuje pocieszyć żonę. – Nigdy nie byłem całkiem zwyczajny, nie widzisz tego? Jakaś moja część czuje się tak, jakby została uwolniona z więzienia po wiekach. Nawet ta część mnie, która jest Krzemieniem, stanowi zlepek różnych osobowości: ani Qar, ani Funderling, ani śmiertelnik, ani nieśmiertelny. Muszę się dowiedzieć, kim jestem. Muszę udać się w świat, będę wędrował i... się uczył.

– A zatem w rzeczywistości to ty stoisz za porażką Zosima? – rzekła Briony. – Słyszałam wiele opowieści dotyczących tych ostatnich chwil, lecz czegoś w nich brakuje.

– W każdej z nich z osobna też czegoś brakuje – odpowiedział chłopiec. – Gdyby nie odwaga Vansena oraz roztropność i dzielność Funderlingów, nikt nie byłby w stanie powstrzymać autarchy

wystarczająco długo. Gdyby nie ofiara Qarów, bóg Oszust wy dostałby się na powierzchnię i nikt by mu nie przeszkodził. Gdyby Dachowiec Pędzik nie oddał życia, nic z tego nie miałyby znaczenia. Nawet mając w sobie esencję boga, właściwie prawie do końca nie rozumiałem, kto jest prawdziwym wrogiem i co planuje. Czy jakoś pomogłem? Tak. Ale nic bym nie zdołał bez innych. – Krzemień się uśmiechnął i podniósł wzrok, jakby kierował swoje słowa do wszystkich zebranych. – Kiedy w przyszłości będziecie się zastanawiać, czy bogowie są z wami, pomyślcie o tym, jak nawet najmniejsze kaprysy śpiącego okrutnego boga niemal doprowadziły do końca świata. Lecz jeśli uważacie, że oznacza to, iż jesteście bezradni w rękach Losu, pomyślcie i o tym: ten sam nieśmiertelny bóg, pan ognia i oszustwa, syn śmierci, został pokonany w dużej mierze przez człowieka tak małego, że mój tata Rogowiec trzymał go w otwartej dłoni. – Krzemień wstał. – Czas na mnie. Niebawem przybędzie twój brat, Briony Eddon, i jak sądzę, macie sobie do powiedzenia parę rzeczy.

– Ale... dlaczego opowiadasz nam o tym teraz? – Księżniczka wydawała się zszokowana, niemal bezradna. Spojrzała na Vansena, jakby on wiedział coś, co umknęło jej uwagi. – I dlaczego tutaj?

– Ponieważ, po pierwsze, moi rodzice muszą zwolnić mnie z obietnicy, którą im złożyłem, a powiedziałem im, że nie odejdę. Po drugie, zależy mi, żebyś zabrała ich ze sobą do zamku – powiedział to tak, jakby mówił coś oczywistego. – Dowiedziałem się o was wystarczająco dużo, by wiedzieć, że będą się smucić po moim odejściu, a szczególnie mama Opal. Zabierz ją ze sobą i niech ci pomoże zajmować się twoim małym bratem Olinem Alessandrosem. Dobra z niej matka. Sama się przekonasz.

Opal, która już trochę doszła do siebie, znowu zaczęła lamentować.

– Oczywiście... oczywiście... dopilnuję, żeby twoi rodzice... żeby niczego im nie brakowało... – zaczęła Briony.

– Nie – przerwał jej Krzemień stanowczym tonem. – Nie trzeba boga we mnie, żeby wiedzieć, iż będziesz zajęta w najbliższej przyszłości. Zbyt zajęta, żeby być dobrą matką dla dorastającego dziecka. Chcesz, żeby najmłodszy syn twojego ojca, który może zostać

twoim następcą albo największym wrogiem, był wychowywany przez służących, których ledwo znasz?

– Ale... jak... dlaczego...? – Briony wyciągnęła przed siebie ręce.

Vansen przyglądał się, jak młoda kobieta, która w ciągu dekanoksu albo dwóch zostanie królową Królestw Pogranicza, kapitułuje wobec argumentów płowowłosego chłopca.

– Żeby kształtować świat – mówił dalej Krzemień. – Bo właśnie to robią bogowie. Nadają postać opowieściom ludzi. – Wstał. – Muszę iść, jeśli mi pozwolisz. Tato Rogowcu? Kiedyś kazałeś mi obiecać, że nie odejdę przed upływem pięciu lat. Nie mogę czekać tak długo.

Rogowiec rozłożył ręce w geście bezradności.

– Nie mogę wiązać cię obietnicą, którą na tobie wymusiłem, kiedy jeszcze nic nie rozumiałem. Oczywiście, że zwalniam cię z niej...

– Nie! Nie odchodź! Zaraz się ściemni! – zawołała Opal.

– Mamo Opal, naprawdę myślisz, że boję się ciemności? – Chłopiec posłał jej surowe spojrzenie. – Nawet gdybym miał tylko tyle lat, na ile wyglądam, liczyłbym sobie co najmniej dziesięć wiosen!

Podszedł do niej i objął. Tym razem trzymał ją długo w ramionach. Rogowiec do nich dołączył i Vansen zauważył, że wszyscy troje szepczą coś do siebie, głowa przy głowie, a oboje rodzice mają łzy w oczach.

– Briony Eddon, przybyli twoi pozostali goście – odezwał się wreszcie Krzemień. – Słyszę ich.

Vansen zdołał tylko pomyśleć, że on niczego nie usłyszał, i zaraz rozległo się wołanie strażnika. Wyrzwał z namiotu.

– Duża siła nadciąga – poinformował żołnierz. – Myślę, że to Qarowie.

– Tak – rzekł Krzemień. – Zostawię was, żebyście się mogli z nimi spotkać. Żegnajcie!

\*\*\*

Słońce schowało się już za wzgórzami, lecz mimo że ognisko rozpalone przed namiotem Briony rzucało blask i z pewnością podnosiło na duchu Ferrasa Vansena i czekających żołnierzy, to sami Qarowie nie rozpalili ognisk ani nie rozbili namiotów. Oczekiwali przy drodze w

milczącej gromadzie, podczas gdy ich przywódca rozmawiał z panią zamku śmiertelników, których prawie pokonali.

Ona jest moją siostrą, Barrick Eddon przypomniał sobie o tym, jak się zdawało, po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Wybacz – zwrócił się do niej, kiedy szli wolno wzdłuż drogi, zwróceniu plecami do swoich ludzi. Jego niesprawna ręka, która wydawała się całkiem wyleczona, kiedy Briony widziała go poprzednio, była zaciśnięta, aż zbieleły mu kłykcie, a Barrick trzymał ją tak, jakby znowu go bolała. – Teraz widzę, że w jakimś sensie byłem zaślepiony tym wszystkim, co się wydarzyło. Myliłem się, Briony, bardzo się myliłem, mamy dużo do omówienia, ale mało czasu.

– Jak to? Mamy mnóstwo czasu. Wojna się skończyła, Barricku. Teraz trzeba zabrać się do odbudowy i wierz mi, jest co robić. Zostań i pomóż nam. Chcesz, żebym cię błagała?

Przyglądał jej się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

– A niech cię, Barricku! – rzuciła gniewnie. – Czy nigdy nie potrafisz rozluźnić się na tyle, żeby można było się do ciebie zbliżyć i ci pomóc?

– Nie o to chodzi – powiedział. – Nie mamy dość czasu, ponieważ mówimy różnymi językami, Briony. Odnalazłem coś z tego, co utraciłem – okruchy miłości do tego miejsca i do ciebie – lecz abyśmy mogli rozmawiać z pełnym wzajemnym zrozumieniem, musiałbym nauczyć cię wszystkiego, czego doświadczyłem podczas naszej rozłąki, a ty musiałabyś zrobić to samo, bym mógł pojąć, co myślisz i czujesz. My... zaczęliśmy się różnić. – Opuścił brodę na pierś, jakby poczuł chłód, mimo że wieczór był ciepły, ponadto Briony wątpiła, że jej brat odczuwa zimno. – Naprawdę muszę iść, Briony. Jeśli tutaj zostanę, Qinnitan na pewno umrze. – Poprowadził siostrę wzdłuż szeregu czekających Qarów, którzy spoglądali na nią podejrzliwie niczym zwierzęta. – Może uda mi się ją uratować w Qul-na-Qar albo przynajmniej dowiem się, w jaki sposób mogę utrzymać ją na tyle blisko, by kiedyś spróbować ocalić.

– Qinnitan. – Briony usiłowała przełknąć swoją porażkę. Zastanawiała się, jak tak wiele mogło się zmienić w tym czasie, i to bezpowrotnie, jak się zdawało? – A zatem to koniec. Z powodu



dziewczyny, której prawie nie znasz, odejdziesz i już nigdy cię nie zobaczę? Mimo że tylko ty mi zostałeś z całej rodziny?

Zatrzymał się. Briony podejrzewała, że jej słowa go rozgniewały, i przygotowała się na gwałtowną reakcję, tymczasem on ją zaskoczył.

– Nie pomyślałem o tym – stwierdził. – Ja... część mnie – całkiem spora – z trudem pamięta dawne czasy, ponieważ ma zbyt wiele własnych wspomnień, których musi strzec. – Wybacz.

Briony wstrzymała oddech przestraszona.

– Litościwa Zorio, mówisz jak Krzemień. Właśnie nam oznajmił, że nosi w sobie esencję boga.

– Tak. – Ujął jej dłoń, co ją zaskoczyło, zarówno chłód jego skóry, jak i sam gest. – W moim przypadku chodzi o coś tylko trochę mniej niezwykłego. Nie jestem tym samym Barrickiem, Briony... ale trochę dawnego Barricka zaczyna powracać. – Uniósł podkurczoną rękę, błyskając białą kłykci. Po chwili, krzywiąc się trochę, zdołał prawie rozprostować palce. Pokazał jej ramię, uśmiechając się mimo bólu, ona zaś, choć nie rozumiała, domyślała się, że wskazuje jej coś ważnego. W jej oczach zalśniły łzy. – Może kiedyś będzie we mnie tyle dawnego Barricka, że podjadę pod bramę i zawołam, żebyś mnie wpuściła! – Zaśmiał się na myśl o tym. – Może nawet przywiozę ze sobą żonę i dzieci.

– Tu zawsze będzie twój dom. – Briony chciała, żeby zabrzmiało to poważnie. Z trudem powstrzymywała łzy. – Zawsze. A ja zawsze, zawsze będę za tobą tęskniła.

Jakiś czas szli w milczeniu.

– Chodzi o miejsce, nie o ciebie – odezwał się wreszcie Barrick.

– Słucham?

– Mam na myśli to, co sprawia, że trudno byłoby mi zostać, nawet gdybym nie musiał zabrać Qinnitan do domu Ludzi. To miejsce, jego... historia. Qarowie go nienawidzą. Nie odnieśli zwycięstwa. W rzeczywistości może to być miejsce ich ostatecznej klęski. Dla mnie też nie było dobre. Ale mogę zmienić pewne rzeczy, jak sądzę, dla tych, którzy przetrwali, i dla mnie samego.

– Mylisz się w niektórych sprawach – powiedziała.

Spojrzał na nią trochę zaskoczony.

– Wyjaśnij mi to.

– Kiedy widziałam ojca po raz ostatni, opowiedział mi historię Kellicka i Sanasu. On ją kochał, wiedziałeś o tym?

– Co?

– Kochał ją. Ojciec mi wyjawiał, że sam Kellick mówił, iż chciał tylko się dowiedzieć, co Qarowie robią pod naszym zamkiem, dlatego wziął ludzi, żeby ich wypytać. Lecz kiedy po raz pierwszy ujrzał Sanasu, kobietę Qarów, jego serce przepełniła miłość tak gorąca, że nie wyobrażał sobie, by mógł wrócić do domu bez niej. Podczas dysputy, pełnej gniewu i podejrzeń, powiedział wszystko jej bratu, nie mając pojęcia, że Janniya jest nie tylko jej bratem, lecz także ukochanym. Rozwścieczony Janniya odebrał jego słowa jako zniewagę, zaatakował Kellicka i zginął w walce, która się wywiązała, a nieliczni Qarowie, którzy przeżyli, uciekli. Kellick zabrał Sanasu i niedługo potem się pobrali. Nikt nie potrafi powiedzieć, tak twierdził ojciec, czy zrobiła to wbrew swojej woli, ale wydawało się, że żyli w harmonii aż do śmierci Kellicka.

– A zatem zbrodnia nie była zbrodnią, ponieważ przyczyną była miłość?

– Nie. – Briony ujęła dłoń brata. – Ale nawet ty musisz przyznać, że ta sprawa wygląda inaczej, niż przedstawia się ją w opowieściach. Miłość i głupi zabójczy przypadek to co innego niż morderstwo i gwałt.

Barrick milczał długą chwilę.

– Coś w tym jest – powiedział. – Zastanowię się nad tym. I opowiem Qarom. Może to niczego nie zmieni. – W gasnącym świetle wieczoru Briony widziała tylko ostre rysy twarzy brata i choć wciąż słyszała jego głos, to brzmiał on inaczej: Barrick nie był już jej ukochanym, denerwującym, godnym pożałowania towarzyszem dzieciństwa, lecz kimś zupełnie innym, dziwniejszym i silniejszym.

– Skoro odjeżdżasz, to nie poznam obecnego Barricka – odezwała się, werbalizując swoje myśli.

Wzruszył ramionami.

– Dawny Barrick nie przeżyłby bez ciebie. A poza tym łączy nas braterstwo krwi, które przypieczętowaliśmy wtedy w spiżarni, pamiętasz? Nawet nowy Barrick nie potrafi o tym zapomnieć.

Briony spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś o tym usłyszę.

– Być może w przyszłości znajdziemy sposób, by dzielić się myślami – powiedział z powagą. – Oboje będziemy monarchami. Brat i siostra, zasiadający na tronach, powinni pozostawać w kontakcie. – Puknął się w głowę. – Zastanowię się nad tym.

Briony znowu poczuła pieczenie łez pod powiekami.

– Z pewnością upłyną lata, zanim znowu się zobaczymy! Przez cały czas podtrzymywała mnie na duchu ta myśl, że jeśli przeżyjemy, znowu będziemy rodziną.

– Jesteśmy rodziną, Briony. Im bardziej się zmieniam, tym wyraźniej widzę to, co nigdy się we mnie nie zmieni. Zanim stałem się kimś innym, byłem Eddonem. – Pochylił się i pocałował ją w czoło, po czym przyciągnął do siebie. Zaskoczona, broniła się przez chwilę, a potem objęła go mocno. Stali tak długo, dwoje ludzi na zielonym wzgórzu przy Gościńcu Przybrzeżnym, nad którym wspinał się po niebie wschodzący księżyc.

– Och, rudzielcu, będę za tobą tęskniła!

– Wiem, Briony. – Uśmiechnął się. – To znaczy, „wiem, kapuściana głowo”. Ja też będę za tobą tęsknił. A to znaczy, że nigdy tak do końca się nie rozdzielimy.

\*\*\*

W drodze powrotnej Vansen z trudem potrafił pozbierać myśli. Pomagając Rogowcowi zaprowadzić zasmuconą żonę do powozu, czuł się, jakby pomagał kogoś zdradzić.

– Ale jak on wyruszy sam? – pytała Opal. – Nasz chłopiec... co pocznie? Kto go nakarmi?

– Poradzi sobie – powtarzał Rogowiec, mimo że sam wyglądał na przybitego. Vansen mu współczuł. Wiedział, jak to jest, kiedy nie można opłakiwać straty bliskiej osoby, ponieważ inni cię potrzebują. Krzemień zawsze sobie radził, zanim jeszcze usłyszeliśmy o tym tak zwanym bogu.

– Zatem mu nie wierzysz? – zapytał go Vansen.

– Na ryse i przełam, wierzę, i to jest straszne. Nawet jeśli jeszcze go zobaczymy, nie będzie naszym Krzemieniem. – Kiwnął głową w stronę powozu, w którym czekała Opal. To ją tak smuci.

– Ale wasz chłopak zawsze był kimś innym, niż sądziliście – powiedział powoli Vansen. – Nikt z nas tak naprawdę go nie znał.

– I Opal wie o tym lepiej niż inni. – Rogowiec wyciągnął małą gruzłową dłoń, by Vansen pomógł mu wejść po stopniach powozu. – Nie martw się zbytnio o nas, kapitanie. My, Funderlingowie, mamy twardą skórę. Przeżyjemy.

– Jak już pobędziecie trochę razem, przynieście, co wam jest potrzebne, do zamku, a znajdziemy wam miejsce w królewskiej rezydencji. – Vansen tak długo nie miał prawdziwego domu, że nie za bardzo przychodziło mu do głowy, co ludzie zabierają ze sobą podczas przeprowadzki. – Broń, jeśli ją macie. Pamiątki.

Rogowiec uśmiechnął się, mimo że z powozu wciąż dobiegało pochlipywanie.

– Tak, moja wspaniała kolekcja broni. Szczerze mówiąc, nie zajmie dużo miejsca. Ale Opal może zechce zabrać kilka garnków. – Skinął głową w zamyśleniu. – Nie będę rozpaczał, opuszczając dom mojego brata. Teraz, kiedy Cynober przekonał Starszych Cechu, by usunęli Bułę z Magisterskiej Tabliczki, będzie się snuł po domu jeszcze częściej i oczywiście będzie mnie winił o wszystko. – Rogowiec wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A mnie to bardzo cieszy, kapitanie, bardzo mnie to cieszy.

\*\*\*

Kiedy wreszcie zdumionemu stangretowi Merolanny pozwolono odjechać w stronę zamku, a powóz zamienił się w jeszcze jeden cień przed nimi, Vansen i Briony też ruszyli z powrotem w milczącym towarzystwie straży królewskiej.

Księżniczka i kapitan także prawie się nie odzywali. Vansen nawet w najlepszych chwilach nie był świetnym rozmówcą, a teraz nie potrafił wydusić z siebie choćby słowa, które wyraziłoby, co czuje. Briony zaś była tak nieobecna jak nigdy wcześniej.

Ten nastrój się pogłębił, kiedy na grobli przywitał ich oddział żołnierzy prowadzony przez królewskiego posłańca, który ledwo przyklęknął na kolano i zaraz podsunął Briony zapieczętowany list od Steffensa Nynora.

– Słodka Zorio – wyszeptała, czytając wiadomość. – Albo do kogokolwiek musimy się teraz zwracać. Litości.

– O co chodzi? – Vansen nie lubił, kiedy księżniczka się niepokoiła, lecz jeszcze bardziej zmartwił go wyraz bólu i zmęczenia na twarzy Briony.

– Anissa, moja macocha – odrzekła, spoglądając ku murom zamku.  
– Wypadła z okna komnaty w wieży – albo wyskoczyła. Nie żyje.

## Aktorzy teatru cieni

*... bogowie dali mu parę pięknych złocistych ramion, które zastąpiły te spalone przez słońce. Tessideme, wioska, w której przyjęto Sierotę, rozrosła się w miasto Tesis, serce naszej trygonackiej wiary. Dzisiaj mieszka tam sam trygonarcha...*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach*

– Ciesz się, że nie kazałam cię tu przyprowadzić w kajdanach – wycedziła Briony, zaciskając dłonie tak mocno, że zbieleły jej kłykcie. – Jak śmiesz!

Dawet dan-Faar uniósł brew.

– Co jak śmiem?

– Dobrze wiesz co, łotrze! Pod moją nieobecność poszedłeś do Wieży Wiosennej. Anissa się zabiła, kiedy u niej byłeś. Myślisz, że jestem głupia, Dawet? Sugerowałeś, że powinno się ją zgładzić!

Uśmiechnął się, zanim odpowiedział:

– O ile pamiętam, sugerowałem, że byłoby niebezpiecznie pozwolić żyć takiej kobiecie. Nie wiedziałem, że można zabić kogoś słowami.

– Byłeś tam! Byłeś z nią, kiedy zginęła. Sam ją wypchnąłeś przez okno!

Dawet przechylił głowę, a jego szeroko otwarte brązowe oczy wyrażały wręcz sarnią niewinność.

– Skąd te straszne przypuszczenia, Wasza Wysokość?

– Widziano cię, jak tam wchodziłeś. Jeden ze strażników zszedł z posterunku, zapewne sprowokowany przez ciebie, ale kiedy wrócił, zobaczył, jak wchodzisz do wieży.

Dawet pokręcił głową.

– Zauważył obcego i go nie zatrzymał? Nie próbował go wypytać? Nie przyszło ci do głowy, księżniczko, że strażnik próbuje zatuszować fakt, iż nie wypełnił swojego obowiązku?

– Widział cię! Nie reagował, ponieważ wie, że jesteś przyjacielem rodziny.

– Pomylił się, księżniczko. Nie było mnie tam wtedy. Kilka osób może zaświadczyć, że grałem w karty w pewnym przybytku, niedawno ponownie otwartym, w pobliżu Laguny Zachodniej.

– W jaskini hazardu – syknęła.

– Możesz to nazywać, jak chcesz. – Skłonił lekko głowę. – Z pewnością istnieje cień szansy w rozrywkach, jakim się oddają bywalcy tego miejsca.

– Dosyć! Dawecie, uważałam cię za uczciwego nawet w twoich najgorszych chwilach. Dlaczego mnie okłamujesz? I dlaczego zrobiłeś coś, czego nie chciałam? Zabiłeś tę biedną głupią kobietę.

– Ta biedna głupia kobieta pomogła zabić twojego brata. – Głos Daweta nieoczekiwanie zabrzmiał twardo i poważnie. – W przyszłości dla ciebie stałaby się zagrożeniem. A co do kłamstwa, pani, pytasz, dlaczego cię okłamuję? Jedyнным powodem, dla którego ktoś, kto cię kocha i pragnie ci pomóc, mógłby cię okłamać, jest to, że musisz sprawować rządy z czystym sumieniem. Ponieważ ty, Briony Eddon, nie jesteś morderczynią.

Wpatrywała się w niego długą chwilę, a potem opadła na krzesło, posmutniała i zmęczona.

– I co mam z tobą zrobić, dan-Faar?

– Gdybym naprawdę był złoczyńcą, za jakiego mnie bierzesz, pani, sugerowałbym, żebyś trzymała mnie przy sobie, by móc wykorzystać w odpowiedniej chwili. Król nigdy nie wie, kiedy może potrzebować usług łotra, ale myślę, że z królową rzecz ma się inaczej.

Briony milczała, lecz jej spojrzenie już złagodniało.

– I oczywiście twoi hazardowi wspólnicy przysięgną, że byłeś z nimi przez cały wieczór?

– Oczywiście.

Machnęła ręką.

– Odejdź, dan-Faar. Wracaj do swoich kart i usłużnych przyjaciół. Ja muszę się zająć kolejnym pogrzebem.

– Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość. Sugeruję, żebyś pochowała zmarłą królową Anisę z całą pompą należną jej pozycji. W końcu była matką ostatniego dziecka twojego ojca. Ten tragiczny wypadek, wkrótce po śmierci twojego ojca, zaskoczył i zasmucił wszystkich poddanych.

Briony mimowolnie gorzko się zaśmiała.

– Bogowie, miejcie mnie w opiece! Jak zawsze jesteś nieoceniony, mistrzu dan-Faar. A teraz odejdź i nie każ mi już oglądać swej twarzy co najmniej przez dekanox albo i dwa.

– Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość. – Ukłonił się, tym razem głębiej, i wyszedł.

\*\*\*

Vansen słuchał zmartwiony, wręcz przestraszony, opowieści Briony, gdy zostali sami.

– Nie możesz pozwolić, by ktoś taki pozostał w zamku! Nawet jeśli niczego nie można mu udowodnić, to oboje wiemy, że jest winny. On jest niebezpieczny!

– Być może, ale nie dla mnie.

– Tego nie możesz być pewna!

Położyła dłoń na jego rękę.

– Wkrótce będziemy obchodzić Kupileje i włożę koronę. Zostanę królową. Będę królową, najdroższy kapitanie, i tak samo jak głupio jestem w tobie zakochana, tak samo muszę być władczynią Królestw Pogranicza, ja, a nie ty. Znam trochę Daweta i wiem, że chce mi pomóc.

– Pomóc ci...!

Położyła mu palec na ustach.

– On jest moim problemem, nie twoim, mój dzielny rycerzu. I przyszło mi do głowy, że rozmyślnie czy nie, Dawet wykazał, że jestem winna przeprosiny Avinowi Brone'owi... ale już nie dzisiaj. – Wstała. – Nie mówmy o tym więcej.

– Owszem, jestem twoim kochankiem, ale jestem też konstabłem.



– I sprawiasz się wspaniale w obu rolach. Zejdźmy do komnaty wypoczynkowej. Do zamku przybyli pewni moi przyjaciele i chciałabym się z nimi spotkać.

– Przyjaciele? – Przerażony Vansen wyobraził sobie kolejnych adoratorów, przystojnych książąt, długi szereg rywali, który ciągnie się aż na kraniec świata. – Co za przyjaciele?

– Ci wykształceni. – Chodź, przedstawię cię jedynym ludziom, którzy nie będą mnie źle oceniać!

\*\*\*

– Siostra Makewella nie pozwoliła mu przyjechać, Wasza Wysokość – rzekł Nevin Hewney. – Ale znaleźliśmy kogoś na jego miejsce. Przedstawiam ci poetę Matthiasa Tinwrighta.

Briony uniosła brew.

Poeta, wyraźnie zawstydzony, unikał jej spojrzenia.

– My się znamy. Spotkaliśmy się nawet całkiem niedawno. Mistrz Tinwright próbował zabić mojego małego brata.

Hewney spojrzał na nią zaskoczony.

– Naprawdę? Nie sądziłem, że aż tak nie lubisz dzieci, Tinwright. Nie doceniałem cię.

Podczas gdy Vansen usiłował zorientować się w sytuacji, Briony odwróciła się i rozłożyła szeroko ramiona.

– Finn! – zawołała i objęła trzeciego mężczyznę z radością, której Vansen starał się nie zauważać. – Tak dobrze znowu cię widzieć! I ciebie, Hewney, ty zepsuta duszo.

Mężczyzna nazwiskiem Finn Teodoros cofnął się i nieco zarumienił, zawstydzony takim powitaniem.

– Dzięki niech będą Zosimowi, patronowi aktorów, księżniczko...

– Nie jemu – warknął Vansen.

Teodoros spojrzał na niego z zaciekawieniem, a potem znowu na Briony.

– W każdym razie dzięki niech będą wszystkim bogom, że tu jesteśmy i że jesteś naszą królową! Powinniśmy klęknąć przed tobą, a nie pakować się tutaj o tak późnej porze z dzbanami taniego wina!

– Zanim oba opróżnimy, ktoś tu na pewno będzie na kolanach – orzekł Hewney – i będzie to chyba młody Tinwright.

– A to jest Ferras Vansen, kapitan straży królewskiej, a niebawem lord konstabl – powiedziała Briony. – On, bardziej niż ktokolwiek inny, przyczynił się do uratowania zamku i mojego tronu. – Poleciała jednemu z paziów przynieść puchary, a potem kiwnęła na Nevina Hewneya. – A teraz przynieś tu ten dzban i pozwól, że opowiem całą prawdziwą historię.

Vansen patrzył z przerażeniem na swoją ukochaną.

– Wasza Wysokość...

– Ty też się napijesz, kapitanie. Dziś wieczór Tallow dowodzi oddziałem, a ty jesteś wolny. Oto są moi przyjaciele. – Wzięła puchar od paza. – Nalewaj! I dla mojego kapitana. Wiecie, że on jest moim kochankiem?

– Księżniczko!

– Nietrudno było się domyślić, sądząc po tym, jak ścisnął cię za rękę – rzekł Finn Teodoros, uśmiechając się szeroko. – Mam tylko nadzieję, że w obecności innych zachowujecie większą dyskrecję.

– Tak. Ale wy jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi, a ja mam już dość tajemnic. – Opróżniła szybko puchar i podstawiała pod dzban. – Jeszcze kilka i zacznę recytować kwestię Zorii. – Uśmiechnęła się do Tinwrighta, który wciąż miał nietęgą minę. – Żadnych bluźnierstw – dodała. – Teodoros napisał sztukę, a ja grałam boginię.

– I nikt nie zrobiłby tego lepiej – stwierdził Finn Teodoros z uczuciem.

– I cnotliwa jak sama stara Zoria – burknął Hewney. – Tyle razy próbowałem... – Zamrugął. – Dlaczego ten kapitan straży stoi tak blisko mnie? I ma minę, jakby zamierzał porządnie mi przyłożyć?

– Jeśli jesteś o nich zazdrosny, kapitanie, to znaczy, że jeszcze nie wypiliśmy dość wina – rzekła Briony i cmoknęła Vansena w policzek. – Kocham cię – wyszeptała i zaraz dodała głośniejszym głosem: – Napelnijcie mu puchar!

\*\*\*

Vansen i Finn Teodoros prowadzili nieco bełkotliwą dysputę na temat Qarów, porównując swoje przeżycia, w przypadku kapitana głównie osobiste, w przypadku Teodorosa zaczerpnięte z ksiąg. Nevin Hewney, może zasmucony brakiem kobiecego towarzystwa, a może zamroczony winem, które w siebie wlał, zasnął między nimi dwoma, tak że musieli nachylać się do siebie nad jego unoszącą się i opadającą głową.

– .. .ale Phayallos twierdzi, że kiedy bogowie stąpali po ziemi, mogli przyjąć każdą postać, dlaczego więc Zosim, jeśli to rzeczywiście był on, po prostu nie wcielił się w ptaka albo ognistą strzałę i nie wyleciał z podziemni?

Vansen potrząsał energicznie głową.

– Ponieważ... ponieważ... a niech to, Teodorosie, nie wiem. Niby skąd miałbym to wiedzieć! Był bogiem! Gdybyś tam był, mógłbyś go sam spytać!

– Taki odważny to ja nie jestem, kapitanie...

Briony, która od jakiegoś czasu zachwycała się twarzą Ferrasa Vansena, tym niemal chłopięcym zapałem, który szybko odmalowywał się na jego obliczu nawet wtedy, gdy kapitan wyglądał na dojrzałego przystojnego mężczyznę, nie zauważyła, że od kilku chwil stoi przy niej, chwiejąc się lekko, Matt Tinwright.

– Tak, mistrzu Tinwright?

– Czy ty... czy... ja nie chciałem skrzywdzić twojego brata, księżniczko. Naprawdę, nie...

– Wiem, Matt. Dlatego stoisz tu, wolny i zamroczony moim perikalskim winem.

Poeta zmarszczył brwi.

– Myślałem... że to Hewney przyniósł wino...

– Już dawno zaczęliśmy uszczuplać królewskie zapasy – odpowiedziała. – Lepiej usiądź, zanim się przewrócisz i zrobisz sobie krzywdę.

– Ja... chciałem z tobą porozmawiać, księżniczko Briony. Podziękować, że uczyniłaś mnie nadwornym poetą.

– Nie ma za co – odparła z uśmiechem.

– Mam pytanie. – Tinwright oblizwał usta, wyraźnie skonfundowany.  
– Pamiętasz, że... piszę poemat o tobie? O tym, jak byłaś Zorią?

Przytaknęła, chociaż miała dość mgliste pojęcie, o czym mówi. Pamiętała tylko, że poemat był taki sobie.

– Oczywiście, mistrzu Tinwright.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– No cóż, pomyślałem, że mógłbym do niego wrócić... ale zastanawiałem się... To właśnie robiłem: zastanawiałem się. Pomyślałem, że nie mogę napisać o tobie poematu, w którym nie będzie nic... o tobie, rozumiesz, o tym, co się wydarzyło. Tutaj i w Syanie. Rozpytywałem różnych ludzi. Żeby dowiedzieć się prawdy.

– Chętnie odpowiem na twoje pytania, Matt – odpowiedziała uprzejmie. – Ale nie dzisiaj. Dzisiaj się bawimy.

– Wiem! – Pomachał rękami, jakby oskarżono go o kradzież. – Ale myślałem tak i myślałem, jak to wszystko wygląda... jak w jednej ze sztuk Finna czy Nevina od samego początku.

– Chyba nie rozumiem. – Zerknęła na Vansena i Teodorosa pogrążonych w rozmowie jak starzy przyjaciele. A może po prostu Finnowi spodobał się jej kapitan straży. Doskonale go rozumiała. – Jak w sztuce?

– Tak. Jak w przedstawieniu. Zawsze ktoś kryje się za tym, co widzimy. Z tego, co wiem... – zmarszczył się, nie chcąc niczego przeinaczyć – ...z tego, co mi mówiono, za wszystkim stał Zosim, który udawał Kerniosa. Ale Hendon Tolly myślał, że to ktoś inny, bogini, czasem sądził nawet, że to sama Zoria! A to tylko Zosim w kolejnych przebraniach! Jak aktor!

– Chyba tak...

– Wszystko to przypominało przedstawienie. Ty byłaś księżniczką, ale występowałaś w przebraniu, tak jak w wielu opowieściach. Zły charakter ukrywał się w cieniu i zmuszał innych, by byli mu posłuszni, jak ten król z południa, autarcha. Zupełnie jak w jednej ze sztuk Hewneya. Ale w którymś momencie zacząłem się zastanawiać i pomyślałem tak: Skoro Zosim stał za wszystkim, a na końcu został pokonany... to kto tego dokonał?

Briony, nieco zamroczonego kilkoma pucharami perikalskiego wina, pokręciła tylko głową.

~ Kto czego dokonał?

– Kto pokonał Zosima? Podszedł go i pokonał.

– No cóż, chłopiec Krzemień, o którym ci opowiadałam... twierdzi, że część Szachraja żyje w nim...

– No właśnie! – zawołał Tinwright i zarumienił się. – Tak, Wasza Wysokość. I dałaś mi do myślenia, kiedy mi o tym powiedziałaś. Znasz dawne opowieści o tym, jak Kupilas pokonał Kerniosa i Zosima właśnie tutaj. – Zamilkł na moment. – To znaczy pod zamkiem. Znasz je, prawda?

– W ubiegłym roku słyszałam wiele opowieści. Ale owszem, wiem, co Kupilas rzekomo uczynił Kerniosowi, Zosimowi i pozostałym bogom.

– Ale kto jeszcze był tam przez cały czas? Kto jeszcze był obecny, kiedy to się stało?

Briony zaczynała się zastanawiać, czy nie pora zakończyć już tę zabawę.

– Nie wiem, mistrzu Tinwright. Kto?

Poeta uśmiechnął się, zaczerwieniony z zadowolenia.

– Zoria. Tak, Zoria Kwiat Świtu. Była tam. Kernios zabił ją za to, że go zdradziła, przynajmniej tak mówią opowieści. A jeśli ona nie umarła, tak jak i Zosim nie umarł? Jeśli została w tamtych... miejscach?

Briony spojrzała na niego i uznała, że wcale nie jest aż tak pijany, jak na to wygląda.

– To... to fascynująca myśl, mistrzu Tinwright...

– Wiesz, to zoriański modlitewnik uratował mnie przed strzałą twojego łucznika. – Wymawiał kolejne słowa powoli i ostrożnie i uśmiechnął się, kiedy już przebrnął przez całe zdanie. – Miałem go na sercu. Ręka Zorii. Twój modlitewnik. Rozumiesz?

Briony nie wiedziała, co powiedzieć.

– Chyba tak...

– Dobrze. Ostatnie pytanie, księżniczko. Słyszałem, że budujesz kaplicę ku czci bogini lasu Lisiyi. Czy wolno mi zapytać dlaczego?

– Półbogini. Ponieważ... ponieważ obiecałam, że jeśli przeżyję, to wybuduję jej kaplicę. Nie chciałabym mówić nic więcej. A czemu pytasz?

– Czy mogę pokazać ci coś, co znalazłem w książce? – Sięgnął do kieszeni i wyjął cienki tomik.

– Autorem jest Phayallos. Dużo pisał o bogach... – Tinwright zmrużył oczy, przewracając strony. – Ach, jest. – Chrząknął i zaczął czytać: – ...a te boginie i półboginie, w szczególności Lisiya ze Srebrnej Polany jej siostry, były powszechnie nazywane służącymi Zorii i dbały o to, by życzenia Kwiatu Świtu były spełniane, by wyznawcy Zorii byli nagradzani, a plany jej wrogów niweczone. – Zamknął książkę i upuścił ją, psując nieco ostateczny moment triumfu.

– Mistrz Matty jest pijany! – zaśmiał się Finn Teodoros. – Czas zabrać go do domu.

Kiedy Finn i Matt pomagali wstać Hewneyowi, Briony mimowolnie zapytała poetę:

– Będziesz dalej pisał swój poemat?

– Och, tak – odpowiedział z roziskrzonym wzrokiem. – Mam mnóstwo pomysłów. To będzie moje najlepsze dzieło! Czuję się podle z powodu... kobiety... ale teraz wiem dlaczego. Tak miało być!

Wciąż coś mamrotał pod nosem, kiedy Vansen wyprowadzał całą trójkę na zewnątrz.

– Pomóż im zejść po schodach! – zawołał do pazia. – Nie chcemy, żeby goście księżniczki skręcili sobie karki. I niech stangret zabierze ich do gospody.

– Och, bogowie – jęknął Hewney nieco rozbudzony. – Tylko nie do Kuźnicy Quillera! Już wolę spać w rynsztoku.

Ferras Vansen wrócił do komnaty chwiejnym krokiem i objął Briony. Pocałowała go, lecz on widział, że myślami jest gdzie indziej.

– O czym tak rozprawiałaś z tym głupcem poetą?

– O bogach – odpowiedziała. – I o tym, czy ziemskie życie jest tylko przedstawieniem.

– Dobrze, że mnie to ominęło – rzekł kapitan. – Nigdy nie miałem głowy do takich rzeczy. A teraz chodź do łóżka, moja piękna Briony,

pozwól mi się jeszcze trochę pokochać, zanim znowu włożymy kostiumy, by ponownie odegrać swoje role.

## Wiecznie zielony

*... i tak się kończy moja opowieść, która miała pouczyć i zabawić Jego Wysokość oraz innych młodych ludzi, którzy przeczytają historię Sieroty.*

– z *Powiastrki o Sierocie, jego życiu, śmierci i nagrodzie w niebiosach* napisanej przez Matthiasa Tinwrighta i zaprezentowanej Jego Wysokości księciu Olinowi Alessandrosowi w dzień jego pierwszych urodzin

Ranek zapowiadał o wiele pogodniejszy i cieplejszy dzień niż poprzedni. Barrick czuł, jak w pniach sosen i świerków zaczynają płynąć soki, powolna słodycz podobna tej, która płynęła w jego żyłach. Qarowie wędrowali przez całą noc, lecz powoli; teraz, kiedy Saqri umarła, nie było sensu spieszyć się bardziej, niż pozwalała na to wygoda licznych rannych.

Książę Kaske z plemienia Tych, Którym Nie Wybaczone przyniósł raporty zwiadowców: droga przed nimi była prawie pusta na odcinku kilkunastu mil.

– Dalej leży jednak kilka wiosek śmiertelników, a za nimi otoczone murem miasto z wieżami – relacjonował Kaske. Jego oczy w kształcie migdałów były lekko uniesione w zewnętrznych kącikach, co oznaczało, jak już wiedział Barrick, że trupio błądzący Qar walczy z silnymi emocjami. – Nie szliśmy tędy, kiedy prowadziła nas Yasammez. Nie mijaliśmy tych wiosek.

Barrick skinął głową. Poklepał konia po karku i ściągnął wodze, tak że czarny rumak zatańczył w miejscu; nawet konie nie czuły się tu dobrze i tęskniły za mrocznymi łąkami.

– Zatrzymajmy się tutaj – zawołał i zaraz powtórzył polecenie bez słów. Idący za nim zwolnili i zaczęli się rozdzielać na mniejsze grupki; konie i inne wierzchowce poprowadzono w dół łagodnego zbocza do



wodopoju, a wraz z nimi zeszli członkowie plemienia Zmieniających Się, przybierając czworonożną postać, dlatego ich obecność spowodowała pewną nerwowość wśród pozostałych zwierząt. – Nie martw się, Kaske. Obejdziemy tamten obszar. Nie będzie w tym żadnego dyshonoru.

Oblicze Tego, Któremu Nie Wybaczone, potężnego i nieustraszonego wojownika, wciąż wyrażało niepewność.

– Znasz śmiertelników. Możemy uniknąć ich teraz, ale kiedyś przyjdą na nasze ziemie. Yasammez nie żyje, więc Płaszcz zniknie. Jak ich zatrzymamy? – Wydawało się, że skóra na jego twarzy napięła się jeszcze mocniej. – Bez Płaszcza!

– Czego się obawiasz? – zapytał Barrick. – Ty i twoi ludzie mieszkacie wśród ośnieżonych wzgórz. Chyba ucieszy was widok słońca.

Kaske pokręcił głową.

– To... będzie dziwne. Teraz wszystko będzie dziwne.

Barrick rozłożył palce dłoni w geście „opowieść wieków” i potwierdził:

– Tak, będzie dziwne.

\*\*\*

– *Ukochany.*

– *Jesteś tam!* – Serce Barricka, od dwóch dni podobne do domu Kaske’a przypominającego zimny kamień omiatany podmuchami górskiego wiatru pod szarym niebem, nagle zostało zalane słonecznym blaskiem. – *Wróciłaś do mnie! Och, chwalić Księgę, wróciłaś. Bałem się... bałem...*

– *Ja też się bałam* – odpowiedziała. Myśli, głos należały do niej, były cudownie jej, choć tak słabe! – *Kobiety Ognistego Kwiatu, matki babki, są takie surowe, takie... piękne i straszne! Myślałam, że mnie zmiotą jak rwąca rzeka...*

– *Też to czułam. I byłem przerażony! Ale miałem do pomocy Ynnira. Znasz go?*

– *Czy go znam? Jest moim synem, dziadkiem, mężem* – odrzekła Qinnitan wciąż trochę nieobecny głosem. – *Wiem to, co wiedziała Saqri i wszystkie, które były przed nią...*

– *Ynnir mi pomógł. Bez niego chyba bym nie przeżył. Kto pomógł tobie?*

– *Ty.* – Jej odpowiedź była dla niego niczym pieszczota. – *Myśl, że znowu zostaniemy rozdzieleni, jeśli nie znajdę sposobu, żeby być z tobą. Zbyt dużo mnie to kosztowało, Barricku Eddonie.* – Jej myśli, nieco zniekształcone, zabarwiła nuta rozbawienia i zdziwienia. – *Jesteś synem króla Olina! I pomyśleć, że przez cały ten czas nie wiedziałam.* – Kiedy to powiedziała, ujrzał wyraźnie ojca, ale był to inny Olin, ten, którego знаła Qinnitan – miły i odważny mąż, niespowity cieniem wściekłości, ceniał własne życie mniej niż życie niewinnych ludzi.

– *Opowiedz mi o nim* – poprosił Barrick. – *Zostań ze mną tak długo, jak możesz, i opowiedz, co mnie ominęło przez wszystkie te lata, kiedy rozdzielały nas cienie...*

\*\*\*

Kiedy, zmęczona, zaczęła mówić wolniej, przerwał jej, pocałował ją słowem i myślą i pozwolił odejść. Dopiero kiedy osunęła się w sen i już jej nie czuł, ogarnął go smutek, który powstrzymywał tak długo. Spojrzał na łóżko, na którym spoczywała Qinnitan, jej szczupłe ciało, na wozie zaprzęgniętym w dwa cierpliwe nocne wierzchowce. A co, jeśli nigdy nie będą mieli nic więcej? Ynnir i Saqri żyli tak przez wieki. To była jakaś pociecha. Barrick wątpił, by pożył tak długo.

Stał, wpatrzony między wzgórz. W oddali migotał wiatrowskaz umieszczony na szczycie pogruchotanej Wieży Wilczego Koła, pozostała część zamku zasłaniały wzgórz. Poczul się dziwnie, patrząc na swój dawny dom. Kiedy ostatnio stał w tym miejscu, zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś go zobaczy, i tym razem było tak samo.

Nagle poczul coś dziwnego dookoła siebie, ciepło i pęd powietrza rozchodzące się we wszystkie strony. A potem coś trzasnęło, jakby złamała się duża gałąź, i przestrzeń tuż przed twarzą Barricka wypełniła

się trzepoczącą ciemnością. Odruchowo wyciągnął rękę i chwycił ciemny kształt. Był pierzasty, tłusty i cuchnął padliną.

– Nie rań nas! – zaskrzeczał. – Jesteśmy ptakiem o niemożliwej mocy, spełniającym życzenia krukiem! Oszczędź nas, a spełnimy twoje życzenia, dużo!

Barrick patrzył ze zdumieniem.

– Skurn? To ty?

Ptak przestał się szamotać i skierował na niego lśniąca desperacją czarne oko.

– Może tak, a może nie.

– Nie pamiętasz mnie?

– No cóż, przypominasz tego chłopaka Barricka, któremu tyle razy pomagałem. Ale widzieliśmy wielu podobnych do niego, odkąd wyszliśmy przez ciemną bramę Snu...

– Gdzie się podziewałeś, Skurn? Nie dotarłeś do Qul-na-Qar. Nie widziałem cię od naszej ucieczki z miasta Sen! Ani Raemona Becka.

– Też go nie widzieliśmy, choć spotkaliśmy stwory, które były całkiem beckowate. Dzięki, że powiedziałeś, gdzieś ty był. Jakoś nie doczekaliśmy się od ciebie pomocy, kiedy jej potrzebowaliśmy. – Ptak podfrunął na gałąź. – Od tamtego czasu zajrzeliśmy do kilku strasznych miejsc. I kilku całkiem niezłych, szczerze mówiąc, ale mimo wszystko dziwnych jak meszek na grzbiecie ropuchy. – Ptak pogładził dziobem pióra. – Wspaniałe te nasze przygody były, twoje i moje razem. Na pewno jakiś czarodziejski bard zechce ująć to w ładną melodię i zgrabnym słowem opisze, jak okrutnie niebezpieczne nasze losy były.

Barrick niemal się uśmiechnął, ale nie dał łatwo zbić się z tropu.

– Gadasz więcej niż kiedyś, ptaszysko.

– Trzeba pokazać, że bogowie żyją, a świat wciąż jest pełen cudów, jak mawiała mama, gdy tylko się wykluliśmy.

– I pewnie wybierasz się w dalszą drogę ze mną.

– Sobie aż tak nie pochlebiaj! – Ptak spojrział w górę, jakby szukał wygodniejszej gałęzi, bardziej nadającej się dla kogoś tak okazałego. – Wszelkie nasze umowy dawno wygasły. Nie musimy już ciągnąć się za nikiem ani nazywać kogoś panem.

– Kto mówił o nazywaniu panem? – Barrick się odwrócił i zawołał do Kaske’a i Perły Zachodzącego Słońca, żeby zebrali ludzi na drodze. – Myślałem, że zechcesz dotrzymać mi towarzystwa przez jakiś czas. Teraz jestem mniej więcej królem czarodziejskich ludzi. Wiedziałaś o tym?

– Królem czarodziejskich? – Skurn przesunął się na gałęzi i obrzucił Barricka uważnym spojrzeniem od stóp do głów. – Ci Qarowie musieli stracić dużo ważnych osobistości. – Kruk wydał odgłos podobny do skrzekliwego splunięcia. – Chcieliśmy powiedzieć, że muszą się zadowolić nędznymi resztkami.

\*\*\*

– *Ukochany?*

– *Tak szybko? Miałem nadzieję, że będziesz spała do jutra.*

– *Jest piękna noc. Czuję to, mimo że nie widzę. Czy to ptaszysko zasnęło?*

Barrick spojrzał na Skurna siedzącego na łęku siodła. Ptak kołysał się z głową wciśniętą w kołnierz napuszonych czarnych piór upstrzonych białymi plamkami.

– *Tak. W rzeczywistości nie jest taki zły.*

– *Nieemożliwe.*

– *Nie bądź okrutna. Nieraz mi pomógł. A co najmniej raz uratował życie.*

– *Przepraszam. W Xis uważano je za zły omen. Postaram się być miłsza. Matki Ognistego Kwiatu też mnie upomniały. Mówią, że te ptaki są posłańcami Białego Ognia... Och, Barricku, tyle muszę się dowiedzieć!*

– *Posłuchaj – powiedział. – Kraina Zmierzchu. Widzę ją w oddali... widzę też gwiazdy!*

– *Jak to?*

– *Płaszcz. Obłok, który od tak dawna osłaniał to miejsce, zniknął. Zostały tylko strzepy mgły.* – Barrick westchnął, boleśnie oślepiiony blaskiem gwiazd na nocnym niebie. – *Ach, gdybyś mogła zobaczyć naszą krainę!*

– *Słyszę jej piękno w twoich myślach.*

Zamilkła, lecz było to przyjazne milczenie; byli blisko siebie mimo straszego rozdzielenia.

– *Ukochana? – odezwał się jakiś czas później. – Qinnitan, moje serce, nie śpisz?*

Poruszyła się.

– *Dryfowałam.*

– *A ja z tobą.*

– *Tęsknię za Domem Ludzi – powiedziała – mimo że nigdy nie widziałam go na własne oczy. Czy jest równie piękny jak moje wspomnienia?*

– *To prastare miejsce. I piękne na wiele sposobów. Ale chodzi też o coś więcej.*

– *Oczywiście – odpowiedziała i dodała: – Barricku, czuję księżyc. Czy świeci jasno?*

– *Tak.*

– *Jestem silniejsza, gdy go czuję. Na Ul, wydaje mi się, że też go słyszę... wydaje mi się, że wszystko słyszę!*

Wziął głęboki oddech, by uporać się z gwałtownym przypływem uczuć. Nawet jego myśli były zmaćcone, pomieszane.

– *Ty też...! Myślałem, że ja... że już nigdy...*

– *Wiem – przerwała mu i przez chwilę poczuł ją tak, jakby była obok niego, jakby obejmowali się w ciemnej krainie snu. – Mów do mnie, Barricku. – Jakby szeptała mu do ucha. – Opowiedz mi o wszystkim. Wiem to, co mówi Ognisty Kwiat, ale jego głosy mało wiedzą o tobie. A przynajmniej niewiele rzeczy, które chce wiedzieć kochanka.*

– *Opowiem ci – odrzekł. – Przede wszystkim musisz wiedzieć, że nie jestem zwykłym człowiekiem...*

Poczuł jej rozbawienie.

– *Pewnie, że nie jesteś! Tak jak powiedziałeś temu paskudnemu ptaszysku, jesteś śmiertelnikiem, który został władcą czarodziejskich ludzi!*

– *Nie chodzi o to. Chciałem powiedzieć, że jestem bliźniakiem...*

## Epilog

Niebo pojaśniało blaskiem wschodzącego słońca. Mimo że nie widać było chmur, powietrze wypełniło głucho dudnienie, zrazu tak słabe, że obudziło tylko kilka istot drzemiących głęboko pod ziemią, lecz z czasem zaczęło się nasilać, aż zadrżały cienkie gałązki brzoź. Ptaki zerwały się do lotu, a jelenie popędziły Gościńcem Przybrzeżnym.

Dudnienie przeszło niemal w grzmot, a powietrze zgęstniało i trzasnęło jak bicz woźnicy. Coś wypadło z nicości na brązową ziemię Marchii Południowej, wciąż wilgotne od rosy.

Raemon Beck, syn kupca, mąż i ojciec, długo leżał twarzą do ziemi na środku drogi, przerażony perspektywą kolejnej wymuszonej i rozpoczętej błyskiem błyskawicy podróży z jednego nigdzie do innego. Kiedy wreszcie dudnienie zwiastujące jego przybycie ucichło, zebrał się na odwagę i podniósł głowę. Chwilę później nieporadnie dźwignął się na nogi i patrzył zdumiony na południowy wschód. Bo oto całkiem niedaleko, za zielonymi wodami zatoki, ujrzał jakże mu znajome wieże Zamku Marchii Południowej; niektóre zniszczone, nadgryzione ogniem i pociskami, ale wciąż były to te same cztery główne wieże oraz wystająca ponad nie czarno-biała Wieża Wilczego Kła.

Beck patrzył z niedowierzaniem. Dotknął twarzy, jakby nie potrafił uwierzyć, że on i zamek mogą istnieć jednocześnie w tym samym miejscu, a potem wydał okrzyk radości i rozpoczął nieporadny taniec na środku Gościńca Przybrzeżnego. Z przydrożnych zarośli wypadła sarna z młodym i zaraz popędziła w głąb lasu przestraszona krzykami podskakującego czupiradła.

– Chwalić bogów! – zawołał Beck. Po jego policzkach płynęły łzy.  
– Chwalić bogów! Wróciłem! Jestem w domu!

A potem upadł na kolana i ucałował ziemię, a potem jeszcze kilka razy, zanim się podniósł, dziękując niebiosom, i ruszył w kierunku, który miał go wreszcie zaprowadzić do Helmingsea i rodziny.

## Dodatek 1

### OSOBY

**Adis** – prawdziwe imię syna Merolanny

**Aesi'uah** – najważniejsza eremitka Yasammez

**A'lat** – kapłan, sługa autarchy

**Akutrir** – wojownik Qarów z plemienia Tych, Którym Nie Wybaczone

**Androphagas** – legendarny potwór, na wpół byk, na wpół wąż

**Aristas** – mentor Adisa, Sieroty

**Avros** – albo Mały Avros, Świątynny Pies

**Aylan** – prapradziadek Sulepisa

**Benaridas** – najemnik zabity w bitwie pod Targowiskiem Kleaswell

**Benediktos** – ojciec Anissy, władca Devonis

**Bezskrzydły** – Qar z Plemienia Oszustów, syn Zielonej Sójki

**Błękitne Głębie** – skuta lodem północna część ziem Qarów

**Błękitni Królowie** – dynastia w starożytnym Xandzie

**Buckle** – strażnik z Zamku Marchii Południowej

**Czarnocień** – Qar z plemienia Oszustów

**Chaffy** – jeden z ludzi wynajętych przez Brone'a

**Cheshret i Tusiya** – rodzice Qinnitan

**Chryzolit** – Funderling, strażnik

**Ci, Którym Nie Wybaczone** – plemię Qarów przypominających ludzi

**Cynk** – drow, spokrewniony z Funderlingami

**Czarny Noszh-La** – imię nadane Immonowi przez Funderlingów

**Dard** – albo Dard Słój, hierosolski kupiec

**Dawet dan-Faar** – poseł z Hierosolu

**Długa Rysa** – Qar z plemienia Oszustów

**Dolomit** – Funderling, porucznik straży Jaspisa Młota

**Dordom** – najstarszy syn Parnada

**Ekkagar** – przywódca Qarów w bitwie pod Targowiskiem Kleaswell

**Gennadas** – syański rycerz

**Gerasimos** – trygonarcha, który wyklął Hipnologów

**Gorhan** – wuj Tulima

**Górcy Korbole** – plemię Qarów

**Gunis** – kapłan Nushasha przy armii autarchy  
**Hereddin** – xiski wojownik-poeta  
**Hipnologowie** – heretycka sekta  
**Idite dan-Mozan** – wdowa po Effirze dan-Mozanie  
**Jaspis Lamparci** – ostatni Funderling, który regularnie uczestniczył w dysputach uczonych  
**Kalomel** – syn Cynobra i Vermilion Rzęciowców  
**Kamyk Jaspis** – żona dowódcy straży Funderlingów Jaspisa Młota  
**Karisnois** – imię nadane Kerniosowi przez Dachowców  
**Kayn, książę** – syn królowej Lilii, który zmarł młodo  
**Kelonesos** – słynny potwór morski  
**Kernios Olognothas** – Pan Ziemi, wszechwidzący  
**Kersus** – xiski taktyk, pisarz  
**Khau-Yisti** – Yisti (plemię Qarów podobne do Funderlingów) trzymane w niewoli przez autarchów  
**Khobana Wilczyca** – morderczyni, więźniarka autarchy  
**Kiou-a-pous** – imię nadane Szachrajowi przez Muskających Wodę  
**Kirgaz** – jeden z braci młodego Tulima  
**Korund** – Funderling, inżynier  
**książę Kaske** – Qar z plemienia Tych, Którym Nie Wybaczone  
**książę Veryon** – historyczna postać ze Syanu  
**Kwiat Świtu** – imię nadane przez Qarów Zorii, matce Kupilasa  
**Kymon** – wicehrabia hrabstwa na granicy Syanu  
**lodowe ettiny** – jeden z rodzajów ettinów  
**Łamijęzyk** – Qar z plemienia Oszustów  
**Łasica** – zwiadowca Świątynnych Psów  
**Mackel** – Muskający Wodę, ojciec Rafe'a  
**Mawra Bez Tchu** – kobieta Qarów  
**Mehnad** – książę z Xis  
**Miron** – imię lorda Helkisa  
**Morna** – bogini zimy, ofiara Zosima  
**Moros** – podstępny służący Adisa  
**Moseffir** – wnuk dan-Mozana  
**Okhuz** – xiskie imię Voliosa, boga wojny  
**Okros Dioketian** – medyk



**Osias** – tyran z Hierosolu sprawujący rządy w czasach Sieroty  
**Otuleni Biela** – klan ettinów z Błękitnych Głębi  
**Parak** – były autarcha Xis, dziadek Sulepisa, ojciec Parnada  
**Perch** – jeden z ludzi wynajętych przez Brone’a  
**Perła Zachodzącego Słońca** – Urayanu albo Wzmacniający Dotyk, uzdrowicielka Qarów  
**Pędziskrzydło** – Dachowiec, ojciec Pędzika  
**Phyallos** – słynny uczony  
**Pirilab** – historyk z Xis  
**Polewa** – Brat Metamorficzny  
**Pyarin** – imię nadane Perinowi przez Muskających Wodę  
**Rhantys z Kalebrii** – uczony, autor *Agonii prawdy wyrzeczonej*  
**Sagan Cienia** – kobieta Qar z plemienia Strażników Żywiołów  
**Saletrzak** – bratanek Popioła  
**Selia ei’Dicte** – prawdziwe imię pokojówki Anissy  
**Skollas** – dyktator z Hierosolu  
**Sorykidoni** – mieszkańcy Sorykosu, którzy twierdzili, że Sierota się tam urodził  
**Srebrzysty Błysk** – imię nadane przez Qarów Khorsowi, bogu księżyca, ojcu Kupilasa  
**Stephanas** – rycerz, jeden ze Świątynnych Psów księcia Eneasza  
**Śpiewodrap** – ettin głębinowy, syn Młotostopego  
**Tirnan Havemore** – kasztelan za rządów Hendona Tolly’ego  
**Tulim** – imię Sulepisa dwudziestego trzeciego w sukcesji do tronu Xis  
**Tyron** – słynny bard i poeta z Kracji  
**Ultin** – książę z Xis  
**Upsteeplebat** – królowa Dachowców z Zamku Marchii Południowej  
**Uwin** – kapłan, który zastąpił ojca Timoida  
**Vasil Zeru** – kwatermistrz Białych Ogarów  
**Volofon** – najemnik z Ikarty w Kracji  
**Wierzba** – szalona dziewczyna  
**Xergal** – xiskie imię Kerniosa  
**Ximander** – słynny uczony  
**Xosh** – xiskie imię Khorsa  
**Xyllos** – potwór morski

**Yermun** – xiskie imię Immona, Stróża Bramy  
**Zoaz** – xiski bóg, opiekun słonecznego rydwanu

## **MIEJSCA**

**Bezksiężycowy Korytarz** – kompleks pograżonych w ciemności pieczar pod Miastem Funderlingów

**biblioteka księcia Kayne’a** – w królewskiej rezydencji w Zamku Marchii Południowej

**dolina Aulas** – zalesiony obszar między Oscastle a Marchią Południową

**dolina rzeki Argas** – w południowym Silverside

**Dunletter** – miasteczko wśród wzgórz w Brenlandii

**Dzielnica Niebieskich Latarni** – dzielnica w Xis

**Frannac** – connordzka wyspa

**Gościniec Białego Brzegu** – droga w pobliżu laguny w twierdzy wewnętrznej Zamku Marchii Południowej

**Gościniec Młyński** – główna droga, która prowadzi do Gościńca Przybrzeżnego w pobliżu Zamku Marchii Południowej

**Gościniec Srebrzystej Rzeki** – główny trakt prowadzący przez Kertewall i Silverside

**góry Xan-Horem** – w Xis

**góry Yenidos** – w Xis

**Jeziro Strivoros** – ogromne morze śródlądowe na południowym Eionie

**Kalebria** – miasto na południu, niegdyś w imperium syańskim

**Komnata Anglina** – pełniła rolę tymczasowej sali tronowej Hendona Tolly’ego

**Korytarz Mułowca** – ciąg pieczar pod Miastem Funderlingów

**Krew Przodka** – nazwa nadana przez Qarów Tajemnicom Funderlingów

**Lśniące Rozkosze** – nazwa nadana przez Qarów Tańczącej Komnacie Piasku Srebrzanego

**most Potmis** – miejsce porażki wojsk syańskich

**Most Trawiastego Wzgórza** – most w części miasta na lądzie

**Ochrowa Sztaba** – gliniasty dół w pobliżu Żelaznego Korytarza

**Ocsa** – wyspa connordzka  
**On Krisanthe** – świątynia trygonacka w podzamczu na stałym lądzie  
**Onir Beecan** – miasto w Blueshore nad Zatoką Brenna  
**Ostatni Tunel** – zespół tuneli w Tajemnicach Funderlingów  
**Ostatnia Godzina Przodka** – nazwa Qarów używana dla Zamku Marchii Południowej, szczególnie jego podziemi  
**pentener** – syański stopień wojskowy, odpowiednik sierżanta  
**Pieczara Browarnika** – pieczara między świątynią a Miastem Funderlingów  
**Pieczara Wichrów** – ciąg komór w Tajemnicach Funderlingów  
**Płaczące Schody** – część Qul-na-Qar  
**Płaczące Wzgórze** – miejsce słynnej bitwy między Qarami a Tymi, Którzy Nie Śpią  
**Sala Inicjacji** – w środku Labiryntu  
**Sala Objawienia** – ostatnia komora tunelu przed Wielkim Tarasem nad Morzem w Głębiach  
**Sala Rachmistrza** – duża pieczara pod zamkiem Marchii Południowej  
**Sharm** – wyspa connordzka  
**Skean Egye-Var** – nazwa Skały M’Helana nadana przez Muskających Wodę  
**Stare Barytowe Przesło** – kompleks tuneli dochodzący do Wielkiego Wykopu  
**Tańcząca Komnata Piasku Srebrzanego** – duża pieczara w pobliżu świątyni Braci Metamorficznych  
**Tessideme** – dawna nazwa Tessis  
**ulica Diamentowa** – główna arteria w Mieście Funderlingów  
**Wielki Wykop** – duży tunel Burzowego Kamienia wykopany pod Zatoką Brenna aż do stałego lądu  
**Wieża Sykomory** – najwyższa wieża w Sadowym Pałacu  
**Wzgórza Steffańskie** – wzgórza między Brenlandią a Summerfield

## **PRZEDMIOTY, ZWIERZĘTA**

**a-recking** – ku prawej  
**askorab** – „skorpa” albo „seliqet”: wielki skorpion

**Burogniada** – trzepomysz, nietoperz  
*Focza Skóra* – łódź Rafe'a  
**guruodir** – ciężka włócznia Funderlingów o szerokim grocie i dębowym drzewcu  
**hormos** – wiejski taniec popularny w Królestwach Pogranicza  
*Kompendium rzeczy prawdziwych* – dzieło Ximandrosa Tetramakosa  
**Królewska Muszla Wrzecionowata** – jeden ze świętych artefaktów Dachowców  
**Morska Brama** – brama, przez którą Muskający Wodę wślizgiwali się na teren między portem Zamku Marchii Południowej a Zatoką Brenna  
**mykomel** – grzybówka, trunek Funderlingów  
**Napominacz** – topór Młotostopego  
**Oko Yah'stah** – gwiazda nadziei Qarów  
**Siedem Szarych Ptaków** – konstelacja i grupa półmitycznych prorokiń Qarów  
**Święto Ognia** – dzień przesilenia letniego w Xis  
**Święto Ul-Ushya** – ważne święto w Xis  
**torvionos** – południowy taniec popularny na dworze Zamku Marchii Południowej  
**Trzecie Hierarchiczne Konklawe** – słynna religijna rada Trygonatu  
**Wieczny Ogień** – moc, która stworzyła *Księgę Ognia w Pustce*  
**Wojna Ziomków** – ponowna inwazja Qarów na Zamek Marchii Południowej  
**Wywoływacz Duchów** – nóż z Xandu

## Dodatek 2

### GLÓWNI BOGOWIE WIARY TRYGONACKIEJ I ICH IMIONA WŚRÓD LUDÓW POGAŃSKICH

PERIN – bóg nieba i pan błyskawic, zwany *Argalem* przez Xisów,  
*Kroczącym po Niebie i Grzmotem* przez Qarów, *Ręką Nieba* albo  
*Panem Szczytu* przez Dachowców oraz *Pyarinem* przez  
Muskających Wodę

ERIVOR – bóg wód, zwany *Eshervatem* na południu Xandu, *Efiyalem*  
przez Xisów, *Egye-Varem* przez Muskających Wodę i *Oceanem*  
przez Qarów

KERNIOS – pan świata podziemnego nazywany *Xergalem* przez Xisów,  
*Czarną Ziemią* przez Qarów i *Karisnovoisem* przez Funderlingów

DEVONA – bogini lasu zwana *Devoną z Harfą*

ERILO – bóg urodzaju, dlatego Qarowie nazywają go *Żniwami*

HILIOMETES – potężny półbóg, który czasem nazywany jest (albo  
utożsamiany) *Melarkhem*, xiskim bohaterem

HONNOS – bóg podróżnych nazywany przez Xisów *Yunasem* i  
*Czerwonym Jeleniem* przez Qarów

IMMON – stróż Bramy Kerniosa zwany *Yermunem* przez Xisów i  
*Czarnym Noszh-La* przez Funderlingów

KHORS – pierwszy bóg księżyca, zwany *Xoshem* przez Xisów i  
*Srebrzystym Błyskiem* przez Qarów

KUPILAS – Wynalazca, bóg uzdrawiania i sztuki kowalskiej, zwany  
*Szachrajem* przez Qarów, *Habbilim* przez pogańskich mieszkańców  
Xis i *Kioy-a-pousem* przez Muskających Wodę

MADI ONYENA – matka Zmeosa, Khorsa i Zuriyala, zwana *Ugeni*  
przez Xisów, *Umdi Onajena* przez innych mieszkańców  
południowych krajów oraz *Ptasią Matką* lub *Bryzą* przez Qarów

MADI SURAZEM – matka Trzech Braci, zwana *Shusayem* w Xis i  
*Wilgocią* przez nieśmiertelnych Qarów

MESIYA – bogini księżyca i pierwsza żona Kerniosa zwana przez  
Xisów *Nenizu*

SIVEDA – bogini nocy

STRIVOS – bóg wiatru zwany czasem przez Qarów *Niewidzialnym*

SVA – babka bogów, zwana przez Qarów *Pustką* i *Zha* przez Xisów

VOLIOS – bóg wojny, znany jako *Volios Silnoreki* albo *Volos*

*Długobrody* lub też *Okhuz* przez Xisów albo *Byk* u Qarów

ZMEOS – Rogaty Wąż, Wielki Wróg, zwany *Nushashem* przez Xisów i *Białym Ogniem* przez Qarów. Jego miecz nosił to samo imię. Xiskie pogańskie podania głoszą, że to Zmeos porwał i poślubił Zorię, co dało początek Wojnie Bogów, a nie jego brat Khors, jak uczy wiara trygonacka

ZO – dziadek bogów, zwany przez Qarów *Światłem* i *Tso* przez Xisów

ZORIA – córka Perina, matka Kupilasa, a później żona Kerniosa, zwana przez Xisów *Suyą* i *Błądą Córka*, *Gołębicą*, *Kwiatem Świtu* albo *Kwiatem Migdału* przez Qarów

ZOSIM – bóg rozdroży, poetów, złodziei, oszustów i pijaków, zwany *Salamandrossem* w aspekcie ognia, *Shoshemem* przez Xisów i *Oszustem* przez Qarów

ZURIYAL Bezlitosna – siostra Zmeosa i Khorsa, zwana *Surigali* przez Xisów i *Sądem* przez Qarów

Wojna między dziećmi Surazem i Oneynyi, zwana Wojną Bogów, nazywana jest także teomachią albo onyenomachią.